

**Biblioteka
Warszawska**

Mf 12438

Warszawa
1849 r.

t. 3-4

poz. Mf 12438

Biblioteka Warszawska

Warszawa 1849 t.3-4, og.zb.35-36 (m-c VII-XII
sp.rzeczy

Oryg.: ZNiO sygn.117.152

neg. Mf 12438



BIBLIOTEKA ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH PAN
W R O C Ł A W



BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA**

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1849.

Tom trzeci.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXXV.

WARSZAWA.

**W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskiej.**

1849.



**P
117152**



SPIS RZECZY

ZA WARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1849.

Materyały historyczne.

	Stron.
<i>Pro-memoria</i> dla badaczów i zbieraczy dawnych zabytków i pamiątek z czasów przedchrześcijańskich w Polsce, przez <i>Ambrożego Grabowskiego</i>	171
Sprostowanie i dopełnienie wiadomości, tyczących się medalów koronacyjnych obrazu N. Pauny Berdyczowskiej, w dziele ś. p. hr. Raczyńskiego, tom 3ci. Przez <i>Ambrożego Grabowskiego</i>	172
Korrespondencya Władysława IV króla polskiego z Galileuszem; udzielił <i>Alex. hr. Przędziecki</i>	191
Wiadomości o Szlązku, napisał <i>Józef Lepkowski</i>	319
Nazwiska księgarzy krakowskich, od początku XVI do połowy XVII wieku, kolejną lat, jak są wzmiankowani w księgach aktów radzieckich krakowskich. Przez <i>Ambr. Grabowskiego</i>	389
Data koronacyi Barbary Radziwiłłówny, żony Zygmunta Augusta. Przez <i>Tymoteusza Lipińskiego</i>	397
Wiadomość o zbiorze atlasów i mapp Ignacego Onacewicza, przez <i>F. M. S.</i>	406
Poszukiwania historyczne nad finansami polskimi w XIV i XV wieku, przez <i>Felixa Zielińskiego</i>	553

Biografia.

Franciszek Krasieński podkancelerzy koronny, biskup krakowski, przez <i>Żegotę Onacewicza</i>	93
--	----

Filozofia.

	Stron.
Platon; jego stosunek do Sokratesa i jego pojęcie piękności, przez <i>J. K.</i> (ciąg dalszy).....	101

Nauki społeczne.

Rys hydrografii królestwa polskiego, z wiadomością o spławach; skrócił <i>Ludwik Wolski</i> (ciąg dalszy)..	19, 259, 496
O mieszkaniach dla klaszarników (z francuzkiego).....	482

Opisy i podróże.

Kopalnie soli i złota w Siedmiogrodzie. (Wyjątek z podróży po Węgrzech i Siedmiogrodzie; tłumaczył <i>Ludwik Zejszner</i>	221
Podhale i północna pochyłość Tatrów, czyli Tatry polskie, przez <i>Ludwika Zejsznera</i> (ciąg dalszy).....	441
Podróż Anglika na Wschodzie, przez <i>J. R. S.</i>	596

Literatura.

Rozbiór dramatu: Odprawa posłów greckich, Jana Kochanowskiego, przez <i>Karola Mecherzyńskiego</i>	1
--	---

Powieści.

Wieś Grady. Wyjątek z dziennika podróży. Przez <i>Ad. Am. Kosińskiego</i>	131
---	-----

Sztuki piękne.

Sala posiedzeń Zgromadzenia Narodowego we Francji, przez <i>B. P.</i>	401
Koncert pana Kazimierza Wernik w Warszawie, dnia 1go lipca 1849 r. Przez <i>J. S.</i>	608

Rozbiory.

Poezye Józefa Dyonizego Minasowicza, przekładane i własne. Przez <i>T.</i>	367
Źródła mineralne w królestwie Galicyi i na Bukowinie, pod względem fizyczno-chemicznych własności; tudzież rozbiór fizykalno-chemiczny wód mineralnych w Iwoniczu, przez Teodora Torosiewicza. Lwów: 1849 r.....	586
O mapie geologicznej Francji pp. Dufrénoy i de Beaumont, przez <i>H. L.</i>	616
Prawoznawstwo niemieckie i francuzkie, przez <i>K. B.</i>	625

Język polski.

	Stron.
Prowincjonalizmy, powiatowszczyzny, sposoby mówienia księztwa oświęcimskiego i zatorskiego, zebrane p. <i>Ambrozego Grabowskiego</i>	174

Nauki przyrodzone.

O żubrze i polowaniu na niego, przez Dymitra Dolmatowa; przekład z ang. p. <i>A. W.</i>	177
Kilka słów o Tarwas, Tarwaha, Tarwahalla powieści runicznych, przez Wiktora Moczulskiego. Przekład z niemieckiego p. <i>A. W.</i>	182
Dodatek do Wiadomości o robakach ze śniegiem spadłych d. 24 stycznia 1849 r. w Posopowie, p. <i>K. Tyzenhauza</i>	188
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Astronomia i fizyka kuli ziemskiej, przez <i>J. B.</i>	194
Fizyka, przez <i>S. P.</i>	409
Historia naturalna. Zoologia, przez <i>A. W.</i> ... 198, 413, 631	

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od Seweryna Oleśczyńskiego.....	623
<i>Kronika bibliograficzna</i>	215, 435, 646
Doniesienia literackie.....	216, 435, 647
Wyjątek z wiadomości o pracach naukowych profesorów i nauczycieli cesarstwa ross. w instytutach naukowych, p. <i>F. M. S.</i>	180
Wiadomości literackie i artystyczne, przez <i>F. M. S.</i> ... 407, 620	
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem:	
za miesiąc maj r. b.....	217
— — czerwiec r. b.....	437
— — lipiec r. b.....	649



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1849.

Filozofia.

	Stron.
Wyjątek z filozofii umniczej; przez <i>K. L.</i>	221

Materyały historyczne.

O przywileju założenia Warszawy, przez <i>Alexan. Wejnerta.</i>	163
Spominki historyczne i artystyczne, przez <i>Ed. bar. Rastawieckiego.</i>	403, 607
Wiadomości historyczno-numizmatyczne o koronacyi obrazów Matki Boskiej w dawniej Polsce; podał <i>Tymoteusz Lipiński.</i> (Z 4 tablicami na miedzi).....	441
Zofia Zarębianka, czyli wyrok na karę śmierci r. 1776 niesłusznie zapadły, z przyczyny użycia tortur; przez <i>Ferdynanda Biesiekierskiego.</i>	572

Biografia.

Krótki rys życia i prac <i>J. J. Berzeliusa</i> (z francuzkiego)....	66
Wspomnienie Szopena, przez <i>Józefa Sikorskiego.</i> (Z wizerunkiem).....	510

Nauki społeczne.

O handlu soli; przez <i>S.</i>	166
Szczegóły statystyczne, dotyczące Wielkiej Brytanii, przez <i>Piotra Steinkellera.</i>	303

Prawo.

	Stron.
Wiadomość o nowych ważniejszych postanowieniach w prawodawstwie kryminalném, p. K. B.	191
O wspótcie handlowej prostéj (<i>Association en participation</i>), przez A. Heylmana	269
O pożyczce na procent u Rzymian, przez Z.	562

Opisy i podróże.

Podhale i północna pochyłość Tatrów, czyli Tatry polskie, przez Ludwika Zejsznera (ciąg dalszy)	1
O korsarzach archipelagu Wschodniego	477

Literatura.

Pieśni ludu weselne, przez Oskara Kolberga	383
Krótką wiadomość o drukowanych przekładach całej biblii na różne dyalekta słowiańskie, przez Andrzeja Kucharskiego	409

Poezye.

Na śmierć Szopena, przez Seweryna Kaplińskiego	560
Cisza, przez Zenona Fisch	561

Dramat.

Aulorka, dramat we czterech aktach, przez Józefa Korzeniowskiego	90
---	----

Powieści.

Wygnanowice, powiastka historyczna, przez A. Wieniarzkiego	150
Gabryela, powiastka przez Paulinę z L. Wilkońską	340

Sztuki piękne.

O architekturze gotyckiej pod względem historycznym i estetycznym, przez Juliana Ankiewicza	39
O cynkografii i drukach anastatycznych, z powodu doświadczeń p. Seweryna Oleszczyńskiego i listu tegoż, w Bibl. Warsz. na miesiąc wrzesień, na str. 623 umieszczonego, przez F. Max. Sobieszczańskiego	179
Kilka słów do Wspomnień koncertowych p. Sikorskiego, z d. 3 maja 1849 r., przez K. Ładę	413
Jeszcze słówko o przetłaczaniu starych druków, czyli o drukach anastatycznych. Przez B. Podczaszyńskiego ...	605

Rozbiory.

	Stron.
Opis Królestwa Polskiego pod względem historycznym, statystycznym, rolniczym, fabrycznym, handlowym, zwyczajowym i obyczajowym, przez Józefa M. Wiślickiego. Warsz. 1850. Przez <i>Wł.</i>	580
Monastyr Skit w Maniawie, przez D. J. Wagilewicza. Lwów, 1848. Przez <i>St. Lisowskiego</i>	585
Światło i Cienie, powieść nieboszczyka Pantofla, wydana przez Eleonorę Szyrmer. 2 tomy. Petersburg. 1848. Przez <i>J. R. Szymańskiego</i>	590

Język polski.

Uwagi fizyologiczne nad abecadłem polskim, przez Dra <i>Ludwika Natansona</i>	138
---	-----

Nauki przyrodzone.

Użyteczność istot, mianych zwykle za szkodliwe, p. <i>W. P.</i>	621
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Fizyka, przez <i>S. P.</i>	195, 627
Chemia, przez <i>J. B. ...ł.</i>	198, 423, 629
Historia naturalna. Zoologia, przez <i>A. W.</i>	200, 428, 632
Rejestr abecadłowy Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych, z r. 1849.....	638
Tabella ruchu wiosennego i jesiennego ptaków w r. 1848, uważanego w Bychawce, przez <i>W. Taczanowskiego</i> ..	653

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, od <i>Józefowicza</i>	623
<i>Kronika bibliograficzna</i>	215, 434, 646
Doniesienia literackie.....	215, 435, 647
Uwiedomienie od redakcyi.....	648
Wiadomości literackie i artystyczne, przez <i>F. M. Sobieszkańskiego</i> i przez β	187, 418, 612
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem:	
za miesiąc sierpień b. r.....	217
— — wrzesień b. r.....	437
— — październik b. r.....	649

Sprostowania w wiadomościach z zoologii.

1848.

Tom IV.

Stron.	wiersz.	zamiast:	czytaj:
202	24	szyszkowatego	szyszkowego
206	20	powietrznego	powietrznego
212	23	rendues	rendus
444	12	<i>Pactunculus</i>	<i>Pectunculus</i>
446	16	iwwoły wania	i wywoływania
457	12 od dołu	włóknistą	włóknista
458	18	<i>Cheolopoda</i>	<i>Chaetopoda</i>
688	5	szczatków	miejsca rozbicia się
—	7 od dołu	<i>Tricodina</i>	<i>Trichodina</i>

1849.

Tom I.

421	21	znak * niepotrzebny	
423	1	<i>Calex</i>	<i>Culex</i>
429	2	długim	obszernym
649	7	odlatywał	odlatywały
656	3	nabrzmiwiają	wzdymają się
659	15	się wykreslić	

Tom II.

201	16		
206	10	<i>Desox</i>	<i>Desor</i>
205	12	<i>Bosurus</i>	<i>Bos urus</i>
211	8	jeśli, je mają	jeśli je mają
416	12 od dołu	szyszkowatych	szyszkowych
418	7 od dołu	osiadła	osiadała
422	8 od dołu	zdarte	starte
426	9 od dołu	oddechowego liszki i odychanie	oddechowego liszki i oddychanie
655	14 od dołu	Otto	Oskar
657	4	niejednak ową	niejednakową

Tom III.

211	4 od dołu	kralów	krabów
426	13	i ryby	i ryby się

Tom IV.

210	2 od dołu	pęcherkowatym	wstęgopatym albo taśmowatym
213	4	pow okę	powłokę
214	1	pęcherzykowate	wstęgowe

TABELLA

roku wiosennego ptactwa w roku 1848 uważanego w Bychawce, położonej pod 51° 3' szerokości geograficznej i 40° 12' długości, przez W. Taczanowskiego.

Wiosna 1848.

Nazwiska ptaków	PRZYLATUJĄCE	PRZYLATUJĄCE DWA RAZY W ROKU		PRZYLATUJĄCE	PRZYPADKOWE	UWAGI
	NA LĘTO			NA ZIMĘ		
	Pierwszy raz widziane	Pierwszy raz widziane	Drugim raz widziane	Drugim raz widziane	Widziane	
		d	n	i	a	
<i>Falco suburus</i> , Sokół kobuz	30 marca					
<i>Falco aculeatus</i> , Sokół drzemlik	6 kwietnia					
<i>Falco tinnunculus</i> , Sokół puszczyk	23 marca					
<i>Falco tinnunculus</i> , Sokół puszczyk	8 marca					
<i>Falco naerius</i> , Sokół orzeł krzykliwy	18 kwietnia					
<i>Falco fulvus</i> , Sokół orzeł przodni				26 marca		
<i>Falco haliaetus</i> , Sokół orzeł rybniolów	6 kwietnia					
<i>Falco lagopus</i> , Sokół kobuz wachaj				3 marca		
<i>Falco plebeus</i> , Sokół kobuz pszczołojad	7 kwietnia					
<i>Falco brachyactylus</i> , Sokół orzeł krótkospon	23 marca					
<i>Falco tinnunculus</i> , Sokół kania	23 lutego					
<i>Falco aler</i> , Sokół kania czarna	20 marca					
<i>Falco agorizus</i> , Sokół błotniak szlutowy	23 marca					
<i>Falco rufigularis</i> , Sokół błotniak błotny	23 marca					
<i>Corvus monedula</i> , Kruk kawka	27 marca					
<i>Corvus frugilegus</i> , Kruk gawron				20 marca		
<i>Corvus corax</i> , Sokół kania				25 marca		
<i>Bombus agrorum</i> , Szpak szpak	25 lutego					
<i>Bombus lucorum</i> , Szpak szpak				2 marca		
<i>Ortus galina</i> , Wilgoć	3 maja			2 marca		
<i>Corvus corax</i> , Kruk kawka	3 maja					
<i>Turdus merula</i> , Drozd kos	27 lutego					
<i>Turdus philomelos</i> , Dzięcioł	29 lutego					
<i>Turdus iliacus</i> , Dzięcioł		2 marca		2 kwietnia		
<i>Lanius excubitor</i> , Dzięcioł				3 marca		
<i>Lanius minor</i> , Dzięcioł	25 kwietnia					
<i>Lanius collurio</i> , Dzięcioł	8 maja					
<i>Muscicapa lactinea</i> , Muszkietał	3 maja					
<i>Muscicapa grisea</i> , Muszkietał	21 kwietnia					
<i>Sylvia turdoides</i> , Gajówka drożdżowa	29 kwietnia					
<i>Sylvia arundinacea</i> , Gajówka trzciniowa	20 kwietnia					
<i>Sylvia phoeniceus</i> , Gajówka różnolica	1 maja					
<i>Sylvia rubecula</i> , Gajówka ruzyc	12 marca					
<i>Sylvia phoeniceus</i> , Gajówka płoska	8 kwietnia					
<i>Sylvia auctora</i> , Gajówka modra	6 kwietnia					
<i>Sylvia lactinea</i> , Gajówka słowak	18 kwietnia					
<i>Sylvia cinerea</i> , Gajówka popielata	23 kwietnia					
<i>Sylvia curruca</i> , Gajówka niegła	20 kwietnia					
<i>Sylvia hortensis</i> , Gajówka ogrodowa	27 kwietnia					
<i>Sylvia atricapilla</i> , Gajówka czarnobusta	26 kwietnia					
<i>Sylvia naevia</i> , Gajówka jarzębka	2 maja					
<i>Sylvia trichura</i> , Gajówka jęczmionowa	23 marca					
<i>Sylvia alaudina</i> , Gajówka świerszka	11 kwietnia					
<i>Sylvia hypoleuca</i> , Gajówka szacholudowa	30 kwietnia					
<i>Bartolonia omantha</i> , Ojcańnik białozłoty	2 kwietnia					
<i>Bartolonia omantha</i> , Ojcańnik białozłoty	19 kwietnia					
<i>Acrocephalus scirpaceus</i> , Ptakosza pokrzywca	29 marca					
<i>Monticola alba</i> , Ptakosza	13 marca					
<i>Monticola saxatilis</i> , Ptakosza	13 kwietnia					
<i>Anthus pratensis</i> , Świerszok leśny	4 marca					
<i>Anthus arboreus</i> , Świerszok leśny	11 kwietnia					
<i>Anthus cervinus</i> , Świerszok leśny	14 lutego					
<i>Anthus cervinus</i> , Świerszok leśny	2 marca					
<i>Emberiza hortulana</i> , Posiwotka				10 lutego		
<i>Emberiza hortulana</i> , Posiwotka	23 lutego					
<i>Pyrrhula vulgaris</i> , Gil walczyk	1 marca					
<i>Pyrrhula vulgaris</i> , Gil walczyk				29 marca		
<i>Pyrrhula vulgaris</i> , Gil walczyk				20 marca		
<i>Cymbula canorus</i> , Kukulka popielata	12 kwietnia					
<i>Iunco torquilla</i> , Kręglów popielaty	16 kwietnia					
<i>Opus opus</i> , Dudał walczyk	8 kwietnia					
<i>Horreus rutilla</i> , Jaskółka dymkowa	13 kwietnia					
<i>Horreus rutilla</i> , Jaskółka dymkowa	20 kwietnia					
<i>Horreus rutilla</i> , Jaskółka dymkowa	26 kwietnia					
<i>Cypselus apus</i> , Język murzynek	14 maja					
<i>Caprimulgus europaeus</i> , Koszodój lelek	5 kwietnia					
<i>Columba oenas</i> , Gołęb szary	21 lutego					
<i>Columba palumbus</i> , Gołęb grzywacz	15 marca					
<i>Columba turris</i> , Gołęb turkawska	11 kwietnia					
<i>Perdix coturnix</i> , Kuropatwa przepiórka	28 kwietnia					
<i>Charadrius minor</i> , Błędniak mały	2 kwietnia					
<i>Tringa cristata</i> , Czapla czubata	26 lutego					
<i>Totanus ochropus</i> , Brodziec szary	20 marca					
<i>Totanus ochropus</i> , Brodziec szary	28 marca					
<i>Totanus ochropus</i> , Brodziec szary	2 kwietnia					
<i>Totanus ochropus</i> , Brodziec szary	4 kwietnia					
<i>Numenius arquata</i> , Kulek kulon	30 marca					
<i>Scalopus rusticus</i> , Bekas błotny	27 lutego					
<i>Scalopus rusticus</i> , Bekas błotny	9 marca					
<i>Scalopus rusticus</i> , Bekas błotny	1 marca					
<i>Scalopus rusticus</i> , Bekas błotny		3 marca				
<i>Scalopus rusticus</i> , Bekas błotny	16 marca					
<i>Urus cinerea</i> , Ławak walczyk	1 marca					
<i>Ardea cinerea</i> , Czapla siewa	23 marca					
<i>Ardea cinerea</i> , Czapla siewa	25 marca					
<i>Ardea cinerea</i> , Czapla siewa	31 maja					
<i>Cyrcus pratensis</i> , Chiryciok	4 marca					
<i>Gallinula chloropus</i> , Kurka zielononoga	10 kwietnia					
<i>Fulica atra</i> , Łyżka widowa	3 kwietnia					
<i>Pollux cristatus</i> , Perkoz kosa	3 kwietnia					
<i>Hirundo</i> , Błotniak	25 kwietnia					
<i>Larus canus</i> , Mewa siewa	3 marca					
<i>Anas crecca</i> , Kaczka cyranka	17 marca					
<i>Anas crecca</i> , Kaczka cyranka				24 marca		
<i>Anas crecca</i> , Kaczka cyranka	9 marca					
<i>Anas crecca</i> , Kaczka cyranka	2 kwietnia					
<i>Anas crecca</i> , Kaczka cyranka		28 lutego		15 kwietnia		
<i>Anas crecca</i> , Kaczka cyranka						
<i>Mergus mergamus</i> , Tracz nurzyk				23 marca		
<i>Mergus mergamus</i> , Tracz nurzyk				28 lutego		
<i>Mergus mergamus</i> , Tracz nurzyk				2 marca		

Uwagi. Ptactwa zimowego w ogólności więcej było aniżeli w roku przeszłym, i pomimo bardzo wczesnej dłużej bawły. Wodnych tylko ptaków mniej przyjechało z jesienią; dopiero przy końcu stycznia, gdy mroz rozpłynął się, zaczęły przylatywać ptactwa zimowe. Ruch wiosenny bardzo wczesnie się zaczął, skowronki o 10 dni wstępniej swój termin przylotu poprzedziły; późniejsza ptaki tak się opóźniły dla zimna, że opóźnione z czasem przeszłorocznym stawały się; czas zatem trwania o dni 11 od przeszłorocznego był dłuższy. Ptaków drapieżnych więcej się w tym roku zgromadziło jak w roku przeszłym. Ptactwa wodnego a mianowicie łososi, czubki, węgry, węgry ich nie było, nie było jednakże w obfitej ilości. Ptactwa błotnego to samo rokowi więcej; w obiorze miejsc lęgowych, niektóre zmiany zaszły, gdyż np. czajki z powodu wyschnięcia tej wiosny niektórych błot, poprzedziły się na inne, gdzie już od kilku lat się nie gromadziły. Kuropatki z jesieni dosyć pozostały; zima bardzo lekka, była dla nich przyjemna, dlatego też bardzo mało straty poniosły; spodziewać się należy, że tej wiosny będą obfite. Chroboty (*Hydrochelidon*) tak było mało, że nie ma prawie wcale młodych.



Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



1841



ROZBIÓR DRAMATU:
ODPRAWA POSŁÓW GRECKICH

JANA KOCHANOWSKIEGO.

PRZEZ

Henriela Mecherzynskiego.

Do najważniejszych pomników literatury polskiej XVIgo wieku, należy *Odprawa posłów* Jana Kochanowskiego. Jestto wzniosła, pełna prawdy i życia scena liryczna, w której równie zastanawia znajomość dawniej sztuki, jak i biegłość zawołanego sztukmistrza. Z tego względu zasługuje to dzieło na uważny i szczegółowy rozbiór; tém więcej, że dotąd krytycznie ocenioném nie było, i że w wielu pismach nader fałszywe o niem dają się natrafiać sądy.

Aby dramat Kochanowskiego w rzetelném poznać świetle, należy przedewszystkiém zwrócić uwagę na właściwe stanowisko pisarza, obeznać się z pojęciami i dążnością uczonych XVI wieku, i rozważyć żywioły, pod których wpływem poeta dzieło swoje układał. Wychowanie poprzedniej, a przewodnik nowej, rozwijającej się dopiero oświaty, ma on w czasie tło swoje, i równie od niego jest stworzony.

Polska w wieku XVI, mimo swęj politycznej siły i samodzielności, nie wychodząc ze sfery innych europejskich narodów, wszystkie ich moralne bytu pierwiastki musiała w sobie ogarniać: dlatego los oświaty polskiej nieoddzielny był od losu powszechnęj oświaty. Nauki we Włoszech kwitnące, i rozszerzone ich promienie po wszystkich częściach Europy, podróże rodaków za Alpy, upowszechnione zdawna użycie języka łacińskiego, usposobiły u nas smak i popęd do literatury starożytnęj. Nie samo wszakże naśladownictwo sprowadziło na ten tor polskich pisarzy. Stosując nauki do potrzeb życia publicznego, przy rozwijającęj się w narodzie idei republikańskiej, usiłowali oni formę rządu, prawa i zdania Greków do swego kraju przymierzać. Naród charakterem swoim wielce zbliżający się do poważnej starożytnych prostoty, lubił zaprawiać się na dziejach i umysłowych płodach starożytnego ludu, które w owym wieku najwięcej dla niego miały wartości i powabu. Trafił więc Kochanowski na czasy najskłonniejsze do smaku Greków i Rzymian. Połączwszy w sobie wszystkie żywioły i nawyki pięciowiekowego Polski wychowania, nie był zdolnym wyłącznie narodowęj stworzyć poezyi; jeszcze nie poznał był narodowych pierwiastków, zaczęm idealizować ich nie umiał. Zadaniem jego było, smak czysty starożytny z klasyków zapomnianych wywołać, a pogodziwszy ich pojęcia z chrześcijańskim Boga i świata widzeniem, nową dla sztuki przygotować epokę.

Takie usposobienia kierowały po większej części piórem J. Kochanowskiego; pod takim wpływem układał poema *Odprawę posłów greckich*, z treści i formy klasyczne, mieszczące w sobie wszystko, co starożytne miały dra-

mata, wyjąwszy grecką zaletę pierwowzoru. Z tego też stanowiska oceniać je należy, raczej jako utwór przysposobionej obcą oświatą wyobraźni, niż jako owoc narodowej muzy. Na właściwe, nowożytnym czasem odpowiednie drama, jeszcze się owe wieki nie zdobyły; Shakespeare, Cerwantes, Kalderon, dopiero później wystąpili.

Stoi wszakże to dzieło (śmiem twierdzić) wyżej wszystkich dramatów, jakie od czasów Rzymian gdziekolwiek próbowano. Poeci hiszpańscy pierwsi tragedją na wzór klasyków greckich stworzyć usiłowali. W r. 1533 Fernand Peres de Oliva ułożył dwie tragedye, *Zemstę Agamemnona* i *Hekubę w smutku*; atoli oba te poemata zaledwo powierzchownym kształtem przypominały starożytny dramat Sofoklesa. U Włochów występowały na scenę tragedye pasterskie, *Aminta*, *Pastor fido*, *Sofonisba*; mimo sławionych zalet zimne i przesady pełne. Nie z większą korzyścią dla sztuki, pisarze francuzcy usiłowali powtórzyć dawne formy greckich i łacińskich dramatów. Współczesny J. Kochanowskiego Jodelle, układał swoją tragedją *Klitemnestrę* więcej pod wpływem powagi Arystotelesa, niżeli smaku poetów greckich: brak w tym dramacie działania, chóry słabe, a w miejscu charakterów czeza deklamacya (1). Inny poeta, Garnier, uważany za twórcę tragedyi francuzkiéj, naśladowając zarówno Sofoklesa jak i Senekę, nie widział jeszcze przed sobą drogi, chociaż twórczością swoją przysposabiał epokę Kornela. Chóry jego, w rodzaju lirycznym, zawierają niepoślednie piękności; sceny pojedyncze w tra-

(1) W trzecim akcie, Klitemnestra oburzona zdradą Seleuka, policzkuje go i bije pięściami; a chór kończy tę scenę uwagą, że najlepiej żyć zdała od dworu możnych.

gedyach *Bradamant* i *Sedecias*, *Porcia*, *Hippolit*. *Kornelia*, są zajmujące; ale częściej uderzają w nich zwykłe wady poety: nadętość i niewłaściwość tak w charakterach jak i stylu. Pomijamy wreszcie w tym porównawczym obrazie Niemców, którzy po zużyciu dawnych dyałogów i religijnych allegoryj, dopiero w XVII wieku puścili się w zawód dramatyczny.

Jedna podobno tylko jest epoka dla dramatu w życiu ludów; a Europa cała niepojętą wtedy niesiona dążnością, skwapliwie oddalała się od owych błogich młodoci czasów, w których dramat dla społeczeństwa prawdziwą jest potrzebą, chlubą i potęgą.

Nie miał i w Polsce godnego siebie poprzednika J. Kochanowski, jako dramatyczny poeta. Zawickiego *Jeftes* zjawił się w dziewięć lat dopiero po wystawieniu *Odprawy posłów* w Jazdowie. Obojętności narodu na widowiska sceniczne, a poniekąd i nieudolności wieku, przypisać należy ten niedostatek dramatów w czasach Zyguntowskich. Spółczesny Górnicki świadczy, że Polacy nie wiedzieli nawet co to jest *histrion*; teatru urządzano tylko w domach prywatnych.

Kochanowski w swoim dramacie przywołał przed oczy widzów świat starożytniej Grecyi, ze wszystkimi jej pojęciami i obyczajami; i można twierdzić, że żaden pisarz nad niego lepiej Greków nie pojął, ani ich w swoich dziełach nie powtórzył. W rzeczy samej, czuł on dokładnie i wydał wszystko co w greckich znalazł pisarzach. Nie przypadkowa okoliczność wywołała jego drama, chociaż poeta na prośbę Zamojskiego pospieszył uczyć niemi weselne gody Batorownej: poprzedziło je długie zgłębianie tragików starożytnych i obcowanie uczone z Homerem, czego ślad pozostał w *Monomachii*

Parysowej, a widoczniejszy dowód w pomyśle i wykonaniu samego dzieła.

Treść poematu, czerpana ze źródła homerycznych podań, wiąże się z epoką zburzenia Troi.

Po uwięzieniu Heleny przez Parysa, Grecy niecierpliwi doznanej zniewagi, wyprawiają posłów do Pryama, żądając wydania sobie z rąk syna królewskiego wsławionej wdziękami żony Menelaja. Czołem poselstwa jest sam Menelaus, w towarzystwie sprawnego Ulissesa; pierwszy uczuciem własnej krzywdy, drugi radą i wymową najwłaściwiej do sprawy powołani. Przybywają obadwaj posłowie do Troi (1), i tu otwiera się scena na dworze królewskim, gdzie głównymi działaczami są: Alexander (inaczej Parysem zwany), Antenor, Pryam, Helena; a obok nich, poseł Parysów, którego opowiadanie znaczną część działania zastępuje.

Zbierają się na radę przedniejsi mężowie trojańscy, między nimi przodkujący mądrością i wymową Antenor. Przewidując grożące krajowi klęski, radzą jedni wydać Grekom Helenę; drudzy, podmówieni przez Parysa i podarkami jego ujęci, przeciwne otwierają zdania. Waha się Pryam, drży o swoje losy Helena, wieszczka Cassandra miota na wiatr niezrozumiane proroctwa. Nareszcie zapada w radzie wyrok zatrzymania Heleny, pod pozorem odwetu za uwięzioną niegdyś przez Greków Medcę. Następuje odprawa posłów, a wnet zbrojne wylądowanie Greków w porcie Aulidy.

Na tém się kończy osnowa dramatu.

Widzimy w nim właściwą starożytnym dramatom prostotę, a skutek sprawiony przezeń na umyśle podo-

(1) Iliada III. 148. 203.

bny jest do wrażenia, jakiego się doznaje patrząc na zachwycające swą szczerotą posągi greckie. Akcja spokojna i poważna, mimo brak wypadków i sprężyn poruszających działanie, samą wielkością swoją zajmująca, charakter ma prawdziwie tragiczny. Ci, którzy téj sztuce zarzucali niedostatek węzła dramatycznego czyli intrygi, nie pojmowali wcale przymiotów greckiej tragedyi. Do obudzenia silnego zajęcia i tragicznych w sercu uczuć, wystarcza to proste *ὄραμα* charakterów, przedstawionych z należną siłą i godnością.

Żałować wszakże należy, że Kochanowski wytrącił z działania najdramatyczniejszą może część sztuki, zjawienie się posłów z swą skargą w obec Pryama, i wspaniały wywód sprawy, w której tak czynnie występować mieli obok Alexandra: Aeneas, Panthes, Thymoetes, Lampon, Ukalegon, a z przeciwnéj strony Antenor i Hiketaon; o czém z powieści się tylko dowiadujemy. Ukazanie się na scenie Ulissa i Menelaja, po orzeczonym już ostatecznie wyroku w sprawie greckiej, słabe tylko czynić może wrażenie, pomimo wymowną chryję, jaką poeta kładzie w usta króla Itaki. Ale znać Kochanowski skrócić chciał swoje drama przez opowiedzenie rzeczy wysunionych za obręb sceny, jak się to zdarza i w greckich tragediach (Eschyla), gdzie znaczna część działania występuje w kształcie epicznym albo w lirycznych śpiewach chóru. Dodać równie należy, że pogroźki zawarte w słowach Ulissesa, rzucając zdala potrzebne światło na przygotowane zamachy Greków, nie są dla akcji bezkorzystne.

Wprowadzenie rzeczy czyli tak zwana expozycja w dramacie Kochanowskiego, przy opuszczeniu zwyczajnego starożytnym prologu, przypomina sposób używany naj-

częścię przez Eurypidesa. Po piérwszém ukazaniu się Antenora, działanie w ruch wprowadzone, słuchacz należycie zaznajomiony jest z rzeczą dramatu. Jak układ cały, tak rozwiązanie sztuki pełne prostoty i naturalności, i niewczesne są w téj mierze zarzuty krytyków. Poeta kończy dramat monologiem Kassandry, w którym smutna przepowiedź upadku Troi, wyłożona rozumnie przez Antenora, i złączona z przeczuciami Heleny, zastępują zwykłą katastrofę. Wreszcie, przyniesiona wieść o wylądowaniu Greków na brzegi trojańskie, trwoga i rozruch w Ilionie, i przedsięwzięte przygotowania do odporu, wystarczają do zaspokojenia widzów pod względem głównego działania.

Zpomiędzy działaczy wchodzących do dramatu najgodniejszymi są uwagi Helena i Antenor; w ich przedstawieniu Kochanowski prawdziwym okazał się charakterystą. W chwili, gdy na radném zebraniu rozróżnione ojców narodu zdania występują do walki, stawa przed oczyma rozrzewniająca postać Heleny, zasmuconej, troską zbolelej, w złowrogiem przeczuciu oczekującej swego przeznaczenia. Płyną wśród łez samotnych jęj skargi, tém boleśniejsze, że obciążone własnej winy wyrzutami. Zajmującym jest położenie téj osoby, w obec Grecyi i Menelausa z jednéj, a uwodziciela Parysa z drugiejj strony. Kornel byłby zwyczajem swoim korzystał z téj sytuacji; wystawiłby słabość kobiety chwiejącą się między dwiema ostatecznościami, miłość dla nowego oblubienica w walce z obowiązkami żony i uczuciem honoru. Ale Kochanowski pojmował lepięj tragiczność, oszczędzając Helenie tak poniżającego charakteru. W kimże żywego nie obudzi zajęcia ten przedziwny monolog, który maluje jęj czucia i sposób myślenia, położenie pełne trwogi i niebezpieczeństwa?

Niestety, jakież moje będą przenosiny!
 Podobno w tył okrętu, łańcuchem za szyję
 Uwiązana, pośrodkiem greckich naw popłynę!
 Z jakąż ja twarzą bracią swą miłą przywitam?
 Jakoż ja niewstydliva przed oczy twe naprzód
 Mężu mój miły przyjdę, i sprawę o sobie
 Dawać będę? a będęż w twarz ci wejrzeć śmiała?
 Bodajżeś ty był nigdy Sparty nie nawiedził
 Nieszczęsny Pryamida! bo czegoż mnie więcej
 Nie dostawało? Zacnych książąt córą będąc,
 Szłam w książęcy dom zacny: dał był Bóg urodę,
 Dał potomstwo, dał dobrą nadewszystko sławę:
 Tom wszystko przez człowieka złego utraciła!
 Ojczyzna gdzieś daleko--przyjaciół nie widzę--
 Działki nie wiem żywe-li—Jam sama coś mało
 Od niewolnice różna, przymówkom dotkliwym
 I złej sławie podległa—a co jeszcze ze mną
 Szczęście myśli poczynać, ty sam wiész mój Panie!

Przybywa ulżyć jęj frasunku raz tylko występująca na
 scenę *Pani stara* (zapewne Etra albo Klimena), która
 z czułością matki koi cierpienia strapionej Heleny:

Nie frasuj mi się moje dziecię miłe;
 Takei na świecie być musi: raz radość,
 Drugi raz smutek; z tego dwojga żywot
 Nasz upleciony. I rozkoszyć nasze
 Niepewne, ale i troski ustąpić
 Muszą, gdy Bóg chce, a czasy przyniosą.

Hel. O! matko moja, nie równoż to tego
 Wieńca pleciono: więcejże daleko
 Człowiek frasunków czuje, niż radości—i t. d.

Cała ta rozmowa, złożona z zdań i aforyzmów, jest
 zupełnie w smaku greckim, podobnie jak chóry, w któ-
 rych cel moralny tragedji zazwyczaj występuje.

Charakter Antenora, wzięty z VII-mej księgi Iliady
 (w. 347) skróślony jest z sztuką prawdziwie mistrzow-
 ską. Według podań Homerycznych, przyjmował mąż
 ten u siebie w gościnę posłów greckich, Menelausa
 z Ulissem, i radził wydać Grekom Helenę. Kochanow-
 ski, chcąc podnieść znaczenie dramatyczne tego czynni-

ka, uchwycił późniejsze podania, które go uczyniły zdraj-
cą, i pomówiły o przyjęte z rąk Greków podarki (Dict.
IV, 22. V, 8. Serv. ad Virgil. Aen. I. II). Z tego wątku
usnuł precudną scenę *Alexandra z Antenorem*, w któ-
rój charakter ostatniego, narysowany już w poprzednim
monologu, z całą godnością występuje. Siłą wyrażen,
dowcipem i nieporównaną sztuką dyalogowania, wyrów-
nwał tu Kochanowski najcenniejszym starożytności mi-
strzom.

- Al.* Jako mi niemal wszyscy obiecali,
Cny Antenorze, proszę i ty sprawie
Mój bądź przychylnym przeciw postom greckim.
- An.* A ja z chęcią rad, zacny królewicze,
Cokolwiek będzie sprawiedliwość niosła,
I dobre rzeczypospolitój naszój.
- Al.* Wymówki niemasz, gdy przyjaciel prosi.
- An.* Przyzwalam, kiedy o słuszną rzecz prosi.
- Al.* Obcemu więcej życzyć, niżeli swemu,
Coś niedaleko zda się od zazdrości.
- An.* Przyjacielowi więcej, niżli prawdzie
Chcieć służyć, zda się przeciw przystojności.
- Al.* Ręka umywa rękę, noga nogi
Wspiera: przyjaciel port przyjacielowi.
- An.* Wielki przyjaciel przystojność; tą sobie
Rozkazać służyć, nie jest przyjacielska.
- Al.* W potrzebie, mówią, doznać przyjaciela.
- An.* I toć potrzeba, gdzie sumienie płaci.
- Al.* Piękne sumienie, stać przy przyjacielu.
- An.* Jeszcze piękniejsze, zostawać przy prawdzie,
- Al.* Grekom pomagać, to u ciebie prawda.
- An.* Grek u mnie każdy, kto ma sprawiedliwą.
- Al.* Widzę, żebyś mię ty prędko osądził.
- An.* Swoje sumienie każdego ma sądzić.
- Al.* Znać że u ciebie gospodą poslowie.
- An.* Wszystkim uczciwym dom mój otworzony.
- Al.* A zwłaszcza kto nie z próżnemi rękoma...
- An.* Trzeba mi bowiem sędziom na podarki,
Bom cudzą żonę wziął, o którą czynią...
- Al.* Nie wiem o żonę: ale dary bierzesz,
Od Greków zwłaszcza. Moje na cię małe.

An. I żon i cudzych darów nie rad biorę.
Ty, jako żywiesz, tak widzę i mówisz
Niepowściągliwie. Nie mażn z tobą sprawy.

Al. A mnie żal, żem cię o co kiedy prosił.
Ufam swym bogom, że i krom twój łaski
Najdę, kto rzeczy mych podpiierać będzie.

An. Taki, jakiś sam. *Al.* Da Bóg człek poczeiwy.

Do scen równie wybornych, należy zdanie sprawy posła Heleny, odznaczające się żywością opowiadania, i pięknnością silnej, poruszającej wymowy. Rozwinął tu Kochanowski znakomity talent epiczny, który winien był wzorom mistrza swego Homera. Któż w tej powieści nie dojrzy stylu i wiersza właściwego śpiewakowi Iliady?

Zatym wstał Alexander i tak mówić począł:
„Wszystkim wam jest wiadomo, jakim ja był żywot
Wziął przed się; żeciem nigdy tych burkowych biesiad
Patrzeć nie chciał; wołałem po gęstych dąbrowach
Prędkie jelenie gonić, albo dzikie świnię.
Anim ja sobie tego za niewczas poczytał,
W budzie leśnej się przespać, i nad stady chodzić.
Nie myśliłem ja wtenczas namniej o Helenie.
Ludzie widzę u Boga szczęście sobie proszą:
A ja, kiedy mię z chęci swój tym potykali,
Miałem gardzić? przyjąłem, i przyjąłem wdzięcznie.
I mam pewną nadzieję, że tenże Bóg, który
Uczył mię naprzód, będzie i do końca szczęścił,
I co mi dał, nie da leda jako wydrzec...

Nie tuszęć ja, żebyś ty, ojcze mój łaskawy,
Nie pomniał jeszcze krzywdy i szkód starodawnych,
Któręś wziął od tych panów, i to państwo sławne.
Jeszcze mury na ziemi leżą powalone,
I pola do tej doby pustyniami stoją,
Znaki miecza greckiego i okrutnej ręki....
Tęj nam krzywdy, o! królu, jedna nie nagrodzi
Helena, ani jeden Parys powetuje”.

Tu przestał Alexander—a szept między ludźmi
Rozlegał się po sali. Jako więc ku latu,
Robotne pszczoły w ulu szemrzą, kiedy wodza
Nowego oglądały, a chęć nastąpiła
Od macior się wynosić, a nowe zaczynać
Gospodarstwo: szmer w ulu i rozruch kryjomy.
Taki dźwięk tam na ten czas wstał był między ludźmi.

Nie można tu przemilczyć uwagi jednego z krytyków: że poeta miesza niekiedy obyczaje i wyobrażenia krajowe z greckimi. Zarzut ten odnosi się podobno głównie do miejsca, w którym *posel Heleny* opowiada zgilek powstały w kole obradujących mężów trojańskich:

To jego słowa były. Potém się już żaden
Długą rzeczą nie bawił. Jeden głos był wszystkich:
Tak jako Iketaon. I tych co siedzieli,
I tych, co za stolkami stali, głos był jeden.
Tak jako Iketaon. Kilkakroć powstawał
Ukalegon, chcąc mówić; lecz przed hukiem nie mógł.
Marszałkowie laskami w ziemię coraz bijąc,
Postuchajcie panowie, Ukalegon mówi:
Nie pomogły nie laski, a nasz Ukalegon,
Ukalegoutom mówił, bo nań nie nie dbali.

Wiadomo, że zgromadzenia ludu w Grecyi odbywały się na miejscach publicznych. Zwoływali je heroldowie. Na takich zgromadzeniach, u Feaków, stawiano ciosane kamienie, na których usiadał król z otaczającymi go gerontami; jeżeli zaś było miejsce, mogli i inni z pomiędzy ludu usiadać (1). Że niekiedy lud zasiadał na zgromadzeniach, widzieć to wyraźnie z Iliady ks. II. w 96—99. Kto z obecnych miał głos podnosić, wstawał i brał do ręki *skeptron*, które mu herold podawał. Niewłaściwym przeto w uściech posła Heleny jest urząd i nazwisko *marszałków*; niewłaściwemi również *stolki* i tytuł grzeczny *panów*, nadany mężom trojańskim.

W inném miejscu czytamy:

Nie bierze ten *Pan* (t. j. Bóg) darów: ani się pyta,
Jeśli kto chłop, czyli się *Grofem* poczyta (2).

W ogóle uważać można, że jakkolwiek Kochanowski w swoim dramacie wyobrazicielem był ducha i obycza-

(1) Pauly: Encycl. d. class. Alterthumswissenschaft. Stuttgart. 1839.

(2) Chór II.

jów greckich, cel przecież moralny stosować chciał do wieku i narodu, na który pismami swemi wpływać usiłował. Ta uwaga zdaje się poniekąd tłumaczyć, dlaczego zdaniom moralnym niekiedy swojskiego pożyczają języka. Widzieć to przedewszystkiém w chórach (I i II), które ułożone są nawet wierszem rymowym, aby snąć lepiej wdrażały się w uwagę słuchacza.

Wy, którzy pospolitą rzeczą władacie,
I ludzką sprawiedliwość w rękę trzymacie,
Wy, mówię, którym ludzi paść poruczono,
I zwierzchności nad *stadem bożem* powierzono, i t. d.

Chóry te w dramacie Kochanowskiego swoim znaczeniem i cechą liryczną odpowiadają zupełnie chóróm starożytnych tragików. Zdaje się jednak, że poeta z pewną nieśmiałością je wprowadzał, uważając *rzecz tę nie wedle uszu naszych*. „Inter caetera (mówi w liście do Zamojskiego) trzy są chóry, a trzeci jakoby greckim chóróm przygania: bo oni już osobny charakter do tego mają; nie wiem jako to w polskim języku brzmieć będzie”. Chóry w dawniej tragedyi swym uroczystym tonem i śpiewem, podwyższać miały wrażenie sprawione na umysłach przez poprzednie działania. Nadto uważać potrzeba, że gdy dramata starożytnych obok religijnej dążności miały i polityczną dążność, chóry usługiwały pośrednio temu celowi, wpływając na słuchaczów zdaniem pełnemi prawdy i nauki. W takim duchu ułożone są chóry J. Kochanowskiego, w których (mimo wyrażenia niekiedy swojskie i mniej właściwe) widać szczególniej przejęcie się smakiem greckich pisarzy. Chór ostatni zdaje się być prosto wyjętym z dzieł Eschylla lub Sofoklesa:

O! białoskrzydła morska pławaczko,
Wychowanico ldy wysokię,

Łodzi bukował któraś gładkiéj
 Twarzy Parysa Pryamczyka
 Do przezroczystych Eurotowych
 Brodów nosiła.
 Coś to żółwicom za bratową,
 Córom szlachetnym Pryamowym,
 Cnój Polixenie i Kassandrze
 Wieszczyć przyniosła?
 Za którą oto w tropy proste,
 Jako za zbiegłą niewolnicą,
 Prędką pogonia przybieżała...
 Przyjdą, przyjdą,
 Niedawno czasy, że rozbójcę,
 Rozbójca znidzie: ten mu słodki
 Sen z oczu zetrze. i bezpiecznie
 Serce zatrwoży, kiedy trąby
 Ogromne zabrzmia, a pod mury
 Nieprzyjacielskie staną szańce.

Pozostaje w końcu zwrócić uwagę na rodzaj wiersza użytego w Odprawie posłów. Chcąc Kochanowski dzieło swoje w wszelakim względzie zbliżyć do starożytnych dramatów, nie mógł pominąć zewnętrznej budowy wiersza, iloczasu i rytmu, jakim grecka szczyliła się poezya. Trafił on podobno na zdanie nowoczesnego Sulzera, który uważa, że wiersz rymowy alexandryjski niedosyć odpowiada godności tragedyi. Potrzeba więc było stworzyć wiersz miarowy, oparty na iloczacie albo takcie rytmicznym, i o taki pokusił się poeta w swoim dramacie. Czuł dobrze Kochanowski miarę właściwą wierszowi polskiemu; a gdzie mu brakowało wyrozumowanej zasady, tam ucho szczęśliwie ją zastępowało. Że nie samą liczbę zgłosek i średniówkę miał na względzie w odmierzaniu wierszy, widać to oczywiście z przemiany miar, jakich w różnych miejscach próbował. Przy równéj ilości zgłosek, tworzy często odmienne miary; przy jednéj mierze urabia wiersze krótsze i dłuższe.

Z szczegółowego rozbioru i zbadania tych wierszy, następujące wyciągamy uwagi:

1) Że Kochanowski wy dobył z języka ojczystego najwłaściwsze miary, jakimi są: trocheje, daktyle, amphibrachy, i tych prawie wyłącznie używał, składając z nich budowę czteromiarowych, pięciomiarowych i sześciomiarowych wierszy.

2) Że obok właściwego językowi akcentu, pojmował również *grammatyczną* wyrazów przodyą; z kąd nadaje przycisk zgłoskom przydłuższym i ciężko się wymawiającym, np. zwierzchności (1).

3) W wyrazach czterozgłoskowych lub pięcizgłoskowych, najczęściej początkowej zgłosce nadawał przycisk, lecz słusznie nie dopuszczał go na zgłosce poprzedzającej przedostatnią, np. niebezpieczeństwem.

Niestety, jakież moje będą przenosiny.

Nigdy takiej oblitości.

4) W miejscu trocheja lub daktylu, zwłaszcza na początku wiersza, używał często miary amphibrachycznej, która również jeden takt waży, np.:

Com dawno | tuszył i w głos opowiadał.

A mnie i | dom mój i | co mam z swych | przodków.

Inne zamiany, jak np. użycie jambu albo pirrychiusu w miejsce trocheja, uważać należy raczej za usterki niepoprawnego wiersza.

5) Wyrazy jednozgłoskowe brał zwykle Kochanowski za obojętne, i nadawał im miarę według potrzeby, niezawsze radząc się w tej mierze retoryki, np.:

(1) Własność ta zastanawiała w nowszych czasach uwagę Królikowskiego; tworzył on podobnie spondeje z wyrazów bojaźń, przysłałość i t. p.

Skoro w radzie zasiedli panowie, *krót* naprzód.

*W*y, którzy | pospolitą rzeczą władacie.

6) Wyrazy mniej ważne co do znaczenia, podobnież dowolnemu poddawał iloczasowi, np.:

Lecz jeśli z niczém postowie odjadą.

Gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość.

7) W końcu wiersza używał zwykle trocheów, unikając miar innych, któreby niewłaściwie i niezgodnie z naturą języka wiersz zamykały.

8) Niéma śladu w wierszach Kochanowskiego tak zwanych miar *męzkich*. Nie trafiały mu téż do smaku w polskim wierszu średniówki i końcówki dawnego pentametru.

9) Szukając wiersza odpowiedniego hexametrom greckim, uznał podobno, że nasz trzynastozgłoskowy wiersz, jako do opowiadania raczej niż do muzyki i śpiewu przeznaczony, poniekąd zastąpić go może. Toż samo rozumiał zapewnie i o pentametrze starożytnym; bo gdy prozady nasza od akcentu zawisła, przeto wiersz taki, jako mający sześć zgłoszek akcentowych na sześciu mocnych czasach, równie dla ucha naszego sześć taktów, jak i hexametram wy daje.

Człéromiarowy wiersz u Kochanowskiego składa się z daktyłów, prócz ostatniej stopy, która jest zawsze trochejem (1).

Com dawno | tuszył i | w głos opo|wiadat
 Że obe|łżenia i | krzywdy tak | znacznej
 Cierpieć nie | mieli wa | leczni Gre|kowie.

(1) Że w miejscu daktylu bywa czasem amphibrachys (zwłaszcza na początku wiersza), mówiło się już wyżej.

Z czwórmiarowym wierszem bywa mieszany pięciomiarowy, w którego skład wchodzi trocheje z przeplatającymi je niekiedy daktylami:

Takei na | świecie być | musi raz | radość
 Drugi raz | smutek | z tego | dwojga | żywot.

Ręka u'mywa | rękę | noga | nogę
 Wspiera przy|jaciel | port przy|jacie|łowi.

Dobrá no|winę | pani | swójj | niosę
 Rozumiem | temu | że już | dawno | tego
 Poselstwa | czeka | serce | swe tro|skami
 I płaczem | trapiąc | ale | oto | prawie
 Na czas wy|chodzi | z domu | o kró|łowa.

Sześciomiarowy wiersz, podobnie jak pięciomiarowy, składa się z trocheów i daktyłów:

Prawdzie | długich wy|wodów | królu | nie po|trzeba,
 Jeszczeć | mury na | ziemi | leżą | powa|łone.

Pospolicie wiersz sześciomiarowy miesza poeta z pięciomiarowym, np.:

Niestety | jakież | moje | będą | przeno|siny?
 Podobno | w tył o|krętu łań|cuchem za | szyję
 Uwią|zana po|środkiem | greckich | naw po|płynę.
 Ojczyzna | gdzieś da|leko przy|jaciół nie | widzę.

Użyty w chórze Iym wiersz trójmiarowy, w połączeniu z czwórmiarowym i sześciomiarowym, składa się z cho-

reów, za które miejscami położony bywa pirrhichius,
a w początkowej stopie amphibrachys.

By rozum | był przy mło|dości
Nigdy | takiéj | obfi|tości
Peret | morze i | ziemiá | złota | nie u|rodzi
Żeby | tego nie | mieli | tym do|stawać | młodzi.

Zastanawiająca jest w dramacie Kochanowskiego ta różnaitość wiersza, który zmienia się za każdą niemal sceną. Czyli to poeta naśladować chciał w téj mierze starożytnych, zwłaszcza Eurypidesa, czy doświadczać w swoim języku różnego rodzaju miary, trudno osądzić; podobno oba te względy powodowały jego piórem. Zarzucić mu jednak można, że niewszędzie stosował wiersz do stanu uczuć i namiętności, co najistotniejszą powinno być odmian wierszowych zasadą.

Zresztą, nie ubliża dziełu Kochanowskiego pewne zaniedbanie i niepoprawność. Naglony, jak wiadomo, prośbą Zamojskiego, wydał je bez przejrzania i ostatecznej oglady: z kąd dostrzedz w niém można nietylko mniej dokładne, ale całkiem niedokończone wiersze. Sam téż poeta (w liście do tegoż podkanclerzego pisanym, który stanowi przedmowę do dzieła) mówi o niém z lekceważeniem, mieniając je fraszką i po staremu *blazeństwem*. Jeden z krytyków w tém skromném wyznaniu całé kładzie usprawiedliwienie dla autora, którego nalezycie ocenić nie umiał.

„W tém się tylko zasługa od winy odjęta,
Że się zacny mąż przyznał do słabości dzieła”.

Można pod pewnym względem *Odprawę posłów greckich* porównać z *Ifigenią* Goethego, którą W. Schle-

gel nazwał epilogiem poezji Greków, a wszyscy znawcy uznali za arcydzieło poezji klassycznej u Niemców. Goethe, w trzy wieki po Kochanowskim ułożył dramat, w którym zamierzył spółczesnych przenieść w świat starożytnej Grecyi, i rozslonić dla nich krainę dawniej sztuki. Pomysł ten wykonał z biegłością godną wielkiego artysty. Jakoż sztuka była wyłącznym tego poety celem; jój tylko składał ofiary. Nie usiłując bynajmniej przez swe utwory wpływać na stan i kierunek społeczności, występował jako atleta do walki, i dość miał na okazaniu swojej siły. Drogę więc, na którą Kochanowski trafił z potrzeby i konieczności, Goethe obrał z upodobania. Dla Kochanowskiego obcém było pojęcie nowoczesnego dramatu: autor Goetza i Hermanna układał wtedy swoje Ifigenią, kiedy przedsięwziął wejść w zawód dramatyczny z Szyllerem. Zasługuje on na podziwienie jako artysta; w literaturze nie stwarza żadnej epoki.

W ogóle przyznać należy Goethemu wyższość dramatycznego talentu, Kochanowskiemu większe zbliżenie się do ducha i stylu starożytnych pisarzy. Pod względem mocy i namiętności nie dorównywa piérszszemu Kochanowski, ale czystszy jest i więcej nierównie greckim niż Goethe. Sama moralność w Ifigenii zdaje się zdradzać nowoczesnego pisarza. Występuje tu poeta z całym zasobem bogatej wyobraźni; obok Sofoklesa ukazuje się Goethe, a nawet Shakespeare. Kochanowski w swojej prostocie trafniej umie dobierać języka, którym bliżej się niejako spokrewnia z muzą starożytniej tragedyi. Przydawszy do szali jego wartości, co w swoim wieku uczynił dla mowy ojczystej, i w ogóle dla ówczesnej literatury, przyznać potrzeba, że nie dał się bynajmniej przyćmić gieniuszowi Goethego, i ubiegł w zawodzie największego z poetów klassycznych XVIII wieku.

RYS HYDROGRAFII
KRÓLESTWA POLSKIEGO

Z WIADOMOŚCIĄ O SPŁAWACH.

SKRĘŚLIE

Ludwik Wolski.

(Ciąg dalszy).

VI. WARTA I JÉJ ZLEW.

Rzeka Warta bierze początek pod miastem Kromolowem w okręgu pilickim. Pły nie pod miastami: Częstochowa, Mstów, Pławno, Działoszyn, Sieradz, Warta, Uniejów, Koło, Konin, Pyzdry, pod którémto miastem wchodzi w W. X. Poznańskie; pod Kistrzyniem wpada do Odry, a z tą za Wolinem do morza Bałtyckiego (1). Licząc z wszystkiemi zakrętami, przebiega tu w kraju wiorst 275, a może nawet całkowita długość i do 300 wiorst dochodzi.

(1) Jakkolwiek Warta nie sama wprost wpływa do morza, ale zlawszy się poprzednio w Odrę; zamieszczamy ją wszakże w liczbie rzék klasy I, bo do żadnej z naszych rzék głównych nie wpada, a więc w obrębie kraju jest rzeką 1szej klasy.

Łoże Warty ciągnie się przez najbogatsze prawie okolice kraju; tu gospodarstwo rolne na najwyższym stoi stopniu, a rozległe bory dostarczają podostatkiem drzewa; tu wsie rozległe, miasta znakomite; tu przemysł fabryczny głównie swe obrał siedlisko. Lecz czy Warta przyczynia się do postępu, czy sprzyja odplywowi płodów? Niezupełnie; chociaż dowody przekonywają, że zawsze troszczono się o dogodność jej do spławu. Już prawa koronne z lat 1447, 1496, 1532, 1550, 1557, uznały ją za spławną; młyny więc, groble i wszelkie przeszkody uprzętać z niej nakazały. Późniejsze ustawy z roku 1563, 1589, 1598, 1611, 1631 i t. d., uznanie to ugruntowały; następnie rządy: pruski, księstwa warszawskiego oraz królestwa Polskiego, dążąc ciągle do zupełnego oczyszczenia rzek komunikacyjnych, w niczem aż dotąd nie zmieniły ustaw takowych, lecz owszem pragnęły i pragną wykonywania rozporządzeń tych, jako mających na celu ułatwienie handlu, który jest duszą pomysłności każdego narodu; i rzekę Wartę we wszystkich rozporządzeniach zawsze wymieniają.

Rozważmy szczegółowo, co w tej mierze rząd pruski przedsięwziął. Czując on ważność łatwej w tej stronie komunikacji, zwrócił całą swą uwagę na Wartę, i zamierzył uczynić ją dogodną do spławu. Lecz cóż znalazł? Zaniedbana od wieków rzeka przedstawiała ślady zupełnego spustoszenia; tu brzegi popodrywane nie stawały zapory rozlewającym się wodom; tam młyny, groble i jazy wodę wznosiły, do wylewania się z koryta zmuszały, a tym sposobem rzeka nieraz na milę szeroko rozlewała po nizinach swe wody. Ztąd albo tworzyło się mnóstwo drobnych odnóg, albo też rozległe powstawały błota. Te trudności, połączone jeszcze z licznie znajdując-

cemi się w korycie rzeki pniami, kamieniami i t. p. zawałami, spław utrudniały, a często zupełnie go przerywały. Dużo więc przedstawiało się trudności w dojściu do zamierzonego celu; dużo trzeba tu byłołożyć kosztów i pracy. Rozważone wszakże korzyści ztąd spodziewane, przeważały wszelkie trudności. Wzięto się do dzieła, i po kilku latach już dogodną otworzono na Warcie żegluga, od jej ujścia aż do Poznania. Nieco później i do Konina ohwarowano brzegi, sprostowano koryto, oczyszczono dno z licznych zawałów, zniesiono młyny, groble i jazy; a tak i dogodną dla spławu otworzono drogę, i osuszono w części nadbrzeżne okolice, które przy nieregularnym hiegu wody, doznawały losu okolic nad Bzurą położonych.

Widząc szczęśliwe skutki tych działań, bo przy ułatwionym odbyciu płodów, przemysł mieszkańców o wiele się powiększył, a zaniedbane lasy, wodą zalane lub kępami zarosłe obszary ziemi, stały się wkrótce kapitałem, z którego właściciele podwoili swoje dochody; rząd pruski działaniom tym rozleglejszy zamierzył dać zakres. Jakoż postanowił roboty takowe i powyżej rzeki aż do Sieradza doprowadzić. Wyznaczeni inżynierowie po zbadaniu stanu rzeki, uznali projekt ten za możliwy do wykonania i korzystny; bo przy znacznej obfitości wody, jaką inne rzeki i strugi do Warty zlewają, spław nietylko drzewa, ale i statków byłby zapewniony. Tu wszakże jeszcze więcej należałołożyć pracy, anizeli poniżej Konina; tu rzeka skutkiem gruntu przez który płynie, skutkiem często niedbalstwa i chciwości mieszkańców, smutny przedstawiała widok; to rozdzielona na wiele odnóg, w jednych wody swe leniwie porusza, w innych prawie zupełnie wyschła; to znów na-

gle się zakręca, nigdzie więc łódź z łatwością posuwać się nie może; w innych znowu miejscach nieujęta brzegami, występuje z łoża, rozlewa się, zatapia przyległe równiny, zamienia je w błota, a często niszczy nadzieje rolnika. Do tego i młyny wiele się przyczyniały, a szkodliwość tę ich uznano. Na ponawiane skargi nadbrzeżnych obywateli, którym z powodu istniejących młynów, woda czasem całe zbiory zatapiała, Kamera kaliska wyjednała od króla w r. 1804 nakaz, ażeby w pół roku do miasta Koła, a w ciągu jednego roku do miasta Sieradza, pod karą sto tularów, wszystkie młyny i tamy na Warcie pozrywane były. To miało stanowić początek uporządkowania rzeki, które tém było konieczniejsze, że z powodu stanu rzeki jakiśmy widzieli, zniszczenie gruntów nadbrzeżnych coraz widoczniej postępowało. Regulacja ta, według zdania inżynierów, miała się dokonać w ten sposób: aby jedne odnogi zamknąć, inne oczyścić i za koryto rzece nadać, a w niektórych miejscach wykopać odpowiednie kanały. Od Koła zatém idąc na dół, postanowiono się trzymać koryta rozgraniczającego łąki Gostkowa i Gąsiorowa, dalej po prawej stronie Ochli aż do młyna Krzymowskiego, a ztamtąd przez Pietrzyków, Grojec do Konina. Dla osuszenia błot i strug w tej przestrzeni, z prawego brzegu miał być wykopany jeden główny rów od Czerawy przez Wyszaków do Wolki, a z lewego jeden od Gostkowa przez Gąsiorów, drugi od Krzymowa do koryta Warty. Do tych głównych rowów, miały być, dla osuszenia gruntów zatapianych, wyprowadzone rowy poboczne.

W celu poczynienia ulepszeń aż do ujścia Neru, inżynierowie między innymi odebrali w 1804 r. rozkaz, ażeby opuściwszy odnogi Warty, środkiem wielkich strug

od Gaju Kwiatkowskiego rozpoznali całe położenie wzdłuż gruntów Góry, aż do granic dzielących Kuczki z Ostrowem, a ztamtąd wzdłuż koryta aż do Uniejowa. Tędy bowiem obrócona rzeka zebrałaby rozproszone wody, a przez to i sama zyskałaby na swojej obfitości, i osuszyłaby przyległe równiny. Od Uniejowa do Spicimierza miało się trzymać koryta, dalej do Księżych Młynów rznąć się przez błota, a ztąd aż do Sieradza znowu trzymać się koryta rzeki.

Wypadki czasowe wykonanie tych projektów odłożyły. Rada departamentu kaliskiego przejęta temi samymi pobudkami co i rząd pruski, znowu zajęła się tym przedmiotem: rozpoznała pozostałe plany, inne nowe nakreślić zaleciła, tak, aby zupełny projekt mógł być do ostatecznego zatwierdzenia w r. 1811 przedstawiony. Głównie zwróciła uwagę na część rzeki od Konina do Koła, jako najwięcej wymagającej uregulowania; roboty wszakże miały być aż do Trzebców, 12 mi! za Sieradz pociągniętymi. Już nakreślono plany, obliczono koszta robót, obmyślono wszelkie środki pomocy, skutek jednak nie nastąpił.

Obecny stan rzeki téj jest następujący:

Od miasta Działoszyna, aż do samego prawie miasta Warty, rzeka ta ma brzegi dosyć ściśnięte, koryto regularne, głębokość dostateczną; jest więc dosyć dogodną do spławu. Dopiero od miasta Warty ma koryto nieregularniejsze, brzegi wymulone; zbytnie szeroka, a ztąd i płytka, zaczyna więc być niedogodną do spławu, chociaż znaczna liczba strumieni obfitość jej wody powiększa. Już nawet i powyżej, bo od Sieradza napotykają się trudności spławu. Pod miastem tém rzeka płynie szeroką niziną: tę więc, z powodu niskich brzegów, w czasie

nietylko wielkich, ale i średnich wezbrań zalewa. Tym sposobem wydzieliła z siebie odnogę nazwaną Żeglina. Poniżej grobli, idzie znowu druga odnoga od głównego koryta Warty, wpada do Żegliny pod samym miastem, i niszczy słabe brzegi. Woda ta ma do 6 stóp spadku. Istnieją tu 3 mosty, razem do 90 sąż. otworu mające.

Od wsi Małkowa przepływa przez terytoryum miasta Warty. Pod samym miastem istnieją na niej trzy mosty na grobli, stanowiącej trakt do Szadku. Z tych mostów jeden jest na głównym korycie, a dwa na odnogach bocznych. Odnogi te, będące bardziej łachami, pozostałemi po dawnych ramionach rzeki, pełne są jedynie tylko przy wyższym stanie wody. W r. 1845 najwyższa woda rzeki Warty uszkodziła mosty, a zarazem zepsuła tamę czyli faszynowanie podłużne lewego brzegu, będące w sposobie opaski powyżej mostu. Po takim uszkodzeniu, zamierzała bieg swój zwrócić wzdłuż grobli aż do drugiego mostu, przez co i zalałaby pastwiska, i wywarłaby szkodliwy wpływ na splawność, bo po rozdzieleniu wody, koryto stałoby się płytszem; tymczasowo wykonane zostały pilniejsze roboty, a na inne stosowne projekta przedstawiono. Brzegi są tu czyste, niezarośnięte; splaw dla tratw dobry; średnia głębokość wody stóp $3\frac{1}{2}$.

Od miasta Warty rzeka płynie przez grunta wsi Proboszczowice, Miłkowice i Tądowa Górnego. W obrębie dwóch pierwszych koryto jest regularne i nie przedstawia do nadmienienia; lecz w Tądowie Górnym istnieje młyn wodny, wstrzymujący całą rzekę zatamowaniem poprzecznym, które wodę na koła młyńskie zwraca. Jakkolwiek zatamowanie to, po urządzeniu otworu do przepuszczania tratw, splawowi drzewa nie przeszkadza, wszelako przy tak zamierzonej regulacji rzeki, aby statki

chodzić mogły, mlyu ten usunąćby wypadało. Brzegi czyste, niezarosłe.

Zład przepływa rzeka pod wieś donacyjną Brodnia. Tu znacznie się skręca, uderza pod brzeg prawy, na którym znajdują się budowle téj wsi, i grozi im upadkiem. Brzegi niezarosłe, średnia głębokość 3 stopy. Tu istnieje przewóz.

Następnie przepływa grunta wsi Pięczniewa. Tu w r. 1845 usiłowała zmienić koryto, wdzierając się w prawy brzeg; lecz właściciel broniąc go własnym kosztem wzmoenił takowy, i złym skutkiem zapobiegł. Brzegi w niektórych miejscach zarosłe wikliną; splaw dla tratw dobry.

We wsi Miłkowicach rzeka szeroko rozlana niezupełnie jest dogodną dla splawu tratw, bo przy niskim jój stanie, brak wody uczuwać się daje. Brzegi niezarosłe, piaszczyste; głębokość $2\frac{1}{2}$ stopy. Tu jest przewóz.

Przez grunta wsi Siedlątkowa rzeka wpływa na terytorium donacyi Niemysłów. Przepływając tu pod wsią Księżę Młyny, uderza w brzeg prawy, piaszczysty, takowy uszkadza i zład domy włościańskie opodal przenoszonymi być muszą. Roboty faszynowe, jakie oddawna w sposobie trzech tam na prawym brzegu wykonano w nieodpowiedniej potrzebie długości, już są mało pomocne; wykonanie nowych robót jest koniecznym. Brzegi czyste, splaw dobry.

Aż dotąd rzeka oddawna szła jedným korytem; lecz poniżej Księżych Młynów, z lewego brzegu, we wsi Piekary jest ślad, iż miała kiedyś dwa oddzielne koryta z których jedno dla powiększenia wody w drugim, ze znacznym kosztem pod wsią Piekary zatamowane zostało. Koryto dawne, oddzielone od dzisiejszój rzeki, jest w części zamulone, a w części zarosłe. Tama istnieje

dotąd, pod nazwą tamy Piekarskiej. W r. 1847 nieco uszkodzona, kosztem dziedzica naprawioną została. Spław dobry; średnia głębokość stóp 3.

Daliej przepływa Warta przez grunta wsi Borzewisko i Balin. Pod Balinem uszkadza brzeg prawy, lecz nieznamnie. Brzegi tu niezarosłe, spław dobry.

Na gruntach wsi Spicimierza woda idzie dwiema odnogami, zasypuje się główne koryto, i nawet tratwy doznają trudności spławu.

Przypływając do miasta Uniejowa, rozdziela się na dwa koryta: jedném główném prowadzi wodę pod most, drugiem poboczném, daleko mniejszém, zwaném Siekiernik, spływa na zakłady wodne, papiernię i folusz. Brzegi niezarosłe, spław dla tratw dobry; średnia głębokość na nurcie stóp 4.

W całej tej opisanj długości, rzeka Warta ma prawie wszędzie brzegi czyste, wody obfite, jest więc dogodną dla spławu tratw; a ku uszlawnieniu jój tak, aby statki chodzić mogły, wymaga tylko ściśnienia w niektórych miejscach koryta. Dalsza część rzeki już nie tyle jest dogodną; już tu poczyna się bieg nieregularniejszy, brzegi wymulone, woda szeroko rozlana, a ztąd i płytkość spław utrudniająca.

Zobaczmy, jakim to sposobem rzeka rozdziela się na wiele odnóg, i jak to z czasem koryto jój ulega zmianom.

Jeszcze w r. 1812 koryto Warty począwszy od miasta Uniejowa szło około wsi Ostrowsko, Kuczki, dalej między wsiami Góry i Brzozówka, następnie koło Chrościna, aż do Chelmina, gdzie łączyło się z rzeką Nerem; oddzielająca się od niego poniżej Uniejowa odnoga wówczas zwana Wiercicą, szła koło Koźmina, Gaju aż do Majdan. W tymże 1812 r. celem uregulowania rzeki,

zrobiono zatamowanie w punkcie rozdziału tych wód pod Uniejowem, i całą wodę Warty zwrócono do Wiercicy. To nowe koryto długo się utrzymywało; nawet przy następnie zamierzonej regulacji w 1826 i w 1827 roku za koryto Warty przyjęte zostało, a dawne zupełnie zaginęło. Lecz rzeka pozostawiona bez żadnego dozoru uszkadzała obwałowania, rozlewała się, koryto zamulała, i nakoniec wyrobiła sobie znaczną strugę od Wiercicy poniżej Koźmina, tam właśnie, gdzie według zeznania mieszkańców, szła dawniej sucha droga. Struga ta, jak wiele innych, została przez interesowanych kolonistów pod kierunkiem inżyniera powiatu konińskiego w r. 1845 zatamowana, a rozlewającą się wodę zwrócono do koryta. W następnym 1846 r. handlarze drzewa mając potrzebę przeprowadzenia pod Chelmno kłoców częściowo w Koźminie zakupionych, celem połączenia ich z inną partją i zbiecia w większe tratwy, korzystali z wody wiosennej, i nie pilnując się koryta, przepuścili drzewo przez część Wiercicy i strugę płynącą od Gaju do Chelmina. Woda więc mając ułatwiony odpływ przez tę strugę, powtórnie koryto opuściła i takowe piaskiem zaniósła. Przybyli następnie inni kupcy z drzewem, nie mogąc się przepawić korytem właściwém, gdyż takowe zamulone już zastali, rozebrali zrobione poniżej Koźmina zatamowanie i przeprowadzili drzewo przez powyższą rzeczoną strugę, która już odtąd jest główném korytem rzeki; dawne zaś tak dalece jest zamulone a nawet i zarosłe, że po niem suchą nogą chodzić już można.

Skutkiem takowego działania i rozdziału wód, spław wielkich tu doznaje trudności.

Spieszne uregulowanie w tém miejscu rzeki jest niezbędne; albowiem skoro w takim stanie dłużej potrwa,

obawiać się należy, aby przy wielkim zbiorze wody i nagromadzeniu lodów, a ztąd porobić się mogących zatarów, natrafiając na niziny przyległe, nie obróciła drogi swój około Kościelca, omijając miasto Koło. Wtenczas straty nadbrzeżnych mieszkańców, w porównaniu z dzisiejszemi, byłyby daleko większe, a uregulowanie koryta rzeki kosztowniejsze.

W przestrzeni o której mówimy, naprzeciw wsi Kuczki i Góry, przez las olszowy przekopany został w 1827 r. kanał do 1,500 sążni długi, a dla niskiego położenia sztucznemi brzegami osypany; tym więc rzeka płynie. Dalej pod wsią Lekaszynem, gdzie główne koryto idzie ponad znaczną górą piaszczystą, zawałone ono jest drzewem; rzeka więc obrała sobie nowe łożysko w długości 385 sążni. Między Kołem a Koninem, znajduje się w korycie rzeki znaczna ilość pni i całych drzew. Następnie, wprost wsi Chorznia woda zwraca się pod brzeg lewy, takowy podrywa, a prawy piaskiem zanosi; z tego powodu będąc szeroko rozlaną, nie ma potrzebnej do spławu głębokości.

Powyżej wsi Rumina, jest zakręt wielki coraz widoczniej powiększający się, a pod samą tą wsią woda podrywa brzeg prawy, zamula piaskiem lewy, a tak rozlewając się zbytecznie, nie ma dostatecznej głębokości; ta bowiem przy niskim stanie zaledwo dwie stopy wynosi: spław więc jest trudny.

Pod wsią Sławskiem podrywa brzeg prawy, zbytecznie rozszerza koryto, a po stronie lewej znaczną już przestrzeń zamuliła; pośrodku powysypywała pagórki. Nie ma dostatecznej głębokości, bo przy niskim stanie wody, głęboka jest na nurcie trochę więcej jak 3 stopy. Nadto znajduje się tu w korycie znaczna liczba kamieni

wielkich, które przy małej wodzie spław na niebezpieczeństwo narażają.

Naprost Ratynia koryto jest zbyt szerokie, ztąd woda za płytka, tak, że przy niskim stanie trzyma na nurcie za ledwie 2 stopy głębokości.

Pod wsią Łądem, na przewozie, podobnie z powodu zbytnej szerokości, rzeka zupełnie niesposobną jest do spławu. Dopiero poniżej na terytorjum Pietrzykowa, koryto się zwęża do 20 sążni. Przepływ tu wody jest następny. *Na stan najniższy*: szerokość sążni 20; średnia wysokość stóp 7; prędkość na sekundę stóp $6\frac{1}{2}$; masa więc przepływającej wody stóp sześć. 5,460. *Na stan średni*: taż sama szerokość sąż. 20; średnia wysokość stóp 9; szybkość na sekundę stóp 8; masa przepływającej wody stóp sześć. 8,640. Przepływ przy *stanie najwyższym* dochodzić może do 40,000 stóp sześć. na sekundę.

Pod wsią Polichno koryto zbyt jest rozszerzone, tak, że aż wyspy pośrodku niego poformowały się.

W miejscu, gdzie był dawniej młyn do Ciążenia należący, wykopany został kanał; ten wszakże z powodu niezupełnego ukończenia został zamulony.

Powyżej i poniżej mostu pod miastem Pyzdry, podobnie jak i powyżej pod Ciążeniem, koryto zbyt szerokie, do 60 sążni dochodzące; należałoby je więc zwęzić choć do 25 sążni, tak, jak to w jednym tutaj jest miejscu, gdzie następny jest przepływ wody. *Na stan najniższy*: szerokość sążni 25; średnia wysokość stóp $6\frac{1}{4}$; szybkość na sekundę stóp 6; masa przepływającej wody stóp sześć. 5,625. *Na średni czyli umiarkowany stan wody*: szerokość jak wyżej sążni 25; śre-

dnia wysokość stóp $8\frac{1}{7}$; szybkość na sekundę stóp 7; cały więc przepływ wody stóp sześć. 8,662. Przepływ *najwyższego stanu wody* dochodzić może do 40,000 stóp sześć. na sekundę.

Na terytoryum Tarnowa są trzy zakręty wielkie przy samym przewozie pruskim; woda uderzą pod brzeg lewy, takowy podrywa, a od strony prawej zanosi piaskiem.

W ogólności spław korytem rzeki Warty, mianowicie w pow. konińskim, gdzie jest najważniejsza dla handlu, z powodu przedstawionego jój stanu odbywać się może tylko podczas wysokiój wody; przy średniój, statki lżejsze nawet połowę ładunku zabierając, jeszcze doznają trudności, a przy niskiój wodzie, spław zupełnie ustaje. Mimo to w ciągu spławów 1848 r., przeprowadzono przez rzekę tę z Prus do Królestwa produktów za rub. sr. 21,662; z Królestwa do Prus za r. sr. 100,826.

Przystanie na niój są: Jaroniec, Majaczewice, Lgota, Mściborz, Wolniki, Dziegarzew, Warta, Uniejów.

Takito jest stan rzeki Warty. Jest on dostatecznie władzom znany; one troszczą się o udogodnienie rzeki téj do spławu, lecz udogodnienie takowe znacznych wymaga kosztów. Wisła najwięcej obchodzi handel; najwięcej téż zwraca uwagę władz, i cały fundusz etatem na roboty tego rodzaju wydzielony, obracany jest prawie tylko na roboty około téj rzeki; inne, a zatém i Warta, do pewnego czasu w obecnym stanie pozostawać muszą. Wszakże nim zupełna regulacya téj rzeki nastąpi, wykonywane są w różnych czasach, w różnych miejscach, w miarę potrzeby konieczniejsze roboty regulacyjne, i zarządzane jest usuwanie w miarę możności zawad, jakoto pni, kamieni i t. p., jakie się w korycie rzeki znajdują.

Wykazane trudności spławu sama natura przedstawia, a chęć zysków takowe jeszcze powiększa. Liczne przez handlujących wnoszone są skargi na nadbrzeżnych mieszkańców, którzy dla widoków osobistych, stawiają trudności spławu i wymagają od handlujących nieraz wygórowanych opłat. Skargi takowe, zmusiły Zarząd Kommunikacyj do energicznego przeciw nadużyciom tym wystąpienia. Jakoż zważając: że na mocy dawnych praw polskich, przepisami następnych rządów nieuchylonych, jako téż postanowienia Rady Administracyjnej z d. 7 kwietnia 1843 r., rzeka Warta poczynając od Działoszyna należy do rzędu rzek spławnych; że według wspomnianych praw, równie jak na zasadzie postanowienia królewskiego z d. 30 maja 1818 r., zakłady na téj rzece cierpiane być nie mogą, wyjąwszy te tylko, które szczególném dozwoleńiem czyli konsensem są opatrzone, i to dotąd jedynie, dopóki który z tych zakładów nie okaże się szkodliwym spławowi, w jakimto przypadku właściciel bez względu na konsens, obowiązany jest go uprzętnąć; zważając daléj, że Kommissya Rządowa Spraw Wewnętrznych i Duchownych, z uwagi na obowiązujące prawa i przepisy, chcąc usunąć wszelkie przeszkody, tamujące lub utrudzające spław na Warcie, zażądała rozporządzeniem z d. 13 października 1834 r., od b. Kommissji województwa kaliskiego ogólnego planu rzeki Warty, z oznaczeniem na tymże wszelkich młynów i zakładów, oraz ich opisu i opinii, które należałoby niezwłocznie, a które później i kiedy usunąć, lecz rzeczzone rozporządzenie dotąd nie jest spełnione; że według doniesienia naczelnika powiatu wieluńskiego, spław na Warcie przy wielu zakładach i młynach, przez wbite w korycie téj rzeki jazy i tamy

jest wielce utrudnionym, przez co spławiający na zawód i znaczne straty są wystawieni: — z tych wszystkich uwag Zarząd Komunikacyj jeszcze w roku 1845 wezwał Rząd Gubernialny Warszawski:

1) Aby rozkazał właściwym naczelnikom powiatowym, przy pomocy inżynierów, we wszystkich whitych w korycie Warty, na przestrzeni od Działoszyna do granicy pruskiej tamach lub jazach, w których nie są urządzone śluzy lub pozostawione otwory, dostateczne do przepuszczania statków i tratw, takowe otwory niezwłocznie, na koszt właścicieli zakładów, w szerokości 10 łokci, urządzić. Wspomnionym właścicielom zalecić i ściśle dopilnować, iżby nie wazyli się czynić trudności w natychmiastowém przepuszczaniu przy swoich zakładach statków i tratw, spławianych rzeką Wartą, lub domagać się pod jakimkolwiek pozorem za to przepuszczenie opłaty.

2) Aby polecił naczelnikowi ptu wieluńskiego o takowej decyzji zawiadomić jednego z poszkodowanych a uzalającego się o to kupca, i oznajmić mu, że z pretensją swoją o wynagrodzenie szkody, wynikłej z zatrzymania mu drzewa transportowego (któreto zatrzymanie nastąpiło z wiedzą dziedzica dóbr, za nieuiszczenie opłaty wymaganéj), udać się winien do właściwej drogi sądowej.

3) Aby rozkazał właściwym inżynierom dopełnić rewizyą rzeki i sporządzić odręczne plany; na których mają wykazać wszelkie młyny i zakłady istniejące na Warcie, w przestrzeni od Działoszyna do granicy pruskiej. Do planu tego dołączyć opis, obejmujący następne wiadomości:

a) W jakim miejscu, a mianowicie pod jakim miastem lub wsią i jakiego rodzaju zakład jest utrzymywany?

b) Od jakiego czasu istnieje?

c) Czy pociągnięty jest do podatku ofiary 10go grosza?

d) Czy opatrzony został konsensem i kiedy?

e) Czy istnieje na oddzielnym kanale lub na głównym korycie rzeki? Wreszcie

f) czyli i jakie zrząda szkody spławowi lub brzegom przyległym, i jakimi środkami przez stosowniejsze urządzenie samego zakładu lub wykonanie odpowiednich robót, rzeczonym szkodom zapobiedz można.

Opisy te w wykonaniu rozporządzenia takowego sporządzone i złożone Zarządowi Komunikacyj, zostają obecnie pod jego rozpoznaniem.

Tyle o stanie i regulacyi rzeki Warty; zobaczymy teraz zamiary połączenia jęj z Wisłą. Dwa w tęg mierze były projekta: jeden połączenia tych dwóch rzék za pośrednictwem Pilicy, drugi za pośrednictwem Bzury.

Zamiar połączenia Warty z Wisłą za pośrednictwem rzeki Pilicy (1). Gdy w r. 1775 wzięto na uwagę połączenie rzék, na piérwszych posiedzeniach Rady Nieustajacęj postanowiono, aby to wielkie dzieło rozpoczęte było od oczyszczenia Warty, Pilicy, i następnie otworzenia między niemi komunikacyi przez

(1) Opis ten zamieszczamy według Pamiętnika Warszawskiego z 1809 roku. Znajdzie tu czytelnik krótki rzut oka na stan rzék Warty i Pilicy, któreśmy już szczegółowo poznali; lecz nie opuściliśmy go z raportu, złożonego przez projektującego inżyniera, raz dlatego, że jest konieczny do logicznego przedstawienia projektu, drugi raz, że zawiera tęg niektóre szczegóły, które przy naszych opisach zamieszczone nie były.

rznięcie kanału w miejscu, gdzieby położenie gruntu łatwość do tego podało.

Do dzieła tego wezwany został przez króla Stanisława Augusta p. Nax budowniczy królewski, b. członek Towarzystwa królewsko-warszawskiego przyjaciół nauk. Według nowo wyszłej wtenczas mapy Folliniego, wskazane zostało p. Nax miejsce do przekopania kanału tam, gdzie dwie rzeki najwięcej do siebie zbliżać się zdawały, t. j. od prawego brzegu Warty w okolicy Pławna, dawniej w sieradzkiem, do lewego brzegu Pilicy poniżej Wielgomłynów, w bliskości miasta Przedborza, w dawném chęcińskim, gdzie odległość dwóch rzek zaledwie dwie mile miała wynosić.

Zjechawszy na miejsce p. Nax przekonał się o znacznej omyłce geograficznej; najznaczniejsze bowiem zbliżenie dwóch rzek cztery mile przechodziło, a to jeszcze w takiej górzystości, iż bez zwyciężenia największych przeszkód natury, kanał nie mógł być kopany. Źródła, krynice i strugi, tak są w tém miejscu nieznaczone, iż do zapelnienia kanału nie mogłyby wystarczyć, a do zalewu śluz przechodnich wcaleby wody niedostawało. Pominąwszy wielkość kosztów na tak głębokie kopanie, przydać jeszcze należy niedogodność zbyt odległego holowania łodzi w górę, nie wspominając jeszcze o trudach, jakie sprawują rzeki w górę coraz węższe i wężkowatemi zakrętami płynące; coby od spławu do tak odległego kanału, nawet obojętnego żeglarza odstręczyło.

Nietylko to położenie w bliskości miasta Żytno (1), lecz wszystkie badania, tak ponad Wartą prawie od jej źródeł z za Częstochowy, około stój Anny, Mstowa, Gi-

(1) Obecnie wieś Żytno.

del, Pławna, aż do Działoszyna, jak ponad Pilicą około Konicpola, mimo Maluszyna, Przedborza, Ostrowa, aż do Sulejowa, dla upatrzenia sposobnego miejsca na takowe rzék połączenie były nadaremne. P. Nax w piśmie swoim, przed opisem doliny uznanej przez niego za najspodobniejszą do prowadzenia kanału, nadmienia wprzód w krótkości o stanie samychże rzék, mających być połączonemi.

Warta płynąca, mówi on, od wschodu południowego ku północnemu zachodowi, w początkach swoich dla szczupłości mało jest do spławu sposobną; lecz zważając stan téj rzeki, w jakim ją znalazłem w przebiegu od Gidel i Pławna ku Sieradzowi, w téj okolicy tak dla swojej szerokości, której przemiary średni wynosić może do 50 łokci, jak dla głębokości wody, która około 5 stóp najczęściej dochodzi, najwięcej zaś dla powolnego biegu (nie postępuje bowiem na minutę pełna 30 łokci), jest już dosyć usposobiona do spławu, a tém bardziej do holowania przeciw tak opieszalemu pędowi wody.

Dolina w której ta rzeka płynie jest żyzna, bardziej torfiasta niż piaszczysta; brzegi rzeki mało gdzie nad łokieć są wyniesione.

Dziesięć mil poniżej w okolicy Bużenina, o półtoręj mili poniżej Sieradza, gdzie pod wsią Pstrykoniem Widadka do Warty wpada, już ta rzeka znacznie jest powiększona i w wodę zamożniejsza od Pilicy; średnia szerokość około 75 łokci, a głębokość do 3 łokci wynosi. Szybkość wody już nieco zmniejszona, choć dla gwałtownego wiatru nie można jój było ze ścisłością dochodzić. Brzegi i tu są niskie i mało gdzie nad pięć ćwierci łokcia wyniesione; lecz poniżej zapędzają się rzeka

w okolicy nieco górzyste, a dalej wieś Stronisko już na znacznej wyniosłości jest położona. Bieg cały téj rzeki, od tego miejsca na kanał upatrzonego, aż do samego ujścia do Odry, tak jest w równoległych brzegach zamknięty, iż mieliznami, cieśninami, rafami, żadnej w spławności nie czyni przeszkody. Nawet poniżej tego miejsca nietylko do Pławna, lecz o kilka mil jeszcze w górę rzeka ta może być z łatwością do spławu usposobioną, byle tylko oczyszczeniu nieco dopomagano.

Pilica bierze swój początek w powiecie lełowskim pod miastem Pilicą, od pospólstwa Pilczą zwanego. Źródło jéj wytryskuje zpod wysokiej góry, na której stoi zamek obronny, pod szerokością geograficzną 50°31'. Źródło to tak jest obfite i po takiej płynie spadzistości, iż w oddaleniu zaledwie jednego staja już młyn Korecznik, a nieco niżej drugi takż obraca. W przestrzeni dwóch mil aż do m. Żarnowca, ledwie nie w odległości staja, założone są młyny, tartaki, folusze, papiernie i w potrzebie od tegoż miasteczka mogłaby już być do spławu przysposobioną. O dwie mile niżej pod Szczekocinami, wsparta zewsząd wpadającemi do niéj wodami, znacznie się wzмага; o pięć mil niżej pod Przedborzem staje się rzeką dosyć już okazałą, i po zniesieniu licznych jazów, śluz, upustów, które prywatna chęć zysków naprzeciw publicznej wygodzie wystawiła, mogłaby służyć z wielką łatwością do spławu. Spadek łożyska tak mało się zmniejsza, iż pod Sulejowem, już o 16 mil od początkowego źródła, pęd wody na minutę blisko 90 łokci wynosi. Szerokość jest w wielu miejscach odmienna, i z trudnością wymiar jéj ustanowić przychodzi. W niektórych miejscach rzeka tak jest zwężona, iż zaledwie 30

Łokci dochodzi; w innych na 400 łokci wszérz się rozlewa, jak pod Łegonicami, gdzie ledwie piaski okrywa. Pilica bardzo mało pobocznych strug i rzeczek do swego łożyska przyjmuje. Od Koniecpola, zaczynając z lewego brzegu, prócz Bogdanówki, Wolborki, Moszczenicy i innych drobnych strug, inne wszystkie rzeczki do Wisły i Bzury dążą. Z prawego zaś brzegu Nida, Kamienna, Ciepiewka, Radomka i inne rzeki bezpośrednio do Wisły wpadające, wszystkie wody z sobą zabierają; a prócz rzeki Czarnéj, Drzewiczki i niektórych strug wcale nieznacznych, żadna się z Pilicą nie łączy. Toż poniżej Nowego Miasta na przestrzeni mil 8, jedna tylko Gostomka, Przybyszówka i kilka małych strumieni ze źródlisk wytryskujących do niéj wpadają. Wysokość brzegów nad wodę najczęściej bywa dwułokciowa, wyjąwszy miejsca, gdzie jazami i śluzami woda wsparta, równo z brzegami się wznosi. W niektórych miejscach wzgórze przypierają do jednego brzegu rzeki, lecz nigdzie jéj prawie z obudwu boków nie ściskają, i najwyższe z tych górzystości 50 łokci nie przechodzą.

Miejsce upatrzone przez p. Naxa do prowadzenia kanału, mającego połączyć Wartę z Pilicą; znajduje się pomiędzy Sulejowem nad Pilicą i miastem Widawą, o milę od Warty oddaloném. Tu do téj rzeki płynie rzeczka Widawka zwana, przeszło mil 5 od miasta zaczynająca się, której kierunek wprost ku Sulejowu przeciągnąwszy należało. Dolina za łożysko jéj służąca jest jedna z najżyźniejszych; obadwa lądy we wszystkie płody rolnicze i leśne obfitują. Kopanie w niéj byłoby łatwém dla nieznacznej pochyłości; począwszy bowiem od Warty aż do środkowego szczytu między obiema rzekami, rozsyłającego wody na obie strony, w przestrzeni sześciomi-

lowej, pochyłość ta na pozór 20 łokci nie wyniesie, i nad 5 lub 6 śluz przechodowych wymagać nie może. Nad tą doliną położone są, prócz wsi Pstrykonia i miasta Widawy, wieś Rzęsowa, miasteczko Grocholice, wieś Politańce i inne poboczne wioski aż do Korcowa, którato ostatnia posada, umieszczona jest na płaszczyźnie przedziałowego szczytu. Od téj naturalnej grobli, mimo Postękalic, powyżej Dziesialskiego stawu pustego, wszystkie wody na wschód północny dążą ku Pilicy i Wiśle, a na zachód północny ku Warcie i Odrze.

Od tego łągu aż do Pilicy, odległość nie dochodzi mil czterech, gdzie rzeczka bezimienna, odemnie (mówi Nax) Bogdanówką (1) nazwana, przy tak zwanym Murowańcu do Pilicy wpada. Wyniesienie tego szczytu nad Pilicę nie dochodząc 15 łokci, może być trzema śluzami zatracone. Pasma przedziałowego wzgórza w swojej szerokości można do 750 sążni rachować; wyniesienie zaś na przyległe obustronne doliny, 4 sążnie nie przechodzi. Natura gruntu nie każe się obawiać w kopaniu rowu trafienia na opłaz skalny; ziemia bowiem z wierzchu szarawa, obiecuje w głębi glinę z piaskowemi naprzemian warstwami. Pod miasteczkiem Rozprzą, wpada w rzeczkę wyżej wzmiankowana struga od Piotrkowa się ciągnąca, i ta podaćby mogła zręczność przekopania pobocznego rowu, przez co rzeczone miasto należećby mogło do uczestnictwa przechodowego handlu.

Cały przeciąg pomiędzy Wartą i Pilicą (mówi p. Nax), ile na końskie kroki miarkować mogłem, wynosi około 43,710 sążni, to jest około mil 10. Wykonanie tego ważnego dzieła nie może być ani tak trudném, ani tak

(1) Przy opisie téj rzeczki, zamieściliśmy jedno tylko pospolitsze i przez Długosza wspomniane jój nazwisko, Luciąża.

kosztowném, jak inne tego rodzaju uskutecznione prace, gdzie częstokroć w skalistych górach podziemne przekopywać musiano galerie; nie jest tak trudném jak kanał Muchawiecki; jakie zaś ztąd korzyści odnieśćby mogły Warszawa, Poznań i wszystkie przyległe obudwom rzekom i kanałowi okolice, łatwo domyśleć się można.

Mappy obudwóch rzék i kanału połączać je mającego, z rysunkami śluz przechodnich, z ścistém wyrachowaniem kosztów tak na przeczyszczenie rzék, jako téż na wykopanie kanału, ocembrowanie, wystawienie śluz, oraz z wyznaczeniem dostatecznej summy na wszystkie nieprzewidziane wydatki; podane były na początku roku 1776 Radzie Nieustającej, i zupełne zyskały potwierdzenie. Gdy jednak kosztem skarbu krajowego dzieło to nie mogło być rozpoczęte, wezwane zostało towarzystwo akcyonaryuszów, z nadaniem mu prawa wybrania swoich nakładów w pewnym przeciągu czasu, z opłat od przechodzących łodzi i tratw.

Autor pisma, z którego ten wyciąg podajemy, czyni zbliżony rachunek przychodów, jakieby pobierane być mogły z samój Pilicy, aż powyżej Przedborza przeczyszczonej. Te według niego wynoszą rocznie 45,000 złp. które, mówi, tém chętniej byłyby płacone, gdy dotąd nie tylko za nic, ale nawet za przeszkody spławności od jazów, mostów i przepuszczania pod młynami, każdy prywatnym właścicielom opłacać się musi.

O opłatach z całego spławu Warty i przechodu przez kanał, zamilcza autor z téj przyczyny, że tylko płody i nadbrzeża Pilicy dokładniej mu były wiadome, gdyż tę całą rzekę z za Przedborza aż do Wisły dostatecznie zwiedził, wymierzył, a przytém wszystkie potrzebne do jéj przeczyszczenia roboty ściśle obrachował.

Przydaje w tém miejscu, iż przy wymiarze Pilicy wysłany był zjazd sądowy na wykonanie wyroku rządu, mocą którego miały być zniesione na téj rzece szluzy, jazy, upusty i wszelkie zawady, będące na przeszkodzie publicznemu spławowi; lecz zamiar ten rządu do skutku nie przyszedł. Po takiém zawad uprzątnieniu, otworzyłby się był nietylko dla tratów, ale dla łodzi i innych statków wygodny spław na Pilicy, choćby téż tylko od Nowego-Miasta; powyżej bowiem takowa spławność nieco trudniejszą byłaby. Pod Łęgonicami naprzykład, potrzeba by wprzód zwięzieniem łoża rzeki dostateczną głębokość wody zapewnić; pod Inowłodzem należałoby wyłamać drogę przez pasma skaliste, które na wzór katarakt, wodę przeszło na stopę wspierają, nie zostawiając rzece dostatecznej głębi do znoszenia łodzi; poniżej Przedborza, w okolicy wsi Skotnik, w dolinie pulchnój, torfiastój, rzeka tak krętém płynie korytem, iż łódź nie może z łatwością przechodzić. Zniósłszy te przeszkody, dopięroby spławność tak z wodą, jak pod wodę ułatwioną została.

Z przykrością wyznać potrzeba, iż dzieło tak ważne, tak użyteczne, w samém pomyslném zaczęciu ustać musiało. Gdy budowniczy za swoje trudy przy dalszém skierowaniu robotą, dopominał się o zapewnione wynagrodzenie, odpowiedziano mu urzędownie, aby się udał do towarzystwa akcyonaryuszów, a towarzystwo nawzajem odsyłało go do rządu. Przez co i on dalszych starań zaniechał, i ważne to przedsięwzięcie upadło.

Zamiar połączenia Warty z Wisłą za pośrednictwem rzeki Bzury. Nietylko zamierzono Wartę połączyć z Wisłą przez Pilicę, ale nadto myślano tak-

że otworzyć komunikacją między temi dwiema rzekami, to jest Wartą i Wisłą, za pośrednictwem Bzury.

Jeszcze za panowania Augusta III podany był projekt w tym celu. Zapewnia autor projektu, iż rzeka ta powyżej Łęczycy i Sohoty dzieli się na dwie odnogi, z których jedna dążąc ku zachodowi, pod wsią Srebrnem wpada w Narewkę (1), łączącą się z Wartą powyżej Kolna; druga zaś odnoga pod nazwiskiem Bzury, łączy się z rzeką Rawą (2), i z nią razem o cztery mile niżej Warszawy do Wisły wpada. Od samych więc źródeł autor chce rzeki do spławu przysposobić; chce, aby po małych, ledwie widocznych strugach, obciążone przechodziły statki. Chodzi mu o uniknięcie kosztów, jakich wymagałoby prowadzenie kanału, łączącego rzeki w większej odległości, a zapomina o tém, że przyprowadzenie strużek małych do spławności, przypuśćmy, że znalazłoby się podostatkem wody, ileby to wymagało nakładów! Z tych powodów, jak również i ze względu, że Bzura wpada do Wisły poniżej Warszawy, a zatem połączenie to nie mogłoby zrządzić dogodności w sprowadzaniu do miasta tego płodów, projekt ten zaniechano.

Za rządu pruskiego znowu go wznowiono; Surowiecki w piśmie swém: O rzekach i spławach, przedstawia nam ten projekt. Według pisma tego, w krótkości o nim wspominamy.

Połączenie rzeki Warty z Wisłą za pośrednictwem rzek Neru i Bzury, za tak korzystne uważano, że na samo doświadczenie czy będzie podobnym do wykonania, znaczne poświęcono summy. Zesłani na miejsce inżynier-

(1) Zapewne Ner.

(2) Rawką.

rowie, po kilkoletnich pracach zważywszy całe położenie i najdrobniejsze szczegóły przyszłego dzieła, nietylko wykazali zupełne podobieństwo i łatwość wykonania jego, ale nadto jasnym obliczeniem dowiedli, że wyłożyć się mające koszta, będą niczym w porównaniu z niezmiernemi pożytkami, jakie ztąd wynikną dla skarbu i prywatnych.

Rzeka Ner, która wpada do Warty, płynie w bok Łęczycy, o małą tylko milę od Bzury. W tém miejscu od téj ostatniej rzeki ku zachodowi, ciągną się obszerne równiny, które dla słabego spadku wód zewsząd podmulone, zamieniły się w niewysychające błota, jak to już przy opisie Bzury widzieliśmy. Rów oblewający fortecę Łęczycę, prowadził wodę do Bzury przez środek tych błot o milę pod Wichrów, i tam połączywszy się ze strumieniem Paskrzą, płynął do Neru, który szerokim już korytem wlewa się pod Chełmnem do Warty.

Tu to właśnie rząd pruski zamyslał uskutecznić wielkie dzieło połączenia Warty z Wisłą. Jakoż wszystko w tém miejscu wzywało go do takowego przedsięwzięcia: dogodne położenie, mierne koszta, odkrycie najpiękniejszych równin i ułatwienie odbytu niewyczerpanym źródłom miejscowych bogactw natury, ukazywały pożytki przeważające największe ofiary. Leniwy spadek wód rowem od Bzury do Paskrzy, a ztąd do Neru, ukazywał widocznie małą różnicę wzajemnej tych rzek wysokości; wykopanie zaś kanału tą niziną na 6247 sążni długiego, od Neru pod Łęką aż do Łęczycy, podług ścisłego obliczenia inżynierów, nie miało ani znaleźć żadnej trudności, ani kosztować więcej nad 20337 talarów. Ten krótki przekop miał połączyć razem cztery znaczne rzeki, które w różnych kierunkach od swych źródeł, sięga-

łyby dalekich posad kraju. Dostatek wód tych rzék i sposobność zasilania ich licznemi jeszcze wodami strumieni i stawów pobocznych, przekonały, że za zniesieniem niektórych zawad, za sprostowaniem koryt, za wykopaniem gdzieindziej rowów i za wystawieniem miejscami śluz, mogłyby tędy z łatwością być spławiane statki, wyrównywające największym statkom Odry. W tym widoku, obrachowawszy aż do najdrobniejszych szczegółów wydatki na oczyszczenie koryta Warty od Konina do Chełmna, a ztąd koszta przekopów, grohel, upustów, mostów, rowów pobocznych i t. d. do Łęki na Nerze, dalej na Bzurze od Łęczycy aż do samej Wisły, uprojektowali inżynierowie ci, wystawienie dwóch śluz na kanale i 12 w rozmaitych odległościach na Bzurze. Za pomocą tych ostatnich nie tylko zapewnić się miał zawsze kierunek wody, ale nadto w każdej potrzebie miał się ochraniać nadmierny jój ubytek. Za wezbraniem, wody te porządnie upuszczane, nie wylewałyby z swych brzegów, a wśród suszy zatamowany odpływ, zapewniałby potrzebny ich zapas do znoszenia statków.

Dla uwiecznienia tego dzieła i uwolnienia skarbu od ponawiania nadal wydatków, kommissarze rządowi w swoich projektach nie oglądali się na żadne oszczędności, ale owszem przedstawili potrzebę funduszków na kosztowne oblacie forticy łęczyckiej, wykopanie kilku wielkich ustępów, mających służyć albo do zasilania w potrzebie koryta wodami, albo do przyjęcia kry i przepelnień; na znaczny port pod Łęczycą; liczne domy przy śluzach i szopy murowane; na mnóstwo rowów osuszających, mostów, i upustów; nareszcie na hojne wszędzie bonifikacye za młyny i kawały gruntu. Wnosili także w anszlagach swoich, ażeby wszystkie śluzy murowane były częścią

z cegły, częścią z kamienia łupanego pod Morzysławiem blisko Konina.

Tym sposobem dzieło to, które w pewnej części kupiec z Marchii, Lange, chciał własnym kosztem uskutecznić, byle mu wyłączne na lat 10 dane było prawo wyprowadzania zakupowanego w tej okolicy drzewa, w anszlagach inżynierów podniesione zostało do 1,200,000 talarów. Do tej jednak summy należały już wydatki na 14 śluz murowanych, z których każda podług ich rachuby miała kosztować do 33,000 talarów; dalej wydatki na sprostowanie, czyszczenie i osuszenie wielkich strug Warty od Konina do Chełmna, wynoszące do 26000 talarów, co już w niejakić części przed zmianą rządu uskutecznióm zostało.

Tak ogromny, a może i zbyt wygórowany koszt, zmiana następnie położenia krajowego i zaszłe różne okoliczności, odwlekły wykonanie przedsięwzięcia tego; a dziś przy ułatwionych w tych stronach komunikacjach lądowych, wykonanie jego mniej staje się konieczném.

Poznawszy Wartę, zobaczmy rzeki do niej wpadające. Te zaś są: Liczwarta, Olesznica, Widawka z Grabówką, Teleszyna, Ner, Kompiler, Meszna, Proсна.

1. LICZWARTA (*l.*). Początek jój w Szląsku niedaleko wsi Parschwitz i miasta Lubliniec; od wsi Leśniak do Podłęża w wieluńskim, stanowi granicę królestwa; powyżej wsi Wąsosza wpada do Warty. W królestwie płynie mil 8; nie jest i nie może być splawną, służy wszakże do użytku fabryk żelaznych. I tak, znajdują się nad nią piece wielkie w Pankach i Starój Kuźnicy, tudzież fryszerki: w Pankach, Praszczyku, Cygance, Kostrzyniu, Dankowie, i t. d.

2. **OLESZNICA** (*l.*) bierze początek pod wsią Zdzianarami, płynie około wsi Dąbrowy na zachód Wielunia, i przebiegłszy mil $6\frac{1}{2}$, poniżej Rychłocic wpada do Warty.

3. **WIDAWKA** v. **GRABIA** (*p.*). Początek pod wsią Kodrębia w okręgu radomskim, płynie pod miastami: Kamieńsko, Szczerców, i poniżej wsi Tuszyzna wpada do Warty, ubiegłszy mil 11. Nie jest splawną. Od Korcowa gdzie jest najbliższa Luciąży, aż do ujścia, spadek jój nie przenosi stóp 40.

Widawka pod wsią Roguzna przyjmuje w siebie rzeczkę *Grabówkę* (*p.*), długą mil 8. Grabówka bierze początek niedaleko wsi Mzurki, w okręgu piotrkowskim (pomiędzy miastem Piotrkowem i Bełchatowem); następnie płynie pod miastem Łaskiem.

4. **TELESZYNA** (*l.*) wypływa z błot pod wsią Gluchowem w okręgu warszawskim, płynie obok miasta Dobrze; wpada pod wsią Słomowem do Warty, ubiegłszy mil $3\frac{1}{2}$.

5. **NER** (*p.*) bierze początek w borach wsi Wiskitna powyżej miast Rzgowa i Tuszyzna, w okręgu piotrkowskim; odgranicza powiat łęczycki od sieradzkiego i kaliskiego w długości mil 15, płynąc koło miast Lutomińska, Kazimierz, Poddębic, Dąbia, i uareszcie pod wsią Majdany, jakieśmy powyżej widzieli, łączy się z Wartą. Koryto téj rzeki wązkie, brzegi po większej części niskie, dla tego téż okolice dawniej w niedostępnych leżały błotach; po wykopaniu wszakże kanału, przeszło 4,000 pretów to jest wiorst 16 długiego, najpiękniejsze wydają siana. Zamilczć jednak nie można, że i teraz jeszcze rzeka ta, z powodu błot otaczających ją, jest w wielu miejscach niedostępna. Podczas wezbrań wody splawiają na niej przy samém tylko ujściu pojedyncze sztuki drzewa, które tu obficie się znajduje; w innym bowiem czasie mało jest

wody, a błota wzbraniają przystępu. Regulacya Neru nie przestaje się odbywać.

Do Neru wpadają:

Dobrzyńska (l.). Zaczyna swój bieg pod wsią Tążowem w okręgu piotrkowskim; płynie przez miasto Pabianice; niedaleko wsi Prusinowa wpada do Neru, ubiegłszy mil $3\frac{1}{2}$.

Pisia (l.) bierze początek około wsi Czarna Wola na wschód m. Szadku, wpada do Neru pod Zagorzycami. Długa mil $3\frac{1}{2}$.

6. KOMPIEL (p.). Początek jój pod wsią Wierzchocin, na południe miasta Brdowa; płynie przez część powiatu łęczyckiego, i powyżej m. Kola, w powiecie konińskim, wpada do Warty. Rzeczka ta mała, częścią powiatu łęczyckiego płynąca, zrzadzała wielkie szkody nadbrzeżnym gminom przez swoje wylewy; lecz przez wybicie kanału, bieg jój został uregulowany. Przyjmuje w siebie z lewego boku pod wsią Barłogi rzeczkę Rgilówkę.

Rgilówka, bierze swój początek w powiecie łęczyckim pod wsią Mazew, w północno-wschodniej stronie m. Grabowa; płynie korytem wąziem przez wsie Sobotka, Rdutów i miasto Kłodawę. Długa mil 5.

7. MESZNA (p.) wypływa z jeziora powidzkiego pod wsią Mieczownicą; płynie przez m. Słupcę, za którym wpada do Warty.

8. PROSNA (l.) wypływa z bagna przy miasteczku szląskim Byczyna; od wsi Bugaju, poniżej Krzepic w wieluńskim, aż do samego prawie miasta Pyzdr, gdzie wpada do Warty, stanowi w długości mil 20 granicę kraju. Koryto jój ciągnie się doliną szerokich łęgów i żyznych pastwisk. Okolice przyległe jój wszędzie są bogate i żyzne; wyborne grunta wydają niezmiernie zapasy

zboża, a obszerne bory najpiękniejsze drzewa; tak, że przy największej nawet miejscowej ludności i powszechném rozkrzewieniu przemysłu, wszystkie zapasy płodów, nie mogłyby być na miejscu spotrzebowane. To też ustawy z 1447 i 1507 r. rzekę tę za splawną uważały, i splaw na niej w dawnych wiekach wielce był ważonym. Dziś wszakże dla płytkich brzegów, nierównego spadku i licznych zawad tamujących spadek wody, pobudowanych nad nią różnych zakładów wodnych, rozdziału jej na boczne odnogi, a co najważniejsza, że przez całą porę letnią stan jej wody jest tak niski, że po zniesieniu młynów, woda ma zaledwie dwie stopy głębokości, Prosna niewiele zdatną jest do splawu. Rząd pruski tak wielce splawność rzek ceniący, zwrócił także uwagę i na rzekę Prosnę; przedsiębrał więc przygotowawcze środki dla oczyszczenia jej i przygotowania pod splaw. W aktach berlińskich następnie znajdujemy tego ślady:

Roku 1794 nakazano rozmiar Proсны do miasta Kalisza, lecz dla zaszłych niespokojności, roboty odłożono.

Roku 1795 pracowano około rozmiaru tego, pod kierunkiem p. Baum.

Tegoż roku d. 3 października minister polecił uwagę, aby Prosnę uczynić splawną dla spuszczenia drzewa z rozległych lasów departamentu kaliskiego, niemających odbytu, i osuszenia znacznych błot okolicznych. Reskrypt ten zawiera szczególne uwagi co do spuszczenia drzewa szczapami lub sztukami, w miarę tego, jak na to jazy przy młynach znajdujące się dozwolą, tudzież nakazuje, aby odpowiednie wrota czyli śluzy znajdowały się.

Roku 1796, 1797 i 1798 dalej prowadzono rozmiar.

R. 1799 kamera poznańska donosi o skutecznionych rozmiarach tak rzeki, jak i gruntów urządzić się mających do Kalisza, tudzież od tego miejsca do Grabowa.

Roku 1800 podane są przez kamerę poznańską ostateczne plany pomiarowe. Koszta całkowite pomiaru wynosiły 3,338 talarów.

Roku 1801 podała kamera kaliska ministrowi plany i wyciągi kosztów, potrzebnych dla uszlawnienia rzeki Prozny od Grabowa do Kalisza, w rozległości 4 1/2 mili, obliczone na 10,888 talarów. Minister projekt odrzucił, z powodu, że zysk ze spuszczenia drzewa z lasów królewskich do Kalisza, nie odpowiadał ponieść się mającym kosztom około uszlawnienia rzeki.

Roku 1802 raport kamery kaliskiej okazuje:

a) że Prozna nie jest zdatną do uszlawnienia, z powodu małej wody i niskich brzegów, które wody podnieść nie pozwalają;

b) że nie masz niwellacyi téj rzeki.

Hydraulik Herman, koszta na przyprowadzenie Prozny do tego stanu, aby statki o 18 winsplach chodzić po niej mogły od Kalisza do ujścia, podał na 142.000 talarów, użyć się mających na budowę 15 szluz i kanałów. Po rozważeniu całego tego stanu rzeczy, minister z powodu wielkich nakładów nieodpowiadających zamierzonemu celowi, ostatecznie odstąpił od projektu uszlawnienia Prozny, i odtąd téż już o tém nie pomyślano.

Wody jęj powiększają rzeki: Cienia i Swędrnia.

Cienia (p.) zaczyna się pod wsią Jasioną w okręgu sieradzkim, kieruje swój bieg około miast Błaszki,

i Opatówek, a pod wsią Rajskowem wpada do Proсны przepłynąwszy mil 6.

Swędrnia (p.), zaczyna się w okręgu wartskim pod wsią Lipiczami. Płyńie na miasto Koźminek; powyżej Kalisza we wsi Rajskowo wpada do Proсны, ubiegłszy mil 5.

Mamy pewne dowody, że do Warty wpadała także niegdyś rzeka Goplenica, płynąca od jeziora sleszyńskiego pod Morzysław blisko Konina, i że ona spławną nawet była. Dziś rzeki téj śladu nawet niéma; zaginęła widać w mule, a na jój miejscu wykopany jest kanał Morzysławski, długi przeszło 6,000 sążni, łączący jeziora gosławskie i pątnowskie z rzeką Wartą.

KANAŁ AUGUSTOWSKI.

Powód i cel utworzenia kanału. Trudności napotykanne w układach z rządem pruskim o taryffę celną, nastęrczyły rządowi myśl utworzenia komunikacji wodnej od Wisły, Bugu i Niemna, do jednego z portów morza Bałtyckiego w cesarstwie, aby tym sposobem ominąć dotychczasowe drogi odbytowe przez Prusy wiodące, a tém samém uniknąć pewnego stopnia zawisłości w stosowaniu się do systematu celnego tego mocarstwa, oraz dowolności w oznaczeniu opłat tranzytowych od produktów królestwa i zachodnich gubernij cesarstwa, tudzież od towarów kolonialnych tu wprowadzanych. To dało powód do zaprojektowania kanału Augustowskiego, tak nazwanego od miasta powiatowego Augustów, około którego przechodzi, a łączącego

Wisłę z Niemnem, i kanału Windawskiego, jako dalszego jego ciągu, mającego połączyć Niemen z portem bałtyckim Windawą.

Rozpoczęta budowa kanału Windawskiego nie przyszła do skutku, kanał zaś Augustowski został według planów wykończony. I jego tu właśnie szczegółowy opis zamieszczamy, a o kanale Windawskim podamy krótką wiadomość (1).

Alternatywy projektu. Projekt kierunku linii spławnej, w powyżej określonym celu zamierzonej, przedstawiony został w trzech głównych alternatywach. Pierwszą z nich była linia rzeki Narwi aż ku jej źródłu, dla połączenia jej następnie za pomocą rzeki Swisłoczy z Niemnem, o 28 wiorst powyżej Grodna. Lecz alternatywę tę uważać tylko należy jako pomysłową; dla braku wody, jako też i zbyt wielkiego rozwinięcia drogi spławnej, zaniechano ją.

Drugą odmianą projektu była linia Narwi i całej Biebrzy, a zatem po kierunku aż do źródła tej ostatniej rzeki, dla połączenia jej następnie z Niemnem, za pośrednictwem rzeki Tataraki, wpadającej do Łososny, a z tą ostatnią do Niemna, o 2 wiorst poniżej Grodna. W tym razie linia spławowa, poczynając od ujścia Biebrzy w Narew, szłaby bez przerwy po kierunku granicy między cesarstwem a królestwem. Też same przyczyny, co przy pierwszej alternatywie, to jest brak wody i daleko znaczniejsze od dzisiejszego rozwinięcie drogi spławowej, spowodowały odrzucenie i tego kierunku.

(1) Rzecz ta ułożona jest na zasadzie akt właściwych władz, i rękopismu jednego z najznakomitszych naszych uczonych. Wyciąg z rękopismu tego, równie jak i wiele innych szczegółów w piśmie tém zawartych, udzielił mi p. F. M. Sobieszczański, prawdziwy miłośnik takowych opisów, i wiele z bogacający je swojemi pracami.

Trzecią nakoniec alternatywą pierwotnego projektu i przyjętą, jest terazniejszy kierunek linii splawowej od Wisły do Niemna, którejto linii część stanowi kanał Augustowski. Nie podlega wątpliwości, iż kierunek ten przedstawia wszelkie dogodności i korzyści, potrzebne do utworzenia linii splawnej; sam rzut oka na stan hydrograficzny okolicy, dostatecznie o tém przekonywa, a tém samém wybór tego a nie innego kierunku usprawiedliwia. Jest nawet podanie w okolicy, iż rząd pruski zamierzał był w epoce od 1796 do 1806 r. po kierunku prawie tym samym jak dzisiejszy, otworzyć komunikacją wodną pomiędzy Wisłą a Niemnem; lecz jakoby z powodu niedostatku wody, co miało wykazać obliczenie, pomysłu tego zaniechał.

Długość linii splawnej. Długość właściwego kanału od ujścia w Biebrzę pod Dębowem, do ujścia w Niemnie pod Niemnowem o 30 wiorst poniżej Grodna, wynosi wiorst. 96 $\frac{1}{3}$
 Długość usplawnionej Biebrzy wynosi 68 $\frac{1}{2}$
 -- Narwi od połączenia się z Biebrzą pod Wizną,
 do ujścia w Wisłę pod Nowogeorgiewskiem 273 $\frac{1}{2}$
 Długość przeto całej drogi splawowej od Wisły do Niemna, wynosi 438 $\frac{1}{3}$.

Niwellacya. Za punkt odniesienia do niwellacyi kanału, przyjęty jest narożny kamień granitowy, na którym spoczywa podwalina domu nadleśniczego augustowskiego w Białobrzegach. Od tego kamienia wyżej o stóp angielskich 100 albo polskich 105'10", naznaczony jest punkt 0, i do tego punktu odnosi się cała niwellacya.

Punkt podziałowy, położony przy połączeniu się z głównym przekopem kanałowym rzeki Suchorzeczki, z jeziora Serwy wypływającej, wyższy jest od poziomu Niemna pod Warwiszkami o 140'6''8''' , a od poziomu Nar-

wi pod Wizną o 109' 9" 7". A ponieważ od punktu podziałowego do Warwiszek jest wiorst $42\frac{1}{5}$, a od tegoż punktu do Wizny nad Narwią wiorst $124\frac{4}{5}$, jest więc spadku średniego na wiorstę jedną: ku Niemnowi stóp 3,3, a ku Narwi 0,88 stopy. Spadek od punktu podziałowego do Biebrzy, wynosi 52' 11" 9".

Układ kanału. Kanał Augustowski jest kanałem podziałowym (à point de partage), to jest kanałem, którego wody z punktu najwyższego czyli podziałowego, spływają do ujść swoich w dwóch przeciwnych kierunkach. W układ jego wchodzi dwie rzeki: Hancza (wiorst 29) płynąca ku wschodowi, z ujściem do Niemna, i Netta (wiorst 31) płynąca ku zachodowi, z ujściem do Biebrzy; a połączone łańcuchem siedmiu jezior (36 wiorst): Necko, Białe, Studzieniczne, Orlewo, Paniewo, Krzywe i Mikaszewo. Wchodzi prócz tego w układ kanału dwa inne jeziora, jakoto: Serwy i Sajno. Serwy o 145' 10" 2" nad Niemen, a 5' wyżej nad przekop podziałowy (bief de partage) położone, zawiera 1,428,000 sążni sześć. wody zasiłkowej, może zatem dostarczyć wody na 4,850 przepraw śluzowych (éclusée d'eau), licząc średnio na każdą po 147 sąż. sześć. Że zaś jednorazowa przeprawa jednego statku przez cały kanał (tam i napowrót średnio brana) potrzebuje 1690 sążni sześć. wody, przeto sam rezerwoar Serwy dostarczyć jój może na raz jeden do przeprawy 845 statków, pojedynczo przez cały kanał w różnym kierunku przechodzących. Tu nie wprowadzamy do obliczenia innych rezerwoarów pomocniczych, a nawet rzeki Hanczy, która dla przepraw przez 8 śluz swego kanału bocznego, żadnego zasiłku z rezerwoaru bocznego nie potrzebuje. Drugie jezioro Sajno o 34' 7" 7" nad Biebrzę położone, 3 miliony sążni sześć. wody za-

siłkowej zawiera. Piérwsze jezioro Serwy, szczególnym a dla urządzenia nawigacyi nader korzystnym przypadkiem, wynikającym z hydrograficznego stanu okolicy, leży na środku kanału i jego przekopu podziałowego, i stanowi główny staw zapasowy (reservoir), przeznaczony do zasilania linii spławnej w obudwu jój kierunkach; drugie zaś Sajno, tworzy staw zapasowy pomocniczy, wyłącznie do zasilania rzék Netty i Biebrzy przeznaczony.

Śluzы kanału tego są murowane z kamienia polowego, ciosowego i cegły na wapnie hydrauliczném, w miejscu wyrabianém; osadzone albo na gruncie tęgim, albo na palowaniu (pilotage) i kratowaniu (grillage).

Z 18 śluz w skład kanału wchodzących, jedna jest podwójna (à deux sas) Paniewo, a jedna potrójna, Niemnowo; jest ich zatém właściwie 21.

Z téj liczby, śluz 7 leży od Wisły czyli strony zachodniej punktu podział., a 14 od strony Niemna czyli na wschodnim spadku od tegoż punktu podziałowego.

Wszystkie upusty (deversoirs) są drewniane. Tych jest 29 o 2 do 7 stawidłach pojedynczych lub podwójnych, mających po 3 do 5 stóp szerokości, a 5 do 12 stóp głębokości.

Mostów zwodowych (ponts levis) jest 14, mianowicie: żurawionych (à bascule) 8; ślimakowych (à limaçon, helice) 2; pływaków na galarach 2; pływaków na tratwach 2, razem 14. Są one wszystkie drewniane, dębowe lub sosnowe, oparte na murach ścian śluzowych lub osobnych przyczołkach murowanych albo ciesiołkowych.

Mostów zwyczajnych na palach, i mostów przepustowych różnej wielkości w wałach i drogach do holowania założonych, a również jak powyższe drewnianych, znajduje

się 65; z tych 14 trzymają od 18 do 120 stóp długości, a 51 od 5 do 12 stóp.

Wymiary dzieł wodnych. Konieczna i najmniejsza szerokość kanału przyjęta jest na 42 stopy; głębokość wody 5 stóp; długość śluzy to jest komory statkowej (sas, chambre de bateau) 168 stóp; szerokość śluzy 21 do 22 stóp. Największy spadek śluzy 12 stóp (Wołkusz); średni 9; najmniejszy 5 stóp (Przeźwieź). Średnia długość śluzy z jej przedłużeniem górnym i dolnym (radiers d'amont et d'aval) 227 stóp.

Ztąd więc wypada, że wymiary statku największego, jaki po kanale Augustowskim może żeglować, będą: długość statku bez steru 140 stóp; ze sterem 148; szerokość 20 stóp; zagłębienie z ładunkiem (tirant d'eau) 4 stopy cali 6. Średnia objętość wody jednej przeprawy śluzowej (éclusée d'eau, prisme de chûte) 147 sążni kubicznych; a tém samym całkowita średnia objętość wody, którą komora statkowa śluzy zawiera, razem z objętością przyzmu spławowego dolnego (prisme de flotaison) bez względu na przyzmu ciężarowy, to jest objętość wody statkiem ładownym wypchniętej (prisme de cargaison), wynosi sąż kub. 220.

Opis szczegółowy dzieł wodnych. Kanał Augustowski w skutek naturalnego swego pod względem hydrograficznym położenia, dzieli się na trzy główne części czyli oddziały:

I. Oddział rzeki Netty, II. łańcucha jezior, III. rzeki Hanczy. Oddziały te zawierają w sobie następujące części i dzieła wodne:

I. ODDZIAŁ RZEKI NETTY. Oddział ten rozciąga się od jeziora Necko, z którego wypływa rzeka Netta, pod m. Augustowem, do ujścia téjże Netty w Biebrzę pod De-

bowem, na granicy gub. grodzieńskiej; wynosi więc w rozwinięciu wiorst 31. Część ta linii uszlawniona jest już za pomocą kanału bocznego (canal lateral) w długości 21 wiorst od Augustowa wyprowadzonego, już za pomocą sprostowanego i uszlawnionego koryta pierwotnego rzeki Netty, w długości 10 wiorst. Zawiera śluz 5:

Śluza nr. 1 w Dębowie, położona na samym ujściu kanału do Biebrzy, jest całkiem murowana o 11'7''8''' spadku. Pokład jej komory (radier du sas ou de la chambre de bateau) stanowi sklepienie odwrotne ceglane o 12 calach strzałki. Próg górny (buse d'amont) i dolny (buse d'aval), równie jak wszystkie cztery odrzwia wrotowe (chardonnets), fugi zapór tamowych (encastremens des batardeau), wiązarki murowe (chainette) i na koniec pokładka murowa (cordon, tablette) są ciosowe. Wrota są dębowe. Grobla oporowa (digue de retenue) tej śluzy ma 96 sążni długości i obejmuje dwa upusty drewniane, do rozrządzania stanem wód spławowych, do upuszczania roztopowych i od spławu zbywających, lub dla zasilania Biebrzy zebranych. Z upustów tych jeden jest o 6 stawidłach podwójnych, mających w otworze po 5 1/2 stóp szerokości, a 8 głębokości; drugi o 4 takichże stawidłach po 5 1/2 stóp szerokości, a 9 głębokości. Staw górny czyli nadstawie (bief d'amont) tej śluzy, stanowi przystań (gare) około 120 statków pomieścić mogąca. Przekop szenalowy 227 sążni długi, stanowi połączenie śluzy i kanału z Biebrzą.

Spław od tej śluzy do następnej Nr. 2 w Sosnowie, w długości 12 wiorst, odbywa się częścią starym korytem Netty, sprostowanym (redressé) na wiorst 10, a częścią kanałem bocznym kopanym, któ-

ry w długości wiorst 2 stanowi przekop szenalowy od śluzy Sosnowo. Cała ta część kanału opatrzona jest po prawej stronie wałem, tworzącym drogę do holowania, 15 stóp szerokości trzymającym. Na nim znajduje się na odnogach starego koryta 8 mostów i mostków przepustowych, z których 6 od 8 do 20 sążni, dwa zaś po $1\frac{1}{2}$ sążnia długości trzymają. Część tegoż wału prawego, w długości 3 wiorst od śluzy Dębowo, z taką długością wału po lewej stronie od grobli oporowej przy śluzie usypanego, tworzy dwie groble, zamykające przystań śluzową, w której działanie śluzy na podniesienie wody rozciąga się na 3 do 4 wiorst w górę.

Śluza nr. 2 w Sosnowie, położona przy końcu właściwego kanału bocznego rzeki Netty, jest całkiem i w tymże zupełnie sposobie jak poprzedzająca murowana, o $9'6''2'''$ spadku, z szenalem dolnym drewnianym na 52 stóp długim, a 31 stóp szerokim. Do rozrządzania stanem wód spławowych i odprowadzania roztopowych, jest przy tej śluzie w lewym wale kanału upust drewniany, o 2 stawidłach podwójnych na 5 stóp szerokich i tyleż głębokich, oraz odpowiedni kanał odpływowy do rzeki Netty, na 101 sążni długi, a 3 sążnie szeroki. Jako na trakcie bocznym przechodzącym tedy od Sztabina do traktu kowieńskiego, jest tu urządzony most pływak statkowy, z przystanią na galar, wykopaną w prawej burcie kanału.

Spław od tej śluzy do następnej nr. 3 w Borkach, odbywa się po dalszej rozciągłości kanału bocznego Netty, który tu w prostej linii na 6 wiorst jest wyrznięty, tak, że obiedwie te śluzy na jedynje osi kanału leżą. Obadwa brzegi tej części kanału, obwarowane są wałami, stanowiącemi razem drogę do holowania. Ogólna zatem ich długość z obu stron, wynosi 12 wiorst. W prawym

wale znajduje się 5 mostków przepustowych dla odchodu wód roztopowych, a przy jednym z nich ze strony zewnętrznej, staw z wodociągiem do pojenia trzody.

Śluza nr. 3 w Borkach, położona jest jak poprzedzająca na kanale bocznym Netty i w tymże sposobie murywana, o 6' 4" 2''' spadku, z szańcem dolnym bulwarowanym, na 26½ stóp długim, a 31 stóp szerokim. W lewym wale przystań górną zamykającym, założony jest upust o 2 stawidłach po 5 stóp szerokości i tyleż ciśnienia, z odpowiednim kanałem odpływowym. Ten, długi sążni 230 a 4 sążnie szeroki, służy do regulowania wód spławowych i odprowadzania roztopowych. Most statkowy pływak, w sposobie jak w Sosnowie urządzone, ułatwia komunikacyą na łąki, należące do włości przyległych.

Przystań przed śluzą urządzona i groblami z jęj odsypu pochodzącemi obwarowana, objąć może około 60 statków.

Spław od tęg do następnej śluzy n. 4 w Białobrzegach, w długości 7 wiorst, odbywa się kanałem kopanym będącym dalszym ciągiem kanału bocznego Netty. Jest on obwarowany po obu brzegach wałami, tworzącemi razem drogę do holowania, której zatém rozwinięcie ogólne z obu stron 14 wiorst wynosi, przy powierzchni średniego przecięcia 1½ sążnia □. Obejmuje 10 mostków przepustowych, z których 2 w lewym, a 8 w prawym wale. Przy dwóch z tych ostatnich od strony zewnętrznej, urządzone są do pojenia trzód stawy z wodociągami. Jeden z powyższych mostków przepustowych, założony jest na ujściu strugi *Węgrówki*, a drugi na ujściu połączonych strug *Turówki* i *Żarnówki*, z prawej strony do kanału wpadających. W lewym zaś wale o 2 wiorst poni-

żej Białobrzeg, na odłączającym się tu korycie rzeki Netty, w miejscu Spichlerzysko zwaném, urządzony jest upust drewniany o 3 stawidłach, po 5 stóp otworu i tyleż ciśnienia. Służy on do odprowadzania wód, których tu pomienione 3 strugi i roztopy wiosenne w nader wielkiej massie, niekiedy z niebezpieczeństwem dla całości dzieł wodnych, dostarczają. Jedną z ważnych na tej części kanału niedogodności, pociągających za sobą nietylko koszta konserwacyi, prawie corocznie dawniej ponawiane, ale nadto zatamowanie spławu zrządzających, było zanoszenie znacznej przestrzeni kanału spławowego piaskiem, który strugi Turówka i Żarnówka obficie w czasie roztopów lub powodzi unosiły i w kanale spławowym składały w zasy, niekiedy do 3 stóp grubości dochodzące. Wypadało zatem dragować je; przez stosowne wszakże obwarowanie wałami ujścia Turowki w r. 1844 dopełnione, otrzymano, iż wody powodziowe wznoszą się teraz naprzód na łąki i tam niesiony piasek składają, a następnie czyste, szeroką płachtą wierzchem wałów do rowu, ujście strug formującego, a ztamtąd do kanału przewalem spływają. Wody roztopowe, a następnie ostatnie powodie, które w sierpniu 1844 r. w sposób niepamiętny w okolicach tamtejszych miejsce miały, właściwość powyższego środka ochrony najlepiej wykazały.

Cała część właściwego kanału bocznego dotąd opisana, od Sosnowa do Białobrzeg rozciągająca się, w długości 15 wiorst nie była do r. 1831 uzupełnioną; wszystkie więc wyszczególnione tu roboty, dokończenie lub udoskonalenie spławu na celu mające, wykonane zostały od r. 1834 do 1837.

Śluza nr. 4 w Białobrzegach, murowana jak poprzedzające, lecz na palowaniu i kratowaniu, ma 6' 11"

7^{'''} spadku; z mostem zwodowym ślimakowym, na przedkomorku śluzowym i trakcie bocznym od Sztabina do traktu kowieńskiego prowadzącym. W grobli oporowej téj śluzy, 148 sążni długiej, dolinę Netty zapierającą, mieszczą się 2 upusty drewniane; z nich 1 o 4 stawidłach podwójnych po 5 stóp szerokości a 8 głębokości, drugi o 4 stawidłach pojedynczych, po 6 stóp szerokości a 4 głębok., służą do regulowania i odprowadzania wód rzeki Netty. Rzeka ta do jeziora Sajna całkowicie zwrócona, jest w niém za pomocą pomienionój grobli i upustów, według potrzeby i woli utrzymywana, i ztąd kanałem odpływowym dwie wiorsty długim, obok kanału bocznego wyrzniętym, do dawnego swego koryta wpływa, a następnie do Biebrzy uchodzi.

Przed śluzą, przystań (gare) między groblami ochronnymi kanału bocznego zawarta, 15 statków mieścić może.

Splaw od téj śluzy do następnej w Augustowie, odbywa się po dalszej rozciągłości kanału bocznego Netty, 6 wiorst długiego. Obwarowany jest on po obu stronach groblami ochronnymi; ogólna zatém ich rozciągłość 12 wiorst wynosi, przy powierzchni średniego ich profilu 1 1/2 do 2 sążni □. Prawa grobla zawiera 2 mostki przepustowe i dwa wodociągi z pojnnikami (abreuvor) do pojenia trzód, na zewnątrz prawego mostu urządzone; w lewej zaś grobli, na dawném korycie rzeczki *Sajownicy*, z jeziora Sajno wychodzącój, założony jest upust jednostawidłowy o 9 stopach otworu, a 4 ciśnienia, przeznaczony do rozrządzania stanem wód splawowych i roztopowych, oraz do przeprowadzania na kanał drzewa towarowego, z lasów rządowych po jeziorze Sajno splawianego.

Część ta kanału, przy pierwotném swoim urządzeniu wiele niedogodności w utrzymaniu nawigacyi przedstawiała, i dlatego téż w r. 1835 zamienioną została na kanał boczny, który się tu właściwie, to jest od śluży Augustów zaczyna, tworząc tém samym z częściami wyżej opisanemi rzeczywisty kanał boczny rzeki Netty, 21 wiorst długi; najdogodniejszy dla spławu, jako po wodzie stojącej odbywanego.

Dla osiągnięcia tak ważnego celu, rzeka Netta przy śluży w Augustowie z jeziora Necko wychodząca, skierowaną została bezpośrednio do jeziora Sajno, i całą swą prawie masą śluży obecnie do udogodnienia spławu, tak na części jój własnego koryta od Sosnowa do Dębowa, jako téż dla zasilku rzeki Biebrzy. System ten więcéj jeszcze ulepszonym został przez obniżenie upustu n. 1 w Białobrzegach. Główne korzyści z tego ulepszenia pozyskane, są:

1. Zamienienie jeziora Sajno 2,462,500 sążni □ powierzchni trzymającego, przy pierwotném urządzeniu spławu mało a właściwie wcale dla tegoż nieużytecznego, na nowy staw zapasowy pomocniczy, dostarczający dla zasilku rzek Netty i Biebrzy 3 miliony sążni sześć. wody, a zatém przeszło dwa razy więcéj, jak rezerwoar główny Serwy.

Otrzymanie tego nowego rezerwoaru, tém jeszcze staje się korzystniejsze, że przez obniżenie upustu z 4' 8" pierwotnego, do 8' obecnego ciśnienia na stawidła, rozrządzanie wodą odbywać się może według woli i potrzeby w wielkich na raz massach.

2. Ochrona dzieł wodnych poniżej położonych od szkodliwego działania wód roztopowych, na jakie dotąd często były narażane, albowiem przez obniżenie upustu,

jezioro Sajno da się w ciągu zimy lub wcześniej przed roztopami należycie opuścić, a zebrane wody wiosenne ze strug i jezior powyżej położonych, większy mając przestwór do zbierania się, ułatwią ich rozrzadzanie za pomocą upustów, a tém samym i ochronią dzieła poniżej położone.

3. Znakomite obszary łąk przy pierwotném urządzeniu spławów zalewem pokryte, a tém samym do indemnizowania kwalifikujące się, ocalone i do użytku przywrócone zostały.

Śluza nr. 5 w Augustowie, urządzona na wyjściu rzeki Netty z jeziora Necko, ma 7' 4" 10''' spadku; murywana na palowaniu i kratowaniu jak poprzedzająca, opatrzona jest mostem zwodowym żorawiovym, na jej przedkomorku i trakcie kowieńskim położonym. W grobli oporowej 257 sążni długiej, po której trakt kowieński przechodzi, mieszczą się dwa upusty, każdy o 4 stawidłach po 6 stóp szerokości, a 5 do 6 stóp głębokości, oraz 3ci upust, przy którym młyn rządowy murywany. Trzema temi upustami, wody rzeki Netty, z jeziora Necko i zasilkowe, oraz wody roztopowe, kanałem odpływowym 2 wiorsty długim, do jeziora Sajno, jak wyżej powiedziano, odchodzą. Przed śluzą, w obrębie miasta Augustowa, urządzona jest przystań, po największej części bulwarkiem drewnianym i oskałowaniem obwarowana; ta około 300 statków pomieścić może. Wśród przystani, zostawiony jest półwysep kształtu półkołowego, do grobli oporowej przytykający, przeznaczony na zabudowania składowe.

Od téj śluzy, zaczyna się łańcuch jezior, a żegluga od niej do następnej n. 6 w Przewięzi, w rozciągłości wiorst 10, odbywa się po jeziorach Necko i Białe, jednego poziomu będących, jużto za pomocą zagła lub laski (dla bra-

ku drogi do holowania, w długości 4 wiorst od Augustowa), już téż za pomocą holowania, to jest tam, gdzie jest droga do holowania urządzona. Droga ta długa na 6 wiorst, znajduje się po prawej stronie jeziora Białe.

Na wązkim przesmyku dwa wspomniane jeziora łączącym, w miejscu Klonownica zwaném, na trakcie kowieńskim, urządzony jest most zwodowy na przyczółkach murowanych, opartych na palowaniu i kratowaniu, czyli tak zwanym stojącym rosztwie.

ODDZIAŁ II. ŁAŃCUCH JEZIOR. Oddział ten rozciąga się od śluzy nr. 5 w Augustowie, do połączenia się z rzeką Hańczą przy śluzie nr. 12 w Sosnowce; zawiera więc długości wiorst 39. W skład jego wchodzi siedm jezior wyżej wymienionych, a połączonych z sobą przekopami i śluzami. Śluz tutaj jest 7, z nich jedna podwójna.

Śluzy te są następujące:

Śluza w tym oddziale pierwsza, a w ogólnym porządku n. 6 w *Frzewięzi*, o 4 stopach 10 calach i 2" spadku, jest na palowaniu i kratowaniu murowana, z progiem górnym (buse d'amont) ciosowym. Na środku jéj most zwodowy żorawiowy, na trakcie od Augustowa do Sejn tędą idącym, tworzy połączenie dwóch jezior sobie przyległych: Białe i Studzienniczne. Na odnodze jeziora Studzienniczne, o 1 1/2 wiorsty od śluzy, założony jest upust trzeci stawidłowy po 4 stóp szeroki, a 5 głęboki; służy on do odprowadzania wód zasiłkowych ze stawu zapasowego Serwy.

Splaw od téj do następnej śluzy n. 7 w Swobodzie, w długości 4 1/2 wiorst, odbywa się po jeziorze Studzienniczne: na 3 wiorstach za pomocą drogi do holowania, po prawym brzegu tegoż jeziora urządzonéj, a w dalszej części w okolicy, gdzie założenie drogi byłoby zbyt kosztowném, za pomocą laski i żagla.

Śluza nr. 7 w Swobodzie, o 6' 4" 2''' spadku, na palowaniu i kratowaniu, w sposobie jak poprzedzającą murowana, położona jest na zachodnim krańcu przekopu podziałowego, to jest od strony rzeki Biebrzy, którą łączy z jeziorem Studziennicze; stanowi zatem początek odpływu wód od punktu podziałowego ku Wiśle, a tém samém i zasilkowych z jeziora Serwy, i na ten cel opatrzona jest upustem dwustawidłowym, po 3 1/2 otworu, a 7' do 8' ciśnienia.

Jeziorko Slepém zwane, w układ kanału wprowadzone, stanowi tu przed śluzą przystań, około 40 statków mieścić mogącą.

Spław od téj do następnej śluzy n. 8 w Gorzycy, odbywa się w długości 8 1/2 wiorst kanałem, który stanowi przekop podziałowy (bief de partage), wyrzynięty w gruncie piaszczysto-górzystym, lasami pokrytym. Przekop ten ma 15' do 40' średniej głębokości; spadki w ustępy ławowe urządzone. Wierzchnia jego szerokość wynosi 120 do 200 stóp.

Znakomite to i kosztowne dzieło, bardzo porządnie wykonane, opatrzona jest drogą do holowania, prowadzoną naprzemian po prawym i po lewym brzegu kanału. Wysokie jego ławy i spadki burtowe, w gruncie piaszczystym kształcone, zabezpieczone są przeciw osypywaniu się, a kanał przeciw zanoszeniu piaskiem od wiatrów, za pomocą bardzo tu korzystnie i oszczędnie zastosowanego środka ochrony tego rodzaju przekopów, to jest za pomocą plakowania (placage, obsypka ziemna) z ziemi roślinnej na 6" grubości warstwy ubijanej na piasku, i trawami zasianej. Godną jest uwagi, iż przekop podziałowy w 8 1/2 wiorstach swój długości, nie potrzebuje zawsze być zasilanym ze stawu zapasowego Serwy; utrzymuje

się albowiem sam z siebie w stanie jednostajnie spławnym (6 stóp głębokości), za pomocą samych wód filtracyjnych. Cała więc masa stawu zapasowego, użyć się daje na zasilkowanie innych części rzék, w skład linii spławnej wchodzących.

Prawie na środku przekopu podziałowego, który jak wyżej powiedziano, jest także środkiem całego kanału, od strony północnej, wpada do niego od jeziora Serwy, jako stawu głównego zapasowego, kanał dopływowy na $1\frac{1}{2}$ wiorsty długi. Ten zamyka upust trzystawidłowy, Suchorzeczce zwany, mający 4 stóp otworu, a 5 do $6\frac{1}{2}$ stóp ciśnienia.

Przy ujściu powyższego kanału dopływowego do przekopu podziałowego pod wsią Żyliny, urządzony jest przez kanał most pływak tratwowy, na dawniej drodze od Augustowa do Hołynki i Grodna.

Pod względem stanu hydrograficznego téj okolicy, odnosząc ją do punktu podziałowego kanału Augustowskiego, na najwyższém miejscu rozciąga się system obszer-nych jezior, *Wigry* zwanych; z nich albo raczej przez nie przechodzi rzeka Hańcza, także do układu kanału należąca. Jeziora te w odległości 15 wiorst położone, są o $19' 0'' 7'''$ wyżej głównego rezerwoaru Serwy, a zatém o $24' 4'' 1'''$ wyżej od przekopu podziałowego kanału Augustowskiego. Tym sposobem w razie potrzeby posłużyć mogą, za pośrednictwem stosownych robót, do nader obfitego zasilenia kanału, nadewszystko zaś rzék Biebrzy i Narwi, którym tyle zbywa, jak wiadomo, na dogodności i pewności spławu; zwłaszcza w miesiącach letnich. Zasilenie to, tém łatwiejsze obecnie po dekonaném odwróceniu od kanału rzeki Hańczy, dozwoliloby na ten cel użyć około 300 stóp kub. wody na sekundę, to jest oko-

to $\frac{6}{7}$ całej masy wody rzeki Hańczy, dziś po większej części bezużytecznie do Niemna uchodzącej; tém samém massa wody w Biebrzy, 486 stóp kub. średnio na sekundę wynosząca, prawie o drugie tyle pomnożoną byłoby mogła. Pozyskanie tak znakomitej masy wody i siły, z czasem mogłoby także posłużyć do utworzenia w miejscach ku temu dogodnych machin i zakładów przemysłowych. Mniemać nawet należy, iż dogodności te stać się kiedyś muszą przedmiotem rozważki i pożytku dla tutejszej okolicy, która obecnie jest jeszcze mało zaludniona i znacznemi obszarami bagien, łąk i zarośli, mało lub wcale nieużytecznemi zastana (1).

Zasługuje tu na wspomnienie ta szczególna własność jeziora Serwy, iż nie mając żadnego znikąd dopływu wody, utrzymuje się wszakże w stanie prawie jednostajnej wysokości. To nie może być skutkiem czego innego, jak tylko napływu wód filtracyjnych, pochodzącego zapewne z wysokiego (19 stóp) względem niego położenia wielkiego systemu wyżej wspomnianych jezior, Wigry zwanych. Dopływ do jeziora Serwy, tym sposobem po jego opuszczeniu otrzymywany, oznaczyć się daje według pory roku i okoliczności sprzyjających na $\frac{1}{4}$ do $\frac{1}{2}$ cała wysokości wody w 24 godzinach.

(1) Zamierzone ze strony rządu osuszenie lasów i łąk nad rzekami Biebrzą, Łekiem i Jegrznią położonych, ma na celu podanie sposobu zarobkowania ludności, niedostatkiem żywności zagrożonej i obrócenie na użytek tych wielkich przestrzeni gruntów dotąd mało a właściwie wcale niepożytecznych.

Położenie tych gruntów, obok drogi splawniej, tém prędzej i pewniejsze nadać może zamierzonym celom rozwinięcie. Jestto więc początek rozwijania się widoków dla postępu rolnictwa, polepszenia bytu, pomnożenia się ludności w okolicy, które otwarcie komunikacyi wodnej za sobą koniecznie pociąga i ułatwia.

Okoliczność ta tłumaczyć także zdaje się dostatecznie ową obfitość wody filtracyjnej w przekopie podziałowym, mocą której tenże bez dopływu bocznego utrzymuje się w stanie nawigacyjnym zwyczajnym.

Śluza nr. 8 w Gorzycy, ma 9' 8" 5''' spadku, na palowaniu i kratowaniu w sposobie jak poprzedzająca murowana, opatrzona jest mostem zwodowym żorawowym, na trakcie nawigacyjnym zwanym, od Augustowa do Grodna wiodącym, i upustem dwustawidłowym po 3 1/2 stóp szerokości otworu, a 7' do 8' głębokości, oraz przystanią z zalewu przed śluzą utworzoną, około 150 staków mieścić mogącą.

Położona jest na wschodnim krańcu przekopu podziałowego, czyli od strony Niemna, stanowi zatem początek odpływu wód od punktu podziałowego ku rzece tej, a łączy przekop podziałowy z jeziorem *Orlewo*.

Splaw od niej do następnej śluzy N. 9 w Paniewie, w długości 3 1/2 wiorst, odbywa się przez ciąg dwóch jezior *Orlewo* i *Paniewo*, przekopem do jednego poziomu doprowadzonych, i drogą do holowania po prawym brzegu opatrzonych. Na przekopie, łączącym te dwa jeziora, urządzone jest, ku wygodzie włości przyległych, most pływak tratwowy.

Śluza nr. 9 w Paniewie, podwójna, łączy jezioro *Paniewo* z *Krzywem*; każda śluza ma spadku 11' 1" 4''', czyli razem cały spadek wynosi 22' 2" 8'''; na palowaniu i kratowaniu murowana w sposobie jak poprzedzająca; progi górny i środkowy ciosowe. Opatrzona jest upustem 3stawidłowym, po 3 1/2 stóp szerokości, a 7 do 8 głębok., który służy do regulowania i odprowadzania wód bezpośrednio do *Hańczy*, korytem strugi *Płacka* zwanój.

Splaw od téj do następnej słuzy N. 10 w Perkuciu, odbywa się po jeziorze Krzywe zwaném, i przekopie łączącym toż jezioro z następną służą. W drodze do holowania, dłużej $2\frac{1}{2}$ wiorsty, po prawym brzegu urządzonej, założony jest mostek przepustowy dla wód roztopowych.

Słuza nr. 10 w Perkuciu, położona na połączeniu jeziora Krzywe z Mikaszewem, ma spadku $9' 10'' 6'''$; całkiem murowana z pokładem (radier) w kształcie odwrotnego sklepienia o 12 calach strzałki i progami ciosowymi; opatrzona jest groblą oporową, a w niej upustem dwustawidłowym, po 3 stóp szerokości, a 6 głębokości.

Splaw od téj do następnej słuzy N. 11 w Mikaszówce, odbywa się po jeziorze Mikaszewo, usplawnioném za pomocą przekopów i stosownego pogłębienia w miejscach płytkich lub przerwy gruntowe tworzących. Droga do holowania w długości 6 wiorst, po lewym brzegu jeziora urządzona została.

Słuza nr. 11 w Mikaszówce, położona jest na końcu wschodnim jeziora Mikaszewo; ma spadku $8' 11'' 1'''$, jak poprzedzająca całkiem z kamienia polowego, cegły i ciosu murowana, z mostem zwodowym ślimakowym, na trakcie od Suwałk do Grodna. Opatrzona jest groblą oporową, a w niej upustem dwustawidłowym, po 4 stóp szerokości, a 6 głębokości.

Splaw od téj do następnej słuzy N. 12 w Sosnowce, odbywa się po kanale kopanym w dolinie między wyniosłemi gruntami, w długości wiorsty. Na drodze do holowania, po prawym brzegu urządzonej, przy ujściu kanału odpływowego od upustu, założony jest mostek przepustowy.

Śluza n. 12 w Sosnówce o 8'11" 11''' spadku, całkowicie jak poprzedzająca murowana, opatrzona jest groblą oporową, a w niej upustem 2stawidłowym, po 3½ stóp szerok., a 6 głębok., oraz przystanią na 25 statków. Położona jest na wschodnim krańcu kanału, przez łańcuch jezior dotąd prowadzonego, i łączy go z rzeką Hańczą, która od tego punktu wchodzi w układ linii splawnej, za pomocą przekopu szenalowego, 100 sążni długiego.

ODDZIAŁ III RZEKI HAŃCZY. Od śluzy opisaniej, почина się trzeci oddział kanału, to jest oddział rzeki Hańczy, **29** wiorst długości wynoszący, i **6** śluz, z których jedna potrójna, obejmujący.

Splaw od téj do następnej śluzy **N. 13** w Tartaku, odbywa się usplawnioném korytem Hańczy, zamienioném na kanał boczny téj rzeki, za pomocą odwrócenia jéj do Niemna z lewej strony powyżej Sosnówki, to jest punktu, w którym się rzeka ta z linią splawną łączy.

Część ta kanału, długa na 4 wiorsty, opatrzona jest drogą do holowania, po prawym brzegu sypaną, a ta wraz z częścią wału po lewej stronie do grobli oporowej i śluzy Tartak przytykając, formuje groble ochronne, utrzymujące wody służą pomienioną podniesione, i razem przystań 100 statków mieścić mogącą.

Prawa grobla obejmuje 3 mostki przepustowe, z których jeden na ujściu strugi *Piecia* zwanéj, wpadającéj do kanału z prawej jego strony.

Jako dzieło uzupełniające odwrócenie rzeki Hańczy, zmienienie pierwotnego jéj koryta na kanał boczny, a razem przeznaczone do rozrzędzania stanem wód splawowych, założone są tu dwa upusty i przekop odwrotowy. Piérwszy upust *zasilkowcy*, na korycie rzeki Hańczy, przy połączeniu jéj z kanałem założo-

ny, służy do dopuszczania wody według potrzeby, dla wypełnienia kanału bocznego i utrzymania go w stanie nawigacyjnym. Ma 3 stawidła, z których 2 po 5', a jedno środkowe na 12' szerokości, a 3' głębokości.

Drugi upust *odwrotowym* zwany, o 7 stawidłach, z których 3 podwójne, a 4 pojedyncze zwyczajne po 5 stóp szerokości, a 6 głębokości, założony jest na przekopie, odwracającym rzekę Hańczę.

Trzeciśm nakoniec dziełem w powyższym celu wykonaném, jest tu sam przekop, zwracający rzekę Hańczę od punktu wziętego powyżej upustu zasilkowego, w długości 2115 sążni wyprowadzony. Przekopem tym wody Hańczy od spławu zbywające, uchodzą do jeziora *Głębokie* zwanego, następnie przechodzą przez łańcuch jezior *Muły* i *Szlamy*, z tego ostatniego korytem strugi *Szlamicy* zlewają się do rzeczki *Marycha*; z nią powracają do pierwotnego koryta rzeki Hańczy, opuszczonego w skutek urządzenia spławu na niższej części kanału, i tém nakoniec korytem pod wsią *Warwiszki* do *Niemna* wpadają.

Trzy te dzieła, oraz śluza w *Tartaku*, w 1837 r. wykonane zostały w rozwinięciu projektu udoskonalenia, którego celem była poprawa systemu spławu pierwotnie na téj części kanału urządzonego. Zależał on na zastosowaniu znizania się wody płynącej, w naturalnym biegu i korycie zostawionój, zaczynając od punktu zetknięcia się z poziomem, jakiby tworzyła woda stojąca, podniesiona do wysokości stóp 14, w odległości 7 wiorst kanału przy śluzie w *Kudrynkach*, aby tym sposobem stracić 4 stopy spadku na téj odległości i śluzę w *Kudrynkach* na dziesięć stóp spadku założoną, o tyleż, to jest o cztery stopy znizyc. Lecz skutek nie odpowie-

dział tu oczekiwaniu i rachunkowi, tak dalece, że nietylko drzewo w górę spławiane być nie mogło, ale nawet statki z trudnością w tym kierunku holować przychodziło, i kanał podlegał wielkim zamuleniom na ujściu do niego rzeki Hańczy. Wypadało zatem tak przeważnie niedogodności usunąć; co téż przez założenie pośredniej śluzy w Tartaku, odwrócenie rzeki Hańczy i dzieł powyżej opisanych, czyli przez utworzenie kanału bocznego téj rzeki, do skutku doprowadzono.

Śluza n. 13 w Tartaku o 6' 8" 5''' spadku, całkowicie murowana, z progami, odrzwiami ciosowemi, zawarta jest w grobli oporowej, dłużej na 108 sążni, wpoprzek dolinę Hańczy zapiérającój; przy niej jest upust 3-stawidłowy po stóp 5 szerokości, a 6' głębokości, z potrzebnym kanałem odpływowym.

Spław od téj do następnej śluzy w Kudrynkach, odbywa się po dalszej części kanału bocznego Hańczy, prowadzonego dawném jej korytem, w długości 3 wiorst, opatrzonego drogą do holowania po prawym brzegu, w której mostek przepustowy jeden.

Śluza n. 14 w Kudrynkach o 7' 4' 10''' spadku, całkowicie z pokładem sklepionym jak poprzedzająca murowana, z progami i odrzwiami ciosowemi, mieści się w grobli oporowej, wpoprzek dolinę Hańczy zapiérającój. Upust drewniany o 2 stawidłach po 5 stóp szerok., a 12 głębok., założony został na posadzie jednego z dwóch pierwotnych upustów 6-stawidłowych, po 6 stóp otworu, a 8 do 12 ciśnienia, w skutek odwrócenia Hańczy zniszionych.

Zalew przed groblą oporową kształci przystań, 90 statków objąć mogącą.

Splaw od téj do następnej śluzy n. 15 w Kurzyńcu, odbywa się po dalszym ciągu kanału bocznego Hańczy, prowadzonego korytem téjże rzeki w długości 5 wiorst. Opatrzony on jest po prawym brzegu drogą do holowania, w której mieści się mostków przepustowych 7. Z mostków tych jeden jest na ujściu strugi *Rudawka* zwanéj, z prawej strony do kanału wpadającéj.

Śluza n. 15. w Kurzyńcu o 10' 8" 1''' spadku, całkowicie na pokładzie sklepionym, jak poprzedzająca, murowana, z progami i odrzwiami ciosowemi. Mieści się ona w grobli oporowej, długiej 140 sążni, wpoprzek dolinę Hańczy zapiérającéj. Upust o 3 stawidłach podwójnych, 5 stóp szerok., a 8 głęboko., założony jest na posadzie jednego z pierwotnych upustów, w skutek odwrócenia Hańczy zniesionych, a z których każdy o 6 stawidłach podwójnych, miał po 6' szerok., a 8' do 10' głębokości. Most zwodowy żorawkowy na przedkomorku téj śluzy oparty, należy do traktu bocznego, nawigacyjnym zwanego, a prowadzącego od Augustowa na Sopockinie do Grodna, i z Grodna do Sejn.

Zalew przed groblą oporową, kształci tu przystań 120 statków pomieścić mogącą.

Splaw od téj do następnej śluzy n. 16 w Wołkuszu, odbywa się po dalszym ciągu kanału bocznego Hańczy, w długości 1 wiorsty, korytem téjże rzeki prowadzonego. W drodze do holowania po prawym brzegu urządzonej, mieszczą się 2 mostki przepustowe.

Śluza n. 16 w Wołkuszu o 12' 2" 0''' spadku, całkowicie jak poprzedzająca z pokładem sklepionym, progami i odrzwiami ciosowemi murowana, położona jest na końcu przekopu szenalowego górnego, i w grobli oporowej. wpoprzek dolinę Hańczy zapiérającéj. Dłu-

gość grobli téj z przekopem wynosi 280 sążni. W niej mieści się także upust o 3 stawidłach podwójnych po 5' szeroko., a 10' głęboko., założony na posadzie jednego z 2 pierwotnych upustów, w skutek odwrócenia Hańczy zniesionych, z których każdy zawierał po 6 stawideł podwójnych o 6 stóp szeroko., 7 do 10 głęboko. Zalew groblą oporową i służą zrządzony, kształci przystań 150 statków pomieścić mogącą.

Splaw od téj do następnej śluzy n. 17 w Dąbrówce, w długości 6 wiorst, odbywa się po dalszym ciągu kanału bocznego Hańczy, zawsze dawném jój korytem prowadzonego, i za pomocą drogi do holowania, po prawym brzegu urządzonej. Na niej znajduje się 11 mostków przepustowych; z tych jeden na ujściu rzeczki Wolkusz lub Wolkuszek, do kanału wpadającej. Wody roztopowe nader obfite téj rzeczki, często szkodliwy tu wpływ na dzieła kanałowe wywierają.

Śluza n. 17 w Dąbrówce o 10' 4" 6" spadku, całkowicie z pokładem sklepionym, progami i odrzwiami ciosowemi jak poprzedzająca murowana, mieści się w grobli oporowej 127 sążni długiej, wpoprzek dolinę Hańczy zapiérającej. W niej także urządzone dwa wielkie upusty: jeden o 6 stawidłach podwójnych, po 5' szeroko., a 13' głęboko.; drugi o 4 stawidłach, po 5' szeroko., a 10 1/2 głęboko. Wielkość upustów tych zastosowana jest nietylko do rozrzadzania wodami splawowemi, lecz szczególniej do odprowadzania wód roztopowych wyżej wspomnionój rzeczki Wolkuszek. Upusty te założone zostały na posadach dwóch wielkich pierwotnych upustów, po 6 i 8 stawideł podwójnych, 5 1/2 stopy szerokości, a 9 do 11 głębokości zawierających. Te zaś

ostatnie w skutek odwrócenia rzeki Hańczy zmniejszone jak wyżej zostały.

Przez środek śluzy urządzonej jest most zwodowy żorawowy, na trakcie od Augustowa, Suwałk i Sejna, na Sopockinie do Grodna idącym.

Spław od téj do następnej śluzy nr. 18 w Niemnowie, a więc i do ujścia w Niemen, odbywa się po dalszej części kanału bocznego Hańczy w długości 10 wiorst, z których w rozległości czterech wiorst, do Czortku, na dawném korycie rzeki. W grobli oporowej, na przedłużeniu lewego wału kanałowego, dolinę Hańczy w tém miejscu zamykającej, na odnogach koryta rzeki, mieszczą się dwa wielkie upusty: jeden o 6 stawidłach podwójnych, po 5 szerokości, a $8\frac{1}{2}$ głębokości, drugi o 4 takichże stawidłach, po 5 szerokości, a $12\frac{1}{2}$ głębokości. Dla téjże przyczyny jak w Dąbrówce, upusty te założone zostały na posadach dwóch pierwotnych upustów, o 6 i 8 stawidłach podwójnych, po $5\frac{1}{2}$ szerokości, a $8\frac{1}{2}$ do $12\frac{1}{2}$ głębokości, w skutek odwrócenia Hańczy zmniejszonych.

Dalszy spław na 6 następnych wiorstach odbywa się kanałem bocznym, kopanym około 3,523 sążni przez bagno Kurkuł zwane. Tém samém więc kanał ten w zupełności od koryta Hańczy odchodzi, na miejscu którego koryta mieści się śluza potrójna, oraz upust o 3 stawidłach, po 5' szer., a 8' głębokości. Upust ten przeznaczony jest w pomoc upustom w Czortku do rozrzadzania wodami spławnymi i roztopowemi; te do koryta strugi Ostaszka zwanéj, a następnie do Niemna, poniżej ujścia kanału, odprowadza.

Cała ta część kanału opatrzona jest drogą do holowania, a mianowicie: od Dąbrówki do Czortka po pra-

wym brzegu urządzoną, zaś od Czortka do Niemnowa wałami po obu stronach sypanemi, z których lewy do holowania przeznaczony, mieści po obu stronach 11 mostków przepustowych różnej wielkości.

Przez kanał pod Czortkiem i na trakcie od Sejn do Grodna prowadzącym, urządzony jest most zwodowy, na przyczółkach ciesiołkowych.

Śluza nr. 18 w Niemnowie, potrójna, o 32'9" spadku (na każdą po 10' 11"), całkowicie z pokładami sklepieniami i 4 progami, odrzwiami, murowana, położona jest przy ujściu kanału do Niemna, z którym go łączy za pomocą szenalu czyli przekopu ocembrowanego, na 63 sążni długiego. Ten pod względem kierunku osi do kierunku nurtu Niemna, czyli pod względem kąta ujścia, nader korzystnie jest założony; tak dalece, że przy zwyczajnym stanie wód, nietylko nie podlega zanoszeniu piaskami od Niemna, jako naturalnemu, a najczęściej nieuchronnemu skutkowi połączenia się wody bieżącej ze stojącą, ale nawet zdarzają się przypadki, iż gdy ze szczególnego kierunku, jako zmiennego, lub przybywania rzeki Niemna, część przekopu szenalowego zostanie zaniesioną, takowa oczyszcza się sama przez się skutkiem działania rzeki, przy powrocie jej do zwyczajnego stanu i do kierunku biegu.

Przez środek pierwszej z 3 komór śluzowych, na trakcie zwanym nawigacyjnym, ponad Niemnem idącym, urządzony jest most zwodowy żórawiowy, a przed śluzą dwie przystanie w niewielkiej od siebie odległości, razem 371 długości, a 24—32 sążni szerokości trzymające; wygodnie i ozdobnie urządzone, mieścić mogą do 100 statków.

Uwagi ogólne o budowie i użyteczności kanału. Kanał Augustowski, rzadkim w tego rodzaju dziełach przykładem, jak obejmuje wszelkie korzyści i dogodności, wynikające z hydrograficznego położenia swego, a ułatwiające rozrzadzanie obfitością wód; tak też co do dzieł wodnych jest nietylko starannie, mocno, ale nawet ozdobnie wykonany.

Co do budowy dzieł wodnych. Wszystkie śluz kanału tego, jak w początku powiedziano, murowane są według przeznaczenia każdej części budowy, z następujących materiałów; z kamienia polowego: fundamenta, przypory (contre forts), ściany śluzowe (bajoyers); z cegły wodotrwałej: wszelkie mury licowe (mur de revêtement), pokłady komór śluzowych (radiers du sas), ich przedłużenia górne i dolne (avant et arrière radiers); na koniec z kamienia ciosowego: progi śluzowe górne i dolne (buses d'amont et d'aval), odrzwia wrotowe (chardonnets), więzarki murów licowych (chainettes), fugi w zaporach tamowych (encastrement des batardeaux), narożniki komór wrotowych (chambre des portes busquées), narożniki w przedkomorkach i zekomorkach śluzowych (musoirs d'amont et d'aval), oraz pokładka murowa (cordontablette).

Wszystkie inne dzieła, jakoto: upusty, mosty zwodowe i zwyczajne, mostki przepustowe, są drewniane, sosnowe lub dębowe.

Wrota śluzowe dębowe właściwego sobie składu, silnie okute, obracają się na czopach i paprzycach (crapocline), oraz zawiasach o dwóch ramionach po 10' długich, z żelaza lanego, osadzonych w kamieniu ciosowym i asfaltem zalanych.

Do poruszania stawideł wrotowych (portières) użytym jest mechanizm, będący nader korzystnym zastosowaniem śruby bez końca; tak, iż przy użyciu siły jednego człowieka, zwycięża się ciężar średniego ciśnienia wody na stawidła wrotowe, według spadku śluzy, od 64 do 96 centnarów wynoszący. Dogodność mechanizmu tego tém jest korzystniejszą, że podnoszenie stawideł za pomocą śruby o małym kroku i łagodnej równi pochyłej, odbywa się wolno i jednostajnie.

Do stawideł upustowych (vannes de fond) pojedynczych lub podwójnych, równie jak do stawideł wrotowych przy śluzach o małym spadku, użytym jest zastosowanie zwyczajnego lewaru (cric), lub téż zwyczajne kluczki (sztangi) szczeblowane, do poruszania za pomocą dźwigni.

Zabudowania mieszkalne i składowe. Cała linia splawna dzieli się pod względem dozoru konserwacyjnego na 18 wydziałów. Służba konserwacyjna kanału, składa się z jednego naczelnika objazdu, jednego pomocnika, dozorców i stróżów. Do pomieszczenia tych ostatnich, to jest dozorców i stróżów czyli dróżników, znajduje się 24 koszar kanałowych. Z tych jedne są murowane, inne drewniane. Ogólna ilość zabudowań, to jest koszar, magazynów oraz zakładów do wyrobu wapna hydraulicznego i cegły, wynosi 65.

Rzut oka na historią robót i kosztą budowy.

Widzieliśmy, że trudności napotykanne w układach z rządem pruskim o taryffę celną, zrodziły myśl urządzenia kanału Augustowskiego. Otóż dla urzeczywistnienia téj myśli, w r. 1823 z rozkazu Najjaśniejszego Pana polecono zająć się rozpoznaniem okolicy, wyberem kierunku linii splawnej i wyrobieniem projektu.

Czynność tę, dla pozyskania tém korzystniejszego i spieszszego skutku układów konwencyjnych, polecono inżynierom h. wojska polskiego w przeciągu lat 4 wykonać. Pomiar okolicy, spoziomowanie linii i wyrobienie projektu, zajęło dwa lata czasu; rozpoczęcie więc właściwych robót wodnych nastąpiło w r. 1825. Te po dojściu konwencyi do skutku, z mniejszym już pośpiechem przez lat sześć prowadzono, tak jednak, że już w r. 1830 kanał lubo nie we wszystkich częściach wykończony, do spławu jednak otworzonym został.

Do ogółu robót należało także uszlawnienie rzeki Biebrzy, którą pod tym względem, jako graniczną od połączenia się z kanałem Augustowskim do ujścia w Narwę, na dwie podzielono części. Uszlawnienie części od ujścia na 32 wiorst, wykonano ze skarbu Cesarstwa, pod kierunkiem inżynierów Komunikacyj lądowych i wodnych.

Za zasadę w rozkładzie robót przyjęto, aby w miarę ich postępu spław się otwierał w kierunku od Wisły do Niemna. Tym sposobem ułatwiono dostawę materyałów, a zwłaszcza kamienia ciosowego z nad brzegów Pilicy.

Po przerwie robót w r. 1830, rząd przedsięwzięt rozpoczęte dzieło uzupełnić. Jakoż pod względem potrzebnych na ten cel funduszów, oraz osiągnąć się następnie mogących dochodów, ze spławu i razem z ułatwioną sprzedażą drzewa z lasów rządowych gubernii augustowskiej, kanał Augustowski za stosownym kontraktem wypuszczony został w r. 1833 Bankowi Polskiemu. Ten pod kierunkiem technicznym h. Dyrekcji komunikacyj lądowych i wodnych, w latach 1833 do 1838 włącznie dokończenie kanału do skutku doprowadził, a następnie utrzymywał go aż do r. 1844, to jest do

czasu, w którym kanał przeszedł pod wyłączne zawiadywanie Zarządu komunikacyj lądowych i wodnych.

Roboty wszakże w tej ostatniej epoce wykonane, nie tylko miały na widoku samo uzupełnienie dzieł rozpoczętych, między którymi najważniejszém było dokończenie kanału bocznego rzeki Netty od Białobrzeg do Sosnowa, w długości 15 wiorst i na nim dwóch śluz w Borkach i Sosnowie, jako téż odbudowanie wielu dzieł w r. 1830 zniszczonych, jakoto 8 mostów zwodowych i wrót śluzowych; lecz także i głównie wykonanie robót, mających na celu ulepszenie systemu spławu, których przy pierwotnym projekcie, albo nie miano zamiaru lub czasu zastosować, albo téż których potrzebę doświadczenie dopięro wykazało. Między robotami tego rodzaju, najważniejsze zajmuje miejsce odwrócenie rzeki Hańczy i zamienienie pierwotnego jej koryta na kanał boczny. To doprowadzono do skutku, z powodów i w sposobie wyżej na właściwém miejscu przytoczonych.

Niemniej ważną jest druga tego rodzaju robota, przedsięwzięta dla ulepszenia spławu na części kanału między Augustowem i Białobrzegami. Kanał ten zamieniono na kanał boczny rzeki Netty; w skutek tego jezioro Sajno pierwotnie mało użyteczne, zamieniono na znakomity zapasowo-pomocniczy staw wody, której obecnie dostarcza 3 miliony sążni sześciennych, dla zasiłkowania rzék Netty i Biebrzy.

Powyższy rzut oka na historiją robót, uzupełnią następane wykazy robót wykonanych, wyłożonych na nie kosztów, i użytych materyałów.

Koszta budowy kanału Augustowskiego.

Przedmiot wydatkowania	Summy wydatkowane		
	w szczególności w ogólne		
	Ruble i kopiejki		
a) Z epoki robót od r. 1824 do 1830 włącznie.			
1) Wydatki ogólne i roboty przygotowawcze, jakoto: pomiar i niwellacya.	4,090	31	
Koszta podróży i wynagrodzenia płacy dla służby.	35,690	82	
Utrzymanie kancelaryi zarządowej, rachunkowości i kassy, dozór i wydatki nadzwyczajne.	51,140	49 1/2	
Magazyn ogólny materiałów i narzędzi.	363,776	81	
Nakłady i wyrób wapna hydraulicznego.	49,122	69	
Cegielnie i cegła.	24,436	77 1/2	528,257 90
2) Budowa 20 śluz (z podwójną i potrójną), upustów, mostów, grobel, dróg do holowania, kanałów odpływowych i przekopów.	610,945	43	
3) Kanały i przekopy znaczniejsze:			
1. Przekop podziałowy (9 wiorst).	115,196	74 1/2	
2. Kanał boczny Kurkuł (9 wiorst).	52,049	97 1/2	
3. Uszląwnienie Netty z kanałem jej boczny.	118,853	74	897,045 89
Razem wydatek na właściwy kanał od Biebrzy do Niemna.			1,425,303 79
b) Z epoki od r. 1833 do 1844 włącznie.			
Dokończenie kanału i roboty amelioracyjne	133,333	78	
Odbudowanie dzieł zniszczonych w czasie wojny.	22,175	32	
Naprawy i utrzymanie kanału od r. 1833 do 1844.	63,025	38	218,534 48
W ogóle koszt budowy i utrzymanie kanału do r. 1844 włącznie.			1,643,838 27
Do tego dodać jeszcze należy i materiały drzewne z lasów rządowych wydane, a których wartość wynosi.			52,630 32
Całkowity więc koszt budowy i utrzymanie kanału do 1844 r. wynosi.			1,696,468 59

Materyały użyte do budowy kanału Augustowskiego.

Rodzaj materyałów	Rodzaj miary lub wagi	Użyto materyałów		
		W epoce robót		Razem
		Od roku 1824 do 1830	Od r. 1833 do 1843 włącznie, t. j. na dokończenie budowy	
Murowe.				
Kamienia ciosowego.....	stóp kub.	107,060	16,100	123,160
„ polowego.....	sążni kub.	9,219	645	9,864
Cegły.....	sztuk	5,876,400	568,600	6,445,000
Wapna hydraulicznego.....	korey	73,069	11,759	84,828
Drzewne.				
Budulcu sosnowego.....	stóp kub.	1,968,530	174,690	2,143,220
„ dębowego.....	„	82,360	26,938	109,298
Opałowego.....	sążni kub.	19,098	994	20,092
Gontów.....	kóp	„	1,303	1,303
Węgla.....	korey	68,926	1,800	70,926
Metalowe.				
Żelaza lanego i kutego.....	centnarów	6,786	1,360	8,146
Stali.....	funtów	10,754	„	10,754
Blachy żelaznej.....	„	27,363	408	27,771
Drotu żelaznego.....	„	223	„	223
Mosiądzu.....	„	5,932	828	6,760
Ołowiu.....	„	83,150	3,338	86,488
Cyny.....	„	95	„	95
Miedzi.....	„	132	„	132
Cynku.....	„	53	1,000	1,053

Materyały te w następnych miejscach były dobywane lub wyrabiane:

Kamień piaskowiec wydobywany był w Zbożenny, majątku generałowej Malletskiej w Radomskim, o mil 2 od Pilicy, do której sprowadzono go łądem, a następnie przechodził przez Wisłę, Narew, Biebrzę, Nette. Jest on koloru białego, składa się z części jednorodnych, wodę wytrzymujących. Do obrabiania go używano kamieniarzy krajowych.

Kamień ciosowy używany był do słuz i ich najwydatniejszych części, do ścian i do muru spadkowego.

Wapno. Dobywano go w sztukach zwyczajnych, okrągłych, w okolicach kanału. Ze sztuk tych sporzą

dzano przy kanale w dwóch zakładach, to jest w Białobrzegach i Gorzycy, wapno hydrauliczne, które w kilku sekundach po zanurzeniu w wodzie twardnieje, a po kilku dniach takiej nabiera twardości, że się kamieniowi równa. Do uformowania wapna tego, używano w średniem przecięciu sto części wapna zwyczajnego, a dwadzieścia części gliny siwej garncarskiej.

Cegła. Dyrekcyja kanałowa założyła dwie wielkie cegielnie: jedną w Augustowie, drugą na Hańczy. Cegła jest szczególniej dobroci; przy strychowaniu i wyrzucaniu jój nie używano wody, lecz piasku, co przyczyniało się do lepszego jój wypalania.

Żelaza tak lanego jak i kutego dostarczała huta Krasnoborska, pana Brzostowskiego.

Drzewo sosnowe brano z leśnictw rządowych bezpłatnie, dębowe i inne użytkowe kupowano w lasach prywatnych.

Machiny używane przy kanale. 1) Do wylewania wody: ręce ludzkie, do czego po większej części używano żydów; koła czerpakowe, pompy, śruba Archimedesza poruszana kołmi; 2) do pogłębiania rzek i przekopów: machina dragująca, sporządzona podług najnowszych modelów; 3) do wbijania palów i szpunt-palów: kafary zwyczajne z kołem excentrycznie wystającym; ciężar nie odczepiał się w górze.

Liczba i rodzaj robotników. Wszyscy robotnicy najęci i płatni, lecz rozmaitym sposobem. Cegłę i wapno robili rzemieślnicy wojskowi; mularkę: częścią mularze najęci z Prus, a częścią majstrowie wojskowi. Kopanie ziemi uskuteczniało się przez entreprzyę; entrepreneurowie najmowali częścią włościan z augustowskiego, czę-

ścią z okolic Wilna; robili też tu i żołnierze wojsk cesarsko-rossyjskich urlopowani, albo wysłużeni. Wylewanie wody i wbijanie palów, odbywało się po największej części przez najętych żydów.

W ogóle liczba robotników wynosiła rocznie od 5,000 do 7,000 ludzi, w którejto liczbie mieściło się do tysiąca żydów.

Kierunek pracy. W epoce robót od 1824 do 1830 r. głównie kierującym robotami był generał brygady korpusu inżynierów Malletski, a pod nim podpułkownik Rossmanu. W miarę postępu pracy formowano na kanale wydziały, powierzane oficerom inżynierji. Między innymi, w roku 1827 rozdział prac był następujący: porucznik Przyrembel kierował robotą śluzy Dębowo (1); porucznik Bieliński był przy skończonej śluzie Białobrzegi i dozorował fabrykę wapna hydraulicznego; porucz. Randau był przy skończonej śluzie Augustów, i dozorował cegielnię wielką; porucz. Szule kierował robotą śluzy Ruda Wojciechowska i przekopu; kapitan Arnold robotą śluzy Gorczyca, tudzież fabryką wapna hydraulicznego i przekopem, a drugi kapitan kierował robotą śluzy Swoboda i przekopu; porucznik Horain robotą śluzy Paniewo i przekopu; porucz. Piędzicki robotą śluzy Perkuć; porucz. Korczakowski robotą śluzy Mikaszowka; porucz. Jodko robotą śluzy Sosnówka.

Rozpoczętemi na nowo po przerwie w 1830 r. robotami, kierował major korpusu inżynierji, obecnie pułkownik Urbański, z dodaną odpowiednią pomocą.

(1) Z przyjemnością oświadczam, że znakomitemu technikowi temu, obecnie członkowi Zarządu *Kommunikacyj*, wiele winien jestem wdzięczności za udzielaną radę i pomoc w tém piśmie.

Przyp. autora.

O użyteczności komunikacyj wodnych, a w szczególności kanału Augustowskiego.

Chociaż korzyści wszelkiej komunikacji, a zwłaszcza wodnej, do ważnego punktu odbytowego prowadzącej, pod wielu względami uważać i oceniać należy; te wszakże do dwóch głównych sprowadzić się dają, a mianowicie: *a)* do korzyści i widoków spekulacyjnych czyli dochodów bezpośrednich, gotowych, z opłat pobieranych, i *b)* korzyści pośrednich, to jest takich, jakie za sobą koniecznie pociąga wszelkie ułatwienie komunikacji tak dla rządu, jako téż dla gospodarstwa krajowego w ogóle, a w szczególności dla okolicy, przez którą przechodzi.

Kanał Augustowski pod pierwszym z tych względów uważany, mniej niż każde inne tego rodzaju dzieło przedstawia korzyści. To téż głównym celem otworzenia téj komunikacji nie były dochody téj natury. Wiedziano dobrze, że prawie wszędzie korzyści te są bardzo niepewne, jak to niedawno jeden ze znakomitych urzędników, przy ważnej okoliczności przedmiotu tego dotyczącej, słusznie powiedział (1). Kiedy rolnictwo, handel, pomyślność okolicy i całego kraju, wzniosą się do stanu, jaki im koniecznie otworzenie drogi odbytowej przyspieszyć i nadać musi; wtedyto dopiero ruch nawiga-

(1) Becquen, radca stanu, dyrektor generalny dróg i mostów i górnictwa we Francji, w mowie mianej w izbie deputowanych w przedmiocie potrzeby i użyteczności dróg spławowych, i ze względu na usprawiedliwienie kosztów nakładowych na komunikacje tego rodzaju i korzyści z nich spodziewane, tam zwłaszcza, gdzie prowadzenie wszelkich ciężarów na kołach degradacją dróg kamiennych przyspiesza, a zatem i koszta ich utrzymania powiększa. *Journal du genie civil*. T. 7. 1828.

cyjny przynieść może spodziewane dochody, i te nierównie się powiększą.

Lecz aby dojść do tego rezultatu, trzeba wielu przyjaznych okoliczności, a szczególnie czasu; we względzie spekulacyjnym, lata wiele wchodzi w rachunek. Jak zaś dalece prawdą być musi, że dzieła, zwłaszcza znakomitsze tego rodzaju komunikacji, mało odrazu przedstawiają widoków czysto spekulacyjnych, wtenczas nawet, gdy oprócz dochodów z opłat, przedstawiają się zyski z gruntów zużytecznionych; dowodzi tego powszechny brak współubiegania się kapitalistów o przedsiębiorstwo robót około zakładania i utrzymywania kanałów. Dzieła takie wielkich wymagają nakładów; dopiero długie niekiedy lata dochody z nich wykryć mogą. spekulanci zaś zwykle na takie tylko puszczają się przedsiębiorstwa, które im spieszne, bezpośrednie i gotowe korzyści zapewniać mogą.

Mimo to wszakże nie podlega zaprzeczeniu, a rachunek poprzeczyby rzecz zdołał, iż gdyby projekt pierwiastkowo powzięty został był całkowicie wykonany, to jest, gdyby doszła do skutku wielka linia nawigacyjna, jako droga odbytowa dla produktów królestwa i zachodnich gubernij cesarstwa, i naodwrot dla towarów kolonialnych od Wisty do Bałtyku w granicach Cesarstwa zamierzona, której kanał Augustowski część i niejako ciąg dalszy miał stanowić: natenczas bez wątpienia, i pod względem o którym tu mowa, to jest pod względem spekulacyjnym, kanał Augustowski w znakomitym stopniu odpowiedzialby oczekiwaniu. Nieosiągnięcie więc tego źródła dochodu na tutejszym kanale, jest koniecznym rezultatem odstąpienia od celu, pierwotnym projektem założonego.

Jakkolwiek dochody te niewiele dziś stanowią, są przecież takie, że obok dogodności drogi spławowej dla okolicy, i wpływu, jaki na polepszenie bytu mieszkańców ta droga wywiera, nietylko pokrywają wydatki potrzebne na utrzymanie, ale nawet pewną oszczędność jako korzyść przynoszą.

Jakoż dochód gotowy terazniejszy stanowi: 1) pobór myta spławowego. Ten w r. 1845 przyniósł rub. sr. 2,608 kop. 14. Z powodu wstrzymania wyprzedaży drzewa z lasów rządowych na handel zagraniczny, co dotąd stanowiło główną cyfrę tego rodzaju przychodu, w r. 1846 dochód ten znacznie uległ zmniejszeniu, i wynosił rub. sr. 777 kop. 15; razem z dwóch lat rub. sr. 3,385 kop. 29. Średni zatem dochód z poboru myta oznaczyć się daje rocznie na rub. sr. 1,692 kop. 64. 2) Oszczędność pozyskana na różnicy kosztów transportu wodnego od lądowego soli rządowej, do sześciu magazynów w gubernii augustowskiej, a od punktu Osowiec nad Biebrzą, dokąd dawniej sól wodą, a ztąd dalej na kołach rozwożoną była, obliczona. Według ob rachunku na zasadzie akt właściwego wydziału Kom. Rząd. Przychodów i Skarbu dopełnionego, oszczędność ta w r. 1842 wynosiła rocznie rub. sr. 14, 250. Obecnie zaś, z powodu powiększenia konsumcyi tego artykułu, z 55 tysięcy na 61,600 centnarów rocznie, etatem na 6 magazynów okolicy téj przeznaczonych, oszczędność ta przez stosunkowe obliczenie oznaczyć się daje rocznie na rub. sr. 16,000. Średni zatem dochód gotowy roczny z kanału Augustowskiego z dwóch tych pozycji, wynosi rub. sr. 17,692 kop. 64.

Nie można zdaje się zaprzeczyć zasady rachunkowi temu, bo o ile kto oszczędza nieuchronny wydatek, o tyle

ma przychodu; oszczędność więc na transporcie wodnym soli pozyskana, stanowi tu rzeczywisty dochód, wynikający dla skarbu z utrzymania kanału Augustowskiego w stanie spławu.

Tyle więc powiedzieć się dziś daje o przychodach gotowych z linii spławnej, o której tu mowa.

Lecz jest drugie źródło korzyści z dróg nawigacyjnych: sąto korzyści pośrednie, których same widoki spekulacyjne osiągnąć nie mogą, a z których okolica, kraj, całe społeczeństwo owoce zbierać może. Otworzenie drogi spławowej powiększa wartość dóbr ziemskich okolicy, przez którą przechodzi, nadaje wyższą cenę produktom zbywanym przy ułatwieniu ich transportu, a przeciwnie zniża cenę nabywanych; a tak podając mieszkańcom sposobność wynagrodzenia sobie pracy i usiłowań, zachęca przemysłowość okolicy, rozwija ją lub tworzy. Następstwem zaś tego jest dobry byt mieszkańców; ludność i konsumpcya wszelkiego rodzaju pomnaża się, targi i zamiany stają się częstsze i liczniejsze. Tym sposobem rozlicznemi drogami zbiera się pożytki, i niema powodów żalowania kosztów, wyłożonych na tak użyteczny zakład. Pod tymto względem kanał Augustowski już odpowiada oczekiwaniom rządu, wprawdzie nie w zupełności, ale tylko w pewnym, zawsze wszakże znamienitym stopniu: bo téż w części tylko doprowadzonym został do skutku cel główny, jaki przy utworzeniu jego zamierzono.

Ktokolwiek znał i pamięta stan bytu okolicy téj przed utworzeniem kanału, i porówna go z teraźniejszym, przyzna, że jakkolwiek stan ten, wprawdzie dalekim jest jeszcze od takiego, aby mało do życzenia pozostawiał, różnica wszakże zbyt jest wyraźną, zbyt

uderzającą na korzyść polepszonego bytu społecznego. Zważyć jeszcze należy, ile przez urządzenie kanału tego i wybicie komunikujących z nim rowów odpływowych, osuszono powierzchnię ziemi i w użyteczną zamieniono; i jaki wpływ ulepszenia te wywarły, nawet na stan zdrowia mieszkańców. Mało kto ten wpływ uważał, mało kto go obliczał, choć wielu z niego korzysta.

Nie można tu także przepomnieć owego wpływu, jaki sam zamiar otworzenia komunikacji o której mowa, i decyzja najwyższa względem doprowadzenia go do skutku w r. 1823 zapadła, na ogólne gospodarstwo krajowe wywarła. Lubo korzyść z tego pochodząca, tylko z peryodu lat 13 dla kraju była osiągnięta, da się jednak cyframi oznaczyć; a zbyt jest znakomitą, aby na uwagę nie zasłużyła, i aby jej tu nie wykazać. Ta wiadomość statystyczna posłuży za dowód, jak dalece ważnymi są wypadki na pozór niedostrzegalne owego wpływu, jaki wielkie roboty mające na celu ułatwienie związków handlowych, wywierają na stan przychodów i gospodarstwa krajowego. Korzyść ta pochodzi z różnicy wysokości cła tranzytowego, opłacanego przez mieszkańców królestwa rządowi pruskiemu od produktów Wisłą i Niemnem prowadzonych, w epoce taryfry konwencyjnej od r. 1825 do 1837 trwającej; bo znakomite jej znizenie pozyskano, jak wiadomo, w swoim czasie w długiej drodze układów i przez zamierzenie otworzenia ze środka królestwa nowej wielkiej drogi spławowej, prowadzącej do morza Bałtyckiego przez terytorjum Polski i Rosyi z ominięciem Prus.

Następujące obliczenie, oparte jest na aktach i wykazach Kom. Rząd. Przychodów i Skarbu:

Średnia opłata myta tranzytowego pruskiego od produktów, które przez lata 1840 i 1841 z kraju wyprowadzono, lub do niego wprowadzono, wynosiłaby podług taryfhy konwencyjnej od roku 1825 do 1837 obowiązującej, rocznie rubli srebr. 145,757 kop. 45. Średnia zaś opłata takiego myta od tychże samych produktów i w tymże przeciągu czasu wprowadzanych, lecz podług taryfhy przed konwencyą i po jej wznowieniu, wynosiłaby rocznie 239,290 kop. 2. Przewyżka zatem średniej opłaty cła, po ustaniu taryfhy konwencyjnej, do komor pruskich wniesionego, wynosi rocznie rub. sr. 93,532 kop. 57; która jest zatem czystą średnią roczną oszczędnością czyli korzyścią, przez niżenie taryff pozyskaną. Przez lat więc 13, w ciągu których trwała ta taryffa niżona, gospodarstwo krajowe licząc w tym stosunku, oszczędziło kapitał wynoszący rub. sr. 1,215,923 kop. 41. Jestto zysk, jaki przyniosło utworzenie kanału Augustowskiego. Korzyść ta bez zaprzeczenia okazałaby się wyższą, gdyby za zasadę w obliczeniu dla otrzymania średniego wypadku, wzięte były opłaty roczne z całej epoki lat 13 od 1825 do 1837 r., nie zaś z lat trzech, w których ruch handlowy mógł być mniej znacznym. Nie wprowadzono tu także w rachunek drobnych artykułów wywozu i przywozu, ani takichże drobnych różnic cła, ani miano względu na ubytek spowodowany przemytnictwem, a tém coraz większy, że go położenie geograficzne kraju bardzo ułatwia. Lecz o ileżby się cyfra ta powiększyła, gdyby się dały wprowadzić w ten rachunek owe ogromne massy produktów z gubernij zachodnich cesarstwa, przez Niemien, Bug i Wisłę do Prus wyprowadzonych, lub z tamtąd temiż drogami wprowadzonych!

Sądźmy więc, że przytoczone okoliczności dostatecznie wykazują użyteczność kanału Augustowskiego, i że korzyści te, znacznie jeszcze powiększą się, kiedy Niemien, Biebrza i Narew, owe rzeki, które jak przy ich opisie widzieliśmy, prawie jeszcze w naturalnym swym znajdują się stanie, należycie uszlupnionemi będą.

Kilka słów o kanale Windawskim (1).

Połączenie rzeki Niemna z morzem Bałtyckim za pomocą rzeki Dubissy, wpadającej do Niemna, i rzeki Windawy albo Wenty, wpadającej do morza Bałtyckiego pod miastem Windawą, było celem utworzenia tego kanału, i ten dopiero miał stanowić całość z kanałem Augustowskim. Takowy kierunek kanału dlatego też między innymi obrano, że uznano, iż po wykonaniu odpowiednich robót, port windawski byłby jednym z najdogodniejszych w cesarstwie, a to z powodów następujących:

1) Rzeka Windawa, nad którą leży miasto tegoż nazwiska, ma o 3 mile od tego miasta głębokości stóp 20, a zatem sama już jest portem najlepszym.

2) Z portu wszystkimi wiatrami można z łatwością wypłynąć.

3) Morze w Windawie wczesniej oswobodzone jest od lodów, jak we wszystkich innych portach Rosyi na Bałtyckim morzu; często nawet nie pokrywa się lodem.

(1) Nie mogąc posiadać o kanale tym szczegółów aż do chwili zamknięcia około niego robót, zamieszczamy o nim w skróceniu wiadomość taką, jaką obejmuje powyżej rzeczony rękopism z 1827 roku.

Pod względem budowy kanał podzielony został na trzy części. Część pierwszą formuje rzeka Windawa od ujścia swego w morze do wsi Talińce. Drugą część składa tak zwany *kanal Połączenia* (соединительный), od wsi Talińce do wsi Bubie nad Dubissą leżącój; tudzież drugi kanał zwany *Oboczny* (Обводной), od wsi Bubie do punktu zlania się rzeki Szawszy w Dubissę. Trzecią część formuje rzeka Dubissa, od ujścia rzeki Szawszy do połączenia się Dubissy z Niemnem pod Srednikiem.

Długość kanału tego następująca:

1sza część wynosi wiorst 250, albo mil geogr. $35\frac{5}{7}$

W drugiej części:

Kanal Połączenia	12	}	36	„ „ „	5 $\frac{1}{7}$
„ Oboczny	24				
Trzecia część	84	„	„	„	12

Calkowita więc długość kana-

łu. wiorst 370 czyli mil geogr. $52\frac{6}{7}$

Niwellacya. Rezultat działań niwellacyjnych okazuje, że punkt podziałowy nieopodal od wsi Bubie położony, wyższy jest od poziomu morza 280, a od poziomu Niemna pod Srednikiem 259 stóp ang.; a ponieważ od punktu podziałowego jest do portu windawskiego wiorst 259, a do Srednika 111: jest więc spadku na wiorstę jedną ku morzu $1\frac{1}{12}$ stopy, a ku Niemnowi $2\frac{1}{4}$ stóp.

Śluzy. Miało być na tym kanale śluz 41, to jest na Windawie 12, na kanale Obocznym 10, na kanale Połączenia 2, na Dubissie 17; wszystkie o jednej komorze, liczone numerami następnymi, zaczynając od punktu podziałowego, w dwóch kierunkach, to jest: od tego punktu do morza śluz 14, numerowanych od 1 do 14; podobnież od tego punktu ku Niemnowi śluz 27, liczone

również od 1 do 27. Długość komory naznaczona na stóp ang. 119, szerokość wrot 15 1/2 stóp. Wymiary te obliczone są na statki, mające długości stóp ang. 84, szerokości 14 stóp. Spadek przy każdej śluzie, to jest różnica poziomu wody przed wrotami górnymi zamkniętymi, od poziomu w śluzie i niżej w kanale, wynosi stóp 7 1/2. W samej komorze nie ma muru spadkowego; zamiast tego ma być podług nowój myśli p. Girard matematyka francuzkiego, dana powierzchnia pochyła przed górnymi wrotami, a to, jak mówi tenże matematyk, dla oszczędzenia posadzki śluzowej i bocznych ścian od gwałtownego spadku wody. Górne zatem wrota miały być co do wysokości równe z wrotami dolnemi.

Profil kanału.

Dno kanału ma mieć szerokości stóp ang. 20; wysokość wody liczy się najmnieją na stóp 5: w tej wysokości górna szerokość kanału stóp 49. Po obu stronach kanału idzie droga do holowania, szeroka na stóp 14.

Boki kanału Połączenia i Obocznego tam wszędzie, gdzie grunt jest piaszczysty, okryte będą darnią.

Wody zapasowe składają się ze stawów kopanych i z jezior. Stawów jest 3: przy Bubie, nazwany portem zimowym, zasilany górną Dubissą; drugi przy mieście Kurtowianach; trzeci przy Białej Karczynie. Jezior użytych do zasilania punktu podziałowego 14; z nich leży na północ kanału 4, na południe 10. Północne są: Rekiow (najznaczniejsze i najgłębsze); Enelajcie, Bujan, Rezeki. Południowe: Duketo, Kumpas, Ligi, Biota, Sadele, Poszwın, Żadwany, i trzy bez nazwiska. Od wszystkich idą rowy komunikacyjne do punktu podziałowego. Rzeka Szawsza, wypływająca z jeziora Rekiow, będzie zatamowana i pójdzie rowem na punkt podziałowy.

Tamy. Zaprojektowano ich 11; znaczniejsze na Windawie i Dubissie. Te, które będą na Windawie, mają być sporządzone ze słupów z granitu murowanych, z takiem urządzeniem, ażeby w przypadku potrzeby, jak najłatwiej dały otwór wodzie spłynąć mającej. Przy tych tamach będzie sposobność wystawienia fabryk wodą poruszanych. Największa będzie pod Goldyngą, gdzie dla uniknienia rafy, kopano kanał uboczny ze służą, a przez koryto rzeki ubito tamę.

Materyaly. Kamień granitowy dobywano w powiecie szawelskim, w majątku p. Mokrzeckiego, o dwie wiorsty od kanału. Jest on czworakięgo gatunku; najlepszy szary, idzie potém stalowy, dalój biały, nakoniec czerwony. Do obrabiania go używano kamieniarzy petersburskich. Piérwsze ociosanie na miejscu dopełniają małym klinem żelaznym, dla nadania sztukom formy równoległościę prostokątneę. Sztuki na 10 stóp kub. wielkie, zwykle ważą do 160 centnarów. Obróbka ich dwójaka: zwyczajna i wykończona. Do obróbki wykończonęj używano młotków nie innych, jak ważących po jednym funcie. Im młotek cięższy, tēm obróbka mniej wykończona; obróbka wykończona nie jest jeszcze tēm, co nazywają granitem szlifowanym; jest jednakże tak gładka, i kamienie jedne do drugich tak ściśle przystają, że dla rozpoznania spojni, potrzeba polać ściany wodą, wtenczas dopiéro okażą się linie dzieleze.

Wapno dobywano w sztukach łupanych w Szadowie, majątku pana Ropa. Palono je i gaszono sposobem zwyczajnym; hydraulicznego wcale nie używano.

Cegłę Dyrekeya kanałowa sama dla siebie w kilku miejscach, dla wyęody transportu, wypalała. Żelazo tak

lane jak i kute, sprowadzano z Petersburga od pana Baird.

Drzewa dostarczały częścią lasy skarbowe bezpłatnie, częścią prywatne za opłatą. Używano do robót tylko drzewa sosnowego i olszowego.

Machiny używane przy kanale:

1. Do wylewania wody, śruby Archimedes, poruszane, jedne rękami ludzkimi, inne końmi.

2. Do zgłębiania rzek i przekopów, machina dragująca, podług najnowszych modeli sporządzona.

3. Do wbijania palów i szpunt-palów, kafary z kołem excentrycznie wystającym, i z korbą na dole, tak, że koń jeden całą robotę odbywa. Ciężar odzepia się w górze i spada.

Liczba i rodzaj robotników. Robotnicy są dwojacy: żołnierze i robotnicy najemni. Z ośmiu pułków tu komenderowanych, każdy dawał dziennie po 900 ludzi, co razem czyni dziennie 7,200 ludzi. Robotę dawano na wymiar. Od dopełnionej dzienniej wymiarowej roboty, płacono żołnierzowi od 35 do 37 kop. miedzią (18 gr. pol.), podoficerowi 20 takichże kopiejek (10 gr. pol.)

Co do robotników najemnych. Było przy kanale 1500 kamieniarzy, z płacą od stopy kwadratowej obróbki zwyczajnej 2 ruble assygnacyami, to jest złp. 3 gr. 10, a od obróbki wykończonej 3 także ruble, czyli złp. 5. W dwunastu godzinach trzech kamieniarzy wyrabia sposobem zwyczajnym 4 stopy kwadratowe, a sposobem wykończonym $2\frac{1}{2}$ stopy.

Było prócz tego przy kanale zwykle przeszło 100 najętych mularzy (po większej części z Prus), cieśli, kowali, ślusarzy i t. d.

Przy takim działaniu, kanał miał być w zupełności r. 1831 ukończony.

Koszta:

W r. 1825, w którym rozpoczęto robotę, wydano:

	rubli assyg.	200,000	czyli złp.	333,333
w r. 1826	„	800,000	„	1,333,332
w r. 1827	„	1,300,000	„	2,166,666

razem wydano rub. as. 2,300,000 czyli zł. 3,833,331

Wydatek przewidziany: rocznie przez lata od 1828 do 1831 włącznie, po rubli assygnacyjnych 2,000,000 czyli złp. 3,333,333, co uczyniłoby w ogóle razem z poczynionemi już wydatkami, rubli assyg. 10,300,000 czyli złp. 17,166,663.

Szczegóły wydatków.

Śluzą jedną kosztowała rubli assygnac. 120,000, czyli złp. 200,000; odarniowanie kanału od bermy aż do dna w miejscach piaszczystych, na rozciągłości 36 wiorst, kosztuje rubli assyg. 60,000 czyli złp. 99,999; średnia opłata dzienna kopaczowi złp. 1 gr. 24. Żołnierz pobierał trzecią część téj opłaty.

Kierunek pracy. Głównie kierującym robotami był pułkownik korpusu Komunikacyj lądowych i wodnych, Rakassowski. Zarząd prac podzielony był na pięć dyrekcyj: dwie na rzece Windawie, to jest: jedna Windawy dolnej, druga Windawy górnej; trzecia dyrekcyja obejmowała kanał połączenia i kanał oboczny, pod kierunkiem majora Lwowa; czwarta górną Dubisę, pod kierunkiem p. Budberga; piąta dolną Dubisę. Każda dyrekcyja podzielona była na sekcyje, przy każdej zaś znajdował się oficer inżynier.

(Dalszy ciąg nastąpi).



FRANCISZEK KRASIŃSKI

PODKANCLERZY KORONNY, BISKUP KRAKOWSKI.

PRZEZ

Łęgotę Onacewicza.

Przodek domu Krasin'skich, Warcisław, przybył z Wę-gier do Konrada księcia mazowieckiego w początku wie-ku XIII, i był marszałkiem dworu tego księcia, którego synowica Salomea, była żoną Kolomana króla halickiego, królewicza węgierskiego.

Jeden z następców Warcisława, Andrzej, rodzący się z Plichciani, był hetmanem u Konrada księcia mazowieckiego i poległ w Bukowinie 1497 r. Z Aleksandry Dzierzgowskiej ciotki prymasa, spłodził Jana stolnika ciechanowskiego, który był ojcem Franciszka.

Franciszek urodzony 1525 r., w tym samym dniu, w którym Albert książę pruski publicznie na rynku krowkim u stóp tronu Zygmunta I przysięgał jako lennik na wierność i posłuszeństwo, gdy brał lennem prawem księstwo pruskie od wuja i dobroczyńcy swego Zygmunta.

Pierwsze nauk początki powziął w Luzacyi Wyższej w Görlitz, do ukończenia zaś nauk posłanym był do Wittenberga, gdzie słuchał lekcyj sławnego Filipa Melanchtona, z kąd go odwołał Mikołaj Dzierzgowski arcybiskup gnieźnieński, prymas królestwa, stryj wujeczny, przez obawę aby się nie chwycił zdania Lutra. Po wysłuchaniu kursów naukowych w akademii krakowskiej, wysłał go prymas do Rzymu, dla wydoskonalenia się w prawie kościelném i polityce, gdyż w owym czasie Włochy staraniem Medyceuszów, były na czele cywilizacyi europejskiej.

Franciszek powróciwszy z Rzymu, zajął miejsce sekretarza u prymasa, został kanonikiem łowickim, archidyakonem kaliskim. Dwakroć jeździł do Rzymu w interesach duchownych. Zygmunt August posłał go potem do Wiednia do cesarza Maksymiliana, gdzie się zaprzyjaźnił ze Stefanem Batorym, posłem Jana Zapolskiego, siostrzana Zygmunta Augusta i pretendenta do tronu węgierskiego. Batory uwięziony przez Maksymiliana, staraniem Krasieńskiego otrzymał wolność.

Gdy Krasieński z Wiednia powracał do króla bawiacego w Wilnie, na noclegu w Boboszczowej karczmie ukradziono mu szkatułę, w której listy cesarskie były złożone. Było współczesne mniemanie, że mu zawistni tę sztukę wypłacali, aby go pozbawić względów królewskich. Mogła do téj czynności należeć obca intryga, dla dojścia sekretu politycznych interesów. Cokolwiekbądź, wypadek ten nie zmniejszył względów królewskich dla Krasieńskiego, gdyż go znówu posłał do Wiednia, dla zaspokojenia niesnasek, wszczętych z powodu odesłania nielubionej żony Katarzyny, córki Ferdynanda I cesarza niemieckiego; za tę posługę otrzymał probostwo plockie.

Na sejmie lubelskim r. 1569 dał mu król pieczęć mniejszą. Na tym pamiętnym sejmie doszła do skutku ostateczna unia Litwy z koroną; Krasiński, jako podkanclerzy silnie pracował nad tém i dokazał, iż ziemie Podlaska, Wołyńska, Kijowska do korony przyłączone były. Po śmierci Padniewskiego otrzymał biskupstwo krakowskie. Urząd senatora i podkanclerzego, ufność króla, mocniej go z dworem połączyły, i odtąd był nieodstępny królowi towarzyszem, aż do samego zgonu. Opatrzył króla chorego sakramentami, i zamknął powieki ostatniemu Jagiellończykowi 1572 r. w Knyszynie.

Dom Rakuzki zachwyciwszy przez posagi monarchią burgundzką, hiszpańską, Węgry, Czechy, Morawią, Łuczycą, Szląsk, przeszkadzał najusilniej rozwieść się Zygmuntovi z nienawistną Katarzyną, aby po bezdzietnym ostatnim potomku Jagielly, mógł opanować tron polski drogą elekcji z początku, a potem zamienić w dziedzictwo. Ku temu celowi poczynił ważne przygotowania, ujmując sobie celniejszych panów koronnych jeszcze za życia Zygmunta Augusta; lecz zręczny Montluk uprzędził Austryaka. Krasiński chociaż był w początkach elekcji stronnikiem austryackim, lecz widząc większość za Henrykiem, za którym prawa i swobody większe miały bezpieczeństwo, przyłączył się do jego strony i dowiódł mądrość senatorską, połączoną z gorliwością obywatelską, gdy on tylko był jedynym biskupem, który podpisał sławny akt pokoju religijnego, przez który wolność wyznań była ogłoszona, aby nikt w prerogatywach obywatelskich nie doznał uszczerbku z powodu odmienności wyznań religijnych. A gdy go z tego powodu kapituła krakowska przez swych delegatów naganiała,

w apologii przez się napisanej dostatecznie wywiódł, iż będąc biskupem, nie przestał być obywatelem i synem ojczyzny o jój dobro troskliwym, że piérwój był obywatelem niżeli biskupem. Po oddaleniu się Henryka z Polski do Francyi, gdy Tatarowie najeżdżali kraje podolskie i ruskie burząc je mieczem i ogniem, Krasziński który mieszkał natenczas w Ilży, uzbroił własnym kosztem sto koni i posłał ich przeciwko Tatarom, pod przewodnictwem Stanisława Krasickiego z domu Rogala, za co od obywateli wdzięczność i podziękowanie otrzymał. On radził konwokacyą stanów Polski i Litwy do Warszawy, aby naznaczono termin do przybycia Henrykowi; a gdy nie przybył, naznaczono elekcyą w Stężycy, która dla fakcyi austryackiej i francuzkiej była nieważną; co widząc biskup, nalegał aby elekcyą w Warszawie złożono, gdzie widząc niezgodę, jechał do koła rycerskiego dla pojednania stron; że zaś był stronnikiem austryackim, taki się wszczął tumult, iż o mało co gardła nie dał. Zaledwo Stanisław Szafraniec z Pieskowej Skały rozhukane ukołysał umysły; wtenczas biskup do koła rycerskiego rzecz nadobną uczynił, wiodąc ich do zgody: lecz zamieszanie, rozjątrzenie umysłów nie korzystały z rady zdrowej, Krasziński więc do biskupstwa swego odjechał. Pisał potém do króla Stefana winszując mu korony, a gdy go wszystkie województwa pod Jędrzejowem potwierdziły, on się téż przy nich opowiedział. Przybywszy do Krakowa oddał królowi powinność senatorską, i małoco tam pomieszkawszy, odjechał do Bodzencina, gdzie go choroba niemały czas trapiła. Wezwany od króla na sejm walny toruński, posłał synowca swego Jana, prałata krakowskiego, z wyrzeczeniem swego zdania; król mianował tego prałata swoim sekre-

tarzem. Po sejmie toruńskim mając wiadomość o przedsięwziętej wyprawie gdańskiej, uzbroił z wielkim kosztem 50 husarzy pancernych i dwieście piechoty, którą przyzwoitą strzelbą opatrzył. Przełożył nad tym oddziałem znanego z mężstwa Stanisława Pękosławskiego, którego już śmiertelną chorobą złożony z Bodzencina wyprawił. Przyjaciele chcąc oszczędzić kosztu, chcieli wstrzymać tę wyprawę, ale on resztę duchów żywo-tnych zgromadziwszy, nalegał i dokazał, iż ten oddział wyprawiono. Przybył ten poczet do króla bawiącego w Włocławiu, razem z nowiną o śmierci biskupa, zaśłój w Bodzencinie w zamku, co świadczy elogium:

Francisco Krasinski de Krasne olim Regni Procancellario, qui in negotio executionis legum et unionis Magni Ducatus Lithuaniae cum regno Poloniae Sigismundo Augusto regnante ac duobus periculosissimis interregnis egregiam operam Reipublicae navavit sublatus phtisi idibus Martii 1577 aetatis 52, episcopatu anno quinto Bodzentini et ibidem in ecclesia parochiali ipso ita disponente sepultus.

De illo Kantscius:

Excipit inde gregem pastor Krasinius orbem
 Et tanto dignum ne docet esse loco
 Vir bonus et moderati animi prudentia
 Avertit patriae multa pericula suae cujus
 Bella gerit quivis solis sapientibus almae
 Autores dici pacis et esse datum est.

Był Krasinski dobrym biskupem, mądrym senatorem i gorliwym obywatelem. Świątyni dwór utrzymywał; u niego kształciła się młodzież do posług publicznych. Zgromadzał koło siebie ludzi uczonych i hojnie nagradzał; jurgielta opłacał nie zapominając stanu rycerskiego.

Budował szkoły, szpitale, klasztory, i one uposażał; dlatego pieniędzy nie zostawił, majątku nie kupił. W Krasnym kościół zmurował, bogatemi sprzętami i srebrem kościelném opatrzył, dochody pomnożył, i dla kilku mansyonarzów fundusz przeznaczył, aby co dzień śpiewali.

Zmurował szpital i szkołę, dochodami nadał. Starannie wychował synowca Stanisława wojewodę płockiego, który zwiedził Niemcy, Włochy, Francją, Sycylią, Malte, część Azji i Afryki objechał. Z Małgorzaty Sobieskiej i Anny Michowskiej zostawił pięć córek i dziesięciu synów. Drugi brat Stanisława, Jan Andrzej kanonik krakowski, króla Stefana sekretarz, uczony krajopis i poeta. Oato napisał wyborym wierszem „Polonia” o rządzie i obyczajach polskich, 1572 r. w Bononii.

Prezydent de Thou przypisuje to dzieło Sygoniuszowi, który nie znał Polski. Wydał także w Bononii 1573 r. o wyborze Henryka, a w Neapolu 1572 r. elegię na śmierć Zygmunta Augusta.

Umarł Jan 1612. Czytaj nagrobek u Starowolskiego.

Brat Stanisława, Franciszek kasztelan ciechanowski, biegły w naukach i pod hetmanem Zamojskim rycerz waleczny.

Tym sposobem mądry senator kształcił młode plemię do posług krajowych, a dochody zakładom dobroczynnym, naukowym i na potrzeby ojczyzny poświęcał.



PLATON;

JEGO STOSUNEK DO SOKRATESA

I JEGO POJĘCIE PIĘKNOŚCI.

(Ciąg dalszy).

Ateńczycy stali się typem greckiego ludu. Uczucie pierwszeństwa, przewodniczenia znakomitemu rodowi uskrzydlało Ateńczyka, pchało go w ogień bojowy, podlegało w nim żądze ofiary. Atoli oświata Aten jest własnością wszystkich Greków. Skoro bowiem w ogólnej mieszaninie spęzły barwy miejscowe, zrodziła się potrzeba prawdy żywotnej, któraby każdego zasilić mogła. Jakoż tę prawdę przyniósł Sokrates, syn rzeźbiarza Sofroniska, zrodzony na lat 40 przed Platonem. Z wolą ojca poświęcił on wiek młody sztuce rzeźbiarskiej. Że rzeźbił nie bez talentu, dowodzą wzmianki o gracyach, zdobiące Akropolis ateńskie, jako utworze jego dłuta. Ale posłannictwo Sokratesa było wyższe. Kryton Ateńczyk zaznajomił go ze współczesnymi mędrkami. Z natury usposobiony do głębszej rozwagi, korzystał Sokrates wiele z obcowania z nimi, i jął się skwapliwie badań umiejętnych. Długo przyroda była

głównym przedmiotem dla jego popędu dociekania; skoro jednak utwierdził w sobie przekonanie, że prawdę nie tyle z zewnątrz, ile z samego siebie czerpać trzeba, skierował myśl swoją zupełnie do poznania człowieka.

Obowiązków względem ojczyzny nigdy nie zaniedbał. W utarczce pod Potydeą, jako waleczny wojownik wystąpił i Alcybiadesowi życie uratował. Powiadają, iż w ciągu téj wyprawy znalazł się raz w stanie osobliwym, może kataleptycznym. Myśl jego tak wezbrała duchem, że cielesne siły zaniemogły, zmysłowość zastygła. Dzień i noc stał na środku pola w takim zachwyceniu, nie czując, co się wokół niego działo. Pragnienie, upał, najśrodsze dolegliwości zwykł był cierpliwie znosić. W pochodach pod Delium i Amfipolis był także ziomkom towarzyszem broni. W piérwszym, ulubienca Xenofonta od śmierci wybawił. Pomimo usilnych prac umysłowych, nie stronił Sokrates od obywatelskich urzędów; owszem, dopełniał je z całą gorliwością prawego syna kraju. Był zawsze obrońcą niewinnych, i w téj roli świetnie wystąpił w radzie państwa, opierając się stanowczo woli większości, a mianowicie rządzącym wtedy w Atenach 30tu tyranom. Utarczki z sofistami stanowiły trudny zakres działania dla dobra ogółu. Wszelka prawda przychodzi na świat z boleścią; nie wieńczy ją odrazu tryumf powszechny. Sokrates w ucisku serca walczyć musiał z społecznymi uprzedzeniami, ilekroć zapragnął krzewić to, co mu *głos wewnętrzny* nakazywał. Tym *głosem wewnętrznym, demonem* (δαίμων) Sokratesowskim, był w rozumieniu niektórych, ów anioł opiekuńczy, owa gwiazda zwiastunna posłannictwa, co to wielkim ludziom na ciernistój drodze życia przyświeca, i do kresu przeznaczenia wiedzie. Rów-

niez rozjaśniacze dzieł Platonskich przez demonów tłumaczą, jak niżej obaczymy, istoty pośredniczące między ludźmi a Bogiem. Mianowicie Maxymus z Tyru, eklektyk Platonski, usiłował takie pojęcie wyrozumować. Jestto jednak jednostronne i wcale w istotę rzeczy niezagłębiające się widzenie. Mówiliśmy już, że Sokrates pierwszy rozbudził ducha ludzkiego do tworzenia ogólniejszych pojęć. Skierowanie myśli od pojedynczych wyobrażeń do téj ogółowości, stanowiło główny cel jego dążeń. Takie przyjscie do pewnej samowiedzy, sprowadzić musiało na praktycznej drodze częste *kolizye* ogólnych praw rozumu, absolutnych obowiązków, z pełnemi względów stosunkami rzeczywistości. Tu więc Sokrates zostawiał rozstrzygnięcie *subiektywnemu* sądowi jednostki. Ta podmiotowość kierująca nami w sprawach wątpliwych, wystąpiła u Sokratesa w szczególniejszej formie wzmiankowanego demona. Byłoto coś bardzo różnego od naszego sumienia. Nawet zakres objawień sumienia nie odpowiada czynnościom *wewnętrznego głosu* Sokratesa. Zanim człowiek wzniosł się do uznania siebie w swoim jestestwie, naturalna, że nie przyznawał stanowczego znaczenia *subiektywnym* władzom ducha, i w rzeczach ważniejszych uwoływał się do czegoś zewnętrznego, do przedmiotowości, i szukał raczej w tém skazówce dla postępowania. Sokrates pierwszy wydołał indywidualne zdanie do pewnej godności podnieść i odnalazł w sobie samym doradcę dla praktyki życia. Nie mogąc atoli rozjaśnić z kąd pochodzą te nieomyślne rady, jakie mu w każdym położeniu podawało jego spotęgowane uczucie sprawiedliwości i wyższa świadomość siebie; przychyłał się do uznania w tém czegoś obcego jego naturze, z zewnątrz jemu wyłącznie przy-

danego. Z tego stanowiska demon jest prostém wniknięciem w siebie myślą, zjawiskiem konieczném na szczeblu, do którego przeświadczenie wyniosło się w Sokratesie, i stoi wedle Hegla w pośrodku między zewnętrżnością wyroczeni, a tém, co jest czysto wewnętrżnym w dachu. Wszystkie zresztą wzmianki i opisy podające demona za coś niezwykłego, tłumaczy spekulacya filozoficzna przez stan fizyczny Sokratesa, podobny do magnetyzmu lub somnambulizmu. Taki sposób zapatrywania się, acz w gruncie rzeczy uzasadniony i dokładnie ją przeprowadzający, nie jest przecież wolny od piętna jednostronności, które jest wypływem samego kierunku filozofii. Sokrates zaiste nie był świadomy wewnętrznych popędów, naglących do tego lub owego kroku, lecz ta jego nieświadomość trafnego działania w szczególnych przypadkach, nie da się porównać koniecznie ze stanem magnetycznym człowieka. Płytkim jest znowu, powtarzamy, sąd tych co w demonie Sokratesowskim widzą wprost anioła stróża. Zaprzeczać jednak zupełnie związku świata widomego z niewidomym nie możemy, i często na dnie wyobrażeń prawdy szukać należy.

Zauważano w niemal każdym wielkim człowieku ze stanowczym wpływem na ludzkość, jakiś pęd-bodziec nieokreślony do nieomylnój czynności w pewnym zakresie. Czy on pochodzi z bezpośredniego pochwycenia prawdy w każdym szczególném zdarzeniu, czy też jest niejakiem przejrzeniem naglém całej drogi, wyznaczonej człowiekowi w doczesném życiu, jak niektórzy twierdzą, rozstrzygać tu nie będziemy; dosyć, że znamionuje zawsze ludzi znakomitej misyi. Otóż takięto posłannictwo, taką misyą poczuł w sobie Sokrates, skoro stały w swych

krokach, niezłomny w zamysłach, własną krwią dał chrzest prawdzie i pozostał wiernym *swemu demonowi*.

Rozpłomieniony wiarą w nieomylność głosu wewnętrznego, Sokrates nie zachwiał się w swoich zamiarach, i dla ich spełnienia zdolny był najcięższych katuszy. Zawsze dobro najwyżej cenił w uczynku, i ztąd filozofia jego, albo raczej mądrość, miała kierunek zupełnie praktyczny. Obcując z młodzieżą, wiedział zawczasu gdzie leży przyczyna skalania umysłów i takową oniemocnić postanowił. Sofiści, owi rozsiewacze fałszu, nie dawali spoczynku jego cnotliwej duszy. Wówczas, gdy krasomówstwo zlało się w jedno znaczenie ze sławą, oczywista, że w ich władzy wymowa stała się głównym narzędziem złego. Trzeba było wtajemniczyć się we wszystkie sprężyny zwodniczej sztuki, w cały mechanizm sofistyki, chcąc ją podbić i zniweczyć. Sokrates nie szczędził trudu dla dopięcia tego zamysłu; podcinał odebrany orężem powagę haniebnych rozprawiaczy. Niezbożni sofisci nie mogli lubić nagabacza ich sumienia, odstoniciela błędów i nieświadomości. Wiadomo, jak uczeni w piśmie zapoznali nawet Syna Bożego. Szukano skrzętnie pozorów, by oblec Sokratesa w szatę zbrodniarza przed ludem. Byłyto czasy, kiedy sztuka, państwo i religia wzajemnie sobie pomagały. Arystofanes utworem komedyi (1) utworował sofistom drogę do potępienia ich wroga. Punktem wyjścia dla niego była właśnie strona przecząca w nauce Sokratesa. Ogólne przeświadczenie o dobrém, do którego ten mędrzec przez

(1) Obacz Cousin'a: *Socrate, de la part que peut avoir dans son procès la comédie de Nuées.*

wzbudzenie refleksyi dążył, wychodzi zawsze z negacyi szczegółowych zastosowań, jako powszechnie zobowiązujących, a zład z zachwiania tego, co istniało jako prawo, żyło w obyczaju. Niedługo potem szerzyć się zaczęło podejrzenie, iż Sokrates rozsiewa zdania złowieszcze dla narodowej wiary. Oskarżono go o zaniedbanie hołdu ojczystym bogom, o wprowadzenie nowego bóstwa, i o uwodzenie młodzieży. Xenofont podaje nam doskonałą obronę tego mędrca. Szczegółów oskarżenia roztrząsać tu nie będziemy. Dosyć powiedzieć, że w obec społecznego społeczeństwa i istniejących praw, Sokrates musiał się okazać winnym. Wiara urzędowo przyznana, stanowiła zasadniczą sprężynę w organizmie ateńskiego państwa. Pryncyp Sokratesa, wypowiadający posłuszeństwo wszelkiemu przepisowi, niespośredniczonemu myślą jednostki (indywiduum), był jej naruszeniem. Podmiotowość nie mogła umocnić tego, co było w stanie naturalnym, pierwotnie przedmiotowym. Pęd refleksyjnego myślenia przyłożyć się musiał do wewnętrznego rozstroju greckiego państwa. Rozmnożyły się szybko potwarze, i Sokratesa jako winowajcę wtrącono do więzienia. Padł nareszcie wyrok długopomny; wyznawca jedyne Boga, gorliwy krzewiciel światła i cnoty, wychylił kielich cykuty.

Dopiero po każdym, na głos ślepej żądry dopelnionym czynie, następuje chwila okropnego przerażenia i niemocy duchowej. Kiedy ludzie niejasno widząc w zwątpieniu swoim rękę Opatrzności, zniszczą to wszystko, czego rozumieć nie chcą bez myśli i wiary, to natenczas brak siły twórczej, nieudolność własna, największą zgroszą ich dojmie i żalem napelni. Sokratesa męczeństwo wykonało się. Ale po dniu zatra-

cenia, znikła wesołość z oblicza Aten. Zamknięto gimnazya, ścigano oskarżycieli, ustały zabawy; jakieś kajanie się dopełnionego postępku i upadek na sercu ogarnął wszystkich mieszkańców. Poznali Ateńczycy, że zasady potępienia choć zabójcze dla życia krajowego, znajdowały jednak odgłos w ich duszach, i że karząc Sokratesa, chcieli osłonić przestępstwo, ciężące poniekąd na ogóle. Zginął Sokrates, ale plód jego ducha, *pryncyp jego*, na wieki pozostał. Tak zawsze przez jednostkę, przez pojedynczy podmiot, idea i jej urzeczywistnienie rozwijają się i przechodzą w ogólny przedmiotowy świat, myśli, w ducha powszechnego.

Atoli ze śmiercią Sokratesa nie zgasła dla ludzkości pochodnia prawdy. Owszem, dwakroć świetniejsza rozgorzała w osobie Platona. Męczeństwo mistrza rzuciło iskrę na umysł kochanego ucznia. Z iskry téj, z pojęcia ogromu trudów koniecznych dla pokonania fałszu, z boleści, wywiązała się w nim siła rodząca wielkie myśli. Wiedział Platon, że go czeka los jego nauczyciela; czuł cały ciężar powołania, a jednak dążeń nie zmienił. Jeżeli na polu czynu nie dorównał mistrzowi, to na innéj drodze usiłował to nagrodzić. Metodą Sokratesa, tym doskonałym orężem do strącenia sofistów, bynajmniej nie wzgardził nasz mędrzec. Owszem, przeobraził ją w umyśle swoim w dyalektykę, konieczną do rzeczywistych zdobyczy w dziedzinie myślenia. Sokratyki główną zasadą było: dochodzenie rzeczy przez pytania i odpowiedzi, czyli tak zwana majentyka (*τέχνη μαίεντιχη*). Twórca porównywał to do sztuki babienia matki swojej. On nie chelpił się ze skarbu wiadomości, jeno ze sposobu wydobywania płodu pojęć z cudzego umysłu. Co w kim spoczywało bezwiednie, zwinięte w naturze

ducha, to sztuka jego rozwijała, przeprowadzała do wiedzy, do przekonania, częstokroć z niemałym zadziwem rodziciela. Inne cechy Sokratycznej metody, stanowiły jeszcze: żartobliwa ironia, i unaocznienie rzeczy za pomocą porównań, podobieństw i t. p. Ta tak powszechnie głośna ironia Sokratesa, polegała na zręcznym nastawieniu stosunków osób rozprawiających; nie jestto więc wcale niszcząca *negacya* i wyszydzenie. Zwykle sam mistrz przyjmuje zrazu odpowiedź przeciwnika za ważną, i nie robi nań uprzedniego zamachu. Dopiero gdy z konkretnego przypadku, z szczegółowego sądu wywiąże się ogólne pojęcie, dalszy rozbiór wykazuje sprzeczności, leżące w témże pojęciu, tak, że pierwotne twierdzenie ostać się nie może, i do innego rezultatu zmieszany przeciwnik sam niebawem dochodzi. Platon nietylko że zachował te zalety, ale przez ducha filozoficznego uczynił z swój dyalektyki jedyne narzędzie w badaniu prawdy. Przedewszystkiém określenie (definicya), jest téj dyalektyki osnową. Określenie wspiera się na oddzieleniu i postępowém uogólnianiu. To zaś ostatnie ma za podstawę teorią *idei*, o której niżej powiemy. Słowem, w dyalektyce Platona dostrzegać się daje mistrzowskie połączenie wszystkich dróg poznawania. Analiza z syntezą wzajemnie sobie pomagają. Niéma w pismach Platona kierunku samego przeczącego, krytycznego, jaki cechował Sokratesa; ale jest zarazem rozświecenie. Nie zmieniona rola krzewiciela prawdy, ale podniesiona, umiejętnością napiętnowana. Dyalektyka Platonińska nie przestaje na wykazaniu pojedynczości, względności pojęcia, a tém samym na zniesieniu jego. To cechowało Sokratykę, a nawet metodę sofistów. Ona postępuje dalej: rozwiązuje w wydobytém ogólném pojęciu przeciwi-

stwa, a przez to oznacza je tak, że sama prawda ostać się musi.

Wspomnieliśmy już, że formą dzieł Platonskich jest dialog. Nie bez przyczyny ten mędrzec upodobał sobie w takowym. Stawiać już raz wyżej żywe słowo nad martwą literę, pod względem siły wpływu na przekonanie, i mając za sobą przykład mistrza swego, uznał, że w formie dyalogicznej najsmadniej jest wykorzeniać fałszywe wyobrażenia i odkrywać ostatecznie ich niezgodność z zasadami rozumu. Pewna żywotność téj formy u Platona, wynikła z misterstwa w zewnętrzném ożywieniu apodyktycznego rozwoju idei, ułatwia niezmiernie zdobycie głębokich pojęć. Trudno zatwierdzić zdanie Hegla, iż wykład Arystotelesa jest równie plastyczny (1). Platon w naśladowaniu rozmowy ustnej jest w całym znaczeniu artystą. Nietylko bowiem, że pod tą formą w zadowalniający i przystępny sposób myśl swoje analizuje, lecz i zewnętrznym jęj rzadkim wdziękiem nieraz uczucia czytelnika uszlachetnia. Z osób tu wprowadzonych, każda ma swój charakter jak w dramacie. Sąto przedstawiciele społecznych kierunków myślenia. Rozmowa snuje się w sposób swobodny, doręczny, ujmujący. Rzadko która z osób przekracza granice uprzejmości jakim silniejszym razem, zadany przeciwnikowi. Niekiedy nóż krytyki ironicznej zdaje się tępić przez powłokę słów łagodnych. Tam tylko, gdzie cecha osobistości uwzględniona, ironia bardziej uderza. Rzeczy nastęrczającej wątek rozmowie nigdy się z oczu nie spuszcza; a swoim trybem, cel dialogu, naprowadzenie na drogę prawdy, najdoskonalej osiąga. W ogóle

(1) Vermischte Schriften. Tom I.

zewewnętrzne kształty formy są artystyczne w wysokim stopniu.

Pod filozofią rozumiał Platon swobodną czynność ducha, wewnętrzny żywotny jego ruch; i dlatego zasklepić jej w systemie nie był zdolny. Dowodem są dyalogi niedające twierdzeń stałych (pozytywnych). Oświata wnętrza istoty naszój, jest celem filozofii; ztąd poznanie siebie samego łączy się przedewszystkiém z jej zasadą. Na tém poznaniu budowała się i mądrość Sokratesa, ale ten starał się naprowadzać do niego drogą praktyki przez ocknięcie sumienia, które drażliwe na czyn nieprawy, kieruje każdym krokiem człowieka; tamten zaś pomimo przyznania skuteczności takiego środka, widział jeszcze potrzebę odkrycia i ułożenia w całość niezmiennych, stałych praw rozumu, jako jedynych przepisów w praktycznym życiu, i przez to chciał moralność podnieść na stopień nauki. Tego dokonać nie można było bez uprzedniej dokładnej znajomości, koniecznego ruchu czystych pojęć i zarazem prawideł myślenia, porządkujących czynność władz umysłowych człowieka. Ztąd téż Platona nazywano założycielem dyalektyki, która dopełnia ogólny zakres umiejętności filozoficznej. I w tém leży jedna z jego znakomitych zasług. Dydaktyka filozoficzna i hodegietyka kładną za aksyomat: że nietyle filozofia sama, ile filozofowanie jest korzyściobdajnym. Nie narzucenie więzów na ducha, ale rozbudzenie samoistnego myślenia, przynosi błogie owoce człowiekowi. Trudno podobno znaleźć gdziekolwiek więcej dążenia ku temu, jak w dziełach Platonijskich. Zdaje się, że autor zawsze miał na widoku jedynie wykład mądrości życia. „Platon, mówi Ast, nie przedstawia nam filozofa jako li w spekulacyjnych abstrakcyach pogrążonego myśliciela, ale spo-

łem jako prawego człowieka i obywatela państwa. Filozofia jego nie płynie z jednostronnej *refleksyi*, z oderwanej *kontemplacyi*, ale rozwija się raczej w całej pełni ludzkiego jestestwa". Ztąd pisma mędrca ateńskiego, nie mogą mieć wyłącznie jednostronnego kierunku. Pojmował dobrze Platon życie ludzkie, skoro iskry uczuciowej, podniety serca nie zatlumiał, nie zaniedbywał. Wiele jest względów, pod któremi rozważana jego filozofia, o ileż bliżej stoi celu w jedném z głównych dążeń od mnóstwa systemów późniejszych! Tu czytelnik nie nuży się, nie znoić na bezmiernym obszarze oderwań, bo co chwila myśl trafia na obraz uroczy, ożywczy dla wyobraźni, odświeżający uczucie. Tworzywo (materiał), do tych obrazów nastęrczyły Platonowi tradycye wschodnie i Pitagorejskie. Oneto starożytnością i namaszczeniem religijném, zastanawiają wszystkich myślących ludzi. Cokolwiek wyższego niezdolny był rozebrać samym rozumem, wyrazić poprostu, bez uszczerbku czystości, prawdy i doskonałości jój pojęcia, to widzimy przedstawione mitycznie albo allegorycznie. Choć téż częściej przeciwnie nad przedstawieniami góruje pojęcie czyste, one są tylko domieszczone dla dowodu konkretności myśli i zarazem pojednania ludowych wyobrażeń — bezpośredniego wierzenia z jasną wiedzą. To wielka zaleta, i nie zaliczamy tego bynajmniej na karb niewłaściwości w formie wykładu. Owszem, zwłaszcza w kwestyach religijnych bardzo jest pożądaniem, aby wskazano na wyobrażenie, z którego prawda wydobyta została na jaśnią. Każda konkretna idea ma w sobie *immanentnie* taką siłę przedstawialną, która świadczy niejako o jój żywotności. W mit, w plastyczną formę, jaką znachodzimy w tradycyach, przyobleka się zwykle wszystko,

co odkryte nie byłoby należycie, dla wszystkich zrozumiałem. Nie lada komu dano ogarnąć myślą całą głębię wyższej prawdy. Wyobrazalny rozwój zdaje się, że prawdziwie przysparza życia, bo ją kształtuje. Allegorya, mit, symbol, objawiają i razem kryją, uczą i niekiedy pozorem zwodzą. Niéma w nich nic rozwikłanego, jasnego; rodzą się zwykle na stopniu przecucia niższym od myślowego objęcia. Tego rodzaju ustępy napotykamy w rozlicznych dialogach; zwłaszcza gdzie Platon dotyka szczytną i niesnadno dościgłą czystym rozumem kwestyą.

Ale jakże téż nierzadko zdarza się, że umysł spekulacyjny omija te oazy rozkoszne i goniąc tylko za samém gołym pojęciem, nie pochwyca zupełnie piękna i artystyczności w pismach Platońskich.

Zwykle od przedmiotu z zmysłowości czerpniętego, przeprowadza nas autor do rozważki coraz wyższych sfer, i urabia coraz rozleglejsze pojęcia, aby za ich pomocą, stopniowo wznieść się do treści (essencyi) wszechrzeczy. Tę treść stanowią *idee*.

Nie lekceważąc ustępów dzieł Platona podobnych w formie obrazów, ani téż przyjmując je w całości za myśli czysto filozoficzne, sądzimy, że przez stosowne ich przytoczenia, łatwiej zdobyć można wszechstronniejsze widzenie nauki tego mędrca. Godna wzmianki, że nierzadko głębokie pojęcie, stawione obok obrazu mitycznego, pozornie bez istotnego we wszystkich punktach powinowactwa, zdradza trudność w poznaniu filozofii Platona i jest przyczyną, że jedni zawiele, drudzy zamało w niej znajdują. Dla zrozumialszego wykładu tak zwanych *idej* Platońskich, i zarazem znaczenia prawdziwej filozofii, napomknąć nam wypada plastyczny ustęp z Rzeczypospolitéj.

Otóż przestawmy sobie jaskinię głęboką, do której światło dzienne zaledwie się przez długi, wydrążony otwór przeciska. W téj podziemnicy żyją ludzie. Od zarańcia wieku swego tyłem do światła obróceni i tak przykuci, nie widzą oni nic, krom przedsobnych przedmiotów. Zewnątrz jaskini goreje w dali ogień. Gościńiec dzieli go od siedliska więźniów i mały murek rozgranicza. Gościńcem tym chadzają ludzie, czasami w rozmowie z sobą. Z poza murka wygląda siła różnorodnego kształtu rzeczy i figur. Cienie tych przedmiotów padają na wnętrze przeciwległe obliczom mieszkańców jaskini. Oni rozpatrując się w nich, mają takowe za rzeczywistość, a głos odbity po łękach i sklepieniach ciemnicy, przypisują jakimś dziwnym zjawiskom. Przypuśćmy teraz, że natura pozwala któremu z nich zrzucić z siebie jarzmo ciemnoty, wydobyć się poza kraj pozorów i błędu! Aliści on przejrzy, a światło źrenicę jego urazi; zda mu się, że tamte dolne postacie jeno były rzeczywiste, a ten świat pełen blasku, odleglejszy od prawdy. Długo przyjdzie mu się pasować z widokiem jasności. Ogląd rzeczy odbitych, obrazów w zwierciadłach i wodach będzie z początku dla niego znośniejszy. Nareszcie spojrzy na słońce jako na króla wszechrzeczy widomych, i świat wcale nowy roztoczy się wokół niego. Jak tylko wspomni o swych pobratymcach w ciemnocie, politowanie i żal go ogarnia. Zechciej go wśród nich sprowadzić w dawne jego siedlisko, to rozświetloném okiem nie rozezna tu żadnego przedmiotu, nie rozgadnie ani jednego cienia. Bracia powiedzą, że on zbląkany, że potępiony za to, iż pokiścił się dalej wyjrzyć. Wkrótce i prawo zakaze pod karą śmierci wszelki polot w wyższe krainy.

Oto nasz zawód życia doczesnego. Ta podziemna pieczara, to widok powszedni świata i więzów cielesnych. Te cienie odbite na ścianie i przesuwające się, to są obrazy rzeczy zewnętrznych, tak jak one się zarysowują pospolicie w łonie umysłu ludzkiego. Całe to porównanie jest nader trafnie schwycone, i ma wielkie podobieństwo do porównania, jakie potem zrobił Locke filozof angielski, między zwykłym *procesem* pojmowania w człowieku, a pokojem ciemnym (*camera obscura*). W ogóle w tym punkcie dosyć jest zgody między filozofami. Ów więzień oswobodzony Platona, przed którym się wszystkie zagadki istnienia rozwiązują, to duch ludzi co się podniósł do żywota w prawdzie, do żywota w krainie *idei*. Kto przejrzał w dniu białym, kto się wy dostał na tę wyżynę, ten niezwykłej używa rozkoszy, temu przykro pełzać po ziemi i sromotnie ograniczać się na rozwadze stosunków czasowych, skończonych. Wielekroć filozofująca dusza przerwie kontemplacją rzeczy boskiej, i zwróci się do spraw ziemskich, zawsze wzrok jój różnego od innych ludzi doznaje wrażenia. Jakżeto niewłaściwie dla niej, zachodzić w waśni, sprzeczki i sądy o zwodniczych obrazach, o cieniach praw istotnych; dla niej, która widziała sprawiedliwość w całej czystości i uroku! Rozpatrzmy się więc w ludziach, ażali niema pośród nich takich różnorodnych, niby obłąkanych. Jedni z bielmem na oczach, nie dostąpili jeszcze jasności, drudzy z światłością w duszy, olśnieni blaskiem prawdy, gardzą krainą uludy i błędu. Litujmy się nad pierwszymi i dźwigajmy ich z upadku i zmysłowego ponizenia; wysoko cenimy i szanujemy ostatnich.

Idea Platonska nie jest więc oderwaniem (abstrakcją) rzeczywistości, ale jój treścią, rdzeniem. Zewnętrzny

świat jest tylko odbiciem *idei*, bo one same są prototypami, pierwowzorami rzeczy, nierozsnownanemi w czasie i przestrzeni. Wedle mitycznego przedstawienia, duch człowieka ogląda te pierwowzory na łonie Boga, ale oblekając się w ciało, przyćmiewa je w sobie i dopiero przez widok zewnętrznego świata, przychodzą one w nim do wyższej świadomości. Ztąd nauka wszelka jest jakby przypomnieniem tego, cośmy znali w poza świecie. Albowiem wszystko istotne, prawdziwe, zawiera się w duchu; nic obcego doń wejść nie może, tylko to, co już było, podnosi się z bezpośredniego naturalnego bytu do czystej wiedzy. Niektórzy nie chcą tego uważać za przypomnienie w empirycznem znaczeniu, choć o takim powszechniej i wyraźniej Platon mówi. Odróżnijmy jednakże starannie ustępy jego dzieł w samej rzeczy filozoficzne, od ukształtowanych w micie. W formie tych ostatnich występuje właśnie teoria przypomnienia, jako oparta na *metempsychozie* wschodniej, wyprowadzonej znów z dowodzeń nieśmiertelności duszy.

Wielkie nieporozumienie zaszło w podstawieniu *ideom* Platońskim charakteru wrodzoności. Te idee są wrodzone, o ile pod ich nazwę podciągał filozof ateński ogólne, tuż z bezpośredniem uczuciem graniczące wyobrażenia, jak np. sprawiedliwości, piękności i t. d., które są mocą wyższego pochodzenia, w duszę ludzką zaszczepione. Nie należy zaś je brać za wrodzone, tam, gdzie tłumaczą treść wypełnioną przez siłę myśli; rozległe pojęcie zdobyte umysłową *kombinacją* wyobrażeń z zewnątrz spowodowanych przy pomocy owych pierworodnych, *a priori* w duchu będących. To jest dziś właściwsze znaczenie w ogóle *idei* jako konkretnego pomysłu. Idee Platońskie nie trzeba sobie wystawiać wyłącznie poza

rzeczywistością, jakoby one tam miały jakąś sferę przedmiotowej mądrości stanowić; ani też upatrywać je w przemijalnych zmysłowych fenomenach, ale jak gdyby w złączeniu tych dwóch światów. Raz bierze je Platon więcej formalnie za zbliżone do pojęć gatunków, które przez działanie umysłu z wyobrażeń składanych wypływają; drugi raz za same nadzmysłowe pierwowzory, tak poniekąd wewnętrznemu wzrokowi duszy podpadające, jak przedmiot widzialny oku cielesnemu; zawsze wszelakoż twierdzi, że przez doświadczenie i czucie zmysłowe nabyć idei nie można, i że one są z przyrodą ducha ludzkiego zrosłe.

Lejbnic, który w kilku względach pod wpływem Platona zostawał, zdaje się ograniczać wrodzoność jego *idei* zasadniczych. On przypuszczał w człowieku tylko zarody tych *idei*, albo lepiej za rzeczywiście wrodzone uważał jedynie usposobienie do ich rychłego i samodzielnego poznania. Dziś powszechniej przez *ideę* (w filozoficznej dziedzinie) rozumieją ogólne, konkretne pojęcie, weale niezłożone bezpośrednio w naszym przeświadczeniu, lecz nabywalne dopiero z naukowym poznawaniem. Jestto myśl w głębszym znaczeniu, myśl w całkowitości swojej uoznaczniająca się i mocą właściwych sobie praw rozwijalna. I wedle Platona człowiek *ideę* o tyle tylko w naturalnym bycie posiada, o ile z pierwiastku w nim boskiego rodzić się mogą bezpośrednio wewnętrzne poglądy. Do takich poglądów przyjść on może w chwili tak zwanego *entuzjazmu*, podniesienia ducha. Hegel uważa takie bezpośrednio widzenie za *ideę*, w momencie jej (pierwszej) prostoty, nierozwinięcia się (1).

(1) Geschichte der Philosophie. T. II.

Od poznania Istoty Najwyższej, a tém samym idei, jako pierwowzoru boskiego rozumu, zawisłe było dla Platona wszelkie dalsze poznanie, nawet poznanie siebie samego, które u Sokratesa stanowi piérwszy warunek i zasadę nauki. Moralność zasadza się na wierze w byt téj Najwyższej Istoty, w Boga; bo Bóg jest źródłem światła rodzącego w nas zdolność pojmowania. Zdolność ta będzie rozumem, jeżeli weźmiemy rozum w znaczeniu władzy przedmiotowej, to jest jako organ, przez który zasięgamy znajomość realności w świecie duchowym. Podstawą więc wszelkiej wiedzy i warunkiem poznania, jest wrodzone nam światło rozumowe, czyli okrąg czystych pojęć (idei Platońskich), zupełnie od doświadczenia niezawisłych, ale przychodzących przez nie w umyśle ludzkim do większej *konkretności*.

Mądrość najwyższa wypełnia niejako przestwór między naszym umysłem a światem, podobnie jak światło słońca jest środkiem między narzędziem wzroku, a przedmiotem zmysłowym. Człowiek przez ciągły ugląd (kontemplacyą) *idei* podnosi się. Idea z jednej strony ma bezpośredni związek z Bogiem. Nie może wszakże stanowić w zupełności istoty Stworzyciela. Pośredniczy tylko między Bogiem a światem; wiąże duchowość z zmysłowością; zaczepta przeświadczenie ludzkie u boskiego; uzacnia czasowość dla wieczności. W naturze jój spoczywa łączność pierwowzoru z odbiciem. Każda rzecz zewnętrzna ma swój jeden pierwowzór, swoją jedną *ideę*. Ten pierwowzór prawdziwie istnieje, jest bytem, a ona li szczególnym pojawem, odwzorowaniem, obrazopodobieństwem. Bóg jest twórcą form pierwotnych; rękodzielnik wszelki, szukmistrz w ogóle, tych odwzorowań, a malarz w ści-

ślejszém znaczeniu naśladuje te odwzorowania, kształtuje obrazy.

W rozumie boskim, w Mądrości najwyższej spoczywa *idea* sama przez się, idea absolut, jako istota prawdziwa. Przez swoją właściwą energią i siłę, staje się przyczyną rzeczy i przymiotem rozłogi (substancyi). Przechodząc w działanie, w ruch, przelewa się w człowieczeństwo (*εἶδος*) i w przyrodę (*ἰδέα*). W duszy ludzkiej jest ona ogółem, i bez pojmwania ogólności niemożebnémby było poznanie. W przyrodzie przegładają się *idee* wieczne. Filozofii jest powołaniem ducha ludzkiego usposobić do pochwytu tych *idei*. Wszelkie rozbudzanie sumienia, jako także bodziec samopoznania, jest pewnym do tego wstępem. Ponieważ zaś Sokrates położył to sobie za cel i zadanie życia, i dał się jedno dlatego umęczyć; w nim więc Platon widział wcieloną filozofią. Im dosadniejszą mu się ta prawda wydawała, im wyżej cenił zwrot ludzkości do duchowego życia; tém więcéj przywiązywał wagi do pojawu w dziejach swego cnotliwego mistrza, tém bardziéj podnosił go do ideału, ubóstwiał. Mimo to wszakże, że Sokrates w nauce Platónskiej za wzór doskonałości człowieczej stawiony, mimo że cały świat *idei* przez niego do rzeczywistości zbliżony został; mimo to wszystko, przestrzeń bezmier-na, jaka rozdzielała bóstwo od człowieka, w przeświadczeniu jeszcze się nie była wypełniła. Dopiero objawienie Chrystusowe na innéj wyniosłości postawiwszy ludzkość, dało jéj zmierzyć głębię myśli Platona. Tu leży widoczna przyczyna odzycia platonizmu w pierwszych wiekach chrześcijaństwa.

Nie możemy odszukiwać w Platonie doskonałego pojęcia nieśmiertelności duszy, bo to dopiéro z chrześcijańską

nauką w świadomość ludzi zstąpiło. Wedle tego mędrca, wieczne życie duszy stwierdza się już samoistością i samodzielnością naszej duchowej istoty. Dusza sama w sobie ma przyczynę, sama przez się istnieje i ma ruch niezawisły od niczego. Życie nie może mieć coś drugiego poza sobą, czego by było oderwaniem, skutkiem, zawistością: bo to drugie jużby samo życia wymagało, a zatem duszy, która życie stanowi. Już w samej jakości zasady, dusza wyłącza przeciwieństwo, śmierć. Przedewszystkiēm nader waŹne jest oznaczenie duszy, jako w myśleniu substancją mającēj. Wtedy tylko poznajemy istotę rzeczy, kiedy myślimy, (Fedon). Zmysły w pojedynczych swoich wraŹeniach nie mogā podać nam nic prawdziwego, niezmiennego, stałego. Za pomocą samego ciała nie poznajemy nic z tego, co samo w sobie ma byt, co jest absolutne, konieczne, ale tylko co jest wzglęдне, przemijalne. Ztāд ciało jest pewnā przeszkodā w myśleniu, i prawdziwi filozofowie pragnā jak najwiēcej duszē swā od niego uwolnić. W ogóle duszē pojmował Platon rozlegle; rozumiał jā dwojako, albo raczej dwie czēści, dwie strony w niēj odróżniał: jednę głównā, odnoszācā siē do wrodzonych idei rozumu, a wiēc majācā przyczynowość w sobie, drugā pochodzācā ze zwiāzku z ciałem. Co siē tyczy egzystencji duszy bez zwiāzku z ciałem, o którēj Platon czyni wzmiankē w Fedonie, to tā wytłumaczyć siē daje, o ile jā weźmiemy za powszechnā duszē świata. W wyobraŹeniu tēj duszy świata, ojcowie kościoła dopatrywali pojęcie Trójcy chrześcijańskiēj. Rzeczywiście w Platońskiēj dryadzie, tak jak w Pitagorejskich wyobraŹeniach, z którēmi ona w powinowactwie, jest jakieś przecuciowe poznawanie tēj prawdy. Zresztā sam Platon wyznaje gdzieindziej, Źe nie moŹe dać doskonałego i wyczerpującego określenia

Najwyższej istoty. Oryentalny panteizm na stopniu bezpośredniej, zupełnie jeszcze abstrakcyjnej *substancjalności*, przeobrażał się kolejną czasu w coraz wyższe pojmowanie indywidualności bóstwa, która już w przeswiadczeniu nauczyciela Platona stała się teizmem. Nie należy mieszać panteizmu oryentalnego z dzisiejszym filozofów niemieckich, bo tamten był naturalny, pierwotny, ten zaś czysto-duchowy, a więc spóśredniczony refleksją. Trudno zaprzeczyć, że idea absolutnej osobowości łącząc w sobie *indywidualność* z *substancjalnością*, *transcendencją* późniejszą z *immanencją* wschodnią, słowem teizm z panteizmem, ustalić może prawdziwsze pojęcie Boga.

Mówiliśmy już, że *idea* stanowi rdzeń, żywioł istotny każdej rzeczy. Ona jest tén, co materją kształtuje, nadaje jój formę. Najwyższą z *idei* jest *idea* dobra. Zamyśłem jest naszym rozważyć szczególnież *ideę* piękną.

Najwięcej źródeł dostarcza nam jeden z pierwszych dyalogów, Fedros. Rozbierzmy więc go najprzód. Po wystawieniu dowodu nieśmiertelności duszy, przystępuje tu Platon do szerszego opisu takowej. Ponieważ, jak twierdzi, doskonałe orzeczenie wymaga nauki boskiej, bardziej jest zatém w siłach człowieka dać jakieś podobieństwo. Owóż więc duszę porównywa do połączonych sił skrzydlatego sprzęgu rumaków i ich woźnicy czyli kierownika. Woźnice bogów są najdoskonalsze, i ich rumaki czyli bieguny najczystszej rasy. Nie tak się ma z człowiekiem. Bieguny dusz ludzkich są nader rozmaite i dlatego kierowanie sprzęgiem trudne i przykre. W nadziemskich sferach krążą dusze. Jak długo która z nich silnie włada skrzydłami, to unosi się w eterze i szybuje szparko ponad całym światem. Skoro tylko oniemże, wnet skrzydła jój zwisną, traci pierze,

i odtąd miotaną jest tu i owdzie, dopóki nie przyczepi się do czegoś stałego, gdzie nadal zamieszka. Przyoblekając ziemskość, łączy się z ciałem. Takie połączenie duszy z ciałem, zowią stworzeniem, istotą śmiertelną. Ale gdzież przyczyna téj niemocy i tego upadku? Wszystkie skrzydła uposażone są w siłę wzlotu w krainy wyższe, do uczestnictwa w boskości. Boskością jest przede wszystkim piękno, prawda i dobro. Otóż to jest prawdziwym zasiłkiem pióra duszy, pokrzepieniem dla skrzydeł; jak przeciwnie brzydkość, zło, jest przyczyną ich zwątlenia, zepsucia. W owym nadziemskim przestworze ciągnie na czele wszystkich najwyższy wódz Jowisz, z skrzydlatym powozem. W nim nieco jedenastu bogów, każdy ze wspaniałym orszakiem duchów. Po długiej drodze dosięgają w końcu odległego wierzchołka niebieskiego sklepu. Wozy bogów płyną po błękiecie posuwisto, zawsze coraz dalej. Sprzęgi ludzkie unoszą się ku stropowi nierówno, kołyszą i czasem kłonią na dół, bo rumak niełobry i źle hodowany ociąga się, zbacza i opuszcza ku ziemi. To spowodowuje bezsilę, a potem upadek. Przeciwnie, dusze nieśmiertelnych wzlatują jeszcze wyżej, wyżej przedzierzają szczyt niebios i mieszczą się na zewnątrz sklepienia. Tu ruch wirowy porywa je, unosi wokół, a one niby zdumiałe, i pełne błogości, uglądają poza niebiańskie okolice. Bogowie i doskonałe duchy lubują sobie przy istocie z którą długo były rozłączone, i napawają się tu *kontemplacją* prawdy, najczystszej mądrości, cnoty, dopóki ich wir i pęd obieźniczny nie odstawi na miejsce, z kąd wyruszyły. Nasycone widokiem prawdziwego bytu, treści (essencji) wszechrzeczy, pogrążają się znów w wną-

trzu nieba, i jawią w swojej ojczyźnie. Tutaj woźnica podaje rumakom ambrozyą, i rozlewa przed niemi nektar. Takim jest życie bogów.

Mnóstwo dusz odmiennych losów doznaje. Niektóre, co wierniej szły w ślady swych bogów zwierchników, i pościgały ich w biegu, zazierają choć głową woźnicy w krainy wyższe, i w takim położeniu wirują. Karcić się wszakże oglądem pozaświatowych sfer niezdolne, bo niezgodne rumaki sprawiają im niepokój. Inne dusze w pędzie nierównym czasem tylko poglądną w ową prawdę wieczną, w stronę istot wszechrzeczy. Reszta znowu ciągle w oddaleniu pali się żądzą téj *kontemplacyi*, ale nie jest w siłach wzbić się tak wysoko. Wir uporeczywy zachwyca te dusze w niższą przestrzeń; strącają się wzajemnie w wysiłkach swoich, znoją, walczą i kaleczą. Po długich trudach i męczarniach nie dostąpiwszy udziału w rozkoszy najszlachetniejszej, zmuszone żyć uludą i pozorem.

Kresem dążeń dusz wszystkich jest pole prawdy gdzie owe łany błogości dają zasilek jedyny dla wzrostu skrzydeł. W miarę tego, jak która dusza wierniej towarzyszyła bogom, więcej zakusiła rozkoszy nieziemskiej, mniej téż doznaje według prawa Adrastei (1) cierpień i goryczy, i z szlachetniejszym powołaniem człowieka tu się przeobraża. Dziewięć bowiem jest rodzajów życia ziemskiego. Żadna dusza przed dziesiątkiem tysięcy lat, nie porasta w pierze, nie wraca do ojczyzny, krom jednej żyjącej w prawdzie, filozofującej. Ta już w trzecim tysiącu odzyskuje lot; jeżeli trzykroć ten sam żywot obrała. Każde rodzenie się jest pielgrzymką

(1) Koniecznego porządku rzeczy.

z ojczyzny. Wszelkie dusze po zakresie pierwszego życia, sądzone bywają. Nieczyste wedle wyrocznego zdania pokutują w podziemnicy i znoszą karanie; nieskazitelne i szlachetne, radują się w okolicach niebieskich względnie cnót, jakie spełniały w człowieczej postaci. Po upływie tysiąca lat, jak jedne tak i drugie zbierają się na wybór nowego drugiego życia. Każdój wolno wybrać stan, jaki najwyżej ceni i jaki sobie upodoba. Teraz mogą nastąpić wędrówki dusz ludzkich w ciała zwierzęce, lub tych, które tam przemieszkiwały, z powrotem w swoje właściwe. Albowiem to, co nigdy samej *idei* prawdy nie uglądało, nigdy też upostacić się w człowieka nie może. Uchwycenie prawdy z pojedynczych postrzeżeń, dzieje się siłą przypomnienia chwil życia boskiego. W takim przypomnieniu żyje duch filozofujący, w boskości zatopiony, którego natchnienia nie dla wszystkich zrozumiałe. Z takich przypomnień, z owych wyżyn pozaświatowych, źródli się miłość gorąca i ścieka kroplami do serc ludzkich. Owoż gdy człowiek spostrzeżę piękność na tym padole, a żywi jeszcze pamięć owego prawdziwego piękna, to piórka skrzydeł mu się wykluwają i trawi go żądza polotu ku niemu. W téj żądzy, zaniedba spraw ziemskich, a będzie wznosił oczęta ku niebu; zateśni jak ptaszyna, a bliźni nazwą go nieprzytomnym, szaleńcem. Ale ten szal, ten zachwyty uczuć jest jedynym z najszlachetniejszych. Każdy jego uczestnik, każdy co się tak roznamiętnia do piękna, nosi miano miłośnika, kochanka. Wszyscy ludzie cieszyli się widokiem treści (essencji) wszechrzeczy, ale nie wszystkim zarówno wyrwał on się w pamięci. Biada tym, co zataili go przez losów koleje! Oni nie posiadają się z chęci, nie panują nad sobą, ilekroć obra-

zek zaświatowej pięknej rzeczy im błysnie. Wszelakoż dla wszystkich stracił blask wizerunek na tej ziemi, urok jego omglony. Powłoka cielesna tak nam światłość piękna przyćmiła, że rzadko kto dokładnie rozpoznaw w widomej doczesności, pierwowzór. Błogo było zaiste, żyć tam w przedświecie, przeglądać głębią tajemnic najświętszych człowiekowi, nie zaznać przyszłych trosk i niedoli. Wtedyto dusza była czysta, wolna od więzów czasu, i od tej lepianki, co ją na padole tak zacieśnia.

Ze wszystkich istot, piękność co tam ongi, najświetniej jaśniała, najwyraźniej tu nam jeszcze połyska. Ona jedna ciśnie się do duszy przez narzędzie wzroku, przez myśl najczystszy. Ani mądrość, ani sprawiedliwość unaocznić się wcale nie może. Piękno jedno staje się widomém. Kto jego pierwowzór stał z duszy, kto się tyle odświecił, ten zmysłowych chuci został niewolnikiem, ten na lada widok podobny, niecnój pokusie ulegnie. Kto zaś jeszcze pełen niebiańskiego namaszczenia, prostuje w świeżości wrażenie przedświatowe, tego za poglądem na rysy doskonałego piękna, przeszyje dreszcz niezwykły. Jakaś harmonia uczuć niebieskich ogarnie jego jestestwo, zastęp wyższego światła zalegnie mu wewnątrz duszy. Zaczyna czcić, ubóstwiać przedmiot miłowany, i niósłby mu ofiary jak Bogu, gdyby się nie obawiał podejrzeń ludzkich, pomówienia o szaleństwo. Ile razy ujrzy swoje kochanie, zaraz zdejmuje go drzączka, zlewa pot zimny, jakiś ogień wewnętrzny trawi i przenika. Bo ten ukryty płomień sprzyja wzrostowi skrzydeł, topi niby zastygłą powłokę duszy, dozwala wykluć się swobodnie zarodkom piórek. Każde spojrzenie wlewa prąd nowój siły, i każdy jój przyływ roz-

radza pień skrzydeł, rozkorzenia je po całej duszy, tak niegdyś pierzatéj. Miłośnik ów wtedy, staje się podobnym do dziecięcia, w chwili ząbkowania. Jak dziecko boleje i razem słabnie od wysiłków, jakie czynią pierwsze zęby przeryzując dziąsła; tak on wyteża się i cierpi od wysiłków piérza drażniącego duszę. Ale zawsze ten niepokój, ta burza wewnętrzna, sprowadza pewne zadowolenie w kroplach kojącego balsamu. Promieniste piękno roztryskuje niby atomy (niedziałki) pełne ponęt i drażnienia. Niech tylko oddali się przedmiot miłowany, to i otwory piórek się zasklepią, i dusza zaciśnie. Dopiero tysiącrocé gorsze zaczynają się męki. Skrzydła zroszone pyłkiem balsamicznym (emanaacją) piękna), tętnią jak nabrane żyły, i pukają w otwory, by wybić się na wolność. Dusza w kolkach ustawicznych nękana i kluta, wpada w szal niezwykły. Za wspomnieniem piękna znów doznaje ulgi i znów się rozpogadza. Takie atoli rozdarcie duszy na dwa uczucia, wnosi niepokój w wnętrze kochającego. Nieprzytomny bez spoczynku, trawi się i biega jak obłąkany, za popędem duszy, w stronę gdzie raz zaspokoił pragnienie widoku. Jeśli znowu zoczy przedmiot kochania tchnący pięknoscia, to na nowo się zasili jego roztryskiem (emanaacją) i piórka duszy wyswobodzi, i niewymownie rozraduje. Trudny dlań już dobrowolny rozbrat. Gotów żyć w niewoli, gotów wszystko poświęcić, wszystko opuścić, zamiedbać nawet najdroższe niegdyś osoby, rodzinę, przyjaciół, nawet szlachetność i prawość; byle zbliżyć się jak najwięcej do przedmiotu uwielbień, spocząc opodal niego, lub zasnąć snem najgłębszym. W tém tylko środek zaradczy na wszelaki utysk, wszelakie utrapienie;

tu kres długich dolegliwości i katuszy. Otóż to jest co ludzie zowią miłością!

Z tych przedstawień wnosimy, że miłość do piękna u Platona, niczém inném nie jest w gruncie, jak atrakcją człowieka do bożkości. Piękność jako *manifestacya* dobra, jest formą boskiej natury. Platońskie pojęcie miłości, z wielu względów ma wielkie znaczenie. Już jako przeczucie wielkiej prawdy chrześcijańskiej, zasługuje, byśmy je dokładniej wyłuszczyli.

Stosownie do natury bożka, któremu dusza w nadświatowém życiu najdłużej była wierna, obiera ona sobie za przedmiot kochania osobę na ziemi, i w niej niby obraz swego bóstwa czci i poważa. Tak wielbiciiele Jowisza, szukają duszy do królowania zdolnej i filozofującej. Znalazłszy ukrzepiają w niej *ideę* bożka, doskonałą w mądrości, i przez zbliżanie ciągle ludzkiego wizerunku do boskiego w pamięci swój pierwowzoru, uświęcają ją i sami się podnoszą. *Kontemplacya* pierwotnej piękności, ciągle odświeżanie wrażeń dawnych, utwierdza związek z bóstwem, rozlewa pewien czar po ich jestestwie. Nie posiadając się z upojenia, przypisują całą przyczynę szczęścia kochanej osobie; kształcą takową na podobieństwo owego prototypu, przelewają w natchnieniu przymioty jego, i w ten sposób sami w szlachetności wciąż rosną. Tak więc miłość jest odtwarzaniem piękna według pierwotnej modły.

Była już mowa o układzie i postaci duszy. Z dwóch rumaków wspomnianych, jeden jest szlachetny, śnieżno-białej maści, kształtnej budowy, przykładnego posłuszeństwa i wysokiego poczucia godności; drugi zaś bez foremnych zarysów ciała, czarny, z modremi, krwią zaszlęmi oczyma, krótką szyją, zawsze gniewliwy i nie-

sforny. Kiedy widok budzący miłość uderzy woźnicę, i wciśnie się przez szlachetne zmysły z drażnieniem do duszy, to rumak skromny i wstydlivy powściąga się i cofa, a nieukrócony, usiłuje porwać kierownika w stronę swego popędu. Drugi biegun i woźnica stawiają opór zrazu, aż wreszcie uniesione zapalem, oglądają zblizka rozblyskujące piękno. W odświeżonem przypomnieniu korzy się woźnica przed potęgą uroku. Wnet trwoga go zdejmuje i przechyla na tył. Rumaki skietznane dają dęba i ustępują w końcu. W tej chwili szlachetny, biały oblewa duszę potem; czarny, niezacny złorzeczy woźnicy i towarzyszowi; wymawia im ich lęklivość zbyteczną, i po pewnej zwłoce nagli do dokonania zamiaru. Jeśli mu się nie wiedzie, to używa przemocy, rwie i gryzie wędzidło. Dopiero woźnica z wielkiem wysileniem hamuje, kaleczy kielzmem, i tak ukróca zaciekłego z dzikięj namiętności bieguna. Przewyciężywszy niecny popęd szlachetnym, już odtąd miłośnik zostaje pełen szacunku dla przedmiotu kochania, i z pokorą tylko doń się przybliza. Kochanek roztryskuje także miłością, i gdy promienie duszy kochającego w nim się odbijają, to i jego dusza również zaczyna porastać w pierze i nabiera płomieniem. Związki ich będą coraz ściślejsze; a jeśli szlachetna skłonność zawsze tryumf odniesie, to taka spółka duchowa, wzajemne współubieganie w cnocie, napełni ich życie błogością i na przyszłość zjedna nagrodę.

Z tych obrazów, widzimy, jak pojęcie piękna wywięzuje się w Platonie bezpośrednio z nauki o życiu przedświatowém i o krainie *idei*. Nie wnikając w rozbiór głębszy, co tu jest samorodnym owocem gieniuszu Platonskiego, a co naśladownictwem Orfeizmu lub Pitagoreizmu, prze-

chodzimy do dalszego rozwoju tego pojęcia. Od niego zawisło całe przedstawienie estetyki Platonskiej.

Przymiot jasnego obrazopodobieństwa *idei*, najściślej-
szego związku z pierwowzorem, posiada tylko piękno na
ziemi. Ono bo też jedno, swoim pojawem, tak dziwne
na duszy ludzkiej wywiera wrażenie, tak silne wywołuje
w niej uczucia. Piękno jestto wieczność objawiająca
się w doczesności. To, w czém idea piękna uczestniczy,
roznieca w nas chęć polotu do ojczyzny niebieskiej,
podnosi, uszlachetnia. Atoli nie każdemu dano przedrzeć
się odrazu do pierwowzoru; nie każdy odnajduje tę
ideę. Platon porównywa jęj pochwyty z inicjacją do mi-
sterów (wtajemniczeniem). Kto ugląda w duchu *ideę*, ten
ma udział w prawdziwych misterach, jest inicjowany.
Tu oczywista znajomość tradycyj orficznych. Wielużto
zatrzymuje się przy samej formie obrazu ziemskiego,
przy piękności względnej, nie mogąc wznieść się do
absolutnej, pozaświatowej. Nie wszyscy wychodzą zwy-
cięzko z walki zmysłowych popędów. Już doskonale
odmalowanie téj walki dał nam Platon w Fedrosie.
Biesiada nasuwa nam jeszcze pojedyncze objaśnienia.

Ruch duszy ku ideom wiecznym, a mianowicie ku *idei*
piękna, rodzi miłość. Mityczny jęj początek w następują-
cy sposób rozpowiada autor, ustami podstawionego tu
Sokratesa:

Pośrednictwo między ludźmi a bogami, stanowią *de-*
moni. Ich powołaniem, modły i prośby ludzi bogom
zanosić, a przykazania i zlecenia bogów ludziom oznaj-
miać. Do takich demonów należy miłość. Nie jest więc
samym bogiem, bo nie jest piękną, dobrą i szczęśliwą,
ale tylko węzłem łączącym niebo z ziemią, istotą, za po-
mocą której bogowie z ludźmi obcują. Był niegdyś wiek

złoty, mówi Platon gdzieindziej, kiedy Saturn mianował na królów i władców ludu nie zwykłych śmiertelnych, ale istoty boskie, gieniuszów (demonów). Tak jak my dziś dla strzeżenia trzody, nie wybieramy zpośród niej jednostki, ale powierzamy ją naszemu bliźniemu; podobnież wtedy z łaski tego Boga, ród wyższej natury opiekował się nami. (Prawa ks. IV).

Miłość (Eros) jest synem Poros i Penii. Jako dziecię Penii (πένηα, paupertas, nędza), jest ona biedną, ubogą, na trudy i niedostatki narażoną. Podobnie jak jój matka była nędzną żebraczką, która przypadkiem na uczcie, gdzie się nektar sownicie rozlewał, z Porosem się spotkała; podobnie téż ona żyje bez stałego schronienia: nie ma ani okrycia, ani obuwia, i tylko nagą ziemię za posłanie. Z drugiej strony, dziedzicząc przymioty ojca, jestto wielka znawczyni piękna i dobra, przyjaciółka mądrości i wiedzy, czarodziejka i sofistka. Jako poczęta w dzień narodzin Wenery, towarzyszy téj bogini wiernie. Nie zalicza się ani do śmiertelnych, ani do nieśmiertelnych, bo ciągle obumiera i znów się rodzi. Jest ona napóły wszystkowiedzącą, napóły nie niewiedzącą, zupełnie nieświadomą. To nadaje jój cechę filozofki. Albowiem bogowie, jako posiadacze mądrości, nie filozofują, a ci co nie wiedzą, wystarczają sobie, nie dążą do mądrości. Ona tylko kochając piękność, kocha i mądrość, bo ta jest najpiękniejszym darem świata. Nie należy miłość odnosić do kochanego, ale do kochającego. Wszyscy dążą według własnego widzenia do piękna i dobra, by przez ich nabytek pozyskać szczęście. Atoli jak poezją jest w ogóle wszelkie działanie, wynalazek, przeprowadzenie czegoś do bytu, a poetami są wszyscy

twórcy, wynalazcy, a przecież jeden rodzaj twórczości wyłącznie t \acute{e} m mianem oznaczamy; tak i miłość musi mieć co \acute{s} najwi \acute{e} c \acute{e} j sobie odpowiedniego, co \acute{s} najbardziej siebie godnego. Ot \acute{o} ż wi \acute{e} c miłości \acute{a} jest w \acute{l} asciwie ch \acute{e} ć pozyskania dobra przez twórczość pi \acute{e} kna w pi \acute{e} knej duszy lub w pi \acute{e} knym ciele. Taki rozpl \acute{o} d jest nie \acute{s} miertelno \acute{s} ci \acute{a} w \acute{s} miertelnych istotach. Rozpleni \acute{a} nie nie \acute{s} miertelno \acute{s} ci jest przedmiotem kochania. Odbywa \acute{e} si \acute{e} mo \acute{z} e jedno w pi \acute{e} knym, i to wedle duszy lub ci \acute{a} ła. Duchowe pl \acute{o} dy s \acute{a} wy \acute{s} ze, szlachetniejsze; duchowa twórczość jest trwalsz \acute{a} od cielesnej. Kto w d \acute{a} zeniu do najwy \acute{s} zego dobra, chce rozpladza \acute{c} cnot \acute{e} i m \acute{a} drość, ten szuka pi \acute{e} knej duszy dlatego tylko, aby przez obcowanie z ni \acute{a} , rozpleni \acute{e} pi \acute{e} kno \acute{s} ć i wsp \acute{o} lnie wykszta \acute{l} ci \acute{c} . Taka prawdziwa miłość, zmierzaj \acute{a} ca do czystej moralnej doskona \acute{l} o \acute{s} ci, bierze pocz \acute{a} tek zawsze pod wplywem silnego poczucia i wewn \acute{e} trznych wra \acute{z} e \acute{n} sam \acute{e} j *idei* pi \acute{e} kna, i nie ma \acute{z} adnego \acute{s} cislego zwi \acute{a} zku z zmys \acute{l} ow \acute{a} pobudk \acute{a} .

Pojawy pi \acute{e} kna nie wszystkie s \acute{a} r \acute{o} wno wznios \acute{l} e. Mi \acute{l} ość wi \acute{e} c ma r \acute{o} zne stopnie \acute{s} więto \acute{s} ci. Najpr \acute{o} d wyra \acute{d} za si \acute{e} z kochania pi \acute{e} knych m \acute{l} odzi \acute{e} nczych postaci, z ch \acute{e} ci-zapłodzenia ich pi \acute{e} kni \acute{a} mow \acute{a} ; pot \acute{e} m ze sk \acute{l} onno \acute{s} ci do wszelkiego pi \acute{e} kna cielesnego og \acute{o} lniej wziętego. D \acute{a} lej si \acute{e} ga tam, gdzie cz \acute{l} owiek odnajduje wewn \acute{e} trzne, duchowe pi \acute{e} kno \acute{s} ci, by je jeszcze uszlachetni \acute{c} ; r $\acute{o$ wnie do pi \acute{e} kna w obyczajach, czynkach rzeczy umiej \acute{e} tniej. Nareszcie do najwy \acute{s} zego stopnia doskona \acute{l} o \acute{s} ci i czysto \acute{s} ci dochodzi przez poznanie pi \acute{e} kna samego przez si \acute{e} , absolutnego. Pi \acute{e} kno samo w sobie jest wieczne, niezienne, niezawarowane przestrzeni \acute{a} ani czasem. Ono nie podlega \acute{z} adnej zmianie ani uszczerbkowi w pojedyn-
czym pojawie. Mi \acute{l} ość tak doskona \acute{l} a, dodaje wiele warto \acute{s} ci do \acute{z} ywota cz \acute{l} owiekowi.

(Doko \acute{n} czenie nast \acute{a} pi).



WIEŚ GRĄDY.

WYJĄTEK Z DZIENNIKA PODRÓŻY.

PRZEZ

Ad. Am. Hoosińskiego.

I.

Jak większa część wsi Mazurskich, i Grądy nie mogą się poszczycić miejsce-położeniem. Szemrzących ruczajów, zielonych wzgórz, stromych opok, majowych kobierców łąk nie napotkasz tutaj; kraj wszędzie równy, w części błotny, w drugiej piaszczysty. Ziemia niewdzięczna, ciężki móżół rolnika ledwie że skąpo oplaca żytem; las zły, przetrzebiony od wieków, o dęby nie pytaj; sosna tylko, a i ta niebujna, karłowacieje nie mogąc wydobyć z piasku, na którym gnieździ się, stosownego pożywienia.

Lecz gdy przyroda tyle jest skąpą dla wsi, o której wspominam, legendy i powiastki ludu, a nawet i historia wzięły ją pod szczególną swoją opiekę.

Przygraniczne położenie siola, musiało je narażać w pierwszych epokach bytu Lechii na częste napa-
dy dziczy pruskiej, litewskiej i krzyżaków. Z tych
tóż nieszczęsnych lat mnóstwo znajdziesz pamiątek,
tak w samej wiosce, jak i na polach do niej należą-
cych: tu wysokie, pojedyncze mogiły w półzbutwiałem
od starości drzewem uwieńczone, tam uroczyska groba-
mi Aryańskimi zwane, to wreszcie kawały odlogów,
które pobojowiskami lud zowiąc, w godnym wybaczenia
zabobonie pługiem nie chce i nie śmie tykać. Niejedno-
krotnie także uprawiając rolę, kmiotek wyrzuci ostrzem
lemiesza, to czaszkę trupa, odłamek zbroi, lub pienią-
żek starożytny a obcy... Do każdego zaś z miejsc po-
wspomnianych wiąże się jakaś legenda, powiastka lub
tradycja. Historycznej krytyki nie szukaj w nich
wprawdzie, lecz też nie odrzucaj jako baśni; dziejowe
pewniki zwykle są w głębi podań ludu, którego nie
wina, że źle lub poetycznie widząc rzecz, na swój spo-
sób sądzi ją i opowiada.

A i późniejsze epoki nie przeszły bez zostawienia
śladu w Grądach. Głód, mor, ogień, a co nadewszyst-
ko krwawe wojny szwedzkie, żywo tkwią w pamięci
mieszkańców; każda z tych katastrof utworzyła to le-
gendę, to powiastkę lub piosnkę, które pokolenie poko-
leniu, wiek wiekowi oddaje jako świętą puściznę. Sza-
nuje ją kmiotek i jakże ma być inaczej? Alboż ta puści-
zna nie jest często jedyną, przypominającą mu ojców
i dziadów?...

Jedną z podobnych legend na miejscu skręśloną przy-
toczę tutaj. Niedawnego sięga ona czasu, maluje go,
co zaś nadewszystko dotyczy wypadku, który chociaż

od historyków wspomniany, nie jest ani znajomym jak na to zasługuje, ani wyświeconym należycie; przecież należy do tych rzadkich, do tych szczytnych, któremi każde dzieje, każdy lud słusznie mogłyby się pochlubić.

II.

W epoce drugiej wojny szwedzkiej, wieś Grądy należała do referendarza koronnego Szczuki. Bogaty był to pan, obszerne posiadał włości; prócz tego miał powszechny szacunek i zamięłowanie w obywatelstwie. Związkami krwi skoligowany z najzamożniejszymi i najpotężniejszymi rodzinami, swoją téż mógł się poszczycić. Ród Szczuków bowiem, jak o tém łatwo z herbarzy i historycznych podań każdy przekonać się może, karmazynowy, o dygnitarstwa nietrudno, senatorstwa nawet częste; starożytność zaś niepospolita, pierwiastkowych dziei Mazowsza zasięga.

Co do samego referendarza, byłto jeden z tych ludzi, których dzieje z upodobaniem skręślał Plutarch, jakiemi szczycił się Rzym w najpiękniejszej epoce swojej historii, o których za czasu Jagiellonów i u nas nie było trudno. Z powagą Katonowskiego Rzymianina, łączył i jego cnoty: prawość, poświęcenie się dla dobra ogółu, stałość w raz przyjętych zasadach i zdaniach, wreszcie honor.

Mimo przecież tych zalet, mimo darów fortuny, rodowitości i mienia, referendarz nie liczył się do rzędu tych ludzi, których los obwinąwszy jedwabiem i złotem swojej opieki, ulubione dzieci wiedzie drogą życia, zmia-

tając z niej ciernie utrapień, a sypiąc wonne kwiatki pomyślności. I w domowém i publiczném życiu i związkach serca nie był szczęśliwym Szczuka. Ożeniony za młodu, mniej z widoków majątkowych jak z skłonności serca, dochował się czterech synów i trojga córek. Daleko szukać podobnej rodziny; synowie, młodzież dziarska, hystra, rycerska; córki jaśniały urodą i cnotą. Zazdrozczono téż powszechnie referendarzowi, on sam cieszył się. W statku i przymiotach swych dzieci widział nietylko chlubę dla siebie, zapewnienie przyszłości rodu, ale i nagrodę niebios, pocziwości należną. Cieszył się jednak zawczasem. W niespełna sześciu latach z licznej owój rodziny jedno tylko dziecko zostało. Córki ledwie wiosny życia doszły zstąpiły do grobu; trzech starszych synów dało gardło w walkach, o które za Sobieskiego czasów nie było trudno: jeden pod Wiedniem, drugi pod Parkanami, trzeci ścigając z hetmanem Jabłonowskim na Wołoszczyźnie Tatarów.

Nie utyskiwał jednak pod ciężkimi razami przeznaczenia starzec; owszem zdawało się, że im więcej los uwziął się, aby dotkliwsze przynosić ciosy, tém on je znosił cierpliwiej. „Bądź wola twoja Panie” były jedyne wyrazy, jakie wychodziły z ust jego: już to gdy grzebał które z ulubionych dzietek, już gdy król albo hetman zawiadomili o zgonie innego. Przecież gdy oko było suche, gdy pierś nie darło westchnienie, azaż nie cierpiało serce?... Myliłby się ktoby mniemał, że było przeciwnie. Dobry ojciec kochał, a więc cierpiał, lecz cierpienie ukrywać umiał; lży jak niegdyś Spartaninowi Likurga, wydawały mu się sromotą niewieścienstwa.

Ależ charakter starca najlepiej okażą wypadki, które w mojej powiatce zamierzylem opisać. Przejdźmy do nich.

III.

Spoczął w grobach starożytnej krakowskiej katedry, uśpiony snem wiekuistym Sobieski. Jego miejsce na tronie Piastów i Jagiellonów zastąpił elektor saski, Fryderyk August, i rozpoczął panowanie odświeżeniem téj okropnej wojny z Szwedami, która od lat przeszło 90, z małemi przestankami niszczyła najpiękniejsze strony kraju, i mało braknęło, że ten za rządów nieudolnego Jana Kazimiérza nie zmienił się w prowincyą Skandynawskiej monarchii.

Wojna z lekceważeniem istniejących traktatów wypowiedziana przez Augusta II, równie mieć miała niepomyślny skutek. Karol XII, północny Aleksander Macedoński, jak go nazywał pochlebnik Wolter i inni pisarze, z niesłychaném szczęściem, które los niekiedy szaleńcom użycza, rozbiwszy nieprzyjacielskie zastępy pod Rygą i Narwią, brał zamki po zamkach, zdobywał prowincye po prowincyach, i niby groźna mściwym pionem Boga burza, zajmwszy północną Litwę, zmusiwszy do hołdu strachem jednych, pochlebianiem ambicyi drugich magnatów, zbliżał się do granic koronnych, aby uderzywszy na serce i głowę kraju, Warszawę, roztrącił chwiejący się tron nieudolnego Augusta.

W tymto czasie dnia 18 sierpnia 1702 roku, w głównej izbie rezydencyjonalnego dworca w Grądach, odby-

Ia się scena piękna swoją szczytnością, jedna z tych, jakie z zadowoleniem maluje autor, czyto historyk, czy poeta.

Ależ zanim ją skręślę, winienem dać wizerunek miejsca i osób. Co do miejsca, byłato komnata, jakie jeszcze w niewielu pozostałych budowlach z czasów Jagiellońskich znaleźć możemy: długa, wązka, sklepiąna, a skąpo oświecona oknami; jój ściany obite były w części kolorowym papierem, w drugiej makatem. Sprzętów niewiele, wszystko z swojskiego drzewa: topoli, dębu, jesionu. Bez bogatych ozdób nie obyło się jednak: w dużych szafach za szkłem błyszczaly stopy sreber, rostruchany, wazy, talerze i nalewki. Cała jedna ściana służyła za zbrojownią; z lubością zatrzymywało się oko na ryszunkach, rozpościerających się przed nióm: tu błyszczala bogata huzarska zbroja, tam koczula pancernika, tu muszkiety ułożone w składne koła, tam szable damascenki, jatagany i karabele. Nie braknęło i starożytnych pancery, misiur i broni wyszłych nietylko z użytku, lecz do nazwisk zapomnianych. Były téż i trofea wojenne, jak proporce szwedzkie, buńczuki muzulmańskie i moldawskie chorągwie. Do każdego zaś z tych przedmiotów, przywiązany był jakiś historyczny wspominek, jakaś rodzinna tradycya. Tój szabli używał w bitwie pod Chocimem ojciec referendarza, obożny i regimentarz koronny; tamtój dziad pod Cecorą, innój pradziad pod Obertynem; ten sztandar zdobył zabiwszy chorążego, jeden ze stryjów dzisiejszego właściciela; drugi, sam referendarz, gdy pod rozkazami Sobieskiego walcząc pod Żurawnem, złamał jednę z rot zaciętych wrogów Sarmacyi i chrześciaństwa.

A ci, których trofea widziałeś zawieszane na ścianie, spoglądali na nie martwemi oczami portretów; wizerunki ich bowiem umieszczone były w komnacie, jako jój najznakomitsze ozdoby. Na te zaś portrety, zbierały się od lat dwustu, tojest od upowszechnienia malarstwa u nas, liczne pokolenia. Ciekawy zaiste byłto zbiór. Orzu od niego nie mogłeś oderwać, od tych poważnych lub marsowych lic, którym wrócił niejako życie pędzel artysty; typ zaś ich jeden, domieszka obcej krwi nieskaziła go. We wszystkich ten sam charakter: duma cnoty, moc umysłu; w starcach spokój prawości, w młodzieńcach dziarskość rycerska: przymioty z wieków dziedziczne w rodzinie Szczuków.

Lecz jeżeli osoby spoczywające oddawna w mogiłach, mogły twą uwagę usidlić, daleko więcej zajmowały ją te, które żyjące miałeś przed sobą. A naprzód sam referendarz. Poważny byłto starzec; wąs długi, siwy, twarz pełna fald, wysokie czoło grubemi marszczkami porznięte, oko bystro promieniące świadczyło, że podeszły wiek nie stał hartu umysłu, ni siły duszy. Na wyrazistój przecież twarzy starca, rysowało się cierpienie dłużej i utrapliwój choroby, jakoż był nią dotknięty; dokuczały dawne zle zagojone blizny. Po raz piérwszy dziś od miesiąca wstawszy z łóżka, ukazał się w izbie gościnnój, ważną, jak to wkrótce ujrzy czytelnik, okolicznością zmuszony. Obok starca, zajęta pozornie jakąś niewieścią robótką, lecz rzeczywiście pilnie uważając i doglądając męża, siedziała referendarzowa, Anna, starożytnego litewskiego rodu Sierzputowskich córa. Dobroć, łagodność, wiara małżeńska, zamiłowanie domu i pobożność, oto były główne jój cnoty.

Na twarzy zostały jeszcze ślady dawniej piękności; suknie były w pół żałobne, bo takie tylko nosiła oddawna, a od czasu, gdy pierwsze z swoich dzieci złożyła w mogile. Za krzesłem ojca, niby gotów na rozkazy, jeśliby mu dano jakie, stał jedyny z synów referendarza, młodzian lat dwudziestu dwóch; wzrok jego był bujny, skład ciała krzepki, zdrowie jasnym rumieńcem oblewało dorodne policzki: z oka i z miny znać było człowieka stworzonego do czynu, do szabli. Z zadowoleniem mimowolnym przyglądałeś się jego postaci; przypominała ci bowiem rycerzy, którzy z Sobieskim wiedeńskie i choćimskie, z Zamojskim byczyńskie wywalczyli zwycięstwa. Był to typ owęj dzielnej młodości, którą się musiał odznaczyć ów Jagiellończyk, który dał gardło pod Warną, w obronie chrześcijaństwa i własnego honoru.

Prócz wspomnianych, dwie jeszcze osoby znajdowały się w komnacie: szlachcic czerstwy, spasy, rumiany. strukczaszy nowogrodzki Strumillo, jedna z tych biernych figur społeczeństwa, o których niema co powiedzieć, chyba że żyły, bo Bóg dał życie; i pułkownik szwedzki hrabia Horn, Skandynawczyk wysoki, blady, suchy i szorstki: dziecię odległej północy, a więc zimny charakterem i sercem.

Z jakiego powodu, on, Szwed, a więc zacięty wróg Sarmacyi, znajdował się w domu referendarza, objaśnię zaraz.

IV.

Jakkolwiek mimo licznych zasług nie otrzymał od Sobieskiego żadnych dowodów przychylności referen-

darz, przecież po zgonie tego monarchy przyłączył się do partji, podającą królewicza Jakóba do tronu. Różne zaś skłaniały go powody; najprzód, lubo przywiązany do instytucyj krajowych, widział przecież niektórych, a szczególniej elekcyi złe skutki, i chciał je usunąć zapewnieniem familijnego dziedzictwa, jak to miało miejsce za Jagiellonów; potem pocziwemu niewdzięcznością ze strony ziomeków wydawało się, oddalenie od tronu rodziny, której ojciec, mimo licznych błędów, przeważnie chrześcijaństwu i krajowi oddał usługi; wreszcie związany pokrewieństwem i przyjaźnią z możną rodziną Ogińskich, działał z nią w złączeniu, popierając tegoż samego kandydata.

Jak przecież wiemy z historyi, usiłowania partji Sobieskich rozbiły się o intrygi saskie. Referendarz wtedy oddzielił się nietylko od dworu, ale i wyrzekł się wszelkich osobistych widoków dumy: jużto że nie chciał służyć temu, przeciw któremu na elekcyi głosował, już téż że nie podzielał formy rządu i polityki zaprowadzonej wówczas.

Te wszystkie szczegóły znał Karol XII, i prawie równie biegły dyplomata, jak szczęśliwy zwycięzca, chciał z nich korzystać. Dlatego wstępując w granice korony, wysłał pułkownika Horna, dodając mu za towarzysza Strumiłę, partyzanta Ogińskich, aby zyskać referendarza dla siebie. Szło mu zaś o to wiele; Szczuka przeważny wpływ na obywatelstwo i mieszkańców północnej części Mazowsza wywierał, mógł ich pociągnąć za sobą, a więc ułatwiał Szwedowi pochód na Warszawę, i zamierzoną już wtedy detronizacyą Augusta. A jednak projekta rozbiły się o prawość i sumienność referenda-

rza. Wysłuchawszy poselstwa Horna, dał krótką odpowiedź:

— Przebaczysz W Mość, przebaczy i Jego Kr. Mość, ale zadość waszym życzeniom nie mogę uczynić.

— Jako? — zagadnął zdziwiony Szwed — omylonoż nas? pan referendarz jesteś partyzantem elektora saskiego?

— Nie jestem bynajmniej ni jego, ni partyzantem czyimbądź, wyjąwszy powinności honoru i dobra ogółu.

— Dobro téż ogółu mówi za naszym projektem; przyjmując go, oszczędzisz strumienie krwi, zachowasz od zguby tysiące twoich współziomków.

— Prawda, lecz honor....

— Ach — przerwał pułkownik — i pod tym względem nie miéj skrupułu; dzisiejsze twoje postępowanie będzie tylko przedłużeniem dawnego: wszakże głosowałeś niegdyś za królewiczem Jakóbem, a temu właśnie mój monarcha chce wrócić berło przemocą wydartę.

— W imieniu rodziny Sobieskich dziękuję za dobre dla niej chęci Jego Kr. Mości, przecież od mojego postanowienia odstąpić nie mogę. Służyłem królewiczowi dopóki mogłem to czynić bez nadwężenia sumienia, lecz teraz rzecz inna: przysiągłem wierne posłuszeństwo i usługi Augustowi.

— Jeżeli tylko przyrzeczenie wiąże W Mość — wyrzekł z uśmiechem lekceważenia pułkownik — jest to bagatela, na którą zważać niewarto.

Zaiskrzyło oko poważnego starca.

— Mości pułkowniku! — odparł przeciw zwyczajowi dość żywo i szorstko — zbyt młody W Pan jesteś, abyś mógł dawać rady i napomnienia człowiekowi, którego synem a nawet wnukiem mógłbyś być; który bez chwał-

by może wyrzec o sobie, że w tylu i w tak trudnych znajdował się niejednokrotnie okolicznościach życia, że ma i doświadczenie i własne zdanie. Mogli działać jak uważali za dobre panowie litewscy; rozważać ich postępów, a tém mniej sądzić, nie chcę, zostawiam to przyszłości i historyi; lecz co się mnie tyczy, co rzekłem powtarzam: postąpię jak mi nakazuje powinność dobrego szlachcica i prawosć milującego człowieka.

Przygryzł wąsa obrażony nieco ostrą wymówką pułkownik; uspokoił się jednak wkrótce, owszem, nie dowierzał słowom, które dopiero co słyszał. Dokładnie obznajmiony z trybem postępowania wielu ówczesnych możnowładców, mniemał, że referendarz wchodzi w ich ślady, że jego wzdryganie się jest tylko pozorném, a służącém do zyskania jakiej błyszczącej dostojności lub intratnego starostwa. Wyrzekł zatem z ironicznym uśmiechem i z ukłonem szyderskim:

— Ależ panie referendarzu, niepotrzebnie unosisz się Wmość. Mój monarcha, każdy wie o tém, nie zostawia bez nagrody usług sobie oddanych, a i Waszmościnaą wywdzięczyc potrafi.

Wzdrygnął się na swém krześle Szczuka i zagadnął:

— Co przez te słowa chcesz Wać rozumieć?

— Ni mniej ni więcej, tylko że darmo nie pragniemy jego przysługi; i możesz pan wybrać jak zechcesz, pierwsze wakujące starostwo lub krzesło w senacie.

Żywym szkarłatem gniewu oblały się teraz policzki starca; zadrżał, niby mu kto najcięższą zadał obrazę, i drżącym głosem wykrzyknął:

— Ha, mości panie! także nisko stoję w twojém rozumieniu, że chcesz kupić sumienie i honor siedmdziesięcioletniego starca, bluzgasz hańbiącym domysłem!— Dźwi-

gnął się z krzesła — Wiek wprawdzie złamał, jednak tyle jeszcze siły zostało w ramieniu, że zadośćuczynienia ciężkiej krzywdy wymagać będę.

Piękny zaś i że się tak wyrażę szczytny był w tym swoim gniewie. Bystra młodzieńczość zdawało się wróciła, płomieniło oko, pełny policzki; sucha, wysoka postać, długie szaty i włos siwy, nadawały mu jakąś niewystłowioną majestatyczność. Uderzony téż nią został pułkownik; przeproszał za mimowolną uchybę, domieszczeni się przytomni, starzec uspokoił się nieco; przecież kiedy po kwadransie rozmowy, żegnając się wyrzekł Szwed:

— Sądzę jednak, że p. referendarz gdy nie chcesz i nie możesz być z nami, przeciw nam przynajmniej działać nie będziesz. — Odparł:

— I w tém się WMość mylisz; wtedy w połowie tylko wypełniłbym moję powinność.

— Jako? zbrojno chciałbyś stanąć w obronie Augusta?

— Tak! To mój obowiązek poddanego.

— Zastanów się przecie na co się narażasz! Znasz mojego monarchę; może przebaczyć zachowującemu neutralność, lecz nigdy przeciwnikowi.

— Wiem o tém, lecz się wcale nie waham. — Zwrócił się do syna — Słuchaj Zygmuncie....

— Jestem gotowy na rozkazy WMości dobrodzieja — z uszanowaniem wyrzekł wezwany.

— Jutro skoro świt — mówił mu referendarz — zbierzesz domowników i ze wsi kto tylko będzie zdolny do szabli, uzbroisz i w mojem imieniu poprowadzisz do obozu króla Augusta; pragnę zaś, abyś już o południu mógł być w pochodzie.

Milcząc skłonił się młodzian; twarz jego była przecież blada, łza wiła w oku. Matka wykrzyknęła z przestraszchem składając ręce i zwracając się do małżonka:

— Zastanów się Albercie, co chcesz uczynić; wszakże on jedyny z tylu naszych dzieci. Podporę mojej i własnej starości na pewną zgubę narażasz!

— W woli Boga przyszłość—poważnym głosem odpowiedział starzec—bolesną obowiązkom przynoszę ofiarę, lecz ją nakazuje sumienie i honor.

V.

Wspomniałem, że jakkolwiek woli ojca ni jedném słowem nie sprzeciwił się Zygmunt Szczuka, przecież że odebrany rozkaz nie zgadzał się z jego życzeniem, zdradził gestem i łzą oka. Nie brak odwagi, nie obawa niebezpieczeństwa były tego powodem; inna całkiem znalazła się przyczyna. Młodzian kochał i był kochanym.

Tego jeszcze wieczora, skoro tylko ojciec zwątlony wypadkami dnia, udał się na spoczynek, on przeszedł do drugiej części dworca, do komnat niewieścich, gdzie nań oczekiwała matka i bogdanka, a zarazem blizka krewna, Helena Sierzputowska. Piękna byłato dziewczica! jedna z tych, jakie zdaje się, że nasza tylko hojna ziemia wydawać może: wzrost w miarę, kibić toczna, zarysy twarzy godne pędzla Rafaela, włos jedwabi, modre oko; przebijała w niém dusza wszystkiemi błyszcząca zalejami: dobrocią, łagodnością, żywém uczuciem, ale zarazem i tym hartem, tą siłą woli, któremi musiała błyszczyć trębowelska Chrzanowska, lub bohaterka uczuć Jadwiga.

Dziwczę jedynaczka, bogatych rodziców, że blizka krewna referendarzowej, od kilku miesięcy zamieszkiwała w jej domu. Urok skojarzonych pospołem wdzięków i cnoty, nie mógł być obojętnym dla Zygmunta; pokochał tedy krewniaczkę, a że wzajemność pozyskał nie ukrywano mu wcale. I zdawało się, żadna przeszkoda nie groziła ślubnemu związkowi młodej pary; obiedwie rodziny jednakowo były znamienite, o majątkach odpowiednich, i oddawna związkami przyjaźni i pokrewieństwa złączone. Układano też z jednej i drugiej strony stosowne projekta; rodzice zajmowali się wyprawą, kochankowie radowali się; dzień ślubu nawet był oznaczony, miał się odbyć z przyszłą wiosną.

Lecz projekta ludzkie wątle; najsilniejsze z pozoru, lada przeciwność zniweczyć może. Familia Sierzputowskich, a szczególnie kasztelan, ojciec Heleny, partyzant Ogińskich i królewiczów Sobieskich, skoro tylko los wojny dał przewagę Karolowi XII, oświadczył się za jego stronę; z natury zaś burzliwy i namiętny, oddał się nowo przyjętej sprawie z całą gorliwością i zapalem, cechującym ludzi owjej epoki. Owszem, pragnął jak najwięcej zbierać stronników, i dał zlecenie Strumille, aby zapewnił referendarza, że wtedy tylko na ślub młodej pary zezwoli, gdy Szczuka stanowczo oświadczy się za Sobieskiemi.

Ciężki było cios dla dwóch kochanków! Znając charakterystyki swych ojców doskonale wiedzieli, że ni jeden ni drugi nie cofnie się w raz przyjętych zamiarach; ich tedy szczęście zniszczoném, ich ślubny związek miał być zerwanym. Smutek strapionych granic nie miał; przecież gdy po dwugodzinnej rozmowie opuszczał kochankę Zygmunt, cierpienie jego ukoilo się w części, nadzieja

wstąpiła do serca; żegnając bowiem mówiło mu dziewczę: — Ciężko los nas dotyka, bolesną próbę naznacza; jednakże w naszej mocy jeśli nie zważyć, to przynajmniej stawić mu czoło. Ty idź jak nakazuje wola ojca, to twój obowiązek dobrego syna i szlachcica; co do mnie, bądź przekonany, że oddawszy ci miłość, wiernie ją do grobu dochowam. Raczej śmierć, niż żebym miała być żoną czyjąbądź, a nie twoją.

Otóż ta obietnica pomysłny wpływ na Zygmunta wywarła; ani wątpił, żeby jęj nie miała święcie dopełnić Helena. Z spokojniejszym zatem umysłem mógł się zając obowiązkami naznaczonemi od ojca; owszem, nie były mu przykre, a młodego i rycerskiego nęciły błyskotną nadzieją odznaczenia się i sławy.

Odjeżdżającego zaś nazajutrz, żegnał ojciec z powagą sobie właściwą, matka błogosławieństwem i łzami, bogdanka powtórzeniem miłych obietnic.

VI.

Między Ostrołęką i Myszyncem, daleko w kierunku ku Praszyszowi, ciągną się lasy zwane Myszyniecką puszczą. Kiedyś nierównie obszerniejsze były jak dzisiaj, i łącząc się z kniejami starój Hańczy, Rajgrodu i Meteli, dotykały aż do Białowieżkiej puszczy, tworząc ten wieniec lasów, który odgraniczał Mazowsze od Litwy, a w części i od Prus książęcych.

Co się tyczy właściwej myszynieckiej puszczy, tę zamieszkiwał lud szczególny sposobem życia, ubiorem i charakterem, zwany Kurpianami. Siedląc się wśród niedostępnych kniei, lub na polach piaszczystych i płonnych, nie

ich uprawą jak inni. Słowianie, ale dla utrzymania życia, musiał się zajmować myśliwstwem i pszczelnictwem; w obu zaś tych zatrudnieniach, doszedł nieporównanej biegłości. Jego barcie i pasieki zapełniały całe lasy, a zręczność w strzelaniu była tak wielką, że w przysłowie weszła. Oddzielony zaś miejscopłożeniem od reszty kraju, należąc wyłącznie do króli i zostając pod ich opieką, niegnięciony zatém samowładztwem panów, daleki od zepsucia miast; zachował w całym blasku główne cechy i zalety ogółu Słowian: zamiłowanie pracy, porządku, trzeźwość, wojowniczość i przywiązanie do miejsc rodzinnych i władców.

Otóż w głębinie milowej wspomnionój puszczy, obok traktu wiodącego od Łomży do Ostrołęki, na małym zielonym pagórku, pod rozłożystym dębem, spoczywała garstka orężnych. Główną w tym hufcu osobą, był niepełna trzydziestoletni młodzian. Wzrost jego niepospolicie bujny, włos jasny, oko także; urody nie poskąpił Pan Bóg, lecz ją szpeciła wyraźna szorstkość charakteru, piętnująca się na wyrazistych zarysach twarzy. Upór i dumę czytałeś z wysokiego, wypukłego czoła, a w częstym skupianiu brwi gęstych i długich, odgadnąć mogłeś skorość do gniewu i burzliwe namiętności.

Ubiór młodziana był cudzoziemski i prosty; składały go kaftan z łosiej skóry, zpod którego wyglądał granatowy o czerwonych wyłogach uniform, kapelusz trójgraniasty, długa szpada u boku i buty palone, zachodzące daleko za kolana, a brzęczące ostrogami prawdziwie olbrzymiego rozmiaru. Jego towarzysze, równie skromnie byli ubrani, i wszyscy wojskowo z wyjątkiem jednego, który chudy i niski, choć ranek był ciepły, obwijał się w lekkie futro tomakowe, i dla rozgrzania krwi, prze-

chadzał się od czasu do czasu po słońcu. W małej odległości od tego hufca, na trakcie i przy nim, brzmiał gwar rozmowy, brzęk szabel i rżenie rumaków; znaczny bowiem oddział wojskowy rozkładał się taborem. Ten oddział byłito Szwedzi; wszystko lud rosły, do walk jakby stworzony; dali tego dowód niedawnemi zwycięstwami i obecném spieszeniem się po uzyskanie nowych. Młodzianem spoczywającym pod dębem, był ich władca, narwski zwycięzca, groźny Karol XII.

Zniosłszy oblężenie Rygi, podbiwszy Żmudź i Litwę, przeszedł w granicę korony; lecz wysławszy główną armią przeciw ustępującym zastępom Augusta, sam z dwutysięcznym oddziałem zwrócił się nieco na prawo: jużto oczekując na posiłki, które mu miały tą stroną nadciągnąć, już téż chcąc namową lub siłą, jakby się udało, słońdować sobie północne powiaty Mazowsza. W tym celu, dowiedziawszy się w Łomży, którą bez oporu zajął, że znaczny oddział szlachty i Kurpi zebrał się w okolicach Myszynca, wyruszył w te okolice i po mozolnym kilkogodzinnym marszu, napół drogi w lesie odpoczął. Siedząc zaś pod dębem na rozpostartym płaszczu, drzemał lub przewracał karty jedynéj książki, którą lubił i co dzień czytał, a to — biblii; gdy nagle odkładając ją zwrócił się do ciepło lubiącego mężczyzny, którym był hrabia Piper, piérwszy jego minister i ulubieniec.

— Arwed! — spytał — która godzina?

— Dziewiąta dochodzi Najjaśniejszy Panie — odparł spoglądając na zegarek minister.

— Nowin niéma żadnych?

— Prócz tych, któreśmy otrzymali godziną wcześniéj, nie było innych.

— Dziwna rzecz! Horn winien być oddawna z powrotem.

— Niezawodnie sądząc żeśmy jeszcze w Łomży, tam się udał. Mniemam jednak, że dowiedziawszy się o wymarszu, prędko nas dopędzi.

Nie odrzekł nic na uwagę Karol, lecz skinieniem ręki powołał ministra bliżej do siebie, i po chwili milczenia przemówił:

— I co sądzisz o całej naszej kampanii i jej planie, Piper?

— Wola W. Kr. M. jest dla mnie prawem, dlatego roztrząsać jej nie będę; przecież . . .

— Ach! przecież. . . to słowo wiecznie brzmi w twoich ustach — przerwał w pół żartem, w pół seryo monarcha. — Przecież, chcesz powiedzieć, los wojny zmienny, szczęściu nie można ufać, i źle czynię, że z garstką ludu, wyzywam do walki naród, który niedawno temu złamał groźną Ottomanów potęgę, który i z przodkami mojemu nieraz staczał zwyciężkie walki.

— Rzeczywiście, takie jest moje zdanie.

— Lecz czy chcesz znać moje? — było zapytanie króla.

— Jeżeli W. Kr. M. objaśnić zechcesz.

— Otóż mówię ci wręcz, że mylisz się; że zanim przeszedłem granice tego królestwa, dokładnie rozważyłem i zbadałem jego siły i ducha mieszkańców. Jużto nie ten sam lud, który z Sobieskim zwyciężał Turków, z Chodkiewiczem mojego naddziada Karola. Partye, egoizm i ambicya możnowładców, trapią go i niszczą. Silne ramiona posiada, lecz brak głowy, któraby kierowała niemi; serce jest, lecz ono bije dla swego, nie dla dobra ogółu; ziemia zamożna, lecz skarb publiczny pu-

sty; zbytek z pozoru, a w istocie nędza; jedném słowem jestto trup, straszący wspomnieniami świetnej przeszłości, lecz który lada dziecię strącić z nóg może.

— Tak samo rozumował dziad W. Kr. M., Karol X.; z razu udawało się wszystko, lecz później . . .

Zamyślił się nieco monarcha.

— Rzeczywiście być może jak mniemasz, ależ — rozjaśnił czoło — mam dobrą otuchę. Aby ożywić to bezwładne ciało, trzeba gieniuszu, a przynajmniej niepospolitego talentu; trzeba człowieka głowy i serca; a gdzież on? Znasz Augusta saskiego: dzielności osobistej niebrak, lecz ją łamie zbytek, rozpusta i lekkomyślność; przebieg jest, lecz czy on dostateczny do wskrzeszenia ducha, podniesienia energii? Nadto intrygą zyskawszy berło, intrygę ma przeciw sobie. Widziałeś co się działo w Litwie; bez wydobycia prawie oręża, a działając tylko na umysły i ambycją możnowładców, sholdowałem całą; niezawodnie i tutaj tak będą, i że będzie tyle przeświadczony jestem, że od dziś za dwa tygodnie najdalej, zapraszam cię na obiad jaki dam w zamku warszawskim.

— Z duszy życzę, aby słowa W. Kr. M. prorocze były; a przypuściwszy, że się tak stanie, że to królestwo upadnie pod jego orężem, cóż dalej?

— Pójdziemy do Niemiec; pomszczę zgon mego naddziada nieśmiertelnej pamięci Gustawa Adolfa, i wywalczę naszym współwyznawcom protestantom, te swobody, które im zapewnił traktat westfalski, a które przemoc nadweręza co dzień.

— Zamiar jak nie można dobry, i przywiódłszy go W. Kr. M. do skutku, zapewne syt bojów i laurów . . .

— Odpocznę, chcesz powiedzieć — przerwał Karol — Tak się nie stanie; mylisz się całkiem. Jeszcze dwie wojny na myśli; północna nowo wzrastająca potęga straszy mnie, ukorzyć ją muszę.

— A druga wojna?

— Ach! ta będzie wyłącznie wiedziona dla dobra ludzkości i chrześcijaństwa. Wiiesz ile w mojem dzieciństwie lubilem słuchać opowiadających szczegóły Sobieskiego wypraw; ich blask nie dawał spoczynku, przysięgłem wtedy sobie, że co on zaczął, ja dokonam: wypędzę z Europy Turków.

— Lecz podbiwszy tyle krain, sokołdowawszy tyle prowincyj, jakże niemi W. Kr. M. rozrządzi? A naprzód tém królestwem; czy szczerze pragniesz przywrócić do tronu królewicza Jakóba? Gdyby tak było, śmiałybym niektóre uwagi przedstawić.

Możesz oszczędzić sobie kłopotu — roześmiewszy się przerwał Karol — czyż za tyle dobrodusznego, za tak nieograniczenie wspaniałomyślnego uważasz, że mniemasz, iż marnotrawić będę krew i skarby rodzinnej monarchii, że własne życie narażam dla próżnej ambicji rodziny, nie związanej ze mną ni pokrewieństwem, ni przyjaźnią? Szacowałem Jana III jako bohatera, lecz co mi do jego dzieci, wyrodzonych potomków wielkiego człowieka, nieudolnych próżniaków! Używam wprawdzie ich imienia, bluzgam w oczy ich stronników pięknymi zamiarami reelekcji; lecz niech opanują Warszawę, niech zmuszę Augusta do abdykacji, zrzucę maskę obłndy. Nosił Zygmunt III tytuł króla czterech monarchij, i ja go nosić będę, a że z większą sławą i szczęściem, przekonany być możesz.

Zatarł ręce w radości minister.

— Inna rzecz tedy niż mniemałem; i nasze mozoły, i rozlew krwi, nie będą stracone dla Szwecyi. Przecież — wracając do ulubionego mojego wyrazu — W. Kr. M. daleki jeszcze jesteś od celu swoich zamiarów, i żeby wyznać prawdę, dzisiejsza nasza wyprawa niepokoi.

— Dlaczegoż? zagadnął żywo Karol.

— Rzuciliśmy się w kraj nieznany i dziki, a zbyt mało wzięłeś z sobą W. Kr. M. wojska, na przypadek gdyby mieszkańcy chcieli stawić opór.

— Nie kłopotz się o to — odparł monarcha — i w tym razie nie postąpiłem tak nierozważnie, jak mniemasz, i jak zdaje się z pozoru. Wiiesz, że referendarz Szczuka przeważny wpływ w tych stronach na mieszkańców wywiera; on jest stronnik Ogińskich, a więc przez nich i mój ułatwi pochód.

— Lecz wojsko zebrane w Myszyńcu . . .

— I tego nie lękam się. Wysłałem jak wiiesz rotmistrza Tettenborna; nakłoni do rozejścia się lub złączenia ze mną; gdyby mu się nie udało, dopomoże Szczuka.

— Od przeciągnięcia zatem referendarza na naszą stronę, zależy udanie się wyprawy — wtrącił minister.

— Niezawodnie, lecz się nie lękam z przytoczonych już powodów; aby tylko Horn przybył.

Ledwie tych wyrazów domówił, na trakcie zatętniły kopyta rumaków, i ukazał się niecierpliwie oczekiwany.

— Bóg z tobą, pułkowniku! — wykrzyknął do zbliżającego się Karol — Jakież nowiny?

— Złe Najjaśniejszy Panie! — odrzekł ściągawszy brwi brabia.

— Jakto, miałżeby referendarz? . . .

— Nietylko że nie chce skłonić się do życzeń W. Kr. M., lecz owszem, wysłał syna z zbrojnym poczem do obozu Augusta.

Zabrząknął gniewnie w rękojeść szpady monarcha, a wyrzekł cierpko pułkownikowi:

— Źle widać, mości panie, wzięłeś się do sprawy; nie stosowałeś się do moich instrukcyj, skąpiłeś pochlebstw, namowy, obietnic.

— W. Kr. M. może być przeświadczony, że czyniłem wszystko co było można; lecz referendarz inny całkiem człowiek od tych, z którymi dotąd wchodziliśmy w układy. Ni złotem, ni ambycją olśnić nie można. Przysięgłszy wierność Augustowi, nie chce jój złamać.

— Na wielkiego Boga w niebiosach! — przerwał Karol unosząc się gniewem — ten nieszczęsny wypadek miesza wszystkie moje plany, odsuwa o miesiąc przynajmniej zdobycie Warszawy. Cóż dopiero, co łatwo być może, jeśli przykład upornego naśladowców znajdzie; wszystko będzie zgubioném. Trzeba uprzedzić. Zwrócił się do pułkownika — **Wszakże majątek Szczuki leży na naszej drodze?**

— Tak, Najjaśniejszy Panie!

— Dasz rozkaz pułkom, zniszczenia go do szcztetu; kamień na kamieniu nie powinien zostać. Co do samego dziedzica i jego rodziny, staraj się dostać i w kajdany okutych zesłój na wieczne więzienie do Szwecji. Chcę aby znano powszechnie, że umiem karać przeciwników. Rzuci to postrach na innych, i dopomoże nam więcej od najznakomitszego zwycięstwa.

Wysłuchawszy rozkazu, odsunął się na stronę pułkownik. Karol przechadzał się gniewnie, gdy na drodze znowu zatętnił kopytami rumak, i ukazał się oficer wysłany do Myszyca, dla wstrzymania działań wojennych. Żywo postąpił naprzeciw zbliżającemu się Karol, i dał znak ręką aby mówił; uczynił to oficer.

— Wszystko do trzech godzin temu, było dobrze. Postępując stosownie do instrukcyi W. Kr. M., nie szczeniąc obietnic jednemu, drugiemu grożąc gniwem Najjaśniejszego Pana, odwodziłem od sprawy Augusta; już cały tłum rozejść się miał do domów, owszem, wielu okazywało gotowość złączenia się z wojskami W. Kr. M., gdy nadeiagnął z orszakiem młody jakiś szlachcic, a jak się dowiedziałem syn obywatela tych stron, referendarza Szczuki. Uwiedziony jego namową tłum, zerwał ze mną układy.

Karol XII przygryzł wierzchnią wargę, co zwykle czynił, gdy gniew nim miotał, a sucho zagadnął:

— Jakaż ich liczba?

— Szlachty do trzechset, a mniej więcej tysiąc okolicznych kmieci, zwanych Kurpianami.

— I to cała potęga? Artyleryi ni regularnego wojska nie mają?

— Ni jednej haubicy; szable i złe muszkiety tylko.

— A więc nie zwlekając pójdziemy na nich. Horn, wydaj stosowny rozkaz.

— W. Kr. M. przebaczy — wyrzekł wtedy oficer — ale nie mamy potrzeby trudzenia się mozolnym marszem. Szaleńcy uradzili napad, i są już zapewne w pochodzie.

— Czy podobna! śmieliby mnie atakować? mnie! — z dumą i zadziwieniem wykrzyknął Karol.

— Tak Najjaśniejszy Panie! sam byłem świadkiem ich projektu. Szlachta wprawdzie wahała się, lecz młody Szczuka i Kurpie zdecydowali.

— Tysiąc trzysta ludzi przeciw mnie, przeciw dwóm tysiącom przeszło mojej wyborniej gwardyi! — śmiejąc

się mówił Karol.—Rzeczywiście niesłychane zarozumienie, a na Boga i godne kary! Dlatego Horn, jak najsurowszy wydaj rozkaz, aby nie oszczędzono nikogo; każdy jeńiec zginąć musi. Powtarzam, gdy się nie udały zamiary łagodności, należy działać postrachem.

Kazał przyprowadzić sobie konia i dosiadłszy go, osobiście doglądał wojennego szyku. Niedługo jednak mógł się tém zajmować, bo w niespełna godzinę później, słowa oficera usprawiedliwionemi zostały; przednie czaty dały znać o zbliżaniu się nieprzyjacielskiego orszaku.

VII.

Tego samego dnia, lecz późno w nocy, mánowcami po polach do wsi Grądy należących, błąkało się trzech jeźdźców; ich rumaki były zmęczone, odzież w nieładzie, pył na niej a nawet i krew. Noc była bezksiężycowa, ciemna, wietrzna i didżysta; droga mylna, podróżni zatem często z niej zjeżdżali, błędząc na prawo i lewo. Przyspieszonym biegiem utrudzone rumaki po'ykały się co chwila, wiatr dął coraz mocniej, dėszez coraz silniej zaczynał padać, że jeden z podróżnych wykrzyknął:

— Na wielkiego Boga w niebiosach! do dalszej drogi nie mam ni sily, ni chęci. Niech co chce stanie się, Horn, poszukaj miejsca, gdziebym mógł złożyć spokojnie głowę; zimno trapi, głód i bezsenność dolegają. Wiész o tém, przeszłej nocy nie zmrzyłem oka, czasu do jadła nie było w dzień, a kłopotu i trudu aż nazbyt.

— A i ja jestem jak nigdy zużony — wyrzekł lamentującym głosem inny podróżny. — Mimo futra, zimno; dėszez téż zmoczył do nitki, niezawodna febra czeka. Ach hrabio zmiluj się, do piérwszej lepszej chaty doprowadź.

— Chętniebym to uczynił — odparł zagadniony — lecz okolica nieznana mi całkiem; zjechaliśmy téż z traktu, nie sposób wyszukać.

— Zaklął zcicha drugi podróżny; piérwszy niecierpliwie wspiął ostrogą rumaka, puścił się na małe wzgórze pokryte jałowcem i tarnią, i wykrzyknął radośnie:

— *Victoria* mości panowie! spostrzegam światło.

Dwaj jeźdźcy pospieszyli na wykrzyk. Nie omylono ich wcale; rzeczywiście w odległości najdalej ćwierci mili, błyszczało mdle światło, wyraźnie z okien zamieszkałej budowli pochodzące.

— Jedźmy, jedźmy! — wykrzyknął piérwszy podróżny — im prędzej staniemy, tém lepiej.

Wspiął rumaka, lecz go zatrzymał trzeci towarzysz.

— Wasza Królewska Mość przebaczy, ależ warto się dowiedzieć kto tam zamieszkuje, a więc czy Jego osobie nie zagraża niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo! — powtórzył zagadniony — Zapominasz hrabio, że nie mam prawa wyboru schronienia. Nieszczęśliwa potyczka! niegodziwe zdarzenie!

— A tak — lamentując wtrącił drugi podróżny — ktoby się był spodziewał? Garstka półpijanój szlachty i motloch...

— A jednak ten motloch rozbił najpiękniejsze i najcelniejsze dwa pulki mojej gwardyi, niezem niezmaną hańbą zbluzgał moje imię, i przymusił do ucieczki, do błąkania się na los szczęścia władzę trzech potężnych narodów, człowieka, który niedawno dziesięciokrotnie liczniejsze hufce nieprzyjaciół, w jednej bitwie stanowczo pokonał. Mości panowie! zdarzenie dzisiejsze nie da mi spoczynku przez całe życie; sto zwycięstw nie zatrze je z pamięci!

Jęczał ponuro. Drugi podróżny przyszedł z pociechą.

— Klęska przecież nie jest tak wielka; dwa tysiące ludzi, nie armia. Obyśmy tylko potrafili przedrzeć się do niej.

— Ach! gdy się to stanie — wznosząc dłoń w górę i zwijając ją niby w pogródce w kulak, wykrzyknął pierwszy — gdy się to stanie; na Boga wiekuistego, méj hańby nie zostawię bez pomsty! W pustynią całą okolicę, w perzynę jéj wsie i miasta zamienię! a mieszkańcy tój puszczy w długie wieki wspominać będą groźną zemstę szwedzkiego Karola. Aniołem niszczycielem, drugim Atyllą im będę!

Rozpoczął dawne biadania. Chcąc im zapewne koniec położyć, trzeci podróżny zapytał:

— Cóż tedy rozkaże W. Kr. M? Mamże pojechać na zwiady, zbadać miejsce z którego światło pochodzi?

— Ma się rozumieć; owszem, nie trać ni chwili.

Gdy przecież jeździec chciał się zastosować do rozkazu, wstrzymano go słowami:

— Ależ na Boga! i na co się zdadzą twoje wywiady? Powiedziałem ci już, tak jestem znudzony, tyle upadłem na duchu, że wszystko mi jedno gdzie się udam, w czyje ręce popadnę. Odebrali mi honor, władzę, mogą odebrać i życie; mało mnie to obchodzi, niech pozwolą tylko spocząć choć na jedną godzinę, tego pragnę i łaknę.

— Przecież niech W. K. M. rozważyć zechce — przemówił drugi podróżny.

— A, znowu przychodzisz z twemi odradami, hrabio Piper — przerwano mu żywo — Nie słucham ich wcale; co się ma stać, niech się stanie! Jedźmy.

Wyrzekł te słowa tyle nakazującym głosem, że się nie można było sprzeciwiać. Puścił zaś cwałem rumaka, też samo uczynili jego towarzysze, i po kilkunastu minu-

tach mozolnej podróży, stanęli przed ogrodem, okrążającym obszerny drewniany dworzec.

— No Horn! teraz iść możesz, i poprosić o gościnę — przemówił pierwszy jeździec.

* * *

Zanim jednak opowiem co nastąpiło, winienem wspomnieć pokrótce wypadki dnia poprzedniego.

Domyślił się zapewne czytelnik nazwisk trzech zbłąkanych podróżnych; istotnie byli niemi: król Karol XII, jego minister hrabia Piper, i pułkownik von Horn. Usny w siłę swoich pułków, w ich taktyczne wyćwiczenie, król szwedzki lekceważył, jak to widzieliśmy poprzednio, oddział sarmacki występujący z nim do walki. Niepodobieństwem zdawało się dumnemu zwycięzcy w kilkunastu potyczkach, aby hałastra, czerń bez znajomości prawideł sztuki, źle uzbrojona, stawić mogła mu opór. Inaczej przecież się stało; owa czerń walczyła z dzielnością prawdziwych rycerzy. Zagrzani przykładem młodego dowódcy, jakiego dał im los, podwoili odwagę i zręczność; żaden ich cios daremny nie był, żaden strzał nie chybił, tak, że po kilkogodzinnój zaciętej potyczce, Szwedzi nie tylko że ustąpić musieli, ale nawet rozbitymi całkowicie zostali, a to do tego stopnia, że ich monarcha w ucieczce tylko ocalenia szukał.

Widział zaś czytelnik, jaki wpływ na umysł Karola wywarła przegrana potyczka; równie zaś niekorzystny wpływ mogła wyrzucić i na los jego. Tracił sławę niezwyciężoności, dawał otuchę upadłym na duchu; co zaś nadewszystko, narażonym był co chwila, na popadnięcie w ręce zaciętych wrogów, któremi cały powiat był napelniony, gdy główna jego armia o kilka mil dalej znajdowała się, a nie było nadziei ratunku, chyba od losu, który stanowczo na stronę Augusta zdawał się przeważać...

Gdy stosownie do odebranego rozkazu, pułkownik udał się aby poprosić o nocleg w dworcu, ledwie że dojechał do jego wrót, powrócił strwożony.

— Najjaśniejszy Panie! — wyrzekł zcicha — nie zwlekając chwili opuścić winniśmy to miejsce.

— Czemu? — zagadnął zdziwiony monarcha.

— Poznałem ten dom, byłem w nim wczorajszego wieczora; to rezydencya referendarza Szczuki.

— Mamże ci dziesięćkrotnie powtarzać, że wszystko mi jedno w czyje ręce popadnę! Owszem, ten mi wróg mniej niebezpieczny od każdego innego — wyrzekł cierpko Karol.

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odparł żywo pułkownik — myli się w tym względzie W. K. M. Referendarz jest nam wrogiem podwójnie.

— Jako? nie mów zagadkami.

— Przypomina sobie W. K. M. owego młodziana, który w wczorajszej potyczce zginął z jego ręki.

— Jakże nie! dowódzca nieprzyjacielskiego oddziału wcielony szatan! Nigdy nie zapomnę szalonej jego odwagi, a musiałem podziwiać i zręczność w kierowaniu działaniami boju! Godną ona najdoświadczonego żołnierza; żal mi téż było że musiał raz śmiertelny zadać, lecz mus nagił, naciérał tyle zbliżka i tak gwałtownie! Ja lub on musieliśmy dać gardło; los się za mną oświadczył.

— Najjaśniejszy Panie! tego młodziana znałem; syn tutejszego dziedzica.

Wzdrygnął się Karol, z przestraczem cofnął wstecz swego konia minister; kilkochwilowe milczenie nastąpiło. Przerwał je król:

— Mości panowie! jak rzekłem, prawa wyboru nie mam; jeśli nie tu, to o milę dalej; jeśli nie téj nocy, to

rankiem wpadnę w ręce nieprzyjaciół. Czy sądzicie bowiem, że nie będą korzystać z zwycięstwa, nie roześlą pogoni? — Zwrócił się do pułkownika i dodał: — Zdaże mi się, że referendarz służył wojskowo?

— Tak Najjaśniejszy Panie, pod Sobieskim.

— I człowiek honoru?

— Godny starożytnego Rzymu. W. Kr. M. uważać mogłeś po odpowiedzi, jaką dał na Jego propozycje.

— Tém lepiej dla nas; oddam się pod jego opiekę.

— N. P. co znowu? — wykrzyknął z przestachem Piper.

— Słyszałeś co powiedział pułkownik. Referendarz człowiek honoru i stary żołnierz, nie nadużyje swojej przewagi.

VIII.

W dworcu referendarza smutek, łzy i żaloba. Zna z poprzednich rozdziałów czytelnik, jak ważny wpływ młody Zygmunt Szczuka miał na zwycięstwo wywalczone przez Kurpi i szlachtę w Myszynieckiej puszczy. Wysłany od ojca do obozu Augusta, mijając czaty szwedzkie, zwrócił się do Myszyńca, i tam zszedł się z oddziałem mieszkańców powiatu, wahających się czyjaby stronę przyjąć. Postanowienie młodziana służenia prawemu monarsze, zdecydowało wszystkich; poszli za jego przykładem. Powierzono nawet, chociaż młodemu, dowództwo. Oddział składał się z szlachty zagonowej i Kurpi; jedni i drudzy radzi widzieli na swém czele potomka znakomitego rodu, syna człowieka, którego szacowali cnoty, czcili jako patryarchę téj części Mazowsza. Szczęście uwieńczyło ich wybór; po raz pierwszy

Szwedzi zwyciężonemi zostali, lecz młody dowódzca wawrzyny życiem przyplacił.

Nie będę malował smutku rodziny, domowników i poddanych referendarza, na widok martwych zwłok dzielnego młodziana! Łatwo wyobraźnią brak w opowieści zapelni czytelnik. Są przedmioty, których nie powinien tykać autor; rzeczywistość w nich bowiem przewyższy najznakomitszy talent, najszczytniejszą poezją pisanego słowa. Czuli tę prawdę starożytni, jak na przykład Appeles, który na swym wizerunku ofiary Ifigenii, gdy wszystkim licom stosowny nadał charakter, zakrył twarz ojca. Nie czuł dość siły, nie czuł dosyć natchnienia, aby w całej prawdzie rodzicielską rozpacz wyrazić.

W sypialnej swojej komnacie, choć północ dawno przeszła, czuwał referendarz. Mógłże sen zamknąć jego powieki, gdy tyle cierpienia dotknęło? Jeden dzień nie roztlukłże nadziei całego jego życia, rozkosznych marzeń? Czyż nie dotknął w tém co miał najdroższego, w czém widział pociechę siwej starości, chlubę rodu, wiekuistość plemienia? Syn, którego zwłoki dzisiejszego wieczora, własną ręką w ostatnie schronienie człowieka, w trumnę złożył, nie byłże ostatnim jego i najmilszém dziecięciem? Jego zgon nie zostawiłże zgrzybiałego sierotę, ciężarem sobie? Okropne, bolesne myśli, rozdzierały serce starca, gorzkie wspominki nasuwały się wyobraźni... I po raz pierwszy od lat dziecięcych zabyła łza w jego źrenicy, i po raz pierwszy w życiu, zwątpił o miłosierdziu Boga, o Jego sprawiedliwości w nagrodzie cnoty! Do wybaczenia była ta rozpacz! dowybaczenia bluźnierstwo!

Siedział zaś w dużém swém krześle, płomieniące bolem czoło drżącą podpart ręką, siwy włos w nie-

ładzie spadając na lica, zasłaniał je w części; twarz była blada, na czole niejedna zmarszczka więcej niż wczoraj, niż zwykle, a zmarszczka nie wieku, ale cierpienia.

Lekki skrzyp drzwi zwrócił jego uwagę; odłonił nabiegłe łzą oko i dojrzał jednego z swoich domowników. Myśl o nowém zmartwieniu nasunęła się wyobraźni starca, bał się o życie żony; zękał cierpiącą ostatni pocisk losu. Z przestachem wyrzekł:

Ha! nowe strapienie do tyłu innych dodaje Najwyższy! Pani umiera?

— Nie, Jaśnie panie! — z pośpiechem odpowie dworzan — Jéjmość uspokoiła się nieco w strapieniu. Doktor ręczy za życie, lecz inna okoliczność skłoniła do wejścia: trzech jakichś nieznajomych podróżnych przybyło. . .

— Oświadczyć w jakim jestem stanie; nie mogę osobiście przyjąć.

— Nie wymagają téż tego, żądają tylko na tę noc gościnności.

— Daj ją, daj czémprędzej. Każ przygotować wiesz, nie szczędź wina, a umieść w gościnnych pokojach. Gość w domu, Bóg w domu.

Smutnie uśmiechnął się przy tych wyrazach; niezawodnie nasunęły pamięci weselsze czasy, i porównały je z obecnymi utrapliwemi. Dodał zatém:— Ach dziś, choć gość w domu, i śmierć w nim! a śmierć nie jednéj osoby, ale całej rodziny, całego rodu. — Zapadł znowu w bolesne zadumy, i przetrwał w nich do rana.

Ranem ten sam dworzan co w nocy, ukazał się znowu w komnacie starca. Twarz jego była zarumieniona,

niby skutkiem mocnego wewnętrznego wstrząśnienia, oko gorzało. Nie uważał tych szczegółów referendarz, widział tylko osobę, i po niej przypomniał sobie nocne zdarzenie.

— Wypełniłeś moje zlecenie? goście czy są i byli zadowoleni? — zapytał.

Dworzan przystąpił do pana, za kolano ujął zlekka w ułkanie.

— Jaśnie panie! dziwne zdarzenie, cud bozki! niesłychany wypadek!

— Wczémże takim? co zaszło? — zdziwiony referendarz zagadnął.

— Bóg sam oddaje nam w ręce nienawistnych wrogów, daje zemstę. Ci goście....

— Któż oni?

— Jaśnie panie! znam z nich dwóch, a Jaśnie pan jednego; tego Szweda, który przedwczoraj był u nas.

— Pułkownika Horna?

— Tak! jego samego, poznałem odrazu; lecz poznałem i drugą personę, a ta daleko ważniejsza, sam J. W. pan przyzna. Widziałem ją trzy dni temu w Łomży: ta persona ni mniej, ni więcej, tylko Karol, król szwedzki.

— Morderca Zygmunta, niszczyciel mojego szczęścia!..

— Tak J. W. panie, wszyscy zapewniają jednomyślnie. Onto własną ręką śmiertelny cios paniczowi zadał.

Wzdrygnął się starzec, wstrząsnął całym, dźwignął z krzesła; oko iskrzyło młodzieńczym zapalem, twarz pełna rumieńcem radości.

— Hejże! daj szablę, poprowadź do nich!...

— Może zwołać domowników i rycerstwo?

— I owszem! Uczyni to a prędzej; żywych lub umarłych mieć muszę. Dobrześ wyrzekł, Bóg sam daje mi

zemstę, i mieć ją będę, mieć ją muszę, a odpowiednią ciosowi, jaki zadano. Każdą kroplę krwi drogiego dziecka, strumieniem jego krwi zapłacę sobie.

Drżał cały radością pomsty, a ubierać się kazał, i śmiał się wesoło i w szablę brzęczał a mówił: — Ja zaś pierwszy cios poniosę! sam chcę się pomścić! Krew za krew to słusznie, i litości mieć nie będę, jak on jój nie miał. — Kazał się prowadzić do drzwi, lecz gdy doszedł do nich, szabla wysunęła się z ręki, febryczne zimno wstrząsnęło całym. Nade drzwiami, według starożytnego zwyczaju naszych praocjów, wypisaną była sentencya z pacierza, w komnacie referendarza; była ona następująca:

„I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy winowajcom naszym”.

Otóż gdy na tę sentencyą przypadkowo zwrócił oko starzec, jój świętość silnie uderzyła umysł i sprawiła skutek, który przed chwilą wspomniałem. Odrzuciwszy szablę precz od siebie, odszedł do krzesła, usiadł w niém, i pogrążył się w kilkuminutowym rozmyśle. Przerwał go dworzan, niepojmujący wypadku:

— Jakież rozkazy JWPana? — zapytał. — Czy mam dworzan zawezwać, wziąć do niewoli, lub śmiercią ukarać morderców?...

Wzdrygnął się referendarz, niby kto ostrze pugiuału w piersi zatopił.

— Strzeż cię Bóg od czego podobnego! — groźnie przemówił.

— Jakto? JWPan miałby ich wolno wypuścić, przebaczyć śmierć panicza? To być nie może!

— Tak być musi jednak — odparł żywo i bez wahania się starzec, i dodał wskazując na nadpis: — Znaszże te sentencye?

— Tak, wyjątek z pacierza; jednakże...

— Słowa to boskie, powinnością chrześcianina zastosować się do nich. Nadto inny jeszcze powód wstrzymuje; ci ludzie czy wiedzą w czym znajdują się domu?

— Ma się rozumieć; owszem, pułkownik pytał mnie dziś o zdrowie Jaśnie pana, a wczoraj oświadczył, że się oddaje wraz z towarzyszami pod jego opiekę.

— Oddał się w opiekę! więc mi ufaj! — szepnął starzec — i spoczywał ze mną pod jednym dachem, i pożywali moją sól i chleb, zostają tedy pod strażą mego honoru. Zbrodnią byłoby, i więcej, bo hańbą oszukać ich zaufanie. Bóg ich niech skarże, a nie ja. — I dodał po krótkim namyśle: — Mości Podbielski, umiesz milczeć?

— Sądzę JW Panie, niema przyczyny wątpienia.

— Zmilcze o całym wypadku, rozumiesz, nikomu ni słowa. Jak przybyli, niech i odjadą bezpiecznie.

Skłonił się w znaku uległości rozkazom dworzan; jego oko błyszczało przecież złowieszczo, prawica brzęczała po rękojeści szabli. Ten gest i myśl wijące w sercu domownika zrozumiał starzec, bo oblał go nakazującym swoim spojrzeniem, i mówił: — A nietylko ten dom, lecz i moje posiadłości muszą bezpiecznie i bez skazy opuścić; owszem, pod karą mego przekleństwa i wiecznego gniewu, zakazuję i waści i każdemu z moich domowników pogoni.

— Jaśnie panie! Jaśnie panie! nie nakładaj podobnych więzów słusznej obrazie. Pozwól na zemstę! — błagającym głosem wykrzyknął dworzan, i dodał: — A choć Jaśnie pan grozi gniewem, choć boleśnie się nań narazić, jednak gdy człowiek człowiekiem...

Nie dał mu dokończyć referendarz, i rzekł nakazującym tonem:

— Słuchaj waćpan, od téj chwili trzech podróżni zostają pod moją opieką i strażą. Oświadczy im to, i prosz w mojem imieniu, aby zostali spokojnie w tym domu. Skoro zaś czas znajdę, odwiedzę sam, i powtórzę zapewnienie, które przyniesiesz. A powtarzam, biada ci gdybyś nie milczał o tém co zaszło, o ich nazwisku i pobycie; tém większa biada, gdybyś w mym domu śmiał się dopuścić zbrodni, gwałtu na osobach gości pryncypała.

Odszedł zasmucony dworzan. Referendarz przed wizerunkiem cudownej Matki Boskiej Częstochowskiej upadł na kolana, gorzkie lzy rosily blade policzki, lecz w sercu była pociecha, owoc dobrego czynu.

IX.

Dwa dni całe, przebył w dworcu referendarza Karol XII i jego towarzysze, traktowani jako najmilsi goście i przyjaciele. Trzeciego dnia wieczorem, wszedł starzec do komnaty, w której znajdowali się. Niezwykłe wstrząśnienie umysłu piętnowało się na jego twarzy, umiał je przecież hamować, i wyrzekł głosem spokojnym:

— Moi panowie! dzisiaj a nawet za chwilę, jeżeli tak sobie życzycie, możecie bez obawy dom ten opuścić.

— Niebezpieczeństwo minęło zatém?—wtrącił Horn.

— Prawie zupełnie — odpowiedziano.—

Szlachta i Kurpie oszukani w nadziei schwywania was, widząc udaremnione wszystkie swoje usiłowania w tym względzie, zaprzestali pogoni; co więcj, armia szwedzka dowiedziawszy się o porażce swego monarchy, nadcią-

gnęła w te strony, i jak mi doniesiono, znajduje się w odległości trzymilowej tylko od wsi.

— A więc spieszmy się, jedźmy — wykrzyknął niecierpliwie Karol, którego oko zagorzało podwójnym blaskiem, gdy usłyszał pomyslnie dla siebie nowiny. — Czas mi stanąć na czele walecznych pułków, czas zmasać hańbę, jaką mi zadano niedawno.

— Chcesz się zatem mścić WPan? — wyrzekł mu spokojnym, lecz zarazem i ostrym głosem referendarz.

— Czy wątpisz, aby mogło być inaczej? Mogeż zapomnieć o tém co zaszło! Krew zanadto kipi w żyłach, abym mógł spokojnie ścierpieć sromotę.

Wstrząsnął głową z niechęcią starzec.

— Mości panie! nie mam prawa dawania ci rad albo ostróg; jednak chrześcianinem jesteś?

— I dobrym — przerwał król żywo, wskazując na biblię trzymaną w ręku. — Oto dowód; ta książka nie opuszcza mnie nigdy, jest mi pocieszycielką, rozrywką, a zarazem wskazówką postępowania.

— I nie uczyż, ażebyś przebaczał nieprzyjaciołom twoim, nie zakazujeż ci zemsty jako zbrodni?...

Uderzony uwagą Karol zamilkł. Starzec poważnie dodał:

— Powiedziałem moi panowie, że ni ostróg, ni rad nie myślę wam dawać; ocalić chcę tylko. Dlatego, jeśli zawierzycie, powiodę was w bezpieczne miejsce, i dam środki do spokojnego złączenia się z armią. Jestem gotów na wasze rozkazy.

Naturalnie, podróżni nie wahali się wcale, i kilka minut później, dosiadłszy rumaków, ujrzeni się na otwartém polu. Przewodniczył im starzec, który gdy choroba wstrząśnieniem umysłu i cierpieniem chwilowo zła-

maną została, mógł dosięść konia. Ujechano w milczeniu staj kilka, okrążono zdaleka wieś, i wstrzymano się na małym pagórku, w ćwierćmilowém oddaleniu od dworca. Pierwszy Karol wstrzymał się. Na jego twarzy malowało się zadziwienie; oko było wyteżoném, wskazał ręką w kierunku parafialnego kościoła. — Na Boga! co to znaczy? — zapytał. Ciekawość zaś i zadziwienie monarchy były słuszne; podzielali je téż dwaj jego towarzysze. Oczy wszystkich jakby żądając wytłumaczenia wypadku, zwróciły się na referendarza.

Oto co zajmowało uwagę Szwedów. Z pagórka na którym wstrzymali się, widok był rozległy na okolice, a więc na parafialny kościół, o którego istnieniu wspomniałem przed chwilą. Ten kościół jaśniał teraz rześnistém światłem pochodni i kagańców, brzmiały rozgłosnie wszystkie dzwony jego dwóch wieżyc, mieszał się z ich ponurym jękiem równie ponury jęk żałobnych hymnów, nuconych przez kilkotysięczny zbiór ludu, między którym snadno dojrzałeś kontusze szlacheckie, uniformy wojskowe i modre kurtki Kurpi.

— Zdaje mi się, że to obchód pogrzebowy? — dodał do swego pytania, przyglądając się widokowi jaki miał przed sobą Karol XII.

— I nie mylisz się W Pan — odparł mu drżącym głosem starzec. — Tak, to pogrzeb.

— Lecz czyżże?

— Mojego syna! ostatniego z siedmiorga dzieci, jedynej mojej pociechy i nadziei gasnącej rodziny!

Wzdrygnął się Karol, wzdrygnęli się i jego towarzysze. Starzec milczał, lecz znać było z twarzy ile cierpiał, i że z trudnością tylko łzę cisnącą się do oka

wstrzymywał. Pohamowawszy nieco cierpienie, przemówił:

— Ten zaś mój syn, to jedyne dziecko, zginął w ostatniej walce, w której czynny udział wzięliście; owszem, jego zgon...

Powtórnie wzdrygnął się Karol, nie dał dokończyć starcowi objaśnień, silnie go ujął za rękę, i wykrzyknął:

— A zatem wiesz o wszystkiém, wiesz kto mu śmiertelny cios zadał?

— Tak! zawiadomili towarzysze poległego.

— A mnie, znasz?

Starzec z uszanowaniem obnażył głowę.

— I tu tajemnicy dla mnie niéma! Jego Królewska Mość Karol król szwedzki.

— I na Boga wiekuistego, starcze! Wiedząc o méj godności, znając wypadek, który z całego serca życzyłbym sobie, aby nie był nastąpił, nietylko że mścić się nie chcesz, korzyści z pomyślnéj okoliczności nie wyciągasz, lecz owszem ratujesz!

— Najjaśniejszy Paniel — z dumą odparł starzec — jestem szlachcic i chrześcianiin; jako piérwszy kieruję się honorem, a on nakazywał mi strzedz i bronić osoby, które się oddały pod moję opiekę; jako drugi przebaczam wrogom.

— Lecz to nad pojęcie człowieka, nad siłę wyobraźni mojej, podobna szlachetność i abnegacya — wykrzyknął Karol. — Któż o czém podobném słyszał w tych skażonych czasach! Na Boga, starcze! prawdziwym bohaterem jesteś; gasną przy twojej wszystkie cnoty wielkich ludzi Plutarcha, bez nagrody nie może być ta cnota! Powiedz jak się mam wywdzięczyc, jak ci wynagrodzić?

— Najjaśniejszy Panie! nie sprzedaję obowiązków sumienia — sucho odparł Szczuka.

— Zachciej tylko, a najbogatsze starostwa, książęce włości, najwyższe dostojenstwa nadam ci chętnie! Wzniosę cię nad wszystkich, będziesz mi pierwszym radcą, owszem, drugim ojcem, mentorem...

— Przebacz królu — odrzekł z zimną powagą referendarz — ale przyjąć nie mogę tych darów, jakimi pragniesz obsypać. Najprzód, co już rzekłem, obowiązkiem nie chcę frymarzyć; potem, zbyt stary jestem, abym mógł służyć ci, lub nawet służyć dobru ogółu. Zgrzybiałemu cierpienie tylko i modlitwa nad grobem syna zostaje.

— Przecież może masz jakie życzenie, jeśli nie dla siebie, to dla kogo innego. Przysięgam, uczynię mu zadość.

Rozjaśniło się nieco czoło i oko starca.

— W tym razie uczynić mogę zadość woli W. Kr. Mości. Bóg ci dał potęgę, używaj jej na dobro ludu, który cię przyjmuje mniej jako wroga, a więcej jako wybawcę. Potem miej wzgląd na rodzinę zbawcy chrześcijaństwa; przywróć ją do jej praw, zwróć berło wydarte intrygą.

Jakto? — przerwał zdziwiony Karol — wstawiasz się za Sobieskimi, a kilka dni temu, oświadczyłeś się stanowczo przeciw nim, stronę Augusta przyjmując.

— Działalem związany przysięgą i obowiązkami poddanego, gdy W. Kr. M. postępować możesz stosownie do swój woli — była odpowiedź.

* * *

— I czy wy pojmujecie tego człowieka? — mówił towarzyszom szwedzki monarcha, gdy pożegnawszy starca,

i stosowne od niego otrzymawszy objaśnienia drogi, ujrzał się daleko od Grądów, a całkowicie bezpiecznym, bo bliskim swój armii. — Czy wy go rozumiecie? toż cnota godna Katonowskiego Rzymianina! Jakie uczucia, jakie pojęcie honoru! Ach gdyby Najwyższy dał mi podobnych ludzi, mentorów, ministrów!

Dotknął nieco hrabiego Pipera wykrzyknik.

— Mniemam Najjaśniejszy Panie! że na tych, których użył Bóg, nie masz zbyt przyczyn skarżenia się...

— Niema co mówić, lecz jakież zdrowe i pocziwe rady tego człowieka!

— Ha! W. Kr. M. tedy za godne je swojej uwagi poczytujesz?

— I za godne uwagi i za stosowne, abym poszedł za niemi; dlatego...

— Nie zmienisz w prowincją szwedzką tego królestwa?

— Ma się rozumieć.

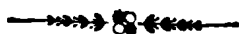
— I wrócisz berło Sobieskim?

— Będę przynajmniej szczerze starał się o to.

— Lecz co powiedzą twoi poddani, senat?

Uśmiał się pogardliwie Karol.

— Moi poddani słuchać rozkazów, nie sądzić mnie winni; a senat... dziecięciem będąc posłałem burzliwemu za przewodnika mój kapelusz; mężczyzna w pełni lat, posłę mu—bicz.



ROZMAITOŚCI.

Pro-memoria, dla badaczy i zbieraczy dawnych zabytków i pamiątek z czasów przedchrześcijańskich w Polsce.

Ziemia nasza jest wielką najdawniejszych dziejów księgą. Wprzód jeszcze, zanim kronikarstwo bieg zdarzeń uchwycić i na papierze osadzić zdołało, w téjto księdze zapisywały się same przez siebie różne wiadomości, nie głoskami, lecz hieroglifami, za jakie poczytać należy dawne popielnice, oręż, ozdoby ubiorowe, sprzęty i wszelkie tego rodzaju w jéj łonie ukryte pamiątki. Dotąd zbyt mało wiemy o zwyczajach i sposobie życia mieszkańców ziemi naszéj w czasach przedchrześcijańskich, o czém tylko dowiedzieć się moglibyśmy z odkrycia takich jak wyżej mówię dawnych zabytków, które chociaż je niekiedy przypadek z miejsca długiego ukrycia na jaw wyprowadził, nikt się nie znalazł, ktoby ważność ich należycie ocenić był umiał, i ztądto zwykle one poszły na łup zniszczenia.

Zwracając uwagę świątłych ziomeków zamieszkujących w pobliżu Miedniewic, o mil kilka od Warszawy położonych, udzielam wypisu z dzieła niezbyt upowszechnionego, a przynajmniej treścią swą mało ponętnego do czytania; a to w tym celu, aby jeśli się jaki *umilownik* (wyrząd

M. Reja) starożytności słowiańskich z czasów przedchrześcijańskich w tamtych okolicach znajdzie, podać mu sposobność poszukiwania i sprawdzenia tego, co do wiadomości czasów naszych doszło.

Kdz Koralewicz w dziele: *Additament do Kronik Braci mniejszych S. Franciszka i t. d. w Warszawie, r. 1722 in folio*, na str. 120 takie zamieścił podanie: „W Miedniewicach, na fundamenta klasztorne kamienie sprawdzając, znaleźli ludzie niektóre mogiły na niwach wsi Woli: więc gdy tamże głązy brali, doszli, że to były dawnych wieków pogańskie groby i żale, bo w jednej takiej mogile pod kamieniami, znaleziono jakieś z popiołami naczynia, mieczami starodawnymi obłożone, które rdza od dawności zepsowała, oprócz co u jednego nieco się dobrego znalazło żelaza, to odkupił JP. Starosta Gołubski, a potym zakazał tych śmiertelnych ruchać mogił, przestrzegając odpoczynku umarłych”.

Tamże jest wzmianka, o znalezionym kotle z starą monetą, pod korzeniami wielkiej olszy, w strudze wsi Kozłowie.

OO. Reformaci przybyli do Polski r. 1622. Około r. 1674 założony był dla tychże zakonników klasztor w Miedniewicach, którego fundatorem był Mikołaj Wiktoryn Grudziński, starosta grzybowski i guzowski, r. 1704 zmarły.

Ambroży Grabowski.

Sprostowanie i dopełnienie wiadomości, tyczących się medalów koronacyjnych obrazu N. Panny Berdyczowskiej, w dziele ś. p. hr. Raczyńskiego, tom. 3.

Medal pod Nrem 473, na stronie odwrotnej. Wyobrażenie orła z ręką uzbrojoną palaszem, nie jest herbem ziemi chełmińskiej, jak tamże wyrażono; ale jest herbem

S o ł t y k, umieszczonym na cześć biskupa krak. **Kajeta**na **Soltyka**, koronacją obrazu dopełniającego, co znamiona **biskupie**, infuła i pastorał, dostatecznie wyjaśniają.

Dzieło: Ozdoba i obrona ukraińskich krajów N. Panna Berdyczowska i t. d. tamże w Berdyczowie wydane in folio, w części drugiej arkusz Rrr., ma rycinę Teod. Rakowieckiego, na której są wyobrażone kilka medalów koronacyjnych obrazu berdyczowskiego.... Medal u Raczyńskiego pod Nrem 472 zamieszczony, inny na téj rycinie napis na stronie odwrotnej około herbu Szreniawa przedstawia, mianowicie ten: *Dum fluit unda, fluunt et coronae.*

Okrom czterech w dziele Raczyńskiego znajdujących się medalów, jeszcze na téj rycinie przedstawione są trzy inne (wszystkich jest siedm), których tylko są strony odwrotne, bo strona główna u wszystkich jednaka, mianowicie wyobrażenie Najśw. Panny, które są następujące:

1) Płaszcz książęcy rozpostarty, w środku tarcza z orłem, a wkoło napis: *Fortius indies nuntiant fumam.*

2) Na podłużnej tarczy herb Leliwa, wokół napis: *Crescit munificentia ad aras.* Bity na cześć Tyszkiewiczów.

3) Orzeł polski trzymający w jednym szponie tarczę z godłem karmelitańskim, w drugim tarczę z herbem książęco-elektorskim saskim; około głowy jego małeńki herb koronny, orzeł i pogoń litewską. W otoku napis *Regno Poloniae et Carmelitae familiae.* Na tarczy piersiowej orła jest monogram imienia Maryi.

Wyjątek z tego dzieła „Ozdoba i obrona” i t. d. odnoszący się do tych medalów. „Gdy już ukoronowany był obraz, rozrzucane były medale czyli numizmata złote, srebrne, miedziane z siedmiu stęplów bite, na których z jednej strony był wyrażony obraz N. Maryi Panny berdyczowskiéj, z wypisaniem dnia i roku koronacyi; z drugiej strony w szczególności herby Ojca Ś.; królestwa Polskiego z W. X. Litewskiem; Naj. Króla Jmci; JW. Koronatora; JJWW. Tyszkiewiczów fundatorów miejsca tutejszego; JJOO. Książ

żąt Radziwiłłów; JJOO. Książąt Lubomirskich; JJWW. Potockich; z przydanemi stosującemi się inskrypcjami. (Ostrzedz należy, że na rycinie przedstawiającej te siedm medali, na żadnym nie widać herbu *Trąby*). Te numizmata, przed koronacją benedykowane były od W. O. Prowincyała Karmelitów bosych, który władzą sobie pozwołoną od ś. stolicy Apostolskiej, nadał im odpust zupełny, na ostatni skonańia moment służący, którzyby je mieli lub nosili przy sobie”.

Ambroży Grabowski.

Prowincjonalizmy, powiatowszczyzny, sposoby mówienia księztwa oświęcimskiego i zatorskiego, przez Ambrożego Grabowskiego zebrane.

Zgodzili się na to znakomici nasi mężowie uczeni, ile jest p. trzebneń dla udoskonalenia polskiego języka, zebranie wszystkich prowincjonalizmów, powiatowszczyzn kraju naszego; przeto nie wdając się w dalsze dowodzenie tój potrzeby, oprę się na tём, co trzy niepowszednie naukowe powagi o tём wyrzekły:

Potrzebna jest dokładna znajomość wszystkich stowiańskich języków i powiatowszczyzn języka polskiego (*Wiszniewski. Tom 6 str. 409*).

Gminna mowa i powiatowszczyzny są szacownym dla historii języka polskiego skarbem. (*Tenze, Tom 7 str. 248.*)

Bacznego czytelnika nie unudzi prostota mowy, bo potrzebna filologom prowincjonalizmu znajomość. (*X. Juszyński. II. str. 391*).

Mnóstwo słów i wyrażeń powiatowych ubogaca dziś z każdym dniem język piśmienny, który nie jest mumią aby go zamknąć w słowniku. (*August Bielowski*).

Że wszelkie prowincjonalizmy z biegiem lat się zacierają i z używania nikną, sam smutne odniosłem doświadczenie: a postrzegłszy szkodę, którą psotny czas wyrządza, zająłem się skwapliwie spisowaniem powiatowszczyzn księztwa

oświecimskiego i zatorskiego (gdzie stała kolebka moja), przywołując do pamięci i notując przez czas długi, co sobie jeszcze z lat młodzięcych przypomnieć mogłem, i co tu w sposobie słownika dla uchwiania przed zatrąką podaję.

Gdybyśmy zatem, zamiast żywienia się obczyzną, skrzętnie się u siebie rozpatrzyli; gdybyśmy zajrzeli w zakąty wiejskie, pod słomiane strzechy: pewnie znaleźlibyśmy niejedno piękne nazwanie rzeczy, prawdziwie narodowe i właściwiej rzecz tę oznaczające, niż je mamy z owego wzięcia borgiem u Gallów lub Germanów,—a dla synonimiki naszój jakże jeszcze obfite ztąd pokazaćby się mogły plony!...

* * *

Verba valent sicut nummi.
consensu dantis et accipientis.

Bajoro, znaczy bagno, trzęsawisko. *Brataniec*, zn. bratunek, syn brata. *Buchta*, rodzaj pieczywa, ciasta, czyli baba.

Chusty, bielizna. *Chyciło się*, zajął się ogień, zapaliło się. *Chybać*, rzucać, ciskać, także biedz prędko. *Ciszczka*, tłok wielki, ciżba. *Cmak*, *po ćmaku*, pociemku, w ciemności. *Cnic się*, *cnie mi się*, nudzić się. *Comżyć*, za włosy targać. *Cudować się*, dziwić się. Wyraz ten był dawniej w częstszym używaniu. Kdz Grodziński w dziele: *Ogród flołkowy r. 1673*, pisze: „Ludzie małym rzeczom przestali się c u d o w a ć”. Cudzić, toż samo co *comżyć*.

Drzewi, dawniej, niegdyś. *Dziwoki*, dziwne rzeczy. *Nie dziwota*, niema w tém nic dziwnego. *Dźwierze*, drzwi.

Gad, wąż. *Gizd*, brud. *Gizdak*, *Gizdula*, zabrudzony człowiek. *Gruchnąć*, upaść na ziemię, uderzyć kogo.

Habrek, bławat (*Centaurea cyanus*) (1). *Harny*, dumny, hardy.

Jużyna, podwieczorek, jedzenie po-obiednie.

(1) Nie znam kwiatu, któryby liczniejsze miał nazwisko: w Krakowskiem bławat, w Mazowszu głowacz, w Litwie wasilek. Prócz tego zowią go jeszcze modrak, modrzeniec, barwena, barzana.

Kalna woda, mętna woda. *Kapka*, kropla. *Karkoszki*, tyczki z gałęzi drzew śpilkowych, do grochu lub grodzenia płotów. *Kay*, *kaydyś*, *kaysik*, gdzie, dokąd. *Kay poszedł? Kaydyś był? Kaysik jest.* *Kidać*, rozlewać. *Kiesznia*, kieszeń. *Kołacz*, placek z serem. *Kłobuk*, kapelusz o trzech rogach. *Do korzon drzwi otwarte*, na oścież. *Kozidła*, bieguny u kolebki. *Krupka*, pudełko drewniane. *Krzoska*, króćca, pistolet kieszonkowy. *Do krzty, do ena*, do odrobiny. *Krzypota*, kaszel. *Krzypać*, kaszleć. *Krzyw być*, winnym być. *Jam temu nie krzyw.* *Kwaki*, karpiele, jarzyna). *Kwap*, puch gęsi, drobne pierze.

Latoś, tego roku. *Łacny*. *bydlę łacne*, nienapasiono; także *łacny*, zamiast łatwy. *Łogaza*, potrawa, groch zmieszany z pęczakiem, jęczmieniem omielonym. *Łoni*, *łońskiego roku*, przeszłego roku. *Łuczek*, szczypiorek, (*Allium schaeenoprasum*).

Macherzyna, pęcherz. *Marcha*, wyraz obelżywy, koń stary, (Germanizm). *Metoperz*, nietoperz. *Mlostek*, naczynie gliniane do zbierania mleka.

Natoń, dziedziniec, podwórze.

Obcoch, woda stojąca bez odpływu. *Ociepka*, wiązka słomy. *Okolką*, po kolei. *Otrok*, mężczyzna.

Pachać, broić, dokazywać, *cuła pachać*. *Paść*, łapka na myszy. *Paowa*, *tam do pacwy!*, tam do licha, tam do kata! *Patrzy się, jak się patrzy*, jak się należy. *Pieczarki*, owoce suszone. *Pieczonka*, pieczeń. *Piznąć*, uderzyć. *Plaskoć* albo *tatarczuch*, tatarak, *Acorus calamus*. *Płeskierz*, nagniotek. *Pluskwa*, pliszka ptak, (*Motacilla*). *Płoszczyca*, owad śmierdzący, pluskwa. *Podany*, podobny. *Podany na ojca*, podobny do ojca. *Precz*, *preczki*, daleko. *Przegarluć*, drażnić, przedrzeźniać. *Przeskoczka*, niewiasta której się pośliznąć zdarzyło. *Putek*, *putka*, chrzestny ojciec, matka. *Pyzda*, który padłe zwierzęta z skóry obciąga.

Rzomnie, sporo, dostatecznie.

Suczać, popychać. *Satrzyć*, znać zdaleka, znać tylko z widzenia. *Sciebać*, nawłóczyć np. paciorki, korale. *Setny*, połączny, wielki, znaczny, jakby ze stu wybrany. *Se-*

dzioty, gonty. *Siara*, mleko pierwsze po ociełeniu. *Skibka* kromka cienka chleba. *Snaźnie*, pięknie, nadobnie. Kdż Grodzicki *Zywot s. Jacka* r. 1595. pisze: „o których świętobliwości i szałności żywota dobrze mamy rozumieć. *Sternal*, trznadel, ptak. *Styskać*, tęsknić. *Swarny*, szwarny, przystojny, urodziwy. *Szafel*, *szaflik*, ceber, cebrzyk. *Szkledzić*, szukać. *Szoldra*, szynka, wieprzowina wędzona.

Tatarczuch, tak nazywano chleb przywożony z Krakowa, słodki w smaku, wypiekany z mąki tatarczanej. Do Krakowa przywożono dawniej takowy z miasteczka Skały, przy Ojcowie. *Tęsić*, nalegać na kogo, nastawać. *Tydnie*, dwa, trzy *tydnie*, tygodnie.

Wdziać się, suknie włożyć, ubrać się. *Webrać się*, wprowadzić się na mieszkanie. *Wnęk*, *wnęczka*, wnuk, wnuczka. *Wojak*, *wojanka*, żołnierz, żona jego. *Wola kiedy*, byle kiedy. *Wola kto*, byle kto. *Woniać*, pachnąć, *róża wonia*, pachnie. *Wozgrzywy koń*, nosacizną zarazony. *Wybrać się*, wyprowadzić się z mieszkania. *Wydać się*, o dziewczynie, pojsć w zamęcie. *Na wykopy*, *na wypust jechać*, pędzić galopem. *Wyrko*, łóżko ubogie, z trochę barłogu.

Zagierzyć się, zamierzyć się do uderzenia pięścią. *Zbąn*, garniec do palenia wódki. Tak już nazywano w wieku XVI kocieł do pędzenia gorzałki. *Zber*, wielki ceber. *Żenie bydło*, pędzi bydło. *Zmurdzany*, posmolony, z brudną twarzą. *Żurzyć*, *podzurzyć*, podniecać przeciw komu, podbehtać.

O żubrze i polowaniu na niego.

przez Dymitra Dolmatowa (przekład z angielskiego).

Autor, inspektor cesarskich lasów w gubernii grodzieńskiej (*master of the forests*). pisał już przed kilku laty o pu-

szczy Białowiezkiej, w której się jeszcze dotąd utrzymuje żubr (*Bos urus Bodd.*), ale wówczas nie mógł się na samych własnych postrzeżeniach opierać, przeto jego praca, jak sam otwarcie wyznaje, nie jest wolna od błędów; i to go właśnie spowodowało doświadczenia później zebrane na nowo ogłosić. Bierzemy jego artykuł z nr. 14 pisma *Annals and magazine of natural history* na r. 1849.

Gilibert a po nim baron Brincken (1) mówią, że żubręta nie chcą ssać domowej krowy. Według Giliberta, dwa, siedm tygodni mające, schwytaue cieleta żubra, wzbraniały się wymion krowy dotykać, z upodobaniem jednak ssały kozę; nassawszy się, wstrząsały głową z widocznym wstrętem: a w zapalczywy gniew wpadały, gdy je do krowy przystawić chciaano. Baron Brincken nie miał sposobności czynienia naocznych postrzeżeń nad żubrem; opowiadania które mówi że slyszal od okolicznych mieszkańców puszczy, dosyć małej są wartości, bo jak autor zapewnia, z przyczyny wielkiej kary jaka jest na chwytnie albo zabicie żubra nałożona, żaden włościanin nie odważyłby się zabłąkane ciele żubra przyjmować. Panu Dalmatów zaś nastęczyła się sposobność sprostowania tego błędu postrzeżeniami własnemi, w rozkazie Najjaśniejszego Pana, który obiecał królowej Wiktorji dwa żywe żubry dla zoologicznego ogrodu w Londynie. Zarządzający cesarskiemi dobrami minister hrabia Kisielew, własnoręcznie oddał rozkaz. Łowy zapowiedziane były na dzień 20 lipca. Rano tego dnia, już o świcie zebrało się trzystu naganiaczy i 80 strzelców z tego okręgu puszczy, mających strzelby tylko prochem nabite, i zaczęto najprzód wysledzać nocne tropy żubrów.

Dzień był pogodny, cichy; trzystu naganiaczy, wraz z 50 strzelcami, w zupełnej cichości otoczyli samotną dolinę, na której się trzoda żubrów znajdowała. W towarzystwie trzydziestu uzbrojonych strzelców w największym uciszeniu, pary nawet z ust nie wypuszczając, jeden za drugim idących, przedarł się autor do otoczonego ostępu. Stanąwszy

(1) W oryginale to nazwisko pisane jest błędnie: *de Brinvers*.

u krańców doliny, ujrzeli trzodę żubrów rozłożoną na wzgórkach; cielęta weselo skakały i wierzgając wartkami nogami, piasek w górę wyrzucały, niekiedy powracały do matek, ocierały się o nie, lizały je i znowu z tą samą wesołością odbiegały skacząc. Uderzenie w myśliwską trąbkę zmieniło nagle całą tę scenę; panicznym przerażona strachem cała ta trzoda zerwała się na nogi, i zdawała się chcieć słuchem i wzrokiem nieprzyjaciela poznać; cielęta popodchodziły z trwogą pod swoje matki. Skoro się rozległo psów szczekanie, natychmiast trzoda uszykowała się we właściwy sobie sposób: cielęta stanęły najprzód; stare utworzyły za niemi straż tylną, ażeby je od napadu psów zasłonić.

Za nadejściem trzody na linię naganiaczów, rozległ się krzyk i huk ślepych wystrzałów; stare żubry przedarły się z wściekłością za linię naganiaczów; poszły dalej nie troszcząc się bardzo o naganiaczów, którzy się ze strachem do drzew poprzytulali. Udało się łowcom schwytać dwoje młodych: jedno trzymiesięczne cielę zaraz zostało ujęte, drugie mające 15 miesięcy powaliwszy 8 ludzi na ziemię, uciekło, lecz do ogrodu jednego leśnika od psów wpędzone, powtórnie było złapane. W innej okolicy lasu złapano jeszcze czworo cieląt: byczka i trzy jałoszki. Jedna z tych ostatnich, kilka dni dopiero mająca, poprowadzona była natychmiast do krowy domowej, maścią podobnej żubrowi; krowa przyjęła dzikie, brodatę cielę, z wielką uprzejmością; młode z powszechnym zadziwieniem wybornie ssało; nie szczęściem jednak w sześć dni potem zdechło na zpchnienie karku, które już miało przy złapaniu, a które potem nagle się powiększało. Inne cielęta pierwszego dnia niewoli żadnego pokarmu przyjmować nie chciały; trzymiesięczne zaprowadzone do krowy, nazajutrz ssać zaczęło, było wesołe i żwawe. Inne, z wyjątkiem 15miesięcznego, chlipały najprzód mléko z ręki człowieka, a potem je chciwie piły z wiadra, po którego wypróżnieniu, nawzajem sobie paszcze oblizywały. W krótkim czasie znikło ich dzikie wejście (*look*); zamiast być, jak z początku, lękliwymi, stały się we-

sołe i rozkoszne. Jeśli je z chlewa na obszerne podwórze wypędzono, każdy się dziwił szybkości ich poruszeń; skakały z lekkością kozy lub jelenia, z własnego popędu igrały z cielętami krów swojskich, walczyły z nimi i zdawały się, lubo silniejsze, wspaniałomyślnie ustępować im zwycięstwa. Piętnastomiesięczny byczek przez długi czas zachowywał dzikie, przerażające spojrzenie; gniwał się gdy się kto przybliżał do niego, potrząsał głową, oblizywał się językiem i pokazywał rogi. Po dwu miesiącach stał się i on dosyć obłaskawionym, okazywał skłonność do człowieka który go dotychczas karmił, i odtąd wolniej był trzymanym.

Żubry kopią nogami ziemię, do góry ją wyrzucają i stawają dęba jak konie; okazują wielkie przywiązanie ku temu który je karmi, patrzą za nim, przychodzą do niego, łaszą się mu, liżą mu rękę i są mu posłuszne na zawołanie. Wyprowadzone ze stajni, stają się odważne, z pychą podnoszą głowę, otwierają nozdrza, parskają i najweselsze wykonywają skoki; poznają wkrótce, że są w zamknięciu, patrzą to na niezmierną puszcę, to na zielone łąki: zdaje się jakby tęskniły, do dzikiej wolności, i z zwieszoną głową wracają smutne do stajni.

Siedm na tém polowaniu złapanych żubrząt, wychowywało się we dwóch oddalonych od siebie miejscach. Dwa na pierwszym polowaniu złapane byczki, bardzo dobrze znosiły dawany im pokarm; inne, które zamiast ssać, piły mléko, przez tydzień rozwolnienie cierpiały. Autor przypisuje to złe nadkwaśnieniu mléka z niejakiej odległości przynoszonego, bo gdy postarano się o dwie dla każdego żubra świeżo wydajane krowy, i po wydojeniu ciepłe jeszcze dawano im mléko, wtedy i rozwolnienie ustało. Obydwa byczki przyzwyczały się sól lizać, której ani dotknęły drugie. Piętnastomiesięczny żubr gardził mlékiem, zaraz od pierwszego dnia dawano mu owies z sieczką zmieszany, siano z leśnej łąki, korę i liście jesionu, dzikie gruszki i rozmaite zioła leśne. Jak tylko inne cielęta mléko pić przestawały, otrzymywały i one ten sam pokarm. Piły zarówno źródlaną jak i rzeczłą wodę, latem po kilka razy na dzień; młodsze

wtedy dopiero wodę piły, gdy się do niej nieco mléka przymieszało. Głodne lub spragnione, nakształt świń krząkały. Obfity i przemienny pokarm, stajnia w zimie przed mrozem, w lecie przed owadami bezpieczna, nader sprzyjały powodzeniu młodych żubrów; tak dobrze się chowały, że młoda jałoszka, złapana w styczniu 1847 r. dla zastąpienia innéj, która zdechła, dosięgła tylko połowy tego wzrostu co jéj rówienniczki rokiem piérwéj połapane. Ponieważ mówiono o nadzwyczajnéj żubrów dzikich wielkości i twierdzone że co do postaci mocno się pomiędzy sobą różnią, ciekawą więc byłoby rzeczą doświadczyć jakiegoby doszedł wzrostu żubr ręką człowieka wychowany. Anglia, gdzie chów domowych zwierząt najwyższego stopnia dosięgnął, najwłaściwszym do tych prób byłaby krajem. Ważniejsza jeszcze, żubra samca ze swojską krową zestanowić. Autor nie uznaje wcale za niepodobieństwo téj próby, wnosząc ze skłonności którą okazuje dla swojskich krów młody żubr, teraz dwa lata i 3 miesiące mający. Możeby tym sposobem wywieść się dała nowa bydła rogatego rasa, któraby wielką posiadała siłę z szybkością i pojętność, a do człowieka przywiązanie okazywała. Jedna para żubrów przeznaczona jest do Londynu, druga do Petersburga, trzecia w rodzinnej okolicy zostaje; porównawcze postrzeżenia nad temi trzema parami, w przedmiocie klimatycznego wpływu na powodzenie zwierząt, wybornych dostarczyłyby wniosków.

Oswojone żubry przeprowadzone zostały z Białowieży do Grodna, o 20 mil niemieckich. Para przeznaczona dla Petersburga (2 samce) znajdowała się w podłużnej klatce, nakrytej słomą i przegrodzonej na dwoje tak, ażeby się zwierzęta położyć mogły nie trącając się wzajemnie. Nowa klatka i kotysanie się wozu, zdawało się bojaźnią je przeniakać; zachowywały się wprawdzie spokojnie, ale w piérszych 24 godzinach nic nie jadły i położyć się nie chciały. Już na drugi dzień wróciły do swoich dawnych zwyczajów. Podróż ta przez trzy dni trwała. Para do Londynu przeznaczona, wieziona była w obszerniejszej i nie przykrytej klatce: samiec przez całą drogę, w największej niespokojności

zostawał, ryczał zupełnie jak buhaj. Ten 15miesięczny samiec wysoki był na 4 stopy i 1 cal, a 5 stóp i 6 cali długi; samica miała 4 stopy wysokości, a 5 stóp i 3 cale długości.

W Grodnie umieszczono obiedwie pary w obszernej stajni; z początku rozłączono je tylko poprzeczną belką: tak zjadły wpadły na siebie, że połamały przegrodę, i musiano je rozłączyć. Szczególną jest rzeczą, że wszystkie trzy samce jednocześnie uderzyły na jedyną samicę, i gdyby nie nadbiegli dozorca, byłyby ją zabiły; zwoła przyzwyczały się do siebie.

Autor sądzi, że żubry umieszczone w obszernym zwierzyńcu, w którymby według upodobania żyć mogły, najlepiejby się chowały: a ponieważ jasne kolory są im przeciwne, nade wszystko zaś czerwony we wściekłość je wprawia, wypadłoby przeto dozorcą im ich ciemną odzież dawać. Psy także straszliwemi są dla nich; do szaleństwa dochodzą, kiedy je pies goni. (*Fror. Not.* 1849 nr. 190).

A. W.

Kilka słów o Tarwas, Tarwaha, Tarwahalla powieści runicznych.

Przez Wiktora Moczulskiego (przekł. z niemieckiego).

Na czerwcowém posiedzeniu 1847 r. Akademii um. berlińskiej, podane były przez profesora Schotta objaśnienia względem wątpliwego, w jednym fińskim runie wspomnianego zwierzęcia: *Tarwas, Tarwaha i Tarwahalla* nazwanego, i zwierzę to za azyatyckiego bobaka (*Mus bobac*) uznane zostało.

Wiersz 29 — 31 tego runu, brzmi jak następuje:

Pohjla porolla kynti, Pólnoc orze reniferem

Etelä emähewolla, Południe macierzyńskim koniem

Takalappi tarwaholla. Takalappi tarwasem.

Professor Schott mówi: że *Takalappi* znaczy dosłownie tylną Laponią, i tak jest nieznaną jak zwierzę *Tarwas* albo *Tarwaha*.

Trudno mniemać, że *Takalappi* zupełnie był północnym krajem, i miałoby więcęj prawdopodobieństwa to, że Finnowie, w owym runicznym czasie rozciągali swoje siedziby daleko bardziej na południe, niżeli jakikolwiek z ich szczepów teraz. Historia uczy, że Finnowie czyli Lappowie runu, jeszcze za czasów Rzymian posiadali wszystkie brzegi morza Wschodniego, i bezpośrednio graniczyli z Wendyjskimi czyli słowiańskimi ludami.

W tém przeto *Takalappi* czyli tylną Laponii, może być rozumiany najbardziej południowy brzeżek owoczesnych Fińskich krajów, albo może nawet przestrzeni krajów słowiańskich. Słowiańskim szczepem w starożytnych czasach na południe Finlandyi mieszkającym, był szczep Krywiczów albo Krywetów, którego szczątków nietak w inflanckich Krywingach, jako raczej w litewskich Dżamaitach szukać należy, bo widocznie podaje klucz do dojścia nazwiska Krywiczów, starożytne a dotąd jeszcze utrzymujące się przysłowie: „*Krywe kryweites Dżamaita diweites*” to jest: Krywe-kryweites jest Dżamaitów bóstwem. Teraźniejsi Litwini w ogólności, a w szczególności z Lettami spokrewnieni Dżamaitowie czyli Żmudzini, należą przynajmniej w części, do owego kompletu ludów, które Tacyt pod nazwiskiem *Suiones* wspomina, a które z okolicy daleko bardziej południowej, mianowicie znad brzegów rzeki Donu, do granic fińskich przywędrowały.

Wiadomo z geograficznego rozpołożenia zwierząt, że renifer, podobnie jak pies, ze zwierząt do ciągu używanych najdalszém jest na północy, i aż do 65° szerokości północnej używa się do ciągu. Dalej na południe zachodzi koń, który w Rosyi aż do 52° szerokości północnej w przemagający sposób do orania służy. Od téj szerokości na południe idzie potem wół jako główne ciągowie zwierzę, aż do 42° szerokości północnej, odkąd znowu bawół nad nim przemaga. Jeżeli zatem poeta fiński wyraża, że w kraju pół-

nocnym renifer, w południowym koń są głównemi zwierzętami ciagowemi, to *Tarwas*, *Tarwaha* albo *Tarwahalla* nie może innemu odpowiadać zwierzęciu, jak ciagowemu wołowi, tém bardziej że mianowicie téż u Dżamaitów, ludu niegdyś pogranicznego Finnom, dotąd jeszcze tu i owdzie wół używasię do orania, i ten kraj uważany być może za najbardziej północną granicę rozpostarcia się wołu jako do pracy używanego zwierzęcia.

Ojczyzna żubra czyli tura, leży pod 54° szerokości północnej i bezpośrednio tam, gdzie niegdyś Finnowie mieszkali. Nie mogło im przeto ani to zwierzę, ani jego słowiańskie nazwisko *tur* być nieznaném. Wiadomo, że bawół dopiero w 6 wieku do Europy wprowadzony został. Wielce zatem prawdopodobną jest rzeczą, że równie i wół ciagowy dopiero późno w sąsiedztwo Finnow doszedł, i że oni uważali to zwierzę za pochodzące od dawno znanego im, w pogranicznych im puszczech utrzymującego się żubra (2). Litewskie nazwisko *żubr* (3) zjawilo się daleko później, ponieważ Litwini dopiero w 5 wieku posuwając się ku morzu Wschodniemu, podbili Słowian północnych, przyczém i Finnow daleko na północ wyparli. Odyn, idący z okolic Kaukazu i Azyi mniejszej, gdzie *żubr* czyli *taur*, *tur*, *aur*, *ur*,

(2) Nader ważném jest dotąd jeszcze w Rossyi rozpostarte podanie, że litewski tur pochodzi z wielkich lasów gubernii smoleńskiej, zkad przed kilkuset laty (czy może za panowania Jagiellonów?) pewien polski pan, 10 jego cieląt do swojej ojczyzny zabral i potem je rozmnozył w lesie Białostockim, gdzie jeszcze dotąd gatunek się utrzymał. (*Powieść ta nie zasługuje na wiarę, bo w tytu nazwiskach miejsc w Polsce znajduje się dowód, że owszem w dawnych czasach ojczyzna tura rozciągała się aż w Mazowsze i t. d.*

(Przypis. Redak.)

(3) Według rysunku Herbersteina, tur miał nie mieć grzywy, brody i ogona, i różnić się tém od żubra. Szczególną jest rzeczą, że terazniejsi Rosssyanie brodatego kaukazkiego koziorozca nazywają *turem*, a brodatego syberyjskiego jelenia, *izubrem*. Tento izubr dostarcza sławnego rogu jeleniego, który w Chinach ze złotem kładą na wagę i dają go każdej narzeczonej, jako środek na obudzenie miłości w przyszłym jej małżonku.

dotąd się jeszcze dziko znajduje, i który w czasach przedhistorycznych mógł być powodem, że główna tameczna góra nazwaną została *Taurus*, przyniósł z wielu scytyjsko-słowiańskimi zwyczajami, jakoto np. z sypaniem kurhanów (*tumuli*), zapewne i wiadomość o uprawianiu pól wołami. A ponieważ żubr mógł być już znany Finnom pod nazwiskiem *tur*, jak niemińniej im, w związkach ze słowiańskimi ludami zostającym, i to słowiańskie во.ль, po polsku *woł* obcym być nie musiało, a obydwie zwierzęta uznawali za jedno; łatwo tedy było im, albo przynajmniej temu ich runicznemu poecie, utworzyć z tego *tur-woł*, *turwał*, *tarwahalla*, *tarwaha* i *tarwas*.

Mnie przynajmniej wydaje się rzeczą wielce nienaturalną wkładać w usta fińskiemu poecie tak gruby fasz, jak oranie azyatyckim bobakiem. W epoce w której on pisał, musiało przecież zwierzę *tarwas* znane być Finnom, co bezwarunkowo ściągać się może do wołu, ale nigdy do bobaka, nierównie mniej na północ zachodzącego, i od granicy Finnow niezmiernie jeszcze dalekiego. A jeżeli ten bobak rzeczywiście Finnom był znany, niepodobna nawet najgrubszym ludom przyznawać, ażeby tak potwornym bajkom dawały wiarę i miały upodobanie w przekazywaniu ich późniejszym czasom.

Przeciwnie gatunki tryszczów (*Dipus*), nazywają się dziś po rosyjsku *tarpańczyk*, co ma widocznie początek mongolski i pochodzi od *tarpan*, nazwiska którym Kałmucy dzikiego konia oznaczają. W tym też zachodzi zupełnie naturalny stosunek, bo skaczący zajęć mógł dla mongolskiej wyobraźni bardzo łatwo uchodzić za skaczącego konika. Ten *tarpan* już za Herodota czasów zamieszkiwał stepy południowej Rosyi wokoło rzeki Hypanis, teraźniejszego Boha, gdzie i dotąd się znajduje (4), a potem się rozciąga

4 Mówiłem z wielu wiarogodnymi osobami które takie dzikie konie własnymi oczyma widziały, i w najnowszym czasie trudniły się ich łowieniem tak w stepach nad Bohem, jako i nad Many-

wzdłuż 47° szerokości północnej przez rzekę Manyez w stepy kirgizkie, i dalej w kraj *Tarpa-gatai* czyli *Tarpa-hatai*, mianowicie przez te same krainy, w których *Dipus jaculus* mieszka. *Tarpa-hatai* przeto, nie znaczy bynajmniej kraju bobaków, jak p. Schott wyprowadza, lecz kraj dzikich koni, czem też i jest rzeczywiście (5).

Może być że do nazwania stepowego bobaka służy *Tá-rh* lub podobny wyraz u Chińczyków albo raczej u jakiego innego szczepu ludu w Chinach, bo Chińczyk z trudnością byłby w stanie taki wyraz wymówić; ażeby zaś obok jego tatarsko-mongolskiego nazwiska *baibak*, miało być inne jeszcze *Tarwaha*, to chyba że ten wyraz dostał się do Mandżu z chińskiego lub jakiego innego języka. Końcówka *waha* jest właściwie starokumańską, i zdaje się znaczyć tyle co okolica albo miejsce; zatem *tarwaha* równa się wyrażeniu „*tar okolica*.” Końcówka ta używa się rozlicznie w południowej Rosyi, gdzie mieszkali niegdyś Połowcy czyli Kumanie: tak np. jest tam pagórek *Gribo-waha* (okolica grzybów), jest strumień *Kupie-waha* (okolica kąpieli), inny strumień *Kamysz-waha* (okolica trzciny), rzeka *Grusze-waha* (okolica gruszek). Jestto jeden jeszcze dowód, że tak Finowie jako i Czudowie całą Azyą wyższą aż do Kaspijskiego morza zajmowali, i że Połowcy, szczep fiński, przez Mongołów od południa się przedzierających rozproszeni, a w Syberyi nawet co do imienia wytępieni byli. Rzeczą jest nader godną uwagi, i pełną znaczenia w dochodzeniu początku ludów, że ta sama końcówka *waha* albo *waka* licznie się znajduje i w Ameryce, i to również przy nazwiskach gór i rzek. Niedaleko już może do tego, że uczone badania bliższe ukąż powinowactwo owego w Ameryce ludu zaginionego, ze znikłymi syberyjskimi Czudów szczepami, ze Scy-

czem. Gdy Następca tronu Rosyjskiego znajdował się w r. 1837 w Czerkasku, przyprowadzono tam żywego tarpana.

(5) Kalmucy (*Olöt*), jako sami z tego Tarpagatai (z Songaryi) pochodzący, zatrzymali więc w czystości pierwsiastkowe pojęcia wyrazu *tarpan*, gdy inni Azjanie stosują go niewłaściwie i do *dygietaj* (*Equus hemionus*).

tami i Czudem (чудъ) Rossyan dzisiejszych, czyli naszych teraźniejszych Finnów. Ów zagadkowy lud przeszedł z Ameryki do Azji, a nie odwrotnie jak dotychczas sądzono. Za pierwszym znajdują się rozliczne dowody, za ostatniem żaden (6)!

Na zakończenie muszę jeszcze uczynić wzmiankę o podaniu ludu w Syberji, jakoby tam znajdowało się podziemne straszdyło, bo to podanie również do azyatyckiego bobaka odnoszono. Ale bobak wcale się nie znajduje w tych okolicach, w których rzeczony podanie istnieje, i mieszkańcy tameczni tyleż o nim nie wiedzą, co o koniu dzikim i tryszczu. Naodwrot, w stepach południowych, właściwej bobaka ojczyźnie, nie słyhać nic o podziemném, kopiącém straszdydle, a całe podanie ogranicza się tylko do mieszkańców Syberji północnej po większej części pochodzenia fińskiego: do Samojedów, Ostyaków, Tunguzów. Powiadają oni, że tém podziemném straszdyłem jest mamut, który nie śmie nigdy na powietrze wychodzić, i który skoro w przechodach swoich dosięgnie powierzchni ziemi lub ją długimi kłami przebije, w mgnieniu oka zdycha. I w témto, mówią, przyczyna, że się corocznie wykrywa zpod ziemi tyle kłów mamuta, których owe ludy bardzo poszukują i znakomity handel niemi prowadzą. O ile dotąd wiadomo, nie ma na północy żadnego zwierzęcia, któreby w ziemi znaczne przechody robiło lub też głębiej niż płaskie, gniazdowate schronienia na powierzchni ziemi wygrzebywało, i do któregoby rzeczony podanie odnosić się mogło. (*Fror. Not. 1849 r. nr. 187*).

A. W.

⌘ (6) Autor, który datuje artykuł niniejszy z Czugnewa pod d. 10 stycznia r. b., ten napomkniony w nim historyczny przedmiot obiecuje w późniejszym czasie obszerniej rozwinąć.

*Dodatek do wiadomości o robakach ze śniegiem spadłych
dnia 24 stycznia 1849 roku w Posopowie.*

Gąsienice omomilka szarego (*Cantharis fusca* Lin.) o których wiadomość w Bibliotece Warszawskiej r. 1849 miesiąc kwiecień, str. 189 umieściłem, utrzymywane były, jak już tam powiedziałem, w słoju szklanym, ziemią ogrodową wypełnionym, a to w celu dostrzeżenia ich przemian i wyprawdzenia doskonałego owadu. Mniemałem że na mierne zimno w pokoju nieopalonym wystawione, prędko zamartwieją i aż do wiosny w tym stanie przechować się dadzą. Lecz inaczej się stało. Po upływie dwóch tygodni, gdym do słoja zajrzał, zamiast gąsienic zdrętwiałych, znalazłem całą ziemię powierzchnię pokrytą ich szczątkami, a między temi kilkanaście jeszcze żyjących, które już to z sobą walczyły, już pokonanych resztki pożerały. Nie czekając przeto aby te żarłoczne istoty zupełnie się wytępiły, powyjmowałem je i do alkoholu włożyłem. Z liczby około dwóchset, zaledwo 37 udało mi się wybrać w dobrym stanie. Stracona już więc była dla mnie wszelka nadzieja zapewnienia się, czy rzeczywiście gąsienice te do gatunku *Cantharis fusca* należały, gdy nad spodzianie moje, kilkanaście tego samego zbioru gąsienic, w osobny słoik na los szczęścia włożonych, wydało w dniu 22 maja jednego tylko żyjącego chrząszczyka i jedną martwą, cokolwiek uszkodzoną poczwarękę (1). Tém więc szczęśliwém zdarzeniem przekonałem się niewątpliwie, że gąsienice ze śniegiem spadłe dnia 24 stycznia 1849 roku w Posopowie, należą niezawodnie do gatunku omomilka szarego (*Cantharis fusca* Lin.).

Chrząszczyków tych w polu jeszcze nie dostrzegłem, zapewne z powodu spóźnionej tegorocznej wiosny, chociaż pod koniec maja a mianowicie w czerwcu, licznie się u nas na roślinach znajdują; zdaje się więc iż wczesne odbycie przemian otrzymanego exemplarza, cieplej temperaturze pokoju w którym gąsienice trzymane były, przypisać wypada.

K. Tyzenhauz.

(1) Szanowny Autor nadesłał przy niniejszej wiadomości, pięknie wykonany ich wizerunek, tudzież kilka gąsienic zachowanych w spirytusie.

*Wyjątek z Wiadomości o pracach naukowych professorów
i nauczycieli cesarstwa Rossyjskiego, w instytutach
naukowych.*

W Dzienniku Ministerjum Oświecenia Narodowego, po rossyjsku w Petersburgu wychodzącym, umieszczony bywa corocznie spis osób pracom naukowym poświęcających się, z wymienieniem rodzaju dzieł nad któremi zajmują się. Zbytecznym byłoby dodawać, jak pod każdym względem wiadomości te zarówno dla czytającej publiczności są pożyteczne, jako i dla pracujących są bodźcem do postępu i do wytrwałości zachęcają. Prace uczonych rossyjskich są teraz liczne i w każdej gałęzi umiejętności nader ważne. Pomiedzy nimi zwracają naszą uwagę professorowie uniwersytetu rodem Polacy, dla młodzi krajowej kursa swe wykładający, lub nauczyciele w zachodnich guberniach cesarstwa umieszczeni, którzy biorą za przedmiot swych poszukiwań i badań miejscowość, a częstokroć dawne dzieje, czytającą publiczność tutejszą zajmujące.

Podług zdania sprawy w Ministerjum Oświecenia w roku 1849 ułożonego, pomiędzy wielu innemi zajmowali się:

W uniwersytecie petersburskim professor zwyczajny Zaborowski, wydał piérwszy zeszyt dzieła pod tytułem: *Prawo cywilne królestwa polskiego*, a zajmuje się przygotowaniem do druku drugiego zeszytu tegoż dzieła. Professor zwyczajny Czajkowski, przygotowuje do druku: *Historiją dawnego prawa polskiego*.

W uniwersytecie moskiewskim, p. o. profesora zwyczajnego Korowicki, pracuje nad *Podręczną książką w przedmiocie prawa kryminalnego królestwa polskiego*. P. o. profesora zwyczajnego Załoziecki, zebrał materyały do dzieła pod tytułem: *Różnice urzędzenia i postępowania sądowego tak zwanych urzędników stanu cywilnego w królestwie polskiem i we Francyi, ze zwróceniem uwagi na kontrolę urodzin, ślubów i śmierci w Rossyi*. Pełniący obowiązki profesora zwyczajnego Bodjański, jako sekretarz Towarzystwa

cesarskiego historyi i starożytności rossyjskich przy uniwersytecie moskiewskim, zajmował się redakcją pisma przez Towarzystwo wydawanego, pod tytułem: *Czytania Towarzystwa*, w których umieścił pomiędzy innemi rozprawę księcia Szymona Myszeckiego: *O Kozakach Zaporozkich*; *Krótkie opisanie narodu Kozaków Małorossyjskich i o wojennych jego sprawach*, przez Sienonowskiego; *Opisanie miasta Ostroga*, przez Perłsztejna; *Korrespondencye listowne i inne pisma Karola XII króla szwedzkiego, Stanisława Leszczyńskiego króla polskiego, hana tatarskiego, sultana tureckiego, Filipa Orlika i Józefa Potockiego wojewody kijowskiego*, w językach: łacińskim i polskim.

W uniwersytecie charkowskim, professor zwyczajny *Alexander Mickiewicz* napisał: *Przegląd nauki prawa rzymskiego i jego historyi*.

W uniwersytecie Śgo Włodzimierza w Kijowie, professor zwyczajny *Trautfeter*, zajmował się zbieraniem flory gubernii kijowskiej, a wydał z druku pomiędzy innemi: *Selectus seminum in horto botanico Kijoviensi Universitates Caesareae St. Wladimiri, anno 1847 collectorum*. Pełniący obowiązki adjunkta profesora, *Teofilaktów*, wykończył dzieło pod tytułem: *Opis podróży geognostycznej w guberniach Okręgu Naukowego Kijowskiego po prawym brzegu Dniepru*.

W gimnazyum ołonieckim, dyrektor gimnazyum gubernialnego *Ignatowicz*, zajmował się pisaniem: *Historyi znaczniejszych uniwersytetów w średnich wiekach w Europie*, oraz zbierał materyały do *Rysu historycznego rozwijania się cywilizacji w zachodnich guberniach, dawne Wielkie Księstwo Litewskie składających*. W gimnazyum piérwszem w Charkowie, starszy nauczyciel *Inoziemców*, tłumaczył na rossyjski język *Poezye Adama Mickiewicza*. W gimnazyum w Rownie, nauczyciel religii rzymsko-katolickiego wyznania ksiądz *Podlewski*, napisał w języku polskim: *Trzy dni poświęcone Bogu, książka dla dzieci przygotowujących się do spowiedzi i komunii świętej*; tudzież przygotował do druku: 1) *Edukacya dziecinnego i młodzieńczego wieku człowieka*. 2) *Grammatyka jako nauka mowy*. 3) *Książka do*

nabożeństwa dla uczniów szkół i pensyonarzy. 4) *Fizyologia umysłu ludzkiego, podług Chardonnese't.* W gimnazyum w Kamieńcu Podolskim, starszy nauczyciel *Zienkiewicz*, napisał: *Krótki przegląd historyczny zakładów naukowych w gubernii podolskiej.* W gimnazyum w Kownie, starszy nauczyciel *Popów*, zajmował się *opisaniem miast gub. kowieńskiej.*

W szkołach powiatowych w Konstantynogrodzie, nauczyciel *Estafiew* zajmował się zbieraniem słów i wyrażeń prowincjonalnych w gubernii połtawskiej używanych. W szkole szlacheckiej w Lidzie, starszy nauczyciel *Ławrów* napisał: *Opisanie statystyczne powiatu lidzkiego.* W szkole szlacheckiej w Poniewieżu, nauczyciel *Cytowicz*, zbiera materiały do *Historji Rossji zachodniej.* W szkole szlacheckiej w Witkomierzu, nauczyciel *Bielawski*, przetłumaczył z polskiego języka na rossyjski rozprawę *Surowieckiego: Sledzenie początku narodów słowiańskich* i wydrukował w *Czytaniach towarzystwa moskiewskiego historyi i starożytności rossyjskich.* W szkole powiatowej w Krasławiu, nauczyciel *Franciszek Radziszewski* pracuje ciągle nad ukończeniem napisanego przez siebie w polskim języku dzieła p. t.: *Dykcjonarz pisarzów polskich, tudzież postronnych, którzy w Polsce lub o Polsce pisali; zawierający krótkie rysy ich życia i szczegółowe wiadomości o dziełach ich tak drukowanych, jako téż w rękopismach pozostałych, porządkiem abecadłowym ułożony.*

F. M. S.

Korrespondencya Władysława IV króla polskiego, z Galileuszem.

W bibliotece W. księcia toskańskiego, w pałacu *Pitti* we Florencyi, przechowują się wszelkie papiery, tyczące się *Galileusza*, bądź z jego pism własnoręcznych, bądź z listów do niego pisanych. Pomiedzy temi ostatniemi znajduje się list własnoręczny *Władysława IV* po włosku pisany, do *Galileusza*; a w papierach *Galileusza* odpis jego odpowie-

dzi. Oba drukowane były po niektórych mało znanych zbiorach włoskich; dostarczył mi ich pan *Alberi*, który trudni się nowym wydaniem dzieł Galileusza. Sądzilem, że nie bez interesu będzie ogłosić je w języku polskim, jako dowód stanowiska, jakie kraj nasz zajmował w ówczesnym świecie uczonym.

Alexander Przezdziecki.

List Władysława IV króla polskiego do Galileusza.

Szlachetny, wielce nam miły!

Słusznie zasługują na miłość panujących, ci, którzy posiadają przywilej zacności. W. M. który osobliwością nauki swojej stałeś się znajomym światu, wśród mnóstwa wielbicieli, i u nas znalazłeś odpowiadający wartości swojej szacunek. Trwałą też mamy wolą okazania Wam łaski Naszej w każdej okoliczności. Z tego powodu prosimy W. M. o przysłanie nam dwóch lub trzech par szkieł do perspektywy; ponieważ te, któreście Nam przed laty dwudziestą przysłali, a które doszły Nas aż na Moskwie, ulegając przypadkom podróży, zginęły. Życzymy sobie mieć takie same szkła, jakich W. M. sam używasz; a trzymać je będziemy w wysokiej cenie; ponieważ więcej niż ktokolwiek może, oceniamy znakomitą zacność Waszą. Zresztą, możesz W. M. na łasce Naszej polegać, na której W. M. nigdy zbywać nie będzie. Przyczém niech Was Pan Bóg błogosławi.

Władysław król.

Z Wilna, 19 kwietnia, 1636 roku.

Odpowiedź Galileusza.

Posyłam W. K. Mości, Najjaśniejszy i niez wyciężony królu, trzy pary szkieł, stosownie do rozkazu, jaki odebrałem dopiero w najlaskawszym piśmie W. K. Mości. Starłem się usłużyć W. K. Mości o ile mogłem najlepiej z więzienia w którym znajduję się już od lat trzech, z rozkazu tryduna-

łu Ś. inkwizycyi, dlatego, żem wydrukował *Dyalog o podwójnym systemacie Ptolomeusza i Kopernika*, lubo z dozwoleniem tegoż trybunału S. inkwizycyi, albowiem mistrza S. Pałacu w Rzymie (1). Wiém, że doszły exemplarze téj książki w tamte strony; a zatém W. K. Mość i uczeni W. K. Mości mogli przekonać się, o ile to jest prawdą, że w niej rozrzucona jest nauka bardziej gorsząca, obrzydliwsza i zgubniejsza dla chrześcijaństwa, aniżeli w księgach Kalwina, Lutra i wszystkich herezyarchów razem wziętych. A jednak to zdanie tak mocno przyłgnęło do umysłu Papieża, że książka została zabronioną, a ja wstydem okryty i skazany na więzienie, dopóki zechce Jego Świętobliwość, to jest na wieczne czasy. Ale dokąd uniosła mnie namiętność? Wracam do szkieł przygotowanych do trzech teleskopów różnej długości; jaka zaś być powinna ta długość, oznaczono jest na szpagatach, któremi szkła są obwinięte. Wszystkie trzy służą do obserwacyj na ziemi, a największy może służyć i do obserwacyj niebieskich. Cieszyć się będę wiele, gdy się dowiem, iż doszły rąk W. K. Mości, a bardziej jeszcze jeżeli zasłużą, jak się spodziewam, na Jój zadowolenie.

Arcetri. 1637 roku.



(1) Galileusz znajdował się pod strażą w własnym domu wiejskim w *Arcetri* pod Florencyą; który po dziś dzień widzieć można.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

— ASTRONOMIA.

Nowa planeta. Dnia 12 kwietnia r. b. astronom *de Gasparis* w Neapolu, porównyując gwiazdy oznaczone na karcie godziny XII, ułożonej przez *Steinheila*, a wydanej przez Akademię berlińską, z położeniami tychże gwiazd na niebie, postrzegł małą gwiazdę 9 do 10 wielkości, której na wspomnianej karcie nie było; z dostrzeżeń wykonanych w dniach 14 i 17 kwietnia przekonał się, iż ta gwiazda miała bieg własny i że jest nową planetą. Położenia jęj oznaczone w tych dwóch dniach są następujące:

	Czas średni w Neapolu.	Wznoszenie proste.	Zboczenie południowe.
1849 Kwietnia	d. 14,3771	182°57'57"	—7°28'18"
—	d. 17,5858	182 28 11	—7 13 10

W r. 1835 astronom *Cacciatore* postrzegł gwiazdę ruchomą i tę dwa razy uważał, stan jednak niepogodny nieba nie dozwolił mu jęj dalej śledzić. Z wyrachowania dróg dwóch gwiazd ruchomych w różnych epokach widzianych, pokazuje się, iż są, jedną i tąż samą planetą. Przybliżone pierwiastki jęj drogi są, 1849 r. kwietnia d. 14 o godz. 8 min. 14 sek. 25 czasu średniego paryzkiego:

Długość węzła wstępującego. 322°54'45"
 Pochyłość drogi względem ekliptyki. 4 14 56

Połowa osi wielkiej wyrażona w średnich
 promieniach drogi rocznej ziemi. 2,355
 albo w milach geograficznych. 4,867,000
 Peryod obrotu 3 lata 225 dni.

Ta planeta należy do liczby asteroid, to jest małych planet teleskopowych, między Marsem a Jowiszem około słońca krążących, których dotąd znamy już 10, i te są: Ceres, Pallas, Juno, Westa, Astrea, Hebe, Iris, Flora, Metis i nowoodkryta.

* Dnia 11 kwietnia r. b. *Szweizer* w Moskwie odkrył komety teleskopową, położoną między konstellacją *Wolarza* i *Korony północnej*; miała kształt obłoczka okrągłego, niewyraźnie zakończonego, szerokiego na 15 minut, bez punktu jasnego w środku; bieg jej był bardzo szybki. We trzy dni później, to jest d. 14 kwietnia, postrzegł też komety *Graham* astronom irlandzki w *Markree-Castle*. Pierwiastki przybliżone jej drogi, rachowane przez Jerzego Rünkera i Jürgensena, z dostrzeżeń wykonanych w dniach 14, 20 i 25 kwietnia, są:

Epoka przejścia przez punkt przysłoneczny r. 1849 czerwca d. 8, 1493 czasu średniego Greenwich.

Długość punktu przysłonecznego. 267° 2' 6"
 Długość węzła wstępującego. 30 32 17
 Pochyłość drogi względem ekliptyki. 66 55 49
 Odległość punktu przysłonecznego, wyrażona w częściach promienia drogi rocznej ziemi, 0,89473
 albo w milach geograficznych 1,800,000
 Bieg kierunkowy.

* Dnia 15 kwietnia r. b. astronom *Goujon* w Paryżu odkrył nową komety teleskopową w konstellacji *Puhara*; kometa otoczona była atmosferą owalną, postać szerokiego ogona mającą. Pierwiastki paraboliczne drogi tej komety, wyrachowane przez Argelandera z dostrzeżeń wykonanych w d. 15, 20, 24 kwietnia, są:

Czas przejścia przez punkt przysłoneczny 1849 r. maja d. 26, 5572 czasu średniego berlińskiego.

Długość punktu przysłonecznego.	235°45'20''
Długość węzła wstępującego.	202 33 15
Pochyłość drogi względem ekliptyki. . . .	67 9 34
Odległość punktu przysłonecznego w pro- mieniach drogi rocznej ziemi.	1,1591
albo w milach geograficznych	23,200,000
Bieg kierunkowy, to jest w porządku znaków zwierzyń- cowych.	

* W miesiącu maju r. b. Laugier złożył Akademii umiejętności w Paryżu część pracy swojej już ukończonej, obejmującej *spis obłoczków* i ich położenia na dzień 1 stycznia 1850 r. wraz z dołączonymi czynnikami, służącymi do prędkiego sprowadzenia położenia uważanych, na pewną epokę daną. Ogólny obraz swjej pracy umieścił w piśmie *Comptes rendus* 1849, nr. 19 str. 574, w artykule pod tytułem: *Sur l'utilité d'un catalogue de nébuleuses*. Cały katalog obłoczków będzie oddzielnie wydany.

* *Mikrometr oświecany stosem Wolty*. W miesiącu kwietniu r. b. Arago przedstawił Akademii umiejętności w Paryżu, nowy mikrometr własnego pomysłu. Mikrometr ten przystosowanym będzie do narzędzia ekwatoryalnego w obserwatoryum paryżkiem, i służyć ma do czynienia postrzeżeń komet i obłoczków słabego światła. Wiadomo, iż w dostrzeżeniach nocą odbywanych, nitki mikrometru w lunetach oświecane być muszą, przez co i samo pole lunety jest oświecone, a to nie dozwala widzieć komet i obłoczków, gdyż one całkiem w blasku sztucznym nika. Tęj niedogodności zaradza mikrometr nowój budowy, albowiem nitki mikrometru wtedy tylko same są widzialne, gdy zostają w połączeniu z małym stosem Wolty. Przydana zasuwka dozwala zmieniać dowolnie blask nitek. W pewnym położeniu zasuwki nitki ledwo są widzialne, w położeniu zaś przeciwném też nitki są oświecone, i w ciemném polu lunety kometę lub obłoczek wyraźnie widać. Dotykając lekko palcem małego guziczka, z boku mikrometru umieszczonego, można czynić nitki widzialnemi lub niewidzialnemi, a to w krótkich przedziałach 3 lub 4 razy na sekundę. Wy-

konanie tego mikrometru czyni wielki zaszczyt artyście *Froment*, który przy znajomości konstrukcyi mechanicznej, dowiódł, iż ma wiadomości uczonego fizyka (*Comptes rendus* 1849. N. 18, str. 561). *J. B.*

CHEMIA.

Doświadczenia p. Despretz tyczące się niedokwasu pierwszego saletrorodu skroplonego i wysokoku, przywodzą się do następującej treści:

Wlano niedokwasu Igo saletrorodu skroplonego w miseczkę platynową w temperaturze zwyczajnej, i w tę samą miseczkę ogrzaną do czerwoności. I w pierwszym i w drugim razie ciecz z wolna się ulatniała. Zasluguje tu na uwagę ta okoliczność, że gaz wymagający do swego skroplenia więcej nad 40 atmosfer, nie zmienia postaci ciekłej na miseczce ogrzanej do czerwoności w ciśnieniu atmosferycznym. Spodziéwać się należy, że wszystkie gazy skroplone podobnie się zachowają, a przynajmniej te, które są ciekłymi w ciśnieniu atmosferycznym.

Niedokwas Iszy saletrorodu ciekły, wlany na talerzyk srebrny, ustawiony na cegle rozgrzanej, pod dzwonem maszyny pneumatycznej, już przy pierwszych poruszeniach tłoka, pokrywał się białą warstewką, a dalej cała ciecz zmieniła się w istotę lekką, podobną do kłaczków śniegu.

Następnie starano się zamrozić wyskok bezwodny. W tym celu zanurzono w powyższy niedokwas pierwszy, cienką rurkę szklaną, zawierającą kilka gramów wysokoku. To wszystko zanurzono w małym naczyniu, na którego dnie znajdowała się mieszanina utworzona z kwasu węglowego zsiadłego i eteru siarkowego; mieszanina ta pokrywała całe wklęste dno naczynia; poczem to wstawiono pod dzwon maszyny pneumatycznej, i tam zrobiono próżnię. Wyskok zamtąd wyjęty zgęstniał widocznie, i cokolwiek tylko był mniej przezroczystym. Powtórzono później niniejsze do-

świadczenie z tymże samym skutkiem. Z tego się pokazuje, że nawet w tak wielkiem zimnie, wyskok na ciało zsiadłe zmienić się nie może. (*Treść z pisma L'Institut z 28 lutego 1849 r.*).

* P. Magendie doniósł Akademii umiejętności paryzkiej, iż p. Bernard przekonał się o następnej okoliczności, ważnej dla fizjologii i chemii zwierzęcej, to jest, że zrobiwszy zakłócenie zwierzęcia w czwartej komórce mózgowej, natychmiast utworzy się cukier w jego moczu. Doświadczenia powyższe wykonywano na psach i królikach. (*L'Institut, 28 Mars, 1849*).

* *Kwas saletowy trzeci bezwodny*. Kwas ten wydzielony został przez P. Deville. O tym przedmiocie tak mówi p. Dumas:

„W rurce zawierającej kwas saletowy skryształizowany, zostawionej w spoczynku, kryształy się rozpuściły. Starając się ciecz kryształizować na nowo za pośrednictwem ciał oziębiających, poruszyła się rurka przypadkowo, i wśród silnego wystrzału potłukła”. P. Dumas sądzi, że kwas saletowy trzeci suchy, rozkłada się powolnie na kwas pierwszy saletowy i kwasoród, a ten ostatni gaz, z powodu swego ściśnienia, sprawia powyższy wystrzał. W skutek rzonego przypadku, utracił p. Dumas piękny okaz kwasu salekowego bezwodnego, udzielony mu przez p. Deville, którego kryształy tak były wyraźne, że można na nich było oznaczyć kształt główny tego ciała. (*Tamże*). J. B...a

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Spokojna wieś Galaway w Ameryce, z rana d. 23 lipca 1848 r. przerażona była wyswobodzeniem się nosorożca z uenazeryi pp. Raymond i Warring. Słoń zwany Kolum-

bem, zrobił sobie w nocy uciechę powyjmowaniem za pomocą trąby grubych żelaznych prętów z przodu klatki nosorożca, i gdy ostatni odważnie przed nim stanął, uderzył go dwa lub trzy razy trąbą tak silnie, że nosorożec niejaki czas, niezwyemu podobny, na podłodze leżał. Zdaje się że słoń chciał go nogami całkiem stratować, wkrótce jednak otrzymał od rozbudzonego przeciwnika tak gwałtowne razy jego rogiem w brzuch, że przymuszony był potyczkę z nim stoczyć. Rozsrożony nosorożec niepodobnym już stał się do uspokojenia, a dozorczy wezwali całą ludność wsi na pomoc. Lubo im ta niezwłocznie udzieloną została, potwór jednak utorował sobie drogę aż za wieś na pola, i tam wywarł wściekłość na trzody bydła, pomiędzy którymi wielkie spustoszenie zrządził. Ledwie się mu nawinęła poblizka parowa, cały się w nią rzucił; zdawało się, że jak bagna Japonii, swojej ojczyzny, rodzinie ją uczuł. Po długim a nadaremnie usiłowaniu schwytania zwierzęcia, właściciele zabić je umyślili; przyniesiono strzelby, ale ich kule obijały się o boki jego, jakby o żelazny pancerz. Jeszcze 2 sierpnia nosorożec, jakkolwiek więcej niż 500 ludzi go ścigało i wielka nagroda za złapanie go naznaczona została, nie był ujęty. Słoń okazał się tak niebezpiecznie skaleczonym, że o wyleczeniu jego wątpiono. (*Fror. Not.* 1848 no. 164 z *The Zoologist* no. 70. 1848).

* Dziki gatunek konia, czyli tak nazwany dzygietaj (*Equus hemionus*), młody, złapany na wyżynach Tybetu (15,000 stóp nad powierz. morza), został oswojony, i obecnie znajduje się w drodze do Anglii. Zwierzę ma teraz 18 miesięcy, i jest więcej niż 4 stopy wysokie. Jeżeli, czego się należy spodziewać, dojdzie zdrowo do Anglii, stanie się obok niedawno z Rosyi przybyłego żubra, ozdobą zwierzyńca Regents Park. (*Ib.* no. 158 z *The Edinb. new phil. Journal.* April to July, 1848).

* Pewien żeglujący utowił w bliskości Antyllów delfina z dwiema głowami. P. Valenciennes otrzymał przód jego ciała z podwójną głową. Z wielkości tych głów znać że zwierzę było już w stanie dosyć wyrosłym, że więc niema-

ły czas żyć musiało. Prawa głowa była nieco większa od lewej, ale jój brakowało otworu do wytryskiwania, którego i śladu nie było, prócz niektórych fałd skóry. Głowa lewa, która jest mniejsza, ma ten otwór wielki, w zwyczajnym miejscu na pośrodkowej linii położony. Szkoda że nie można było rozpoznać jak dalece zatart się przyrząd prawych tylnych nozdrzy. Normalne położenie lewego otworu wytryskowego, wskazywało zmienione położenie oczu w obu dwu głowach; okodyły zwrócone były ku stronie, na której zrosły się obiedwie głowy. Zwierzę miało tylko jedną parę członków przednich. Nie widziano jeszcze, jak sądzi Valenciennes, takiej potworności u wielorybnych zwierząt ssących. (*Id. no. 161 z L'Institut no. 766, 1848*).

* P. Gervais, *Zmiany koloru u kameleona*. Rozmaicie tłumaczono zdolność przybierania różnych barw u kameleona: jedni ją czynili zawistą od stopnia oddychania, od rozděcia całego ciała płucami i powietrznemi workami, które są podobne układowi włoskowych naczyń krwistych skóry u ptaków; inni od żółci, przyjmując że różna jój ilość dochodzi lub odchodzi; inni zjawisko to usiłowali wytłumaczyć odbijaniem się przedmiotów zewnętrznych. Dopiero Milne-Edwards znalazł prawdziwą zmieniania się kolorów przyczynę w grze rozmaitych pigmentów, wprowadzanėj w czynność działaniem osobnego mechanizmu. Autor także się tym przedmiotem zajmował, i wypadki swoich badań w 763 nrze pisma *Institut* ogłosił.

Podług niego, tak u kameleona jako i u wielu innych zwierząt, należy rozróżnić układ kolorów i kolor większego lub mniejszego natężenia. Tylko ostatni zmienia się, bo układ kolorów zawsze ten sam pozostaje. Do niezmiennych plam na kameleonie należą, według niego, poprzeczne pręgi na głowie i nad oczami, plamy zygzakowate na grzbiecie, plamy na ogonie i na bokach, wreszcie paski na nogach i palcach, mające po większej części kolor jasno-żółty, złoto-żółty lub czerwono-żółty, a które znajdujący się pod skórą pigment wyprowadza, i które są równie u zwierzęcia żyjącego, jak i u niedawno zmarłego, lecz

u żyjącego, stosownie do zafarbowania tła, więcej lub mniej występują. Zwyczajny kolor tła skóry jest białawy, zielonawy, jasno lub ciemno-brunatny; każdy z tych kolorów może być albo miejscowym, albo też na rozmałą przestrzeń ciała rozpostartym. Kolor białawy pochodzi z niedostatku lub ze schowania się brunatnego; na linii grzbietowej, gdzie niema tego ostatniego koloru, jest on ciągły; nawet kolor skóry jest białawy.

Uważając przez lupę kameleona którego kolor z białawego w zielony albo brunatny przechodzi, widać jak na powierzchni jego miazdry (*derma*), pod naskórkiem mnóstwo drobnych, czarniawych kropek występuje. Kropki te okazują się w największej liczbie na łuskach czyli łuskowatych brodawkach. Jeśli ich mała tylko jest liczba, kolor przedtém białawy, przechodzi w żółto-zielony, lub zielony; jeśli zaś w mnóstwie wystąpią, a przez to, jak samo przez się rozumie się, białe przedziały zmniejszą się, wtedy ogólny kolor staje się brunatno-zielony, fioletowy lub czarniawy. To zjawisko koloru jest albo ogólne, albo cząstkowe; powstają przez nie tak pręgi jak centki i inne rysunki, podobnież kolor na jednym boku i t. d. Nawet żółty pigment, gęsto na niektórych miejscach pod naskórkiem rozpostarty, nie przeszkadza objawianiu się drobnych czarnych plamek; mieszanina żółtego z czarném w rozmaitych stosunkach, staje się raczej nową przyczyną zmian koloru, i sprawia cieniowania drobnych plamek. Czarna albo brunatna farba miazdry u kameleona nie tworzy, jak śluzowate ciało (*corpus mucosum*) murzyna, jednéj, z naskórkiem połączonej warstwy; ale raczej pod kształtem drobnych, rozosobnionych ciałek, leży w okach miazdry. Miazdra opatrzona jest włóknami które się pod prostym kątem krzyżują, przez co nabywa ściągłości takiej jak wewnętrzna skóra moszny. Ta ściągłość jest właśnie głównym działaczem, który ziarna barwidła (pigmentu) ku powierzchni popędza, albo wewnątrz skóry odprowadza, i w miarę ilości w jakiej one do powierzchni przybywają, jaśniejszy lub ciemniejszy kolor wywołuje.

Niektórzy autorowie uznawali zmienianie koloru u kameleona za skutek ciał otaczających, inni nawet za bajkę. Doświadczenia autora przekonały go, że kolor ciał otaczających niewątpliwie na kolor kameleona wpływa. Wpływ ten jednakże ma swoje granice, i nie do wszelkich rozciąga się kolorów, lecz tylko do białego, brązowego i zielonego. Kolory te nie zmieniają się nagle, chociaż po większej części dosyć prędko przybierają ton koloru przedmiotu na którym zwierzę pobędzie.

Kameleon, którego autor przez kilka tygodni na pomarańczowém drzewie w ogrodzie swoim uważał, był prawie ciągle zielony, jak liście na których przebywał. Gdy zaś siedział na ziemi, albo na podłodze izby, przybierał kolor brązowy lub mniej więcej nakrapiany. Ton koloru dosyć przytém odpowiadał tonowi koloru okolicy, tak, że z trudnością tylko można było odróżnić zwierzę od przedmiotu na którym siedziało, i na liściach je znaleźć.

Kameleon jest zwierzęciem wolno się poruszającym, które nie może przed swoim nieprzyjacielem uciec, ani też zdobywszy doścignąć. Zmienianie koloru i wynikająca ztąd trudność odróżnienia zwierzęcia od ciał go otaczających, ukrywa kameleona tak przed jego prześladowcami, jako też i przed zwierzętami dla których jest straszny; jest przeto dla niego wielkiej ważności przymiotem. (*Ib.*)

* Rzekotka zielona (*Hyla viridis*) ma, jak kameleon, leguan i inne jaszczurkowate gady, własność dobrowolnego zmieniania koloru, nad którémto zjawiskiem zastanawiali się już Duméril, Bibron, Dugès i Gervais, ale go nikt dotąd nie wytłumaczył w zadowalający sposób. M. Pouchet, przedsięwziął mikroskopne badanie skóry tego zwierzęcia, ogłosił wypadki swojego badania w *Comptes rendus*, numerze 22, z 29 maja, 1848 r.

Podług niego, skóra na grzbiecie rzekotki, uważana przez mocną lupę, okazuje się siatkowatą, oka sieci są mierzytelnie pięciokątne; górują one nieco, są czarniawego koloru i mają średnicę 0,015 milimetrów. Przestrzeń pomiędzy każdém z tych ok, jest wklęsłością, którą zabiera mała zaфарbowana łuszcza czyli blaszka, naksztalt zwierciadła

wklęsłego odbijająca światło, a to z zamglonym blaskiem złota. Dla oka nieuzbrojonego skóra na grzbiecie, którego gra kolorów powstaje ze złamania się promieni w wielu drobnych zagłębieniach, mimo to zawsze ma pięknie jasnozielony kolor.

Oprócz ok tej siatki skórnej, widać jeszcze mnóstwo czarnych krotek o większej niż ok średnicy; są to pory wyziwowe; na świetle wydają się one jak błyszczące organiczne kropki, podobne do szparowatych otworków u roślin; w miejscach tych skóra nie ma koloru. W przecięciu skóry okazują się 4 oddzielne warstwy: naskórek, warstwa wyższa koloru i warstwa jego głębiej leżąca, naostatek *derma*.

Naskórek jest nader cienki, bez koloru i przezroczysty, składa się z niezmiernej mnogości nierzytelnych, zwykle pięciobocznych pól, odpowiadających siatce na powierzchni skóry. Są prócz tego na skórcie ziarna, a w każdej z tych brodaweczek leży zapewne wklęsła, wyżej wzmiankowana łuszcza; w pewnych przedziałach czasu widać jak rzeczono dopiero dziurki czyli pory, są jajowatemi wyblęczystościami ze szparą wzdłuż nich idącą; pory te zdają się być w związku z miazdrą (*derma*); i przez nie wylęczać się musi tak śluz jako i woniejąca biaława ciecz, którą wydają żaby, gdy się je rozciąga.

Wyższa warstwa koloru, zieloność nadająca żabie, składa się z drobnych, dętych, wielobocznych łuszczyk, z których każda zabięra oko siatki skórnej; oświecone odbijającym się światłem, wszystkie stają się jakby zwierciadełkami złotemi, i przypominają jaśniejące oczka na pokrywach chrząszcza dyamentowego. Gdzie zielony kolor jest jaśniejszym, widać drobne kawałeczki wolno leżące.

Głębsza czyli spodnia warstwa koloru, jest daleko grubsza i ciemniejsza; zawiera ona czarniawy farbnik w gwiazdkowatych albo pęzlikowatych wiązkach, których rozgałęzienia płącząc się z sobą, zdają się w siatkę skórną wpadać. W miejscach, w których zielony kolor znika, widać wiązki wolno leżące.

Nakoniec miazdra czyli *derma*, jestto cienka warstwa komórkowej tkanki; spodnia jej powierzchnia składa

się z większych komórek, prawie tak mierztelnych i wielokątnych, jak w roślinnej tkance.

Każdy z tych anatomicznych pierwiastków, następującym według autora sposobem, na fizyologiczną przemianę koloru wpływa:

Zafarbowanie czarniawe powstaje przy obwodzie, w skutek rozpostarcia się wiązek spodnią warstwę pigmentu składających; to bowiem rozpostarcie się ich ogranicza średnicę drobnych łuszczyk, odbijających zieloność; siatka musi się przez to stawać daleko ciemniejszą i widoczniejszą, a przestrzeń pomiędzy jej okami daleko szczuplejszą i wydającą się tylko jak złota kropka. W przypadku tym przemaga czarny kolor.

Białawe zafarbowanie zależy na przeciwności przyczyn, na ściągłości wiązek spodniej warstwy pigmentu. Skoro się włókna wiązek, które głównie do siatki skórnej idą, ściągają, oka tej siatki tracą kolor, a drobne, przedtém złotobłyszczące, wklęsłe plamy, przybierają blask perłomaciczny, zapewne dlatego, że już nie mają ciemnego dna na spodzie.

Zmiana więc koloru u rzekotki, zachodzi wewnątrz głębokiej warstwy farbuika jej skóry, a zatem z tychże samych przyczyn, które podług badań Milne-Edward'sa, sprawują grę kolorów u kameleona; z różnicą tylko, że spodnia warstwa pigmentu u rzekotki nie z pęcherzyków, jak u kameleona, tylko się składa z gwiazdkowatych albo pęczelkowatych wiązek. (*F. N. nro. 153*).

* Odmieniec węzowaty (*Hypochthon (Proteus) anguinus*), ten osobliwy wodny płaz, mający ciało jak u węża wysmukłe i długie, a jak u jaszczurki czterema opatrzone nogami, i do końca życia skrzela noszący, w jednym tylko, o ile dotąd wiadomo, znajduje się miejscu: w małych zbiornikach wody na skałach osadzonych alabastrem, w podziemnej, nigdy nieoświetlanej słońcem grocie Śtój Magdaleny, niedaleko wsi Adlersberg w Karnioli czyli Krainie, od mieszkańców tamecznych białą rybą (*bela riba*) zwany. Księżna Ludwika Wołkońska, w powrocie z Włoch wstąpiwszy

do tego miejsca, na połowie drogi pomiędzy Tryestem a Lubianą (*Laibach*) leżącego, w czerwcu r. z., zabrała z sobą trzy żywe indywidua odmieńca, z których jedno wśród podróży zmarłe, w spirytusie zachowane, a dwa pozostałe przy życiu w wodzie często odmienianej, do Warszawy doszły. Wszystkie trzy, miłująca historią naturalną właścicielka, na użytek nauki poświęcić raczyła.

Żyjące utrzymywałem w wodzie studziennej, codziennie ją odmienając, i wkładając do naczynia trzy ułamki alabastrowego nacieku, zabrane ze zwierzętami z rodzinnego ich miejsca (1). Naczyniem był słój półgarcowy ze szkła ciemnego. Dla odmienienia wody, wylewałem je na chwilę do białej, porcelanowej miski, w której żwawo pływały: starsze, ciemniejszego koloru indywiduum, 5 cali 8 lin. długości mające, było wtedy nierównie żwawszém, i często wytykało swój długi ryjek spod wody dla chwytania powietrza; młodsze, prawie przezroczyste, dążyło zawsze do spokojnego zachowania się na dnie, i ukrycia przynajmniej głowy pomiędzy rzeczono wyżej ułamki nacieku. Koło Bożego Narodzenia młodsze indywiduum zmieniło skórę, która małemi płatkami zesza z jego ciała. Odtąd stało się słabém i zaczęło chudnąć: wychudzenie doszło do stopnia, że wszystkie kręgi i żebra widocznymi się stały. W ostatnim tygodniu lutego b. r. żyć przestało.

Z nadejściem wiosny postanowiłem drugiemu rozmaite wodne jestestwa podawać, usiłując natrafić na właściwy mu pokarm. W kolei tych doświadczeń, przesadziłem je na końcu kwietnia t. r. do wody miękkiej ze stawu, pełnej drobnych czerwiów owadowatych (*Entomostraca*), i z żalem nazajutrz z rana postrzegłem, że na grzbiet wywrócony od-

(1) Wiadomo, że nie docieczono dotąd, co jest rzeczywistym pokarmem odmieńca, który tak długo nic nie jedząc, żyć może. Miejscowi ludzie przypuścili, że chyba się żywi lizaniem skały dno jego wody stanowiącej, i w tej wierze udzielają podróżnym, odmieńce z sobą biorącym, kawałki skały dla wpuszczania ich tym zwierzętom do wody, za każdym jej odmienieniem.

mieniec wypłynął na powierzchnię wody nieżywy. Młodsze więc z tych indywiduów żyło w niewoli i bez pożywienia przeszło 8, starsze przeszło 11 miesięcy. (A. W.)

* Jak prędko wyrastają ryby, ztąd się okazuje, że dwie strętwy (*Gymnotus electricus*) po jednym funcie ważące, wpuszczone przed sześciu laty do szczupłego naczynia i przy ciągłym odmienianiu wody oraz dobrém żywieniu, utrzymywane w galerii Adelajdy, teraz ważą przeszło po 40, funtów. (*lb. nr. 160 z The Zoologist, no 78, 1848*).

* Głowa zwierząt stawowatych tworzy się według Newporta, z pewnej liczby działów, początkowo rozłączonych w embryonie. Podług niego, przemiany zwierząt stawowatych nie w samej zachodzą skórce, lecz w mięśniach. Co zaś ich czynność pobudza, tego wprawdzie nie może oznaczyć, sądzi jednak, że samo rozciąganie się i ściąganie rosnącej tkanki mięśniów. Również siła mięśniów jest tą siłą, którą wychodzący z poczwarki owad przysze swoje skrzydła i nogi rozszerza i w krótkim czasie przedłuża. (*Id. nr. 161 z The Annals and mag. of. nat. hist. N. 8, 1848*).

* Tak położenie, jako i budowa różków u owadów okazują, że one są organami zmysłów. Nie mogą być organami widzenia ani smakowania, bo te zmysły u owadów opatrzone są inną organizacją. Ale organa trzech innych zmysłów nie są jeszcze wskazane, i rozmaici entomologowie jednego z nich siedlisko dowolnie różkom przyznają. Największa część autorów ma je za narzędzia dotykania, i w rzeczy samej różki służą bardzo wielu owadom do macania miejsca przed sobą, chociaż znowu inne zdają się unikać raczej dotknięcia niemi ciał stałych, a jeszcze inne, już dla małości różków, nie mogą ich jako narzędzi dotykania użyć. Dlatego J. W. Slater, słuszny wyprowadza wniosek, że różki inny w ogólności cel mieć muszą.

Zmysł słyszenia, mówi on, uważany jest powszechnie za zmysł zobopólnego porozumiewania się, i zwykle mu towarzyszy odpowiednie rozwinięcie mowy; ale większa część owadów nie żyje towarzysko, nie wydaje oraz głosu, a może i słuchu nie ma. Wszelkie usiłowania, ażeby to pytanie rozwiązać, nie doprowadziły dotychczas do żadnego

pewnego wypadku. Niektóre gatunki, np. *Blaps mortisaga*, skoczki (*Cicada*) i rozmaite prostoskrzydłe, mają z pewnością słuch, którego stopień rozwinięcia jest nam nieznany. Przeciwnie zmysł powonienia jest dla większej części zwierząt niemalżej ważności zmysłem; przezeńto znajdują one, okiem wsparte, właściwe sobie pożywienie. Pies, kot i koń obwąchują wszystkie nieznane sobie przedmioty, i według wszelkiego podobieństwa o ich istocie powonieniem się objaśniają; to samo zdaje się i do owadów stosować; przez powonienie także mrówki i osy wynajdują drogę do swego pożywienia, częstokroć zupełnie ukrytego. Chrząszczowate, ścierwożerne i gnojowe, lecą nieraz prosto na przedmioty, które przed ich wzrokiem nie były ukryte; pszczołowate dochodzą zdobyczy w najdalszym ukryciu. Rozmaite zapachy mocne, przez niektóre owady wydawane, a którymi one zdają się zdobyć swoją odurzać i o przybyciu swoich nieprzyjaciół znać dawać, naprowadzają na wielce prawdopodobny wniosek, że i one same mają zmysł powonienia. Chrząszczowate drapieżne, np. *Calosoma sycophanta*, różne gatunki z rodz. *Staphylinus* i *Necrophorus*, równie jak niektóre gatunki z rodz. *Meloe* i wiele innych, wydają mniej lub więcej mocny zapach od siebie.

Jakoż, tam gdzie zmysł powonienia zdaje się być najbardziej rozwiniętym, i rożki mają rozwinięcie największe. Zmysł widzenia i powonienia wystarcza wielu zwierzętom do znajdowania żywności; niektóre idą bardziej za powonieniem, inne bardziej za widzeniem, i odpowiednie organa u nich w tymże rozwinięte są stosunku. Nocne np. zwierzęta mają oczy większe, które większą ilość światła przyjąć mogą, zdają się jednak prócz tego i delikatne mieć powonienie. Ważka ściga swoją zdobycz samem widzeniem wiedziona; wielkie jej oczy są tak rozwinięte, że ledwie już potrzebny jej zmysł powonienia; rożki jej przeto są tylko małe i stosunkowo prostej budowy. Przeciwnie u grobarza (*Necrophorus*), który pożywienia swojego tylko powonieniem zdaje się dochodzić, i nie ma tak szybkiego i zwrótnego lotu, rożki są nierównie większe i główkowate. Nocne także owady, oprócz wielkich, lecz jak się zdaje nie-

dostatecznych oczu, mają jeszcze po większej części potężne i zawile zbudowane rożki. Te owady, które mieszane pożywienie mają, dla znalezienia go nie potrzebują tak delikatnego powonienia jak inne, pewnym tylko wyłącznym pokarmem żyjące; dlatego rożki u gatunków z rodz. *Staphylinus* i u much, są jedynie proste, wołkowatych zaś i blaszkorożnych (*Lamellicornia*), które, jak krówki, chrabąszcze i złotawce, oznaczony po większej części pokarm mają, są tém bardziej rozwinięte.

Rożki samca są w ogólności bardziej rozwinięte niżeli samicy. Autor widzi w tém nowy dowód, że rożki są organami powonienia. Samiec szuka samicy, która zazwyczaj ukryta jest w krzakach i drzewach, w niektórych rodzajach bez-skrzydła, a zawsze w poruszeniach ociężalsza. Odmienność sposobu życia jest częstokroć tak wielka, że samice niektórych owadów rzadko tylko w oczy wpadają, gily samce ich są bardzo pospolitemi. Ale cóż doprowadza samca w tajny zakątek w którym się samica ukrywa? Autor podłożył pod puszkę niezapłodnioną samicę jednego motyla nocnego, i widział jak mnóstwo samców tegoż gatunku ze znacznych odległości przybywało i zbierało się koło puszki. Nie mógł ich wzrok i słuch doprowadzać, ale tylko jedno powonienie. To samo doświadczenie z zapłodnioną samicą powtórzone, żadnego nie przywabiło samca. Rożki gąsienic są małe i rudymentarne; dopiero z rozwinięciem się organów płci, dochodzą one zupełnej wielkości; podobnież organ powonienia zwierząt wyższych wtedy się dopiero całkowicie wykształca, kiedy ogólne rozwinięcie się ciała do zupełności dojdzie. Ściąga się to mianowicie do człowieka. Gdyby rożki były narzędziami słuchu, najlepiej rozwinięte musiałyby znajdować się u tych owadów, które głos wydają, co przecież nie jest. Tymczasem widzimy, że ilekroć owad pożywienia szuka, rożki jego w wielkiej zostają czynności: jelonkowi dosyć jest tylko odrobinę miodu przybliżyć, ażeby ujrzyć jak się jego rożki rozpościerają. Niektórzy naturaliści wniesli wprawdzie z poruszenia rożków podczas nagłego łoskotu, że one

są organami słuchu; lecz autorowi wniosek ten nie zdaje się być usprawiedliwionym. I człowiek w podobnych okolicznościach nieraz konwulsyjnie porusza rękami i nogami, lubo te organa żadnej zależności ze zmysłem słyszenia nie mają. Zdaje się zatem, że rożki są rzeczywiście organami powonienia, albo téż bliżkiej tego zmysłu zdolności. (*Id. Nr. 155 z The Zoologist. No 47, 1848*).

* Serce pajaków, według badań Pappenheima, otoczone jest osierdziem, które na bokach nie jest przedziurawione; wolno leżące serce nie okazuje żadnego śladu naczynia odgałęziającego się na bok. Serce złożone jest ze dwóch układów muskularnych włókien: jedne ciągną się wzdłuż, drugie idą ślimakowato ku pierwszym. Naczynia wchodzą i wychodzą tylko przy obudwu końcach serca. (*Id. No 158 z L'Institut. No 762, 1848*).

* Blanchard, *Krążenie krwi u pajaków*. Pajaki płucne mają układ naczyń bardzo zawikłany: ich serce, które już Treviranus i Dugès dokładnie badali, leży w górnej części odwłoka; wspomnieni dwaj autorowie wykazali już jego władzę nad przyrządem trawienia i rodzenia, gdy tymczasem układ naczyń w całym ich rozłożeniu, dotąd nie był znany. Prawda, że Newport wyborne ogłosił postrzeżenia nad krążeniem u niedźwiadkowatych; pajaki jednak przędzące i inne właściwe, stanowią wcale odmienne zworze zwierzęce, na którego krążenie autor szczególną uwagę zwraca. W 764 nrze pisma *L'Institut* z 1848 r. znajduje się sprawozdanie z jego badań.

P. Blanchard natrysnął naczynia krzyżaka (*Epeira diadema* L.), zaczynając od serca, zafarbowaną cieczą, a tym sposobem mógł jak najdokładniej śledzić ich rozchodzenie się po całym ciele.

Aorta wychodzi, jak już widział Dugès, z przedniej części serca; ciągnie się ona prostą linią przez szypułkę odwłoka do tułowu, a doszedłszy do otworu położonego między dwiema częściami żołądka, tworzy po każdej stronie arteryą która nazad się zawraca, i opatruje żołądek z jego kiszkowemi przedłużeniami. Dwa najgrubsze pnie wycho-

dzące z aorty, kierują się ku dolnej stronie tułowiu; wydają one blisko swojego początku *arterye optyczne*, i oddzielają, przeszedłszy okolice żołądka, po jednej gałęzi do każdej nogi, równie jak i do wielkich głaszczek; od nich także idzie arterya do gruczołów z jadem, której ozdobne rozgałęzienia w najwyraźniejszy sposób przez natryśnienie występują.

Jako największej liczbie bezkręgowych zwierząt, tak i pająkom właściwych wen brakuje; prowadzona arteryami przez wszystkie części ciała krew, zbiera się naostatek do komór, to jest do czecz, pomiędzy organami znajdujących się przestrzeni. W nogach arterye idą aż do końca tych członków; ztamtąd krew napowrót odprowadza kanał, który u wielu gatunków widać nawet przez pokrycie. We wszystkie wydrążenia ciała wprowadzona krew, dochodzi do płuc, dostaje się tam pomiędzy listki płuc, gdzie z kwasorodem złączona, przybywa układem naczyń odnoszących, do serca. Naczynia te, odpowiednie skrzelo-sercowym naczyniom zwierząt miękkich i czerwiów, mogłyby być, jak autor uważa trafnie nazwane *płuco-sercowemi* (*vaisseaux pulmocardiaques*); zawracają się one do tyłu i boków ciała, ażeby ponad organami rodnymi od każdej komórki serca, do osierdzia doszły. Te liczne i bardzo rozgałęzione naczynia widzieli już Treviranus i Dugès, ale iż żaden z nich nie natryskiwał, nie opisali przeto ich biegu z zupełną dokładnością. Zdaje się nawet, że znaczenia ich nie doszli.

Już z różnych innych względów na organizacyą, wnosił autor o blizkiem powinowactwie pajaków z czerwiami; jednakowa organizacya przyrzędu do krążenia, bardziej jeszcze to powinowactwo ustala; obiedwie gromady zwierząt mają serce i bardzo rozwinięty układ krążenia; u obudwu naczynia odnoszące sprowadzają krew do serca; ale u pajaków te ostatnie naczynia mają właściwe ściany, i rozmaicie się rozgałęziają, kiedy u czerwiów nie są tak całkowicie rozwiniętymi. (*Id.* nr. 167).

* Rouault, *Organizacya trylobitów*. W pierwszej części tej pracy, o której 760 nr. pisma *L'Institut* z r. 1848 dono-

si, mówi autor o zmianach którym skorupy pewnych trylobitów uległy. Porównanie fizycznego usposobienia ich szczątków ze skorupami zwierząt miękkich, które się z niemi w tych samych warstwach znajdują, naprowadziło go na myśl, że siarczyk żelaza, prawie zawsze skorupę niektórych gatunków tworzący, zastąpił tę ilość węglanu wapna, która początkowo znajdowała się w skorupie. Autor jeszcze postrzegł, że siarczyk żelaza, tak rozpostarty w formacji łupkowej, do której te skamieniałości należą, nie jest rozdzielony równo: w Angers np. i w Poligné znajduje się obficie, gdy w Coupère stosunkowo jest rzadkim, i że wszystkie skamieniałości, których skorupy w innych miejscach z tego minerału się składają, tu ledwie ślad jego zawierają. Wszystkie zaś te skamieniałości, których się same skorupy utrzymały, mają tu pewną ilość węglanu wapna, odpowiednią ilości siarczyku żelaza, jaka się zwykle w nich znajduje, kiedy te, których zewnętrzny szkielet rogowej był natury, mają skorupę zastąpioną siarkaniem baryty. Autor z tych postrzeżeń wnosi, i jak mniema z pewnością, że trylobity miały rogową skorupę, lecz że ta skorupa u niektórych gatunków zawierała mniej lub więcej węglanu wapna, który tam gdzie się znajdował siarczyk żelaza, nim zastąpiony został, a gdzie go nie było, tam się sam utrzymał. Skorupy trylobitów, które nie węglanu wapna nie miały, podług domysłu autora, były zapewne dwojakiego gatunku: albo prawdziwie rogowe i mało gietkie, albo prawie mięsiste i przez to na wszelkie zewnętrzne wpływy wystawione. Co się zaś tycze siarkanu baryty, który się tylko tam przytrafia, gdzie przedtém były organiczne substancye, autor mniema, że się on mógł utworzyć jedynie pod warunkiem małej ilości siarczyku żelaza i rozkładu istot zwierzęcych. Część druga pracy autora wyszczególnia gatunki trylobitów. Większą już ich część opisał Guettard w r. 1757, ale nie mało kopalnych kralów i raków do nich policzył. Al. Brongnart, dla niedostatku okazów całkowitych, nie wszystkie gatunki dokładnie mógł oznaczyć; wiele szczerb zostawionych przez niego, zapelnily postrzeżenia Milne-Edwards'a.

Ten ostatni oznaczył nawet liczbę działów tułowu u gat. *Trilobites desmaresti*, którego stanowisko względem gatunków innych, ukazał dopiero Burmeister, lecz opisując go jako nowy gatunek. Postrzeżeń Burmeistra nie uważa jeszcze dokładnymi autor, dla którego otwarte były wielkie zbiory w Ogrodzie roślin i w Szkole górnictwa w Paryżu. (*Id. nr. 156*).

* Prof. Fryderyk Will z Erlangi, badając przyczynę ząjomój jadowitości żywych gąsienic prządki towarzysza (*Bombyx processionea*) (o czém już podaliśmy wiadomość w ostat. zeszycie Bibl. Warsz., str. 424), naturalną kolejną postąpił do rozciągnięcia tychże badań na przyczynę jadowitych zakłóc owadów pszczołowatych, które kolą żądłem, i pajaków, które żuwaczkami jad zapuszczają. W 156 nrze dziennika *Notizen v. Froriep*, zdaje on sprawę z tych badań.

Prof. Will dając kasać lakmusowy papier wielkiemu pajakowi zwanemu krzyżakiem (*Epeira diadema*), albo wystawując takż papier na zakłócie żądłem owadów pszczołowatych, jakoto: pszczół, os, szerszeni i t. p. doszedł, że wkoło miejsc przebitych temi narzędziami zakłócia, papier stawał się wyraźnie czerwonym. To samo objawiało się za zgnieceniem jadowego przyrządu na pomienionym papierze, a jeszcze widoczniej za zebraniem nań téj kropelki cieczy, która się niekiedy zawiesza u żądła pszczoły albo u żuwaczki pajaka.

Nałożywszy tym ostatniun sposobem znaczniejszą ilość jadu, bądź od owadów pszczołowatych, bądź od pajaka na tabliczkę szklaną, za dodaniem do niej odrobiny roztworu saletrorodu srebra lub saletrorodu merkuryusza, postrzegał tworzący się w mgnieniu oka biały osad, i bardzo prędkie redukowanie się obudwu metalów, w kuleczkach, jeżeli nie golemu, to mikroskopem wspartemu oku widzialnych.

Doświadczenia te przekonały p. Will w sposób oczywisty, że jad owadów pszczołowatych i pajaków, nie czém innym jest, tylko do różnego stopnia zgęszczonym kwasem mrówczanym. I żeby ze wszystkich stron tego przekonania być pewnym, p. Will przygotował żądła od pszczół,

szerszeni i t.p. odjęte, i do ostatka spirytusem i wodą obmyte z jadu: 1) takowemi i zwyczajnemi igłami w tęgim kwasie mrówczanym umoczonemi; 2) temiż niemaczanemi w pomienionym kwasie, dobrowolne rany sobie zadawał, i zawsze w pierwszym przypadku doznał całego następstwa skutków jakieby z zakłócia przez żywy owad wynikły, w drugim żadnych.

Wynika przeto z doświadczeń p. Will niezaprzeczone wnioski, że cieczą jadowitych owadów, pajaków (1) i t. d., której wpuszczaniem do rany taki ból i zapalenie zrzadzają, jest do różnego stopnia skoncentrowany ten kwas, który chemicy najprzód w mrówkach poznali.

* Jakób (James) Hardy uważał sposób, jakim czterokropkowy psotnik (*Psocus quadripunctatus*) jaja niesie, i jak zniesione chroniącą przedzą ościela. Na początku lipca znalazł on na spodniej powierzchni liści u dębu *Quercus sessiliflora*, zatrudnione niesieniem jaj samice tego owada; uważał, że zniosły najprzód po trzy jaja ułożone w trójkąt; kiedy to nastąpiło, samica przeszła się kilka razy po zniesionych jajach tam i napowrót, zniosła potem jeszcze raz trzy jaja i t. d., dopóki nie wyniosła wszystkich; potem spoczęła chwilę na nich, jakby zmęczona pracą, ażeby następnie zaraz z tém większą siłą nowe zacząć działanie. Autor widział jak zwierzątko z najdziwniejszemi giestami i w największym pośpiechu już w tę, już w owę stronę po zniesionych jajach biegalo; widział, jak to w tył to naokoło kręcąc się, na końcu każdego przebiegu z nagłym obróceniem głowy, dwa lub trzy razy pyszczek do liścia przykładalo, i tak niby weselny taniec wykonywalo. Autor uważal zwierzątko przez dobre pół godziny: poruszenia głowy miały na celu przymocowanie nitki do liścia, a z biegania tam i napowrót powstawały rozmaite oka siatki. Jaja leżały zwykle w zagłębieniu liścia pomiędzy jego nerwami; liczniejsze

(1) Okoliczności nie dozwoliły p. Will postarać się o żywe niedźwiadki; słusznie jednak wnosi, że ich jad nieodmienny jest naturą od jadu właściwych pajaków.

były na spodniej liściach powierzchni. Ukończona siatka, tworzy białą, jajowatą, zdaleka do łuski rybiej podobną plamkę. Jaja mają kształt podługowaty, są drobne, koloru białego, Liczba ich bywa rozmaita: autor liczył 5, 7, 8 i 16. (*Fror. Not. nr. 162 z The Zoologist, nr. 69, 1848*).

* Powszechnie mniemamy, mówi F. Johnston, że jaja wydobyte z niezwygłego owada, nie mogą się wylądź. Znalazł on w maju ciężarną samicę pawika wieczornego (*Smerinthus ocellatus*), z której we dwa dni po jej zgonie, kilka jaj wydobyl. Jaja te wszystkie się tak wylęgły, jak te które samica na krótki czas przed zgonem swoim złożyła, tylko około 40 godzin później od nich. Podający uczynił potem to samo doświadczenie z samicą ligustra i lipowca (*Smerinthus tiliae*), ale bezskutecznie. Dwie ostatnie émy były nader pięknymi okazami: mniema przeto, że nie parzyły się jeszcze (*Id. nr. 165 z The Zoologist, nr. 70, 1848*).

* Longley tak opisuje dwupłciowe indywiduum émy topolowca (*Smerinthus populi*). Strona prawa tego motyla miała cechy samicy, lewa samca; lewa strona ciała o $\frac{1}{8}$ cala dłuższą była od prawej, lecz zato prawa była grubszą. Skrzydło lewe ciemniejszy miało kolor i było o $\frac{1}{4}$ cala krótsze: prawe zaś jaśniejsze; a podobnie i rożki się różniły (*Ib. nr. 167, ex eod.*).
A. W.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1848.

W I L N O.

102. Bigos hultajski. Bzdurstwa obyczajowe (.) przez Izasława Biepońskiego. Z godłem:

Nusque loquacibus omnia miscent.

Horatius.

Tom III. 8ka. Wilno. 1848. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 182. Ztp. 9.

103. Wymarzony Kochanek (.) przez Tadeusza Strzemieńca. 12ka. Wilno. 1848. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 179. Ztp. 6.

L I P S K.

104. Spis najcelniejszych prawideł Arytmetyki, z objaśnieniem przez przykłady. Ułożył S. Krawczykiwicz, były uczeń warszawskiej szkoły wojskowej aplikacyjnej, i oficer artylerji wojsk polskich. 8ka. Lwów. 1848. Nakładem P. Stockmanna, druk Brejt-kopfa i Härtela w Lipsku. Kart 4 i str. 48. Ztp. 2 gr. 15.

1849.

W A R S Z A W A.

36. Album Malownicze. Wizerunki z dziedziny natury, sztuki, dziejów i życia. 4ka. Warszawa, 1849 r. Nakład Merzbacha, druk Strąbskiego. Kart nap. 2 i str. 325. Rejestru karta 1. (Z 33 ryc. na stali). Ztp. 45.

37. Historia naturalna dla nauki i rozrywki dzieci (.) napisana przez starego ich przyjaciela (.) Ozdobiona 36 rycinami kolorowanemi ważniejszych przedmiotów. Zoologia, 12ka. Druk Jaworskiego, nakład H. Hurtiga w Kaliszu, skład główny w księgarni J. Bernsteina. Kart nap. 2 i str. 183. Rejestru kart 2. Ztp. 5.

38. Nieprawy syn de Mauléon (.) przez Aleksandra Dumas. Tłómaczył z francuzkiego Karol Adolf de S. . . . 12. Warszawa, 1849, 4 tomy. Druk Tomaszewskiego. Tom I, str. 230. II, 217. III, 232. IV, 294. Ztp. 20.

39. Opis Buska wraz z zakładem kąpielnym (.) z dołączeniem przepisów używania wody z'e) źródła miejscowego i t. d. 8ka. Warszawa, 1849. Druk Jana Jaworskiego. Kart nap. 2 i str. 60. Ztp. 2.

40. Pamiątka po dobrej matce (.) czyli ostatnie jój rady dla córki. Z godłem:

Cnota treścią człowieka, a reszta przypadkiem.

Krasicki.

Wydanie szóste, 12ka. Warszawa, 1849. Nakład Sennewalda, druk Ungra, Str. XI i 246. Rejestru karta 1. Ztp. 6.

41. Wykład początków Botaniki przez Adryana de Jussieu, Członka Instytutu, Profesora w Muzeum historii naturalnej.... przełożył Tytus Chalubiński Dr. Med. (Wykładu początków historii naturalnej tom. II). 12ka. Warszawa. 1849. (Nakład księgarni Klukowskiego). Druk Strąbskiego. Str. XI i 775. Złp. 25.

42. Zamiana miar i wag polskich na rossyjskie i rossyjskich na polskie. Obrachował i ułożył S. Bakka, inżynier Kommunikacyj lądowych i wodnych, 8ka. Warszawa. 1849. Druk Ungra. Str. 45. Złp. 3 gr. 10.

Doniesienia literackie.

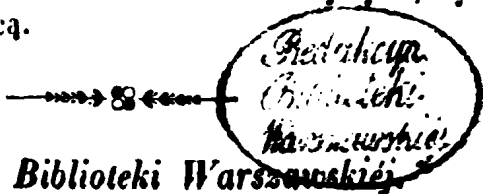
WARSZAWA.

Tygodnik Petersburski ma w swym felietonie umieszczać powieść dwutomową J. I. Kraszewskiego, p. n. *Dziwadła*.

Augustyn Bielowski drukuje we Lwowie piérwszy tom swych badań historycznych, który wyjdzie w r. b. pod napisem: „*Wstęp krytyczny do dziejów*”. W drugim tomie zacznie opowieść dziejów polskich.

Drukuję się w drukarni Ossolińskich, nakładem *Henryka Lubomirskiego* a staraniem *Stanisława Przyłęckiego* „*Wojna Chocimska*”, poemat duży w 10 częściach, napisany w XVII wieku, przez jakiegoś podobno *Lipskiego*, bo trudno dociec autora. Poemat ten jest znamienitszy w naszej literaturze, niż wszystkie polskie poezye aż do czasów *Grażyny*. Dziwna, dlaczego się tak długo ukrywał. Jestto ten sam, którego rękopism nabył był ś. p. Józef Borkowski, i chciał wydać, ale go śmierć zaskoczyła.— Już blisko połowa wyłoczona na czysto.

Redakcyja Athenaeum w następujących tomach z roku bieżącego, przedsięwzięje wydanie całego obszernego dzieła: „*Litwa pod panowaniem Witolda*” przez *J. I. Kraszewskiego*, które bez przerwy drukować się będzie. Oprócz tego, umieszczone zostaną: „*Listy z podróży na Wschód*” *Karola Drzewieckiego*; „*Poezye*” *Władysława Syrokomli*; artykuły Pana W. W. o zamku krakowskim; nowa powieść panny *J. Szmigielskiej* i powieść redaktora pod tytułem: *Pan i Szewc*. Inne artykuły będą zawierały obszernie krytyki, a raczej sprawozdania z dzieł ważniejszych, wychodzących w kraju i za granicą.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Maj 1849.

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.462	27	8.677
Najwyżej dochodził — d. 28 o 10 g. r.	759.05	28	0.484
Najniżej — — d. 15 o g. 4 r.	743.39	27	5.542
Średnia zmiana dzienna barometru	2.26		1.00
Największa zmiana dzienna barometru d. 6—7 o g. 4 r.	6.64		2.94
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	4.199		1.861
Średnia temperatura Maja wynosi:	+ 14.68 C.	+ 11.74 R	
i ta jest niższą o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	1.14 ..	0.91 ..	
Największe ciepło dochodziło d. 29 o g. 4 w.	+ 30.9 ..	+ 24.7 ..	
Najniższa d. 14 o g. 6 r.	+ 3.5 ..	+ 2.8 ..	

(Termometrograf wskazał

Maximum: + 25.⁰⁸ R. d. 29. po poł.

Minimum: + 1.⁰³ R. d. 15. z rana.

Średnia zmiana dzienna temperatury	2.44 ..	1.95 ..
Największa zmiana dzien. d. 18—19 o g. 10 r.	8.7 ..	7.0 ..

Średnia wilgotność miesięczna wynosi: 66,9 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 8.03 gramów pary wodnej, na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o $\frac{7}{100}$ większa od normalnej.

Wody z deszczu spadło wysoko na 66.9 millim. czyli 29.65 linij paryz., t. j. o 5.53 lin. par. więcej jak zwykle.

Dni pogodnych było 8; napółpogodnych 15; pochmurnych 8;

— deszczu 11 (d. 6, 8, 9, 11, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24,).

— grzmotów 1 (d. 9.)

— mgły 2 (d. 9, 12).

Wiatry panujące były: Wschodnie, i Południowo-Wschodnie.

Wichrów nie było.

Maj r. b. w ogóle był pogodny i ciepły; średnia temperatura miesięczna jest o 0,91 stop. R. wyższa od normalnej. Sześć dni początkowe, i druga połowa miesiąca, były ciepłe, przeciwnie dziesięć dni, od d. 6 do 16 chłodne. Poranki niektórych dni, osobliwie po deszczach i przy wietrze wschodnim i północnym jakoto: d. 5. 7. 13. 14. 15. 16. 17. były znacznie chłodne. Pomimo dość częstych i obfitych deszczów. powietrze było suchsze jak zwykle. Najcieplejsze dni były: d. 27. 28. 29. 30. dzienna ich temperatura dochodziła do 16 stop. R. Najchłodniejsze były: d. 5. 7. 8. 9. 10. 14. 15. 16. 17. 20.

KOPALNIE SOLI I ZŁOTA

W SIEDMIOGRODZIE.

(Wyjątek z podróży po Węgrzech i Siedmiogrodzie).

TLUMACZYŁ

Ludwik Lejzner.

Gdy wrócił do Klausenburga, odbywał się właśnie jarmark na konie. Ze wszech stron toczyły się najrozmaitsze powozy, i nagle ożywiło się nadzwyczajnie to miasto. Od niewielu lat ustanowiony został ten jarmark, a już za honor poczytują sobie właściciele najlepszych stadnin, posyłać tutaj swoje konie, choćby tylko dla pokazania ich. Przed miastem urządzono wielki plac, na który wprowadzają konie; widzowie, a pomiędzy nimi wiele dam, zajmują miejsca na wywyższeniu, wystawioném w jednym z jego końców. Jak powiedziano, z całego Siedmiogrodu sprowadzają tutaj najpiękniejsze konie; często jeżdżą na nich sami właściciele, co nadaje więcej życia temu obrazowi.

W jednéj stronie ujrzelismy wielkie stada, bo liczące po kilkaset zupełnie dzikich koni mołdawskich, nieznanących jeszcze dotąd uzdy. Dozorcy ich wydawali się jeszcze

bardziej dzikimi aniżeli konie; niektóre z nich były wyborne. Chociaż w Siedmiogrodzie nie znajdują wielkiego pokupu, przynęca jednak kupujących niska cena, bo za parę koni płacą 320 do 420 złp. Bardzo ciekawą jest rzeczą widzieć ich łapanie, odbywające się z wielką zręcznością i odwagą. Jeden z ludzi chodzących około nich, chwytą w pośrodku stada za uszy i za grzywę wskazanego konia, i z największą siłą wiesza się na nim. Koń zniecierpliwiony skacze, wierzga, staje dęba i wszystkimi sposobami usiłuje uwolnić się od swego nieprzyjaciela. Ale to mu nic nie pomaga, chociaż z człowiekiem robi co mu się podoba: to wznosi go w powietrze, to wala się na ziemi; ten go nie wypuszcza, owszem, tém mocniej trzyma się głowy konia. Wreszcie gdy zwierz zmęczony traci siły i staje na chwilę, wtedy natychmiast zarzucają mu na głowę linę, a trzech lub czterech chłopów chwytają i wyciągają go ze stada. Zduszony, do najwyższego stopnia zmęczony i przestraszony, biedny rumak daje się przywiązać do drugiego, i obydwóch pędzą do domu. Gdy mu pierwszy raz zakładają wędzidło, stacza znowu walkę o swą wolność; ale nadaremnie marnuje siły, i zapewne po kilku godzinach uspokojony i zaprzągnięty, ciągnie wóz do nowego domu.

Niezadługo ustał ruch na ulicach Klausenburga; właśnie były żniwa, i wszyscy dobrzy gospodarze pospieszali do domów. Innym jeszcze powodem, dla którego wielu powydalało się z miasta, było, że cały kraj pustoszyła niezmiernie cholera (1835). Wieśniacy najmocniej cierpieli, gdyż nie znajdowali u nikogo innego rady i pomocy, jak u swych panów. Wielu wypełniało ten szlachetny obowiązek z wielkiem poświęceniem; udzie-

lali włościanom obficie pożywienie i lekarstwa, niektórzy nawet osobiście nieśli pomoc i ratunek. Jak wielka liczba ludzi zginęła w czasie téj choroby, niepodobna zgadnąć; wątpię nawet, aby kto wiedział o tém coś pewnego. W Klausenburgu umierało codziennie 20 do 30 osób, a gdy ustala choroba, ubyla dwudziesta część całej ludności. Wymieniano mi nawet strony, w których wymarła dziesiąta część. Właśnie mieszkaliśmy w oberży, okolo której prowadziła droga na wielki cmentarz, i tędy przeprowadzano każdego umarłego; począwszy od godziny piérwszój aż do wieczora, postępował pogrzeb za pogrzebem, jakby jaka processya.

Zwyczajem jest tutaj, że za każdym członkiem cechu, występują wszyscy do niego należący; nie przesadzamy więc utrzymując, że cały Klausenburg zajmował się temi smutnemi obchodami. Pogrzeb siedmiogrodzki nie może się obejść bez muzyki Cyganów, którój wtorują wielkie orszaki, śpiewające po drodze mszą albo psalmy.

Również mocno ucierpiało wojsko; każdego popołudnia zwyczajnie trzy lub cztery razy słyszeliśmy wyborne orkiestry wojskowe, odprowadzające do grobu towarzysza.

Te melancholiczne sceny, ustawiczne odgłosy wielkich dzwonów, uczyniło Klausenburg bardziej podobnym do miasta umarłych, anizeli żyjących, i niepospolicie uradowałem się, gdym je opuszczał, by szukać nowych wrażeń i nowych okolic. W téj małej wycieczce, trwającój ledwie tydzień, trzymać się będę mojego dziennika.

18 sierpnia. Opuściwszy Klausenburg, obiadowaliśmy w Thorda. Nie znalazłszy tam nic ciekawego, najęliśmy konie do Thoroczko, dla obejrzenia ciekawych

kopalń żelaza. Ugodziliśmy pięć koni dziennie za 17 złp.; w to liczyło się ich żywienie wraz ze stangretem.

Droga do Thoroczko nadzwyczajnie jest górzystą, a często tak złą, że trzeba było krok za krokiem postępować. Prawie przed zachodem słońca wjechaliśmy na szczyt wysokiej góry, z której otwierał się cudowny widok na piękną krainę górzystą; mnóstwo skał sterczało nad przepaścistymi parowami, u stóp naszych leżała mała wioseczka Bare, w dolinie wiła się w zakrętach rzeka Aranyos, a na niej był szczególniejszy most drewniany, okryty dachem, żywo przypominający mi Szwajcaryą; brakło tylko gór wiecznym śniegiem okrytych, abym przeniósł się myślą do jakiego kantonu. Służący zahamowawszy obadwa koła, stanął na stopniu dla utrzymania równowagi. Zjeżdżając z tej niebezpiecznej góry, wypytywałem się jak daleko do Thoroczko, myśląc sobie, że znajdziemy tam dobrą oberżę. Muszę tu objaśnić, co znaczy w Siedmiogrodzie dobra oberża: otóż nic w niej więcej nie trzeba wymagać, prócz suchego pokoju, czystej słomy i parę smażonych kurcząt. „Ach, zapomniałem Jaśnie panu powiedzieć, odezwał się mój służący Miklosz, że w Thoroczko niema zupełnie oberży; ale to nic nie szkodzi, hrabina T. z przyjemnością przyjmie panów do siebie”. Łajanie żadne nie pomagało, a chociaż ten człowiek zostawał u mnie w służbie prawie rok, niepodobna mu było wytłumaczyć, dlaczego wolałem być w biednej a brudnej karczmie, jak w okazałym dworze obywatelskim, i kontentować się chudemi kurczętami, anizeli dobrym stołem. Nie pojmował on, że delikatność może wstrzymywać od szukania gościnności u nieznajomych, chociaż podobne

odwiedziny, rzeczywiście nie sprzeciwiają się zwyczajom i obyczajom siedmiogrodzkim.

Trzeba mi jednakże dać poznać czytelnikowi tego Miklosza, albowiem podróżny nieznający języka krajowego, niemało od służącego zawisł, i prawdziwie zostaje na jego łasce. Oddaliwszy starego Stefana, nająłem drugiego, ale ten okazał się wielkim łotrem; pozbyłem się go zatem i wróciwszy do Klausenburga, wziąłem innego. Byłto mały, zdrowy i silny 20letni chłopiec; doskonale mówił po węgiersku (madziarsku) i wołosku, dosyć rozumiał po niemiecku, i jeżeli mu dwa razy zlecenie opowiedziałem, wykonywał je dosyć dobrze. Największą jego zaletą była gorąca chęć podróżowania i wesołe usposobienie umysłu we wszystkich, nawet najtrudniejszych okolicznościach. W najlepszy sposób wychodził po oberżach z zrzedną gospodynią, albo z celnikiem przetrząsającym nazbyt ściśle nasze rzeczy; dobrze stał łóżko, umiał jeść gotować, strzydz włosy, naprawiać suknie, spać na gołej podłodze, przez miesiąc pościć i targować się z żydami. Gdy powóz uwiązał w błocie i potrzeba było pomocy do wyciągnięcia go, wsiadał na konia bez siodła i uzdy, lotem błyskawicy spieszył do pobliskiej wioski i rzadko wracał bez pomocy. Gdy woźnica niedobrze powoził, lub miał narownego konia, natenczas wsiadał Miklosz na kozioł, brał lejce i najlepiej powoził. Takie były jego dobre przymioty; był jednakże opieszałym, raz wraz robił coś niestosownego, i każde połajanie pamiętał tylko 24 godzin; nadto miał niedobry zwyczaj, z każdą kobietą do której się zbliżył, zawiązywać miłostki. I tak: w wysokim stopniu zjednał sobie przychylność pewnej służącej w Peszcie; zawrócił głowę wdowie Greka w Stambule, obiecał się

żenić wołoskiej dziewczynie w Bukareszcie, a w Klausenburgu oblegał go rój Inamoratów. Obchodziło mnie to niepomalu; pominąwszy bowiem uciążliwe skargi ojców i matek, miłostki te zajmowały mu wiele czasu, który mógłby lepiej być użyć; a w każdym mieście odwlekała odjazd jaka *Dido desolata*. Pomimo tych błędów, Miklosz był wybornym służącym, i wyznaje szczerze, że mi się źle na sercu zrobiło przy rozłączeniu, gdym opuszczał ten kraj; mianowicie spostrzegłszy, że nie uważał na pieniądze, i tak szlochał, jak dziecko.

Cudny był widok na dolinę Aranyos i małą wioskę Barę, do której dotarliśmy. Nie mogłem się oprzeć chęci obejrzenia jój bliżej, i dlatego dałem rozkaz Mikloszowi wyszukać nocleg w chałupie chłopskiej. Zaraz zaprosił nas uprzejmie do swego domu rychtar czyli wójt, oddał nam kilka izb, i obiecał przygotować kolacyą, jeśli u niego zostaniemy. Chętnie przyjęliśmy tę propozycyą, pomimo, że Miklosz oburzał się, jak można spać z Wołochem pod jednym dachem? Gdy domek najstaranniej urządzano, przechadzaliśmy się tymczasem wzdłuż skalistych pobrzeży rzeki; kilka kopalń żelaza zatrudniało młot, którego nieustanne huki odbijały się po całej dolinie.

Chociaż pogardliwie uśmiechał się Miklosz, domek wołoskiego rychtara (1) nie był wcale zły. Prócz bardzo brudnej izby w której mieszkała cała rodzina, i sieni, gdzie gotowano, była jeszcze jedna izba dosyć czysta i sucha, bez podłogi wprawdzie, i z nagiemi ścianami. Stały w niej dwa bardzo krótkie i nader twarde łóżka,

(1) Soltysów czyli wójtów, nazywają w Siedmiogrodzie i Węgrzech rychtarami.

na ścianach wisiały wokoło dzbanuszki i garnuszki, a w jednym rogu téj izby było mnóstwo obrazów świętych, szkoły greckiej. Ale największą ozdobę téj familii stanowił długi szereg fartuchów (było ich więcej jak dwadzieścia), i mnóstwo koszul rozwieszonych z pewnym wymuszeniem w jednej stronie izby. Byłyto fartuchy nieco cieńsze i piękniejsze, nieróżniące się jednak w niczym od tych, jakie noszą zwyczajnie wołoskie niewiasty. Koszule były z grubego płótna, pięknie wyszywane na rękawach i wokoło szyi. Cały ten skarb sporządziła sama właścicielka domu.

Gdyśmy oglądali to urządzenie, a Miklosz układał kilka sztuczek płótna, by miały podobieństwo do obrusa i serwet, usłyszeliśmy nagle tętent zajeżdżającego konia. Koń stanął przed domem i Miklosza wywołano natychmiast, by się rozmówił z podróżnym. Wróciwszy doniósł nam, że hrabina T. zaprasza nas i oczekuje w Thoroczko, spodziewając się, że u niéj przenocujemy. Nie byłoto wcale pożądaną rzeczą, bo powóz był wypakowany, konie w stajni; jakże jechać jeszcze kilka mil? Zapóźno już było, a nadto polubiłem sobie ten domek wołoski; łóżka były posłane, woskowa świeca wyjęta z latarni pojazdowej, miłe rzucała światło po całej izbie: wszystko stało w porządku i przynęcało wygodnym wejrzeniem. Stół nakryty jak było można i zalatujące zapachy pieczonej kury, miały własność niewzbudzania wstrętu dla człowieka, który od południa nie miał nic w ustach. Trzeba było jak najuprzejmiej przeprosić, że nie możemy przyjąć wezwania dla zbyt późnej pory, i obiecaliśmy dnia następnego złożyć nasze ukłony. Czy twarda kura, dymiąca się na naszym stole, czy inna jaka okoliczność była przyczyną, dosyć, że za-

cząłem powątpiewać o prawdzie właśnie co odbytego poselstwa, i pytałem się Miklosza, aby opowiedział, jakim sposobem dowiedziała się hrabina o naszej bytności; wiedziałem bowiem, że właśnie co wróciła z odległych dóbr do Thoroczko.—,Proszę pana—odpowiedział po niemiecku Miklosz nader łamanym językiem—hrabina właściwie dotąd nie wie o tém, lecz wkrótce się dowie. Służący jój jadąc za sprawunkami do Klausenburga, dowiedział się o panach i pomyślał sobie naturalnie, iż nie może być inaczej, jak tylko że panowie odwiedzą jego panią, i dlatego pośpieszył do domu z doniesieniem o tém; a widząc, że tutaj zajeżdżamy, oświadczył, że już pana oczekują, aby nie miał potrzeby wracać nadaremnie z powtórzeniem téjże samój prośby”.—Na zaproszenie więc służącego kazałem odpowiedzieć, że zamierzam odwiedzić damę, której nigdy nie widziałem, znanéj mi tylko z imienia, i nie będąc jój poleconym.

19. Rano wstawszy, zrobiłem rysunek mostu i rzeki; następnie pojechaliśmy do Thoroczko, gdzie o 10tej rano stanęliśmy. Tę małą, piękną miéscinę zamieszkują madziary, unicy. Jeden ze znajomych dał nam list do księdza unickiego, jako do osoby najoświecénszej, która nam wskaże co jest godnego do widzenia w okolicy. Zajechaliśmy przeto prosto przed jego dom. Właśnie wyszedł był do chorego; jednakże jego żona przyjęła nas uprzejmie i posłała zaraz, by go zawiadomić o przybyciu cudzoziemców.

Wstąpiliśmy do jego skromnego domu. Nie różnił się w niczém od sąsiednich włościańskich, prócz większych wymiarów. Kuchnia i izba służących były oddzielone od mieszkania; wewnątrz jednakże oznaczało wyższy stan. W dwóch pokojach stało mnóstwo pótek,

zapełnionych książkami. Tu stały kwartanty łacińskiej teologii, obok zapewne najlepszych dzieł literatury węgierskiej, ale pierwszych i drugich niehardzo wiele; w inném miejscu mieściły się niezbyt ozdobnie oprawne tomy niemieckiej pięknej literatury i historii naturalnej. Kilka pięknych minerałów, pochodzących z okolicy, leżało w różnych miejscach, a szafki z licznymi szufladkami, świadczyły, że nasz gospodarz zajmuje się naukami przyrodzonymi. Gdy tak rozpatrywaliśmy się po pokoju, wszedł silny mężczyzna, średniego wieku, z łagodnymi rysami twarzy; długie czarne włosy spadały mu na barki; nosił czamarkę węgierską i wysokie bóty. Długą łacińską przemową uwiadomił nas, że jest gospodarzem. Przerwałem mu w połowie tę rozciągłą mowę, i prosiłem, by mówił po niemiecku. Odpowiedział, że nie zna tego języka; trzeba było więc rozmawiać w połowie po łacinie i po niemiecku, tak jak było można.

Kopalnie żelaza znaleźliśmy w bardzo smutnym stanie; niewarte były oglądania. Opowiadał nam nasz duchowny o wielu ciekawościach przyrody w pobliskich górach, ale do tego potrzeba było jednego lub dwóch dni, a my postanowiliśmy sobie zapowiedziane odwiedziny odbyć u hrabiny, o której powiadał nasz przyjaciel, że to *nobilissima et generosissima* dama. Mieliśmy nieco czasu odwiedzić kościół unicki, wielki, a stosownie do miasteczka dosyć piękny budynek. Najwięcej zajęły nas organy; było nowy nabytek, który nasz ksiądz z nie małą dumą okazywał.

Wreszcie dowiedzieliśmy się, że hrabina T. nie mieszka w Thoroczko i trzeba było jeszcze kilka mil jechać do St. György (Sent-Dziordzi) do jej zwyczajnego pobytu.

Nie widziałem jeszcze bardziej zamkniętej a piękniejszej doliny. Z jednej strony odgraniczają ją wysokie skały, na których szczycie wznosiły się ruiny starożytnego zamku.

Hrabina T. należała do kobiet dawniej szkoły; odznaczała się łatwością, godnością w obejściu, i miała gorące serce, nadające tyle wyższości w życiu towarzyskiem. Aczkolwiek minął kwiat młodości, regularne a pięściwe rysy twarzy, mówiły o jej piękności; co też zupełnie potwierdzała jej córka. Służący mówił prawdę; pani jego oczekiwała nie tylko naszych odwiedzin, ale wszystkich osób wyższego stanu, przejeżdżających przez tę zamkniętą dolinę. Prawie nie było nam wolno oświadczyć, że zamierzamy odjechać przed obiadem. „Będąc wdową, odezwała się hrabina, mam bardzo wiele zatrudnień przed obiadem, bo w Siedmiogrodzie trzeba być zarazem gospodarzem wiejskim, górnikiem, lekarzem i nie wiem jeszcze czem więcej; słowem, wszystkiem. Opuszczam panów aż do godziny obiadowej, i wtedy znów będę miała przyjemność was oglądać. Obejrzyjcie panowie bukiet, dodała, który mi nadesłał mój zawiadowca; składa się z najpiękniejszych kłosów, jakie w tej porze roku można znaleźć. Mogę zaręczyć, że najrzadsze kwiaty wypielęgnowane w szklarniach, nie byłyby mi milszymi. Wreszcie, odezwała się hrabina Julia, ponieważ panowie jesteście cudzoziemcami, chciejcie obejrzyć chaty niektórych włościan — dodając zaraz — jeżeli się nie obawiacie cholery, która na nieszczęście pokazała się we wsi. Jeżeli chcecie na to przystać, to przewodniczyć będę z przyjemnością.” Rozumié się, że ochoczo przyjęliśmy tę propozycją. „St. György mniemam — dodała — jest wioską najbogatszą

w Siedmiogrodzie, a ceniąc sławę mojej ojczyzny, zależy mi wiele na tém, abyście ją poznali”.

Wieśniacy należą do plemienia madziarów, wyznania unickiego. Domki są piętrowe, wystawione według jednego planu, podobne do innych, które widzieliśmy po kraju; niektóre były większe, a na podwórzu nierównie więcej dostatku. Jeden z domów, do którego weszliśmy, mógłby uchodzić za wzór ochędóstwa i porządku. W najlepszej izbie wisiało mnóstwo cienkiej bielizny i prześcieradeł, po brzegach ozdobnie różnokolorowo-haftowanych. „Jestto robota dziewcząt, ich przyszła wyprawa; pracują usilnie około tego, dodała z uśmiechem nasza piękna przewodniczka, gdyż nie dostają pierwój mężów, dopóki przez podobne roboty nie dadzą dostatecznych dowodów pilności i talentu”. Niewiele trzeba było namawiać córkę domu, aby włożyła ubiór niedzielny, przeładowany haftami i wstążkami. Ubiór dziewcząt w St. György jest najpiękniejszy w całej okolicy. Jaka szkoda, że wszystkie te piękne ubiory i ta chwalebna дума, dla której powstały, poznikają, gdy w te doliny przyjdą tanie towary z Manchester lub z innego miasta wyrabiającego towary bawełniane, i zastąpią wyroby ręką wykonywane! Wprowadzenie przedmiotów zbytkowych, wyrabianych machinami, do krajów niemających istotnego wykształcenia, ani opartych na wydoskonalonych instytucjach i na oświeconym systemacie wychowania, zamiast pomyslności, może stać się przyczyną największego nieszczęścia. Trudno jest wynaléć zatrudnienia dla niewykształconych wieśniaczek bardziej odpowiedniego ich władzom umysłowym i ciała, albo jaśniej wyrażając się, zgodnych z obowiązkami matki i gospodarstwem domowém, jak przedzenie i tkanie. Jeżeli im to odbierzemy, a natomiast nie podamy środków

do wyższych i trudniejszych zajęć, nie pozostanie im nic innego, jak próżniactwo i gruba, poniżająca praca około roli.

Właściciel tego domu, aczkolwiek prosty włościanin, miał posiadać majątku więcej jak dwa tysiące czerwonych złotych. W nagrodę za usługę wyświadczoną zmarłemu hrabiemu, darował mu tenże pańszczyznę; ta jedynie korzyść przy pilności i oszczędności, doprowadziła go do tego majątku. Jedną miał książkę, było to wielka węgierska biblia, bogato ozłocona, zamknięta dwiema wielkimi mosiężnymi klamrami.

Pozostało nam jeszcze nieco czasu do obejrzenia przed obiadem wioski i wstąpienia na pobliską stożkowatą górę, z kąd widać było malownicze ruiny zamku St. György. Używaliśmy z kąd cudownego widoku na okolice i całą dolinę. W dali dolina ta jeden tylko miała otwór, pomiędzy wapiennymi skałami, ograniczającemi ją. Spojrzawszy na drogę z kąd przybyliśmy, jeszcze wyraźniej ujrzeliśmy na szczycie tych wspaniałych skał reszty muru dawnego zamku Thoroczko. Przynajmniej trzeba było dwóch godzin, aby do niego dojść z doliny. Losem zawsze było, nie powiem przywilejem, najstarszego syna z rodziny Thoroczko, mieszkać jak jaskółka na skale, gdy tymczasem młodsi mogli mniej dumnie rozłożyć się po dolinach.

— „W bardzo nieprzyjemnej chwili odwiedzasz pan Thoroczko — odezwała się do mnie hrabina, gdyśmy wrócili; — cholera od dwóch dni pokazawszy się u nas, przybrała bardzo zatrważający charakter. Od wczorajszego dnia doniesiono mi nie mniej jak o czterech śmierciach; trzeba być gotową na więcej”.

Dla tych ludzi hrabina jest jedynym lekarzem, jój dom apteką, a często nawet i szpitalem. Kilkunastu chorych kazała do siebie wziąć dla lepszego opatrzenia. W czasie obiadu, wstawiała kilka razy jój córka dla wydania lekarstwa, proszącym o pomoc. Pomagali jój w tych posługach zawiadowca i proboszcz. W czasie naszego krótkiego pobytu, zmarło jeszcze pięć osób.

Hrabina poleciła nam wrócić do Thoroczko inną drogą. — „Jest dosyć dziką — dodała — lecz zwyczajnie ją obieram, i nie spodziewam się, aby tak młodych ludzi odstraszały małe trudności”. — Po kilkokrotném żegnaniu i wielu łaskawych zapraszaniach, odjechaliśmy wreszcie.

Opuściwszy wioskę, zwróciła się nazza droga na wysoką i stromą górę, z kąd trzeba się spuszczać ciągle na dół. Gdyśmy ostatni raz spojrzeli na okolicę, którą właśnie opuszczaliśmy, ujrzeliśmy jeden z najrozkoszniejszych widoków, jakie tylko w górach znaleźć można. Burza ryczała wzdłuż doliny i poczęła wszystko zakrywać, wyjąwszy zamku na górze, stojącego w najjaśniejszym blasku słonecznym, odbijającym się od czarnego tła, utworzonego przez góry. Drogo trzeba było odpokutować za używanie tego pięknego widoku; nagle zwrócił się wiatr, burza opuściła dolinę i zwróciwszy się ku bokowi góry, prosto na nas zmierzała, dognała, i z taką gwałtownością wypuściła dęszcz, że konie zawróciwszy się, nie chciały ani kroku naprzód zrobić. Bicz nie pomagał, wierzgały i stawały dęba. Odbywało się to przed wałem kamiennym, z którego możnaby dostać się aż do nieśmiertelności, nie wiedząc nawet kiedy.

Jedyny pozostał nam środek: czekać spokojnie. Mikołusz wsiadł tymczasem na konia i chciał prosić hrabiny, by nam pozwoliła parę wołów, aby nas zaciągnęły na

wierzch góry. Ale chłop w pobliżności orzący, widząc nasz przypadek, wyprzągł z pługa konie, założył je przed naszymi i z jego pomocą stanęliśmy szczęśliwie na szczycie. Niemało potrzeba było stracić czasu, a ztąd téż prawie pociemku, i po złej a niebezpiecznej drodze, postępowaliśmy krok za krokiem. Miklosz musiał świecić przodem latarnią pojazdową, a myśmy wstrzymywali pojazd, aby nie wpadł w przepaść. Pomimo tego, groziło ciągle niebezpieczeństwo pojazdowi, że się przewali i wpadnie do parowu, zkąd wyciągnąć go byłoby niepodobieństwem. Zamiast czterech godzin, potrzebowaliśmy ośm na téj krótszej drodze, i nie szemraliśmy na stratę czasu, wyszedłszy z niepotluczonym czołem. Takie drogi mogą być dobre dla dam siedmiogrodzkich; Boże zachowaj jednakże od nich angielskich podróżnych!

Dnia 20. Zamierzaliśmy tego dnia odwiedzić Thor-day Hasadek, parów skalisty, podobny do widzianego w St. György, a który miał być nierównie większy. Ujechawszy kilka mil przedzielających Hasadek od Thorda, przebyliśmy kawał łąk Trajana, gdzie tenże odniósł wielkie zwycięstwo nad Decebalem. Chociaż siedmiogrodzcy historycy kładą miejsce tego spotkania bardziej na wschód od naszej drogi, bliżej pobrzeży Marosza, uważam to wszakże za błąd. Uważaliśmy bowiem przy naszej drodze mnóstwo kopców właściwej postaci i wielkości, niewątpliwie usypanych na pamiątkę poległych bohaterów. Nic nie słyszałem, aby je kto otwierał, nawet nie zachowały się o nich jakiegobądź przypowieści.

Po godzinie drogi, stanęliśmy przy wstępie do Hasadek; jestto mała, półkolista dolina, zamieszkała przez kilku biednych Wołochów i ich krowy.

Niechaj sobie czytelnik wystawi łańcuch gór 20 mil angielskich (5 geogr.) długi, poprzerzynany wpoprzek głębokimi dolinami, a zrobi sobie wyobrażenie o Thor-day Hasadek. W żadnym miejscu szerokość tych parowów poprzecznych nie przenosi 20 sążni; rozszerzają się tylko nieco więcej w górze; samo przez się rozumie się, że boki ich są nadzwyczajnie strome. Mały strumyczek powstający z kilku źródeł w tej półkolistej dolinie, ciągnie się dalej w szczelinie skalistej, i wypełnia prawie całą przestrzeń pomiędzy skałami; więcej jak 20 razy trzeba było przezeń przechodzić, aby suchą nogą dalej postępować. Często skakaliśmy znaczny kawał po kamieniach, ułożonych w wodzie przez włościan; raz nawet wśliznęliśmy na skałę, i niewiele brakło, żeśmy nie wpadli do rzeki.

Cudnej piękności są niektóre skały tej doliny. W jednym miejscu wznoszą się nadzwyczajnie wysoko, zupełnie prostopadle od spadku doliny do wierzchu. W połowie drogi doliny Hasadek, znajduje się w boku, w pewnej wysokości, sławna jama Boyluka. Trudno dostać się do jej otworu, albowiem droga nader stroma, i strzeże go podwójny wał ze strzelnicami. Jama bardzo jest wielką, podobna do obszernego gotyckiego salonu, który pomieściłby przeszło 100 osób. Dalej poza tą pierwszą salą, są liczne mniejsze jamy, ale ich nie zwiedziliśmy dla braku światła. Szczególną jestto rzeczą, że naprzeciw opisaniej jamy, na drugiej stronie, w skale jest także jama, której otwór zupełnie odpowiada pierwszej. Ta ciekawa okoliczność dowodzi, że obiedwie jamy łączyły się kiedyś, tylko rozdarty je późniejsze gwałtowne zburzenia. Jamy te znajdują się w kamieniu wapiennym, niemającym jak mi się zdawało żadnych ska-

mieniałości. Piérwsza z tych jam była kiedyś ulubioném schronieniem sławnego siedmiogrodzkiego zbójcy Bay, od którego nazwę otrzymała. O tym Bayu krąży mnóstwo powieści; nie jestem w stanie wybrać jakiejś godniejszej. To tylko pewne, że jeżeli przez połowę był tak śmiałym i mężnym jak go opisują, niemało trzeba było mieć odwagi, by się z nim spotkać w tej twierdzy skalistój.

Postępowaliśmy tym parowem aż do końca. Długość jego cała wynosi $\frac{1}{2}$ do $\frac{3}{4}$ mili. W jedném miejscu, gdzie strumień wypełniał całą dolinę, a brzegi były zupełnie skaliste, spotkaliśmy znaczniejsze towarzystwo młodych chłopców i dziewcząt, odzianych w stroje świąteczne; zapewne szli na uroczystość do pobliskiej doliny. Chłopcy z ręcznie drapali się po skałach, po których stąpaliśmy niepewnym krokiem, i wesoło żartowali sobie z dziewcząt, zdejmujących kierzce dla przebrodzenia wody. Na drugiej stronie doliny ujrzeliśmy szczególne zjawisko: było łuk w skale utworzony, ze sklepioną powałą i oknami, bardzo podobny do budowli gotyckiej, i dlatego niedziw, że wieśniacy nazywają ten szczególny utwór natury, kaplicą. Opuszczając parów nie mogę pominąć, jak sobie tłumaczą początek jego zabobonni mieszkańcy; a mianowicie, że śty Władysław modlił się, aby się te góry rozwarły i ukryły go przed poganami, straszne klęski na kraj roznoszącemi. Jeśli się to istotnie wydarzyło, zaręczyć mogę, że temu świętemu winniśmy jedną z najpiękniejszych dolin skalistych. Wróciwszy do Thorda, udaliśmy się do Maros Ujwar, 3 mile odległej wioski, z najcelniejszymi siedmiogrodzkiemi kopalniami soli; zajechaliśmy tam dopiero późno w nocy.

21. Chcąc zwiedzić kopalnię, posłaliśmy z prośbą do urzędu górniczego, o wydanie pozwolenia obejrzenia jęj. Grzecznie odpowiedziano, żebyśmy się tylko zaprezentowali w kopalni, a każdy urzędnik z największą przyjemnością oprowadzi nas wszędzie, według życzenia.

Najcelniejsza część kopalni w Maros Uywar składa się z trzech wielkich podziemnych jam. Ponieważ nie było kublów do spuszczenia, zeszliśmy na dół po drabinie. Sześć stóp pod powierzchnią ziemi już ujrzelismy sól. Przeszedłszy przez kilka niedawno wykopanych chodników, przybyliśmy do najgłębszej części kopalni. Dla lepszego zrozumienia, opiszę główną jamę.

Weszliśmy do obszernęj jamy 270 stóp długięj, 180 szerokięj, a 210 wysokięj, mającęj wierzch sklepiony, jak w budowlach gotyckich, i ponuro oświetlonęj kilkomalampkami górniczemi. Na przeciwnym końcu były niezmierne drzwi, sięgające aż do jęj wierzchu, które zarazem służyły za wstęp do drugięj jamy, a z tęg dotarliśmy do trzecięj, tęgże wielkości co piérwsza. Za danym znakiem w każdęj jamie zapalone wielkie ognie, nagle oświetliły całe te podziemne przestrzenie, i ukazał się cudownie piękny obraz. Ściany są ze samęj soli, a chociaż nie błyszcząły się, jak to opisują niektórzy autorowie, zdobiły je różnorodne kolory, co mi przypominało wypolerowany biały marmur z brunatnymi pasami.

Więcej nad wszystkie dzieła architektoniczne, sprawiły na mnie niewygasłe wrażenie przestrzenie tych jam, wywołane przez działanie światła, wielkość i nadzwyczajna prostota form w tak szczególnie czystym ma-

teryale. Nie mogę słowami opowiedzieć tej niezmiernej rozkoszy, której doznaliśmy.

Po uspokojeniu rozbujających uczuć, byliśmy w stanie słuchać opowiadania naszego przewodnika o różnych szczegółach, dotyczących się kopalni i o liczbie robotników; następnie pokazywał nam jak odrywają i przyrządzają wielkie bryły soli kamienną, za pomocą szpiczaków (rodzaj młotów w jednym końcu zastrzonych), tudzież bloki podłużne, prawie na stopę grube, i z tych wycinają dopiero sztuki ważące 58 do 59 funtów, które na sprzedaż wystawiają.

Godną uwagi jest rzeczą, z jaką pewnością wyrabiają od oka sztuki soli wymierzonej wagi, gdyż niema przypadku, aby kiedykolwiek chybił górnik.

Gdy sobie górnik blok ponacina z boków, z góry i dołu, że go można oderwać od ściany, wtedy przywołuje dwóch lub trzech towarzyszy, i kilkakrotnie uderzają ciężkimi młotami na powierzchnię zewnętrzną, zachowując w tém jak największą zręczność i jednakowość w uderzeniach. Ta czynność kosztuje najwięcej pracy, ale trwa tylko kilka minut.

Kopalnia ta zatrudnia około 300 robotników; są to Madziary, Wołochy i Niemcy. Madziary najtężej pracują, ale za to najtężej piją.

Powieści o ludziach zrodzonych w kopalniach i tam umierających, którzy nie widzieli nigdy promienia słonecznego, uważać należy za czyste zmyślenia; nigdzie podobnych ludzi niema w Węgrzech, a tém bardziej tutaj. Robotnicy poczynają pracować o godzinie 3ej rano, a kończą roboty około 11tej przed obiadem; w przecięciu pobierają za 8 godzin pracy 1 zł. 18 groszy. W tych wielkich przestrzeniach, powietrze jest dobre i czyste;

temperatura latem i zimą jest równa i wynosi $+13^{\circ}$ Reaumura. Nie można bynajmniej uskarżać się, iżby w tych jamach było niezdrowe powietrze; dzieci od najwcześniejszej młodości już są do robót przysposobione, a jednak zupełnie czerstwe mają wejrzenie.

Wyżej jest kilka nowych kopalń; właśnie opisana, nie różni się od nich niczem. W jednej z pierwszych wielkich jam, zrobiono otwór w powale, i gdyśmy spojrzeli w te głębokie przepaści, wydało się, jakoby u spodu tańczyły nieprzeliczone światełka z małutkimi ludźmi. Uderzenia wielkich młotów, słabo tylko do nas dochodziły.

Ilość rocznie dobytej soli w tych kopalniach, wynosi 600,000 centnarów; na miejscu zużywają 30,000, a reszta wychodzi do Węgier (1). Miały i okruchy odpadające przy rąbaniu soli, jak mi się zdaje, nie są do tego wliczone; wiele tysięcy centnarów téj soli, uchodzącej za niezdatną do użycia, wrzucają corocznie do rzeki. Za sztukę 58 funtową kształtu opisanego, płacą górnikowi $2\frac{1}{2}$ krajcara (5 groszy). Wydobycie centnara soli, łącznie ze wszystkimi kosztami, wynosi około 24 krajcarów (49 groszy). W Siedmiogrodzie sprzedają sól po $3\frac{1}{2}$ reńskiego srebrnego (15 zł.). Największą część ładują na rzece Marosz do Szegedyna (Segedyn); spław od centnara kosztuje około 23 krajcarów (49 gr.), a tam sprzedają ją po $7\frac{1}{2}$ reńskiego (32 zł. prawie).

(1) Wschodnie części Siedmiogrodu zaopatrują kopalnie, leżące w kraju Szeklerów, który opiszemy; północne zaś Węgry otrzymują sól z Wieliczki i Marmaroszu. Według dziełka Leberchta, wydanego w roku 1804, ilość wyrobionej soli w Siedmiogrodzie, wynosi rocznie milion centnarów. W owych czasach, cena jej była piętnastą częścią teraźniejszej. Ludność wzrosła, a zmniejszyło się użycie soli. Czyliż podwyższenie ceny nie jest tego przyczyną?

Nieraz użalał się sejm na wysoką cenę soli, i dlatego wspomnę o tém kilka słów. Sprzedaż soli jest monopolem rządu, uznanym od narodu, i korona oddawna ciągnie ztąd korzyści. W roku 1800 kosztował centnar soli pół reńskiego, czyli 2 zł. 3 gr. Długie, wielce kosztowne wojny, sprawiły w krótkim przeciągu dwa bankructwa rządu austryackiego, i to usprawiedliwia podwyższenie ceny do 3½ reńskiego. Nawet w czasie trwającej wojny, nieraz skarżyli się mieszkańcy o to podwyższenie. Odtąd skargi są coraz głośniejsze. Wiele jest powodów do zniesienia tego zbytecznego ciężaru: naprzód lud jest niekontent, potem upowszechniła się wiara na Węgrach, że bydło rogate żyć nie może bez znacznej ilości soli, domieszanej do paszy. Jednakże zaczynają już porzucać ten błąd, i przekonują się, że chociaż bydło lubi sól i z nią pożywa złą strawę, nie jest wszakże konieczną, i można je utrzymać na zdrowej i dobrej paszy.

22. Jadąc wzdłuż bogatej i pięknej doliny Marosz, z wesołą myślą zajechaliliśmy wczoraj wieczorem do Karlsburga. Coraz więcej upodobałem sobie doliny siedmiogrodzkie. Tak są zielone, tak się uśmiechają swą pięknnością tak różnaitą, że nie można się ich dosyć nachwalić.

Nasz gospodarz jest prawdziwym oryginałem. Krzywy Pietrek, tak go nazywają, jest szlachcicem; nie tylko posiada przywileje do tego stanu przywiązane, ale nadto ma wolność, co niewielu szczęśliwych śmiertelnych może posiadać, mówić i czynić co mu się podoba. Chociaż jego oberża nie jest najlepszą, nikomu niewolno jęj ganić, a każdy oprócz tego odwiedza ją dla krzywego Pietrka. Nader ciekawą jest rzeczą widzieć

go, jak obojętnie przyjmuje najdumniejszego hrabiego lub barona państwa, jak rozmawia o ich familiach, stosunkach majątkowych, ich mniemaniach i zasadach, i co za ostre prawdy muszą słyszeć, które prawi z miną w połowie poważną, w połowie żartobliwą. Stół krzywego Pietrka jest wyborny, i może zaspokoić najwykwintniejsze podniebienie. Sam robi honory domu, z przekonaniem o ważności tego obowiązku; wreszcie nie każe sobie wiele płacić, i powątpiewałem, czy byliśmy jego gośćcami, czy rzeczywiście zajechaliśmy do oberży?

Karlsburg składa się z dwóch części: z dłuższej, źle zabudowanej wioski, z domami porozrzucanemi na równinie, i ozdobnie na wzgórzu założonej fortecy, z licznymi i ozdobnymi budowlami. Przybyliśmy do fortecy krętą ulicą; na otaczających wałach spostrzegliśmy wmurowaną wielką ilość rzymskich posągów i tablic z napisami. Są to reszty z rzymskiej *Colonia Apulensis*, stojącej kiedyś w miejscu terażniejszego Karlsburga. W samej fortecy jest muzeum z ciekawymi starożytnościami z tychże czasów. Colonia zapewne była rzymską stolicą w Daocyi, siedzibą *Collegium Aurariarum* i miejscem pobytu prokuratora, czyli naczelnika kopalń złota.

Terażniejszą twierdzę wystawił dopiero Karol Vity (1715), i od niego nosi miano. Jednakże trudno o wybór gorszego miejsca na twierdzę; wprawdzie przyległe góry zaopatrują ją w wodę, ale zato nad nią panują. Miano ją wybudować według planu księcia Eugeniusza; jeżeli się nie mylę nie jestto jedyna zła twierdza, którą założył wspomniany książę.

W samym środku twierdzy jest pyszna katedra, wystawiona przez Hunyada Janos, w skutku wotum zrobionego w bitwie pod Imre. Jak mi się zdaje, w czasie

tęj bitwy dali Turcy rozkaz wojsku poznać go i zabić, a łatwo był do poznania po białych piórach i połyskującej zbroi. Gdy ta wiadomość przyszła do Węgrów, wdział zbroję swego wodza Kemeny (Kemeń), jeden z oficerów Hunyada, i poświęcił się szlachetnie na pewną śmierć, aby ojczyzny nie pozbawić jęj największego wodza. Ta mała katedra w jednęj połowie gotycka, w drugięj bizantyńska, charakteryzuje czasy, w których była stawianą. Jęj zewnętrzna strona niezgrabna, ma mnóstwo barbarzyńskich ozdób w stylu bizantyńskim, i nie zwraca na siebie wcale uwagi. Za to wnętrze odznacza się śmiałym, czystym stylem gotyckim, ozdoby zaś kapitelów na długich, smukłych filarach, mają w sobie coś arcy wytwornego i lekkiego, i równają się z najpiękniejszymi dziełami w Yorku.

Długo katedra ta była ulubionym grobem książąt siedmiogrodzkich. Grobowce Hunyada, jego syna Władysława świętego, i jeszcze innego z tęg familii, chociaż bardzo uszkodzone, wiele mnie przecież zajnowały. Figury rycerzy, podobne do znajdujących się po angielskich kościołach, zdobią sarkofagi. Hunyada figurę okrył snycerz płaszczem, a zpod niego wygląda obcisła czamarka. Dwie drugie późniejsze, wykończone są z mniejszą nierównie sztuką. Obiedwie odział snycerz w zbroję, z zabawnie wązkim stanem, do jakiego nie przyszły jeszcze modystki paryzkie. Dalej widać grób Izabelli (1) i jęj syna Jana Zygmunta Zapolya. Pomnik ten z białego marmuru, bardzo ma znaczne wymiary; liczne płaskorzeźby dają wyobrażenie o ówczesnych ubiorach i broniach. Już wtedy używano armat i ciężkich kara-

(1) Izabella była córką Zygmunta Starego, a siostrą Zygmunta Augusta.

binów, a jeźdźcy jeszcze przywdziewali zbroje od stóp do głowy. Występują rycerze siedmiogrodzcy w szyku bojowym; każdy z nich nie tylko ma swą chorągiew, ale nadto pewien rodzaj pióra, przypominający końskie ogony tureckich baszów. W głównych drzwiach spostrzeżliśmy po jednej stronie tablice, położone na pamiątkę Jerzego Rakoczego I, a na drugiej stronie stała podstawa od zdjętej tablicy, kiedyś grobowca Betlem Gabora.

Wszystkie złoto dobywane w Siedmiogrodzie, przerabiają na pieniądze w mennicy, wystawionej niedaleko katedry. Pozwolono nam ją obejrzeć bez najmniejszej trudności. Właśnie z Wiednia przybyła bardzo zachwalona maszyna do bicia monety, sporządzona przez pewnego Anglika; nierównie była lepszą od znajdującej się w Kremnicy, którą widzieliśmy dawniej. W przecięciu biją tutaj co miesiąc za 100,000 reńskich (420,000 złp.). Zdaje się, że ta liczba jest prawdziwą, ponieważ cała ilość wydobytego złota, wynosi rocznie 2,500 grzywien (grzywna warta jest 1,464 złp.), czyli 3,660,000 złp.; srebra zaś 5,000 grzywien (rachując grzywnę po 90 złp.) czyli 450,000 złp.; razem 4,110,000 złp. Prywatni właściciele kopalń nadzwyczajnie się uskarżają na ułatwienia, jakie robi mennica złodziejom złota. Prawie niepodobną jest rzeczą ustrzedz się od kradzieży z tak droгим towarem, przed prostymi ludźmi; ile razy otwiera się im sposobność do tego, nie omieszkują coś sobie zostawić. Jednakże mogłyby przeszkodzić temu dobre przepisy policyjne, zabraniające jubilerom nabywać surowego metalu, a ze strony mennicy ścisłe przestrzeganie kupna tylko od takich ludzi, którzy mogą go otrzymywać godziwymi sposobami, o czém łatwo się dowiedzieć, bo każdy posiadacz kopal-

ni, ma obowiązek brać na to pozwolenie od rządu. Chcąc zatrzymać wszystko złoto w kraju, mennica przeciwnie zakupuje z chciwością każde ziarnko złota, a ta smutna i nieszczęsna zasada, jest powodem do nieskończonych przeniewierzeń.

Jadąc z Karlsburga do kopalń Załatny, opuściliśmy dolinę Marosz, a z nią zarazem, jak się zdawało, cały świat zaludniony. Zamknięta dolina, wyłobiona przez małą rzeczkę Ompoli, zaprowadziła nas do celu naszej podróży. Właśnie dzień był nadzwyczajnie parny, ztąd potrzebowaliśmy pięć długich godzin dla odbycia tej podróży. Nie mieliśmy powodu uskarżania się na to, bo dolina była piękną, a tu i owdzie wyskakujące skały, jakby z góry wypchnięte, zajmowały wyobraźnię i nie można było się oprzeć, aby nie uczynić sobie pytania, jakim sposobem powstawały? Ale nierównie przyjemniejszy powód do rozważania, bo obchodzący dobroć serca ludzkiego, upatrywaliśmy w zwyczaju tej samotnej doliny. W cieniu wielkiego drzewa, stojącego nad drogą, dostrzegliśmy mały drewniany słup, podobny do figur, w których są wizerunki patrona okolicy. Słup ten tyle był wzniesiony, aby pasące się bydło nie mogło go dosięgnąć. Zamiast świętego, stał wielki dzban wody, kształtu tutaj pospolitego. Z flegmą zajechał nasz woźnica przed słup, zsiadł z kozła, wyjął dzban z komóreczki, a zaprosiwszy nas poprzednio do picia, nasycił się czystą zdrojową wodą. Włościaninowi siedmiogrodzkiemu, pod skwarnym promieniem jego nieba, potrzeba koniecznie bardzo wiele wody. Ile razy więc nasz stangret spostrzegł źródło lub płynącą wodę, tyle się razy zatrzymywał, i ani mu na myśl nie przyszło, że wypada prosić o pozwolenie, i zaspakajał swe pragnie-

nie. Kobięty niosące dzbanek z wodą, podawały zawsze chętnie przejeżdżającym, nie zważając, że trzeba wrócić znaczny kawał, by wody znów naczepnąć. Właśnie tutaj nie było w pobliżności tak pożądanego źródła, i dlatego jeden z poblizkich kmieci wystawił mały budynek, i ciągle zaopatruje go świeżą wodą, by podróżni nie umierali z pragnienia. Iluż podróżnych pokrzepiła ta nieznaną ręką! „Pragnąłem, i dano mi się napić”, nigdy piękniej nie pojęto tych słów Zbawiciela.

D. 23. Mało co godnego widzenia było w *Zalatnie*; huta do topienia metalów, podobna jest do każdej innj. W pewnej odległości, już w samych górach, mają być ciekawe kopalnie, w stronie ku *Vörös Patak*, i prawie w témże położeniu miały się znajdować góry bazaltowe, dziwacznej postaci.

Wiele czasu zajęło samo wyszukanie przewodnika i koni przewozowych, albowiem powiedziano nam, że powozem nie można téj drogi odbyć. Zjadłszy wcześnięj obiad, ruszyliśmy w drogę. Nasze towarzystwo składało się z wołoskiego przewodnika i Miklosza, jadącego na koniu objuczonym dwiema torbami i kobiercami; pełnił on zarazem obowiązki tłumacza i dozorca żywności. Zmierzaliśmy naprzód do *Abrud-Banya*, gdzie jak nam powiedziano, mieliśmy znaleźć łóżka i kolacyą.

W dwóch pierwszych godzinach ciągnęła się droga po lesistej dolinie, konie ostrożnie postępowały po licznych głazach. Żadna puszcza nie może być więć samotną, w czasie bowiem całej podróży, nie spotkaliśmy ani jednego człowieka. Właśnie gdyśmy przybyli do skrętu i opuszczali dolinę, by zwrócić się na góry, prawie w połowie drogi do *Abrud-Banya*, spostrzegliśmy małą

karczmę z pozoru wcale ponętą, a przed nią stało z pół tuzina pojazdów i mnóstwo służących. W odwiecznych lasach Ameryki, podobny traf mógłby być prawie również niespodziewanym. Zaledwie minęliśmy karczmę, zaczęło za nami gonić kilku służących z oświadczeniem, że ich panowie witają nas, pytają kto jesteśmy, dokąd jedziemy, i czy nie raczymy wstąpić i dzielić z nimi towarzystwa. Bez namysłu odpowiedziałem na pierwsze pytanie, ale ostatniemu nie chciałem zadosyć uczynić. Przekonany jestem, że nie miałem słuszności, bo podróżny, który innych zamierza bawić i uczyć, winien się poddać pod najrozmaitsze nieprzyjemności. Od tych panów otrzymałbym zapewne wiele wiadomości; byłito bowiem naczelnicy górnictwa siedmiogrodzkiego, radcy górnictwa, inspektorzy i nie wiem jacy jeszcze inni. Właśnie dawali obiad, przyjąwszy do swego grona nowego członka. Nie wątpię, że pobłądził, i za karę to wyznaję, jednakże nie miałem w tej porze usposobienia odpowiadać na pytania i uwagi o celu naszej podróży, i o wielu innych rzeczach, a tém mniej być w gościnie; są bowiem chwile życia, w których nawet prawdziwa i nieokrzesała gościnność, staje się ciężarem. Nie zamierzyłem być właśnie wesołym, albo raczej cierpiałem na splen; cała moja grzeczność ograniczyła się na odpowiedzi, żeby nas nie chcieli uważać za szpiegów lub coś podobnego, i wybaczyli, że nie możemy im towarzyszyć, bo tuż nadciąga burza, dlatego trzeba się spieszyć.

Na górze mieliśmy sposobność robienia uwag nad ludźmi średniego stanu, którzy lubią wozic się na bryczkach, a nie jeździć konno lub iść pieszo. Droga tak była niegodziwą, a na wielu miejscach niebezpieczną

i tak kamienistą, że najmocniejsze kości mogły wyjść ze stawów; pomimo tego spotkaliśmy siedzącego na bryczce bez resorów młodego człowieka, palącego spokojnie fajkę bursztynową, jakby mu to nieustanne trzęsienie sprawiało przyjemność.

Gdyśmy z drugiej strony góry zjeżdżali do doliny, spoglądaliśmy na nieprzeliczone kopalnie i mnóstwo robotników. Każdy choćby najmniejszy strumyk obracał młyny, przeznaczone do mielenia rudy, albo je płukał. W tych okolicach kopią najwięcej złota; ale widzieliśmy także płuczkarnie rudy żywego srebra czyli cynobru. Bardzo żałowałem, że nie miałem sposobności widzenia, jak żywe srebro wyciągają z cynobru; ale nie mogłem się wywiedzieć z dokładnością o miejscu tej huty.

Do Abrud-Banya przybyliśmy jeszcze przed zachodem słońca; jestto rodzaj małej stolicy, w której uderza, jak w wielu miastach górniczych, bogactwo i zbytek wśród najdzikszego kraju. Mnóstwo jest tu domów wielkich, a prawdziwie pięknych; nie jeden wystawił człowiek, co znalazłszy obfite kopalnie, stał się odrazu bogaczem; inne zaś urzędnicy, co pomimo małej pensyi, tak sobie radzili, że są bogaczami. Wytłumaczenie tej ciekawej tajemnicy, zostawiam ich przełożonym.

Dnia 24 rano wstawszy, chcieliśmy jeszcze wieczorem tegoż dnia stanąć w Załatnej; ale gdy wiadomości jakie otrzymywaliśmy o odległości, tudzież o przedmiotach, które mamy obejrzeć, tak były sprzeczne a odmienne, byliśmy gotowi gdzie w górach zanocować pod gołym niebem. Najprzód zamierzyliśmy udać się do kopalni Vörös Patak i Cestatie czyli twierdzy. Pierwszą godzinę jechaliśmy wyborną drogą, zrobioną dla przewożenia rudy z Vörös Patak do Abrud-Banyi. Cała ta kra-

ina składała się z pasma gór, okrytych lasem albo łąkami. Czasem wyskakiwała góra ostrokągowata z wierzchem ściętym, a na niej płaszczyna z nagimi i stromymi skałami, wydawała się nieraz zdala, jakby skaliste wyspy, wyskakujące z wzburzonego oceanu. Ponieważ są białawe, wnoszę, że są wapiennymi.

Opuściwszy drogę, któraby nas poprowadziła do doliny, gdzie leży Vörös Patak, jechaliśmy wzdłuż grzbietu, i po pół godziny przybyliśmy do Csestie Mike, albo małej twierdzy. Tak nazywa się ta góra, dla podobieństwa do rozwalonej twierdzy; możnaby ją porównać także do podziurawionego plastru woszczyny.—Wiadomo jest zapewne i najmniej uczonemu czytelnikowi, że rudy metaliczne znajdują się w żyłach, i przecinają góry w najrozmaitszych kierunkach; że wiele zależy górnikowi znać ich rozciągłość, i tylko tyle wyjmuje się skały nieużytecznej, ile jest konieczna potrzeba, by prowadzić roboty. Tutaj przeciwnie całe skały mają w sobie rozproszone części złota, i dlatego wylamują je jak kamień w zwyczajnym łomie, i takie głazy posyłają do młynów, dla zmielenia ich na proszek. Nadto bywa ruda złota gniazdami czyli w kawałach, to jest znajdują się bryły zawierające nieco więcej złota, aniżeli otaczająca skała. Dawniej trafiały się tu bardzo bogate żyły, które wydobył jeden górnik, idąc za ich śladem. Tym otwartym miejscem, terazniejszej i szczególniejszej odbudowie winna jest ta góra swe szczególne wejrzenie. Kto się zajmuje badaniami o powstaniu żył metalicznych, polecam mu tę górę.

Csestie Mare? (mała twierdza) na drugiej stronie góry, jeszcze jest ciekawszą. Szczyt jej bowiem cały zapadł się i w środku góry powstał pewien rodzaj otwar-

tęj przestrzeni. Wstąpiliśmy do kopalni, dawną, bardzo wielką doliną, do której nawet objuczone konie mogłyby wejść. Stolnię tę można porównać do ukrytego korytarza, prowadzącego do jakiej twierdzy. Z niej przeszliśmy wkrótce do okrągłej przestrzeni, wykutęj w skale. Nad nami był ów wielki otwór, który dla nas był tém samym, co krater góry ognia wzywającej dla Cyklopów, zajętych pod spodem; wokoło zaś było mnóstwo korytarzy otwartych, nader różnych co do wielkości i postaci. Wszystkie te otwory były pozostałością dawnych robót, i niemało objaśniały starożytne górnictwo siedmiogrodzkie. Widzieliśmy tu małe korytarze, przez które zaledwie przeciskał się człowiek; według mojego zdania, wykonali je barbarzyńcy, tak przed, jako i po zdobyciu Dacyi. Dostrzegliśmy także korytarze ozdobnie wyciosane rzymskich górników; tu i owdzie były ślady zakładanego ognia dla skruszenia skały, i mniej staranne prace Wołochów. Prawdopodobną jest rzeczą, że większa część tej przestrzeni była wydobyta, zanim się wierzchołek zapadł; patrząc bowiem na te bryły, można wnioskować, że tworzyły pewien rodzaj pokrywy. Prawdziwie wspaniałe są niektóre starożytne rzymskie stolnie; jedną udaliśmy się do terazniejszej kopalni. Nie przesadzę utrzymując, że powóz dwukonny mógłby do niej wjechać.

Niemałą jest dogodnością, że kopanie rudy w tych kopalniach nie wymaga wielkich nakładów. Wydobywają ją prawie sami biedni wieśniacy, którzy albo pojedynczo pracują, albo w małych towarzystwach, składających się z dwóch albo z trzech osób. Dawniej, kiedy te góry były bogatsze, kopał rząd na własny rachunek; po ich zubożeniu, chłopcy tylko mogą tutaj znaj-

dować, jak twierdzą, dobry zarobek, i dlatego nie odmawia nigdy rząd prosiącemu chłopu, wydzielenia pewnej liczby łokci kwadratowych góry. W kopalni, którąśmy przypadkiem odwiedzili, pracowali razem: ojciec, dwóch synów i ich matka. Ojciec wiercił i rozsadzał skały i nakładał je w kosze, a jeden z synów pomagał mu, albo woził ukopaną rudę z kopalni do tłuczkarń; tam pracował drugi syn i matka, czasem sama tylko matka. Nieraz się zdarza, że tenże sam, co rudę kopie, odwozi ją do rzeki, myje ją, miele i dostarcza do Abrud-Banyi. Zaledwie potrzeba nadmienić, że cała ta robota odbywa się w sposób bardzo nieumiejętny. Gdyśmy z wierzchołka téj góry spojrzeli na dolinę, nie zmyłę się przyjmując, że na przestrzeni $\frac{1}{2}$ mili stoi nie mniej jak 500 płuczekarń i tłoczekarń do mielenia skały. Pospolicie płuczekarnie są o jedném tylko kole, któremu często braknie albo łopat, na które woda spada, albo obraca niewszystkie stępy. Tak zmielona skała kładzie się na deskę i po niej płynie woda, a małą pozostającą resztkę, bez dalszego oczyszczenia, wiozą do huty dla wyciągnięcia złota. Pomimo całej nieumiejętności téj roboty i wielkich strat, udaje się nieraz chłopom przychodzić do znacznego majątku. W Vörös Pataku ma być wiele domów przeladowanych zbytkowemi przedmiotami, jakie tylko dostrzeże ciemny Wołoch. To zbieranie bogactw, pochodzi od rozbudzenia egoizmu i chęci zwróconych do jednego celu. Jestto zapewne najdzielniejszy dowód, co może indywidualna energia w porównaniu do wielkich kapitałów i korzyści z nich wynikających.

Nie mogę pominąć wydarzenia, które widziałem na drodze pomiędzy obydwoma Csestatic. Spostrzegli-

śmy chłopca zbierającego z naszej ścieszki ziemię, którą wkładał do koszyka, podobnie jak u nas zbierają dzieci mierzwę na drogach publicznych (1). Nie wątpię, że wszyscy już słyszeli o drogach brukowanych złotem; tutaj jest to rzeczywistością. Droga bowiem prowadziła po skale, zawierającej, jak wiadomo, złoto; a że przez całą zeszłą noc deszcz padał, nie było więc dziwu, że ze startej nogami skały, woda wypłukała części złota, które na słońcu świeciły.

Nasyciwszy nasze podziwienie tym szczególnym fenomenem w Csestatie, i turkotem 500 młynów Vörös Patak, wsiedliśmy na konie i jechaliśmy nierówną drogą, wiodącą do pagórków bazaltowych. Nasza droga ciągnęła się wierzchem tej zielonej góry, którą widzieliśmy przez cały dzień; monotony ten obraz przerywały od czasu do czasu małe zakłady górnicze, albo zakopane w ustroniu, lub osadowione wysoko na szczycie góry, a to stosownie jak tego wymagała potrzeba. Rano spotkaliśmy tłustego, wesołego chłopca wołoskiego, o którym opowiadał nam nasz przewodnik, że posiada więcej złota, od każdego tutejszego barona lub hrabiego. Jechał konno obok woza zaprzężonego bawołami, na którym siedział jego służący, tak jak on ubrany. Przewodnik nie umiał nam powiedzieć nic pewniejszego o jego skarbach, tylko powiadał, że są tak znaczne, że ich sam zliczyć nie jest w stanie. Tyle tylko wywiedzieliśmy się o przybliżonej summie, że co miesiąc przywozi do domu cały ładunek dukatów za dostarczone złoto. Chociaż bogactwu zwykle towarzyszy troska, tutaj zdarzył się wyjątek, bo ten Wołoch nie doznawał jój wcale, i wyznaje, że nie widziałem nigdy weselszego chłopca.

(1) Coś podobnego opisuje Pliniusz za swoich czasów.

Po dwugodzinnéj jeździe, opuściliśmy ciemny las świerkowy, i Detonata (grom pioruna) tuż leżała przed nami. Jestto pagórek bazaltowy, około 200 stóp wysoki, wieńczący szczyt góry, a chociaż był wart widzenia, nie zaspokoił mojego oczekiwania; byłem w tém samym położeniu, jak się zdarza ludziom co nic podobnego nie widzieli, a przecież nie są zadowoleni. Góra ta składa się z samych słupów; jedne stoją prostopadle, drugie leżą zupełnie poziomo, inne wreszcie schylają się we wszystkich kierunkach. Postać ich bardzo rozmaita; w ogólności są mniejsze aniżeli w jamie Fingala na wyspach szkockich, i z temi nie mogą wytrzymać porównania. Niektóre filary krzywią się, i w tych upatrują wieśniacy podobieństwo do skrzypców; ztąd nazywają je czarnemi skrzypcami kamiennemi, (piatra Csistyera nyagra). Nie bez interesu jest nazwa Detonata; tutaj ogólnie utrzymują, że ta skała nagle się dźwignawszy, niezmierne huki wydała, podobne do piorunów. Dodam, że ta przypowieść pochodzi od Daków, najdawniejszych mieszkańców tego kraju, a jeżeli jest prawdziwą, natenczas byłoby to jedyne świadectwo powstania bazaltu słupowego, już za zjawieniem się ludzi na ziemi.

Gdyśmy wchodzili na szczyt téj skały, Miklosz rozkładał w cieniu świerków nasz podróżny obiad, a przewodnik szukał zamarzłego źródła u stóp góry, aby lodem ochłodzić wino. Wrócił wszakże z próżnemi rękoma; bo źródło tak nadzwyczajnie było zamarzłe, że tylko siekierą dałyby się oderwać kawałki lodu. Jazda jednakże dodała nam wybornego apetytu i położywszy się na miękkim mchu, przedziwnie nam smakowało nawet niechłodzone wino. Około czwartéj po południu wyruszyliśmy z Detonaty, zamierzając zwiedzić jeszcze

jedną kopalnię; wsiadłszy więc na wypoczęte i napaszone konie, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Nie mogę powiedzieć nic szczególnego o kopalni, należącej do prywatnego towarzystwa. Była tam tylko szczególna machina do wyciągania wody, według mego zdania zupełnie właściwa Węgrom. Głównie składa się z cylindra ze stęplem, dosyć podobnego do znajdującego się w machinach parowych; tylko zamiast pary, obraca go prostopadły słup wody, a właśnie drugi pcha go napowrót w górę. Największa zaleta téj maszyny polega na tém, że małą ilością wody, otrzymuje się dosyć znaczne siły. Jednakże tylko tam można ją zastosować, gdzie spadek jest znaczniejszy. Kopalnia zatrudniała około 300 robotników. Jeden ze znaczniejszych właścicieli opowiadał mi, że zwyczajny górnik pracujący od sztuki, zarabia 6 do 8 zł. reńskich miesięcznie (25 do 34 zlp.). Pospolicie pracują w tygodniu 4 do 5 dni, a nigdy dłużej jak 8 godzin na dzień. Górnicy rozsadzający skały i rudy prochem, tudzież hutnicy, mają stałe płace od 10 do 20 reńskich dochodzące (43 do 86 zlp.). „Placilibyśmy chętnie dwa razy tyle, mówił wymieniony pan, gdyby się dało zapobiedz kradzieży złota; ale to jest niepodobieństwem.”

Po sześciogodzinnéj jeździe po lasach i górach, stanęliśmy wreszcie w Załatnéj, i widzieliśmy to miejsce naprzód przy oświetleniu zachodzącego słońca jesiennego, a potem w chłodniejszém świetle bladego księżyca. Urządziwszy się tak, aby wyruszyć z pierwszym rankiem, położyliśmy się, by marzyć o kopalniach złota, o bruku złotym, o ładunkach dukatów, i Bóg wie jeszcze o czém inném.

Zanim opuszczę tę ważną okolicę i wszystko co ma styczność z górnictwem i kopalniami, wspomnę jeszcze w kilku wyrazach, o płuczarniach złota i płuczkarzach siedmiogrodzkich.

W niektórych okolicach Węgier i prawie w całym Siedmiogrodzie, mianowicie zaś w okolicy o której właśnie mówimy, dobywają wielkie ilości złota przez płukanie z piasków rzek i strumyków. Niéma prawie w Siedmiogrodzie rzeki, któraby nie miała mniej więcej złota; najslawniejsze pomiędzy niemi są: Aranyos, (Złota), Maros, Strigy, Körös i Samosz (1). Złoto powszechnie bywa bliżej źródeł, nim się piaski mieszają z ziemią urodzajną. Niemasz wątpliwości, że złoto pochodzi ze skał, kruszących się i rozkładających, albo też co rzadziej, z wypłukania żył. A ponieważ złoto bywa w bardzo drobnych cząstkach rozsiane w innych ciałach, dlatego wtedy tylko warto je szukać, gdy skutkiem działań przyrodzonych, zbiera się stosunkowo w pewnych miejscach w większych ilościach, czyli gdy je sama przyroda zgromadza i wypłukuje. Mianowicie znajduje się obficie po powodziach w zagięciach rzek, gdy woda pędzona niezmierną siłą i obciążona obcemi częściami, zaczyna spokojniej płynąć, i cięższe części naprzód osadza, unosząc lżejsze. Do takich miejsc zwykli udawać się płuczkarze po skończonem wezbraniu, biorą piasek na łopaty i obracają niemi, aż wszystko, prócz części złota, nie odpłynie.

(1) W języku węgierskim *sz* i *s* wymawiają się wprost przeciwnie jak w naszym: pierwsze dwie spółgłoski wymawiają się jak proste *s*, a *s* jak *sz*; a zatem wymawia się Marosz, Keresz. *Gy* wymawia się jak *dź*, *ny* jak *ń*, *ly* jak *ł*, *c* jak *cz*, *cz* jak *c*.

Złoto znajduje się w bardzo rozmaitej wielkości; od najsubtelniejszego proszku, przechodzi aż do kawałków, dochodzących wielkości jaja gołębiego. Rozumié się samo przez się, że pierwszy przypadek jest najpospolitszym. Według mojego zdania, największa część złota otrzymanego przez płuczkarzy, jest zupełnie czystą; nie wiem bowiem jakby je można zbierać, gdyby było pomieszane. Nie miałem sposobności dowiedzenia się, za ile rocznie wypłukują złota w Siedmiogrodzie; tylko w Banacie dowiedziałem się, że od roku 1813 do 1818, otrzymano złota za 2138 dukatów.

Tę gałąź przemysłu, przywłaszczyli sobie prawie wyłącznie Cyganie. Rząd daje pozwolenia niektórym Cyganom płukać piaski w pewnym potoku, pod warunkiem opłacania rocznego czynszu; ten nie wynosi nigdy mniej od każdego pojedynczego płuczkacza, jak 3 dukaty w czystém złocie. Naczelnik Cyganów robi układ z rządem, a za to jest odpowiedzialnym za każdego członka swego rodu. On odbiera od każdego wypłukane złoto, a po zapłaceniu podatków, wydziela przypadającą należytość.

Wracając do Klausenburga, zatrzymaliśmy się kilka dni w Nagy Enyed (Nadź Enied), gdzie się znajduje wielkie kollegium protestanckie. Professor Szasz (Sass), należy do najcelniejszych ludzi w Siedmiogrodzie, tak pod względem literackim, jak i politycznym. Wybrany na sejm na deputowanego przez obywateli z Enyed, zjednał sobie na nim taki wpływ (pomimo przesądu arystokracji przeciwko literackiemu przybyszowi) przez dokładność i rozległość wiadomości, przez prostotę i otwartość charakteru, świetną wymowę i logiczność wniosków, że stał się wkrótce naczelnikiem umiarkowa-

nej opozycji. Gdyśmy go odwiedzili, był otoczony książkami. W płaszczu wyszywanym sznurami, bardzo podobnym był do wojskowego, mianowicie gdy pokręcał wąsa. Wąsy noszą tutaj teraz wszyscy, prócz księży; i nie zadziwię się, gdy wkrótce i księża je zapuszczą. Rozmawiając nieco o dziejach i terażniejszym stanie kolegium, oświadczył się z chęcią łaskawą okazania nam go.

Piérwotnie założył to kolegium Betlem Gabor w Karlsburgu, dla wychowania młodzieży wyznania reformowanego, i uposażył je znacznemi funduszami. Po zniszczeniu Karlsburga przez Abafyego, przeniesiono je do Enyed. W tym tak niepomyślnym czasie (zapomniałem daty), z niedostatku kapitału miano kolegium zamknąć; wtedy protestanci siedmiogrodzcy wysłali deputacyą do swych braci w Anglii o pomoc. Z hojnie zebranych darów powstał fundusz, do dziś dnia w banku angielskim leżący, przynoszący dochodu rocznie 1000 funtów szterlingów (40,000 zł.). Nie mogę opisać wysokiej wdzięczności, która zachowuje się dotąd w Siedmiogrodzie dla Anglii za ten dar, chociaż tam nikt o tém nie wie. Z dochodu przez kilka lat zebranego, wystawiono nowe budynki, służące za mieszkanie dla uczącej się młodzieży, a które będą bardzo piękne po ukończeniu.

W ogólności jest tutaj 1000 uczniów, pomiędzy temi 300 togotów czyli deaków; reszta dzieci. Kurs nauk dzieli się na trzy części: w piérwszej sposobią młodzież na dobrze wykształconych rzemieślników, by zręcznymi byli w swém powołaniu. Wykład tak jest urządzony, że służy za podstawę do wyższego wychowania. Piérwszy kurs obejmuje następujące przedmioty: religią, pisanie, arytmetykę, prowadzenie ksiąg rachunkowych, geografiją, nieco dziejów, mianowicie ojczystych,

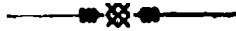
niektóre pojęcia z historii naturalnej, rysunki i śpiew. W drugim kursie, trwającym trzy lata, uczą tychże samych przedmiotów, z dodatkiem łaciny, języka greckiego, niemieckiego, matematyki, estetyki, retoryki i logiki. Po tych sześciu latach wstępnych nauk, uczeń staje się deakiem, i przechodzi do pewnego rodzaju kursów akademickich, trwających znowu lat sześć. Wolno im być wtedy podnauczycielami młodszych uczniów. W czterech pierwszych latach uczą tutaj: matematyki, fizyki, chemii, historii naturalnej, metafizyki, logiki, estetyki, prawa natury, etyki, fizjologii, historii praw i ustaw siedmiogrodzkich, wraz z jego statystyką, polityką i t. d. W dwóch ostatnich latach wolno jest studentowi obrać wyłączny kurs, a to dlatego, aby się wydoskonalił w przedmiocie, któremu się zamierza poświęcić. W tym ostatnim okresie studenci sposobiący się na teologów, uczęszczają na teologią i hebrajski język. Tych wszystkich przedmiotów uczy tylko ośmiu profesorów, a z tych nie pobiera żaden więcej jak 50 funtów (2000 zł.) rocznej płacy. Niepotrzeba nadmieniać, że te tak rozległe kursa muszą być powierzchowne, bo mało nauczycieli.

Pospolicie kilku uczniów mieszka razem w jednej stancyi; uczeń postępujący z niższych klass do wyższych, opłaca, jak mi się zdaje 8 zł.; w wyższych klassach nie tylko nauki są dawane darmo, ale nadto uczniowie otrzymują zasiłek z funduszów kollegium (1).

(1) Prócz w Enyed, posiada kościół siedmiogrodzki kollegia w Klausenburgu, Maros Vasarhely i Mavarhely; gimnazya zaś w Zilag, Szasz Varosz, Decs, Keszdy Vasarhely, Thorda i Salzburgu.

Professor Sass przedstawił mi swego kolegę profesora Herepei, najstynniejszego kaznodzieję reformowanego kościoła w Siedmiogrodzie. Zamierzyliśmy zwiedzić bibliotekę i muzeum, ale właśnie wyszedł przełożony nad nimi i nie zostawił kluczy. Powiadano nam, żeśmy niewiele stracili.

Jak mi się zdaje, Enyed zajmuje pierwsze miejsce między siedmiogrodzkimi instytutami wychowania.



RYS HYDROGRAFII
KRÓLESTWA POLSKIEGO
Z WIADOMOŚCIĄ O SPŁAWACH.

SKRĘGILE

Ludwik Wolski.

(Ciąg dalszy).

O SPŁAWACH.

O ile możność dozwoliła, poznaliśmy już rzeki krajowe i kanał spławny; przystępujemy teraz do handlu, drogą wodną prowadzonego. Tu zrobimy naprzód ogólny rzut oka na rzeki spławne, następnie zobaczymy statki używane do spławu i sposób odbywania żeglugi, ubezpieczenia transportów, magazyny zbożowe tak rządowe, jak i prywatne, nakoniec dopiero przystąpimy do wykazania ogólnego stanu handlu, drogą wodną prowadzonego.

● rzekach spławnych w ogólności.

Przy szczegółowym opisie rzek i kanału spławnego, widzieliśmy ich stan, widzieliśmy co zrobiono i co jeszcze do zrobienia pozostaje, dla polepszenia spławu; tu zobaczymy całkowitą długość linii komunikacyjnej wodnej i jej dogodność.

Całkowita długość linii komunikacyjnej wodnej wynosi wiorst 2765²²²/₆₁₇.

To jest rzeki spławne są:

Dla statków i drzewa, na przesrzeni — 2346.

Dla samego drzewa. — 321.

Kanał Augustowski ma długości — 98²²²/₆₁₇.

Szczegółowy wykaz długości linii splawnej Królestwa.

Wymienienie rzek i kanałów splawnych	PRZESTRZEŃ SPLAWNA	Długość komunikacji wodnej					
		Na splaw statków i drzewa		Na splaw samego drzewa.	Razem		
		w szcze.	w ogóle				
		W	i	o	r	s	t
Wisła	Od granicy dawnego okręgu m. Krakowa do granicy pruskiej.....	—	565				565
Nida	Od Sobkowa do Pińczowa	—	—	40			90
San	Od Pińczowa do ujścia w Wisłę.....	—	50				18
Pilica	Wzdłuż granicy królestwa:	—	18				40
Wieprz	Od Konięcpola do Przedborza.....	—	—				250
Narew	Od Przedborza do ujścia w Wisłę.....	—	210				175
Biebrza	Od m. Krasnegostawu do ujścia w Wisłę.....	—	175				25
Bug	Od wejścia w granicę królestwa do Tykocina.....	—	—				285
Niemen	Od Tykocina do ujścia w Wisłę.....	—	260				68
Warta	Od kanału Augustowskiego do ujścia w Narew.....	—	68				450
	Wzdłuż granicy królestwa.....	450	570				120
	Od granicy do ujścia w Narew.....	120	380				216
	Wzdłuż granicy królestwa.....	—	—				50
	Od Działoszyna do Konina.....	—	—				—
	Od Konina do granicy pruskiej.....	—	50				—
	Ogół długości splawu na rzekach.....	"	2346	321			2667
Kanał Augustowski	Od Dębowa do Niemnowa.....	"	98 ²²² / ₆₁₇	"			98 ²²² / ₆₁₇
	Całkowita długość komunikacji wodnej..... wiorst	"	2444 ²²² / ₆₁₇	321			2765 ²²² / ₆₁₇

Ze względu na przeszkody, jakie rzeki spławne w korytach swych mieszczą, a ztąd na mniejsze lub większe niebezpieczeństwo, żeglugę na rzekach tych podzielić można na trzy klasy:

1. Żegluga najbezpieczniejsza na Wiśle, poniżej Warszawy; na Warcie, przy samém ujściu z Królestwa, i na kanale Augustowskim.

2. Żegluga bezpieczna na rzekach: Wiśle, powyżej Warszawy; Warcie powyżej Pызdr; Niemnie poniżej Alexoty i na rzece Biebrzy.

3. Żegluga mniej bezpieczna na rzekach: Sanie, Nidzie, Wieprzu, Pilicy, Narwi, Bugu i Niemnie powyżej Alexoty.

Takąto klasyfikacją rzek Dyrekcyja Ubezpieczeń przyjęła.

Rzeki te są następnie rozrzucone:

Gubernia radomska. Wisła otacza ją w przestrzeni wiorst 331, i prawie w całej tej przestrzeni jest spławna dla wszelkiego rodzaju statków.

Pilica przeryna i otacza ją w przestrzeni 250 wiorst; na 40 z nich służy tylko dla spławu tratw, a na 210 dla galarów.

Nida przeryna ją w długości wiorst 90, z tych na 50 wiorstach spławna dla statków, a na 40 dla tratw.

W ogóle gubernia radomska posiada 671 wiorst spławności rzek.

Gubernia warszawska. Wisła otacza ją w długości wiorst 234; na całej tej długości spławna dla wszelkich statków.

Pilica stanowi granicę gubernii warszawskiej od radomskiej, w długości 250 wiorst.

Warta przeryna gubernią w długości 275 wiorst; z tych wypada 50 na spławność statków, a 216 dla tratw.

Narew stanowi granicę gubernii warszawskiej od płockiej, na rozległości wiorst 33; a

Bug stanowi też granicę na rozległości wiorst 64.

W ogóle gubernia warszawska posiada 856 wiorst spławności rzek.

Gubernia lubelska. Wisła stanowi granicę gubernii tej z guberniami warszawską i radomską, na długości wiorst 186.

Bug na przestrzeni 506 wiorst otacza lewym swym brzegiem gubernią.

Wieprz przepływa ją w długości wiorst 175.

San dotyka się jej prawym swym brzegiem, na długości wiorst 18.

Cała w ogóle gubernia posiada rzek spławnych wiorst 885.

Gubernia płocka. Wisła stanowi granicę gubernii tej od warszawskiej w przestrzeni 146 wiorst.

Narew z przestrzeni wiorst 146. przeryna gubernią na długość wiorst 113, a 33 wiorstami oddziela gubernią płocką od warszawskiej.

Bug stanowi granicę między temi dwiema guberniami, w długości wiorst 120.

Razem więc spławność rzek w gubernii płockiej wynosi wiorst 412.

Gubernia augustowska. Niemen otacza ją lewym swym brzegiem na przestrzeni wiorst 380. W całej tej długości spławny on dla wszelkich statków.

Narew, na 139 wiorstach, w jakiej długości opasuje i przeryna gubernią, spławna dla statków na 114 wiorstach, a dla tratw na 25.

Biebrza otacza gubernią, a w długości 68 wiorst, spławna dla statków.

W ogóle gubernia augustowska posiada 587 wiorst spławności rzek, do którejto liczby dodawszy jeszcze długość kanału augustowskiego, wynoszącą wiorst $98^{222}/_{617}$, spławność wód dla gubernii wyniesie wiorst $685^{222}/_{617}$.

Widzimy, że natura hojnie uposażywszy królestwo polskie w swe plody, podała mu zarazem i łatwość przeprowadzania ich z jednego miejsca na drugie, bo zaopatrzyła je w znaczną liczbę dróg wodnych, tak, że każdy prawie zakątek kraju może swe plody staczać przez rzeki spławne.

Wisła, ta potężna żyła ziemi polskiej, przedzielając ją na połowę: wschodnią i zachodnią, jest głównym spławem płodów aż do morza Bałtyckiego, a ztamtąd w dalsze krainy świata; Niemen i Warta niemale téż niosą usługi, niemalo płodów naszych morzu temu składają. To téż od niepamiętnych epok morze to było wielkim targiem naszych płodów ziemnych, i ztąd powstało przy niém tyle miast, które się jedynie trudniły przewozem dostatków z jednej części ziemi do drugiej. Mieszkańcy Akwitanii, Bretanii, Szkocyi, Irlandyi, Niderlandów i Skanii, opatrywali się tu w swoje potrzeby i nawzajem dostarczali tych produktów, jakie mieli do zbycia. Było więc ono okryte mnóstwem statków słowiańskich, normandzkich, akwitańskich i innych, które od sławniej niegdyś Winety Słowian pomorskich aż do Ilmenu i Nowogrodu, szukały tu, tak dostatków miejscowych, jako téż bogactw Grecyi i Indyi.

Przytém niepodobna dostatecznie wystawić, jak wszelkie drogi komunikacyjne, a osobliwie wodne, wpływają na dobry byt mieszkańców kraju. Spław dogodny

ułatwia pracę, bo zastępuje tysiąc zwierząt i ludzi, którychby do przewozu inną drogą towarów użyć należało: naładowany statek puszczony z wodą, płynie do miejsca przeznaczenia, potrzebując do kierowania i dozoru kilku tylko ludzi. Oszczędzona tu praca ludzi i zwierząt, obrócona jest do innych rodzajów zatrudnień przy gospodarstwie, a tak gospodarstwo to wznosić się może. Dowodem tego są miasta i wsie nad spławami położone: wszystkie prawie nierównie wyżej stoją w gospodarstwie, aniżeli te, którym odbył płodów jest utrudniony. Rolnik, fabrykant, każdy zgoła przemysłowiec tu się ciśnie, okolica się używia, wzbogaca; słowem, rzeki spławne są tém dla narodu, czém żyły dla człowieka; jedne jak i drugie są drogami, przez które życie całego organizmu przechodzi.

Takowa ważność rzék, zwracała i zwraca zawsze baczną uwagę władz o utrzymanie ich w dogodnym dla spławu stanie.

Już w 1447 r. Kazimiérz Jagiellończyk, odbierając ze wszech stron liczne skargi na zaguszczone przywłaszczenia do użytku prywatnego koryt rzék spławnych, wydał postanowienie: ażeby na Wiśle, Dnieprze, Styrcy, Narwi, Warcie, Dunajcu, Wisłoce, Bugu, Brukach, Wieprzu, Sanie, Nidzie, Prosnym i wszystkich innych rzekach spławnych, wszelkie cła, jazy i zawady jakiegobądź rodzaju zniesione były, pod karą siedemnadziestą i wynagrodzeniem szkód; a to, by kupcy i inni żeglujący z jakimkolwiek towarem lub produktem, bezpiecznie w górę i na dół płynąć niemi mogli.

Jan Olbracht ponawiając w r. 1496. te same ustawy, przy powyższych rzekach wymienia jeszcze jako spławne: Drwancę, Ordę i Notesz.

Po nim Zygmunt I, r. 1511 wydał rozkaz, ażeby mianowicie na Wiśle i Warcie, do pół postu roku tego, pozrywane były wszystkie jazy, groble i młyny, a to pod karą szesnastą na upornych.

Następnie ciągle też ponawiane były przepisy o zachowaniu rzek w należytem do spławu stanie. Prawo 1764 roku, dozór nad wszelkimi rzekami spławnemi Kommissyi Skarbowej poruczyło.

W obecnych czasach, Rada Administracyjna królestwa znajdując potrzebném uzupełnić wydane dotąd przepisy, mające na celu zapewnienie oczyszczenia brzegów przy rzekach i pozostawienie dróg wolnych do holowania, pod d. 7 kwietnia 1843 roku postanowiła: aby w przestrzeni, w jakiej rzeki do spławu są zdatne, obadwa ich brzegi, gdzie te znajdują się w królestwie, oczyszczonemi były na szerokość sążni $7\frac{1}{2}$ z kamieni większych i innych przedmiotów, utrudniających holowanie statków, lub zagrażających w razie wpadnięcia w koryto rzeki, zawaleniem téjże.

Takowe czyszczenie brzegów rzek, nakazaném zostało w następujących przestrzeniach:

- Przy Wiśle, od granicy b. okręgu miasta Krakowa, do granicy pruskiej;
- „ Nidzie, od Sobkowa do ujścia w Wisłę;
- „ Sanie, wzdłuż granicy królestwa;
- „ Wieprzu, od Krasnegostawu do ujścia;
- „ Pilicy, od Konicypola do ujścia w Wisłę;
- „ Narwi, od wejścia w granice królestwa aż do ujścia;
- „ Biebrzy, od wsi Dębowo do ujścia w Narew;
- „ Bugu, od granicy austryackiej do ujścia w Narew;
- „ Niemnie, wzdłuż granicy królestwa;
- „ Warcie, od Działoszyna do granicy pruskiej.

Czyszczenia tego dokonać mieli własnymi środkami właściciele gruntów nad rzekami temi położonych, w następnych tylko razach zapewniona im została pomoc w robociznie z gmin przyległych: gdy wypadnie naglejsza potrzeba oczyszczenia brzegów, tudzież, gdy grunta małą zajmując powierzchnią, rozciągają się w znacznej długości nad brzegiem rzeki, a nagromadzenie kamieni i innych zawałów, wymaga większego nakładu na oczyszczenie dróg do holowania.

Inne szczegółowe rozporządzenia jużto dla uregulowania koryt rzek, już zniesienia istniejących na nich młynów, grobel, jazów w tych miejscach, gdzie one spławowi zawadzały; już zresztą dla połączenia rzek tych z sobą, widzieliśmy przy opisie pojedynczych rzek. Z tego przekonujemy się że stan rzek spławnych nigdy nie uchodzi baczenia władz; bo też jest o co się troszczyć!

Przystąpmy teraz do statków wodnych.

Rodzaje statków używanych u nas do spławu.

Do spławu na rzekach królestwa używane są następujące statki wodne. Nie mówimy tu o parowych, gdyż o nich poniżej wspomnimy.

1) *Berlinki większe*. Te dzielą się na *kanalowe*, wąskie a długie, z powodu, że szerokie po kanałach chodzićby nie mogły, i *gdańskie*, szersze a krótsze od poprzednich. Oba gatunki do nas dochodzą, unosząc ładunku od 600 do przeszło 1000 korcy zboża. Zagłębiają się od 2 do $2\frac{2}{3}$ stóp; idąc w górę, potrzebują usługi 7 ludzi, a na dół, 4.

2) *Półberlinki* biorą 360—480 korcy; do usługi potrzebują najwięcej ludzi 4.

3) *Jadwiżki pomniejsze* (większe nie kursują), biorą od 240—450 korcy; zagłębiają się stóp 2; potrzebują 4 ludzi.

4) *Bajdaki*, biorą ładunku korcy 200—300. Usługa 4 ludzi; zagłębiają się 2 stopy.

5) *Małe baciki i krypki*, biorą ładunek 30 do 150, a są nawet takie, co biorą po 250 korcy zboża. Do usługi potrzebują: krypy mniejsze w górę ludzi 3, na dół 2; krypy większe w górę ludzi 5, na dół 3.

6) *Galary*. Ze wszystkich statków naszych są one najrozmaitsze co do rodzaju budowy i wielkości. Głównie dzielą się na: krakowskie, ulanowskie i bużne.

Galary krakowskie. Te w miarę różnej wielkości swój i potrzebnej liczby ludzi do usługi, mają i różne nazwiska:

a) *Patelki* czyli zaciężniki, na trzech ludzi.

b) *Czwartaki*, potrzebujące do usługi 4 ludzi; biorą 180 korcy pszenicy.

c) *Piątaki*, z usługą 5 do 6 ludzi; ładunek 250—300 korcy pszenicy wynosić może.

d) *Siódmaki* ludzi 7; ładunek około 400 korcy.

e) *Dziewiątaki* z usługą ludzi 9, biorą pszenicy 500—600 korcy.

Galary zwane ulanowskie, są dwojaki: większe i mniejsze *krypami* zwane. Większe przy usłudze 8—9 ludzi, biorą pszenicy korcy 550—600. Z wielkości swój i kształtu podobne są do następnych bużnych, to jest nad rzeką Bugiem budowanych.

Galary bużne, mogą zabierać 600—900 korcy pszenicy, potrzebują do usługi 8 ludzi.

Prócz tego ukazują się na Wiśle statki żaglowe rosyjskie:

Dubasy, biorą do 2,000 korcy; usługa na nich ludzi 24. Zagłębiają się stóp 5.

Szkuty, także rosyjskie żaglowe, biorą do 1,200 korcy. Usługa ludzi 10—12; zagłębiają się 3 1/2 stóp.

Wszystkie te statki, jako téż i tratwy, chodzą po Wiśle; co się tyczy innych rzek, są one dogodnymi dla następnych statków:

Nida, spławna jest od Sobkowa dla tratw, a czasem ukazują się na niej i berlinki.

San, dla galarów ulanowskich.

Wieprz. Od punktu wpadnięcia do niego rzeki Tyśmienicy, służy jedynie do prowadzenia tratw z drzewa, naładowanych niekiedy zbożem. Tratwy te zbijane bywają najwięcej pod miastem Kockiem. Niekiedy nawet spławiają drzewo i od Krasnegostawu

Pilica. Spław zwykły na rzece téj jest drzewem zbitym w tratwy, na których czasem bywają i ładunki; również chodzą tu także i galary, budowane w miastach Przedborzu i Sulejowie.

Narew. Spławna dla berlinek większych i mniejszych, tratw z drzewa, oraz galarów idących z rzeki Bugu.

Biebrza, służąca zarazem wspólnie z kanałem Augustowskim do połączenia Narwi z Niemnem, prowadzi transporta na tratwach, tudzież berlinkach większych i mniejszych.

Bug. Po Bugu dawniej pływały dubasy, łyżwy i galary; teraz głównie używane są same tylko galary, zwane buźnami, chociaż i tamte statki czasem pojawiają się.

Warta. Zboże spławiane bywa na berlinkach większych lub mniejszych, transporta zaś smoły, klepek i drzewa w szczapach, ładowane bywają na tratwy.

Prosna, spławna od miasta *Kalisza*, lecz tylko na większą wodę dla tratw drzewa, idącego na *Wartę*.

Niemen cały w naszym kraju spławny, służy do prowadzenia transportów statkami, najwięcej z Prus pochodzącymi, a te są:

Berlinki większe lub mniejsze, zupełnie takie, jakich używają na *Wiśle*.

Wiciny, statki żaglowe większe. Przy dobrém urządzeniu i na donośną wodę, biorą około 3,000 korcy zboża twardego, zaś jęczmienia do 3,500, a owsa najmniej 4,000 korcy.

Bajdaki, statki żaglowe mniejsze od wicin. Biorąc połowę ich ładunku, wymagają także połowę usługi, to jest: rotmana, rotmańczyka, dobijacza i 6 flisów.

Kanał Augustowski. Po kanale tym przechodzą berlinki większe i mniejsze, łodzie żaglowe, bajdaki, krypy, galary, łódki, a nadto drzewo w tratwach różnego rodzaju i wielkości.

Budowa statków.

Do budowy statków żaglowych zupełnie nowych, mamy warsztaty jedynie tylko w mieście *Włocławku* nad *Wisłą*, i tu w r. 1848 zbudowano berlinek 3, których wartość rub. sr. 3,600. Miasto *Wyszogród* nad *Wisłą*, m. *Nowydwór* przy ujściu *Narwi*, i wieś *Wywłoka* nad *Bugiem*, dla mniejszej zamożności lasów, przyjmują tylko do naprawy stare lub uszkodzone statki.

Wiciny i *bajdaki* budowane są nad brzegiem rzeki *Niemna*, gdzie przedsiębiorcy nie mając do tego żadnego stałego punktu, wybierają miejsca stosownie do oko-

liczności, i tam sprowadzają majstrów z pomocą potrzebną na czas roboty.

Dubasy, statki wielkie, z powodu znacznej usługi, jakiej wymagają, prawie zupełnie już nie są w naszej żegludze używane. Widzieliśmy, że one na Wisłę tylko z cesarstwa rosyjskiego przychodzą: budowa téż ich, nigdzie u nas skuteczną nie bywa.

Nazwiska galarów już wskazują, gdzie są budowane, i tak:

a) Krakowskie budowane są nad rzeką Wisłą w mieście Krzeszowie i Zawichoście.

b) Ulanowskie nad rzeką Sanem w m. Ulanowie.

c) Bużne budowane bywają nad rzeką Bugiem, a szczególnie w okolicy leśnej w m. Dubience. Galary te co do budowy, są najwięcej zbliżone do ulanowskich. Z powodu, że w tych jak i w tamtych, środkiem długości po wręgach dawaną bywa stępka, są więc najtrwalsze i najwięcej ładowne. Rocznie wystawiają ich do 600.

Prócz wyrażonych, czasem spekulanci budują galary nad rzeką Pilicą w m. Przedborzu i Sulejowie, różnej wielkości, na sposób krakowskich.

W ogóle w 1848 r. zbudowano w królestwie galarów 58, których wartość na r. sr. 2,807 kop. 50 podaną została.

Na statki takowe zwykle używają drzewa sosnowego, jodłowego i świerkowego. Do budowy ich niema żadnego stałego przepisu; do nadania miary i kształtu statkowi, służy za zasadę zwyczaj i praktyka majstra. Majster ten skutnikiem zwany, tak jak i inni rzemieślnicy pod opieką rządu zostając, obowiązany jest kwalifikacją swoją złożyć w obec członka magistratu, przed starszymi zgromadzenia. Zgromadzenie skutników, dla

braku odpowiedniej liczby majstrów i czeladników, wszędzie połączone jest z ciesielskiem.

Statki żaglowe, jako służące nie do jednorazowego tylko odtransportowania produktów, wprawdzie są najkosztowniejsze z używanych u nas, lecz są silnie budowane; a gdy prócz tego umiejętnie są prowadzone, bo szyper sam trudni się przewozem transportów, przedstawiają więc całą rękojmię pewności. Ze statkami niezaglowemi ma się zupełnie przeciwnie; te już zbudowane, nabywane bywają przez właścicieli transportów, i potem razem z transportem tym na miejscu sprzedawane. Dlatego niska ich cena, nieraz za najgłówniejszą przez spekulantów uważaną jest zaletę.

Trwałość statków niezaglowych, mianowicie galarów, wymaga, aby budowane były według następujących zasad:

Co do drzewa:

- 1) Ławy na dnie winny mieć grubości cali 4.
- 2) Ławy na boki: pierwsza od wody (zembrut), grubość cali 4, reszta po cali $3\frac{1}{2}$.
- 3) Kormany w przyczółkach mają być grube po cali 6.
- 4) Wręgi, aby były grube po cali 5, z dobrymi karpami, i aby znajdowały się gęsto.
- 5) Stepka idąca w długości statku po wręgach, powinna być przyzwoitej grubości cali 12—15, z drzewa zdrowego, nie powinna więc mieć najmniejszego w sobie próchna.

Co do gwoździ:

Drumy, długie cali 8; ostre, długie cali 10; karpowe, długie cali 18, i sworznie.

Powyżej wyrażone gwoździe przy budowie galaru wbijane być mają:

- a) Drumy w odległości cali 6 jeden od drugiego.

b) Ostre w odległości cali 12.

c) Karpowych zaś do galaru 18 użytych być winno.

Dno galaru winno być z bali 3 cale grubych, ciągłych, bez żadnego spojenia, i mieć jednostajną grubość. Użyte drzewo ma być zdrowe, nie murszywe i bez żadnych skaz, uszkodzeniu ulegnąć mogących.

Wielkość galaru stanowi ważniejszym dobór materiałów; a jednak zdarza się widzieć piątak lub siódmak z krakowskich bardzo słabiej budowy, a nawet budowany nie z bali, lecz z desek 1 1/2 cala grubych. I jakże za uderzeniem nie ma uleść uszkodzeniu? Nie potrzeba tu rafy, prądu; on nawet na mieliznie się rozbije. Gdy wszakże galar jest już wykończony, ocenienie wszystkich jego części, z powodu zakrycia jednych przez drugie, jest niepodobnym; poprzestać więc wtedy należy na próbach, chociaż niezupełnie dostatecznych na wodzie, to jest, czy obciążony galar nie bierze wody.

Z przyczyn tu wymienionych, a dotyczących niedokładności, dopuszczanych przez spekulantów w budowie statków niezagłowych, przez co wiele majątków bywa narażonych na niepowetowane straty, życzyłyby należało wydania stosownej ustawy, jak to ma miejsce w cesarstwie rosyjskiem, gdzie mianowicie art. 136 i 532 Zbioru Praw, wskazują wybór materiałów, do budowy statków użyć się mających. Właśnie Dyrekcyja Ubezpieczeń względna na fundusze ubezpieczenia splawów, poleciła swym komisantom, aby przyjmując do ubezpieczenia produkta na wodzie, pilnie uważali, czy statki niezagłowe, pod też produkta użyte, były budowane podług wyżej wskazanych zasad; w przeciwnym zaś razie, galar jako niedosyć mocny i wystawiający fundusze

ubezpieczeń na straty, do ubezpieczenia przyjętym być nie może.

Ładowanie statków. Ładunek dać się mogący na każdym statku, wyrażony został przy szczegółowym ich opisie; tu więc tylko pozostaje nam dodać, że wielkość ładunku jest rzeczą względną, i prócz wysokości wody, obszerności statku, zależy często od gatunku drzewa, to jest więcej lub mniej suchego i rdzennego. Przy ładowaniu więc szczególnież uważać należy, aby w galarze większa połowa boków wystawała nad wodę, a w berlinkach, aby pierwsza deska od wierzchu, zwana *rais-burt*, była zupełnie na wodzie.

O tratwach.

Drzewo spławia się rozmaitemi sposobami, a mianowicie: w sztukach pojedynczych, zbite w pasy i tratwy.

Sztuki pojedyncze spławiają się najwięcej w okolicach górzystych, niedostępnych dla podwód, a poprzeczanych rzeczkami i strumieniami; i w ogóle w takich okolicach, gdzie wywóz jest niepodobny, a rzeki i strumienie zbyt są małe, żeby na nich drzewo partyami spławiane być mogło. Drzewo do spławu przeznaczone przy brzegach rzeki w *reje* lub sąźnie złożone, puszcza się pojedynczo na wodę, i tak idzie z jej biegiem.

Gdzie już dogodność wody dozwala, łapią się pojedynczo płynące sztuki, i razem zbijają. Dziesięć do dwudziestu sztuk razem zbitych obok siebie w jedną całość, stanowią *tasłę*, *plenice*; dwie plenice razem obok siebie zbite, stanowią *glenie*, zaś zbiór plenicy 5--7 wpodłuż za sobą połączonych, nazywa się *pasem*; dwa pasy obok siebie złączone, przybierają nazwę *tratwy*.

Do zbijania plenie z browarek, potrzeba dwóch ramion, to jest drągów grubych, do których przybijają się końcami sztuki plenicy. Sztuki te zawsze grubszymi końcami czyli odziomkami obrócone są przeciwko wodzie.

W pasie pierwsza plenica naprzód płynąca, zowie się *głową*; ona jest ze wszystkich najwęższa i żadnym ciężarem nieobciążona. Druga plenica zowie się *zagłówek* albo *przedgłówek*, spięta z głową w przedziale blisko 4łokciowym. Trzecia zowie się *buchta pierwsza*, następna *buchta druga*, czasem jest i *buchta trzecia*, za tą *przedcal* i naostatek *cal*. *Cal* i *głowa* służą do kierowania pasem. Pas zbija się z plenie za pomocą *ryklów biegowych* (baliki na 3 cale grube, 1 stopę szerokie, i do 8 stóp dług.), *ryklów jałowych* (okrągłaki na 5 stóp długie), *chrapci* (kołków), *raków* (klinów) i t. d. Z główniejszych części taśli są: *siodło*, *drygawki* i *szryk*. Siodło albo stemblok, jestto sztuka drzewa pałkowato wyrobiona lub z natury tak wyrosła, na 6 cali średnicy i 8 stóp długości. W niej znajdują się dwa kołki, między które wkładają się drygawki. Dla zatrzymania płynącego pasu, używają *szryka* czyli *niemca*, to jest kołu 10 stóp długiego, przymocowanego do taśli, który wbijają w ziemię.

Pas z gąskami, to jest z klepkami lub drzewem opałowym, szczapowym, składa się z plenie, podobnie jak pas z browarki. Plenica mieści w sobie od 4—6 gąsek, to jest szeregów klepek lub szczap wzdłuż niej leżących, a gaska zawiera około 10 skrzyń albo wiązarek, w których mieści się od 40—60 sztuk.

Pas z ramami, służący do splawiania drzewa opałowego, lub szczapowego, zawiera tyle ram, ile pas plenie

w sobie mieści. Rama składa się z prostokąta, sporządzonego z grubych belek iglastych, na 40 stóp długiego i 20 stóp szerokiego. W ramę kładą się szczapy drzewa warstwami, aż do wysokości 1 — 1½ stopy nad ramę.

Przy wiązaniu plenic, pasów, tratw, tę mieć trzeba uwagę, aby ramiona poprzeczne były dostatecznie grube, i z drzewa młodocianego, więcej gibkiego jak kruchego; dalej, ażeby każda sztuka przybita do ramienia gwoździem drewnianym cesarskim (długi 11—12 cali, gruby $\frac{3}{4}$ — 1 cala), była nadto związana wicią dębową lub brzozową dobrze wykręconą; zresztą, aby każda glenia miała po bokach choć po parę sztuk wolnych, to jest jednym tylko końcem, przywiązanych, tak, aby idąc wolno służyły przy wężkich przejściach do odpychania. Dlatego sztuki te nazywają oganiaczami albo oplawami. Moc tratwy zależy wiele od ilości i gatunku powyżej rzeczonych wiązań; zatem zapas ich na każdej gleni dla wzmocnienia w potrzebie, jak również zapas szryków (kołków dębowych) do palowania przy łapaniu, stanowi główną podstawę spławu, mianowicie wtenczas, gdy na tratwie prowadzonym jest jeszcze jaki produkt.

Tratew gdy idzie bez żadnego ładunku, potrzebuje do usługi w czasie spławu ludzi najmniej dwóch, koniecznych jedynie do kierowania, aby idąc korytem rzeki, nigdzie się nie zaczepiała. Lecz gdy tratwę ma ładunek, w takim razie z uwagi na samo bezpieczeństwo produktu, usługa ta musi być powiększona; jakoż składa się przynajmniej z przednika, artfulnika i jednego człowieka na każdej gleni. Ustanowienie usługi téj zależy od szypa prowadzącego ładunek; on w miejscach trudniej-

szych używa większej pomocy, albo ją z jednych na drugie tratwy przenosi.

Co się tyczy ładunku na tratwach pomieścić się mogącego, za skazówkę tu służy doświadczenie, że belka przez ciężar w całej swjej grubości, a kloc tylko o $\frac{2}{3}$ swjej grubości bez obawy mogą być zanurzonemi. Kloc lub belka 12—14 cali gruba, długa na łokci 20, wezmą na dużą wodę korcy 3—5 pszenicy, a na małą wodę (2—3 stóp) ładunek ten zmniejszy się do trzeciej części.

Służba przy statkach i sposób odbywania żeglugi. Posługa używana do statków tak żaglowych jak i niezaglowych i tratw splawianych z produktami, przy opisanu każdego statku wskazaną została. Potrzebna ona jest w takiej liczbie wtenczas, gdy statek sam jeden płynie; wszakże z uwagi na korzyści wynikające ze wspólnej żeglugi, statki wybierając się w drogę, gromadzą się w pewne oddziały, zwane *koleją*, co i wtenczas nawet ma miejsce, chociaż do różnych właścicieli należą.

Berlinki, jako statki silnej budowy, niełatwo podlegle są wypadkom; wśród niebezpieczeństwa roztropne użycie steru, w chwili jednej nada potrzebny kierunek statkowi i zasłoni go od niebezpieczeństwa; w czasie największej burzy, dosyć gdy końcem nastawi się ku fali. Dlatego berlinki nie wymagają takich ostrożności, jakie przy opisie drogi galarów zobaczymy; po największej części płyną pojedynczo, nie używając przewodników, a na nocleg lub w oczekiwaniu pomyślnego wiatru, stają na środku wody. Jednakże i berlinka nie płynie nigdy w czasie nocy, lub gdy wiatr wodą kołysze, bo wtenczas jakże rozpoznać haki lub kije, na jakie trafiwszy, uleż można rozbiciu? Wypadki te wszakże są

bardzo rzadkie, a nawet powiedzieć można, że gdzie ludzie są baczni i przezorni, to się nie trafiają.

Zobaczymy sposób postępowania kolei galarów i tratw; lecz najprzód powiemy, że nie cała osada wyłącznie tylko zajmuje się robieniem *drygawkami* (wiosłami). Są tu i inne obowiązki, a ztąd i różne nazwania, i tak:

Przednik. Ten jest rządcą robót na galarze, i wszyscy tu inni, pod względem kierunku, winni mu posłuszeństwo, dlatego nazywają go też *gospodarzem*. Stoi on u drygawki na przodzie czyli *głowie* galaru. Przy prowadzeniu tratw *froktarz* odlicza mu sztuki przy *palu*, a on do miejsca przeznaczenia doprowadza i za nie jest odpowiedzialny.

Artfulnik, który dla zatrzymania galaru z *kordylem* (liną), i *artfulem* (kolkiem) na ląd lub w wodę wyskakuje; stoi on na tyle czyli *calu* galaru.

Nadto kolejno jeszcze odlewają wodę ze środka galaru zwanego *zyza*; ztąd oryl przy tej czynności będący, otrzymuje nazwę *zyzownik*.

Dotychczasowy sposób żeglowania na rzekach krajowych, niemających ustalonego koryta, dla wielu doświadczanych trudności spławu, wymaga przewodników, zwanych *rytmanami*, *rotmanami*, *retmanami*, albo *majstrami*. Pomocnicy ich nazwani są *rotmańczykami* albo *podmajstrzymi*; ostatni z nich płynący, nazywa się *dobijaczem*. Podróż następnie odhrywają:

Rotman na czołnie lekkim, poprzedza statki i tratwy na dół z wodą płynące, szuka drogi pewnej nurtem najgłębszym, a znalazłszy ją, oznacza *ryjąc* (zatykając) w dno rzeki cienkie tyki, tak nazwane *koły biegane*, jako znaki miejsc wyprobowanych, bezpiecznych do płynienia. Gdzie zaś jest cienka woda, na hakach piaszczystych,

rafach, mieliznach, kamieniach i prądach niebezpiecznych, zatyka *koły łamane do warowania*, to jest pręty z wierzchołkiem przyłamanym i w dół wiszącym.

Za rotmanem o kroków 300, rotmańczyk albo podmajstry, podobnie w lekkim czółenku płynący, często *obertuje*, to jest odwraca się czółnem do galarów. Za rotmańczykiem o kroków 200, płynie galar pierwszy, znowu o kroków 200 galar drugi, za tym o kroków 300 rotmańczyk drugi z dwoma swemi galarami jak poprzednio i tak następnie aż do skończenia się kolei. W drodze téj znak rotmana ostrzega idącego za nim rotmańczyka o niebezpieczeństwie; ten, znak odebrany komunikuje dalej przez przedników swoich galarów całej kolei, a sam dopływa jak najspieszniej do rotmana, który dopiero puszcza się dalej; rotmańczyk *waruje*, to jest ostrzega swych przedników, a przepuściwszy swe galary, sam dopiero puszcza się dalej w swoje miejsce; rotmańczyk drugi robi toż samo i t. d.

Rotmańczyk następnie odbywa warowanie: obraca się przodem czółna do kolei, siada na nogach, kręci podniesionem wiosłem w rękę po jednej stronie czółna, ostrzegając tém oryli, aby na tę stronę nie puszczali się, przyczem woła *wara*; i pryska wiosłem, to jest uderzeniem w wodę, na znak, aby się téj strony na którą uderzył, trzymali. Podniesienie wiosła i kapelusza oznacza, aby prosto, bez żadnego kierowania się płynęli. Ustawiczne odzywianie się wyrazami: *wara*, *trzymaj*, *nie daj*, *odwróć*, *bakier* (na lewo), *sztjber* (na prawo), ostrzega oryli, w którą stronę kierować się mają.

Gdy który z przedników niedość ostrożny, galar swój osadzi na przeszkodę, wówczas na głos przednika tego, galary przed nim i za nim płynące stają na artfulach,

dopóki galar z przeszkody zepchniętym nie będzie; czego jeżeli osada nie jest w stanie dokonać, rotmańczyki na swoich czółenkach przywożą zagrożonemu galarowi pomoc z innych galarów.

Przy małej wodzie, gdy ładunek jest w pakach lub beczkach, z koleją galarów płynie próżna krypa, *patelką* zwana. Gdy w czasie drogi statki przechodzą mieliznę, a który z nich osiadzie na piasku, wtedy ujmują z niego ciężaru, przenoszą na tę próżną krypę, dla przewiezienia go na większą wodę, i tak obładowana patelka przyjmuje nazwę *lichtona*. Galary ładowane zbożem nie mają lichtona, więc też i na mniejszą wodę biorą mniejszy ładunek.

Tam, gdzie szyper nie będąc rotmanem, płynie sam na statku ostatnim, ten jest patelką, lecz przybiera nazwisko *skarbowka*; a niosąc w czasie drogi zapasy żywności i wódkę, w potrzebie pełni służbę lichtona lub mu dopomaga.

Czasem stosownym do drogi galarów jest dzień jasny i powietrze spokojne; dlatego najwcześniej dopiero ze wschodem słońca wychodzić powinny w drogę, a najpóźniej z zachodem słońca stawać w miejscu pewnym pod względem *łapanki* (ład mocny i woda głęboka), aby statki zasłonięte brzegiem od wiatru, stały bezpieczne. Rozstawienie galarów przy ładzie wpodłuż, należy tylko do rotmana; on powinien osądzić, czy brzeg nie jest podmulony, czy statki nie powinny być wzięte na *łaski*, dla usunięcia zatopienia przez poderwaną ziemię i t. p.

Gdy wszystkie statki przez rotmana ustawione zostaną, osada zostawiwszy straż, sama udaje się na ład za żywnością. Straży tej jest obowiązkiem największa czujność, a mianowicie uwaga na wiatr. Gdy ten się zmieni i obrany ład *łapanki* przestaje być osłoną dla galarów, a mimo to

statki pozostaną na dawném stanowisku, i tylko boki ich od strony fali osłaniają się deskami; wtedy cała osada winna być na swoim miejscu, gotowa na wszelki wypadek, mianowicie, gdy wiatr ten zmieni się w burzę. Wtedy odlewanie wody jest główném zajęciem, mimo czego zatopienia i rozbicia i tak są dość częste.

Oprócz wskazanych obowiązków, rotman ma jeszcze i inne, wymagające doświadczenia. On koniecznie wiedzieć powinien, gdzie są miejsca łapanek, jakie i gdzie znajdują się przeszkody do przebycia, wreszcie jakie są spodziewane wiatry lub burze. Ostatnia wiadomość jakkolwiek trudna, nie jest obcą dla dobrych rotmanów, którzy w skutek nabytego doświadczenia, po obserwacji to księżyca, to koloru słońca przy wschodzie lub zachodzie, to lotu ptaków, posiewania się wody i t. p. są pewnemi barometrami, i wcześniej obierają miejsca ukrycia statków przed burzą. Całe bezpieczeństwo splawu, mianowicie galarami, głównie polega na znanstwie, przytomności i przezorności rotmana; dlatego téż co się tyczy drogi, on rządzi całą koleją, i ani szyper, ani właściciel ładunku nie mu rozkazywać nie mogą i nie powinni, szczególnie pod względem pośpiechu.

Znajomość rotmana, pilność rotmańczyka i karność osady statku, która zawsze trzeźwa i chętna, ma wcześniej odpierać nasuwające się a wskazane przeszkody, lub zwalczać zdarzone wypadki: oto jest największa rękojmia bezpieczeństwa prowadzonego ładunku.

Lecz czy zawsze te warunki są spełnione? W praktykowanym u nas sposobie żeglugi, szyper zwykle jest rotmanem. Podejmując się zaprowadzenia na miejsce ładunku, bierze na swą odpowiedzialność wynajęcie służby; bezwarunkowo więc godzi każdego flisa nie na dni,

lecz na całą drogę, odbyć się mającą do wskazanego miejsca. Jeżeli droga ta jest bez żadnej przerwy i prędko dokonana, szczęśliwy żeglarz przynajmniej nie czuje niedostatku, i *myto* (wynagrodzenie) wystarcza mu na drogę z powrotem do domu; lecz gdy brak wody, trwające wiatry i inne przeciwności, każą mu stać i oczekiwać pomyslniejszej pory: przejada wtedy część swego wynagrodzenia, bo drogo płaci szyprowi za wziętą żywność i wódkę. Wtenczas w końcu żeglugi nie mając do odebrania i jeszcze dłużny szyprowi, wraca nie raz do domu o zebrany chlebie, lub korzysta z małej czujności mieszkańców osad, przez które przechodzi.

I oto zapłata prac żeglarza! A jednak patrzmy, przy następnej żegludze znów go zobaczymy na lubym jego żywiole. Bo przyzwyczajenie, swoboda, jakiej doznaje w czasie drogi i w chwilach, gdy stanąwszy na noc wyjdzie na ląd; i ów szyper, najczęściej ze starozakonnych, który przy pomocy odurzającego trunku, wabi go do tego życia, tyle dla niego mającego powabów: silniejsze jest to wszystko od głosu jego przekonania; powraca więc na wodę.

Słusznie więc wyrzekł nasz Klonowicz, w wierszu swym pod tytułem: *Flis*:

„Bo kiedy już flis zasmakuje komu,
Już się na wiosnę nie zastoje w domu;
Już ciecze ze krą do Gdańska w komiędze,
Boi się nędze.

Choćby mu stawiał najlepszą zwierzynę,
Przecie on woli flisowską jarzynę.
Kiedy już tam raz tego, albo ze trzy,
Grochu zawiętrzy.

Choćby mu złote Mercurius słowa
Łał krásomowny, wszystka myśl flisowa
Na Wiśle pływa za swoim rotmanem,
Jak za hetmanem.”

Lecz nie możemy zamilczeć o tém, że flis w czasie swój podróży, niezawsze ściśle się trzyma zasad surowej poczciwości. Czasem rzeczywista potrzeba, czasem tylko chęć występna, sprawiają, że wielu z flisów gdy w nocy na ląd wyjdą, korzystają tam ze spoczynku mieszkańców; a zabrawszy co się uda, uchodzą na statki i ze wschodem słońca dalej w drogę! Zdarza się nawet, że prowadzony ładunek sprzedają z jednego galaru, a potem galar ten topią; co zdarza się mianowicie przy transportach soli.

Ich prawo, to jest ustawa i sąd z trzech gospodarzy złożony, niewiele temu zapobiegają. Prawo to następne przepisuje kary: za kradzież między sobą, 5 *garunów* na rytku; za powtórzoną kradzież, 10 *garunów*; gdy się dopuści kradzieży po raz trzeci, *wypierają* go, to jest zupełnie oddalają z kolei. Za bałamuctwo i pijatykę w czasie płynienia, 5 *garunów*; za nieużywanie wyrazów orylskich, za pierwszym i drugim razem napomnienia, za trzecim razem trzy *garuny*; za uchylenie czyli ochronienie się od *wesela* (1), kwarta wódki.

Ale złe zawsze trwa. Głównie jest ono winą szypra, który mając nadzór nad osadą, z pobłażaniem patrzy na wszelkie jej postępowanie. Wszakże jest to jego interesem: ugodziwszy ludzi tanio, jeszcze chce ciągnąć z nich zyski, jako dostarczyciel żywności i wódki; podaje im więc sposobność do zebrania jakiegoś funduszu. Z wyrachowania takowego, puszcza osadę w nocy na ląd, i przy powrocie dozwala przechowywania rzeczy, przyniesionych z sobą na statki. Od szyprów więc należałoby zacząć usunięcie tego złego, lubo już zbyt mocno zakorzenionego.

(1) Zobaczymy poniżej coto jest *wesela*.

Język orylów, ich zwyczaje, nazwiska wszystkich jak najdrobniejszych części tafel, tratw, i sposoby ich urządzania, znajdzie czytelnik z jak największą dokładnością podane w szacownym Słowniku Leśnym, Bartnym, Bursztyniarskim i Orylskim, p. Wiktora Kozłowskiego. Według Słownika tego, podajemy niektóre wyrażenia, jakich używają oryle o wodach i rzekach spławnych, tudzież w potocznej między sobą rozmowie. Woda *cienka*, znaczy mała, płytka woda; *gruba*, woda głęboka; *dobra woda*, zdatna do płynienia tratwy; *dojezdna woda*, takiej głębokości, iż drzewo na niej wygodnie płynąć może. *Skład wody*, zbiegnięcie się wody w jedno głębsze miejsce, ciągnące się na rzece, czasem do ćwierć mili drogi, dopóki się woda nie rozbierze na mialczyznę; w *składzie* wody tratwy wygodnie płynąć mogą. *Zwolek*, wezbranie w rzece wody. *Bystrz*, szybkie płynięcie wody. *Góra*, każde miejsce na rzece, uważając w stronę, zkąd woda płynie; *dół*, każde miejsce na rzece, położone w tej stronie, dokąd woda płynie. *Bakord*, brzeg lewy rzeki. *Worek*, mielizna piaskowa wśród rzeki, przed którą jest głębia i wir wody. *Hak*, ukryty pod wodą, a w czasie małej wody widzialny piasek lub kamienie; *podhak*, głęboka woda pod samym hakiem; *próg*, brzeg haku; z jednej strony progu jest woda głęboka, a z drugiej zupełnie mialka; *ogon*, wierzchołek haku, na którym oryle chcą zatrzymać tratwę, *orzę* na rzece *artfulem*. *Posmycz*, prędsze płynienie tratwy przy małym wiatrze z góry, lub w miejscach prędszego biegu wody. *Łacha*, odnoga rzeki, najczęściej za kępami na Wiśle płynąca; często w łachę woda mocno ciągnie, jednakże tratwy nią prowadzić nie należy, bo niema żadnej pewności, czyby drugim końcem nią wypłynąć

mogła. Główny nurt, ciąg (koryto) Wisły, względem łachy, zowie się *samicą*. *Prąd*, karpa, wywrot drzewa, kamień sterczący nad wodą. *Chyż*, wiatr pomyslny dla orylów. *Mamka*, mgła. *Łąd*, brzeg rzeki. *Wierzch*, hak widzialny, wystający z wody; *wierzchołek mały*, mała, wązka przestrzeń piasku na rzece widzialnego. *Piaszcznica*, suchy piasek po rzece w kształcie liści płynący; pochodzi on z brzegów piaszczystych rzeki, a okazuje się najwięcej przy *zwodku*. *Szlama*, zbita, szaro-czerwona, tłusta ziemia; ciągnie się czasem w brzegach rzek na pół mili: około niej woda jest głęboka i mocno ciągnie. *Mada*, muł rzeczny, osobliwie Wiślany, który osiada na sztukach. *Szarokuta*, pływające wszelkie nieczystości po wodzie, jakoto: wióry, gałęzie, piana rzeczna i t. p. *Sadło*, piasek na rogalu, który się wtenczas dostał do niego, gdy rogał uderzył w ład. *Rafa*, *pujna*, miejsce w którym kamienie wpoprzek całej rzeki, lub do połowy leżą. *Ciąg*, mocniejsze w pewnych miejscach płynięcie wody, anizeli w drugich; w takie miejsca niebezpiecznie jest zapuszczać tratwy, gdyż poniżej mogłyby wpłynąć na piasek, z którego trudno tratwę zepchnąć. *Zabrakować*, okazanie się niedostatku wody do płynienia tratw; sztuki grube i ciężkie, najpierwój brak jój okazują i wtenczas mówi się: że sztuka ta *zabrakowała*.

W rozmowie między sobą mają téż szczególne wyrazy. *Pali się*, oznacza, że ubiór oryla przez nieostrożne schylenie się jego w wodzie moknie. *Wpaść w mąkę*, znaczy wpanięcie przez nieostrożność w wodę. *Odbywać wangę*, straż. *Porwa*, ogólny wyraz, oznaczający zabieranie się orylów do pracy; i tak, jeżeli pisarz lub gospodarz zawoła na spokojnie siedzących oryli *porwa*, wtenczas natychmiast wstają do wskazanej roboty. -

Splawiając tratwę, oryle mają następujące wyrażenia: *dobijać*, *dotrzeć* do jakiego miejsca; *dobywać*, *spychać* tratwę z piasku; *kordylować*, *brać na kordyl*, znaczy trzymać tratwę za pomocą linki na drugiej już upalowanej tratwie, i wtenczas mówi się *tratwa stoi na kordylu*; *lu-zować*, *odpychać* tratwę od lądu, aby nie obeschła kiedy woda opada; *łapać*, przywozić i upalować tratwę przy lądzie lub haku na rzece; *napuszcząć*, drzewo splawione, na miejsce gdzie jest skład jego, do brzegu rzeki przyprowadzić; *obalić*, *obalać*, prowadzić tratwę osobno stojącą do innych tratw, lub pas z jednego na drugi brzeg przeprowadzić. *Obciąć*, oberwać opław przez zawadzenie o kamień, lub inną tratwę. *Obertas*, *obwarzanek zjeść*, zupełne wykręcenie się tratwy przy powstaniu np. gwałtownego wiatru; gdy tratwa płynie bokiem wpoprzek, mówią, że *idzie płotem*; gdy płynie zupełnie odwróconą, to jest gdy *cał* jest na przodzie, a *głowa* w tyle, mówią: *tratwa płynie* albo *idzie rakiem*, albo *tratwa dała obertasa*. *Obsychać*, gdy tratwa stojąca na brzegu rzeki, przy spadaniu wody zostawia niektóre sztuki na piasku. *Przywozić*, sprowadzać tratwę do lądu; *przywódką łapać*, zatrzymać tratwę przy haku; *puszczać*, odpływać z tratwami z miejsca upalowania; *stać za łeb*, tratwa upalowana za głowę, po dawnym *obertasi*. *Spuścić z haku*, przeprowadzić tratwę z ostrożnością około haku na dobrą wodę. *Sztynch*, *płynąć od sztychu*, znaczy, iż tratwa bez skrzywienia się prostą linią płynie. *Wypalować*, wyrwać z ziemi artful, aby tratwa dalej z miejsca popłynęła. *Zaprawiać się*, spychać tratwę z piasku lub od brzegu rzeki. *Zwieść tratwę*, sprowadzić do lądu i upalować. *Ubić świnię*, wyrzucić tratwę przez nieo-

mogła. Główny nurt, ciąg (koryto) Wisły, względem łąchy, zowie się *samicą*. *Prąd*, karpa, wywrot drzewa, kamień sterczący nad wodą. *Chyż*, wiatr pomyslny dla orylów. *Mamka*, mgła. *Łąd*, brzeg rzeki. *Wierzch*, hak widzialny, wystający z wody; *wierzchołek mały*, mała, wązka przestrzeń piasku na rzece widzialnego. *Piasecznica*, suchy piasek po rzece w kształcie liści pływający; pochodzi on z brzegów piaszczystych rzeki, a okazuje się najwięcej przy *zwodku*. *Szlama*, zbita, szaro-czerwona, tłusta ziemia; ciągnie się czasem w brzegach rzek na pół mili: około niej woda jest głęboka i mocno ciągnie. *Mada*, muł rzeczny, osobliwie Wiślany, który osiada na sztukach. *Szarokuta*, pływające wszelkie nieczystości po wodzie, jakoto: wióry, gałęzie, piana rzeczna i t. p. *Sadło*, piasek na rogalu, który się wtenczas dostał do niego, gdy rogał uderzył w łąd. *Rafa*, *pujna*, miejsce w którym kamienie wpoprzek całej rzeki, lub do połowy leżą. *Ciąg*, mocniejsze w pewnych miejscach płynięcie wody, aniżeli w drugich; w takie miejsca niebezpiecznie jest zapuszczać tratwy, gdyż poniżej mogłyby wpłynąć na piasek, z którego trudno tratwę zepchnąć. *Zabrakować*, okazanie się niedostatku wody do płynienia tratw; sztuki grube i ciężkie, najpierwój brak jój okazują i wtenczas mówi się: że sztuka ta *zabrakowała*.

W rozmowie między sobą mają téż szczególne wyrazy. *Pali się*, oznacza, że ubiór oryla przez nieostrożne schylenie się jego w wodzie moknie. *Wpaść w mąkę*, znaczy wpadnięcie przez nieostrożność w wodę. *Odbywać wangę*, straż. *Porwa*, ogólny wyraz, oznaczający zabieranie się orylów do pracy; i tak, jeżeli pisarz lub gospodarz zawoła na spokojnie siedzących oryli *porwa*, wtenczas natychmiast wstają do wskazanej roboty. -

Splawiając tratwę, oryle mają następujące wyrażenia: *dobijać*, *dotrzeć* do jakiego miejsca; *dobywać*, *spychać* tratwę z piasku; *kordylować*, *brać na kordyl*, znaczy trzymać tratwę za pomocą linki na drugiej już upalowanej tratwie, i wtenczas mówi się *tratwa stoi na kordylu*; *luzować*, *odpychać* tratwę od lądu, aby nie obeschła kiedy woda opada; *łapać*, przywodzić i upalować tratwę przy lądzie lub haku na rzece; *napuszcząć*, drzewo splawione, na miejsce gdzie jest skład jego, do brzegu rzeki przyprowadzić; *obalić*, *obalać*, prowadzić tratwę osobno stojącą do innych tratw, lub pas z jednego na drugi brzeg przeprowadzić. *Obciąć*, oberwać opław przez zawadzenie o kamień, lub inną tratwę. *Obertas*, *obwarzanek zjeść*, zupełne wykręcenie się tratwy przy powstaniu np. gwałtownego wiatru; gdy tratwa płynie bokiem wpoprzek, mówią, że *idzie płotem*; gdy płynie zupełnie odwróconą, to jest gdy *cal* jest na przodzie, a *głowa* w tyle, mówią: *tratwa płynie albo idzie rakiem*, albo *tratwa dała obertasa*. *Obsychać*, gdy tratwa stojąca na brzegu rzeki, przy spadaniu wody zostawia niektóre sztuki na piasku. *Przywodzić*, sprowadzać tratwę do lądu; *przywódką łapać*, zatrzymać tratwę przy haku; *puszczać*, odpływać z tratwami z miejsca upalowania; *stać za łeb*, tratwa upalowana za *głowę*, po dawnym *obertasiu*. *Spuścić z haku*, przeprowadzić tratwę z ostrożnością około haku na dobrą wodę. *Sztych*, *płynąć od sztychu*, znaczy, iż tratwa bez skrzywienia się prostą linią płynie. *Wypalować*, wyrwać z ziemi arful, aby tratwa dalej z miejsca popłynęła. *Zaprawiać się*, spychać tratwę z piasku lub od brzegu rzeki. *Zwieść tratwę*, sprowadzić do lądu i upalować. *Ubić świnię*, wyrzucić tratwę przez nieo-

strożność wpoprzek rzeki. *Wesele*, czynność spychania powalonej na haku lub rafie tratwy na dobrą wodę; przy téj czynności, wszyscy oryle stoją w wodzie po jednéj stronie tratwy, i tę aby zepchnąć z haku, podważają drągami i do góry dźwigają. To czasem trwa dni kilka. *Przewiesić*, kiedy tratwa płynąca, na palu lub jakiej innéj zawadzie w rzece będącej, wesprze się i wpoprzek obróci. *Zadrzyć cala*, podnieść piérwszy gleń, dla zepchnięcia go z piasku. *Robić drygawką*, poruszać nią w wodzie w jednę stronę, przez co nadaje się tratwie kierunek według potrzeby. *Śluza*, ustawienie tratw z dwóch stron na rzece wzdłuż mialkiej wody, przez co woda w środku między tratwami się wznosi, i z większym płynie pędem; tym sposobem można inne tratwy przeprowadzić, ostatnie zaś spychać należy na dobrą wodę. *Tratwę ożenić*, zebrać i złączyć dwa pasy razem.

Statki parowe.

Otóż widzimy sposób żeglugi zwykłemi statkami; lecz statki te niezadługo tylko podrzędne zajmą miejsce w naszym splawie, przy zaprowadzonej żegludze parowej. Nieocenione jój korzyści, wypływające z prędkiego biegu i mniejszej zależności od stanu wód, spowodowały różne kraje europejskie i zaeuropejskie do zaprowadzenia jój u siebie. A gdy przedsiębiorstwa te wymagają połączenia odpowiednich wiadomości technicznych i znacznych kapitałów, potworzyły się więc w tym celu liczne towarzystwa.

Pomijając dalsze kraje Europy, w których tyle zawiązało się towarzystw żeglugi parowej, w krajach sąsied-

dnich, podobieństwem potrzeb do nas zbliżonych, jakoto w Austryi i Prusach, znajduje się także niemała liczba towarzystw podobnych, korzystających z udzielanego im przywileju wyłączności. W Austryi istnieją towarzystwa: Bernard et Comp. oraz St. Leon, którym nadano 15letni przywilej na utrzymywanie paropływów na Dunaju i odnogach téj rzeki; w Prusach: towarzystwo magdeburskie, na żeglugę parową na Elbie i Weserze; szczecińskie, na podobną żeglugę na Sprei; düsseldorfskie, na żeglugę na Renie i t. d.

Rząd cesarstwa rossyjskiego w zamiarze ułatwienia środków komunikacyjnych i nadania spieszniejszego ruchu handlowi wewnętrznemu, udzielił wielką liczbę podobnych przywilejów wyłączności na żeglugę parową na rzekach lub jeziorach. Przywileje te po największej części są na lat 10 wydane. Oto znaczniejsze z nich:

W r. 1835 kupiec wileński Rosing, uzyskał 10letni przywilej na zaprowadzenie statków parowych do holowania na Dnieprze, Berezynie i innych rzekach do Dniepru wpadających.

W roku 1839 kupiec petersburski Kleszczow, otrzymał równie 10letni przywilej na przewóz ładunków, passażerów i holowanie statków na Newie, pomiędzy Petersburgiem i Schlüsselburgiem.

W tymże 1839 r., kupiec Miasników, otrzymał 10letni przywilej na zaprowadzenie i utrzymanie paropływów na systemacie wodnym syberyjskim, a mianowicie na jeziorze Bajkał, i na rzekach: Ob, Tobol, Irtysz, Jenissej i Lena.

W r. 1841, kupiec z miasta Dorpatu Wegener, uzyskał 10letni przywilej na zaprowadzenie i utrzymywanie

paropływów na jeziorach czudskiém i pskowskiém, oraz na rzekach: Narowa i Embach.

W tymże roku radca kollegialny Oboleński, otrzymał przywilój na zaprowadzenie i utrzymywanie paropływów na jeziorze Ładoga i rzece Swira, do przewozu ładunków, passażerów i holowania statków. Nadto te n-że Oboleński i pułkownik Kraft mieli sobie dozwolone zawiązanie towarzystwa akcyonaryuszów, w celu przeprowadzenia do skutku powyższego przedsięwzięcia, z rozciągnięciem przywileju żeglugi do jezior: Onega i Białe.

Cudzoziemiec Keyly, uzyskał przywilój na żeglugę na Woldze.

Baron Firks, burmistrz miasta Mitawy Cukalmalio, i Elterman Bojtman, otrzymali przywilój na zawiązanie towarzystwa żeglugi parowej pomiędzy Rygą i Mitawą, na rzece Aa.

Radca kollegialny Parnaczew, radca honorowy Cwietkow i kupiec Czerepanow, uzyskali przywilój na zawiązanie towarzystwa żeglugi parowej na Woldze, Kamie i na rzekach w nie wpadających.

Zapatrując się na takowe postępy żeglugi parowej, oddawna już i u nas czynione były przez władze rządowe i prywatnych spekulantów starania, aby żegluga takowa mogła być dla ułatwienia komunikacyi i ożywienia handlu zaprowadzona. Zakupywano w tym celu statki za granicą; próbowano budować je w kraju, do czego rząd przykładał się swemi funduszami; zjeżdżali się tu zagraniczni spekulanci, lecz uważali, że Wisła w terażniejszym swoim stanie, niezdatna jest do żeglugi parowej, dla mielizn piaskowych i gęstych drzew pod wodą ukrytych, lub téż brzegami jój rosnących.

Dopiero w r. 1846 zgłosił się do rządu Królestwa p. Edward Guibert, inżynier-mechanik, przybyły z Francji z zamiarem zaprowadzenia własnym kosztem i na własne *riziko* żeglugi parowej na Wiśle, i na połączonych z nią rzekach spławnych: Narwi, Bugu, Wieprzu i Pilicy. W złożonej deklaracji oświadczył on: że do żeglugi używać najprzód będzie statków drewnianych, a następnie statków z blachy żelaznej, które pod ciężarem 2,000 centnarów, nie mają więcej zanurzać się w wodzie, jak 16 do 18 cali francuzkich; że statki te będą holowane przez paropływy, które również nie głębiej iść mają, jak 16 do 18 cali francuzkich, a opatrzone będą w maszyny parowe ulepszone, i w kotły nierozsadzalne, wynalezione przezeń i współnika jego p. Gâche, na które we Francji wspólka ta uzyskała 15letni przywilej; że statki do przewozu ciężarów (*gabary*) i paropływy *holowniki*, zaprowadzi w ciągu jednego roku.

P. Guibert wybudował już we Francji 38 statków parowych, o jednej lub dwóch maszynach, któreto statki kursują na Saonie, Loarze, Sekwanie, Rodanie, oraz za granicą na rzekach mniejszej głębokości; np. statek parowy *l'Aigle* na 250 pasażerów, zagłębia się około 36 centymetrów, to jest 15 cali polskich; inny statek *Coureur*, odznacza się temż samemi zaletami.

Wspólnik p. Guiberta p. Gâche, na wystawie w Paryżu 1844 r. uzyskał medal złoty, za budowę statków parowych tak mało zagłębiających się, że nawet w czasie suszy kursować nie przestają.

Podług świadectwa udzielonego przez towarzystwo żeglugi parowej na rzece Neckar, dwa statki parowe przez przedsiębiorcę tego dostarczone, odznaczają się małym zagłębianiem się i lekkością ruchów, które do-

zwalają odbywać żeglugę wtenczas nawet, kiedy woda w korycie widocznie wysycha.

Towarzystwo żeglugi parowej na Mozelli poświadcza również, że z warsztatów przedsiębiorców Guibert i Spółka, otrzymało pięć statków, z których cztery opatrzone machiną parową siły 20 koni, przy ładunku 7,000 kilogramów czyli 171 centnarów, nie zanurzają się jak 27 centymetrów czyli 11 $\frac{1}{2}$ cali polskich; jeden zaś z machiną na 30 koni, zanurza się na 35 centymetrów czyli 14 $\frac{1}{2}$ cali polskich.

Gdy więc użyteczność statków parowych budowy p. Guibert praktycznie została udowodnioną, i znawcy chlubne wynurzyli zdanie o przedsiębiorcy i przedsiębiorstwie; udzielonym więc został pod dniem 4 września 1846 r. p. Guibertowi przywilój na lat 10 wyłączności, na zaprowadzenie i utrzymywanie żeglugi parowej na Wiśle, i rzekach w nią wpadających: Narwi, Bugu, Wieprzu i Pilicy, a to tak do przewozu passażerów, jako téż do holowania statków.

Przywilój ten następne między innemi obejmuje warunki:

Że paropływy pod żadnym pozorem nie będą ścieśniać kursowania innych statków, pozostawiając handlującym i właścicielom statków zupełną wolność żeglowania na rzekach, przywilejem objętych, w sposób, jak dla siebie za najkorzystniejszy uznają: to jest bądź za pośrednictwem żagli, linki lub wiosł, bądź za użyciem wszelkich innych sposobów, wyjąwszy statków parowych. Uzyskującemu przywilój służy prawo obierania miejsc najdogodniejszych do zakładania przystani i urządzania embarkaderów trwałych i wygodnych, a to za wiadomością i zezwoleniem Zarządu Kommunikacyj Łą-

dowych i Wodnych. Przy regulacyi koryta rzék, mosen będzie uprzętać zawaly, rafy, nasypy piasku i inne przeszkody, bieg statków parowych tamujące. Samo zaś przez się rozumie się, iż to się nie tyczy młynów i innych zakładów, na rzekach urządzonych. Granicę każdego portu i stacyj, wybranych przez p. Guibert, oznaczy policya spławu, a w obręb téj granicy żaden statek, prócz należących do p. Guiberta, zawijać ani stawać nie może bez jego zezwolenia.

Gdy przeznaczeniem paropływów jest utrzymanie regularnej żeglugi, przeto służyć im będzie prawo wyprzedzania wszelkich innych statków i tratw. Dlatego téż statki i tratwy, któreby w razie nizkiego stanu wody, z jakichbądź powodów osiadły na przesmyku, mianowicie w znaczniejszych zakrętach rzék, i z téj przyczyny bieg statków parowych utrudzały, obowiązane są, za zbliżeniem się paropływów, otworzyć tymże drogę przejścia, a gdyby tego własnymi środkami uskutecznić nie mogły, właściciel paropływów mosen będzie użyć siły statków swoich, celem uprzętnienia przeszkód.

Nim będą wydane szczegółowe przepisy, co do żeglugi parowemi statkami, paropływy w przystaniach i punktach zbiorowych, mają stawać w oddaleniu od innych statków; nie mogą szykować się z niemi w jednym rzędzie, lecz winny się zatrzymywać podług wskazań policyi spławnej, ażeby statków żaglowych nie narażały na ścieśnienie lub wypadki ognia.

Gdyby uzyskujący przywilój zamierzył kotły nierozsadzalne, jakich na paropływach swych używać będzie, zastąpić kottami wysokiego ciśnienia, w takim razie podda się przepisom ostrożności, jakie w téj mierze rząd mu wskaże.

Na przypadek uszkodzenia przez paropływy innych statków, zarządzone będzie śledztwo, z którego jeśli się okaże, że uszkodzenie to nastąpiło z powodu samych paropływów, właściciel obowiązany będzie do wynagrodzenia poszkodowanych, i naodwrot: gdyby się ze śledztwa okazało, że z winy innych statków lub traw, paropływy lub ich maszyny doznały szkody, właściciel paropływów będzie miał prawo poszukiwania takowych szkód na właścicielach statków lub traw, które uszkodzenie zrzędziły.

Gdyby uzyskujący przywilej, w przeciągu trzech lat po sobie idących, licząc od daty przywileju, nie zaprowadził na rzekach w przywileju wymienionych, przynajmniej dwóch paropływów z odpowiednią liczbą gabar czyli statków ładownych, i tych w ciągłym ruchu nie utrzymywał, przywilej ten za upadły uważany będzie.

Na zasadzie przywileju tego, p. Guibert sprowadził w następnym, to jest 1847 r. dwa statki parowe: holownik *Książę Warszawski*, i passażerski *Wisła*, jako też i jedną żelazną gabare.

Odbyta przez znawców rewizya statków tych i próba ich na Wiśle pod Warszawą w miesiącu listopadzie 1847 r., taki ich stan wykazała.

Statek passażerski *Wisła*, ma następane wymiary:

długość stóp pol. 91, cali 3, linij 10;
 szerokość — 11, — 4, — 3;
 głębokość od mostu do spodu . — 5, — 7, — 1;

Wymiarbeczkowy jego 21,08 beczek, uważając beczkę równą tysiącu kilogramom. Wartość jego rub. sr 25,000. Jest on trwale i wzorowo z blachy żelaznej zbudowany, wygodnie dla podróżnych urządzony, i w zupeł-

ności od wypadków rozbicia się zabezpieczony przez to, że jest podzielony na kompartymenta hermetyczne, z których uszkodzenie w jednym, nie przepuszcza wody do drugiego. Posiada on maszynę parową niskiego ciśnienia o sile 24 koni, wynalazku p. Gâche starszego z Nantes; kocioł opatrzonym jest we wszelkie środki zabezpieczające od eksplozyi, i w ten sposób urządzony, że gdyby nawet pęknięcie rury nastąpiło, żadne złe skutki z tego wypadku wyniknąć nie mogą. Statek zanurza się w wodzie na 17 cali polskich.

Po napełnieniu kotła zimną wodą i zupełném oziębieniu całego aparatu ogrzewalnego, statek w ciągu 25 minut przygotowany został do odpłynienia, a przestrzeń przeszło 3 wiorsty wynoszącą, przepłynął w ciągu 11 minut. Za cytadellą Aleksandryjską umyślnie wpędzony na mieliznę piaszczystą, za danym znakiem z nieporównaną lekkością siłą maszyny na wodę ściągnięty, zwrócił się pod wodę, i przebył też samą przestrzeń napowrót w ciągu 15 minut.

Ponieważ w téj próbie przekonano się, że maszyna posiada dostateczną siłę do żeglowania po Wiśle, która ma największą prędkość; przeto nie ulega wątpliwości, że i na innych rzekach statek będzie mógł z wodą i pod wodę żeglować tam wszędzie, gdzie wysokość będzie mieć 18 cali polskich, i gdzie w zakrętach statek 91 stóp długi, będzie się mógł obrócić. Z tego doświadczenia okazało się także, że odsepy piaskowe nieprzebyte dla innego rodzaju statków, nie stanowią dla statku tego żadnej przeszkody, gdyż wpadłszy na takowe, z największą łatwością może się z nich wycofać, i głębszej wody poszukać. Przy wymierzeniu zanurzania się statku, jak

również w czasie żeglugi, znajdowało się na pokładzie jego przeszło 30 osób.

Drugi statek holownik *Księżę Warszawski*, ma następujące wymiary: długość stóp pol. 138, cali 10, linii 8
 szerokość. — 12 — 7 — 8
 głębokość od pomostu
 do spodu — 5 — 10 — 10

Wymiar beczkowy 39^{13/100} beczek. Wartość 200,000 złp., czyli 30,000 rub. sr. Jest on jeszcze silniejszym od statku passażerskiego, a równie jak tamten zabezpieczony od rozbicia się. Opatrzony jest machiną parową niskiego ciśnienia, wynalazku p. Gâche starszego z Nantes, jako téż pompą parową, mogącą alimentować kocioł wtedy nawet, kiedy machina nie jest w ruchu. Pompa ta wylewa zarazem wodę ze statku, służy do oczyszczenia jego i do polewania pomostów; co stanowi wielkie udogodnienie. Statek ten tém się różni od pierwszego w budowie, że się może rozebrać na dwie połowy, i tak być prowadzony przez śluzy, w którychby się cały nie mógł pomieścić.

Głębokość zanurzenia statku, zmierzona dwojakim sposobem, to jest wewnątrz i zewnątrz, wynosi od 19 do 20 cali polskich. Kotły parowe w przeciągu pół godziny, utworzyły parę dostateczną do wprawienia w ruch maszyny o sile 60 koni. Statek ten puszczonej z wodą, ubiegł przeszło 5 wiorst w przeciągu 20 minut, a spotkawszy ciężko obciążoną berlinkę, zahaczył ją, i w przeciągu 11 minut dwie wiorsty pod wodę holował. Opuścił ją na przykomorku, i doszedł do mostu w przeciągu 13 minut; przyczém machina jego żadnej różnicy w ruchu i prędkości swój nie okazywała.

Przy próbach tych uważano, że maszyny parowe na obu statkach działały z taką lekkością, że ich ru-

chu na statku wcale słyhać nie było; co jest najlepszym dowodem umiejętności i dokładnej ich budowy. Służba na statkach wykonywała swą czynność z zadziwiającą zręcznością i przezornością, jakich tylko w podobnych tego rodzaju przedsiębiorstwach wymagać można. A zatem przedsiębiorstwo takowych statków parowych nie chybi swego celu, i stanie się jedném z najużyteczniejszych dla tutejszego kraju, przedstawiając wszelkie bezpieczeństwo dla podróżnych i transportowanych przedmiotów, już przez to samo, że maszyny parowe pomimo zupełnego ubezpieczenia ich kotłów, nie potrzebują pary mocniejszej nad ciśnienie 4 funtów na cal kwadratowy, czyli około $\frac{1}{4}$ atmosfery, co nawet w razie zaniedbania kotłów, nie wystawia ich na niebezpieczeństwo.

Takato jest o tych statkach opinia biegłych, która i następnie okazała się zupełnie uzasadnioną.

Gabar, to jest statków żelaznych do splawiania produktów, w 1848 r. było 5; dziś gotowych jest już 8, ma zaś ich być 12.

Gabary te są dwojakiemu gatunku: większe i mniejsze. Pierwsze mają długości stóp 152, szerokości 12, głębokości 6; drugie téj saméj szerokości i głębokości, są długie na stóp 140; większe przyjmują 1000, mniejsze 800 korcy zboża. Tak są lekkie, że próżne zaledwie 6 do 7 cali zanurzają się, a mając na sobie ładunku 13 do 14 łasztów, zanurzają się prawie tyle, ile próżne berlinki. Z tego zatem powodu mają nad temi ostatniemi wyższość, bo w każdym niemal stanie wody, do splawu użytemi być mogą. Opatrzone są one żaglami, i prócz tego holowane są przez statki parowe, przez co podróż ich jest szybsza i mniej ryzykowna, bo nieszczęśliwy przypadek uszkodzenia, prędzej statek parowy, aniżeli gaba-

rę dotknąć może. Są one podzielone na 5 oddzielnych komor, żadnej komunikacji z sobą nienających, z których trzy tylko ładują się produktami, a dwie pozostają na pomieszczenie służby i narzędzi. Tym sposobem w razie nawet wydarzyć się mogącego przypadku, przedziurawienia części statku, ta tylko część transportu bywa zagrożoną, pod którą nastąpi przedziurawienie; inne zaś przegrody są zupełnie bezpieczne. Naostatek administracya żeglugi parowej ma liczną osadę na statkach swoich, i w karności ją utrzymuje; udzielenie więc pomocy transportowanym towarom może być silniejsze i skuteczniejsze, aniżeli na innych statkach. Wszystko to stanowi rękojmią prawie zupełnej pewności transportów gabarami spławianych.

W celu możności korzystania z udzielonego przez rząd przywileju na takową żeglugę parową na rzekach królestwa, zawiązane zostało w dniu 27 kwietnia 1848 r. towarzystwo, pod firmą: Spółka handlowa Andrzej hr. Zamojski et Comp. Zarząd części technicznej oddany p. Guibert; administratorem zaś przedsięwzięcia jest Andrzej hr. Zamojski, jeden ze współników, i we wszystkich zobowiązaniach Spółki, jego tylko podpis, lub kogo on od siebie umocuje, jest prawny i ważny.

Miejsce prawnego zamieszkania Spółki téj i jój siedzisko, z kąd przedsięwzięcie kierowaném będzie, jest w Warszawie, w pałacu rzezonego hr. Zamojskiego, pod nr. 1245 lit. B., pod nazwiskiem: Biuro Głównego Zarządu Żeglugi Parowej.

A tak żegluga parowa, która przed dwudziestu kilku laty uważaną jeszcze była za marzenie, już od roku 1847, dzielnie przyczynia się do postępu handlu w naszym kraju.

Urządzenie w Warszawie przystani dla statków.

Miasto **Warszawa** przy wzmagającej się ludności i pomnożonych stosunkach handlowych, nie ma dotąd składu wodnego czyli obszernej przystani przy Wiśle, gdzieby spoczywać i zawijać mogły: statki wszelkiego gatunku, ładowne i nieładowne, zboże, towary, łyżwy od mostu, drzewo do budowli i na opał, oraz wielorakie przedmioty na potrzebę miasta i na spław do Gdańska przeznaczone.

Z tego niedostatku wynika, że wszelkie płody krajowe, a mianowicie drzewo budowlane, nie znajdując nigdzie pewnego stanowiska na rzece, muszą bez zatrzymywania być prowadzone do Gdańska, i tam w stosunku zmuszonych właścicieli i samowolności kupców miejscowych, mniej więcej za bezcen zbywane. Gdyby zaś był przy mieście port obszerny i bezpiecznie urządzony, do którego w każdym czasie towary zawijać i w nim dowolnie na składzie pozostać mogły, i gdyby właścicielom ich pod pewnymi warunkami zaliczenia udzielane były; jasna rzecz, że trwający oddawna monopol obcych kupców na płody nasze ustałby, i ci dla nabywania towarów zniewoleniby byli tu przyjeżdżać, tu się o cenę ich umawiać, i tak Warszawę coraz bardziej za miejsce składowe wszelkiego handlu obrać i uważać.

Założenie wielkiego, bezpiecznego i wygodnego składu, choćby tylko na samo drzewo, już wielkiej byłoby wagi. Drzewo mogłoby tu spoczywać przez długie lata, bez nadwerężenia wewnętrznej wartości; nie byłoby podległe owemu prędkiemu psuciu, jakiemu teraz ulega, kiedy mokre wytaczane jest na ląd i składane w wielkie, kisanące stosy. Ztąd także wynikłoby, że nadbrzeże Wisły

takimi stosami teraz zawalone, mogłoby z wielką korzyścią być użytém na budowie i zakłady różnego rodzaju, do czego bardzo jest dogodném. Ale prócz tego, ileż za każdą powodzią nie widzimy porwanych i straconych kryp, galarów, statków ze zbożem, solą, wapnem, kamieniami i innemi towarami! Znalazłyby one wszystkie w przystani bezpieczne schronienie.

Ponieważ Holandya od dawnych lat miała liczne tak zwane porty bezpieczeństwa, na jakich miastom położonym nad Renem zbywało; statki więc tą rzeką płynące przynaglone były, zwłaszcza przy zbliżającej się porze niepogody, w owych jój portach szukać schronienia. Ztąd splawność i handel nadbrzeżnych Renu okolic, wielkiego doznawały uszczerbku. Gdy następnie rozważono, ile takie miejsca spoczynku przyczyniają się do porządnój splawności, ożywienia i ułatwienia stosunków rozmaitej zamiany, nie szczędzono na ten cel znacznych kapitałów, i na rozległości 28 mil urządzono nad Renem przy Mouguncyi, Coblentz, Kolonii, Düsseldorf i Rührort pięć znakomitych portów, z których wystawienie najmniejszego kosztowało 150 tysięcy talarów. Ludność, dobry byt miast tych, odtąd widocznie się podniosły, ruch handlowy się pomnożył, a koszta frachtu zmniejszyły; a jednak żaden z portów tych nie obejmuje nawet trzeciej części tój obszerności, jakąby nadać można przystani pod Warszawą: bo téż pewnie nader rzadkiém jest zdarzenie, aby w bliskości wielkiego, ludnego miasta, znalazła się miejscowość, tak jak tu pod tym względem dogodna.

Przystań u nas mogłaby być urządzona pod Pragę, oparta o drogę bitą do Brześcia. Odpowiedniość miejsca dozwala nadać jój obszerność 166 morgów; a więc pomieściłaby mogła 50,000 tak zwanych belek kupieckich,

oraz kilkaset statków różnej wielkości, łącząc w to wszystkie łyżwy mostowe. Wierzch grobli otaczającej przystań, wyniesiony być winien nad najwyższy stan wody na Wiśle praktykowany. Zdawałoby się najwłaściwszém zaopatrzenie przystani téj wodą Wiślaną; lecz gdy Wisła wiele mady przynosi, z którego to powodu port często czyściłoby wypadało, a co mogłoby rocznie kosztować do 36,000 złp.; gdy nadto zgłębienie portu tak, ażeby woda Wiślana i podczas najniższego stanu wchodzić do niego mogła, również znacznego wymagałoby kosztu; przeto byłoby odpowiedniej celowi port ten opatrzyć czystą wodą strumieniową. Rzeka Świder, mająca przepływu średnio na sekundę 300 stóp kub. zamiarowi zupełnie odpowiedzieć, jeżeli od wsi Ryczycy, przez wsie Błoto, Borków, Zasław, Wawer i Goclawek, kanałem do portu sprowadzoną zostanie. Przestrzeń ta od wsi Ryczycy do portu, wynosi około 3 mile długości; a że różnica w stanie wody w tych dwóch punktach jest stóp 38, przeto kanał dający wodę portowi, mógłby być nawet do małej żeglugi urządzonej, za pomocą kilku śluz, po 5 stóp spadku. Byłby on więc długi na 11,982 sążni; szerokość u dna nadałoby mu wypadało 4 sążnie, u powierzchni wody 6 sążni; głębokość stóp 3 najmniej.

Według przybliżonego obliczenia, zupełne urządzenie przystani oraz kanału, wynagrodzenie za zajęte grunta, młyny i użytki wody, kosztowałoby mogło do 959,800 złp.

Na przedmiot ten, tak wielce handel obchodzący, Bank Polski zwrócił już swoją uwagę.

Towarzystwa ubezpieczeń.

Celem uchronienia właścicieli transportów od szkód, a czasem i utraty całego majątku z wypadków losowych, jakie przy prowadzeniu transportów tych wydarzyć się mogą, potworzyły się liczne towarzystwa ubezpieczeń.

Handel królestwa odbywany drogą wodną, jest rozległy, a żadnej nie było instytucji ubezpieczeń; prowadzący więc transporta, udawali się z zabezpieczeniem takowych do towarzystw zagranicznych. Pokróćce więc tu wspomnimy tak o tych, które przyjmowały ubezpieczenia na rzekach królestwa, jako téż i o niektórych innych.

W liczbie 13 towarzystw ubezpieczeń w cesarstwie rosyjskiém istniejących, mieszczą się trzy od ognia, jedno na życie, jedno ubezpieczenie bydła, i ośm zabezpieczeń transportów lądowych i wodnych.

A) Wyłącznie morskie są:

1) Taganrogskie morskie towarzystwo ubezpieczenia. (Таганрогская морская Страховая Компания).

2) Noworossyjskie morskie towarzystwo ubezpieczeń w Odessie. (Новороссійская морская Страховая Компания въ Одессѣ).

3) Drugie towarzystwo odeskie pod nazwiskiem: Страхое отъ морскихъ опасностей Общество въ Одессѣ, подъ названіемъ Соединенныхъ Страховщиковъ.

4) Greckie towarzystwo ubezpieczeń w Odessie (Греческая Страховая Компания въ Одессѣ).

5) Odeskie towarzystwo morskie pod nazwiskiem: Przyjaciół kupców.

6) Takież towarzystwo pod firmą Надежда (nadzieja).

B) Do żeglugi na morzu i rzekach:

1) Towarzystwo żeglugi parowej i ubezpieczeń na rzekach **Woldze i Kamie**. (Общество пароходства и страхованія по рѣкамъ Волгѣ и Камѣ).

2) **Petersburskie** towarzystwo ubezpieczenia na rzekach i morzu. (Учрежденное въ С. Петербургѣ морское и рѣчное Страховое Общество).

Towarzystwa niemieckie:

1) Towarzystwo wrocławskie, *Breslauer-Strom-Assecuranz-Companie*.

2) Dwa berlińskie: 1. *Land und Wassertransport-Versicherungs-Gessellschaft*. 2. *Elbschiffahrts und Assecuranz-Gesellschaft*.

3) Towarzystwo lipskie, *Fluss-Assecuranz-Companie*.

4) Towarzystwo wiedeńskie. *K.K. privil. erste Österreichische Versicherungs-Gesellschaft*.

5) Dwa tryestskie. 1. *Riunione Adriatica di Sicurta*. 2. *Azienda Assicuratrice*.

Francuzkie:

1) *Compagnie d'assurances générales maritimes*.

2) *Mélusine; Compagnie d'assurances maritimes et des prêts à la grosse*.

3) *L'Indemnité, Compagnie d'assurances maritimes*.

4) *L'union des ports, Compagnie d'assurances maritimes*.

Belgijskie:

1) *Comptoir special d'assurances maritimes*.

2) *Union Belge et étrangère*.

3) *Securitas, Compagnie d'assurances d'Anvers*.

4) *Cinquième Compagnie d'assurances maritimes à Anvers*.

Większa część wymienionych towarzystw zabezpieczenia w cesar. rosyjskiem, założonych przez prywatnych przedsiębiorców, ma przez rząd udzielone zapewnienie, że przez pewien przeciąg czasu, żadnym innym towarzystwom zagranicznym nie będzie wolno przyjmować zabezpieczeń, uprzywilejowanym towarzystwom rosyjskim dozwolonych.

Nie posiadając ustaw towarzystw tych nie o nich powiedzieć nie możemy.

Co się zaś tyczy wymienionych towarzystw: niemieckich, francuzkich i belgijskich, wszystkie one mają jeden cel, to jest zabezpieczenie spławów, czyli zapewnienie odpowiedniego wynagrodzenia, za szkody w ubezpieczonych przedmiotach, przez losowe przypadki podczas żeglugi lub przewożenia, zrządzone. Różnią się tém tylko, że jedne ograniczają ubezpieczenia do samych płodów i towarów morzem, rzekami lub kanałami spławianych; drugie wynagradzają nadto uszkodzone okręty i statki; inne rozciągają ubezpieczenie do transportów lądowych na kolejach żelaznych, drogach bitych i innych; inne wreszcie łączą zabezpieczenia spławów z innymi rodzajami ubezpieczeń.

Wszystkie te instytucje, zaprowadzone zostały za upoważnieniem właściwego rządu, przez prywatnych kapitalistów i kupców, składających towarzystwo akcyjne na zysk lub stratę, z ograniczeniem téj ostatniej do pewnej części ogólnego kapitału zakładowego, i z zastrzeżeniem sobie możności rozwiązania spółki przed oznaczonym czasem jój trwania, na wypadek niepomyślnego powodzenia.

Z natury tych towarzystw wypływa, że zarząd i kierunek działań zależy od samych akcyonaryuszów, którzy

w miarę posiadanych akcji, mają po jednym, dwa i więcej głosów na zgromadzeniach ogólnych, na których nietylko rozstrzygają się najważniejsze kwestye, ale oraz wybierani są członkowie dyrekcji komitetu, i inne osoby, mające udział w administracji.

Dla bliższego poznania zasad i środków tego rodzaju instytucyj, które wszystkie są mniej więcej do siebie podobne, przytaczamy główne przepisy ustaw zatwierdzonych przez rządy, dla towarzystw najbliższych królestwa: wrocławskiego i dwóch berlińskich.

Towarzystwo wrocławskie zabezpiecza towary i przedmioty kupieckie w państwie pruskiem, do wyprowadzenia i wprowadzenia, tudzież do przewozu (transito) dozwolone, na rzekach splawnych i kanałach, mianowicie: Elbie i Odrze z Hamburga i Magdeburga i jej kanałach z Szczecina, Berlina i Frankfurtu; na Nogacie i Wiśle z Królewca, Elbląga i Gdańska do Szlązka przywożone, lub z niego wysyłane, bez względu czy wyprawiający są krajowcy, lub cudzoziemcy (§ I Ustawy).

Towarzystwo to założone jest na 400 akcji, każda po 250 talarów, co uczyni tal. 100,000. Fundusz ten i tworzący się kapitał rezerwowy 25,000 talarów, stanowią rękojmią dopełnienia zobowiązań, przez towarzystwo przyjętych (§ 2).

Wyjęte są zpod ubezpieczenia: proch, siarka, smoła, żywica, siano, słoma, terpentyna, witryol, niemniej towary zakazane w handlu. Połączenie takich wyłączonych przedmiotów z towarami ubezpieczonymi w jednych pakach lub obok nich, pozbawia zabezpieczonego właściciela prawa do wynagrodzenia za doznaną szkodę, a nawet czyni go odpowiedzialnym za wszelkie uszkodzenia, zrządzone przez to w innych przed-

miotach, i pociąga za sobą karę na rzecz towarzystwa, wyrównywającą 10 razy wziętej składce, jaka opłaconą została (§ 5).

Ceny fakturowe towarów ubezpieczyć się mających, są zasadą do stanowienia wysokości ubezpieczenia; do czego na żądanie ubezpieczającego dolicza się nadto 5 do 10%, jako zysk z handlu spodziewany.

Umowa o zabezpieczenie przychodzi do skutku przez opłacenie składki z jednej, i wręczenie polisy lub proste ostępowanie listu frachtowego na miejscu wysłania, przez agenta z drugiej strony.

Wysokość składki stanowi się trzykrotnie w ciągu roku. Wszelką szkodę zrzadzoną w ubezpieczonych towarach przez burzę, wiatr, słońce, wylew, rozbicie się statku, uderzenie o brzeg, starcie się, wywrócenie, zahaczenie, przez płynienie kry, napędzenie lodu, i przez ogień podczas spławu, towarzystwo wynagradza; a przeciwnie, wszelkich innych nie wynagradza szkód, wynikających z gwałtownego zabrania, kradzieży, zaburzeń, zgiełku, napadu, rabunku, konfiskaty i wszelkich innych przyczyn, nie od losu zależących.

Ubezpieczenie zaczyna się od chwili podpisania świadectwa (police), a kończy z zupełnym wyładowaniem towarów na miejscu przeznaczenia, tak, iż te nawet szkody bywają wynagradzane, które przez nieszczęśliwe przypadki wydarzą się przy ładowaniu i wyładowywaniu (§ 8).

Żadna szkoda wynosząca tylko 3% lub mniej wartości w polisie wyrażonej, nie wynagradza się; któryto procent 3% potrąca się także przy wynagrodzeniu szkody, więcej nad 3% wynoszącej. Jeśli zaś szkoda przewyższa 10%, towarzystwo ma prawo i obowiązek towary

zatrzymać, a ubezpieczonemu całą sumę z spodziewanym zyskiem od 5—10% wypłacić (§ 9).

Towarzystwo berlińskie (Elbschiffarts und Assecuranz-Gesellschaft) ma cel trojaki: 1) zapewnienie porządnego, bezpiecznego i szybkiego transportu wodą z Berlina do Hamburga i Altony, tudzież z Altony i Hamburga do Berlina, na rzekach: Sprei, Hawlu i Elbie, tudzież na kanale plaueniskim; 2) zabezpieczenie własności członków towarzystwa od niebezpieczeństwa na pomienionych wodach; 3) opędzanie kosztów i prowadzenie całego przedsięwzięcia funduszem przez akcye zebranych, na wspólny zysk lub stratę.

Członkowie jego jedni są akcyonaryuszami, 700 akcyj po 300 talarów, co uczyni 210,000 tal.; drudzy odstawcami (Verlader), to jest przewożącymi ubezpieczone towary na statkach do tego przeznaczonych i cechowanych (§ 1, 2, 30).

Staranie o należyte dopilnowanie praw towarzystwa i dopełnianie zobowiązań, niemniej zarząd majątku i kierunek wszelkich czynności, porzucony jest wybranym z pomiędzy członków 21 przelożonym (Vorsteher, § 9), którzy wybierają corocznie siedmiu administratorów i pełnomocnika w Hamburgu (§ 10 i 12).

Wszelkie spory załatwiają się w drodze polubownej (§ 17).

Tylko kupcy do berlińskiego zgromadzenia należący, mogą nabywać akcye (§ 18), których więcej nad 10 nikt posiadać nie może (§ 22).

Składki wynoszą od przewozu z Altony i Hamburga do Berlina, a tak samo i odwrotnie, jeżeli ciężar ma wartości:

180	—	260 talarów			sr. gr.	18
261	—	1,000	--		—	27
1,001	—	2,000	—	tal.	1	6
2,001	—	4,000	—	—	2	6
4,001	—	8,000	—	—	4	6
8,001	—	18,000	—	—	6	6
18,001	—	i więcej	—	—	12	6

nad zwyczajną opłatę frachtową (§ 32).

Wynagrodzenie szkód odbywa się podług następujących zasad:

a) Każdy przedmiot należący do członka towarzystwa uważa się za ubezpieczony, jeżeli za pośrednictwem upoważnionych do tego osób, na transport przyjętym został, w którymto razie podpisywanie polisy jest niepotrzebne.

b) Przedmioty należące do innych właścicieli, niebędących członkami towarzystwa, uważają się za ubezpieczone po wydaniu kwitu, którego duplikat przesyła się natychmiast administracji (§ 34).

Wolno administracji wyłączyć od ubezpieczenia przedmioty grożące szczególném niebezpieczeństwem, a nawet na czas szczególnie niebezpieczny lub dla innych okoliczności, określić termin, w którym ubezpieczenie miejsca mieć nie może.

Bezwarunkowo są wyłączone od ubezpieczenia: proch, kwas siarkowy, wityriol i wapno (§ 34).

Ubezpieczenie zaczyna się od chwili władowania, i trwa do wyładowania towarów; szkoda przy ładowaniu i wyładowywaniu nie wynagradza się (§ 34); nie wynagradza się także szkoda, pochodząca z zatrzymania się statku na żądanie ubezpieczonego.

Towarzystwo wynagradza wartość rzeczywistą fakturami usprawiedliwioną, lub też podług cen targowych, z doliczeniem opłaconych kosztów, cła i t. p. Szkody częściowe oceniają biegli, wybrani z obu stron po jednym, a gdy ci nie zgadzają się, przybrany przez nich trzeci (Obmann) rozstrzyga.

Drugie towarzystwo berlińskie, *Land und Wassertransport - Versicherungs - Gesellschaft*, ma rozciąglejszy zakres działań; ubezpiecza bowiem transporta nietylko wodą, ale i lądem prowadzone, i to w obrębie całego związku celnego niemieckiego, a nadto na całej Wiśle, Elbie, Renie, Wezerze i rzekach ubocznych (art. 1 Ust.).

Oparte jest na kapitale zakładowym 250,000 talarów, 500 akcji po 500 talarów, tworzącym się z części, potrącanej przy podziale diwidendy (§ 5 i 8).

Zarząd ogólny należy do akcyonaryuszów, a kierunek czynności bieżących do dyrekcji i pełnomocników (§ 23).

Dyrekcya składa się z 5 członków i 3 zastępców, wybranych na lat 5, posiadających najmniej po 5 akcji, które jako rękojmia złożone są w kassie towarzystwa (§ 34 i 35).

Warunki do ustawy dołączone przekonywają, że towarzystwo przyjmuje na swoje *risico* i rachunek, za poprzedniem uiszczeniem składki, zabezpieczenie przedmiotów i towarów podczas ich przewozu na wodzie, czyto statkami żaglowemi, czy parowemi, na kolejach żelaznych, na drogach bitych i t. p. Może jednak odmówić przyjęcia ubezpieczenia według swego uznania, bez przytaczania powodów. Ubezpieczenie zawarte jest w ograniczonej przestrzeni, od miejsca wladowania do miejsca wyładowania, i w przeciągu czasu, na uskutecznienie transportu oznaczonego (§ 2).

Oprócz poniesionych szkód, wynagradza także towarzystwo kosztą ratunku bez względu na skutek, tudzież kosztą przeładowania na inny statek i przechowania przedmiotów (§ 3).

Towary w skutek nieszczęśliwego przypadku na składzie złożone, poręcza towarzystwo przez 48 godzin, a nawet ma prawo dostarczyć je do miejsca przeznaczenia w sposób, jaki za odpowiedni uzna. Szkoda z opóźnienia transportu wynikająca, nie nadaje prawa do wynagrodzenia (§ 4).

Ubezpieczenie następuje podług deklaracji ubezpieczającego, która powinna zawsze obejmować, oprócz natury i wartości towarów, ilość, znaki i numera collis, nazwisko właściciela statku (szypra) i rotmana, jako téż nazwisko statku lub numer, z wyrażeniem przestrzeni lub czasu, na które ubezpieczenie ma się rozciągać.

Poręczenie zaczyna się z podpisaniem polisy, lub gdy ta już przed ładowaniem podpisaną została, z chwilą przeniesienia przedmiotów na statki przewozowe; kończy się o 12 godzinie dnia oznaczonego, a jeśli czas nie oznaczony, po wyładowaniu towarów na ląd w miejscu przeznaczenia. Jeżeliby jednak w 15 dni po przybyciu wyładowanie nie nastąpiło, poręczenie ustaje.

Wszystkie inne zasady i przepisy postępowania tych towarzystw, objęte są szczegółowemi urządzeniami.

Towarzystwo wiedeńskie tém się tylko różni od wszystkich pruskich, że zabezpieczenia transportów tak wodnych jak i lądowych, łączy z zabezpieczeniami nieruchomości i ruchomości od pożarów, tudzież zboża od gradobicia.

Towarzystwa: tryestskie, wrocławskie i berlińskie, przyjmowały ubezpieczenia na rzekach królestwa: Wi-

śle, Bugu i Narwi, wymagając następnych opłat od 1,000 wartości ubezpieczonych przedmiotów:

Wymienienie punktów	Towarz. tryestskie	Towarz. wrocław.	Towarz. berlińskie
<i>Na Wiśle.</i>			
Do Warszawy: od Krakowa	9,50	.	.
— — — Opatowca	7,50	.	.
— — — Sandomierza	5,00	.	.
— — — Kazimierza Dolnego.	2,50	1,66	.
Z Warszawy do Gdańska	8,33	8,33	7,50
Z Włocławka do Gdańska	3,33	4,00	5,00
Z Warszawy do Torunia	5,00	4,00	3,00
— — — Elbląga	7,50
— — — Bydgoszczy	5,00	4,00	2,50
— — — Landsberga lub Küstrina	7,50
— — — Berlina lub Szczecina .	.	.	8,20
— — — Poznania	10,00
<i>Na Bugu,</i>			
Od wsi Granna (powyżej ujścia Nurca)			
do Warszawy	5,00	.
— — — Gdańska	15,00	11,66	.
<i>Na Narwi.</i>			
Od Tykocina do Warszawy	6,00	.
— — — Gdańska	17,50	12,50	.

Lecz z powodu strat jakie ponosiły, towarzystwa te usunęły najprzód od ubezpieczeń wszelkie statki niezagłowe, a następnie działania swe w królestwie prawie zupełnie zamknęły.

Położenie kraju pod względem ustalonych jego przemysłowych i handlowych stosunków, jak skłaniało rząd do ułatwienia dróg odbytu na płody i wyroby krajowe, a w szczególności do ulepszenia splawów nader dogodnie, i przy zmniejszonym nakładzie przeprowadzających

transporta, tak zwróciło uwagę jego na zabezpieczenie transportów tych od wypadków losowych, a przez to następczo handlującym tych samych środków ochronnych, jakich za granicą szukać byli zniewoleni, a których im teraz odmawiano.

Towarzystwo Ogniove zwróciło na siebie uwagę rządu. Instytucja ta zaprowadzona z początkiem 1817 roku, rozciągnąwszy od 1834 roku zakres działań swoich do ubezpieczenia własności ruchomych, doszła stopniowo do tego stanu, że odpowiadała zamiarom rządu i potrzebom mieszkańców. Jój więc nadał rząd rozleglejszy zakres działań, pozwalając przyjmować zabezpieczenia transportów lądowych i wodnych.

Zaraz więc z rozpoczęciem żeglugi w 1844 r. otrzymawszy nazwę Dyrekcyi Ubezpieczeń, zaczęła przyjmować ubezpieczenia towarów wodą spławianych, a następnie ustawa na d. 13 maja 1845 r. nadana, sposób przyjmowania zabezpieczeń wskazała.

o Dyrekcyi Ubezpieczeń w królestwie Polskiem.

Według rzeczonój ustawy, Dyrekcyja Ubezpieczeń przyjmuje ubezpieczenia od strat, przy spławianiu ziemiopłodów, towarów i wszelkiego rodzaju ruchomości wydarzyć się mogących, a to na rzekach: Nidzie, Sanie, Wieprzu, Bugu, Narwi, Pilicy, Warcie, Prośnie i Wiśle, oraz przez Biebrzę i kanał Augustowski, Niemnem aż do Memla transportowanych. Zabezpieczenie to rozciąga się nietylko w obrębie królestwa, ale aż do samego ujścia wymienionych rzek; w Prusach bowiem dopięro są główne punkta handlowe, do których większa część

towarów jest przeznaczona. Zabezpieczenie więc strat w towarzystwach zagranicznych, bez dozwolenia Dyrekcyi Ubezpieczeń jest zabronioném pod karą piénieżną, wyrównywającą pięć razy wartości składki towarzystwu zagranicznemu zapłaconej, której połowa przeznaczoną będzie donosicielowi.

Nadto, jeżeli właściciel ubezpiecza też same przedmioty w kraju, wydarzyć się mogąca strata wcale nie będzie mu wynagrodzoną.

Dyrekcya Ubezpieczeń mocną jest wszakże udzielić pozwolenie zabezpieczenia się w towarzystwie zagraniczném, bądź z własnego uznania do tego powodów, lub jeżeli wartość przedmiotów do ubezpieczenia podanych, zakres jój działań przechodzi (art. 5).

Dyrekcya wynagradza przy spławie: szkody zrządzone przez burzę, wiatr, nawałnicę, uderzenie piorunu, pożar przypadkowy, przez wylew wody, złamanie lub rozbicie statku, przez uderzenie, wywrócenie wśród kry, pod mostami lub przez śluzy, tudzież, gdy szkoda nastąpiła z powodu, że statek osiadł na mieliznie.

Wyłączone są od ubezpieczenia: proch, siarka, saletra, witryol, smoła, żywica, terpentyna, oraz całe transporta, przy którychby tego rodzaju przedmioty znajdowały się (art. I).

Czas zwyczajny, w którym przystępowanie do ubezpieczenia spławów jest dozwolone, zaczyna się z d. 1 kwietnia każdego roku, a kończy się z d. 1 listopada. Po tym ostatnim terminie, jeżeli Dyrekcyja dla sprzyjających okoliczności ubezpieczenia dozwoli, składka taryffą oznaczona o 50% podwyższoną zostanie.

Dzień i godzina wniesienia opłaty ubezpieczenia, stanowi datę, od której się toż ubezpieczenie zaczyna; staje

się zaś obowiązującym dla Dyrekcyi, od chwili naładowania części lub całości towarów, na statek deklaracją objęty.

Ubezpieczenie splawów kończy się: a) jeżeli czas trwania onegoż był wyraźnie zakreślony przy ubezpieczeniu, o godzinie 12 w południe dnia oznaczonego; b) jeżeli nie było zakreślonego czasu trwania ubezpieczenia, wtenczas, gdy przedmioty ubezpieczone staną na miejscu przeznaczenia.

Wyładowanie przedmiotów ubezpieczonych w miejscu ich przeznaczenia, ma następować niezwłocznie. Gdy jednak mogą w téj mierze zachodzić przeszkody, zostawia się przeto do ich załatwienia dziesięć dni czasu, po upływie których, Dyrekcyja za żadną szkodę już nie odpowiada.

Summa ubezpieczenia, ustanawia się wedle faktur, średnich cen targowych, lub podania właściciela; a wysokość składki, według zasad taryfły obowiązującej.

Zasady te są:

1) Rodzaj statków. Te dzielą się: a) na żaglowe większe, to jest berlinki, półberlinki i łodzie żaglowe; i żaglowe mniejsze, jakoto: dubasy, jadwiżki, szkuty, małe krymki lub jakiebądź statki żaglowe; b) na statki niezaglowe, do których należą: wszelkie galary: bużne, narwiane, ulanowskie, krakowskie, i inne tego rodzaju statki, tudzież tratwy.

2) Istota przedmiotów ubezpieczonych, pod względem trudności ratowania ich w razie wydarzonego przypadku. Przy transportach wodnych, dzielą się te przedmioty na dwie klasy: pierwsza takich, które nie niszczeję i nie rozpraszają się w wodzie; druga takich, które niszczeję w wodzie lub rozpraszają się.

Taryffa oznacza opłaty od przedmiotów piérwszój klasy. Od przedmiotów należących do klasy drugiej, pobieraną jest opłata o 20% wyższa, od opłaty w taryffie oznaczonej.

Wysokość summy ubezpieczenia na jednym statku, zależy od uznania Dyrekcyi; wszakże summa ta nie może przewyższać: na statku żaglowym r. s. 24,000, na galarze r. s. 6,000.

Szczegółowe przepisy o postępowaniu i czynnościach w ciągu trwania ubezpieczeń, o postępowaniu w razie uszkodzenia transportu lub zniszczenia ładunku, o przyznaniu i wypłacie wynagrodzenia i t. d., zawarte są w Ustawie, przez Dyrekcyą Ubezpieczeń drukiem ogłoszonej. W związku z ustawą tą zostaje i instrukcyja, wydana pod d. 4 marca 1848 roku dla kommissantów spławu, do czynności tych ustanowionych.

Przystępując do przyjmowania ubezpieczeń spławów, Dyrekcyja ułożyła taryffę opłat, biorąc za zasadę do niéj stosunek, wynikły z przecięcia opłat pobieranych przez towarzystwa tryestskie, wrocławskie i berlińskie, i mając wzgląd na to, że statki niezaglowe są dwa razy niebezpieczniejsze od żaglowych, a te, które ustawa pod nazwą statków żaglowych mniejszych wskazuje, są pośrednie co do bezpieczeństwa pomiędzy żaglowemi większemi i niezaglowemi. Obecnie istniejąca taryffa, to jest na rok 1849 obowiązująca, co do wód krajowych, ułożona jest wedle następujących zasad, zmienionych co do rodzaju statków i czasu, w jakim spław ma miejsce.

Na każde mil 10 od 1000 summy ubezpieczonej.			
W epoce	Na rzekach klasy	Na statkach	
		żaglowych większych i mniej- szych	nieżaglo- wych
Wiosennej, to jest od otwarcia żeglugi do 15 sierpnia.....	I.	1 1/2	3
	II.	1 3/4	3 1/2
	III.	2 1/2	5
W epoce jesiennej, to jest od 15 sierpnia, do zamknięcia żeglugi..	I.	1 3/4	3 1/2
	II.	2	4
	III.	3	6

Poprzednio co do poboru opłaty, statki żaglowe podzielone były na większe i mniejsze, i od każdego rodzaju osobna opłata była pobierana. Myśl takowego podziału statków, poszła z zapatrzania się na ustawy i taryfły towarzystw hamburskich i berlińskich; tam albowiem na rzekach, na których towarzystwa te ubezpieczają, do transportów używane są dwa rodzaje statków. Lecz największe z nich, to jest szkuty i berlinki, ściśle biorąc należałyby u nas do statków klasy II, bo rozmiar ich i objętość są prawie o trzecią część mniejsze od tych wymiarów naszych statków żaglowych, a to z przyczyny wązkich wód i kanałów, jakie te statki na Odrze, Sprei i innych rzekach przepływać muszą. Budowa ich wszakże jest doskonała, i wszelkie warunki bezpieczeństwa przedstawiają. Ukazują się one czasem u nas pod nazwą: *Schutten*, *Oder-Kähne*, albo *Kanal-Kähne*. Drugi gatunek statków na tamtych wodach używanych, stanowią małe łodzie naksztalt naszych bajdaków lub krypek. Te, przebiegają małe przestrzenie i służą do mniejszych transportów; płyną za pomocą żagli, i zwykle tylko dwóch mają ludzi do prowadzenia. Bezpieczeństwo ich jest daleko mniejsze, jak powyżej opisa-

nych, zwłaszcza na śluzach, wodospadach (na Renie) i t. p. Z tychto powodów towarzystwa zagraniczne rozgatkowały statki, na których ubezpieczają, na dwie klasy. U nas wszakże statki żaglowe różnią się tylko wielkością, bo dobroć budowy, jak doświadczenie przekonało, jest równą, i warunki bezpieczeństwa nieledwie przeważają na statkach żaglowych mniejszych, z przyczyny, iż mniejszej potrzebują wody, a tém samym łatwiej mijają prądy i zawały, które są główną przyczyną klęsk doznawanych na Wiśle. Handlujący nawet pewniejsi są na nich swojego mienia, mniej też na nich ubezpieczają. Następny wykaz przekonywa nas o tém:

W latach	Ubezpieczono na sumę r. s.		Wynagrodzenie wynosiło rub. sr.	
	na statkach klasy I.	na statkach klasy II.	na statkach klasy I.	na statkach klasy II.
1846	1,635,723	50,583	7,832	0
1847	1,487,631	136,170	8,844	0
1848	1,339,757	61,573	11,153	3,275

Te wszystkie powody, skłoniły Dyrekcyą do porównania tych statków pod względem opłaty od ubezpieczeń.

Nadto zwrócono teraz uwagę i na porę, w której transporta się ubezpieczają. Doświadczenie wywołało konieczną potrzebę podziału ubezpieczeń na dwie epoki: Iszą wiosenną i letnią, i 2gą jesienną i zimową. Zagraniczne towarzystwa, oprócz tylko gdańskiego, pominęły tę okoliczność, jako mniej stanowczą, lecz u nas jest ona bardzo wielkiej wagi. Zagraniczne wody nie podlegają tym zjawiskom, jak nasze. Te, ożywione naprzód wodami ze śniegów zimowych, wzbierają zwykle na wiosnę, potem do niższej schodzą wysokości; dalej znów zostają ożywione roztopionemi śniegami Karpatów, a po tém chwilowém życiu, zstępują do najniższego stanu, i w tym

zawsze aż do deszczów późnej jesieni pozostają. Ztąd u nas żegluga od 1 września, nawet od samego sierpnia aż do późnej jesieni bywa najmoźniejszą i najniebezpieczniejszą, gdyż niski stan wody naraża na długie płynięcie pomiędzy sterczącymi wszędzie ponad wodą lub pod samą jej powierzchnią zawałami, kamieniami i t. p. Dla téj przyczyny, najznakomitsze i najcięższe klęski w téj zdarzają się epoce.

Wyciąg z trzech lat, następne podaje cyfry na wydane wypadki:

Rok	W kwiet.	W maju	W czerwcu	W lipcu	W sierpniu	We wrześ.	W paźdź.	W listop.	W grudniu
1846	1	3	3	1	2	1	3	1	1
1847	2	5	5	1	2	1	2	—	—
1848	3	1	4	3	1	5	7	8	—
	6	9	12	5	5	7	12	9	1

czyli od rozpoczęcia żeglugi do końca sierpnia w ciągu tych trzech lat, było wypadków 37, zaś w drugiej epoce spławów 29. Lecz gdy w liczbie tych wypadków jest 20 galarów z wapnem, które najwięcej ubezpieczane bywa w ciągu maja, czerwca i lipca, a jest najniebezpieczniejsze ze wszystkich towarów, i do żadnego niesposobne ratunku; właściwie więc wypadków z innemi towarami przytrafiło się w porze wiosennej i letniej 17, a w porze jesienniej 29. I dlatego przeważającą przyjęto liczbę wypadków w porze jesienniej, a ztąd i stopa ubezpieczeń w téj porze wyżej ustanowioną została.

Ogólny obraz stanu ubezpieczeń wodnych od czasu rozpoczęcia przyjmowania ubezpieczeń, aż do zamknięcia spławów 1848 roku, był następujący:

W roku	Wysokość summy ubezpieczenia	Wpływy ze składek i innych przychodów nadzwyczajnych		Wynagrodzenia za straty ubezpieczonych przedmiotów i inne wydatki	
	Rubli srebrem	Ruble srebrem i kopiejki			
1844	1,308,590	11,906	63 1/2	11,119	59 1/2
1845	2,086,334	11,349	93	5,132	98
1846	2,147,348	12,652	15	9,436	68 1/2
1847	2,798,835	28,624	92	19,307	95
1848	2,213,791	21,848	81 1/2	45,119	88 1/2

Widzimy więc, że wysokość ubezpieczeń ciągle wzrasta, tak, że w 1847 roku, to jest w czwartym dopiero roku przyjmowania ubezpieczeń wodnych, wysokość ta więcej jak podwoiła się w porównaniu z 1844 rokiem.

Cyfra ubezpieczeń 1847 roku bez wątpienia daleko jeszcze wyżejby doszła; lecz rok ten tak ważny dla handlu zbożowego, osobliwie dla Gdańska, wywołał myśl u tamtejszych kupców, zawiązania towarzystwa ubezpieczeń płodów splawianych na Wiśle, a na czele jego stanął p. Joel, żyd bogaty. Opłaty przez towarzystwo to pobierane, po większej części wyższe były od opłat naszą taryffą wymaganych; lecz że towarzystwo to zawiązane było przez najznakomitszych kupców gdańskich, którzy głównie handel zbożowy z królestwem prowadzą, wszystkie więc zakupione przez nich lub ich pełnomocników partye zboża na splaw do Gdańska, tam były zabezpieczone, oprócz płodów splawianych na galarach, które w towarzystwie tém od ubezpieczenia wyłączone, tu w królestwie ubezpieczanemi były. Mimo to jednakże, rezultat ubezpieczeń 1847 r. przy wygórowanych cenach zboża, był, jakieśmy widzieli, bardzo pomyślnym;

lecz rok 1848 mniej korzystne przedstawił rezultaty: mniejsze były wpływy ze składek, a wynagrodzenia za straty, przeszło dwa razy więcej wyniosły. Nadzwyczaj niski stan wody, który roku zeszłego od początku czerwca, aż prawie do końca października bez zmiany pozostawał, stał się powodem nie tylko nadzwyczaj uciążliwej żeglugi, ale i liczniejszych jak w którymkolwiek roku wypadków rozbicia i uszkodzeń.

(Dalszy ciąg nastąpi).



WIADOMOŚCI O SZŁĄZKU.

NAPISAL

Józef Lephowski.

I. Słownik geograficzny miast Szlązka i pogranicznych z nim ziem.

Piszącemu geografią Szlązka, dzieje, a nawet czytającemu lub redagującemu czasopisma szlązkie, staje na zawadzie zamieszanie, jakie znajdzie w pobałamuconych, przekreconych po niemiecku, lub fałszywie przezwanych nazwiskach miast téj ziemi. A i w spisaniu, porównaniu i sprostowaniu tych mian, niemała zachodzi trudność. W geografiach polskich, mało, fałszywie (1), albo wcale nic o Szlązku znaleźć niemożna; nawet Siarczyńskiego, Święckiego, Lipińskiego i Balińskiego prace, mało w tém zadaniu pomocnymi być mogą. Dzieła tylko w rodzaju encyklopedycznym, jak np. „Starożytności Polskie”, wydane w Poznaniu; „Mała Encyklo-

(1) Umieszczaniem fałszywych nazw, celuje szczególnie: „Geografia wschodniej części Europy”, napisana przez Poznańczyka hrabiego Platter. wydana w Wrocławiu 1825 r.; są tam podobne np. nazwy: Koziel, zamiast Koźle; Htubże, zamiast Głupczyce; Niemodyn. zamiast Niemodlin; Kryzbork, zamiast Kluczborek i t. d.

pedya polska”; „Starożytności Słowiańskie” Szafarzyka i t. p., po długim w nich szperaniu, mały plon do tej pracy przyniosą. Dzieł niemieckich o Szląsku i jego geografii, lubo wiele się znajduje, jednak te do wyjaśnienia nazwy polskich miast mało posłużą (1).

Przedewszystkiem więc, na miejscu o prawdziwej nazwie się dowiadywałem, a dopiero w ostatecznym razie ze źródeł wymienionych zasięgałem wiadomości. Nazwy, które Niemcy nie odmienili, opuściłem w tym słowniku. Powieść gminną przytaczam wszędzie, gdzie mi ta pochodzenie mianat łumaczy. Wielkiej-bo też wartości są powieści gminne szląskie, owa jedyna po Piastach pozostałość, a jeszcze przez Polaka dotąd nie zebrane i nie objaśnione. Powieść ludu, jest matką dziejów; klechda daje nam jakby miarę do poznania i ocenienia siły twórczej, sądu i wiedzy tego ludu, który ją przechował. Powieść przechowuje tu narodowość; obawą kar za występki, utrzymuje moralność i filozofią u ludu. Z powieści stariej wysnujesz i odcieniujesz charakter i barwy wieków, przez które się do czasów naszych dochowała; bo ledwie nie każdy z pierwotnych jej opowiadaczów, przystroił ją piętnem swego stulecia, a części składowe i ozdoby niejednej powieści, wyglądają jak piórka różnorodnych ptaków, których rozebranie da ci poznać i rzecz samą, i gatunek ptastwa co ich pierze znalazłeś. A gdy rozbadasz się nad tą poczyą z łona ludu wydobytą, choć znajdziesz odlamek powieści, jak kość z da-

(1) *Geografische Beschreibung von Schlesien, von Knie und Melcher. Breslau, 1828.* Toż dzieło cokolwiek treściwiej wydał sam Knie w Wrocławiu 1831 i 1845 r.: *Alphabetisch-statistisch-topographische Uebersicht der Dörfer, Flecken, Städte, und andern Orte, Prowinz. Schlesien etc. von Knie. Breslau.* Dwa wydania; ogromne dzieło.

wno rozpadłego skieletu, dojdiesz do jej początku; jak naturalista, co z jednej piszczeli cały kościec i zwierzę odgadnie.

Jeżeli téż burza polityczna się uciszy, a i nakładca znajdzie, nie omieszkam wydać osobno powieści ludu szlązkiego, których i nauczyciel Lompa, szlązki literat, piękny posiada zbiór, w języku niemieckim spisany. Pracę moję niniejszą za nagrodzoną będę uważał, jeśli te moje uwagi i wiadomości o Szlązku, spiesznie i ledwo rzutowo spisane, będą komu przypominkiem i zachętą do prac nad dziejami, opisem i narodowością Szlązka! Patrzmy na Niemców! gdybyto oni znaleźli gdzieś w Australii lub w Ameryce podobną, krainę, jak my Szlązk mieli, czyżby już o jej niemieckiem pochodzeniu całych dzieł nie popisali, a wreszcie przed światem i ludźmi czyżby jej ojcowie frankfurtscy za ziemię niemiecką nie ogłosili?! Niemcy zaiste i w Szlązku nas wyprzedzili, i zrobili z tą świętą ziemią już dziś moralnie to, co nam tylko uczciwie zrobić się godziło!...

Szlązk pruski ma 720 mil □, ludności 2 miliony przeszło. Wśród tych: Niemców 1,400,000, Polaków 700,000, Wendów 30,000, żydów 20,000. Polacy ci stanowią po największej części ludność wiejską w okręgu (regencyi) opolskim i w wschodniej części regencyi wrocławskiej. Żydzi i Niemcy w tych polskich ziemiach są: kupcami, urzędnikami i intelligencyą. W trzech powiatach okręgu lignickiego mieszkają Wendy. Wendy owi czyli Windy, dawną Luzacyą zamieszkujący, od czasów już Karola Wielkiego, a więc tysiąc blisko lat, zostają pod rządami i wpływem niemieckim, a przecież zachowali swą narodowość! Roku 1815 kraj ich podzielono między Saxonią i Prusy. Saxonia wzięła 40, Prusy 151

mil □; ci ostatni, ów rozdzielony kraj przedarli na dwa działy: z tych część do frankfurtskiej, a część do lignickiej regencyi należy.

Ubiór Szlązaka polskiego, osobliwie świąteczny i weselny jest narodowy, bodaj nie Piastowski: piękny i bogaty.

Szlązk pruski dzieli się dziś na 3 okręgi (regencye), to jest: wrocławski, opolski i lignicki (1). Okręg wrocławski ma 22 powiatów, opolski 17, a lignicki 18.

Odra 50 mil wzdłuż przepływa Szlązk. Poboczne jej rzeki są: Oppa, Ostrawica, Olsza, Kłodnica, Nissa, Bobra, Stobra, Olawa, Wystrzyca czyli Świdnica, Barcza; wreszcie: Szpree, Przemsza, Warta i Wisła.

Lewa, niemiecka dziś strona Odry, jest górzysta; prawa zaś polska, niska i piaszczysta, w starożytności mnóstwem rybnych stawów i wód okryta.

Od strony Morawii kraj górzysty, ku Saksonii się zniżają. Góry Olbrzymie (Riesengebirge), inaczej Sudetami zwane, oddzielają ziemię szlązką od czeskiej i morawskiej, łącząc się z Karpatami (2). Szlązka strona tych gór nader urocza i piękna; u podnoża miasta kąpielowe.

Płody Szlązka zasługują na szczególną uwagę pod względem produktów, do wydziału mineralogii i górnictwa należących. W okręgu opolskim, szczególnie w powiecie bytomskim, górnictwo jest głównym zatrudnieniem ludności. Już w XV wieku wzięło ono swój

(1) W niniejszym słowniku, r. znaczy regencya, p. powiat, w. wieś.

(2) O Karpatach tak prawi lud szlązki: Czarcie chcieli ogromnymi opoki cały Szlązk opasać, a potem go wodami z Morskiego-Oka zatopić. Znosili głązy i ziemię, alisci kur zapiał i uciec musieli, zostawiwszy tylko naniesione skały i opoki garbate, co się Karpatami zwą.

początek. To zatrudnienie nadaje mieszkańcom szczególny charakter, który się osobliwie w powieściach gminnych wydaje. Widok ziem górniczych, zwłaszcza nocną porą, gdy ogromne, liczne kominy buchną w obłoki różnokolorowym płomieniem; gdy z cynkowni, hut i szmelcerń wywijają się całą okolicę zajmujące dymy: jest piękny, ale straszny i olbrzymi, jak piekło Dantego. Tarnowickie kopalnie srebra i ołowiu, bytomskie galmanu, żelaza i węgla, niemalém są bogactwem Prus, a mieszkańcom wysokie zapewniają korzyści, nawet w dzisiejszych źle urządzonych stosunkach górników do właścicieli. A i zboża i lny rodzą się tu obficie; zład podgórze płóciennikami zamieszkałe, a Szlązk śpichlerzem Niemiec zwan. Oto nazwy miast:

Albrechtsdorf, Wojciechów; r. opolska, p. oleski.

Althammer, Stara Kuźnia; w. r. opolska, p. opolski.

Alt-Budkowitz, Stare-Budkowice; r. opolska, p. opolski.

Annaberg, Święta Anna; r. opolska, p. w. strzelecki.

Austerlitz, Sławków (Morawia), pamiętne odwiedzinami Napoleona r. 1805.

Auschwitz, Oświęcim (Galicya, cyrk. myślenicki), przy ujściu Soły do Wisły. Stare zamki: Wołek i Berwald, były siedzibą książąt rozbojów.

Bauerwitz, Baborów; r. opolska, p. głupczycki.

Beneschau, Beneszowo; r. opolska, p. raciborski.

Berun, Beruń, Biron; r. opolska, p. pszczyński.

Bernstadt, Bierutów; r. wrocławska, p. olesznicki.

Beuthen, Bytoń, Bytom; r. opolska, p. bytomski, w górnym Szlązku. Mieczysław Stary wystawił tu 1200 r. zamek, którego dziś ani śladu niéma; są tylko

znaki wałów i strażnic, znać szczątki warowni. Pod tém miastem 1460 roku, Kazimiérz Jagiełło z Jerzym Podiebradem królem czeskim, zawierali ugodę.

Beuthen, Bytom; r. lignicka, p. bytomski. Nad Odrą zamek, dziś ruina, wiele wycierpiał oblężeń, a już 1109 r. dobywał go napróżno Henryk cesarz niemiecki.

Bielitz, Bielsk; Szlązk austryacki.

Bieskau, Bedziaków; r. opolska, p. głupeczyński.

Bischdorf, Biskupice; w. r. opolska, p. oleski.

Bladen, Władzienin; w. r. opolska, p. głupeczyński.

Borislawitz, Borzesławice; w. r. opolska, p. koźle.

Bodland, Bogacica; r. opolska, p. oleski.

Bolkenhajm, u kronikarzy *Bolconifanum*, Bolesławice. Na wzgórzu, blisko miasta, są rozwaliny starożytnego zamku.

Borberg, Hammory; r. lignicka, p. rotenburski. Narodowość wendyjska.

Breslau, Wrocław, *Vratislavia*; stolica regencji i Szlązka. Miał wziąć nazwę od swego założyciela księcia morawskiego Rościława. (Ditmar et Wagner, str. 237). W 964 r. po Chr. Mieczysław I król polski wznosił Wrocław do godności miasta.

Brieg, Brzeg; r. wrocławska, p. brzegski.

Czenstochau, Częstochowa (króles. polsk.) 3 mile od dzisiejszej granicy, dawniej do Szlązka należąco, nad Wartą. Klasztor tutejszy sławny cudami i wypadkami historycznymi, założył Władysław książę opolski 1382 r. i Paulinów tu z Węgier sprowadzonych osadził.

Deutsch-Neukirch, Cerkwie; r. opolska, p. głupeczyński.

Dembiohammer, Dąbska Kuźnia; w. r. opolska, p. opolski.

Diechsa, Dziejzów; r. lignicka, p. rotenburski. Narodowość wendyjska.

Dobersdorf, Dobieszów; w. r. opolska, p. prudnicki.

Drahthammer, Dróciarnia; w. r. opolska, p. lubliniecki.

Elgut-Proskau, Ligota Pruskowska; r. opolska p. opolski. Jest też druga Ligota Turawska (Elgut-Turawa).

Eselberg, Wośliza Hora; r. lignicka, p. rotenburski. Narodowość wendyjska.

Falkenberg, Niemodlin; r. opolska, p. niemodlin.

Freiberg, Przyborz. Granica szląz. moraw.

Freichan, Frejno; r. wrocławska, p. straburek.

Friedland, Fyrląd; r. opolska, p. niemodlin.

Friedrichsthal, Szegwiesz; r. i p. opolski.

Friedrichswille, Górniki; w. r. opolska, p. bytomski.

Georgenberg, Miasteczko; r. opolska, p. bytomski.

Glatz, Kladzko; r. wrocławska, p. kladzki. Nad rzeką Nyssą, na granicy czeskiej wśród gór Olbrzymich. Dobner w uwagach nad dziejami Hajka (cytowanych w Staroz. Polski. Poznań, str. 310), mówi, iż Kladzko znaczyło w języku starosłowiańskim tyle, co jatka, rzeźnica, jaskinia łotrów, i ztąd opierając się na powieści gminnej o rozbojach tu mieszkających, miano miasta tego wywodzi. I zaiste, bytność rozbojów jeśli gdzie, to w tych dzikich, lesisto-górzystych okolicach usprawiedliwić się da; tém więcéj, że nam dzieje szlązkie wyliczają szczegółowo mieszkania łupieżców, w których poczet policzono nawet wielu rozdrobnionych książąt szląz-

kich. **Kladzko** od najdawniejszych czasów było twierdzą od samej natury warowną; już r. 1012 Bolesław Chrobry oblegał zamkniętych w Kladzku Czechów.

Glejwitz, Glewice; r. opolska, p. bytomski. Według klechdy, nazwa ma pochodzić od chlewów, które tu stały dla bydła prowadzonego z Rosyi.

Glogau, Głogów; r. wroclawska, p. głogowski. Najstarsza w Szlązku twierdza. Według kroniki Kureusza (t. II, str. 44), ma stać na miejscu starego *Lugidunium*; tenże wywodzi początek miana od błotnistej, głogami zarostej okolicy. Według roczników klasztornych i powieści ludu, 1480 r. 15 marca zdobył tę twierdzę Jan z Zaganu, rzucając do jej wnętrza w miejsce strzał ścierwa zatrute i śmierdzące, których zaraźliwy odór, obleżonych do poddania się zmusił. Wynalazek więc bomb angielskich, złożonych z materyj smrodliwych, już w owe wieki w skutkach był znanym.

Glogau, Głogów dolny albo Głogówek; r. wroclawska, p. ścinawski. Chwilowe schronienie Jana Kazimierza króla.

Gnadenfeld, Pawłowizny; w. r. opolska, p. koźle.

Grissau, Krzesobórz; r. wroclawska. W niektórych geografiach mylnie Gryssoborzem zwan. Słynął starożytnym, bo jeszcze przed napadem Tatarów istniejącym kościołem i klasztorem (rycinę i obszerny opis kościoła tego, patrz w Przyja. Ludu r. 8 nr. 52).

Görlitz, po wendyjsku Solerz, Sorlce; r. lignicka, p. zgorzelnicki. Dziś lud zwie: Zgorzelice. Jest tu wśród doliny ogromny głaz, którego bytność na tém miejscu, djablím figlom lud w powiastce przypisuje.

Grottkau, Grotków; r. opolska, p. grotkowski.

Gross-Dobern, Wielki Dobrzyń; r. opolska, p. opolski.

Guhrau, Góra; r. wrocławska, p. górski. Nazwę ma od położenia wyniesionego nad okolicą. Podług kroniki Kureusza (T. II, str. 57), założone przez Henryka Brodatego. Sterczą tu ruiny starego zamku; obok płynie Barcz.

Gutentag, Dobrodzień; r. opolska, p. lubliniecki. Powieść ludu mówi, że tu księżna, Niemka, jadąca długą spiekotą, napoju dostała, a nie umiejąc po polsku, w miejsce „dziękuję”, rzekła „dobry dzień”; nadała wsi téj prawo miejskie, i miasto Dobrodzieniem od tego zwano.

Herrnstadt, Wąsosz, Wąziorz; r. wrocławska, p. wąsiorz. Nazwa ta ma pochodzić od wielości znajdujących się tu węzów; nazwa jednak niemiecka Herrnstadt, już w przywilejach tego miasta z r. 1312 znaną było, lub téż *Chrisopolis*.

Himmelwitz, Imielnica; w. r. opolska, p. strzelecki.

Hirschfelde, Kaniów; w. r. i p. opolski.

Hochenlohe, Wołnowiec; r. opolska, p. bytomski.

Hultschin, Hulczyn; r. opolska, p. raciborski. Narodowość polsko-morawska.

Jacobswalde, Kottlarnia; w. r. opolska. p. koźle.

Jauer, Jawor, Jaworzno; r. lignicka, p. jawor. Stolica księztwa tegoż imienia; stary zamek tego miasta, obrócono dziś na kryminal.

Karlsmarkt, Karłowice; r. wrocławska, p. brzegski.

Katschor, Kietrz; r. opolska, p. głupezyński.

Kamentz, Kamieniec; r. wrocławska. M. przez Brzetysława II księcia czeskiego r. 1096 zbudowane, i od posady miejsca nazwę otrzymało. Klasztor i zamek tu-tejszy r. 1427 do szczytu zniszczyli Hussyci.

Kent, Kenty, Konty (Galicya, cyrkuł myślenicki). Mil 2 od Oświęcima; sławne jako miasto rodzinne śgo Jana (1412 r.).

Koblau, Kobylno; r. opolska, p. raciborski.

Köbeln, Gobelín; r. lignicka, p. rotenburg. Narodowość wendyjska.

Königshuld, Lossowice; w. r. i p. opolski.

Krappitz, Krapkowice; r. i p. opolski.

Kieferstäel, Sośnicowice; w. r. opolska, p. giewicki.

Kieltsch, Kielce; w. r. opolska. p. w. strzelecki.

Kletsfendorf, Klecina; r. wrocławska. Wieś $\frac{1}{2}$ mili od Wrocławia. Lud do wielkiego kamienia, leżącego tu w dolinie do r. 1740 przywiązywał podanie, że go djabł zrzucił z góry Soboty (Zobten), aby nim zburzyć wzniosłą wieżę wrocławskiego kościoła śtej Elżbiety.

Kosel, Koźle; r. opolska, p. koźlec. Z natury twierdza, bagnami otoczona.

Kranowitz, Krzenowice; r. opolska, p. raciborski.

Kreitzburg, Kluczborek; r. opolska, p. kluczborski.

Kunzendorf, Kuźnice; w. r. opolska, p. bytomski.

Landsberg, Gorzów; r. opolska, p. oleski. Nad Prosną, przy granicy polskiej.

Lagendorf, Wielowieś; w. r. opolska, p. giewiecki.

Leobschütz, Głupczyce; r. opolska, p. głupczycki.

Liegnitz, Lignica, stolica regencyi. Gród stary, od Swewów czyli Lygirów wywodzą miano miasta tego niemieccy pisarze. Kronika rzeźwią je Lechnicą, od Lecha, niby jego założyciela; inni wreszcie w wyrazach *leżec, legnac*, widzą początek nazwy; a są i tacy niemieccy patryoci, którzy sprowadzają tu w bujnej imaginacyi Niem-

ców już w IX wieku, i miastu temu miano od *Lager* (obóz) nadają (!).

Leubus, Lubiąż. Sławny tu klasztor Benedyktynów, później Cystersom oddany, zbudował król Kazimierz Mnich. Opat klasztoru tego Floryan, 1175 r. z miasta Porta nad Sałą, przyniósł tu i rozplodził jabłka słynne w Polsce, dąportami zwane. (Archid. Gnes. str. 99). Lud przechowuje piękne podanie o wiecznej lampie przy grobie Bolesława księcia na Brzegu. Miał bowiem ów książę darować klasztorowi dwie wsie z tym warunkiem, że gdyby który książę z rodziny Piasta zastał lampę zgasłą przy grobie, wtedy mógł wsie te klasztorowi odebrać. Wtedy też zgaszono lampę ową w Lubiążu, gdy ostatni książę Piast wyzionął ducha.

Loslau, Wodzisław; r. opolska, p. raciborski.

Löwenberg, inaczéj Lemperg, Leuperg zwane; r. li-gnicka, p. lewenberg. Henryk III miał tu znaleźć gniazdo lwie i ztąd miano miasta.

Lublinitz, Lubliniec; r. opolska, p. lubliniecki.

Lubschau, Lubsza; r. opolska, p. lubliniecki. Obok wznosi się jedyna w téj okolicy góra Grójcem zwana, od warowni czyli grodu, którego szczątki jeszcze dziś widać. Lud dziwne prawi powiastki romantyczne o zapadnięciu się tego zamku, z przyczyny rozkochanej córki jego właścicielki, która gdy się w gruzach zagrzebała, rodzice zbudowali pod górą owo miasteczko, które dla pamięci nieszczęśliwych lubowników, Lubszą się zwię. A i Lubsza czyli Lubusza była boginią miłości u starożytnych. Utrzymuje się tu przysłowie: „Kiedy Kraków budowano, jeżdżono do Lubszy po piwo.” W téj dziś wsi Lubszy, J. Lompa, szlązki literat, jest lat już 30 nauczycielem.

Malapane, Ozimek, Małapanew; r. i p. opolski.

Münnerstadt, Muskaw, Muzaków; r. lignicka, p. rotenburski.

Medzibor, Międzybórz; r. wrocławska, p. sycowski.

Miedar, Nidera; w. r. opolska, p. koźle.

Miltsch, Milcz; r. wrocławska, p. milcz. Klechda podaje za początek i nazwę tego miasta następane wydarzenie: W okolicy gdzie dziś Milcz się wznosi, był las a pustkowie, które rozbójnicy zamieszkiwali. Można polski pan dostał się w ich ręce, wielkim jednak okupem i przyrzeczeniem milczenia, wypuszczon był. Gdy wyszedł na wolność ów szlachcic, z zbrojnymi napadł na znaną sobie siedzibę rabusiów i tych pojmał, a miasto w onęj pięknej okolicy powstało, i od milczenia pogromcy rozbójów, **Milczem** je mieszkańcy zwać poczęli.

Na zrujnowanym murze starego milczewskiego zamku, jest zapisana po łacinie romantyczna powieść o Jadwidze z Zarebów, którą Goedsche podaje w swych szlząskich zagach (w poszycie II, str. 108).

Milboch, Milbok; r. lignicka, p. bolesławski (Buntzlau). Miała tu być świątynia pogańskiej bogini śmierci, Małą-poką zwanęj, i ztąd niby nazwa ta poszła.

Mizerau, Mizerów; r. opolska, p. pszczyński.

Murów, Murków; w., r. i p. opolski.

Mühlrose, Mychlars; r. lignicka, p. rotenburg. Narodowość wendyjska.

Münsterburg, Sambicia u kronikarzy; r. wrocławska, p. ziembicki. U ludu Ziembice; nad rzeką Olawą.

Najdek, zamek, po staremu Swierklin; r. opolska, p. bytomski. Klechda prawi, iż nazwa zamku tego pochodzi od zdarzenia, że gdy dziewczka zginęła we wsi Laskowicach, a wróciła, opowiedziała, że ją rozboje złapali,

którym uciekła. Za siedlisko ich pokazała stary zamek w lesie, którego przedtém nie znano, a więc mu dano imię: *Znaleziony*, czyli *Znajdek*.

Namslau, Namysłów; r. wrocławska, p. namysłowski.

Naumburg, nad Bobrem; r. lignicka. Miasto to liczy się do najstarszych, bo jeszcze przez pogan zbudowanych: a nawet groby, zbroje i inne zabytki nader odległych czasów, tu znajdują. Stara nazwa ma być *Numberg*, *Nowimburg*.

Neisse, *Nyssa*, *Nissa*; r. opolska, p. nyski.

Neuwedel, *Swiencice*; r. i p. opolski.

Neustadt, *Prudnik*; r. opolska, p. prudnicki.

Neutischein, *Nowy Ilczyn*; na granicy morawko-szlązkiej. Ztąd podobno wzięły nazwę wyrabiane tu bryczki *Najtyczanki*.

Neumarkt, *Nowemiasto*; r. wrocławska, p. *Neumarkt*, na drodze z *Lignicy* ku *Wrocławiu*. Piérwsze to miasto przyjęło prawo *magdeburskie*, a że w starych czasach *Środą* się zwało, więc prawo to do polskich miast wprowadzone, *szrodzkiem* nazwano.

Nicolai, *Mikulów*; r. opolska, p. *raciborski*.

Nicolsburg, *Mikulów*; w *Morawii* nad rzeczkami *Schwarza* (*Czernawka*) i *Thaja* (*Dya*).

Nimptsch, *Niemeza*; r. wrocławska, p. niemcz. *Dytmar* twierdzi, że *Germanowie* to miasto zbudowali, i że ztąd jego miano swój początek wzięło. Już 1016 roku miasto to było warowne.

Oels, *Oleśnica*; r. wrocławska, p. *oleśnicki*. *Goedsche*, *Schlesische Sagen* etc. w posz. I, str. 49 twierdzi, że miasto to już 900 roku od *Polaków* lub *Słowian* zbudow-

wane było; i od wielości rosnących tam olszyn, Olszynie się zwało.

Olau, Olawa; r. wrocławska, p. olawski. Książęta olawscy po wyludnieniu w czasach 30letniej wojny, sprowadzili tu r. 1643 osadników z Polski, którzy fabryki tytoniu założyli. Roku téż 1656 po zniszczeniu przez pożar Leszna, wielu Polaków tu się przeniosło; ztądto pochodzi dzisiejsze w tém mieście mało zniemczone mieszczaństwo.

Oppeln, Opole; stolica regencji. Długosz wspomina o dwóch pięknych zamkach w tém mieście.

Oderberg, Bogumin; w Szląz. austriac. Stacya kolei austriacko-pruskiej.

Ottmucha, Odmuchów; r. opolska, p. grotkowski.

Peiskretscham, Pyskowice; r. opolska, p. glewicki. Mieszkańcom przypisują kłótność.

Pilkermühle, Pilkowe; w. r. opolska, p. bytomski.

Pitschin, Byczyna; r. opolska, p. kluczborski.

Ples, Pszczyna; r. opolska, p. raciborski.

Pohlom, Połomia; r. opolska, p. raciborski.

Pohrlitz, Pogorzelice; Morawia.

Posoritz, Posorzyce; Morawia.

Prausnitz, Prusznice; r. wrocławska, p. milcz.

Prerau, Przyrów (Morawia). Nad rzeką Beczwą (Beczwo).

Prossnitz, Prostejów (Morawia).

Pribus, Przewóz, Przybórz; r. lignicka, p. zagański. Goedsche (Schle. Sagen etc. posz. II, str. 155) podług kronik przyznaje założenie tego miasta księciu Przybysławowi r. 786. Wiadomo jednak z dziejów, że Bolesław Chrobry zbudował to miasto 1014 r. Powieść prawi, że nazwa ta pochodzi od wyrazu przewozić lub przepu-

szczać, gdyż tu miała iść wielka handlowa droga z Polski do Saxonii.

Proskau, Prusków; w. r. i p. opolski.

Pschow, Zawada; w. r. opolska, p. raciborski.

Ratibor, Raciborz, Radziborz; r. opolska, stolica powiatu.

Radoschau, Radoszowo, Dolne i Wyższe Radoszowo; w. r. opolska, p. raciborski.

Ratiborhammer, Raciborska Kuźnia; r. opolska, p. raciborski.

Rauschnitz, Rausinów (Morawia).

Rochten, Wochse; r. lignicka, p. rotenburg. Narodowość wendyjska.

Rosenberg, Oleszno; r. opolska, p. oleski.

Rogolwietz, Rogalowa-góra; w. r. opolska, p. strzelecki.

Rybnik, Rybnik; r. opolska, p. rybnicki.

Sagan, Zagan, Zagan; r. lignicka, p. zegański. Według kronik, nazwa miasta tego ma pochodzić od jego założycielki, księżniczki Zaganny córki Wandy (!). R. 720 miało to miasto już być założoném; prędjéj jednak zdaje się miano miasta tego pochodzić od starostwianńskiego zwyczaju, przy obieraniu okolicy na budowę, używanego. Zwyczaj ten był: zaprzęgano czarnego i białego wołu do pługa, i wybrzdowano granice przyszłej osady, co *zagonem* zwano.

Scheidlitz, Siedlec; w. r. opolska, p. w. strzelecki.

Schlesien, Szlązk. Wątpić wcale nie można, że ziemia dziś Szlązkiem zwana, w Vtym już stuleciu cała była zajęta przez latorośl ludu rodu polskiego. Pomniki języka znajdujące się w pojedynczych słowach, lub

w **latopisach** i listynach Xgo stulecia, wyraźném są tego świadectwem. Nazwa Ślązanie odziedziczona jest od mieszkańców nad rzeką Ślenzą (kleine Loche), obok miasta Niemcza. Następne różne nazwy dawano Ślązacom i ziemi szląckiej w kronikach; u Dytmara: *Cilensi*, *Silensis-pagus*; u Kadłubka, *Seleucia*; u Sommersberga *Zlesie mons*; w najstarszych pismach polskich *Słesko*, *Słesk*. Dobrowski k'woli swoim Czechom wywodzi początek nazwy od *sleze-po-sleze* (pośledniej) derivat: od sled, *ślad*; po rusku *ślieże*; po illyryjsku *Sliedak*; po czesku *Slezko*. (Sław. staroż. Szafarzyka. Poznań, 1844 r. T. II, str. 466). Kronikarze zowią Szląck ziemią świętą.

Schwentochlowitz, Swientochlowice; r. opolska, p. bytomski; wieś, stacya kolei żelaznej. Nazwa ma pochodzić z czasów pogańskich od świętych chlewów, dla bydła ofiarnego, tu będących.

Schweidnitz, Swidnica; r. wrocławska, p. świdnicki. U kronikarzy: Sojne, Suidnice, Suini, Svenetia; ma wywodzić nazwę od jój założyciela księcia Swidno, 755 roku. Bolesław jednak IIgi król polski, dopiero 1070 r. miasto to zbudował.

Scheidelwitz, Szydłowice; wieś. r. wrocławska, p. brzegski. Stoi tu suchy dąb, który lud zwie Piastowskim i prawi, że książęta brzegscy dorocznie tu uctowali, a przy śmierci każdego z rodziny Piasta, jedna gałąź usychała.

Schönwald, Szywałd; r. opolska, p. oleski.

Schädlitz, Siedlce; r. opolska, p. pszczyński.

Schuldenberg, Walidrogi; r. i p. opolski.

See, Isor; r. lignicka, p. rotenburski. Narodowość wendyjska.

Skotschau, Skoczawa; Szl. austriacki. Nad Wisłą.

Sokrau, Zakrzew Turawski, drugi Królewski; r. i p. opolski.

Smograu, Smogrzew; r. wrocławska, p. namysłowski. Miał tu podobnie jak na Wawelu być smok, o którym lud prawi, iż gdy ryczał w Smogrzewie, to słyszeli w Rychtalu, a i w Głuszynie, gdzie aż głużył.

Miejsca te są uważane za najpóźniejsze siedziby chrześcian w Szlązku; we wsi Krzyżownikach miały być pierwsze chrześcijańskie krzyże. Obszerniejszej wiadomości szukaj w Przyj. Ludu r. 13, nr. 10.

Strelz, Strzelin; r. opolska, p. strzelecki. Według klechdy, był tu pierwszy w Szlązku panieński klasztor, założony przez Bolkona, którego ksieni uprosiła sobie od fundatora tyle ziemi, ile strzała z łuku puszczona, dosięgnie w locie; ztąd nazwa i herb miasta, strzała.

Steinau, Scinawa; r. wrocławska, p. ścinawski. Sławna piwem. Konrad książę ścinawski, zrzekł się arcybiskupstwa salcburskiego, dla owego piwa, którego w Salcburgu nie było (Maciejowski w dziele: Polska do pierwszej połowy XVII wieku, tom I, str. 159).

Stubendorf, Izbicko; r. opolska, p. w. strzelecki.

Teschen, Cieszyn; w dzisiejszym Szlązku austriack. W kościele farnym obok wielkiego ołtarza, są pomniki książąt z rodziny Piasta. Za rzeką sterczy piękna baszta, pozostałość po starożytnym obronnym zamku.

Tost, Toszek; r. opolska, p. glewicki. Był tu zamek, który miał mieć według klechdy tyle okien, ile dni w roku.

Trachenberg; r. wrocławska, p. strabur. Może od *Drache* (smok), gdyż starzy kronikarze zowią miasto to *Draco-montium*; nazwa ludowa jest Straburek, zapewne od czasów pogańskich na cześć Striboga zachowana. Są tu w zamkowym ogrodzie dwie storożytne

kamienne, niby tańczące postaci, o których lud powiastkę prawi.

Trebnitz, Trzebnica; r. wrocławska, p. trzebiński. Gdy w roku 1203 Henryk Brodaty i Jadwiga ś. zbudowali tu kościół i najbogatszy w Szlązku klasztor Cysterssek, wtedy oglądając ukończone swe dzieło, zapytali ksieni Petruszy, czyli jeszcze czego nie trzeba; a gdy ta źle po polsku odrzekła „trzeba nic”, ztąd to miejsce i klasztor nazwę Trzebnicy otrzymać miały.

Troppau, Opawa; Szlązk austriacki. Już 1246 r. Czesi opanowali to miasto.

Tschebitschin, Kuźnia; w. r. opolska, p. oleski.

Ujest, Ujazd; r. opolska, p. w. strzelecki.

Waldhäuser, Podparcan lub Czarkowice; r. opolska, p. w. strzelecki.

Wangern, Węgry; r. i p. opolski.

Wartenburg, Syców; r. wrocławska, p. sycowski.

Weischeisel, Wuskidz; r. lignicka, p. rotenburski. Narodowość wendyjska.

Weisskirchen, Hranice (Morawia).

Wieszowa, wieś; r. opolska, p. bytomski. Nazwa téj wsi pochodzić ma od tego, iż tu tracono na szubienicy winowajców; tak prawi lud.

Wischau, Wyszków (Morawia).

Wohlau, Wołów; r. wrocławska, p. wołowski; siedziba książąt woławskich. Klechda prawi, iż szukający zagubionych wołów, znalazł tu skarb, i swemi zabudowaniami początek miastu dał. Dzieje mienią tę okolicę za sposobną do chowu bydła, a ztąd jój mieszkańców za handlarzy wołów poczytują. Jakkolwiek bądź, wół jest od najstarożytniejszych czasów herbem miasta.

Woischnik, Woznik; r. opolska, p. lubliniecki. Po-
dług wieści gminnej nazwa ma pochodzić od tego, iż
gdy Tatarzy gród na Grójcu opanowali, mieszkańcy się
na to miejsce przenieśli.

Wreske, Wrzoski; r. i p. opolski.

Zator, (Galicya, cyrk. myślenicki); przy ujściu Ska-
wy do Wisły.

Zobten, Sobota, góra o 4 mile od Wrocławia odle-
gła. Od nazwy tej góry wywodzą też nazwę Szlązka
(Staroz. sław. Szafarzyka, t. II), gdyż góra ta, podług słów
Dytmara, a za nim Długosza, zwała się Zlesie, Sopota
(mons Czobothus). Są tu ruiny kościoła, który fundował
niegdyś Piotr Włast.

Zültz, Biały; r. opolska, p. prudnicki.

LUZACYA (LAUSITZ), WENDY.

Jako dopełnienie powyższego wywodu, przytaczam tu
słowniczek nazw wendyjskich (wydany ze starego Frenkla
przez ks. Bronikowskiego w Sławianinie, T. I, str. 170).

Belgern, w Luzacyi wyższej, Bielagora.

Baruth, niedaleko Budziszyna, nad rzeką Lobda,
Bart.

Belschitz, także *Ebendörfel*, Bielszyca, Bielice,
Belwitz.

Berge, niedaleko Budziszyna, Zahor.

Bergen, góra niedaleko Hojerswerda, nad Elstrą,
na równinie. Nie wiadomo dlaczego tak nazwana.

Bernstadt, także *Bernsdorf* albo *Bernstädel*, Ber-
nardzice, niedaleko Gorlicy i Sitawy, nad Polśnicą. Pod
tym miastem jest wieś *Altbernsdorf*, Stare Bernardzice.

Bernsdorf, Nizychów pod Kamienicą; **Bertsdorf**, niedaleko Sitawy. Bortów, Besho, Beskau, w Luzacyi niższej do Brandeburgii przyłączone, Pieschowa; ztąd tak nazwane, że w dawnych czasach mieszkańcy téj osady, obowiązani byli, zamiast innych danin, panom swoim psy żywić.

Biesig, Piesk albo Pisek, od gruntów piaszczystych.

Biesnitz, Biesnica, *Gross i Klein Biesnitz*, Wielka i Mała Bieśnica, niedaleko Gorlic.

Bobelz, niedaleko Budziszyna, Bobelice.

Breitendorf, Wujezd; inny *Breitendorf*, niedaleko Hojers-werdy, Brietna.

Bresen, **Brieszke**, **Briesing**; osady te mają słowiańskie nazwy: Briezów, Briezena, Briezica, Briezenka, od lasów brzozowych.

Buchwalda, Bukowina.

Bautzen, Budziszyn. Nazwę tę wzięło miasto Budziszyn od tego, że jak kronikarze piszą, jakiś baron czeski, żonie swojej przyrzekł założyć miasto, jeśli mu powije syna. Spełniło się jego życzenie, i założone w skutku zrobionego ślubu miasto, nazwał Budiesyn. Podług innych, miasto to założone było jeszcze w VII wieku, i zwało się Budszec, co miało znaczyć warownię.

Bünewitz, Boncze.

Chemnitz, Kamieniec.

Dauben, Dabow. }

Daubitz, Dub. }

od dębowych lasów tak nazwane.

Debschitz, Teprzec; od tępić, topić. Nad rzeką Sprawą.

Dehse, **Grossdehse**, **Kleindehse**, Tazen, Wielki Tazen, Mały Tazen. *Tazen* po czesku znaczy śmierć.

Dehlen, Delan, u stóp gór pod Budziszynem w dolinie; ztąd nazwisko.

Denckwitz, Dzienkeze; jakoby wieś dnia, położona na górze z pięknym widokiem.

Dietrichsbach, Ditrychsze, od strachów, które w postaci karłów z gór leśnych miały do tego miejsca schodzić i Ditrychami były zwane.

Drebko, Drewko, Wendowie w miasteczku tém żyjący, zowią je także *Trebacz*, od biedy i potrzeby w jakiej zwykle ci górale żyją.

Drebnitz, albo Trebnitz, albo nawet Steindörfel.

Drebenka albo Drebenca, od kamieni drobnych, w wielkiej ilości tu będących.

Drebnów, Drewnowo, od zamku drewnianego, który się tu niegdyś znajdował.

Elster, miasto Halstrów.

Finsterwald, Grabień; od grabowych lasów.

Forst, Barszcz.

Friedland, Brilan; od wyrazów *dobry lian* albo *lien* dlatego, że dobry len w tych stronach uprawiano.

Fichtendorf, Borowice.

Gaussig, Huska albo Hustka, dlatego, że leży przy ujściu dwóch strumyków do Elstry.

Giersdorf, Gierszcze; dobra Gierszowców, dawniej rodziny miejscowej.

Görlitz, Sorlce albo Zgorzelice, dawniej Drewnów zwane. Po zgorzeniu wystawione na nowo przez Sobiesława księcia czeskiego r. 1131, i nazwane Zgorzelice. Inni wywodzą nazwę tego miasta od *góra* i *lisa*, dlatego, że leży przy górach bezleśnych.

Gotte, Huczen albo Huczyna, dlatego, że leży nad rzeką Lebdą, której bieg z gór jest huczliwy.

Guben, Gubień, dlatego, że przez wojny hussyckie zgubione zostało. Jak się dawniej nazywało, nie mówi Frenkel.

Hajnitz, Haineca; od *hainstwo*, co w serbskiem znaczy to samo, co leśnictwo.

Herbsdorf albo **Herwigsdorf**, Hierkece; od *hierki*, co w serbskiem znaczy gorzki.

Hohebock, Buków.

Hojerswerda, Wojerce, albo Woreca. Czarna Elstera dokoła ten gród otacza, i ztąd nazwanie, jak gdyby był w rzece.

Halbendorf, Bohów.

Kanitz, Kanaza,

Kiselitz, Kosleze.

Kietlitz, Kietlice.

Kunnersdorf, **Kolmen**, **Schwarz-Kolm**, **Klein-Koinz**, **Gross-Koinz**, **Kunnerwitz**; rozmaite te miejsca zachowują ciągle dawne nazwy, wywodzone od drzewa choiny, w tych okolicach pospolitego: Koinca, Koince, Biele Koince, Czarne Koince, Mała Koinca, Wielka Koinca.

Komorán, **Komerán**, **Senftenberg**. Zwane są przez krajowców, pierwsze Zły Komorów, drugie Dobry Komorów, trzecie Rostochan Komorów.

Kersche albo **Kirschau**, Korsem; położone nad górami, od wyrazu *korim k'ziemi*, jakby, że domy pod górami położone, korzyły się przed ziemią.

Koseln, Kozłów.

Kotbus albo **Kotwitz**, Kotiebus.

Kuhna, Kuhnów albo Koinów; zarówno wywieść można od kuny, zwierzęcia, w tych miejscach dawniej

bardzo rozplodzonego, jak od sośniny, *koinq* u Wendów zwanéj.

Leube, *Lobie*.

Leichnam albo *Leichen* Lichan.

Gross Leichen, *Klein Leichen*, Wuki.

Lichan, Mały Lichan.

Lisse, Lisza.

Lisschor, Lisza-hora.

Liebe, *Löbau*, Libie, Lobie.

Lübenau, *Lübben*, Lubnów, Lubio.

Lucke, Luckaw, Luków, Wukow.

Lausitz, Łużyce.

Moske, *Moskaw*, Muzaków.

Opis, Pzowa.

Ossig, *Deutsch-Ossig*, *Wendisch-Ossig*, *Wo-siek*, Niemski Wosiek, Berski Wosiek; od *wosiek*, co znaczy drzewo osina.

Osteriz albo *Ostriz*, *Wotrow* albo *Wotrozna*; to samo pochodzenie, co naszego wyrazu *ostrów*, znaczącego wyspę, gdyż rzeka Niza często okolice tego miasta przez wylewy w wyspę zamienia.

Paulsdorf, Pawlice, *Deutsch-Paulsdorf*, *Wendisch-Paulsdorf*, Niemskie Pawlice, Szerskie Pawlickie.

Polsnitz, Polsnica, miasto i rzeka, dzieląca na pół Misnię od Luzacyi; ztąd pochodzenie *pol* czyli połowa. Inną rzeczkę Polsnicę w Luzacyi, nazywają Niemcy *Pülsnitz*.

Postwitz, Budestece.

Petsche, Witoszów albo Litoszów.

Schmollen, Smelnów; od wyrazu *smelna*, znaczącego trzcina, w którą okolica obfituje.

Schönberg, Schimberg.

See, Izor.

Sonnewalde, Hrodysze.

Soraw, Zarów. Wywodzą tę nazwę od żórawiów, inni od wyrazu *zor* czyli zorza, jak w czasach przedchrześcijańskich to miasto miało się nazywać.

Spremburg, Grodek, w Luzacyi niższej, a w Luzacyi wyższej Hrodk.

Spree, Sprowa albo Rieta, rzeka oddzielająca Luzacyą od Misnii i Czech.

Storcha, Baczon.

Strele, Cielan, dawniej nazywano to miejsce Strzelan.

Sommerfeld, Semrin, miasto dziś w Brandeburgii. Kronikarze nie wiedzą nawet, a przynajmniej nie zgadzają się, jakim sposobem to miasto dawniej niższo-luzackie, potem szlązko-czeskie, odpadło od swój ojczyzny; najpodobniejsza, że dane było w zastaw margrabiemu brandeburskiemu, a niewykupione, pozostało jego własnością. Leży nad rzeką Lupą, zwaną przez Niemców *Lubus*.

Tauchritz, Tuchrice albo Tuthorz, od zwierza *tuchor* albo tchórz, którego tu mnóstwo było.

Triebel, Tribła.

Tschirne, **Schirne**, pod tą nazwą wiele jest w Luzacyi miejsc, które mieszkańcy Słowianie nazywają swoim językiem *Czorny*, *Czerny*.

Uhyst, Wujezd.

Umbürde, Uhor, to samo co ugor, pole ugorem leżące.

Weigdorffum, Wuhamcice, od wyrazu *wyhon*, *wygon*, to samo co pastewnik.

Weisig, Wosoka.

Wigandsdorf, Wigancice.

Witgenau, Kulow, od kulistego położenia.

II. Oświata. — Mowa.

Nie zapuszczając się w badania nad pierwiastkową oświatą Szlązka, gdy ten do Polski należał, zwrócę tylko uwagę ogólnie na stosunki ludu do klasy oświeconej.

W dawnych już czasach, bo ledwo po wprowadzeniu wiary chrześcijańskiej na Szląsk, biskup Urban rodem Włoch, założył szkołę obok katedry w Smogorzewie. Później biskup smogorzewski Lucylus (1027 r.) też szkołę biblioteką uposażył. Przy klasztorach też, których było więcej na Szlązku niż gdzieindziej, istniały szkoły; z pewnością jednak rzec można, że w tych szkołach nie po polsku, ale po łacinie uczniów na księży kształcono. Książęta szlązcy przy ciągłych zatargach i kłótniach, nie mieli ani czasu, ani chęci do zakładania szkół w Szlązku. Już w czasach napadu Tatarów na Szląsk (1241 r.), ś. Jadwiga małżonka księcia Henryka, jako pani z rodu niemieckiego, Niemców do Szlązka sprowadzała, i jako kolonistów osadzała. Kolonistom tym dawano i urzęda i godności; znać, byli oni wyższemi w oświeceniu od krajowców, dlatego, iż krajowcom nie dawano sposobu kształcenia się w języku ojczystym. Książęta nie mogli wpływać na oświatę ludu, gdyż po największej części cudzoziemcy z zagranicy sprowadzeni, krajowego języka nie umieli; a nawet w wieku XV biskup wrocławski Jan IV rodem z Szwabii, zagroził krajowcom wypędzeniem ich z własnych siedzib, jeśli się w pięciu

latach języka niemieckiego nie nauczą. Do tych kapłanów lud nie miał przywiązania i miłości; dlatego też świętobliwi mężowie: jak śś. Wojciech, Czesław, Dominik i inni czescy kapłani, zrozumiałym dla ludu językiem przemawiający, niemało zapewne wpływali na religijną oświatę ludu.

Nauka też Husa rozkrzewiła się między ludem, bo niemieccy lub włoscy księża, nie umieli odpornie działać na serca ludu, nie znając jego mowy. Książęta wreszcie szlączy, biorąc za żony Niemki, sprowadzali na dwór swój Niemców, i mimowolnie do mowy niemieckiej przywykali. Książę np. Bolesław Łysy na Wrocławiu, lubił popisywać się z niemczyzną, którą tak lichomówił, że śmiech wzbudzał. Tę wadzie ulegli szczególnie książęta dolnego Szlązka, który z tego powodu prędzej przenarodowieniu uległ. Na górnym Szlązku widzimy jeszcze w roku 1497 księcia Mikołaja opolskiego, który przeczytanego sobie wyroku śmierci po niemiecku, nawet nie rozumiał. Gdzie książęta i kapłani nie znali języka ludu, tam zapewne i szlachta przydworna księcia zniemzonego, sprowadzona z Niemiec, nie przemawiała do ludu ojczystym jego językiem. Lud pozostawał wtedy w owych okolicach przy starym obyczajowi i starzej wiedzy, ale przez wieki musiał uleść zniemczeniu mowy, i taką mowę dziś w dolnym Szlązku istniejącą, zwykle krajowcy *holdy boldy* zwiążą.

Jaką niechęć przechował do dziś chłop szlącki do sprowadzającej się na ziemię jego niemieckiej szlachty, dowodzi następna przypowieśćka gminna, powszechnie powtarzana: „Kiedy w Brandeburach nie stało Niemców, bo wymarli, wtedy jedno ich książę napisało do Lucypera, żeby ich tam przysłał. Wyprawił więc Lucy-

per djabłów, co Niemców we worach przez powietrze do Brandeburów nieśli. Wtedy, kiedy djabli owi nad Szlązkiem przelatywali, rozprut się jeden wór, i Niemców na Szlązk naleciało; i t. d. W powieści owój prawda bije w oczy. Niemcy w Szlązku stanowią całą inteligencyą; oni przemysł, handel, włości, kopalnie i urzędy trzymają dziś w swych rękach, a trzy razy od nich w górnym pruskim Szlązku liczniejsza siedmkroć stotysięczna massa ludu, jest uważana za zero, które wtedy tylko ilość stanowi, gdy Niemcy przed niem za liczbę stoją. Nawet szkoły od Fryderyka Wilhelma Igo już dla 6 Niemców na 100 Polaków po wsiach, są urządzone. Szlązak więc skazany jest na uczenie się czytać dopiero po niemiecku, wtedy, kiedy dziecko niemieckie rozumiejąc już, oświaty nabiera.

Mimo tych jednak tak trudnych okoliczności, mowa polska jeszcze nader czysto zachowała się w większej części Szlązka. Podamy tu jej granice: Zaczawszy od Wrocławia, gdzie jeszcze oprócz studentów i żołnierzy, w parafii śgo Krzyża liczą do 200 katolików polskiej mowy używających, przejdźmy ponad Odrą po prawej stronie do wsi Cędołów i Scirn, gdzie lud po polsku mówi, choć słucha niemieckich kazań. Dalej w tymże kierunku ponad Odrą stanowią granicę mowy polskiej wsie: Mielszysce, Łaskowice, Źródłowice, Wielkie i Małe Miłoszyce, Posadowice, miasto Bierutów (Bernstadt), 5 mil od Wrocławia, miasto Twarda Góra (Festenberg), gdzie jeszcze parafia ewangelicka liczy 2,000 polskiej mowy wyłącznie używających. W powiecie trzebnickim, w parafii bukowickiej, 1300 Szlązaków polskich się liczy. W powiatowém mieście Mielczu, nad samą granicą Szlą-

zka poza rzeką Barczą położoném, w samém mieście parafia liczy jeszcze 1300 polskich Szlązaków. W Goszczu (Goschütz), w powiecie sycowskim (p. Wartenburg), liczą 3886 parafian polskich. Chcąc dalej określić granice mowy polskiej, postępujemy przez Międzybórz (Medzibor), Syców (Wartenburg), Bralin, ztamtąd nad granicą księstwa Poznańskiego ku Rychtalu, do Byczyny, Gorzowa (Landsberg), znów nad granicą królestwa Polskiego, obok Oleszna (Rosenberg), Lublińca, Woznika, Bytomia (Beuthen), Mysłowic, Berunia, Pszczyzny (Pless); ztąd na granicę Szlązka austriackiego, przez Cieszyn do Bogumina (Oderberg). Opuściwszy większą część zniemczonego powiatu głupczyckiego (Leobschütz), i okolice Opawy (Troppau), gdzie czeska, Raciborza i Hulczyna, gdzie morawska mowa przeważa, postępujemy lewym brzegiem Odry przez Kraplowice, Sudzice (Zauditz), Kietor (Katscher), Baborów (Bauerwitz), Prudnik (Neustadt), a idąc mimo Seinawy Białej, Niemodlina (Falkenberg) i Szarogoszczu (Schurgast), przychodzimy ku Brzegu (Brieg) i Olawie (Ohlau), a ztąd do Wrocławia, zkądśmy prowadzenie tej okrągłej linii poczeli. Linia ta, którąśmy tu wytknęli, nie jest bynajmniej dokładną, ale tylko przybliżoną ogólną granicą mowy polskiej, która w tém określeniu przeważnie panuje.

Aby dać poznać w jakim stosunku ma się zepsucie mowy polskiej, do jój szlązkich właściwości; przytoczę tu niektóre idyotyzmy i germanizmy szląskie, używane szczególnie w powiatach: bytomskim, oleskim, klucz-borskim, glewickim, lublinieckim i pszczyńskim (1).

(1) Książdz Fiedler wydał w języku niemieckim: „Rzecz o dyalekcie polskich dolno-Szlązaków”, lecz dziełka tego nie znam.

Germanizmy.

Szolka, czarka, filiżanka. *Szpijon*, szpieg. *Bergman*, górnik. *Gruba*, kopalnia. *Kapudrok*, suknia. *Szranczek*, szafa. *Wix*, czernidło. *Giltować*, popłacać. *Mas*, miara. *Zemła*, bułka. *Harnadla*, śpilka od włosów. *Formedla*, półkoszulek. *Kragel*, kolniérz. *Strykierz*, pończosznik. *Hanczumacher*, rękawicznik. Oprócz tych, nazwiska urzędów; np.: *Stadtrichter*, sędzia. *Schichtmeister*, (urząd górniczy), i t. p. Także nazwy domów rządowych, np. *Zollamt*, roгатka i t. p. są wzięte z języka niemieckiego. Słowem, te tylko wyrazy weszły do mowy polskiej w Szlązku, których oznaczenie w dawnych czasach, Szlązakom nie było potrzebne, lub przechodzi ich starą Piastowską wiedzę.

Idyotyzmy szlązkie.

Starka, babka. *Gwara*, mowa. *Smatka*, chustka. *Kłobuk*, słomiany kapelusz. *Statek*, gospodarstwo. *Siodlak*, gospodarz. *Dawka*, pobór wojskowy. *Stawka*, dostawienie się do poboru wojskowego. *Dęga*, tęcza. *Rosikoń*, koniczyna. *Mielcarz*, śladek, piwowar. *Palarnia*, gorzelnia. *Spętlik*, spinka. *Rodny list*, metryka (jak u Rosyan). *Sypanie*, *sytek*, śpichlerz. *Psinco*, nie, niewiele. *Tworażki*, serki. *Zima*, *ciotucha*, febra. *Knule*, jabłka, ziemniaki. *Ktaki*, *kule*, karpiele. *Wieprzki*, agrest. *Skrobek*, krochmal. *Gizda*, błoto. *Płaszczycza*, pluskwa. *Lelito*, kiszka. *Łucek*, szczypiorek. *Ożarty*, spity. *Rządzić*, radzić. *Pszac*, sprzyjać. *Działać*, masło robić. *Kiska* (od *kisnąć*), kwaśne mléko. *Potek*, chrzestny. *Zgłobnik*, urwisz. *Zdzmióch*, sknera, może od *miecha*, worek, lub *denga*, piéniądz. *Trzeszczyptot*, wielomówca, hałaśnik. *Grotek*, cebrzyk. *Szerga*, *drzyk*, opravca. *Szergownia*, areszt. *Madraczka*, czepiec. *Herb*, dziedzictwo. *Brandeburek*, drogo-

skaz. *Marast*, błoto (wątpię, żeby od francuzkiego *le marais* (1)). *Wzburzka*, rewolucya. *Przywiarek*, zaboron. *Gesie pepki*, stokroć. *Żabie oczka*, niezapominajki. *Przeskoczka*, zawitka (u Trentowskiego *dogodnica*). *Woniaczki*, kwiaty. *Wolenie*, obiór deputowanego (czy od wola? czyli od *Wählen?*). *Pad*, raz. *Galoty*, spodnie. *Pokraka*, dziworód. *Chludzić się*, przebiérać. *Fochmura*, niedorostek. *Dukla*, jama. *Duchy*, zapachy (w rossyjskim *duchi*). *Celowac*, mieć na celu; np.: „Przyjm te nauki, bo dobro tve celują”. *Bery*, mowy głupie. *Zdrzało*, zwierciadło. *Drobka*, drabina. *Szumny*, piękny. *Chutnie*, silnie. *Maszkietny*, łakotek. *Wyzgierny*, zręczny. *Picowac*, karmić (po staropolsku *picownik*, znaczyło dostawiającego żywność). *Kludzić*, mówić. *Oszydzić*, oszukać. *Liguda*, biédny, lichy. *Smotłok*, niechlujny. *Cepok*, niezgrabny. *Lebioda*, nic nieznaczący. *Kucia* woźnica. *Sasek*, trzpiot. *Buciory*, graty domowe. *Sotdra*, szynka. *Jata*, szopa. *Siadłocha*, mléko kwaśne. *Trosia*, pozwolenie wzięcia ślubu. *Kurze stopy*, kwiaty pierwiosnkami lub inaczéj kluczykami zwane, *Primula veris*. *Szczerk*, zwir. *Wrzeccionica*, *ślepucha*, ogólna nazwa gadów. *Kalemba*, licha krowa. *Ukropek*, wodzianka. *Ocelka*, stal. *Bielnik*, blich. *Bania*, dynia. *Koczak*, urbaniec, szaleń jadowity, *Cicuta virosa*. *Bzdzucha*, pietrasznik, *Conium maculatum*. *Jeżyny*, ostrężnice. *Kwaśnica*, berberys. *Skorzyca*, cynamon. *Sarnik*, rogacz. *Puszcz*, puchacz. *Kulik*, bekas. *Baba*, pelikan. *Skrzek*, ikra. *Szczuka*, szczupak (jak u Rossyan). *Spolnica*, sum. *Wąsianka*, gąsienica. *Ściągwa*, pluskwa. *Pyzak*, szwab, karazan, blatta. *Węza*, woszczyna. *Kopidól*, grabarz. *Kopczyć*, rozgraniczać. *Chwoytki*, podejście.

(1) Raczej od niemieckiego *Morast*. *Przyp. red.*

III. Piśmiennictwo, uczeń, drukarnie.

W starych czasach nie zbywało na uczonych Szlązakach, ale rzecz ta miała się wtedy tak jak i dziś: przyjdzie chłopiec szlązki do Krakowa lub Poznania do szkół lub handlu, wykształci się jako tako, czasem i znamienicie w naukach zasłynie; a wtedy ani wraca do rodzinnych stron, aby tam być użytecznym, ani nawet nie wyda się ze swém pochodzeniem. Jeśli znów niemieckiej nauki zaczerpnie, wstydzi się, że się rodził w Szlązku, bo tam mieszkają *die Wasser-Polaken*, a on jest rodowity Niemiec. Wieśniaczka jednak szlązka rodzi zwykle takiego Niemca!

W dziejach literatury polskiej z XV i XVI wieku, kilku Szlązaków znamienite zajmuje miejsce; ale ci ludzie pozostali w miejscu, gdzie naukę powzięli, a Szlązk mało ich obchodził. Mężowie ci są:

Frater Konrad i *Preder* z *Nyssy*, w XV wieku pisarze łacińscy.

Bernard z *Nyssy* († 1490), teolog, rektor akademii krakowskiej. Znaczny zbiór jego kazań w rękopismach posiada biblioteka Jagiellońska.

Michał z *Wrocławia*. Wiele dzieł jego w języku łacińskim wyszło w Krakowie u Hallera i Unglera, w pierwszej połowie XVI wieku.

Jan z *Oświecima* (*Sacranus*), teolog, rektor akademii krakowskiej. Za Jana Olbrachta, Alexandra i Zygmunta był posłem do Litwy i Rusi. Wydał 1500 roku w Wilnie dzieło o obrzędku ruskim, w języku łacińskim:

Jan z *Głogowa*, mąż wielkiej sławy, żył w XV wieku, umarł w Krakowie 1507 r. Wydawał wiele dzieł

o filozofii scholastycznej. Żył współcześnie z Michałem z Wrocławia, i obaj w swych czasach do najuczestniejszych liczonemi byli.

Jerzy Liban, rodem z Szlązko, był w akademii krakowskiej professorem języka greckiego w r. 1528—34.

Hieronim Wietor, Szlązak, z miasteczka Liebenthal. Zajmuje znamienite miejsce w bibliografii polskiej.

David Milesius, Szlązak, poeta łaciński, żył w XVI wieku.

Wacław Kromer, Szlązak, spisał kronikę biskupów wrocławskich w XVI wieku.

Franciszek Mimery. Jego polskie wierszyki wydał Wietor (1).

Tych kilku przytoczywszy, pomijam innych, gdyż wpływ ich i zasługi ważne w owe czasy, gdzieindziej ocenionemi zostały; nauka ich jednak i znaczenie, dla Szlązka żadnych nie przyniosły korzyści. Mówiąc téż o piśmiennictwie szlązkiem, pomnę wszelkie płody literackie, które w Wrocławiu przez Polaków, dla rozmaitych powodów drukowanemi były. Pomnę także piśmiennictwo niemiecko-szlązkie, które do zakresu literatury niemieckiej należy.

Z dziś po Szlązku uwijających się książek, starszych nie spostrzegłem nad dziełko pod tytułem: *Wznowienie powszechne Taxae stolae, sporządzone dla samowładnego księztwa Szlązka, podług którego tak augsburskiej konfessyi, jak i katoliccy faraże, kaznodzieje i kuratusowie zachowywać się winni. Data z Berlina, d. 8 Augusti 1750 r. We Wrocławiu, do nabycia u Jakóba Korna Bibliopole.*

(1) *Miscellanea Crac. Fasc. II, pag. 73.*

R. 1796, u Jana Fr. Korna w Wrocławiu, wyszło: *Nowo zebrane obiecadło do syllabizowania i czytania, dla potrzeby osobliwie Górnego Szlązka, po niemiecku i po polsku wyprawione.*

R. 1799, u tegoż wyszedł: *Katechizm rzymsko-katolicki dla najmniejszych dzieci.*

R. 1806 u tegoż: *Książka modlitewna z pieśniami.*

Księża Jezuici w końcu przeszłego wieku w akademickiej wrocławskiej drukarni, wydawali modlitewne książki drukiem gockim. Rząd zaś rozpowszechniał rozporządzenia swoje, drukowane po polsku w formie gazet.

R. 1804 założył Belitz pierwszą w Szlązku polską drukarnią.

Drukarnia Grassa i Bartha w Wrocławiu, wydawała: *Officium codziennego nabożeństwa*, wielkimi głoskami, i *Arye polskie z nutami*. Dla chrześcian ewangelickich, Tramp w Brzegu dostarczał potrzebnych książek.

W drukarni pomienionego Grassa i Bartha, wyszła w kilkunastu wydaniach: *Książka do syllabizowania i czytania polszczyzny*; także: *Książka do czytania dla klasy wyższej szkół elementarnych*; *Katechizm dla małych dzieci*; *Katechizm dla większych dzieci*; *Kancyonał pieśni nabożnych*.

O ruchu literackim owych czasów, to jest początku naszego wieku, tak pisze nauczyciel Lompa (1): „W niedzielę schodzili się mieszczanie do dobrego czytelnika po południu lub wieczorem, i słuchali najciekawiej kazań o antychryście. Obrażnicy i introligatorzy w Szlązku, księgarzami zwani, handlowali w pierwszym dziesiątku tego wieku pieśniami: O bogaczu i ubogim Łazarzu;

(1) Ner 85 Dziennika Górno-Szląckiego, wychodzącego w Bytomiu 184^o/_o r.

Laura i Filon (Karpińskiego); *Historya o cudownej odmianie księżnej i szewców*; *O Michale Brodowiczu piaku i t. p.* Belic w Opolu, wydrukował kilka tysięcy pieśni przy Mszy ś. śpiewanej: „Co nam wiara nakazuje.” Ksiądz proboszcz Gałeczka w Olesznie (Rosenberg), miał sam czcionki i małą drukarską prasę. On, ułożywszy pieśń do Mszy ś. „Przed Tobą upadamy”, sam ją drukował i darmo pomiędzy swych parafian rozdawał. Po wsiach, gdzie lud czytać umiał, bawił się książką: „Echo” zwaną, opisującą i wyrażającą w drzeworytach męki piekielne; także książkami: „*Historya o siedmiu mędrcach*”; „*Żywot ś. Petrycyusza*”. „*Historya o Sylfrydzie, Gryzeldzie, Meluzynie*”, i dziś chciwie przez lud są czytane. Baby, wróżki, chodziły po wsiach z praktykami gospodarskiemi, planetami, sennikami” i t. p.

Ciekawą téż wiadomość o szanowaniu ksiąg przez duchownych, podaje nam tenże nauczyciel Lompa:

„W Olesznie w klasztorze księży Augustyanów, w sierpniu czy wrześniu 1806 r., administrator tegoż probostwa i klasztoru, kazał przez dwa popołudnia księgi z klasztoru na dziedziniec wynosić. Wynosili parobcy stosami i w koszach, jak drzewo rzucali księgi na kupy. Proboszcz siedział naprzeciwko, dwaj zaś kapłani stali przy kupie ksiąg, brali do rąk jedną po drugiej, czytali proboszczowi tytuły, a ten surowy sąd doraźny wydawał. Jedne księgi, niby za dobre uznane, były na bok odkładane, i w koszach dla zachowania potomności pod dach wynoszone, gdzie zapewne zbutwiały. Inne zaś, jako niepotrzebne, rzucano na bok, i ztąd mógł je każdy brać do domu. Brali tedy żacy szkolni do woli, okładziny najlepiej opatrując. Niedługo ta uciecha szkolników trwała; kupcy bowiem miejscy, dowiedziawszy

się, jakie dla nich w klasztorze otwarło się źródło, na długi czas kupowania bibuły oszczędzające, posłali delegacją z kosztami zbierać te plony, a wtedy inni ustąpić musieli. Niedawnemi czasy dowiedziałem się, że i księgi do zachowania pod dachem wybrane, parobcy za tytuń kupcom wydają.”

Dziś istniejące znaczniejsze drukarnie polskie w Szlązku są: *Zygmunta Szletera* w Wrocławiu; *Wailsheiser* w Opolu; *G. Neumann* w Głewicach; *Wilhelm B. Korn* w Wrocławiu; *Hertzok* w Raciborzu; *Henryk Handl* w Głogówku; *Pohl* w Opolu; *Plessner* w Lublińcu; *Landsberger* w Głewicach i w Wrocławiu; *Nowacki* w Mikołowie; *Rajman* w Tarnowicach; *Fleming* w Głogowie; *A. Hruzik* w Opolu; *T. Heneczek* w Niemieckich Piekarach; *K. Kirsz* w Bytomiu; *Kuhnert* w Olesznie; *Schemel* w Pszczynie.

U tych ostatnich wychodzą obecnie pisma czasowe polskie: *Tygodnik Maryański* w Niemieckich Piekarach; *Dziennik górno-szlązki* w Bytomiu; *Telegraf* w Olesznie; *Przyjaciel Ludu* w Pszczynie. Oprócz tych, w Opolu u *Wailsheisera* wychodzi polskie rządowe pismo, pod nazwą: *Gazeta polska dla ludu wiejskiego*.

Litografie znaczniejsze istnieją w Szlązku, prócz wrocławskich: w Raciborzu, Głewicach, Tarnowicach, w Bytomiu, Opolu, Głogowie, Lublińcu i Olesznie.

W każdym prawie miasteczku, gdzie drukarnie wymieniłem, wychodzą oprócz *Kreisblattów* i *Amtsblattów*, pisma czasowe niemieckie; np. w Bytomiu: *Beuthener-Stadt-Blatt*; w Głewicach: *Wanderer* i t. p. Sprowadzanie przez księgarnie szlązkie ksiąg polskich z Poznania i Krakowa, dopiero się w czasach obecnych upowszechniać zaczyna.

Teraźniejsze téż wypadki w Europie, zmusiły ciekawych Szlązaków nieznających języka niemieckiego, do czytania polskich pism. I tak: na początku roku 1849, wokolicy Bytomia utrzymywano: 65 exemplarzy „Dziennika górno-szląckiego”; 50 exempl. „Tygodnika Maryańskiego”; 12 exempl. „Wielkopolanina”; 5 exempl. „Gazety polskiej poznańskiej”; a to oprócz pism politycznych i literackich, które wypożyczają publiczna czytelnia polska w Bytomiu, i oprócz gazet niemieckich, których ta okolica do 200 exemplarzy utrzymuje.

Książeczki modlitewne lub polityczne, wychodzące dziś w Szlązku, odbijają najmniej w 3000—4000 nakładu; i tak znaczna ilość, przez sprzedaż na odpustach i jarmarkach, w krótkim czasie się rozchodzi, a nie jednej broszurki już kilka tak licznych wydań zupełnie wyczerpnięto.

Wymienię tu niektóre z tych dziełek polskich, wyszłych w Szlązku, aby o ich istnieniu dać wiadomość rodakom.

Książki elementarne polskie nakładem Lenkarta, stanowią znaczną część ksiąg szkolnych szlązkich; także dziełka tego rodzaju, wydawane przez nauczyciela Rendschmidta, Strausa, Onderkę i Pola, autora Grammatyki polskiej.

Ks. Pohl, wydał prócz wielu drobiazgowych książeczek modlitewnych, następujące:

1) Katolicka książka missyjna, czyli przewodnik do życia chrześcijańskiego. W Głogówku, u Handla, 1844 r.

2) Ś. Droga Krzyżowa, z włoskiego tłumacz. W Opolu, u Pohla, 1848 r.

3) Różaniec żywy. W Opolu.

4) **Historya o zjawieniu się N. Panny na górze Saletto. W Opolu, u Pohla.**

5) **Żywot Maryi Merl i Dominiki Lazzary. W Opolu, 1849 r.**

6) **Nabożeństwo na Wielki Tydzień. W Niemieckich Piekarach, 1849 r.**

Ks. Sztabik, jeden z najpiękniej po polsku piszących Szlązaków, wydał:

1) **Żarty nie żarty, czyli wierszoklectwa wesole i poważne. W Raciborzu, 1849 r. Jestto zbiór anakreontycznych wierszyków, napisanych w sposobie i w wartości Krasickiego.**

Inne dziełka tegoż księdza są:

2) **Pielgrzymka do Jerozolimy; tłumaczenie z niemieckiego. Wychodzi w Raciborzu poszytami od r. 1847.**

3) **Opis ziemi Ś. U Kirsza w Bytomiu, 1846 r.**

4) **Modlitwy do N. Sakramentu. W Opolu, u Pohla.**

5) **Fioletea ś. Franciszka Salezego.**

Wreszcie kilka drobniejszych modlitewnych książeczek, i **Kalendarz glewicki**, który już od roku 1846 wychodzi pod redakcją ks. Sztabika, a pod względem doboru artykułów, wielkie ma zalety. Celują tu artykuły samego redaktora.

Ks. Szafranek deputowany po dwakroć na sejm berliński, oprócz plakatów i pism politycznych w **Dzienniku górno-szlązkim** umieszczanych, wydał u Kirsza w Bytomiu: 1) **Pieśni nabożne niemieckie i polskie**; 2) **Kalendarz postny**; 3) **Jubileusz na r. 1845.**

Ks. Fietzek redaktor **Tygodnika Maryańskiego**, proboszcz i fundator kościoła w Niemieckich Piekarach, wydał:

1) **Żywoty SS. Skargi**, w Wiedniu u Mechitarystów, i te po ziemi szlązkiej rozpowszechnił.

Liss (górnik), wydał: **Magazyn Duchowny**, czyli modlitwy i pieśni dla górników. W Opolu, 1840 r. i kilka broszurek modlitewnych.

Pominąwszy imiona i dziełka szlązkich literatów, jak: nauczyciela **Koczolda**, wydawcy pieśni kościelnych; **Peżycha**, autora kancyonału; **Muthwilli**, także zbieracza pieśni kościelnych; nadto **Gruhla**, tłumacza dzieł religijnych; **Nowackiego** drukarza, wydawcy wielu powiastek, i kilku innych mniejszej wartości szlązkich pisarzy, przejdźmy do zaszczytnie znanego męża wielkich zasług, nauczyciela **Józefa Lompy** z Oleszna, sprawującego przez lat 30 skromny urząd nauczyciela we wsi **Lubszy** pod **Woźnikiem**.

Mąż ten pomimo, że popiera wszelkie usiłowania literackie w Szlązku, i jest współpracownikiem pism czasowych szlązko-polskich, mimo tylu wyliczonych usiłowań, jest autorem wielkiej ilości pism polskich, które niżej przytoczę. Zdziwiony owocami prac kolosalnych tego męża, postanowiłem go odwiedzić, jako jedynego, wysoko ukształconego Szlązaka. Z czcią prawie, zbliżyłem się do jego skromnej wiejskiej chaty, naprzeciw kościoła lubszeckiego; zastałem go pełniącego obowiązki organisty, któryto urząd od posady nauczyciela jest nieoddzielny. Niepodobnym mi prawie do uwierzenia zdawało się, jak mąż sędziwy, otoczony liczną nader rodziną, podejmujący sam jeden trudy około udzielania nauki stu przeszło wiejskim dzieciom; jak mówię mógł tyle prac podjąć dla dobra swój rodzinnej ziemi! Zaiste, wielka zasługa i wielka cześć dla tego męża!

Nauczyciel **Józef Lompa** jest autorem następujących dzieł:

1) **Historya Szlązka dla szkół elementarnych.** Choć broszurka ta w młodości autora była napisana, a przez to mniej dokładna, mimo to jednak dwa jój wydania nader liczne u Feistla w Opolu 1821 i 1822 r., zupełnie dziś wyczerpnięte zostały.

2) **Pieśni nabożne.** W Glewicach, 1833 r. Jestto pierwszy w Szlązku zbiór pieśni kościelnych.

3) **Zbiór pieśni podczas uroczystości Bożego Ciała.** W Glewicach, 1833 r.

4) **Książka elementarna dla szkół; tłumaczona i przerobiona z Rendschmidta.** Wrocław, 1843 r. Praca ta uwieńczoną została nagrodą.

5) **Pielgrzym w Lubopolu.** W Lublińcu, 1844 r. Jestto krótkie opowiedzenie historyi Szlązka, na wzór Pielgrzyma w Dobromilu.

6) **Krótki rys historyi naturalnej dla szkół elementarnych.** W Olesznie, 1847 r.

7) **Historya o Gryzeldzie i margrabi Walterze; tłumaczona z niemieckiego.** W Mikułowie, 1847 r.

8) **Historya o szlachetnej i pięknej Meluzynie.** Te dwie ostatnie powieści, prawie w każdej chacie znaleźć można; pewnie dla ich czarodziejskiej treści, w czém lud smakuje (1).

9) **Mały górnik; powieść z niemieckiego.** W Opolu, 1845 roku.

10) **Chłopiec niewidomy, powieść.** W Pszczynie, 1847 r.

11) **Krótki rys geografii Szlązka; z mapą, przez autora rysowaną.** W Lublińcu, 1843 r. Jedyne to polskie dziełko do geografii Szlązka.

(1) Powieść ta czarodziejska o Meluzynie, gdzie bajdy fantastyczne są pomieszane z religią, powszechnie i chciwie jest czytana przez lud szlązki, który jako każdy inny, lubi czytać płody fan-

12) **Kruszce** srebrne w wieku XIV. 1847 r. Jestto ciekawa powieść gminno-historyczna.

13) **Wzory** kaligraficzne dla szkół; w litografii raciborskiej.

14) **Poezye** własne i tłumaczone. Wychodziły zeszytami w Opolu, 1841, 42 i 43 roku.

Prócz tych tu wyliczonych dzieł, wydał nauczyciel Lompa kilka książek modlitewnych, nabożeństw i pieśni, których szczegółowe wyliczenie pomijam. Posiada on też w rękopiśmie piękny, przez siebie wypracowany w języku niemieckim zbiór powieści, podań i pieśni gminnych szlązkich.

Do płodów piśmiennictwa szląckiego doliczam tu jeszcze dwa wydania: *Nauki o sztuce położniczej*; *Porządek wiejski policyjny*; *Sposób ratowania napozór umarłych*; *O nosaciznie końskiej*, i kilka podobnych lekarsko-policyjnych przepisów, staraniem rządu w Opolu wydanych i rozpowszechnionych. Także godne są uwagi poezyjki różnych autorów, w pismach czasowych szlązkich niekiedy podawane.

Taki jest stan obecny piśmiennictwa polskiego w Szląsku, który pobieżnie, ogólnie nakreśliłem. Jestto piśmiennictwo religijno - narodowe, które z rozlicznych stosunków Szlązaków wypłynęło...

tazyi, ale im wiary nie daje; co może być uważane poniekąd za znak wyższej oświaty szląckiego ludu. Powieść tę pierwotkowo przez Włocha Portenacha napisaną, przetłumaczył z niemieckiego J. Lompa, a Kuhnert wydał i wydrukował 1847 r. w Olesznie (Rosenberg). W języku niemieckim jest ona wydana kilkakrotnie, a ostatecznie wydał ją G. Marbach w swym zbiorze książ ludowych (Volksbücher).

IV. Sądy, procesa, szkoły.

Gdy się wieśniacy pomiędzy sobą powośnią, wtedy urząd gminny mocen jest załagodzić ich zwykle drobiazgowy sprzeczki. Gdy zaś sprawa jest téj natury, że pojednanie jój przechodzi atrybucyę władzy gminnej, wtedy wytacza się przed sądy miejskie (Justiciarius, Bürgermeister, Stadtrichter), lub téż przed sądy powiatowe (Polizei-Kommissarius, Landrath); a wreszcie przed władze regencyjne i sądy wyższe, (Oberlandes-Gericht). Gdy już sprawa przed który z tych sądów jest wytoczona, niezawodnie Niemiec jest przez wieśniaka oskarżony, lub téż wieśniak przez Niemca obwiniony. Niemiec wtedy zaskarża lub tłumaczy się w swoim języku, chłopu zaś niewiele sam rozumiejący po polsku, lub stronę Niemca popiérający tłumacz, niewszystko przekłada co tenże powiedział; chłop niewłaściwie się broni, a przez to przegrywa. Chłopa o nieposzanowanie władzy skarżą, a postępując według prawa, napiszą w protokóle słowa: „strony odmówiły polskiego protokółu” i już po sprawie! Broni się chłop nasz przez rzecznika, to ten go nie wyrozumieć lub tak zedrże, iż wygrana przyniesie chłopu więcej straty, niż zysku. Oto przykład: W powiecie bytomskim pod wsią Pilkowem, roku 1848 rozpoczęto sypianie gościńca. Droga ta miała iść w jedném miejscu przez pola siedmiu wieśniaków. Pola zajęte przez tę drogę, nie wynosiły nawet jednej morgi. Rząd przynależał nagrodę w proporcji takiej, iż za 6 przętów zajętego pola, odbierze właściciel 14¹/₂ grp. rocznie. Gdy wynagrodzenie to zdawało się wieśniakom nazbyt małym, przeto wybrawszy sobie rzecznika, dali mu pełnomocnictwo prowadzenia w ich imieniu procesu. Spór toczył

się rok; wieśniacy ci zapłacili rzecznikowi koszta sporu 2100 złp. Wygrali proces i przysądzono im po dwa złp. rocznej płacy za każde 6 prętów, zajętego pod drogę gruntu. Gdyby więc przez kilkaset lat składali to, co za ów grunt pobierają, choćbyśmy nawet procent składany rachowali, trudnoby wydany kapitał odzyskać.

Niech pozew lub wezwanie przyjdzie do chłopca, już płacić musi za liche przełożenie mu tegoż na polskie. W skutek obecnych reform, w Szlązku mają być zaprowadzone sądy przysięgłych, lecz te nie zmniejszą uciążliwości, gdyż sędziami temi będą oświeceni naukowo, a tych niewiele znajdzie się pomiędzy Szlązakami polskiej mowy. Spory sądowe pomiędzy Niemcami i Polakami szlązkiemi, są nader częste. Do sądu np. bytomskiego powiatu w Tarnowicach, przez rok 1848 jako strony i świadkowie stawilo się 45,000 ludzi, a powiat ten ma 80,000 ludności. Spory te toczą się najwięcej o sprawy pańszczyzniane i o zniszczenie gruntów chłopskich, pod któremi są kopalnie galmanu i węgla; także zatargi górników z Niemcami przełożonemi, którejto klasy ludu liczą 15,000 w pomienionym powiecie, są częstych sporów przyczyną.

Posłuchajmy, co Niemiec, doktor prawa, rzecznik Weideman napisał o Szlązku (1): „Książę, hrabia, baron obchodzi się z poddanym po grubiańsku. Przepych w przyodziewie—i nagość, jedwabne materye—i łachmany, są tu uderzającą charakterystyką. O materyalny byt ludu tego także nikt się nie stara...” Oto słowa Niemca, bo dość tylko uczciwym być, aby nad niedolą tego ludu łzę uronić.

(1) Ważne téż pod tym względem jest dziełko niemieckie, o stanie szkół w Prusach, przez Fr. Harkorta.

Przytoczę tu jeszcze, iż są w polskich Szlązka wsiach kapłani, którzy dzieci do spowiedzi przypuszczają nie chcą, dopóki te katechizmu po niemiecku na pamięć repetytować się nie nauczą.

V. Religia.

Popatrzmy na dzieje, a już w starych czasach zobaczymy przykłady silniejszej wiary w Szlązku, niż w innych dzielnicach dawniej Polski. Bitwa lignicka z Tatarami, krwawe deszcze, obrona Wrocławia przez Ś. Czestawę, znaki na niebie i inne towarzyszące jej okoliczności, dobrodusznie przez Bielskiego opisane; nadają tej wielkiej bitwie urok, dramatyczność i fantastyczną cudowność. Postać znowu ś. Jadwigi małżonki Henryka Brodatego, służy za dowód niezwykłej religijnej rezygnacji. Pani ta, wylana na dobre uczynki, życie poświęca dla ubóstwa; sypia na gołej ziemi, martwi ciało, piechotę odbywa pielgrzymki do miejsc świętych, zakłada kościoły i klasztory. Małżonek jej na lat 30 usuwa się, ślubując odłoża małżeńskie. Przemysław książę raciborski, co rok odbywa pielgrzymkę do klasztoru Dominikanów, niosąc w darze ś. Stanisławowi świecę, którą ledwo udźwignąć było można (Długosz, str. 878). To znów ujrzymy w dziejach, jak Wrocławianie wychodzą przed mury miasta w pokutnej włosiennicy, aby przebłagać zagniewanego na nich biskupa Przeclawa (Chronica princ. Pol. str. 137). Henryk IV Pobożny zwan, oblega w Raciborzu biskupa wrocławskiego Tomasza II, a pasterz ten w duchownym przybraniu i orszaku, wychodzi do oblegających zastępów, napomina w imię wiary, a srogim wojownikom pokuta wytrąca miecze z prawicy.

(Kromer, ks. X). Wreszcie postać Własta (Piotr Dunin), założyciela 77 kościołów; liczne świątynie i klasztory bogate szlązkie, dają nam pojęcie o uczuciach religijnych Szlązaków.

Popatrzmy na dzisiejszych Szlązaków. Gdzie się obrócisz, wszędy figury świętych ubrane w ziela, lub światłem błyszczące, co je ubogi lud na cześć Maryi lub ś. Jana Nepomucena zapalił. Ubóstwo otacza wieńcem te świętych postaci, a nabożne polskie pieśni, rozlegają się echem po okolicy. Któryż odpust w Częstochowie i Kalwaryi, obejdzie się bez Szlązaczek, w krótkie spodnice i w świątalne czerwone przystrojonych pończochy? Że tu nie wspomnę o pogańsko-narodowej stronie religii, bo ta złączona ściśle z badaniami słowiańskiej mitologii, gdzieindziej już uczenie opisaną została (1); lecz nadmieniam, że zwyczaj palenia sobotek, choć ściśle zakazywany, jednak ciągle z uroczystszym niż u nas obrzędem w Szlązku obchodzonym bywa. Powieści też gminne pełne są legend o cudach i dziwach religijnej postaci, które ledwie nie do każdego kościoła i figury przyczepiono. Szlązak polski, list i wszelkie pismo zaczyna od słów: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Przy powitaniu i żegnaniu, a nawet siadając i odchodząc od jadła, używa religijnych form i wyrażeń. W rozmowie, przeklina często Lutra i Rongego, a wychwala i z czią wspomina ks. Fietzka, co z składek ubogiego ludu w Niemieckich Piekarach pod Bytomiem, ogromną i odpustami słynną zbudował świątynię (2). Gdy na ulicy ukaże się ksiądz, po-

(1) Naruszewicz, Chodakowski, Szafarzyk, Kollar, Maciejowski.

(2) Żałować należy, że kościół ten, tak wielkie summy kosztujący, wcale bez gustu i smaku jest postawiony, a wewnątrz bohomazami okryty. Rycinę kościoła i opis, patrz Przyj. L. r. 13, nr. 5.

całunki jak grad lecą mu na ręce. Bractwa i towarzystwa religijne nader są liczne na ziemi szlązkiej, a główną część literatury szlązkiej, stanowią księgi nabożne. Księża, którzy rzadko dobrze znają język polski, zasłaniają się łaciną (1)....

VI. Nowsze usiłowania.

Już Mrongowiusz, a po nim Gizewiusz, ewangelicki pastor z Ostrodza, ujmowali się za Szlązakami, pisząc do ministrów o wprowadzenie do szkół polszczyzny. Po nich Niemiec, Karol Kosicki z Bytomia, nauczyciel Lompa i Smółka, wszelkie w tym względzie czynili kroki. Ich wreszcie i redaktora Dziennika górno-szlązkiego staraniem, r. 1848^{8/9} zawiązało się w Bytomiu towarzystwo pracujących dla ludu górno-szlązkiego, które założyło czytelnie polskie w Bytomiu, Lubieńcu, Woźnikach, Rybniku i w Mysłowicach. Zgromadzenie też narodowóm zwane, istniejące w Bytomiu, posłało kilka adresów licznymi podpisami opatrzonych do J. M. króla pruskiego, i do sejmu krajowego berlińskiego, na którym deputowany ks. Szafranek wnioszek o przyznanie narodowości dla Szlązka uczynił. Religijne też towarzystwo maryjańskie w Niemieckich Piekarach istniejące, do krzewienia tych dążeń zapewne przyczynić się może.

Wyjątek z nr. 80 Dziennika górno-szlązkiego.

„Bytom, dnia 11 marca 1849 r. Dziś o godzinie 1éj jak było zapowiedziano, odbyło się drugie posiedzenie

(1) Już Rej w Wizerunku powiedział: „Lepiej modłać się, powiedzieć pięć słów, a zrozumieć je, niż pięć tysięcy, a nie rozumieć ich.

towarzystwa, pracujących dla oświaty ludu górno-szląskiego. Przewodniczący towarzystwu, pan Karol Kosicki, nie był obecnym. Zgromadzenie było nad spodziewanie liczne; nie było wprawdzie ani księży, ani nauczycieli, ale natomiast z zadziwieniem zobaczyliśmy kilku mieszczan (bürgerów), którzy zwykle rzadkimi są w zgromadzeniach gości”.

„Dzięki im za to, że się do spraw ogół obchodzących i oni mieszają! Zastępujący przewodniczącego, nauczyciel Smółka, zdał sprawę z dotychczasowych czynności towarzystwa, nadto rachunek z pieniędzy składkowych i z dochodów, wydatków i stanu czyteli”.

”Czytelnia bytomska liczy do 400 dzieł. Przychód z wnoszonej jako składka od czytelników miesięcznej dawki (1 czeski), wynosił od 1 października aż dotąd, przeszło 8 talarów, które na oprawę i zakupienie nowych ksiąg przeznaczone były. Po tém sprawozdaniu, oznajmił przewodniczący słuchaczom i członkom, iż dyrekcyja towarzystwa zajęła się już sporządzeniem i wydrukowaniem petycji do Najjaśniejszego króla i zgromadzenia narodowego, i że też petycye już gminom niektórym do podpisu rozdane zostały. Prosił więc członków towarzystwa, aby się rozpowszechnieniem tych petycji zajęli. Wreszcie przy końcu posiedzenia, przystępowali nowi członkowie”.

W Szlązku austriackim dr. Klucki zjednał sobie zasługi wydawaniem „Tygodnika Cieszyńskiego”, założeniem „Towarzystwa uczących się po polsku”; a wreszcie czytelnii polskiej.

Rozporządzenie od Ministeryum Oświaty, względem zaprowadzenia języka krajowego do szkół gimnazyalnych w Czechach, w Morawii a Szlązku. (Z Tygod. Ciesz. nr. 33, z r. 1848).

Dano dnia 18 na 22 września 1848 r.

„Ministryum publicznych nauk żądając usilnie, aby zasada równego uprawnienia narodowości względem języka wykładowego, na Najwyższym Miejscu uznana, jak najrychlej do żywota weszła; zajęło się wywiadywaniami, z których się pokazuje: że się da zaprowadzić nauka czeskiego języka w czeskich gimnazyach już następującego roku szkolnego 1848 — 1849; tym czasem nietylko jako wolny przedmiot, ale zaraz jako obowiązkowy”.

„Na gimnazyach w okręgach niemieckich, ma być zaprowadzony język czeski za przedmiot dowolny. Na gimnazyach zaś z okręgów czeskich, ma być język czeski i literatura czeska z początkiem następującego roku szkolnego przedmiotem obowiązkowym, a prócz tego ma się téż religia, geografia, historia (człowieczeństwa) i historia naturalna w języku ojczystym przednaszać”.

„Z téj przyczyny, podawa się czeskiemu gubernium to rozporządzenie :

„Co się podług zasady równego uprawnienia narodowości, względem zaprowadzenia języka wykładowego dla Czech ustanowiło, ustanawia się także dla Morawii i Szlązka, a płaci, jako z saméj zasady wypływa, o językach krajowych w innych krajach. Potrzeba tylko dla spieszego urzeczywistnienia tego, które w niektórych krajach dosyć trudném być może, aby się z téj przyczyny najprzód na zbadanie miejscowości względ brał”.

„(Tak brzmi ministeryalne rozporządzenie; my zaś tylko tyle dodawamy, że co tu powiedziano o czeskim języku, to płacić powinno w szkołach czeskich, morawskich, nawet i opawskich; w Cieszynie zaś ma to samo płacić o polskim języku, jako krajowym)”.

Z Cieszyna (1). „Słyszemy, a ku wielkiej radości ziomkom naszym do wiadomości dać możemy, że już wszystkie rozporządzenia urzędowe w polskim języku nam przychodzić mają”.

„Nasz czcigodny starosta, będąc zapytany od berneńskiego gubernium, w jakim języku tu urzędowe sprawy posyłać się mają, zebrał większość głosów gmin naszych, że *w polskim języku*, bo podobno tylko niektóre *copy* (2) inaczej myślały. On się głównie przyczynił, żeby z urzędów po polsku wszystkie sprawy wychodziły”.

(1) Tygod. Ciesz. nr. 6. z r. 1849, d. 10 lutego.

(2) Trywialna nazwa Niemców, od harcapów.

KRONIKA LITERACKA.

*Poezye Józefa Dyonizego Minasowicza, przekładane
i własne.*

Miaasto nie jest ulubioną sferą poezyi. Dziecko lotu fantazyi, lotu bez granic; twór ducha wnikającego w byt rzeczy, w byt ten bez kresów; dziecko wreszcie głębokich burz serca—poezya, nie może upodobać sobie, mieć życie pośród skrępowań murów, rozerwań i zimy zajęć. Ludzie wprawdzie wychowani i wzrosli wśród miasta, wśród tych skrępowań, to ludzie; ich częścią jest wyobraźnia, potrzebą ich jój sycenie; ale ta wyobraźnia, ta sytość, skale ma własne. Poezya, któraby przypaść mogła do smaku miasta, będzie to prędzej ta, w której będzie przemagać zimny rozsądek, dowcip, jak wyobraźnia. To, co więcej nas zajmie i poetycznie wzniesie, będzie to, sami wyznajmy, nie epepeja lub jakaś liryka wielka, ale prędzej jakaś dowcipna piosnka, jakiś wierszyk z ukrytą (choćby bez celu, ale z ukrytą, z kądem dowcip) myślą, jakieś małe poema z okoliczności; będzie to wreszcie jakaś i większa całość, w którejby sztuki piękne razem błyszczwały, wzajem się gniotły, gniotły zwłaszcza poezją o której mówimy, poezją słowa, do głoski (jak opera, balet). Taki wśród miasta słuchacz. Taki też musi być wieszcz, jaki słuchacz, jak ktoś rzekł z naszych poetów.

Miasta nie wydają poezyi: tak nas istota rzeczy, tak uczą dzieje. Poezya (że wspomnimy tu na jój dzieje w dwóch słowach) zrodziła się była niegdys żywą, istotną, wśród pól jońskich. Za dni naszych, wydały ją taką *siola* germańskie

i góry szkoockie, koło nas: *lasy i wody* litewskie i ukraińskie. To, co był wydał Rzym dawny i przed stuleciem Paryż, było raczej dowcipnym i strojnym rytmem, nie zaś poezją.

Ten jest fakt, prawo ogólne. Wszakże nie istnieje prawo bez swych wyjątków. Nie twierdzimy, iżby wśród wsi, jej mieszkańców, nie mógł się znaleźć żaden, któryby patrząc na okolice bez granic, pasąc swe trzody, nie więcej czuć umiał poezją, jak to co pasie; nie twierdzimy, iżby wśród miasta nie mogła się znaleźć dusza, nie jedna dusza, która by czuć nie umiała poezji, wszystkich odcieni poezji; iżby się nawet nie mógł zrodzić, wychować, poeta w mieście. Myśl o tém prawie ogólném i o wyjątku, możności wyjątku, natracił nam owszem właśnie przedmiot, o którym rzec mamy. Chcemy tu bowiem rzec o utworach, to jest: poezjach przekładanych i własnych *Józefa Dyonizego Minasowicza*.

P. J. D. Minasowicz, istotny, i za ledwie nie przychodzi nam dodać jedyny dziś wśród naszego miasta poeta, miastu temu już od lat więcej 30tu daje poznać swój talent. Poezje jego częścią umieszczane w pismach czasowych, częścią wydawane w oddzielnych zbiorach, najwięcej jednak znane jedynie w gronie rodziny, w kole przyjaciół, oraz repertoryum teatru, przed kilku laty zebrane i ozdobnie wydane zostały w Lipsku, z wizerunkiem autora, pod napisem: *Twory Józ. Dyon. Minasowicza*, w 4ch tomach. O zbiorze tym czytelnicy Biblioteki wiedzą już ze wzmianki o nim w tém piśmie przez p. Ant. Czajkowskiego (Bibl. Warsz. z r. 1845) umieszczonej. Zbiór ten powiększonym też jeszcze odtąd został nową pracą autora, a praca ta, odznaczona nowym odcieniem, stała się nam właśnie główną pobudką, do przypomnienia tu i skreślenia ich łącznego obrazu.

Poezje zawarte w 4ch tomach Tworów, dzielą się na własne autora i przekładane. Tom Iszy i połowa IIIgo, obejmują własne.

Oryginalne utwory p. Minasowicza, mają swój odznaczony charakter. Utwory te, wyznać wszakże winniśmy, przy-

pominają nam **więcej** to, cośmy o ogólném prawie poezyi wśród miasta rzekli, jak o wyjątku. Poezye p. Minasowicza własne, mówiąc w ogóle, sąto prawie wyłącznie kilkowierszowe, z jakiej przygodnej okoliczności pisane utwory, rytmy. Wyobraźnia i lot jej nie są, nie mogą być tłem, charakterem tych rytmów, jak już ostrzega o tém sam rozmiar. Oryginalny poemat autora, jestto zwykle jakieś spostrzeżenie z chwili czerpnięte, w niej zatrzymane, i jako morał lub dowcip kształtniej budowy wierszem opowiedziane. Wiersz zewnętrzny autora, jak myśl wewnętrzna, nie odziewa się wprawdzie w figury, w zwroty zbyt sztuczne, lecz jest próżnym słów zbytnich, naciągających; prócz liczby zgłosek i rymów, odziewany jest zwykle w miary iloczynowe, i jest wszędzie mistrzowskiej ręki pociągiem. To też co te utwory autora wznosi do stopnia poezyi, jest głównie rytm.

Poezye oryginalne autora, dzielą się w zbiorze na pieśni religijne i wiersze różne.

Poezye religijne nazwane są przez autora *pieśni nabożne*. Pieśni te w r. 1845 w oddzielnym zbiorku wydane, a pod muzykę p. Karola Kurpińskiego podłożone, przeznaczone były do śpiewu w kościołach, i były nieraz w kilku kościołach w Warszawie wykonywane. Celem ich ułożenia, jak mówi autor w przedmowie, było: przynieść do ust ludu miłującego pobożność śpiewy nowe, gdy te, które pozostały w użytku, jako z dawnych czasów idące, pełne są słów przestarzałych.

Tło religijne jest bez wątpienia jedném z najżywotniejszych w poezyi. Religia, to w treści swój nieskończoność, stosunek nasz do niej; ta też właśnie jest sfera poezyi. Serca poetyczne istotnie, były zawsze, uważać to można, w ten lub inny sposób religijnemi. Lecz gdy samo tło religijne ubiera już myśl w poezją, poezya religijna, iżby się taką nam zdała, winna nam nowy podlot, jakieś nowe zgięcie przedstawić pośród tej myśli. Poezya religijna p. Minasowicza, zawarta jest, utworzona w gładkich wyrazach i strofach, ale w swój stronie wewnętrznej, nie przedstawia nam

owych zgieć. Treścią pieśni jego jest nieskończoność, lecz téj nie wyobraźnia autora, ale gotowe już tradycyjne pojęcie jest gruntem. Uczucia poetyczne autora, nie powiodły go w tém zadaniu ani do kształcenia obrazów nowych (jak np. w *Przenajświętszej rodzinie J. B. Z.*), ani do opiewania rozważań, przyczyn lub następstw religijnych, w jakich szczególnych odcieniach wewnętrznych albo zewnętrznych: treścią pieśni jego jest tylko: powtórzenie tych myśli, wyrażeń, uczuć, które każdemu z chrześcian są znane. Z mało rozmaita, żywa, przed myślą poetów; za poważną znów jest, za wysoką. zdaniem naszym, dla ludu poezya p. Minasowicza. Poezya iżby się zamieniła w pieśń ludu, winna być jak pieśń ludu: jasna, prosta, malowna w obrazach i słowach. Z pieśni np. na dzień Narodzenia Pańskiego śpiewanych, pieśni jak: *Pastuszkowie przybieżeli, W żłobie leży* i t. p. nie zastąpi zapewne i nie wytrąci z ust ludu nigdy i najszczytniejsza poezya.

Śpiewy religijne p. Minasowicza, nie zamieniają się w pieśni ludu; każda z nich jednak jest pięknej budowy wierszem, i jako ozdoba częśćka do téj gałęzi poezyi naszej przybyła i pozostanie. Dla zapoznania czytelników praktycznie z rodzajem tym, przytoczymy tu z pieśni autora jedną. Przytaczamy pieśń pierwszą, otwierającą zbiór: *O narodzeniu Pańskim*. Jestto z oryginalnych utworów autora jeden z najdłuższych, i podobno jedyny, w którym autor terażniejszość i przeszłość z niejakim zwrotem do następstw zdaje się łączyć:

P I E Ś Ń

o przyjściu Jezusa Chrystusa.

(Na Adwent).

Chwila wielka, chwila święta,
 W Przedwiecznego woli wszczęta,
 Przez proroków spodziewana,
 Ma się spełnić w przyjściu Pana.
 Zejdzie słońce bez zachodu,
 Zstąpi promień do ciemnicy,
 Gwoli świętej tajemnicy,
 Wstanie rószczka z Jesse rodu.

Z niéj za sprawą Boskiej siły,
Miły niebu, ziemi miły,
Kwiat zakwitnie nieodwłocznie,
I Duch święty nad nim spocznie.
Przyjdzie cnoty panowanie,
Dzień nadejdzie odrodzenia,
Że się światłem staną cienia,
Że się słowo ciałem stanie.

Jak rzeczono przed wiekami,
Bóg zamieszka między nami;
Serc ofiarę przyjmie w darze,
W niebie Ojca synom wskaże.
W synów świętą miłość wleje,
Tym przepuści co kochali,
A imieniem cnót pochwali
Wiarę, miłość i nadzieję.

Przyjdź niebawem, i czekanie
W radość świata przemień Panie!
Wyuczony twemi słowy,
Człek cię witać będzie nowy.
Wzleci z serc wdzięczności pienie,
Do stóp Twego majestatu,
Bo to Bóg co Syna światu,
Śle na świata odrodzenie.

Do tego téż rodzaju poezyj należy zaliczyć inne niektóre poezye autora, w zbiorze będące, jak: *Pod świętym krzyżem*, *extaza*; *Obchód żalobny*, kantata i t. p.

Wierszom swym różnym dalej idącym, dał autor napis ogólny: *Wrażenia i Dźwięki*, oraz *Pokosy*.

Powiedzieliśmy już jaki jest ogólny charakter rytmów autora. Charakter ten jest właśnie głównie właściwym wszystkim wierszom szczególnym, pod temi nazwiskami zawartym.—Są pośród dusz ludzkich dusze (i liczba ich jest największą zapewne), dla których zdarzenia dzienne, zdarzenia życia, tak wesela jak smutki, przechodzą bez żadnych szczególnych wzruszeń, przyjmowane są jako naturalne wypadki, towarzyszone są tylko łzami albo uśmiechem nazajutrz niknącym; są inne, dla których każde z tych zdarzeń przeciwnie jest źródłem uczuć ognistych, myśli ognistych, rozpaczy albo uniesień, łączących zdarzenia te dane

z całym pasmem rzeczy biejących, z przyszłością, nieskończonością; ale są dusze wreszcie, dla których żaden wypadek nie przechodzi wprawdzie bez wzruszeń, bez ich odbicia, lecz to wzruszenie, odbicie, kończy się na odbiciu samego wypadku, bez dalszych względów. Poeci, którzy otrzymują te dusze, ten stopień natchnienia, są to poeci, którzy jakby z pogardy dla trudów myśli, wzruszeń fantazyi, z pogardą ludzi, ciskają tylko wśród ludzi wiersze krótkie, uczące lub ironiczne, jako apophtegmata, epigrammata, najwięcej przydłuższe pieśni i t. p.; wiersze, które idąc z rozsądku nie serca, nie idą do serca; które w całym swym zbiorze nie przedstawiają nam żadnego obrazu poetycznego, uczucia nadpotocznego, lecz które tylko nas uczą lub rozkazują; a takimi byli np. w Grecyi poeci *Bion, Arathus*; takimi, że pominiemy inne literatury, byli u nas np. *Kasper Miaskowski, Sarbiewski* i t. p. takim też jest i p. *Minasowicz*, w swych własnych utworach.

Powaga czy obojętność sprawiły, iż autor lubo uczucia swe w życiu odbijać pragnął, rozwijać ich jednak nie raczył; i wychodząc, jak rzekliśmy, z chwili w kręśleniu swém, na ściśnieniu, na oderwaniu jój kończył.

Jeżeli np. autor uczuł smutek z utraty dziecka, odbił to wprawdzie; nie ukazały się tu jednak nam wcale, np. drugie treny na śmierć Urszuli, ale tylko dwa wiersze nagrobku. Znajdujemy w zbiorze autora wiersze *Do narzeczonój*, a w wierszach tych mówi to tylko zawsze, co w samym napisie wiersza, to jest „jestem twym narzeczonym”. Są też uroczystsze (z zadania swego) do żony, a w jednym z nich postrzegliśmy nawet owe wielkiego znaczenia słowa: wiary, nadziei, miłości, przez strofy przeprowadzone; ostatnia strofa, którą tu przytaczamy, wyjaśni jednak, jak autor przy tych wyrazach zbyt nie zapuszczał się w liryzm.

Autor ten wiersz swój *Do żony* tak kończy:

„Miłość w opasce Wiary pośród nas niech siędzie,
Stałość ją wesprze na sobie;

A o co się Nadziei jeszcze prosić będzie,

Ludeczku! — wiadomo tobie!” *Twory* 1. 165.

Jedynie niejakiéj formy estetycznej całości, w które się ujęła wyobraźnia autora, są to tylko w zbiorze: *tryolety*

i bajki; resztę stanowią krótkie wiersze z okoliczności, jako: na dnie *urodzin, imienin, obrzędów ślubnych, przy pożegnaniach, posłania* i t. p.

Niektóre z poezyj tych (jak np. tryolety: *Strzedz razem serca i trzody; Raz tylko w życiu kochamy* i t. p.), znane są w całym kraju; dla praktycznego poznania charakteru innych, wypisujemy tu parę.

Wielka część rytmów autora jest rodzajem epigrammatów, takim też jest np. następujący:

Przyjaciele.

Tego, który ci zawsze o przyjaźni gada,
Słuchaj, ale mu nie wierz, taka moja rada.
Słuchaj tego i wierz mu, i waż go ze złotem,
Co jest twym przyjacielem, a nie mówi o tém.

Oto są dwa posłania:

Do E. D.

Z poezjami Książnina.

Chciałaś poznać Książnina... przyjmij upominek,
A jeżeli choć parę oddasz mu godziniek,
Jeżeli która kartka szczęśliwie ci skręśli,
Co serce twoje zajmie, spocznie w twojej myśli;
Nanowo się poety wieniec zazieleni,
Bo to pewnie jest piękność co piękność oceni (1).

Do Klem. Tańsk.

(posyłając Pieśni Nabożne).

Ślęć niełatwą robotę, lecz ona twój nie ćmi.
Więć Bóg, co człek chce mówić,—trudniej mówić z dziećmi.

Przytoczymy tu wreszcie wiersz autora o jego oryginalnej, a tak naturalnej kochance.

Romans artysty.

Wiersz posłany p. B. K. (Bonaw. Kudl.) członk. teatrów.

Kocham już od wczesnego młodości méj ranka
Dziewczę wierne, a kocham co dzień nawet bardziej;
Tysiącznego już we mnie ma ona kochanka,
A żadnym przecież nie gardzi.

(1) Myśl ta wyrażona znienacka, mogłaby się stać godłem nowej estetyki.

Wiém, że choćbym się kiedy, co wątpię, ożenił,
 Ona wyższa nad zazdrość, tém się nie obrazi,
 Sprzyjać mi zawsze będzie, bym ją tylko cenił,
 A reputacyi nie skazi.

Niech kto inny, prócz serca, ziemskie dobra bierze,
 Mnie ona sama starczy w wszelakiój potrzebie,
 Ja także nic jój ponieść nie mogę w ofierze,
 Prócz tylko—samego siebie.

Ona mnie władzą jakąś niewidzialną tuczy,
 Chociaż ja jój nie karmię, z nią nigdy nie piję;
 Ona głosi me imię, wieńce zbierać uczy,
 I tak się szczęśliwie żyje.

Ale widzę, że słowo tak idzie po słowie,
 Żem ledwo téj nie wydał, która duszy sprzyja;
 O! wy wiecie oddawna, jak się luba zowie:
 Tak jest!.... jój imię— *Thalia*.

Trzy następne tomy Tworów autora, obejmują prawie wyłącznie przekłady. W tomie IIgim i IIIcim znajdujemy przełożone: jedno-aktową fraszkę z niemieckiego pod nap. *Zagadka (Das Räthsel Contessy)* wybornym, przypominającym nam przekład *Syna marnotrawnego* wierszem; oraz znane Europie opery: *Precyosa*, *Otello* Rossiniego i *Niemę z Portici*. Powiedzieliśmy już, iż autor ma istotne uczucie poetyczne i ma sztukę i śmiałość szczególnego językiem władania; przy warunkach tych nie potrzebujemy dodawać, iż przekłady jego wzorem tylko być mogą. Przekłady oper powyższych, dokonane na miarę textów, stały się epoką w przekładach textów dla opery krajowej; ale libretta spółczesnych nam oper, by najgłośniejszych, sąto tylko lekkie nagięcia słów, myśli, do rozwijania tematów, uczuć i sytuacji, za pośrednictwem drugiej kwitnącej dziś głównie gałęzi sztuki—muzyki, i należą nie tyle do sfery poezyi, ile muzyki; zwrócimy więc tu raczej uwagę bliższą na tom IVty Tworów autora, który obejmuje wprawdzie przekłady mniejszego rozmiaru poematów, lecz wyłącznie przekłady z *Szyl-lera*.

Dla miłośników Szyllera, zbytecznym zapewne byłoby mówić długo o znaczeniu poezyi Szyllera; o znaczeniu tém musimy tu wszakże rzec najprzód słów parę.

Poezya, to lot fantazyi, uosobnienie fantazyi przez sztukę słowa. Fantazyja, ta moralna siła człowieka, kwiat swój ma w jego młodości; kwiat więc sztuki poezyi pośród ludzkości, musiał przypaść podobnie za wieków młodych ludzkości, to jest, gdy ta niegdyś wychodząc z wieku pierwszego wzrostu, wieku tradycyi, przechodziła w wiek *żywszych uczuć*, i dopiero iść jeszcze miała do wieku *myślenia*. Jakoż istotnie poezya za czasów owych, objawiła się była na skale, do jakich się w siłę swą twórczą, odtąd nie wzniosła. Poezya za wieków owych, w narodzie, który miał misyją odznaczenia się głównie siłą, kwitnieniem *ducha* (hebrajskim), objawiła się była, jako rzeczywiste *proroctwo*; w Grecyi i na południu Azji stworzyła nieba i szczegóły nieba, oraz te kształty i formy (gatunki poezyi), które mimo przemiany czasów, ludów i wieków, pomimo usilności odstąpienia, przekształceń, pozostają zawsze w gruncie jedne też same.

Jestto fakt; lecz wskazując nań nie twierdzimy, iżby po przeżyciu przez ludzkość wieku fantazyi, jój kwiatu, niepodobnym już było odtąd zjawienie się, a nawet w pewnych blaskach, poezyi. Poezya, to podniesienie ducha do widzenia idealnego tego, co jest *obecnym*, co *znikłe*, i nieraz *przeczcucia*, jest owszem i będzie, wierzymy, potrzebą ludzkości, dopóki źródło jój, wyobraźnia (fantazyja), będzie żywą częścią człowieka; będzie rodzajem, warunkiem ludzkiego rozwicia, dopóki się nie skończy natura tego rozwicia (1).

Nowy ten jój odcień, ten blask, nie będzie to kwiat jój *istoty*, to jest tego, co stanowi główne jój źródło, jój siłę; ale stosownie do czasów, do nowych potrzeb, nowe cechy odbijać i nowe może objawiać kwiaty na te swe skale. Jakoż poezya przechodząc do wieków nam bliższych, miała swój nowy odcień za wieków *wiary*, wyłącznej wiary, ma i musiała mieć nowy za wzrostem myślenia. Lud, który głównie

(1) „Jeszcze wyleję naukę jako proroctwo, mówi mądrość w piśmie ś. u Ekklesiastyka, i zostawię ją szukającym mądrości, a nie przestanę w rodzaju ich, aż do wieku nowego.” *Ekkł.* (XXIV. 46).

rozwinął a przynajmniej rozwijał *myślenie*, rozbiór myślenia, był między nowoczesnymi germański; lud ten odbił tę cechę i w swój poezji, a poeta, który uosobił w niej głównie odbicie to, był właśnie Szyller.

Starożytni utworzyli byli w poezji swój niebo, dramata, epepeje, zajmując się w ten sposób głównie czynami, uczuciem ludzi; ale idealizowanie tych czynów, tych uczuć, ale fantastyczne wznoszenie ich stosowaniem do nich myślenia, rozbioru myślenia, ten słowem liryzm, jest właściwym w stopniu zbyt wyższym poezji nowój, i tento przedstawił Szyller.

Szyller był nietylko poetą lirycznym, ale spekulacyjno-lirycznym. Celem każdej liryki jego było nie określanie, ale raczej rozbiór; badanie, i jakoby droczenie fantazyą danego uczucia, przedmiotu; a cechę tę nietylko całości, ale też odbijały każdy wiersz, okres, ledwo nie każde słowo wiersza Szyllera. Tę nadto cechę wewnętrzną, przyodziewał w szczególną zewnętrzną. Każdy swój pomysł, ideał, odziewał też Szyller w estetyczną zewnętrzną całość. Tok słowa i wdzięk rytmu Szyllera, należą owszem do przyczyn głównych, które wzniosły i rozniosły nad inne jego poezją.

Przy tych cechach, zaletach textu, tém trudniejszym był zapewne jego przekład. Powiedzieliśmy, iż p. Minasowicz ma istotne uczucie poetyczne, lecz dla wykonania tego przekładu, potrzeba było nietylko podzielić uczucie, lecz też myślenie, całość ducha myślenia Szyllera; niedość było textu wiersz gładki przelać w wiersz gładki, lecz wypadło w też miary, w też stopy, w też ze szczególném piętnem słowa szczególne, ujęć odcienia, zgięcia, każdej myśli, pomysłu liryka. Jedno i drugie p. Minasowicz ze szczególną missyą wykonał. Przez obcowanie z słowem Szyllera, z Szyllerem, autor umiał duchem i słowem stać się jakoby nowym Szyllerem. Wszystkie prawie przełożone przez autora liryki, porównaliśmy z textem, i musieliśmy tylko podziwiać sztukę przekładu. Owe słowa mowy potocznej, do toku wiersza przez Szyllera brane, owe odznaczanie prawie każdego jakąś szczególną myślą tylko przez położenie; owe stopy, miary, figury rytmu, wszystko to autor zach-

wał, odbił wiernie w swoim przekładzie. Tłumacz miał jakąś szczególną tajnię wyrażania, nawet na pozór odmienną niekiedy od textu myśli, używania odmiennych wyrażzeń i ukazywania nam jednak w końcu w każdym rytmie rzeczywistego ducha i myśli textu, w tej miarę i szatę ujętego. W całym przekładzie autora nie znaleźliśmy prawie i jednej myśli, którąby dodał od siebie, żadnej w textcie, którąby opuścił w przekładzie. Jedyna własność, którą tłumacz nie przejął, nie usiłował nawet przejmować z textu, jest brak w przekładzie owych wyrazów składanych, a składanych tak gładko, które napotykają się ledwie nie w każdym wierszu Szyllera. Wyrazy gładko składane mają wdzięk jakiś zwięzłości i zlania obrazów, któremu nie możemy zaprzeczyć; wszakże przyznać razem musimy, iż tłumacz pomimo omówienia umiał i w tym razie zawsze nie tylko nie rozwlec, ale kazać zapomnieć na ów brak odmiennego wdzięku słownego.

Kiedy np. Szyller w fantazyi do Laury, wspomniawszy o miłości, umizgach Saturna do Wieczności, dodaje:

*Einst so hör'ich das Orakel sprechen,
Einsten hascht Saturn die Braut;
Weltenbrand wird Hochzeitsfackel werden,
Wenn mit Ewigkeit die Zeit sich traut.*

a autor tłumaczy:

Ale Saturn, słyszę przepowiednię,
Oblubioną chwyci raz;
Pożar światów będzie ślubną lampą,
Gdy z Wiecznością ożeni się Czas.

Albo w wierszu *Sprzyjanie Chwili* (*Die Gunst des Augenblicks*), gdy Szyller na jej wartość wskazując, mówi między innymi:

*Von dem allerersten Werden,
Der unendlichen Natur,
Alles Göttliche auf Erden,
Ist ein Lichtgedanke nur.*

a p. Minasowicz tłumaczy:

Odkąd siły są tajnemi,
Pierwszy byt przyrody wszczął;
Wszystko boskie, byś na ziemi,
W jedną myśl promienną zjął.

Albo gdy Szyller zaczynając swe *Zachwycenie do Laury*, woła:

Laura, über diese Welt zu flüchten

Wäh'n ich, mich im Himmelmajenglanz zu lichten etc.

a tłumacz mówi:

Lauro, zda mi się żem odbieżał ziemi,

Że niebiosą mi świecą majami swojemi i t. d.

W przekładach tych nieznajdujemy wprawdzie wyrazów składanych; każdy to jednak przyzna, że znajdujemy i duchu tekstu, i zwięzłość.

Co do wyboru jaki uczynił autor z liryk Szyllera, ten wyznać musimy, iż w części służy nam raczej do poznania historyczności tylko, niż ustalonych dalej głównych cech poezji Szyllera. Są pomiędzy poezjami Szyllera poezye, które wydawcy jego w Niemczech odróżniają nawet napisem, ostrzegając, iż są to poezye *piérszego peryodu*. Poezye te mają wprawdzie liryczność i wdzięki rytmu innych poezji Szyllera, ich jednak wewnętrzny charakter ma odcień.

Jako pośród filozofów—moralistów była i jest szkoła moralistów, która naukę swą życia podaje na tema znanej u nas śpiewki: *Uzywajmy świata, póki służą lata*; tak wśród poetów jest szkoła poetów, która też naukę w sferze gałęzi swój rozpowszechnia. W Niemczech jednym z poetów takich był *Bürger*; prócz jednej lub dwóch, wszystkie prawie ballady tego poety byłyto powołania, uswięcenia popędów namiętności, oburzanie przeciwko powścią-gającym je. Szyller za lat swych młodych był szczególnym wielbicielem *Bürgera* (1), i w utworach swych zewnętrznie i wewnętrznie był naśladowcą jego z odcieniem tylko wyższych zalet lirycznych. Wszystkie umieszczone w przekładzie p. Minasowicza: *fantazye do Laury, wiérsz do moralisty* i t. p., były właśnie utworem z owego czasu; jakoż w wierszu np. *do moralisty*, Szyller naigrawa się jawnie z przestróg moralisty, gdyż mówi:

„i filozof sam

Tak rozumuje, jak mu pulsa biją.

Ludzi na bogów nie przemienisz nam”.

(1) *Gervinus*.

Ten **wszakże** kierunek w poezyi, a tém samém i te swe liryki, **potępił** następnie jawnie sam Szyller, pisząc już o tkliwości w poezyi (Über naive und sentimentalische Dichtkunst), **już o** estetyczności poezyi, a zwłaszcza o *poezyi Bürgera*, którą potępił. „Poezya tego poety, mówi tu, była tylko **utworem** serca i wyobraźni; doskonałość **wszakże** człowieka, ducha człowieka, składa **serce**, wyobraźnia i rozum. **Poezya** więc, która ma być odbiciem doskonałości człowieka, która doskonałą być ma, i być przeto rzeczywistą poezją, **winna** odbijać nietylko *wyobraźnię* i *serce*, lecz **téż i rozum**” (Ueber Bürg. Gedichte).

Do tego **téż** okresu należy i dramatyczna fantazyja Szyllera w dwóch scenach: *Semele*, którą także p. Minasowicz przełożył. Treścią fantazyji téj jest miłość Jowisza ku Semelei księżniczce tebańskiej, dla której się przemienił w młodzieńca, i zazdrość Junony, która dla zgubienia porządku rywalki, przemieniła się w jej karmicielkę starą. Użycie za machinę do tłumaczenia odcieni uczuć: siły, wszechmocy bogów, dało zapewne żywotne pole téj liryce dramatycznej; niepowodzenie jednak swój sztuki sam niejako poświadczył Szyller, kiedy w późniejszym swym wierszu *Bogowie Grecyi*, wyznawał: że używanie za machinę poetyczną bogów, jest już dziś i anachroniczném i bezsilném.

Liryki **wszakże** umieszczone dalej w przekładzie p. Minasowicza, obejmują wszystkie prawie z głośniejszych i znakomitszych Szyllera. Obejmują nadto liryki z różnych kształtów, różnych form zgięcia myślenia i kilka ballad.

We wszystkich przekładach tych widzimy nietylko wierne odbicie myśli i ducha, ale **téż** zewnętrznej nuty Szyllera.

Rzeczywiście, czy autor zajmując się rozbiorem prędko nikłych sił, uczuć młodości człowieka, opowiada swe myśli na lekko tęskną nutę, jak w *Idealach*, i woła:

„Toż mnie odbiegasz swą stopą niestałą?

O mego życia złota poro ty!”

Czy znowu śpiewając weselszą piosnkę o *Bachusie*, *Amorze* i t. p., woła żywiej, i prowadzi cały dyttyramb na nutę: — o o | — o

„Nigdy bogowie,
Nigdy wierzajcie,
Nie idą sami” i t. d.

Czy idzie za kształtnym rytmem ballad, złożonych z cztero-stopowych jambów albo trocheów, i opowiada jak np. rycerz *Togenburg* wybudowawszy i osiadłszy w samotnej naprzeciw klasztoru chatce:

„Patrzył | w klasztor| jakby | w tęczę,
Patrzył dzień po dniu” i t. d.

Czy wreszcie idąc za zimną dyalektyką odbija wiersz długi tekstu w długich alexandrynach, ucząc np. jak w wierszu *Taniec, iż Harmonia*, w zwrotach tańca na ziemi, jak w sferach gwiazd na niebie:

„Na złotą rytmu wodzę, jak Nemesis ima,
Rozhukaną wesołość i zdzięcałą wstrzyma” i t. d.

Wszędzie widzimy tenże nietylko duch, lecz też ciało ducha Szyllera, wszędzie też zgięcie myśli i zgięcie słów; tak, iż rzec śmiało możemy, że jeśliby kto dla poznania liryk Szyllera, chciał się uczyć języka Szyllera, może przestać na poznaniu czwartego tomu Tworów p. Minasowicza.

Dla naocznego sprawdzenia, wypisujemy tu przekład całkowity jednej z tych liryk, z textem obok. Liryka, którą przytaczamy (*Pielgrzym*), nie jest ani znakomitszą nad inne, ani jej przekład wierniejszy; lecz wybraliśmy ją dlatego, iż będąc budowy krótszej, przekład jej, to jest odbicie myśli obok obowiązku odbicia tychże *rymów i stóp*, więcej trudności przedstawiał.

Pielgrzym, jestto liryka krótka, w której Szyller obrazowie wyraził, iż od lat młodych zamierzył był zaprzecić się ziemi, a szukać nieba.

Der Pilgrim.

*Noch in meines Lebens Lenze,
War ich, und ich wandert' aus;
Und der Jugend frohe Tänze,
Liess ich in des Vaters Haus.*

*All mein Erbtheil, meine Habe,
Warf ich fröhlich glaubend hin,*

Pielgrzym.

Jeszcze w życia mego wiośnie,
W domu ojca było to;
Hoży taniec brzmiał radośnie,
A ja porzuciłem go.

I dziedzicznym gardząc działem,
Wiarą moją błogi już,

- Und an leichten Pilgerstabe,
Zog ich fort mit Kindersinn.* Z prętem w drogę się wybrałem,
Ze swobodą młodych dusz.
- Denn mich trieb ein mächtig Hoffen,
Und ein dunkles Glaubenswort;
Wandle, riefs, der Weg ist offen,
Immer nach dem Ausgang fort.* Jakaś ufność z władzą Boga,
Wiary głos to musiał być;
Idź, słyszałem, wolna droga,
Ku wschodowi zawsze idź.
- Bis zu einen goldnen Pforten,
Du gelangst, da gehst du ein,
Den das Irdische wird dorten
Himmlisch, unvergänglich sein.* Aż do złotej przyjdiesz bramy,
A ona ci przystęp da;
Co ziemskiego tutaj mamy,
Tam niebiesko, wiecznie trwa.
- Abend ward's und wurde Morgen,
Nimmer, nimmer, stand ich still,
Aber immer bliebs verborgen,
Was ich suche, was ich will.* I znów mierzchno i świtało,
A ja nie wstrzymałem się,
A odgadnąć się nie dało,
Czego szukam, czego chcę.
- Berge lagen mir im Wege,
Ströme hemmten meinen Fuss,
Ueber Schlünde baut' ich Stege,
Brücken durch den wilden Fluss.* Góry w drodze legły wałem,
Rzeki stóp więziły bieg;
Po urwiskach kładki stałem,
Mosty wpoprzek dzikich rzek.
- Und zu eines Stroms Gestaden,
Kam ich, der nach Morgen floss;
Froh vertrauend seinem Faden,
Warf ich mich in seinem Schoss.* I tak do strumienia pędzę,
A on toczył się na wschód;
A ja ufny jego wstędze,
Rzuciłem się w łono wód.
- Hin zu einem grossen Meere,
Trieb mich seiner Wellen Spiel;
Vor mir liegt's in weiter Leere,
Näher bin ich nicht dem Ziel.* I ku niezmiernemu morzu,
Popchnęła mnie fali gra;
Jawnie leży coś w przestworzu,
Sięgnąć chcę—ani się da.
- Ach, kein Steg will dahin führen,
Ach, der Himmel über mir,
Will die Erde nie berühren,
Und das Dort ist niemals Hier!* Ach! tam kładki daremnemi,
A to niebo? nigdy ma
Nie zdarzy się dotknąć ziemi.
I to tam, nie będzie tu.

Moglibyśmy tu tylko dodać, że jakkolwiek wiersh ostatni wyłożył autor, być może, w duchu poezji Szyllera, to jednak różnica w wyrazach *będzie i jest* (które jest w texcie), jest różnicą o system.

Idealno Szyllera liryki, nie były zapewne jedyną poetyczną zasługą tego poety. Prócz kręślenia ideałów w ich oderwaniu, prznosił też nieraz je autor do *grupp*, do *życia* (dramata); i tu czyny, postacie dziejowe wznosił do idealnej

piękności (*Tell, Orleanka* i t. p.). W owych lirykach wszakże odznaczył głównie swoją właściwość, swój kraj, swój okres, i jakkolwiek w przekładach p. Minasowicza znajdujemy tylko liryki, przyznać musimy, iż dał nam poznać Szyllera.

Autor dał nam też przekład (umieszczony w t. III Two-
rów) kilku poezji Göthego; to jednak co przełożył, nader jest drobne, iżbyśmy mogli powiedzieć, że dał nam poznać Göthego; nawet w przejściu rytmu, w tém co przełożył, autor mniej był niekiedy szczęśliwym, jak w przekładach swego głównie ulubionego poety (1).

(1) Rytm np. ballady indyjskiej *Bóg* i *Bajadera*, trafniej znaj-
dujemy zachowany w dawniej znanym przekładzie p. *Alberta Lidla* téjże ballady. Trzy wiersze amphibrachiczne, które kończą każdą z jęj strof, zamienione zostały przez autora w przekładzie na półczwarta jambicznych, i zatartą przeto została nuta; co ile w balladzie, jest jedną z cech głównych jęj właściwości. W 2gięj np. strofie téj ballady, jest w texcie sławne z harmonii swęj naśladowczęj miejsce, opisujące przywabianie przez bajaderę bożka, który ją spotkał; text tu mówi:

*Sie rührt sich, die Cymbeln, zum Tanze zu schlagen,
Sie weiss sich so lieblich im Kreise zu tragen;
Sie neigt sich, sie biegt sich, und reicht im der Strauss.*

P. M. tak to przełożył:

I wnet rozkosznie w dzwonki mu uderzy,
I razem wdzięcznie w krętym tańcu bieży,
Strój poprawia, i co chwila

To się przymila...

P. Lidl, który harmonią naśladowczą obrachowaną przez swego
ziomka na *c*, stosownie do narzędzia które wspomniał, opart
na *b*; tak to miejsce wyraził w gładszych jeszcze od textu am-
phibrachach:

„I bije w bębenek i tańczy i bije,
I tańcząc i bijąc wianuszek mu wije,
I zgrabnie się kłania i daje mu go.”

Mówiąc o zewnątrzności wiersza, dodamy tu także. iż nie ro-
zumiemy powodu, dlaczego p. Minasowicz pragnie wprowadzić
zwyczaj pisania na początku wierszy głosek małych. Jeżeli za
środek zewnętrzny wrażenia poetycznego, obraném zostało od-
dzielanie poezji na wiersze, zwyczaj który zaciemnia ten oddział,
zmniejszać téż musi wrażenie. Małe głoski na czele wierszów,
zblizają na oko tok ich do toku prozy, i czynią następnie dzikiém
spotykaniem końcówek.

Przekład liryk Szyllera jest zapewne jedną z głównych poetycznych zasług p. Minasowicza, lecz nie ostatnią. P. Minasowicz ma, jak rzekliśmy, rzetelne uczucie poezyi, czerpie więc ją, czerpać musi, nietylko w jakiejś jej części, w jednym jej szczególe, ale też w ogóle, w czasie.

Znakomity liryzm Szyllera, o którym dopiero rzekliśmy, należy zapewne do głównych i trwałych pośród dziejów poezyi pomników; lecz jeżeli spojrzymy na bliższe jeszcze jej dzieje, należy już do pomników. Posunienie rozbioru myślenia, i skłonienie tego myślenia właśnie w samej ojczyźnie liryka do praktyki, życia; w nową cechę odziać musiało wszystkie w ogóle twory tego myślenia, nową cechą odznaczyło też i poezyą.

Samo-spekulacyjny liryzm w poezyi nie jest już dziś równie żądanym, jak samo-spekulacja w myśleniu. Szyller, który pisząc przy końcu zeszłego wieku, od ludzi czujących byt swój i mających wiarę w ten byt, przyjmowany był ze spółczuciem, jako poeta twierdzący i miło-dźwięczny; dla myśli rozwiniętej dalej, dzisiejszej, wydaje się już nieraz jako raczej przeczący i próżnomówny. W istocie, owa np. jedna z najslawniejszych liryk autora, w której wyraża, iż mimo wołania wieku poświęcił się raczej wierzyć jak wątpić (*Rezygnacya*); owa inna, w której narzeka, iż dla pomocy poetów dzisiejszych, nie istnieje już, jako istniał dla dawnych za czasów młodości dziejów—Olymp grecki (*Bogowie Grecyi*) (1); owa w której się żali, iż i bogi młodości naszej: sława, miłość, nadzieja, wiara, giną także z latami; że ta miłość, nadzieja, wiara, to ideały (*Ideały*), lub nawet gdy tylko wyraża: iż woli iżby była raczej głoszoną wyłącznie chwała porządku wśród ludzi, nie zaś ogień lub zaburzenia uliczne (*Pieśń o dzwonie*): te, oraz tym podobne Szyllera liryki, dla swych zalet szczególnych jaśnieć będą zapewne zawsze jako kamyczki gmachu rzetelnej poezyi, nie jako główne w nim jednak i ostateczne.

(1) Szyller był ostatnim znakomitym poetą, używającym jeszcze co chwila nazwisk bogów greckich w swoich poezyach.

Uczuła to już ojczyzna Szyllera, czuje to tém więcej smak krajów, pokoleń, które na nowy okres, na nowe cele, a zatém pod wpływem cech innych, usposobień i upodobań są narodzone. U nas np. Szyller zyskiwał nieraz tłumaczów i wielbicieli szczególnych; ale liryki jego nie pociągały nigdy ani ogółów, ani naśladowców. I nasza poezya krajowa z innemi (w stronie swój głównie wielbionój) cechy zrodzona, także wprawdzie ma liryki; lecz liryki te, z cechą zwykle dramatyczności, są raczej określanie, *przedstawianiem* odcieni uczuć, nie ich *badaniem*. Badanie jakkolwiekby było sztuczném i poetycznym, wkracza w swym gruncie w kraj inny, jak czynów i życia; zaś tylko poezya czynów, poezya życia, może przypaść, pożądaną być od okresu, który się właśnie być wierzy okresem praktyki. Któryś niemiecki krytyk oceniając przed kilką laty poezye francuzkie Delilla, i zwracając uwagę na czczość w nich siły spekulacyjnej i fantastycznej, dodał: iż jakkolwiek niegdyś poezya niszczyła grody, to jednak zdaniem jego cały zbiór poezyi Delilla, nie wyjmując *Ogrodów* i *poematu o imaginacyi*, nie jest zdolny zabić i muchy. Nie będzie uczynioną nigdy podobna uwaga o poezyi Fryderyka Szyllera. A jednak przy uwielbieniu całym jakie mamy dla talentu tego poety, nie możemy nie wyznać: iż lubo poezya jego zdolna jest rzeczywiście myśl wzruszyć, to jednak wszystkie liryki jego (nie wyjmując nawet *Pieśni o dzwonie*, i *Idealów*) nie stworzą lwa. P. Minasowicz uczynił więc krok postępnny istotnie i pożądaný, nie poprzestawszy na przekładzie jedynie Szyllera, lecz przenosząc do poezyi naszej kilka nadto utworów, przez jednego z najnowszych poetów niemieckich, przed kilku dopięro laty wyśpiewanych.

Spekulacya i jój odbicia, były moralnym kwiatem (naznaczonym i już ukończonym) życia moralnego ludów germańskich. Jeśli jednak pośród poezyi nowój, praktycznej, nie wydała ojczyzna Szyllera poety z tą cechą nową, któryby był siły Szyllera, nie możemy jednak nie przyznać, iżby nie wydała poezyi praktycznej. Do rzędu takich poetów w Niemczech, należeli np. poeci młodzi ze szkoły, która

przed kilką laty zwaną tam była szkołą młodych Niemiec, spółwydawcy **Roczników Halskich** i t. p. Do téj liczby należy między innymi *Geibel*, którego kilka utworów dał nam poznać p. **Minasowicz**. Utwory te z nową cechą wewnętrzną, odział téż tłumacz w nową szatę zewnętrzną. Liryki *Geibla* przedstawił nam autor w szacie siedmiostopowych wierszy, już z jambów, już z trocheów złożonych.

Autor tych nowych liryk nie jest tylko spekulacyjnym jak *Szyller*, lecz i praktycznym. Autor ten, cnót chrześcijańskich, nadziei, miłości i wiary nie ma za ideały; nie rzekłby nawet może z *Szyllerem*, iż „ludzi na bogów nie przemienia nam”, ani, „iż to tam nie będzie tu” i t. p.; autor wierzy owszem w przyjście dla ziemi wieku nowego, wieku powszechnéj zgody i cnoty, królestwa prawdy. Autor staje już myślą na stanowisku owego wieku; smutnie patrzy na przejścia, czas który istnieje, na owe już opory, już powściągnięcia, ich szczegóły, skutki; smuci się zwłaszcza, iż sam duch, droga duchowa niknie dla ducha, i że mimo pozorne blaski i pokój, spotyka raczej wokoło rozpusty zmysłowe.

W jednéj z liryk swych (lir. *Nasz czas*), autor mówi:

W czcżą jakąś trzeźwość ziemia ta, że aż mi strach popadła,
Ni mowa Duchem Świętym technie, ni pierś by go już zgadła,
Poczyą, szczerę dziewczę to, pomówił człek o baśnie,
I ciemno mu, i głucho mu, i dzień a słońce gaśnie”.

Patrzy na usilności, wysiłki wokoło siebie rozumu i spekulacji, pośród wołań filantropijnych przy sobie; widzi w gruncie egoizm, i to wszystko za słabe środki uważa:

.....

Bo ja za prawdę, mówię wam, nie wiecie czego trzeba;
Wam wprzód od prochu ziemi, wzrok należy wznieść do nieba,
Wprzód niech miłości wielki duch ciemnice serc oświeci,
A wy z pokorą przyjmiecie go, i błądźcie jako dzieci;
Bo gdzie jest miłość, wiosna tam poczyną rządy swoje;
I wszędzie wonny lśni się liść, i wszędzie drgają zdroje.
Na dźwięk przestroi ona szum, ze zgiełku taniec złoży,
Skowronka skrzydłem w błękit nieb uleci śpiew jej hoży,
Zrenica jej tak sięgła jest, że mędrców szkło zawstydzi,
Choć mrok, a ona widzi świt, choć burza — tęcze widzi;

Dziecięciem jest, a dziecię to odwagą technie rycerzy,
I cuda będzie czynić wam, bo w cuda jeszcze wierzy.

Do środków zalicza poezją; chciałby wszakże widzieć
zmienionych poetów, i woła gdzieindziej:

.....
A wy śpiewacy dajcie dłoń, już dość *nokturnów*, *skierców* dość,
Już wyrost, co im klaskał świat, dziś mógłby gwizdać — trze-
ba rość;
Jak słowik ów, nim błysnie maj, przywabia śpiewem bło-
gie dni,
Tak z dźwiękiem gęśli, w bieli szat, wasz wielki wiek, zwia-
stujcie wy”.

(Lir. *Na łodzi*).

Przebiega kraje świata i części świata w lirykach swych,
i co chwila zwraca się w nich do prorocत्व, zasad chrze-
ścianstwa. W krucyatach średniowiecznych widzi figuryczne
znaczenie przyszłych moralnych krucyat, o powrocie po-
wszechniej czci bożej, i przypomina krajom zadania ich;—
i nie rozpaczając o własnym, woła:

Germanio! czyliż w górach twych nie szumi las proroczym
tchem,
Że rudobrody cesarz twój nie ostatecznym poległ snem.

(Lir. *Krucyata*).

*Nasz czas, Krucyata, Italia, Głos z za morza, Przed krzy-
żem* i t. p., wszystkie te liryki, które autor przełożył, oddy-
chają wewnątrz jak i zewnątrz żywą, istotną i wieku
godną poezją.

Gdybyśmy chcieli z ich treści przytoczyć to, co jest go-
dnym, musielibyśmy wszystkie przytoczyć. Dla przykładu
mamy wszakże za obowiązek, wypisać chociaż jedną w ca-
łości, i wybieramy ostatnią: *Przed krzyżem*.

W liryce tej, rodzaju modlitwy, autor zwracając się za-
wsze do wieku, o którym marzy, opiera się na poręczach
i ucieka do wszechmocy Najwyższej.

Przed krzyżem.

Ty, co w dzień światło, rosę w noc tym liliom pełnym zsy-
łas tu!

Ty, do którego woła ptak, a ty piskłeta żywisz mu!
Co zgrzanój łani znajdziesz zdroj, gdy od pragnienia pierś
jój schnie,
I nam téż czego braknie dziś, to daj przez miłosierdzie Twe!

*

O pokój, pokój, prosim cię, nie ten co w parnej ciszy śpi,
Co zarzekł każdy ostry miecz, że on w pokutnej pochwie tkwi;
O pokój *serca* prosim cię, co chociaż wkoło pada trup,
Dotrzyma on, bo słowo Twe, to jego tarcza, jego słup.

*

Nadzieję w Tobie Panie daj, co do ostatka ufność ma,
Daj miłość nam, która po zgon, a i po zgonie jeszcze trwa;
Daj wiarę co ma siłę lwią, co świat podbija różczką palm,
I z męczennicznych stosów Ci, nadpiekłą piersią śpięwa psalm!

*

Zaprawdę, grzeszni, słabi my; niegodni takich Twoich łask;
Lecz Ty dla wszystkich litość masz, dla wszystkich ślesz sło-
neczny blask.

Więc tak, jak wołał Izrael, wołamy, Ciebie jąwszy się:
„Nie puszczę Cię, nie puszczę Cię, aż Ty pobłogostawisz mnie”.

*

Ty nigdy nie odpychasz tych, co schronić się w Twym domu
chcą,
Nie złamiesz kruchój słomki Twój, nie zgasisz lamp, co le-
dwie tchną;

Otworzysz Ty ramiona Twe, i przyzwiesz świat i rzekniesz mu:
Wy co smutnego serca, wy, co obciążeni, pójdźcie tu!

*

Więc pójdźcie wszyscy, którym dźwięk radosnej wieści ucho
tknął,
Co, gdy z anielskich brzmiała ust, kolano pasterz w polu giał!
Ach pójdźcie, pokój niesie wam; On życiem, światłem, On
bez chmur,
A zakón Jego słodkość pszczoł, a jarzmo Jego lekkość piór.

W tomie III, umieścił téż autor kilka przekładów poezji
polskich na język niemiecki, i położył je pod tym godłem:

Oj! nie gadaj, że *aus Polen*,
Dotąd jeszcze *nichts zu holen*.

Autorowi, który okazał tyle smaku, tyle uczucia poetycznego w swych Tworach, ile dziwimy się, tyle wyrzucić musimy podobne godło. Jakież to są poemata nasze z którymi autor zapoznał publiczność niemiecką? Kilka krakowiaków z opery: Krakowiacy i Górale, J. N. Kamińskiego, i wiersz *na dzień urodzin ks. Walii* wr. 1841.—Krakowiaki p. Kamińskiego są ładne, a wiersz p. Czajkowskiego zewnętrznie wspaniałym jest rytmem; ale zapewne pp. Czajkowski i Kamiński pierwsi uczuć mogli obrazę, iż te tylko ich rytmy podane zostały, jako próbki postępu naszej poezyi.

Te i tym podobne usterki w zbiorze autora, te jakby zapomnienia się i lekceważenia poetyczne, napotykanne w nim, poczytujemy za jakieś przerwy senne od ducha czuwającego, za jakieś kary muzy poezyi, za grzebanie talentu, który otrzymał autor.

Lecz mimo te usterki, te przerwy, mimo szczupłość, brak prawie utworów oryginalnych, autor nie nikłej wartości plonem, jak to nawet z tego rysu prac jego widzimy, piśmienność krajową obdarzył.

P. Minasowicz w dykcyi naszej poezyi, samodzielnie nową drogę utworzył;

stał się twórcą nowój metody w przystosowaniach oper do sceny krajowój;

przeniósł do poezyi polskiej liryzm Szyllera;

liryzm nowszej jeszcze szkoły germańskiej.

I rzeczywiście poetą, i mającym ślad stały zostawić wśród naszej literatury pisarzem, jest p. **J. D. Minasowicz**.

T.



ROZMAITOŚCI.

Nazwiska księgarzy krakowskich, od początku XVI do połowy XVII wieku, kolejną lat, jak są wzmiankowani w księgach aktów radzieckich krakowskich (*).

Roku 1505. W dekrete króla Alexandra, wymieniony jest: *fam. Georgius Brenner Concivis et Librarius Cracoviensis.*

R. 1515. *Simon..... Librarius Crac.*

R. 1517. Hans Bejer *Buchfürer*, Jan Haller i Marek Szarsfenberg za warli z sobą umowę o druki. Takowa znajduje się w księdze A. S. str. 336. — R. 1518 Johannes Bejer *Bibliopola.*

R. 1521. *Raphael Malanczyński Librarius.* Rachunki jego z Janem Hallerem, często się w aktach krak. napotyka.

R. 1524. *Michael Wechter venditor librorum.* — R. 1526 już go wyrażają *Bibliopola.* — R. 1532, kupił dom w ulicy ś. Jana, za flor. 500. — R. 1542 złożył testament w urzędzie radzieckim krak. (1).

(*) Wyjątek z rękopismu: *Starożytności miasta Krakowa* i t. d. przez Ambr. Grabowskiego, C. T. N. krakowskiego.

(1) W testamencie tym pisze: *Habeo societatem cum Marco Scharffenbergk et Joan. Putner, ad quam unusquisque nostrum reposuit flor. 500 in auro etc..... in qua societate pro resta adhuc sunt..... Breviaria Viennae apud Jorge Vech.*

R. 1531. Petrus Reismoler *Buchfürer*, kupił od Hansen *Bejer seinen Handel* (księgarnię). — R. 1534 miał sklep z księgami w domu Josta Deciusza rajcy krak.

R. 1534. *Wolfgangus Lern impressor librorum et Librarius Crac.* — R. 1537 posiadał dom w ulicy Stolarskiej.

R. t. pozostali successorowie po Janie Haller, synowie i córki, sprzedali bibliotekę (księgarnię) Janowi i Krystynie Buthnerom (2) za flor. 1100, do wypłaty w ratach rocznych po flor. 150 aż do zupełnego zaspokojenia. (*Księga N. 12, p. 413*).

R. 1537. *Joannes Bibliopola Civis Crac.* Dom jego był przy szkole Ś. Anny.

R. 1539. *Michael Bibliopola, Civis et mercator Crac.* Występuje jako powód przeciwko Annie, żonie Jana Chelmskiego burgrabi krak. *haeredem in Lanki*; a sprawa była o należytość za axamit, adamaszek i t. p.

R. 1559. *Stanislaus Calcographus* (może Szarfenberg) *jus civitatis obtinuit.*

R. 1566. *Sebastianus Pechius Bibliopola*, przyjął prawo miejskie, i dał zł. 1.

R. 1568. *Petrus Donantesius cognomento Antesignanus, Bibliopola.*

R. t. Michał Krolik, Bibliopola. — R. 1580, już nie żył.

R. t. *Zacheus Bibliopola.* — R. 1578. „Zacheusz czo księgy przedaje”.

(2) Butner miał stosunki handlowe z domem Szarfenbergów, czego dowodzi rachunek jego z r. 1535, za książki dostarczone zięciowi Marka Szarfenberga, z którego powziąć się da wiadomość o cenie ówczesnej książek, jakoto:

<i>Dnus Martinus gener Dni Marci, accepit 2 Missalia Posnanien non ligat.</i>	flor. 2 gro. 12
1. <i>Speculum Saxonicum</i>	— 4
2. <i>Missalia Posnanien. cum pargameno</i>	— 2 — 20
1. <i>Bibliam bohemicalem non ligat.</i>	— 3 — 15
1. <i>Terencium</i>	
2. <i>Epistolas Ciceronis</i>	— 18
2. <i>Sermones Aquionis non lig. (Tom. z Aquian.)</i>	— 32
1. <i>Calepinum non ligat.</i>	— 40.

R. 1571. **Maciej Wierzbęta**, znakomity drukarz i księgarz krak. posiadał dom w ulicy Sławkowskiej; prócz tego miał staw na Łobzowie, na Piasku dwa domy i ogrody (3).

R. 1574. *Andreas Biczek Bibliopola, Piotrkoviae oriundus.*

R. 1575. *Joannes Alvernus Barsandius Gallus, Bibliopola.*

R. 1577. *Georgius Bibliopola in domo Doct. Crainii*, w ulicy Siennój.

R. t. *Nicolaus Kownacki Bibliopola in domo Dni Gutfeter*, w ulicy Floryańskiej.

R. 1578. **Jan Francuz Bibliopola** (*Joannes Gallus*, jak wyżej) mieszka w rynku pod barany. — R. 1579 przeniósł się do kamienicy Fukarowskiej pod Krukiem.

R. 1579. Jeszcze tenże sam **Jan Tenandus Bibliopola**, w kam. Fukarowskiej pod Krukiem. — R. 1582 *Joannes Thenandus* księgi sprzedaje.

R. 1581. **Michał Bibliopola**, w ulicy Gołębiój.

R. 1585. *Joannes Słowik Bibliopola.*

R. 1587. *Stephanus Dives patria Lugdunensis, Bibliopola, abrenuntiavit literis S. R. Maj., jus civitatis suscepit.*

R. 1592. **Piotr Prężyna**, Bibliopola, *oblatis literis legitimis ortus sui de dato Lublini d. 7 Junii A. 1592*, przyjął prawo miejskie i dał flor. 5. Mieszka na cmentarzu kościoła Ś. Trójcy.

(3) Książki z drukarni jego wyszłe wielce są rzadkie, i łatwo odgadnąć powód, dlaczego władza duchowna wszystko cokolwiek z oficyny jego wyszło, hurtem do prohibitów zaliczała. Drukarnia ta wydała wiele dzieł przez różnowierców pisanych, a i sam Maciej Wierzbęta nie był wyznania rzymsko-katolickiego, czego dowód obejmują księgi archiwum krak. z r. 1571, gdzie jest akt zapisu Anny z Pilce na kwotę złp. tysiąca, które ona jako własność kościoła reformowanego od przetożonych jego zaciągała, i gdzie są wspomniani *fam. Mathias Wierzbęta, Valentinus Prassol et Stan. Dreznar, uti seniores Ecclesiae reformatae Evangelicae urbani caetus Crac.* R. 1605. M. Wierzbęta już nie żył, gdyż w tym roku toczył się przed rajcami krak. spór, pomiędzy wdową jego i pasierbicami, o wiano im zapewnione.

R. 1594. *Joannes Ostrowski Bibliopola, exhibitis literis ortus sui d. d. Fetricoviae 28 Aprilis A. 1593*, przyjął prawo miejskie.— R. 1595, Jan Ostrowski z Piotrkowa ksiąźnik. „Jan czo księgi przedaie, płaci szosu flor. 1 gro. 15”.

R. 1595. Jurek Bibliopola, mieszka w ulicy Stolarskiej, szosu opłacił flor. 5.

R. 1597. *Stanislaus Podsządek Bibliopola, ex civitate magnae Szislow.*

R. 1598. Jachenty (może Jacenty) Bibliopola, płaci podatku szos flor. 10.

R. t. Malcher, w sklepie *pod barany*, księgi sprzedaje. Służy Rzpltej (miastu Krakowu), od podatku *liber*.— R. 1601. Melchior Rurycht Bibliopola, był Lonberem, czyli zawiadowcą dóbr i dochodów miejskich.

R. 1598. *Balthasar Heuptflasius Bibliopola, z Libenthal.*
R. 1601. Trudne jego nazwisko mylnie pisano: Balcer Gamdfleisz, ksiąźnik. — R. 1614, Balcer Chamflesz Bibliopola, mieszka w kamienicy OO. Dominikanów.

R. 1601. Paweł Felicius ksiąźnik.— R. 1602. *Paulus Foelicius Bibliopola.*

R. t. Wojciech Kobyliński ksiąźnik.— R. 1612 mieszkał w domu p. Cerazyna w ulicy Szpitalnej.

R. 1607. Jan Kownacki Bibliopola (może syn Mikołaja), w kamienicy Zborowej na ulicy Brackiej.

R. t. Zacheusz Kiesuer Bibliopola już nie żył, tylko jego wdowa, która z domu płaciła szosu flor. 3 gr. 6, a od żywności (księgarni) gro. 24.

R. t. Stefan Pokoszowic kupiec, księgami handluje.

R. t. Balcer Langno Bibliopola abo introligator (*tak*) (4), mieszka *pod Elephanty* w ulicy Grodzkiej, przy *Podelwinu*.

(4) Rękodzięto to istniało w Krakowie na wiele lat wprzód, zanim drukarnia w Krakowie się zjawiała... Już na początku XV w. akta ławnicze jurydyki Garbarze (Piasek) przy Krakowie, o introligatorze wspominają. Zatrudnieniem ich było wiązać czyli oprawiać księgi pisane, rękopisma, bo innych wówczas jeszcze nie było. Oto są te dawne o nich zapisy :

R. 1609. Jan Szeliga. W spisie do podatku szos powiedziano o nim: „Mieszkał w domu Janusza Kalajego w kwartale Sławkowskim; poszedł precz przed nędzą z miasta”.

R. t. Mikołaj Lob mieszka w ulicy Żydowskiej.

R. t. Daniel Gelhorn księgi sprzedaje, i w żelaznym kramie siada.

R. t. Grzegorz Petkowicz *impressor et Bibliopola, civis Crac.* (5).

R. 1610. Franciszek Jakób Morignych Bibliopola, przystąpił do prawa miejskiego i dał *Ungar. 10*, które czyniły grzyw. 14 gro. 28. Ma dać muszkiet i pół kamienia prochu.

Jud. magn. ban. fer. 4, post Johan. Bapt. A. D. 1424. Nicolaus Ligator libror. hat vorreicht (ustąpił, sprzedał), seyn haws, das da leit (położony) czu nest Koler; das da czinsit VIII. gro. dem Konig, Stenczil byalkowitz, cum omn. limitibus sicut solus tenuit, das auch mit demselbin Nicolai quit. (I kontrakt sprzedaży i kwit na zapłatę, w niewielu słowach.

* * *

*

Jud. m. ban. fer in crastino S. Elisabet. A. D. 1426. P. Dnum Nicol. Bastgert Burgmr. Nicol. Ligator libror. hat vorreicht seynen Garten der da leit bey der alden rawde (stara Rudawa) czu nest bey Stenczil Stolle, und Stenczil Czenstag, das da czinsit alle jor III gro. der Konigyn, mit sulchen rechtin etc... Andrzeey manczina. (Pisownia ówczesna).

(5) Tak się podpisał na urzędowym oszacowaniu r. 1609 łacińskich i polskich książek, którychto ostatnich cenę, jako ciekawą wiadomość, tu zamieszczam:

Księgi oprawne.

Exemp. 106.	Żywot Panny Maryi, in 4to (może księdzia Wuchaliusza).....	flor. 85 gro. 18
— 50.	Żywotów Pana Jezusowych, in 8vo..	— 26 — 20
— 100.	Coron mądrości, in 12mo.....	— 20
— 54.	Zołnierskie nabożeństwo, in 12mo (ks. Skargi).....	— 3 — 18
	<i>Libri in sexternis. (Inna taxa).</i>	
— 10.	Żywot Pana Jezusow, in 4to.....	— 12
— 80.	Żywot Pana Jezusow, in 8vo.....	— 20
— 121.	Żywot Panny Mariey, in 4to.....	— 96 — 24
— 130.	Gospodarstwo, in folio (może Gostomskiego)	— 18

R. t. **Balcer** ksiąźnik w ulicy Stolarskiej, w kamienicy OO. Dominikanów. Handlował i papierem: za ryżę papieru, którą wziął od niego pisarz miejski, zapłacił temuż flor. 2—. R. 1613. *Balthasar Balcerowic Bibliopola Crac.* — R. 1616 dał podatku szos flor. 20.

R. 1612. **Malicka Anna Bibliopolina.**

R. 1614. **Franciszek Bibliopola**, mieszka w rynku wprost wieży ratusznej.

R. t. **Bazyli Skalski** drukarz i zięć jego introligator, mieszkają w domu kasztelana krak. (Xcia Janusza Ostrogskiego) *pod barany.*

R. t. **Andrzej Piotrkowic** (Piotrkowczyk) drukarz J. K. Mci, w kamienicy OO. Dominikanów na cmentarzu kościoła Ś. Trójcy.

R. 1615. *Filip Reinecker Bibliopola Crac.* w kam. OO. Dominikanów. — R. 1616, dał szosu flor. 28.

R. 1616. **Burkard Kuik, Kolończyk.** Osiadłszy w Krakowie, uważał się już za Polaka, i na dziele L. Lessiusza: *Narada jakiej wiary trzymać się mamy, tłom. pr. L. Kremers*, zapewne jego nakładem wydaném, podpisanym jest: W Krakowie, u Burkarda Kuikowskiego Bibliopole, r. 1616.

R. 1618. **Seb. Miczyński** w dziele: *Zwierciadło Korony Polskiej i t. d.* r. 1618 str. 54 pisze: „Ano żyd bezbożny u Dominika Marangoniego na Grockiej ulicy w sklepie, księgami rozmaitemi łacińskimi (które mu z Wenecyi i innych miejsc przychodzą) handluje. Mają w Krakowie żydzi trzy swoje drukarnie” (6).

(6) Władza duchowna usiłowała i do drukarń żydowskich nadzór swój (cenzurę) rozciągnąć; jednak biskup krak. Marcin Szyszkowski, który druki Wierzbicę tak prześladował, dla żydów właścicieli drukarń w Lublinie okazał się być względny, i następny za niemi list przyczynny do króla Zygmunta III pisał:

„Najjaśniejszy królu! . . . Byli u mnie żydzi lubelscy, ukazując mi mandat W. Kr. Mci, aby ani drukowali ksiąg, ani przedawać się ważyli, a osobliwie Talmutu, który świeżo w Lublinie drukowali... Ukazali mi przytém przywileje ś. p. króla Augusta, i trzeci króla Stefana, z których się znaczy, że im wolno było i językiem swym drukować i przedawać księgi. . . Ukazali mi i przy-

R. 1621. **Kesnerowa Zacheuszowa**, wdowa, księgi sprzedaje.

R. 1624. **Marcin Horterycz Bibliopola** „postawił sobie budę na triczcie podle czapnikow za ś. Wojciechem, z której ma dawać na rok zł. 8”.

R. 1626. **Jan Seyman Bibliopola**, przyjął miejskie i zapłacił flor. 80.

R. 1628. **Antoni Hierat Bibliopola**, *civis Crac.*

R. 1648. *Alexander Gorczyn Civis et Bibliopola Crac.* (7).

R. 1650. **Walenty Kalinkowic Bibliopola Civis Crac.**, zmarł w tym roku. Kamienica jego była w ulicy ś. Jana.

wilój W. Kr. Mci, którym prawa ich od antecessorów nadane, confirmować raczysz. Zaczyn prosili mnie, abym do W. Kr. Mci suplikacją wniósł, aby te księgi Talmutowe. na których druk znaczną summę łożyli, za pozwoleniem W. Kr. Mci sprzedawać mogli, ukazując, że nic w nim nowego nie masz, jedno dawne księgi, od słowa do słowa znowu wydrukowane. Przypomniałem im konstytucją Synodu mego krakowskiego od siedmiu lat publikowaną, aby żydzi nie wazyli się żadnych drukować ksiąg, którychby piérwój *Censores* odemnie naznaczeni, nie rewidowali i nie approbowali; ale się tém wymawiają, że o konstytuciej mojej nic nie wiedzieli, jedno się przywilejów antecessorów W. K. Mci i zwyczajów trzymali”.

„W tych księgach, jeśliby nic nie było *blasphemiaram contra Christum et religionem, nihil contra statum Regni*, jako oni udają, a *examinatorowie* duchowni tak jako *Constitutiones summorum Pontificum* i mój synod każe, one approbowali; nie byłoby czego bronić, aby tych ksiąg koszt wielki na nie łożywszy, sprzedawać nie mieli... Na co racz W. K. Mość *examinatores* i *Censores* naznaczyć, którzyby dobrze te księgi przejrzeni; co pod wysoki rozsądek W. K. Mci podawszy, oddają się w miłościwą łaskę W. Kr. Mci” etc. *Dan w Bożecinie, d. 1 7bris r. 1628.*

(7) Rodzina ta wydała kilku mężów, którzy się literaturze polskiej zasłużyli, i na polu sztuk pięknych czynnością się odznaczyli. **Piotr Gorczyn** wydał wierszem: a) *Poean etc... ku czci Samuela Xcia Koreckiego, r. 1618...* b) *Zelus korony polskiej etc.* wierszem gładkim, r. 1618... (R. 1610 żył xdz **Piotr Gorczyn** w obojem prawie doktor, kanonik krak., i może on być tych pism autorem). **Jan Alexander Gorczyn**, (mniemam że księgarz) wydał: a) *Pamięć o cnotach etc. króla Władysława IV. r. 1648...* b) *Herby królestwa*

R. 1672. **Filip Reinecker**, Patrycysz i Bibliopola krak., syn lub wnuk księgarza w r. 1615, był spadkobiercą w masie po **Krysztofie Schedlu**.

R. 1689. *Pancratius Engelhardt Bibliopola Civis Crac.* (8).

R. 1695. *Bartholomeus Wolski Typographus*.—Nie było w Krakowie drukarza tego nazwiska, i nie ma go w Hist.

Polskiego, in 8vo r. 1653, dziełko wielkiej rzadkości, z drzeworytami. On pierwszy wydawał w Krakowie porządną gazetę polską r. 1660, pod tyt.: *Merkuriusz polski* etc. Tegoż nazwiska, lecz nie wiadomo czy tenże sam, był w połowie XVII wieku zręczny rytownik na miedzi, i w zbiorach mitowników znajduje się wiele rycin z podpisem *Joan. Alex. Gorczyn sculp.* Nakoniec w aktach bractwa **Męki Pańskiej** w Krakowie, jest zapis: że Alexander Gorczyn m. Dru. K. (*tak*) siedział w więzieniu ratuszném *dlużnica*, i ztamtąd uwolniony był za prośbą pomienionego bractwa: lecz trudno dojść tego, czyliby to był ów księgarz Gorczyn, do stanu niewypłacalności doprowadzony, który w takim razie zbyt późnego musiałby być dożyć wieku.

Z okazji powyższej o pierwszej gazecie polskiej wzmianki, dodam tu małą wiadomość z księgi akt. radz. krak. A. II wyjętą, dziejów czasopisarstwa krajowego dotyczącą: „*A. D. 1696 d. 23 Januarii. Nob. et spect. Dni Proconsul et Consules, ad quaerelam nblis. Georgii Priami S. R. Mtis Secretarii, contra nblem. et hon. Josephum Pestalocci Scabinum Crac., ratione contraventionis privilegii S. R. Maj. sibi gratiose super extradendis et typo imprimendis nouis collato conquerentis, eidem nbli. ac hon. Pestalocci ne amplius audeat interpretari nova exotica nec ad typum dare, sub poena in privilegio ejusdem conquerentis expressa, nimirum trecentorum aureorum inhiberunt*” (str. 211).

* * *

Zakaz Jerzemu Schedlowi drukowania nowin. Z listu burmistrza i rajców m. Krakowa do JX. kanclerza w. kor. d. 17 Februarii r. 1696.

„To także do wiadomości W. M. Pana n. mit. donosimy, iż według przywileju J. Kr. Mci danego J. P. Priamiemu, zakazaliśmy p. Schedlowi, aby się więcej nie ważył nowin żadnych drukować, *sub poenis assignatis, succumbendis*, i zaraz wczorą świeżo ten zakaz pański potwierdziliśmy”.

(8) Pankracy Engelhardt w r. 1684 był ławnikiem wyższego prawa Magd. w zamku krak., i zawiadywał czas jakiś biblioteką Forstérowską (czyli to była księgarnia? nie wiadomo), którą na prośbę successorów Reineckerowskich, do spadku tego przez gło-

Druk. Bandtkiego. Byłto raczej introligator handlujący książkami. Od opiekunów syna jego, wezwanych przez urząd, aby temuż suknie nowe sprawili, takie nastąpiło oświadczenie: *Bona vero nulla alia, praeterquam libros ac papyros typis impressas in sexternionibus veteris editionis venales, et fere nulli usui commodas, nec facile divendibiles extare, ad eundem pupillum spectantia exponerent.*

*Data koronacyi Barbary Radziwiłłówniej, żony
Zygmunta Augusta.*

Miałem już sposobność zwrócenia uwagi na niedokładne, błędne i niewyjaśnione dotąd liczne fakta z dziejów naszych. Nie będziemy mieli gruntownego ogółu, t. j. całego pasma upłynionych wieków, dopóki pojedyncze ogniwa pozostaną rozerwane, uronione, lub nadwichnięte. Zaiste obwiniać należy źródłowych pisarzy i współczesnych latopisów, że pobieżnie lub obojętnie szczegół jaki dziejowy nam przekazali; lecz pojmuję, iż łatwo mogli oni przepomnieć podrzędny wypadek, kręśląc wielką całość. Późniejsi nie zadali sobie pracy uzupełnić luki, przez poprzedników swoich poczynione; mnożyły się kompendya historyczne, mniej więcej treściwie znane rzeczy powtarzające, a światło prawdy téj nadobnej nauki, nie na tém nie zyskało. Lecz nierównie większa cięży odpowiedzialność na tych, co obrawszy sobie za cel pracy ustęp jaki dziejowy, nie obrobili

wę Anny niegdyś Forsterowej, potem Kozłowskięj przychodzących, Mikołaj Schedel z rąk jego odebrał. A było zapewne nie szczupły zbiór ksiąg, skoro wartość według inwentarza r. 1683, złp. 41.131 w monecie srebnej wynosiła.

* * *

Zdaje się, że w wieku XVII i po niektórych mniejszych miastach polskich były księgarnie. W aktach radz. krak. w księdze Nr. 22/33 pod r. 1610 wzmiankowany jest kilka razy *Paulus Felicius, Civis et Bibliopota Gnesnensis.*

go wszechstronnie z wszelką należytą dokładnością, na dowód czego, niech nam posłużą: *Pamiętniki o królowej Barbarze*, 1837 i 1840 r. wydane, gdzie w T. II, str. 245 mówi autor: „Dniem koronacyi miał być zrazu 13 listopada, uroczystość ś. Katarzyny (1550 r.), lecz z powodu niedojrzałości układów i przygotowań, odłożono go na 9 grudnia”. W przypisku zaś najniestuszniejszy czyni zarzut Bielskiemu: iż kronikarz nasz uwiedziony tém, że na ś. Katarzynę najprzód ułożone było odbycie koronacyi, mylnie podaje datę ową za dzień dopełnienia obrzędu. Że Bielski weale tego nie podaje, ani o ś. Katarzynie nie wzmiankuje bynajmniej, przytaczam wiernie własne jego wyrazy: „Na dzień 13 miesiąca listopada, do Krakowa się rady koronne ku hołdu (lennych książąt) zjechały, a tam arcyb. gnieźn. Mikołaj Dzierzgowski. Barbarę żonę królewską koronował, lecz barzo chorą”. Gdzież tu jest pytam powiedziana data koronacyi?; trzynasty listopada, wyraźnie jest tylko dniem przybycia panów rad koronnych do stolicy. Niepotrzebnie też usiłuje autor *Pamiętników*, zbijać w dalszym ciągu i udowadniać ówczesnemi listami błędność urojonęj sobie w Bielskim daty; na str. zaś 246, nie wymieniwszy źródła z kąd wyczerpnął, utrzymuje stanowczo: „9 grudnia zajaśniał nakoniec dzień uroczysty dla pięknej Barbary, pamiętny dla serca Augusta”. W przypisku na téjże str. przytacza łaćniński jakiś MSS. Rysińskiego, poczem mówi: „Naznacza więc Rysiński 10 grudnia za dzień koronacyi, ale i ten nie jest dokładny, bo 10 grudnia hołd od postów książąt lennych był przyjmowany, koronacya zaś odbyła się istotnie (zobaczemy, że nieistotnie) dniem przedtém. Paprocki, chociaż niedługo po tych wypadkach piszący, jednak w dziele swém: „Herby rycerstwa polskiego”, mylną datę koronacyi Barbary naznacza, pisząc: „Roku 1550 dnia 7 grudnia koronowana była (1)”. Otóż z tych kilku dat, najrzetelniejszą jest przez

(1) Dnia *siodmego* grudnia, Paprocki str. 641. Wszystko to, com przytoczył z *Pamiętników*, powtórzone zostało dosłownie w drugiem wydaniu 1843 r. (Pisma historyczne Mich. Balińskie-

Paprockiego przywiedziona; poprzėjmy ją i ustalmy świadectwem niezachwianém, dokumentem wiarogodnym, pochodzącym z pod pióra osoby przy boku monarszym będącej. Odwieczny ten rękopiśmienny zabytek, najlepiej dochowany, zawdzięczam przyjacielskiej życzliwości uczonego Ign. Zagórskiego, autora dzieła: „Monety dawnój Polski”. Rzeczony rękopism, zawierający rachunki skarbowe, ma tytuł: *Distributa in elemosinam, ofertoria, ac alia pia opera a Sacra Regia Majestate, 1550*. Z nich zamieszczam z wszelką sumiennością wyjątki udowodniające datę koronacyi, a zarazem i niektóre związek z nią mające okoliczności.

Die Dominica que fuit 7 decembris, in die coronationis S. R. Mtis Reginalis D. Barbare, pro offertorio circa coronationem, in auro ungaricali flor. 101, per grossos 52, scilicet quia Magnus Regni Thesaurarius (Spytek Jordan z Łakliczyna) unum aureum e crumena (ze skarbonki) amisit, qui propter frequentem multitudinem non potuit inveniri, facit per grossos 30, flor. 175, gr. 2 (1).

Item pro elemosina flor. 4, propter Deum per septimanam gr. 25, facit flor. 179, gr. 27.

Feria secunda 8 decembris in festo Conceptionis gloriosissime V. Marie, pro elemosina fl. 10, pro offertorio fl. 1.

Feria tertia 9 decembris, quo suscipiebat S. M. Regia omagium a nunciis Illus. Ducis Prussie, circa decantationem Te Deum Laudamus, pro offertorio fl. 2 (2).

Poczém następują zapiski: ile wydano na sprawienie z białego adamaszku chorągwi homagi dnój dla ks. pruskiego; ile kosztowała robota jedwabnego, złotem przerabiane-

go), lubo na czele T. I takowe czytamy zapewnienie: „Autor usilnie starał się błędy poprawić i według późnziej odkrytych źródeł, nietylko mylne lub niedokładne mniemania sprostować, ale jeszcze nowemi wiadomościami rzeczy dawniejsze z bogacić.”

(1) Ówczesny złoty, na monetę podług dzisiejszėj stopy bitą, wynosi zł. 10. gr. 6.

(2) Albert z domu brandeburskiego ostatni W. mistrz krzyżacki, a piérwszy ks. pruski, zrodzony z Zofii córki Kazimiérza IV Jagiellończyka, lubo oczekiwany nie przybył.

go kutasa i t. p. W dalszym ciągu wymienieni są postowie i postronni książęta, obecni podtenczas w stolicy, jakoto:

1. Ks. lignicki (Fryderyk III) przybył 24 listopada z orszakiem 194 osób i we 136 koni; bawił do 15 grudnia. Udarowany został od króla dwoma srebrnymi pozłacanymi puharami (*cuppis*), ważącemi 13 grzywien i skojców 15½, które kupione były u Stefana Siedmiogrodzkiego za zł. 150, gr. 16, den. 9 (¹).

2. Ks. cieszyński (Wacław Adam) zjechał 27 listopada z orszakiem 127 osób; odjechał zaś 14 grudnia, otrzymawszy od króla w darze 2 srebrne pozłacane puhary, téjże co i poprzedzające wagi i wartości.

3. Poseł króla rzymskiego doktor Langus, przybywszy 2 listopada z 8 ludźmi i 9 końmi, bawił do 20 listopada. Udarował go król 20 łokciami przedniego aksamitu.

4. Gotfryd a Konitz, poseł Joachima margrabi brandeburskiego (²), przybył 17 października z 7 ludźmi i w 6 koni; bawił do 23 grudnia, i otrzymał od króla przedniego aksamitu łokci 20.

5. Abram, poseł wojewody wołoskiego, przybył 2 grudnia z 6 ludźmi i tyluż końmi; bawił do 10 grudnia, gdyż czekał na połączenie się z większymi postami od tegoż wojewody przysłanymi.

Pisałem w Warszawie, d. 30 czerwca 1849 r.

Tymoteusz Lipiński.

(¹) Stefan Batory wojewoda Siedmiogrodu, którego syn także Stefan, zasiadł później na tronie polskim.

(²) Właściwie elektor Joachim II; poślubił on w Krakowie 1 września 1535 r. Jadwigę, córkę Zygmunta I, która mu powiła syna i dwie córki.— Ob. Joh. Wolfg. Rentsch: *Brandenburgischer Ceder-Hein*, 1682.

Sala posiedzeń Zgromadzenia Narodowego we Francyi.

Zajmują się obecnie, jak wszystkim wiadomo, projektami wybudowania nowej izby posiedzeń dla francuzkiego Zgromadzenia Narodowego. Izba ta ma w sobie wygodnie mieścić około 750, a niekiedy do 900 obradujących, oprócz znakomitęj liczby słuchaczy po łozach. Jestto zadanie budownicze jedno z najtrudniejszych, urządzić izbę na tak wielką liczbę obradujących, w którejby dopełnione były wszelkie warunki wygody, tak pod względem rozmieszczenia i krążenia osób, jako i pod względem donośności głosu (akustyki), oraz co do mocy i ozdobności budowlanej.

Ciekawy i pouczający rozbiór tego pytania, acz w nader ogólnych tylko wyrazach, znajdujemy w jednym z ostatnich numerów dziennika *La Presse* (Lundi, 26 Fevr. 1849) w oddziale: *Bulletin du monde scientifique. Physique appliquée*. Autor jego p. F. Moigno, sprzeciwia się zupełnie projektowi popieranemu (obecnie nieograniczenie odłożonemu przez Zgromadzenie) przez kommissyą *ad hoc* Zgromadzenia Narodowego, która żąda przerobienia czyli powiększenia tylko dawnęj izby posiedzeń deputowanych, w pałacu Bourbon.

„Dosyć jest, powiada sprawozdawca kommissyi (P. Bureaux de Puzy), wyrzucić dawne siedzenia, a nowe w półkole urządzić w ten sposób, ażeby środek tych łuków przypadał nieco dalej za mównicą”. Koszt przerobienia takowego, tymczasowo obliczony jest na 765,000 fr.

Projekt ten niedobry jest z wielorakich względów, a mianowicie (że tu własne prawie słowa p. Moigno przytoczymy):

„Studia wcale dotąd nie były robione, ani téż jakiegokolwiek doświadczenia czynione, ażeby wynaleźć pewniki i prawidła naukowe, którychby się trzymać wypadało przy budowaniu izb, przeznaczonych na obrady licznego zgromadzenia”.

„Zastosowanie dawnęj izby deputowanych do nowego jęj przeznaczenia, bynajmniej nie odpowię nadziejom, jakie sobie obrońcy projektu roją. Taka nowo przerobiona izba, jak

ją przedstawia i opisuje projekt, który ze skupioną uwagą szczegółowo roztrząsaliśmy, będzie zupełnie niewygodną; nie pozostaje co do tego najmniejszej wątpliwości w bezstronnym sądzie naszym, a to z powodów następujących”:

„Sala półkolista, w której mówca zajmuje środek współśrodkowych siedzeń, z góry jest do potępienia: promienie bowiem brzące, wychodzące z ust mówcy, a idące niżej poziomu przez usta jego poprowadzonego, ginąc będą i głuszyć się pomiędzy nogami słuchaczy; promienie zaś idące górą nad tym poziomem, zginą po pod sklepieniem; promienie wreszcie poziome, uderzając w ściany, odbijają się od nich węgelnie, spotkają z promieniami wprost idącemi, i rozłożą się na wielorakie głosy, wedle praw odkrytych przez brata sławnego Savarta, a wracając tak pomieszane ze sobą ku mówcy, całkiem głuszyć się będą. Pod względem więc donośności głosu (akustyki), izba projektowana zupełnie celowi swemu odpowiadać nie będzie”.

„Przekonani jesteśmy, że jedynym kształtem dogodnym na zgromadzenie licznych obradujących, jest postać izby podługowata, po obu końcach w półkole zaokrąglona, w którejby miejsce prezydującego, zajmowało średzinę ściany dłuższej, a miejsce mówcy średzinę ściany przeciwległej; wtedy tylko, i wtedy jedynie, zgromadzenie będzie mogło dobrze słyszeć mówcę i prezydenta, gdyż wszystkie promienie brzące skuteczne będą. O ile postać sal okrągłych lub półkolistych, przyzwoita jest amfiteatrom, przeznaczonym dla licznych widzów, o tyle sale prostokątne albo podługowate, zdadniejsze są dla licznych słuchaczy. Starożytne amfiteatra i nawy średniowiecznych świątyń naszych, są oczywiście i niezaprzeczonem, a dotykalmém potwierdzeniem mniemania naszego”.

„Mimo obliczonego kosztu na przerobienie staréj sali około 700,000 fr., p. Moigno przekonany jest, że zaledwie 1,500,000 fr. wystarczy na to przeistoczenie, a nie otrzyma się jednak wygodnéj izby. Jeżeli więc koniecznie chcą użytkować z dawnéj sali deputowanych, radzi przynajmniej przerobić ją wedle powyższéj zasady, zamieniając biuro dzisiej-

sze na drugie półkole, a na otrzymanych przez to dłuższych bokach téj niby elipsy, umieścić mównicę i biuro prezydenta. Takie przerobienie utworzyłoby jeśli nie najlepszą, dosyć jednak wygodną tymczasową izbę posiedzeń, gdzie ze wszystkich miejsc tak z ławek jako i z łóż (trybun), dobrze będzie można słyszeć”.

Kończy krytyk dyatrybą przeciw kommissyi, radząc wyznaczyć nową, złożoną z ludzi wyborowych, oświeconych, pracowitych, płatnych dostatecznie, a odpowiednio do pracy mozolnej i sumiennój, którą codziennie ponosić zmuszeni będą. Wyłączyć z niej, powiada, tych amatorów sławy, którzyby jeszcze zapłacili, by do niej należeć; uczonych zbyt dostojnych, ażeby mogli przyjmować skromne wynagrodzenie, zbyt zatrudnionych, ażeby mogli dla dobra nawet publicznego przerwać swe ciągłe uczone poszukiwania i t. p. Kommissya ta powinna naprzód porobić doświadczenia w tysiącu salach dla słuchaczy, które Paryż w sobie mieści; poczynić studia szczegółowe tych sal co do optyki, akustyki i t. d., również zbadać bazyliki, kościoły i świątynie, sale teatralne i koncertowe, amfiteatra w fakultecie umiejętności, w kollegium francuzkiém, w konserwatorjum sztuk i rzemiosł i t. p. Zbadawszy, obejrzawszy i porównawszy to wszystko, naprzód roztrząśnie, czy która z sal widzianych odpowiada dokładnie warunkom zamierzonej izby. A wtedy dosyć będzie tylko wiernie ją naśladować, aby mieć dobrą a tak pożądaną izbę.

Jeżeli zaś żadna z widzianych zdatną się nie okaże, niech kommissya dokładnie już z przedmiotem obeznana, doświadczeniem i uwagami swemi wsparta, ułoży sama i przedstawi plany, należycie rozważone.

„P. Marloye najpraktyczniejszy z akustyków, inną jeszcze podaje radę: oto wybudować salę, a raczej jéj cztery mury tylko w rozmiarach takich, ażeby objąć mogły zamierzoną liczbę obradujących osób i słuchaczy; takie cztery ściany zbudowane wedle wszelkich prawideł architektury, zewnątrz odpowiednio przyozdobione, przykryte mocnym stropem i t. d. oddać pomienionój kommissyi, niech w nich czy-

ni doświadczenia i ostatecznie oznaczy pomieszczenie mównicy i prezydenta, formę i wysokość ławek, położenie i wielkość otworów, wysokość i obszerność trybun i t. p.”

„Wtedy dopiero można się spodziewać prawdziwie dobrej sali; chociażby dajmy 100,000 lub 200,000 fr. nawet doświadczenia takie kosztowały, wynagrodzą się one so-
wicie wygodą izby i tém, że zadanie tak ważne raz przecie dokładnie rozwiązaniem zostanie”.

Miałem sposobność w czasie podróży moich, widzieć i zbadać znaczną ilość sal różnego rodzaju, przeznaczonych tak dla widzów, jako i dla słuchaczy, i przyszedłem do przekonania zgodnego zupełnie ze zdaniem krytyka, iż:

1. Sale w półokrąg (czyli w kształcie teatralnym) niedobre są dla słuchaczy; wyższe rzędy siedzeń zaledwie część głosu mówcy otrzymują, a nawzajem zagłuszone są hukiem z najmniejszego szelestu słuchaczy, koło ścian się gromadzących. Sale takie trudne są do należytego oświetlenia i ogrzania. Dowodzą tego wszędzie amfiteatru lekcyjne w Paryżu.

2. Sale całkiem okrągłe w postaci amfiteatru, doskonale są do widowisk, gdzie głosu nie trzeba; jak np. cyrk sztucznych jeźdźców w Paryżu.

3. Sale prostokątne nie są zupełnie dobre dla słuchaczy lubo bez porównania wygodniejsze od poprzednich, a to z powodu kątów, które głos i światło pochłaniają, i jeżeli mówca w takiej sali przy mniejszej ścianie ma swoje miejsce, ostatnie rzędy znacznie słabszy głos otrzymują; dlatego sale takie powinny mieć stosunek długości do szerokości, najwięcej jak 3 do 2, albo 7 do 5. Sale takie używane są mianowicie w uniwersytecie berlińskim i innych zakładach naukowych tego miasta; są między niemi dobre i złe, zawsze dla powyższych powodów.

4. W salach prostokątnych wielkich, wygodniej jest jeżeli mówca ma mównicę na środku ściany dłuższej, lecz i w tym razie stosunek powyższy zwiększonym być nie może; owszem, im mniejszy będzie, tém lepiej, gdyż niewygo-

dnie jest dla mowy, coraz na prawo lub lewo do większej liczby słuchaczy głowę obracać.

5. Wszelkie sale, mające ściany kształtu linii krzywych, które posiadają ogniska, są złe; albowiem głos skupia się w ogniskach, i albo słuchaczów w tém miejscu siedzących razi, albo téż tworzy odgłosy (echo); ztąd i wszelkie sklepienia z odcinków koła ułożone albo eliptyczne, są niedobre. Widzieć to można po wielu klasztorach i w tych sławnych salach, gdzie pewne stanowiska pozwalają usłyszeć szepty nawet z miejsc oddalonych.

6. Z uwag tedy powyższych wypada, że najlepsze są sale postaci przedłużonej, któreby miały stosunek długości do szerokości jak 7 do 5, zakończone w węższych bokach ścianami krzywymi, podług hyperboli, albo linii łańcuchowej zakreślone, przykryte podobnie sklepieniem o podniebieniu łańcuchowém; słowem, sale przedstawiające wewnątrz powierzchnią o ile można pozbawioną wszelkich załamów i kątów, a niemające żadnych ognisk.

Głos wtedy dobrze jest słyszany, gdy po odbiciu się od ścian, promienie brzmiące rozchodzą się w różnych kierunkach, i wcale albo mało gdzie spotykają się z promieniami wprost idącymi. Krzyżowanie się promieni brzmiących, nietylko że nie osłabia głosu, lecz bodaj, że tworzące się tym sposobem węzły brzmiące jeszcze go wzmacniają, i całą przestrzeń powietrza w sali w drganie wprawując, ułatwiają rozchodzenie się głosu.

Ławki czyli jakiegokolwiek siedzenia w takiej sali, zaledwie na wysokość głowy w jednym rzędzie nad drugi mogą być wyższe.

Wreszcie dodać winienem, że nie dziśto dopiero zajmują się tém ważnym pytaniem budowniczém. Gabinet modeli architektonicznych tutejszej szkoły sztuk pięknych, posiada wspaniałą i bogato wyrobiony model, tak zwaną *sali tronowej*, przeznaczoną niegdyś do zamku warszawskiego. Znajdował się on dawniej w gabinecie króla Stanisława Augusta, a przedstawia salę eliptyczną, wspaniałe kolumnami przyozdobioną, które na sobie trybunę wkoło idącą

dźwigają. Tron umieszczony na dłuższym boku ellipsy (czyli w kierunku osi mniejszej), przy ścianach zaś wokoło idą dwa lub trzy rzędy siedzeń senatorów; środek sali zajmowały snadź stoły marszałka i pisarzy. Naprzeciw tronu drzwi główne, do trybuny zaś wejścia z zewnątrz sali prowadziły. Pomiedzy kolumnami na dole, stały posągi ludzi znamienitych, a sklepienie ellipsoidalne, z góry otworem światło rzesiste po sali rozsyłało. Całość nader bogato jest w rzeźby i złocenia przybrana.

Postać téj sali bardzo zbliża się do kształtu, o którym wyżej mówiliśmy, wyjąwszy, że się składa z linii krzywych, posiadających ogniska.

B. P.

Wiadomość o zbiorze atlasów i mapp Ignacego Onacewicza.

Po zmarłym w roku 1845 Ignacym Onacewiczu b. profesorze b. cesarskiego uniwersytetu wileńskiego, pozostał zbiór atlasów i mapp geograficznych, specjalnych, topograficznych i planów, których katalog dla miłośników podobnych nabytków do Warszawy przysłany, mając sobie udzielony, celem przechowania o nim wiadomości, następne podajemy szczegóły. Katalog ten w języku rosyjskim ułożony, zawiera pomiędzy innemi tytuły prac geograficznych, szczególnie zachodnie prowincye cesarstwa rosyjskiego interesujące, a mianowicie: wielki atlas czterech gubernij: mińskiej, wołyńskiej, podolskiej i bractawskiej; rękopism bez oznaczenia roku, z cyfrą na każdej mappie N. Cesarza Pawła I, wykonany przez geometrę Paramona Diakonowa, składa się z czterech części; i tak: gubernia mińska zawiera oddzielne mappy 14 powiatów i 13 planów znaczniejszych miast téjże gubernii; mappa gubernii wołyńskiej składa się z oddzielnych mapp 13 powiatów i tyleż planów miast główniejszych; mappa gubernii podolskiej z 12 powiatów i 12 planów miast; mappa gubernii bractawskiej z 13 powiatów

i 12 planów miast znaczniejszych i t. d. Dalej wyliczone są: Zbiór mapp wydanych w r. 1777 w Wenecyi, między którymi są mapy Zaporozża, Mołdawii i Polski; mappa ogólna księstwa Warszawskiego w 1812 roku. Pomiedzy kartami topograficznymi, znajdują się: *Topografische Karte von Ost-Galizien in 14 Sectionen*, i *Karte von West-Galizien*. od r. 1801 do 1804, wydana w r. 1808; *Karte von Ost-Preussen und West-Preussen in dem Jahren 1796—1802*; *Special Karte von Süd-Preussen, herausgegeben vom Gillz* 1802 und 1803; mappa Wielkiego księstwa Litewskiego i Żmudzi w r. 1795, w rękopiśmie. Pomiedzy planami umieszczony jest plan miasta Kowna, rysowany przez majora Chomentowskiego w r. 1798 (w rękopiśmie) i t. d.

F. M. S.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Podług wykazu pocztamtu cesarstwa austriackiego, wychodzi w roku bieżącym w całym tém państwie 355 dzienników i gazet, w liczbie których 224 w języku niemieckim, 72 w narzeczu słowiańskim, 33 włoskich, 20 madziarskich, 2 wołoskich, 2 rumańskich (na Bukowinie). Czasopisma słowiańskie dzielą się w następnym sposobie, podług języków: czeskich 31, polskich 20, kroackich 6, słowackich i kraińskich 8, ruskich 2, serbskich 2, a dalmacki 1.

* We Francyi liczą w roku bieżącym 68 wyższych zakładów naukowych, do których uczęszcza 6,269 studentów 1320 średnich zakładów, mających 106,065 uczniów. W skład ten wchodzi oprócz szkoły normalnej 56 liceów, 309 kolegiów i 955 prywatnych szkół. W szkołach elementarnych liczą uczniów w ogóle 3,530,135, czyli chłopców 2,176,079, a dziewcząt 1,354,056.

* Przy uniwersytecie wiedeńskim otwarte zostały teraz znowu dwie katedry archeologii słowiańskiej i filologii słowiańskiej. Do pierwszej mianowany został profesorem znany autor Jan Kollar, do drugiej zaś Dr. Fr. Mikloszicz, bibliotekarz nadwornej biblioteki cesarskiej w Wiedniu.

* Znany francuzki orientalista Cossin de Perceval, wydał niedawno w Paryżu trzeci i ostatni tom znakomitego swego dzieła, historyi Arabów: *Essai sur l'histoire des Arabes avant l'Islamisme, pendant l'époque de Mahomet et jusqu'à la soumission de toutes les tribus Arabes a la nouvelle foi.* Jestto dzieło najlepsze, jakie do téj pory z druku wyszło; autor bowiem korzystał ze wszystkich dotąd znanych źródeł, tak wschodniego, jak i zachodniego piśmiennictwa.

* Jaki wpływ wywierają wypadki tegoczesne w Niemczech na płody umysłowe w tych krajach, najlepszym dowodem służy tegoroczny stan ściśle naukowego ich dziennikarstwa. Wiele ze znanych i najważniejszych w tym rodzaju czasopismów, zupełnie wychodzić przestały, inne dotąd byt swój przedłużające, gorzko skarżą się na brak prenumeratorów, a nawet i współpracowników. I tak w jednym z najlepszych filologicznych dzienników, jakim jest: *Philolog, Zeitschrift für das klassische Alterthum, herausg. von F. W. Schweiderin, Göttingen*, który trzeci rok swego istnienia rozpoczął, czytamy ogłoszenie, iż redaktor wątpi, aby był w możności dalszego wydawania, jeżeli prenumeratorowie nie zechcą go wesprzeć pilniejszym udziałem.

* W dniu 20 maja r. b. zmarła w majątności swój w Irlandyi, znajoma czytającej polskiej publiczności Mis Maria Edgevorth, autorka wielu przyjemnych powieści dla młodzieży, które prawie na wszystkie europejskie języki były tłumaczone. Żyła lat przeszło 80.

* W Pradze czeskiej zmarł w dniu 6 kwietnia znakomity tameczny uczony prof. zoologii i mineralogii, doktor medycyny Światopełk Presl. Pomiedzy wielu jego literackimi pracami, najważniejszą zaiste ma zasługę w piśmiennictwie czeskiem wprowadzona przez niego krajowa nomenklatura w botanice, zoologii i mineralogii, któreto nazwy z właściwem do naszego języka zastosowaniem, życzyłyby należało aby i od polskich uczonych naturalistów przyswojone być mogły.

F. M. S.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

R Reich okazał, że dwa bieguny elektromagnesu działające jednocześnie na ciało diamagnetyczne, nie sprawiają w niém odpychania równego summie szczegółowych odpychań przez każdy biegun, lecz przeciwnie, odpychają go z siłą wyrównywającą różnicy tych pojedynczych odpychań; tak, że skoro te siły są sobie równe, odpychanie wcale miejsca nie ma. Nadto Reich dowiódł, że biegun magnesu wzbudza w przyległych mu cząsteczkach ciała diamagnetycznego, magnetyzm tegoż samego imienia, a nie przeciwnego, jak to ma miejsce w ciałach magnetycznych.

Oersted też same zjawiska śledził za pomocą silnego elektromagnesu, zgiętego w kształt litery U, zdolnego unieść 1800 funt. Na każdym biegunie elektromagnesu umieścił poziomo tafelki żelazne, mogące być więcej lub mniej ku sobie zbliżane, a nad niemi wieszał igielki z ciał diamagnetycznych. Iгла trzymana między tafelkami żelaznemi, przyjmuje położenie równikowe, t. j. równoodległe od obudwóch ścian tafelek ku sobie zwróconych; wzniesiona zaś cokolwiek nad brzegi tafelek żelaznych, staje w położeniu prostopadłym do ścian tafelek. W miarę podnoszenia igły, maleje siła diamagnetyczna, kierująca położeniem igielki. Oersted zarazem przekonał się, że w igłę zawieszoną między tafelkami żelaznemi

kończącemi bieguny elektromagnesu, magnetyzm tak jest ułożony, że każda połowa igły posiada magnetyzm tegoż samego imienia, co przyległy biegun elektromagnesu. Tak np., połowa igły (z ciała diamagnetycznego) zawieszonój w odległości dwóch cali nad elektromagnesem i zwrócona ku biegunowi północnemu elektromagnesu, posiada magnetyzm północny na spodniój stronie, a południowy na górniój; podobnie druga połowa igły zwrócona ku południowemu biegunowi elektromagnesu, ma magnetyzm tegoż imienia na spodniój, a północny na górniój stronie. Doświadczając w podobny sposób z platyną, palladium, mosiądzem i t. p. (jest z ciałami przyciąganemi przez magnesy, lecz których magnetyzm odmienny jest od magnetyzmu żelaza, niklu, wspomniany autor doszedł do wypadków podobnych tym, jakie natrafiamy z ciałami diamagnetycznemi. Wiadomo, że z takich ciał wyrabiane igły, stają w kierunku osi, wtedy gdy są zawieszane między ścianami biegunów elektromagnesu; podniesione zaś cokolwiek lub niższe, przyjmują położenie równikowe. Magnetyzm w nich także rozkłada się poprzecznie, z tą wszakże różnicą od ciał diamagnetycznych, że spodnie części każdej połowy igły wywięzują magnetyzm przeciwnego imienia, względem magnetyzmu przyległego bieguna elektromagnesu, a co większa, że tak wywołane bieguny w igłach pozostają przez pewien czas nawet po usunięciu elektromagnesu. Podobnego faktu nie natrafiamy nawet w najcieńszych drucikach żelaznych. Opierając się na tój różnicy, Oersted dzieli ciała na właściwe *magnetyczne*, jakoto: żelazo, nikiel, kobalt; i na ciała *diamagnetyczne*; te zaś ostatnie na ciała diamagnetyczne *przyciągane*, np. platyna, palladium, i *odpychane*, np. bizmut. (*L'Institut*).

* Dowiedziona jest rzeczą, że dźwięk wydawany przez żelazo miękkie magnesowane i raptownie odmagnetyzowane, pochodzi z peryodycznych przemian, jakie zachodzą w układzie cząsteczek żelaza, w skutek tych dwóch przeciwnie działających sił. Grove w liście do p. de la Rive przywodzi ciekawe doświadczenie, wykonane jeszcze w 1845 roku, stwierdzające powyższą hipotezę. Patrząc na oddalony przedmiot

przez rurkę szklaną, zamkniętą z obu stron tafelkami szklanymi i napełnioną pewną ilością wody, mającej w zawieszeniu delikatny proszek niedokwasu magnetycznego żelaza, łatwo się przekonać, że znaczna część światła wstrzymaną jest przez nieregularnie zawieszzone cząsteczki ciała stałego w płynie. Skoro jednak przepuścimy przez spiralną, otaczającą szklaną rurkę strumień elektryczny, cząstki żelaza układają się w sposób symetryczny tak, iż pozwalają przejść znaczniejszej ilości promieni światła. Cząstki żelaza zawieszony w wodzie, są osadem chemicznym, straconym z soli żelaznych. (*Bibliothèque de Genève. 1849. Fevrier*).

* Piérwszy Arago okazał, że światło odbite od różnych punktów nieba, jest polaryzowaném. Babinet podał następny prosty sposób wynalezienia płaszczyzny polaryzacyi tak odbitego światła, a mianowicie: że płaszczyzna polaryzacyi światła idącego od pewnego punktu nieba, znajduje się na płaszczyźnie poprowadzonej przez słońce, uważany punkt nieba i oko obserwatora.—Ponieważ słońce podczas swego pozornego biegu idzie po kole mającém swój środek w biegunie północnym, przeto zatrzymując oko na biegunie północnym nieba, jasną jest rzeczą, że płaszczyzny polaryzacyi światła odbitego od bieguna, zmieniać się będą zupełnie odpowiednio kołom godzinowym, tak, iż położenie płaszczyzny polaryzacyi w danej chwili, wskaże czas słoneczny prawdziwy. Wprawdzie tylko w ciągu dwóch dni w roku, a mianowicie podczas porównań, biegun północny odpowiada maximum natężenia polaryzacyi; jednakże i w innych epokach roku polaryzacya posiada dostateczne natężenie do wzbudzenia świetnych kolorów w cienkich blaszkach selenitu.

Wheatstone oparł na powyższej zasadzie budowę instrumentu, nazwanego przez siebie *zegarem* lub *kompasem biegunowym*. Na słupie pionowym, w mosiężnym pierścieniu, osadzony jest krążek szklany, tak, iż jego płaszczyzna prostopadłą jest do osi biegunowej ziemskiej. Na spodniej połowie krążka, znajduje się półkole, podzielone na 12 części, z których każda zawiera 5 — 10 drobniejszych podziałów; przy podziałach głównych, oznaczone są liczby od 6 do 6,

wskazujące godziny. W środku pierścienia utrzymującego krążek szklany, osadzony jest szerszy koniec rury ostrokątowej, w taki sposób, iż rura swobodnie naokoło swęj własnej osi obracać się może. Ten szerszy koniec rury, zamkniętym jest przez drugą tarczę kołową szklaną, mającą w swym środku małą gwiazdkę lub inną figurę, wyrobioną z cienkiej blaszki selenitu. Blaszka badana pod wpływem światła polaryzowanego, okazuje różne kolory; na niej także oznaczoną jest strzałka w położeniu wskazującym przedłużenie jednego głównego przecięcia kryształu. Na cieńszym końcu rury ostrokątowej, znajduje się pryzmat Niholsa tak ustawiony, iż którakolwiek z jego przekątni, leży pod 45° do głównego przecięcia blaszki selenitu. Ustawmy instrument w ten sposób, aby oś rury znajdowała się na kierunku osi biegunowej ziemi i umieśmy oko za pryzmatem, a przekonamy się, że blaszka selenitu ubarwioną jest różnemi kolorami; obracając jednak rurę około jęj osi, kolory zmieniają swe natęzenie, a w dwóch położeniach zupełnie nikną, przyczęm kółko w samym środku gwiazdki będące, przybięra jeden kolor, np. czerwony.

Za pomocą tego instrumentu, w następny sposób można czas oznaczać; obraca się ręką rura dopóty, póki gwiazda kolorowana nie zniknie zupełnie, a kółko w jęj środku nie stanie się czerwonym; skazówka wówczas oznaczy dokładnie godzinę. Oczywistą jest rzeczą, że oznaczenie czasu zależy od dokładności, z jaką rozpoznajemy położenie płaszczyzny polaryzacji; zmiana o 1° w położeniu tęj płaszczyzny, odpowiada różnicy $4'$ czasu. Ten instrument może być zastosowany do każdej szerokości geograficznej; dlatego potrzeba tylko dodać koło podzielone na stopnie, za pomocą którego możnaby nastawiać oś rury.—Pierwszeństwa tego instrumentu nad kompasem słonecznym mają być następujące: że kompas biegunowy, będąc zawsze skierowany ku jednemu punktowi nieba, może być użyty w takiej miejscowości, w której brak otwartego nieba nie dozwala umieścić słonecznego kompasu, np. na pochyłości północnej gór, lub przy północnej ścianie budynku; że taki kompas może wskazywać czas słoneczny, nawet przed wejściem i po zachodzie słońca, byleby promie-

nie jego były już odbite od atmosfery. Może nawet służyć do oznaczenia czasu i wtedy, gdy niebo przykryte jest chmurami niezbyt gęstymi (*Bibliot. de Genève*, 1849).

S. P.

HISTORIA NATURALNA.

Poranek w Australii. Tylko mały ptaszek, który tu miejsce surmaka (*Barita*) zastępuje i którego śpiewanie najmiłszym tonom fletu się równa, przerywa uroczyste milczenie. Budzenie się natury wszystkie tu zmysły zachwyca: woń krzewów które tylko co słońce paliło, równie jak odcień i tony widoków, wspaniale się godzą z melodyjnymi dźwiękami. Jasno-czerwony kolor cistrawy (*Anthistiria*), łskniąca zieloność czulków (*Mimosa*), białe pnie rozdrębów (*Eucalyptus*) i głęboko-szare cienia wczesnego, jeszcze ponad lasem drzymiącego poranku, mieszają się lub klócą w najpiękniejszej jedności. Postaci miłego widoków układu, są niemniej pociągające: dzikie, fantastycznie ukształcone rozdrębu krzaki z ozdobnie rozwieszonymi liśćmi, zielenią się między poobalanymi pniami drzew starych, potężnymi zwaliskami roślinnego świata. Zamiast jesienniej tylko barwy, miesza się tu ustawicznie złoty odcień tej pory, z najczystsza zielonością wiosny, kiedy razem witające promienie jasnego słońca jak w poranku zimowym, łączą się z chłodnym tchem lasu na letnim poranku, dla uczynienia tych scen ponętniejszemi. Te powaby natury przywiązują dzikiego do lasów jego; są one w stanie złoczyńcę na straconą ścieżkę cnoty wprowadzić. (*F. N.* 1849 nr. 175 z *Journal of an Exped. into the Interior tropical Australia etc.* by Lieut. Col. T. L. Mitchell.)

Zoologia.

Liczba zwierząt. Agassiz i Gould w swoich Zasadach zoologii podają liczbę gatunków zwierząt kręgowych na 20,000. Jest już więcej niż 1,500 gatunków zwierząt ssą-

cych, z pewnością poznanych, a z prawdopodobieństwem można ich 2,000 przyjąć. Znajomych gatunków ptastwa jest 4,000 do 5,000, a liczba ich prawdopodobna jest 6,000. Znamy 1,500 gatunków ptaków; autorowie i tu 2,000 przyjmują. Ryb znamy 5,000 do 6,000 gatunków, ale według prawdopodobieństwa można ich liczyć 8 do 10,000. Liczba znanych miękkliwych zwierząt, wynosi 8 do 10,000. Znajdują się zbiory morskich muszli liczące 5 do 6,000 gatunków, tudzież zbiory rzecznych i lądowych obejmujące przeszło 2,000. Liczbę więc miękkliwych zwierząt można do 15,000 gatunków podnieść. Co do zwierząt stawowatych, liczebne oznaczenie ich gatunków przedstawia szczególną trudność. Znajdują się zbiory owadów chrząszczowatych z 20 do 25,000 gatunkami; przez co autorowie nie uważają za niepodobieństwo, że liczba samych owadów 60 do 80,000 gatunków dosięga. Cały dział zwierząt stawowatych: czerwie, wąsoplawy, owady, pierścienice, robaki i wymoczki, o ile do tego oddziału należą, z pewnością stu tysięcy gatunków dochodzi; z największem jednak prawdopodobieństwem dwóchkroć tyle domyślać się można. Jeśli dodamy do tego 10,000 gatunków na zwierzęta promieniste, jakoto szkarłupnie, polipy i t. p., otrzymamy 250,000 gatunków zwierząt żyjących, do których dołączywszy jeszcze to co nam z zaginionej fauny jest wiadome, królestwo zwierząt według średniego wyrachowania, pół miliona gatunków obejmuje. (*F. N.* 1849, nr. 173).

* *Zwierzęta rossyjskie.* W nrze 70 na rok 1848 angielskiego dziennika *The Zoologist*, znajduje się wyciąg z dzieła p. Edwarda Thompson pod tyt. *Life in Russia*, w którym opisane jest polowanie na wilki w Rosyi, z pomocą drażnionego w sankach prosięcia, polowanie na łosia, niedźwiedzia i t. d. obok czego wzmiankowane są gatunki zwierząt temu rozległemu krajowi właściwe. W okolicach Petersburga łos i ryś nie są rzadkimi zwierzętami: ostatni podczas tegich zim, ogrody na przedmieściach tej stolicy nawiedza. O łosiu mniema autor, że to szybkie i wytrwale zwierzę, w stanie oswojonym bardzoby użyteczne być mo-

gło do ciągu. Winowajcy użyli go jednego razu do ucieczki, i nie można było ich doścignąć. Ale osvajanie łośsia tak w Rosyji jako i w Szwecyi, surowo jest zakazane. W Pilnie, o 30 mil od Petersburga, zabito raz białego lisa krajów polarnych (*Vulpes arcticus*). Akademik dr. Brandt uważa to zdarzenie za nadzwyczajne, ponieważ najbliższa pobytu tego lisa okolica, jest jeszcze dalej jak 1000 mil na północ, pod 68 do 70° szer. odległa. Pomienione zwierzę zabitem było w ziemi; następnego lata ukazał się lis zupełnie czarny, który zdawał się być młodem zabitego, ponieważ lisięta tego gatunku zawsze są czarnemi. Biały zając i wielka odmiana zwyczajnego zająca, są bardzo pospolite; pierwszy w miesiącach letnich nabywa szaro-białej sierci, a dopiero przy końcu października wraca się mu ubarwienie zimowe, tak iż tylko gdzieniegdzie szary pozostaje włos. Zimowa barwa zająca ma najczystszą białość; tylko na wierzchołku każdego ucha plamka czarna. Drugi gatunek zająca ma bardzo długie i cienkie skoki zadnie, i miewa przeszło 15 funtów wagi.

Dla naturalistów, mówi autor, Rosyja przedstawia najbogatsze skarby, mało przez kogo dotąd przeglądane. Ptaki nadzwyczajnie rzadkie w Anglii, na petersburskich targach zawsze się widzieć dają; żali się tylko autor że rzadko kiedy exemplarze ich nie są uszkodzone. Skutkiem przesądu ptaszników, wielki czarny dzięcioł (*Picus martius*) zawsze tam przynoszony bywa bez dzioba; podobnież długoogoniasta kaczka (*Anas glacialis*) nie ma nigdy piór w ogonie. Autor widział między innymi następujące na ptasich rynkach gatunki: *Loxia enucleator*, *Strix nyctea*, *Strix passerina*, *Strix bubo*, *Strix funerea*, *Loxia pityopsittacus*, *Emberiza nivalis*, *Alauda alpestris*, *Sylvia suecica* i *Tetrao medius* uznawany mylnie za mieszańca jarząbka z cietrzewiem (*black cock*). Jarząbki i pardwy (*Tetrao saliceti*) są bardzo pospolite. (*Ib.* nr. 172).

* W nr. 189 dziennika *Notizen v. Froriep* na r. b. zamieszczony jest artykuł p. G. R. v. Struve, datowany jeszcze w lecie r. 1811 z Kassel, obejmujący postrzeżenia nad bia-

łemi myszami, które autor, chowając wówczas te zwierzęta, czynił i zapisywał, a w których zawiera się nieco szczegółów znaczących w fizjologii zwierząt. Samica wydała mu 17 maja, a następnie 6 czerwca 1811 r. po sześciorgo młodych, między którymi za każdym razem jedno nieżywe na świat przychodziło. W pierwszych dniach lipca odłączył ją od dorosłych już dzieci, do osobnej klatki, której dno otrębami i mchem okryte było. Rano d. 3 lipca, a więc 28 dnia po ostatniem rozwiązaniu, ukazało się przy niej 8 żyjących mysząt, którym w otrębach staranne ze mchu gniazdo zrobiła. Młode były gołe, ślepe, niedołożne i niekształtne, jednak bardzo rześkie. Matka pielęgnowała je nader troskliwie, przez cały prawie dzień je karmiła, ogrzewała je, otulała mchem, a przez ciekawych w jednym miejscu wzruszane, przenosiła pyszczkiem na drugie. Niezmiernie strzegła czystości w gniazdzie; wszelki odchód odnosiła w pyszczku na bok klatki. Młode prędko rosły. Dnia 10 stały się już zupełnie białemi, wyjąwszy nogi i ogon jeszcze gołe. D. 16 już w pół otwierały się im oczy; stały się rzeświejsze, wielkości w stanie spoczynku mniej więcój chrapaszczą. W porze téj głowa zdawała się jeszcze za wielką; dwa przednie zęby były już rozwinięte i widoczne, lecz zwierzątko chciwie jeszcze ssaty. D. 18 (w 5 dni po urodzeniu) młode należycie już widziały. Przez kilka dni jeszcze kładły się na gromadę, nim naostatek rozchodzić się zaczęły, każda w swoją stronę. Najczynniejszymi zaczynały być wieczorem. D. 28 lipca odłączyłem jedną samiczkę od matki i osadziłem ją w osobnym słoju szklanym, w towarzystwie z samcem. W tym samym słoju znajdowała się inna samica stara, z młodą 6 czerwca urodzoną. Ta ostatnia pierwszy raz urodziła dnia 18 sierpnia czworo młodych, z których jedno wkrótce zdechło. Samica stara, która w d. 3 lipca rodziła, w nocy na 21 sierpnia, wydała znowu na świat sześciorgo młodych, będąc przez 23 dni, jak doszedłem, ciężarną. Obiedwie matki z młodem przesadziłem do wspólnej klatki. Stara nie przestała i tu troskliwą być o dzieci, ale młoda ciągle biegała, odstępując na całe go -

dziny od swoich. Nagarnąłem te ostatnie do starój, i żywiła je jakby swoje własne. Wszystkie [9] zatém karmiła, podczas gdy młoda biegła ciągle, o żadne się nie woszcząc. Wspomniana już stara matka, znowu d. 1 października kilkoro młodych na świat wydała. Dwoje a może i więcej z nich pożarła. Autor przypisuje pożeranie młodych, często się tu zdarzające, zupełnemu odmówieniu starym mięsa, które także należy do pokarmów od natury zwierzętom tym przeznaczonych. W dniu 30 paźdz. obok czworga młodych, d. 1 paźdz. urodzonych, znalazł przy niej autor 5 urodzonych później i jeszcze ślepych, 6—8 dni mieć mogących. Ta zatém stara samica, w przeciągu 3 około tygodni, dwa razy młode wydała, w liczbie przynajmniej 11 ściorga. Przez całą zimę trwało zawieszenie: lubo samica ciągle została z samcem, dopiero jednak 17 marca 1812 r. znowu wydała dwoje młodych, które się znalazły uduszone w otrębach.

* Dr. Warwick opowiada nowy przykład zmyślności słonia. Jedno z tych zwierząt, które przed kilku laty oszalało tak, że musiano je zabić, umiało podejmować trąbą mały pieniążek i wkładać go w kieszeń do kamizelki temu kto mu go rzucił. Dr. Warwick położył mu umyślnie pieniążek w kąciku tak, że słoń nie mógł go dosięgnąć. Zdawało się, że niejaki czas namyślał się nad tém; nareszcie dmuchnął trąbą tak potężnie ku naprzeciwległej ścianie, że pęd powietrza przez to zrządzony, wymiótł szelązek z kącika, a słoń w zwykły sposób ujął go trąbą. Kiedy postrzeżono na tym słoniu pierwsze oszalenia ślady i otruc go postanowiono, dana mu była trucizna w pomarańczy, owocu który nadewszystko lubił. Połknął on pomarańczę, zachorował ale nie zdechtł, ponieważ doza okazała się za słabą. Chciano mu zatém większą ilość w ten sposób podać, ale jój nie przyjął, i w ogolności nie jadł odtąd pomarańczy, nizeli się piérwój długo jój nie nataczał po ziemi i nie nawałchał. (*F. N.* 187 z *The Annals and Mag. of nat. hist.* Jan. 1849).

* Niedawno znaleziono w korycie Girondy nowe przedpotopowe zwierzę, które *Elotherium magnum* nazwano. Musiało ono podobnym być do hipopotama; pierwsze trzonowe zęby jego, przypominają *Anthracotherium*, gdy przeciwnie ząb następny i ostatni trzonowy, mają wcale odmienną budowę. Ostatni trzonowy, który u wszystkich tęgoskórnych poprzedzającemu jest podobny, tu ma, jak u tęgoskórnych kopalnych, trzeci jeszcze stożek. *Elotherium* tak odpowiada hipopotamowi, jak tapir i nosorożec rodzajom *Lophiodon* i *Pulaeotherium*. (*F. N. nr. 190 z Bull. de la Soc. Géol. de France, tome IV. 1846—1847*).

* Thiernesse i Gluge uważają, że skoro się przetną mięsnyły piersiowe ptakowi, niezdolny już jest latać, gdy tymczasem przewiercenie kości, jak podał Jobard (*Bibl. Warsz. b. r. tom I, str. 647*), nie tamuje latania. Autorowie przewiercali kolejną kości podymo-przednozną (*tarso-metatarsus*), udową i barkową gołębia, który pomimo to mógł latać. Lot przeto ptaków nie uskutecznia się przez wpompowania i wypompowania powietrza z ciała zwierzęcia, ale przez uderzanie skrzydłami, któremi władną mięsnyły. (*Id. nr. 189 z Bibl. univ. de Genève, Nov. 1849*).

* Dureau de la Malle czynił postrzeżenia na ośmiu gatunkach śpiewających ptaków, w zamiarze ścisłego oznaczenia czasu w którym śpiew rozpoczynają. Postrzeżenia te czynione były od 1 maja do 6 lipca 1846 r. w Paryżu, w ogrodzie przy domu w którym autor mieszkał, a od 7 do 23 lipca tegoż roku, na wsi przy Mortagne w dep. de l'Orne. Małe śpiewaki poranną pieśń swoje, następującą kolejną nucić zaczynały:

Zięba dawała się słyszeć najprzód o godz. 1 albo 1½ po północy.

Pokrzywka z czarną główką, budziła się o godz. 2.

Przepiórka o 2½ do 3.

Kos o 3½ do 4.

Ludarka z czerwonym ogonkiem (*Sylvia phoenicurus*) o 3 do 3½.

Piecuszek (*Sylvia trochilus*) o 4 godzinie.

Wróbel o 5 do 5 1/2.

Sikora większa (*Parus maior*) również o 5 do 5 1/2.

Autor powiada, że od 30 lat ma zwyczaj kłaść się spać lalem o godz. 7, a o północy wstawać; pokój w którym pracuje, wychodzi na ogród, a okna jego przez cały maj i czerwiec r. 1846 stały otworem. Oprócz tego żywił on ptaki w swoim ogrodzie, zasłaniał je przed kotami i innymi przypadkami, starał się aby nie burzono ich gniazd, które tak często odwiedzał, iż wiedział kiedy w nich są jaja, kiedy młode.

D. 4 czerwca pokrzywka i kos, już o godz. 2 1/2 po północy rozpoczęły swoją pieśń poranną (1); zadziwiony temi dotąd nie wydarzającymi się wyjątkami, odwiedził gniazdo obudwu ptaków; młode ich powychodziły z jaj; rozumiał, że wybuch rodzicielskiej radości wcześniejszy śpiew spowodował; wkrótce jednak inną tego odkrył przyczynę. Troskliwość o wyżywienie ich powiększonej odtąd rodziny, skróciła sen rodziców o 1 1/2 godziny. Autor widział przy jasnym blasku księżyca, jak i samiec i samica zaczęły szukać owadów, ażeby je na pokarm rodzinie swojej do gniazda ponieść.

D. 26 czerwca wszystkie przepiórki już o 2ej godzinie zrana wkoło niego śpiewały; autor sądzi że przyczyną wczesnego ich budzenia się, na dwie godziny przed wschodem słońca, były te same kłopoty o pożywienie dla piskląt; jednakże na wsi nie mógł się o tém tak dokładnie upewnić, jak w swoim ogrodzie w Paryżu.

D. 11 czerwca autor wstał według swojego zwyczaju o północy; lampa jego oświecała przez otwarte okno w pobliżu stojącą akacją na której pokrzywka gniazdo miała; o godz. 12 1/2 rozległ się śpiew ptaka, lecz za pół godziny znowu zamilkł. Nie troskliwość o pożywienie przebudziła zwierzątko: w gniazdku były jeszcze jaja; światło lampy musiało małego śpiewaka uludzić z początku.

(1) Niezgodność tego z oznaczeniem powyższej chwili rozpoczynania śpiewu pokrzywki, jest jakąś omyłką, której, nie mając przed sobą oryginału, nie jesteśmy w stanie poprawić.

Odźwierny autora chował kosa, którego klatka podczas dnia wystawiana była na dziedziniec blisko okna biblioteki, a wieczorem wnoszona do izby i nakrywana ciemną skrzynią. D. 8 czerwca kos zapomniany był na dworze. O 12½ godzinie w nocy pobudził wszystkich mieszkańców domu kos złudzony światłem lampy z biblioteki: z całej siły wyśpiewywał on wszystkie uczone melodye, podczas gdy dzikie kosy na swój sposób towarzyszyły mu usiłowały. Koncert trwał od 12½ w nocy, do 7 godz. z rana; nie mogło tu światelko lampy obudzić kosów dzikich, które się dalej w głębi ogrodu gnieździły; obudził je zapewne głos pochodzący z klatki.

Dziki kos gdy dorośnie, przypomina sobie melodyą, którą słyszał za młodu. W ogrodzie autora znajdowała się para, która tam trzy pokolenia następujące po sobie wywiodła, a wszystkie zamieszkiwały jedno gniazdo zbudowane na lipie. Gdy się już wychowało 15 dorosłych ptaków, rodzina musiała być za ciasno, okolica za mało im pożywienia dostarczać mogła: wychowawcy autora opuścili ogród. Od 10 marca do środka czerwca z utęsknieniem czekał na ich powrót; nakoniec usłyszał d. 18 i 20 czerwca o 4 godz. zrana, pierwsze dwie wrotki melodyi z pieśni gminnej zagwizdane. Dzikie śpiewaki wróciły: gwizdały melodyą, której się całodziennie nasłuchiwały w młodości od uczonego kosa w klatce chowanego (*F. N. nr. 184*).

* Wśród mnóstwa kości, które Walter Mantell w wulkanicznym piasku w Waingongore na Nowej Zelandyi zebrał i do Anglii sprowadził, odróżnił Owen należące do zaginionych ptaków: *Dinornis giganteus*, *casuarinus*, *didiformis*, *curtus*, *Palapteryx ingens*, *dromioides*, *geranoi* *les*. Znalaziona pomiędzy niemi kość podymo-przednożna (*tarso-metatarsus*), która dźwigała wielki palec tylny, i ogólną budową podobna była do téjże kości u dronta, tylko krótsza i grubsza, należy zapewne do rodzaju *Apterornis*, odmiennego od *Dinornis* i *Palapteryx*. Razem z niemi znalazły się szczątki fok z rodz. *Arctocephalus* Fred. Cuv., niektóre kości psów i ludzkie. Te ostatnie były spalone i ze-

szły ze stołu na uroczystości kannibalów obchodzonej przez krajowców. Kości fok w tym samym były stanie co ptasie: nie spalone, łamliwe, żółto brązowego koloru. Znajdowała się także między niemi niezliczona moc skorup od jaj ptasich, rozmaitego gatunku; największe obwodu przewyższającego jaje strusie.

Najszacowniejszemi jednak w zbiorze tym szczegółami, były czaszki ptaków z dziobami; one bowiem dozwoliły Owenowi oznaczyć cztery oddzielne rodzaje zaginionych w tym kraju ptaków. Czaszka największa z potężnym, szerokim, dosyć długim i hakowato zakrzywionym dziobem, należy do rodzaju *Dinornis*; czaszka po niej idąca, u której dziób najpodobniejszy jest z kształtu do dzioba kazuara nowo-hollandzkiego, należy do rodz. *Palapteryx*. Trzecia czaszka, z dziobem niby jak u *Porphyrio* i *Brachypteryx*, policzona była do pokr. chróscielowatych, ale ze względu na osobną budowę swoją, tworzy nowy rodzaj *Notornis*, a nakoniec czwarta rodzaj *Nestor* w pokrewieństwie papugowatych.

W nrze 7 roczników *Annals and Magazine of natural history*, na rok 1848, opisuje Owen obszernie i ze zwykłą sobie ścisłością te pozostałe szczątki, wykazując w porównawczy sposób różnice pomiędzy niemi a tém co obok nich żyjąca natura przedstawia. Ocenia naturalne stanowisko każdego z tych rodzajów w układzie; czaszkę papugi znajduje zgodną z rodz. *Nestor* osobliwych nocnych papug, jakich przykład dotąd jedna tylko Nowa Zelandya podała. Rodzaj *Notornis*, wzrostu i postaci strusio-watych, stawia pomiędzy rodzajami *Porphyrio* a *Brachypteryx*, wnioskując z kształtu mostkowej kości, że to były ptaki niemogące latać. Rodzaj *Palapteryx* odnosi do rodziny właściwych strusio-watych, mieszcząc go między rodzajem *Dromerius* (kazuar nowohol.) a nietotem (*Apteryx*). Najdłużej zastanawiając się nad systematycznym położeniem rodzaju *Dinornis*, wnosi z ukształcenia dzioba, że tym wyginionym ptakom mączyste korzenie tak obfitych na Nowej Zelandyi pa-

paproci za pokarm służyły, a rozstrzygnięcie, czy słusznie do gołębiowatych liczone być powinny, zostawuje wkrótce wyjść mającemu dziełu Stricklanda, o wyginionych ptakach na wyspie Maurycyusza i sąsiednich (1). Do téj pracy Owena dołączone są liczne wizerunki, mające wyjść przy 3cim zeszytcie roczników (*Transactions*) Towarzystwa królewskiego (*Royal Society*), na którego posiedzeniu d. 11 stycznia z. r. autor rzecz swoją odczytał. (*Ib. nr. 168*).

* **P. Guérin - Méneville** rozbieając pismo p. de Quatrefages o sztucznych zapładnianiach w zastosowaniu do chowu ryb (*Revue zoologique*, 1848 nr. 10 p. 312), przytacza osobliwszy sposób, jakim w odludnej Ameryce użytkują domowe gospodarstwa z pewnego tamicznego gatunku płazu. **P. Guérin** nabył wiadomości o tym sposobie z opowiadania młodego wędrownika p. Sallé, który już kilka razy w naukowym celu przebiegał Amerykę i znakomite poprzywoził ztamtąd zoologiczne zbiory. **P. Sallé** przybył wieczorem, d. 14 lutego 1848 r., do chatki w głębi Ameryki środkowej, w państwie San-Salvador, na miejsce zwane San-Antonio, będące skupieniem bud ze świeżych gałęzi, powznoszonych tymczasowo nad brzegiem strumyka; a trafiwszy na bardzo ubogą wieczerzę, poddawał się już przekonaniu, że trzeba na niéj poprzestać, gdy gospodarz chatki obiecuje mu niedługo coś smaczniejszego podać. W przytomności p. Sallé zalecił on kilku chłopcom udać się do lasu, a po krótkim czasie p. Sallé zadziwił się, gdy ujrzał jak wracający chłopcy ciągnęli za szyję ogromną jaszczurkę, i gdy mu powiedziano że będzie miał z niéj wieczerzę. Wędrownik sądził, że ten gad oprawia i upieką, ale się co innego stało. W oczach jego gospodarz domu nastąpił nogami na głowę i ogon jaszczurki, i wykonał za pomocą noża niewielkie nacięcie na boku brzucha, poczem zapuszczając palce dość głęboko w jéj wnętrzości, wydobył ztamtąd jeden i drugi sznurek jaj, każdy po 19, prawie téj co

(1) Zobacz Bibl. Warsz. b. r. tom II, str. 379, tudzież z r. z. t. II, str. 203.

gołębie wielkości. Po téj operacyi otwór starannie został zaszyty, posypano ranę ciepłym popiołem i puszczono olbrzymią jaszczurkę, która pędem uciekła ze wsi na pola. Wydobyte jaja, po ugotowaniu, zastawione były panu Sallé, który je zjadł ze smakiem, zwłaszcza że się składały z samego prawie żółtka. P. Sallé zapytawszy się tych ludzi poco zaszyli brzuch jaszczurce i czemu nie zabili jój po prostu, odebrał w odpowiedzi że dlatego zostawili ją przy życiu, ażeby mogli z niéj na drugi rok wybrać jaja, i że ją zawsze potrafią znaleźć, gdy będzie brzemienną. Ciekawy ten szczegół, dodaje p. Guérin, dowodzi że i gady mogą się stać przedmiotem chowu przemysłowego. Sposób ten wydoskonalony przez doświadczenie, może dać z czasem w Ameryce środkowej, zupełnie nowy popęd usiłowaniom osadników, którzy uczynią corocznym i na wielką odnoszonym stopę plon dotąd niejednostajny i poddany losowi łowiectwa. Któż bowiem wie czy praca p. Quatrefages nie wprowadzi ich na myśl zakładania zwierzyńców napełnionych temi jaszczurkami, które upłodniając sztucznie i we właściwych epokach, będą z nich wybierali jaja w sposób regularny i pewny?

* Quatrefages, *O sztuczném zapładnianiu ikry*. Autor zaczyna to pismo, od zwrócenia uwagi na wielką ryb płodność. Jeden okuń średniej wielkości ma mieć 69,216 ziarn w ikrze; szczupak 10 kilogramów wazący ma ich 166,400, a nieco nad kilogram cięższy karp' miał 167,400, i inny, 4 1/2 kilogramów wazący, 621,600 jaj zawierał. Jesiotrowi naznacza Rousseau liczbę jaj 7,635,200, Leuwenhoeck naliczył u jednéj węgornicy 9,344,000.

Mimo tę niesłychaną jaj liczbę, mało ich tylko do stanu wylęgnięcia się dochodzi; za przyczynę tego naznacza autor że u większej części ryb właściwego parzenia się nie ma. W porze tarcia się, szukają wprawdzie tak samce jako i samice, dogodnego na rozwinięcie się jaj miejsca, ale samo zapłodnienie jaj zostawione jest całkiem trafowi. Mnogość jaj pozostaje bez zapłodnienia, oprócz tego ikra staje się łupem ryb drapieżnych, a nierzadko sami rodzice ją po-

żerają; **nakoniec** z rozmaitych przypadków giną jaja na brzegach rzek i jezior, osobliwie gdy się stan wody odmieni.

Wszystkiemu temu zaradza sztuczne zapładnianie, a które **łatwém** jest do wykonania. Na ten koniec zbierze się świeża ikra kilku samic do obszernego naczynia, doda się do niej tyle wody ile jój potrzeba, ażeby jaja po troskliwém wymieszaniu wolno pływały, po czém, dalej mieszając, doda się świeżego mlécza samców (1). W kilka już chwil zapłodnienie na wszystkich dokonało się jajach. Tak zapłodniona ikra, zanosi się na miejsce rozwinięcia się jój jaj przyjazne, a którego warunki podług gatunku ryb są rozmaite. Gatunki wód stojących nie potrzebują wielkiego opatrywania; dosyć dla nich miejsca którego dno byłoby zarosłe ziołami wodnymi, którego woda byłaby spokojna i niegłęboka: potrzeba je zaopatrzyć kratą przed napadem nieprzyjaciół. Ryby w płynących wodach żyjące trudniejszymi są nieco do wychowania; ikra łososia zachowuje się najlepiej, przykładem hrabiego Golstein, w skrzyni długiej około 4 metrów, a 30 do 35 centymetrów szerokiej, z ruchomém wiekiem. W obudwu końcach skrzyni znajdować się powinien otwór, 16 do 17 centymetrów kwadratowych mający, gęstą kratą drócioną zamknięty. Na dno takiej skrzyni kładzie się warstwa czystego piasku rzecznoego, poczem zapuszcza się skrzynię tak głęboko w strumień, ażeby woda jego w wysokości około cala, zwolna ponad piaskiem płynęła. Wtedy puszcza się na nią zapłodniona ikra, skrzynia się zamyka i patrzy się pewny czas czy się co nie wyłęgło, zlekka poruszając jaja piórem nieodartém, żeby usuwać zawieszoną przy nich flegmę, która rozwijaniu się ich przeszkadza. Po 30—40 dniach, według tego jak temperatura niższą jest lub wyższą, wychodzą z jaj młode łososie; zostają jeszcze niejaki czas w skrzyni, i dopiero później przesadzają się w blizki strumień, do stawu lub do kanału

(1) Do samego dzieła odsyłamy po objaśnienie, jaką manipulacją bądźto ikra bądź mlécz z żywych ryb się otrzymuje.

wpadający. **Hrabia Golstein** w jednym doświadczeniu otrzymał 430 łososiów, któremi kilka stawów zarybił. To samo postępowanie może się, jak mniema autor, i do innych ryb rzecznych użyć.

Autor sądzi, że ten sposób hodowania ryb może się zamienić we **Francyi** w zupełnie nową gałąź przemysłu; młode łososie do drugiego i trzeciego roku dobrze się chowają w słodkiej wodzie; w wieku tym, w którym 35 do 40 centymetrów są długie, dla delikatności mięsa właśnie najpowszechniej są szacowane. W **Szkocyi**, gdzie ten sposób hodowania łososiów dobrze jest znany, w wielu już miejscach poczyniono kosztowne zakłady, połączono strumienie z wielkimi rzekami, porobiono wodospady i śluzy, ażeby trące się łososie sprowadzić do strumieni, do których przedtem nie mogły zachodzić, i wychowywać w nich młode na sprzedaż. Sztuczne zapładnianie oszczędziłoby te wszystkie koszta i nawet w okolicach odległych od naturalnego pobytu łososiów, dozwoliło utrzymywać te ryby.

Do skuteczności zapładniania niekoniecznie potrzebne są żywe ryby: **Golstein** z zupełnym skutkiem zapładniał jaja pstrąga już od 4 dni nieżywego. Autor zapewnia że ta sama dzielność utrzymuje się i w płci drugiej, o czém miał sposobność nieraz się przekonać na bezkręgowych zwierzętach. Młode, tylko co z jaj wyklute rybki, długo żywione są kosztem żółtkowej masy w ich wnętrzościach zawartej; młode łososie zdają się aż do 4—6 tygodni żadnego pożywienia nie potrzebować.

Z wprowadzeniem obcych ryb do **Europy**, mało jeszcze czyniono doświadczeń, chociaż wszystkie się powiodły; sztucznym zapładnianiem możnaby, jak autor sądzi, nasze rzeki, strumienie i jeziora najwyborniejszymi gatunkami obcych krajów pozarybiać. **Gniazdor** (le gourami, *Osphromenus olfax*), ryba **Chińska**, przeniesiona została najprzód na **Ile de France**, a potem do **Kajenny**; znajome u nas złote rybki (*Cyprinus auratus*) również z **Chin** pochodzą, a i karp' zwyczajny po całej **Europie** dziś rozpostarty, **Persy** zapewne miał za pierwotną ojczyznę. Z południowych

Niemiec przeszedł on w średnich wiekach do Prus, i dopiero w wieku XVI do Anglii i Danii, a jeszcze później do Szwecyi i Rossyi, gdzie nigdy nie dochodzi swojej właściwej wielkości, ale z resztą bardzo dobrze zimę znosi.

Doświadczenie nauczyło, że wypróżniony i z wielkich ryb ogołocony staw, najmniej trzech lat wymaga, ażeby się na nowo zarybił; z tego powodu doradza autor założenie takiego stawu, któryby na czworo się dzielił. Oddział pierwszy byłby podług niego przeznaczony na zupełnie młode, sztuczném zapładnianiem wywiedzione ryby; oddział drugi zajmowałyby roczne, trzeci dwuletnie, ostatni trzyletnie ryby. Kiedy przyjdzie do wypróżnienia ostatniego oddziału i ryby z niego wybierze, otworzy się oddział następny, i ryby jego przepędzi w opróżniony, w którym aż do ostatniego roku pobędą; jednocześnie ryby drugiego oddziału do trzeciego, ryby zaś z pierwszego w drugi; poczem pierwszy w przyzwoitym czasie zarybi się nowém potomstwem. Na boku dane sadze, mogłyby służyć do przechowywania ryb każdego wieku. Autor sądzi, że na ten sposób urządzone ryb hodowanie, przynosiłoby wielkie korzyści. (*Fror. Not.* 1849, nr. 176.).

* Wspomniany już wyżej dr. Warwick, odwiedzając dnia jednego w zwierzyńcu w Durham ryby utrzymywane tam w rezerwoarze, świadkiem był następującego wypadku: Szczupak około 6 funtów ważący, odskoczył za zbliżeniem się jego, tak gwałtownie ku żelaznej antabie przyrządu nastawionego dla zapobieżenia ryb kradzieży, że znacznie czaszkę sobie skaleczył; puścił się ze straszliwym impetem w głąbią, ażeby zranioną głowę w szlam zanurzyć, wzbił się i zakrążył szalenie dokoła, a nakoniec na ląd się cisnął. Dr. Warwick przystąpił do niego, obejrzał jego ranę i wyglądającą z niej część mózgu na swoje miejsce popchnął. Ryba przez niejaki czas spokojnie się zachowała, pływała potem w wodzie dokoła, niedługo jednak znowu na ląd wypadła, co się kilka razy jeszcze powtórzyło. Lekarz opatrzył wreszcie kompresem ranę, a ryba została w wodzie. Kiedy nazajutrz rezerwoar odwiedzał, szczupak wyszedł do

niego, wyciągnął się na brzeg, głowę mu kładąc na nogę. Lekarz obejrzał ranę i chędził potem wkoło stawu tam i napowrót, a ryba wszędzie za nim płynęła. Następnego poranku odwiedził on znowu swego pacyenta; szczupak wypłynął na jego zaświstanie i jadt z jego ręki, jakkolwiek względem innych osób pozostaje tak lękliwym jak każda ryba. Okoliczność, że na jego zaświstanie wypływał, dowodzi, że ryby słyszą. Szczupak ten na skaleczonój stronie ośleplł. (Id nr. 187 z *The Annals and Mag. of nat. hist.* Jan 1849).

* Podług Blançharda układ nerwowy u zwierząt bezkręgowych, jest jak i u kręgowych dwojaki: składa się bowiem z części należącój do życia zwierzęcego, i z przeznaczonój dla życia organicznego, którój badanie u zwierząt drobnych jest nader trudném. Porównywając jedną tylko część organicznego przyrządu nerwowego u rozmaitych zwierząt, otrzymujemy różnice nieznacne; ale gdy porównamy całość, okażą się odmiennosci ważne. Układ nerwowy zwierzęcy daje, podług Blanszarda, wyborne cechy dla grup całych, które niekiedy kilka gromad łączą; gdy tymczasem układ nerwowy organiczny dostarcza nadewszystko różnic dla gromad i rzędów. Rozmaite stopnie ześrodkowania się zwierzęcego układu nerwowego, dają zarazem dobre cechy pokrewieństw. Zbadanie tych części dozwała prócz tego dokładnie oznaczyć wagę lub nieważność dotychczasowych grup zoologicznych; słowem nerwowy układ jest najtrafniejszym środkiem do dojścia naturalnego podziału zwierząt. (Ib. nr. 189, z *L'Institut* nr. 781, 1848).

* Pod skrzelami homara (*Homarus vulgaris*) żyje zawrybka (*Lernaea*), która z prawego i lewego boku ma skrzydełkowate przysadki, a pomiędzy niemi dwa długie worki z jajami; głowa i kadłub tego zwierzęcia są ledwie widocznemi. Wszystkie zwierzęta mają płec jedną. Audouin i Milne Edwards, którzy samice tylko znali, nazwali to zwierzę *Nicthoë*.

Powiodło się professorowi J. van Beneden dostać te małe jeszcze znane stworzenia, w bardzo rozmaitym wieku i żywe, a przeto różne koleje ich rozwijania się uważać.

Opisanie tych postrzeżeń podał on do 11 zeszytu pisma pod tyt. *Bulletin de l'Acad. roy. etc. de Belgique*, z r. 1848.

Samiec tego osobliwego pasorzyta, znaleziony przez autora, żyje wolno na tych miejscach wybrzeża, na których się homary utrzymują; jego całkiem odmienny kształt zastosowany jest do szybkości jego poruszeń; i tu samiec jest jak u wszystkich zawrybek, tak mały, że mógłby poczytanym być za pasorzyta swojej własnej samicy.

Zaczynając autor śledzenia od epoki, w której jaje tego czerwia zmianom rozwijania się ulega, postrzegł niezgodność między zdaniem fizyologów co do celu tych zmian w jaju i zależności pomiędzy niemi.

Podług Reicherta, w środkowym punkcie żółtka, zaraz wtedy, kiedy się na nim brzozy tworzyć zaczynają i bezpośrednio po zapłodnieniu, powstaje jedyne przezroczyste jądro, które wkrótce potem znowu znika; poczem żółtek rozdziela się na dwie równe połowy, a w każdej z nich ukazuje się znowu białe jądro; żółtek dzieli się następnie na cztery, później na ośm części i t. d. W środku każdego z tych odcinków kuli żółtka wój, jawi się znowu białe jądro, póki i to pierwszego wejrzenia swojego nie przyjmie. Jądro, podług Reicherta, nie ma na sobie błony; nie sprawiło ono podziału, lecz skutkiem podziału wynikło; przeciwnie każdy odcinek żółtka otoczony jest osobną błoną.

Podług Köllikera tworzą się przegrody, które żółtek dzieli coraz głębiej postępując; białe jądro już przed dzieleciem się jest obecne; skłania ono kulki żółtka do skupiania się wkoło niego; to przezroczyste jądro jest prawdziwem jądrem komórkowem, otoczonem właściwą błoną, kiedy odcinki nie mają błony. Z początku, tworzy się także w środkowym punkcie jaja białe jądro, wokoło którego układają się białe kulki żółtka; jądro to przez endogeniczne powstawanie komórek, tworzy dwa nowe jądra; kulki żółtka, które się wokoło nich rozdziela, tworzą teraz jeden żółtek ze dwoma odcinkami. Każde z tych jąder dzieli się znowu ze swojej strony; kulki żółtka szykują się wokoło jąder no-

wo-wynikłych i t. d. aż do utworzenia się pierwszego początku embryona.

Z tego wynika, podług autora, pytanie czy białe jądro poprzedza uformowanie się kuli żółtkowej (*bosselure*), czy też po niej następuje; powtóre, czy jądro powołuje żółtek do skupiania się wokóło niego, czy też jest utworem dzielenia się żółtka?

Podług mniemania autora, jądro nie poprzedza tworzenia się żółtka; zjawia się raczej dopiero po utworzeniu się odcinków żółtka. Białe jądro, czyli jądra żółtka nie zdają mu się zatém odpowiadać jądom komórek, i nie sądzi, ażeby dla rozwijania się ważnemi były, owszem, grają one podług niego bardzo podrzędną rolę. Uważając pierwsze zjawiska rozwijaniu się towarzyszące, postrzeżemy, że żółtek gęstnieje, i staje się tym gęściejszy, im dalej brózdy na nim zachodzą; ze stanu płynnego przeszedł on do stanu skórkowatości na powierzchni; nastąpiło odłączenie się: część płynna oddzieliła się, ażeby środkowy punkt każdej kulki zajmą; tento płyn jest jądrem, o którym mówimy. W miarę jak żółtek dzieli się na odcinki i w téj samej chwili w której powstawanie brózd zaczyna się, wynikają wewnątrz a niekiedy i zewnątrz jedna lub więcej kropelek płynu, które się rozciągają na zewnątrz w białko, jeśli się to znajduje. Autor mniema, że właśnie to zjawisko jest owemi przezroczystymi pęcherzykami, o których autorowie pisali, jako o wychodzących z żółtka.

Oddawna te pęcherzyki znano, nie wiedząc ich znaczenia; widziano je u zwierząt rozmaitych gromad, ale nikt, o ile autorowi wiadomo, nie dochodził jeszcze ich początku, nie badał co znaczą.

Pęcherzyki te zjawiają się zaraz z początkiem powstawania brózd; w późniejszym czasie następuje, jak się samo przez się rozumie, ztężenie i ztwardnienie powierzchni żółtka; płyn, który z początku mógł uchodzić na zewnątrz, party jest teraz na wewnątrz, ku środkowemu punktowi każdego odcinka. Nawet to objaśnienie jest w zgodności z dziele-

niem się białych jąder, które kulkom i kolejnemu ich dzieleniu się odpowiadają.

Autor mniema dalej, że te komórki które tworzą kulki, z początku żadnej nie mają błony; inaczéj rzeczone kropelki płynu nie mogłyby dostawać się do białka. Kulki mogą się według niego, podobnie jak i komórki, bez właściwéj błony zewnętrznej tworzyć.

A więc autor mniema, że białe jądro, zamiast być przyczyną dzielenia się żółtka, jest przeciwnie wypadkiem jego; że to jądro nie ma osobnej błony; że białe pęcherzyki które w białko przechodzą, równie jak środkowe jądra kulek, są wyrobem twardej żółtka, są nie czém inném, tylko przezroczystymi kropelkami, które na zewnątrz wystąpić mogą.

Embryon z rodz. *Nicthoë*, do którego autor się wraca, nie przechodzi jakby spodziewać się należało, przez te same koleje rozwijania się, co i inne zawrybki. Historia jego rozwijania się nie ta jest wcale, co w rodzajach: *Cyclops*, *Ergasilus*, *Achteres*, *Lernaea* i *Tracheliastes*.

W okresie życia wolnego zwierzę ma, jak oczliki (*Cyclops*), jedno tylko oko, gdy w stanie wyrosłym uzyskuje dwa oddalone od siebie, co u zawrybek jest wyjątkiem. Przysadki w obudwu głównych okrésach życia mało są odmienne; z przodu widać u pyszczka trzy pary nówek żerowych, a oprócz tego cztery pary nóg dwuramiennych. Ostatnie leżą pod odwłokiem, a to przeciwko dotychczasowemu mniemaniu, tuż przy sobie i w równych odległościach od siebie.

Rzadko który homar nie wyżywia kilku tych pasorzytów. (*F. N.* 1849, nr. 187).

* Jajecznik u grzépika (*Cypris*), zdaje się, jak uważa Lereboullet, objaśniać nieco powstawanie jaja. Jajecznik ten, podwójny i symetryczny, tworzy ciągnącą się przez całą długość ciała ponad kanałem pokarmowym, i ślepo zakończoną sakwę. Obiedwie sakwy, złożone z bardzo cienkiej błony, wypełniają pospolicie jaja w bardzo rozmaitym stopniu rozwinięcia. Koniec ślepy, początek jajeczніка, cał-

kiem jest zatkany masą z pierwiastkowych ziareczek najostateczniejszej delikatności. W massie téj spoczywają rozosobnione, drobne, przezroczyste pęcherzyki, opatrzone nieprzezroczystém, stosunkowo bardzo rozwiniętém jądrem. Nieco dalej ku tyłowi, mniej jest ziarnistój massy; ale za to pęcherzyki z jądrem stają się coraz liczniejsze i wyraźniejsze. Jeszcze dalej ku tyłowi widać inne pęcherzyki, trzy lub cztery razy większe: każdy z tych otacza ze swojej strony pęcherzyk, który wielkością odpowiada zwykle dopiero wspomnianym. Wielkie pęcherzyki tworzą odtąd gotowe jaja; składają się one z żółtkowej kuli całkiem jeszcze przezroczystej, jeszcze żadnego śladu właściwego żółtka nie zawierającej, z pęcherzyka zarodkowego, i z zarodkowego znamienia. Pierwiastkowe zatém ziareczka zdają się być zasadniczym materiałem, z którego się małe pęcherzyki ukształcają; potem zdaje się jaje, przed całkowitým rozwinięciem się swoim występować, jako zarodkowy pęcherzyk. Wagner ukazał to samo na wielu owadach (*Acheta campestris* i *Agrion virgo*). Ostatnie, blisko ujścia jajecznika leżące jaja są u grzępików eliptyczne; znajdujące się tu ziarenka żółtka zdają się rozwijać od obwodu do środka; u większej ich części widać wkoło pęcherzyka zarodkowego, przezroczyste, zupełnie od ziarek żółtkowych wolne pole. Pęcherzyk zarodkowy jest jasny i przezroczysty. Jedno z tych jaj miało długości 0,09 milim., szerokości 0,07; jego pęcherzyk zarodkowy wynosił 0,02 milim., a zarodkowe znamię 0,007 milim. Preparat włożony był na niejaki czas w karminem zafarbowaną wodę; jaje pozostało bezkolorowém, podczas gdy zarodkowy pęcherzyk żywo czerwonej farby nabył. (*Ib.* nr. 180, z *L'Institut*, nr. 773, 1848).

* Lereboullet, *Krążenie u czerwiów z rodz. Limnadia i Daphnia*. Serce u czerwiów z rodz. *Limnadia*, jestto długie, przez trzecią część całego ciągu wkoło siebie zagięte a ku końcowi zwężone naczynie, którego część przednia bardzo jest szeroka, tylna zaś wrzecionowata. Serce to ma na górnej stronie 5 otworów, przedstawiających się jak poprzeczne szpary, i opatrzonych fałdami kształtu kłapek,

wewnątrz rury wchodzącemi. Trzy tylne otwory leżą w jednakowym między sobą oddaleniu; pomiędzy dwoma przednimi odległość jest większa. Przy podstawie każdego z tych otworków poprzecznych, leży bardzo cienka włóknien wiązka, umocowana z jednej strony przy brzegu otworu, z drugiej blisko skorupy. Te wiązki włókien, które u owadów pod nazwiskiem *skrzydelka sercowego* opisane zostały, zdają się autorowi do rozszerzania otworów służyć. Przezroczystość ciała dozwala widzieć krwi kulki; są one kulistemi, niemierzytelnego kształtu i rozmiaru, rogate czyli z garbami, przezroczyste; wielkości w średnicy 0,002 do 0,003 milimetra.

Krążenie odbywa się w skorupiastem pokryciu; ażeby je widzieć, dosyć jest część skorupy, nad ciało i nogi wystającą, oświeciwszy ją od spodu, pilnie uważać, a natychmiast spostrzeże się w układzie jam skorupy, jak kuleczki krwi coraz dalej idą. Obieg krwi nie odbywa się po linii prostej, ale raczej węzowato czyli w zygzak tu i owdzie się rozchodzi. Skorupa więc zdaje się być złożoną ze dwóch blaszek, które w bardzo wielu punktach połączone są z sobą i pomiędzy którymi znajdują się odstępy, zupełnie jak w przyskrzelowych blaszkach u wielu czerwiów. Kulki krwi zstępują w dolnej części ciała nad wolnym brzegiem skorupy, i zaraz potem rozłączają się na dwa kierunki: jeden strumień idzie do przedniego, drugi do tylnego końca serca. Przy grzbietowej części skorupy widać dwa główne, ku sobie zwrócone strumienie; doszedłszy one do środkowego otworu w sercu, zwracają się nagle na bok, i połączone wpadają do serca. Krążenia w przyskrzelowych nóżkach nie mógł autor dosyć wyraźnie widzieć: zdawało mu się, że są dwa naprzeciw siebie biegnące strumienie.

Uderzenia serca są podług indywiduów szybsze lub powolniejsze: w średnim odbywają się 130 do 150 razy na minutę, niekiedy wszakże 170 razy. Podczas rozszerzeń się serca, fałdowate klapy otworów rozchodzą się, a zamykają się w czasie ściśnięć serca. To odstępowe krążenie

wewnątrz skorupy (1), stanowi ważną różnicę pomiędzy skorupą czerwiów z rodz. *Limnadia*, a skorupą również dwuściennych małżów.

I rozwielitki (*Daphnia*) mają wewnątrz ścian swojej skorupy odstępowe krążenie. U gatunku *Daphnia longispina* widać jak krwi kulki aż w cierniowate przedłużenie skorupy wpadają i znowu powracają. Serce jest tylko krótkie, rozdęte i ellipsoidalne; ma ono na swojej stronie grzbietowej jedyny tylko, na środku leżący otwór, który zresztą jest zupełnie taki, jaki dopiero w rodz. *Limnadia* opisaliśmy. Serce uderza więcej niż 200 razy na minutę. Na grzbiecie są dwa naprzeciw siebie leżące strumienie, które się przy sercu spływają. Autor nieraz widział jak kulki krwi, mianowicie gdy krążenie powolniejszém się stawało, wchodziły przez szparę z klapą do serca. Przebieg ich był przerywany; w małej odległości od otworu zatrzymywał się on na chwilę, poczem kulki zwolna wślizgały się w serce; lecz zaledwie dosięgły jego wydrążenia, zostawały gwałtownie dalej porywane i uchodziły wzroku.

Zdaje się że podobne szpary z klapami są przy sercu wszystkich niższych czerwiów; autor postrzegał je także u stonogów w jajach jeszcze zamkniętych, albo u tak młodych że są przezroczystymi. W dosyć daleko posuniętym stanie embryonalnym u tych zwierząt, serce jest przezroczystym naczyniem, w okolicy grzbietu leżącym; po bokach tego naczynia ukazują się w stałych odległościach poprzeczne szpary kształtu dziurki od guzika, których wargi za każdym uderzeniem serca otwierają się i znowu zamykają; autor liczył 4 takie otwory: ostatni z nich leżał w okolicy drugiego albo trzeciego pierścienia odwłokowego, a najpierwszy odpowiadał czwartemu pierścieniowi tułowiu. Kulki krwi płynęły od tylnej części ciała, przez ostatni otwór w sercu, do serca; uderzenia ostatniego powtarzały się 120 do 140

(1) Odstępowe czyli rozlewowe krążenie, to jest uskuteczniająca się nie przez naczynia, tylko przez wydrążenia czyli czczości (*lacunes*) w ciele, objaśnione jest w Bibl. Warsz. z r. z. tom I, str. 669.

razy na minutę. U młodych stonogów można, niżeli się skorupa pigmentem wypełni, bardzo dobrze tylny otwór z klapą rozeznąć. Inne materya kiszki zapelniająca niewidocznymi czyni.

W końcu wzmiankuje autor jeszcze o podobności tych klapami opatrzonych szpar, z otworami które ukazał Verloren w sercu owadów.

Z artykułem tym trafnie się wiąże uwaga naszego autora, w tymże numerze pisma *Institut* zamieszczona, o oddychaniu niektórych czerwiów przez otwór odchodowy. U małych, tylko co z jaj wyklutych raczków, widział autor jak obiedwie klapy odchodkowe wykonywały poruszenia rytmiczne; powkładał on zwierzątka w wodę zafarbowaną karminem i ujrzał za pomocą lupy, jak cząstki karminu wchodziły w kiszkę odchodową, dla dosięgania tam pewnego stałego miejsca, z którego znowu napowrót wypędzane były. Na jedną minutę odbywało się 15 do 17 wetchnieniowych poruszeń. Za pomocą mikroskopu postrzegał on w bliskości kiszki, bardzo żwawy ruch krwi kuleczek.

Zupełnie to samo widział autor u Limnadyi i rozmaitych gatunków rozwielitek: u pierwszej zamyka się i otwiera odchodek 25, 30 do 40 razy na minutę; poruszenia te uskuteczniają się w zupełnie równych czasu przedziałach; nie zachodzą żadne przestanki, jak to przy pozbywaniu się wyrzutów bywa. U rozwielitek to samo poruszenie oddechowe, było również widoczne; powtarzało się ono 40 razy na minutę. (*Id. no. 176 z L'Institut nr. 773, 1849*).

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1849.

WARSZAWA.

43. Przewodnik praktyczny do pisania prośb i listów urzędowych i prywatnych w języku rosyjskim, z dołączeniem: Postanowień odnoszących się do każdego rodzaju pism urzędowych, wzór różnych pism, listów handlowych prywatnych i t. p., oraz nowo-zebranych wyrazów, służących za dodatek do słownika polsko-rosyjskiego administracyjnego i sądowego, i tłumaczenie wyrazów rosyjskich na polskie, w tymże słowniku zawartych, przez P. Dubrowskiego. 8ka. Warszawa. 1849. Nakładem J. Bernsteina, druk St. Strąbskiego. Kart 4, i str. 120. Złp. 3 gr. 10.

WILNO.

44. Trzy dni poświęcone Bogu, na przypomnienie obowiązków czci naszej i chwały powinnej Jemu, gotując się do spowiedzi Wielkanocnej. Dla użytku uczącej się młodzieży i ludzi pobożnych, przez ks. Wincentego Piotra Podlewskiego S. P. 8ka. Wilno. 1849. Nakład i druk Zawadzkiego. Str. 380. Złp. 8.

45. Żydzi. Komedia we 4 aktach, przez Józefa Korzeniowskiego. Wydanie nowe, poprawne. Z godłem :

Kiedy o stół uderzają, nie bierz siebie za nożyce i nie odzywaj się.

Anonim.

12ka, Wilno, 1849. Nakład i druk Zawadzkiego. Str. 152. Złp. 5.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Pisma zbiorowego p. n. „Album Literackie” pod redakcją K. Wł. Wojcickiego, tom IIgi wyszedł z pod prasy.

W miesiącu czerwcu r. b. ogłoszony został w Cieszynie prospekt na pismo czasowe polskie, pod nazwą: „Tygodnik Cieszyński, pismo poświęcone rzeczom naukowym, przemysłowym i gospodarskim.” Pismo to zawierać będzie, stosownie do nazwy swojej: 1) *Rozprawy naukowe*, jakoto: z historii, z wiadomości przyrodzonych, obyczajowe, oraz zabawno-pouczające; 2) *rozprawy przemysłowe*, tyżące się rzemiosł, wynalazków, sztuk, handlu, targu i t. p.; 3) *rozprawy gospodarskie* o rolnictwie, ogrodnictwie, hodowaniu bydła i t. p. Wychodzić będzie na półarkuszu, w sobotę, trzy razy na miesiąc. Przedpłata wynosi całorocznie 1 złr. 40 kr. m. k.; półrocznie 50 kr. m. k., kwartalnie 25 kr. m. k. P. Stalmach jest odpowiedzialnym redaktorem.

(Nadesłano).

Athenaeum, rok 1849. Wydanie kosztem redakcyi u J. Zawadzkiego.

„Przez wzgląd dla dawnego wydawcy Teofila Glücksberga, wstrzymywaliśmy się dotąd z ogłoszeniem nowego na Athenaeum prospektu; dziś przekonywając się z listów jego, że wbrew przyrzeczeniom zamysła pismo zbiorowe wydawać, upatrując w tém dla siebie większe korzyści, cieszym się, że zupełnie swobodni, dalszy ciąg przez lat już kilka kierowanego przez nas pisma, wydawać będziemy niezależnie od nikogo”.

„Spieszym więc donieść tym, którzy się łaskawie zbiorem naszym zajmują, iż pismo to wychodzić nie przestaje w roku bieżącym; owszem, z nową i podwojoną gorliwością redagowane, odrodzi się pełniejsze życia. Dwa dotąd czyniono zarzuty pismu temu: niedość surowości w doborze artykułów, i nadzwyczajna ilość omyłek, które zdawały się być naumyślnie natłoczone, aby wszelką zbiorowi temu odjąć wartość. Co do ostatniego, nieustanne nalegania nasze na wydawcę, nic nigdy nie pomogły; znana niedbałość oficyny tej zdaje się być nieuleczoną, nam samym zająć się korektą o mil siedmdziesiąt nie było podobna, w Wilnie zaś pracowano usilnie, aby każdy tom wychodzący, był bogaciej uposażony w najgrubsze omyłki”.

„Niech więc Bóg błogosławi nowemu pismu, które p. Glücksberg wydawać myśli i secinom omyłek jego! My zwrócim się do znanej u nas z sumienności drukarni, która staranna o sławę swoją, nie niepoprawnego zpod pras nie wypuszcza.

„Co się tyczy wewnętrznego składu Athenaeum, zaręczyc możemy, że nigdy pracowiciej redagowane nie było i z większą ofiarą ze strony redakcyi. Wszystkie odtąd nowe powieści redaktora, ukazywać się będą naprzód w Athenaeum, a oprócz tego dobor innych artykułów, będzie jak najstaranniejszy i najsurowszy”.

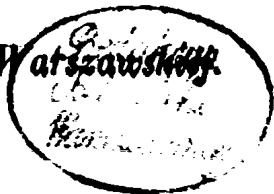
„Spodziewamy się także po dawnych współpracownikach naszych, że nas nie odstąpią w trudniejszym dziś przedsięwzięciu, i zachęcą do wytrwałości. Odzywamy się téż do kolektorów i życzliwych osób, prosząc ich o łaskawą pomoc w imieniu użyteczności, jaką pismo nasze mieć może”.

„Ogłaszane współzawodnicze pisma zbiorowe, które Athenaeum zastąpić zażądały, witamy szczerem, braterskiem uczuciem; nie obawiamy się współubiegania i nie zajrzym im powodzenia. Kilkoletnia próba nauczyła nas dostatecznie, z jaką trudnościami połączone jest wydawanie pisma zbiorowego, nawet już po przełamaniu pierwszych lodów; zyczym więc nowym wydawcom wiele wytrwałości, cierpliwości, stałości—i jak najmniej omyłek druku.—Nowość może zwabić do nich na chwilę ciekawych, co zawsze gotowi się pokarmić lepiej czémś nowem; niechże pracują, aby po chwilowem zajęciu nowością, nie zostali opuszczeni i porzuceni sami wśród drogi. Co do nas, pójdziemy póki sił stanie powoli a nie ustając do zamierzonego celu. A kto łaskaw, prosim z nami”.

Hubin, d. 5 kwietnia 1849 r.

J. I. Kraszewski.

— — — — —
Redakcyą Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Czerwiec 1849.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.114	27	8.080
Najwyżej dochodził — d. 4 o g. 10 r.	758.10	23	0.062
Najniżej — — d. 9 o g. 4 w.	738.64	27	3.440
Średnia zmiana dzienna barometru	3.52		1.56
Największa zmiana dzienna barometru d. 17—18 o g. 10 w.	12.82		5.68
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	0.360		0.164
Średnia temperatura Czerwca wynosi: +	748.754	27	7.919
i ta jest niższą o	16.41 C.	+	13.13 R.
od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	1.20 „		0.96 „
Największe ciepło dochodziło d. 5 o g. 4 w.	+ 17.61 „	+	14.09 „
Najniższe d. 23 o g. 10 w.	+ 29.2 „	+	23.4 „
(Termometrometrograf wskazał:	+ 8.2 „	+	6.6 „
Maximum: + 26.°0 R. d. 5 po poł.			
Minimum: + 4.°3 R. d. 30 z rana.			
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.58 „		2.86 „
Największa zmiana dzien. d. 17—18 o g. 4 w.	9.9 „		7.9 „

Średnia wilgotność miesięczna wynosi: 66,4 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 9.37 gramów pary wodnej, na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 4 setne mniejsza jak w stanie normalnym.

Wody z deszczu spadło wysoko na 43.3 millim. czyli 19.19 linii paryz., t. j. o 8 blisko lin. par. mniej jak zwykle.

Dni pogodnych było 6; napółpogodnych 16; pochmurnych 8.

— deszczu 8 (d. 3, 6, 11, 12, 17, 20, 25, 28).

— gradu 1 (d. 6).

— grzmotów 3 (d. 6, 11, 17).

Wiatr panujący Zachodni.

Wichrów 5, t. j. Pn=1; Z=3; PnZ=1.

Czerwiec r. b. był suchy, dosyć pogodny, chłodniejszy blisko o 1 stop. R. jak zwykle. Piérwsze siedm dni były gorące, druga połowa miesiąca chłodna. D. 5, 6 i 17 po południu, ciepło dochodziło do 26 stop. R.; przeciwnie d. 23 i 30 z rana, termometr zaledwo 4 stopnie R. wskazywał. D. 6 i 17 były silne grzmoty i błyskawice, połączone z deszczem ulewnym. Przez dzień prawie cały 22 trwał wicher Zachodni. Najcieplejsze dni były 1, 2, 3, 5, 6, 16, 17. Najchłodniejsze d. 9, 10, 12, 14, 20, 21, 23, 25, 29, 30.

D. 5 w wieczór księżyc otoczony był atmosferą świetną.

D. 8 o godz. 8 w. widziano słońca boczne.

D. 11 koło białe otaczało słońce.

PODHAŁE I PÓLNOČNA POCHYŁOŚĆ TATRÓW

CZYLI

TATRY POLSKIE.

PRZEZ

Ludwika Lejznera.

(Dalszy ciąg).

Zielony Staw. Już o czwartéj z rana powstaliśmy z naszego łoża, urządzonego przy ognisku na ławie, okrytéj gałązkami świerczyny, spiesząc do Zielonego Stawu. W wąziéj, podłużnéj dolinie, zwanéj Ku-Jaworom, ciągnie się ten staw, podobnéj postaci co dolina, około 400 kroków długi, a 80 szeroki, w środku nieco ściągnięty. Nazwa ta pochodzi od jego cudnie pięknej, zielonéj wody, na obwodzie czerwonawéj, co ztąd pochodzi, że w miejscach płytkich, mała warstwa wody okrywa rude głązy granitu. Jezioro to leży już nad granicą drzew, na wysokości 4976 stóp; ale świeża zieloność kosodrzewiny, okrywającéj boki grzbietów, odejmuje dzikość temu obrazowi. Na przeciwnéj, wschodniéj stronie, wznosi się nad tą ciasną doliną po-

teżny wirch, zwany Nad-Zielonym, a za nim jeszcze wyższy, **Krzyzna**. Zachodni bok nieco niższy, nosi w końcu północnym nazwę Żółtej turni, od kanarkowo-żółtego liszajca, zwanego od botaników *Lecidea Wahlenbergii*, powlekającego gładkie ściany czerwonego piaskowca.

Dolina Zielonego Stawu dotyka grzbietu łańcucha Tatrów, na którym sterczą liczne słupy granitowe, podobne zdala do stojących ludzi; i dlatego nazywają je *chłopkami*. Pod samym grzbietem, powyżej pagórka zwanego **Kopka**, około 500 stóp wysokiego, jest jeszcze drugi maleńki staw, z którego spadają wody do Zielonego-Stawu.

Czarny Staw. Przeszedłszy przez znany nam grzbiet Żółta turnia, w szerszej nieco i podłużnej dolinie, jest nierównie większe, także podługowate jezioro, zwane Czarny Staw, prawie na téjże wysokości co poprzednie, t. j. na 4888 stóp wzniesione. Nazwa jego pochodzi od ciemno-niebieskiej powierzchni wód, wydających się przy zaoblczoném niebie zupełnie czarno. Wejrzenie na to jezioro, które zajmuje $\frac{1}{8}$ mili kwadratowej przestrzeni, jest ponure, chociaż nie bez wdzięku. Ze środka tego ciemnego zwierciadła, sterczy kupa kamieni, nieco trawą obrosłych, jakoby dla przypomnienia, że i tutaj życie nie wygasło do szczytu. Boki otaczające to jezioro, strome, skaliste, mają charakter wielkości; tylko od południa oddalony grzbiet, widocznie niższy jest od boków.

Jakby na wysokim progu, bo około 800 stóp wyżej, opowiadano, że się znajduje inne jezioro, zwane Do-Zmarłego. Kiedym d. 4 sierpnia 1839 roku tam wstąpił, nie zastałem ani śladu wody, tylko niezmierną

przestrzeń lejkowatą, zagłębioną, okrytą bryłami granitu znaczniejszych wymiarów, a w samym zagłębieniu płat śniegu, mocno poczerniały. Tu mógłby znaleźć poeta obraz zniszczenia w całym znaczeniu martwój natury, gdzie ani śladu niema żyjącego jestestwa, tylko zimne glazy. Takie widoki przyrody, chociaż przez się niepełne, ze wszech miar są ciekawe; albowiem i najbujniejsza wyobraźnia nie może sobie wystawić nic okropniejszego, większego, nad te piękności ujemne, że się tak wyrażę.

Stawy Gąsienicowe. W następnej dolinie, nierównie rozleglejszój od wszystkich dotąd opisanych, na zachód, leżą stawy Gąsienicowe, tak nazwane od soltysów Gąsieniców, licznie rozrodzonych we wsi Zakopane. Po owych ciasnych, leśnych dolinach, chętnie spoczywa wzrok na obszernój przestrzeni, na której leżą cztery średniej wielkości jeziora. Widok na tę dolinę jest równie dziki jak malowny; odznacza się różnaitością i wielkością otaczających ją wirchów. Najcelniejszy z nich jest Swinnica, z której wysuwa się ku północy potężny grzbiet, zwany Kościelec. Od Swinnicy ku zachodowi, zniża się widocznie sam łańcuch Tatrowy, i z niego wyskakują pojedyncze szczyty, mianowicie: Pośrednia i Skrajna Turnia, Bieskid i Czuba, z której ciągnie się ku północy bok, bez odznaczających się zarysów.

Na pierwszy rzut oka widać, że cztery stawy Gąsienicowe, nie leżą na jednej płaszczyźnie. Dwa bliższe głównego grzbietu, wznoszą się kilkadziesiąt stóp wyżej nad dwoma niższymi, łącząc się pięknymi wodospadami. Dwa pierwsze nazywają się: Suczy staw i Kurtkowiec; dwa drugie: Roztoki i Zielony staw. Naj-

obszerniejszy i najgłębszy jest Suczy, pod górą Bieskid, w stronie południowo-zachodniej doliny. Wody jego szmaragdowej zieloności, zaledwie na Śty Jan pozbywają się lodów. Kiedym go zwiedzał w d. 22 czerwca 1838 roku, w dwóch trzecich był jeszcze zamarzły.

O powstaniu téj nazwy, tak opowiadał mi przewodnik: „Juhasy z szalasu Gąsienicowego, mieli bardzo niedobrą sukę; nie tylko nie chodziła za owcami, ale ustawicznie je kaleczyła. Chcąc się pozbyć tego szkodnika, utopili ją w stawie. Po kilku dniach, mój pradziad, ciągnął dalej przewodnik, poszedł z czarownikami szukać złota do doliny Kasprowej, w potężnym źródle, zwaném Dziura za polaną. Właśnie była chwila, iż woda nie płynęła z niego. Nie zważając na ciemności, weszli do owej Dziury; na wstępie znaleźli wielki młot żelazny, ważący 20 funtów i owę sukę, przed kilkoma dniami do stawu wrzuconą, która tu wypłynęła podziemnymi kanałami, ciągnącemi się do rzezonego stawu. Gdy się dalej posuwali, zaczęła wzbierać woda, i trzeba było z życiem uchodzić, nie myśląc o złocie”.

Staw Kurtkowiec, o połowę mniejszy od Suczego, leży na wschód, pod ogromną Swinnicą. Nad nim wśród brył granitu, są jeszcze dwa małe, okrągłe stawki, okazujące się dopiero po wstąpieniu na jeden z boków. Z góry świecą się mocno te wody, jakby czarne oczy. W tém podobieństwie szukać należy bez wątpienia początku powieści o morskich oczach.

Bezpośrednio nad temi stawkami, rozpościera się potężna masa śniegu, zasilająca wodą w miesiącach letnich Gąsienicowe stawy. Bok granitowy powyżej Kurtkowca, ma ściany wygładzone, jakby były wypolerowane. Płynące wody nie mogły tego w żaden

sposób zrobić, ponieważ bardzo blisko sterczą wysokie ściany, a z nich spadające wody, nie byłyby w stanie wygładzić tak twardej skały. Inna musi być tego przyczyna. Wyżej, aż prawie do samego szczytu Swinicy, leży potężny płat bielejącego się śniegu, zajmujący przestrzeń przeszło $\frac{1}{4}$ mili kwadratowej. Zkąd tylko widać tę górę, tam się świeci i ową białą plamą. Wszelkie jest zatem prawdopodobieństwo, że to wygładzenie sprawiły śniegi, posuwające się z góry na dół, a które były rozpostarte kiedyś na nierównie większej przestrzeni, niż teraz. Temu powolnemu processowi winniśmy wygładzenie jednej z najtwardszych skał, jaką jest granit. Co widać w Tatrach w małych wymiarach i nie jest dosyć dowiedzioném, nie ulega wątpliwości w Alpach szwajcarskich i tyrolskich. Wieczne lody, okrywające szczyty tych najwyższych gór europejskich, napozór nieruchome, posuwają się ustawicznie z góry na dół, i w tej drodze gładzą i rysują najtwardsze skały, z którymi się stykają. Chwalebne, pełne mazołu i poświęcenia spostrzeżenia Agassiza, wykonane w Alpach szwajcarskich nad lodnikami, dowiodły tego w niezbity sposób. W tym celu wybudował na jednym z lodników (Glätscher, Glacier) domek, który się co wiosna posuwa na dół, prawie w jednakowej przestrzeni.

Ponizéj Kurtkowca, prawie na końcu góry Kościelec, leży staw Roztoki, podzielony w środku na dwie prawie równe części. Jestto płytkie zagłębienie, w którym się zatrzymują wody w przepływie do Zielonego stawu; jest on znacznie mniejszy od Suczego.

Nad Zielonym stawem stoi wyższy szalas Gąsienicowy, prawie 5,000 stóp wysoko. Do téj dzikiej i skalistej doliny, przybywają owce na Śty Jan, i wtedy wy-

chodzą na najwyższe szczyty; ale często spędzają je śniegi, nagle spadające w najcieplejszej porze roku, które czasem okrywają ziemię warstwą grubą na 2 do 3 stóp. Po śniegach następuje mocny mróz, który staje się nieznośnym, bo ścina wodę w stawach, i niepodobna wytrwać na tych wysokościach. Straszne narzekania szerzą się wtedy na całym Podhalu. Juhasy strwożeni spędzają swoje owce do niższych dolin; gazdowie przypatrząc się zbielełym holom, w których się mieści całe ich bogactwo, załamując ręce, proszą Boga o ciepłe południowe wiatry. Jeden powiew od Węgier, po kilku godzinach gubi jakby siłą czarodziejską śniegi, i zieloność przywraca. Za oziębieniem się powietrza, ginie zarazem pasza, owce tracą mleko, co zwykło trwać dni kilkanaście. Jeżeli życie w holach w czasie pogody jest nader pojętném, pomimo wszelkiego niedostatku, albowiem daje sposobność używania piękności przyrody; to w czasie słońca i śniegu niemało trudnym jest tam pobyt. Aby zaś przezwyciężyć te przeciwności, potrzeba wielkiej siły fizycznej i moralnej; lecz pokonanie ich, stanowi właśnie powab niezrównany.

Ze stawów Gąsienicowych, najwygodniej jest zwiedzić wznoszące się nad niemi szczyty. Na Swinnicę prowadzą dwie drogi: jedna przez Przełęcz Liliowe, nieco dłuższa, ale zato wygodniejsza; druga około płatu śniegu, nader bystro wznosząca się, miejscami nawet niebezpieczna. Wstępując na tę górę, obraliśmy pierwszą. Niezbyt nagle wznosi się ścieżka, którą z Galicyi przechodzą do Węgier ludzie, wiodący zabroniony handel tytuniem. Spojrzawszy z połowy wysokości na dolinę Stawiarską, jeziora wydawały się na jednej płaszczyźnie, i malały coraz bardziej, w miarę, im się wyżej wznosili-

śmy. Przełęcz ta jest wcięciem, czyli siodłem, łączącym dwie przyległe góry: Skrajną Turnią i Bieskid, 5910 stóp wyniesioną. Piękny wyraz *przełęcz*, malujący żywo stosunki geograficzne, godzien jest upowszechnienia. Przełęcz Liliowe otrzymała nazwę od ozdobnego kwiatu żółtego, *Anemone alpina*, *Wildenow*, rosnącego obficie na téj obszernéj równinie, około 300 stóp długiej, a 150 szerokiej.

Dla geologa Przełęcz Liliowe jest nader ciekawém miejscem; granit bowiem długo uważany za pierwotną skałę, spoczywa tu na wapieniu, który także ma za podstawę granit Skrajnej Turni. Jakim sposobem dostały się skały wodnego początku pomiędzy ogniowe, do których należy granit? Aby znaczenie tego zjawiska zrozumiałszém uczynić, sięgnąć wypada do zasad geologii. Wszystkie nierówności naszej ziemi, powstały przez skały ogniowego początku, nazywane pospolicie plutonicznemi; oneto wydzwigiły pasma gór, strome stożki, przebijając różnego rodzaju skały z wód osadzone, lub wystąpiły z obszernych szczelin. Tym sposobem powstał najwyższy grzbiet Tatrowy; z potężnej szczeliny wznosił się granit na wierzch, wydzwignąwszy skały z wód osadzone, miejscami zaś części granitu zwały się na nie.

Że granit nie jest skałą pierwotną, jak to utrzymywali dawni geologowie, ale dopiero wyszedł na wierzch po osadzeniu się wapienia tatrowego, należącego do wierzchnich osadów skorupy ziemskiej, czyli do formacji Jura, niemasz wątpliwości; nietylko na Przełęczy Liliowe spoczywa granit na wapieniu, lecz toż samo widać w dolinie Ciche, na przestrzeni przeszło milę długiej, aż do góry Kondratowa.

Swinnica. Z Przełęczy Liliowe udaliśmy się ścieżką, ciągnącą się na boku południowym Skrajnej i Pośredniej Turni, dwóch znanych nam piramidalnych gór, dotykających skalistego szczytu Swinnicy. Miejscami utrudnia przejście niezmierna ilość wielkich brył granitu, których wody nie mogły osadzić na tych stromych wierzchołkach znakomitej wysokości (Skrajna Turnia wznosi się 6499 stóp nad morze). Innego trzeba więc szukać tłumaczenia. Przy wystąpieniu na wierzch granitu, powierzchnia zetknięta z powietrzem popękała się, a oddzielone bryły w części pospadały na boki, i tak powstało to straszne morze kamienne, przez które z trudnością postępowaliśmy.

Widok na północ z tego wyniosłego grzbietu nader jest okazały; spoglądaliśmy na Gąsienicowe stawy i całą ich dolinę lesistą; Bieskidy wydawały się nam jakoby wielka płaszczyna; dolina Dunajca zupełnie znikła. Z południowej strony jest mniej ponętny obraz: widać tylko same góry, a u stóp ich największą podłużną dolinę, Cichą zwaną; za nią Liptów wydawał się jako mała dolinka. Widnokrąg zamykał potężny grzbiet niższych Tatrów. Patrząc ztąd na Swinnicę, wydawało się prawie niepodobieństwem wstąpić na tę nagą skalę. Boki jej są prawie prostopadłe, a strasznie skaliste; jednakże przewodnik prowadził nas bezpiecznie manowcami, i gdyby niekiedy nietrzeba się było przytrzymywać rękoma, droga byłaby wcale niezła.

Widok ze szczytu tego należy do najdziwniejszych, jakie tylko można sobie wyobrazić. Nie widać nic innego, jak same skaliste wirchy, sam ciemno-szary granit. Na szczycie Swinnicy jest mała płaszczyna, 10 sążni □ obszerna, na której wygodnie można się mieścić obok

barometru, ustawionego na kamiennym kopcu, który pozostał od pomiarów trygonometrycznych Tatrów, wykonanych przez kwatermistrzostwo austryackie. Wyniesienie tego wirchu znalazłem 7,001 stóp. Z nim zaczynają się na wschód najwyższe wirchy, z których pojedyncze wznoszą się do 8,000 stóp, jakoto: Krywań, Łomnicki szczyt. Zachodnie zaś widocznie są niższe, aż do doliny Kościeliskiej, gdzie wyskakuje kilka potężnych wirchów, jakby dla zakończenia pasma. Te środkowe góry Tatrowe, nie są wcale małemi: Bieskid nad Gąsienicowemi stawami wznosi się 6,125, Czuba nad Zakosem 6,031; a jeszcze niższy jest pośredni wirch, nad doliną Goryczkowej, mający 5,661 stóp. Zostając kilka godzin na szczycie Swinnicy, przy zupełnie spokojnym powietrzu, a lekko zaoblaczonym niebie, znajdowałem na nim nadzwyczajnie miłą temperaturę, i nie chciałem wierzyć, że nie przenosiła $+11^{\circ}$ C. czyli niecałe 9° R. To pozorne ciepło sprawiła zagrzana krew, przez kilkogodzinne wstępowanie pod górę.

Napowrót zstępowaliśmy szczybiną do Gąsienicowych stawów, tuż przy owym potężnym, zdala świecącym się płacie śniegu. Powietrze tak blizkie zmarzłej wody, widocznie się ochłodziło. W miarę spuszczenia się, rosił coraz wyżej szczyt Swinnicy; niekiedy od jego ścian odrywały się kawały granitu i z hukiem spadając, przerywały niezmierną ciszę. Północna część doliny stawów Gąsienicowych, zupełnie jest odmienna od téj, na której są stawy. Tu spoczywa oko na obszernych równinach trawiastych, smukłych górach, okrytych zielonością. Zpomiedzy wszystkich odznacza się góra Królowa, swą malowną a miłą postacią. Zpomiedzy krzaków koso-

drzewiny, wstąpiliśmy w krainę leśną, postępując za szumnym Porońcem, który wypływa z Zielonego-Stawu Gąsienicowego. Na boku Koszystej, okrywają znaczne przestrzenie krzaki jarzębiny, niezwyczajnej w Tatrach rośliny; a chociaż wejrzenie mają wesołe, nie wyrastają wszakże w drzewa.

Daliej postępując, otwiera się równina trawiasta w środku lasów, z licznymi szalasami, nazywanymi *Na Porońcu*. Od zachodu wznosi się nad niemi potężny grzbiet, złożony z samych brył granitu, pochodzących z wirchów, sterczących właśnie nad opisanemi stawami. Jakie siły zwały te niezmierne kupy kamieni, warto się zastanowić. Agassiz brałby je bez namysłu za dawne *moreny*, czyli kupy kamieni, złożone w pierwotnych czasach przez posuwające się lodniki (Glaciers), w czasie trwania tak zwanój epoki lodowój, kiedy nierównie obszerniejsze lodniki, okrywające te góry, wały te poznosiły. Tłumaczenie to, wyznać należy, jest wielce prawdopodobném; albowiem wody ani takiej ilości, ani tak znacznych brył zanieśćby nie mogły z tak blizkich przestrzeni, gdyż stawy Gąsienicowe są tylko nieco więcej jak pół mili odległe.

Szalasę krowiarskie na Porońcu odznaczają się większym dostatkim; obejmują kilka długich, pięknych szop i obszerniejsze polanki. Zupełnie odmienny jest tutaj sposób gospodarowania, jak w owczarskich. W pierwszych każdy pilnuje swego; tu zaś jeden rządzi naczelnik i wszystko na jego rozumie polega. W szalasach krowiarskich zebrali się tylko dlatego, żeby sobie dać pomoc przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, a mianowicie przeciw wilkom, przybywającym z gęstych lasów orawskich.

Niéma wątpliwości, że w Tatrach możnaby równie dobre sery sporządzać, jak w Szwajcaryi; wszystkie są tu bowiem ku temu sprzyjające warunki. Krowy pasą się po holach, gdzie rosną wonne, pełne aromatyczności kwiaty, nieznane na równinach; ale liczne okoliczności stoją na przeszkodzie temu nieco wyższemu przemysłowi. Zwyczajnie, jeden gazda ma 3 — 4 krów, najwięcej 10, które żywią cały dom w czasie lata. Rola nie wydaje tyle owsa i ziemniaków, ile potrzeba do utrzymania téj przeludnionej krainy; wyczerpane więc zapasy na przednówku, pospolicie mléko zastępuje. Znaczniejszych właścicieli, posiadających większą liczbę krów, którzyby mogli urzeczywistnić powyższe pomysły, niéma w Tatrach. Drżmie tutaj w śnie głębokim wszystko, cokolwiek zakrawa na coś wyższego, co tylko wznosi się nad pojęcia ludu.

Stawki. Od szalasów na Porońcu, spuściliśmy się pomiędzy gęstemi lasami ku małemu stawkowi, leżącemu prawie na samym początku doliny, a nazywanemu poprostu Stawki. Podobny on jest zupełnie do stawów na równinach z wodą brudną, zmąconą, na których brzegach wyrasta z błot sitowie. Wyniesienie jego nad morze jest dosyć znaczne, bo 3,259 stóp.

Dolina wielkiego pieca Zakopanego. Z Bańkówek prowadzi dobra droga, już ponad znacznie zwężonym Białym Dunajcem, do obszernego a pięknego zakładu hutniczego, zwanego Zakopane. Rzeka ta płynie tutaj z niezmiernym pędem, i często po odkrytych warstwach piaskowca, spada w potężnych kaskadach, które się rozbijają w pianę.

W miejscu, gdzie droga opuszcza rzekę, wznosi się pagórek, z którego wysokości, minąwszy las świerkowy,

otwiera się jeden z najcudniejszych widoków na Tatry. Zład poznajemy każdy wierzchołek najezony skalami, każdą dolinę rozprutą srebrnym strumieniem. Pomiędzy wszystkimi górami, odznacza się potężna skała Gewand, z wielką szczyrbą w środku, za którą wznoszą się dopięro nierównie wyższe hole, zupełnie nagie, cudnych kształtów. Naprzeciw, jest krótka, nieco szersza dolina, mająca boki czarnym lasem okryte. Mnóstwo białych zabudowań, należących do zakładu hutniczego, wypełnia tę dolinę Zakopanego. Tu dzieła sztuki odbijają dziwnie od przeważających potęg przyrody. Równie niespodzianą, jak miłą jest rzeczą spotykać wśród dzikiej okolicy zakład przemysłowy, a z nim w parze idący byłoby dobry. Pięknie wymurowany wielki piec do wytapiania żelaza, dwa młoty czyli fryszerki do jego przekowania, a na samym początku doliny nowo założona, obszerna pudlingarnia, gdzie walcują żelazo, są przedmiotami godnymi wspomnienia.

Wiele dolin Tatrowych dostarcza rudy do wytapiania żelaza; najznacniejsza kopalnia leży niedaleko, w górze zwaną Magora; inne są nieco odleglejsze, w dolinach bardziej na zachód położonych. Wszystkie te pokłady rudy, zawierają wapień; nie są ani znaczniejszej grubości, ani wysokiego procentu, i dlatego zakład ten z natury rzeczy nie może się znacznie rozwinąć; rocznie produkuje 6 do 8,000 centnarów wiedeńskich surowego żelaza. Wielkie zaś piece na Węgrach, wyrabiają rocznie 25,000 centnarów surowego żelaza, a w Niemczech, we Francji i w Anglii, do 50,000 centnarów.

P. Elsner, staranny naczelnik zakładu Zakopańskiego, od pewnego czasu powiększył znakomicie produkcję, przekuwając surowiec z Węgier, sprowadzany z Hrabu-

sic na Spizu. Tym sposobem zakład ten nabiera coraz więcej znaczenia, i jest jednym z najcelniejszych w Galicyi. Przy wielkim piecu Zakopanego, urządzoną została odlewalnia; rozmaite przedmioty, służące do ozdoby i użytku, bardzo piękne, można widzieć i nabyć w składzie, a mianowicie krzyże, świeczniki, garnki i t. d. Do wszystkich robót hutniczych, używają w Zakopanem węgla drzewnego, i dlatego żelazo tutejsze, mianowicie przekowane z surowca węgierskiego, słynnem jest ze swój dobroci w Galicyi. Z niepospolitym skutkiem, zaczęto niedawno używać w pudlingarni torfu, pochodzącego z pobliskich niezmiernych pokładów.

Spoglądając na lasy Tatrowe, nie można zaprzeczyć że jeszcze niezmierne ilości drzewa okrywają ich boki. Atoli w wielu miejscach znacznie zostały przerzedzone, mianowicie w blizkich stronach w mowie będącego zakładu; w odleglejszych zaś od niego, w trudno dostępnych miejscach, jest wprawdzie dosyć drzewa, ale koszt prowadzenia znacznie podwyższa produkcją żelaza. Ostry klimat Tatrowy przeszkadza szybkiemu wzrostowi drzew, i nierównie wolniej grubieją, aniżeli na równinach; w wyższych pasach tych gór, niezupełnie nawet wyrastają drzewa naszemu klimatowi właściwe, i podobnemu ulegają losowi, jak rośliny południowych krajów, hodowane na naszych równinach. Dlatego użycie torfu ze wszech miar jest pożądanem, albowiem zapewni większe rozwinięcie tutejszych zakładów przemysłowych, mających tę wielką wyższość, że nie potrzebują machin parowych; albowiem całą siłę dają obfite wody, spadające z gór; nawet w czasie ostrój zimy, dostarczają jej obfite źródła, tryszczące tuż przy zakładzie. Zabudowania Zakopanego są porządnie z kamienia wy-

stawione. Na domach fabrycznych są napisy, objaśniające co się w nich wyrabia. Szkoda tylko, że zostały dane po niemiecku i że na Podhalu trzeba mieć drogomana, aby się dowiedzieć o jawnej tajemnicy.

Z wielu miar zakład Zakopanego nader dogodnym jest do używania żentycy, czyli serwatki z owczego mleka, tak waleńie pomagającej na choroby piersiowe i ogólne osłabienie organów; leży bowiem przy holach, już w samym łańcuchu Tatrowym. Corocznie wprowadzie przybywa tutaj kilkanaście osób dla użycia tego produktu wysokich gór. Żentyca pochodzi z mléka owiec, pasących się na dwóch przyległych holach: Kondratowa i Gewand, lub z wirchów Gąsienicowych, na których rosną aromatyczne zioła, całkiem odmienne od znajdujących się w niższych strefach i na równinach. Sąto tak nzwane rośliny alpejskie, dzieci zimy, niezrównanie pięknej barwy i nieznaných postaci. Niemało pomaga zdrowiu wysokie położenie Zakopanego. Według obserwacji barometrycznych, z wszelką ścisłością wykonanych, dwór tutejszy leży 3,032 stóp nad morzem, a zatem półtora raza tak wysoko, jak Łysica, najwyższa góra w królestwie Polskiem. To wyniesienie daje tę lekkość i czystość powietrza, które zdaje się być często oddechem rajskim. Do tych fizycznych stosunków geograficznych, niemało przyczyniają się owe cudne widoki; gdzie rzucić okiem, tam miły, nowy a niespodziany roztwiera się krajobraz.

Gdyby tutaj były dogodniejsze mieszkania, niéma wątpliwości, że powiększyłaby się liczba używających żentycy. Kilka bowiem tylko osób znajduje pomieszkanie w oberży i u urzędników zakładu, a reszta musi się mieścić u włościan, mieszkających nieco odleglój. Niech

nikt nie spodziewa się tutaj wytworniejszych wygod, jakie znajdujemy po kąpielach Niemiec, Francyi, Włoch; nieraz słyszałem gości zadowolonych z tego, że mieli codziennie świeży chleb i mięso.

Okolice Zakopanego należą do rzędu arcy-malownych; w którąkolwiek stronę zwrócimy nasze kroki, wszędzie czekają nas niezrównanej piękności widoki. Tam mile ustronia i rozkoszne gaje; owdzie dzikie skały, pomiędzy którymi szemrzą strumyki z czystymi jak lza wodami. Jednym z najcelniejszych spacerów dla używających żentycę, jest góra Nosal, stojąca jakoby na straży téj doliny. Góra ta jest końcem potężnego grzbietu, ciągnącego się od wspomnionéj już Magory; bujny las świerkowy okrywa ją, a z niego wyskakują skały wapienne, podobne zdala do nosa, i ztąd poszła ta nazwa. Na szczycie Nosala, mianowicie na jego wschodnim boku, rosną nader wyniosłe buki, a u stóp tryszczy, ile dotąd wiadomo, jedyna cieplica w krajach polskich, Jaszczurówką zwana. Nazwa ta szczególna pochodzi od licznych żyjących w niej jaszczurów, czyli zwyczajnej salamandry (*Salamanca maculata*, zoologów). Cieplica ta tworzy sadzawkę, okrywającą przeszło sążeń kwadratowy przestrzeni; otaczają ją wielkie bryły granitu, naniesione zdala z Olszyskiej doliny. Woda téj cieplicy chociaż zupełnie spokojna, odpływa przecież szybko, i daje początek znacznie szemu strumieniowi; jest zupełnie czysta, bez obcych domieszanych pierwiastków i bez smaku. Chociaż nie należy do gorących, jest letnią i statecznie pokazuje 20° C. ciepła; że i w zimie zachowuje tę temperaturę, wszelkie jest prawdopodobieństwo, albowiem nie zamarza podczas najtęższych mrozów, i niezmiczne obłoki mgły się z niej dobywają. Na powierzchni wód tego źródła

dła, pływa w wielkiej obfitości zielona, nitkowata roślina, zwana glonem (*Conferva fluvialilis*), a zbiwszy się w grubą masę, okrywa powierzchnią wody. W spodzie téj cieplicy, pod kamieniami, żyją licznie jaszczury czyli salamandry. Zwierz ten należący do oddziału zabowatych, podobny jest do jaszczurki; lecz nie ma ani jój smukłej budowy, ani zwinności w ruchach; zupełnie jest czarny, okryty wielkimi pomarańczowemi plamami. Jaszczury są barometrem Podhalan; ile razy wychodzą ociężałe w górę, chociaż najpiękniejsza pogoda, zapowiadają deszcze; jeżeli zaś spokojnie siedzą w źródle pod kamieniami, wtedy jest to nieomylną oznaką trwałej pogody.

Własności źródła tego wcale nie są znane; żaden lekarz nie robił nad niém poszukiwań, jak dalece pomaga zdrowiu. Nawet Podhalanie, co wszystko badają albo słonią w piękne myty, nie opowiadali mi nic o jego własnościach lekarskich. Przecież ta cieplica musi posiadać jakieś ukryte własności; może ma podobne do cieplicy w Bad Gastein w Alpach tyrolskich, tak cudne wpływy wywierającój na wędniejący organizm. Wspomnę tylko o tak często powtarzanej własności téj ostatniej. Włożywszy zwiędłą różę do szklanki napelnionój jój wodą, gdy postoi przez noc, wraca pierwotna świeżość kwiatu, prawdziwie zmartwychwstaje. Z pełną nadzieją zwracamy się do naszych lekarzy, że się zajmą wybadaniem własności Jaszczurówki, i dadzą poznać jak działa na organizm człowieka. Może kiedyś ta cieplica u stóp Nosalazasłynie pomiędzy celnemi kąpielami Tatrowemi. Pytać się tylko trzeba przyrody, a spadnie zasłona zprzed oczu naszych, i objawią się jój tajemnice.

Trudno sobie wystawić bardziej zachwycający ogród angielski, nad dolinę opartą o Regle, rozciągającą się

na zachód od Zakopanego ku Kościelisku. Opuściwszy domostwa nowo wystawionój pudlingarni, wstępujemy do pysznego lasu. Nie widziałem nigdzie bardziej smukłych świerków, jak tutaj; pnie tych drzew chociaż niebardzo grube, dochodzą do nadzwyczajnej wysokości. Zdaje się, że lekkie a świeże powietrze, głównie przyłożyło się do ich bujnego wzrostu. Zapewne też sama przyczyna wpłynęła i na wzrost Podhalań; do-rodniejszych, wyższych mężczyzn trudno znaleźć gdziekolwiekbądź. Aby się dostać na dawną drogę, prowadzącą popod Reglami ku Kościelisku, trzeba opuścić wielki gościniec, ciągnący się prosto przez las ku długiej wiosce Zakopane, i zwrócić się na bok; uszedłszy parę tysięcy kroków od pudlingarni, otwierają się owe niezrównane widoki, jeden piękniejszy od drugiego; tu widać łąki okryte świeżą zielonością, tam małe polka obsiane owsami, jeszcze w początku września zielonemi, a przy nich domki z okrągłaków, ocienione malowniczo-rozłożonemi świerkami. Z każdej doliny szczelinowato-rozwartej płynie strumień przezroczystej wody, szmaragdowej barwy. Szereg ten piramidalnych pagórków, stanowi przedgórze Tatrowe. Krajobrazy te odznaczające się nadzwyczajną różnaitością, zostawiają na duszy najgłębsze wrażenie, i zawsze obudzały we mnie jakąś niewypowiedzianą radość, i wywoływały spokój duszy; nieraz myślałem sobie, że tutaj możnaby było marzyć o układzie wiecznego miru z całym światem, o zgodzie z najzawziętymi nieprzyjacioły!.....

Niemasz wątpliwości, że pierwsza dolina, którą napotykamy idąc od pudlingarni, powstała przez rozstąpienie skał, kiedyś z sobą połączonych. Środkiem téj szczeliny,

płynie mały potoczek, a nad nim widać liczne łomy kamieni, podobnych do wapienia; bliżej rozpoznając takowe, przekonywamy się, że to jest dolomit czyli skała, składająca się z węglanu wapna i magnezyi. Dolomity te zasługują na szczególniejszą uwagę dla zawartego w nich nieprzeliczonego mnóstwa pozostałości organicznych; są to skorupy ostryg, pektenów i niektórych innych zwierząt; w największej jednak ilości znajdują się ciała soczewkowate, do pieniędzy podobne, nazwane od uczonych nummulitami, *Nummulites*, od *nummus* pieniądz. Ilość tych reszt organicznych nadzwyczajnie jest wielką, że trudno sobie wystawić, z kąd się mogły wziąć miryady tych soczewek, które tworzą pokłady 10 do 20 stóp grube, a dwie i więcej mil długie. Budowa wewnętrzna tych soczewek nader jest ciekawą; szkłem powiększającym poznajemy jej rysunki; nie jestto jednorodna massa, ale nader złożona, ślimakowato-skręcona linia, którą łączą znów przegrody łukowato zgięte. Nummulity są wygasłym rodzajem zwierząt; w teraźniejszych morzach niemasz ich śladu, a zoologowie nie umieją nawet objaśnić, jakich zwierząt są częściami; bo czy to były części twarde, pewien rodzaj kości, powleczonej ciałem mięsnym, czy innymi jakimi organami, niewiadomo. Tyle tylko pewnego, że żyły w morzu, albowiem znajdują się razem z niezaprzeczonemi jego mieszkańcami, jako z ostrygami, jeżami morskimi i t. d.

W samym końcu doliny wielkiego pieca Zakopanego, około 200 kroków za dworem, przy piecu wapiennym, dobywa się ze skały nader obfite źródło słodkiej wody, nierównie niższą mające temperaturę, od dotąd poznanych, to jest $+ 5^{\circ}40'$ C. Temperatura ta przez kilka

lat nie zmieniała się w miesiącach letnich, jak to dowodzi następujący szereg obserwacji:

31 lipca 1839 r.	+ 5 ^o 40' C.
4 sierpnia 1839 r.	5 ^o 40'
27 lipca 1840 r.	5 ^o 40'
30 — —	5 ^o 30'
2 sierpnia 1840 r.	5 ^o 45'
3 — —	5 ^o 45'
31 lipca 1841 r.	5 ^o 45'
2 sierpnia 1841 r.	5 ^o 50'
24 czerwca 1843 r.	5 ^o 25'
11 lipca —	5 ^o 50'
13 — —	5 ^o 30'
25 października 1845 r. .	5 ^o 40'

Porównawszy ciepło tego źródła ze znajdującym się w Bańkówce, okazuje się, że prawie zupełnie odpowiada przewidzianej skali opadania ciepła; powinno by było mieć 5^o2, tymczasem ma o 0^o2 więcej, jak w Bańkówce.

Polana Kalatówka. Temu samemu prawu zniżania się ciepła, odpowiada sławne źródło Białego Dunajca, pod górą Kalatówką. Kamienista droga, po której zwożą tylko węgle i siano, ciągnie się lasem dobry kwadrans; przebywszy ją, niespodzianie rozdziela się znaczniejsza płaszczyna, okryta cudną zielonością. Ogrodzone polany z rozrzuconemi na nich szałasami, niemałego dodają im wdzięku; nad niemi wznosi się potężna, strasznie poszarpana skała wapienna, Kalatówka. Miano jej pochodzi od soltysów Kalatów, w Szallarach zamieszkałych, dzierżących ją jeszcze od czasów Kazimiérza W., jak to już było wspomniane. Mało jest u nas zapewne rodzin tak starożytnych, jak tych prostych górali, których żadne przemiany nie były w stanie oderwać od swój zie-

mi. Kalatówka składa się z kolczastych skał wapiennych, na których jakby pozawieszane zielone trawniki i kupki czarnych drzew świerkowych, przeplatane arcy-malowniczo, odejmują niejako dzikość tym widokom. Górę tę obrała bujna wyobraźnia Podhalan za składy niezmiernych skarbów, których nikt dotąd nie mógł znaleźć. Że to jest pewną rzeczą, zapewniał mię mój przewodnik. „Jednego roku przybył do Zakopanego człowiek z Węgier, i pytał się mego ojca Gąsienicy, pasającego właśnie owce na Kalatówce, gdzie koniec Kalatówki i perć (ścieszka) na nią? Na to ojciec odrzekł, po co pyta? Nie chciał powiedzieć i znów się pytał, czy wie gdzie jest suchy smrek (świerk w języku Podhalan) z wykutą łapą niedźwiedzią. Zrozumiał ojciec o co mu idzie, i powiedział, ja was tam zawiodę. Skoro weszli na koniec Kalatówki ową percią, nie mogli dostrzedz ani smreku, ani łapy na nim. Zginęła. Spostrzegłszy, że wszelkie starania są nadaremne, wtedy ów chłop z Węgier odkrył ojcu następującą tajemnicę: Właśnie byłem w Pieszczcie, kiedy tracono zbójów, i gdy wiedli jednego na szubien (szubienica), odezwał się: „Może tu kto jest z Tatrów? niech wie, że w końcu Kalatówek, pod percią, idąc do połowy Kondratowój, w jamie niezmiernie jest wiele pieniędzy”. Ta wiadomość stała się powodem, że odtąd wszyscy szukają w Kalatówce nadaremnie pieniędzy. Wielu nawet widziało jak się paliły, to jest jak się ukazywały w różnych miejscach płomienie. Jednemu z juhasów zginęły raz kozy i długo szukał je na Kalatówce; wtém blisko wirchu, wśród strasznych skał, spostrzega słaby płomień, jak kiedy goreje wódka. Przelekły uciekł do szałas, i co widział opowiedział. Znany już nam ojciec Gąsienica, wraz z tym pasterzem, poszli w toż

samo miejsce, ale nie zobaczyli ani ognia, ani znaleźć mogli miejsca, gdzie się paliło.

Nietylko w Tatrach, ale w całych Karpatach panuje głęboko zakorzeniona wiara, że nad zakopanemi pieniędzmi pokazują się płomienie, albo jak się wyrażają, *palą się pieniądze*. Trzeba jednakże natychmiast w takie miejsce się udać i kopać, a pewnie znajdą się skarby. Ale powszechnie tego co widzi płomień, przejmując niezmierny strach, ucieka, a gdy wraca, już nie może znaleźć miejsca, z kąd się dobywał. Takto ludzie snują w swój wyobraźni niepodobne rzeczy, i wreszcie w nie uwierzą. Lecz ileż podobnych urojeń w nazywajacém się wyższém towarzystwie, za niezawodne prawdy uchodzi, a które tak zwani filozofowie, obdarzeni wyższém widzeniem, za prawdy wydawać zwykli! Mistycyzm prostych ludzi ma w sobie poetyczną stronę, a tymczasem owe tak zwane filozoficzne poglądy, nawet tém nie mogą się poszczycić.

Źródło Białego Dunajca. Zpod stóp Kalatówki, tryszczy jedno z najwspanialszych źródeł w całych Tatrach, uważane powszechnie za początek Białego Dunajca. Żyła wody dwanaście stóp szeroka, dobywa się gwałtownie, i wypycha z szybkością niezmierną masę wody, która spadając po kamieniach, rozbija się w pianę. Ten szczególny, skośny strumień, około 100 kroków długi, płynie aż do połączenia się z strumykiem, bieżącym w głębokiej zapadlinie od holi Kondratowój. Źródło to leży na wysokości 3,481 stóp nad morzem, ma temperaturę nieco mniej stateczną, jak poprzednich, i zdaje się, że zbliżka płynące wody zmianę tę sprawiły, jak to dowodzi szereg wykonanych obserwacyj:

24	lipca	1839	+4 ^o 10' C.
29	—	1840	4 07
3	sierpnia	—	3 90
1	—	1841	4 35
24	czerwca	1843	3 90
25	października	1844	4 10

Srednia jego temperatura wynosi +4^o07', i odpowiada prawie skali opadania ciepła, dla wysokości 3,500 stóp; gdyby się zupełnie z nią zgadzała, powinnaby wynosić 4^o3'. W wyższych pasach Tatrów nie ma znaczniejszych źródeł, i nie miałem sposobności ich dłużej mierzyć. Opuszczając to cudne źródło, dające początek najpiękniejszej rzece polskiej—Dunajcowi, przytoczę wiersz znakomitego naszego wieszczu, w którym tak szczęśliwie wydał jej właściwy charakter:

I zkad się twe wody, szaleńcze mój biorą?
 I gdzie ci tak spieszno? i po co tak skoro?
 Ty bieżysz w równiny, w dalekie zawody,
 A ja tu u źródła chcę czerpnąć twój wody!
 O! na cóż tak szybko twa woda tam płynie?
 Pytają tam wprawdzie o ciebie w równinie,
 O wodę, o czystą, pytają tam ludzie,
 Bo żyją w odwiecznym pragnieniu i brudzie.
 Więc skoro cię ujrzą, wnet do cię pobiegną,
 I brzegi zielone wzdłuż wody zalegną,
 I będą się pluskać i kąpać w twym zdroju,
 I brudnym naczyniem naczerną napoju,
 I zmacą twe warty, i tonie przejrzyste,
 I zdepcą twe brzegi, i łożę przeczyste,
 I krzykną szeroko długimi zagrody:
 „To woda nieczysta! nie pijcie tej wody!”
 A ty się odwiniesz, zakipisz aż do dna,
 I kał ów nieczysty twym łożem popłynie,
 I w biegu zwolnieje twa fala swobodna.
 Ty, szczycisz się znowu w rozległej równinie,
 I księżyc się skąpie jak dawniej w twój fali,
 I gwiazda się znowu nad tobą użali;
 I ujrzysz znów zorzy rumieniec przelotny,

Lecz brzeg twój nazawsze już będzie samotny,
 Bez kwiatów i ludzi, a krajem piaszczystym,
 Po łożu cierniowém nurtami zawiniesz,
 Bez słowa pociechy, w milczeniu wieczystém,
 Bez winy zbrodniarzem, ku morzu popłyniesz...

Więc gdzie ci tak spieszo, szalony góralu,
 I po co porzucasz krainę Podhalu?
 Prócz fali przejrzystej i biegu w swobodzie,
 Prócz słońca na niebie i zorzy na wschodzie,
 Prócz brzegu takiego z kwiatami wonnemi,
 Prócz rosy na trawie, a gwiazdy w błękiecie,
 I trochę miłości do gwiazd i do ziemi,
 Nic niema na świecie—nic nie da ci życie;
 U źródła, na ujściu, opodał, czy z brzegu,
 Nic więcej nie ujrzysz, szaleńcze, w twym biegu!

Polana Kondratowa. Od okazałego źródła Białego Dunajca, przeszło godzinę ciągnie się droga nader nierówna wśród dzikich lasów do Kondratowej polany, leżącej na obszerniejszej przestrzeni, okrytej ową niezrównanie piękną zielonością. Kiedy wśród dzikiej okolicy, pomiędzy drzewami i skałami, spotykamy ślady człowieka, obudza się w nas mimowolnie przyjazne usposobienie. Gorąco witaliśmy dlatego szalasy owczarskie na polanie Kondratowej, które dostarczają owę słynną zentycę dla ratujących nią zdrowie w Zakopanem. Owce wydające mléko z którego wyrabiają zentycę, żywią się aromatycznymi ziołami, okrywającemi przyległe góry. Gospodarstwo owcze na hołach bardzo trafnie umieli urządzić Podhalanie, i do miejscowości zastosować. Kiedy wiosna okryje swym zielonym kobiercem równiny, i w hołach życie zacznie się budzić, wysyłają do nich na zwiady gazdowie kilku bywałych juhasów, którzy oglądają jak dalece puścili się trawy; a gdy ci wracają z przyjazną nowiną, że młoda trawa umaila doliny, te-

dy odrazu **krząta** się całe Podhale około owiec. **Gazdowie umawiają się**, ile owiec polany mogą wyżywić i obierają **bacę i juhasów**. **Pierwszy** jest naczelnikiem szalasu, **zaufany a doświadczony** pasterz w holach; **juhasy** są jego **pasterze**. **Wyrazy** te nie są polskie, i pochodzą z języka węgierskiego czyli madziarskiego; **pierwszy** oznacza **gospodarza**, **drugi** **pasterza** owiec. **Tak** **baca**, jako i **juhasy** **umawiają się** poprzednio o **zapłatę**. **Powszechnie** na **bacę** **obierają** **rzádnego** **gospodarza**, **odznaczającego się** **dostatkiem** i **rozsádkiem**. **Tymczasem** **mieszkańcy** **sporządzają** **naczynia** **potrzebne** do **gospodarstwa** **szalasowego**, a **gdy** **wszystko** **jest** **gotowe** do **hól**, co **powszechnie** **bywa** w **ostatnich** **dniach** **maja** **albo** **pierwszych** **czerwca**, **zbięra** się w **dniu** **naznaczonym** **cała** **ludność** w **środku** **wioski** **wraz** z **owcami**. **Wtedy** **następuje** **ciekawym** **obraz**: **jedni** **żegnają** się z **wychodzącymi**, **doświadczeni** **dają** **rady** **jak** się **zachowywać** z **owcami** **chorem**, **jak** **sobie** **postąpić** w **czasie** **ślót** i **śniegów**, **jak** się **chronić** od **wilków**; **niewiasty** **zaś** **rzucają** **czułe** **spojrzenia**. **Trzeciego** **dnia** **po** **wypędzeniu** **owiec** **do** **hól**, **wychodzą** **gazdowie** **na** **mir**, czyli do **mierzenia** **mlęka**; **ile** **jakie** **owce** **wydadzą** **go** w **pierwszych** **dniach**, **tylę** **baca** **obowiązany** **jest** **co** **tydzień** **oddawać** **funtów** **sęra**; **reszta** **zostającego** **się** **sęra** **jest** **własnością** **bacy**, **którą** **dzieli** **się** w **części** z **juhasami**. **Wielkość** **stada** **owiec** **czyli** **kierdelu**, **jak** **go** **nazywają** **Podhale**, **stosuje** się do **obszerności** **hól**; **pospolicie** **bywa** **ich** **razem** **200** **do** **300** **sztuk**. **W** **holach** **rozdzielają** **owce** **na** **dojki** i **skopy**; **pierwsze** i **drugie** **stanowią** **oddzielne** **stada**, **stojące** **pod** **gółem** **niebem** w **właściwych** **czworograniastych** **zagrodzeniach**, **zwanym** **koszarami**, **blizko** **szalásów** **znajdujących** **się**. **Z** **kierdelem** **skopów** **wychodzi** **dwóch** **lub** **trzech** **juhasów**; **za-**

wsze mają kilka psów, i przez cały dzień pasają po najdalszych i najnieodostępniejszych turniach, na noc dopiero wracając; dojki chodzą po bliższych holach i przypędzają je dwa razy na dzień dla dojenia południowego; prócz tego doją je rano i wieczorem. Za każdym wydojeniem zlewają wszystkie mléko do kotła miedzianego, zawieszzonego w szalasiu na haku żelaznym, nad palącym się ogniskiem. Po zagotowaniu, za dodaniem podpuszczki ścina się mléko; na podpuszczkę używają żółtka cielecego. Następnie muskularnemi rękami zgniatą bacę w kulę wydzielony sér, i kładzie go na desce w małej komórcie, znajdującej się w szalasiu; rzadziej odcedzają sér w workach od serwatki. Ze słodkiego séra wyrabiają oszczepki, oszczepańce, czyli owe małe baryłkowate sery, zwane powszechnie owczemi, które ugniatają w formach drewnianych, pięknej postaci. Górale uważają je za najwytworniejsze przysmaczki, i kiedy kogo chcą wielce uraczyć, częstują go temi serami. W wielkich kulach składany sér fermentuje, a z niego wyrabia się bryndza, która tém jest smaczniejsza, im z lepszej paszy pochodzi.

Góra Gewant. Jedną właściwie jest droga wiodąca na Gewant, t. j. wprost w górę z polany Kondratowój; jest wprawdzie jeszcze inna, poczynająca się przy znanój nam holi Kalatówka, przez bramę szklaną, zwaną Wrotkami, a która dalej ciągnie się na połowie wysokości boku Gewantu nad doliną Kondratowój. Droga ta jest nader trudna i przykra, i kto nie nawykł chodzić po wysokich górach, niech jój nie obiéra, bo widok na niezmierne w dole leżące płaszczyny, wzbudza trwogę i zawrót głowy, a na téj ścieżce prawie nie mo-

że przewodnik podać ręki, na którejby się oprzeć można było; ale téż i droga z polany Kondratowej nie należy wcale do wygodnych. Gewant tworzy rozciągly grzbiet, który oddziela na zachodzie wymienioną polanę, i nachyla się pod 45° , a często zwiększa się ten kąt, i bok staje się jeszcze bardziej stromym. Właśnie kiedy wstępowałem na tę górę, był dzień nadzwyczajnie skwarny; przez godzinę trzeba się było wspinać aż do wylomu, zwanego Szczerbiną; w skalistym grzbiecie, tworzącym rozciągly szczyt Gewantu. Szczerbina ta jest potężnym otworem, dzielącym grzbiet na dwie nierówne części; północna tworzy podłużny grzbiet, na który nie śmié wstąpić i najśmielszy juhas; niéma miejsca dla człowieka utrzymać się na téj ostrój krawędzi; druga część Gewantu mniejsza, ale zato nieco wyższa, jest do stogu siana podobna, i dlatego nosi nazwę Kopa Gewantu. Jeszcze trudniejszy na nią wstęp, bo trzeba się wdrapywać i rękami pomagać. Na samym szczycie jest równinka, około 6 sążni □ obszerna, na której wygodnie ustawiłem barometr, i znalazłem wyniesienie téj góry 5,746 stóp paryzkich nad poziom morza. Widoki z téj wyskakującej skały nie są bez wdzięku: w dolinie Kondratowej niéma nic szczególnego; nie odznacza się ona ani rozległością, ani krojami niezwykajnymi: ale na Małoląki jeżeli nie należy do arcypięknych, jednakże odznacza się niezwykajnością i sownie wynagradza trud wstępowania i ten pot, wylewający się z każdego włoska. Widok ze szczytu, prawie jest zupełnie taki, jak ze Szczerbnicy. Jak dobrze znane miasto z wysokości wieży całkiem obce ma wejrzenie, i nie można je poznać z początku; tak samo wydają się ztąd doliny Białej i Małoląki. Góra ta nie jest tak wy-

soką, iżby spływały przedmioty w massowe płaszczyzny; można odróżniać jeszcze nierówności nawet leśnych drzew; z czarnych powłok świerkowych wyskakują siwe skały, pomiędzy któremi ciągną się doliny, wydające się jak długie szmaragdowe wstęgi, a polany gdzieniegdzie przerywane są srebrnym potokiem. Widnokrąg zakóczają znajome nam Bieskidy, ginące w mgławicj dali. Z nich, prawie naprzeciw, wznosi się najwyższa góra tego pasma, potężna Babia Góra.

Góra Kondratowa ma dwie nazwy: z liptowskiéj strony Wysoka, z polskiéj Kondratowa. Rozciągle siodło, łączy Gewant z nieco wyższą Kondratową. Droga albo raczej ścieżka, prowadzi przy sterczącym skalistoczerwonym piaskowcu, mającym ściany powleczone karnarkowo-żółtym liszajcem. Po niezmiernie bujnych sywarach, postępowaliśmy ku zaokrąglonemu gneizowemu szczytowi Kondratowéj, który tworzy równoległy grzbiet, poczynający się z górą Bieskid, a kończący się z Kondratową. Szczyt téj góry okrywa na pół stopy gruba warstwa mchu islandzkiego, uginająca się pod nogami. Mech ten, okrywa znaczne przestrzenie tego szczytu, bo kilkanaście morgów kwadratowych. Właśnie kiedy byłem na Kondratowéj, oddawien nie padały na niéj deszcze, co się rzadko wydarza; mchy do najwyższego stopnia wyschłe, dotknięte, kruszyły się w rękach. Przewodnicy umieli z tego korzystać, i obdarzyli mię szczególną niespodzianką. Skrzesawszy szybko ogień, co wybornie umieją górale, zapalili wysuszone mchy, a wiatr zadawszy, umieścił nas odrazu wśród wysoko wznoszącego się morza płomieni; ale wkrótce oddaliły się od nas i rozbiegły promienisto po bokach góry, i pędząc niezmiernie szybko, zmierzały prosto ku lasom.

W największej byłem obawie, aby się nie zapaliły; aliści czyto większa wilgoć mchu w niższych częściach tego szczytu, czy słabsze wiatry, dosyc, że zwolnił pęd płomieni i uniknęliśmy tym sposobem nieszczęścia zapalenia się borów. Na samym wierzchu Kondratowój, znajduje się kupa ułożonych kamieni, z szczątkami dawniej piramidy tryangulacyjnej; na niej zawieszony barometr, dał wyniesienie dla tego wirchu 6,115 stóp. Widoki z Kondratowój nie odznaczają się niczém; cały Liptów leży z nieprzeliczonemi siołami, ale tych nie można było dobrze odróżnić, bo giną w mgławej dali; dolina zaś północna, od której ta góra wzięła swą nazwę, wydawała się, jakby plan, na nieco większy wymiar dokonany.

Czerwony wirch Małołączniak. Siodło niezbyt wgięte, łączy tę górę z Kondratową. Nieznacznie postępowaliśmy na ów jeszcze potężniejszy wirch, nader ciekawy dla geologa. Postać ma podługznego graniastosłupa, w stronie południowej dotyka się Kondratowój i Krzesanicy; z trzech innych stron ma nadzwyczajnie strome ściany, na które nikt nie jest w stanie wstąpić. Południowa część téj massy skalnej zowie się Czerwony Wirch, od poziomej roślinki z różowym kwiatem, która gęsto okrywa na początku lata niezmierne obszary téj wyniosłości, co niewygasłe zostawia wrażenie na podróznym; północna zaś część nazywa się Małołączniak, ponieważ sterczy nad doliną, zwaną Małołąka. Dwie te góry stanowią razem jeden, zupełnie równy grzbiet, utworzony z właściwej skały krystalicznej, nieznajdującej się nigdzie w całych Tatrach, ani w przyległych pasmach. Jestto skała feldspatowa, składająca się w przeważającej ilości z wielkich kryształów szarego i cieliste-

go feldspatu, z małą ilością kwarcu i miki; zarówno można ją uważać za właściwy granit, jak za porfir. Kiedy na wierzch wystąpiła, trudno rozstrzygnąć; zdaje się jednak, że po wzniesieniu głównego pasma granitowego, ponieważ warstwy wapienia nie mają jednostajnego pochylenia północnego, który przeważa w całym tém pasmie. Wyniesienie téj góry nad poziom morza jest bardzo znaczne, bo 6,410 stóp.

Krzesanica, nazywana także *Zadni Uplaz*, pół godziny odległa od Czerwonego Wirchu, jest najwyższym szczytem w grupie gór, stanowiących Wielki Uplaz, której jedno ramię stanowi Małołączniak, a drugie Czerwony Wirch Uplaziański. Chociaż Krzesanica najwyższą jest ze wszystkich tych wyniosłości, bo wznosi się 6,525 stóp, składa się wszakże z wapienia szarego. Skala wznosząca się wyparła tak wysoko ten wodny osad, a sama ukryta w spodzie, nie pojawiła się na wierzch. Z południowej strony otaczają Krzesanicę niezmierne skaliste ściany wapienne, które na północ zwolna się zniżają, aż ku potężnym progom, dzielącym Małołączniak od Twardego Uplazu; za niemi są zielone polany soltysów, Miętusami zwanych, oparte o stożkowaty wirch Opalone, okryty czarnym lasem; na prawo pokazują się wyniosłości, kryjące dolinę Kościeliską i jój niezrównane piękności, których ztąd niktby nie przecuł.

Czerwony Wirch Uplaziański. Wśród lekkiego powietrza, które sprawia na górach owo czarowne usposobienie duszy, co na wszystkie przedmioty wylewa niewypowiedzianą rozkosz, zstępowaliśmy z Krzesanicy na Czerwony Wirch Uplaziański. Widoki téj części Tatrów, nazywanéj pospolicie Wielkim Uplazem, nie mają téj dzikości, która cechuje inne okolice; pochodzi to głównie

od skały wapiennej, która odejmuje tutaj tę właściwość, a przeciwnie nadaje tyle wdzięku, i obudza miłe uczucia. Wapień nader sprzyja rozwijaniu się roślin; często okryty cudnej barwy kwiatami, przedstawia mieszaninę dzikości, obok wprost przeciwnego uczucia. Szczyt tego Czerwonego Wirchu, który dla odróżnienia zowią Uplaziańskim, jest 6,460 stóp wysoki. Tworzy on wraz z górą Twardy Uplaz, podobny wysunięty grzbiet z południa na północ, jak właściwy Czerwony Wirch z Małolączniakiem. Twardy Uplaz o 200 stóp jest niższym (wysokość jego wynosi 6,259 stóp). Sam szczyt Czerwonego Wirchu, nie składa się z wapienia, tylko z ogniowej skały, zwaną gneizem, wydobytej z głębi ziemi. Twardy Uplaz zaś jest wapiennym i tworzy niezmierną równię pochyłą. Tak rozległa płaszczyna, mogła tylko powstać z warstwy w wodach kiedyś osadzonej; teraz trawą okryta, daje obszerne pastwiska owcom. Niktby nie przeczuwał, że te niezmierne płaszczyny, były kiedyś dnem morza, które się przez wieki osadzały w warstwy, a gdy dostatecznie stwardły, zostały na wierzch dźwignione temi siłami, co sprawiły nierówności na kuli ziemskiej. Tylko głębsze badania prowadzą człowieka do wyjaśnienia tych zjawisk przyrody, pozostających zawsze tajemnicą dla tak zwanego zdrowego rozsądku, uważanego w przeciwieństwie z umiejętnie usposobionym. Nie zamierzam wyłączyć z umiejętności zdrowego rozsądku, ale wyłączam ten rodzaj zdrowego rozsądku ludzi codziennych, co trafnie umieją sądzić o wielu rzeczach domowego życia, zawartego w małym zakresie; rozsądek ten nie starczy na odgadnięcie wyższych przedmiotów, wznoszących się nad zwyczajne obręby społeczności. Aby pojąć prawdy umiejętne, prawa we-

dług których **krążą** ciała niebieskie, albo łączy się materia i wydaje **nowe** ciała chemiczne, mające tak nieskończenie **odmienne** własności od ciał zostających w pierwotnym stanie; albo by poznać, dlaczego każda właściwa **materia chemiczna**, ścina się w kształty matematyczne, zwane **kryształami**, lub dlaczego ziemia w różnych stronach **takie i owakie** ma postaci gór; aby poznać te prawa, **potrzeba** długiego szeregu wniosków dla pojęcia owych **prawd**, do czego nie dochodzi nieuprawniony poprzednio **rozsądek**. Zdrowemu rozsądkowi zwyczajnego życia, **przynależy** się małe kółko życia codziennego; dalej mu **sięgać** niewolno.

Zapadlina pomiędzy Twardym Uptazem a Małolączniakiem. Chociaż znajduje się pomiędzy samej wapiennymi skałami, jest wszakże do najwyższego stopnia dziką. Pod samą Krzesanicą, na znakomitej wysokości, jest **potężne** koliste zagłębienie, okryte złamkami różnej wielkości szarego wapienia; pomiędzy nimi nie widać nawet zielonej trawki, tylko gdziegdzie leżał płat przyczernionego śniegu. Widok ten jest wszakże **nieco** mniej przerażającym, jak skał czarnych granitów. Niżej jest **drugie** zagłębienie, również skaliste, ale już pomiędzy **kamieniami** wyziera **nieco** więcej zieloności; jeszcze niżej są dwa **niezmierne** progi, jeden za drugim **znizające** się ku dolinie Miętusi. Gdym ztąd chciał odwiedzić szalas **sołtysów** Miętuskich, odmówili mi to moi przewodnicy, mówiąc, że **tędy** nikt żywym zejść nie może, i przekonałem się o **prawdzie** tego, spoglądając w powrocie z **Małolączniaka** na **niezmierne** ściany, przeszło 500 stóp wysokie, stanowiące każdy z tych progów.

Dolina Goryczkowa. Idąc na południe za potokiem płynącym **środkiem** krótkiej doliny wielkiego pie-

ca Zakopanego, prócz Kondratówój, są jeszcze dwie inne doliny, zupełnie ukryte przed wzrokiem: Goryczkowa i Kasprowa. Piérwsza leży bardziej na zachód, a zatém w środku pod samym grzbietem gneizowym; nie odznacza się ona niczém, nie ma bowiem ani widoków ponętnych, ani bujnej roślinności: tylko na szerokiój, skośnej dolinie, zawartój pomiędzy dwiema górami nazwanemi Czubami, na przeciwnych stronach rozstawionych, leży nieprzeliczona liczba głazów gneizowych. W środku nad doliną, stérczy trzeci wirch, zwany *Pośredni wirch Goryczkowój*, 5,564 stóp wysoki. Ten Pośredni wirch, dzieli tę dolinę za pomocą nieco wystającego grzbietu na dwie prawie równe części; powstają tym sposobem dwie doliny: zachodnia zowie się *Świńską doliną*, wschodnia zaś *Pod Zakosy*. Nazwa doliny Goryczkowój pochodzi od obficie rosnącej rośliny goryczki, *Gentiana*, której korzenie corocznie w wielkiej ilości zbierają gorale, i sprzedają centnarami do aptek węgierskich.

Dolina Kasprowój. Droga prowadząca do doliny Goryczkowój, rozszepia się wśród gęstego lasu; na prawo idzie do Goryczkowój, na lewo do Kasprowój. Droga ta nie należy do rzędu najlepszych; jest bowiem nadzwyczajnie nierówną i kamienistą. W początku dolina Kasprowój jest nieco szerszą; po obydwóch stronach niższe grzbiety zieloną trawą okryte, otaczają uśmiechające się polany, na których kilka szałasów świadczy, że nawet do najodleglejszych szczelin tych gór zaszedł człowiek i umiał z nich użytkować. Nie jestto prosta dolina; widocznie zakrzywia się na wschód, i odtąd staje się coraz węższą, a bardziej dziką. Około 1,500 kroków za szałasem, wytryska ze skały wapiennej potężne źródło, albo raczej strumień, o którym juhasy twierdzą, że się łączy z Suczym stawem, jednym z Gąsienicowych,

jak to wyżej wspomniałem. Za szarym wapieniem pokazują się czarne gneizy; odtąd stykają się prawie boki przeciwne doliny, a wierzchem ciągnie się błękitna smuga niebios; roślinom ustąpiły miejscami rozrzucone głazy. Z téj części doliny, mógłby malarz czerpać najdoskońalsze obrazy tego, co jest okropném; i wyznaje, że lżej zrobiło mi się na sercu, gdy wszedł na grzbiet, i zojrzał do téj strasznej szczeliny, gdzie się wydaje, że życie zupełnie ustało.

Kopalnia rudy żelaznej w Magorze Zakopanego. Od ostatnich zabudowań, położonych przy wielkim piecu, przeszedłszy kawałek lasem, dotykającym prawie stóp boku wschodniego doliny, nieznacznie wstępujemy do doliny Jaworynki. Z początku bardzo jest wąską; przeciwne boki zupełnie odmienne mają wejście: prawy okryty wesołym lasem świerkowym, wznosi się dosyć zwolna; lewy nadzwyczajnie skalisty, wydaje się jakby niezmierna kupa zsypanych kamieni; ani krzaczek, ani zielona trawka nie urozmaica tego dzikiego obrazu, tylko pojedyncze skały wyskakują z stromego boku, w których górale upatrują podobieństwo do Najświętszej Panny z dziecięciem Jezus, w innych do Boga Ojca. Około 500 kroków ciągnie się tak zwężona dolina Jaworynki. W całej téj długości dobywają się z lasów nieprzeliczone źródła, nierównie obficie w czasie dżdżystym, aniżeli gdy trwają posuchy. Aczkolwiek te wody wyborne są do picia, nie mają jednakże temperatury odpowiedniej wysokości, z jakiej tryszczą; albowiem wychodzą z rumowiska, a tém samém mieszają się z wodami atmosferycznymi i są cieplejsze i zimniejsze, stosownie do pory roku.—Długo nie trwają nigdy jednostajne widoki w Tatrach, i tak jest w do-

linie Jaworynki; wkrótce roztwiera się ona, a obszerne polany, po większej części ogrodzone, i kilka szałasów, są czémś zupełnie niespodziewaném; pasące się bydło dodaje życia temu ze wszech miar przyciągającemu obrazowi.

Kto sobie życzy poznać zatrudnienie pasterskie w Tatrach, życie w szałasach, a nie chce długich odprawić podróży, ma najlepszą sposobność przyjrzyć się mu tutaj i razem ich mieszkańcom. Widoki na południe ze szalasów Jaworynki, należą do celniejszych w tych górach; nie są one zbyt wielkie, ale odznaczają się niewymownym wdziękiem; zaokrąglone wirchy okrywa świeża zieloność i grupy czarnego lasu, pomiędzy którym sterczą siwe skały, i jakby dla przeciwieństwa mile przynęcają oko. Posunąwszy się kilkaset kroków na wschód, nagle giną te piękne kształty skał, które tak przyciągały ze szalasów Jaworynki; zbliżamy się bowiem do zwalonych w kupy gór, wznoszących się jedna nad drugą, a usypanych częścią ze skała, wydobytego z kopalni rudy Magory, częścią też ze samej rudy. Każda z tych kup znaczy sztolnię; 4 do 5 jest teraz czynnych. Rudę zwożą po nader stromiej a wąskiej drodze na saniach, i składają ją do wielkiej skrzyni, zrobionej z okrąglaków. Jest to w obecnym czasie najcelniejsza kopalnia w Tatrach, dostarczająca rocznie około 80,000 centnarów rudy, z której wyrabiają w wielkim piecu Zakopanego około 4,000 centnarów surowego żelaza. Wstępując na górę zwaną Magora, po szarych wapieniach pokazują się jakby potężne pasy czerwonej i zielonej barwy, margle, otaczające pokład rudy. Z wysokości tej góry nie można prawie zmiarkować, gdzie się znajdujemy; tak nadzwyczajnie zmienia się obraz, i boki doliny schodzą się zupeł-

nie; ku końcowi dopiero téj doliny, otwiera się ze wszechmiar ozdobny widok.

Pomiędzy krótką doliną Zakopanego, w której widać tyle przemysłu i dobrego bytu, a długą doliną Kościeliską, rozciągają się jeszcze cztery podrzędne doliny, prawie od siebie równoległe, niezetknięte z grzbieciem granitowym, dochodzące tylko do wapiennej masy skalnej Wielkiego Upłazu. Każda w szczególności ma sobie właściwe piękności, których charakter krótkimi skręśle rysami.

Dolina Bielska jest najbliższa od wielkiego pieca Zakopanego. Odznacza się bujną roślinnością; zapuszczywszy się w nią parę set kroków, świerki zastępują buki najdorodniej wyrosłe, a pomiędzy niemi rośnie mnóstwo krzaków, liśćmi okrytych. Spód téj doliny bardzo jest nierówny, prawie można rzec jest falisty. Strumień pędem płynący w szczelinie poniżej drogi, rozbija się w białą pianę, od której zapewne pochodzi nazwa téj doliny.

Dolina Stronczyska. Równoległa jest od poprzedzającej, choć szersza i dłuższa; ma w spodzie nadzwyczajnie piękne trawniki. Prawie w samym środku zastajemy znaczne kupy żuźłów, po większej części trawą okrytych, świadczące, że kiedyś była tu huta żelazna; zapomniano o niej teraz zupełnie, tylko pasterz umie o niej coś powiedzieć. Nieco dalej, wznoszą się na prawym boku ponad lasem trzy strome, sterczące skały wapienne, dziwnej postaci, zwane Mnichami. W końcu łączy się ta dolina z następną, z doliną Małoląki, której początek nie ma tyle wdzięków, co dwóch poprzedzających; nie widać bowiem w niej ani téj bujnej roślinności, ani widoków odznaczających się. Dopiero w końcu roztwiera

się znacznie, widoki stają się obszerniejszemi, a ztamtąd massy skalne Małolączniaka i Gewantu, przedstawiają się nader wspaniale. Od szalasów Małoląki, stojących w rozszerzonym końcu doliny, trzeba postępować pół godziny, aby stanąć pod stopami Gewantu, gdzie się otwiera niezmierna płaszczyna, okryta nieprzeliczonemi bryłami szarego wapienia, spadającemi z nagich ścian, na których rzadko gdzie trzyma się kupka trawy albo mały krzaczek.

W pobliżności stóp Gewantu, tryszczy potężne źródło Sikliwica, na wyniesieniu zwaném Na Grzybowcu. W dniu 3 sierpnia mierzone, pokazywało 4,65° C. Źródło to spadając, tworzy bezpośrednio wodospad, przeszło 40 stóp długi, godzien ze wszech miar widzenia.

Dolina Miętusia. Najcelniejsza pomiędzy temi czterema dolinami, ma widoki rozległe; otoczona jest skalami z nadzwyczajnie śmiałemi krojami, z ostremi końcami, albo pokazują się potężne ściany znanéj zapadliny, zawartéj pomiędzy dwoma Czerwonemi wirchami. Miętusia dolina bierze swą nazwę od sołtysów w Miętustwie zamieszkałych, niedaleko Rogoźnika, i odróżnia się tém od trzech poprzednich, że jest zamkniętą doliną, i nie przebija pasma pierwszego rzędu gór, zwanych Regłami. Leży pomiędzy potężną Krzesanicą, a niższym wirchem zwanym Opalone; w boku zachodnim otwiera się ku Kościeliskiej dolinie. Przy zaokrąglonym wirchu Opalone, uwieńczonym bujnym lasem, sterczą trzy ostre skały dziko poszarpane, powleczone czerwoną barwą, a dziwnie pięknie odbijające od czarnych świerków. Skały te wapienne, wystawione na działanie promienia słońca, okrywają się nieprzeliczonemi, nadzwyczajnie pięknemi kwiatami, tak co do barwy, jako i postaci; aurykule tak pię-

kne jak rosnące w ogrodach, pierwiosnki i wiele innych kwiatów, właściwych tylko Tatrom, albo innym górom alpejskiej wyniosłości. Głównie rodzaj ziemi sprzyja rozwijaniu się tych pięknych roślin; czarna jak węgiel, bardzo pulchna, zdaje się składać li ze samej materii roślinnej. Jestto dziwna okoliczność, że taka ziemia powstaje tylko na skałach wapiennych; nigdy jój nie widać na piaskowcach, granitach lub gneizach, a z tego wynika, że wapień wpływa na jój utworzenie. Jeżeli dla botanika ciekawą jest dolina Miętusia, również jest dla geologa; albowiem zawiera stanowcze dowody, że wapień szare Tatrowe, należą do spodniego ogniwa formacji Jura, zwanego liasem. Kolor czerwony, okrywający wyżej wspomniane sterczące skały, pochodzi od niedokwasu drugiego żelaza, który tworzy pod górą Opalone pokład, wydający corocznie około 1000 centnarów dosyć bogatęj rudy. Ruda ta składa się z kul nieco większych; często w środku trafiają się wielkie ammonity i łodziki (*Nautilus*), tudzież belemnity i dwuskorupce, a mianowicie gatunki nazywane *Ammonites Walcotii*, *serpentinus*, *heterophillus*, *Nautilus aratus*, *Spirifer Walcotii*. Skamieniałości te zachowały się bardzo rozmaicie; powszechnie niedokwas żelaza zniszczył skorupy tych ślimaków; wyjątkowo zachowały się w wapieniach i pospolicie sąto jądra w czerwony marmur zmienione. Jak wiadomo, ammonity są ślimakami, mającemi liczne przegrrody, na obwodzie dziwnie powycinane, jakby jakie liście jarmuzu; tych przegród, nie dotknęła nigdy przemiana i zostały w pierwotnym stanie (1). Czerwone

(1) Jeden z ammonitów, pochodzący z doliny Miętusi, t. j. *Am. Walcotii*, dałem wyrysować wraz z jego szwami w *Paleontologii Polskiej* tab. III, wydawanęj przy Bibliotece Warszawskięj.

wapienie **styka**ją się z szarym dolomitem, zawierającym zupełnie inne **skamieniałości**, t. j. znajome nam nummulity; a z tego wynika, że ta skała należy do innego osadu, i zdaje się, że **równocześnie** utworzyła się z piaskowcem karpatowym.

W pobliżu opisaney kopalni żelaza, są szalaszy i zagrodzone polany, **okryte** najrozmaitszemi kwiaty. Gdyby tutaj stała jaka **willa**, byłaby zapewne głośna po całych krajach polskich, dla swych niezrównanie pięknych widoków; ale o tych **biędnych** szalasach nikt nie wspomina, a przecież tutejsi pasterze głęboko czują te piękności przyrody, i to szlachetniejsze uczucie, wywarło zapewne wpływ na usposobienie moralne Podhalanina, na ich obudzone władze umysłowe, w czém się tak wydatnie różnią od reszty ludu polskiego. Dolina Miętusia ma dosyć znaczną długość; prawie godzinę potrzeba, aby przejść od jednego do drugiego końca, od kopalni żelaza, do opisanego wyżej niezmiernego progę. Ta mała podróż należy do rzędu nader przyjemnych; widoki raz wraz się zmieniają, a jeden od drugiego bardziej niespodziany, mile bawi oko. Geolog ciekawe tutaj znajduje zjawiska, świadczące, że te straszne rozdarcia skał, sprawiły nadzwyczajne siły, ukryte w łonie ziemi. Warstwy wapienia szarego, o których właśnie wspominałem, że zawierają taką mnogość skorup morskich ślimaków, pogięły się w potężne łuki, mające niekiedy w średnicy przeszło 200 sążni. Ledwo można sobie wystawić, jak niezmiernęj siły było potrzeba, by sprawić tak ogromne skutki: **wznieść**, **podrzec** owe massy skalne, i pogiąć jakby jakie sprężynki!

Z Miętusiej doliny łatwo można przejść do Kościelskiej; droga ta prawie 3 kwadransę długa, ciągle się

zniza. Na wstępie, wśród lasów, spotykamy liczne źródła najczystszej wody krynicznej; dalej otwierają się polany, ciągnące się aż do naszego celu. Nim opiszę tę najcelniejszą dolinę Tatrową, wspomnieć mi wypada o dclinie, odgraniczającej na północ część Tatrów, zawartą pomiędzy dolinami zakładu hutniczego Zakopanego, a Kościeliską. Droga ta należy do najcelniejszych spacerów, który odbywać można w wygodnym pojeździe po zupełnie znośnym gościńcu, lepszym od niejednego, za który trzeba opłacać. Opuściwszy piękną pudlingarnią, ostatni budynek należący do huty żelaznej, droga ciągnie się prosto wśród bujnego lasu; prawie przy boku przeciwnym, nagle się skręca na zachód, i odrazu znajdujemy się we wiosce Zakopane, prawie milę dłużej, ostatniej na granicy węgierskiej. Na całej tej drodze widać Tatry w całej wspaniałości, w całym majestacie. Od majowej zieloności pól, obsianych owsami, i obszernych łąk, odbijają czarne lasy, okrywające szereg pagórków piramidalnych, zwanych Reglami, a stanowiących pierwsze wzniesienia Tatrów. Nad Reglami wznoszą się wapienne skały szare, dziwnie poszarpane; pomiędzy nimi odznacza się śmiało wysunięty a wyszczerbany Gewant, który w miarę posuwania się naprzód, zmienia swą postać; dalej masa skalna zwana Wielkim Uplazem, mająca zupełnie pozaokrągłane zarysy, a za nią fantastycznie poszarpane i pełne malowniczych krojów skały, wzniesione nad doliną Kościelisko. W samym końcu tego wielkiego obrazu, wyziérają w niektórych miejscach jeszcze wyższe szczyty granitowe, stanowiące jakoby oś łańcucha Tatrowego, wokół którego gromadzą się inne wirchy. Domki dłużej wioski Zakopane, mają po większej części milę wejście; w każdym widać staranie około powierzchowno-

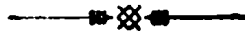
ści i porządek w zabudowaniu. Jeden z odznaczających się domków, położony w nader pięknej okolicy, pod samymi stopy Regłów, należy do wójta téj wioski Chrzeprowskiego. Obszerniejszy od zwyczajnych, ma kilka izb i komór; biała izba ma ściany, wyłożone pięknie wygładzonymi deskami, i żywo przypomina mieszkania szwajcarskie i tyrolskie; obok zwyczajnych sprzętów góralskich, była i komoda z mosiężnymi antabami, a na niej zegar wybijający nietylko samą godzinę, ale i ćwierćgodziny. Kiedy kto z przejeżdżających wstąpi do jego domu, uważa to sobie ten rozsądny a uprzejmy człowiek za niemąły zaszczyt; oddaje mu swą najlepszą izbę na mieszkanie, i wszyscy domownicy zostają gościowi na usługi; a są tak chętni, tak uprzejmi, jakby to była dawna zażyłość.

Niektóre pola Zakopanego w końcu czerwca lub na początku lipca okrywają się różową barwą nader miłą. Pomiedzy owsami, pospolicie wyrasta mniej więcej gesto roślina niezbyt od nich wyższa, z liściem płaskim, podobnym do prostego miecza; na jój łodydze wisi 8 do 12 wielkich dzwonek przyjemnej barwy różowej. Roślinę tę nazywają systematycznie botanicy *Gladiolus communis*. Nasi ogrodnicy hodują ją po ogrodach i dosyć jest cenioną; tutaj rośnie tak obficie, że tłumi wzrost owsa, i dlatego Podhalanin zwykł z dumą mówić: że co u niego zielskiem, to u Lachów (tak nazywają mieszkańców równin), jest kwiatem pielęgnowanym w pańskich zahradkach (ogródkach). Jakież precudne miejsca można by w długiej wiosce Zakopane obrać na wiejskie siedziiby, któreby sama przyroda otoczyła najcudniejszymi ogrodami angielskiemi! Ze smakiem założone wille, uczyniłyby również głośną tę dolinę, jak pobraża je-

ziora Como lub genewskiego. Tatry mają tyle właściwości, tyle niezrównanych wdzięków, że byłby tu pobyt bardzo poeńny; ale trudno przewidzieć, czyli się ziszczą kiedyś te życzenia.

Od potoku wypływającego z doliny Małoląki, zwęza się widocznie nasza dolina; staje się bardzo nierówną, i wzdyma się nadzwyczajnie. Wzniesienie to dzieli zarazem bieg rzék; jedne zmiierzają na wschód ku Białemu, a drugie na zachód ku Czarnemu Dunajcowi; odrazu gubią się domy i znajdujemy się wśród gęstego lasu świerkowego, pomiędzy którym pokazują się precudnej zieloności polańy. Niedaleko przed skalistym otworem doliny Kościeliskiej, droga ciągnąca się pod samemi stopami Tatrów, przechodzi środkiem lasu wysokopiennych świerków; nie widziałem nigdzie wyższych drzew; jeszcze są roślejsze od Zakopańskich. Życzyłoby należało, żeby je zaszanowała nielitościwa siekiera, i aby te okazy pięknych świerków, nie zamieniono na węgiel, któryby służył do wykucia kilkunastu centnarów żelaza na pługi i wozy. Za lasem kilka domków przypomina, że w tych dzikich ustroniach żyją ludzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).



O MIESZKANIACH DLA KLASS ROBOCZYCH.

(Z francuzkiego).

W kilka dni po zaburzeniach czerwcowych z. r., generał Cavaignac, wówczas prezydent władzy wykonawczej, zawezwał Akademią nauk moralnych i politycznych, aby przyłożyła się do usiłowań rządu, walczenia w obronie zasad socyalnych, napastowanych przez pisma kommunistyczne i inne. Oto wyjątek z jego odezwy:

„Jestem przeświadczony, że siła zbrojna nie jest dostateczną do ustalenia materyalnego porządku, jeżeli moralny za pomocą czystych idei, przywrócony nie będzie; za jedyny zaś środek do tego uważam, uspokojenie umysłów przez ich oświecenie.”

Akademia odpowiedziała na to wezwanie mnóstwem stosownych ulotnych pism; lecz gdy te podrzędny tylko wpływ miały, chcąc całkowiec złemu zaradzić, zapragnęła poznać rzeczywisty stan klass robotniczych we Francyi, i w tym celu zleciła jednemu z swych członków, p. Blanqui, objazd kraju, szczególnież departamentów rękodzielniczych.

Że p. Blanqui godnie wywiązał się z włożonego nań obowiązku, dowiódł raportem, który za swym powrotem do Paryża, odczytał na sessyi Akademii d. 2 grudnia

1848 r. Przytoczę z niego kilka więcej uderzających szczegółów.

Dowiódłszy, że departament Niższej Sekwany, tyle odznaczający się rolnictwem, dotknięty został podwójną plagą: pauperyzmu i utopii, i ciągle przewodniczył w zaburzeniach, jakie od lat tyłu dręczą Francją; p. Blanqui szukał przyczyn tego wypadku, i za jedną z najważniejszych stanowczych oznaczył: „niezdrowość zamieszkań klass robotniczych“; przyczynę, o której usunięcie błagał w imieniu ludzkości i moralności.

„Tak, — sąto słowa jego raportu — znajdują się w Rouen miejsca, jak najniesłuszniej mieszkaniem nazwane, gdzie rodzaj ludzki przymuszony jest oddychać nie ozywczém, lecz zabójczém powietrzem; powietrzem, które razi dzieci u piersi matek, prowadzi je do przedwczesnej starości, obciążając niezliczonemi chorobami, a szczególniej reumatyzmem, skrofułami i śuchotami. Nieszczęśliwe istoty, które zdolają ująć tych cierpień, wpadają w niedołęztwo moralne i fizyczne. Z doszłych do lat 20 życia, na stu ledwie 10ciu doliczysz zdolnych służyć wojskowo. Nędza, zimno, złe powietrze, zły przykład, zmęczą je, zniszczą, zepsują przed czasem.”

„Do mieszkań tych biędnych istot, wchodzi się zwykle korytarzami niskimi, ciemnymi i ciasnymi, w których wygodnie stanąć nie można. Dla oszczędności miejsca, przeprowadzono przez nie rynsztoki, ustawicznie napelnione nieczystościami domu. Te rynsztoki ściekają nie do kanałów, lecz rozlewają nieczystość po ciasnym i niewybrukowanym dziedzińcu. Skutki tego, jak zaduch i brud, dają się czuć w całym domu. Schody zwykle bardzo spadziste, są bez poręczy, ciemne i narzucone grzęą i błotem; izby ciasne, źle opatrzone, źle zamknięte, niskie

i prawie zawsze bez sprzętów, które jeśli się znajdują, składają się tylko z gatunku lektyki, łóżka bez pościeli i wyszczerbionego dzbanka, służącego do każdego użytku. Drobniejsze dzieci przepędzają noc na worku, napelnionym popiołem lub trocinami; starsze z resztą familii: ojcem i matką. Kobięty i mężczyźni, spią pospołem w wspomnionj już lektyce; okropne skutki podobnego noclegowiska, każdy łatwo pojmie. Te nieszczęsne schronienia, wynajmują się tygodniowo za 1 frank 60 centimów, do 2 franków (od 2 zlp. gr. 10, do 3 gr. 10). Nięma w nich prawie zawsze szyb w oknach, a wilgoć często tak wielka, że ściany nią przesiąkle, mchem się pokrywają. Właściciele często równie biędni jak ich lokatorowie, nie zajmują się naprawą domów, które co dzień niewygodniejszemi i niezdrowszemi się stają; policya daremnie usiłuje zaprowadzić jakiebądź ochędóztwo. Mojm zdaniem, jedyny środek na usunięcie ztego, byłoby rozebranie tych domów. Czuje to władza, lecz się obawia kosztu i wywłaszczenia tylu właścicieli."

Jeżeli z Rouen przeniesiemy się z p. Blanqui do Lille, jeszcze okropniejsze widowisko ujrzymy; badacz przyznaje z szczérością, że stan klasy roboczj w stolicy najbogatszego z departamentów francuzkich, zdaje się być oddany nędzy, nieznanj nawet ludowi w stanie dzikości zostającemu. Wzdryga się serce chcąc dać obrazek tēj nędzy; niepodobieństwem nawet ją skreślić. W Lille, robotnicy zamieszkują zwykle w piwnicach, umieszczonych 3 do 4 łok. pol. pod ziemią, i niestykających się z domami, do których należą. Światło dochodzi do nich nie oknami, lecz drzwiami wchodowemi od schodów. Mają wysokości 2 1/2 do 3 stóp, a objętość najwięcej 7 łok. kwadratowych; jednak znajduje się znaczna liczba dale-

ko mniejszych. P. Blanqui zwiedził je prawie wszystkie; już to w towarzystwie lekarza, znającego mieszkańców tych podziemi, już téż prowadzony od policyi miejscowej, zdziwionej i przestraszonej nieznanym sobie widokiem. „Trzeba, aby cała Francya wiedziała o tém, co się tu dzieje, a ja zawiadomię ją!” wykrzyknął słuszną zgrozą przejęty filantrop, opuszczając te smutne miejsca, i dotrzymał słowa.

Całe zaś m. Lille, a szczególnie jego najludniejszy i najznakomitszy cyrkuł „Zbawiciela“ (Saint Sauveur), napełnione jest podobnemi piwnicami. Oto obraz ich zewnątrz. Ulice w Lille są ciasne i wilgotne, a opatrzone po bokach cuchnącemi ściekami, zwanemi *couretes*. Na te ścieki, wychodzą okna mieszkańców i drzwi piwnic, do których niejednokrotnie przy gwałtowniejszym deszczu, wlewa się woda z przepelnionych rynsztoków. Przed drzwiami, widzisz zebraną masę dzieci, błagających o jałmużnę. Pokolenie to nędzne; ślady cierpienia fizycznego. malują się na żółtych lub sino-bladych twarzach, bez odzieży, lub łachmanami pokryte...

Jednakże los tych istot można nazwać szczęśliwym, w porównaniu z losem dzieci, które dla wieku lub chłodnej pory roku, muszą zostawać w piwnicach; oddychają przynajmniej wolnym powietrzem, gdy drugie zabójcze, stęchłe zachwytają piersiami. Jaskinie w których zamieszkują, są całkowicie bez mebli; bogatsi tylko, a tych bardzo mała liczba, posiadają żelazny piecyk, drewniany zydół, lub garnek albo dzbanek. „Nie jestem bogatą” mówiła panu Blanqui jedna z mieszkanek tych podziemi, wskazując na chorą sąsiadkę „lecz Bogu dzięki mam przynajmniej snopek słomy, na którym spocząć mogę, gdy ta leży na gołej ziemi.”

Ojcowie rodzin, mało przepędzają czasu w tych nieznośnych jaskiniach, opuszczając je z świtem, a wracając późno w nocy; lecz matki, te przebywają prawie ciągle, zmuszone sercem i obowiązkiem sumienia straży nad dziećmi; żywić je też muszą. „Dreszcz przejmuję na wspomnienie tego pożywienia, mówi p. Blanqui; widziałem zbierające okrawki od kartolli i innych legumin, i gotujące je; widziałem takie, które dla ocieplenia schronienia, paliły stare obuwie, dodające swędu i zaduchu do tego nieznośnego, który już poprzednio miał tu miejsce. Co do dzieci, te zwykle umieszczają w koszykach przy kominie, po troje w jednym; sąto prawdziwe gniazda ptasze z ich brudem, lecz bez powabu. Cóż powiem dalej (słowa to p. Blanqui)? Są wprawdzie obrazy, których oszczędzać czytelnikom potrzeba, lecz też są i takie, które bezustannie trzeba stawiać przed oczy ludziom, aby im dać przestrożę i przypomnieć obowiązki sumienia. W chwili gdy to mówię, więcej niż trzy tysiące naszych współziomków żyje w podziemiach miasta, którego mieszkańcy tak słusznie słyną z swego miłosierdzia i współczucia dla dobra ludzkości. Znajdują się kobiety, których tygodniowe pożywienie ogranicza się na dwóch funtach czarnego chleba; tak wychudzone, że ich ciała prawie przezroczystymi się stały. Znajdują się tysiące dzieci, rodzących się na to tylko, aby umierać długim konaniem. Doktor Gosselet znamienity lekarz w Lille, który ogłosił niedawno statystyczne postrzeżenia nad temi istotami, dowodzi, że na 21 tysiącach, umiera 20,700 przed dojściem do lat pięciu życia!”

Tego samego dnia, w którym p. Blanqui ukończył przegląd piwnic w Lille, zwiedził centralne więzienie w Loos, w którym znajduje się od 1,800 do 1,900

więźni płci obu. Kontrast z widokiem niedawno co mia-
nym przed oczyma, żywo go uderzył. Zwiedzając dom
kary, sądził, że się znajduje w jakim pałacu: wzorowa
czystość, łóżka i pościel porządne, sale i cele dobrze
oświetlone, ochędźne, przewietrzane i ciepłe. Więźnie
ubrani jednakowo w odzież wygodną, obuci dobrze,
wyglądali zdrowo i wesoło. W kuchniach niczego nie
brak, toż samo w magazynach; pożywienie posilne, zdro-
we i regularne. Myśl p. Blanqui mimowolnie przenio-
sła się do zaduchliwych i zatrutych mieszkań klasy
roboczej, wspomniał na dzieci umierające z głodu, na
matki dzielające ich los, na ojców rodzin poczciwych,
pracowitych, oddanych rozpaczy i nędzy... Straszna wte-
dy myśl nasunęła się jego wyobraźni. „Troskliwość pu-
bliczna, wykrzykuje, zaczyna więc czuwać nad obywatel-
em dopiero wtenczas, gdy téj opieki niegodnym się sta-
je! Irząd francuzki nie ma miłosierdzia, tylko nad temi,
którzy zakłócają jego byt i spokojność!” Są przecież lu-
dzie w Paryżu, owszem w saméj izbie reprezentantów,
utrzymujący, że niéma nic w tym względzie do roboty,
i że nic nie powinno się robić.

Dodać winienem, że w najbogatszej i najwięcej prze-
mysłowi i rolnictwu poświęcającej się Francyi, w depar-
tamentach północnych, przypada we wsiach jeden na
pięciu, w niektórych miastach jeden ubogi na trzech mie-
szkańców!... Stosunek okropny, a więcej jeszcze uderza-
jący w Paryżu i w środkowej Francyi.

A jak mu zaradzić? Utrzymaż się jakibądź rząd, jakie-
kolwiek, choćby najlepsze prawa czyliż szanowanemi bę-
dą, bez zniesienia, a przynajmniej częściowego usunięcia
pauperyzmu? Najgłębsi badacze, najznakomitsi ekonomi-
ści polityczni, nie wynalezli jeszcze środka. Według zda-

nia Akademii nauk moralnych i p. Blanqui, jedynym sposobem, wprowadzie nieznoszącym złego, lecz je łagodzącym, byłoby ulepszenie mieszkań klasy roboczej. Oto jak dowodzi p. Blanqui:

„Trudno ocenić, (mówi on) wszystkie korzyści, jakie przyniesie usunięcie plagi złych mieszkań. W nichto zaczyna się rozprzęgnięcie obyczajów, rozryw familijnych węzłów i nędza, mająca w nich swoje źródło. Ojciec opuszcza ze wstrętem nienawistne sobie mieszkanie, i szuka w szynku pociechy i wygodniejszego schronienia; matka zostaje sama z dziećmi, lecz i tę głód do wyjścia, a więc do zostawienia dzieci na łasce Opatrzności przymusza. Mąż przychodzi aby jęzczyć i łajać, i przyucza się powoli do nadużyć siły, dotykającej słabą rodzinę. Badałem z religijną skrupulatnością domowe życie mnóstwa robotników, i śmiem twierdzić, że niezdrowe mieszkania są zawsze początkiem ich nędzy, występków, a następnie wszystkich utrapień społecznego układu. Niéma reformy, która w wyższym stopniu nad tę powinna zwrócić uwagę i poświęcenie się przyjaciół ludzkości; od niej trzeba zacząć, a wszystkie inne same z siebie wypłyną. Bez niej, najkosztowniejsze i najmędrze usiłowania daremnemi będą”.

A przecież ta reforma niepodobną do uskutecznienia nie jest. Dała jój świeżo wzór Anglia, gdzie próby w tym względzie udały się jak najpomyślniej.

W Anglii, równie jak we Francyi, do 1847 a nawet do 1848 r., klasa robotnicza zupełnie zapomniana była. Podnosiły się wprowadzie głosy w jój obronie, lecz te zbyt były słabe, aby dostateczny wpływ wywrzć mogły na umysły; dopiéro usiłowania i filantropia redaktorów pisma czasowego: *The poor-man's Guardian* (Protektor

biędnych), a **nadewszystko** wypadki marcowe 1848 r. we Francyi **zaszły**, otworzyły oczy mieszkańcom Wielkiej Brytanii na **złe** gnieźdzące się w łonie społeczeństwa; **wzięto** się pilnie do pracy, nie szczędzono starań i kosztów, a **te**, jak wspomniałem, pomyślnym skutkiem **uwieńczone** zostały.

Lecz zanim objaśnię, w jaki sposób zajęto się tym świętym obowiązkiem, winienem dać obraz, jaki był, a w części i jest jeszcze stan mieszkań klasy robotników w Londynie, Liwerpoolu, Manchester i innych handlowych i przemysłowych miastach Wielkiej Brytanii.

Trzeba wyznać, że **nędza** tych mieszkań przewyższa okropnością **nędzę**, dotyczącą Francją, a której wizerunek dał p. Blanqui w swoim raporcie.

Schronieniem biędnych w Anglii, są tak zwane domy przytulku nocnego. W każdym mieście znajdziesz ich kilka, kilkadziesiąt, a nawet kilkaset, stosownie do wielkości: zwiedziwszy jeden, ma się obraz wszystkich. Właściciele dają w nich nocleg potrzebującym, za opłatą 6 groszy. Noc niedzielna nie liczy się tym, którzy cały tydzień spali w podobnym domu. Lokatorami zwyczajnie są: żebracy, zamiatacze i śpiewacy uliczni, przekupnie, sprzedający zapalki, robotnicy w dokach, woźnice i furmani, a **nadewszystko** złodzieje, z ostrożności lub z potrzeby niewynajmujący mieszkań tygodniowo lub miesięcznie. W miarę, jak się przedstawiają wspomnieni lokatorowie, mieszczą ich **pospołem**: mężczyzn, dzieci, kobiety, w izbach ciasnych, niskich, cuchnących, wilgotnych, bez światła, bez powietrza, ognia, wody, i pełnych robactwa i brudu, że **nawet** najwięcej spodłone istoty, przywodzą o wstręt. Łóżka składają się z mieszanki słomy, gałganów i wiorów. Te domy, mówi do-

ktor Szmit, są ogniskiem febry i innych chorób; lecz choroby moralne, w daleko wyższym stopniu gnieźdzą się tutaj. „Domy nocnego schronienia — słowa raportu, przez policję parlamentowi złożonego — są głównymi miejscami przechowywania skradzionych przedmiotów, szkołą dla młodych zbrodniarzy, i zazwyczaj pierwszymi domami bezwstydu w cyrkule”.

Te przecież szpetne schronienia, pobudzają w wieczór zazdrość mnóstwa tułaczy, niebędących w możności opłacania w kupnego 6 groszy; są bowiem dla nieszczęśliwych rajem w porównaniu z publicznymi domami schronienia, tak zwanymi *Work houses*, a i w tych domach niezawsze dość mają miejsca do spoczynku; przymuszeni są zatem mimo wilgoci, deszczu lub zimna, przepędzać noc na ulicy, na bruku. Kupią się wtedy w gromadki, 5 do 6 osób, aby trochę żywotnego ciepła, zastąpić brakujące zewnętrzne.

Oto obraz publicznych domów przytułku, jaki daje słynny filantrop p. Karol Cochran, w przytoczonym już piśmie czasowym *Poor-man's Guardian*:

„Ostatniej środy (w listopadzie 1847 r.), udałem się do domu schronienia Świętego Marcina, i znalazłem na ulicy 19 na bruku leżących osób, które nie mogły znaleźć przytułku wewnątrz domu; pomiędzy nimi był 1 mężczyzna, 15 kobiet i troje dzieci. Odźwierny pospieszył na moje żądanie, z daniem stosownych objaśnień, i roztworzył sale mieszczące noclegujących; było ich razem 88. W izbie mężczyzn, łóżka składały się z siennej kłody i kołdry; biedni spali całkiem nago. Odźwierny objaśnił, że tego pragnęli sami, już to dla zmniejszenia ciepła, już też, że oddają odzież do umyślnie na to przeznaczonych izby, która dostatecznie opalona, niszczy znaj-

dujące się w łachmanach robactwo. Opuszczającym rano dom przytułku, dają kawałek chleba i trochę kaszy... Prawie każdy z tych nieszczęśliwych miał febrę. Odźwierny zapewniał mię, że mocno cierpi nad tém, iż nie może dać schronienia biédnym istotom, spoczywającym pode drzwiami, nadewszystko dzieciom, których przeraźliwy płacz brzmiał bezustannie w uszach; ale wszystkie sale były zapelnione. Prócz tego, choćby nawet tym, którzy teraz pragnęli, dał schronienie, w niespełna godzinę byłby napastowanym od nowoprzybywających”.

„W domu schronienia Śgo Pankracego, podobne widowisko. W Lambeth chciałem zwiedzić salę kobiet, lecz tak była napełnioną, że niepodobna wejść było. Gdy odźwierny otworzył drzwi, wydobył się zaduch tak przenikliwy, ciepło tyle nieznośne, że niesposób było przestąpić progu. Zresztą, w owój izbie nietylko na łózkach lecz i na podłodze spoczywały gromady nieszczęsnych, istot”.

„W Holborn znalazłem w salach 84 biédnych, a 4 na ulicy; w Hite Chapel siedmioro wpólnagich dzieci nieznalazszy schronienia, leżało na bruku podedrzwiami”.

Anglia nie znała, a przynajmniej udawała, że nie zna tych szczegółów, dopóki nie ogłosił ich *Poor man's Guardian*; wtedy przez litość, a może dla własnego interesu zajęła się tém, co oddawna było obowiązkiem sumienia i ludzkości, i wzniosł a tak zwane domy-modele, w których potrzebujący robotnicy mogą znaleźć schronienie i pożywienie, już to dniowe, już tygodniowe i dłuższe nawet za opłatą, jaką składali dotąd w domach nocnego przytułku. Zajęło się zaś tém ulepszeniem towarzystwo, skojarzone w Londynie pod nazwą: przyjaciół robotników, któremu przysłali w pomoc rząd i bogacze krajowi.

Wspomniane towarzystwo działając pierwsiastkowo dla próby na małą skalę, ograniczyło się naprzód na przyniesieniu pomocy robotnikom, zamieszkującym część miasta najwięcej ludną, skupioną, a więc nieczystą. W tym celu wybrało miejsce przy ulicy Śgo Jerzego, niedaleko od Church-Lane i innych uliczek i przechodów brudnych i niewygodnie zamieszkanych. Wspomniony dom-model, może mieścić 140 biędnych; jest on gustomniej choć prostej architektury, cztero-piętrowy, nie licząc parteru i kuchni w suterrenach; dobrze oświetlony oknami, i wystawiony na przewiew powietrza. Schody są obszerne, dobrze oświetlone, kamienne; wewnętrzne oświetlenie stanowi gaz, który zapalają w raz oznaczonych godzinach, stosownie do pory roku.

Przy wchodzie do domu, umieszczone jest biuro dyrektora zakładu, gdzie zarazem znajduje się biblioteczka, z której lokatorowie mogą korzystać, lecz ci tylko, którzy zamieszkują dom w najmie tygodniowym, wynoszącym 20 groszy polskich dziennie. W biurze także znajdują się, jak w naszych hotelach u szwajcarów, na drewnianej tablicy zawieszono klucze od wszystkich numerów budowli.

Dom cały jest jak najlepiej urządzony. Zaczniemy od kuchni: jest ona czysta i wygodna, że za wzór porządku może służyć; nie w niej nie brakuje z przedmiotów, które wynalazł ten wiek dla połączenia taniości z użytkowaniem. Miedziane kotły są bez ustanku napełniane wodą ciepłą i zimną, na ogniskach zawsze błyszczący ogień, na środku izby jest stół, na którym lokatorowie, gdy tego zyczą sobie, mogą przygotować swoje pożywienie. Przyległa kuchni spiżarnia, napełniona jest talerzami, miskami i innymi kuchennymi sprzętami, z których lokator ko-

rzystać może. Z dwóch stron kuchni znajdują się sale, przeznaczone na rezerwoar wody, pralnię, łazienkę, suszarnią; wentylator tak urządzony, że roznosi po całym domu powietrze ciepłe lub chłodne, stosownie do potrzeby pory roku, i wreszcie spizarnią ogólną, w której nietylko dyrekcyja, ale i lokatorowie mogą składać swoje zapasy żywności. Dla ostatnich, na ten cel urządzono umyślnie szafy obite cynkiem, numerowane i podziurawione dla dania przeciągu powietrza.

Na parterze znajduje się sala wspólna, umeblowana stolami i stołkami drewnianymi. Błyszczy w niej ciągle w zimie dobry ogień na kominku, latem stosownie przewietrzana, zaleca się zawsze świeżem powietrzem; tutajto zbierają się lokatorowie dla jedzenia, czytania, ogrzania się i rozmowy. Piętra wyższe są całkiem na mieszkania przeznaczone, składają się zaś z obszer-nych izb, w których w każdej znajduje się 13 łóżek. Te łóżka przecież oddzielone są od siebie drewnianymi przepierzeniami, i mają przy sobie tyle miejsca wolnego, że tworzą niejako małe pokoiki, w których łatwo można umieścić krzeselko, kuferek, lub inny jaki sprzęt gospodarski. Na każdym piętrze znajduje się izba wybita cynkiem i opatrzona dostatecznie świeżą, ciepłą lub chłodną wodą, mydłem, szczotkami i grzebieniami, służąca za umywalnię; jest téż skład ogólny na odzież zapasową lub niepotrzebną: jedném słowem, nie przepomniano o żadnym szczególe, mogącym korzystnie wpływać na wygodę i dobro.

Wszystkie zaś te korzyści porządnego mieszkania, z dodatkiem sprzętów kuchennych, mydła, serwet, ręczników, a nawet soli do przyrządzenia posiłku potrzebnej, opłaca robotnik 20 groszami dziennie; jeśli zaś

chce stolować się na miejscu, wchodzi w układ z dyrektorem, która za 40 groszy polskich daje mu śniadanie, obiad i kolacją. Śniadanie składa się z szklanki herbaty i dwóch bułek; obiad, z zupy, sztuki mięsa i jakiej jarzyny lub leguminy; kolacja, z herbaty, jaj i chleba z masłem. Za dwa tedy złote dziennie, mieszkać i żyć może; taniość to nadzwyczajna w kraju równie drogim jak Anglia.

Wspomniony dom-model tyle niezaprzeczenie korzystny wpływ wywarł na dobro materialne klasy robotniczej, że na jego wzór w przeciągu kilku pierwszych miesięcy upłynionego roku 1848, wzniosło się kilkanaście nowych; reszta roku zeszłego i początek bieżącego, również odznaczają się w tym względzie, tak, że obecnie w samym Londynie, liczą już do 120 podobnych zakładów, a drugie tyle w okolicach tej stolicy i w miastach fabrycznych (Liverpool, Manchester, Birmingham). Co więcej, gminy wiejskie zaczynają je wznosić dla swych robotników.

Tak tedy Wielka Brytania, lubo nie miała tyle powodów co Francja zajęciem się zaradzenia złemu, uprzędziła ją przecież; lecz téż wzór jaki dała od niejakiemu czasu, znalazł rozgłos w sąsiednim kraju. Kilku znakomitych filantropów i ekonomistów publicznych, między nimi sam p. Blanqui, naśladować go radzą. Powtarzam, nie usunie on złego, lecz je znacznie, a nawet w stanowczy sposób zmniejszy. Oby to jak najprędzej nastąpiło! Dobro ludzkości i spokojność ogólna, niewypowiedzianie na tém zyskają.

Ale téż nietylko Francja, lecz i inne narody, a szczególnie Belgia i Niemcy winny pójść torem Anglików;

i tu bowiem krzewi się nędza straszna, uderzająca umysł, raniąca serce.

Co się tyczy naszego kraju, szczęśliwszy on od Zachodnich w tym względzie; przecież kto zna schronienia naszych biędnych wyrobników: staromiejskie i nadwiślańskie, przyzna, że i u nas zakłady podobnego rodzaju, jak te, które opisałem, nie są zbyteczne. Dałby Bóg, aby choć jeden taki wzniósł się; dla dobra cierpiącej ludzkości życzyć tego należy. Nadzwyczajnego kosztu nie mamy potrzeby obawiać się: wybudowanie domu schronienia w Londynie, gdzie materiał i grunt 4krotnie przynajmniej więcej niż w Warszawie kosztuje, niewiele więcej nad 300,000 złp. naszych wynosi; za 75,000 tedy, moglibyśmy niejedną łzę otrzeć, niejedno życie zachować, a zarazem wpłynąć na stan moralny ludzi, którzy jak żadni inni, potrzebują poprawy tak w obyczajach, jak i w sposobie życia. Któż bowiem nie przyzna, że ochędństwo, wygoda i moralność, ciągle przed oczyma miane, mogą się wyrodzić w potrzebę, i drugą stać się naturą? Dobrą tedy chęć, trochę piędzy i zajęcia się potrzeba, a stanowczo wpłynąć możemy nietylko na dobry byt dzisiejszego pokolenia klasy robotniczej, lecz i następnych. Oby moje słowa na wiatr rzucone nie były!...

RYS HYDROGRAFII
KRÓLESTWA POLSKIEGO
Z WIADOMOŚCIĄ O SPŁAWACH.

SKRĘŚLIE

Ludwik Wolski.

(Ciąg dalszy).

● magazynach zbożowych.

Cena zboża, tego artykułu, który jest głównym bogactwem polskiego ziemianina, nie będąc dostatecznie regulowana miejscową konsumpcją, tak wielkim i częstym ulega u nas zmianom, że widziano pszenicę w niektórych miejscach i czasach po 8 do 10 złp. sprzedawaną, gdy w innych latach cena jej do 54, a nawet 60 złp. dochodziła. W r. 1817 jęczmień w Krakowie był na złp. 5, w 1818 na 48, a następnego roku spadł znowu na 4 złp. za korzec. Rok 1828 także przedstawia przykład zmiany nagłej cen; proszono się w maju z pszenicą po złp. 12, w listopadzie zaś po 45 złp. dostać jej dosyć nie można było; a gdy nadeszły z głębi Polski przechowane zapasy, już się okoliczności zmieniły. Tak nagłe zmiany cen, odejmują rolnikowi możliwość przyjęcia pewnej zasady, na której mógłby oprzeć swoje spekulacyjne rachuby, i są jednym z głównych powodów, dla których u nas rolnictwo tak mało się wznosi. Rolnik niebędący kapitalistą, rzadko może z roku na rok ze zbiorami czekać, i choć ceny zboża są niskie, i ani za granicą, ani w kraju nie ma odbytu, on zmuszony

potrzebą, sprzedaje swe zbiory po jakiegobądź cenie. Nie zyskają na nim kapitaliści krajowi, bo gdzież złożą zakupione zboże? Staje im na przeszkodzie brak magazynów, które w bardzo małej liczbie u nas znajdują się. Gdańszczanie więc wtedy, w widokach przyszłych, nieomylnych korzyści, skupują po niskich cenach zboże nasze, i składają je w spichrzach swoich, oczekując na podniesienie się cen. Przejrzenie od lat 150 cen targowych w Gdańsku, i samo doświadczenie uczą nas, że w tém mieście po chybionych targach, ceny zboża wkrótce lub po pewnym przeciągu czasu tak dalece się podnoszą, że kto dobrą pszenicę przetrzyma przez lata mniej pomyślnie, znaczną znajdzie korzyść, gdy doczeka się cen wyższych. Pszenica po złp. 10 nabyta, i nawet lat 10 w spichrzu trzymana, licząc opłaty: składowego, przeróbki, assekuracyi i t. d. tudzież procenta od kapitału, jaki ona wyobraża, po tych latach 10 kosztować będzie najwięcej złp. 35; jeszcze więc zostawi właścicielowi możliwość spekulowania przy korzystnych cenach. Chociaż zważając z drugiej strony, korzyści materialne są jedne, czy tanio sprzedać bez wszelkich zachodów i kosztów przechowania, czy téż drożej, porobiwszy znaczne nakłady; ale jest korzyść ta, że nie dopraszamy się z artykułem, który jest nieodbicie potrzebnym, i który prędzej czy później zawsze znaleźć musi kupca. Wprawdzie znowu następuje się ta uwaga, że przechowanie zboża w dużych zapasach i na czas dłuższy, należy dotąd do rodzaju zagadnień nierozwiązanych dostatecznie. Czasami zdarza się, że gdy zabłyśnie nadzieja poprawienia się targów, spekulanci rozjeżdżają się po całym kraju, szukając pszenicy; lecz bardzo często zawiedzionymi w swych rachun-

bach zostają : zanim ją zakupią, zanim ona nadejdzie w miejsce przeznaczenia, pora sposobna upłynie i targi angielskie z innych krajów zaopatrzonemi zostaną. Gdyby w razie każdej potrzeby spekulant był pewnym, że znajdzie w spichrzach polskich znaczne zapasy zboża, i że na nie już z pewnością liczyć może, i on, i ziemianie nasi wspólnie osiągaliby korzyści.

Z tych więc uwag wypada, że posiadanie magazynów zbożowych jest rzeczą nader mocno handel, a zatem i rolnictwo obchodzącą. Korzyści magazynów tych są wielkie : jakoż przy ich posiadaniu, właściciele ziemscy nie byłiby w konieczności pozbywania zboża po niskich cenach, mając jeszcze zapewnione stosowne zaliczenie na zboże do magazynu złożone ; a nagromadzone zapasy zboża w najważniejszych punktach handlowych, przy porze do transportu dogodnej, utworzyłyby korzystne targi, dając możność kupcom zagranicznym nabywania zboża w każdym czasie i z pierwszej ręki.

Prawdę tę pojęli przodkowie nasi, i przy obszernym handlu zbożowym, licznie posiadali spichrze. Najznakomitszemi tu miastami były : Sandomierz, Zawichost, Kazimiierz. Same położenie geograficzne miast tych, dostatecznie nam ten ich stan usprawiedliwia : leżą nad główną rzeką splawną, i w środku najżyźniejszych okolic kraju. Jak ważnemi były one punktami handlu okazuje to, że jeszcze w r. 1790 od pola miasta Zawichosta, splawiono do Gdańska zboża 100,000 korecy, a w latach 1817 i 1818 samój pszenicy wyprawiono 84,000 i żyta 7,600 korecy. Lubo następnie handel zbożem coraz się zmniejszał, wszelako w roku 18²⁷/₂₈ splawiono do Gdańska i Elbląga pszenicy 57,148, żyta 4,943, owsa 20,000, jęczmienia 5,400, kaszy wszel-

kiego gatunku 900, wapna 12,000 korcy. Sandomierz w podobnym będąc jak Zawichost położeniu, lubo nie-tak wielką, jednakże znaczną ilość zboża od pała swego spławiał. To też w miastach tych i obecnie jeszcze znajdujemy do dwudziestu spichrzy, przeszło 47,000 korcy zboża pomieścić mogących; a znajdujemy ślady znaczniejszej ilości spichrzy takowych.

Miasto Kazimierz, owo główne ognisko dawnego naszego handlu zbożowego, i dlatego nazwane małym Gdańskiem, liczne posiadało spichrze: przystań pod miastem istniejąca, cała niemi okrążona była. Bo też tu po nasze zboże zjeżdżali się kupcy z Gdańska, Elbląga, Torunia; był nawet czas, że sami Anglicy mieli tu swoje kantory.

Inne też miasta miały pewne w handlu zbożowym znaczenie, a więc i spichrze posiadały. Dziś spichrze te w następnych znajdujemy miejscach; w *gubernii augustowskiej*: w Łomży, Tykocinie, Ossowcu, Augustowie, Poniemoniu, Aleksocie, Kidulach i Kucharskini; w *gubernii płockiej*: w Nurze, Ostrołęce i Pultusku; w *gubernii warszawskiej*: w Kamionnie, Tokarach, Dobrzykowie, Duninowie, Włocławku, Sulejowie, Uniejowie, Kole i Pызdrach; w *gubernii lubelskiej*: w Kazimierzu, Nowej Aleksandryi (Puławach), Dubience, Kraśnymstawie, Włodawie i Modrzycach; w *gubernii radomskiej*: w Nowém Mieście Korczynie, Sandomierzu, Zawichoście i Pieczyskach.

Lecz wszystkie te spichrze, oprócz kilku, są małoznaczne, a Warszawa bardzo liche posiada. Znajdujące się w niej i na Pradze spichrze, podług podania samych właścicieli, zaledwie 50,000 korcy zboża pomieścić w sobie mogą. Spichrze te po większej części drewnia-

ne, po wielu rozrzucone miejscach, otoczone mieszkaniami i browarami, w ogóle położone w miejscach, w których ładowanie nader jest kosztowném, nawet nie mogą nazywać się składami handlowemi. Oprócz tego, kupujący szukać musi towaru po całym mieście, a sprzedający oddać się w ręce faktorów; assekuracja produktów w tych spichrzach droga, dozór nader trudny. Istnieją tu wprawdzie obszerne i dogodne spichrze p. Piotra Steinkeller, lecz te wyłącznie użyte są na potrzeby wojska.

Otóż więc wszystkie magazyny zbożowe w kraju znajdujące się, nie były dostateczne do pomieszczenia całej ilości zboża na handel przeznaczonego, i nie przedstawiały tych rękojmi i dogodności, jakich tego rodzaju przemysł, dla postępu swego koniecznie wymaga. Rząd przyszedł tu w pomoc. Jakoż z uwagi, że wywóz płodów rolniczych, w sposób w jaki się dotąd odbywał, narażał właścicieli ziemskich na nieuchronne wydatki, gdy tymczasem korzyści onego częstokroć zawodu doznają; chcąc nadto przez połączenie interesów tego rodzaju, zasłonić kraj od nieszczęsnych skutków nieurodzaju, i przez środek niewątpliwy pogodzić pomyślność ogółu z pożytkiem pojedynczych osób: wydany został przez Najjaśniejszego Pana w r. 1830 rozkaz założenia magazynów zbożowych w Nowymdworze i Włocławku, w celu przyjmowania zboża i innych płodów, jakieby właściciele ziemscy na skład do nich oddawać chcieli.

W wykonaniu takowego rozkazu, we wskazanych miejscach otworzone zostały w mowie będące magazyny.

Magazyu w Nowymdworze leży na samym zlanie się rzeki Narwi do Wisły. Otwarcie jego nastąpiło w dniu 29 grudnia 1841 roku.

Podług obliczeń, koszta budowy i utrzymania magazynu tego, są następujące:

	Rub. sr.	kop.
1) Bulwarki i fundamenta	229,120	52
2) Budowa w części obronnej magazynu, podciągnięciem téjże w systemat forteczny spowodowana.	155,859	52
3) Budowa samego magazynu	456,396	12
4) Koszta zrządzone przez powódź	17,237	93 1/2
5) — z powodu pożaru	141,979	31 1/2
Razem	1,000,593	41.

Zsypując zboże na cztery stopy, magazyn ten pomieścić może na każdym skrzydle po 40,000 korcy, a w środku 20,000; razem 100,000 korcy. Zważyć atoli należy, że zsypywanie na cztery stopy da się tylko w zimie skutecznić; magazyn więc właściwie z bezpieczeństwem więcej nad korcy 77,720, licząc w przecięciu na trzy stopy zsyпки, mieścić nie powinien.

Początkowo zsypywali do niego zboże i prywatni, lecz od r. 1844 prawie wyłącznie użytym jest przez Intendenturę armii czynnej, która utrzymuje prawie ciągle w nim po 24,000 czetwerti (39,357 korcy) zboża.

Magazyn we Włocławku poprzednio był także w posiadaniu Intendentury armii czynnej, i dopiero w 1833 roku, oddany został Bankowi Polskiemu.

Gmach ten jeszcze przez rząd pruski wymurowany, leży na nadbrzeżu Wisły, od której oddalony jest na 80 sążni, i front ma do niej zwrócony. Gdy nadbrzeże to wzniesioném jest na 59 stóp nad poziom wody przy średnim stanie, magazyn więc panuje nad całym miastem, a mając zewsząd otwarte pole, widzialnym jest nawet o 3 mile. Zajmuje długości 125, szerokości 111,

o wysokości 56 stóp. Podzielony jest na 6 piętr: dół tworzy wielką salę, użytą na skład różnych towarów kolonialnych, a 5 piętr powyższych, przeznaczone są na składy zboża. Każde piętro zawiera 8 komór, z nich siedm równe są pomiędzy sobą, i mieścić mogą po 600 — 700 korcy; ósma jest nieco mniejsza, z powodu miejsca schodami zajętego. W całym więc magazynie można pomieścić wygodnie 30,000 korcy zboża, a na czas krótki i daleko więcej. Wysokie położenie sprawia w nim mocne cugi, tak korzystne do utrzymania zboża w dobrym stanie.

Naturalném jest, że od ceny zboża zależy ilość składanego tego produktu w magazynie. I tak, gdy w r. 1843, średnia cena pszenicy była rs. 2 kop. 70, w magazynie było jój zaassekurowanej: w marcu korcy 14,619, w kwietniu 18,441, w maju i czerwcu blisko po 20,000, w lipcu 17,778, w sierpniu 15,069; w r. 1844, przy średniej cenie produktu tego rs. 2 kop. 50: od marca do sierpnia było zaassekurowanych po 20,000 korcy; lecz gdy w roku 1847 cena doszła do rs. 6 kop. 10, w magazynie już w miesiącu maju było tylko 8,900, w czerwcu 3,000 korcy, a następnie nie już w roku tym nie assekurowano; wszystko poszło do Gdańska.

Oprócz magazynu tego, w mieście Włocławku istnieją jeszcze pomniejszych składy na zboże. Te, należące do kupców jak i osób niehandlujących, znajdują się w bardzo wielkiej liczbie; cały prawie brzeg Wisły pod miastem, jest niemi zajęty. Po największej części są one murowane; znajduje się także kilka drewnianych, dachówką krytych, lub z dachem drewnianym. Zwykle z końcem zimy są one napelnione zbożem, lecz za otworzeniem splotu, a zwłaszcza przy korzystnych cenach, nie-

raz w ciągu tygodnia już są pustemi. Zdarza się nawet, że gdy niema prędkiego odbytu, część dowiezonego zboża nie może w nich znaleźć pomieszczenia, i skladowana bywa po mieszkaniach, górach domów i t. p. Bo téż dowóz tu zboża jest znakomity; przed otwarciem magazynu Bankowego, oprócz miejscowej konsumpcyi, wynosił w średniém przecięciu do 600,000 korcy rocznie, następnie wzrósł do 800,000 korcy; z których $\frac{3}{4}$ pszenicy, $\frac{1}{4}$ żyta, rzepaku, siemienia lnianego, i małej ilości grochu. Obroty więc roczne dochodzą tu mogą czasem do 30 milionów złotych.

Dowóz zboża odbywa się wodą i lądem: wodą z dalekich stron, lądem z poblizszych. Ten ostatni odbywa się częścią zaraz po żniwach, częścią w późniejszej nieco jesieni; najwięcej zaś podczas zimy, kiedy drogi są twarde i pańszczyzna tak ręczna jak i sprzężajna, mniej do innych rodzajów gospodarstwa potrzebna. Jeżeli jeszcze przed żniwami lub w czasie takowych są korzystne widoki na zboże, dowóz odbywa się wcześniej i szybko; przeciwnie, idzie wolniej i później, jeżeli niema nadziei pomyslnych targów. Odstawka zboża często następuje po sprzedaży jego, podług próbek.

Z Włocławka zboże głównie idzie do Gdańska; splewają je wszakże w części do Bydgoszczy, gdzie przerobione na mąkę, przechodzi do Berlina.

W mowie będące składy zboża, wywierają bardzo użyteczny wpływ na działania handlowe; a wpływ ten powiększają jeszcze zaliczenia, jakie Bank Polski udziela właścicielom na zboże, w magazynie jego zsypywane. I kupcy przyjmując zboże na spichrze, udzielają téż czasem zaliczenia; lecz warunki Banku są daleko korzystniejsze, aniżeli prywatnych. Bank udziela zaliczenia w stosunku połowy ceny, wziętej z przecięcia trzymie-

sięcznego, które po sprzedaniu, właściciel zwraca z procentem po 6%. Nadto, pobiera Bank składowego od korca po gr. 4 za pierwszy miesiąc, po gr. 3 za drugi, a po 2 gr. za następne miesiące. Prywatni w poborze opłat i udzielaniu zaliczeń, żadnych nie trzymają się stałych zasad; umowy na każdy szczegółowy przypadek zawierane, obowiązki obu stron określają. Wszakże złożona u kupca pszenica, zwykle już jest jemu przedawana; tém więcéj, jeżeli co na nią zaliczoném zostało.

Z Włocławka przechodzimy granicę kraju i dostajemy się do Torunia. Miasto to posiada 30 magazynów po większój części murowanych, w różnych częściach jego położonych. Dawniej było ich więcéj, lecz wiele ich zniszczono dla fortyfikacyi i zakupiono na spichrze wojskowe. Dzisiejsze spichrze pomieścić nie mogą więcéj nad 4,000 łasztów. Opłatę od najmu spichrza, pobierają miesięcznie po 15 groszy od łasztu; koszta utrzymania zboża latem i zimą, liczą miesięcznie 2 złp. od łasztu.

W Grudziążu spichrzów jest dwadzieścia kilka, po większój części budowanych nad Wisłą; wszystkie najwięcéj 2,500 łasztów pomieścić mogą. Samo miasto leży na znacznej wzniosłości pochyłój od strony Wisły, i to jest powodem szczególnój budowy spichrzów: od strony Wisły są one wysokie na 7 do 8 pięter; od strony miasta, cztery piętra są w ziemi. W dolnych piętrach prawie zawsze jest wilgoć; wszystko téż zboże zsypują na górne, i wtenczas tylko spuszcza ją na dolne, kiedy mają na statki ładować. Spuszczanie to odbywa się za pomocą rur drewnianych, czworograniastych. Nadbrzeże od strony miasta, opatrzone jest bulwarkiem drewnianym; dlatego statki do samego brzegu dobijają. Na nie zsypują zboże przez rury, zewnątrz spiclerza znajdujące się.

O spichrzach w Gdańsku. Spichrze w Gdańsku budowane podług dawniej struktury, są wąskie, nadzwyczaj wysokie; zwykle mają do 7 piętr. Lubo znajdują się w środku miasta, jednak oddzielone wodą, są w położeniu bardzo korzystnym, bo oddalone od wszystkiego, co mogłoby grozić im niebezpieczeństwem, zwłaszcza od ognia. Dają łatwy przystęp wszelkim statkom, i zarazem dogodność spiesznego ładowania. Miejsce na którym magazyny są budowane, nazywa się Speicher-Insel. Wyspa ta od strony wody, gdyż z jednej tylko dotyka lądu, opatrzona jest bulwarkiem drewnianym, do 10 stóp wysokim, a 20 szerokim.

Gdy ogień największe w spichrzach mógłby zrzucić szkody, najmocniejsze też w tym względzie przedsięwzięte są środki ostrożności; pod żadnym pozorem nie wolno nikomu, nietylko w spichrzach, ale nawet koło nich, ani ze świecą choćby w latarni, ani z fajką chodzić. W czasie zmroku, wolno jest chodzić jedną tylko ulicą, która miasto z tą wyspą łączy, a i to bez światła; tylko ta jedna ulica na całej wyspie jest oświetlona.

Wszystkie magazyny na całej wyspie, ułatwioną mają komunikacją przez uliczki; te tak są wąskie, iż zaledwo dwóch ludzi obok siebie iść może; przy urządzeniu ich miano też to na względzie.

Wszystkie spichrze są prywatną własnością, używane przez samych właścicieli lub najmowane innym kupcom; leżące przy bulwarku są najwięcej poszukiwane. Lubo są wąskie, jednak prawie wszystkie przedzielone są napół belkami i półściankami. W dolnym piętrze składają różne towary i śledzie, w górnych zboże.

Oplata składowego zwykle pobieraną jest od łasztu. Płaci się na miesiąc po gr. 15 w spichlerzu, położonym

blisko wody, i kiedy zboże zsypuje się najwyżej na trzecie piętro.

Jak wszędzie, tak i w Gdańsku zwyczaje raz przyjęte, żadnym albo bardzo małym ulegają zmianom. Do tych zwyczajów należy i ten, że sam kupiec niczem się przy zbożu nie trudni; tak dalece, że spichrz nawet nie zostaje pod jego zamknięciem. Podług próbki, kupuje zboże na giełdzie, lub je w kommiss odbiera; próbkę tę wraz z oznaczeniem wagi, nazwiska szypra lub właściciela, przesyła kornwerferowi. Zobaczmy, coto są ci kornwerferowie.

Przywilej zarządzenia spichrzami, ich dozoru, odbioru i wydania zboża; rozdzielania go w spichrzu tak, aby żadna komora nie była próżna; czyszczenia go, przerabiania, poboru opłaty przypadającej za utrzymywanie w spichrzu zboża; zgoła cały zarząd spichrzem, należy wyłącznie do *kornwerfera*. Ma on więc rozliczne obowiązki, wielką odpowiedzialność; ale téż za to miejsce jego jest bardzo zyskowne.

Posadę takową, udziela zgromadzenie kupców i rada miejska. Wedle zasad przyjętych, ten tylko może mieć prawo do niej, kto przy nieskazitelném prowadzeniu się, przez zbieg nieszczęśliwych okoliczności, przywiezionym został do ubóstwa; doświadczenie jednak pokazuje, że i inne względy zapewniają to zyskowne miejsce.

Kornwerferów jest sześciu, i wszyscy przysięgli. Powiększyć tę liczbę można; lecz że według praw pruskich, każdemu przysięgiemu, sprawującemu obowiązki prywatne, do śmierci przyzwoita utrzymanie zabezpieczyć trzeba: powiększanie więc liczby kornwerferów miejsca niéma. Jeden kornwerfer zarządza spichrzami kilku kupców, bo utrzymywanie oddzielnego kornwerfera wyłą-

cznie tylko do **swoich** interesów, jest kosztowne i opłacić się może **jedynie** takim kupcom, którzy bardzo wielki prowadzą handel.

Ponieważ **spichrz** jest pod kluczem kornwerfera, dla otrzymania więc pożyczki od prywatnych, lub od jakiej instytucji, **koniecznie** potrzebne jest jego stosowne świadectwo; za rzetelność tego, on jest odpowiedzialny.

Kornwerferowie do spichrzów własne dostarczają młynki, harfy, bębny, łopaty, miotły i tym podobne potrzebne sprzęty, i od nich pobierają opłaty. Za odbieranie zboża pod swój klucz, za pilnowanie go przy wnoszeniu i wynoszeniu, pobiera od łasztu 12 gr. pol. Na pozór opłata ta zdaje się być niską; dodawszy jednak do niej wszystkie zarobki z miary, najmu ludzi, i rzeczy do spichrza potrzebnych, zyski kornwerferów dochodzą do summ niepodobnych do uwierzenia. Zwyczaj tu przytém jest, iż oni rachunki swych należności podają kupcom przy końcu roku; rachunki te rocznie dochodzą do 7,000 złp.

O ludziach używanych do robót około zboża. Do wszelkich robót, kornwerferowie dostarczają własnych ludzi. Z nich ci tylko uważani są za stałych, którzy pobierają płacę tygodniową. Płaca ta nigdy dwóch talarów nie przechodzi. Liczby ludzi potrzebnych przy spichrze, oznaczyć nie można; użycie ich bowiem zależy od napływu roboty i od ilości kupców, których kornwerfer interesu prowadzi.

Jeżeli kornwerfer ma spichrze rozrzucone w różnych miejscach, trzyma wtenczas *kluczników*. Tych jest obowiązkiem pilnować, aby w czasie, gdy spichrze są otwarte, ludzie użyci do pracy nie wychodzili. Spichrze otwarte są wtedy tylko, gdy zboże odbierają lub wydają;

w czasie zaś innych robót, jak mierzenia, przeróbki, młynkowania i t. d. są ciągle zamknięte. Ludzie najęci pracują w zimie od godziny ósmej rano, do czwartej po południu; w lecie od siódmej rano, do szóstej wieczorem. W tym czasie, niewolno im pod żadnym pozorem wychodzić. Jeść podają im otworami, w bramach na ten cel urządzonemi.

Ludzi tygodniowo płatnych i kluczników, używa też kornwerfer do pilnowania miary. Oni w czasie mierzenia, obmiatają zboże i zapisują ilość jego. Rachunek ten podawany kornwerferowi, służy do sprawdzenia rachunków przez mierników podawanych.

Miernicy. Ludzie używani do mierzenia zboża, są przysięgli i mają nadane od rządu statuta. Podzieleni są oni na numera, których jest 32; do każdego numeru należy czterech mistrzów i dwóch pomocników. Każdy wchodzący daje tal. 20 wkupnego.

Miernicy mają gospodę we własnym domu na Langen-Markt. Wartość tego domu podzielona jest na akcye, z których każda kosztuje tal. 25. Wkupne, jak i wartość akcyi, po śmierci miernika zwrócone bywa żonie; nadto dostaje ona 10 tal. na pogrzeb. Wybiierają z pomiędzy siebie 6 starszych, którzy pilnują porządku, strzegą kassy i utrzymują rachunki. Wybór ten pada na najstarszych wiekiem. Ci starsi są dożywotni. Prócz nich, wybiierają co dwa lata po dziesięciu, tak, że całkowita ich liczba wynosi 16, i stanowi komitet. Do komitetu tego należy załatwianie wszelkich sporów, i karanie winnych mierników. Zarzut złego mierzenia, nie może być miernikom jako przysięgłym czyniony; niepodobna jest go dowieść, gdyż inni miernicy w razie zarzutu przemierzaliby, a miara ich zawsze się z poprzednią zgodzi. Miara ta jest

czworaka i każda ma swe oddzielne nazwisko. Kupcy pomiędzy sobą kupując, godzą się na *mały* i *wielki* łaszt; mały zawiera 56 korcy berlińskich, wielki 60. Łaszt mały zastosowany jest do miary angielskiej, i na taki prawie zawsze się kupcy godzą. Łaszt duży zastosowany do miary polskiej. Prócz tego są miary: *spichrzowa* (Speicher Mass) i *okrętowa* (Schiffer Mass). Różnica między temi miarami jest: iż na pierwszą kupują, na drugą sprzedają. Wszyscy obywatele tak polscy jak pruscy, są podciągnięci pod miarę spichrzową.

Podług przepisu, i sprzedający i kupujący płaci mierzownikowi 3 złp. Zarobek wszystkich innych ludzi użytych do pracy, jest tu oznaczony. Zwykle są oni płatni dziennie. Różnica w robocie ludzi wprawnych i świeżo wziętych, uważaną jest podług wartości 12 grp., to jest: jeżeli wprawny bierze 2 złp., świeżo najętemu dają złp. 1 gr. 18.

Przy czyszczeniu zboża, do każdego młynka używa się ludzi trzech. Z tych: obracający koło bierze złp. 2, usypujący i odrzucający płatni są po złp. 1 gr. 18. Trzech ludzi przepuści dziennie przez młynek 3 łasztu.

Przy przeróbce, jeden człowiek przerzucić może 20 łasztów; jednak im więcej ludzi przerzuca z jednej gromady, tém sporzej idzie robota i pomnaża się w stosunku 5 łasztów na jednego człowieka; to jest: jeden człowiek przerzuci z jednej gromady 20 łasztów; jeżeli dwóch ludzi przy téj samej gromadzie pracuje, przerzuca wtedy 50 łasztów, to jest każdy po 25; trzech ludzi przerzuci dziennie 90 łasztów, to jest każdy po 30. Zależy jednak wiele od dogodności miejsca. Od przeróbki, robotnik płatny jest dziennie złp. 1 gr. 18.

Od wnoszenia zboża, płaci się od łasztu złp. 2, jeżeli na pierwsze piętro i spichrz przy bulwarku leży; za każ-

de piętro wyżej, płaci się więcej 12 gr. Ludzie używani do wnoszenia zboża na spichrz, zwani są przez Polaków *Szurkami*, a przez Niemców *Sackträger*. Gdy spichrz przy bulwarku leży i wnoszą zboże na pierwsze piętro, używają do tego ludzi siedmiu: z nich dwóch nasypuje kopańkami w worki, a pięciu nosi. Jeżeli wnoszą wyżej jak na pierwsze piętro, lub jeżeli spichrz jest odległym, to używa się więcej ludzi do noszenia.

Do wnoszenia i wynoszenia zboża, ma prawo wydawać worki tylko *korn-kapitan*; wszakże do wnoszenia może *kornmoerfer* upoważnić, do wynoszenia zaś nigdy.

Korn-kapitanów jest 128; podzieleni są na numera, których jest 32, a zatem do każdego numeru należy ich czterech. Do wynoszenia zboża ze spichrzów, utrzymują kolejną porządek numerów. *Korn-kapitanowie* mają swój cech i gospodę we własnym domu na Jopen Gasse. Własność tego domu podzielona jest na akcye; każda z nich wynosi 25 tal. Do kamelaryi każdy płaci wkupego tal. 80. Rocznie płacą oni 12 tal. do *Wittwen Kasse* i tyleż podatku *Gewerbsteuer*.

Jeżeli spichrze są daleko od bulwarku położone, wtedy z nich nie wynoszą zboża, lecz wywożą, i do tego używani są *gersz-kapitanowie*. Tych jest 16. Równie jak poprzedni, mają swoją gospodę na ulicy *Schiferej* i też same opłaty.

Jeżeli obywatel sprzedaje zboże na miejscu, wtenczas opłaty *korn-kapitanów* i *gersz-kapitanów* nie obciążają jego rachunku; lecz jeżeli zostawia zboże na składzie, wtenczas koszta tak znacznie się pomnażają, iż łatwo połowę wartości dochodzą.

Gdy zboża przychodzącego do Gdańska nie może sam właściciel sprzedać, używa do tego *kommisanta*; temu

pląci się 1^o/_o. **Kommissantem** nie może być kto inny, tylko osoba w Gdańsku zamieszkała, posiadająca prawo obywatelstwa Igo rzędu (Grossbürger), i mająca prawo handlowania za morzem. Nabycie takiego prawa, kosztuje do 500 talarów.

Obywatel przywożący zboże na statkach, zatrzymuje się o pół mili od Gdańska, to jest przy ujściu Motławy do Wisły, i tam wyladowywa zboże na ląd dla przerobienia. Ląd podzielony jest na plany, i takie tylko na 24 godzin wynajmują. Lubo po większej części właściciele zboża, przeróbki téj dopełniają swemi ludźmi, jest jednak dogodniéj powierzać ją kommissantom, gdyż ci wybierają najlepsze plany, to jest takie, gdzie jest najtaniéj i gdzie najlepší wiatry przeciągają; prócz tego kommissanci płacą na 24 godzin od planu po 7 sr. gr. i 3 fenigi, i tyleż liczą w podawanych rachunkach, a obywatele zmuszeni są brać pozostałe, czasem najgorsze miejsca, i jeszcze podwójną za nie uiszczają opłatę. Mając ludzi wprawnych do téj roboty, kommissanci w jednym tygodniu tyle prawie wyrabiają, co ludzie na statkach przybyli ledwo w 4 tygodnie ukończyć potrafią.

Po dokładném przerobieniu i wysuszeniu zboża, kommissant, któremu powierzona jest sprzedaż jego, bierze próbkę, przeważa ją, i jeżeli od ręki sprzedać nie może, wystawia ją na giełdzie z oznaczeniem wagi, ilości zboża, nazwiska jego właściciela i prowincyi, z jakiej pochodzi. Gdy się ugodzi, wtedy próbkę tę przesyła do kornwerfera kupca, z którym wszedł w układy; kornwerfer sprawdza ją i następnie zboże mierzyć każe. Jeżeli zaś zboże nie trzyma oznaczonej próby, to dopóty na koszt właściciela przerabiają i czyszczą je, dopóki nie doprowadzą do oznaczonej wagi. Średnia waga pszenicy jest 130, żyta 119 funtów holenderskich.

Po **przemierzeniu** zboża, kornwerfer wydaje kwit z odebraną ilości. Według kwitu tego, kupiec płaci; lecz **że po większej** części kupcy nie zaraz płacą, kommissant więc musi zaliczać, czyli raczej zapłacić, a następnie urządza swoje rachunki z kupcem. Z tego powodu jest tu zwyczaj, iż kommissant kiedy się ugodzi na 300 złp., bez żadnej już innej umowy dostaje 305³/₄. Nadpłata 5 złp. jest zyskiem kommissanta, jako wynagrodzenie za **czekanie** i starania, a ³/₄ wnosi do kamelaryi za **mierzenie** (Scheffelgeld).

Jeżeli obywatel niemogący sprzedać zboża chce zaciągnąć pożyczkę, obowiązkiem jest kommissanta wystarać się o nią. W zaciąganiu pożyczki przez obywatela i kupca zamieszkałego w Gdańsku jest ta tylko różnica, iż na wexlu obywatela, obok podpisu jego, powinien być i podpis kommissanta. Bank, równie jak prywatni, udziela pożyczki czyto na towary, czy na zboże, aż do wysokości ²/₃ wartości; ta tylko zachodzi różnica, iż w ocenianiu prywatni biorą za zasadę ceny targowe, a Bank zsyła swego taxatora i podług téj **taxy** w ²/₃ wypożycza. Formalności przy zaciąganiu pożyczki od Banku jak i od prywatnych są prawie te same. Pożyczający, składa solą wexel na wypożyczoną summę; na nim wyraża, iż w razie nieuiszczenia się z długu w terminie, Bank bez żadnych innych formalności, może natychmiast sprzedać zboże przez publiczną licytacją, a w przypadku niedoboru, że całym majątkiem jest odpowiedzialny. Załącza także świadectwo assekuracji ogniowej, i wydaje assygnacją do kornwerfera, iż zboże złożone w spichrzu pod jego adresem, oddaje do dyspozycji Banku. Assygnacją tę kornwerfer poświadcza, biorąc na siebie zobowiązanie zastosowania się do tego polecenia.

Bank od wypożyczonych summ bierze tylko 5%, a prywatni 6; jednak w ogólności udają się po pożyczkę do prywatnych chętniej, a to z następujących powodów: że Bank wypożycza tylko na krótkie terminy; że w każdym razie, choćby termin wypłaty jeszcze nie nadszedł, a ceny zboża się zniżyły, w tym stosunku pożyczający odplacać musi; w przeciwnym bowiem razie zboże jego w przeciągu 3 dni byłoby sprzedanem; że znacznie mniejsze Bank udziela pożyczki.

Przez czas pozostawiania zboża w spichrzu, koszta utrzymania jego, należą do właściciela.

Stanowczą różnicę ceny w gatunkach zboża trudno oznaczyć; ta bowiem zależy od tego, w jakiej ilości i gdzie najwięcej zamówiono.

Najpiękniejsze gatunki pszenicy posyłają do Londynu, mniej piękne do Liwerpool, średnie do Holandyi, najgorsze do Francyi. Najczęściej kupcy gdańscy kupują pszenicę piękną białą, dla mieszania jej z gatunkami pośledniejszymi. Najwyższa różnica co do ceny między gatunkami, bywała do 30 złp. na łaszcie.

Najwięcej odznaczające się gatunki pszenicy są: *biała* (weiss), *wysoko-pstra* (hochbunt), *biało-pstra* (weissbunt), *mocno-pstra* (starckbunt), *pstra* (bunt), *czerwono-pstra* (rothbunt), *czerwona* (roth); pszenica której końce nie są czyste (bezogene), *murząca* (schwarz-spitzig albo blau-spitzig). Wszystkie te gatunki dzielą się jeszcze na dwie odmiany: *mające lustr* (blank) i *mgliste* (matt).

Pszenica najpiękniejszy lustr mająca straci go zupełnie, jeżeli w spichrzu się zagrzeje; z tego względu w lecie, kiedy powietrze jest parne, najtroskliwszego potrzebuje dozorowania, i wówczas czyszczenie zboża lub jego przerabianie, powinno się co dzień odbywać.

Stałej ilości przeróbki oznaczyć nie można; zależy ona wiele od gatunku zboża, więcej jeszcze od pory roku wilgotnej, parnej lub gorącej. Czas, kiedy zboże ruszać się zaczyna, kiedy kwitnie, kiedy powietrze jest parne i pochmurne, najszkodliwszy wywiera wpływ na zboże w spichrzach złożone. W tymto czasie nabierają życia wolki i inne białe robaczki jeszcze szkodliwsze. Przeciwno nim jedyny zaradczy środek jest jak najczęściej przerabiać zboże. Przeciw szczerom trzymają koty, których spichrze są stałym zamieszkaniem, i których niezliczone jest mnóstwo w Gdańsku.

Handel w Gdańsku podzielony jest na dwie gałęzie: jedni zakupuja dla Anglii zboże już będące w Gdańsku, drudzy zakupuja zboże nadchodzące z Polski. Pierwszych nazywają *kommissantami angielskimi*, drugich *faktorami*. Ci ostatni dostarczają zboże kommissantom. Zatrudnienie faktorów jest mniej zyskowne, za to kommissantów więcej na *risico* wystawione. Byli tu dawniej tacy, którzy wszystko zboże z Polski przychodzące zakupywali, a to dla utrzymania ceny. Byłato klasa kupców najzamożniejszych. Niewolno było kommissantom od kogo innego, tylko od nich zakupywać zboże. Lecz od czasu zaprowadzenia podatku *Gewerbsteuer*, przy opłacie którego wolno jest każdemu bondować, a więcej od czasu zamknięcia portów Anglii, ta gałąź handlu wraz z zamożnością kupców zupełnie upadła.

Stan handlu Królestwa drogą wodną prowadzonego.

Otoczeni krajami obfitującymi w plody ziemne, nie mając ani jednego punktu zetknięcia się z morzem, co

do tych płodów swoich liczyć musimy tylko na wewnętrzną konsumpcją i na Anglią, przez pośrednictwo Gdańska. Lecz co do tych ostatnich, często tylko ludzimy się nadzieją. Rozpoznamy nasze względem nich stanowisko. Miasto Gdańsk z kilku rybackich chat powstałe, kupiło sobie następnie od Polski przywilej nakładania na nią kontrybucyi i dowolnego rozrzadzania jej płodami. Wszakże teraz cały handel nasz oparty jest głównie na tém mieście; producenci więc nasi ze zbożem tam dążą choć często ulegać muszą dowolności miasta tego, i sprzedawać tam swe płody po cenach, jakie im na zgromadzeniach giełdowych podają. Interes jego ściśle połączony jest z interesem naszym: bo dowozy nasze stanowią więcej, jak połowę całkowitego obrotu handlowego w tém mieście. To pokażą nam daty statystyczne, o handlu Gdańska w 1847 roku; lecz poprzednio poznajmy nasze miasta handlowe: Włocławek i Nieszawę.

Miasto Włocławek, poznaliśmy już przy opisie jego magazynów zbożowych; tam widzieliśmy, jak znakomite są dowozy zboża do miasta tego, i że obroty handlowe, mogą dochodzić rocznie do 30 milionów złotych. Znajdować się więc tam muszą odpowiedni kupcy. Jakoż, kupców zbożowych hurtowych we Włocławku jest znaczna liczba. Mają oni swych kommissantów, którzy rozjeżdżają się w okolice, a nawet i w dalekie strony za kupnem zboża od obywateli i włościan. Jest tu także znaczna liczba mniejszych kupców; ci zwykle skupują częściowo zboże dla odprzedania go następnie kupcom hurtowym; często są oni téż ich kommissantami. Za wysyłane zboże, kupcy przyjmują w części zapłaty i towary kolonialne, których trudnią się handlem obok han-

dlu zboża. **Przywóz** towarów tych mniej bez wątpienia kosztuje ich, jak kupców innych miast odleglejszych, a odbyt na nie mają zapewniony; bo jak sami otrzymali je w zapłacie, tak téż i najczęściej płacą niemi za zboże. W jednym więc czasie podwójne zbierają zyski. Na wyprawione zboże do Gdańska, ciągną oni w pewnej części wexle na to miasto, a w części otrzymują ztamtąd wexle na Berlin lub Warszawę. Wexle na Gdańsk sprzedają w Bydgoszczy, Toruniu, Warszawie; otrzymują więc monetę polską i pruską na wypłaty za zboże.

Ten ruch handlowy, bardzo korzystnie oddziaływa na majątki ziemskie; bo przy zapewnionym odbycie zboża, ułatwieniach handlu, udoskonala się gospodarstwo, i wartość dóbr wzrasta. Obywatel pewny jest więc, że nie dozna zawodu w spieniężeniu swych płodów; że jego praca, jego nakłady nie będą udaremnione, owszem, sowiec wynagrodzone zostaną; usilnie więc przykłada się do tego rodzaju produkcji. Włościanie naśladowują panów; a tak ogólny dobry byt wzrasta. Składając zboże do spichrzów, obywatel rzadko kiedy daje kupcom komis do sprzedaży; najczęściej za podniesieniem się targów lub zjawieniem potrzeby, sam tu zjeżdża, lub przysyła swego pełnomocnika.

Takato jest ważność miasta Włocławka dla handlu zbożowego. Położone na 6 mil przed wejściem Wisły w granicę pruską; położone w powiecie, który wyjąwszy nadbrzeża Wisły, posiada prawie najurodzajniejsze w kraju grunta i produkuje w bardzo znacznej ilości pszenicę, jedynie Sandomierce pierwszeństwa ustąpić mogącą; miasto to stało się najważniejszym u nas punktem handlowym. Widać téż tu corocznie przybywające nowe domy mieszkalne i spichrze, powiększającą się ludność;

widać postęp usiłowań prywatnych, wspieranych pomocą władz; uregulowane ulice, zaprowadzone bruki i ścieki, nadbrzeże kamienne: wszystko to zapewnia dla handlu wielką dogodność, i stanowi zarazem znakomitą ozdobę miasta. Wpadająca do Wisły pod miastem rzeczka Zgłowiączka, jakkolwiek sama mała, bo zaledwie 4 mile długa, jest wszakże dla handlu przydatną, bo daje statkom pewne schronienie.

Leżące dalej miasto Nieszawa, już nie prowadzi tak znakomitego handlu zbożowego; tylko handel ekspedycyjny wielką tam gra rolę. Kupcy tamtejsi od ekspedowanych przez nich towarów z Polski prowadzonych, liczą sobie komisu $1\frac{1}{2}$ ‰. Lubo cło wychodowe nie jest bardzo znaczne, ztémwszystkiém fracht, opłaty na komorze pod tytułami: windowe, wagowe, plombki i t. d., dalej cło wchodowe pruskie w Toruniu opłacać się winne i inne rozliczne wydatki, sprawiają, że prowadzący transporta do Gdańska, często znajduje się w koniecznej potrzebie zaciągnięcia pożyczki. Takową otrzymać może w Nieszawie, lecz najczęściej spłacić ją musi w Toruniu, a nie po sprzedaży towaru w Gdańsku. Tam więc, w Toruniu, spławiający nową nieraz zaciągać musi pożyczkę na spłacenie pierwszej i dalszy spław do Gdańska. Kupcy nieszawscy wysyłają w tym celu swoich kommissantów do Torunia na koszt spławiającego. Procent od pożyczek tych bywa nieraz bardzo wysoki. Znajomi mogą czasem otrzymywać pożyczki do samego Gdańska. Trudnią się téż kupcy tutejsi i ekspedycją towarów do kraju wprowadzanych, i na nie również udzielają zaliczenia.

Miasto Toruń, korzystając ze swego szczęśliwego położenia nad Wisłą i bliskości najżyźniejszych prowincyj

polskich, cały niemal handel zbożowy posiadało. Wzniesienie się miast Grudziąza, Kwidzyna, Szulca, Chełmna, Bydgoszczy i innych w Prusach, stanowiło początek upadku jego; lecz Włocławek i Nieszawa ostateczny mu cios zadały, tak, że Toruń dziś jest prawie niczém, i cały handel jego, równie jak Grudziąza, zasadza się na dowozie zboża z przyległych prowincyj pruskich i poblizszych okolic Polski; któreto zboże miasta te zakupują dla Gdańska i Berlina.

Przystępujemy teraz do Gdańska, a mianowicie, jakśmy założyli, wykażemy tu stan handlu jego w 1847 r.

Zdanie ogólne, które przeważało przy końcu 1846 r., że rok następny wywoła bardzo rozległe operacye w handlu zbożowym, sprawdziło się w zupełności. Chybiłone zbiory zboża i klęska zarazy kartosli, jaka dotknęła wiele krajów, a szczególnie Irlandyą i Szkocyą, tak, że im zupełnie na tym produkcji zbywało, spowodowały czynne poszukiwania zapasów żywności. Ztąd ceny poszły w górę i najwyższej swój stopy dosięgły w miesiącu maju, kiedy płacono za łaszt pszenicy aż do 300, a żyta do 235 talarów pruskich. Potrzeby te wywołały zawieszenie prawa zbożowego w Anglii, i następnie różne spekulacye bez miary. Anglia zakupywała zboże na morzu Śródziemném, Czarném i w Ameryce po cenach wysokich i przy kosztach transportu bardzo wygórowanych. Niezmierne dowozy zboża i mąki z Ameryki i morza Czarnego, przy nadziei obfitych zbiorów, wydały w czerwcu ruch wsteczny w cenach. Wszystkie te okoliczności sprawiły w kraju takie przesilenie handlowe, jakiego roczniki nawet przykładowo nie przedstawiają. Piędziesiąt stał się nadzwyczaj rzadkim, zaufanie zachwia-

ło się, eskont poszedł od 10 do 12 na sto pierwotnej wartości, domy nawet pierwszej klasy zostały zrujnowane. Przy takim sparalizowaniu handlu, ceny zboża zniżyły się we wszystkich innych krajach, i wywarły podobną reakcją na nasz handel, tak, że nasze ceny były istotnie niższe jak z początkiem roku, albowiem dochodziły tylko 160 tal. pruskich za łaszt pszenicy, a 115 za łaszt żyta w dobrym gatunku.

Francya poczyniła także znaczne zakupy zboża, nade wszystko na morzu Czarném dla swych portów morza Śródziemnego, i na Bałtyku w Holandyi i w Hamburgu, dla portów kanału La Manche; lecz gdy zbiory jęj dopisały, i zdawało się, że zbiory te zupełnie wystarczą na miejscowe potrzeby, żądania więc zboża zupełnie ustały.

Przy pomyślnych zbiorach naszych, mogliśmy i wewnętrzne zaspokoić potrzeby, i jeszcze zbywającą ilość przesłać do Gdańska. Jakoż, dowóz tam naszej pszenicy wynosił 21,284 łasztów, a nadto sprowadzono tam z Rosyi, Galicyi i Prus do 13,000 łasztów. Z tego, w składach miejscowych było w końcu roku zaledwie 3,000 łasztów; wszystko poszło do Anglii i innych państw, a mianowicie:

28,133	łasztów	do Wielkiej Brytanii
3,433	—	do Francyi
1,448	—	do Belgii
4,728	—	do Holandyi
963	—	do innych krajów

razem 38,705 łasztów.

Stosunek ceny pszenicy angielskiej i zagranicznej jest taki: Jeżeli kwarter pewnego gatunku pszenicy angielskiej jest wart szylingów 54 (korzec pol. złp. 47,6), to pszenicę zagraniczną płaci się następnie za kwarter:

gdańska, celna, biała . .	szylin. 58 (korzec pol. złp. 50,9)
— zwyczajna	— 54 (— — 47,6)
odeska	— 46 (— — 40,6)
kanadyjska	— 48 (— — 42,3).

Najniższa cena, jaką Anglia za kwarter swój pszenicy rachuje, jest szylingów 58.

Najniższa cena, po jakiej z zagranicy przystawić można pszenicę do Anglii z cłem stałym 4 szylingi od kwarteru ($3\frac{1}{2}$ złp. od korca), jest następująca:

Gdańska, gdy w Gdańsku ma cenę 38 szylin. za kwarter, w Anglii sprzedawana jest po szylin. 55 za kwarter.

Odeska, gdy w Odessie ma cenę 30 szylin., w Anglii — 52 —

Kanadyjska, gdy w Kanadzie ma cenę 41 szylin., w Anglii . . . — 59 —

Atoli przy takich najniższych cenach, kupiec nie miałby zysku.

Żyto. Zbiór tego produktu był dosyć dobry w prowincjach cesarstwa rosyjskiego; ztamtąd téż otrzymano zapasy jego w ciągu zimy, lecz gdy chybione zbiory kartofli w Polsce wywarły znaczny wpływ na żyto, dowozy więc jego były niezbyt znaczne, tém więcéj, że i ceny znacznie zniżyły się na targach; płacono je bowiem po 100 do 115 talarów pr. za łaszt.

Wywieziono artykułu tego następną ilość:

do Holandyi	łasztów	84
— Szwecyi i Norwegii . .	—	326
— innych krajów	—	44
		razem. . . . 454.

Zapasy, jakie pozostały w magazynach w końcu roku, wynosiły tylko 424 łaszt.

Groch. Zbiór grochu w 1847 r. był obfitszy niż w roku poprzednim; jednak do Gdańska niewiele go posłałiśmy. Ceny, które w maju doszły do 225 tal. pr. za łaszt, spadały stopniowo i nareszcie w grudniu wynosiły tylko 115 talarów.

W magazynach z końcem roku pozostało artykułu tego 135 łasztów, a ilość wyprowadzona w ciągu roku, wynosiła 973 łaszt, z których 762 do Anglii, 171 do Holandyi, reszta do innych portów.

Jęczmień. Zbiory jego były mierne, dowóz téż mały; a szczupły zapas z roku poprzedniego pozostały, zaledwie był wystarczającym na wewnętrzną konsumpcją. W maju artykuł ten płacono po 165 tal. pr. za łaszt, a w końcu roku ceny spadły do 102 tal. Wywóz doszedł tylko do 148 łasztów, z których: 121 do Anglii, 10 do Holandyi, 10 do Norwegii, 7 do innych krajów.

Zbiór *owsa* był średni, to téż i mało mogliśmy do Gdańska wysłać; dowozy więc jego w ciągu roku ograniczyły się na tém, co okoliczne folwarki dostarczyły, i obrócone były na miejscową potrzebę. Ceny jego dochodziły do 80 i 90 talarów, średnie wszakże były 55 tal. pr. za łaszt. Wywieziono go w ogóle 492 łaszt do Anglii, 28 do Szwecyi i Norwegii, razem 520 łasztów.

Zapasy wynosiły tylko 32 łaszt.

Len w ziarnie i rzepak. Wywóz morzem tych artykułów nie był znaczny, większy wszakże jak w 1846 r., wynosił bowiem: lnu w ziarnie 257, z których 113 do Anglii, 89 do Holandyi, 55 łasztów do innych krajów. Pozostało go na składach 315 łasztów. Ceny roczne dochodziły od 123 – 145 tal. pr. za łaszt.

Przeciwnie zbiór rzepaku w porównaniu z r. 1846, chybit, nadewszystko pod względem gatunku. Wywie-

ziono go 855 łasztów do Anglii, 184 do Belgii, 56 do Holandyi, 68 do innych krajów. W końcu grudnia było na składach 1082 łasztów, z których największa część należała do właścicieli młynów olejnych. W październiku płacono łaszt po 120 talarów.

Mąka pszenna. Okoliczności sprzyjały wywozowi tego artykułu, albowiem wysłano go 1505 beczek do Anglii, 92 do innych krajów. Zdaje się, że stopniowo artykuł ten przestanie figurować w wykazach ekspedycyjnych portu Gdańskiego, albowiem wysoka jego cena, nie pozwala miejscowym młynarzom rywalizować z zagranicznymi fabrykantami. Zapasy jakie pozostały w końcu roku, wynosiły 3,000 centnarów.

Zbierając wszystko to cośmy dotąd widzieli, wypada, że od początku kwietnia do końca roku, wyprowadzono z Gdańska:

Pszenicy	łasztów	38,705
Żyta	—	454
Grochu	—	973
Jęczmienia.	—	148
Owsa	—	520
Lnu w ziarnie.	—	257
Rzepaku	—	1,163.
Pozostało na składach:		
Pszenicy	—	3,338
Żyta	—	424
Grochu	—	135
Jęczmienia.	—	32
Owsa	—	40
Lnu	—	315
Rzepaku	—	1,082
Mąki	centn.	3,000.

Według wykazów giełdy gdańskiej, najwyższe i najniższe ceny zboża, licząc na laszt 60 szefli berlińskich, były następujące:

W miesiącu	Pszonica	Żyto	Groch	Jęczmień	Owies	w ziarnie	
						Len	Rzepak
Styczniu.	"	"	"	"	"	"	"
Lutym.	"	"	"	"	"	"	"
Marcu.	200 235	"	"	"	"	"	"
Kwietniu.	220 270	150 230	160 205	166	"	145	"
Maju.	250 300	200 235	200 227	165	"	"	"
Czerwcu.	220 280	215	204	"	"	136	"
Lipcu.	215 250	"	"	"	"	"	17
Sierpniu.	180 220	"	"	"	"	"	"
Wrześniu.	150 175	100 110	107 126	76	"	"	"

Wykażemy teraz stan handlu drzewnego w Gdańsku 1847 r.; lecz naprzód kilka ogólnych w tej mierze zamieścimy uwag.

Jak ze zbożem, tak i z drzewem głównie liczymy na Gdańsk, chociaż ono bywa spławiane i przez rzeki Niemien i Wartę do miast portowych pruskich: Memla i Szczecina. Przedmiotem handlu jest szczególnie drzewo sosnowe i dębowe; mniej pokupne jest drzewo świerkowe i jodłowe; zaś drzewa modrzewiowego, za granicą w handlu poszukiwanego, nasze lasy nad spławem położone bardzo mało dostarczają.

Gatunki i wymiary drzewa handlowego są następujące:

Drzewo okrągłe sosnowe i świerkowe, długie 18 do 50 stóp, a 13—18 cali w odrębie mające.

Brusy i belki sosnowe, 18—60 stóp dług., 12—14 cali i więcej do ostrego kantu obrobione.

Kłocę dębowe i bukowe, 18—50 stóp dług., 12—14 cali w kwadrat.

Brusy i belki dębowe i bukowe, 18—50 stóp dług., 12—14 cali w kwadrat.

Bale dębowe $2\frac{1}{2}$ — 3 cali ang. grube, 12 szerokie, 24 stóp długie. Przy grubości cali 4, wymagana jest długość stóp 30, a grubsze powinny trzymać najmniej stóp 36.

Tarcice 1—2 cali grube, różnej długości.

Wanszosa (*wagenszosa*, zwykle *wanczosa*) 9—20 stóp dług., 12—16 cali w kwadrat, wyrobione z poćwiertowanych dębów.

Kleпки dębowe 3, 4, 5—6 stóp dług., 3 cale grube, sześć cali szerokie.

Szczapy dębowe na kleпки (*klappholz*), 3, 4, 5 stóp długie, z grubego obrobione, szerokie w podstawie od rdzenia $4\frac{1}{2}$, u góry przy korze 6, a na łuku 9—10 cali.

Krzywki 10 stóp dług., 9—10 cali w kwadrat.

Obecna potrzeba podkładów pod szyny do dróg żelaznych, utrzymuje one w cenie; wyrabiają się one trójgraniasto po 8—9 cali w każdym boku, albo też 8 i więcej cali w kwadrat, 9, 18 lub 27 stóp ang. długie. Dawniej dostarczano je w stanie okrągłym, dopiero od r. 1845 zaczęto z Polski obrobione wyprowadzać.

Sprzedaż i ceny drzewa.

Maszty sprzedają się na sztuki, zredukowane na 70 stóp długości, i za takie płacono w Szczecinie w r. 1845 20—30 talarów za sztukę, niekiedy po 13—15 sr. gr. (78—90 gr. pol.) za stopę bieganą. Szpiry zredukowane na sztuki po 50 stóp długości, po 2—10 talarów.

Wszelkie drzewo okrągłe, brusy i belki, sprzedają się na kopy. Na kopę liczy się sztuk 60, po 6 sążni (faden, fathoms) długości, czyli 360 sążni bieganych. Sztuki krótsze od 38 stóp ang. liczą się 3 za 2, a krótsze od 30 stóp 2 za 1.

Zwykła cena drzewa jest następująca:

Drzewa okrągłego sosnowego kopa	300—400	talarów
Drzewa świerkowego.....	— 200—230	—
Belek sosnowych.....	— 500—750	—
Drzewa okrągłego dębowego.	— 300—350	—
Belek dębowych.....	— 800—900	—

Belki dębowe i bukowe, oraz krzywki, sprzedają się także na stopy sześciennie, po 16—20 sr. gr. za stopę sześcienną.

Bale dębowe sprzedają się na kopy po 720 stóp sześć. ang., to jest na kopę rachuje się sztuk 60 po 4 cale ang. grubości, 12 cali szerokości, i 36 stóp angielskich (fathoms) długości.

Bale dębowe płacono w Gdańsku w r. 1845 za kopę czoła 980—1050 talarów, bez brakowania zaś wypadło w przecięciu za kopę nie mniej jak 400 talarów.

Bale mniejszej grubości, redukują się na grubość normalną 4 cali ang.; w długości przyjmują się tylko cale sążnie (fathoms); kilka zaś stóp nie liczy się wcale.

Tarcice braki powinny trzymać najmniej cali 12 ang. szerokości; nietrzymające tej miary, chociażby wszyst-

kie inne przymioty posiadały, przyjmowane są za brak z braku. Powinny być z drzewa zdrowego, bez oznak zgnilizny, proste, gładkie, równo wyrobione i bez szpar, takie wyrzucają się z rachunku długości.

W handlu ustanawia się cena od kopy czoła; poślednie płaćą się jeszcze taniiej, a niekiedy dodają się bezpłatnie.

Wandszosa, zredukowane na 18 stóp długości, sztuka po 17—18 talarów.

Klepki dębowe sprzedają się po redukcji na kopy pipówek czyli piplów, po 60 sztuk, w Szczecinie po 64 sztuk, po 6 stóp długich; kopa po 22—23 1/2 talarów; 4 kopy stanowią rynkę.

Klepka jest rozmaita.

Pipówka. . .	długa 64—67 cali ang.	} gruba 2 — 4 cali angielsk. szeroka 4—7 cali angielsk.
Brantówka . . .	— 54—62 —	
Oxestka . . .	— 42—52 —	
Beczówka . . .	— 36—41 —	
Denkówka . . .	— 28—35 —	
Bednarka . . .	— 25—28 —	

W porachunku liczy się 3 brantówki na 2 pipówki czyli pipe, a 2 oxestki na 1 pipówkę; inne podług ugojy.

Szczapy dębowe na klepkę (klappholz), kopa po 20 do 25 talarów.

Sztuki krzywe na stopy sześciennie. Podkłady \triangle , 6—7 sr. gr. (36—42 gr. pol. za sztukę).

Drzewo opałowe sprzedaje się w pólśażniach lub w sążniach, tojest po 6 stóp szerokości i długości, w szczapach po 3 lub 6 stóp długich.

Za sążeń półkubiczny drzewa sosnowego, płacono po 2 tal. i 20 sr. gr. (16 zlp.); bukowego po 8 talarów.

Negocjanci zagraniczni w różny sposób nabywają drzewo, tojest, albo zawierają kontrakty z kupcami lub

właścicielami polskimi, albo kupują drzewo u siebie na miejscu, podług okoliczności. Zamożniejsi zawierają częstokroć kontrakty z kupcami w widoku, że dając zaliczenie, taniiej nabędą i zapewnią sobie dostawę takiego właśnie drzewa, jakiego potrzebują. W ogólności jednak wolą oni nabywać u siebie, gdyż mając gotowy towar, bliżej sądzić mogą o jego dobroci, a nadto nie dając zaliczenia i kupując w części na kredyt, mniejszemi funduszami większe mogą robić interesa; bo często nawet przed terminem na wykup wexli oznaczonym, otrzymują gotowiznę za toż samo drzewo w dalszy handel sprzedane.

Przyjęto w handlu drzewnym, że kupujący płaci tylko $\frac{1}{3}$ część gotowizną, a na resztę daje wexel na siebie samego do wypłaty za 8 miesięcy: po większej części jednak wykupują sami wexle swoje z potrąceniem 6 do 8 procentu na rok.

Cło od drzewa wchodzącego do Prus Wisłą i Niemnem, pobiera się podług nowój taryffy Związku celnego niemieckiego na lata 184 $\frac{6}{8}$, mianowicie:

a) od drzewa opałowego w szczapach splawianego, 2 $\frac{1}{2}$ sr. gr. od sążnia.

b) Od drzewa budowlowego i innego użytkowego:

1) dębowego, wiązowego, jesionowego, klonowego, wiśniowego, gruszowego, śliwowego, leszczyny, dereniu, po jednym talarze od 75 stóp sześciennych miąższości;

2) bukowego, jodłowego, sosnowego, modrzewiowego i innego miękkiego, po 10 sr. gr. od 90 stóp sześciennych.

3) Drzewo tarte, klepka i inne wyrobione:

a) od wyrobów wskazanych w punkcie 1^{szym}, po talarze i srebrnym gr. od łasztu (37 $\frac{1}{2}$ cent).

b) Od wyrobów wymienionych w punkcie 2^{gim}, 20 sr. gr. od lasztu.

W Prusach wschodnich opłaca się cło następujące:

aa) Kłody lub belki drzewa twardego, od 5 sztuk po talarze.

bb) Kłody lub belki drzewa miękkiego, od 25 sztuk po talarze.

cc) Tarcice, klepki, faszyna i t. p., 15 sr. gr. od lasztu (1).

Rozważając szczegółowo handel drzewa widzimy, że takowy w r. 1847 był bardzo ożywiony, i wywóz belek sosnowych i drzewa do budowy dróg żelaznych bardzo znaczny, mimo to, że zachwiany kredyt angielski mocno go sparaliżował.

Drzewo sosnowe.

Belki. Od początku roku, 13 okrętów obładowanych drzewem, przeznaczoném do Anglii, oczekiwało tylko na otwarcie żeglugi, aby transporta te przewieźć zaraz na miejsce przeznaczenia. W ciągu całego roku, wywieziono z portu gdańskiego około 138,700 sztuk belek sosnowych; z nich 121,700 do Anglii, a 7,000 do Francji. Ilość ta byłaby daleko większa, gdyby nie brak okrętów na wiosnę i lato, spowodowany wywozem zboża, i wysokie koszty transportu. W późniejszej porze koszty transportu zmniejszyły się, lecz wtedy zachwiany kredyt w Anglii, zmusił naszych negocyantów do działania z ostrożnością.

Skutkiem więc tego pozostało z końcem roku w ręku kupców około 129,000 belek, 49,800 łat, a nad-

(1) Według wspomnianego powyżej Słownika p. Kozłowskiego.

to znajdowało się jeszcze niesprzedanych: pierwszych 45,000 a drugich 46,000 z naszego dowozu.

Ceny były o 10 do 15 na 100 niższe, od cen 1846 r.; to jest płacono za stopę kub. miary angielskiej belek sosnowych: 1szej dobroci $8\frac{1}{2}$ groszy sr.

2 — $7\frac{1}{2}$ —

3 — $6\frac{1}{2}$ —

4 — $5\frac{1}{2}$ —

wspólnej długości 28—30 stóp, i grub. 12 do 18 cali.

Łaty sosnowe długie na stóp 18 i więcej, a $\frac{6}{7}$ do $\frac{10}{11}$ grubości: 1go gatunku 6 groszy sr.

2 — 5 —

Tarcice (planche). Wyprowadzono tego artykułu przez morze około 103,400 sztuk do Anglii, 24,400 do Francji, 24,600 do Belgii, 60,600 do Bremen, 24,500 do Holandyi, 17,500 do Hanoweru, i 7,900 do Danii.

Ceny ich w r. 1847 były: Za stopę angielską tarcic grubych cali 3, płacono stosownie do ich długości:

Gatunku lepszego:

długie 30 do 50 stóp, płacono po $3\frac{1}{2}$ gr. sr.

— 12 — 29 — — $2\frac{1}{2}$ —

— 6 — 12 — — $1\frac{1}{4}$ —

Gatunku pośledniejszego:

długie 30 do 50 stóp, płacono po $1\frac{3}{3}$ gr. sr.

— 12 — 29 — — $1\frac{2}{3}$ —

— 6 — 12 — — $1\frac{1}{4}$ —

Tarcice grube na 2, $2\frac{1}{2}$ do 4 cali płacono w stosunku do ich grubości.

Tarcice

1go gat. $1\frac{1}{2}$ cal. grub., 6 do 30 stóp dług., płacono $1\frac{1}{6}$ gr. sr.

2 — $1\frac{1}{2}$ — 6 — 30 — — $\frac{3}{4}$ —

1 — 1 — 6 — 30 — — $\frac{3}{4}$ —

2 — 1 — 6 — 30 — — $\frac{1}{2}$ —

Handel drzewa do kolej żelaznych był znakomity: wyexpedyowano morzem 526,618 sztuk okrągłych i przyzmatycznych, z których dla Anglii 514,120, dla Belgii około 8,100, dla Holandyi 2,400. To drzewo $8\frac{1}{2}$ — 9 stóp długości, kwadratowe $\frac{9}{9}$ do $\frac{15}{15}$ cali, płacono stosownie do téj grubości, od $5\frac{1}{3}$ do 6 groszy za stopę.

Belki dębowe. Transport tego artykułu był znakomitszy w 1847, jak w 1846 r. Wytransportowano :

do Anglii około . . .	1,150	sztuk
— Francyi	1,070	—
— innych krajów . . .	800	—

Na wiosnę płacono belki pierwszego gatunku $1\frac{1}{12}$ 15 gr. sr., a drugiego gatunku $\frac{9}{10}$ cali 11 do 12 groszy za stopę kubiczną miary francuzkiéj; lecz później ceny zniżyły się, i za belki pierwsze płacono do $10\frac{1}{2}$ gr., a drugie 6 do 7 gr. Wspólna ich długość była 17 do 18 stóp.

Ilość pozostałych na miejscu, wynosiła około 10,000 sztuk, z których większa połowa niesprzedanych.

Tarcice dębowe. Wysłano ich około 51,400 sztuk:

do Anglii około . . .	35,200
— Francyi	7,300
— Danii	5,700
— innych krajów . . .	3,000

Dowóz tego artykułu był dosyć znaczny, lecz wielki wywóz wyczerpnął zapasy; albowiem to, co pozostało, nie przechodziło 5,000 sztuk. Płacono za stopę kub. ang.

1go gatunku	22	groszy.
2	—	11 —

Kleпки dębowe. Tego artykułu wysłano w ciągu roku 13,137 kop różnych wymiarów; z tych:

do Anglii około . . .	4,200	kop
— Francyi	5,200	—
— Danii	2,000	—

Ilość sprzedana negocyantom tego miasta, dochodzi około 5,400 kop, a niesprzedanych pozostało jeszcze około 1,220 kop różnego rodzaju, po największej części drugiego gatunku.

Ceny ich były następujące:

	Z Woły- nia	Z Polski	
		1go gatun.	2go gatun.
<i>Pipówki, Pipenstäbe</i> kopa po rs.	27 $\frac{1}{2}$	23	17
<i>Brantówki, Brandtwein- stäbe</i> —	18 $\frac{1}{3}$	16	11
<i>Oxefki, Oxhoftstäbe</i> —	15	11 $\frac{1}{2}$	8 $\frac{2}{3}$
<i>Beczkówki, Tonnenstäbe</i> . . . —	12 $\frac{1}{2}$	10	7
<i>Denkówki, Bodenstäbe</i> . . . —	8 $\frac{1}{2}$	7	5 $\frac{2}{3}$

Drzewo przybyłe tu wodą w ciągu roku i kupione przez negocyantów, składało się z następującej ilości: belek 170,929 sztuk; łat 31,551; *drzewa okrągłego* (rundholz) 1,588 kop; klepek 5,463 kop; tarcic 757 kop.

Z końcem roku pozostało niesprzedanych: belek 55,333 sztuk; łat 24,753 sztuk; *drzewa okrągłego* 507 kop; klepek 1,220 kop; tarcic 20 kop.

W roku 1818 następne wysłano partye drzewa z Gdańska:

Drzewo sosnowe: masztów sztuk 115; belek sztuk 20,156; bali kop 614; desek kop 477; *drzewa na opał* sążni 594.

Drzewo dębowe: bali kop 261; desek kop 81; klepek: pipówek kop 5,004; brantówek kop 1,014; oxfetówek kop 2,079; beczkówek kop 62.

Obliczywszy na pieniądze całkowity do Gdańska dowóz i wywóz z niego, następne otrzymujemy cyfry:

Wymienione krajów.	Dowieziono do Gdańska	Wywieziono z Gdańska
	Za rubli	srébrem
Rossya morzem	168,903	195,039
Rossya Wisłą	1,743,984	—
Polska Wisłą	5,969,169	1,118,493
Galicja Wisłą	411,663	—
Belgia	150,355	338,512
Prusy morzem	123,475	161,811
Holandya	377,969	1,056,357
Hanower	—	43,315
Oldenburg	—	13,176
Miasta hanzeatyckie	331,956	88,155
Francya	667,539	940,838
Hiszpania	—	8,926
Afryka	—	8,298
Indye Zachodnie	95,256	—
Dania	69,743	106,450
Szwecya z Norwegią	192,006	59,275
Wielka Brytania	912,739	8,229,889
Razem	11,214,757	12,368,544

Całkowity więc obrot handlowy Gdańska, t. j. przywozowy i wywozowy, doszedł w 1847 r. do 23,583,301 rub. sr. kiedy w 1846 r. wynosił 15,824,304 —

Ta przewyżka roku 1847, pochodzi z większego rzeczywście dowozu zboża i wyższych cen jego, bo co się tyczy drzewa, tego doszło tyle co zwykle, a ceny nawet były cokolwiek niższe.

Po towary do Gdańska, przyplnęło okrętów w ogóle 1,661, w liczbie których:

Rosyjskich	4
Pruskich	737
Hanzeatyckich	13
Duńskich	76
Angielskich	302

Hanowerskich	117
Holenderskich	155
Meklemburskich	93
Norweskich	113
Oldenburgskich	20
Francuzkich	13
Szwedzkich	16
Belgijskich	2.

Miasto Gdańsk posiada 101 okrętów żaglowych i 3 parostatki, wszystkie razem mogące pomieścić na sobie 43,120 beczek.

Szczegółowo uważany dowóz naszych produktów do Gdańska, i nawzajem wywóz ztamtąd był następujący:

Dowóz do Gdańska.

Wymienienie artykułów dowozu.	Ilość	Wartość w talarach prus.
Pszeniczy <i>lasztów</i>	21,284	4,469,640
Siemienia „	547	79,310
Cynku <i>centn.</i>	6,905	60,950
Potażu „	6,003	54,030
Belek sosnowych . . . <i>sztuk</i>	118,456	1,066,100
Belek dębowych „	6,460	97,520
Drzewa nieobrobionego „	55,560	33,9280
Tarcie dębowych . . . „	19,200	115,200
Klepek <i>kop</i>	1,300	36,000
Małych belek <i>sztuk</i>	23,100	92,400
Drzewa do budowy dróg żelaznych . . . „	134,547	179,360
Smoly <i>beczek</i>	783	3,915
Wytłocznin lnianych . . <i>centn.</i>	4,083	3,160
Lnu we włóknie „	247	7,410
Kobaltu rodzimego . . . „	1,486	43,085
Obręczy do beczek . . <i>kop</i>	824	415
Razem tal. prus. . .	6,632,410	
czyli rub. sr. . . .	5,969,169	

Wprowadzono zaś zamtąd do kraju przez Wisłę.

Wymienienie artykułów dowozu.	Ilość	Wartość w ta- larach prus.
Piwa w beczkach i butel. <i>cent.</i>	4,361	43,610
Wódki francuzkiej i araku „	4,143	62,150
Wina „	20,844	416,880
Owoców południowych. . „	2,247	1,980
Korzeni „	1,723	15,510
Kawy „	1,803	27,050
Kakao „	211	4,220
Owoców przyprawianych „	63	6,300
Serów „	260	1,300
Ryżu „	502	5,020
Cukru rafinowanego. . . „	402	9,640
Syropu. „	18	120
Oliwy „	361	5,900
Ryb solonych „	64	320
Śledzi baryłek „	23,913	173,880
Różnych wyrobów chem. „	348	3,480
Octu „	11	80
Bawełny surowej. „	10,021	130,380
Ołowiu „	4,063	28,440
Drzewa farbiarskiego . . . „	2,638	7,910
Różnych przedmiotów z żelaza lanego „	25,306	126,530
Tytuniu w liściach „	2,087	20,870
Cyny surowej w bryłach . „	455	13,290
Tranu wielorybiego „	121	1,090
Witryolu „	9	20
Sody „	9,101	32,060
Kobaltu zeszlonego. „	110	550
Mahoni. „	297	1,780
Stali „	1,235	12,350
Siarki „	1,790	3,580
Węgla kamiennych <i>łasz.</i>	655	11,750
Owoców suszonych . . . <i>cent.</i>	36	3,600

Wymienienie artykułów dowozu.	Ilość	Wartość w ta- larach prus.
Przędzy bawełnianej . . . cent.	34	1,470
Tabaki wyrobionej „	224	4,480
Papieru. „	76	3,040
Fajansów. „	31	470
Blachy i drutu żelaznego. „	274	8,220
Wyrob. z miedzi i mosiąd. „	58	2,900
Kobierców. „	7	350
Wyrobów cynowych. „	8	480
Razem tal. prus.		1,242,770
czyli rub. sr.		1,118,493

Z powyższych wykazów widzimy, że cały nasz handel wywozowy do Gdańska, zasadza się jedynie na zbożu i drzewie; pierwszego wywieziono przeszło za półpięta miliona rub. sr., a drugiego blisko za dwa miliony. Wprowadzono zaś z Gdańska rozmaite przedmioty, a szczególnie: wina za tal. prus. 416,880, śledzi za 173,880, bawełny surowej za 130,380, różnych wyrobów z żelaza lanego za 126,530, i inne.

Rezultat handlu z Gdańskiem jest dla nas bardzo korzystny, gdyż wywóz wyższy jest od dowozu do kraju o 4,850,676 rub. sr., a całkowity kapitał obrotowy wynosi 7,087,662. Gdy zaś całkowity obrot handlu z Prusami był: wyprowadzono tam za rub. sr. 7,762,534

wprowadzono do kraju za rub. sr. 4,574,909, widzimy więc, jak Gdańsk jest dla nas ważnym punktem handlowym. W porównaniu też i z całkowitym naszym handlem zewnętrznym, który był:

wywozowy rub. sr. 9,902,896,

przywozowy rub. sr. 8,393,342.

Gdańsk także przeważną gra rolę, bo do niego samego wyprowadzono $\frac{3}{5}$ całkowitej ilości płodów naszych na

zewnątrz przeznaczonych, a sprowadzono ztamtąd tylko prawie $\frac{1}{8}$ téj ilości.

Handel z Gdańskiem tyle nam przedstawiający korzyści, głównie odbywa się przez Wisłę; ileż więc ona świadczy nam usług!

Dla uzupełnienia ogólnego obrazu handlu drogą wodną prowadzonego, zamieścimy tu jeszcze wiadomości o handlu po rzekach krajowych Niemnie i Warcie. Żałujemy tylko, że w tém miejscu nie możemy być zupełnie dokładnymi; albowiem stan handlu Gdańska podaliśmy z roku 1847, stan zaś handlu prowadzonego na wspomnionych obecnie rzekach Niemnie i Warcie, podamy z roku 1848. Nieodpowiedniość dat statystycznych, jest tego powodem; lecz gdy handel na rzekach tych nie jest tak, jak zobaczymy, znakomity, i różnica w roku jednym nie będzie zbyt uderzająca: przeto data z roku 1848, śmiało wziąć możemy za odnoszące się do r. 1847. Jakoż wprowadzamy je do ogólnego obrazu, jaki za rok ten przedstawiamy.

Niemen wyprowadził z kraju:

Zboża różnego gatunku korcy.....	18,777
Cynku, żelaza i t. d. centnarów.....	2,332
Wapna, smoły i t. d. beczek.....	890
Drzewa opałowego sążni kubicz.....	1,268
Klepek, balów, belek i t. p. kop.....	188
Drzewa w kłocach sztuk.....	24.

Wartość tych wszystkich transportów wynosiła rub. srebr. 401,716

zaś wprowadzono rzeką tą produktów

za rub. srebr. 6,614

* w liczbie których najznaczniejszy był dowóz węgla kamiennego.

Warta. Przez rzekę tę wyprowadzono do Prus:

Zboża różnego gatunku korcy.....	9,165
Cynku, żelaza i t. d. centnarów.....	3,452
Wapna, smoły i t. d. beczek.....	501
Drzewa opałowego sążni kubicz.....	1,643
Klepek, balów, belek i t. p. kop.....	113
Drzewa w klocach sztuk.....	31,117.
Wartość tych wszystkich transportów, wynosiła rub. sr.	100,826
Wprowadzono zaś do kraju za rub. sr.	21,662

a mianowicie:

Towarów kolonialnych, owoców i t. d. cent ..	6,050
Śledzi, syropu i t. d. beczek	106
Drzewa opałowego, kamieni polowych sąż. kub.	24.

Całkowity więc nasz handel, drogą wodną prowadzony, był następujący:

Wymienienie dróg handlu	Wyprowadzono z kraju	Wprowadzono do kraju	Całkowita masa obrotowa w handlu
	Z a r u b l i s r é b r e m		
Wisła.....	5,969,169	1,118,493	7,087,662
Niemen.....	401,716	6,614	408,330
Warta.....	100,826	21,662	122,488
Razem.....	6,471,711	1,146,769	7,618,480
A że całkowity handel z Prusami wynosił ..	7,762,534	4,574,909	12,337,443
Więc na drogę suchą wypadnie.....	1,290,823	3,428,140	4,718,963

Oto jest liczebnie wykazana ważność rzek, oto są usługi jakie nam przynoszą.

Dla uzupełnienia obrazu handlu naszego, zwróćmy się do odleglejszych epok, i zobaczmy postęp handlu w Gdańsku. Następne tablice wykażą nam ilość zboża wywozonego z Gdańska, tudzież dowożonego tam z Polski, Rosyi i Galicyi.

Tabella wywozu zboża z Gdańska od 1649 roku (1).

W latach	Pszeniczy	Żyta	Jęczmienia	Owsa
	Ł a s z t ó w			
1649—1670	6,737	24,562	1,278	51
1670—1680	8,726	18,893	1,209	91
1680—1690	14,490	28,513	2,637	195
1690—1700	10,843	15,983	1,675	68
1700—1710	5,389	12,427	762	8
1710—1720	4,483	12,885	692	131
W roku 1730	10,554	17,277	316	29
— 1740	15,268	23,572	706	75
— 1750	9,255	17,760	1,237	44
— 1760	10,839	16,863	188	155
— 1770	25,038	36,518	84	75
— 1780	9,821	7,726	552	216
— 1790	6,904	8,866	2,517	722
— 1799	29,400	16,453	3,052	1,215
— 1818	27,458	5,214	5,223	1,624
— 1828	32,833	3,758	703	482
— 1842	41,295	8,940	1,290	2,705
— 1844	46,600	17,478	1,467	—
— 1846	24,768	840	—	—
— 1847	38,705	454	—	—

(1) Po rok 1799, tabella ta ułożona jest na zasadzie tabelli, znajdującej się przy dziele T. Czackiego: O litewskich i polskich Prawach.

Tabella wyprowadzonego zboża z Polski do Gdańska.

W latach	Pszenicy	Żyta	Jęczmienia	Owsa
	Ł a s z t ó w			
1818	17,923	3,174	282	70
1828	13,497	4,041	136	143
1829	13,403	8,719	456	1,110
1830	22,281	9,203	259	1,133
1840	28,080	10,326	991	1,092
1841	23,383	1,994	3,340	—
1842	15,910	2,948	—	—
1844	31,330	12,696	317	7
1846	3,400	37	—	—
1847	21,284	—	—	—

Tabella zboża przeprowadzonego przez królestwo Polskie z Rossyi i Galicyi do Gdańska.

W roku	Z Rossyi		Z Galicyi	
	Pszenicy	Żyta	Pszenicy	Żyta
Ł a s z t ó w				
1818	4,673	107	2,477	6
1828	79	46	219	—
1841	2,246	—	1,144	1 1/2
1842	5,780	—	9,414	30
1843	4,922	587	3,981	1,739
1844	7,082	4,907	9,937	2,419
1846	310	—	—	—
1847	2,530	50	—	—

Ogólne uwagi o handlu zboża i drzewa.

Handel zboża.

Zobaczymy tu, jakie zajmujemy stanowisko w handlu zbożowym z Anglią; a gdy widzieliśmy, że dowozy zboża do Gdańska głównie od nas tylko pochodzą, cesarstwo zaś Rosyjskie, Galicya i Prusy bardzo mały w dowozie tym, osobliwie pszenicy mają udział; wszystko więc co tylko pod tym względem mówić będziemy o Gdańsku, odnosić się ma do kraju naszego.

Roczną produkcją pszenicy w zjednoczonym królestwie Wielkiej Brytanii, według dat statystycznych z lat 12 od 1816 do 1827 r., liczą na 12,500,000 kwarterów czyli 950,000 łasztów rocznie; dla całkowitej zaś konsumpcyi krajowej, potrzebny jest jeszcze zwykły dowóz trzy miliony kwarterów, czyli 228,000 łasztów pol.

Lecz wcale ma się inaczej w latach nieurodzaju, lub w potrzebie zgromadzenia zapasów z innych powodów; wtedy zapotrzebowania z zagranicy dochodzą do 6, a nawet niekiedy do 7 milionów kwarterów. Z powodu przygotowań wojennych w 1839 r., Wielka Brytania zapotrzebowała z portów europejskich większej niż zwykle masy pszenicy, mąki, chleba i t. d.; sprowadzono bowiem w tym roku 4,573,660 kwarterów czyli 347,883 łasztów polskich. Na dowóz ten składały się porty morza Śródziemnego, niemieckie, holenderskie, belgijskie, francuzkie, hiszpańskie, portugalskie i północno-amerykańskie. Morze Czarne wysłało ogółem w różne strony 4,320,000 korcy, z nich dostało się do Anglii 610,880; Gdańsk wysłał 1,197,300 korcy, z których 1,005,132

było zboża polskiego, to jest pszenicy 597,181 i żyta 407,951, chociaż dowóz nasz pszenicy w tym roku był niższy aniżeli lat innych, jak to powyżej widzieliśmy.

W r. 1831 dowieziono do Anglii w ogóle 2,311,350 kwarterów, czyli 5,270,000 korecy; w téj liczbie było:

Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki i cesarstwa rosyjskiego. kwarterów 930,000

Prusy dostarczyły	—	296,286
Włochy	—	253,295
Niemcy	—	218,507
Kanada	—	218,327
Hiszpania	—	154,671
Francya	—	103,700
Dania	—	55,967
Flandrya i Holandya	—	30,249
resztę bardzo mało znaczącą, bo dochodzącą tylko do	—	50,348

doprowadzono z Turcyi, Indyi i t. d.

Prawie wszystko zboże z Prus wyszłe jest polskie; więc około $\frac{1}{7}$ części całkowitego dowozu do Anglii, pochodzi od nas.

Przytoczone cyfry i znany raport p. Wilhelma Jacob, członka Komitetu Rady Tajnej w interesach handlu w Londynie r. 1827 złożony, dostatecznie wykazują nasze względem Anglii stanowisko. Dowozy nasze jeszcze i teraz są znaczne, i w porównaniu z innymi krajami, wysoki przedstawiają stosunek; lecz handel zbożowy całym inną przybrał już postać jak niegdyś: albowiem do rywalizacyi z nią stanęły: Taganrog, Odessa, Egipt, porty tureckie, inne kraje europejskie, a nadewszystko północna Ameryka. Doświadczenie każe wnosić, że przy wolności handlu zbożowego w Anglii, i ułatwieniach ze-

glugi parowój, te okolice świata zatrzymają nadal swe stanowisko; czyli zaś długo z nimi stawać będziemy w szranki z jakąkolwiek korzyścią, przy owój zależności od Prus, czas to dopiero pokaże.

Bez wątpienia, potrzeby! Anglii coraz stają się większemi, bo przyrost jój ludności jest bardzo szybki; lecz my co do swego zboża mało na tém zyskujemy, a to z powodu stanu naszego rolnictwa i bilu zbożowego angielskiego.

Rolnictwo Anglii i innych krajów ciągle postępuje; u nas zaś prawie na jednym pozostaje stopniu, prawie jednakie ciągle mamy plony, prawie jednakie wysyłamy za granicę transporta. W Anglii zaś inaczej: od 1760 do 1832 r., 4,944,343 morgów polskich bezużytecznego, dziczalego, piaszczystego lub bagnistego gruntu, wzięto jak wykwintne parki w ogrodzenia, i zamieniono w najurodzajniejszą ziemię. W r. 1831^{szym} 928,000 familij, składających ludność około 5,200,000, trudniło się rolnictwem i dostarczało pożywienie dla 16,539,318 ludności. Co wtedy produkowało 5 familij, dziś produkują to 4 familie; ludność rolnicza zmniejszyła się, a produkcya jój wzrasta. Przy takim więc popędzie Anglia wyścigła wszystkie narody w rolnictwie, i kiedy u niój 20 ziarn plonu uważa się za zbiór średni, w Niemczech plon 9 do 10, a u nas 5—6 ziarn uważa się już za bardzo obfity. Wprawdzie wiele okoliczności sprzyja takowemu postępowi, a przyrodzona zasobność, przemysłowo-przedsiębiorcze usposobienie mieszkańców sprawiają, że Anglia zajmuje w życiu narodów nadzwyczajne i zupełnie wyjątkowe położenie. Handel jój nadto z całego świata zagarniając i gromadząc pieniądze, nietylko że sam wzrasta, ale jeszcze tworzy coraz większą liczbę

przedsiębiorców, pomnaża masę konsumentów, podnosi cenę produktów rolnych, a tém pobudza i zachęca rolnika do nowych poszukiwań, ulepszeń i postępów.

Bil zbożowy, którego chwyciła się Anglia w celu zapobieżenia napływowi produktów z zagranicy, stał się nieraz i dla niej samój zgubnym, a w ogóle niekorzystnym; dla innych zaś krajów, a zatém i dla nas, uciążliwym. Mniemanie, jakie starannie rozsiewano o wielkich zapasach zboża na stałym lądzie zebranych, i w każdej chwili jak potop jaki zalać Anglią gotowych, natchnęło myśl wyjednania u rządu ścieśnień lub nawet zupełnego zakazu dowozu zboża zagranicznego. Żądane środki uchwalono i postanowiono: że dopóki kwarter zboża nie dojdzie ceny 80 szylingów (korzec złp. 70), dopóty sprowadzona pszenica zostawać będzie pod dozorem rządu, i w kraju nie będzie sprzedawana. Ci wszakże, którzy uchwały téj żądali i przez nią skutku prośb swych dopięli, w większe odtąd niż przedtém popadli nieszczęście. Nigdy dotkliwszych strat nie doznano, jak w latach 1822 i 1823, kiedy ścieśnienia i zakazy w r. 1815 postanowione, w całej swój sile działały, i nie było od nich zboczeń, jakie się w roku 1825 i dwóch następnych latach koniecznemi okazały. Rok 1816, przy nieszczęśliwym zbiorze, także zgubne wywarł skutki. Stopniowo w roku tym cena produktów wzrastała, tak, że kiedy w czerwcu była pszenica po złp. 64, w grudniu podniosła się jej cena do 91, a w czerwcu następnego 1817 roku, doszła do 100 złp. za korzec. Tymczasem wiadano, że Polska i Rossya posiada wielkie zapasy, nagromadzone przez wyłączenie ich zboża z portów angielskich; wiadano, że zbiory produktów rolniczych były tam roku tego obfite; prawo więc w mo-

wie będące doznało ograniczenia: otworzono porty dowozowi wszelkiego zagranicznego zboża bez żadnego cła lub ścieśnienia, a Polska i Rossya zaopatrzyły je zaraz znacznemi dowozami. Jakoż, kiedy z Rygi w r. 1815 tylko 967 łasztów wyprowadzono, w dwóch następnych latach wywieziono 11,383 łasztów; z Gdańska w r. 1815 wywieziono 1479 łasztów, zaś w następnych dwóch latach 33,963; przez Toruń przeszło pszenicy polskiej w 1816 roku 13,085, w 1817^{stym} 19,492, kiedy w 1815 tylko 2,787 łasztów splawiono. Przy takich dowozach, i ceny zboża zaraz uregulowały się, i już we wrześniu 1817 r. zeszły na 65 złp. za korzec. Wszystkoto zadało handlującym zbożem i mąką tak wielkie klęski, jakich oddawna nie pamiętano. Wiele było bankructw; a ci, którzy zdołali oprzeć się nieszczęściu, tak dalece jednak przez klęski te podupadli, że już nigdy nie mogli trzymać tak wielkich zapasów, jak dawniej. Wszystkoto sprawił nieurodzaj, lecz głównie nowe prawo, zabraniające dowozu. Zatomowało ono zwykły za granicą odbyt, zrodziło stagnacyą w handlu; ztąd powstało niezmierne nagromadzenie zboża, a skoro nieurodzaj w Anglii przekonał o konieczności zawieszenia tego prawa i zaporą usuniętą została, nagły wtedy napływ zboża, wielu handlujących zniszczył, a wszystkich srogo na majątkach dotknął.

Takie skutki tego prawa wywołały nakoniec uchwałę zawieszenia jego; handel więc nasz może inną teraz przybierze postać.

Nasz handel zbożowy z Francją (zawsze tu operacye handlowe Gdańska uważamy za nasze krajowe, bo ope-

racye te opierają się prawie jedynie tylko na naszym zbożu) jakkolwiek, nie jest rozległy tak jak z Anglią, i tu wszakże doznaje trudności. Pod względem handlu zewnętrznego zbożem, Francya znajduje się w położeniu kraju, produkującego i konsumującego zarazem. Ona sama i wywozi za granicę, i sprowadza ztamtąd zboże, a to według rezultatu swych zbiorów. Zdarza się bardzo często, że w tym czasie, kiedy jest wielka obfitość w jednej prowincyi, druga cierpi niedostatek. W takim razie departamenta nadmorskie, którym zbywa na zbożu, nie sprowadzają go z innych części kraju, lecz zaopatrują się przez dowozy z zagranicy, bo koszta transportu są bez porównania niższe. To rodzi współubieganie się handlu wewnętrznego z zewnętrznym, kolizyą pomiędzy interesem handlujących i rękodzielników z jednej, a rolników z drugiej strony.

Prawo z d. 16 lipca 1819 i 4 lipca 1821 roku, wszystkie departamenta Francyi, pod względem handlu zboża, podzieliło na 4 klasy, i możność wprowadzenia zboża jest do miejscowości zastosowana. Na zasadzie średnich cen targowych, ustanawia się co miesiąc tabella cen kupieckich dla każdej klasy, a gdy cena targowa zniży się do stopy tabellą objętej, dowóz jest zaraz zabroniony.

Nie wchodząc w rozbiór kwestyi, czy prawo to, mające na celu protekcyą przemysłu rolniczego, jest rzeczywiście użytecznym dla kraju tego, i do jakiego stopnia ograniczenie prawa dowozu zboża, może być uciążliwym dla handlu zagranicznego: rozberzmy tu pytanie, czy ono dla wszystkich krajów zagranicznych równy udział zapewnia, i czy dla wszystkich zarówno jest uciążliwe?

Według niego, rozdzielone są kraje dowożące zboże na produkujące zboże, i sprowadzające je tylko z innych. Pierwszym zapewniono wyższość, albowiem od zboża sprowadzonego na okrętach francuzkich wprost ze stron, które go produkują, opłata wynosi po franku mniej od hektolitra, aniżeli od zboża, które przychodzi na tych samych okrętach ze stron, które go nie produkują. Któreżto są kraje produkujące, na które Francya w razie potrzeby może liczyć w zaopatrzeniu swych północnych prowincyj? Są to kraje, które wyprowadzają swe zboże przez morze Bałtyckie, to jest Rosya, Polska i Prusy. Na nie to więc prawa francuzkie zwróciły swą uwagę. Lecz mimo to, prawa te nam zupełnie żadnych nie zapewniają przywilejów.

Ceny handlowe, które stanowią dozwoleń lub też zakaz wprowadzenia zboża, układane są, jakżeśmy widzieli, na miesiąc i ogłaszane w pierwszych dniach jego. Tym sposobem od chwili ogłoszenia cen takowych, spekulant miejscowy, chcący wprowadzić zboże z zagranicy, ma tylko miesiąc czasu do swój operacji; spekulant zaś zagraniczny o tyle ma mniej czasu tego, ile potrzeba czasu na dojście do niego zawiadomienia od kommissanta. Ten przeciąg czasu jest dostateczny do wprowadzenia zboża z morza Północnego, naprzykład z Hamburga lub Holandyi, które nie są krajami produkującymi; lecz co się tyczy Rosyi, Polski, Prus, rzecz się ma wcale inaczej. Weźmy Gdańsk, punkt centralny handlu zbożowego na Bałtyku.

Negocyant gdański, dopiero w kilka dni otrzymać może od swego korespondenta z Paryża, Rouen albo Hawru wiadomość handlową, na której mógłby oprzeć swoje rachuby, albo rozkazy, jakie mógłby dać na-

stepnie. **Potrzeba** liczyć przynajmniej 2 albo 3 dni na kupno zboża, które ma posłać, albowiem targi nie codziennie się odbywają. Przypuszczając, że znajdzie w magazynie zboże zupełnie suche, oczyszczone i gotowe do wywozu; przypuszczając dalej, że w porcie znajdzie okręty zupełnie gotowe do rozwinięcia żagli do Francyi; i w takich jeszcze razach, potrzeba przynajmniej 5 dni do naładowania zboża. Lecz niezawsze zdarzy się znaleźć takowe okręty; albowiem jeżeli są chwile, w których jest łatwo je wynająć, są również i to daleko częstsze, w których port jest zupełnie z okrętów ogołocony; czasem 8 a nawet 15 dni upłynie, nim wiatr pomyślny dozwoli im wejść na dogodne stanowisko. Zresztą, w zwykłym biegu rzeczy, wielka liczba zakupów i transportów zboża odbywa się w epoce, kiedy ono jest wyladowane na brzegu Wisły; wtedy potrzeba dodać tydzień czasu do wysuszenia go, pomieszania, oczyszczenia; czynności te często daleko dłużej trwają, jeżeli im pogoda nie sprzyja. Droga z Gdańska do Hawru, jeżeli wiatr jest przyjazny, trwa około trzech tygodni; są wypadki, w których przebywa się ją prędzej, lecz te są rzadkie i należy uważać je nie inaczej, jak za wyjątkowe, gdyż znów daleko są częstsze, że podróż ta trwa tygodni 4, 5 i więcej. W przypuszczeniu więc najkorzystniejszych okoliczności, cała operacya handlu zbożowego między Gdańskiem i portami północnymi Francyi, wymaga przeciągu czasu przynajmniej 6 do 7 tygodni, licząc od chwili wyjścia z Francyi listu zawiadamiającego, aż do przybycia statku na miejsce przeznaczenia. Zboże więc nie może przybyć przed upływem terminu ustanowionej ceny, i ten, co je wysyła lub sprowadza, często wystawiony być może na to, że widzi je przychodzącym wtedy, kiedy

skutkiem zmiany średniej ceny targowej, dowóz artykułu tego ulega już pewnym ograniczeniom, albo zupełnemu zakazowi.

Ze wszystkiego tego uważać można, że prawa celne francuzkie, zupełnie wyłączają zboże z morza Bałtyckiego od wprowadzenia do kraju, i że w razie niedostatku zboża w departamentach północnych Francyi, tylko Holandya i Hamburg, bez żadnego *risico* mogą wysyłać je do portów kanału La Manche. Nie można przypuścić nawet, aby zamiarem prawa tego było robić utrudnienia, i jakby wyłączać Rosyą, Polskę, i Prusy, kraje produkujące zboże, od handlu z Francją; zastosowanie tylko prawa jest dla nas niekorzystne, a bardzo łatwo można by mu zaradzić, przez naznaczenie dłuższego terminu trwania cen handlowych.

Handel drzewa.

Po handlu zbożem, ze wszystkich przedmiotów wywozu, które mają odbyć w portach morza Bałtyckiego, a osobliwie w Gdańsku i Memlu, drzewo, jakieśmy widzieli, jest bez zaprzeczenia artykułem najważniejszym dla Królestwa Polskiego i prowincyj Cesarstwa Rosyjskiego, przyległych rzekom Bug i Niemen. W téj gałęzi handlu drzewo budowlane pierwsze zajmuje miejsce. Rosyja i Polska, wywożą rocznie przez Gdańsk i Memel około 400,000 sztuk belek i drzewa okrągłego; a gdy średnia cena sztuki jest talarów pruskich 6, całkowita więc wartość wywozu tego, wynosi rubli sreb. 2,160,000. Mimo to, handel ten jest jeszcze daleki od stanu, do jakiego mógłby dojść, gdyby nie musiał walczyć z przeciwnościami, wstrzymującemi postęp jego.

Niezależnie od różnych okoliczności przypadkowych i przechodnich, które wpływają niekorzystnie na odbycie drzewa budowlanego, handel tém drzewem najsrożej został dotknięty, przez wydanie w Anglii 1810 roku prawa, sprzyjającego dowozowi drzewa z Kanady.

Gdy system kontynentalny stawiał zawady stosunkom handlowym Anglii z wielką częścią Europy, rząd Wielkiej Brytanii, dla zapewnienia przemysłowi krajowemu nowej drogi odcytu, zaopatrzenia kraju w potrzebny materiał, i dla korzystnego zatrudnienia marynarki kupieckiej, pomyślał o eksploatacyi niezmiernych lasów Kanady, aby zastąpić niemi drzewo, sprowadzane z lasów północnej Europy. Negocyanci chciwie chwycili się tego przedsięwzięcia; upraszali tylko o zastonienie ich zakładów zamorskich, od współubiegania się z lasami europejskimi. Zapewnienie to udzielone im zostało, i tak dla interesu negocyantów rzeczonych, jako téż jako środek prawa odwetu przeciw lądowi stałemu, ustanowione zostało zbyt wysokie cło od drzewa, przychodzącego z Bałtyku. Taki był początek i cel bilu, przez który cło do owéj chwili istniejące 23 szylingów od loadu (50 stóp kub.) belek, podniesione zostało do 55 szylingów; z których 41 stanowiło opłatę za dozwoleń wejścia, a 14 szylingów jako podatek wojenny, *War duty*. Do tego dodano w r. 1813 opłatę dodatkową 10 szylingów i 5 pensów od loadu; ta wszakże wkrótce została zniesioną.

Opłata pobiérana od innych gatunków drzewa budowlanego, pochodzącego z Bałtyku, także stopniowo wzrosła; w miejsce 16 funtów szterlingów, 13½ szylingów (667 złp.) od 120 sztuk tarcic 40 stóp długich, postanowiono od nich opłatę 44 funtów szter. (1,760 złp.).

Tak znaczne podwyższenie opłat t \acute{e} m niekorzystni \acute{e} j wpływało na handel drzewa z Bałtyku, że przyjęto zupełnie nieodpowiednie różnice na korzyść drzewa z Kanady, to jest w stosunku prawie 11:2.

Zdrożenie drzewa europejskiego w Anglii, przy obfitym jego dowozie z Kanady, zrządziło zmniejszenie jego pokupu, a z drugiej znowu strony dla utrzymania o ile można konkurencyi z drzewem kanadyjski \acute{e} m tak protegowan \acute{e} m, negocyanci portów Bałtyckich zmuszeni byli znacznie zniżyć cenę, tak, że drzewo, za które poprzednio w Gdańsku lub Memlu brali 9 do 10 tal. prus., następnie za ledwo mogli sprzedawać po 6 talarów, a często jeszcze i tani \acute{e} j. Stan tego handlu juź jest tak naciągnięty i utrudniony, że małe znizenie ceny, wystawia przedsiębiorców na straty bardzo znaczne, a czasem nawet ich upadek powoduje. To nam pokaże następane obliczenie:

Płaci się w Gdańsku za belkę sosnową 50 stóp kub. najwyżej	7 tal. prus.
Koszta ubezpieczenia i kommissowe, wynoszą najwyżej	4 —
Koszta transportu z Gdańska do Londynu.	7 —
Cło w Anglii	18 —

Razem 36 tal. prus.

Jestto więc cena, za jaką kommissant może w Anglii sprzedać drzewo bez żadnego zarobku, ani straty dla kupca gdańskiego. Otóż jeżeli naprzykład ceną drzewa, odpowiednia t \acute{e} j wartości, spadnie tylko o 10 na sto, co od 36 talarów wyniesie tal. 3 gr. 18: wtedy właściciel drzewa juź stracił wi \acute{e} c \acute{e} j, jak połow \acute{e} jego wartości w Gdańsku; jeżeli zaś ceny zniżą się o 20 od sto, traci wówczas całą wartość drzewa. Nierzadko t \acute{e} ż zdarza się, że ceny spadają jeszcze niżej, co ma miejsce przy

niespodzianém nadejściu znacznych transportów drzewa z Kanady; wtenczas właściciel drzewa traci to, co zapłacił za niego w Gdańsku, i jeszcze ponosi część kosztów transportu jego do Londynu.

Takież samo jest położenie kupców albo właścicieli polskich, którzy wysyłają do Gdańska transporta drzewa budowlanego. Ceny jakie im ofiarują, są często tak niskie, że nie pokrywają nawet kosztów transportu. Oprócz strat ztąd ponoszonych, wystawieni są oni na straty daleko jeszcze znaczniejsze, przez skrupulatne brakowanie. Wybór drzewa tak się stał teraz utrudnionym, że kupują sztuki jedynie tylko piérwszój dobroci; te, które dawniej uważane były jako piérwszój dobroci, liczone są teraz do braków; co dawniej uważano za prosty brak, już teraz jest brakiem z braku. Tym więc sposobem z drzewa przyprowadzonego do Gdańska, zaledwie trzecią, a nawet czwartą część zakupują dla Anglii; pozostałość przedawana jest na potrzeby wewnętrzne, i aby tylko opróżnić magazyny. Możemy mieć wyobrażenie, jakieto są wtedy ceny drzewa, kiedy nawet obywatele o kilka mil mieszkający, i właściciele lasów wielkich, zakupują w Gdańsku znaczne partye jego. Jakież tego skutek dla przedsiębiorców polskich? Oto bez przesady rzecz można, że często połowa ich powraca do kraju obciążona długami, i z najmocniejszém postanowieniem niepuszczania się na tak niepewną i zawodną spekulacyą. Wszystko to zrodziło nieufność, i zupełne zniechęcenie do tego rodzaju handlu. A jednakże Anglia dobrze jest przeświadczona, że bez naszego drzewa obejść się nie może. Rolnik i mieszkaniec miasta, zarówno potrzebują drzewa na swoje siedziby, rękodzielnik na wzniesienie rozległych budowli, do pomieszczenia zakładów

przemysłowych; budowa okrętów, budowle portowe, służby, wyrób węgla i innych artykułów, ogromnej też ilości jego wymagają. O dostawę jego rywalizują teraz Bałtyk i Kanada: pochodzące z pierwszego, jest bardzo drogie, za to z Kanady jest prawie w zupełnie złym gatunku, tak, że budowle wzniesione z niego, ulegają zniszczeniu po 4 albo 5 latach, a prawie nigdy nie trwają dłużej nad lat 10; kiedy przeciwnie budowle z drzewa lasów północnej Europy, mogą trwać 30 do 50 lat. Dlatego też, właściciele angielscy baczni na swój interes, do budowy swych domów i zakładów przemysłowych, używają drzewa z Bałtyku. Rząd angielski, mocnoby się zdziwił, gdyby miał przedstawione sobie obliczenie tych niezmiernych kapitałów, pochłoniętych przez budowę gmachów z drzewa kanadyjskiego, które wkrótce po wystawieniu upadły ze zgnilizny; przekonałby się, jak to kraj drogo opłaca owę protekcją drzewa tego.

Zniżenie opłaty cła z 55 na 15 albo 20 szylingów od loadu belek, a z 44 na 10 lub 14 funtów szterlingów od 120 sztuk tarcic, pogodziłoby zobopólne Anglii i nasze interesa, nadałoby nowe życie téj gałęzi handlu; a jeszcze i tak drzewo kanadyjskie byłoby 4 razy tańsze od naszego, lecz z powodu złego jego gatunku, moglibyśmy wytrzymać konkurencją, i ogromne massy drzewa z pewnością wysyłać do Anglii.

Przedstawiliśmy więc stan handlu drogą wodną prowadzonego. Tak szczegółowe o stanie handlu tego wiadomości, podaliśmy głównie w celu wykazania usług, jakie nam rzeki spławne przynoszą.

(Dokończenie nastąpi).



POSZUKIWANIA HISTORYCZNE

NAD FINANSAMI POLSKIMI W XIV I XV WIEKU.

PRZEZ

Felixa Zielińskiego.

W tomie IIIcim **Dziejów Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego**, Bernarda Wapowskiego, zamieszczoną została przez wydawcę (str. 312 — 316) w tłumaczeniu, uchwała zjazdu kolskiego z r. 1456, w przedmiocie nadzwyczajnych podatków, podówczas nałożonych, zapadła. Oryginał téj uchwały, wydał poprzednio Edward Raczyński w **Kodexie Dyplomatycznym Wielkopolskim** (str. 175 — 179). Jedno z jéj postanowień (XXX) zdało się tak niezrozumiałém p. Malinowskiemu, że w przypisku (str. 315) uczynił uwagę:

„To postanowienie jest tak ciemne w texcie łacińskim, iż niepodobna go dostatecznie wyrozumić; wymaga koniecznego sprawdzenia w metrykach koronnych, gdyż Raczyński błędnie wydrukować je musiał.”

Zadosyć czyniąc uznanéj przez p. Malinowskiego potrzebie, z uczynną zawsze pomocą p. A. Muczkowskiego spółwydawcy *Dyplomatarjusza* i adjunkta Archiwum, sprawdziłem z księgą metryki koronnéj (lit. C. str. 255) nietylko text podejrzanego postanowienia, lecz i całej

uchwały. Okazało się ztąd, że w wydaniu Raczyńskiego istotnie popełniono dość omyłek; lecz gdy większa ich część pisowni tylko się tyczy, nie uważałem za potrzebne w całości uchwałę przedrukować (1).

Artykuł, który wywołał przypisek p. Malinowskiego, czyta się jak następuje:

Oryginał.

Item ministeriales terrarum sive districtuum loca jurium restitutiones in se habentes, inter partes coram capitaneis (o) districtuum ad libros ipsorum propter casum aut obitum eorum sive oblivionem, partibus inter quas hujus modi juris restitutio pendet jura restituant et ad libros capitaneorum ipsa (ius) juris restitutio scribatur.

Tłumaczenie p. Malinowskiego:

Wózni tych ziem lub powiatów, którym służy władza przywracania praw stronom przed starostą powiatowym, téż prawa przed ich księgami, czy to z przypadku, czy z powodu śmierci, czy przez zapomnienie zawieszony, przywrócić, i to przywrócenie praw do ksiąg starościńskich zapisać dadzą.

Miejsca w nawiasach zamknięte, są myłkami wydania Raczyńskiego. Sprostowanie myłek tych w tłumaczeniu, niewiele zmniejszy trudności, które się w wyrozumieniu postanowień uchwały przedstawiają. Co większa, porównywając tłumaczenie całej uchwały z oryginałem, dostrzega się, jak daleko pierwsze odstępuje od ostatniego. Niektóre miejsca, np. art. XXVIII, przedstawiają w tłumaczeniu sens oryginałowi zupełnie przeciwny. Wziąłem ztąd pochoch do ściślejszego rozpatrzenia się w uchwale zjazdu kolskiego, a następnie, do porównania jój ze stanem ówczesnego prawodawstwa, aby ztąd

(1) Myłki ważniejsze w wydaniu Raczyńskiego są następujące:

Str. 176, w. 6 po *neglexerit*, dodaj *post pignorationem*.

„ 177, w. 3 za *scitu*, czytaj *scientia*

„ 177, w. 20 *pecuniariis*, czytaj *pecuniis*

„ 178, w. 11 za *debitoris*, raczój *debitorum*

„ „ w. 15 *capitaneo*, raczój *capitaneis*

„ „ w. 17 *ipsius*, czytaj *ipsa*

„ „ w. 2 od spodu *castri*, czytaj *terrestri*.

światła jakiego zaczerpnąć ku wyjaśnieniu postanowień uchwały, i w ogóle historyi finansów polskich w XIVtym i XVtym wieku. Wypadek moich poszukiwań tu przedstawiam.

W epoce do której odnosi się uchwała kolska, ogólne potrzeby krajowe, we dwóch głównie objawiające się kierunkach, nie doszły jeszcze zupełnego rozwinięcia. Wewnątrz, społeczność potrzebowała rządu; lecz organa władzy rządowej nie wydzieliły się jeszcze i nie wyosobniły stanowczo z jój łona: społeczność pod tym względem sama sobie była oddaną. Węzłem zjednoczenia téj społeczności, przedstawicielem jój na zewnątrz, była osoba panującego; osobiste więc jego i dworu jego potrzeby, zaopatrywane być musiały kosztem społeczności.

Wojna przeciw nieprzyjaciółom zewnętrznym kraju, była drugim ważnym lubo tylko czasowym powodem do zjednoczenia sił całej społeczności. Téj potrzebie społeczność polska zaradziła, wydzielając z siebie stan rycerski, ogół tych wszystkich, którzy byli obowiązani iść zbrojnie na wyprawę, czyli mówiąc językiem pomników ówczesnego prawodawstwa, którzy mieli *jus militare* (prawo rycerskie).

W początkach społeczeństwa, środki naturalne wyprzedzają użycie środków sztucznych; obie wytknięte tu ogólne potrzeby krajowe na naturalnej, że tak rzekę, drodze, z początku załatwiane były. Panujący czerpał swoje dochody z obszernych włości; stan rycerski w posiadanej ziemi, otrzymywał wynagrodzenie ciężaru wojennego rzemiosła.

Z rozwinięciem się stosunków kraju, środki te okazały się niedostatecznymi. W najdawniejszych nawet cza-

sach o których mamy historyczną wiadomość, panujący oprócz dóbr posiadanych, nakładał jeszcze rozmaite na mieszkańców kraju ciężary, tak, jak z drugiej strony oprócz osobistych potrzeb, musiał zaradzać ogólnym potrzebom kraju. Budował zamki, zakładał i uposażał kościoły, wynagradzał zasłużonych; a zbrojny orszak, który straż przy nim trzymał, nieraz i do obrony kraju się przyczynił. Zgoła, skarb panującego był także skarbem kraju.

Dłużej się utrzymywał dawny sposób prowadzenia wojny. Im większe przecież sztuka wojowania uczyniła postępy, tém silniej dawała się uczuć potrzeba ludzi wyłącznie téj sztuce poświęconych; i wojny coraz częściej zaciężnym żołnierzem, coraz rzadziej przez nakazaną ogólną wyprawę prowadzone być zaczęły.

Nowy ten sposób prowadzenia wojny, wymagał znacznych nakładów, na ponoszenie których skarb panującego, głównie na własne jego potrzeby przeznaczony, nie wystarczał. Ztąd wynikła potrzeba poborów nadzwyczajnych, co znowu stopniowo doprowadziło do oddzielenia skarbu publicznego od skarbu królewskiego, i utworzenia osobnego ich zarządu.

W epoce o której mówimy, mającej za główną cechę niezupełne wykształcenie tych stosunków, rozdział stanowczo jeszcze był nie nastąpił, lubo pojęcia były znane (1) i dochody królewskie od dochodów krajowych odróżnić umiano. Pomniki prawodawstwa znają (lubo cokolwiek później) obok poboru królewskiego (census regius), pobór publiczny (contributio publica). Zarząd nawet dochodów z tych źródeł czerpanych, bywał od-

(1) Długosz ks. X. str. 660 wyd. lips. mówi o Władysławie Jagielle: *Plura largiens quam fiscus et aerarium ferre poterat.*

dzielny. Ale tylko finanse królewskie miały stały i nieustający zarząd (*camera regia*); tylko dla ich zasilenia, byłznaczony oprócz innych funduszków, wieczny pobór.

Takim poborem było poradlnie. Podatek ten różne dyplomata XIVgo wieku zowią: *Communis terrae exactio*, powszechnym poborem krajowym. Wysokość jego dawniejsza nie jest pewna. Długosz (X, 21) opisując okoliczności towarzyszące nadaniu przez Ludwika króla, sławnego przywileju koszyckiego w r. 1374, powiada, że król Ludwik żądał, ażeby mu tak jak wujowi jego Kazimiérzowi, z każdego łanu osiadłego (*de quolibet laneo possesso*), płacono sześć skojeów szerokich groszy, t. j. groszy dwanaście czyli czwartą część grzywny, tudzież miarę żyta i miarę owsa; że przeciw temu szlachta przytaczała uwolnienie siebie i włości swoich (*se et agros suos*) od poboru poradlnego, przez króla Kazimiérza; że Ludwik przyznawał, iż wuj jego taką obietnicę baronom uczynił, lecz przeczył, aby obietnica wykonanie wzięła, i powoływał się na przeciwną do śmierci Kazimiérza używalność; że jednak oświadczył, iż większą część ciężaru z nich zdejmie, gdy prawo następstwa tronu jego córek uznają. Na to chętnie szlachta przystała, i odtąd podatek niżony został do dwóch groszy; duchowieństwo tylko z początku obstawało przy zupełnym uwolnieniu przez Kazimiérza od podatku: czego gdy Ludwik nie uznawał i podatek w całej wysokości poprzedniej wybierać począł, przyszło do sporów, które zakończyły się porównaniem dóbr duchownych z świeckimi.... *Exactio tributi in unam libertatem addicta* (str. 41).

Te podania Długosza z ostrożnością przyjąć, ogólnie wyjaśnić należy. Nie jest on zupełnie wiarogodnym

źródłem co do epoki, której nie był współczesnym; jak zaś wyrazy jego rozumieć trzeba, poniżej zobaczymy.

Słowa Długosza mogły dać powód do mniemania, że szlachta i duchowni, nawet z własnych przez siebie uprawianych gruntów, podatek płacili. Rzeczywiście przecież podatek ten ciążył tylko ich kmieci. A gdy w całym ciągu późniejszego prawodawstwa liczne i wyraźne na to znajdują się dowody, przeto historycy i pisarze prawa publicznego krajowego, nie umiając trudności téj rozwiązać, w różny sposób usunąć ją usiłowali, w istocie coraz więcej do zagmatwania jęj się przyczyniając.

Lengnich w swém Prawie Publiczném (str. 119, 422 wyd. Helcla), tak rzecz wystawia: że Ludwik szlachtę od podatków i służebności uwolnił, prócz dwóch groszy z osadzonego łąnu, a Władysław Jagiełło to uwolnienie potwierdził, tak jednak, aby owe dwa grosze z łąnu kmiecie płacili.

Więcej od Lengnicha mający źródeł pod ręką, ale z uprzedzeniem na nie zapatrujący się J. W. Bandtkie, w Indexie czyli rejestrze do swojego wydania najdawniejszych zabytków prawa polskiego (*Jus Polonicum*. Vars. 1831), odróżnił *texta*, które według niego ogólny obowiązek płacenia poradlnego, bez różnicy stanu mieszkańców stanowią, od tych, w których ciężar opłaty zrzucony jest na kmieci.

Oto są jego słowa:

„*Grossi duo de quolibet manso solvendi; pag. 185, 334, 350, 466, 471: in Kmethones rejecti. 190, 192, 228, 274, 296, 305, 311.*”

Łatwo przecież wykazać, że pierwsze z tych miejsc nie mają takiego znaczenia, jakie im Bandtkie nadawał, i nie są sprzeczne z drugimi, których liczbę już i tak od pier-

wszystch znaczniejszą zwiększają jeszcze opuszczone w rejestrze Bandtkiego: przywilej czerwiński z r. 1422 (str. 222), i statuta piotrkowskie z r. 1447 (str. 258).

Miejsca piérwsze odnoszą się tylko do przywilejów z lat: 1374 (str. 185), 1496 (334 i 350), 1529 (466) i 1538 (471).

Lubo bowiem statut czyli przywilej z r. 1496, zawiera w sobie i potwierdzenie statutu nieszawskiego z r. 1454 (334); to przecież daty téj w poparciu zdania Bandtkiego przywodzić nie można, skoro oryginalny statut nieszawski z r. 1454, o obowiązku podatkowym szlachty milczy: z czego jeszcze to szczególne, zawsze według Bandtkiego, wynikłoby następstwo, że szlachta której Bandtkie (str. 270) sfalszowanie (artem malam et fraudem) statutu nieszawskiego, przy przedstawieniu go do potwierdzenia Janowi Albertowi zarzuca, przyjęłaby na siebie w przywileju potwierdzonym ciężar, do którego przywilejem pierwotnym nie była obowiązana (1).

(1) Oto są słowa obu statutów obok siebie postawione:
 Nieszawski piérwotny (str. 274): „Dominus rex non debet procedente tempore et in perpetuum de villanis sive Kmethonibus, tam spiritualium quam secularium personarum, aliquas exactiones novas exigere etiam quibuscunque vocitentur nominibus fertorum aut sex grossorum. sed debet esse contentus, de exactione regali, de quolibet manso duos grossos, prout antiquitus observatum extitit”.
 Nieszawski w potwierdzeniu (str. 334): „Item pollicemur quod a modo non expetemus aliquas solutiones aut contributiones fertorum aut sex grossorum a terrigenis vel eorum hominibus, sed in solutione duorum grossorum de quolibet laneo debemus esse contenti juxta veterem consuetudinem”.

Słowa „a terrigenis vel eorum hominibus” i „de quolibet laneo”, w błąd wprowadziły Bandtkiego. Wszakże w średniowiecznej łacinie, *vel* najczęściej łączy, nie zaś rozłącza; a tak piérwsze miejsce tłumaczyć trzeba. „od ziemian czyli ich kmieci”. Dłaczego zaś drugie wyrażenie nie jest stanowcze, zobaczymy poniżej.

Okoliczność, że w wydanych przez siebie obfitych źródłach prawodawstwa, Bandtkie między latami 1374 a 1496 nie znalazł żadnego textu, wykazującego obowiązek szlachty do płacenia poradnego, a natomiast liczne miejsca w prawach ówczesnych, ciężar ten do samych kmieci ograniczają: powinna była uwagę Bandtkiego na siebie zwrócić i od usterku w który popadł go uchronić.

Lecz nadto, sam pierwotny przywilej króla Ludwika, równie jak inne przywilejone w poparciu pierwszego zdania, mylnie zostały zrozumiane.

Mówi król Ludwik na wstępie, że ze szczególnych ku szlachcie względów (*eos speciali favore prosequi volentes*), uwalnia od dotychczasowych ciężarów:

miasta, grody, posiadłości, miasteczka i wsie, mieszkańców we wsiach baronów i szlachty, w królestwie Polskiem zamieszkałych:

„civitates, castra, possessiones, oppida et villas, incolas villarum totius regni Poloniae ipsorum baronum et nobilium omnium“;

samych zaś baronów i szlachty między uwolnionemi od ciężarów nie wymienia. Wzmianki téj wszakże nigdzie nie zaniedbuje, umieszczając ich owszem na czele, gdzie rozporządzenie i do nich się stosowało. W ogólném np. potwierdzeniu przywilejów wszystkich mieszkańców kraju, na końcu przywileju czytamy:

Insuper omnes barones, magnates, nobiles, civitates, oppida, villas, possessiones eorundem, populum et Kmettones in eorum libertatibus pollicemur et spondemus conservare (1).

(1) Kiedy w r. 1462 przyłączono ziemię belską do korony, powtórzono w akcie przyłączenia własne niemal wyrazy Ludwika (Vol. Leg. I, str. 201).

W samém ustanowieniu zmniejszonego podatku, wyraża się król Ludwik:

„*Sed his tantum volumus esse contenti, quod duo grossi usualis monetae in dicto regno currentis, quorum quadraginta octo marcam faciunt polonicalem, de quolibet manso vel sorte locatis vel possessis singulis annis nobis et nostris Successoribus in festo beati Martini confessoris in signum summi dominii et recognitionem coronae Regni Poloniae exolvantur*”.

Dobre zrozumienie tego miejsca, zależy od wytłumaczenia wyrazów, *de quolibet manso vel sorte locatis vel possessis*. Sam wyraz *mansus*, łan, zostawiałby nas w wątpliwości: czyli zasadą poboru podatku, nie była pewna geometrycznie wymierzona przestrzeń gruntu, łanem zwana? pomimo trudności w przyjęciu podobnej zasady, przypuszczającój pomiar kraju dalej posunięty, niż mógł być nim w XIV wieku.

Wszakże w 80 lat później, zaledwie odważono się częściowo podobną zasadę przyjąć.

Kiedy w r. 1456 opodatkowano grunta szlachty, niemającej kmieci czynszowych, postanowiono opłatę pół

„*Animadvertendo autem praefatos nobiles et proceres ad nos affectum habere specialem, volentes ipsos favore nostro speciali prosequi et eorum Kmethones quoslibet praefatam terram Betzensem inhabitantes, ab omnibus et singulis exactionibus... absolvimus... secundum morem aliarum Regni nostri terrarum*”.

Et rozciągające uwolnienie od podatków i do szlachty, nie znajduje się w przywileju Ludwika, przynajmniej jak ten jest wydrukowany. Dodatek ten naprowadza na wniosek, że szlachta betzka dawniej podatki płaciła, gdy uwolnienia od nich potrzebowała. Dalszy ciąg aktu przyłączenia, wyraźnie o obowiązku samych tylko kmieci co do płacenia podatku, nadmienia.

grzywny z łanu; lecz wówczas jeszcze uważano potrzebném dodać:

„Szlachta nie wiedzący wiele łanów uprawiają, zapłacą po pół grzywny od każdej małdraty usiewnej”. (Uchwała kolska u Rac. str. 176, u Malin. 313).

I tak przecież w wykonaniu musiało się okazać zawiele trudności, kiedy uchwała z r. 1458 (Jus Pol. p. 305) za zasadę podatku od szlachty kmieci nie mających, kładzie nie liczbę łanów lub wysokość wysiewu, lecz ilość plugów.

Jakżeby zatem łan geometryczny, miał być zasadą do pobierania podatku w XIV wieku? (1).

Aby usunąć tę trudność, zastanówmy się nad wyrazem *sorte*, tu jednoznacznym z wyrazem *manso*, tudzież nad objaśniającemi oba te wyrazy przymiotnikami *locatus vel possessis*.

Wyraz *sors*, znaczący pierwotnie los, ma w naszej, średniowiecznej i późniejszej łacinie inne jeszcze znaczenie, dzielnicy, części gruntu oddzielnie posiadanej, a nawet części jakiegobądź całości. Maciejowski znalazł ten wyraz w znaczeniu części gruntu już u Marcina Galla str. 302. To samo ma znaczenie w Kodexie Dyplomatycznym Rzyszczewskiego, tom. I, str. 74, 179. i w Bandtkiego *Jus Polonicum*, str. 313. U Raczyńskiego wreszcie str. 177, znaczy prosto część (2).

(1) We Francyi *mansus le manse*, oznaczał również osadę pojedynczą, kolonialną, różnej rozległości. W przecięciu osady takie mogły wynosić 10 hektarów. P. Guerard, „Condition des personnes et des terres”.

(2) Patrz Hist. Prawodawstw słowiańskich I, str. 137. U Bandtkiego, równie jak u Rzyszczewskiego, *sors* jest opuszczone w indexie. U Raczyńskiego czytamy: „Quilibet magister scolae *sextam sortem sui salarii*”.

Powtarzały się w Polsce niemal dosłownie uchwały poborowe, używając tych samych wyrazów technicznych.

Otóż jak się wyraża pierwszy uniwersał poborowy po polsku wydany (r. 1564. Vol. Leg., II, p. 661), stanowiąc podatek groszy dziesięć z łanu:

„Wszyscy kmiecie” mówi uniwersał, „i każdy z nich osobna, z każdego żrzebia, śladu, włóki, jako łońska uchwała sejmu piotrkowskiego opisuje, z osiadłych ról mają płacić po dziesięć groszy”.

Wyraz *żrzeb*, *żrzebie*, odtąd ciągle w uniwersałach powtarza się; i lubo wyszedł z użycia, zawsze na pierwszym miejscu jest kładziony, jako, że tak rzeczem, klasyczny na oznaczenie roli podatkującej.

Jest on niewątpliwie tłumaczeniem wyrazu *sors*, lub raczej dał powód, że wyraz ten w łacinie naszej takiego znaczenia nabrał. Jakoż *żrzeb* ma również jak *sors* podwójne znaczenie: losu i części gruntu; pierwsze, które dotąd w ruszczyźnie zachował (*żerebiej*), jest pierwotne (1).

Jak wielką rolę grało w Słowiańszczyźnie wieszczanie przez rzucanie losów czyli żrzebi, o tym wiadomo z najdawniejszych źródeł (2). Na tej sztuce wieszczenia, polegało głównie znaczenie kapłanów. Jest więc wielce do prawdy podobnym, że pierwotnie podział gruntów odbywał się przez rzucanie losów; że to dało powód do

(1) Linde wyraz ten nader niedostatecznie objaśnia, mieszając go ze żrebieciem i odwołując się do dzieł Zaborowskiego, Czackiego i Vol. Leg., gdzie wszędzie tylko w znaczeniu części gruntu jest użyty.

(2) Klassyczne w tej mierze jest miejsce u Helmolda II, cap. 12. „Ille (flamen) enim responsa perquirat et eventus sortium explorat; ille ad nutum sortium et porro rex et populus ad illius nutum pendent”.

przywiązania dwoistego znaczenia do wyrazu *źrzeb*, przetłumaczonego przez *sors*. Wspiera jeszcze to przypuszczenie, istniejący dotąd w gminach rossyjskich zwyczaj, losowania po pewnym przeciągu czasu gruntów gminy pomiędzy pojedynczych członków (1).

Cóżkolwiekbydź, to pewna, że przez *sors* rozumie się niewielki udział gruntu, odrębnie posiadany; a gdy w przywileju Ludwika *sors* jedno znaczy z łanem, więc jest tu mowa o łanie oddzielnie posiadany, czyli o łanie kmiecym.

Potwierdza to dodanie przymiotników *locatis vel possessis*. *Locare Kmethonem*, tłumaczą konstytucje łęczyckie z lat 1418 i 1419 (u Bandt. str. 197) przez „ossadnicz kmiecia”. *Mansus possessus vel possessionatus* w niezliczonych miejscach (p. np. u Bandt. str. 192, 311), znaczy łan przez kmiecia posiadany, osiadły, a nigdy nie jest użyty na oznaczenie roli solwarcznej. Zgoła wyrazów:

„*de quolibet manso vel sorto locatis vel possessis*”, nie można dziś inaczej tłumaczyć, jak tylko przez wyrazy:

(1) Porównaj Haxthausen: Studien ueber die inneren Zustaende Russlands. I, str. 124, 125:

„Als Princip gilt dass die ganze Bevoelkerung einer Dorfgemeinde als eine Einheit angesehen wird, der die ganze Feldmark... angehoerig sei. Jede lebende maennliche Seele hat einen Anspruch auf ganz gleichen Antheil an allen Nutzungen des Grund und Bodens. Dieser Antheil ist demnach dem Principe nach stets wechselnd, denn jeder aus der Familie der Gemeinde neugeborne Knabe, tritt mit einem neuen Rechte hinzu und fordert seinen Antheil, dagegen faellt aber auch der Antheil eines jeden Verstorbenen in die Gemeinde zurueck... Zuerst wird die Feldmark nach der entfernten und nahen Lage nach der Guete oder Schlechtigkeit des Bodens... in Wannen abgetheilt, so dass jede Wanne einen einiger massen in jenen Beziehungen homogenen Bestandtheil bildet. Dann wird jede Wanne in so viel Antheile in langen Streifen abgetheilt, als Antheilnehmer in den Gemeinden sind, und so dann unter diese *verlooseet*”.

„z każdego łanu czyli włoki osiadłej (kmięcój)”; a tak widoczna, że za zasadę podatku nie służyła geometrycznie wymierzona przestrzeń, lecz raczej najpospolitsza rozległość ról włościańskich, i tylko z tych ról podatek miał być płacony. Bezzasadnie zatem utrzymuje Lengnich, że Władysław Jagiełło ciężar podatku na kmieci włożył; bezzasadnie i Bandtkie dwoistość postanowień prawodawczych, w dalszych nawet czasach upatruje. Prawdą jest tylko to, że podatek lubo nie od ziemian ściągany, dotykał ich przecie dwojako: dotykał ich politycznie, bo wykonywając w obrębie swojej własności ziemskiej wszystkie niemal prawa, które w więcej posuniętym stanie społeczeństwa tylko ogółowi służą; mając nietylko prawo prywatnej własności, ale i znacznie większą część praw rządowych: ziemianie ponosili w nich uszczerbek przez bezpośrednie rozciągnięcie władzy krajowej, władzy panującego, nad mieszkańcami w włościach ich zamieszkałymi, jak to w ściąganiu podatku zachodziło. Dotykał ich ten podatek finansowo, bo kmiecie płacący go byli czynszownikami, bo im wolno było, lubo z wzrastającymi utrudnieniami grunt opuścić; a tak, gdy wysokość czynszu przez kmieci opłacanego, zależała od układu, nałożenie podatku na role kmieci, wywierało na czynsz wpływ oczywisty. Dlatego ziemianie tak nalegali na Ludwika o zaniechanie podatku, a Ludwik chcąc im szczególne względy okazać, podatek zmniejszył. Dlatego Jagiełło w owych właśnie przywilejach, z których wyraźnie okazuje się, że podatek kmiecie tylko płacili, wspomina przecież o dobrowolnym na ten podatek zezwoleniu ziemian (1). Dlatego wreszcie i w później-

(1) Porównaj przywilej z r. 1386 (Bandtkie, str 190)...

„Praeterea duos grossos de singulis Kmethonibus praelatorum, nobilium, caeterarumque ecclesiasticarum personarum regni Po-

szych statutach i kronikach znajdują się miejsca, według których sądzić można było, że poradne było ciężarem powszechnym, bo upowszechnił się sposób mówienia, podatek ten mieniący być ciężarem ziemian.

Dowód na to ostatnie twierdzenie, stawi między innymi porównanie Długosza (X, 180), gdzie mówi o poborze na wykupno ziemi dobrzyńskiej, z dyplomatem n. Rzyszczewskiego i Muczkowskiego w tomie II, str. 369 i 370 zamieszczonym, i z oryginału dotąd dochowanego wydrukowanym. Z tego ostatniego, którym Jagiello zapewnia, że jednorazowy pobór nie pójdzie w zwyczaj, okazuje się, że podatek 10 groszy z łanu, na wykupno ziemi dobrzyńskiej w Korczynie uchwalony, płacić mieli kmiecie. Ze słów Długosza można było sądzić przeciwnie, choć zresztą Długosz użył wyrażenia właściwego, *de quolibet laneo possesso*.

Wyraźne twierdzenie Długosza co do spólczesnej uchwały wielkopolskiej, że z prywatnych swoich przychodów (*de suis privatis introitibus*) szlachta podatek postąpiła, naprowadzałoby na domysł, że w Wielkiej Polsce

loniae praedicti, ad quos se serenissimo principi domino Ludovico recolendae memoriae... solvendo libere subdiderant".

Przywiléj piotrkowski z r. 1388 (Bandtkie, str. 192).

...., *Absolvimus insuper et liberamus omnes et singulos nostrorum terrigenarum Kmethones ab omnibus solutionibus etc... praeterquam duos grossos quos quilibet Kmetho praedictorum tertigenarum de quolibet laneo possesso, scultetis, servitoribus et etiam molendinatoribus, tabernatoribus et hortulanis hortos non colentibus duntaxat exceptis, singulis annis in futurum a festo Scti Michaëlis archangeli usque ad diem S. Nicolai nobis solvere sit adstrictus, ad quos quidem duos grossos alias serenissimo principi Ludovico regi Hungariae et Poloniae solvendo se libere submiserunt*".

Niéma tu nigdzie mowy o uwolnieniu od podatku *szlachty*. Jeszcze zastanawia, że w wyliczeniu klas ludności wiejskiej, chłopów pańszczyznianych nie ma wcale. *Hortulani* są zagrodnicy, którzy głównie role pańskie obrabiali.

lub odmienna została uchwalona zasada poboru, lub że przynajmniej kmiecie do potrącenia sobie podatku z opłacanego czynszu zostali upoważnieni. Przeciw tym przypuszczeniom walczy przecież, że zjazd korczyński odbył się dla całego królestwa; i przynajmniej do czasu odkrycia uchwały wielkopolskiej, za nader wątpliwe uważać je należy (1).

W czasach późniejszych, w r. 1564, kiedy oprócz podatku na łany kmiece, nałożono inny na dziesięcinę z nich duchowieństwu składaną: uniwersał poborowy obowiązując kmieci do płacenia tego nowego podatku, wyraźnie zastrzega im potrącenie z dziesięciny:

„a z dziesięciny i także z tych ospy mają to sobie potrącić”.

Podobne zastrzeżenie znajduje się w uchwałach wieku XV, co do podatku od procentów od summ wypożyczonych, który dłużnicy za swoich wierzycieli do skarbu wnosili. Nigdzie przecież go nie masz, gdzie o opodatkowaniu łanów kmiecych jest mowa (2).

(1) Co znaczy u Długosza „de quolibet laneo”, najlepiej wiedzieć można z ks. XIII, str. 180, gdzie mówi o zjeździe grudziązkim: „Decernunt ut ex omnibus terris regni spiritualium et regii Cmethones de laneo duos fertones... solvant”. A wkrótce potem: „Imperaturque omnibus ecclesiasticis personis... duorum fertonum *de quolibet laneo* sub districtis poenis solutio”.

Drugie z tych miejsc jest powtórzeniem pierwszego; a tak gdzie Długosz mówi z każdego łanu, rozumić należy tylko łany kmiece.

(2) Nie od rzeczy będzie przywieść tu słowa Modrzewskiego: *De emendanda rep. ed. 1551 r. fol. 64, vers.de eo tributo quod colonis omni fere anno tum imperabatur*” (mówi o początku XVI wieku).

Fol. 169 verso. „Postremo colonis et oppidanis pecunia imperatur. Hic finis, haec meta solet esse Consultationum omnium”.

Modrzewski uważa finanse jedynie jako środek potrzebny do prowadzenia wojny; a gdy wojna była ciężarem szlachty, wnosi stąd Modrzewski, że jeśli szlachta zaciężnym wyręcza się żołnierzem, sama go też opłacać winna, nie zaś kmiecie.

Jeżeli przecież nie bezpośrednio, to przez wpływ swój na wysokość czynszu, podatek uciążał ziemian, którzy go jak zarazy morowej (Długosz X, 21) nienawidzili.

Zasadę do uwolnienia się od podatku, szlachta czerpała w ciężacém ją prawie rycerskiém (jus militare), to jest w obowiązku stawania zbrojno i konno do boju, ile razy wezwani będą na wyprawę. Że ten obowiązek w dawnych czasach wyrównywał ciężarowi podatku, a może go przewyższał, ztąd wnioskować można, że w nadaniach prawem niemieckim przez Kazimierza Wielkiego, gdzie cała wieś zobowiązana jest do czynszu daleko większego, niż podatek poradny; soltys przecież, pomimo nadanej mu roli, obszerniejszej od zwyczajnych ról kmiecych, dochodów sądowych i innych korzyści, do niczego nie był zobowiązany prócz wyprawy wojennej: przyczém starannie opisany jest rodzaj uzbrojenia i wartość konia, na jakim stawać ma. Jakoż w kraju wojsko służyło darmo; pięć grzywien na konia dawanych przez króla, gdy wyprawa przekraczała granice, było zapewne niedostatecznym wynagrodzeniem; a tak mieszkańcy kraju, w ciężarach byli z sobą porównani. Widzieliśmy w przywileju z r. 1388, że od płacenia podatku wyłączeni byli soltysi; rozciągnięto do nich uwolnienie od podatku na tój samój zasadzie, na której nie płaciła go szlachta.

Stosunki te nie były z natury swojej niesłuszne; stały się niemi dopiero, gdy obowiązek iścia na wyprawę, stał się niemal zupełnie nominalnym, i wojnę prowadzić zaczęto żołnierzem zaciężnym, na którego opłacenie kmiecie znowu podatek składać mieli.

Z pomocą podanych przez nas skazówek, łatwo wyjaśnić rzeczywiste znaczenie aktów, które Bandtkiego w błąd wprowadziły. Jeżeli np. w potwierdzeniu praw

przez Jana Alberta z roku 1496 (Bandtkie str. 350; XXVIII), mowa jest o poborze podatku z każdego łąnu czyli włóki (*de quolibet laneo seu manso integro*), to słowa te w żaden sposób tak rozumiane być nie mogą, aby przez nie ciężar podatku do wszystkich bez wyjątku łąnów był rozciągnięty, na co trzebaby było uroczystej uchwały stanów, i czemu szlachta nigdyby się nie była poddała; lecz raczej przyjąć trzeba, że łąn jako pospolita miara rozległości osad włościańskich, bez dalszego objaśnienia za taką osadę był uważany: i tak wyraz ten powszechnie był rozumiany, jak i dziś zrozumianém byłoby rozporządzenie, że z każdego półwłóczka np. ma być pewna kwota płaconą.

Co do przywilejów Zygmunta Igo dla księstwa mazowieckiego wydanych z lat 1529 i 1538, z których drugi jest objaśnieniem pierwszego, trudno pojąć jak Bandtkie mógł je na dowód ogólnego obowiązku podatkowego przywieść, gdy z drugiego przywileju najwyraźniej przeciwny temu twierdzeniu wypływa dowód. Odma-wia w tym ostatnim przywileju Zygmunt prośbie szlachty mazowieckiej, aby poradne czyli czynsz królewski (*census regius*) od téj liczby łąnów co podatek publiczny (*contributio publica*) był płacony, z zasady, że „i pierwszym przywilejem tak postanowioném zostało, i w całym królestwie tak się zachowuje, iż z każdego łąnu osiadłego, poddani szlacheccy ten podatek płacą” (1).

Szeroko rozwiedliśmy się nad poradlnem, gdy to dało nam sposobność sprostowania błędnych mniemań o tym

(1) „Cum etiam privilegio nobilitati Mazoviae concessa cautum sit ut de quolibet laneo possesso poradne per duos grossos solvatur et omnium nobilium subditi hic in regno ad eum modum ita solvere sint soliti”.

przedmiocie krążących. Dodamy w zakończeniu téj materji, że poradne z pogorszeniem monety i zmianą stosunków gospodarstwa krajowego, stało się coraz mniej znaczącém; za Zygmunta IIIgo przestało być na króla wybieraném, a przez Władysława IVgo w paktach konwentach zupełnie narodowi darowaném zostało (p. Lengnich str. 119 i pacta conventa Władysława IVgo § podymne).

Jakkolwiek poradne było, jak widzieliśmy, dochodem panującego, przecież w początkach, gdy skarb jego był razem skarbem kraju, łączyło w sobie podwójną naturę podatku: dla panującego, i na potrzeby kraju składanego. Atoli wkrótce uwikłanie kraju w stosunki zagraniczne, pobudziło większą ogółu działalność i okazały się potrzeby pieniężne dotąd nieznanne.

Piérwszym objawem tych potrzeb było wykupno ziem dobrzyńskiej, zastawionój Krzyżakom przez Władysława księcia opolskiego. Nie znaleźmy dotąd aktu, objaśniającego środki finansowe wówczas użyte. Dopiero drugi tom Dyplomatarjusza warszawskiego, objął między innymi ważnymi dokumentami, zapewnienie dane przez Władysława Jagiellę na zjeździe kórczyńskim, iż podatek na raz jeden uchwalonego, na ciągły nie zamieni; zapewnienie przez to mianowicie ważne, że uchwałę zjazdu w treści, co do głównego punktu zapewne dosłownej, przywodzi.

Uchwałę tę Długosz w niektórych punktach objaśnia, winnych jest przez nią uzupełnionym lub sprostowanym. Objaśnia uchwałę Długosz stawiając niewątpliwy dowód, że poradne było odmiennój od podatku wówczas uchwalonego natury. Uchwała bowiem wspomina tylko o podatku dziesięciu groszy z łanu, zestawiając nie-

powném, czy w tych dziesięciu groszach mieściła się już zwykła opłata dwóch groszy? Długosz wątpliwość tę usuwa wyraźną wzmianką:

że uchwalono opłatę 12 groszy (włącznie z zwykłemi dwoma dla króla składanemi).

Uzupełnia znowu i rozjaśnia text Długosza uchwała w tém, że jak już nadmieniliśmy, wyraźnie obowiązek podatkowy do kmieci ogranicza, tudzież, że opłatę na ręce deputowanych od szlachty składać każe; gdy Długosz twierdzi, że podatek był składany na ręce deputatów królewskich. Dwa te twierdzenia tém chyba pogodzić z sobą można, że poborcy bezpośredni podatku byli ci sami, co podatek królewski wybierali, lecz summę zebraną winni byli oddać deputowanym ze szlachty. W ten sposób zatrzymała przy sobie szlachta szafunek podatku bądź z nieufności ku marnotrawstwu Jagielly, bądź z przekonania coraz silniej w nią wzrastającego, że rzecz publiczną za swoje uważać winna.

Podobnego środka ostrożności użyła szlachta małopolska na zjeździe korceyńskim w 1456 roku, na świętą Jadwigę odbytym. Delegowani ze szlachty, na których ręce pobrana summa złożoną być miała, nazwani są w rozkuzie królewskim na tymże zjeździe wydanym do podskarbiego Hinczy z Rogowa (Bandtkie str. 296) *Obirmany*; wyraz z czeskiego zapewne prawa wzięty, gdzie przecież *Ubrmany* inne mieli znaczenie.

Od roku 1404 nie znajduję w dyplomatach wzmianki o żadnym nadzwyczajnym środku finansowym, aż do roku 1447, z którego roku mamy statuta, wydane na zjeździe piotrkowskim (Bandtkie str. 258). Zmniejszone rozrzucnością poprzedników, którzy dobra koronne pozostawiali, dochody panującego potrzebowały zasilku nadzwyczaj-

nego, który téż uchwalony został, w sposobie poradnego, podwyższonego na czas jednoroczny do $\frac{1}{4}$ części grzywny czyli tak zwanego wiardunku (po łacinie *ferto*), równającego się dwunastu groszom. Statuta te atoli wyraźnie wspominają, że przez ten rok kmiecie od dwugroszowego podatku mają być wolni, czyli, że w owych dwunastu groszach nadzwyczajnego podatku, już się i zwykle dwa grosze mieszczą.

Jak widzimy, do tego czasu nadzwyczajne środki finansowe, ograniczały się na podwyższeniu istniejących podatków. Przyszła atoli chwila, w której natężenie dawnych środków nie wystarczyło, i trzeba było chwycić się nowych zupełnie sposobów. Jak zwykle, wzdragano się z użyciem nieprzyjemnej nowości, póki było można, t. j. póki nie zmusiła nieodparta konieczność. Chcąc się jej uchronić, nie pominięto niczego, nawet wyskoków władzy; które przecież równie tyle a może więcej w zawisłości jednego stanu przeciw drugiemu, co w stałych dążeniach lub w chwilowym zapędzie młodego Kazimiérza początek miały.

Najważniejszym wypadkiem panowania tego monarchy była wojna pruska. Lekcewały sobie siły Krzyżaków Długosz; wszakże jeżeli własne ich siły, zwłaszcza przy niechęci ku nim mieszkańców, nie były tak znaczne, potrafili je oni podnieść zaciężnym żołnierzem, jakiego wówczas głównie dostarczały Czechy, będące w wieku rycerskim swojej historii. Z taką pomocą zadali Krzyżacy w samym niemal początku wojny Polakom znaczną klęskę pod Chojnicami (1454); trzymali w swoim ręku niektóre z najważniejszych warowni pruskich, oblegali inne.

Tak niepomysłowy obrot wojny, zmusił kraj do nadzwyczajnych wysiłeni. W r. 1455 odbył się zjazd w Piotrkowie (Długosz, XIII, str. 169, 170). Zjechali nań niektórzy z Prusaków z żądaniem posiłków. Uznano wszakże, że ogólną wszystkich ziem wyprawę (*expeditionem terrarum Regni*) na ważniejszą potrzebę zachować należy; że dla pozyskania pieniędzy na zaciąg żołnierza, wypada naznaczyć opłatę wiardunku ze wszystkich łanów (*de universis lancis*). Pomimo tak ogólnego wyrażenia Długosza, nie wątpię, że i tu tylko o łanach kmiecych jest mowa. Wszakże zjazd piotrkowski (jak wiadomo, wówczas jeszcze sejmów reprezentacyjnych nie było, a tak powaga zjazdów zależała od liczego zebrańia się baronów i szlachty), zjazd mówiny piotrkowski nie czuł się władnym do nałożenia takiego podatku, lecz rzecz do zjazdów ziem pojedynczych odłożył, i nowy zjazd na Śgo Jana Chrzciciela naznaczył. Na zjazdach znowu szczegółowych, Wielkopolska na pobór zezwoliła; Małopolska więcej od placu boju odległa, a ztąd mniejszy w téj wojnie udział biorąca, nie chciała na pobór dwunastogroszowy przystać, jak chyba pod warunkiem, że dzierżawcy dóbr królewskich połowę wszystkich dochodów swoich złożą. Na to znowu dzierżawcy ci wcale przystać nie chcieli (1).

Żądanie szlachty małopolskiej było piérwszém wyraźniejszém dążeniem do wynalezienia nowego środka finansowego. Atoli dążenie to nie wzięło skutku; a król

(1) „*In terris vero Cracoviae plures resistentiae de solvendo oppositae nec in solutionem fertonum Nobiles trahi poterant, nisi ea conditio admitteretur, ut bona Regalia quocunque modo tenentes, omnium introituum solverent medietatem . . . Tenutarii bonorum Regalium, nullatenus se in hanc conditionem velut sibi operosam et gravem astruebant consensuros*”.

złe opatrzone w pieniądze, poszedł na wojnę pruską, gdzie oblegając napróżno Łaszyn, musiał na późnej jesieni oblężenie podnieść, i według Długosza, we czwartek po Wszystkich Świętych z wojskiem do Grudziąza przyciągnął. (Długosz XIII, str. 179—180 (1)). Tu odbył król naradę (*statum habit*), jakimby sposobem przy ogoloceniu skarbu królewskiego z pieniędzy, wojnę prowadzić a sprzykrzywszy sobie rady starszych baronów i dygnitarzy, jako niepomyślnym skutkiem uwieńczone, wybrał do rady *republicae* (*ad formandum Rei publicae statum*) ludzi młodych. Ci uchwalili ściągnięcie podatku dwóch wiardunków, z łanów kmiecych w dobrach królewskich i duchownych, jednego wiardunku z takichże łanów w dobrach szlacheckich, u nadto, izby wszyscy duchowni połowę dochodów ze swoich beneficjów złożyli (2).

(1) Do tego czasu odnosi się dokument, wydrukowany w Vol. Leg. I, str. 186, którym król Kazimierz z powodu złożonego przez ziemie wielkopolską, sieradzką i łęczycką podatku groszy dwunastu, obiecuje, że przez sześć lat następnych, podatku poradnego pobierać nie będzie.

Dokument ten dosyć przystaje do okoliczności czasowych; gdyż Wielkopolska rzeczywiście na podatek groszy 12 w r. 1455 zgodziła się. Lecz data w Chojnicy w piątek przed Wszystkimi ŚŚ. trudno się godzi z powieścią Długosza, gdy król ciągnąc z Łaszyna pod Grudziąż, w znacznej od Chojnicy znajdował się odległości. Gołębiowski, Dzieje Polski, T. III, str. 108 i 109 w przypisku wzmiankuje zapewnienie dane przez Kazimierza Wielkopolsce w grudniu, w poniedziałek po ś. Walentynie 1455 r., że podatku w zwyczaj nie zamieni. Znajdować się miało w oryginale w bibliotece poryckiej.

(2) Długosz, za którym w tej mierze idziemy, mówi wyraźnie: „*Imperaturque omnibus ecclesiasticis personis et medietatis de singulis proventibus veri valoris et duorum fertonum de quolibet laneo sub districtis poenis solutio.*“ Gołębiowski III, str. 114, pomieszał podatek od dochodów z podatkiem wiardunków, powołując się na Bielskiego. Że przecież dwa te rodzaje poboru były

I ta przecież doryweza uchwała nie utrzymała się. Na Trzy Króle zebrał się walny zjazd całego królestwa w Piotrkowie (Długosz, XIII, str. 182), na którym na zażalenie wniesione przez duchowieństwo, jednomyślnie postanowienia grudziązkie uchylono, „z wielką niesławą i naganą dla tych, którzy je uchwalili”, mówi Długosz. Natomiast zjazd piotrkowski piérwszy zrobił krok stanowczy, porzuciwszy wszelkie póśrodki. Nakazał wyprawę ogólną do Prus zaraz po Zielonych Świątkach, i uchwalił *złożenie połowy czynszów z dóbr kościołów katedralnych, tudzież z dóbr królewskich i prawu rycerskiemu, uległych.*

Zjazd na Trzy Króle rzucił tylko zasadę. Czynsze bowiem płaciły się dopiéro w listopadzie, na święty Marcin. Przed tą zaś epoką, odbył się na Narodzenie N. Panny (8 września) drugi zjazd w Piotrkowie, postanowienie piérwszego rozwijający.

Ostatniego tego zjazdu uchwałę, mamy wydrukowaną (u Bandtkiego, str. 294), nadto treść jego postanowień, znamy z Długosza (XIII, str. 193, 194). Zgodnie z drukowaną uchwałą podaje Długosz, że panowie z Małopolski i Rusi, sami zgadzając się na postanowienia zjazdu, nie śmieli jednak na *nie jak na rzecz nową, i ważną przystać imieniem ziem swoich, i rzecz do zjazdu w Nowém Mieście Korczynie, na ś. Jadwigę odbyć się mającego, odłożyli.* Uchwała inne jeszcze nawet punkta do rozstrzygnięcia w Korczynie i Kole (gdzie miał się odbyć zjazd Wielkopolski), zostawia. Lecz przytém Długosz zna

różne, mógł Gołębiowski już z tego wnieść, co mówi na str 132 o uchwale piotrkowskiej z roku 1459, gdzie oprócz wiardunku z łanu, ósmą część czynszu dać uchwalono, już z uchwały korczyńskiej z r. 1456.

obfitszą treść postanowień piotrkowskich, niż ją nam przechowała uchwała, tak, że albo ta ostatnia nie doszła nas w całości, albo Długosz pomieszał postanowienia piotrkowskie z wydanemi później w Kole. Te znowu mieszczą w sobie rozporządzenia przez Długosza niewspomniane.

Cokolwiekby, nie wahamy się uchwały piotrkowskiej, wraz z rozwijającemi ją korczyńską i kolską, szczególnie zaś téj ostatniej, uznać za najciekawszy pomnik finansowego prawodawstwa w Polsce z wieku XVgo. Środki finansowe uchwałami temi objęte są tak liczne i śmiałe, że dziś jeszcze o użyciu i zastosowaniu niektórych z pomiędzy nich, wątpliwe toczą się spory.

Ciężar był za wielki, ażeby go jedna klasa ludności dźwignąć mogła. Trzeba było, jakoż odważono się, dotknąć wszystkie. Lecz ustanowić podatek, któryby zarówno dotykał wszystkich, jestto zadanie, jakiego nauka finansów dotąd nie rozwiązała. Nietylko bowiem zachodzi trudność w ustosunkowaniu podatku, lecz nadto źródła bogactwa w niejednakowy sposób ujmują się ręce, która je chce dotknąć. Podatek pogłówny nie uwzględnia wcale różnic w zamożności obywateli; klasyczny nie uwzględnia ich dostatecznie. Podatek od dochodu uciąża dochody chwilowe, nie stałe, stawiając na równi tych co są na dorobku, z posiadaczami od przodków przekazanych, lub przez własną pracę nabytych majątków. Podatek majątkowy oszczędza znowu zbytecznie gromadzone w sztucznych przedsięwzięciach zyski. Jeżeli nie osoba posiadająca, lecz przedmiot własności (grunt, kapitał, prawo czynszu) wzięty jest za podstawę podatku, fikcyjna ta zasada (bo ostatecznie nie rzecz, lecz osoba podatek płaci), do nierówności z natury rze-

czy nieuniknionych przydaje nowe. Zgoła każdy rodzaj podatku ma swoje niedogodności, które w części lubo niezupełnie, usuwa zastosowanie społeczne kilku rodzajów podatku, dla osiągnięcia jednego celu.

Taką drogę obrali obradujący w r. 1456.

Zjazd piotrkowski był pierwszy, który uchwalił rzeczywiste bezpośrednio opodatkowanie wyższych klas społeczeństwa, dotykając je w najwięcej ujętych źródłach. Główne dochody ziemian i duchowieństwa, polegały na czynszach od kmieci pobieranych; zjazd postanowił, że połowę tych czynszów, pobierający je do skarbu wnieść będą winni. Drugi wielki środek, to jest opodatkowanie procentów od summ wypożyczonych, zjazd piotrkowski pozostawił do przyjęcia lub odrzucenia naradom korczyńskim i kolskim, a nawet, jak widzieliśmy, Małopolanie toż samo sobie zastrzegli i co do opłaty od czynszów.

Jeśli jeszcze dodamy zamieszczoną w końcu ofiarę duchowieństwa, tudzież postanowienie co do poradnego, wyczerpniemy całą osnowę postanowień piotrkowskich, przechowanych nam w uchwale.

Zjazd korczyński w części rozwinął uchwałę piotrkowską, w gruncie rzeczy przecie ją zwichnął. Zgodzono się wprawdzie w Korczynie na opodatkowanie czynszów, lecz ciężar tego nowego podatku zrzucono w znacznej części na poddanych, stanowiąc, że kmiecie i ludzie od lat trzech na woli osiedli, idąc w pomoc panom swoim (in subsidium dominorum suorum), mają złożyć po wiardunku czyli groszy 12.

Tój wysokości opłatę, 12 groszy z łanu, nałożono na grunta tych, którzy nie mieli czynszowników, to jest którzy sami uprawiali swe grunta, lub też pobierali robociznę

zamiast czynszu. Należała tu równie szlachta, jak sołtysi i ludzie wolni.

Nałożono jeszcze opłatę połowy procentów od summ wypożyczonych. Uchwalono podatek majątkowy od mieszczan i kupców: dwa grosze od grzywny od chrześcian, a cztery grosze od żydów; nałożono wreszcie rodzaj klassycznego na młynarzy, dwanaście groszy na tych, co byli właścicielami swych młynów, sześć na tych, co młyny dzierżawili.

Daleko bogatsza jest osnowa uchwały kolskiej; jak w ogóle w całym owym okresie wojen krzyżackich, Wielkopoleanie daleko chętniej do łożenia ofiar na rzecz publiczną okazali się, od mieszkańców innych części kraju.

Zjazd kolski przyjął bezwarunkowo dwa wielkie finansowe środki ówczesne: opodatkowanie czynszów i procentów, nakazując przytém złożenie połowy ceny dzierżawnej z pól dzierżawionych.

Na szlachtę niemającą kmieci (czynszowych), włożono podatek pół grzywny z łanu, t. j. dwa razy więcej, niż stanowi uchwała korczyńska; tylko sołtysi i ludzie wolni, mieli płacić po wiardunku. Podatek majątkowy od mieszczan i kupców chrześcian i żydów, uchwalono w tej wysokości co w Korczynie; rozciągnięto go przecież i do młynarzy, stanowiąc, że od wartości młyna, zapłacą po dwa grosze z grzywny (1). Podatek klassyczny otrzymał

(1) Postanowienie co do tego punktu niezupełnie jest jasne. Uchwała mówi: „Item quilibet molendinator de ventili molendino, compensantes summam et valorem molendini de marca per duos grossos” dalej zaś „a quolibet molendino ventili per quatuor grossos”.

Zdaje się, zapatrując się na uchwałę korczyńską, że pierwsze stosuje się do właścicieli, drugie do dzierżawców młynów.

znakomite rozwinięcie. Kmiecie, zagrodnicy i karczmarze, mieli płacić po groszu od siebie i od żon swoich. Tyleż każdy mężczyzna czy kobieta, mieszkający w mieście, a niepłacący zkadąd podatku. Czeladź i ludzie służebni, mieli płacić po dwa grosze z wiardunku rocznej płacy, czyli część szóstą. Tyleż nauczyciele (magistri scolae). Wreszcie wszyscy mający dochody z nadania królewskiego, mieli złożyć ich połowę.

Z opodatkowaniem klas mieszkańców dotąd od podatku wolnych, nastąpiła potrzeba przepisania nowych środków egzekucyi. Objęły je rozbiérane uchwały.

Dla ściągania od kmieci podatku poradnego, przepisał Władysław Jagiełło środki egzekucyjne w przywileju z r. 1388.

„Jeżeli jaka wioska — rozporządza przywiléj — podatku w oznaczonym czasie (od ś. Michała do ś. Mikołaja) nie wniesie, wtedy poborca przez nas do poboru podatku wyznaczony, będzie miał prawo zająć jednego wołu za nieopłacenie podatku, nieodwołalnie.“ W dni czternaście po dopełnioném zajęciu wołu, jeśli zapłata nie nastąpi, miał poborca zająć dwa woły, i to powtarzać co dni 14 aż do zapłaty. Środki te egzekucyi, stanowią solidarność kmieci wsi całej; w uiszczeniu podatku są bowiem do całej wsi zastosowane.

Środki egzekucyjne obmyślane uchwałami z r. 1456, są odmienne i nierównie ostrzejsze, jako przeciw właścicielom dóbr wymierzone.

Uwolnienia znowu od podatku, które uchwała zastrzega dla „mansı deserti ubi dominus haeres censu caret” nie chciałbym tłumaczyć jak p. Malinowski czyni (XXVI) przez „włóki nieuprawne, z których właściciel dochodu nie pobiera”, lecz raczej mowa tu jest o łanach pustych (przez kmieci opuszczonych), z których dziedzic nie ma czynszu.

Za uchybienie terminu wypłaty, przystąpić miano od-rozu do zajęcia — według Długosza i uchwały kolskiej — czterech — a według uchwały korczyńskiej — sześciu wo-łów; gdy to nie skutkowało, starosta po dwóch tygo-dniach miał się wwiązać w dobra niewypłatnego i trzy-mać je aż do uiszczenia podatku w dwójnasób. Uchwała kolska przepisuje nawet, że jeżeli drugie dwa tygodnie miną bezskutecznie, podatek zapłacony ma być w czwór-nasób (1).

W ten sposób obostrzywszy środki egzekucyi, zjazdy z r. 1456 oddały ich kierunek w ręce starostów, któ-rym, jak się okazuje z statutu Zygmunta Igo w Krakowie z r. 1527 (Vol. Leg. p. 474), poborcy podatku winni byli wykazywać zalegających czyli podawać ich na delatę.

Wszakże rzecz cała nie była zostawiona dowolności starostów. Według uchwały korczyńskiej z roku 1472 (Bandtkie str. 311, 312), wwiązanie w dobra poprze-dzać winny były trzykrotne zapozwy przed starostę, któ-ry sąd odbywał wspólnie z kasztelanem, sędzią lub pod-sędkiem ziemskim; a tak gdy postępowanie egzekucyjne miało przepisane dla siebie formy sądowe, wątpić nie można, że i wwiązanie się w dobra niewypłatnego kon-trybuenta, i oddanie mu tychże dóbr gdy się w podatku uiścił, następowało nieinaczéj, jak za spisaniem formal-nych aktów.

Teraz dopiero jesteśmy w stanie objaśnić przepisy końcowe uchwały kolskiej. Odnoszą się one do przypad-ku cofnięcia egzekucyi po uiszczeniu się kontrybuentów.

(1) Podobne środki egzekucyi, przepisuje uchwała przeciw dłu-żnikom, niewnoszącym do skarbu połowy należnego od nich procentu. Miał ich fantować starosta. P. Malinowski wyraził *sub pignoratione Capitaneorum* oddał w tłumaczeniu przez: „pod obawą zatrzymania wszystkiego przez Starostę”. Text przecieź takiego wykładu nie usprawiedliwia.

Pierwszy z tych przepisów brzmi:

Item jura terrestria suspendantur cum solutione debitorum.

P. Malinowski tłumaczy to zupełnie nieodpowiednio przez:

„Niewypłatni, zawieszeni być mają do używania praw ziemskich” (XXVIII).

Lecz nie o niewypłatności jest tu mowa, ale o wypłaceniu; nie o używaniu praw, ale o samych prawach; przytém nie można sobie utworzyć pojęcia, coby właściwie znaczyło podobne zawieszenie w używaniu praw?

Wyraz *jus* ma w dyplomatach ówczesnych najrozmaitsze znaczenie. *Jus* jest prawo, jest sąd, jest działanie prawne, na zasadzie prawa przedsiębrane; jest uprawnienie (*Berechtigung*), prawo komu służące. *Jus terrestre* czyli prawo ziemskie, przyjmuje—w ograniczeniu swego zakresu—tę samą rozmaitość znaczeń. Jeżeli np. w statucie mazowieckim z r. 1421 (*Bandtkie* str. 453) czytamy, że pan, który kmiecia od siebie puścić nie chce, pomimo przedstawienia mu trzech rękojmców, utraci prawo ziemskie:

„extunc talis nobilis jus terrestre censum, subsidia (zapomogę) et alia quae juri terrestri deserviunt perdet et amittel”

niema się przez to rozumieć, że utracający prawo ziemskie przejdzie na inne prawo lub będzie z wszelkiego prawa wyzuty, lecz jest mowa o tém jedynie, że pan traci uprawnienie, jakie mu z mocy prawa ziemskiego względem kmiecia służyło.

W tymże statucie znowu w ustępie końcowym *jus terrestre* oznacza sąd ziemski:

Item Kmethonibus quando citati fuerint ad jus terrestre...

O dwa ustępy niżej (XXXI) w saméjże uchwale kol-
skiej, *jus terrestre* to ostatnie ma znaczenie:

donec jura terrestria sortiantur progressum

„aż póki sądy ziemskie biegu swego nie rozpoczną”;
co zdaje mi się bliżej odpowiadać textowi, niż jak p. Ma-
linowski tłumaczy:

aż do ustanowienia sądów ziemskich (1).

Nic nie przeszkadza nadać to samo znaczenie wyrażeniu
jura terrestria w ustępie XXVIII.

Widzieliśmy, że exekucya na niewypłatnych, zarządza-
ną była za wyrokiem sądowym. Ustęp XXXI wyraźnie
rozpoczęcie biegu sądów ziemskich — które kilka razy do
roku tylko się zgromadzały — zapowiada; zapewne nie
w innym celu, jak dla rozstrzygnięcia sporów exekucyjnych.
Po uiszczeniu się kontrybuentów, potrzeba ciągłego tych
sądów zasiadania ustawała, i dlatego uchwała rozporządza:

„Z uiszczeniem się dłużników, sądy ziemskie bieg swój
zawieszają”.

(1) Tu jest miejsce sprostować pełne zresztą zalet tłumaczenie
ciekawego listu, przez wójta miasta Warszawy pisanego do naj-
wyższego sądu prawa chełmińskiego, w r. 1459 (p. Bibliotekę
Warszawską. Marzec, 1849, str. 623).

Zaraz nadpis listu: „Poważnym a mądrym mężom... rajcom
Torunia... albo gdzie się rządzą prawem chełmińskim” mylnie
jest oddany; słowa: „wo man kölmissch racht fint” znaczą raczej:

„gdzie się sąd chełmiński (najwyższy) znajduje”. Błąd ten dwa
razy jeszcze tłumacz powtórzył. I tak, str. 627 i 628, słowa:

„so sint dy zache ken dem Kolme ad'wo Kolmissch *recht* vor-
leget ist”, wytłumaczył przez: „niech sprawa idzie do Chełmna
albo tam, gdzie przodem innych prawo chełmińskie zachowują”.
Zamiast czego winno być: „sprawę odesłać należy do Chełmna
lub tam, gdzie sąd chełmiński jest przeniesiony”. Na str. 628
w. 20, 21, słowa:

„Ken dem Kolme ad'wo man das oberste rach findet”, oddał
tłumacz przez: „do Chełmna, albo gdzie się najwyższém prawem
rządzą”; winno zaś być: „do Chełmna, albo gdzie sąd najwyższy
się znajduje”.

Mogłoby wreszcie *jus terrestre* tu oznaczać i samo postępowanie **exekucyjne**, trybem prawa ziemskiego prowadzone, gdyby przyjąć należało czytanie „*cum solutione debitoris.*”

Przystąpmy do ustępu trzydziestego.

Pan Malinowski znalazł go ciemnym, bo nie odniósł go do usunięcia **exekucyi** po uiszczeniu podatku, lecz do saméj **exekucyi**. Wszakże ustęp ten nic więcej nie przepisuje, jak tylko, że jeżeli starosta sam nie dopełni aktu oddania dóbr zajętych dłużnikowi, woźny powiatu skutecznie to może za niego. Wyrażenie *jura restituant* odpowiada wyrażeniu: *possessionem restituant*, w rozkazy królewskim do podskarbiego na zjeździe korczyńskim wydanym (str. 297); a tak tłumaczę:

Woźni tych ziem lub powiatów, w których znajdują się miejsca do zapisywania przywróceń praw, przed starostami powiatowemi (to jest gdzie są akta grodzkie), w razie jeżeliby przywrócenie prawa stronie nie nastąpiło bądź z przypadku, bądź dla śmierci starosty lub przez zapomnienie jego: prawo przywrócić mają, i to przywrócenie do ksiąg starościńskich wpisaném zostanie.

Wiadomo, że sąd najwyższy prawa chełmińskiego znajdował się w Chełmie; że jednak to miasto wpadło w ręce krzyżackie jeszcze w r. 1457 (Długosz XIII, str. 216), i nie tylko w r. 1459, lecz daleko później w rękach krzyżackich zostawało; przeto miasta polskie przez ten czas nie mogły udawać się do Chełma, lecz szły tam, gdzie dla wszystkich miast polskich i polsko-pruskich prawem chełmińskim rządzących się, znajdował się sąd najwyższy. W r. 1459 był ten sąd w Toruniu; widać przecie, że Warszawianie nie byli pewni czyli gdzieindziej przeniesiony nie został, gdy w nadpisie listu swego, wątpliwie co do tego punktu się wyrażają. W témże tłumaczeniu wyraz: „*sint dem mol*” (sintemal) rozmaicie tłumaczony, sprostowacby wypadło wszędzie na: „ponieważ” lub „skoro”, a datę zapisu (str. 626), na piątek po ś. Andrzeju

Takie były uchwały finansowe z r. 1456. Później środki wówczas użyte, nigdy już z równą energią rozwinięte nie zostały. Opodatkowanie czynszów i procentów, napotykamy przecież jeszcze i później, np. w wysokości sześciu groszy od grzywny procentu, i czwartej części czynszów (jedynie od posiadaczy dóbr królewskich) w uchwale z r. 1458.

Stan społeczny kraju szybko zmieniać się począł. Życie publiczne zaczęło nabierać coraz większego znaczenia, wkrótce owładnęło i zagłuszyło w Polsce wszystkie inne dążeń ludzkich kierunki; i stało się nie już jak być powinno najwyższą, ale jedyną treścią, jedynym objawem życia narodowego. Przy tak wypaczonym biegu społecznego rozwinięcia, gdy żaden z innych kierunków działalności ludzkiej nie dostąpił uznania swojej godności; klasy do życia publicznego nieprzyrządzone, traciły i tracić musiały na swoim uprawnieniu, i ztąd w miarę rosnących swobód szlachty, pogorszał się stan ludu.

W końcu XV wieku, przemiana ta już znacznie postąpiła. W jego początku szlachta uprawiała swoje grunta, niebardzo obszerne, przez zagrodników (hortulani) (1), główne dochody ciągnąc z czynszowych kmieci. Uchwały z r. 1456, podrzędnie tylko wspominają o szlachcie niemającej włości czynszowych. Coraz więcej przecież, być może dla korzystniejszego przy otwarciu portów pruskiego gospodarstwa, czynsz na pańszczyznę zmieniać zaczęto. Stanowczy w tej mierze krok, odznacza uchwa-

(1) Przywilej z r. 1388 wspomina zagrodników nieuprawiających swoich ogrodów (hortos non colentes). Ci tylko byli wyłączeni od podatku. Byli więc i tacy, którzy podatek płacili na równi z kmieciami, z zagród swoich odrabiając pańszczyznę. W pierwszych poznać można dzisiejszych kopiarzy, w drugich chłopów pańszczyznianych.

ła toruńska z r. 1520 (Vol. Leg. I, str. 296), nakazując, aby kmiecie odtąd z łanu, jeden dzień w tygodniu dla panów swoich, w dobrach królewskich, duchownych i szlacheckich odbywali robociznę, wyjąwszy tych, którzy czynszem pieniężnym, lub zbożowym, albo daniną jaką za robociznę panom wynagrodzili (1).

Kiedy tak z czynszów do robocizny przechodzić zaczęto, opodatkowanie czynszów straciło na swój ważności, i przestało być znaczącym środkiem finansowym. Zachodziła przecież potrzeba wynalezienia nowych natomiast źródeł. Jak téj potrzebie w różnych czasach zaradzić starano się? odpowiedź na to przechodzi granice niniejszej pracy. Tu wskażemy tylko jako na ciekawe ślady usiłowań ówczesnych, na uchwałę krakowską z r. 1527 względem otaksowania wszystkich dóbr szlacheckich, duchownych, i zastawnych królewskich i na projekt przez Łaskiego podany, utworzenia z nadzwyczajnych składek banku (czyli *montis pietatis*, o чём wspomina Modrzewski.

(1) Wchwale toruńskiej czytamy: „Demptis his colonis qui cens: pecuniario aut frumentario seu quacumque alia contributione seu datione Dominis suis labores jam ante compensarunt”.

Wbydgoskiej zaś z tegoż roku: „Exceptis villis nostris semper privilegiatis quae expresse speciali privilegio docerent quod loco laborum censum pecuniarum auxerunt”. (Vol. Leg. I, str. 394.



KRONIKA LITERACKA.

Źródła mineralne w królestwie Galicyi i na Bukowinie, pod względem fizyczno-chemicznych własności; tudzież rozbiór fizykalno-chemiczny wód mineralnych w Iwonicy, przez Teodora Torosiewicza. Lwów. 1849.

Pomiędzy niewieloma dziełami, które w roku bieżącym na jaw wyszły, do najważniejszych należy dzieło pana Torosiewicza: „O wodach mineralnych Galicyjskich”. Jestto istotna ozdoba naszej literatury. Mało dotąd posiadamy dzieł z tak wielką znajomością przedmiotu napisanych, i wykonanych z tak niezmierną pracą a oględnością. Czytelnik znajdzie w niém wszystko, cokolwiek tylko wyszło o wodach mineralnych Galicyi, nietylko w naszym języku, ale i we wszystkich innych, a mianowicie w niemieckim; i bynajmniej nie powiemy zawiele, że dzieło p. T. powinno służyć za wzór, jak należy zabierać się do podobnych prac. Witamy je dlatego z tém większą przyjemnością, że właśnie pochodzi z Galicyi, z części kraju, w której prace umysłowe, odznaczające się ścisłością, owym koniecznym warunkiem w umiejętnościach przyrodzonych, pojawiać niezwykle się wcale; z téj części kraju, w której umysły więcej zajmowały się tylko wyobraźnią.... Z małą znajomością przedmiotu jest tłumaczenie ks. Balickiego: Opisu kwaśnej wody w Szczawnicy, Herbicha, lub Kratera opis tychże wód przez dwóch niewiadomych tłumaczy; niewiele tym dziełom ustępuje tłumaczenie Histo-

ryi naturalnej Fischera przez ks. Lewartowskiego, dzieło zkądinąd niezastęgujące na przekład. Kiedy zatém we Lwowie wychodzi dzieło mające rzeczywistą wartość, witamy je z tém większą radością, albowiem zapowiada zwrot ku dobremu, i naprowadza umysły do trudnego pracowania w umiejętnościach przyrody, zajmujących obecnie wszystkie ucywilizowane narody, a które im zapewniają przewagę moralną i materyalną.

Aczkolwiek dzieło p. T. nie jest bardzo obszerne, przecież jest rezultatem długiej a mozolnej pracy, przygotowywaném od ćwierci wieku. Aby podobną pracę dokonać, musiał się p. T. obznajmić bardzo dokładnie z chemią; aby zaś wykonać rozkłady wód mineralnych, potrzeba w tego rodzaju pracy nadzwyczajnej ścisłości i bystrości, odznaczającej niezwykłych ludzi, dla wyśledzenia pojedynczych pierwiastków w nader drobnych cząstkach zawartych, a które często tak uderzające skutki wywierają na cierpiący organizm. Do wykonania podobnej pracy, potrzeba być nietylko biegłym chemikiem, ale nadto posiadać obszerne laboratorium i nieprzeliczone odczynniki czyli reagensa, i liczne, jak najściślejsze instrumenta. Wszystko to umiał przewyciężyć p. T.; własnym kosztem założył wyborne laboratorium i w niém wykonywał rozkłady wód najprzód bliższych Lwowa, a następnie odleglejszych. Aby poznać dokładnie ich własności, nietylko potrzeba je analizować chemicznie, ale nadto trzeba rozpoznawać ich własności fizyczne, i dlatego potrzeba je na miejscu rozpoznawać; aby zaś części lotne oznaczyć, trzeba do każdego źródła przenosić pewnego rodzaju laboratorium podrózne.

Ze wszystkich krajów dawniej Polski, najbogatsza jest Galicya w źródła mineralne. W zachodniej części tryszczą w Karpatach nieprzeliczone szczawy, zawierające nader odmienne części stałe w swoim składzie, a tém samém wywierające nader odmienne skutki na organizm; w wschodniej Galicyi ciągną się wzdłuż podgórze karpackiego nieprzeliczone źródła słone, mające niekiedy w swoim składzie części lotne oleju skalnego, tudzież źródła tegoż samego oleju,

używanego w Galicyi do różnych potrzeb życia codziennego. Źródła te poczynają się od Iwonicza i Dobromila, kończą się w Bukowinie. W okolicach Lwowa tryszcza na wielu miejscach źródła siarczane. Z téj nieprzeliczonej ilości źródeł mineralnych, badał wprawdzie p. T. tylko celniejsze, rozpoznawał własności fizyczne, ważył ich ciężar gatunkowy, zastanawiał się nad ich temperaturą, rozpoznawał części lotne w nich zawarte, a następnie oznaczał w domu części stałe. Pojedyncze prace ogłaszał p. T. w różnych czasach w rozmaitych pismach peryodycznych, po większej części niedostępnych nawet tym, którzy się zajmują bliżej umiejętnościami przyrodzonymi; bo któż zna dziennik niemiecki, wychodzący we Lwowie p. t.: „*Mnemosyne, Galizisches Abendblatt*” albo: „*Galicya, Zeitschrift*” także drukowane pismo peryodyczne? Nierównie więcćj dostępnymi stały się pisma p. T. umieszczane w dzienniku farmaceutycznym Buchnera, pod tytułem: *Repertorium für die Pharmacie*. Aby zebrać podobne publikacje, niemałe zachodzą trudności, które najlepiej tym są wiadome, którzy się zajmowali podobnymi zbiorami. W jedną całość zebrał wszystkie te prace poprzedników i swoje własne p. T. Aczkolwiek ta praca jest kompilacyjną, uwielbiać wypada owę wielką, wszędzie przebijającą się krytykę. Z dzieła tego okazuje się najjawniej, jaką zasługę ma p. T. Prócz analiz wód mineralnych Fonberga i Kitajewskiego, inne nie wytrzymują krytyki; p. T. wszakże mówi o nich z wielkiem pobłażaniem. Wszakże o podobnych pracach wypadało orzec, jaka ich wewnętrzna zasługa, jaka ich wartość umiętna: boć zostawiać czytający ogół bez dostatecznego ocenienia, jest niekorzystną rzeczą; często bowiem mierne prace są uważane za coś bardzo dobrego, przez rozmaite względy i stosunki miejscowe. Powstaje wprawdzie z drugiej strony inna niedogodność, że ludzie pozornie wykształceni, rozstrzygają uczenie o przedmiotach, które ledwie co zaznali powierzchownie. Chociaż więc tworzą się ludzie o wszystkiém mówiący, co w rzeczywistości jest tylko odgłosem istotnej umiętności, kształci się z drugiej strony ogólnie rozum na-

rodu, i ztąd pomimo téj ujemnej strony, sądzimy, że zdrowe sądy są konieczne potrzebne, i dlatego uważamy, że p. T. lepiejby uczynił, gdyby wydał zdanie o rozmaitych analizach wód galicyjskich. Ten obowiązek krytyka może wprawdzie wykonać każdy chemik, a zatem i wtedy pożądaną się wysokiemi zasługami p. T., który ze skromnością właściwą ludziom wyższym, nie wydawał tego sądu, co uczynić wypadało w interesie dobra ogólnego, w interesie umiejętności.

Dzieło p. T. jak ze samego tytułu wynika, składa się z dwóch części: pierwsza zawiera opis monograficzny wody mineralnej iwonickiej, tak słonej jako i żelazistej; w drugiej wylicza alfabetycznie wody mineralne, znajdujące się w Galicyi. Podobnie jak we wszystkich swoich monografiach opisuje p. T. własności fizyczne wody iwonickiej, podaje metody, podług których oznaczał części stałe i lotne tych dwóch wód mineralnych. Jestto część ściśle umiejętna, konieczna dla tych, którzy znają bliżej chemią; a ci się przekonają, że praca ta przynosi zaszczyt naszemu autorowi, bo zostaje na wysokości umiejętności, bo zna najdrobniejsze jej postępy i ruchy. Zastanawiając się nad temi pracami p. T. podziwiamy, że tak usilnie pracuje, bez względu na otaczające go okoliczności, bez względu na powszechność niemającą w tych pracach jakiegobądź udziału. Ktokolwiek zamierza szukać pomocy w wodach iwonickich, powinien wzywać ciągle téj książki, jako poradnika, mieć ją zawsze pod ręką, albowiem znajdzie dokładną radę we wszystkich przypadkach, jakie mu będą potrzebne. Nietylko dowiód się o położeniu geograficznem ważnych wód mineralnych, o ich własnościach i skuteczności, ale poweźmie wiadomość, jakie leczą choroby; o sposobach, jakimi napełniają saszki wodą mineralną, przeznaczone do rozesłania; o szczególnym ogniwem źródle wyziewającym palne gazy, które podług p. T. składają się z wodorodu węglowego i nafty, przypominające owe święte ognie czczone przez starożytnych Persów przy Baku nad morzem Kaspijskiem, albo źródła ogniowe chińskie w prowincyi Tschuean, które nie są za święte

uważane, ale **praktycznie użytkowane**. Źródła te w Chinach, służą do **wywarzania soli**, znajdując się w wodach stonych. Wielkie jest **prawdopodobieństwo**, że podobne źródła ogniowe, dadzą się **dowiercić** w wielu miejscach na podgórzu karpackim, i kiedy większy przemysł obudzi się w Galicyi, ogrzewać będą kiedyś tym naturalnym ogniem właściciele swe gorzelnie i cukrownie. Nie dzielimy zdania p. T., iżby z bytności gazu wodorodno-węglowego, wnosić można o ukrytych pokładach węgla kamiennego albo brunatnego w Galicyi; w okolicach bowiem w których znajdować się zwykły pokłady węgla kamiennego, jakoto: w Krakowskiem, w Szlązku Górnym i Dolnym, niemasz i śladu źródeł naftowych. Toż samo potwierdza się na wielu innych miejscach, w różnych krajach dalekich i blizkich. Źródła nafty, czyli oleju skalnego, wydobywają się wprawdzie w Galicyi z osadu nazwanego od geologów formacją trzeciorzędową, zawierającą pokłady węgla brunatnego; ścisłe jednakże poszukiwania geologiczne, rozpoznanie licznych przecięć przez parowy wykonane, nie pokazały i śladu pokładów węgla brunatnego, czyli lignitu. Zdaje się raczej, że cała skała itowa przejęta jest olejem skalnym; w niektórych miejscach do tego stopnia nasycone są łupki itowe, że służą za paliwo, jak np. w okolicach Brzostku, niedaleko Pilzna. Źródło mineralne iwonickie, chociaż nie należy do bardzo obfitych, wydaje dziennie 15,000 kwart wody, a łącznie z drugim 30,000 kwart. Temperatura głównego źródła nie jest bardzo wysoka, wynosi $+7,5^{\circ}$ R. i jest nieco wyższą, aniżeli zwyczajnych źródeł słodkiej wody. Iwonicka woda mineralna ma słaby zapach, pochodzący od oleju skalnego, ulatniającego się zwyczajnie, jeżeli flaszki nie są dokładnie zakorkowane. Smak tej wody jest słonawy, orzeźwiający. Nie będę wchodził, jakim sposobem rozbierał p. T. tę wodę, albowiem to zadalekoby nas wprowadziło w procesa chemiczne; podam tylko rezultat rozbioru, a dla porównania i okazania tożsamości, wymienię obok pierwiastki, zawarte w źródle Adelaidy w Heilbrunn:

Gazy obliczone w 100 calach sześciennych wody z odniesieniem do jej temperatury i do stanu barometru = 28 cali	Źródło mineralne w Iwoniczu nr. 1	Źródło mineralne w Iwoniczu nr. 2	Źródło Adelaidzkie w Heilbrunn
	Cali sześciennych		
Gazu węglito-wodородowego.....	2,777	0,820	Razem
Gazu kwasu węglowego	30,416	27,598	
Azotu.....	0,704	1,240	
Ogółem.....	33,897	29,658	1
Części stałe w 1 funcie = 12 uncjy wody mineralnej	G r a n ó w		
Chloretu sodu.....	45,343	35,398	29,322
Brometu sodu.....	0,218	0,074	0,113
Jodetu sodu.....	0,127	0,030	0,165
Węglanu ammoniaku..	0,190	—	0,062
Węglanu sody.....	9,778	6,044	4,889
Węglanu wapna.....	1,291	1,100	0,327
Węglanu magnezyi....	0,499	0,386	0,080
Węglanu żelaza.....	0,029	0,044	} niedokwas żelaza 0,060
Węglanu manganu... ..	0,014	0,020	
Kwasu krzemionkowego	0,074	0,079	0,080
Kwasu źródłowego....	0,058	0,068	} istoty organiczne 0,041
Żywicy ziemnej.....	0,039	0,024	
Oleju skalnego.....	nie oznaczono	nie oznaczono	—
Ogółem.....	57,660	43,267	35,139

Zdanie Buchnera, jakoby stosunki geologiczne przy Iwoniczu były też same, co w Niemczech pod Heilbrunn, nie jest niczem poparte. Niemasz żadnej wątpliwości, że źródła iwonickie wypłukują pokład soli kuchennej, należącej do formacji trzeciorzędowej; niemieckie źródła przeciwnie powstają przez rozpuszczenie pokładów soli formacji triasowej.

Z równą ścisłością opisuje p. T. wody żelaziste około Iwonicza, oddalone o kilka sążni od poprzedniego źródła; temperatura tej wody wynosi również $+7,8^{\circ}$ R., skład zaś jest znacznie odmienny.

Wielki jest szereg chorób, które leczy woda iwonicka; głównie pomaga na choroby skrofuliczne, w całej ich rozciągłości wzięte; dalej na choroby wynikające ze złego trawienia, z braku apetytu i t. p. Nie będę się wdawał w wymienienie długiego szeregu tych najrozmaitszych przypadłości; wolę do samego dzieła odesłać czytelnika, który niezawodnie wtedy z niego korzystać zechce, gdy istotna zajdzie potrzeba.

Opis źródeł iwonickich służy niejako za wzór, jakim sposobem badał p. T. źródła galicyjskie; jestto część napisana ściśle naukowo. Nierównie ważniejszą dla czytającej publiczności jest druga część tego dzieła, w której p. T. wymienia alfabetycznie wszystkie źródła mineralne galicyjskie z ich najważniejszymi własnościami tak fizycznymi, jako i chemicznymi, wraz z wiadomością o ich geograficznych stosunkach. Niemało przyczynia się do wygodnego wynalezienia źródeł, wyliczenie ich alfabetyczne. Aby mieć wyobrażenie, jak bogaty materiał opracowany został w tém dziele, podaję ich szereg: *Bolechów*, wody słone; *Borkut* pod *Kossowem*, szczawa; *Busk* i *Solec* (w Królestwie Polskiem) wody słone; *Dorna* na *Bukowinie*, liczne źródła słonej wody (w wioskach *Dorna*, *Watra* i *Dorna Kandreni*, z tych celniejsze nazywają się *Pojana Negri*, *La Drukany*); słona woda w *Drohobyczy*; *Jarosław* z wodą kwaśną, rozebrana przez *Bajera*; źródło słone w *Jurowcach*; źródła siarczane w *Konopówce* w obwodzie tarnopolskim, pamiętne, że w nich kąpała się sławna bohaterka *Trębowli Chrzanowska*; szczawa w *Korsowie*, rozebrana przez dra *Tytz*; źródło słone w *Krakowie*, rozebrane przez profesora *Floryana Sawiczewskiego*; szczawa w *Krościenku* pod *Pieninami*; potężna szczawa w *Krynicy* niedaleko *Sącza*, równająca się co do obfitości wytryskującej wody, nasyceniem gazem kwasem węglowym, najslawniejszym szczawom na świecie, a mianowicie *pyrmonckiej*; wody siarczane w *Krzeszowicach* i *Lubieniu*; wody słone w *Łukawicy* wyższej, w obwodzie stryjskim; wody siarczane w *Niemirowie* i w *Nowosielcach*, pierwsze w żółkiewskim, drugie w brzeżańskim obwodzie; woda mineralna na *Podgórzu* przy *Krakowie*;

woda siarkowa w *Radowcach* na Bukowinie, dobywająca się z wysokich gór *Kapul* i *Tatarkutza*, dwie i pół mili odległe od wiosek *Isfor* i *Kirlibaba*; słona woda w *Rosulnie* w obwodzie *stanisławowskim*; woda gipsowa w *Sokolnikach*; słona woda w *Starosoli*; szczawa w *Suliguli* na Węgrach niedaleko *Burkuta*; bardzo mocna woda siarczana, wypływająca z pokładu siarki w *Swoszowicach* pod *Krakowem*, którą p. T. ze zwykłą ścisłością nanowo rozebrał. (Analizy *Markowskiego*, umieszczonej w t. XI, str. 336 *Rocznika Towarzyst. Naukowego krakowskiego* nie znał p. T.); kwaśna woda w *Szczuwnicy*, w jednej z najpiękniejszych okolic w całych *Karpatach*, przy malownej grupie gór zwanych *Pieninami*, nad szumnym *Dunajcem*; *Szkło*, której siarczaną wodę rozpoznawał na rozkaz *Stefana Batorego* *Dr. Wojciech Oczko*; *Truskawiec*, z wodami słonawo-siarkowymi, zawierającemi części nafty.

W końcu załącza p. T. spis rejestrowy wszystkich źródeł mineralnych dotąd w *Galicyi* poznanych, między którymi wielka ilość nie jest rozbierana. Jestto obszerny materiał do następnych badań; zapewnie niejedna woda nadzwyczajnie pomocna, zostanie w czasie swym rozpoznana.

Zakończając tę rzecz o dziele p. T., musimy je jak najmocniej zalecić naszym lekarzom, aby je nieustannie używali i ciągle radzili; wielka powszechność zaś znajdzie w niem pewnego doradcę, doskonałego przewodnika.

Niech nam wolno będzie jedną uwagę uczynić nad tém dziełem, niezostającą w styczności ze stroną chemiczną tych źródeł; zamierzam mówić o związku zachodzącym pomiędzy składem chemicznym tych źródeł, a rodzajem ziemi, z których wytryskają, czyli o związku zachodzącym pomiędzy ich składem chemicznym, a formacyami geologicznymi. Te uwagi doprowadzą nas do poznania, jakimi sposobami powstawały nieprzeliczone źródła galicyjskie, mające tak odmienny skład chemiczny. Wszystkie te źródła, rozpadają się na trzy wielkie działy, odpowiadające trojakiemu sposobowi ich powstania. Szczawy mają plutoniczny początek,

są skutkiem dogorywających sił, zawartych we wnętrzu naszej ziemi. Źródła siarczane i słone, powstają, przez zetknięcie się słodkich wód, z pokładami siarki i soli; pierwsze tworzą się przez rozkład siarki i wody, a potem przyjmują do składu sole rozpuszczone w wodzie. Najprostszy jest początek słonych wód: pokłady soli kuchennej na podgórzu Karpackim, stykając się z wodami, rozpuszczają się wraz z swemi nieskończenie drobnymi cząstkami jodyny i bromu. Najliczniejsze są źródła słone, dobywające się na podgórzu Karpackim, począwszy od Dobromila wciąż, aż na Bukowinę. Proces przemiany siarki najlepiej można uważać na pokładzie swoszowskim, gdzie siarka uległszy rozkładowi, zupełnie znikła i tylko pozostały próżne pęcherzyki, w otaczających ją marglach. Wody siarczane mają własność rozpuszczania w sobie różnych części stałych, które są odmiennemi w miarę tego, z jakiego rodzaju skałami stykały się te wody; i tak jedne zawierają w przeważającej ilości wapno, drugie magnezją, inne sodę. Prócz gazu wodorodno-siarkowego, zawierają niektóre źródła gaz kwas węglowy, pochodzący bez wątpienia z rozkładu węglanu wapna, przez rozkład gazu siarkowego.

W najściślejszym związku z siłami podziemnymi, wszędzie na ziemi rozpostartemi siłami plutonicznemi, od których pochodzą nierówności naszej kuli, winny swój początek szczawy. Są one ostatniemi oznakami tej siły, która tyle zmian na powierzchni sprawiała, i jeszcze sprawia, aczkolwiek w zmniejszonym wymiarze. Długo po wybuchu ognia, lub z niego powstających skał, dobywa się gaz kwas węglkowy, który spotykając źródła zwyczajnych wód słodkich, łączy się z niemi i tworzy kwaśne wody, tak trafnie od górali *szczawami* nazywane. Wody te mineralne mają także rozpuszczone w sobie bardzo odmienne części stałe; jedno są alkaliczne, drugie wapienne, inne wreszcie żelaziste. Pierwiastki te stałe, winne są te źródła skałom, z któremi się stykają w przepływie. Kwaśne wody płynące ze skał wapiennych, zawierają w sobie obficie węglan wapna; albowiem woda nasycona gazem kwasem węglkowym, ma wła-

sności rozpuszczania w znacznej ilości węglanu wapna: źródła płynące ze skał dolomitowych, zawierają węglan wapna i magnezyi, ze skał zaś obfitujących w rudę żelazną, nasycone są węglanem żelaza. Aczkolwiek szczawy jednakowy mają początek, nadzwyczajnie odmienne skutki wywierają na organizmy cierpiące; jedne wzmacniają, inne rozwalniają. Itak: kwaśna woda w Szczawnicy, w téj cudnej okolicy przy Pieninach nad Dunajcem, zawiera części alkaliczne, skutkuje rozwalniająco; tymczasem poblizka szczawa krynicka, potężnym grzbietem piaskowca karpatowego oddzielona od Szczawnicy, zawiera części wapienno-żelaziste, a w skutkach wzmacnia.

Wreszcie muszę wspomnieć, o różnych ciekawych historycznych wiadomościach, znajdujących się w dziele p. T. Itak, woda siarczana w Szkle, od bardzo dawnych czasów jest znajomą; już król Stefan Batory kazał ją rozbierać doktorowi Wojciechowi Oczko, i jemu winniśmy szczegółowy opis tego źródła mineralnego, pod tytułem: *Opis Cieplic, seu thermarum descriptio. Cracoviae, 1578 r*; tudzież i inne dzieło pod tytułem. „Przymiot“, w Krakowie w drukarni Łazarzowej, w roku 1581. W kilkanaście lat potem, wyszło inne dzieło o tychże wodach przez Erazma Syxta Lwówianina, pod tytułem: „O Cieplicach w Szkle, ksiąg III“ drukowane w Zamościu w roku 1617; następnie wyszło jeszcze trzy wydań tego dzieła.

W końcu musimy uczynić uwagę nad zmianą terminologii, wprowadzonej przez p. Torosiewicza. Aby oznaczyć połączenia dwóch pierwiastków niezawierających w sobie kwasorodu, dodawać zwykliśmy za przewodnictwem Śniadeckiego ustanowiciela języka chemicznego: *ek, yk*; tymczasem p. T. zmienia to utarte, z duchem języka zgodne zakończenie na: *et*; i tak zamiast chlorek srebra, używa p. T. *chloret srebra*; zamiast jodek sodu, lub bromek potasu, używa: *jodet sodu, bromet potasu*. Nam się zdaje, że podobne zakończenie nie zostanie ogólnie przyjęte, albowiem nie odpowiada duchowi języka.

ROZMAITOŚCI.

Podróż Anglika na Wschodzie.

Pewny podróżny w 1827 r. nadzwyczaj się zadziwił, spotkawszy u stóp piramidy w Gizech, różowy parasolik angielskiej *lady*. Odtąd podobny wypadek nie jest osobliwością: na Wschodzie tylu podróżowało angielskich turystów, że z opisania ich podróży, można śmiało utworzyć drugą Gizechską piramidę. Ma się rozumieć, żeśmy nie czytali i nie jesteśmy w stanie przeczytać tego wszystkiego, a nawet przejrzeć podróże, wydane przez Anglików w przeciągu kilku lat ostatnich. Streścimy tu jedną tylko podróż, dość oryginalnie niedawno opisaną przez humorystę, który dał swemu dziełu szczególniejszą nazwę: „*Eothen*”, co ma oznaczać: „O krajach Wschodnich”.

Jednego dnia autor stanowczo się przekonał, że Zachód mu dokuczył, cywilizacya go znużyła, że te blade kobiety, ci czarni mężczyźni, ten ruch mechaniczny Europy, z czasem pozbawią go rozumu: „O przestarzała Europo! zawolał, jakżeś ty mnie znudziła! O biedna stara nasza pedantko, pracowita i swarliwa gosposiu, zadziwiająca fabrykantko i nieoceniona kupcowo! twoje wady więcej biją w oczy, aniżeli zalety. Udam się, aby wyszukać krainę, w którejby można spotkać choć cokolwiek niespodzianego; zobaczę krainę barbarzyńską, bez cukierni, kawiarni, sądów roz-

małych i adwokatów; bez pastorów i aldermanów, gdzie niema ani kolei żelaznej, ani gazet i dzienników. Jeżeli mnie tam powieszą, albo też na pal wbiją, to pewnie nie za to, że będę obwiniony o włóczęgostwo, lecz za nienaśladowanie przyjętego zwyczaju i prawa, to jest, że nie będę rozbijał i chodził bez sukien. Znajdę tam wiele nowego, pocuję, że żyję; krew we mnie prędej zacznie krążyć, i wyjdę nakoniec z tego europejskiego letargu, z tego jednostajnego ruchu, zupełnie podobnego do wabadła w wielkim zegarze”.

Jak powiedział, tak się też i stało: pojechał. Jakim sposobem dostał się do Semlinu, nie wiadomo. W tém miejscu powziął zamiar przeniknąć koniecznie w środek Palestyny przez Grecyą, Egipt i pustynią. Przy dobrym zapasie młodości i wesołego humoru, nad niczém się nie zastanawia, niczém się nie interesuje; nie ma żadnego politycznego celu, upęda się tylko za nowemi wrażeniami. Nie wyszukuje medalów, nie troszczy się o zabytki starożytności, za nic ma wspomnienia klassycyzmu; najlepszy humor i zdrowie, są jego jedynemi przewodnikami i jedynym podróznym zapasem.

Piérwszą osobą, którą spotyka w swojej podróży, jest dżuma, czyli raczej upostaciowanie dżumy. Nie ucieka jednak od tego groźnego bicia Wschodu, a potém spotkawszy go znowu w Kairze i Konstantynopolu, igra z nim, żartuje, natrzasa się i kończy na tém, że nie uznaje jego potęgi. Nasz autor, spotkany przez pół tuzina bandytów w turbalach, udaje się do posępnego labiryntu piérwszej ulicy muzulmańskiej, i bez najmniejszego uszanowania, depce swą stopą zgliszcza téj starożytniej warstwy ziemi, która się składa z prochu odłamów klassycyzmu. Wszędzie tam cichość, spokojność, nudy i nędza; a nędza, trzeba dodać, okręcona w lachmany, chce sobie nadać pozór tajemniczy. Ale naszego podróznego niełatwo oszukać. Piérwszy hasza, którego odwiedził, nie przestraszył go; przekonał się przytém, jak są małoważne i godne pogardy stosunki między Wschodem i Europą, i jakiego zawodu doznają podróźni i nasza

publiczność w swoich wyobrażeniach o tamecznych krajach. Tak w podróży jakiegokolwiek znakomitego Anglika, który zrobił na Wschód wycieczkę, najpewniej można wyczytać nadęte opowiadanie o jego spotkaniu z jakimkolwiek baszą. Nadto znajduje się tu najczęściej obszerna mowa na pochwałę tego Turka, nadwyczaj obznajomionego ze wszystki-
 kiem, cokolwiek dzieje się w Europie; znającego wszystkie stosunki, zachodzące pomiędzy państwami europejskimi, i pilnie śledzącego zadziwiający postęp naszego przemysłu. To widzenie się, wypadek wielkiej wagi, upiększa prawie wszystkie europejskie podróże. Autor „Eothenu” uważa to inaczej, i sprowadziwszy pyszne i poważne przyjęcie do zimnej rzeczywistości, nazywa je głupstwem a nawet błażenstwem. Anglik naprzykład w towarzystwie swego drogoman, przedstawia się baszy, który rozsiadł się z nierozłączną fajką w białej sali, ustrojonej zamiast meblów pięcioma niskimi sofkami, i tuzinem niewolników.

— Angliku — mówi z powagą basza — radzi jesteśmy widzieć ciebie; niech będzie błogosławiona godzina twego przybycia!

Drogoman zwraca się do podróżnego i tłumaczy mu:

— Basza was pozdrawia.

— Pozdrów go i ode mnie — odpowiada Anglik — i powiedz, że nadwyczajnie rad jestem z honoru oglądania go.

Wówczas drogoman, przybierając dyplomatyczny charakter i założywszy ręce na piersi, zaczyna następującą długą oracyą, którą z małemi zmianami powtarzał, i Bóg wie ile razy jeszcze powtórzy przy przedstawieniu podróżnych:

— Ten syn Brytanii, władca Londynu, zwycięzca Francyi, pogromca Irlandyi, zostawił swoje posiadłości, i dał na chwilę odpocząć swym nieprzyjaciółom. Przepłynąwszy obszerne morza pod najściślejszém *incognito*, w towarzystwie sług choć w małej liczbie, lecz ślepo do niego przywiązanych, przybył zatrzymać swe oczy na świetném czole jednego z najświetniejszych baszów, władcy dziwnego i bajecznego okręgu Kara-go-kul-gol-durs-skiego.

Taka tyrada w języku syryjskim, arabskim lub perskim, stosownie do okoliczności, wydaje się podróznemu bez końca. Lęka się, ażali tłumacz nie powiedział jakiego głupstwa. Zwraca się więc do niego z żywością:

— Co prawisz tam baszy? co mówisz mu o Londynie? Może mnie jeszcze wziąć za bohatera kogutowego! Kilka razy mówiłem ci, abys mu doniósł, że jestem tylko szlachcicem z Jorkszejru, należę do jednej z gałęzi rodziny Boleko, że posiadam park i zamek tegoż nazwiska. Miałem zostać polubowym sędzią w mojem hrabstwie, i par Anglii lord Gratenrose, przyrzekł mi swoją protekcją, lecz nie dotrzymał słowa; nakoniec byłem obecnym w charakterze kandydata na wyborach w Holdboro, i mój wybór byłby uwięziony najpomyślniejszym skutkiem, gdyby mój przeciwnik nie przekupił całego hrabstwa. Rozumiesz? kiedy już mówić, to trzeba mówić prawdę.

— Co wyrzekł mój przyjaciel, wschodzące słońce Londynu? Czy nie mogę mu okazać jakiej przysługi w moim okręgu Kara-go-kul-gol-durs-skim?

Zagniewany drogoman odpowiada:

— Ten Anglik, przybyły z parku Boleko, członek rodziny tegoż nazwiska, który byłby został czémkolwiek w swoim kraju, gdyby mu posłużyły okoliczności, polecił mi wyliczyć tytuły i swoje czyny.

— Koniec jego zalet dalszy, aniżeli krańce ziemi — woła basza, gładząc brodę — jego świetne czyny liczniejsze są od gwiazd firmamentu niebieskiego!

— Co mówi basza?

— Basza panu winszuje.

— Winszuje, że nie zostałem wybranym?.... Ale chciałbyin wiedzieć zdanie baszy o Europie, jego osobiste uwagi i myśli o cesarstwie otomańskim. Proszę mu powiedzieć, że nasz parlament już zwołany, i że w mowie tronowej zobowiązano się utrzymać w całej mocy wszystkie prawa sultana.

— Wysoce Wielmożny Baszo — mówi drogoman — ten Anglik, który, gdyby mógł, byłby czémkolwiek w swoim

kraju, uprzedza Wysoce Wielmożnego Baszę, że mówiące izby i atlasowy stół Anglii, przysięgły ochraniać nieśmiertelny tron sułtana.

— Dziwny atlasowy stół—woła basza—dziwne izby!— Naśladując parochody, dodaje zaraz potem: — Tylko dym! wic, wic! Tylko kręcące się koła! brrr, brrr! Wszystko tak się robi w Anglii. Dziwny naród, dziwne maszyny!

— Słuchaj—mówi angielski podróżnik do drogoman— cote jest? Dlaczego basza macha rękoma i ciągle powtarza: Wic, wic, brrr, brrr? Może sądzi, że nasz rząd nie wypełni swojej obietnicy?

— Nie, Jaśnie Wielmożny Panie; basza twierdzi, że u was niema nic więcej, oprócz kół i dymu.

— To przesadzone —odpowiada z wolna podróżny, należący do statystów.— W rzeczy samej, doprowadziliśmy wyroby machin do największej doskonałości. Powiedz to baszy i dodaj jeszcze, że za pomocą pary, poruszamy wojska nasze z szybkością błyskawicy.

Drogoman, który lubi cudowne rzeczy, uradowany, że się znalazł w swojej sferze, podniósłszy głos, mówi:

— Magnat angielski daje do zrozumienia Wysoce Wielmożnemu Panu, że trzeba tylko powiedzieć w jakiejkolwiek części świata choćby jedno słówko nieprzyjemne dla Anglii, a natychmiast bez wahania spuści w ogromny dół, urządzony w środku Londynu, niezliczone tłumy, i te tłumy z orężem i zapasami za chwilę zjawią się na drugim końcu świata.

— Wiém, wiém — odpowiada basza, nie okazując najmniejszego zadziwienia. — Parochody bardzo dobrze są mi znajome. Wiém, że angielska armia podróżuje po rozpalonych węglach. To rzecz zadziwiająca! Wic, wic, brr, brr! koła i dym! Tak, Anglicy zatapiają świat cały oceanem węglów i snopami nożów stalowych. Wszystko koła, wszystko dym!

— Basza — tłumaczy drogoman — z pochwałami mówi o ślusarzach angielskich i fabrykantach wyrobów bawełnianych.

— **Bardzo mię to cieszy**—odpowiada Anglik.— **Powiedz baszy, że składam podziękowanie za jego gościnność, i że już czas mi jechać dalej.**

Wówczas **basza**, jeżeli uważa, że godność odwiedzającego równa się jego własnej godności, powstaje z wolna i mówi:

— **Powinny się pysznić ogiery i nadymać klacze, które wydały na świat konie, mające ponieść Wysokiego Pana do celu jego szczęśliwej podróży. Oby siodło, na którym złoży swe ciało, było tak miękkie, jak łódka proroka na trzeciej rzece raj! Oby spoczywał snem sprawiedliwych, w kole swoich przyjaciół, i oby pały jego źrenice w ciemnościach nocy przy spotkaniu wrogów, jak źrenice czterdziestu rozjątrzonych tygrysów!**

Drogoman tłumaczy to zwyczajnemi słowy:

— **Basza życzy panu szczęśliwej podróży.**

Takim jest, podług naszego autora, wpływ Wschodniego drogomana na kierunek rozmowy. Tłumacz nie nietłumaczający, fałszywy pośrednik, służy dlatego tylko, ażeby pośród oświaty europejskiej i barbarzyństwa azyatyckiego, rzucić chinurę swoich nadętych wyrażen. Zwróćmy się teraz do innego przedmiotu.

Nasz podróżny jest w Konstantynopolu. Pierwszy raz, kiedy się spotyka ze Wschodnią pięknnością, w mieście panuje zaraza morowa. Lecz ta mu bynajmniej nie przeszkadza robić uwagi; z zimną krwią przyjmuje straszny żart, którym pewna dama chciała go przerazić. Z zupełną spokojnością, jak gdyby to się go nie tyczyło, opowiada swoje wypadki w następujący sposób:

„**Błądząc po wązkiej, kręcącej się, samotnej alei, obstawionej podwójnym parkanem białych ścian, spotkałem raptownie jedną z tych fur tiulów i kaszmiru, która ma honor reprezentować damę na przechadzce. Krok w krok za nią postępują niewolnice. Trzeba wielkiej zręczności, aby się wyplątać z tego ciężaru sukien, które ją zupełnie duszą; nie dziw więc, że tak ubrana kobieta ledwo może się poruszać.**

W grubych bótach i oprócz tego w pantoflach, w czasie swojej procesyi więcej podobna jest do pogrzebowego karawanu, aniżeli do sultanowej. Bez względu na to, widać we wszystkiém kobietę; jakaś pewność władzy i piękności, lije spod téj śmiesznej i ciężkiej fury odzienia; widać tylko końce różowych palców i dwie błyszczące, czarne źrenice, które oślepiają każdego. Dama spogląda, obraca się, znowu spogląda, zastanawia się, uważa, czy nie szpieguje ją którykolwiek z muzułmanów; potem niespodzianie podjąwszy jachmak czyli gęstą zasłonę okrywającą twarz, ukazuje się w całym swoim blasku, w uderzającej dumie swoich zaciśnionych ust i brwi zagiętych i cienkich, jak lekki łuk księżycy na nowiu. Europejczyk zdumiewa się na ten widok, dziwi się, blednieje: wszystko okazuje w nim nieudłane wzruszenie. Ona to widzi i uśmiecha się; jęj różowe paluszki wyciągają się do niego, dotykają jego piersi i przejmują drżeniem po całym ciele. Wkrótce potem jęj wspaniałe usta nawpół się odmykają, i wydają straszne słowa:

— Jurmudżak, chrześcianinie, jestem zadzumiona! Zarażiłam cię!

„Po tych wyrazach oddala się, śmiejąc się i zwracając czarne oczy na Europejczyka, który zostaje nieruchomy, zdziwiony. Jeżeli jest choć cokolwiek bojaźliwym, wtenczas można go uważać za zgubionego. Ten przyjemny żarcik uderza boleśnie w jego serce, dreszcz przejmuje go, febra trząść go zaczyna. Zmuszony jest zamknąć się w samotnym pokoiku i nikogo nie przyjmować; doktor przynosi mu lekarstwo, krzykacz uliczny śpiewa *requiem* pod jego oknem, i za tydzień biędny podróżny wybiera się do pradziadów, aż do ostatniej chwili prześladowany czarnemi oczyma muzułmanki. W taki tylko sposób pojmuje ona żarty. Co do mnie, nie mając najmniejszej ochoty rozstać się z życiem, zacząłem śmiać się serdecznie; zmieszało to cokolwiek piękną kobietę. Z gniewem spuściła na twarz swój jachmak i z dumą odbywała dalej swoją procesyą, kiwając się jak okręt liniowy na balwanach morskich. Jęj kobiety z początku śmiejące się z dowcipnego żartu swęj

pani, pograżyły się w smutném milczeniu. Bardzo się rozgniewały, że im się nie udało oszukać chrześcianina.”

[W Grecyi nasz podróżny spotyka jednego ze swoich przyjaciół, Irlandczyka, i razem z nim zaczyna robić uwagi nad pięknosciami Smirny. Przypatrują się ich profilowi, rysom twarzy, usteczkom, liniom czoła, giętkości ciała; to doprowadza ich do dość stanowczych wniosków. „Niéma nic więcej klassycznego, mówi autor, nad te dziewice starożytnego pokolenia, których posag upiększa czarne ich sploty na głowie, i w taki sposób przedstawia doświadczonemu oku kochanków całą ich cenę i godność; sąto istne królowe. Niéma ani jednej Smirnianki, choćby najbiedniejszej, któraby w oknie swego wiejskiego domka, nie wydała się prawdziwą Junoną. Królowa Jonii, Smirnianka, w dzień pogodny zawsze przesiaduje w oknie w najpiękniejszych sukniach, ustroiwszy czarne jak heban włosy, we wszelkie bogactwa, jakie tylko posiada: w medale, piastry, dukaty. Ta twarz antykowa, te regularne i srogie rysy, to szerokie i wysokie, kwitnące zdrowiem groźne czoło; te oczy, błyszczące w głębi szerokiego zapadnięcia; ta całość tak wielka i spokojna, okazuje istotę pewną siebie, nieoczekującą nie od nikogo, z duszą pełną nieudanęj energii. Nozdrza cienie i szerokie, oddychają nadętością; wąskie usta, narysowane z gracyą, pełne są rozkoszy; szyja i plecy okazują delikatność i siłę. Kokieterya barbarzyńskim pędzlem pomalowała rzęsy tych dużych, groźnych oczu i połączyła łuk podwójny rozkazujących brwi. Wspaniała i razem dzika spokojność, wydatna jest w tym ożywionym posagu, który stoi na jedném miejscu, z uwagą patrzy na ciebie, i wtenczas, kiedy twój koń unosi cię z jednego końca ulicy na drugi, śledzi cię, jak chmura brzemienna piorunami.”

Podróżnik zwiedziwszy Pathos, który na miejscu nosi nazwę Baffo, robi dalej uwagi nad kobietami i dowodzi, że ze wszystkich córek Hellady, palma gracyi należy się dziewczynom Cypru. Jest w nich coś takiego, co przypomina Paryżankę; podbijają one każdego tą pięknoscia, której Grecy

bez względu na giętkość swój mowy, w żaden sposób nie mogą wyrazić; nazywają je najchytrzejszymi politykami (πολιτικὸταται), królowemi uśmiechu i miłego kaprysu. Giętkość najrozkoszniejszej kibici, faliste linie z gracyą zaokrąglonej szyi, piękny, nawpół klassyczny, nawpół turecki ubiór, prostota w układzie włosów, spadających w pysznych kędziorach na białe jak śnieg ramiona: wszystko to poruszało lub zatrzymywało wyobraźnię autora, kiedy miasto Larnekka zniknęło mu z oczu i okręt unosił go do Bejrutu, sławnego w ostatnich czasach. W Bejrucie widział się z pewną Angielką. Rozdział, zawierający opis tego spotkania, odznacza się tonem pewnej nadętości, i z tego powodu okropnie jest nudny.

W Betleem, w skutek niespodziewanego wypadku, nasz podróżnik znowu odzyskuje zwyczajny swój charakter. Surowość Wschodnich kobiet, które „poruszają się jak karawany pogrzebowe, obwinięte tiulem”, i u których widać tylko „pożerające źrenice”; przytém „brak wszelkiej gracyi u stepowych Beduinek, z charakterem nieodpowiednim powołaniu ich płci, które zależy na staraniu się przypodobania każdemu”, przez długi czas „prawie go do rozpaczki doprowadzały.” Nakoniec Anglik przybywa do Betleem. Śpiewy, śmiechy i wrzawa kobiet, przyjeźnię go zadziwiają. Mieszkańcy Betleem wyznania mahometańskiego, rozbudzili dawniej gniew Ibrahima baszy; jego miecz mściwy, wytępił w tém mieście całe muzulmańskie pokolenie. Natychmiast zniknęła ponura skromność i sroga cnota, jakiej Mahometanie wymagają od żon swoich. Była to prawdziwa rewolucya. Po kilku latach milezenia, dziewice chrześcijańskie w Betleem, otrzymały nareszcie prawo być wesolemi. Skorzystały z tego najlepiej; pićwszy wybuch oswobodzenia z więzów przyzwoitości, spotkał naszego podróżnika. Przejechawszy przez tyle miast, gdzie brak kobiet nadaje wszystkiemu wejrzenie pustyni albo więzienia, słyszy tysiące głosów kobiecych, i zaledwo dowierza temu cudowi. Z początku dochodzi go oddalony gwar; wkrótce ten gwar zbliża się, rośnie, staje się zrozumiałym i za kilka

minut wesoła i bojaźliwa gromadka otacza go. Ze dwadzieścia dziewcząt betleemskich, żywych i kształtnych, zwraca na niego swoje czarne oczy do tego stopnia nieruchome i palące, że przenikają aż do głębi jego mózgu.

Za pierwszym ruchem przybyłego, nim przyszła mu jakakolwiek zła myśl do głowy, cały rój rozlatuje się. Zresztą podróżnik umie przybrać dość spokojną postawę, i jest dość rozpustnym, jak sam utrzymuje, ażeby się okazać prawdziwą niewinnością. Za pomocą szczęśliwej powierzchowności, udaje się mu uspokoić ciekawe dziewice, które wracając zwolna i bojaźliwie na dawne miejsce, znowu go otaczają, i nakoniec bardzo się przybliżają do tego niewiedomego zwierzątka, przybyłego z dalekich krajów. Wówczas najodważniejsza z nich, śmiejąc się i pogardzając niebezpieczeństwem, chwyta za połę jego fraka, i przypatruje się mu z wielką uwagą. Ośmielone tym przykładem, jej towarzyszki ściskają koło, tamują Anglikowi wszelkie środki do ucieczki, i zaczynają prędką i żywą rozprawę o zadziwiającej formie tego, co nazywamy kapoluszem, i o niezwykłej tkaninie godnego pożałowania okrycia, któremu daliśmy nazwę fraka. Wkrótce od tego przedmiotu przechodzą do głębszego i niemniej filozoficznego roztrząsania: jakim sposobem może być mężczyzna wzrostu pięć stóp i sześć cali, mieć kasztanowe, zawinięte, jedwabne włosy jak u kobiety, i nakoniec różowe policzki, zpod których przebija się ogień krwi Saksonów? Potém, zobaczywszy ręce bez rękawiczek, wpadają w nowe podziwienie. Takie białe, takie europejskie ręce, z różowemi paznociami, których nie można porównać z rękami córek Syrii, a nawet z ich twarzą opaloną od słońca, są dla nich prawdziwą zagadką. Myśl o nowym występku rodzi się w głowie najodważniejszej dziewczyny; w milczeniu i ze drżeniem bierze angielską rękę, kładzie w swe dłonie, maca ją i obraca na wszystkie strony, jak my czasem robimy z łapą ogromnego, lecz obłaskawionego psa. Każda z uwagą przypatruje się jej kolorowi i kształtom, jak gdyby tu zachodził wypadek przeglądania damasceńskiej albo też kaszmirskiej materii. An-

glik, któremu ten przegląd się nie podoba, zachowuje jednak przez cały czas spokojną i prawie nieruchomą postawę. Takie postępowanie, jeszcze więcej zachęca ich do krzyku i wesołości, i jedna tłumaczy drugiej z nadzwyczajnie głośnym i przeciągłym śmiechem, że to zapewne jakie domowe zwierzątko, które nie robi nic złego; istota, której nie ma się czego obawiać: słowem, dzik bez kłów, lew bez pazurów.

Każda z kolei bierze tę pobłażającą rękę, maca ją i tłumaczy jój kształt. A za tą wesołą gromadką, błyszczą i chowają się dwoje oczu, najczarniejszych, najpiękniejszych i najrozkoszniejszych. Dziewica najpiękniejsza i najwstydlawsza ze wszystkich, nie chce być spostrzeżoną; robi sobie pewnego rodzaju zasłonę z szerokich tiulowych rękawów siostr swoich; lecz im się nie podoba ta nieśmiałość. Wyciągają ją, robią uczestniczką swojego męstwa, i przymuszają dzielić ogólne niebezpieczeństwo. Mały jój różowy kulał, który jedna z najodważniejszych jój towarzyszek mocno ścisnęła; długie czarne rzęsy, które się spuściły, ażeby ukryć jój przerażenie, nie są w stanie obronić ją od powszechniej natarczywości. Ustępuje nareszcie ze drzeniem, z mocnym rumieńcem wstydlivosti na licach: jój małą, opaloną, lecz delikatną rączkę, kładą w rękę Anglika, przedmiot tak długich uwag. Takim sposobem zostaje już narzeczoną podróżnego; krew szybko zaczyna krążyć w żyłach córki Belleemu i potomka dawnych Saksonów. Raptownie te czarne, duże oczy zatrzymują się na chwilę na swoim dziwnym niewolniku, potem spuszczają się i pozostają zamknięte pod długą oponą ciemnych rzęsów; a wszystkie chrześcianki milczą, jak gdyby przestraszone były swoją zuchwałością. Potem rój ten rozlatuje się, znowu powraca, i znowu odlatuje, jak stado dzikich ptasząt, któreby rade były dostać się do niewoli. Autor „Eothenu” nie jest do naśladowania w podobnych ustępach, które kreśli z zadziwiająco lekkością i pociągającą ironią.

Wyrwawszy się od dziewczyc Belleem, udaje się na pustynię i ukazuje się wpośród karawany, wsadzony na wiel-

blada, oświecony ogniem nocnego biwaku, z bagażami rozrzuconemi na piasku. Tu skromna hyena wysuwa głowę zpod jego namiotu wtenczas, gdy zewnątrz Beduini naradzają się, w jaki sposób należy go obedrzeć. Po przeczytaniu tego dzieła można pojąć, jak wielka przestrzeń oddziela życie azyatyckie od naszego. Słońce pali Anglika, piasek zasypuje mu oczy; lecz podług jego mniemania, wszystko to na lepsze wychodzi. Ta jego rola jako humorysty, jako dandysa czyli wyjątkowego człowieka, nie opuszcza go ani na chwilę; spotkanie z pewnym jego krajowcem, posłuży za najlepszy tego dowód.

Drugi ten Anglik, który przybył do Palestyny prosto z Kalkuty, ciągnął przez też same, co i nasz autor, piaszczyste stopy do Jerozolimy. Prawie na połowie drogi, podróżni ci spotykają się wierzchem na swoich wielbłądach. Niemcy, Francuzi, Włosi, zbliżyliby się zaraz, aby się poznać i pomówić o swoich wypadkach: wspomnienie kraju, rodzimy język, długi czas spędzony pośród dzikich plemion i w obcej ziemi, wszystko to przyczynia się do spotkania się po bratersku w tej pustyni. Co do Anglików i ludzi światowych, ci spoglądają jeden na drugiego, przypatrują się wzajemnie od stóp do głowy, i z najmniejszą krwią udają się w dalszą drogę. Nawet w pustyni myślą tylko o jedném: o zachowaniu drobnostkowej dumy i przyzwoitości, stosownie do warunków światowych.

„Chciałem z nim zacząć rozmowę, mówi nasz podróżny, gdyby podjechał do mnie; ale koniec końcem, co bym ja mógł powiedzieć mu? Śmiesznie jest rozmawiać wśród płasków arabskiej pustyni, jak gdybym oddawał mu ranną wizytę w Picadilli. Byłem wówczas w leniwém usposobieniu; dlatego ciągnąłem dalej moją podróż, trzęsąc się na wielbłądzie, i spotkałem ziomka bez żadnej innej oznaki poważania, oprócz lekkiego nachylenia głowy, jak gdybyśmy się spotkali na przechadzce w parku.“

Drugi podróżny podobnie się uklonił i pojechał mimo niego; ale słudzy, niemający tak wielkiej jak ich panowie edukacyi i zachęcani przyjemnością pogadanki w pustyni,

opuścili swoich panów. Wielbłądy ostatnich widząc, że ich towarzysze pozostają, zatrzymały się. Te zwierzęta, więcej towarzyskie anizeli te, których niosły na sobie, zmusiły opuszczonych podróżnych zwrócić się i znowu spotkać się ze sobą. Anglik powracający z Indyj, pierwszy zapytał naszego autora.

„Pewno pan jesteś ciekawym dowiedzieć się, jakie postępy robi dżuma w Kairze?“ To dziwne znalezienie się zmieniło naturę, i rozmowa z wielką przyjemnością obu podróżnych, zawiązała się jak należy.

J. R. S.

Koncert p. Kazimierza Wernik w Warszawie, dnia 1go lipca 1849 r.

Rzadko się nam zdarza, by sprawozdania nasze o koncertach warszawskich, nie przychodziły nam z jakąś niechęcią, z jakimś wstrętem: bo najczęściej mamy je sobie za przykry obowiązek, któregośmy się niejako podjęli, czekając dopóki nas ktoś zdolniejszy nie wyręczy. Pomijamy już ten wzgląd, że rzadko spotykamy artystę, któryby sprawiedliwość krytyki uznał, albo nie zgadzając się z recenzentem, błąd raczej, niż osobistość mu zarzucił; to ważniejsze dla nas, że bardzo rzadko spotykamy koncerta, o których z przyjemnością mówićby można; tak na nich, wedle pojęć naszych, muzyką poniewierają. I zdarza się, że w tej naszej boleści zapominamy o cudzej, albo nawet umyślnie i rozmyślnie prawa odwetu używamy; nie jestto po chrześcijańsku, ale po ludzku.

Koncert pana Wernik jest dla nas rzadkim wyjątkiem. Z przyjemnością mówić nam o nim przychodzi, bo choć, jak się to niżej pokaże, wiele mu zarzucić mamy, to przecież ze wszystkiego widać, że to talent jaki oddawna już u nas nie budził publicznie dźwięków fortepianu; że pojął lepiej, niż wielu dzisiejszych, co się należy instrumentowi, i czém go wesprzeć można, i zamiast, jak to zwyczajem, zadać mu gwałt

nowożytnemi pseudo-kompozycami, wezwał do współdziałania orkiestrę i wybrał dzieła, mające wartość niezaprzeczoną. Wybozem tym dowiódł, że rozumie co jest rzeczywiście piękne choć nie dzisiejsze (allegro koncertu Bethowena: C. miękkie), co z dzisiejszych utworów lepsze, i zamiast koniecznego Liszta, Thalberga, mieliśmy polonez Szopena; a resztą drobiazgów (dwa mazury Szopena, etiudy, jedna Nowakowskiego, Wolffa druga, i własne nokturno), pokazał, że nie uważa koncertu jako examen z wyrobienia palców składany (1). Program ten, jako niemal w całości z dzieł ro-

(1) Wszystko co pan Wernik grał podczas koncertu w mowie będącego, osądzono za zbyt łatwe, średniemu usposobieniu mechanicznemu dostępne, i ganiono go za to, utrzymując, że sama nazwa koncertu, (od *concertare* współubiegać się), żąda okazania imponującego mechanizmu, jakby w walce o pierwszeństwo w tym względzie. Zdania tego nie dzielimy. Historia muzyki nas uczy, że pierwsze we Włoszech *concerti*, byłyto kompozycje, w których liczniej niż do ówczas bywało, zebrane instrumenta i głosy, *współubiegały* się dla przedstawienia całości (*). Ztąd też pochodzi nazwa koncertu, jako sztuki muzycznej (formą zbliżonej do sonaty w całej jej rozległości uważanej), którą wprawdzie przedstawia jeden instrument przeważnie, ale nie bez zazdrośnego współubiegania się innych; nietylko w przygrywce nie stają się one zupełnie niewolniczeni, ale w *tutti* połączone na własny rachunek i bez pomocy głównego instrumentu, formę kompozycji rozszerzają w tym samym niemal stosunku, co i tamten. Uważanie go za główny i wybór, zależy może nieraz od myśli, dla których to lub owo narzędzie muzyczne, najstosowniejszym może być tłumaczem; nieraz od chęci uwydatnienia jego zalet, które w *tutti* mniej korzystnie się wydały albo całkiem zginęły. W każdym razie uwydatnienie o którym mówimy, wymaga szczególniejszej znajomości instrumentu i sztuki traktowania go wyższej, niż mierna. Samo z siebie wynika, że to przynosiło pewien zaszczyt, a zupełnie jest naturalne, że się o niego jak o każdy zaszczyt dobijano, i powoli wyobrażenie: koncert, z muzyki na człowieka przenie-

(*) Właściwie datują one od Viadana (około r. 1600), który swe kompozycje kościelne na głosy, z wypełniającym harmonią instrumentem tak nazywał. Znacznie później, bo około r. 1700, spotykamy *concerti grossi*, w których nieraz trzy narzędzia muzyczne z towarzyszeniem innych, główne występują. Byłto więc współubieganie się instrumentów a nie ludzi, bo ci między sobą porównywani być nie mogli.

daków naszych ułożony, jedną jeszcze więcej ma zaletę, dla której pomijamy następujące się uwagi o niektórych jego numerach: słuszną jest, by koncert w Warszawie i przez Warszawianina dawany, z dziełami swojskimi publiczność obznajmiał; wszakże sale zagraniczne rzadko odgłosem ich utworów zabrzmiały. Wyjątek na korzyść Bethowena, uważamy za nader szczęśliwie zrobiony; jeśli wyjmiemy trya i kwarteta jego, niektórym miłośnikom muzyki tego rodzaju znajome; jeśli wyjmiemy niektórych gruntowniejszych muzyków z zawodu: to podobno o reszcie muzykalnych można śmiało powiedzieć, że rozprawiają o Bethowenie jak o żelaznym wilku. Wspominają go gęsto w rozmowach o muzyce, szczególnież ci, co Niemcy zwiedzali i nasłuchali się zapalonych uwielbień ludu, niełatwo zapalnego; ale mało kto tak o nim mówi, by znać było, że go pojął a przynajmniej uczał. Z licznych dzieł na fortepian tego autora, któż u nas

siono. Zład: dawać, grać koncert, za jednoznaczne uważane bywa z wyrażeniem: grać dobrze, pięknie, umieć pokonywać wszelkiego rodzaju trudności, a przynajmniej mieć do tego pretensją. Na ową jednoznaczność wyobrażeń i to jeszcze wpłynęło, że zwykle występowano publicznie z koncertem (sztuką) jako naówczas dziełem największych rozmiarów, choć niedochodzących dzisiaj, i dającym sposobność do wyróżnienia się, popisywania. Popisywanie się to w epoce, niestychanem wysileniem zdobywanego mechanizmu do tego doprowadziło, że dziś miewamy koncerty, na których ani kawałka *koncertu* nie styszymy.

Małeńka ta historia koncertu zdawała się nam coraz potrzebniejszą, i dlatego ją tu przy sposobności zamieszczamy. Popisywanie się tak wiele ujmuje człowiekowi, tak jest niegodne prawdziwego artysty. że nie należałoby za niem gonić; a gdyby ten wyraz koncert, nigdy nie miał jeszcze innego znaczenia, tylko to jedno, które dzisiaj w nim mieszczą, to czasby było inne mu nadać. Przesycony już jesteśmy popisami. Aby zaś słabościom ludzkim i potrzebie przykładu wygodzić, zgodzilibyśmy się (gdyby wyrok o tém do nas należał), na jeden extra-numer przy końcu koncertu. W nim, niechby wolno było grającemu pokazywać wszelkiego rodzaju figle, rozbić fortepian, połamać sobie palce, i wszystkie osoby delikatnych nerwów, do *jasno-widzenia* doprowadzić, by przecież raz pojęły, że to wszystko może być środkiem wyborynym, ale celem nigdy być nie powinno.

go grywa, choć wszędzie grają na fortepianie? To takie niewdzięczne! bo nie znać ile tu potrzeba mechanizmu, a więc stracona praca, bo pracujemy by się popisać; to takie rozsądne! a nam trzeba excentryczności; to takie spokojne! a nam trzeba poszumić, poszaleć; tak rozwijające jedno uczucie! a nam trzeba czegoś tak przemiennego, jak fantazyje dzisiejsze; a nadewszystko to takie stare! a nam trzeba uczuć i myśli przynajmniej wczorajszych! Gdzież to wszystko w Bethowenie znaleźć? Pan Wernik grał Bethowena publicznie, ale szkoda, że coś innego nie wybrał, a to dlatego tylko, by tych, co na wiatr o Bethowenie gadają, nauczyć, że go dotąd śmiałością pomysłów, cudownością zwrotów, głębokością uczucia, sztuką przedstawienia, nikt nie przeszedł! a nawet istotną oryginalnością, pomimo codziennych wysiłen na wsze strony; bo dzieła jego są skarbnicą uczuć prawdziwych, a głębokich. Do pokazania tych wszystkich przymiotów kompozycyi Bethowena, allegro z koncertu *C.* miękkie, mniej zdolne od niejednej sonaty tegoż autora. Łagodne, stopniowane, ale nigdy w gwałtowne nieprzechodzące uczucie, stanowi treść jego; forma roztacza się spokojnie, regularnie, a tego rodzaju przymioty, nie skłonią ogółu do uwielbień dla Bethowena, bo zbyt są różne od tego, co dziś popłaca; tém mniej, że wykonanie tego allegro przez pana Wernik, osłabiło Bethowena: zbyt miękkim, zbyt jednostronnem było. Przypisujemy to w części wpływowi, stanowczej dla występującego chwili (by się od niego uwolnić, trzeba być albo bardzo do publicznego występowania nawykłym, albo bardzo zarozumiałym); w części słabością instrumentu (z fabryki pana Winnen), o pięknym, wdzięcznym i pełnym tonie, ale zbyt na salę koncertową łagodnym, i bassie mało wydatnym, jak się to najlepiej pokazało w *kadendzy* w owém allegro. Najwięcej jednak zawiniła metoda pana W., której i gdzieindziej wiernym pozostał: ustawicznego ociągania się w tempie i omdlewania siły, co przy zupełnym braku jedności i dzielnego uderzenia, nacechowało obraz Bethowena pieszczotą, aż w miękkość przechodzącą, której w tém allegro nie widzimy, a jakiej tak długiego przy-

kładu niéma w jego obfitych w dosadue i krzepkie rysy dziełach. Byłto bowiem mąż wielkiej energii wewnętrznej; zład u niego pathos i humor przeważają. Że jednak pojęcie nawet odmiennie, jeśli logicznie jest przeprowadzone, tworzy obraz łudzający prawdą, choć niewierny, jak bogata w rozmaite szczegóły okolica, w różném oglądana światło pozostaje tą samą, choć coraz inne sprawia wrażenie; tak i wykonanie pana W. choć dla utworu Bethowena za miękkie, za delikatne, przedstawiło nam całość uroczą, okrągłą, wykończoną, o ile ten ostatni przymiot nie z metody, ale z dotknięcia grającego wypłynął. Wykończenie to aż do drobiazgow posunięto, bo każdy oddzielny ton można było ocenić, każdy z nich czuł się niejako obowiązany do życia; a choć wszystkie niemal były *piano* i *pianissimo*, każdy tak wydatny, okrągły i perlisty, że prawie liczyćby je można było. Wykończenia niepodobna już dalej posunąć; ono świadczy o mechanizmie pana W. lepiej, niż owe huczące fantazyje, jakby fortece ciężkiem wysileniem zdobywane, potokami zalewane znoju. Ale takie wykończenie nie jest jeszcze dostateczne: drobiazgi w jedność spływać powinny. U pana W. każdy peryod z pojedynczych tonów rosnący, każdy passaż z mnogich pereł złożony, doskonały sam w sobie, zbyt innym podobny bywał: bo go metoda pana W. całości odziewała cechą, nadawała mu samoistność, do jakiej tylko większe ustępy mają prawo. Dla słuchaczów, oddzielne chwile tylko chwytac umiejących, wykonanie takie wielki mogło mieć powab; ale dla tych, co części całości poddawać zwykli, co żądają w niej widziéć jeden ciąg nieprzerwany, jeden odlew, zadowolenia zupełnego być nie mogło; tém mniej, że jakeśmy to wyżej mówili, nie było w przedstawieniu tego allegro żadnej chwili potężniejszej, któraby jako najwydatniejsza, głębokością uczucia, wpływem swoim inne owiała. Miłe są oku owe na podobieństwo welnistej trzody rozsiane po niebie obłoki; ale któż nie woli przypatrywać się szeroko na krańcu widnokręgu rozwieszonemu obrazowi chmurnemu, który na tle zachodzącego słońca, pokazuje wszystkie cuda krajobrazu?....

Aby o przedstawieniu tego allegro przez p. W. raz już skończyć, tyle jeszcze dodamy. Widno z głębokiej poetyczności muzyki w ogóle, a w szczególności dzieł Bethowena, że nie można ich grać z zabijającą wszystko równością taktu (1); wiemy, że każda chwila uczuciem przejętego człowieka, inaczéj biegiem krwi w nim rozrządza; ale wiemy i to, że każda chwila uczucia, nie może być do drugiej podobna. Dzieło sztuki, czy je (uczucie) stopniowo rosnące lub malejące przedstawia, czy w pozornym nieładzie chwile obok siebie mieści, musi je czémś wyróżniać; a wyróżnienie to, jako nie na samym szyku tonów polegające, przy jednotonności wykonania, przypadnie. Właściwość każdego autora, szczególniej tak odznaczającego się jak Bethowen, nie pozwala dzieł jego podług ogólnej metody wykonywać; w niemożności posłyszania go samego, radzić się należy ogólnego ducha jego utworów i tradycji. Oto kilka wyrazów téj ostatniej o Bethowenie (2): „W ogólności grywał on swoje kompozycye bardzo fantastycznie, taktu przecieź zwykle się pilnował, i tylko rzadko *tempo* nieco przyspieszał; niekiedy w *crescendo* ruch zwalniał, co bardzo piękny i uderzający efekt sprawiało. W niektórych miejscach, to prawą, to lewą ręką wyciskał im piękny, nie do naśladowania prawie wyraz; dodatków i ozdób nadzwyczajnie rzadko używał”.

Formy muzyczne, jako wszystkie z jednego (naturalnego) typu rozrodzone, są téż do siebie podobne; różnice leżą w rozwinięciu mniej więcej bogatém, i w uporządkowaniu oddziałów swobodném, ale uległém pewnej zasadzie. Zdawałoby się tedy, że i etiudy, oraz nokturno własne, wedle

(1) Z przestraczem używamy tego wyrazu takt; bo zda nam się już słyszeć głosy: bakalarz, bakalarz! rzemieślnik! A może jeszcze za naszą winę, publiczność ukaraną zostanie rozprawą o fantazyi i namaszczeniu artystyczném!

(2) *Biographische Notizen über Ludwig van Beethoven, von Wegler und Ries. Koblenz, 1833, s. 106.* Ries, jako jedyny i zaufany uczeń Bethowena, a przytém znakomity muzyk, ma dla nas wielką powagę.

przyjętej przez p. Wernik metody wykonane, równie огоłocone z cechy całości byęby powinny. Inaczéj jednak było, a pochodziło ztąd, że zastosowanie téj metody mniej się powtarzać mogło, spotykając zdolnych ku temu ustępow mniejszą liczbę, i znajdując je zawsze dosyć ważnemi, by uwylatnienie nie było im korzystne. Wkrótce następujący koniec, latwiéj całość objąć dozwala. W eleganckim nektur-nie, uważano zakończenie niezwykle, i żeby je (zakończeni-) jednym wyrazem opisać, Szopenowskiém je nazwiemy. Czy to jest oryginalność, czy naśladowanie, sądzić dziś z tego jednego rysu nie można. Polonez Szopena minął dla nas niepostrzeżony, co tém bardziej dziwi, że p. W. jest podobno uczniem Szopena, i ta to okoliczność w niemały wprawia nas kłopot, gdy nam z kolei mówić przychodzi o mazurach tego autora, a raczéj wykonaniu ich przez p. W. Przywykli zawsze własne wypowiedziéc zdanie, choćby ono u największój liczby czytelników potwierdzenia nie znalazło, i teraz inaczéj nie postąpimy. Zdawałoby się, że p. W. ducha gry Szopena przejąc musiał, a więc całą jego fantazyą, ruchliwość, niesforność prawie jego mazurów zrozumiał; dołożył więc wszelkiego starania, by nam pokazać jakato głębokość uczucia, jaka oryginalność pomysłów, jak niczém nieskrępowana fantazyja w nich się mieści, i—przesadził! Śmiało tu powiemy, choćby zwolennicy bezładu, który za swobodę artystyczną biorą, świętokradztwem to nazwali; śmiało powiemy, że jeśli Szopen tak gra mazury swoje, lepiéj dla nas nigdy ich od niego nie słyszcć, choć mało czego równie żywo pragniemy, jak posłyszéc Szopena, własne wykonywającego dzieła, choćby to tylko mazury byé miały! Ale nie możemy temu uwierzyć dlatego już samego, że p. W. nie zdołał nas i podobno nikogo natchnąć wiarą; a jednak (mówiliśmy to już wyżej), logiczność przedstawienia, pociągnie i podbije mimo wszelkie opory. Nie znając mazurów Szopena, nie można było ich z gry p. W. poznać; znając je, jeszcze ich poznać nie można było: tak wyglądały sprzecznie z wszelkiém wyobrażeniem o smaku, wszelkim nawykniem, nawet przypuszczeniom wszelkim.

A przecież te same mazury czarowały dotąd wszystkich, wszyscy je rozumieli! Żądano by po nas, byśmy bliżej w szczególności weszli; ale to niepodobna; bo gdybyśmy np. o mazurze **H** miękkie powiedzieli, że jedno w nim było zbyt prędko, **drugie** stosunkowo zbyt wolno, tam przerwa tak dowolna, że jej niczem usprawiedliwić nie można, a tak długa, że już **po** niej nie nastąpić nie mogło — nie znaczyłoby to jeszcze przesady. Ona powolność zaraz leniwym ruchem żółwia mierzy, **szybkość** — mgnieniem błyskawicy, **przerwę** — wiecznością; w różnicach wzrostu tylko lilliputy i olbrzymy widzi, **miejsce** jest dla niej przestrzenią bez granic. W obrębie **wieczności** puścicie w przegony żółwia z błyskawicą, **postawcie** lilliputa obok olbrzyma w przestrzeni, a będziecie **mieci** obraz przesady tyle tylko przesadzony, ile potrzeba by dać poznać, czém się stały w wykonaniu pana W. mazury Szopena.

Część symfonii p. Nowakowskiego i instrumentowana przezeń pieśń Szuberta (Erlkönig), oraz śpiewane przez pannę Leśniewską: kawatyna Verdego i pieśń Jenny Lind, urozmaicały koncert w mowie będący. O sile głosu p. L. wątpić się nie godzi, o pracach wymienionych wyżej p. N. jużesmy dawniej mówili (Bibl. Warsz. 1846. Tom I).

Powracamy jeszcze raz do p. Wernik, bo sobie przypomniemy, że to już trzeci raz od lat czterech mówić nam o nim się zdarza; podobno tak teraz, jak i dawniej, przyjaciół jego nie zadowolniemy. Niestety! wszystkim dogodzić niepodobna, a przyjaciółom bardzo trudno. Onito przyjmują na siebie rolę stugębnój sławy, gdy ta drzymie; onito **przedwczesnymi** oklaskami imponują zebranój na koncert publiczności; on to... ale dosyć o nich samych tylko. Zrazu głosił o panu W. że to cudowne niemłe dziecko — myśmy je obiecującym tylko znaleźli; dalej, że to blizki celu artysta — a nam się zdawał coraz więcej obiecującym młodzianem, a sąd nasz potwierdzenie za granicą znalazł (Allg. Musik. Zeitung, 1846, nr. 35); dzisiaj, a raczej wczoraj mówiono: że to już artysta skończony; że się na to nie zgadzamy, wypływa z powyższego. Według naszych pojęć, skończoność

powinna zadosyć czynić wszelkim żądaniom, w swym rodzaju **wszecbstronność** znaczy: a tój w grze p. W. nie widzimy. Jego wykonanie możnaby przyrównać do zielonego łąk naszych **kobierca**, ubranego drobnemi, łagodnej barwy kwiatami; do gaju, świeżym, wiosennym pokrytego liściami: to rozkosz skowronka i słowika. By łąka się zmieniła w jeden łąk kwiecisty, drzewa by się błogosławieństwem owocem pokryły, **potrzebują** deszczu i upału; wicher musi nieraz umieść **przestrzeń** z ząchląj woni, by nowój, silniejszej **miejsce** przygotować. Serce artysty skończonego ma być polem, na którym liczne stoczyły się walki; to potokiem łąk zatopione, to wysuszone żarem namiętności: wszystko znać winno, a więc wszystkiego doznać musi. Wtenczas jak w zwierciadle wszystko się w nióm wiernie odtworzy i wszystkie serca jak zwierciadła obraz jego odbiją, bo tam dla każdego coś będzie. Tak pojmujemy artystę skończonego; nie jestto ofiara, ale świadomość uosobistniona—ideał, któremu im kto bliżej, tём znakomitszy. Jakie z czasem miejsce zajmie p. Wernik, widać prawie; ale nie można jeszcze dzisiaj je wskazywać. Zawsze ono niepoślednie będzie, choćby to, co już w nim znamy, nigdy się nie zmieniło, jako indywidualność stanowiącę; to pewna, że ona już istnieje, a dojrzawszy, da nam znakomitej wartości artystę.

J. S.

O mappie geologicznój Francyi pp. Dufrenoy
i de Beaumont.

(*Explication de la carte géologique de la France, redigée par MM^{rs} Dufrenoy et de Beaumont, inspecteurs généraux des mines, et publiée par ordre de M^r le ministre des travaux publics. 4to. Tom I sży r. 1842, arkuszy 106. Tom IIgi r. 1848, arkuszy 103).*)

Dzieło to, odnoszące się do mapy geognostycznej Francyi pp. Dufrenoy i Elie de Beaumont, na sześciu wielkich arkuszach, nie znajduje się w handlu; jedynie ze szczerro-

bliwości rządu, rozdawane jest znakomitym uczonym zagranicznym.

Nad ułożeniem w mowie będącej mappy, zaczęli pracować dwaj ci uczeni inżynierowie górnictwa francuzkiego w r. 1827, i wykonywali do r. 1837; wykończenie jednak ostateczne i sztych, wydanie oniej do roku 1841 przeciągnęły. Wydawcy rozdzielili pomiędzy siebie pracę w ten sposób: iż po poprowadzeniu linii przedziałowej od kanału Manche przez Hawr, Alençon, Avallon, Lugdun, Marsylią do morza Śródziemnego, część zachodnią Francyi wziął p. Dufrenoy, wschodnią zaś p. de Beaumont do szczegółowego prześledzenia i obrobienia.

Zgodziwszy się przedewszystkiem na zasady w podziale górutworów, pracowali każdy z osobna lat kilka nad rozpoczęciem dziełem; w punktach tylko ważniejszych połączonymi działając siłami, również jak w zjednoczeniu części przez siebie wypracowanych. W ostatnich latach, pp. Dufrenoy i de Beaumont wypadki swych spostrzeżeń udzielali różnym geologom, dla uzyskania uwag, i udokładniania skutkiem tego swój pracy.

W barwieniu mappy, wydawcy téj się trzymali zasady: iż dla każdego utworu czyli gromady, przyjęli jeden jakowy kolor, a podziały i ogniwa utworów, oddzielają tylko odmiennymi znakami. Dla należytego wyświecenia budowy ziemiorodnej Francyi, odnosząc się do ułożonej przez siebie mappy geologicznej, autorowie jój napisali powyżej z tytułu przywiedzione dzieło. Piérwszy tom tych wyjaśnień wyszedł w roku 1842, drugi w r. 1848, a dalsze są jeszcze oczekiwane.

Za wstęp do Igo tomu, służy wykład zasad naukowych geologii; następują opisy szczegółowe: środkowej Francyi, półwyspu Bretońskiego, gór Ardennów, Wogezów, gór nadbrzeżnych w departamencie Waru, i tu i owdzie rozrzuconego utworu węglo-kamiennego. W oddziałach tych obejmują zatem w obszernych zarysach opis utworów najdawniejszych, włącznie tych gromad warstwowych, które ge-

ologowie paleozoicznymi, to jest zawierającymi skamieniałości samych istot gatunków zagubionych, nazywają.

Dla łatwiejszego poglądu i zrozumienia dzieła, które jak wspomnieliśmy, odnosi się do ogromnej sześćcio-arkuszowej mapy, dołączoną jest do Igo tomu arkuszowa mniejsza mapa przezorcza, będąca skróceniem pierwszej.

W drugim tomie wyjaśnień, badając troskliwie związek topograficznych stosunków kraju z naturą utworów, wydawcy wchodzi w szczegółowy opis wychodniów, należących do pokładów tryasowych i juraskich. W opisie tym postępują porządkiem oddziałów, jakie wyraźnie naznaczyć można w zagłębiu północnym Francji, a następnie i w południowym; i wzbogacają wnioski swe licznymi przykładami w każdej okolicy czerpanymi, wszędzie porównywając cechy minerałów i skamieniałości, znajdujących w pokładach, nie pomijając wytknięcia różnic pomiędzy temi, a znajdującymi się w pokładach poprzednio opisywanych.

W tym drugim tomie jest 105 drzeworytów, przedstawiających różne nader zajmujące szczegóły. Tryas, zawierający pokłady piaskowca pstrego, wapienia muszlowego i pstrych margli (kejpru), okazuje się w następujących miejscach: 1) naokoło Wogezów, głównie zaś na równinach Lotaryngii; 2) na spadkach gór Charollais, w departamentach: Côte-d'Or, Saony, Ligiery i Rodanu; 3) u północnego podnóża gór środkowej Francji, w departamentach: Nièvre, Allier, Cher i Indre; 4) u spadku wzgórz zwanych Bocage, w departamentach Calvados i La Manche; 5) w południowej stronie środkowych gór Francji, w departamentach: Lot, Aveyron, Tarn i Garunny, oraz Tarn i Hérault; 6) nareszcie u schyłku gór Maurów, w departamencie Waru, tudzież tu i owdzie występują w Pirenejskich i Juraskich górach.

Oddzielna mała mappka wskazuje ciąg wychodniów jurasowych utworów, które prawie od jednego krańca Francji do drugiego bez przerwy rozciągają się, i rozpoznawane być mogą.

Oddziały tego górutworu są: lias, spodni, średni i wierzchni ikrowiec (oolith). Szczególnie godném uwagi jest, iż warstwy w północnej i w południowej Francyi tak dalece są do siebie podobne, iż między okazami z dwóch odległych stron wziętemi, żadnej różnicy dostrzedz nie można.

Podstawę utworu jura, stanowią piasek i sypkie nagromadzenia żwirów lub potopowych piasków, np. u stóp jurautworów w okolicy Montiers koło Bayeux; także piaskowiec ciosowy z feldspatem zmienionym, oznaczany nazwą arkozu, co wszystko jest dowodem ruchów i wstrząśnień które ten utwór poprzedzić musiały. Z powodu położenia ich wszeregu warstw jurasowych, nazwano je na opisie geologicznym Francyi piaskowcem podliasowym (intraliasique); niekiedy okazują się razem ze spodnim i średnim ikrowcem. W obu razach napotyka się w nich skamieniałości, podobne do znajdujących się w wapieniach na nich upiętrzonych, i oneto służą do oznaczenia właściwego ich wieku. Piaskowce tém się odznaczają, iż mieszczą w sobie minerały krystalizowane, na których w pokładach wapiennych zbywa. Brzemiospal jest dość pospolity, i w okolicy Alençon stanowi masę w skamieniałościach. Piaskowce liasowe w niektórych miejscowościach zawierają blyszcz ołowiu (galèn), blendę i niedokwas manganu.

PP. Dufrenoy i Elie de Beaumont zapowiadają jeszcze tom trzeci i czwarty.

W trzecim tomie zamkną opis reszty pokładów osadowych Francyi, mianowicie tych, które od chwili osiadania swego, najmniej znacznym uległy wstrząśnieniom. Najpóźniejsze te utwory, zwykle w rozerwanych pokładach okazujące się, przedstawiają niekiedy trudne do rozwiązania wątpliwości; tom ten przeto niemniej będzie ciekawym od dwóch pierwszych.

Tom czwarty zawierać ma opis i rysunki mięczaków, cechujących rozmaite utwory tego kraju.

Warszawa, d. 1 sierpnia, 1849 r.

H. Ł.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Nowe nabytki Muzeum Brytańskiego (British Museum) i katalog tamecznej biblioteki. Śmiało powiedzieć można, iż niemasz w całym świecie drugiego podobnego zakładu, któryby mógł porównać się z bogactwem zbiorów i środków ich nabywania, jakim jest Muzeum brytańskie w Londynie. Podług ostatniego sprawozdania na rok 1848, które czytać nam zdarzyło się, pokazuje się, iż ogólna summa dochodów na ten rok wynosiła około 53,999, a rozechody 49,845 funtów szterlingów. Z summy téj wyszło 21,041 funtów szterlingów na utrzymanie zakładu i pensye osób przy nim znajdujących się, 1,768 funtów na samo utrzymanie budynków, 18,707 funtów na nowe nabytki, 6,514 funtów na oprawę książek, sprawienie szaf i t. p., a 1,655 funtów na druk katalogów, pakunek książek i t. p. Liczba osób zwiedzających Muzeum w ciągu tegoż roku, wynosiła 897,985; liczba uczęszczających tamże na lekye w różnych przedmiotach, dochodziła do 65,867 osób, a zatem w średnim stosunku wypadło 225 osób na dzień.

Dzieł dawnych nabyto 10,177 exemplarzy. Zbiór biblij angielskich znakomicie został pomnożony zakupieniem sześciu Kranmerowskich wydań, z 1540 i 1541 roku. Nadto nabyto zbiór, jak utrzymują jedyny, składający się z 130 proklamacyj rządu irlandzkiego w Dublinie od 1685 do 1691 roku; niektóre ważne dopełnienia w historycznych i topograficznych dziełach o Ameryce hiszpańskiej, i siedm foliantów Rozini o Rzymie. Pomiedzy nowemi nabytkami, wspomniane są sto dzieł Wschodnich, niedawno w Konstantynopolu wydrukowanych, a dwadzieścia dzieł przeszło w 300 tomach w językach manzurskim i mongolskim. Tym sposobem oddział literatury chińskiej w Muzeum dotąd dość szczupły, stał się jedynym ze znaczniejszych w Europie. Najważniejszy atoli nabytek uczyniło Muzeum w zakupieniu dzieł hebrajskich, pozostałych po byłym hamburskim bankierze Mychaiew. Znany i wysoko od uczonych orientalistów ceniony ten zbiór, podług drukowanego katalogu, składa się z 5,400 tomów, czyli z wyjątkiem duplikatów i exemplarzy defektowych z 4,420 tomów, zawierających najlepszych i najważniejszych dzieł 3,970.

W spisie nabytych rękopismów, szczególnie godną ma być uwagi książka do nabożeństwa (*Horae*), z przeslicznymi miniaturami, roboty artysty flamandzkiego, wykonana

dla Filipa Pięknego króla Kastylii pomiędzy rokiem 1490 a 1506, lub dla żony jego królowej Joanny matki Karola V. Na samym bowiem początku tego rękopismu, znajdują się wizerunki obojga tych monarchów w całej figurze. Miniatury te przypisują znakomitemu artyście p. Hemeling. Do znakomitych także rękopismów nabytych, należą: jeden tom oryginalnych dyplomatów i praw uniwersytetu paryzkiego z XIV wieku; Ewangeliarz, czyli wykład ewangelii po łacinie, z XIII wieku, wspaniałemi miniaturami w stylu francuzkim ozdobiony; Nowy testament z Apokalipsis, po grecku z XIII stulecia; Objawienieśgo Jana apostoła, po łacinie i po francuzku, z mnogimi miniaturami, z początku XIV wieku; wielki zbiór szacownych dzieł historycznych, geograficznych i statystycznych, dotyczących się południowej Ameryki i wysp Filipińskich z 226 mappami, należący przedtém do kapitana Felixa Bauze, dyrektora gabinetu geograficznego w Madrycie; zbiór oryginalnych mapp z 357 sztuk składający się, Anglii i Normandyi od XIII do XVIII stulecia; nakoniec pierwsza część (od r. 1576 — 1580) ogromnego zbioru kopij z oryginalnych dokumentów, dotyczących się Anglii, a znajdujących się w archiwach niderlandzkich, nabyty przez ministra Palmerstona. Winniśmy także dla uzupełnienia wiadomości dodać, iż właśnie w początku bieżącego roku wyszedł z druku katalog tegoż Muzeum w 88 tomach ogromnego folio, z którego widzimy, iż biblioteka znakomitego tego zakładu, posiada obecnie 435,678 drukowanych tomów, 29,626 tomów rękopismów, 23,980 pojedynczych rękopismów, w liczbie których mieści się 208 papyrusów egipskich, a 10,221 mapp geograficznych i planów.

* Akademia napisów i literatury w Paryżu, wydała świeżo 22gi tom, 1,000 stronic in 4to, zawierający historią literatury Francyi (*Histoire Littéraire de la France*), dzieło będące jedném z najważniejszych uczonych przedsięwzięć, nad którym przeszło 100 lat uczeni francuzcy pracują. Początek tego olbrzymiego dzieła należy się Benedyktynom Sta Maura. Właściwie atoli nie wiadomo kiedy ta praca rozpoczęła się; przy wydaniu bowiem pierwszego tomu w r. 1733, materyałów było już gotowych na kilka tomów. Dom Rivet, pierwszy wydawca, w przeciągu lat czterestu (do 1747 roku), zdołał wydrukować ośm tomów, a dzieł wiąty w rękopiśmie jeszcze zostawił. Po śmierci tegoż, zgromadzenie (kongregacya), poruczyło wydanie pomienionego tomu D. Tallandie, dziesiątego D. Clemencet, jedénastego

i dwunastego **D. Clement**; ostatni z tych wyszedł w r. 1763, poczem wydawanie na pewien czas wstrzymało się. Godną jest zastanowienia pracowitość francuzkich Benedyktynów **Sta Maura**, zwłaszcza, iż było ich tylko dwunastu, a wszyscy jak najpilniej literaturą trudnili się. Bez wątpienia po wydaniu dwunastego tomu, nie było już pomiędzy nimi takiego, któryby zecheiał całe swoje życie poświęcić temu przedsięwzięciu; zgromadzenie zaś w tymże samym czasie, zajęte wydawaniem tak wielu dzieł archeologicznych, nie było w stanie z grona swego przeznaczyć kogo do dalszego wydawania *Historii literatury francuzkiej*, a tym sposobem aż do roku 1807 wstrzymała się. Dopiero Instytut francuzki przyjąwszy na siebie obowiązek dalszego wydawania prac Benedyktynów, polecił Akademii napisów i literatury, aby ta pomienioném dziełem zajęła się, i w tym celu ustanowioną była kommissya z czterech członków składająca się. Odtąd Akademia wydała dziewięć następnych tomów, a trzymając się ściśle pierwotnego Benedyktynów planu, drukuje starożytnych autorów w porządku chronologicznym, bez żadnego na przedmioty podziału, w których umieszczeni są pisarze francuzcy, żyjący w XII i XIII stuleciach. Cel wydawania takiej *historii literatury francuzkiej* zależy na tém, aby o każdym starożytnym pisarzu, o którym albo po nim cokolwiek przechowaném zostało, ułożyć dokładną wiadomość, zawierającą w sobie jego żywot, wyliczenie i rozbiór jego prac literackich, badanie nad pozostałemi rękopisami, a ocenienie tych, które były drukowane. Dwadzieścia dwa ogromne tomy tego szacownego dzieła, składają wspaniały pomnik wzniesiony pisarzom średnich wieków, pomnik godny ze wszech miar naśladowania; na podobieństwo którego życzyłoby należało, aby inne narody mogły coś podobnego przedsięwziąć.

* Korrespondent *Gazety Augsburskiej* (*Allgemeine Zeitung*), pisze z Hong-Kong, iż towarzystwo azyatyckie w Kantonie, wydało z druku pierwszy tom swoich *Pamiętników*, w których mnóstwo nader ważnych rozpraw mieści się, a między temi: O własności ziemskiej w Chinach, przez *Midosę* (*Meadows*); O górnictwie tamże, przez *Giuzlaf* i t. p. Zaś p. *Marquez* tłumacz w Makao, wydał geografią dla szkół w szesciu częściach w chińskim języku, która napisaną została podług *Balbiego* i innych najlepszych dzieł europejskich.

F. M. S.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Mam honor złożyć redakcyi Bibl. Warsz. owoc dziewięcio-miesięcznych doświadczeń moich z przenoszeniem choćby najdawniejszych (byle czystych i niezapoconych) druków na cynk, z którego następnie można tysiące exemplarzy odciskać (1). Nie podaję tego za mój wynalazek; jestto sposób dokładnie znany przez niektóre osoby w Berlinie, i z wielkim skutkiem przez nie używany do.... fałszowania biletów Bankowych. Jeżeli w tém dojsciu jest jaka zasługa moja, to tylko ta: że sam wyprowadziłem sobie teorię i sam obmyśliłem nietylko stosowne preparata, ale i wszelką manipulacyę przy tém przenoszeniu. Widziałem próby przenoszenia berlińskie, i bez uprzedzenia, jawnie i głośno oświadczam, że moje są lepsze: bowiem największe przedmioty przenoszone w Berlinie, nie przechodzą 6 cali, a powtóre, że w drzeworytach ich, wszędzie lufty czyli powietrze, jest obszlifowane, bo istotnie ta część jest najtrudniejszą do przeniesienia. W moich zaś przenoszeniach, redakcyja raczy zauważyć, że format jest ćwiartkowy, a nawet arkuszowy, i powietrze tak, jak było w oryginale, wiernie przeniesione.

Nie znam wcale manipulacyj berlińskich, lecz według mojej, oryginał przy przenoszeniu nie ulega ani posmoleniu, ani najmniejszemu uszkodzeniu; a do tego, jeżeli oryginał jest z dwóch stron drukowany, to ja obie strony przenoszę na dwóch blachach razem, za jedném przepuszczeniem prasy, a to tym sposobem, iż oryginał kładę pomiędzy dwie blachy cynkowe.

Użytki z tego mogą być rozliczne, a mianowicie przy tłumaczeniu dzieł obcych z kosztownemi drzeworytami. Postępowanie zaś całe tak jest krótkie, iż przeniesienie arkusza na jedną stronę, nie wymaga nad 5 minut czasu.

Niechaj redakcyja Bibl. Warsz. raczy pozwolić mi, ażebym usprawiedliwił się, dlaczego próby przenoszenia starych

(1) Odciski te rycin wraz z drukiem, można widzieć w redakcyi Bibl. Warsz.

druków **składam**. Otóż powód: kto mnie zna, wie jak daleki jestem od pragnień głośnego imienia i wszelkiej próżności; **nie we mnie** nie ma poezyi: czysta i poprawna proza (lecz **nie w** wypisaniu się, ale w pragnieniach moich). Wszakże **nie zapieram** się, że bolało mię serce, kiedy ja *w duszy i sumieniu mojem* przekonany byłem, iż cynkografia, była **czysto i bez** żadnej czyjśkolwiek pomocy, pomysłem moim. **Widzieli** to w Banku podwładni moi, jak męczyłem się **około** tego przez lat dwa; w Dreźnie p. Hanfstaengel słynny wydawca, artysta i litograf, oraz p. Fürstenau nadworny litograf królewski w Dreźnie, uczyli się odemnie cynkografii; **sprzedalem** sekret do Wiednia i Berlina: jednakże zazdrośni **odkryli** w starych książkach, że o tém pisano już. Tak, **pisano**, ale **dłaczegóż** nie robiono? Powstała przeciwko mnie sfera **nędzo-grafów** i pseudo-artystów, zapierając mi wynalazku; **ale** co najboleśniejsza, kiedy literat, a na nieszczęście literat z powołania i rzetelnie uczony, i ten, nie wchodząc **w** rzecz, opierając się na jakiejś książce i podszeptach **nędzo-grafów**, zaledwie i to z bolem serca przyznał mi tylko samo wprowadzenie cynkografii do kraju. **Więcej on** był szlachetnym od innych, nie chciał mi wprost zaprzeczyć cynkografii; tedy strzelił do mnie przez elewacyą... **to jest** przez odsyłacze... **Ale**, opierając się na ewangelii Śgo Jana, rozdziale 4, wierszu 44, byłem na to przygotowany.

Teraz, kiedy zdaje mi się, iż ja *piérwszy* **nie wynalazłem**, **ale doszedłem sposobu** przenoszenia starych druków na cynk lub kamień; z słusznej obawy zaparcia mi tego wprost czy przez odsyłacze: *czyn dopełniony* składam do księgo-zbioru redakcyi, w tém przekonaniu: że redakcyja, jako dzisiaj może jedyny trybunał dla tendencyj scyentyficznych, na przypadek napaści na mnie w tym przedmiocie, raczy wydać wyrok **sprawiedliwy**.

Dnia 29 sierpnia, 1849 r.

Seweryn Oleszczyński.



KRONIKA ZAGRANICZNA.

Prawoznawstwo niemieckie i francuzkie.

I. *Rechts- und -Staatslehre auf der Grundlage christlicher Weltanschauung*, von F. J. Stahl. Heidelberg. 2 tomy. 1848.

Dwa tomy dzieła powyższego, są obszerniejszém obróbeniem drugiego tomu dawniejszój filozofii prawa pana Stahl. Głównych zasad swych o prawie i państwie nie zmienił autor w nowém przerobieniu; starał się jedynie dojść o ile możności do rzeczywistego politycznego stanowiska i przekonania. I dziś jeszcze nie może się oderwać od zasadniczój myśli „że wszystko co ma być, pod wszystkimi prawie względami jest reprodukcją boskiej istoty, i z tego powodu wyraźną z nią ma analogią: że cały świat stworzony, symboliczną na sobie nosi cechę”; jednakowoż „przyznaje chętnie, że dawniej przez siebie głoszone nazbyt bezpośrednie połączenie czasowych, społecznych stosunków, z wiecznymi, boskimi zasadami, a mianowicie tłumaczenie pierwszych przez analogią z boską istotą, częstokroć było niewłaściwém” (I, 8, 9). Na czele całego dzieła, jako wyznanie wiary, umieszczonym jest obszerny pogląd na świat stworzony. Cały ten system nie nazywa p. Stahl swoim własnym, ale *nader skromnie* mianuje go „ogólnym, ludzkim, chrześcijańskim sposobem myślenia”. Alfą i omegą filozofii Stahla, jest: „oso-

bistość Boga, ta najhardziej duchowa istność, która jako pierwotne pojęcie jedynie dostrzeżaną, lecz ani zdefiniowaną, ani określoną być nie może (14).” Istotą téj osobistości jest czyn, t. j. stworzenie (15). Cała natura dąży do indywidualności; dochodzi aż do indywidualnego życia człowieka, i każdy człowiek, dlatego że jest człowiekiem, wieczność ma przed sobą. Zadaniem zaś człowieka jest do rzeczywistój dojsć osobistości, t. j. osobistość swoją, według wewnętrznego téjże oznaczenia doskonalić, i do takiój jak Boga doprowadzić (23, 24). Prawo, jako norma całego społecznego życia (162), obejmuje w sobie i stosunki państwa. Zawierając w sobie wszystkie względy i związki, jakie pojedynczych ludzi z ogółem łączą, ma za przedmiot: naprzód, utrzymanie indywidualnego bytu, t. j. całość i swobodę osoby, oraz zabezpieczenie własności; następnie, rozszerzenie rodzaju ludzkiego, rodzinę; w końcu, wspólny byt, t. j. gminy, stany i korporacye, państwo i związek państw pomiędzy sobą (164). Tom drugi dzieła p. Stahl, zawiera polityczne zasady i dowodzenia autora.

II. *Das Problem der Todesstrafe. Wissenschaftlich zu lösen versucht von H. Diestel.* 195 str., Królewiec. 1848. Złp. 4.

Autor zaniedbał dzieło swe zewnątrznie na działy rozłożyć; również i wewnętrzny przebieg rozprawy, nacechowany jest brakiem stałej zasady, i że tak powiemy, niesymetrycznością wykładu. P. Diestel rozpoczyna od krytycznych rozumowań nad rozprawami deputacyi sejmowój pruskiej z r. 1847; następnie przechodzi Kruga, Kanta, Hegla, Stahla i Herbarta. Krytyce częstokroć nie brakuje bystrości poglądu, tam jednak gdzie głębiej, filozoficznie zasady ocenić należy, wielką widzimy niedostateczność. Zarozumienie i potępienie wszelkich dotychczasowych systematów, ciągle się przebija. Wpśród tych krytycznych uwag (które jedyną i dość ważną powyższego pisma stanowią zaletę, dla którój

o nióm wspominaamy), czasem umieszcza autor kwestyą żywołnego znaczenia, i zdaje się, jakby właściwy wykład zasady kary śmierci miał się rozpocząć. Inaczéj jednak się rzecz ma; kwestyą autor na bok odkłada i zuów krytyczną rozpoczyna wycieczkę, która również do zamierzonego nie prowadzi celu.

III. *Die Werthlosigkeit der Jurisprudenz als Wissenschaft, vom Staatsanwalt von Kirchmann.* 44 str. Berlin. 1848. Złp. 2.

Wrażenie, jakie krótkie nader pismo powyższe zaraz przy swém ogłoszeniu wzbudziło, częścią przez pozornie nadzwyczaj przekonujące i gwałtowne dowodzenie, częścią przez niezgodność wyjawionych zasad ze stanowiskiem publiczném autora (prokurator królewski); wrażenie, jakie i u nas nawet chwilowo działało, powoduje nas do dłuższej o niém wzmianki, chociaż zajęcie chwilowo wzbudzone, znikło już po większej części przy tylu nowszych pracach, mianowicie ekonomiczno-politycznej treści. Nie zasada autora samego, jako pojedynczego człowieka do tego nas skłania, ale ponieważ w zasadzie téj, objawia się nader rozprzestrzeniona dziś dążność. Materyalna ta dążność chwili, odrzucająca wszelką naukowość, o ile ta pojawia historyczne lub kształcenie się ducha w rozwinięciu myśli społecznej zgłębia, i która z tego powodu jedynie nauki ściste wielbi: dążność ta, mówimy, znalazła w dziedzinie prawa reprezentanta swego w p. Kirchmann.

Trzy zarzuty stawia autor przeciwko prawoznawstwu:

- 1) że się różni od innych umiejętności;
- 2) że niszczy w narodzie uczucie prawa;
- 3) że dla ludzkości nie dobrego nie działało.

Co do 1go. Autor wynajduje pięć względów, pięć właściwości, naukę prawa cechujących:

a) *zmiennosc przedmiotu prawa* (12). Według autora, prawoznawstwo dzieli los filozofii i teologii, gdy tymczasem inne umiejętności niezmiennie dane za przedmiot mają, i tylko

poznanie tego przedmiotu może być zmienném i poprawie ulegać.

b) Drugą właściwością prawoznawstwa być ma, według autora, że *nieprzyjaźnie na postęp prawa działa* (14);

c) że *wymaga koniecznie ogromnej i usilnej nauki przeszłości* (16);

d) że przedmiot prawoznawstwa *nietylko w głowie, lecz i w piersi człowieka ma siedlisko* (17);

e) piąta wreszcie właściwość prawoznawstwa leży w formie prawa *stanowionego, które szkodliwém swém działaniem zaciemnia* (19).

Objaśnienia przez autora podane na wytłumaczenie powyższych wniosków, do niczego, jak się samo przez się rozumie, nie prowadzą, i ani na krok nie zbliżyły go do zamierzonego celu, do dowodu, że prawoznawstwo, jako nauka, żadnej nie ma wartości. Napróżno zupełnie zapelniał autor 31 stronnie swój rozprawy.

Co do 2go. Drugim zarzutem przeciwko prawoznawstwu, jest według autora *zniszczenie w narodzie uczucia prawa* (32). Dowodu na to p. Kirchmann nie podaje, poprzestaje jedynie na wyrażeniu osobistego w tym względzie mniemania.

Co do 3go. Ostatnią wreszcie bronią autora, są *niedostateczne korzyści z prawoznawstwa odniesione*. Co do tego, nie możemy sobie zdać sprawy, czyli autor nie wpadł przypadkiem na tor komedyi, farsy. Przytaczamy dosłownie: „Jakież są owoce prawoznawstwa? formularze do czynności prawnych i procesowych, zawikłania, czeże axiomata, formy i klauzule, wreszcie dziwny utwór filozofii prawa: oto jest mniej więcej wszystko, za co uczonym w tym względzie dzięki składać winniśmy.” W taki sposób dowiódł autor zadania swój pracy. Zaprawdę trudno przeciw niemu walczyć równą bronią!

IV. *Traité des faillites et des banqueroutes, par M. A. C. Renouard, ancien pair de France, conseiller à la cour de cassation. 2de édition, revue et augmentée. Paryż. 2 tomy. Złp. 25.*

Być zawsze jasnym w wykładzie, zgłębiając nawet najważniejsze kwestye; stać się równie potrzebnym dla uczących się, dla handlujących i dla prawników; ułatwić poznanie i zrozumienie prawa najróżnorodniejszym usposobieniom: oto główny cel autora powyższego dzieła, dla niego zapewne najdostępniejszy, gdyż nader czynny miał udział w pracach przygotowawczych do prawa o bankructwach, i był jego referentem w Izbie deputowanych.

Dzieło pomienione dzieli się na dwie części: Część pierwsza zajmująca połowę pierwszego tomu, poświęconą jest szczegółowej historii téj gałęzi prawa. Do każdego okresu prawodawstwa, dołączoną jest bibliografia rozumowana i zupełnie nowa, wszystkich dzieł w tym przedmiocie skreślonych. Dział drugi jest komentarzem prawa o bankructwach z r. 1838, i stanowi praktyczną część całego dzieła

V. *Traité des brevets d'invention, par M. A. C. Renouard. Paryż. Tom I. Złp. 13.*

Dzieło powyższe składa się z dwóch części. *Pierwsza* jest poświęconą teorii i historii prawodawstwa o wynalazkach przemysłowych; *druga* praktyce. Część ta ostatnia dzieli się następnie: 1) ogólne zasady prawodawstwa w tym przedmiocie; 2) prawa wynikające z listów przyznania; 3) ich przedmiot; 4) osoby; 5) formy listów przyznania; ich udzielanie i publikowanie; 6) czas trwania; 7) unieważnienie i powody zaskarżenia; 8) kontrafakcye.

W zakończeniu umieszczonym jest text prawa z d. 5 lipca 1844 r. Wreszcie dwie tablice z odsyłaczami i porównaniami, nader ułatwiające wyszukanie potrzebnych artykułów.

Nowsze dzieła prawne:

G. F. König, Die Geschwornen und das öffentlich-mündliche Rechtsverfahren. Hamburg. 1848 r. Złp. 3.

G. F. Puchta, Vorlesungen über das römische Recht. Herausgegeben von A. A. F. Rudorff. Tom IIgi. Lipsk. Złp. 12.

G. M. Kletke, Preussisches Verjährungsrecht. Berlin. Złp. 5.

C. T. Tittmann, Ueber Gerichtsverfassung, Strafrecht und Strafprozess in der vereinigten Staaten von Nord-Amerika. 1848. Lipsk. Złp. 6.

F. Fischer. Naturrecht und natürliche Staatslehre. Gießen. Złp. 9.

E. Viereck, Betrachtungen über die Anwendung des Beweismittels der Eidesdelation und der richterlichen Notheide auf juristische Personen. Rostock. Złp. 8.

C. F. A. Graf von Blankensee, Schwurgerichte. Berlin. Złp. 3.

C. G. Bruns, Das Recht des Besitzes im Mittelalter und in der Gegenwart. Tubinga. 1848. Złp. 16.

Dr. Reinhold Schmid, Theorie und Methodik des bürgerlichen Rechts. Jena. Złp. 8.

A. Bauer, Lehrbuch des Strafprozesses. Gettynga. Złp. 12.

J. W. Planck, Die Lehre von dem Beweisurtheil. Gettynga. Złp. 12.

F. C. von Savigny, System des heutigen römischen Rechts. Tom 7mg. Berlin. 1848. Złp. 9.

J. B. C. Dujoux, Recueil des lois et des règlements sur les brevets d'invention, chez les différents peuples. Bruxella. 1848. Złp. 16.

Cerfherr, des condamnés libérés. 2ga edycya. Paryż. Złp. 4.

Des peines et des prisons, par le prince *Oscar*, Paryż. Złp. 6.

Maurice Traille, Nouveaux documents sur les prisons pénitentiaires et la déportation. Paryż. Złp. 4.

K. B.



WŁADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Williams utrzymuje: 1) że organom oddychania zwierząt bezkręgowych niezawsze towarzyszy drgająca przysłużnia; 2) że przysłużniowe (epitelialne) komórki tych organów, u bezkręgowych zwierząt są przyplaszczone, a nie, jak u kręgowych, pryzmatyczne; 3) że wewnętrzna powierzchnia płuc u zwierząt kręgowych powietrzem oddychających, wyłożona jest warstwą mniej lub więcej grubą śluzu; a przez to ich oddychanie, rzeczywiście nie różni się od oddychania skrzelami; 4) drganie rzęs w płucach gadów żabowatych, żółwiów i powietrzem oddychających jaszczurek, dowodzi, że rzęsowata przysłużnia jest istotną częścią w budowie oddechowego przyrządu wszystkich kręgowych zwierząt. Układ naczyń w tym przyrządzie, u pierścienic i czerwiów przedstawia trzy odmienne zworza: to jest, że naczynia ciągnące się od głowy i ciała, przedłużają się: 1) w rozgałęzione nitki skrzelowe; 2) w pewny układ równoległych, nabrzmieniami opatrzonych włoskowatości (u neroid); nareszcie jest złożony z rurek i worków do oddychania, w których się rozpościera siatkowaty układ włoskowatości (u pier-

ściennic). Czerwie dzieli Williams na dwie grupy: na czerwie z wewnętrznymi i na czerwie z zewnętrznymi organami oddychania. (*F. N. nr. 193 z L'Institut nr. 778. 1848*).

* Wiedzano dawno, że samice pajaków rozdrzelowatych (*Pycnogonides*) przy ciele swoim wysiadują jaja, lecz nie postrzegano ich jajeczników. Dr. A. Krohn, śledził tę organizacją według pracy p. Quatrefages: *Mémoire sur l'organisation des Pycnogonides* (1), w której znalazł niedostateczności, mianowicie co do rodnych części u tych zwierząt. Że aż dotąd przeoczono ich jajeczники, może to ztąd pochodzi, iż szukano ich w tułowiu, gdy tymczasem pająki rozdrzelowate różnią się nadzwyczajnie od wszystkich stawowatych zwierząt (*arthropoda*) nie tylko położeniem, ale i liczbą jajeczników.

Jajeczники tych pajaków leżą w nogach, gdzie łatwo je odkryć podczas postąpień do pewnego stopnia brzemienności. Każda noga zawiera swój osobny jajecznik: liczba więc wszystkich wynosi ośm. Jajecznik większą swoją częścią spoczywa w piątym członku każdej nogi, gdzie połączy się dosyć ściśle ze znajomym, biegnącym przez nią naksztalt żyły przeciągiem żołądka, a częścią mniejszą aż w czwarty członek zachodzi. Im dalej wykształcenie jaj postępuje, tym większą staje się jajeczników objętość. Zwykle rozmaitych wielkości jaja obok siebie leżą, lecz gdy wzrasta brzemienność, jedno z nich, zawsze leżące blisko powierzchni nogi, szczególnie wpada w oczy, że większe jest od innych.

Im bardziej rozwiną się jajeczники, tym mocniej nabrzmiewają ukrywające je nogi członki, mianowicie członek piąty. Zamknięte w tych członkach części przeciągów żołądka, parte coraz bardziej nabrzmiewającymi jajecznikami, z wolna tak usuwają się na bok, że nakoniec jakby kolano albo łuk ponad niemi przechodzą. Skoro zaś jaja przeniosą się ztamtąd do organów wylęgania się swojego i w których je samica piastuje, nabrzmiałości członków znikają,

(1) W *Annales des sciences natur.* 3 série, tome IV, p. 69.

a jednocześnie przeciagi żołądka, prostują się i do dawnego położenia wracają.

Zółtek mniejszych i średnich jaj, składa się z istoty delikatnie ziarnistój, a wyżej rzeczonych największych, z ziarnistych pęcherzyków czyli komórek. Wszędzie można bez trudności rozeznac zarodkowy pęcherzyk i w nim tak nazwane znamię zarodkowe. Na wszystkich także jajach, najmniejsze może wyjąwszy, daje się widzieć dosyć gruba i przezroczysta osłona (vulgo chorion).

Nie mógłtem dojść drogi, którą się jajeczniki wypróżniają. Zdaje się nie być żadnego śladu jajowodów. Naprawdę także szukałem dotąd otworów na zewnątrz, którychby można było domyślać się na powierzchni nóg, w bliskości jajeczników. (*F. N. no. 191, 1849*).

* Dr. John Davy, generalny inspektor szpitalów wojskowych, ogłosił w *The Edinburgh new phil. Journal (July to october 1848)*, swoje postrzeżenia nad drewniakiem krajów ciepłych, któremu nazwisko kęsającego (*Scolopendra morsitans*) nadano; i nad wielkim zachodnio-indyjskim ślimakiem (*Helix oblonga*). Powoławszy się on najprzód na swoje dawniejsze artykuły o składzie wyrzutów drewniaka, będących samym prawie urynianem amoniaku, mówi, że wtedy nie wiedział jeszcze, czém się to zwierzę żywi: ale teraz zdarzyła się mu okoliczność uważania przez dłuższy czas nieuszkodzonego zwierzęcia, które w porcelanowej filiżance, szklanką nakryte utrzymywał. Autor upewnił się, że drewniak tylko owadami żyje: karmił go przez cały miesiąc i troskliwie uważał, nim naostatek więzień przypadkowo oswobodzić się zdołał. Niezmiernie żarłoczny, pierwszego dnia po uwięzieniu pożarł dwie muchy domowe: tyleż i dni następnych, jeżeli nie więcej jeszcze. Jednego dnia dziewięć much pochłonał, z których tylko cząstki skrzydełek zostały. Zwierzę tak zapamiętałe żarło, że go wtedy nie obchodziły zewnętrzne wpływy, nie ploszyły najniełagodniejsze trącania. Po jedzeniu zdawało się wpadać w stan niezadowolnienia i ociężałości. Jego wyrzuty podobne były do wyrzutów małej jaszczurki; tworzyły one wal-

cowate massy, częścią czysto-białe z urynianu ammoniaku, częścią ciemno-szare, z niedotrawionych substancyj złożone. Przez dwa dni więziony drewniak, 9 much pożarlszy, ważył 24,46 granów; wyrzuty, które przez ten czas wydał, ważyły w stanie wysuszenia 0,44 gran. i składały się po największej części z urynianu ammoniaku. Ilość wyrzutu była zawsze w stosunku do ilości pokarmu. Od 12 do 25 lipca, ilość ta wyrzutu w stanie suchym dochodziła 2,55 granów. Zastanawiała autora wielka czynność trawienia i assimilacyi u tego zwierzęcia, jak równie szybkie i obfite u niego tworzenie się węglanu ammoniaku.

Wielki zachodnio-indyjski ślimak, zdający się być gatunkiem *Helix oblonga* Lin. pospolity jest na wyspie Tabago, na St. Vincent rzadszy, a na Barbadoes wcale się nie znajduje. W porze dni suchych mieszka on w jamach pod ziemią, gdzie i jaja składa; tylko w czasie mglistych nocy i gdy powietrze jest wilgotne, na jaw wychodzi. Zdaje się żyć samemi roślinami. Jaja jego miały około 2 cali dług., a $\frac{1}{10}$ cala grub. Skorupka na nich była łskniąca, wółprzezroczysta, zawierała nieco materji zwierzęcej i ślad fosforanu wapna, głównie jednak składała się z węglanu wapna. Wypełniała jaje lipka ciecz jednostajnej białości, nieco w żółte wpadającej, ale żadnego żółtka nie było. Działanie na nią ciepła, sublimatu i kwasu saletrowego, okazywało że jest białkiem, takiem jak w kurzem jaju. Ślimak oddaje dużo wyrzutów, w stałych, walcowatych massach. Te składają się podobnież ze dwóch materji: największa zielono zafarbowana część, obejmuje niedotrawione szczątki pokarmu roślinnego; część druga jest zawsze biała, z początku miękka, jednostajnego wejrzenia; budowa jój pod mikroskopem przedstawia obłoczki mieszające się z komórkami przysłużniowemi, a w składzie jój chemicznym okazuje się obecność kwasu urynowego. Jeżeliby, o czém z pewnością sądzić można, w wyrzutach wszystkich ślimaków miała się znajdować niejaka ilość kwasu urynowego, zwierzęta te, jak autor sądzi, w okolicach w których się znajdują, do-

starczałyby dobrego nawozu. Powolny rozkład węglanu ammoniaku, musiałby bardzo do wzrostu roślin pomagać. (*F. N.* 1849, *nr.* 180).

* Znajdujemy w 111 zeszytcie sprawozdania z posiedzeń Akad. um. wiedeńskiej, na r. 1848, wiadomość udzieloną Akademii przez p. Kollar, o nowym owadzie blizkim rodz. *Chermes*, a który tak opisuje autor. W drugiej połowie miesiąca maja, postrzegał on na liściach dębu *Quercus sessiliflora* Smith, w ogrodzie w Schönbrunn, kolisto-okrągłe wywyższenia, które na spodniej liścia powierzchni wklęsłości tworzyły. Okrągłe szybki opatrzone były w środku zieloną nakrywką, wysadzoną, jak to okazywał mikroskop, gwiazdkowatemi, bardzo kończatemi brodaweczkami, a w jednym brzegu przedstawiającą parę różków i dwoje wyraźnych oczu; przytém wyraźne na grzbiecie prążki poprzeczne, zapowiadały ciało z kilku złożone działów. Pomieniona nakrywka była więc owadem, który ostrożnie ze swojego dołka wydobyty, miał sześć kłamrowato zagiętych nóżek, i z wolna niemi poruszał, a pomiędzy pierwszą ich parą wyraźny smoczek ukrywał. Autor przyniósł do domu wiele tak usposobionych liści; już we dwa dni potém powyskórzały się zwierzątka i dobrowolnie gniazła poopuszczały: kolisto-okrągła postać ich ciała, zamieniła się na podługowatą; gwiazdkowate także brodaweczki przy zrzuconej skórze zostały; w miejsce ich wynikły na bocznych brzegach zwierzęcia pojedyncze, miękkie kolce; różki objawiły się wyraźnie dwustawnemi, albo raczój trzystawnemi, ponieważ na dolnym ich członku, dawało się jeszcze widzieć mniej wyraźne nacięcie. Nogi stały się dłuższemi i wyraźnie trzystawnemi. Bez dalszej przemiany i bez poprzedniczego parzenia się, każde zwierzątko zaczęło nieść jaja, a to kupkami, około po 50 w kupce. Działy odwłoka coraz się bardziej przy tęp skurczały, tylne chowając się w przednie; zrazu blado-zielone ciało, nabywało koloru coraz ciemniejszego, póki nakoniec nie stało się zupełnie czarném; kolcowate przysadki na jego brzegach pousychały; zwierzę odpadało od liści nieżywe.

Zjasno-zielonych, lśniących jajek, już po ośmiu dniach powychodziły młode, których długość wynosiła $\frac{1}{3}$ linii, a które dosyć co do kształtu i koloru zgadzały się z matkami, nawet w tém, że nie miały na brzegach ciała miękkich, kolcowatych przysadek. Żwawo one poruszały się na liściach dębowych świeżych, nie ssaly ich jednak i wszystkie wnet poginęły; autor więc nie mógł dociec, czy po następném wylinieniu byłyby przeszły w kolisto-okrągłe, gwiazdkowatemi włoskami okryte, wyżej opisane kształty. W pierwszych dniach czerwca autor znowu wyszedł do Schönbrunn, ażeby tam na wolności drugie pokolenie owada o ile można zbadać; wszakże usiłowania jego nie przyniosły owocu. Dębowe liście okazały ślad tylko dawniejszego istnienia tych zwierząt; miejsca które owad zalegał, stały się brunatnemi, środek takich plam ogółocony był z miękiszu (parenchymu); a nawet te liście, które mnogość pasorzytów zaległa, całe pozółkły; nigdzie się nie pokazało żywe zwierzątko.

Lubo jeszcze nie dał się dojść cały okres przemian owadu, jednakże z cech należy on do dziobkowatych (*Rhynchota*) i jest najbliższym rodzaju *Chermes*; wszakże się różni od niego niedostatkiem skrzydeł i kolcowatemi przysadkami na brzegu ciała, wreszcie sposobem działania swojego na liście, przez co autor nowemu owadowi nazwisko *Acantho-chermes quercus* nadał. (*Ib.* nr. 197).

* Hodowanie koszenilli w Antigua, podług Sallé, wnosi do handlu rocznie około 1200 seronów (po 150 funtów). Hodują ją na 6 odmiennych gatunkach cierńca, i rozległe przestrzenie kraju osadzają tą rośliną. Koszenilla ma, prócz wielu innych owadów, nieprzyjaciela w gąsienicy muchy kwiatowój, z rodz. *Baccha* Fab. która wielkie w tych owadach szkody zrządza. P. Guérin Méneville, udzielający tych wiadomości, zwraca zarazem uwagę na to, że owady rzucają się mianowicie na takie zwierzęta i rośliny, których chów oddawna i na wielką skalę jest zaprowadzony, co tym bardziej następuje, gdy rozległe przestrzenie kraju pokryte są jednym tylko gatunkiem rośliny. Mniema on, że można ztąd następujące wywieść prawo: ilekroć jakie zwierzę lub roślina sztucznym sposobem ochrania, rozmnoży

się zbytecznie, opanowują ją inne zwierzęta, i tym sposobem wracają równowagę potrzebną do ciągłego istnienia wszystkich gatunków istot. Przy tej okoliczności wzmiankuje autor o nieprzyjaciolach zboża, winorośli, drzewa oliwnego, kartofli, buraków, jedwabników i t. p. (*Ib. nr. 185 z Comptes rendus, no 20, 13 listopada 1848*).

* U żyłkoskrzydłego owada *Osmylus maculatus*, postrzegł Leon Dufour długi, płaski, na końcu jamy brzusznej położony organ, który się tylko u samca znajduje i w żadnym nie zostaje związku z przyrządami płciowym. Uważał autor i u innego żyłkoskrzydłego owada, samca, podobny organ. Głębsze badania sposobu życia w rodzaju *Osmylus*, możeby wykryły funkcją tego nieznanego organu. (*Id. nr. 179 z Comptes rendus du 17 juillet, 1848*).

* Milne-Edwards, *Naturalny podział brzuchopelzów (Gasteropoda), czyli ślimaków w ogólném znaczeniu*. Na wstępie wyznaje autor, że żaden z dotychczasowych układów zwierząt tej gromady, nie jest dosyć uzasadniony, a wszystkie prowadzą do wypadków sprzecznych z naturalnemi pokrewieństwami tych zwierząt.

U Lamarcka, jak wiadomo, tylko głową opatrzone miękkliwe zwierzęta stanowią gromadę, którą on znowu rozdziela na 5 rzędów: *Pteropoda*, *Gasteropoda*, *Tracheliopoda*, *Cephalopoda* i *Heteropoda*. Szedł on w tym podziale za ogólną postacią ciała; ztąd ślimak nagi odłączony jest u niego od ślimaka w skorupie. Wszyscy zoologowie zgadzają się na to, że *Gasteropoda*, *Tracheliopoda* i *Heteropoda* Lamarcka, nie powinny być rozdzielane, lecz do jednej i tejże samej, naturalnej grupy należeć, i różnią się od *Cephalopodów* nieskończenie ważniejszymi, niż między sobą cechami. Jak sztuczną jest grupa *Gasteropodów* Lamarcka, widać już z tego, że ożady (*Aplysia*) leżą obok czerpiotek (*Culyptraea*), czaszki (*Putella*) pomiędzy pądrami (*Doris*) a rodzajem *Pleurobranchus*, gdy tymczasem słuchoty (*Halysotis*) w szereg stają z gatunkami rodz. *Helix* i *Planorbis*. W rzedzie *Tracheliopoda* są właściwo ślimaki (*Helix*), lecz ani *Testacella*, ani ślimaki nagi (*Limax*).

W układzie Cuviera, naturalne powinowactwo zwierząt miękkich mających głowę i mięsistą nogę, nie jest wprowadzone, jak u Lamarcka, porozrywane. Zwierzęta te stanowią tam oddzielną gromadę nazwaną *Gasteropoda*. Ale podziały dalsze w tej gromadzie nie zdają się autorowi zasługiwać na powszechne przyjęcie. Głównie opierają się one na różnicach w przyrządzie oddychania; co rozłącza gatunki bliskie sobie, a nie objaśnia daleko ważniejszych zboczeń w zworzu tej gromady. Według Kiuwiera czaszki (*Patella*) muszą leżeć bliżej łąkotek (*Chiton*) aniżeli dziurawek (*Fissurella*) i słuchot (*Halyotis*); podług niego powinnyby istotnie różnić się ożady (*Aplysia*) od gatunków rodz. *Triton* i *Helix*, niedoskwary (*Phyllidia*) od *Pleurobranchus*, a ściężnice (*Firola*) od krępaczków (*Trochus*).

Blainville w podzieleniu tej gromady zapatrywał się na różnice w przyrządzie płciowym. Nazwawszy je więc ogólnie *Paracephalophora*, dzieli na jedno-płciowe, na złączono-dwupłciowe, i na rozłączno-dwupłciowe. Wkrótce jednak okazało się, że mniemane jednopłciowe brzuchopełzy, mają rzeczywiście obiedwie płcie rozłączone, przez co główne podpory tej klasyfikacji upadły. Nie znajduje autor naturalnemi i dalszych podziałów w układzie Blainvillea.

Podług tego co już dawniej autor ogłaszał, główne cechy naturalnej klasyfikacji, tak w zwierzęcym jako i roślinnym królestwie, należy czerpać w historii rozwijania się, i że usposobienie zapłodnika (embryona), więcej tu niżeli późniejsza budowa zwierzęcia rozstrzyga. Autor wśród swoich wycieczek na brzegi Śródziemnego morza, miał sposobność uważać brzuchopełzy w stanie zapłodnikowym; wszakże wypadków tych postrzeżeń nie uzupełnił jeszcze tak, ażeby na nich samych można było opierać klasyfikacją brzuchopełzów.

Ażeby klasyfikacja zoologiczna wiernie wyobrażała rozmaite stopnie pokrewieństwa między zwierzętami, i była niejako synoptycznym obrazem mniej lub więcej ważnych odsiężeń, zachodzących w budowie tych istot, potrzebną jest rzeczą natworzyć nierównie więcej niż zwyczajnie podzia-

łów, po których od gromady przechodzi się do gatunku. Porównywając np. z sobą wszystkie brzuchopełzy, prócz łąkotek, o których autor niżej będzie mówił, niełatwo się w nich dojdzie do tych grup, które naturalisci w gromadzie téj ustanowili, raczej się postrzeże, iż większa część tych miękkliwych zwierząt, z ogólnego kształtu ciała jest bardzo podobna, gdy inne znowu będą się w uderzający sposób różniły. U właściwych brzuchopełzów, jakoto w rodz. *Helix*, *Buccinum* i t. d. mięsista masa nogi tworzy szeroką i przypłaszczoną, do trzymania się uzdatnioną podstawę, nad którą masa wnętrzości leży. U odłącznych brzuchopełzów (*Gastéropodes anormaux*), jakoto u ścieżnicy (*Firola*) i chybotek (*Carinaria*), czyli u tych wszystkich, które Cuvier i Lamarck *Heteropoda* nazywają, organ postępowego ruchu, tworzy cienką, zaokrągloną, wertykalną gałąź; odwłok jest tylko w zaczęciu, a zato głowa i tułów nad miarę rozwinięte. Tamte zwierzęta przeznaczone są do łożenia po ziemi lub po dnie morza, te zaś do pływania i wszystkie są morskimi. Nakoniec u jednych gangliony mózgowe i nogowe leżą blisko siebie, tworząc wkoło polyka wążki pierścieni; gdy u drugich gangliony nogi są bardzo oddalone od ganglionów mózgowych, a nitki łączące obydwia środki nerwowe, idą prawie równolegle od polyka. Jeszcze to wprawdzie nie jest zbadaném, zdaje się przecieź niewątpliwém, że wszystkie brzuchopełzy pływające, już w swoim najmłodszym stanie, daleko więcej różnią się od wszystkich brzuchopełzów właściwych, niżeli te pomiędzy sobą. W naturalnym przeto podziale téj gromady, te muszą być odłączone od tamtych, jako dwie oddzielne grupy: jedna z nich będzie niejako okazywała gromadę w całej zworzonej czystości jej kształtów; druga odstępującemi cechami oddali się nieco; obiedwie jednak będą należały do jednego zasadniczego zworza, a różnice które je rozłączają, są daleko mniej znacznemi od tych, które tak jedną jako i drugą z tych grup od małżów (*Acephala*) odłączają.

W układzie Lamarcka powinowactwo między ścieżnicami i chybotkami, a zwyczajnemi brzuchopełzami, nie jest

wykazane. Zdaje się, że Blainville w odwrotny błąd popadł, kiedy pływające brzuchopełzy uważa tylko za familią swojego rzędu *Neuchobranches*. Uszykowanie Kiuwiera najbliższém jest prawdziwości: jego Heteropoda tworzą szczególny rząd brzuchopełzów, nie są jednak ułożone według naturalnych pokrewieństw między sobą.

Lepiej jest przeto, według autora, gromadę brzuchopełzów rozdzielić na dwie podgromady:

1) Na właściwe brzuchopełzy (*Gastéropodes ordinaires*), do których będą należały wszystkie rzędy Kiuwiera, wyjąwszy *les Héteropodes*.

2) Na brzuchopełzy odłączne (*Gastéropodes anormaux*), czyli Heteropoda Kiuwiera.

Podgromada właściwych brzuchopełzów, lubo obejmuje mnóstwo gatunków, jest wszakże grupą zupełnie naturalną, w której znakomite różnice co do organizacyi, mianowicie z postępem rozwijania się zachodzące, wywołują dalsze podziały. Gąsienica jednych ma krążkową skorupę, której otwór zamyka się nakrywką; ma ona jeszcze u przedniej części głowy, wielki, skórkowaty, mniej lub więcej na dwie klapki wycięty żagielek, otoczony rzęsowato nitkami, które jako organa poruszenia służą; nie ma wreszcie nic, co by się z pęcherzykiem pępkowym porównać dało. Gąsienica innych jest naga, u jej głowy nie ma pływającego żagielka z rzęsami, ale zato w przedniej części okolicy grzbietowej znajduje się rodzaj pępkowego pęcherzyka.

Brzuchopełzy tak różniące się w młodocianym swojego życia zakresie, okazują i w wieku dalszym ważne anatomiczne i fizyologiczne różnice: jedne oddychają płucami, drugie skrzelami. Pierwsze już dawno odłączono od drugich: tworzą one u Kiuwiera rząd płucowych (*Pulmonés*), ale żaden autor nie okazał wewnętrznego powinowactwa między drugimi, żaden nie uznał w nich grupy zupełnie osobnej, a przecież są one w młodości tak do siebie podobne, że z trudnością tylko rozeznąć można gąsienice węłp (*Aeolidia*) albo ożad, od gąsienic trąbików (*Buccinum*) albo rozkrępów (*Vermetus*).

Właściwe brzuchopełzy ze skrzelami, dopiero w stanie dojrzałym istotnie różnią się pomiędzy sobą. Urządzenie organu, który się u nich później niżeli u wyższych zwierząt objawia, stanowi pomiędzy nimi dwie naturalne grupy, które autor uważa za rzędy. W jednym z tych rzędów, który *Ophistobranchia* nazywa, krew dochodzi kierunkiem mniej lub więcej ukośnym, od tyłu ku przodowi do serca; przedkomórek leży zazwyczaj z tyłu komórki serca; oddychanie odbywa się za pomocą skrzeli drzewkowatych lub wiązkowatych: nie leżących nigdy w osobnej jamie, lecz przytwierdzonych mniej lub więcej wolno do tylnej części ciała, do grzbietu lub do boków; okolica szyi zawsze jest naga; są dwupłciowemi, a skorupa nader rozwinięta u gąsienicy, zostaje u dojrzałego zwierzęcia tylko w śladach lub całkowicie znika.

Grupa ta obejmuje trzy Kiuwiera rzędy: *Nudibranchia*, *Inferobranchia* i *Tectibranchia*. Lamarck wcielił ją do pierwszego oddziału swoich brzuchopełzów, gdzie jednak zchodzą się z czaszolkami i łąkotkami, które się we wcale innym do nich stosunku mają. W układzie Blainvila zupełnie są porozprasane. *Ophistobranchia* jednak tworzą grupę tak naturalną, cechy, które ich gatunki łączą a odłączają od gatunków grup innych, są tak istotne i ważne, że według zdania autora, mogą wybornie tworzyć osobny oddział.

W drugim oddziale skrzelami opatrzonych brzuchopełzów, część odwłokowa ciała nie zostaje jak w rządzie *Ophistobranchia*, tylko w śladach, lecz rozwija się w stosunku do reszty ciała; zawsze ją okrywa skorupa, tak wielka, że może i dalsze części ciała objąć i ochronić. Płaszcz jest zawsze naprzód zwrócony: tworzy on w szyjowej okolicy zwierzęcia mniej lub więcej obszerną, sklepioną komorę, w której leżą naturalne otwory a po większej części i skrzela. Ostatnie złożone są z prostych, równoległych blaszek, usadzonych grzebieniasto wzdłuż pnia naczyńowego; leżą one zwykle przed sercem; ale nawet gdy się aż do tylnej części ciała rozciągają, naczynia skrzelo-sercowe jednak biegną zawsze od przodu ku tyłowi, tak, iż kierunek krwi obiegu jest całkiem odwrotny kierunkowi w poprzedzającym rządzie; płcie nawet nie są jak tam połączone, lecz rozłączone.

W klasyfikacyi Kiuwiera, należące do tego oddziału brzuchopełzy, rozrzucone są po kilku rządach: *Pectinibranchia*

chia, *Tubalibranchia*, *Scutibranchia* i *Cyclobranchia*. Lamarck jedną ich część mieści pomiędzy brzuchopełzami, drugą w rzędzie *Trachelipoda*, gdzie się z płucowemi mieszają. Blainville tworzy z nich pierwszą i trzecią podgromadę swoich *Paracephalophora*, wzięwszy w środek pomiędzy tę a tamtą, wszystkie inne brzuchopełzy. Autor uznaje stosowniejszém złożyć z nich rząd osobny, który *Prosobranchia* nazywa.

Rzeczywiste stanowisko łękotek (*Oscabrions*), trudno w dzisiejszym stanie umiejętności oznaczyć; gdy Cuvier i Lamarck stawiają je jak brzuchopełzy obok czaszłek (*Patella*), podług Blainville nie są one zwierzętami miękkowymi, ale raczej tworzą oddział pierścienic. Blainville okazał, że wapienne sztuczki brzeg ich okrywające, swojemi cechami przypominają członki pierścienic, jakich żadne miękkie zwierzę nie ma; uważa autor że i przyrząd rodny u nich nie taki jest jak u wszystkich innych brzuchopełzów, ale raczej jak u pierścienic. U brzuchopełzów organa rodne są, równie jak i ich otwory na zewnątrz, zawsze nieparzyste i niesymetryczne, a u łękotek powtarzają się one symetrycznie z obu stron linii pośrodkowej; także i otwory płciowe są u nich, jak u czerwiów, parzyste. Oddalają się jeszcze od brzuchopełzów przyrządem krążenia, który je raczej do stawowatych zwierząt zbliża. Serce odpowiada naczyniu grzbietowemu; przedstawia ono budowę wcale inną niż w sercu wszystkich brzuchopełzów właściwych. W urządzeniu nakoniec całego ciała jest jakaś dążność do rozwijania się po dwóch stronach linii pośrodkowej, gdy ciała brzuchopełzów linii skrzyśonej trzymać się zdaje.

Powyższe wypadki skłaniają autora więcej ku zdaniu Blainville niż Kiuwiera. Tylko historia rozwijania się, będzie mogła stanowczo to pytanie rozwiązać; ona jedna zdolną jest okazać, czy te zwierzęta są odcięciem zworza miękkich, czy też zworzem pierścienic podobnym tamtemu. Jakożkolwiekby, nie zdaje się autorowi rzeczą podobną łączyć je nadal z właściwymi brzuchopełzami; dopóki jednoczenie ich ze zwierzętami miękkowymi nie będzie usprawiedliwione w sposób niewątpliwy, mniema on stosowniejszém utrzymywać je w zawieszeniu, jako grupę przybochną, która nie ma nic wspólnego z grupą zworzową. Postępowanie takie, sądzi autor, dałoby się rozlicznie w wielu przypadkach wątpliwych stosować; królestwo zwierząt zdaje się mu w całej rozciągłości swojej podobnym być nie wojsku dobrze urządzonemu, w którym każda brygada, ka-

ždy pułk i każda kompania ma swoje stanowisko oznaczone, i każdy żołnierz gromadzi się pod swoją chorągiew; ale raczej podobniejsze firmamentowi na którym mnóstwo gwiazd tu i owdzie, w pozakreślanych przestrzeniach tworzy liczne, większe i mniejsze grupy, pomiędzy którymi inne, do żadnego z wielkich układów nie należące gwiazdy, samotnie błyszczą. Gromady i rzędy zwierzęcego królestwa odpowiadają konstellacyom; na przestrzeni dzielącej je, leżą nieraz gatunki, które tak bardzo od tych wszystkich grup odstępują, jak same grupy mogą się między sobą różnić, które wszakże, ponieważ liczba ich gatunków jest tylko mała, nie zasługują na zajmowanie w układach naszych miejsca równie wysokiego, jak grupy bogate w gatunki. Prawdziwie naturalny układ musi uważać na to rozdzielenie istot, i takie tylko do swoich gromad, rzędów, rodzajów i rodzin przyjmować gatunki, które mają rzeczywiście odpowiedni stopień powinowactwa między sobą; a małe zbiory gatunków które organizacją odstępują od innych, wyłączać nawet z systematu, tworząc z nich wszakże tyleż oddziałów takiej samej co grupa główna wartości. Wierny temu złaniu autor, uważa grupę łekotek, jeśli one w istocie do zworza miękkich zwierząt należą, jako boczną familią gromady brzuchopelzów, poczem te ostatnie w następujący sposób rozdziela.

Gromada BRZUCHOPELZÓW (*Gasteropoda*).

Zwierzęta miękkie opatrzone głową; z mięsistą, służącą za narzędzie do przenoszenia się z miejsca, nogą, którą tworzy tylna kłapa głowy; z organami płci nieparzystymi i niesymetrycznymi. Oś organizacyi rozłożony, tak u gąsienic jako i w dalszym życiu, po linii spiralnej.

Zworzowa grupa czyli pierwsza podgromada:

WŁAŚCIWE BRZUCHOPELZY.

Z mięsistą, przyplaszczoną i bardzo wielką nogą, z rozwiniętym odwłokiem i t. d.

Pierwszy oddział: *Brzuchopelzy płacowe*. Gąsienica z głową nagą i t. d. naczynia małego krążenia rozpołożone siatkowato; męzka i żeńska płeć w jednymże indywiduum połączona.

Drugi oddział: *Brzuchopelzy skrzelowe*. Gąsienica z głową opatrzoną przyrzedem do pływania, i t. d.; naczynia małego krążenia rozpołożone wiązkowato.

Rząd *Ophistobranchia*. Okolica szyi nieokryta i t. d.

Rząd *Prosobranchia*. Okolica szyi otoczona sklepiouém okryciem i t. d.

Odlączna grupa, czyli druga podgromada:

PŁYWAJĄCE BRZUCHOPEŁZY (*Heteropoda*).

Z mięsistą, pionową nogą; z odwłokiém w śladzie i t. d.

Boczna grupa brzuchopelzów (zbliżająca się do *Prosobranchia*),

Familia łakotkowatych (*Chitonia*). Zwierzęta miękkliwe (?) głową opatrzone, którym za organ do poruszania się z miejsca służy mięsista noga; ciało nieco stawowate; organa płciowe parzyste i symetryczne; naczynie grzbietowe pośrodkowe i t. d. (*F. N. no 169 z Annales des sc. natur. Février, 1848*).

* Taylor przechadzając się w nocy blisko twierdzy Bathcaloa na wyspie Ceylon, usłyszał melodyjne tony, z wody wychodzące. Mówiono mu że tony te wydawała niezmierną mnogość muszli, które krajowcy muszlami śpiewającemi zowią. Taylor nie chce rozstrzygać czy tak jest w samej rzeczy, ale o tém zapewnia że tony te nieraz, i bardzo wyraźnie słyszał. Są one podobne tonom arfy Eola, a w ogólności instrumentu stronowego, tak zaś głośne że ich nie przytłumia uderzenie bałwanów. Według poruczn. Portlock, *Helix apertus* rozdrażniony, ma wydawać głos z siebie. Ślimak ten jest bardzo pospolity na Korfu, z wiosny, na liściach cebuli morskiej. Gdy się go słonką zlekka zadrażni, wydaje od siebie ton mruczący albo żalсны. Tomy te za każdym dotknięciem powtarza. Rossmoesler szeroko opisał tę własność gat. *Helix apertus*, a Portlock tylko to dodaje, że i u gat. *Helix aspera* podobny ton, lubo nieco słabszy uważał. (*Id. no 172 z Athenaeum, no 1089 p. 915*).

* William Clark w liście do Edw. Forbes, umieszczonym w *Annals and mag. of nat. hist.* (no 16 z r. 1849) opisuje nowe badania swoje w przedmiocie mało jeszcze znanego miękkliwego zwierzęcia *Kellia rubra*. Już dawniej uważał je autor w Exmouth; teraz na prośbę przysłał mu przyjaciel partją szuwaru *Fucus pygmaeus*, wśród którego, w wodzie morskiej nadesłanego, znalazło się 12 żywych indywidualuów z gat. *Kellia rubra*.

Zaraz przy piérwszém rozważaniu postrzegł on dolny otwór w rurce, którego dawniej nie widział, a o którym już Alder mówi. Zwierzęta wielokrotnie wsuwały w ten kanał swoją nogę, i poruszając się na bok, okazywały, że to jest odstająca fałda skóry: skoro zaś noga wyciągnięta była, kształt rurkowaty ginął. Pomieniony kanał jest prostém przedłuże-

niem płaszcza, który zazwyczaj wzdłuż połowy odwłoka jest otwarty, a otworem jego wychodzi noga i bisior.

Alder sądzi, że rurkowata fałda należy do skrzelowego przyrządu; ale tak nie jest. Fałda służy tylko do przyrządu poruszenia; poruszenia tego kanału i nogi zależą od siebie: jak tylko noga się wyciągnie ażeby zakroczyć naprzód, natychmiast kanał się rozciąga, a gdy się jednocześnie z nogą ściga, zwierzę posuwa się naprzód.

Ten na tylnym końcu ciała położony otwór, który dotąd za odchodek pożytywano, jest podług autora, otworem skrzeli; tworzy on podłużną, jajowatą, znacznej wielkości szparę, której brzegi są nieco zgrubiałe; od szpary wielkiej (*rina magna*), przez którą bisior i noga przechodzi, oddziela ją stała, wązka ściana poprzeczna: płaszcz od końca tego otworu aż do guzików (*umbones*) jest zamknięty. Wewnątrz pomienionego otworu, wyraźnie autor widział wierzchołki skrzeli, a prócz tego otwór mierzytelnie się rozszerzał i ścieśniał, ażeby nabierać i znowu wypuszczać wodę. Odchodek leży także na tylnej części ciała, a to pod otworem skrzelowym; jest on tylko mały i wypuszczony na niejaką rozległość w rozczepaną, zwieszoną rurkę; otwór jej jest więcej niż dziesięć razy mniejszy od skrzelowego. Autor nieraz widział wychodzenie wyrzutów, które z wewnętrznej rury odchodkowej wyparte, padały w szczelinę wspólną obudwu otworom, i natychmiast opuszczały ciało. Ta wspólna szczelina kształtu jajowatego równie na przepuszczanie wody do skrzeli, jak i na wydawanie odchodów służy; płaszcz zatem ma tylko dwa otwory: jeden przeznaczony dla nogi, drugi równie przyrządowi skrzelowemu jak i odchodkowi wspólny.

Osobliwszego ukształcenia zwierzę, pod pewnymi względami zbliża się ku małżom; ma jak one otwór skrzelowy i odchodkowy, leżące przy sobie na tylnym końcu ciała, na przodzie zaś rurkowaty, nogę w czasie chodzenia wspierający otwór. Autor domyśla się, że *Kellia suborbicularis* ma również kanał otwarty; jeśliby tak było, dwa gatunki różniłyby tylko sposób rozmnażania się; jeden bowiem płód żywy rodzi, drugi jaja niesie. (*F. N. no 198, 1849*).

A. W.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1847.

POZNAŃ.

174. **Księcia Don Żuana Manuela Rady Patroniuszowe** czyli **Historye i przykłady** opowiadane hrabi Lukanorowi; z hiszpańskiego wydane po polsku przez L. S. 2 tomy. 12ka. Poznań. 1847. Wskięgarni i drukarni Nowój. Tom I str. 156. II, 148.

1848.

W I L N O.

105. **Gospodyni Litewska**, czyli nauka utrzymywania porządku domu.. Wilno. 8ka. 1848. Druk Zawadzkiego. Str. 452.

106. **Pieśni nasze**. Tom I. **Batowy Szlak i Król-Królowa Jadwiga**... przez **A. herbu Trąby Rustejko**. Wilno. 1848. 8ka. Druk T. Glücksberga, Str. 124.

107. **Powieści i wiersze różne** przez **W. Dajkowskiego**. Wilno. 8ka. 1848. Druk **S. Blumowicza**. Str. 168.

108. **Prawdy, prawidła, życia, maxymy, zdania, przysłowia i myśli rozmaite**, przez **J. P. Legatowicza**. Wilno. 1848. 12ka. Druk **A. Marcinowskiego**. Str. 54.

109. **Zdania i wyrazy przenośne z niemieckich autorów wyjęte**. Wilno. 12ka. 1848. Druk **Marcinowskiego**. Str. 48.

110. **Życie Michała Brodowicza**... Wilno. 8ka. 1848. Druk **A. Dworca**. Str. 16.

R Y G A.

111. *Ueber alte Gräber und Alterthümer in Polnisch-Livland*. Riga. 8. 1848. *Gedruckt bei J. F. Steffenhagen*. Str. 332.

LESZNO I GNIEZNO.

112. **Przyjęcie dzieci do pierwszej spowiedzi i komunii świętej** (,) przez **X. J. Szuberta** w Kościanie. 8ka. Leszno i Gniezno. 1848. Nakładem i czcionkami **Ernesta Günthera**. Str. 42. Ztp. 1 gr. 10.

1849.

WARSZAWA.

46. **Album Literackie**. Pismo zbiorowe poświęcone dzieciom i literaturze krajowej, pod redakcją **Kazimierza Wł. Wójcickiego**. Tom. II. 8ka. Warszawa. 1849. Druk **Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości**. Kart 4 i str. 424. Rejestru karta 1. (Z mapką i drzeworytem). Ztp. 15.

47. **Jeografia i statystyka Europy. Opis jeograficzny i statystyczny Węgier, Siedmiogrodu, Kroacyi i Pogranicza Wojskowego.** 12ka. Warszawa. 1849. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 5, str. 220 i rejestru kart 6. Złp. 8.

48. **O powinnościach kobiet (.)** przez autorkę Karoliny. 3 tomy. 12ka. Warszawa. 1849. Druk Józefa Unger. Tom I, str. 196. II. 200. III, 228. W każdym rejestrze karta I. Złp. 15.

49. **Przygody czterech kobiet i jednej papugi (.)** przez Aleksandra Dumas. 5 tomów. 12ka. Warszawa. 1849. Druk Jana Jaworskiego. Tom I, str. 236. II, 231. III, 182. IV, 184. V, 180. W każdym napisów kart 2.

50. **Siedm grzechów głównych, przez Eużeniusza Sue.** Tom XI, XII. 4. **Rozwiązłość.** (Z osobnym nadpisem): **Magdalena (.)** przez Eugeniusza Sue. Przetłóżył O. S. 2 tomy. 12ka. Warszawa, 1849. Nakładem i drukiem S. Orgelbranda. Tom I, str. 154. II, 216. Złp. 6 gr. 20.

POZNAŃ.

51. **Historia szkół w Koronie i w Wielkiem Księstwie Litewskiem od najdawniejszych czasów aż do roku 1794.** Przez Józefa Łukaszewicza. Z godtem:

Ac mihi quidem antiquitatis monimenta revolventi nulla natio visa est neque humanitate polita, neque ejus expers, quae non singularem habuerit curam juventutis recte instituendae. *A. F. Modrzewski: De emendanda republica.*

Qualibus pubem sibi format ipsa
Moribus, tales habitura res est
Publica cives.

St. Konarski Ode II,

8ka. Tom I. Poznań. 1849. Nakładem J. K. Żupańskiego, drukiem W. Deckera i Spółki. Str. VIII i 470. Rejestru karta 1. Z pren umeratą na 3 tomy złp. 54.

*Doniesienia literackie.*

WARSZAWA.

Księgarz Orgelbrand wkrótce ukończy wydanie 3go i ostatniego tomu dzieła „Starożytna Polska” p. Michała Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego.

K. Liebelt wydał tom IIgi i III Literatury i Krytyki.

Autor „Pamiętek starego szlachcica”, „Listopada” i „Zamku Krakowskiego” (Henryk Rzewuski), napisał nowe dzieło pod tytułem: „Nie-Bajki”. Jestto zbiór kilkunastu oddzielnych powieści, już strasznych, już fantastycznych, wziętych z podań krajowych, które Tygodnik Petersburski ma w swoich feletonach ogłaszać.

Wyjątek z listu p. L. Z. z Krakowa.

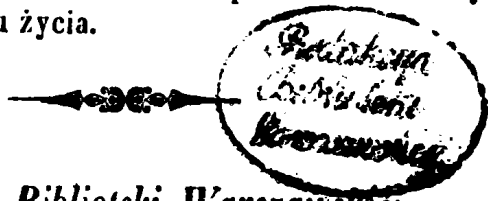
...Niedawno odkryłem przy Chrzanowie ciekawe miejsce, zapelnione nieprzeliczoną ilością skamieniałości. Była tam zapewne spokojna zatoka, w której żyły rozmaite jestestwa nader wygodnie i rodziły się w najlepsze. Teraz z pod piasków dobywa je kolej żelazna, a ja je spisawszy, dam wiadomość o nich geologom.

Krzeszowice dają wiele do czynienia; niedawno odkryłem tam cieplicę, albo raczej letnicę, bo ma temperaturę $+12^{\circ}$ C. Źródła nasze, dobywające się z poziomu, mają tylko $+9^{\circ}$ C. Ta mała różnica temperatury jest wszakże skutkiem, że woda przynajmniej z 300 stóp głębokości dobywa się. Inne są jeszcze dowody, że to istotnie cieplica. W dolinach Czerny, Dubia i Radwanowic, są osady wapienia słodkiej wody—tuffy czyli trawertyny, osadzone przez źródła kwaśnych wód; teraz nie ma tego śladu, tylko martwa skała przemawia do tych, co umieją czytać w wielkiej księdze przyrody, i odgadywać siły działające w pierwiastkowych czasach naszego planety.

U nas prawie nic nie drukują, wyjąwszy jeden Rocznik. Za to we Lwowie więcej się ruszają. Nasz Czas zmienił się na zwyczajną kronikę, dosyć nieporządnie opowiadającą co się wydarzyło w Europie. Hilary Meciszewski stara się o pozwolenie wydawania dziennika. Zresztą cisza niezmierna. Od przedmiotów umysłowych uciekamy jakby od powietrza. Ja wyruszam do Szlązka austr.; zamierzam poznać źródła Wisły, mierzyć ich ciepło, a potem obrócić się do okolic Inwaldu, Zatora i Spytkowic.

Mamy dosyć dobry teatr. Chelchowski, który stworzył go przed kilku laty, znowu objął dyrekcją i znowu zrobił dobór z kilku poczynających aktorów. Jemuto winniśmy Rychtera, Królikowskiego i t. d.

† Dnia 26 sierpnia 1849 r. w Warszawie: Józef Dyonizy Minasowicz, referendarz stanu, członek Departamentów Rządzącego Senatu i t. d., w 57 roku życia.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Autór „Pamiętek starego szlachcica”, „Listopada” i „Zamku Krakowskiego” (Henryk Rzewuski), napisał nowe dzieło pod tytułem: „Nie-Bajki”. Jestto zbiór kilkunastu oddzielnych powieści, już strasznych, już fantastycznych, wziętych z podań krajowych, które Tygodnik Petersburski ma w swoich feletonach ogłaszać.

Wyjątek z listu p. L. Z. z Krakowa.

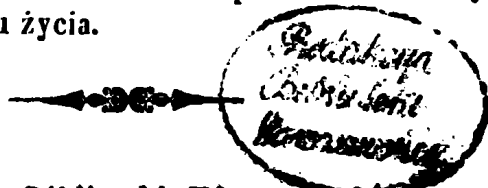
...Niedawno odkryłem przy Chrzanowie ciekawe miejsce, zapelnione nieprzeliczoną ilością skamieniałości. Była tam zapewne spokojna zatoka, w której żyły rozmaite jestestwa nader wygodnie i rodziły się w najlepsze. Teraz z pod piasków dobywa je kolej żelazna, a ja je spisawszy, dam wiadomość o nich geologom.

Krzeszowice dają wiele do czynienia; niedawno odkryłem tam cieplicę, albo raczej letnicę, bo ma temperaturę $+12^{\circ}$ C. Źródła nasze, dobywające się z poziomu, mają tylko $+9^{\circ}$ C. Ta mała różnica temperatury jest wszakże skutkiem, że woda przynajmniej z 300 stóp głębokości dobywa się. Inne są jeszcze dowody, że to istotnie cieplica. W dolinach Czerny, Dubia i Radwanowic, są osady wapienia słodkiej wody—tuffy czyli trawertyny, osadzone przez źródła kwaśnych wód; teraz nie ma tego śladu, tylko martwa skała przemawia do tych, co umieją czytać w wielkiej księdze przyrody, i odgadywać siły działające w pierwiastkowych czasach naszego planety.

U nas prawie nic nie drukują, wyjąwszy jeden Rocznik. Za to we Lwowie więcej się ruszają. Nasz Czas zmienił się na zwyczajną kronikę, dosyć nieporządnie opowiadającą co się wydarzyło w Europie. Hilary Meciszewski stara się o pozwolenie wydawania dziennika. Zresztą cisza niezmierna. Od przedmiotów umysłowych uciekamy jakby od powietrza. Ja wyruszam do Szląska austr.; zamierzam poznać źródła Wisły, mierzyć ich ciepło, a potem obrócę się do okolic Inwaldu, Zatora i Spytkowic.

Mamy dosyć dobry teatr. Chetchowski, który stworzył go przed kilku laty, znowu objął dyrekcją i znowu zrobił dobór z kilku poczynających aktorów. Jemuto winniśmy Rychtera, Królikowskiego i t. d.

† Dnia 26 sierpnia 1849 r. w Warszawie: Józef Dyonizy Minasowicz, referendarz stanu, członek Departamentów Rządzącego Senatu i t. d., w 57 roku życia.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Lipiec 1849.

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.573	27	8.288
Najwyżej dochodził — d. 7 o g. 10 r.	762.36	25	1.952
Najniżej — — d. 18 o g. 9 w.	739.89	27	3.991
Średnia zmiana dzienna barometru	3.42		1.51
Największa zmiana dzienna barometru d. 5—6 o g. 4 w.	14.48		6.41
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	0.753		0.339
Średnia temperatura Lipca wynosi: i ta jest niższą o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	+ 748.820	27	7.949
	+ 16°.8 C.	+ 13°.44 R.	
	1.96 „	1.56 „	
Największe ciepło dochodziło d. 25 i 30 po połud.	+ 18.759 „	+ 15.00 „	
Najniższe d. 12 o g. 6 r.	+ 27.6 „	+ 22.08 „	
(Termometrograf wskazał: Maximum: + 23°.8 R. d. 24 i 25 po poł. Minimum: + 5°.2 R. d. 2 z rana.	+ 10.2 „	+ 8.16 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.50 „	2.00 „	
Największa zmiana dzien. d. 10—11 o g. 10 r.	8.9 „	7.12 „	

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 71,6 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 10,27 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 3 setne większa niż w stanie normalnym.

Wody z deszczu spadło wysoko na 75.6 millim. czyli 33.5 linii paryz.. to jest prawie tyleż co zwykle.

Dni pogodnych było 7; napółpogodnych 16; pochmurnych 8.
— deszczu 13 (d. 3, 4, 5, 13, 14, 15, 17, 18, 19, 20, 27, 30, 31).
— gradu 2 (d. 14, 19).
— grzmotów i błyskawic 4 (d. 19, 20, 27, 31).

Wiatr panujący Zachodni; częste były także Południowe i Południowo-Zachodnie.

Wichrów 3, t. j. Pn=2; PdZ=1.

Lipiec w r. b. był chłodny, wilgotny, o półtora stopnia zimniejszy jak zwykle. Pierwsze jedenaście dni były ciepłe, następne dziesięć i środek miesiąca chłodne; koniec miesiąca ciepły. Wiatry Północne i Północno-zachodnie, osobliwie po deszczach, znacznie ochładzały powietrze; stan nieba pogodniejszym był jednak jak zwykle. Najcieplejsze dni były d. 4, 8, 9, 10, 24, 25, 30. Najchłodniejsze d. 6, 12, 13, 14, 15, 16, 17. Najwilgotniejsze dni były d. 5, 15, 16, 17, 18, 19, 20. Najsuchsze d. 1, 7, 9, 10. Deszcze znaczne padały przez noc całą z d. 14 na 15, z dnia 17 na 18, z d. 18 na 19 i przez cały dzień 15.

**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1849.

Tom czwarty.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXXVI.

WARSZAWA.

**W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.**

1849.

P

117152



Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



PODHALIE I PÓLNOČNA POCHYŁOŚĆ TATRÓW

CZYLI

TATRY POLSKIE.

PRZEZ

Ludwika Lejznera.

(Dalszy ciąg).

Dolina Kościeliska. Otwór doliny Kościeliskiej nie zapowiada tyle niezrównanych piękności, ile istotnie w sobie mieści; podobny on jest do wyłomu skalistej ściany, którym pędzą przy zachodnim boku nurty Czarnego Dunajca.

Skąły téj bramy bardzo dobrze znają Podhalanie i opowiadają o nich, że są zypiskiem skamieniałego *jarcu*. I w rzeczy samej, wiele mają podobieństwa do kupy jęczmienia (*jarzec* u Podhalan). Bliżej jednakże rozpoznając te szczególne ziarna, przekonywamy się, że prócz ogólnego zarysu, nie mają do jęczmienia najmniejszego podobieństwa. Nie są to ziarna roślinne, ale znajome już *nummality*, należące do innego kulcowatego gatunku. Przy Zakopanem jest on soczewkowaty, płaski, po-

dobny do talara; ma wewnątrz owe zwinięte spiralnie linie, a pomiędzy nimi nieprzeliczone przegrody; powierzchnią zewnętrzną okrywają nieprzeliczone kropki. Gatunek płaski nazywa się *Nummulites laevigatus*; kulkowaty *N. scabra*. Te miryady skorup jakby na siebie zsypane, dowodzą, jak były licznymi owe zwierzęta żyjące w wodach, które osadziły warstwy dołomitu bramy Kościeliskiej. Czasem zawadzi się pomiędzy nimi dwuskorupna, jakoto: pecten lub ostryga, niewątpliwi mieszkańcy morza, i z tych skorup wnioskujemy, że wody morskie dały początek tym skałom, wznoszącym się 3,000 do 4,000 stóp nad teraźniejszy poziom morza.

Dolina Kościeliska jest podług mego zdania najpiękniejszą ze wszystkich Tatrowych; a gdy ją porównywanam z najświetniejszymi alpejskimi w Szwajcaryi i Tyrolu, nie mogę równiej znaleźć co do wspaniałości widoków, szczególnego kroju skał które ją otaczają, i tego niezrównanego wdzięku, który piórem kręślić niepodobna. Jeżeli niepospolitemi pięknosciami odznaczają się doliny *Val di Fassa* w Tyrolu południowym, albo dolina *Agno* pomiędzy Recoaro i Valdagno w Alpach Wicentyńskich, albo sławna dolina *Chamounix* w Sabaudyi, tyle przez podróżnych zwiedzana: to dolina Tatrowa posiada tyle wdzięku, że się z wszystkimi równać może. Kto raz widział Kościeliską dolinę dobrze oświetloną promieniami słońca, widział co jest najpiękniejszego na świecie; nie można sobie wyobrazić, wymarzyć coś piękniejszego i doskonalszego od niej. Jak piosnka narodowa przemawiająca do duszy zawsze jest obecną, tak i dumając o pięknych krajobrazach, mimowolnie jakby jakie mary przesuwają się przed duszą te postaci skał,

te dumne szczyty, te łąki wiosennej zieloności, ubarwione najcudniejszego koloru kwieciem doliny Kościeliskiej.

Jak wszystkie doliny na północnej pochyłości Tatrów, tak i ta, której obraz zamierzam skręślić, jest potężną szczeliną, rozciągającą się z południa na północ, i równa się prawie co do długości z doliną Białki lub Wielkiego Koblbachu na Spizu. W różnych częściach jest zupełnie odmienną. Zrazu miła, nie zapowiada jednak tego, co się okaże, gdy postąpimy kilkaset kroków aż do małej grupy domów, pomiędzy którymi odznacza się skromny a chędogi domek leśniczego. Od kilkunastu lat jeden z jego mieszkańców zasadził przed drzwiami kilka lip; ale te drzewa nieco wyrosłszy, widocznie chorują, bo tutaj za zbyt ostry jest klimat dla tej rośliny, wymagającej nieco więcej ciepła. Dom ten leży 2,928 stóp paryzkich nad powierzchnią morza, i w tej szerokości i wysokości, świerk, jodła i buk znajdują właśnie przychylną temperaturę, i rosną w całej sile i okazałości. Choć ta dolina tak jest powabną, trudno by było nieco dłużej tu zostawać, gdyby tradycyjna gościnność leśniczych nie ustępowała podróżnym 3 do 4 pokoi, i nie przyjmowała ich do własnego stołu. W podobnej okolicy w Szwajcaryi, stanęłyby niezmiernych wymiarów pałace, zaopatrzone we wszelkie wygody życia, na jakie się tylko zdobyć mogą wielkie miasta, i przepełniałyby się w miesiącach letnich najwytworniejszym towarzystwem podróżnych. W Tatrach, zaledwie kilka osób spotykałem u leśniczego z niedalekich stron, używających żetycy, a rzadko zabłąkał się jaki podróżny dla poznania ich widoków.

Przed 20 laty dawny właściciel tej doliny p. Homulacz, zamierzał za skromnym domkiem leśniczego wy-

stawić wspaniałą pałac; obszerne mury wzniesione pod pierwsze piętro, świadczą, że wielkość jego miała być niemałą. Jednakże śmierć przerwała ten godny pochwały zamiar; teraz 2 czy 3 izby urządzone w tych murach na mieszkanie, a reszta rozpada się w niezbyt malowną ruinę.

Niedaleko stoi kilka domków; pomiędzy niemi odznacza się jeden nie tak dla swego porządnego wejrzenia, jako raczej dla wygórowanej nędzy i tego ubóstwa, które właśnie wywołuje malowne kroje. Budynek ten posłużył niejednemu artyście do wydania nader ponętnego obrazu. Jestto nadzwyczajnie obszarpane domostwo, zawierające młot, w którym przerabiają surowe żelazo wytopione w Zakopanem na kute, i tym sposobem zużywają się drzewa, rosnące w rozległej dolinie Kościeliskiej.

Kiedy wszystkie pokoje do rozdania zdatne zajmą u leśniczego podróźni, wtedy mimowolnie trzeba szukać schronienia w naprzeciw młota stojącej karczmy żydowskiej. Zewnątrz jest ona dosyć pozorną i obszerną, ale w środku niech nikt nie pyta o czystość. Jednakże jestto miejsce, do którego wzdychają juhasy; długo żyjąc w odosobnieniu po holach, gdy się dostaną do niej, pomiędzy dawno niewidzianych znajomych i przyjaciół, przy palence i gęśli bawią się w najlepsze. Takto człowiek mało potrzebuje przyrządów do zabawy, jeśli ma do niej usposobienie wewnętrzne. W niskiej, brudnej izbie, przy ciemnej łojowej świeczce, znajdują górale tyle przyjemności, ile jej wydają najświetniejsze salony.

Do osobliwości Kościeliskiej doliny należy nadzwyczajnie mocne źródło, leżące niedaleko karczmy, przy piecu wapiennym. Na pierwszy rzut oka wydaje się,

jakoby to była mała sadzawka, zajmująca nieco więcej przestrzeni, jak sążen kwadratowy; ale spokojność téj jak ła przezroczystej wody jest tylko pozorną. Trudno znaleźć źródła bardziej poruszanego; z niezmierną wartkością płyną z niego dwa strumienie wprost przeciwne strony. Aby mieć wyobrażenie o ilości znakomitój jego wody, wspomnę tylko, że jeden ze strumieni obraca koła młota żelaznego, a prawie zawsze zbyteczną jeszcze wodę trzeba upuszczać. Przestrzeń pomiędzy temi dwiema żyłami, zapełniają pomniejsze źródła, wpadające do głównego potoku, a pomiędzy niemi rośnie świeżej zieloności rierzucha tak bujna, że na piérwszy rzut oka, wydaje się być nieznaną rośliną. To ze wszechmiar ciekawe źródło, również ważném jest pod względem fizycznym. Chociaż ma bardzo stateczną temperaturę w miesiącach letnich, co w różnych latach uważałem, ta jednakże niższą jest, aniżeli na podobnej wysokości mają inne źródła, jak to wynika z przewidzianej skali. Obserwowane liczby najlepiej niech mówią o tém:

23 lipca 1839 r.....	+4 ^o 23 C.
25 — —	4 20
26 — —	4 20
4 sierpnia 1840 r. rano..	4 30
4 — — — wieczór	4 32
5 — — —	4 30
6 — — —	4 30
4 — 1841 r. —	4 20
5 — — —	4 20
9 — — —	4 36
11 — — —	4 35
25 czerwca 1843 r.....	4 10
13 lipca —	4 30
15 — —	4 30

10 września 1844 r.....	4 ^o 30 C.
11 — —	4 30
13 — —	4 28
24 październ. —	4 20

Średnie ciepło wynosi cztery stopnie i ćwierć, czyli $+4,27$ C. Na téj wysokości mają źródła $+5\frac{1}{2}^{\circ}$ C.; taką temperaturę pokazuje źródło przy piecu wapiennym Zakopanego ($+5,4$ C.) i wiele innych pomniejszych. Ta przeszło o jeden stopień niższa temperatura źródła Kościeliskiego ztąd pochodzi, że wody zasilające go, spadając z wyższych i chłodniejszych gór, nie trzymają temperatury poziomu doliny Kościeliskiej. Bezpośrednio bowiem nad niém wznosi się ściana wapienna 2000 stóp wysoka, stanowiąca jeden z boków wielkiego Uplazu, którego szczyty wyższe są jeszcze o 1000 stóp. Wody z takiej wysokości sącząc się przez nieprzeliczone szczeliny, tak pospolite w wapieniach, wypływając w dolinie, głównie zniżają temperaturę téj cudnej krynicy. Nie uważałem jednakże, aby wkrótce po deszczach a nawet po spadłych śniegach na tych szczytach, zniżenie ciepła wody następowało bezpośrednio; tylko podczas posuch widocznie ubywało jój, a strumienie z źródła płynące i mniej nagłe, i nie tak obfite były.

Jeden z najcelniejszych krajobrazów téj doliny, przedstawia się z domu leśniczego; niemasz wątpliwości, że dlatego założyciel jego tutaj się zabudował. Kilkaset kroków na południe, wznoszą się bezpośrednio nad doliną niezmierne ściany fantastycznie podarte, kończące się w licznych iglicach. Przez rozstąpienie się téj potężnej ściany, powstała dolina Kościeliska. W samym końcu w eterycznej dali, wznosi dumne czoło wspaniała Pyszna, mająca podobieństwo do dachu katedry gotyckiej.

Z jednej i drugiej strony Pyszny, sterczą również wysokie wirchy. Niekiedy wśród najcieplejszych miesięcy letnich, okrywają się te szczyty śniegiem, i wtedy przeciwieństwo powstające pomiędzy ich białością a zieloną murawą, ubarwioną najpyszniejszymi kwiatami, niemało przyczynia się do podwyższenia uroku tego obrazu. W tych przeciwieństwach właśnie leży ukryty wdzięk. Szczytność tego widoku jest skutkiem szczęśliwie zbiegających się w jedną całość wielu okoliczności: powstaje przez malowne ugrupowanie skał, najbujniejszą roślinność, i z tego czystego błękitu niebios, właściwego krajom włoskim. Tatry bowiem stoją na granicy pomiędzy szarawym błękitem nieba północnego, a lazurowym, południowym krajom właściwego. Podobnie jak w wielu innych dolinach, panuje tutaj uroczyta cisza, przerywana tylko szmerem sączącego się Dunajca. Krajobraz ten kąpiący się wśród lekkiego powietrza, dziwnie wpływa na usposobienie umysłowe; budzi niewymownie miły spokój duszy i tę harmonią, nieznaną ludziom rozzerwanym drobnostkami życia.

Ale wstąpmy do części zacieśnionej doliny. Kilkanaście kroków za naszą cudną krynicą picca wapiennego, o której nieco obszerniej mówiłem, wchodzimy do ciasnej szczeliny, stanowiącej zupełnie odmienną część doliny. Odrazu zmieniają się widoki; nie mają one ani téj rozległości, ani tego majestatu, co nas tak przyciągał z domu leśniczego. Tu wszystko jest blizkie: szara skała uwieńczona zielonym krzakiem, często kwiat cudnej barwy, lub kupka trawki przyczepiona do skały, jak gdyby wyrastała z kamienia; wreszcie szmaragdowe wody, rozbijające się w piany jak śnieg białe. Postępując dalej,

co kilka kroków zmieniają się zarysy skał; jedna jest podobna do kury siedzącej na jajach. Opowiadali o niej juhasy, że tu zwykł był obiadować Janosik, tu nakazywał panom posyłać sobie najlepsze jedzenie, najkosztowniejsze wina. Po pół godziny drogi wśród nieustannej zmiany widoków, roztwiera się nagle obszerna kolista dolina, prawdziwy cyrk; spód jego okrywa najcudniej tkany zielony kobierzec, a jakby dla ożywienia tego obrazu, widzimy rzuconych kilka szałasów, osłonięnych bujnemi ściwkami. Podobnie jak młot Kościeliski, domki te nader są malowne; i dziwna rzecz, że to pochodzi od téjże saméj przyczyny, co młotowi nadało tyle właściwości: od wygórowanego ubóstwa. Spoglądając na te mieszkania, zdaje się, że niepodobna aby człowiek w nich mógł zostawać, i że ich mieszkańcami nie są zastępujący drogę gościowi smukłe juhasy, którzy go witają przyjaznym wejrzeniem i bukietem z kwiatów, zebranych na szczytach hól. Szlachetna postawa, wyraz twarzy pełen inteligencyi każą powątpiewać, że to nie prości górale zrodzeni pod temi niebotycznemi holami; ale jestto czysty błąd. Sąto dzieci tych gór, tak dorodne jak ich kwiaty, odznaczające się żywością barwy i niepospolitemi postaciami; mianowicie pomiędzy niemi uderzają owe kutnerowate, siwe kwiaty, zwane od botaników *Gnaphalium leontopodium* (1); czasem przynoszą skorupy ślimaków, żyjących w tych holach. Ten sposób stawania się przyjemnym dla gości zwiedzających Tatry, przypominał mi żywo dolinę Chamounix w Sabaudyi, gdzie dzieci ofiarować zwykły przechodzącym przezrocyste górne kryształy, czyli kwarce, w nadziei otrzymania kilku groszy.

(1) Herbich, Addetamentum ad floram Galliciae. Leopoli 1831, str. 42.

Kolista część doliny Kościeliskiej, leży prawie w samym środku szczeliny; otaczają ją potężne, poszarpane, a malowne góry: ze wschodu olbrzymi kolczasty wirch, Saturnus. Zkąd poszła ta nazwa, nie mogłem się wywieźć; zapewne nadał ją jaki zwolennik mitologii greckiej, i to w niedawnym czasie. Teraz znają ją wszyscy górale. Góra Saturnus jest zakończeniem potężnego grzbietu, łączącego się z Wielkim Uplazem. Widać to wyraźnie, wszedłszy do ciasnej, kamienistej dolinki, nazywaną Kraków, znajdującej się pomiędzy górą Saturnus, a holą Pisaną, która stanowi dalszą część boku doliny Kościeliskiej. Darmo pytałem się, dlaczego dolina tak się nazywa. Po nagich kamieniach trzeba było się w górę wspinać; wygładzone na wielu miejscach przez spadające wody potoku, powstającego w czasie deszczów, boki grzbietu Saturnusa przedstawiają obraz najwyższego zniszczenia. Pochodzi to od rodzaju skał, które go składają: jestto łupek marglowy, rozpadający się w drobne płatki, które ciągle na dół spadając, nie pozwalają zakorzenić się na tym obszernym boku nawet najmniejszej trawce. To kamieniste ruchome pole, przedstawia doskonały obraz zniszczenia.

Naprzeciw góry Saturnus jest obszerna, wesołą zielonością okryta dolina. W różnych miejscach na jej bokach są kopalnie wyborniej rudy żelaznej, czerwonej jakoby krew; jestto jednostajny niedokwas drugi żelaza, od niemieckich mineralogów nazywany *Blutstein*, tworzący potężne soczewki w szarym wapieniu.

Z boku południowego, naprzeciw szalasu, tryszczą w tej kolistej dolinie nieprzeliczone źródła, płynące żyłami grubemi jak ramię; miejscami tworzą prawdziwe płaszczyzny spływającej wody.

Dalsza część doliny Kościeliskiej jeszcze jest węższą, i stanowi istotną szczelinę; lecz jej ściany nie są tak wysokie, jak na początku przy domie leśniczego; dzielą się w ustępy, w prawdziwe progi. Postąpiwszy około 200 kroków, przybywamy do potężnego źródła, wypływającego jako znaczniejszy strumień ze skały wapiennej. Źródło to pospolicie uważają za początek Czarnego Dunajca, Podhalanie zaś nazywają je źródłem w Pisaniej, albowiem rzadko kto opuszcza je bez wyrycia swego imienia lub cyfry na skale, mającej szczególnie wielką powierzchnią, dającą się rysować. Ta okoliczność dała początek tej niezmierniej ilości napisów. Jak daleko sięgnąć można, okrywają tę skałę imiona gości zwiedzających Tatry; ale jeżeli miejsca braknie, następcy ściągają napisy swych poprzedników, aby doznać tego losu za parę lat. Ten strumień nie jest początkiem Dunajca, ani nawet zwyczajnym źródłem, ale przepływem podziemnym części Dunajca; postąpiwszy bowiem sto kroków w górę doliny, spostrzegamy jak jego część ginie w podziurawionych skałach, a rzeka zmniejsza się widocznie. Że tak jest w istocie, przekonałem się innym sposobem, to jest przez mierzenie temperatury tego mniemanego źródła Dunajca. W dniu gorącym, wypływająca woda bywa o kilka stopni cieplejsza, aniżeli w dżdżystym i chłodnym. I tak, po deszczach mierzyłem wody tego strumienia: pokazywały 24 lipca 1839 r. $+ 5^{\circ},70$ C.; następnego dnia była pogoda, słońce mocno dogrzewało i podniosło jego temperaturę do $7^{\circ},40$ C; następnego roku mierzyłem w dniu 4 sierpnia i znalazłem po deszczu $5^{\circ},10$ C. W zimie gdy zamarza rzeka, ustaje i to źródło, czemu nie zwykły dobre źródła ulegać; płyną one prawie z jednakową temperaturą tak wśród

największego skwaru, jak podczas mrozów, albowiem wskazują średnią temperaturę miejsc. Takie przepływy podziemne na większy wprawdzie wymiar, nader są pospolite w Alpach karyntskich; podczas pory dżdżystej, bywają nierównie pełniejsze, aniżeli w suszach; téj przyczynie wypada tylko przypisać napelnianie się wodą sławnego jeziora Cyrknickiego niedaleko Tryestu, milę długiego, a przeszło ćwierć mili szerokiego. W czasie lata, jezioro Cyrknickie zupełnie jest suche: rolnicy z poblizszych siół dno jego orzą i zasiewają, i właśnie tyle jest czasu, iż zasiewy dojrzewają i dają się zebrać; ale potrzeba się spieszyć, bo gdy pora właściwa następuje, wtedy z podziemnych kanałów dobywają się wody, okrywające całą spód jeziora i przez zimę toż wypełniają.

Gdy niéma najmniejszej wątpliwości, iż strumień płynący z Pisaniej nie jest istotnym źródłem Dunajca, tylko przepływ; istotnego początku szukać trzeba raczej w wirchach, otaczających dolinę. Część jój zwężona jest istotną szczeliną i ciągnie się znowu pół godziny. W téj części niéma tak uderzających widoków, ale zato nader są one przyjemne; droga przenosi się raz wraz z jednego boku na drugi, a nieprzeliczone mosty łączą je z sobą. Odmiennie skały występują w téj części doliny: szare wapienie zastępują twarde piaskowce, przepelnione miejscami skorupami wielkich muszel. I znowu szeroko roztwiera się dolina; widoki w tém zakończeniu kolistém doliny, odznaczają się rozległością, są obwiedzione przytém potężnymi wirchami Pyszny, Wysokiej, Smreczyny, Tomanowa. Nie jestto płaszczyna, ale przestrzeń bardzo nierówna, poprzerzynana głębokimi, naciętymi szczelinami, środkiem których płyną bystre strumienie. Cały ten koniec doliny okrywają gęste lasy. Kto pier-

wszy raz **znajdował się w górach, patrząc na te potężne wirchy, sądzi, że tuż jest przy nich; ale to czyste złudzenie: do stóp najbliższego trzeba jeszcze postępować dwie godziny, do innych więcej.** Złudzenie to sprawia zapewne **znaczna przezroczystość powietrza, nierównie większa, aniżeli na równinach.**

Od **roztwarcia się doliny na zachód, ciągnie się skalistą dolińka, albo raczej szczelina zwana Iwanówka, której środkiem płynie mały strumyk, stanowiący jedno z ramion Czarne go Dunajca, poczynający się na przełęczy 4400 stóp wysokości, przez którą prowadzi droga do doliny Staréj Roboty.** Przełęczami nazywają tu siodła łączące dwie góry; słowo to zupełnie nieznane pomiędzy Podhalanami, zdaje się być tłumaczonym, i dlatego warto by było, iżby je zastąpił rodzimy wyraz, powzięty z życia ludu. **W pobliżu przełęczy Iwanówki, na przyległej górze Ornak, są opuszczone kopalnie, nazywane Dziewiąta Bania i Czarna Bania.** Znajdują się one w gnejzie, skale zupełnie podobnej co do części składowych do granitu, różniącej się tylko większą ilością domieszanej miki, podzielonej w warstwy. Kilka otworów, a przy nich leżące kupy kamieni coraz wyżej jedne nad drugimi, objaśniają, co za kruszce tu kopano; byłto minerał zwany panabazem, rozsiany w drobnych ziarnkach w białym kwarcu, zawierający w sobie miedź, połączoną ze siarką i innymi metalami. Panabaz (Fahlerz u niemieckich mineralogów), nie był dotychczas rozkładanym, i nie wiadomo, czy nie zawiera w sobie części srebra, pospolicie domieszanych w tym minerale. Z rozkładającego się panabazu, powstają dwa nowe minerały: malachit i miedź lazurowa. Prócz panabazu w większych massach, znajduje się gruboziarnisty węgiel żelaza koloru

szamao; jedna z najcelniejszych rud żelaznych, z której na Węgrach i w Styri wyrabiają najwyborniejsze żelazo. Nie wiadomo, kiedy w téj kopalni pracowano, ani dlaczego ją opuszczono. Podhalanie nie objaśnili mię w tym względzie; prawili tylko jakieś niepewne wieści o starym królu, który w Kościeliskach bił pieniądze.

Długi grzbiet Ornaka, styka się z Pyszną tam prawie, gdzie inna przełęcz łączy go z górą Szczyt. Na każdą z nich najłatwiej tędy wstępować; można to nawet wykonać konno.

W samym końcu doliny Kościeliskiej, pod stopami Pysznój, są ślady rozległych kopalń, zwanych Na Kunstach. Postępując za potoczkiem od początku rozwarcia się doliny, widać wielkie kupy żuzli: sąto reszty dawniej huty. Pokazują tam miejsce, gdzie stał młyn do mieleńia rudy na proszek. Dalej postępując, pod samą prawie Pyszną, znajdujemy cztery potężne doły, a przy nich wielkie kupy kamieni, zaświadczające, że tu odbywały się roboty podziemne w wielkich wymiarach. Potwierdzają to powieści mieszkańców o łańcuchach dwieście sążni długich, któremi wyciągano miedziankę i srebrnicę za pomocą kunsztów czyli wielkich kół, obracanych wodą. Wiarogodni ludzie opowiadali mi na Węgrach, że jeszcze na początku tego wieku towarzystwo z Lubowli dobywało tutaj kruszce; nie mogłem się dowiedzieć o przyczynie zarzucenia téj kopalni. Wyciągano srebro i miedź z minerału, zwanego panabaz, rozrzuconego w białym kwarcu i takięże barwy siarkanie baryty w pobliskich hutach. Pokład ten nie znajduje się jednakże jak poprzedzające w gnejzie, ale w łupku talkowym, skale odznaczającój się na Węgrach nadzwyczajném bogactwem metaliczném; i prawdziwie uderza-

jąca jest rzeczą, że gdzie się tylko pokaże, tam towarzyszy obfitość metalów. W jedném miejscu w Tatrach, skała ta tworzy znaczniejszą masę i wszystko świadczy, że w niej znajdowały się najznakomitsze kopalnie.

Około tysiąc kroków od Kunsztów, pomiędzy widocznie malejącemi świerkami, okrywa się ziemia nadzwyczajnie gęsto zielem czarnej jagody, czyli jafrem Podhalań; tutaj stoją szałasys pysznińskie, gdzie z mléka owczego wyrabiają jak najlepszą bryndzę; albowiem owce żywiąc się po najwyższych szczytach, jedzą nader aromatyczne zioła. Odtąd wznosi się nader stromo bok góry prowadzący do przełęczy, łączącej dwa potężne szczyty: Pyszny i Wysokiéj. Przełęcz ta leży bardzo wysoko, to jest 5,457 stóp nad poziom morza. Odtąd nierównie łagodniéj wznosi się sam szczyt Pyszniéj, będący właściwie długim grzbietem, podobnym do dachu katedry gotyckiéj. Na samym jego wierzchu, mieli inżynierowie, odbywający roboty tryangulacyjne Tatrów, piramidę, i na tym punkcie zawiesiłem mój barometr, który okazał, że Pyszna jest 6,943 stóp wysoką. Gdyśmy wstępowali na tę wspaniałą górę, słońce przyświecało najpiękniéj; szczyty od północy bawiły nas swemi śmiałemi kształtami; Kościeliska dolina zupełnie się odmieniła; formy gór były nie do poznania i dumaliśmy wiele nad tą zmianą, przez parę godzin, potrzebnych do ustawienia i poczynienia obserwacyj na barometrze. Wtém od północy nadciągnęły ku nam pojedyncze obłoczki; zbliżając się do tych potężnych wirchów, gwałtownie, prawie konwulsyjnie były przyciągane, podobnie jak przyciąga magnes żelazo; wkrótce wypełnił obłok (będący niczém inném jak gęstą białą mgłą) to dolinowate zagłębienie, pędzony silnemi wiatrami. Raz wraz obłok

jeden za drugim następował, i w różnych odstępach czasu powtarzało się to zjawisko; każdy ginął gdzieś w Liptowskiéj dolinie. Kiedyśmy wracali, na długim grzbiecie Pysznej okazał się nam jeden z najszczerzej szych fenomenów optycznych. Właśnie wypełniała gęsta mgła dolinę, ciągnącą się na wschód od Pysznej, czasem nawet zachodziła na nasz grzbiet; było to godzina popołudniowa, a słońce od zachodu rzucało skośne promienie. Nagle przewodnicy na przodzie idący zaczęli głośno wołać, wskazując na dolinę w mgle zanurzoną. Zbliżywszy się do nich, spostrzegliśmy, że każdego człowieka cień pokazywał się w odległości w mgle, obwiedziony kolorami tęczy; jednocześnie uważałem niekiedy 4 do 5 podobnych obrazów. Zjawisko to było najwyraźniéj wtedy, gdy człowieka, którego obraz okazywał się, odziała lekka mgła. P. Bönisch mój towarzysz podróży na Pyszną, znakomity malarz krajobrazów z Berlina, z właściwą sobie sztuką olejno wymalował i zrobił obraz mistrzowski tego optycznego zjawiska. Kolory tęczy nie były tak jasne, jak podczas deszczu, ale dokładnie można było je poznać. Przyczyna tego zjawiska zapewne jest też sama, co podczas deszczu; krople wody zastępować musiały wtedy owe nieskończenie małe pęcherzyki wypełnione powietrzem, stanowiące mgłę.

Aby nie być mgłą otoczonym, i nie błądzić po niewyraźnych ścieżkach, poradzili nam przewodnicy zejść po przeciwnym grzbiecie Pyszny czyli po zachodnim; tymczasem coraz gęstsza mgła od północy nadciągająca, okryła szczyt Pyszny i coraz niżej opadała. W jednéj chwili, już o kilka kroków odległych przedmiotów nie można było rozpoznawać; przewodnicy nie poznawali dobrze

im **znajomych** perci (ścieszki), i zaczęliśmy błdzić na wysokim grzbiecie, chodzić tam i napowrót. Przestrzenie wydawały się nam niezmierne, obawa zwiększała je niesłuchanie. Aby się nie zapuścić zadaleko na zachód i nie zejść do innej doliny, zaczęliśmy się spuszczać prosto z góry. Część ta boku Pyszny jest nader stromą, nachyla się bowiem przeszło 45° , często pod jeszcze bardziej ostrym kątem, i wtedy potrzeba było trzymać się rękoma wątlój trawki. Po półgodzinnój, nadzwyczajnie moczolnej drodze, przybyliśmy na mniej pochyły bok, a po drugiej pół godzinie wyszliśmy z mgły, w której zanurzyły się wszystkie szczyty. Dnia następnego wstępując na przyległą górę Ornak, poznaliśmy całą wielkość niebezpieczeństwa, na które byliśmy wystawieni przy schodzeniu. **Niemasz** wątpliwości, że w dniu jasnym niepodobną byłoby rzeczą zejść z tak stromego boku; tylko w nieznamomości niebezpieczeństwa wykonać to było można. Od stóp aż do wierzchu składa się cała masa Pysznej z łupku talkowego; przy wierzchu wydaje się ta skała odmienną. Talk, jeden z minerałów wchodzących do jej składu, bywa w wielkich białych ziarnach, a że jest miękniejszy od kwarcu tworzącego z nim mieszaninę, wystawiony na działanie powietrza wypada, i ztąd powstaje powierzchnia tej skały nadzwyczajnie chropowata. Łupek talkowy Pysznej, tworzy jakby klin wśród głównego łańcucha, który nazywamy Tatrami. Przewodnicy wskazywali nam na wielu miejscach wśród tej moczolnej podróży na szczyt Pysznej, gdzie się znajdują żyły srebra i miedzi, ale w miejscach tak trudno dostępnych, że dotąd mało co zostały poznane. Jeżeli te pokłady nie okażą się nader bogatemi, niemasz nadziei, iżby tu kiedyś powstały kopalnie; wyjąwszy, jeżeli się ktoś

znajdzie, co każe tutaj kopać wymienione metale po cenie dwa lub trzy razy tak drogiej, jak je można nabyć na wielkich targach Europy.

Z Pyszną, łączy trójkątną górę Szczyt potężna przełęcz. Góra ta zdaje się być nieco wyższą od Pysznój, i zapewne do 7,000 stóp dochodzi. Dotąd nie jest wymierzona. Z północnej strony sterczy nad doliną zwaną Stara Robota, z południowej nad doliną węgierską, zwaną Raczkową. Ze Szczytu nader rozległy otwiera się widok na zachód i południe, gubiący się pomiędzy nieprzeliczonemi wirchami Orawy i Liptowa. Pod samym wierzchołkiem, składającym się z łupka chlorytowego, w północnej stronie, w nader stromym boku, znajduje się pokład rudy miedzianej. Miejsce to wszakże tak jest niedostępnem, iż nie ma nadziei, aby tutaj również kiedyś znaczniejsza kopalnia powstała.

Ze wschodniej strony łączy się Pyszna również ze znaczniejszą górą 6,642 stóp wyniesioną, nazywaną Wysoka od Liptowa, a Babie Nogi z strony Podhala. Boki jej wznoszące się bardzo zwolna, okrywa gęsto bujny sywar. Góra ta składa się z gnejzu znakomicie odtąd rozwiniętego; dalej na wschód, nadzwyczajnie głęboki parów, rozpruł bok jej północny, z kąd powstały prostopadłe ściany, a na spodzie leżą niezmierne głązy gnejzu, przedstawiające obraz dzikich sił natury jeszcze okropniejszy, aniżeli w dolinie Kasprowej. Gdyśmy się zbliżali na wirch Wysokiej, na samym czubku stał oparty na swój siekierce juhas, wodząc wzrokiem po obszernym krajobrazie: olbrzymie dzieła Stwórcy, budziły w nim szlachetniejszą stronę naszej duszy, egzaltacją dla tego, co jest szczytnem. Zastaliśmy go głęboko zadu-

manego. Nie można sobie wystawić wyższej radości nad tę, gdy nas spostrzegł, i wszystko czynił, aby się przypodobać: witał z najwyszczym uniesieniem, najchętniej nazywał swe góry, wskazywał sioła i miasteczka liptowskie. Niewygaste pozostało dla mnie nazawsze wspomnienie owego prostego pasterza, tak uniesionego otaczającym go przyrodzeniem.

Góra Smreczynny jest następną z opasujących kołem dolinę Kościeliską. Nie można wprost na nią wstąpić z góry Wysokiej, dla zbyt stromych skał; trzeba się więc spuścić do doliny Kościeliskiej i wziąć się nieco na lewo. Droga prowadzi około małego stawku, zwanego od téj góry smreczyńskim, 3,892' wysoko położonego. Otaczające ten staw skały bardzo są kruche, rozpadły się w piasek, a na nich rosną skarłowaciałe świerki; ziemię zaś nie okrywają trawy, tylko bujny jafer, przeszło stopę wysoki. Zdawałoby się, że na tak bujnej roślinie, powinna być nader wielka obfitość czarnych jagód; ale zupełnie przeciwny jest przypadek: roślina wysiłwszy się, wydała łodygi i liście, a owoców nie ma. Na téj wysokości, wszędzie w całych Tatrach ciągnie się ta roślina pasem zawsze również bujno. Staw smreczyński jest małym, okrągłym jeziorkiem, mającym około 1,300 stóp w obwodzie. Z wysokości boku Pysznej, wydają się jego wody czarne jak smoła, jak świecące oko. Zapewne dla tego podobieństwa powstały, jak już wspomnieliśmy, owe nieprzeliczone powieści w Tatrach i całej Słowaczynie węgierskiej o morskich oczach. Bliżej przypatrując się téj wodzie spostrzegamy, że ma kolor brunatny; zdala wydaje się czarniejszą w skutku działań optycznych. Barwa ta pochodzi od torfu będącego na spodzie. Nie ma wątpliwości, że to jest bardzo

plytkie, bagniste jeziorko; tymczasem Podhalanie wiele umieją opowiadać o niezmiernej jego głębokości. I tak: razu jednego, chłop pasający blisko niego swe bydło, chciał sobie zrobić z niego pastwisko, i rów zaczął kopać, by je spuścić; wtedy dał się słyszeć kopiającemu groźny głos z głębi jeziora: „Nie kop, bo jak mię spuszcisz, to niezmierne ilości mojej wody zaleją wszystkie wioski i miasta aż do samego morza“. Przełęczniony zaprzestał tego i dotąd jest nienaruszonym. Widok na północ od tego jeziorka ku tej potężnej szczelinie, stanowiącej dolinę Kościeliską, ze wszech miar jest szczególny, i nie bez właściwego wdzięku. Boki gór Smytnia, Pisaniej i Stoły, schylają się do siebie, tworząc kąt rozwartoty. Boki ich okrywa kobierzec tkany z traw świeżej zieloności, a w odstępach mniej więcej równoległych, sterczą rzędami kolczate skały wapienne, miłej szarej barwy. Gdzie te rzędy są blisko siebie, tam wydają się jakby gęste ostrokąty, przenoszące się od spodka aż do szczytów, gubiących się w obłokach. Niektóre rzędy skał przecinają pod kątem prostym, a zielone murawy są jakby ogrodzone.

Od tego jeziorka łatwo wstąpić na szczyt Smreczyński, podobny do płaskiej piramidy, mającej po każdej stronie wyskok. Aż prawie pod szczyt postępowaliśmy po twardym, nieużytecznym, czerwonym piaskowcu; wierzchołek zaś najwyższy Smreczyński, zwany Czuba nad Zakosem, 6,375 stóp wysoki, składa się całkiem z gnejzu.

Wreszcie cyrk ten potężny, zakończy znakomita góra *Tomanowa Polska*, już nieco niższa od poprzednich, wznosi się bowiem 6,080 stóp. Góra ta, jak poprzednia, składa się z gnejzu. Pomiędzy Smreczynami a To-

manową Polską, sterczy w środku góra Hlinik, nad doliną tegoż imienia, rozciągającą się już na stronie liptowskiej, a odznaczającą się nadzwyczajnie bujną trawą, okrywającą boki i spód. Odpowiednie wcięcie, jak w przeciwniej stronie zachodniej w dolinie Iwanówki, łączy górę Tomanowa Polska z Smytnią; ale wcięcie to leży znacznie wyżej, bo 5,019 stóp nad zwierciadłem morza. Tędy prowadzi droga do najobszerniejszej podłużnej doliny Tatrowej, Wiercicha zwaniej, rozciągającej się odtąd aż pod Krywań i Świnnicę. Wyniosłe szczyty zasłaniają to potężne zagłębienie od wiatru, a mianowicie od północnego, a do tego gęste deszcze i obfite rosy, sprzyjają tej nadzwyczajnie bujnej roślinności. Ile razy tutaj byłem, zastawałem krzaki i drzewa gęstym liściem okryte, i trawy nadzwyczajnie wysoko wyrosłe. Juhasy zwykle przynosili, gdy odpoczywałem w szalacie w połowie sierpnia, nader okazałe maliny, jakby wypielęgnowane przez najstaranniejszego ogrodnika.

Okolo 300 stóp niżej od przełęczy, już na stronie węgierskiej, dobywają się z wapienia liczne źródła; najcelniejsze nie miało tej stateczności temperatury, którą poznaliśmy w powyższych; okazywało bowiem w dniu 10 sierpnia 1841 r. $+3,6^{\circ}$ C.; a w dniu 11 września 1844 r. tylko $2,35^{\circ}$ C. Nie ma wątpliwości, iż go zasilają wody, sączące się z gór wysokich. W czasie pierwszego pomiaru był dzień gorący, a podczas drugiego, nieustające deszcze tego lata i brak dni pogodnych, wpłynęły zapewne na to zniżenie.

Dolina Wiercicha, którą Sydów błędnie nazywa Tychy Thal, zapewne Cicha dolina, jest okolo milę długa, i ciągnie się wzdłuż gór, rozciągających się pomiędzy stawami Gąsienicowemi a Wielkim Uplazem, czyli po-

między Zakopanem a Kościeliskiem. Dolina ta pod względem geologicznym, należy do najciekawszych w całych Tatrach: rozstrzyga bowiem, że skały krystaliczne, uważane kiedyś za pierwotne, za powstałe przed wszystkimi innymi, są bardzo późnemi. Gnejsz i granit leżą na wapieniu, którego warstwy zapadają na północ pod znacznym kątem. Fenomen ten dowodzi, że te dwie skały są późniejsze od spodniego ogniwa formacji Jura, zwanego liasem, i uważać go można w każdym potoczku nacinającym potężny grzbiet, a rozciągający się pomiędzy Bieskidem a Kondratową. Przeciwny bok czyli południowy doliny Wiercichy, składa się ze samego gnejszu i granitu, ze skał ogniowego początku.

Słaby tylko obraz dałem tych niezrównanych piękności doliny Kościeliskiej, tych poważnych wirchów, wznoszących swe niebotyczne czoła w krainę obłoków, i jakby dumnie spoglądających na wapienne góry rozpostarte u ich stóp, poprzerywane dolinami, których spadem toczą się jak łąza przezroczyste wody, rozbijające się po skałach na ich dnie rozrzuconych w śnieżne piany. Jakby dla odebrania dzikości tym dziwnie poszarpanym skałom, występuje w całej tej dolinie nader bujna roślinność z niezwykajnie pięknymi kwiatami, często cudnej woni. Wśród tej bogatej roślinności, nie ma wszakże odpowiedniej ilości zwierząt i ptaków. Na wysokich wirchach, pojawi się czasem koziół dziki lub sarna; ptactwa nader jest mało. Pochodzi to zapewne od mnóstwa pasterzy, zostających tutaj w miesiącach letnich, którzy chwytają wszystko co tylko żyje. Niemało przyczynia się do swobodnego pobytu w tej dolinie owo czyste, a lekkie powietrze; wartość jego dopiero wtedy cenimy,

gdy go nie ma. Ale trzeba opuścić te strony uroku pełne „rozkoszne doliny zostawić szczęśliwym”.

Dolina Chochołowska jest ostatnią doliną Podhala polskiego, gdyż dalej na zachód, za jej bokiem zachodnim, już są kraje węgierskie, Orawa, czyli *Comitatus Arvensis*. Więcej jak godzinę trzeba postępować od bramy skalnej, stanowiącej otwór doliny Kościeliskiej aż do miejsca rozpoczęcia się wielkiej doliny Chochołowskiej. Prawie w środku tej drogi jest mała dolina Lejowa, mająca także otwór wązki i skalisty, która początek bierze w wapiennej holi zwanój Stoły. Boki i spód tej doliny, okrywają gęste czarne lasy świerkowe, i dlatego kiedym do niej wejrzał, ogarnął mię jakiś niewymowny smutek, bo wydawało się, że się kirem okryła; na wysokościach tylko sterczą pojedynczo siwe skały w pośrodku czarnego kobierca drzew. Brama wapienna Lejowej, składa się z jasno-szarój, dolomitowej skały, z rozrzuconemi płaskimi nummulitami, do talarów podobnych.

Z wielu względów odmienną jest dolina Chochołowska od innych Tatrowych; nie ma ich zwyczajnego kierunku z południa na północ, bo ciągnie się tylko ku południo-zachodowi, a boki otaczające ją są niskie, okryte trawą i drzewami. Dalej w głąb doliny postępując zwęża się widocznie, i w tym stosunku wznoszą się boki i pojedyncze skały z nich wyskakują. Postąpiwszy dobre pół godziny, przybywamy do nieprzeliczonych źródeł, położonych na boku wschodnim; niektóre tak są silne, że dają początek małym strumieniom. Ale cała świetność doliny tej pokazuje się dopiero, postąpiwszy jeszcze z pół godziny. Nadarmo szukałby kto owych miłych widoków doliny Kościeliskiej, co jej nadały tyle uroku; w Chochołowskiej przeciwnie wszystko jest wspaniałe

olbrzymie; zadziwia ona i wprawia w omamienie, a człowiek widzi swą małość w obliczu tych potęg przyrody. Kilka potężnych szczytów wznoszących swe dumne czoła w krainę obłoków, tak wydają się strome, że powątpiewamy, iżby wstąpić można było na ich wierzchołki.

Polana Chochołowska nie znajduje się na równinie; rozciąga się ona na lekko nachylonym boku, i ma nieprzeliczone szafasy i szopy, przeznaczone do chowania siana. Podhalanie raz tylko na rok koszą siano i to odbywa się na początku sierpnia; wtedy gazdowie z czeladką przybywają na tydzień do hól, a wysuszywszy je, każdy chowa do własnej szopki. Tak zostawiają siano aż do zimy, a w dniu oznaczonym, wybiera się cała wieś do hól, i na sankach zwozi do domów; inaczej niepodobnąby było rzeczą dostać je do wiosek, dla nadzwyczajnie złych dróg. Od polany Chochołowskiej rozchodzą się promienisto jakby jaki wachlarz trzy wielkie doliny, zwane: Chochołowska, Jarabcza i Trydniowiańska; nad każdą wznosi się w środku potężny wirch, uwieńczony kosodrzewiną i obłokami. Nie dochodząc do polany Chochołowskiej, jest niezbyt widoczny otwór, prowadzący do znakomitej doliny, nazwanej Stara Robota.

Dolina Stara Robota ma boki nader strome, a wspanie jój, prawie nie ma drogi do przejścia, bo całą przestrzeń zajmuje strumyk, spadający w kaskadach z niezmierną bystrością z potężnego wirchu, nazwanego Szczyt, téjże wysokości co Pysznej, a może jeszcze o parę set stóp wyższego. Na najwyższej wysokości wirch ten ma zupełne podobieństwo do piramidy; składa się z łupku chlorytowego ze śladami rud miedzianych, ale w tak trudno dostępném położeniu, że nie ma nadziei, aby kiedyś mogła się kopalnia znacznie rozwinąć, mianowicie,

że te pokłady nie należą do rzędu bardzo bogatych. Ta ze wszech miar ciekawa dolina, zupełnie zapomniana, była kiedyś bardzo głośną; teraz znają ją tylko pasterze pasący owce po jej stromych bokach. Nazwa jej pochodzi od starożytnych, oddawna zarzuconych kopalń w górze Baniste; o ich starożytności krążą pomiędzy ludem fantastyczne powieści. Mój przewodnik opowiadał mi, że „ośm sto roków w niej pracowano i już ośm sto roków minęło, jak zaprzestano kopać; niezmierne skarby dobyli ich dziadowie”. Sztolnia w tej kopalni była 300 sążni długa, przewierciła cały grzbiet i kończyła się w znanej nam kopalni w Kościeliskiej dolinie, zwaną Dziewiąta Bania. Przy otworach sztolni, jedna nad drugą wznoszących się, leżą wielkie kupy kamieni, wydobyte przez roboty górnicze. W nich wynalazłem też same minerały, które w Kościeliskiej kopalni poznaliśmy, to jest panabaz rozsiały w białym kwarcu; zdaje się, że te minerały znajdowały się w żył w gnejzie. Za pomocą barometru okazało się, że kopalnia Stariej Roboty leży 4,850 stóp nad zwierciadłem morza. Pomimo tego wyniesienia i trudności w dostępie podczas pory zimowej, widać, że kopalnia ta musiała być znaczniejszą, albowiem dotąd zachowała się jeszcze dobra droga do niej prowadząca. W roku 1847 na nowo rozpoczęto w tej kopalni pracować, ale już nie wydobywano miedzi i srebra, ale żelazo dla zakładów hutniczych Rothschilda, założonych niedawno w Suchej i Makowie.

Doliny Trydniowiańska, Jarabcza i właściwa Chochołowska bardzo są do siebie podobne; boki ich są nader strome, granitowe; nie odznaczają się temi malowniczymi widokami, które tyle wdzięku nadają dolinom, mającym boki złożone z wapienia. Nad każdą wznoszą się

niezmiernie **wirchy**. kąpiące swe czoła w eterycznych wysokościach. **Strumienie** mniej więcej znaczne, spadają środkiem każdej. Nad doliną Trydniowiańską, wznosi się granitowa **góra Kopa**, 5,386 stóp wysoka; nad Jarzębą, **góra Uplaz**, 6,132 wysoka, a nad Chochołowską **Hruby Wirch**, ze wszystkich najpotężniejszy, bo 6,501 stóp wysoki. **Góra ta** składa się z łupka talkowego, granitem otoczonego. Na pochyłości północnej, spuściwszy się przeszło **tysiąc kroków**, ciągną się dwie żyły kwarcowe, do murów **białych** podobne. Gdyby w Tatrach powstała fabryka szkła, zapewne byłby to nader pożądanym materiałem. **Wyrób** dobrych szkieł zasadza się głównie na kwarcach, niezanieczyszczonych żadnym metalem.

Daliej na zachód w Tatrach, jest ostatnia wielka dolina, zwana doliną **Rohaczów**, znajdująca się już w hrabstwie orawskim, którą opiszę później.

Rzeka **Chochołówka** licznymi strumieniami powiększywszy się, wypływając z wysokich gór, ciągnie się prawie pół mili aż do zejścia się z Czarnym Dunajcem, który odtąd zostawszy znaczniejszą rzeką, zmierza prosto z południa ku północy. W tej przestrzeni, leży kilka znaczniejszych wiosek aż do wsi **Czarny Dunajec**, która zamienia się już w miasteczko. Piérwsza wieś jest **Witów**, za nią **Chochołów** 2,293 stóp wyniesiona, dosyć porządna, mająca w środku rynek, na którym odbywają się znaczniejsze jarmarki; dalej **Koniuszki**, **Pod Czerwone** i **Czarny Dunajec**, jedna z najznakomitszych wiosek na Podhalu; domy jej liczne i porządne, tworzą prawdziwe ulice. Jestto miejsce, w którym odbywają się znaczne targi na płótno, wyrabiane na Podhalu. Przybywają tu po nie kupcy węgierscy, zamieszkali po-

większej części w Orawie, sprzedając ten towar w głębokich Węgrach, gdzie się nie udaje uprawa lnu. Po większej części płótna są bardzo grube: za sztukę o 60 łokciach, płacą od 21 do 42 złotych; droższych niewiele bywa dostarczanych. Pomimo tych niskich cen, wioska ta widocznie się wzmacza; mieszkańcy mają obszerne a porządne domki, wszystkie wystawione z okrągłaków. Gdzie okna są okratowane i większe, można być pewnym bogatszego właściciela, zamożniejszego kupca lub tkacza. Wnętrze ich domów również jest ujmującym, a po ich powierzchowności, czystości obok wygody, nawet pewien rodzaj zbytku można dostrzegać. W Czarnym Dunajcu znajduje się nawet kramarz, sprzedający wszystko, jak się oświadczają Podhalanie; trudno powiedzieć czego u niego nie ma, gdyż znajdują się świece stearynowe, sér, cukier, sukna, różne bawełniane materye, kosy, sierpy i wiele innych rzeczy, które ani by kto pomyślał, by się znaleźć mogły w tak pozornie dzikich okolicach.

Odtąd Czarny Dunajec zwraca się na wschód, prawie pod kątem prostym, i przepływa przez owe niezmierne pokłady torfu, sięgające aż do Ludzimierza: kolor jego wód cudnej zieloności, zmienia się w brunatnawy, a zdala widziany, wydaje się czarnym, i ztąd pochodzi jego nazwa Czarny Dunajec.

Opisana ziemia pomiędzy obydwoma Dunajcami, Tatrami i górami Górcze, tudzież dolina połączonego Dunajca aż do Czorszyna, stanowi właściwie Podhale polskie; część zaś od Białego Dunajca do Pienin, stanowi Podhale spizkie, czyli węgierskie.

Opisując doliny Tatrowe, może popadłem w jednostajność, mówiąc nieustannie o samych tylko potężnych

górach, czarnych lasach, o świeżej zieloności łąk, o szumnych strumieniach, rozbijających się w piany, i o tém lekkim powietrzu, którem oddychać tak lubo. Staralem się wprawdzie wydać każdej doliny właściwości; czyli byłem w stanie kręślić je wiernie, niech osądzi czytelnik. Zapewne byłbym nierównie lepiej zrozumiałym, gdybyśmy mieli widoki tych dolin, wykonane przez artystów, umiejących uchwycić i wielkość, i właściwość tych uroczystych obrazów przyrody, i wydać różnice zachodzące pomiędzy widokami tatrowemi, a alpejskimi w Tyrolu, Szwajcaryi i na pochyłościach Włoch, dotykających równin weneckich i lombardzkich, lub Apenin, Pireneów, amerykańskich Kordyllerów i Alp Himalajskich. Każde pasmo tych gór ma swoje właściwe piękności i swój odrębny charakter. Miłe są widoki nad jeziorami Magiore lub Lugano; salzburskie mają jakąś niewymowną, uroczystą tajemniczość; Alpy berneńskie uderzają nadzwyczajną wspaniałością: Tatry mają ponure wejście, obok szczególnego wdzięku.

Wszystkie te okoliczności razem wzięte, wywarły na lud nasze góry zamieszkujący przeważny wpływ: bo oddziaływanie przyrody na człowieka jest niewątpliwe, i mało jest okolic, gdzieby to było równie wydatném, jak na Podhalu tatrowém. Atoli z wielu miar odmiennymi są góralc, zamieszkali na północnej i południowej pochyłości Tatrów; wpłynęły na to w części stosunki przyrodzone: góral polski mieszka wśród biędnych i nieurodzajnych dolin i wyżyn; Słowak zajmuje żyzniejsze doliny Liptowa i Spiza. Ale zato nasz góral obdarzony jest nadzwyczajnie ożywionym umysłem; pełen przenikliwości, czynny i śmiały, ma tym sposobem niemałą wyższość nad powolniejszym mieszkańcem Węgier. Je-

żeli fizyczne przyczyny sprzyjają więcej Słowakowi, wraz z ogólnym urządzeniem politycznym; to przecież góral na północnych bokach osiadły, umiał także zapewnić sobie wygodniejszy byt, aniżeli wystawić sobie można. W ogólności lepiej mieszka i żyje, lepiej się odziewa, aniżeli w którejkolwiek stronie Polski nasz włościanin, nie wyjmując z tego nawet najurodzajniejszych okolic w Krakowskiem i Sandomierskiem. Przewadze moralnej, która zapewniła ujęcie sił przyrody pod swą władzę, winni Podhalanie, pomimo najmniej sprzyjających stosunków naturalnych, swoje utrzymanie ze wszech miar znośne. A że uprawa roli i chów bydła nie zajmują zupełnie ich czasu, wzięli się do przemysłu i handlu; i aczkolwiek nie poczynili w nich wielkiego postępu, wszystkie te gałęzie zatrudnienia zapewniły im utrzymanie, wystarczające do opędzenia zwyczajnych potrzeb, i zrodziły uczucie potrzeby wykształcenia umysłowego. W wielkiem poważaniu zostają u nich ludzie umiejący czytać, a jeszcze więcej pisać; i w obecnym czasie, głównym jest staraniem wszystkich nieco zamożniejszych gazdów, kazać uczyć dzieci czytać na książce; okazujące zaś więcej zdolności, wysyłają do wyższych szkół do Węgier i Galicyi.

Podhale bardzo jest małą krainą, bo nie zajmuje więcej jak 15 mil kwadratowych; ma prawie 6 mil długości, a 2 do 3 mil szerokości. Ale głównie na jego charakter przyrodzony wpłynęło wyniesienie nad poziom morza, wynoszące od 1800, do 3000 stóp, i to jest przyczyną nader ostrego klimatu, klimatu stojącego na granicy uprawy roślin zbożowych. Na Podhalu udaje się tylko żyto jare i to w najlepszych gruntach ogrodowych; w ogólności dobrze rosną owsy i jęczmiona, tudzież zie-

mniak, owa **bloga** roslina, jakby stworzona dla tych stron. Od **ziemniaka** zawislo bowiem rozrodzenie sie znakomite **ludności** w tych górach i ochrona od głodu, tak często **nawiedzającego** kiedyś te okolice.

Prócz **podłużnej** równiny w dolinie Dunajca, całe Podhale jest **pagórkowatém**, a nawet **górzystém**; tu i owdzie pozostały **resztki** lasów, okrywających całe te wyniesienia. Niemaló **nadają** im wdzięku te grupy drzew, rozrzucone na **nieurodzajnych** pagórkach. U stóp Tatrów poczynają się **dopiero** lasy, i wznoszą się na ich pochyłościach aż do **granicy**, w której przestają rosnąć drzewa tojest do **wysokości** 4,200 do 4,500 stóp paryzkich.

Grunta Podhala nie są w ogólności żyzne; wyjątek z tego stanowią niektóre doliny, a mianowicie wielka dolina Dunajca w okolicy Nowegotargu i Czorsztyna. Warstwa ziemi **urodzajnej** na wzgórkach, pospolicie bardzo cienka, powstaje z rozkładu jałowego piaskowca Karpatowego, w dolinach zaś przez napływowe osady; ta jest nierównie grubsza, a za nią idą obfitsze plony. Aby uczynić ją żyzniejszą, na swe rozległe grunta zwykli mieszkańcy używać nawozu mineralnego, mierzwiąc takowe torfem, znajdującym się na wielu miejscach. Produkcya roczna małej ilości żyta, nieco większej owsa i jęczmienia, tudzież ziemniaków, nie wystarcza teraz na wyżywienie tej znakomicie rozrodzonej ludności; corocznie muszą oni zakupywać znaczne ilości zboża w sąsiednich żyzniejszych krajach, w Węgrzech i Polsce, i udają się odpowiednio do ceny, jużto na południowe, już na północne targi. Nieraz można spotkać istne karawany powózki góralskich, ciągnących przez góry na południe od Tatrów aż do Miskolca, miasteczka opartego o ostatnie wzgórze, wznoszące się nad wielką doliną węgierską,

albo zmierzające do Krakowa, a niekiedy do Wieliczki i Bochni.

Niemaló zajmuje Podhalan uprawa lnu i wyrabianie płótna, co stanowi jedną z najważniejszych gałęzi przemysłu. Roślina ta znajduje w tej krainie wszystkie warunki, potrzebne do jej rośnięcia; udaje się mianowicie po dolinach, gdzie są grunta lekkie i wilgotne, i częste deszcze: nieraz długie łąny okryte niebieskim kwieciem tej rośliny, mile witają podróżnego. Płótna ich nie należą wszakże do rzędu cienkich; owszem, jestto najlichszy towar, jaki może być wyrabiany. Pospolicie cena sztuki płótna wybielonego o 60 łokciach wynosi od 20 do 60 złp; wyjątkowo robią sztuki kosztujące 80 do 100 złp.

Jednym z najważniejszych, a zarazem najbardziej ulubionym zatrudnieniem jest chów bydła; i w samej rzeczy nie jest on bez przyjemności. Rolnik przykuty do swego kawałka ziemi, przewraca ją nieustannie, zasiewa, uwalnia od chwastów, zbiera plony i oddziela ziarno od słomy z niemałym trudem; zatrudnienie to jednostajne, nie może się równać z swobodnym przenoszeniem się po owych rozległych dolinach i szczytach, gdzie co chwila można spotkać cudnej barwy kwiaty lub wonne zioła, gdzie widoki tak czarowne, nieustannie się zmieniają, gdzie powietrze tak lekkie. Tamto człowiek czuje i swą godność, i pokrzepiony zostaje na duchu. Ale chów bydła ogranicza się do przestrzeni okrytej paszą, która wytyka granicę dla liczby koni, bydła i owiec. Wreszcie pewna część ludności kopie rudy i wyrabia z niej żelazo.

Cztery te główne gałęzie zatrudnienia, nie są w stanie ani wyżywić, ani zająć znakomicie rozrodzonych Podhalan; wielka ich część zdrowa a silna, wychodzi w mie-

siącach letnich na roboty do Węgier, i puszcza się aż do Pesztu, a **nawet** dalej; ale te obfite krainy i ciepły klimat, **niebardzo** sprzyjają naszym góralom; nieraz w październiku i listopadzie wracają z febrą lub znękani chorobą i żółtki, narzekają na niedobre *uherskie* wody. Więcej do ziemi przykuci, zajmują się drobnym przemysłem; głównie trudnią się kołodziejstwem, i wyrabiają zgrabne a lekkie wózki. Są pomiędzy niemi garbarze, inni sporządzają ogromne pasy, służące do ich ubioru, wreszcie niektórzy krawczą. Do kupiectwa mają Podhalanie nadzwyczajną skłonność; czynność, przytomność, oszczędność, czynią ich do tego rodzaju zatrudnienia głównie zdatnemi. Spodziewać się należy, że jeżeli się raz wezmą do handlu, będą tém samém w krajach polskich, czém Ormianie na Wschodzie.

Nie można zaprzeczyć, że uprawa roli na Podhalu, mianowicie po dolinach, mało co zostawia do życzenia, i nie sędzę, iżby znaczne poprawy można zaprowadzić. Około Czarnego Dunajca (wioski), Nowegotargu, Szafflar, Czorsztyna, obsiane bywają corocznie jedne i też same pola. Na początku sierpnia, owsy i jęczmiona świeżej zieloności, wyrastają do wysokości jak żyto na piaskowych rolach; pospolicie mają dwie stopy wysokości. Zbliżając się pod Tatry, ziemia coraz bardziej staje się nieurodzajniejszą, a klimat ostrzejszy; owsy tam i małe i rzadkie, zapowiadają niejako, że niedaleko wyżej, i ta roślina północnym strefom właściwa, rość nie może. Ale trafiają się wyjątki: na rozłożystej górze Gubatówka, wznoszącej się przy Zakopanem 3,300 stóp wysoko, uważałem tak bujne owsy, jak gdyby rosły na najżyźniejszych rolach w krajach umiarkowanego klimatu. Jednak z tych wysokości pomimo urodzajności, niez-

wsze zbiera góral swe zasiewy; nieraz po ś. Michale, gdy owsy są jeszcze niedojrzałe, a nawet zielone, już śniegi padają, i często wydarza się, że żniwo odbywa się pod śniegami. Zupełnie przemarzłe owsy, trzeba w domach przy ogniu suszyć, i do małej stodołki chować.

W czasie dżdżystego lata 1840 r. jeszcze w połowie października zielone były owsy, gdy spadły śnieg okrył pola 4 stopy grubą warstwą; stopił się wprawdzie za parę dni, ale klęskę ogólną zrządził. Toż samo powtórzyło się w następnym roku, chociaż mniej dotkliwie, bo śnieg okrył tylko najwyższe wysokości i znajdujące się tam zasiewy. Niemasz wątpliwości, że i w tém zimném lecie (1849), nie wszyscy zbiorą, co zasiali. Choć owsy na Podhalu w ogólności nie rosną ani gęsto, ani bujno, to ziarno ich jest natomiast pełniejsze i wydaje więcej mąki, aniżeli owsy zebrane z równin. Prócz zwyczajnego białego, sieją inny gatunek owsa, czarnego, z ziarnem pełniejszym. Dla koni nawykłych do białego, nie jest dobry, bo trudny do zgryzienia, i dlatego niechętnie go jedzą, a nawet bólu zębów zwykły dostawać.

Zaprowadzenie uprawy ziemniaków, dobroczynny wpływ wywarło na Podhale; uwolniło nieszkańców jego od głodu, tak często nawiedzającego w dawniejszych czasach te strony. A chociaż i ziemniaki trzeba czasem wykopywać zpod śniegów, nietylko szkodzi im zimno, jak owsom. Gdy tę roślinę dotknie zaraza, jest ona niezmierną klęską w górskich okolicach; z głodu wywiązują się zgniłe gorączki, gubiące wielkie ilości mieszkańców. W latach 1846 i 1847 w niektórych domach cała ludność padła ofiarą nieurodzaju ziemniaka, i długo stały opuszczone i zamknięte.

Podhalanie najmocniejsze mają przekonanie, że ich wysokie hole zawierają niezmierne skarby drogich metali złota i srebra. Tymczasem w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Tatry, podobnie jak największa część wysokich gór, odznaczają się właśnie ubóstwem metalicznym; w Alpach, Apeninach, Pireneach, niema bogatych kopalni: przeciwnie w niskich górach bywają owe bogactwa kruszców, jak np. w Saxonii, w Węgrzech, w Siedmiogrodzie, w Uralu i t. d. W licznych miejscach i w różnych czasach, pootwierano kopalnie w Tatrach; jednaki los wszystkie spotkał: opuszczano je wkrótce, po otworzeniu albowiem nie opłacały się koszta dobywania. Wyjątek z tego czyniły kopalnie w Kościeliskiej dolinie, co świadczą niezmierne kupy kamieni, nawalone przy szybach; ale i te są w obecnym czasie zaniedbane, i nie wiadomo, czy dlatego, że się nie opłacały, czy też dla zewnętrznych okoliczności. Teraz zamiast złota i srebra, kopią w kilku miejscach rudę żelazną, dostarczaną dla wielkich pieców w Zakopanem i Jaworynie na Spizu. Wszyscy górnicy są Podhalanami: używają barbarzyńskiego języka górniczego, będącego dziwną mieszaniną języka słowackiego i niemieckiego, zlepionego polskim. Na dowód przytoczę parę przykładów: strop czyli wierzch skalny pokładu, nazywają *hangotem* (od *hangendes*); spodek, *liegentem* (od *liegendes*) i t. d.

Wszystkie gazdziny zbierają starannie jaja, które im znoszą kury. Kupcy podhalańscy zbierają je po domach i wywożą w wielkich skrzyniach wózkami na resorach do Krakowa, i tam powstają z nich owe niezmierne kupy, spławiane na galorach do Warszawy.

Każda wieś ma swoich ptaszników, trudniących się w jesieni łowieniem kwiczołów, gromadnie w Tatry

przylatujących dla żywienia się jałowcem, obficie na tujszych górach rosnącym. Najsmaczniejsze mają jednakże być kwiczoły, które przybywszy z północy, nie zatrzymały się w przelocie w Tatrach, tylko poszły do Węgier do Mady, Keresztura, Tarcalu, Tokaju, na owe najwytworniejsze winogrona, i napasłszy się niemi, powróciły do jałowców Tatrowych. Kwiczoły łapią na sidła, albo w zatrzaskujące się sieci. W środku tych sieci, robią małe jałowcowe ogródki; tam przywiązują na nitce chowane kwiczoły dla wabienia, ptasznik zaś siedzi w zielonej budzie, sporządzonej ze smreczyny. Łapanie kwiczołów zawisło zupełnie od przypadku; niekiedy zapada ich na raz po 20—30 sztuk, niekiedy zaledwie parę. Łapanie to rozpoczyna się w połowie października; najobfitsze jest w listopadzie i grudniu. Spodziewać się należy, że przy ułatwionej komunikacyi za pomocą kolei żelaznych, nietylko Kraków, ale i odleglejsze miasta zaopatrzone niemi zostaną.

Jednym z najważniejszych zatrudnień Podhalańców jest chów zwierząt domowych. Wszystko czém się zajmują, odznacza się porządkiem. Nadzwyczajnie wiele mają starania około swego bydła, a konie ich mogą służyć za wzór, jak wyglądać powinny włościńskie. Góralskie konie są małe i krępe, zdrowe i wesołe z wejrzenia; odznaczają się budową ciała stosowną do gór, wstępują bowiem pod górę z łatwością, a zstępując kroczą tak pewno a uważnie, że nawet w największym pędzie można być najspokojniejszym. Podhalanie jeżdżą powszechnie jednym koniem, opatrzonym w bardzo dobrą uprząż. Spotykając długie karawany, obładowane zbożem lub kapustą, powracające z Krakowa, trzeba uwielbiać co za niezmierne ciężary wyciągają te małe zwie-

rzątka. Właściciele ich obchodzą się z niemi z rzadką pieczołowitością, i dogadzają im wszelkiemi sposobami; nigdy góral nie poda swemu koniowi siana, którego poprzednio dokładnie nie rozpoznał, a ile razy wstępuje pod górę, zeskakuje z wózka, i popychając takowy, stara się ulżyć konikowi. Jeżdżąc po Podhalu, nieraz uwielbiałem owę nieustającą czynność mojego woźnicy; ile razy wznosiła się droga, zeskakiwał z bryczki i szedł pieszo przy koniach; zawsze coś wynajdował do poprawy w zaprzęgu, a kiedy nic się nie znalazło, to starał się wszcząć jaką zajmującą rozmowę. Najulubieńszym ich tematem są narzekania na trudne położenie, na niewdzięczne grunta, na wczesne śniegi, zpod których trzeba nieraz wykopywać owsy i grule (ziemniaki). Rozmowa ich odznacza się pospolicie miłą prostotą i ogłada, do której zrzęcznie wtrącają grzeczne dowcipy. Podczas lata zbierają konie w stada, i wypędzają je do hól na najwyższe wysoczyzny; tam sobie zostawione, przepędzają często kilka dni bez żadnego pasterza. Ile razy wydarzało mi się napotkać konie w tych samotniach, zbliżały się do nas, usiłując wszelkiemi sposobami okazać swą radość: rżały, skakały, i za odchodzącemi postępowało często całe stado, jakby dla pożegnania; trzeba je było odganiać. Wtedy wychodziły na wzgórze, wyziérały ku nam, a tymczasem wiatry igrały z ich grzywą. Chociaż są bez pasterzy, nie oddalają się z pobliskich dolin, jeżeli te dają im dostateczną paszę. Raz na tydzień, przybywa do nich jeden lub dwóch juhasów, dla zrachowania i obejrzenia, czy się im nie wydarzył jaki przypadek.

Chociaż rozległe a gęste lasy okrywają Tatry polskie, nie ma w nich przecież wilków; czasem przybywają tylko z przyległych lasów węgierskich, a skoro się okażą,

uzbraja się przeciw nim całe Podhale; jedni spędzają konie i woły do szałasów, inni polują za nimi, i pospolicie bywają wygonione przez owych nieprzeliczonych pasterzy, zaludniających lasy tatrzańskie. Jednakże corocznie ginie wiele koni na holach, jeżeli nie od wilków, to od mrozu. Gdy ulewne deszcze padają na równinach, na holach zamieniają się one w śnieg; wtedy konie błądząc po holach, niespokojne że nie mogą znaleźć drogi, pną się na wysokości, by dostrzedz szałas lub mieszkanie swych panów; ale niezmierna zadymka zasłania nawet blizkie przedmioty; wychodzą więc na coraz wyższe góry, a tam zastają tylko większe zimna. Zgłodzone, przeziębione, straciwszy ostatki sił, giną od mrozu wśród najcieplejszych naszych miesięcy: w lipcu i sierpniu. Juhasy wychodzą wprawdzie na ich wyszukanie, ale gdy zawieja i śniegi po wirchach zaczną dąć, trzeba być bardzo ostrożnym, by drogi nie zmylić; pospolicie wracają nic nie wskórawszy, a konie zostają na Opatrzności.

Również na znaczniejszych wysokościach pasają się woły w większych stadach; gazdowie obierają doliny bogate w trawy, oddając je jednemu lub dwom pasterzom. Na wielu miejscach w dolinie Kościeliskiej, żywią się te powolne zwierzęta; celniejsze uważałem na Ornaku i holi zwanój Wysoka przy Pysznój.

Krowy przez całe lato zostają na paszy w górach; nie wychodzą one na nagie wirchy czyli hole, lecz zostają w dolnym pasie, w pasie leśnym. Wstępując na Tatry, zastajemy wśród gąszczów leśnych niekiedy otwarte miejsca, piękną polankę, a przy niej wielkie szałasły wraz z obszernymi oborami, w których krząta się mnóstwo dziewcząt i chłopców. Już zdała wesołość i śpiewy

ostrzegają **podróżnego**, że się zbliża do szalasu krowiarskiego; **jednakże gospodarstwo** nie wykształciło się w nich wcale, **podobnie jak** w Szwajcaryi, owszem, zostaje w zupełném **dzieciństwie**. Z mléka ciągnie Podhala mieszkaniac zwyczajny pożytek, nie wyrabiając owego wybornego séra, który uczynił szwajcarski tak pożądanym. Wszystkie warunki są też same w polskich górach, co w szwajcarskich; brak tylko przemysłu synów Tella. Każdy krowiarz i krowiarka ma staranie o swych krowach; doją je we własne naczynia, a następnie zlewają mléko w konewki, aż do przybycia z domu gazdy lub gazdziny, którzy je odwożą w płaskich beczulkach, po obu bokach konia zawieszonych. Nie żyją wspólnie, ale każdy przyrządza dla siebie jadło, składające się pospolicie z grubéj mąki owsianéj, którą wsypują w wrzącą wodę, i robią pewien rodzaj polenty, którą pożywają z masłem albo z kwaśném mlékiem. Pasterze krów zbierają się razem dla wspólnego bezpieczeństwa, aby się bronić od złodzieja i wilka; zresztą nie łączy ich żaden inny węzeł.

Jeżeli szalasy krowiarskie dają przykład najwyższego rozdzielenia interesów pojedynczych, rozpadnienia się w atomy, to przeciwnie owczarskie przedstawiają obraz skoncentrowania się najwyższego; jest tu naczelnik, inni ulegają jego rozkazom, i wyznać należy, że w tych ostatnich więcej znajdujemy ładu i porządku, bo wszystko zmierza do jednego przewidzianego celu, a pojedyncze interesa ulegają jednemu ogólnemu. Stosownie do rozległości hól, w połowie maja zwykli zbierać gazdowie, a niekiedy i nieliczni obywatele mieszkający na Podhalu, swe owce, tworzą stada, składające się z 200, 300 i 400 sztuk, i oddają je pod dozór w czasie paszy w holach naczelnikowi, nazwanemu bacą; ten

wraz z gazdami obiéra sobie pasterzy, nazwanych juhasami. Każda wieś, albo raczej każda teraz rozrodzona familia ma swoją, od niepamiętnych czasów nadaną rolę, noszącą pospolicie ich nazwę, albo od przedmiotów, któremi się szczególnie odznacza. I tak: hole Gąsienicowa, Miętusia, nazywają się od sołtysów Gąsieniców, Miętusów; waksmundzka otrzymała nazwę od wsi Waksmund; od jezior Morskie Oko, Pięć Stawy, nazywają się Morskiego Oka, stawiarska; inne od gór, jakoto: od Pysznej, Smreczyn: pyszniańską, smreczyńską i t. d.

Jak we wszystkich krajach alpejskich, tak i w Tatrach wypędzanie bydła do hól, zajmuje całą ludność, i odbywa się z pewną uroczystością. Skoro wysłańcy do gór przyniosą przyjemną wiadomość, że już na nich trawa porośla, co dopiero w końcu maja, albo na początku czerwca następuje; krzątać się zaczyna ludność wszystkich wiosek: jedni czyszczą naczynia potrzebne do gospodarstwa szałasowego, drudzy wydają rady, jak się zachować w czasie słót, jak się strzedz przed wilkiem i t. p. A gdy się wszystko przyrządzi do kilkunasto-tygodniowego gospodarstwa szałasowego, zgromadza się bydło w jedném miejscu w dniu naznaczonym w każdej wiosce; wtedy żegnają się wszyscy, życząc sobie szczęścia na czas rozdziału. Młode chłopcy z zazdrością spoglądają na wybranych juhasów, dziewczki czule rzucają spojrzenia za wychodzącymi. Skoro owce przybędą do szałasów, pierwszym zatrudnieniem jest bacy oddzielić barany od dojków, i każde stado oddają własnym juhasom. Pierwsi wychodzą na cały dzień do hól na najniebezpieczniejsze wirchy; drugie pasą się na przyległych holach, i wracają w południe i wieczorem. Zazwyczaj bywają one trzy razy dziennie dojone: rano, w południe i wieczorem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O ARCHITEKTURZE GOTYCKIEJ

pod względem

HISTORYCZNYM I ESTETYCZNYM.

PRZEZ

Juliana Ankwiewicza.

Sztuka przyjmuje w siebie wyobrazenie prawie wszystkich żywiołów moralnych i materialnych, które dotyczą ludzkość. Począwszy od pojęć, z ich wolnym postępem, z ich rozmaitym charakterem, i zlewem w praktyczne życie ludów, aż do wygod życia, klimatu, produktów naturalnych, wszystko ma pewną stronę zetknięcia się z biegiem artystyczności.

* * *

Pierwszy, dawny mieszkaniec ziemi, wyciągając ręce ku przyszłemu swojemu istnieniu, w przedmiotach zmysłami dotkniętych, przedewszystkiém dostrzegł granice, postać granicami wytkniętą. Kształt najprzód utkwiał w jego pamięci, wszystkie pojęcia wyprzedziło pojęcie kształtu, i wszystkie dzieła człowieka, poprzedziło dzieło kształtu.

Życie umysłowe i byt uczucia razem powstać musiały. Jak myśl od rzeczy oderwana była przedewszyst-

kiem myślą o kształcie rzeczy, tak uczucie rozwijało przedewszystkiem harmonią kształtów. Przez architekturę, wystąpiła piękność z głębi ludzkiej piersi na zewnętrzny fizyczny świat. Kształt najprzód objawił uczucie harmonijne, jako uczucie mimowolnie powstające, jako harmonijne kierowane pojęciem, przejmujące charakter pojęcia.

Postać pierwszego wyrobu z ciała stałego, w obrysach odpowiadająca czemuś więcej jak zaspokojeniu samej tylko potrzeby, już była objawieniem się sztuki kształtowania. Takie objawienie się architektury, w samych początkach było bez wątpienia proste, niepodniesione do żadnej zgody, ubogie w pomysły; ale tém ważne, że pierwsze odsłoniło w człowieku skłonność do sztuki w ogólném znaczeniu. Obudzona strona czucia, wzywająca na jeden raz do życia całe ludzkie jestestwo, wywiodła w sobie, i wydała w zmysłowym znaku rozległą krainę sztuki, bogatą w wielkości, kwitnącą zachwyceniem. Rozwinął się szereg kształtów. Obszer-na myśl całych wieków nagie pokryła głązy, a czas i przygody zaledwie zdołały zniszczyć delikatniejsze téj myśli odcienia. Egipcyanie, za niemi Grecy i Rzymianie, od przodków swoich przejęte kształty doprowadzili do znakomitój świetności. Ich dzieła architektoniczne, są księgą dla wszystkich czytelną, w której są skręslone ich umysłowe zasoby, ich formy obyczajowe—całe ich życie. Wyobraźnia niepoprzestająca na grze samych kształtów, wprowadziła następnie lżejsze środki, które łatwiej odcharakteryzowały pojęcie w treści samej piękności. Rzeźbiarstwo, malarstwo i poezya, wzrastały u Greków i Rzymian w miarę tego, jak architektura stawała się coraz bliższą swojego ostatniego bogactwa i jedności. W koń-

cu spełniło się powołanie południowych ludów Europy w starożytności. Doprowadziwszy do najczystszej harmonii kształt i w ogóle formę artystyczną, z pokorą ducha przyjęli prawdy objawione. Zamknęli epokę dawnego życia, w którym nad umysłowością forma przeważnie panowała.

Pierwiastkowi chrześciance, wyswobodzeni z ukrycia, na ziemi greckiej i rzymskiej w wieku IIIim po narodzeniu Chrystusa, zaraz upowszechniać zaczęli naukę i ćwiczenia wiary. W dawnych pogańskich świątyniach obchodzono pamiątkę odkupienia, spełniano wszystkie religijne obrzędy. Dopiero w wieku VIIym po narodzeniu Chrystusa, zaczęto budować kościoły wyłącznie dla chrześciance. Kształty tych kościołów, równie jak kształty innych budowli a nawet sprzętów, były albo prostém, zazwyczaj niedołączném naśladowaniem greckich i rzymskich, albo bez prawdziwych znamion sztuki, ubogie w pomysły, nietrwale w drewnianej budowie przedstawione.

Taki był stan architektury u pierwiastkowych chrześciance. Nareszcie od połowy Xgo wieku, powstawać zaczęły budowle, znakomite pod względem swojej wielkości, bogactwa i charakteru, posiadające wybitne cechy pojęć pod wpływem których były wznoszone. Samoistność architektury wyraźna w tej epoce, objawiła się przedewszystkiém na budowli religijnej, bo też religia była podówczas nieledwie wyłączném umysłow i serc zajęciem. Blizko przez siedm wicków tłumiona sztuka, już to przez starcie się różnorodnych religijnych pojęć, już przez nadzwyczajne polityczne wstrząśnienia południowej Europy, w wieku XIym rozwijać się

zaczęła z uderzającą szybkością. Wszystko podówczas sprzyjać jój zaczęło. W swobodzie religii powstała myśl uczczenia niebios pomnikiem sztuki, któryby charakterem, wielkością i bogactwem był godnym swojego przeznaczenia. Począwszy od monarchy aż do ubożego pracownika, wszystko pospieszało nieść pomoc, dla wzniesienia olbrzymich kościołów, poczytując sobie za modlitwę, spełnione chęci, za ofiarę religijną, poniesione koszta, podjęto trudy.

* * *

Gotycyzm panował w Europie od początku wieku Xgo, do końca XVgo, był wyłącznie do budowl religijnych chrześcijańskich stosowany, na nich wykształcony i do wysokiego rozwinięcia w bogactwie a zarazem do jedności w charakterze doprowadzony. Poprzedzonym został przez styl rzymski; ztąd też stało się trudnym dla badaczy historii sztuki wykrycie, w jaki sposób kształty rzymskie mogły podać myśl gotyckim, od nich ze wszech miar odrębnym.

Napotyamy rozmaite zdania historyków o początku gotycyzmu. Mają one na celu wykrycie, z kąd wypłynął ten charakter architektury w estetycznym znaczeniu i kiedy to nastąpiło?

Co do pierwszego, napotyamy rozliczne hipotezy. Jedni poetycznie wnioskują, że widok lasów natchnął artystę tą śmiałą myślą, iżby lasem z kamienia otoczył i nakrył przestworza. Przez moc pojęcia i woli, kształtem materii ciężkiej i twardej, uwiecznił obrysy smagłej rośliny, a tym sposobem złożył w ofierze Stwórcy swojemu śmiały dowcip i niezmierną pracę. Ci znowu uważają charakter stylu za następstwo wyrobienia, i dlate-

go do **pierwiastków** poszukiwania swoje odnoszą. Dwu-
luczność **gotyckich** arkad jest podług nich prostém na-
stępstwem kombinacyi łuków, przez zbliżenie ku sobie
środków, **mniejsze** od summy promieni. Po przykłady
odsyłają do budowy kościoła Ś. Zofii w Konstantynopo-
lu, i w ogóle do budowli w stylu bizantyjskim. Myśl ta
wszakże **dotyka** samego tylko sposobu zataczania arkad
dwułucznych, ale bynajmniej nie wykrywa, czego są na-
stępstwem takie arkady w samym składzie budowli. Ze
wszystkich zdań w tym przedmiocie wyrzeczonych, zdaje
się być **najtrafniejszém** zdanie p. Boisséré. Podług nie-
go, arkadzie dwułucznej dało początek wyniesienie ogólnych
kształtów budowli, przy rozległości poziomej takiej,
jakaby podług stylów starożytnych dla budowli niższej
przypadała. Łuki arkad porządkowych, zatoczone pro-
mieniami długości względnej do wysokości mass oporo-
wych, musiały paść na siebie i utworzyć między sobą ar-
kady dwułuczne. Tym sposobem, między łukami stylu
rzymskiego **wynikła** gotycka dwułuczność, mniej więcęj
spłaszczona w miarę tego, jak środki dwóch łuków są
do siebie mniej więcęj zbliżone na wspólnej swojej pod-
stawie. Ztąd na dwóch punktach jednej linii, może stanać
nieskończona liczba krzywizn dwułucznych rozma-
itej wysokości, ztąd możność zmniejszania ciśnień po-
ziomych, ztąd cała lekkość i swoboda w przerzucaniu
sklepień. Nietrudno dostrzedz, że za dwułucznością po-
szło samo przez się wykształtowanie wielu charaktery-
stycznych części stylu gotyckiego, jego wyniosły, śmia-
ły i smagły charakter. Dwułuczności winien także go-
tycyzm całą swobodę kompozycyi i odrębność od wszy-
stkich innych stylów, które za kierującą powierzchnią
sklepienia walcowego, przyjmują jedną linią krzywą.

Również niéma zgodności co do czasu, w którym styl gotycki zjawiał się w Europie. Utrzymują niektórzy, że jeszcze Rzymianom był znanym. Jakoż w istocie, we Francyi w departamencie La Manche, w mieście Coutances, znajdują się zwaliska wodociągu w stylu gotyckim, którego budowę odnoszą historycy jeszcze do IIIgo wieku po narodzeniu Chrystusa; co nawet rodzaj budowy pod względem technicznym potwierdzać się zdaje. Wszakże to niezgodności nie ulega, że stopniowe było przejście z architektury naśladowniczej rzymskiej do gotyckiej, jeżeli pewne już upowszechnienie sztuki, za wyraźny jój początek weźmiemy. Stopniowo odpadały zbierane rzymskie części, pochylały się kolumny owych bazylik chrześcijańskich, nagromadzone z dawnych, jednolitych harmonijnych budowli, ku podpieraniu rozległych sufitów. W ich miejsce, coraz chyżej i śmieliej wzbiegały nad ziemię smagłe kształty gotyku, które jak gdyby lupane w najwyższym swoim wzniesieniu w liczne odnogi, jak gdyby w bogatą rozkrzewianą roślinność, przykryły kamienną swoją masą ogromne przestrzenie, zasklepiły obszerne kościołów wnętrza.

Cały ruch tego przejścia, odbywał się właściwie w XI wieku. Do znakomitszych dzieł gotyckich téj epoki, należy klasztor Saint-Germain-des-Prés w Paryżu. Na budowli téj, widzimy wyraźnie sprawdzone, przytoczone powyżej zdanie p. Boisséré. Główną nawę kościoła, otaczają dokoła dwie kondygnacye arkad. Z tych niższa jest porządkową, wyższa na pierwszej stojąca, z powodu wyniesienia kolumn, także do porządkowości zbliżonych, jest już dwułuczną.

Również w téj epoce rozpoczęte i już w znacznej części wykonane zostały: katedra w Saint-Denis; ko-

kościół **Saint Remy** w Reims; katedra w Laon; katedra w Noyon; kościół **Saint-Germain d'Auxerois** w Paryżu.

* * *

Od początku XIIIgo do końca XVgo wieku, wzniosły się najznakomitsze wielkością i jednością stylu budowle gotyckie religijne. W wielu znaczniejszych miastach Francyi, Holandyi, Niemiec, Anglii, zwłaszcza téż świętością miejsc wsławionych, wznosiły się olbrzymie katedry, zadziwiające świetnością pomysłów i ogromem pracy.

Na miejscu dawnych drewnianych kościołów, albo téż bazylik, wystawionych słabo i bez żadnego pojęcia jedności, wielkie te gmachy, niektóre przez trzy i więcej wieków rosły pomалу pod ręką pracownika. Wzbiegały ku niebu za śpiewem pobożnej jego pieśni, którą ofiarował Przedwiecznemu pracę rąk swoich uciążliwą, a niekiedy niebezpieczną. Same nawet pomysły dzieł tych, nakręślane były po długim ich studyowaniu, przez artystów, dla których sztuka zdawała się być artykułem wiary, a jej praktyka, ćwiczeniem religijnym.

W téjto epoce napotykamy jedyny przykład obszernego stowarzyszenia się architektów, w celu uprawiania architektury religijnej, w celu oddawania na jej podniesienie wszystkiego, co talent może pomyśleć, wytrwała praca w człowieku może wykształcić, a wykonać w naturze. Rzym był punktem zjednoczenia dla całej korporacyi, gdzie pod sankcya papieżką odbywały się studia wyłącznie prawie przez alumnów seminaryj i zakonników uczęszczane. Ztąd każda nowość na wszystkie punkta chrześcijańskiego świata przez podróżujące duchowieństwo szybko się rozbiegała, wszędzie z zajęciem

przyjmowana. Ztąd wszakże nie doszły do wiadomości naszej nazwiska autorów, wielu znakomitych dzieł gotyckich. W klasztornej celi, prędko przemija pamięć gieniuszu; nie roznosi jój blask świecki, nie uwieczniają głośnie wawrzyny. Prawda, że nad miasta i okolice sterczą jak odwieczne skały grobowce tych ludzi, czołem bodą niebiosą, echem kamiennój piersi powtórzyły modły i uliczne gwary wielu pokoleń; ale szorstka zakonna odzież prędko starła pośmiertne napisy. Poświęcano wszystko dla sztuki, nie dla świetności imienia.

Do artystów korporacyi religijnej, należeli między innymi Piotr Lescot, który był opatem Clugny, kanonikiem Paryża; Filibert de Lorme opat Ivry, a następnie Saint-Eloi; Robert de Luzarches; Tomasz de Cormont; Renault de Cormont, którzy od roku 1220 do 1288 zajęci byli wykończaniem katedry w Amiens; Amelius, który w połowie wieku XIIIgo dokończył katedrę w Antwerpii; Jaquemin de Commercy, który dokończył katedrę w Toul, rozpoczętą w 990 r. przez biskupa Saint-Gerard; Piotr de Montereau autor refektarza w opactwie Saint-Martin-des-Champs w Paryżu, dzisiejszego konserwatorium sztuk i rzemiosł. Refektarz ten wystawił, rywalizując z Piotrem de Montreuil, który w roku 1239 wystawił refektarz i kaplicę w opactwie Saint-Germain-des Prés w Paryżu.

I sam sposób wznoszenia wielkich kościołów gotyckich, był zupełnie zgodny z duchem epoki. Gdy na rozkaz panującego, a najczęściej biskupa, miał być w jego diecezyi wznoszony kościół, klasztory niebawem zajmowały się wydaniem pomysłu, ubiegając się o pierwszeństwo. Wyrobienie rzuconych motywów i wszelkie wa-

źniejsze ich zmiany, były wypadkiem narad. Tym sposobem wykończona myśl budowy, nie była dziełem jednego; zwłaszcza pod względem wykończenia. Gdy rozeszła się wieść o rozpoczęciu budowy, okoliczni mieszkańcy w pobożnej pielgrzymce zbiegali się na miejsce pracy z pragnieniem zajęcia, którego interesem była zasługa religijna i wyżywienie się, jeżeli takowego nie wydziałał główny fundator. Gdy roboty grubsze wypełniał prosty robotnik, kierowany nadzorem zakonnika; klasztor cały, a niekiedy kilka klasztorów, zajęte były wyrzeźbianiem posągów, ornamentów, odmalowaniem wizerunków na szybach. Tym sposobem przez długie lata z małym wydatkiem powstawały dzieła, zadziwiające ogromem pracy. Za przykład przytoczymy tu w krótkości historią budowy katedry w Chartres.

W miejscu, gdzie dziś wznosi się wspaniała katedra miasta Chartres, istniała wzniesiona jeszcze przed narodzeniem Chrystusa świątynia Druidów. Gdy Konstantyn cesarz rzymski wprowadził wiarę chrześcijańską, ś. Awentyn pierwszy biskup w r. 313 zamienił świątynię Druidów na kościół chrześcijański, który następnie w roku 858 przez Normandów spalonym został. Biskup Fulbert w wieku XIym, a mianowicie w r. 1040, powziął zamiar wystawienia katedry w miejscu tak znaczącym przez wspomnienia religijne, i w tym celu ogłosił konkurs między klasztorami, na wydanie rysu przyszłej katedry. Z pożądanym skutkiem uczynił odezwę o fundusze do wszystkich głów panujących podówczas w świecie chrześcijańskim, i sam swój trzechletni ofiarował dochód. Lud z okolicznych i dalekich stron w pochodach uroczystych, pod przewodnictwem kapłanów,

z zasobami żywności zgromadzał się do pracy w liczbie większej, jak plac budowy zdołał pomieścić. Wszakże na usilne prośby pobożnych, praca kolejno wszystkich dojść musiała. Gdy lud dokonywał roboty proste, mniej wymagające usposobienia rzemieślniczego, okoliczne klasztory zamieniły się w warsztaty rzeźbiarskie, i tych ostatnich prace we wszystkich gotyckich katedrach podziwiać trzeba, pod względem bogactwa rysunku i wykończenia. Tym sposobem stanęła katedra w Chartres, o dwóch frontowych wieżach niejednakowo zakończonych. W roku 1507, na prawej wieży ołowiem pokrytej, pożar zniszczył wysoki piramidalny dach. Na jego miejscu, wzniesioną została piramida takich samych wymiarów z kamienia ciosowego. Za pracę tę, która trwała lat siedm, tojest do roku 1514, Jan Texier, architekt i mieszkaniec miasta Chartre zyskiwał siedm *sous* dziennie, a użyci rzemieślnicy po pięć *sous* dziennie, mimo, iż podówczas, tojest na początku XVIgo wieku, klasztory już przestały zajmować się architekturą religijną.

Tak wzniosły się wszystkie prawie gotyckie kościoły. Nie stosowano bynajmniej architektury gotyckiej do budowli cywilnych większego i mniejszego przeznaczenia, a w rzeczy samej; tylko budowa kościołów zajmowała artystów; inne zresztą były w najwyższym stopniu zaniedbana. Budowle zamków obronnych, nieledwie wypełniano ogromem bezużytecznych mass, nieodpowiadających ani warunkom trwałości, ani potrzebom obrony. Wznoszono je tylko na miejscach odpowiednio wybranych, nawet bez zewnętrznej oglądy. Budowle mieszkalne miejskie i pałace zamożnych panów feudalnych,

były wyłączn^{ym} dziełem mularza, który tu i owdzie pomieszczał różnorodne ozdoby, niedołącznie z gotyckich i rzymskich budowli przeniesione. Nawet warunkom wygody i zdrowia nie odpowiadały te niekształtne masy, objuczone zbieraniną zdobną, którą artyści późniejszych dopiero wieków, rozmaicie obcinali i podrabiali, aby j^{ej} nadać jakikolwiek, byleby do jedności zbliżony charakter. Na takim tle, poważnie i groźnie musiały się szkicować śmiałe katedry gotyckie; dlatego z podobn^{ym} miast obrazowaniem, niełatwo rozstali się architekci wieków średnich. Dowodem tego jest wielka liczba kościołów gotyckich, pomimo, iż każdy z nich z wielką pracą i przez długie lata był wznoszonym.

Przytaczamy tu niektóre: katedra w Wells w hrabstwie Sommerset w Anglii, budowana blisko przez dwa wieki z krótkimi przerwami, to jest rozpoczęta w r. 1210 przez Henryka IIIgo, na miejscu dawnego kościoła, wzniesionego w r. 704, a dokończona przez Edwar-
da IIIgo przy końcu XIVgo wieku. W budowie samej fasady, jest 450 posągów, między którymi 150 wielkości naturalnej. Kaplica Maryi, podług zwyczaju za presbiteryum umieszczona, uważana jest za arcydzieło architektury gotyckiej w Anglii.

Opactwo Westminster. Budowa rozpoczęta około r. 1050, wykończona ostatecznie dopiero w drugiej połowie XVIIgo wieku przez Kryzstofa Wren, autora katedry śgo Pawła w Londynie. Wren wykształcony w szkole architektury odrodzenia, w wykonanych przez siebie szczegółach budowy opactwa, odstąpił od jedności, mimo to, iż nie można mu zarzucić braku pomysłów, ani też braku artystycznej precyzyi w ich obrobieniu.

Ruchomy ołtarz wykonał architekt Keen. Śmiałe sklepienie kaplicy opactwa, jest dla znawców konstrukcyi przedmiotem podziwiania.

Kollegium królewskie w Kambridge. Kaplica tego kollegium, znakomita jednością stylu i budową sklepienia, wystawioną została w czasie od r. 1446 do r. 1532; szczególnie wielkość kamieni, składających zasadnicze pasy sklepienia, jest godną zastanowienia.

Kaplica opactwa Holy-Rood w bliskości Edyburga, do której fundamenta założył Dawid król szkocki.

Katedra w Yorku, założona w r. 1171 przez biskupa Roger de Bishopsbridge, a dokończona w r. 1412. Zgorzała dnia 20 maja 1840 r.

Katedra śgo Petryka w Dublinie.

Kościół stój Guduli w Bruxelli, patronki tegoż miasta, dokończony w 1275 r.

Katedra w Sztrasburgu, sławna nadzwyczajną wysokością wieży.

Katedra w Frejburgu.

Katedra w Kolonii, obecnie dokończana podług dawnego pomysłu, ogromem zadziwiającego. Wiele jest szczegółowych opisów, poświęconych historyi i osobliwościom, towarzyszącym założeniu i wznoszeniu tej świątyni.

Kościół Maryi w Saint-Omer w departamencie Pas-de-Calais, dawna katedra, rozpoczęta w połowie XIgo wieku, ukończona w połowie XVIgo.

Kościół Saint-Ouen w Ruen.

Katedra w Ruen.

Katedra w Reims, dokończona w XIVtym wieku.

Kościół Maryi niedaleko Châlons.

Kościół Maryi w Brou.

Kościół **śgo Mikołaja** w Champs.

Kościół **śgo Piotra** w Caen, w departamencie Calvados, ukończony r. 1521.

Katedra **Maryi** w Paryżu.

Kościół **śgo Seweryna** w Paryżu.

Katedra w Akwizgranie.

Klasztory: **śgo Jerzego** w Boucherville w Normandyi; **śgo Trofima** w Arles; **śgo Celestyna** w Paryżu; Zbawiciela w Aix; klasztor w Moissac w departamencie Tarn-et-Garonne, — i wielka liczba kościołów, kaplic, a jak w Anglii krzyżów, pomników gotyckich, świadczą o wyłączném panowaniu stylu gotyckiego w wiekach średnich.

* * *

W czasach, w których religia chrześcijańska nie była jeszcze niepokojona reformą, świat cywilny zamknięty w ciasnej lenności dla władców feudalnych, w religii tylko pojmował godność człowieczą; więc téż religii w ofierze niósł natchnienie, jako najczystszy pierwiastek z całego swojego jestestwa. Dopiero w wieku XVtym miasta uczuły w sobie siłę moralną i fizyczną, potrzebną do zrzucenia nałożonych na nie ciężarów, gdyż wewnętrzne ich życie, stało się znaczącém przez wzrastające fabryki i wszelką zamożność. Zwolna i kolejno wybijając się zpod lenności, uznały potrzebę pewnej koncentracji w samych sobie, któraby utrzymywała porządek miasta, jednoczyła jego siły, a zjednoczonemi kierowała w duchu ogólnych korzyści. Tu powstał ratusz, budowla publiczna, która w mieście piérwsze po kościele zajęła miejsce. Jak gdyby skala miejskiej świątyni, począwszy od formy zwyczajnego domu, ratusz wzmagał się w kształtach i ozdobach, aż

nareszcie stanął obok gotyckiej katedry, i zmierzył się z nią co do wzrostu i świetności. Coraz liczniejsze potrzeby miasta, coraz większe i okazalsze w budowie ratusza otwierały salony. Obszerna izba zastawiona ławami, zajmująca całą prawie budowę, ustąpiła miejsce obszerniej sali, kościelnych prawie wymiarów, otoczonej galeryami, nad którymi panuje mównica. Za nią otworzyły się liczne gabinety do piśmienniej pracy, sale kontrol kassowych i rozmaitego rodzaju dokumentów. Dalej sale ciągłej wystawy plodów sztuki i przemysłu, sale koncertowe, sale balowe, zbrojownie, galerye osobliwości i t. p. Wreszcie na znak zupełnego zwolnienia miasta z podatków nadzwyczajnych, lub w nagrodę odznaczenia się przemysłem, walecznością, na mocy wyłącznego przywileju królewskiego, wzniosły się przy niektórych ratuszach strażnice w postaci wyniosłych wież, z zegarem i dzwonem do bicia na gwałt.

Jednym z najdawniejszych ratuszów, jest ratusz we Francyi w mieście Compiègne. Karol VI sty w r. 1180 wynagradzając odznaczenie się walecznością mieszczan z Compiègne, wystawił ten ratusz. Zgorzał on w r. 1196, i dopiero za powtórne odznaczenie się miasta, odbudował go Filip August w r. 1218, obdarzył miasto patentem swobód i zbroją z napisem: *Regi et regno fidelissima*, która w murze ratusza przy wnijsciu osadzoną została. Wszakże jestto najdawniejszy przykład ratusza. Budowa ta właściwie w wieku XVIym, ukazała się na rynkach wszystkich znaczniejszych miast europejskich, była pierwszą z budowli cywilnych, którą, że tak powiem, uczczono kształtami gotyckimi. Jest jednakże godnym zastanowienia, że właśnie od tej pory datuje się wyraźnie upadek gotyku. Dzieła gotyckie zaczęły być coraz

mniej licznemi, tak dalece, że liczba ratuszów gotyckich jest już **niewielka**, a nierównie mniejsza innych **znaczniejszych budowli**.

Najznakomitszym z gotyckich ratuszów jest w mieście Louvain w Holandyi, wystawiony w latach od 1448 do 1463, gdy fabryki i warsztaty miasta, zajmowały około 200,000 dusz. Budowę tę wzniesli mieszczanie fabrykanci z funduszków prywatnej składki, na miejscu pamiętném potyczką tychże ze szlachtą, zaszłą w r. 1360. Szczyty ratusza dźwigają sześć wspaniałych ośmiobocznych strażnic, a wszystkie jego strony tak są zbytko-wnie wykonane, iż mało jest jeden dzień czasu na dokładne obejrzenie posągów i innych rzeźb najbliższych oka. Po nim piérwsze miejsce zajmuje ratusz w Douai, we Francyi w departamencie du Nord, wystawiony w wieku XVIym. O ile ratusz w Louvain znakomitym jest przez swoją powierzchowność, o tyle ten przez wewnętrzne urządzenie. Oprócz salonów koniecznych w budowie ratusza, pomieszcza salę konserwatorium muzycznego, sale ćwiczeń gimnastycznych, sale ciągłej wystawy płodów sztuki i przemysłu, oraz szkołę malarstwa. Ratusze w Ypres, w Dreux, w Orlean i Noyon, niedawno zwalony w Saint-Omer, w Bourges, w Bethume, gdzie strażnica godna jest uwagi przez śmiałość konstrukcyi, i wiele innych.

Po ukazaniu się ratuszów gotyckich, styl ten przeszedł niebawem do innych znaczniejszych budowli cywilnych; wszakże na tych skończyło się obszerne jego zastosowanie w architekturze europejskiej. Hotel de Bourghtherould w Ruen, hotel de Cuny i Tremoille w Paryżu, budowle z wieku XVgo, i kilka pałaców wystawionych przez magnatów angielskich, odznaczających

się niezrównanym przepychem i harmonią kształtów: są to ostatnie przykłady stylu gotyckiego w wiekach średnich.

* * *

Przy końcu XVgo i na początku XVIgo wieku, pod ręką Arnolfa di Lapo i Jana z Pizy, powstał styl odrodzenia. Niebawem ukazały się stronnictwa artystów uprawiających dawny styl architektury, i nowatorów. Budowle zaczęte przez jednych, przez drugich były wykończane. Z tego powodu napotykaemy ślady dziwnej mieszaniny na budowlach, stanowiących przejście z gotycyzmu do stylu odrodzenia, i do innych odmian mniej więcej charakterystycznych. Takimi są np. ratusz w St-Quentien w departamencie l'Aisne, dokończony w roku 1509; klasztor Urszulinek w Burgos w Kastylii, mieszanina gotyku z maurytanizmem: budowla dziś w stanie ruiny, wykonaniem zdaje się dosięgać drugiej połowy XVgo wieku; kościół św. Eustachiusza w Paryżu, mieszanina gotyku ze stylem odrodzenia, i wiele innych budowli z téj epoki. Następnie styl odrodzenia pracownice uprawiany przez Brunellechi, Leona Baptystę Alberta, Bramanta i wszystkich następców aż do czasów Michała-Anioła, stał się wyłącznym dla budowli poważnych, gdy gotyk wyjątkowym być zaczął. To ostatnie swoje stanowisko w dziełach religijnych i cywilnych, zajmuje styl gotycki aż do naszych czasów. Za ledwie gdzieś nad poziom dzisiejszego spekulacyjnego świata, wyrosną smagłe gotyku kształty. Jak gasnące podanie, nasuwa się niekiedy pamięci tegoczesnych artystów, ziębi ich pracą i kosztownością; a choć miło jest w jedności i swobodzie poddać się uniesieniu, zająć się szkicem, którego każdy zarys mile w oko wpada, wszakże wykonanie w naturze, nie zgadza się z dążeniami dzisiejszej epo-

ki. Izba parlamentu angielskiego, podług rysunku Karola Berry; będąca w trakcie budowa kolońskiej katedry podług pierwotnego jęj pomysłu; niektóre większe restauracye, a między niemi restauracya katedry ś. Jana w Warszawie, dokonana z przelaniem wielu trudnościami przez Adama Idzkowskiego, na budowie grożącej ruiną, zarzuconej i osłabionej nieporządkiem kilku wieków: oto znaczniejsze przykłady gotyku w naszych czasach.

Zwracając uwagę na wewnętrzną, to jest estetyczną stronę gotycyzmu, przedewszystkięm uderza tyle požądana w sztuce swoboda, obok jedności i wybitności charakteru. Rzecz jednak godna zastanowienia, dlaczego wyrobienie stylów starożytnych i gotyckiego, w tak przeciwnych objawia się przymiotach. Pełna jest i zgodna jak strojny akord myśl starożytnych świątyń, rozrzuconych po ziemi greckiej i włoskiej. Siła materji i jęj ciężkość, dokładnie objęte uczuciem artysty w dziele jęgo, stają naprzeciw siebie, a zawierając wieczny sojusz spoczynku, wyraźnie go okazują kształtami materji. Jak niezmiennie są prawa ciężenia, a tęm samęm wszelkie rozkłady tęj siły na przeszkody wszelkiego rodzaju; tak niezmiennie, ostatecznie pomyślanemi są kształty starożytnęj architektury. Pięknosć ich jest zbliżoną do piękności natury, ostatecznie w sobie bogatęj i harmonijnej. Prostota, ścisłosć, jednosć, siła trafnie wymierzona i jasno rozlana, dają architekturze starożytnęj jedno stanowcze godło skończoności, spełniającej wszelkie życzenia smaku najbardziej wyszukanego, poskramiającej wszelki kaprys, skłonny do zboczeń, duchowi tęj architektury przeciwnych, i nadają jęj godło skończoności co do ważności idei, w charakterze kształtów rozlanęj. Skończoność archite-

ktury starożytnej jest dwuznacznym symbolem skończonego życia tych ludów, które jej byt nadały. One wszystko swoje w sobie rozwinęły, uprawiły, i aż do skończonej dojrzałości dochowały. Forma przewagę miała nad ideą w całym ich życiu; więc też formę na wszystkie strony ogładzili; w rysach kształtu jak w zwierciadle przejrzała się cała ich dusza. Gotycyzm przeciwne poniekąd z sobą przynosi nam cechy. W nim znowu nieskończoność przedstawia artyście obszerne pole do działania. Śród tych niezliczonych załamków, fałdów, między konarami tych sklepień, żyje wyraźnie chrześcijańska idea wieczności. Niepowstrzymana dążność do wyniesienia się nad poziom, jest wprost przeciwną ścisłym stosunkom wysokości do grubości w kolumnie greckiej. Tu wyraźna baczność na ciężenie i wewnętrzną siłę materiałów, tam wyraźne lekceważenie nieustannego mass ciężenia. Ztąd też nadmieniamy, że architektura grecka i rzymska bliższe są natury kształtniej obrazowo pięknej, a architektura gotycka bliższą jest żyjącej chrześcijańskiej idei.

Wszakże natura jak stała się polem, na którym umysł zebrał rozliczne swoje bogactwa, wziął osnowę dzieł umysłowych; tak też dała materią dla materialnych dzieł człowieka, materią z niewzruszonymi jej prawami. Materia wprowadzona w pomysł architektoniczny jako przyszłe jego ciało, wstępuje tam ze swojemi prawami, rozłacza jego kształty, gnie krzywizny, zbliża i oddala swobodnie rozstawione powierzchnie, dopóki nie utrzyma się sama w całości zbliżonej do owej całości, w wyobraźni artysty wynikłej. Jestto proces, który koniecznie przejść musi każde dzieło architektury wprzód, nim autor zamierzy wynieść go na zewnątrz pracowni

swojej. W nim estetyczna i wykonawcza strona, wzajemne dla siebie czynią ustąpienia, czynią tém mniejsze, im pierwotny pomysł bliższym był natury ciał, które go zapelnąć miały, tém większe, im więcej był oddalony. Taką jedność pomysłu z naturą bez żadnych prawie ustąpień, wyobraża architektura starożytna, taką różność przedstawia gotycka. Grek i Rzymianin, zdaje się iż podstawą mierzą wysokość kształtów; architekt średnich wieków biegnie z kształtem ku wyniesieniu, zapomniawszy o ciężkości materji, i jak gdyby na znak niezachwianej swojej śmiałości, w górze niekiedy grubość jego powiększa. Smutne doświadczenia przekonały artystów w wiekach średnich, że wyniosłość ma sobie wskazane granice przez twardość, ciężkość i słoistość materji, kształt zapelniającej, że w ogóle wybujałość pomysłów w naturze materyałów, ma swój najpierwszy nieprzełamany hamulec. Nieznajomość nauk ścisłych, utrzymywała ich w dążeniu do nadzwyczajności, która razi oko widzące w masach warunki równowagi. Zaiste nie jest zaszczytną odwaga w niewiadomości niebezpieczeństwa, rzadko téż kiedy użyteczną bywa.

Katedra w Beauvais, w departamencie l'Oise, byłaby dziełem niezrównanie piękném, gdyby nie zbyt śmiałe pomysły artystów, zajętych jéj wykonaniem. Pomysły te dowodzą zupełnej nieznajomości praw spoczynku, mimo to, że są bogate w artystyczną fantazyi i czysto-gotyckie. Katedra była stawianą cząstkowo przez trzy wieki, dokończona w 1580 r. Pierwsze dwa filary wzniesione pod opór sklepienia presbiterjum, skruszyły się w trakcie budowy pod własnym swoim ciężarem; tak była mała ich podstawa w stosunku wysokości, tak wątkły układ

pojedynczych części. Mimo, że po tym wypadku silniejsze dokoła presbiterium wzniesiono filary, wszakże jego sklepienie runęło dwukrotnie w latach 1272 i 1284. Widok sklepienia utrzymującego się ostatecznie przeraża więcéj, aniżeli zachwyca istotnego znawcę sztuki. Filary, a raczéj kamienne pręty oddzielające okno od okna, pozornie wytrzymujące parcie sklepienia wspiętego nad całym presbiterium, wydają się być zaledwie dosyć silnemi do utrzymania tak rozłożystego blaszanego baldachinu. Cała budowa presbiterium, jest wytwornie oszkloną klatką, dźwigającą kamienne sklepienie. Urok ten przeciwny naturze sztuki, bo mijający się z prawdą, niebawem znika, gdy widz wnętrzem zdziwiony, pójdzie zbadać zewnętrzną stronę budowy. Las łuków, podpira owe smagle filary presbiterium. Łuki te właściwie przyjmują parcie sklepienia, i przesyłają go na niższe ciężkie opory; a mnóstwem swoim, nieładem, w którym widocznie przystawiano, czynią budowę z pozoru podobną do ruiny pracowicie przystrojonej, a co chwila upadkiem grożącój. Nie na tém koniec nieporządku w budowie téj katedry, wystawionój na igraszkę artystów, u których zręczny rysunek był piérwszą i ostatnią tajemnicą sztuki. Wtenczas właśnie, gdy katedra w Beauvais blizką była ukończenia, kopuła kościoła św. Piotra podniosła dumną swą czaszkę nad obszary odwiecznego Rzymu. Zdziwił się świat artystyczny egro mem mocy i śmiałości. Byłto cios niemały dla przeciwników nowatorstwa, za nową bowiem uznawano szkołę odrodzenia, która zasada się właściwie na ozdobnej modyfikacji rzymskiéj architektury. Gorliwi zwolennicy gotycyzmu mocno uczuli, że pracowita ozdobność nie jest źródłem wielkich efektów, że przeciwnie cechą talentów jest

przedstawianie świątynnych pomysłów w prostych formach. Wszakże Jan Waast i Franciszek Maréchale wykończający katedrę w Beauvais, a uporczywi rywale Michała Anioła, zamierzili okazać, że w ich architekturze równie jest obszerne i swobodne pole pomysłów nadzwyczajnych. Na czterech filarach kwadratu, wynikającego z przecięcia się głównej nawy podłużnej z odpowiednią poprzeczną, tojest na środku krzyża, wyobrażającego ogólnie podówczas przyjęty kształt kościoła, wystawili wieżę kamienną 288 stóp wysoką. Wieża ta niesłychanie misternej roboty, stawianą była przez lat trzynaście; wszakże tylko lat pięć dziwiła przykładem zbytecznej śmiałości. W roku 1573 parta silnym wiatrem, zwała się w dzień Wniebowstąpienia, podczas gdy processya obchodziła miasto, zgruchotała sklepienia katedry, całą budowę aż w podstawach wstrząsnęła, okryła zniszczeniem, zasypała gruzem. Z téjto przyczyny dopiero za lat siedm, tojest r. 1580 katedra w Beauvais tak jak ją dziś widzimy, wykończoną została.

Piramidalny dach na wieży przy katedrze w Chartres, pochylił się od ciśnienia wiatru w r. 1691. Nie zdołano wykonać najśmielszych wierzchołków wież, mimo ich wskazania pierwotnym rysunkiem, przy katedrach w Reims, w Amiens, w Paryżu. Wierzchołki dokonane w wielu miejscach, późniejszymi laty przerabiane być musiały, gdyż siłę budowy zasadzano na ilości ankrów żelaznych i klamer wiążących kamienie, a nie na stopniowaniu mass, nie na wiązaniu kamieni przez odpowiednie ich kształtowanie. Rdza zniszczyła szczelność osady klamer w kamieniu, wierzchołki wież chwiały się od wiatru, i w każdej chwili groziły niebezpieczeństwem zwalenia.

Oprócz przytoczonych, jest jeszcze bardzo wiele innych dowodów przekonywających, że gotycyzm w całej swojej świetności przekazał nam wadliwość pod względem wykonania, która głęboko przeniknęła naturę samych kształtów, stała się powodem, iż kształt piękny pod względem charakteru samej sztuki, jest niepraktycznym w naturze. Architektura starożytna jest nieskończenie od téj wady daleką. Tam co jest pięknem ze względu na kształt, jest téż w sobie samym siły zgodnej, porządnie w miąższości kształtu rozlanéj, przypuściwszy, że kształt zapełniony jest masą stałą i jednorodną.

Jestto prawda bardzo obszernego znaczenia w architekturze, że *naturalną podstawą piękności kształtów jest ich zewnętrzny wyraz, o ile wyobraża niezachwiany spoczynek, o ile uwidocznia równowagę sił, rozlanych wewnątrz materji jednorodnej, kształt zapełniającej*. Zasada wspólna wszystkim rodzajom architektury (1). Po jej zaspokojeniu, otwiera się dopiero pole charakteru względnego do stylu i przeznaczenia budowli, a w końcu idzie swobodna fantazyja, której tajemnice złożone są w indywidualności artysty. Pilne wpatrywanie się w utwory sztuki, przynosi nam tę prawdę, a tym sposobem wytyka co bierze od natury sztuka kształtowania: *bierze harmonią w rozlaniu siły i stawia ją w samej podstawie wszelkich estetycznych rozwic*.

Nietrudno jest znaleźć istniejące tego przykłady, że piękność kształtów obejmuje w sobie ich praktyczną siłę. Poszukiwania Rondeleta na praktyce oparte wykryły, że mur odosobniony, niczym niepodparty, aby był silnym,

(1) Tę zasadę wywiódłem z ogólnych pojęć o piękności, w pracy pod tytułem: *O piękności w sztuce*, r. 1847 drukiem ogłoszonéj; stronnice od 189 do 193.

potrzebuje mieć za grubość najwięcej około $\frac{1}{8}$, a najmniej około $\frac{1}{12}$ swojej wysokości. Taki właśnie jest stosunek średnicy do wysokości kolumny w stylach starożytnych. Zwężanie się kolumny, poczynawszy od $\frac{1}{3}$ wysokości, tyle miłe dla oka, nie jestże prostém dążeniem do obniżenia jej środka ciężkości, do nadania więcej siły częściom więcej dźwigającym? Michał-Anioł w nadaniu krzywizny sklepieniu kopuły śgo Piotra, nie mógł się rządzić prawami mechaniki, bo ta podówczas, zwłaszcza co do budowy sklepień nie była znaną. Rządząc się tylko dobrego smaku, wiele razy kręślił i mazał południkową sklepienia kopuły, a więcej jeszcze zwalczył trudności przy wprowadzeniu w wykonanie, ustalonej jedynie na podstawie dobrego gustu. Jakież musiało być zdziwienie p. de la Hire, znakomitego uczonego członka akademii francuzkiej, kiedy o wiele lat później po geometryczném zdjęciu południkowej sklepienia, przekonał się, iż takowa jest linią krzywą, nadającą sklepieniu, podług zasad mechaniki w tym przypadku, największą siłę (1).

Z przytoczonych tu przykładów prosty wynika wniosek, że poznanie praw spoczynku wielce wpływa na wykształcenie gustu architekta, uogólnia pojęcie dobrego smaku do wszystkich ustalonych typów, *otwiera mu pole samoistności, wytrzymującą zdrową krytykę*. Mając to na uwadze, jakże wiele odkrywamy wad pod względem gustu w gotyckich budowlach z wieków średnich, na pierwszy rzut oka świetnych, imponujących wyniosłością i pracowitością! Dążenie do zbytecznej drobia-

(1) Linia *Łańcusznik*, użyta jako południkowa albo kierująca powierzchni sklepienia, *przy tożsamości extradoss i intradoss*, nadaje sklepieniu największą siłę.

zgowości pokryło siatką, jak gdyby hałtem kobiécj ręki, wszystkie ważniejsze budowli kształty; tym sposobem prawdy jój spoczynku, zakrytemi są dla oka utrudzonego drobnostkami, między którymi niepodobna odgadnąć żadnej stanowczj myśli. Jeżeli nie jest zadaniem sztuki zwodzić widza, ani téż zadziwiać go zręcznością, nadzwyczajnością, dlaczegóż to co dźwiga, nie przedstawia się dźwigającym? Uczucie nasze wprzód nim powezmie jakiegokolwiek od sztuki uniesienie, przejmuje się tą prawdą, że drobnostka massy, a massa drobnostki w układzie ciężarów zastąpić nie może albo nie powinna; przejmuje się tém łatwiej, jeżeli mu nasuniemy przeciwnie wrażenie. *Massę wyraźnie przedstawić jako zasadę spoczynku i powagi, obrysem mass wydać zasadnicze budowli motivum, między massą a drobnostką utrzymać widoczne pokrewieństwo, przeznaczeniem budowli i charakterem stylu wydzielić ilość jednego i drugiego:* zdaje mi się, iż taka zasada wypływa z pojęcia praw spoczynku.

Bezwzględna jest idea harmonii rozlanj w postaci kształtów; taż sama jest dla wszystkich ustalonych typów, dla dobrze pojętj samoistności. Do jój okazania, konieczną jest jednorodność ciała kształt zapełniającego. Jednorodność ta przynajmniej w wyrobieniu pomysłu przyjętą być musi; inaczj pomysł nie będzie wzniesionym do stanowiska czystj jedności. Odwrotnie, jestto dowodem niedoskonałości pomysłu, gdy niby na jednorodnej wykształcony materji, w praktycznym wykonaniu zmusza do wprowadzenia ciał różnorodnych, do naśladowania mass bryłami wewnątrz pustemi, do koloryzowania, którego celem wprowadzenie widza w błąd, co do rodzaju użytego materiału. Jakiś, przypuścmy, pomysł

jest rysunkiem ustalony na materji kamienia, a praktyczne jego wykonanie zmusza do użycia w pewnych częściach żelaza, w pewnych znowu drzewa i t. p. Dla otrzymania rysunkiem wskazanej jedności, wykonane dzieło pokrywa się jednym kolorem kamienia, i tym sposobem ma być naprawiony błąd pomysłu, gdy tymczasem samo wykonanie dowodzi, że albo harmonijnym nie jest, albo *inne musi być ciało jednorodne, zapęlniające pomyslane kształty*. Ostrzegamy tu czytelnika, że jest mowa o kształcie całym, harmonijnym, o istotném zadaniu sztuki. To bowiem, co dzieje się w architekturze za osłoną kształtną, urządzenie stropów, mieszkań, drzwi, okien i t. p. jest właściwie stroną techniczną, w której potrzebą jesteśmy zmuszeni do użycia różnorodnych materiałów. Ale gdziekolwiek i w tej technicznej stronie architekt dotyka się kształtowanych przedmiotów, wszędzie sprowadza kształty do harmonii, a tak ile możliwości *przypuszcza* jednorodność ciała zapęlniającego. Ztąd wyradza się nieoddzielny przymiot dzieł harmonijnych, jeden wszędzie rozlany stopień lekkości, jedna wszędzie siła, jedna zrozumiałość.

Wykształcony typ architektury starożytnej, przynosi z sobą nawet pewne wyobrazenie natury ciała, na którym został wykształcony. Widzimy jasno kamień we wszystkich częściach architektury greckiej i rzymskiej; a ile razy kształty jej drzewem lub żelazem zapęlnić chcemy, narażeni jesteśmy albo na marnotrawstwo tego materiału, albo na naśladowanie mass bryłami, wewnątrz pustemi. Gotycyzm w swoich kształtach, przynosi nam rozmaitość ciała. Niemasz w naturze materiału, któryby sam jeden zapęlnił kształty gotyku w ten sposób, iżby nigdzie nie dał się uczuć ani nadmiar siły,

czyli **zbytek materji**, ani brak siły, czyli niedostatek materji. **Więcej** jeden dowód przekonywający, iż typ ten jest **abstrakcyjny**, **przecudny**, w pobożnym wyrobiony natchnieniu; **więcej** poetyczny anizeli praktyczny, giętki, **przyjmuje rozmaite odcienia** mniej więcej praktyczne, ale nieskończenie daleki od praktyczności typów starożytnych, pod względem wykonawczym. **Drzewo użyte tak jak rośnie w naturze**, to jest z zachowaniem pionowego **kierunku włókien**, zdaje się być jedynym materialem, **ogólniej praktycznym dla kształtów gotyckich**. **Gotycki lekki**, jedynie z drzewa z całą swobodą i nieco łatwiej może być wykonany; ale ciężkie i silne jego odcienia, zdają się znowu innego wymagać materiału.

* * *

Wielce żałować wypada, że architekci średnich wieków gotyką wyłącznie zajęci, nie tylko nie byli gruntownymi znawcami praw spoczynku, ale nawet w trakcie sposobienia się na zwolenników sztuki, nie poświęcali by najmniejszej części swojego czasu, na studyowanie pomysłów w stylu starożytnym. Jeżeli nie drogą własnego czucia i pojmowania, to wpatrzaniem się w silną harmonię kształtów greckich i rzymskich, uchroniliby dzieła swoje od przypadków, a styl na nich wyrobiony, byłby logiczniejszym, bliższym naturalnej prostoty, która jest najwyższą zaletą dzieł sztuki. Otrzymanie tych warunków, obok świeżości i swobody gotycyzmowi właściwych, nadałoby olbrzymim świątyniom chrześcijańskim z wieków średnich urok niewypowiedziany. Nie ulega żadnej wątpliwości, że gotycyzm dziś dla kosztowności nieczęsto wykonywany, jest od pierwotnego **więcej harmonijny**, a **mniej bogaty**. **Studyom architektury starożytnej i naukom ścisłym**, winniśmy ten po-

step, winniśmy *podniesienie zasad gustu do stanowisk ogólnych*. W istocie jedne są zasady piękności kształtów dla wszystkich rodzajów architektury, głęboko na prawdzie i prostocie naturalnej oparte, którąto prawdę i prostotę, przynoszą w swojej wyobraźni, rodzą się z nią szczęśliwsze talenta. Natura bardzo często wyprzedza tu pojęcia. Późniejsza analiza, podejmuje pojęcia z rzeczy przez naturę działanych, ogłasza jako prawa, aby znowu ratować niemi brak naturalnego usposobienia. Zapewne nie na drodze analitycznych zaciekań w naturę sztuki, powstały olbrzymie, harmonijne dzieła Greków i Rzymian. Można by poniekąd wyrzec, że hojna dla człowieka natura, przez niego i dla niego je wywiodła. Mało jest jednakże tych szczęśliwych talentów, które w gotowości mają u siebie najgłębsze prawa harmonii, a istniejącym, dzisiejsze pojmowanie sztuki nie pozwoli na ostateczną samych siebie pewność. Dlatego cała przeszłość architektury jest dla każdego jej zwolennika szacownym zbiorem doświadczenia, tak co do gustu, jak wszelakich praktycznych względów.



KRÓTKI RYS ŻYCIA I PRAC

J. J. BERZELIUSA.

(Rzecz czytana w akademii nauk w Bruxelli na posiedzeniu publiczném corocznie odbywaném, d. 16 grudnia 1848 r. przez p. Louyet.)

Ile razy którykolwiek z owych rzadkich mężów, co to są zaszczytem i ozdobą rodu ludzkiego, zstępuje do grobu; tyle razy na myśl o stracie tak ogromnej umysłowej potęgi, niewypowiedziana żalność rozlewa się po naszej duszy. Rozpacz nas prawie ogarnia, bo wiemy z pewnością, że ów głos szanowny, nieodwołalnie zamilkł na zawsze, że nie będziemy już odbierać od niego mądrych rad; płaczemy nad zniknięciem téj świetnej pochodni, która tak długo kierowała niepewnemi krokami na mozolnej i trudnej drodze nauki; nie możemy wreszcie poddać się z obojętnością strasznej próbie śmierci, od siły twórczej śmiertelnym narzuconej, a która wszystkich nas, bogatych i ubogich, potężnych i maluczkich, nielicznościwie równa!..

Takie uwagi, panowie! nastęrczały się nam trzy miesiące temu zaledwie, kiedy dzienniki doniosły smutną, ale spodziewaną wiadomość o śmierci Berzeliusa. Od kilku już lat nieszczęście to grozić nam poczęło. Znęka-

ny kilkakrotnemi napadami apoplektycznemi, nie mógł on już potem zupełnego odzyskać zdrowia. Od kilku miesięcy, połowa jego istoty była już prawie umarłą. Ztąd też, ile razy kto przybył ze Sztokholmu, tyle razy obawialiśmy się usłyszeć o jednej z największych strat, jaką kiedy naukowa Europa poniosła. Sam Berzelius nie powątpiewał już o smutnym stanie swego zdrowia, nie łudził się więcéj nadzieją, i był przekonany, że śmierć jest tuż przy nim; ale oczekiwał jéj z pogodą, spokojem filozofa i z wiarą człowieka pobożnego.

Śmierć Berzeliusa dla Szwecyi była klęską narodową; to też Szwecya cała, wszystkie towarzystwa uczone owego kraju, oświadczyły razem, że przez dwa miesiące nie zdejmą z siebie żałoby. Senat, Zgromadzenie narodowe, wszystkie wydziały władz rządowych, z wyrazem boleści i smutku, szły za trumną, co zamknęła szczątki nieporównanego chemika. Nie mam wcale zamiaru, kreślenia w zupełności życia Berzeliusa, ani rozbierania jego dzieł tak licznych i rozmaitych; to bowiem z wielkimi trudnościami jest połączone, i wymaga przydłuższego nieco czasu. Mimo to, bylibyśmy przyjęli na siebie tę pracę, gdyby mistrz nie zostawił po sobie świetnej plejady gorliwych uczniów, którzy wszyscy liczą się już teraz między znamienitościami europejskimi, a ci bez wątpienia, nie omieszkają spełnić tego świętego długu wdzięczności i obowiązku przyjaźni. Ograniczę się dlatego na przedstawieniu treściwém biegu życia tak świętego i tak pożytecznie przebieżonego.

Jan Jakób Berzelius urodził się 29 sierpnia 1779 r. w Waferzunda, wsi niedaleko Linköping, w dawnéj prowincyi Ostrogocyi. Ojciec jego był tam naczelnikiem parafialnéj szkoły, zajmował więc miejsce, które w Szwec-

cyi **bardzo szanują**. Nie mamy wcale żadnych szczegółów o młodych latach Berzeliusa; zdaje się, że jego własny ojciec położył pierwsze zasady do ukształcenia jego umysłu. W siedemnastym roku wszedł do uniwersytetu w Upsali z zamiarem poświęcenia się sztuce lekarskiej. Afzelius, siostrzeniec Bergmana, uczył wtedy chemii, mając przy sobie, jako adjunkta i pomocnika, Ekeberga.

Cała nauka chemii stała wtedy jeszcze dosyć nisko; to téż i lekcye nie były jeszcze tak wykładane, aby łatwo i jasno objaśniały uczniom wszystkie tajemnice nauki. Czytano je zwykle, nie przedstawiając żadnych doświadczeń ani okazywań. Afzelius i Ekeberg nie troszczyli się wcale o to, aby godziny swego nauczania zajmującemi uczynić. Kilka jakich takich rozkładów, stanowią całą ich zasługę, że przewodniczyli pierwszym krokom naukowym największego swego wieku chemika.

W rozmowach poufnych, Berzelius bardzo często zwracał się ku owym pierwszym próbom w laboratorium upsalskiém. Lubił opowiadać, jak Afzelius, dla oswojenia go z pracami chemicznymi, kazał mu naprzód wyprażać siarkan żelaza dla otrzymania kolkotaru: „Każdy to wykonać może, mówił Berzelius do mistrza, i jeżeli tyle tylko możecie mię nauczyć, mogłem bezpiecznie w domu pozostać.” „Trochę cierpliwości, odpowiadał Afzelius, na drugi raz będziesz miał rzecz trudniejszą do zrobienia.” Ów drugi raz nadszedł i dano Berzeliusowi kremotartari do wyprażania dla otrzymania potażu. „Tak się tém zraziłem, mawiał Berzelius, że przysięgłem sobie nigdy o żadną robotę nie prosić.” Ale nie dotrzymał przysięgi i chodził ciągle do pracowni chemicznej; po trzech tygodniach, chociaż ustawy nie pozwalały jak tylko raz

na tydzień, on był tam co dzień. Afzelius mógł mu być zabronić wstępu, ale nie uczynił tego; pozwolił mu przynajmniej siedzieć w pracowni, czynić samemu doświadczenia, i tłuc tyle szkieł, ile mu się podobało. Ekebergowi nie podobało się najwięcej to, że młody Berzelius odbywał swe doświadczenia chemiczne zawsze sam i w cichości, nie prosząc nigdy o jakie objaśnienia. „Przekładałem, mówił potem sławny chemik, czytaniem uczę się, a czytane teorye sprawdzać rozmysłem i doświadczeniem, jak pytać się ludzi, co sami bez doświadczenia dawali mi albo nic nieznaczące, lub przynajmniej bardzo mało zadowalające odpowiedzi, pod względem zjawisk, których nigdy nie uważali.”

Po dwóch latach pobytu w uniwersytecie uppsalskim, Berzelius odbył egzamen w wydziale filozoficznym i wyjechał w r. 1798. W następnym roku był pomocnikiem przy doktorze, mającym główny nadzór nad wodami mineralnemi w Medewi. Przed potężnym jego umysłem, nic nie przemknęło się, czego by nie dojrzał i nie uczynił przedmiotem swych badań; to téż i owe mineralne wody, ściągnęły jego na siebie uwagę. Zrobił najdokładniejszy ich rozbiór, który potem, jako rozprawę wypracowaną z Ekebergiem, ostatnim swym profesorem, publicznie ogłosił. Ta robota, była pierwszém ogniwem długiego szeregu pamiętników, rozpraw, dzieł, które tak wysoko podniosły jego imię we czci i szacunku wszystkich ludzi.

W r. 1804 znajdujemy go znowu w Upsali, gdzie 24 maja otrzymał stopień doktora medycyny.

W tymto czasie, ogłosił swe: *Badania fizyczne o skutkach galwanizmu na ciałach organicznych*. Tyle już odznaczył się naukowemi pracami, że kiedy przybył na sta-

łe mieszkanie do Sztokholmu, obmyślono jedynie dla niego nową posadę: był mianowanym pomocnikiem Spaurna profesora medycyny, botaniki, i farmacych emicznój, owego Spaurna, co to z Cookiem naokoło świata podróżował. Szczupłe bardzo mając dochody, zmuszony był czasami do praktyki, jako lekarz. Po śmierci Spaurna, nastąpionój w 1806 r. nagrodzono prace Berzeliusa i powierzono mu osieroconą katedrę. W owym czasie, przy szkole medycyny było tylko trzech professorów; dlatego przeciążeni byli lekcyami. Później utworzono cztery nowe katedry; wtedy Berzelius mógł oddać się wyłącznie nauczaniu ulubionego sobie przedmiotu: farmacyi chemicznój. Jego lekcy medycyny miały niezmiernie powodzenie, kiedy przeciwnie lekcy chemii, bardzo mało były uczęszczane. Nie mógł zrazu podnieść się w wykładzie wyżej, od dawnych swoich mistrzów Afzeliusa i Ekeberga. Zachował on ich zgubną metodę czytania lekcyi, bez objaśniania ich praktycznymi doświadczeniami. Mając silne przekonanie o własnej wartości i głębokich swoich wiadomościach, zdziwił się niezmiernie gdy ujrzał, że lekcy jego nie wydają lepszego skutku, jak lekcy upsalskich professorów. Te piérwsze niepomyślne próby, połączone z radami, w sam czas mu danymi przez uczonego cudzoziemca doktora Marcet, zniewoliły go do porzucenia owój metody czytania bez doświadczeń, która chociaż odpowiadała warunkom błędnym starój logiki, była w najwyraźniejszej sprzeczności z sposobem radzącym polegać na doświadczeniu filozofii Bakońskiej. Sam musiał prawie zupełnie stwarzać sobie narzędzia do téj ważnej przemiany. Pracownia chemiczna, zostawiona mu przez jego poprzednika, nie była dobrze urządzoną, bo prawdę powiedziawszy, nie było tam nic, coby mu mo-

gło posłużyć do rozwinięcia i objaśnienia praw chemii i własności ciał, przez dobrze prowadzone i dobrze zastosowane doświadczenia. Z zapalem chwycił się olbrzymiej pracy, aby zapełnić tę próżnię; a kiedy do wymownego swego nauczania, dodał potem szereg doświadczeń prostych i łatwych do pojęcia, niezliczone mnóstwo zbiegło się do niego słuchaczy, i odczyty jego stały się podziwem u swoich, a wzorem dla wszystkich innych szkół w Europie.

W 1806 r. zaczął wydawać Berzelius razem z Hisingerem pismo czasowe: *Pamiętniki tyczące się fizyki, chemii i mineralogii*. Łatwość cudowna prawie i przenikliwość analityka, najwybitniejsze przymioty jego samodzielności naukowej, jaśniały w tém piśmie najżywszym blaskiem. Liczne i znakomite usługi oddane na tém polu nauce, jak równie inne jego dzieło, nieco później *O chemii zwierzęcej* wydane, a nacechowane najnowszemi i samoistnemi pomysłami, zniewoliły szwedzką akademią królewską do wyznaczenia mu 200 dolarów rocznej płacy, dla ułatwienia mu dalszych w chemii badań.

W r. 1807, właśnie kiedy był naznaczony na profesora medycyny i farmacyi, założył Berzelius, razem z innymi świetnych zasług ludźmi, towarzystwo lekarskie w Szwecyi, które dotąd kwitnie tak, że je można uważać za punkt środkowy rzeczy lekarskiej w Szwecyi.

W roku 1808 nie mając więcej jak 31 lat, był mianowany członkiem królewskiej szwedzkiej akademii, a w r. 1810 był wybrany na prezydenta tego towarzystwa. Odbył potem Berzelius kilka podróży do Francyi; w r. 1812 zwiedził Londyn, a wszędzie był przyjmowany z nieobłudnemi oznakami czci i szacunku przez przyjaciół nauki, którzy umieli pojąć i ocenić zasługi

Berzeliusa. W r. 1815 król szwedzki mianował go kawalerem orderu Wazy.

W roku 1818 mianowanym został dożywotnym sekretarzem akademii nauk, i to miejsce do saméj śmierci zajmował. W r. 1821 został kommandorem orderu Wazy, a w kilka lat później, otrzymał wielki krzyż tegoż samego orderu. Podczas koronacyi Karola Jana 1818 r., otrzymał szlachectwo, a oprócz tego pozwolono mu zachować dawne swe nazwisko, co dotąd było bezprzykładném w Szwecyi. Oprócz tego, był kawalerem krzyża legii honorowój i orderu Leopolda. W r. 1832 przestał być czynnym professorem, a katedrę, na której trzydzieści lat nauczał, oddał uczniowi swemu, doktorowi Mozander. Wtedyto mógł wyłącznie oddać się badaniom naukowym, którym téż rzeczywiście całkowicie się poświęcił.

Okolo tego czasu, ten wielki uczony ożenił się, a w sam dzień jego wesela, król Karol Jan donosząc mu listem własnoręcznym, że go mianuje baronem, pisał do niego jeszcze między innymi rzeczami „że Szwecya i cały świat są dłużnikami człowieka, którego całe życie upłynęło na pracach równie użytecznych dla wszystkich, jak zaszczytnych dla jego rodzinnéj ziemi”.

Dyrektorowie kopalni żelaza w Szwecyi, wyznaczili mu płacę, w nagrodę i przez wdzięczność za niezmierne usługi, pracami jego ich przemysłowi wyświadczone. W r. 1843 ćwierć wieku mijalo, jak Berzelius sprawował obowiązki sekretarza dożywotniego akademii nauk; z tego powodu członkowie tego towarzystwa, zaprosili swego sekretarza na ucztę, której przewodniczył książę następcy tronu. Książę wniósł toast za jego zdrowie, i dodał jeszcze najszczerze wyrazy osobistój

ku niemu wdzięczności, za to, że w młodości raczył kształcić jego umysł.

Od tego czasu aż do śmierci, zajmował się ciągle Berzelius z cierpliwością właściwą sobie, badaniami najrozmaitszemi, które mu jego sprężysty umysł i ruchliwa wyobraźnia ciągle podsuwały. Tak więc życie to płynęło ciągle jednakowo i spokojnie, jakby wielka rzeka, a śmierć wolnemi zbliżała się krokami jakby posłaniec, co smutną przynosi nowinę. Uderzony naprzód paraliżem w dolnych członkach ciała, przewidział, że koniec żywota jego już niedaleki; ale nic nie mogło zmieszać pogody téj potężnej duszy: jak najprędzej dokończył co miał jeszcze do zrobienia na ziemi, i jako pracownik, którego mozoly już się skończyły i co zarobił sobie na odpoczynek, jak żył tak zasnął snem sprawiedliwego, spokojny i cichy. Umarł 1go sierpnia 1848 r. Takie było w krótkim zarysie życie człowieka, którego opis należy wyłącznie do historyi chemii, bo jest od niej nierozdzielny; człowieka, który przez pół wieku pracował ciągle z jednakowym zapalem nad powiększeniem skarbu umysłowego, który pokolenia istniejące zostawiają w spadku następnym.

Wskazawszy w głównych zarysach całą drogę, przez tego sławnego męża przebytą, niech nam wolno będzie teraz zastanowić się jako nad uczonym, i zasługami jego z tego źródła pochodzącemi.

* * *

Zapał niezmordowany w pracy i niewyczerpana cierpliwość, oto co szczególnie odznaczało Berzeliusa, co szczególnie zalecamy uwadze przyszłych życiopisarzy tego wielkiego męża. Kto z tego stanowiska zapatrywać się na niego będzie, nie omyli się skoro powie, że

te przymioty były więcej nabytkiem, niż darem przyrodzenia, i że były niezbędnymi aby utworzyć jednego z największych analityków swego wieku. Doświadczenia długie, mozolne i uporeczywe nawet, były potężną dźwignią, której używał do posunięcia naprzód nauki, i do uświecenia siebie samego. Przenikliwość, równie żywa jak przezorna, jasność bystra umysłu, wprawa do wiary prawie niepodobna, dokładność i szybkość w robieniu doświadczeń: nadały praktycznym wypadkom otrzymanym przez niego, cechę nieodwołalnej i przyjętej przez cały świat naukowy, pewności.

Niezależnie od jego własnych odkryć nadzwyczaj licznych, i od jego własnych teoryj niemniej mnogich i ważnych, przez czterdzieści lat nie odbyto w całej Europie ani jednego ważniejszego doświadczenia, które-goby on nie powtórzył, nie potwierdził, nie sprostował lub przeciw niemu nie walczył. W oczach wielu uczonych, którzy porównywać będą Berzeliusa z owemi twórcami pojęć ogólnych, teoryj śmiałych, obszernych pomysłów, które, jak świat, zamykają wszystko w sobie samych; w oczach takich krytyków zajmie on może niższe nieco stanowisko: ale stać on będzie na szczycie, nawet pomiędzy najslynniejszymi, kiedy się go sądzić będzie podług liczby i ważności czynów rzeczywistych, jakie on swoją wytrzymałą pracowitością i przenikliwością wydobył w nauce na widnię. Rzućcie tylko okiem na dzieła, które ogłosił, zobaczycie zaraz żywe dowody działalności niezmordowanej, jaką rozwijał w pracowni chemicznej i w gabinecie swoim.

Pismo czasowe, o którym już wspomnieliśmy, trwało z górą dwanaście lat, i zamyka w sobie opis wypadków, ze czterdziestu siedmiu oryginalnych jego spostrzeżeń

i poszukiwań. Jego wielkie dzieło, *Chemia*, w ośmiu tomach, co to miało aż pięć wydań, a za każdym razem przerobione było przez niego samego, jest pomnikiem i badań i biegłości badacza. Oprócz tego, na wezwanie akademii nauk w Sztokholmie, rozpoczął Berzelius 1822 roku wydawać: *Zdanie sprawy coroczne z postępów fizyki, chemii i mineralogii*, i to aż do ostatniego roku życia sumiennie ogłaszał, a które zawiera w sobie nieoceniony zbiór chemicznych odkryć; zbiór, jakim żaden inny kraj, ani żaden inny język poszczycić się nie może. Będziemy jeszcze mieli sposobność pomówienia o tém ważnym pod tytuł względami dziele.

Co się tyczy jego odkryć w chemii, dosyć nam będzie na prostém wymienieniu nazwisk najważniejszych. Ciała pojedyncze : tor, cerer, selen, krzem, cyrkon i kolumb, odkryte zostały przez niego. Oznaczył ściśle naturę metaliczną ammoniaku czyli złożonej zasady ammonii, jak równie własności kwaśne krzemionki, i rozmaite stopnie w jakich siarka łączy się z platyną, fosforem i t. d.; robił wiele poszukiwań nad solami kwasów siarkowych, nad kwasem fluorowym, wodorodnym, i nad fluorkami. Nowe podziały powstałe w skutku tych odkryć, okazały niezmierne pożytki praktyczne. Co więcej, czuł on konieczną potrzebę utworzenia nowych prawideł dla oznaczenia wszelkich związków w ten sposób, aby odrazu widne były własności każdego ciała, co podług dawnego słownictwa, jedynie dla związków ukwasorodnionych można było uczynić. Jego praca nad nowym językiem chemicznym, wzbudza zarazem podziwienie i wdzięczność wszystkich tych, co się zajmują chemią. Można także powiedzieć, że Berzelius rzucił pierwsze zasady chemii organicznej. Kiedy teorya ato-

mistyczna Daltona, i odkrycie przez Davy metali alkalicznych, wstrząsnęły aż do zasad nauką chemii; Berzelius zastosował natychmiast zasady pierwszego do składu ciał złożonych, i do porządku w jakim rozmaite pierwiastki łączą się między sobą. Wsparty na pracach poprzedników swoich, i dodając do tego dokładność doświadczeń, nieznaną dotąd, ustalił przez niezliczone rozbiory prawa związków chemicznych, a przywiedzeniem ich do najprostszych określeń, zwiększył jeszcze swoje zasługę. Kiedy prawa te poznane i oznaczone zostały, wtedy możliwém się stało sprawdzanie wypadków rozbioru, przewidzenia nawet wielkiej liczby związków dotąd nieznanych, i wprowadzenie do prac chemicznych dokładności, o jakiej dotąd nie odważono się nawet pomyśleć.

Nie przestając na zastosowaniu tych praw do ciał złożonych, jakie sam chemik może utworzyć, zwrócił je Berzelius do mineralogii, i podał jój sposób poznania naukowo wielu ciał, których dotąd nie umiano w nauce pomieścić. Złączył on tak ściśle te dwie nauki, że od-tąd badanie metalów, nie może się odbywać bez chemii.

Objaśnienie i ustalenie teorii stosunków chemicznych, będzie zawsze uważane za jedną z największych zasług, jakie ten sławny chemik uczynił dla nauki. Ogłosił on w r. 1807 te badania, wprzód jeszcze, nim wyobrażenia Daltona poznane zostały; pracował on podług badań Rychtera, zapomnianych prawie wtedy, które wykazywały stałość w stosunkach łączących kwasów i zasad. Sąd zdrowy Berzeliusa, odrazu pokazał mu całą ważność pomysłu Rychtera.

Zrobił on rozkład nader staranny kilku soli, a tém samém mógł oznaczyć części składowe wielu innych.

Aby okazać **prawdziwość** teoryi Rychtera, rozpoczął **obszerne i długie badanie** soli wszelkiego rodzaju; a kiedy **potém obznajmił się** z teoryą atomistyczną Daltona, **ujrzał, że ona doskonale zgadza się z wypadkami przez niego otrzymanemi.**

Dowiódł również ze ścisłością, że stosunek kwasorodu jest **zawsze stały** we wszystkich obojętnych solach tegoż samego kwasu. Oznaczył nadto wagę odpowiednią **względą, podług której łączą się** rozmaite pierwiastki dla utworzenia związku. Byłto jego ulubiony przedmiot **zajęcia, nad którym z największym zapalem pracował; to téż jemu winniśmy największą część równoważników pierwiastków.**

Wielki ten chemik, **nietylko bardzo wiele przyłożył się do ustalenia i udoskonalenia teoryi atomistycznej, ale wprowadził ją do nauki, i tym sposobem ogromny dał popęd chemii organicznej i mineralogicznej.**

Jego **teorya elektro - chemiczna, ze wszystkiemi swemi już urzeczywistnionemi następstwami, i mającemi się jeszcze w przyszłości urzeczywistnić, jest równie jednym z największych jego czynów.** Teorya ta gwałtownie **napastowana w ostatnich czasach, do dziś dnia nie została rzeczywiście obaloną; zastosowanie praw związków do organizacyi zwierzęcej i roślinnej, jest podług nas najświetniejszą zasługą i najszcześniejszym wypadkiem potęgi gieniuszu Berzeliusa.**

I w **rozbiorowej chemii Berzelius położył ogromne zasługi; odkąd Bergman wskazał pierwsze sposoby dokładnych rozbiorów, wielu z uczonych zajmowało się tą ważną gałęzią chemii; ale metoda Berzeliusa przewyższa wszystkich i wszystko, co w tym względzie było najdokładniejszego.**

Winniśmy mu najlepsze sposoby robienia ilościowych rozkładów najrozmaitszych ciał; onto ze znanych chemików, oznaczył skład największej liczby ciał naturalnych i sztucznych. Pomiędzy owemi sposobami rozbioremi, najważniejsze, jakie mu nauka winna jest: zastosowanie kwasu wodorodno-fluorowego do rozkładu minerałów, zawierających krzemionkę, i użycie chloru do odłączania metalów. Jego rozbiory niektórych rad, wód mineralnych czeskich i innych, nie zostawiają do życzenia. Rozbiór co do jakości został także dużo przez niego ulepszony, a zastosowanie dmuchawki, przyniosło nieocenione korzyści dla badań mineralogicznych. Szwedzcy chemicy, między którymi głównie zasługuje na wzmiankę Gahn, użyli dmuchawki, jako sposobu najpewniejszego do dochodzenia minerałów. Ważne to narzędzie, dopiero co we Francyi zastosowane, było w rękach Berzeliusa najdzielniejszym środkiem do rozkładania ciał nieorganicznych. W dziele o tém narzędziu, wykazał jego użyteczność, i jaką pomoc od niego nauka mieć może. Dzieło to pod tytułem: *O użyciu dmuchawki w rozbiorach chemicznych i oznaczeniach mineralogicznych*, przetłumaczył ze szwedzkiego na francuzki, Fresnel, w Paryżu 1827 r.

Niepodobieństwem prawie jest, wchodzić w szczegóły niezmiernie drobiazgowo i wyliczać same tylko napisy wszystkich pamiętników Berzeliusa; ani jeden może chemik tyle ich po sobie nie zostawił. Zaledwie kilka przedmiotów, kilka ciał mógłbym wymienić, nad którymi nie robił licznych doświadczeń; a każda jego praca zawiera nowy jakiś sposób, albo jakąś zmianę w sposobie rozkładu, a zawsze coraz lepszą i użyteczniejszą dla nauki.

Berzelius ogłaszał dopięro wtedy swą teorią, kiedy ją poparł licznemi i rozmaitemi czynami, i sprawdził długimi i cierpliwemi doświadczeniami. Niedawno byliśmy świadkami dosyć zwawych rozpraw o wyobrażeniach teorycznych; lecz znamienity szwedzki uczoney uważał każde teoryczne wyobrażenie jako pewnik, skoro tylko przyjętém zostało do nauki, chybaby było zwalczone nieodpartemi przeciwnemi czynami. To téz wszystkie wymysłowe teorye chemii, chociażby były najdowcipniejsze i napozór dużo obiecujące, znajdowały w Berzeliusu strasznego przeciwnika, który walczył z niemi i przekładał nad nie pewniki dawniejsze, dotąd, dopóki nowe czyny, jawnie nie okazały prawdy nowych pomysłów. Jeżeli niektóre z jego teoryj nie są przyjęte przez wszystkich chemików, trzeba to przypisać zbytecznej jego oględności; w nauce, opartej wyłącznie na doświadczeniu, ta bojaźliwa powściągliwość opóźnia zapewne przyjęcie niejednego nowego i prawdziwego wyobrażenia, ale zato bardzo rzadko wprowadza na błędną drogę. Kiedy Berzelius zaczął swe prace w Upsali, cała nauka opierała się na grubych teoriach, jedne na drugich zlepionych; a próżnie, napotykanie w rzeczach najwidoczniejszych, starano się zapełnić przywidzeniami, obranemi zupełnie z prawdopodobieństwa. W tém miejscu miał Berzelius do zwalczenia niesłychane przeszkody; ztądto zapewne pozostał w nim ów wstręt do tworzenia teoryj, które przywłaszczając sobie miejsce prawdziwej filozofii, budowały przypuszczenia na przypuszczeniach, i dawały nazwisko nauki najniedorzeczniejszym wypadkom. Może jednak będzie miał słusność, kto powie, że Berzelius zabardzo powstawał na badania czysto teoryczne; ale z owego kierunku umysłowego wiel-

kiego męża wypłynęło, że kiedy on przyjął jaką teorię, można było być pewnym, że opiera się na stałych i pewnych podstawach.

Ta zbyt uczona, jak powiedziałem, oględność, wystawiała go nieraz na gwałtowne napady; a jednak to wydało dla nauki nieobrachowane korzyści: żadne albowiem wyobrażenie teoryczne nie wcisnęło się bezkarnie do chemii, kiedy czuwała tam nad nią groźna powaga, która rozbierała ją ze wszystkich stron, i sprawdzała tym sposobem jej wartość i prawdziwość. Nie chcemy tu wcale nastawać na pełne zasługi usiłowania uczonych mężów, którzy starają się wprowadzić do nauki nowe wyobrażenia; ale sądzimy, że Berzelius więcej uczynił dla chemii przez swój rozbiorowy i oględny kierunek, niż ci, którzy bez różnicy i sprawdzenia poprzedniego, przyjęli nowe teorie, a gdy te stały się ogólnymi, szeroko głosili swoją bystrą przenikliwość. Byłoby to zresztą bardzo naturalnym, że człowiek, który we własnych swoich badaniach był niezmiernie oględny i dokładny, sądził z niezwykłą surowością prace, a nadewszystko mniemane odkrycia innych.

Tę dążność do krytyki naukowej, tak wybitną w Berzeliusu, ośmielano się przypisywać zazdrości niegodnej jego szlachetnego serca, nie chcąc jej przyznać gorącej miłości ku nauce, która każdą chwilę jego świetnego żywota zapełniała. Zazdrosnym on był, prawda, ale tylko o chemię. Z jego niezmiernie ścisłymi doświadczeniami, stawały w naturalnej niejako sprzeczności wszystkie owe utopijne teorie, któremi igra sobie gorący zwykle umysł lubiących nowostki. Ale chociaż stał upornie przy dawnych prawdach, to mimo to, jego własne postępowanie i prace dowodzą aż do oczywistości, że owo

usposobienie jego osobowo-naukowe, nie przeszkadzało mu wcale do poszukiwań i badań pracowitych nad tém wszystkiém, co jeszcze w chemii pozostawało do odkrycia.

Badania Berzeliusa w chemii zwierzęcej są równie bardzo ważne; najważniejsze między niemi były czynione nad krwią i żółcią. Odkrył on kwas mlekowy w rozmaitych cieczach zwierzęcych, jakoto: we krwi, mleku, moczu, łzach i t. d. przez co wielką i ważną uczynił przysługę medycynie, a właściwiej mówiąc chemii życia.

Równie zbogaconemi zostały pracami tego wielkiego chemika elektryczność, chemia roślinna i fizjologia. Czego się dotknął, to wszystko ulepszał; i możemy powiedzieć o nim nie obawiając się przesady, że byłto pracownik niezmordowany i najpłodniejszy ze wszystkich, niwę nauk uprawiających.

* * *

Opowiedziawszy pokrótce o Berzeliusu ze stanowiska jego prac osobistych, pozostaje nam jeszcze wspomnieć o nim jako o krytyku. Pod tym względem, wywierał on bez wątpienia równie ogromny wpływ na naukę, jak przez własne swoje odkrycia.

Rozbiór ścisły i surowa krytyka, pod którą podciągał Berzelius przez 25 lat wszystkie prace chemików i fizyków w swoich *Sprawozdaniach rocznych*, pobudzały przeciwko niemu bardzo często rozdrażnienie uczonych, bo miał obok wszystkiego tę jeszcze słabość, że za bardzo szczerze i otwarcie zdanie swoje o nich wyrzekał. Za naszych dni posunięto się aż do powiedzenia, że z prac francuzkich bardzo mało znalazło łaskę u niego, chyba, że były wydane w duchu jego nauczania i wyro-

bione podług zasad jego teoryi. Jestto zarzut jeden zpomiedzy wielu, który mu najniesłuszniej czyniono, bo dosyć jest przejrzyć jego zajmujące *Sprawozdania*, aby się przekonać jak fałszywie go oskarżano. Życzonoby sobie zapewne, aby sumienne prace Berzeliusa, były tylko prostą statystyką ruchu nauki; ale to nie leżało w naturze jego usposobienia, bo każdy tam artykuł był zarazem rozumowym wykładem i sądem rozważonym, a nie na wiatr wydawanym. Złośliwsi utrzymywali nawet, że owe urzędowe niejako wyroki naukowe, nie miały żadnego celu, i żadnego pożytku; że wykladać, sądzić i zbijać badania, co dużo prac i trudów wymagały, byłoto przedsięwzięcie i złe i niegodne. Nakoniec posunięto się aż do utrzymywania, że owe *Sprawozdania* Berzeliusa nie były jego dziełem, ale że to był prosty zbiór, robiony przez jego własnych życzliwych mu, ale niedoświadczonych uczniów!!

Kiedy krytyka naukowa pojęta jest dobrze i wykonywana sumiennie, będziemy ją zawsze popierać, mimo wszystkie krzyki i zarzuty jej przeciwników; a ci co kochają naukę dla niej samej, a nie dla sławy jaką czasem otacza, albo dla korzyści jakie jeszcze rzadziej daje; przystaną pewnie na naszą stronę. Boć nieskończenie ważnym jest, aby żaden błąd nie wcisnął się do jakiegobądźkolwiek nauki, i potrzeba następnie, aby byli ludzie jaśniejący, coby chcieli poświęcić się téj mozolnej pracy, badania i oceniania odkryć, prac prawie nawałem co dzień rosnących, i coby mogli, *wsparci powagą imienia swego*, przyjąć te, co są prawdziwe, a odrzucić i skazać na potępienie te, które na to tylko przyszły do dziedziny nauki, aby zjednać rozgłos ich autorom, a nie po to, aby zбогacić samą naukę. To też śmierć Berzeliusa z tego wzglę-

du jest podług nas najokropniejszą klęską, bo nas zostawia samym sobie, bo z nim i umarła dzielna, czujna i bezstronna krytyka; bo on sam, stał zawsze na czatach, zawsze gotowy do oznaczenia miejsca teoryom na los rzuconym lub fałszywym, oraz doświadczeniom złe zrobionym, albo zmyślonym.

Nie mamy za złe wcale Berzeliusowi, że miał odwagę do czynienia swoich zarzutów szczerze i otwarcie, jak to poprostu mówią, że nie obwijał nic w bawełnę; i spodziewamy się, życzymy sobie z całego serca, aby świetny jego przykład nie został bez naśladowcy. Krytyka ma tę wielką w sobie korzyść, że obudza współubieganie się, że zwraca uwagę prawnych sędziów na doświadczenia i teorye, które rodziłyby się, i wnet umierały, gdyby nie były rozbierane i sumiennie oceniane. Któż nie wie, któż głośno nie przyzna, że rozbiór ścisły, chociażby był ostry a nawet nieprzyjazny, daleko więcej wart, niż uporczywe ciągle milczenie?

Lecz żeby krytykować dzieła innych, żeby móż oznaczyć rzeczywistą ich wartość, trzeba samemu być na szczycie nauki, trzeba samemu mieć w sobie połączone wszystkie przymioty prawdziwego krytyka, które na nieszczęście rzadko bardzo razem w jednej osobie się łączą. Berzelius miał je wszystkie i w wysokim stopniu. Nie twierdzimy wcale, jakoby wielki ten człowiek, był bez zmayı, jakoby on był dyamentem najczystszej wody. Niestety, nie był nim! Byłto człowiek, a największy na świecie człowiek, widziany zanadto blisko, ma plamy na sobie. Ale mimo to utrzymywać, stać przy swoim będziemy, że mało uczonych jednoczyło w sobie w tak wysokim stopniu zasługę świetną i niezaprzeczoną, wyższość teoryczną i praktyczną powszechnie uznaną, wie-

dzę, tak pełną siły tego wszystkiego, co było zrobionem w nauce, nakoniec uznanie wewnętrzne, że miał obowiązek wielki do wykonania i święte posłannictwo do spełnienia.

Tak jest! żałujemy Berzeliusa, bo nie zapomnimy nigdy świetnych usług, jakie ciągle nauce chemii oddawał; bo drżemy na myśl, że progi świątyni pozostały bez strażnika, i że odtąd będą tam mogły wchodzić swobodnie wszystkie utopie toryczne, wszystkie obłąkania się i obłądy wyobraźni. Chemia, za naszych czasów nabiera jakiegoś fałszywego kierunku, i oko filozofa, ze smutkiem widzi, jak ona rzuca się znowu w ciemności, z których ją wiek przeszły, z takim mazołem, wydobył. Kanclerz Bakon, mistyk Paracelsus, a przed nimi jeszcze nasz rodak Van-Helmont, okazali przecież dowodnie wyższość doświadczeń nad wymarzonemi teoryjami i nicosć systematów stawianych bez doświadczeń. Dzisiaj, nie ma jedności w pracy: jedni szukają nowego podziału, drudzy nowego systematu; inni wyobrażają sobie, że można znaleźć system samém szukaniem, a nadając, podług wyrażenia się nowego autora (*Kirejewski, Historia prawodawców chemików*) „nowy widok wielkiemu dziełu”, przybierają na się najzupełniej charakter starożytnych alchemików; inni nakoniec chcąc odrodzić chemią organiczną, kręcą nią na wszystkie boki, ściskają ją i męczą, ale nie mogą nic takiego uczynić, coby się ostać i powagę naukowego pewnika mieć mogło. Czyż nowy jaki Berzelius nie przyjdzie i nie uchwyci znowu berła krytyki, które ze złodowaciałych rąk sławnego chemika wypadło, aby przywołać do porządku ten tłum pracowników nieużytecznych, i aby im pokazać, jak się

to działa, **kiedy** się chce jaką naukę o krok dalej posunąć!...

W **stosunkach** codziennych Berzelius był prostym bez rubaszości. Nie miał on w sobie ani odrobiny zarozumiałości, która płynąc z przesadzonego uczucia własnej swojej wartości, zmniejsza czasami bardzo przyjemność, jaką się ma w towarzystwie ludzi jaśniejących nauką i obszerną wiedzą. Wstawał on bardzo rano, i nikt go z odwiedzających nie zastał nigdy niezajętym. Żadna osoba, ktokolwiekby ona była, nie uskarżała się nigdy na przyjęcie u niego. Znał on wartość czasu, i starał się dać ją uczuć i innym. Przez przeciąg tak długiego zawodu, bo 70 lat obejmującego, z których 44 upłynęło w jedném mieście, związany ciągle pracami trudnemi a często uciążliwemi; pracami, które zwykle czynią charakter człowieka przykrym i zgryźliwym, umiał jednak Berzelius pozyskać i zachować przywiązanie swych uczniów, przyjaźń kolegów, szacunek monarchy i względy u wszystkich co go znali bliżej. Dziśiśi chemicy, najbardziej odznaczający się, wyszli z jego pracowni, jakoto: Mitscherlich, Gmelin, Henryk i Gustaw Rose, Woehler, Magnus, Arfwedson, Mosander i wielu innych. Wszyscy dotąd zachowali dla swego mistrza szacunek bez granic, bo go uważają jako sprawcę ich powodzeń w nauce, jako umysł, co ukształcił ich umysł, i nadał mądry kierunek ich pracom.

Panowie! oskarżają nas może, że chcieliśmy napisać pochwałę Berzeliusa; ale zapewniamy, że kuszenie się nasze było daleko skromniejsze. Broniąc tego wielkiego człowieka od niesłusznie poczynionych mu zarzutów, chcieliśmy na tém uroczystém zgromadzeniu przypomnieć wiatu jego zasługi i prawa do chwały; śledząc bieg ży-

wota tak długiego i tak świetnie wypełnionego, chcieliśmy okazać młodemu chemikowi, którychby dzisiejsze dążenia nauki mogły obłąkać, jakimto sposobem budują się podwaliny wziętości i sławy nigdy nieginącej, oraz świetnego w nauce imienia; jakimto sposobem, aby posunąć nauki doświadczalne, trzeba podtrzymywać pomysły pierwotne przez uporczywą wytrzymałość w doświadczeniach, i przez ciągłą pracę, której nie można odebrać odwagi!

Rodak nasz p. hr. Eustachy Tyszkiewicz, poznał osobiście słynnego chemika, podczas swojej podróży do Szwecyi. Wróciwszy z tamąd, wydał w Wilnie jako wspomnienia z owej wycieczki do Skandynawii, dzieło w dwóch tomach, pod tytułem: „Listy o Szwecyi” w którym opisuje swoje widzenie się z Berzeliussem i wrażenie, jakie on na nim uczynił. Mniemamy, że uczynimy tym wielką przyjemność czytelnikom Bibl. Warsz., gdy obok świetnej mowy p. Louyet, dodamy małego obrazek o Berzeliusu, skróślony ręką naszego współziomka. Oto jak rozpowiada p. Tyszkiewicz o tych odwiedzinach u Berzeliusa:

„Pomiędzy osobami do których mnie polecono, był znakomity Berzelius. Miałem do niego pismo od czcignego profesora Eichwalda z Petersburga, osobiście mu znajomego.”

„Berzelius latem zwyczajnie mieszkał za miastem, nie zastałem go przeto w mieszkaniu; zostawiłem tylko list w ręku służącego, zwiastującego mi przyjemną wiadomość, że Berzelius jutro rano wróci do miasta.”

„Europejskiej sławy imię Berzeliusa, nie potrzebuje jak mi się zdaje, żadnego objaśnienia, gdyż ktokolwiek tylko dotknął się do drukowanej książki, temu pew

nazwisko to nie jest obce. Jest on dzisiaj prezydentem Akademii Nauk. Uczone towarzystwa całego prawie świata, poczet swych członków ozdobiły nazwiskiem Berzeliusa. Ten jeden z najpiérwszych dzisiaj chemików w Europie, zajmuje skromne mieszkanie w gmachu Akademii Nauk, przy jednéj z najwspanialszych ulic stolicy, zwanéj Drottning-Gatan (ulica królowéj). Nazajutrz tedy udałem się znowu do Akademii Nauk. Tam wprowadzono mię do niewielkiego laboratorium, skromnie i poprostu urządzonego, z którego jednak tyle ważnych odkryć i sprostowań uczony świat wzbogaciło.”

„W teje chwili wybiegł, z uprzejmością mnie witając, średniego wzrostu, niezbyt stary i w miarę mający ciała mężczyzna. Byłto Berzelius. Jego skromna powaga, to nieudane zapomnienie siebie samego, ujęcie i szczerą chęć służenia wszystkiém, co było w jego mocy, tak mię w planach mych zmitrężyły, że ja, com przez całą noc rozmyślał tylko o tém, jak i o czém rozmawiać będę z Berzeliusem, usiadłem z nim najspokojniéj na kanapie, prowadząc najnaturalniéj rozmowę, w której nic nadętego próżnemi słowami nie słyszałem. Szanowny ten człowiek skreślił mi plan dalszój mojej podróży, kazał mi natychmiast odjechać do Skanii, poznać pana Nilson, profesora uniwersytetu w Lund, i znakomitego antykwarjusza; tam skorzystawszy z jego prac i spostrzeżeń, udać się do Kopenhagi dla szczegółowego zbioru starożytności północnych i poznania osobiście znakomych ludzi, pracujących w tym rodzaju; z Kopenhagi radził mi najwłaściwiéj udać się przez Sund i Kategat do Gotenburga, a ztamtąd przerznawszy wpoprzek całą Szwecyą, wrócić do Sztokholmu na czas dłuższy, gdzie zapewne już wrócą ci wszyscy, których znajomość w badaniach mo-

ich **pożyteczną** mi być mogła. Nie zapomniał dołączyć **swoich** uwag i niezbędnie dla mnie potrzebnej instrukcyi. Podwojona więc dla mnie z téj podróży miała być **pociecha**, gdym ją jeszcze z porady i woli Berzeliusa miał odbywać."

„Nie chciałem dłużej być natrętnym i zajmować czasu, tak chlubnie przez uczonego męża trawionego, lecz mnie sam zatrzymał i zaczął niektóre uwagi czynić nad pomnikami, odkrywanymi w ziemi. Właśnie wozilem z sobą wiele zabytków starożytności odgrzebanych na Litwie, ażebym je na miejscu ze skandynawskimi porównał; i gdym mu wspomniał o łzawnicy szklanéj, w której płyn dotąd się przechował, Berzelius tak mówił do mnie: Nie mając przekonania ażeby naczynie kiedyś otwór swój miało, nie można sądzić inaczej, jak tylko, że części wilgotne w skutek długiego leżenia w ziemi, przez powierzchnią szkła do wnętrza wypróźnionego naczynia się dostały. I w Szwecyi podobną osobliwość przed kilką laty w dawnym grobie znaleziono. Ale jest pewność, w którą wierzę i przekonany jestem, że szkło przez siebie nie przepuścić nie może; nie było jednak doświadczenia i sprawdzić niepodobna, czy to co przez lat 50 stać się nie może, kilka wieków przemienić nie potrafi? Berzelius mówił długo o zbójcach morskich dawnéj Skandynawii, którzy niezmiernie odległe czynili wycieczki, i ze wszystkich stron świata nieznanie przedtém téj ziemi przywozili wyroby; następnie wymieniał niezaprzeczony wpływ, jaki to pokolenie na brzegi nadbałtyckie w ogólności wywierało; a mówił tak jasno, tak trafiał do przekonania, że każdego z łatwością przekonać o tém, co mówił, potrafi. Kiedym go żegnał, prosił mnie, ażebym wróciwszy do stolicy, odwiedził go i zdał mu sprawę

z swojej wycieczki. Przyrzekając mu dodałem, że mi na sercu dług wdzięczności ciąży, że będę u niego, żebym mu podziękował za jego dobre dla mnie chęci, i że gdy wrócę na rodzinną ziemię, opowiem ziomkom moim o pomocy jaką mi **Berzelius** w podróży mojej wyświadczył; gdyż to wielkiej chwały imię jest równie głośnie w całej Słowiańszczyźnie, jak i na jego rodzinnej ziemi”.



AUTORKA.

DRAMAT WE CZTERECH AKTACH

PRZEZ

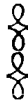
Józefa Horzeniowskiego.

O S O B Y.

EMILIA.

KLEMENTYNA.

AUGUST.



STANISŁAW.

LOKAJ AUGUSTA.

LOKAJ EMILII.

Scena na wsi.

AKT I.

(Pokój Augusta na wsi. AUGUST siedzi zamyślony. STANISŁAW przechadza się z cygarem).

STANISŁAW (*staje przed nim*). — Czy wiesz Auguście, żeś mię zrobił kłamcą.

AUGUST (*podnosi głowę*). — A to jak?

STANISŁAW. — Pytano mię w pewnym miejscu koło Maryampola, czy znam p. Augusta Błaszковского? Odpowiedziałem, że znam doskonale, że to mój sąsiad i przyjaciel.

AUGUST (*podaje mu rękę*). — Toś powiedział prawdę, bądź pewny.

STANISŁAW. — **Poczekaj.** Pytano mię, czemu p. Błaszowski teraz **nic nie pisze?** — Odpowiedziałem, że kupił majątek **niedaleko od Warszawy**, że wpadł w interesa, że się urządza, **słowem**, że nie ma czasu.

AUGUST. — **Nie widzę**, mój kochany Stasiu, dlaczegoś się posądził o **kłamstwo**, bo i to prawda. Wyplątuję się z biedy z **wielką trudnością**. I gdyby nie jakaś niewidoma ręka, która mi pomaga, to nie wiem doprawdy, jakbym tego dokazał.

STANISŁAW. — **Niewidoma ręka!** Ale poczekaj, powiesz mi to **potém**, bo tu jeszcze nie o to idzie.

AUGUST. — **A o cóż?**

STANISŁAW. — **Oto dwie śliczne panie**, powabne jak Litwinki, ze **słodkiem wejrzeniem**, z **ciągnącym się i pieszczonym głosem**, i notabene wielkie admiratorki twojej ostatniej powieści, w której dałeś tak cudną i tak prawdziwą rolę kobiecie, opadły mię i dopytywały się, jak p. Błaszowski wygląda, jakiego wzrostu, jakie ma włosy, jakie oczy, czy wesóły, czy rzewny, czy lubi niebo gwiazdziste i księżyc w pełni.

AUGUST (*ruszając ramionami*). — **Spodziewam się**, żeś odpowiedział, żeś nie lunatyk.

STANISŁAW. — **Naturalnie**, odpowiedziałem, że wyglądasz jak człowiek rozsądny, który ma dobry apetyt i niezłego kucharza; żeś czerstwy, rumiany, nie głupio wesóły, ale spokojny, dobrego humoru i wcale nieromansowy. I otóżto w tém okropnie skłamałem.

AUGUST. — **Czy nie wyglądam**, jak człowiek rozsądny?

STANISŁAW (*biorąc jego rękę*). — **Nie, nie**, mój dobry Augustcie. **Wynędzniałeś**, schudłeś, nic nie jész, nie spiasz. **Od dwóch dni**, które tu bawię u ciebie, nie spu-

szczam cię z oka, i widzę, że się coś w całej twojej istocie zmieniło. Czyś nieszczęśliwy?

AUGUST (*powstaje*). — Bardzo (*zaczyna chodzić*).

STANISŁAW. — Czemuż nie mówisz?

AUGUST. — A, nie takto łatwo, jak ci się zdaje, dać ci poznać moje okropne położenie...

STANISŁAW. — Okropne? Cóż to? czy bank ogłosił sprzedaż twego majątku?

AUGUST. — Co za głupstwo! Tobie zawsze tylko bank w głowie; tak źle nie stoję w interesach.

STANISŁAW. — A więc o cóż idzie? bo spodziewam się, żeś nie chory.

AUGUST. — Nie.

STANISŁAW. — I nie masz nic na sumieniu?

AUGUST (*odwraca się*). — Otóżto właśnie, że mam.

STANISŁAW. — Przestraszasz mię.

AUGUST (*patrząc w ziemię; po pauzie*). — Nie byleś jeszcze po powrocie u panny Emilii?

STANISŁAW (*z uśmiechem*). — A! a! więc to to?

AUGUST. — Co? zatem wiesz?

STANISŁAW. — Czegożeś się tak wypatrzył? O niczym nie wiem; ale domyślam się, że to jakiś romantyczny kłopot, jakieś nieporozumienie, może jaka mała niewierność. No, jeżeli tak, to oddycham. Wszystkie te serdeczne klęski dziś niestraszne — nie kompromitują.

AUGUST. — Nie odpowiadasz mi na pytanie. Czy nie byleś jeszcze u p. Emilii?

STANISŁAW. — Pięć miesięcy bawiłem w Augustowskiem; przed tygodniem przyjechałem; nigdzie nie był, tylko u ciebie. Ale dlaczegoż mię o to pytasz? Czy i ty autorki naszej tak dawno nie widziałeś?

AUGUST (*dobywa bilecik i daje mu*). — Czytaj (*przechadza się*).

STANISŁAW (*czyta*). — „Już przeszło trzy tygodnie, jakżeś pan u mnie nie był. Wiem, że siedzisz w domu zamknięty i nikogo nie widzisz. Czyś pan chory? czyś się rozniewał, że ci tak jak zawsze odpowiedziała? czy już panu przyjaźni mojej niepotrzeba? Czekam pana przez dziś i przez jutro. Jeżeli się nie doczekam, przyjadę do pana sama. Znasz mię pan dostatecznie i przekonany jesteś, że to zrobię bądź co bądź! — Emilia.” (*Oddając bilet*). A tyż co na to?

AUGUST (*smutno*). — Posłałem po paszport do Litwy, i jak tylko przyjdzie, pojedę. Na jutro zaś, żeby mię nie zastała w domu, zapraszam się do ciebie.

STANISŁAW (*po chwili*). — Hm! — więc już p. Emilii nie kochasz?

AUGUST. — Czyż ja kochałem ją kiedy?

STANISŁAW (*siadając*). — A, przyznam ci się, że tego nie a nie nie rozumiem.

AUGUST (*rzuca się na krzesło*). — Ale to przynajmniej pojmujesz, że kiedy tak jest, to muszę być bardzo niešťęśliwym.

STANISŁAW (*z uśmiechem*). — Przepraszam cię kochany Auguście, ale jeszcze i tego nie widzę.

AUGUST (*powstaje*). — A cóż widzisz? że mizerniej bez przyczyny, schnę nie wiedzieć dlaczego? nie jem i nie sypiam tak sobie dla satysfakcyi, dla jakiejś oryginalności? Musisz więc mieć mię za dziwaka i głupca, o którym byłoby co powiedzieć (*zaczyna chodzić*).

STANISŁAW (*idzie za nim, i biorąc jego ręce*). — Chodźno Auguście, usiądź i rozbierzmy tę rzecz *ab ovo*. Może się pokaże, że więcej jest w twojej imaginacyi, niż w rze-

czywistości. Nic tak nie powiększa złego, jak tajenie go w sobie. Myśl zgubna, zamknięta tu, zabięra w siebie wszystkie inne myśli, zaraża je, gangrenuje swoim jadem i zamienia w ogromną masę trucizny, zdolnej zabić pokój, zdrowie, a czasem i życie. Nikt jeszcze nie przyszedł do rozpacz, kto się mógł wygadać (*sadzając go*). Siądźmy więc i zacznijmy. — Przed dwoma laty kochałeś p. Emilią?

AUGUST. — Zdawało mi się. Zjechaliśmy się u wód. Było nas mało rodaków, tak, żeśmy z sobą tylko przepędzali prawie dni całe. Jęj piękność, rozum, dobroć i jawność charakteru podbiły mię; a to usamowolnienie się dwudziesto-kilko-letniej panny, która zrzuciła z siebie jarzmo pozornego dozoru, puściła się w świat sama i czystość swoję oddała tylko pod straż rozsądku i przekonania, oczarowały mię zupełnie. Więsz ile jest wdzięku w jęj towarzystwie, ile powabu i porywu w jęj rozmowie, ile naturalności i swobody w jęj obejściu się.

STANISŁAW. — Czyż jęj nie znam?

AUGUST. — A przecież, mimo tę całą poufałość, jakiej sobie pozwala, świętość jakaś panięńska otaczała ją zawsze, i nikt żadnęm słówkiem nie śmiał zarumienić jęj czoła.

STANISŁAW (*z uśmiechem*). — I ty mówisz, żeś jęj nie kochał?

AUGUST. — Wówczas nie wiedziałem o tém. I potęm długo, długo jeszcze nie rozbierałem moich uczuć. Podziwienie, uznanie talentu, cześć i przyjaźń najszczerszą wziąłem za miłość, i zaraz po powrocie do kraju, prosiłem ją o rękę. Podała mi dłuę przyjaciołki, dobrej towarzyski, koleżanki we wspólnym zawodzie, w podobnych pracach; ale o miłości mówić sobie nie dała. Na-

stawałem, lecz widać nie było ani w moich oczach, ani w moim głosie siły prawdziwego wzruszenia. Nie mogłem jój owiać oddechem miłości, pokonywającym najupartsze kobiące postanowienia, bo jój w sercu mojem nie było. Ja gadałem, ona się uśmiechała, jakby nie rozumiejąc mię wcale.

STANISŁAW. — Może się kochała w kim innym?

AUGUST (*zrywa się*). — Jeżeli jeszcze raz taką głupią zrobisz uwagę, nie powiem ani słowa.

STANISŁAW. — A widzisz! a mówisz, że jój nie kochasz.

AUGUST. — Szanuję ją, uwielbiam jak zawsze, jestem jój przyjacielem więcej niż kiedykolwiek; ale jój nie kocham. Ah! to zupełnie co innego! przekonałem się o tém przed trzema miesiącami.

STANISŁAW. — A! a! teraz zaczynam trochę rozumieć. Ale siadźno i mów dalej; już ci przerywać nie będę.

AUGUST (*siadając*). — Warszawa jest stolicą plotek. Jak pszenica na ziemi sandomierskiej, tak one rodzą się tu i bujają na bruku twardym i ostrym. Zaledwie Emilia wróciła od wód, spotkały ją krzywdzące banialuki o naszych stosunkach. Upośledzone od natury kokietki nie mogły jój darować jój wdzięków; jęczące pod rygłem małżeńskim zalotnice jój swobody; odłużone elegantki jój dostatków; głupie dewotki jój rozumu. Do téj klikki spodnicowój przyłączył się orszak kilku autorków, przechodzących w zawziętości złość kobięcą, którzy jój nie mogli darować jój talentu. Wszystko to rzuciło się na nią, szarpiąc ją to pokątną obmową, to drukowaną napaścią, to przyjacielskimi radami i uwagami. Wyższa w swém przekonaniu, niewinna i czysta myślą i ciałem, śmiała się z początku z głupstwa, litowała się nad zło-

ścią, i gardziła ostremi językami próżniaków. Ale wkrótce znużyła ją ta bezowocna walka: porzuciła miasto, i, jak wiész, osiadła tu na wsi.

STANISŁAW. — I kochana Warszawa w kilka dni zapomniała.

AUGUST. — Byłaby zapomniała, bo nikt tak prędko nie zapomina, jak ona. Ale Emilia przypomniała się publiczności nową pracą, jaśniejącą prawdziwym talentem; i ja przyjechałem także. Zaczęto więc znowu o niej gadać; a gdy się dowiedziano kto ja jestem, odnowiły się komeraże, i jedna plotkarka pokazywała mnie drugiej w teatrze, w zgromadzeniach, na ulicy. Dowiedziałem się wkrótce o wszystkim. Pojechałem do Emilii, mówiłem, błagałem; byłem wymowniejszym tą razą niż dawniej, bom rzeczywiście był przeniknionym, bom chciał szczerze koniec położyć gadaninie i poświęcić się szczęściu i pokojowi kobiety, którąm cenił nad wszystkie.

STANISŁAW. — I naturalnie ona cię i tą razą odgadła i przeniknęła. Ach! to wielka prawda, że tylko tę kobietę można wymową oszukać, która chce być oszukaną. Żebyśmy my przy naszym rozumie mieli ich przenikliwość, ileżbyśmy sobie głupstw oszczędzili! Ale my patrzymy najczęściej baraniemi oczami. Jednak przepraszam cię; przyrzekłem nie przerywać. Cóż tedy ona?

AUGUST. — Ona patrzyła na mnie z wyrazem niewypowiedzianej łagodności, jak gdyby mi przebaczała, żem kłamał; potem kiwając głową i podając mi obie ręce, rzekła: — Zostańmy przyjaciółmi; jeszcze mi żal swobody. — Obraziłem się tym uporem i postanowiłem go przeprzeć. Sprzedałem mój mająteczek w Lubelskiem i kupiłem ten, aby być jój sąsiadem, aby ją przekonać, że jak jój, tak i moje postanowienie jest nieodzowne.

Wiész ilem **na tém** stracił, jak drogo zapłaciłem te nieurodzajne piaski, jak wplątałem się w interesa, przymuszony kupić **majetność** znacznie większą, niż moje fundusze, gdyż **nie było** innéj w bliskości. Ale o **tém** wszystkiém **nie wspominałbym** ci, gdyby to nie należało do rzeczy, i nie pogorszało mojego położenia.

STANISŁAW. — **Wszakże** splanasz wierzycieli?

AUGUST. — **I to** właśnie podwaja moję niedolę.

STANISŁAW. — **A co** tego, to już całkiem nie rozumiém. **Cóż u** djabła! czy boisz się nie mieć długów, aby ci **nie zaprzeczył** szlacheckiego dyplomatu?

AUGUST. — **Porzuć** niewczesne żarciki. **Mówiłem** ci, że mi pomaga **niewidoma** ręka.

STANISŁAW. — **Prawda**, wspominałeś o **tém**. **Szczęśliwy** człowieku! zazdroścę ci. **Żeby** to mnie pomogła choć jaka **widoma**, choć jaka **żydowska** ręka! Ale gdzie tam, o **mnie** nikt nie myśli, tylko jeden bank. Oby się za **to** splątał w rachunkach! Ale słucham cię.

AUGUST. — **Dla** mnie ta ręka nie jest **niewidomą**. Nie mam **wprawdzie** przekonania, **oczywistego** dowodu; ale **serce** moje zgaduje, ale **domyślam** się, że to ona płaci za **mnie** tajemnie, **extabuluje** moich wierzycieli i **odsyła** mi **beziemiennie** moje rewersa.

STANISŁAW. — **Ona** cię kocha **Auguście!**

AUGUST. — **Tak**, pojąłeś to, że **mnie** kocha, że zasługuje na **to**, abym ją kochał i wielbił; a ja — ja kocham **inną**.

STANISŁAW (*wstając*). — **Teraz** widzę, że **twoje** położenie nie do **zazdrości**.

AUGUST. — **I dziś**, po **dwóch** latach takich zabiegów, po **tak uporném** nastawaniu, po **osławieniu** jój w oczach

ludzi **najmniej** skłonnych do oszczerstwa, po tylu dowodach z **jéj** strony najświętszej przyjaźni, najczystsze- go przywiązania; dziś, gdy sama ku mnie skłaniać zdaje się, powiedzieć **jéj**: ja ciebie nie chcę, wybacz, kłamałem, ja kocham inną! (*Zrywa się z miejsca*) O! to przekłete po- łożenie!

STANISŁAW (*po chwili*). — Jakże się to stało, proszę cię, gdzie, kiedy? Bo przyznam ci się, że wyjeżdżając byłem prawie pewny....

AUGUST (*staje*). — Czego byłeś pewny? — że nam tylko **brakuje** księdza i ołtarza? O! wszyscy są tego pewni, bo w dzisiejszym stanie obyczajów, nikomu nie przychodzi do głowy, aby dwoje młodych ludzi mogło mieszkać od siebie o małe dwie mile, widywać się pra- wie co dzień, przesiadywać z sobą po pół dnia sam na sam, i przestać na poufalej rozmowie, na przyjacielskiém ściśnieniu ręki, na braterskiém przywiązaniu. A prze- ciż ja ci mówię, że tak było.

STANISŁAW. — Wierzę ci, mój biedny Auguście.

AUGUST. — Eh! nie miałbym ci za złe, choćbyś na- wet nie wierzył, bo wszystkie pozory obwiniają nas; bo ja sam mozem się do tego przyczynić, aby były niezbite; bo może mi przychodziło na myśl, że tą drogą złamię **jéj** upor i skłonię do oddania się mojej opiece. Głu- piec! nie wiedziałem o tém, że to rusztowanie, którem wystawił, zwali się na moję głowę. Gdyby była wów- czas usłuchała moich próśb i perswazyj, byłoby wszyst- ko inaczej. Ale moje codzienne wizyty, przesiadywanie z nią po całych dniach, zajmowanie się **jéj** gospodar- stwem, rządzenie samowolne **jéj** domem, nie doprowa- dziły mię do celu. Oszczerstwa tylko powiększyły się, posądzenia wzrosły, krzywdzące honor **jéj** wnioski roz-

legły się i utwierdziły, a ja odbierałem zawsze tę samą odpowiedź: „Zostańmy lepiej przyjaciółmi.” I tak zostało do wiosny (*schyla głowę i przestaje mówić*).

STANISŁAW (*kładzie rękę na jego rękę*).—A na wiosnę?

AUGUST (*podnosi głowę*).—W połowie marca, trzy miesiące temu, siedzieliśmy raz wieczorem przy kominku. Ogień pałał silnie i pochłaniał z trzaskiem suche drewno, a na dworze huczał wiatr mroźny, stukał okienicami, i z szumem zginał topole. Nie mogliśmy więc słyszeć hurkotu powozu, który przybył, i siedzieliśmy w milczeniu przysłuchując się tylko téj poetycznej wrzawie natury, która nas dziwnie usposobiła. Wówczas weszła do pokoju z nieśmiałością i pokorą młoda osoba. Jój niespodziane zjawienie się, pora w której przybyła, jój piękność, jój żalobna sukienka i całe jój ułożenie, uderzyły mię i przejęły. Oddawszy Emilii list, milcząc czekała co jój powie. Emilia przeczytała kilka wierszy, westchnęła i zbliżając się prędko do zmieszanej paniątki, rzekła: —„Tyś Klementyna! córka brata mojej matki? Więc biedny wuj mój umarł na obcej ziemi?” —„Jestem sierota, odpowiedziała rzewnym głosem paniątki, i nie mam żadnego przytułku.” —„Masz siostrę, moje dziecię” zawołała wzruszona Emilia i tuliła płaczącą na swém łonie. A ja.... Ale dajmy już temu pokój. Reszty domyślasz się zapewne (*zaczyna się przechadzać*).

STANISŁAW.—Więc to ją kochasz?

AUGUST (*staje*).—Dlaczego? nie wiem. Nie piękniejsza od Emilii, nie wyrównywa jój ani rozumem, ani dobrocią, ani szczérością charakteru. A przecież kocham ją, nie powiem ci nad życie, bo nie lubię głupich wyrażen, utartych zwyczajem i gładkich jak trzy grosze

bez herbu i liczby. Ale czuję to, że bez niej nie będę miał ani szczęścia, ani pokoju, ani żadnej radości, któraby życiu jakąkolwiek wartość nadała.

STANISŁAW. — A onaż?

AUGUST. — Ona? czyż ja wiem? Nie mówiłem z nią o tém ani słowa. Ona mnie unika, jak ja ję unikam. Ona pobladła jak i ja, milczy jak i ja milczę; ściga mię tylko wzrokiem, jak i ja ją ścigam; a gdy się oczy nasze spotkają, odwracamy się od siebie ze drzeniem, jak gdybyśmy siebie nienawidzili. O! ona musi mię kochać, bo to inaczej być nie może, i walczy pewnie z sobą i katuje swe serce, jak ja katuję moje. Ona widzi bez wątpienia wszystko, przenika uczucia i nadzieje Emilii i stan jęj nie lepszy od mego: bo za dobrodziejstwo, za miłość siostry, którą od niej odbiéra, płaci jęj tak, jak ja płacę — niewiarą i zdradą. Ale mówiłem, przestańmy na miłość boską, bo mi się w głowie przewraca. (*Bierze kapelusz i idzie ku drzwiom, w których spotyka lokaja swego z biletem w ręku*). Zkądto?

LOKAJ. — Z Sulmirówki, proszę pana.

AUGUST. — Znowu! (*bierze niecierpliwie i wracając patrzy na adres*). To ręka Klementyny! (*Odpieczętowuje prędko i odchodząc na bok, czyta*): „Emilia wygląda Pana od trzech tygodni, i jutro wybiéra się odwiedzić Pana sama. Czyż Pan nie uprzedzisz tego kroku i nie oszczędzisz jęj przykrości, jaką na siebie ściągnie? Wczoraj przez niepilność ludzi mieliśmy pożar na folwarku. Szkoda dość znaczna, ale przestrach większy. Od kiedyś Pan nas opuścił, wszystko idzie jak najgorzej. Kłopoty otoczyły ją zewsząd. Ja poradzić jęj i zapobiedz wszystkiemu nie mogę. Przytém, ja mam zamiar wyjechać także i może na długo. Czyż Pan nie przyjdiesz w pomoc

Emilii? Czyż nie obaczymy Pana choć raz jeszcze? Klementyna.” — **Choć raz jeszcze? O! rozumiem** (*składa drżąc list*). **Michaś! zaprzęgać; prędzój, prędzój! Czegóż stoisz?** (*krzyczy*) **Zaprzęgać, mówię.**

LOKAJ. — **Ale cóż mam powiedzieć posłańcowi?**

AUGUST. — **Niech wraca i powie, że jadę natychmiast. Ruszaj i zaprzęgać** (*lokaj wychodzi*).

STANISŁAW. — **Coto jest? co cię tak zmieniło?**

AUGUST. — **Obacz** (*daje mu list. Stanisław cicho czyta; August tymczasem przechadza się. Po chwili staje*). **Przeczytałeś i pojąłeś?**

STANISŁAW (*oddając bilet*) — **Przeczytałem, i pojąłem.**

AUGUST. — **I cóż ty na to?**

STANISŁAW. — **To, że jadę z tobą i nie odstąpię cię ani na chwilę.**

AUGUST (*bierze jego rękę*). — **Dziękuję ci. Nigdy mi nie była potrzebniejsza ręka takiego, jak ty przyjaciela; ale idźmy już.**

STANISŁAW. — **Jeszczeż nie zajechał.**

AUGUST (*niespokojnie*). — **Już, już musiał zajechać. Chodź, chodź, proszę cię.**

STANISŁAW (*biorąc kapelusz*) — **Biędny Auguście! jak ciebie tam ciągnie!**

AUGUST. — **Jak gdybym miał przepaść pod nogami; nieprawdaż? O! to być bardzo może; ale ciągnie gwałtownie. Chodźmy.** (*Wychodzą—zastona spada*).

AKT II.

(W domu Emilii na wsi. Salon. W tylnej korytarzu dwoje drzwi: z prawej strony widzów drzwi wchodowe, z lewej otwarte do ogrodu. W prawej kulisie drzwi do gabinetu Emilii, w lewej do pokoju Klementyny. Stół okrągły z lewej strony, na nim książki i papiery, wkoło kilka krzeseł. Z prawej strony niewielki stolik, także zarzucony książkami, przy nim duży fotel.)

Klementyna w popielatej sukience, siedzi przy stole oparta na rękę i pogrążona w myślach. Po chwili wchodzi Emilia przez drzwi wchodowe z kapeluszem na rękę, który rzuca na krzesło; potem przystępuje do Klementyny i kładzie rękę na jej ramieniu).

EMILIA. — Coto tobie? Klimuniu!

KLEMENTYNA (*powstając*). — Ach! to ty sestro? Nic mi nie jest; tak, myślałam sobie.

EMILIA. — Jakieś widać ciężkie myśli pochyliły główkę twą do ziemi.

KLEMENTYNA. — Zwyczajnie, myśli sieroty.

EMILIA. — Czy i moja miłość nie ujmuje im ciężaru?

KLEMENTYNA (*całując jej rękę*). — O! tyś dobra, jak anioł, i daruj, że mi się to słowo wymknęło (*zamawiając*). Ale cóż twoje gospodarstwo? Emilio!

EMILIA (*siadając*). — A cóż? idzie najgorzej; wdałam się nie w swoje rzeczy. Wiész jak autorowie gospodarują, cóż dopiero autorki? Wszystko to wymaga silniejszej ręki. Te ciągle kłopoty, te ustawiczne kłamstwa i wykręty, ta nieustająca walka z lenistwem i złą wiarą tak mię już znudziły, że puściłam tę łódkę bez rudla i sternika, niech sobie płynie, jak sama chce.

KLEMENTYNA. — A jeszcze tak znaczną stratę poniosłaś!

EMILIA. — Mniejsza o stratę. Piędzy i zysków nigdy nie ceniłam. Ale mię obraża przyczyna téj straty. Pokłó-

cili się z sobą, nienawidzą się, i jeden drugiemu na złość, wyrządzają mi szkody i narażają na ubytek. A przecież starałam się, żeby im było dobrze. Ta niewdzięczność, ta niemoralność boli mnie gorzej, niż moja strata (*restaje i chodzi prędko*). Dziwna rzecz! tak i inni ze mną postępują, nietylko słudzy. Krewni mnie opuścili, przyjaciele unikają, wszyscy, którym dobrze robię, płacą mi jakąś przykrością, odkryciem złej strony swego charakteru. Czyto tylko moje takie przeznaczenie, czyto u nas ogólne prawidło? nie wiem; ale... Czegóż ty wzdychasz Klimuniu? i jeszcze gorzej pobladałaś?

KLEMENTYNA (*zmieszana*). — Nic, nie sioostro! Żal mi cię. Bóg obdarzył cię wszystkiém, co może zjednać kobiecie szczęście i radość życia, a jednak nie masz tego, na co zasługujesz.

EMILIA. — To prawda, i tém przykrzejsza, zem w części sama sobie winna. Wysłałam ze zwyczajnej kolei, którą społeczność wytknęła płci naszej; napałam się, jak dziecko, rzeczy z sobą niezgodnych. Chciało mi się otrzymać i ciche szczęście kobiety i głośne imię, i miłość i chwałę; i naturalnie doznaję gorzkiego zawodu. Bo nie należy nigdy żądać od ziemi więcej, niż ona dać może. Ale mam nadzieję, że się to wszystko zmieni, że się prędko skończy.

KLEMENTYNA. — Przystaniesz pisać? Emilio!

EMILIA. — Być może że przestanę; ale czyż ja wiem z pewnością? Postanawiałam kilka razy; wzmacniałam się w tém postanowieniu tą myślą, że autorstwo nie jest powołaniem kobiety, że życie jój im cichsze, tém użyteczniejsze, że ona tylko przy ołtarzu domowym nabywa kapłaństwa i świętości, a imię jój, rozgłoszone szeroko, szarza się i traci swój tajemniczy urok. Bywały

czasy, **żem przez miesiąc, przez dwa miesiące, żyła właściwém sobie życiem; i wówczas pokój wracał do mego serca, rumieniec wesołości osiadał na twarzy, uśmiech zalotny przebiegał usta. Ubierałam się, stroiłam się, zdawało mi się żem piękna, że przywiązuję wartość do tych powabów, które mi miały zjednać nie tylko czczy oklask, ale dać szczęście, ale dać miłość, bez której nie ma dla nas szczęścia i życia. Gdzież tam! przyszedł zły moment i wszystko zniknęło. Przypadkiem przesunął mi się przez głowę jakiś obraz, z początku niewyraźny i zamglony. W bezsennój nocy zaczął się wyjaśniać, rozsuwać, kolorować; postaci coraz nowe zaczęły wydobywać się z tła jego, zaczęły nabierać formy, ruchów i życia. I znowu wszystko rzeczywiste ginęło. Wracałam do swojego świata marzeń i do męczarni tworzenia. Znowu autorka z kobiety, zlewałam wszystkie siły serca na te nowe stworzenia mojej głowy; stałam się obojętna dla tych, coby mi mogli oddać miłość za miłość, uścisk za uścisk; otaczałam się czczemi marami, kochałam je, i puszczając ze drzeniem w świat, śledziłam je wzrokiem niespokojnym, raniona boleśnie każdym ciosem szyderstwa i krytyki, którym je lada chłystek uderzał. Taka była treść mego życia od lat ośmiu. Czy i dalej tak będzie, nie wiem. Pragnę z duszy, aby ten duch, co mię trapi, ustąpił z mojej piersi; aby mi pozwolił zostać kobietą, zwyczajną, prostą, dobrą kobietą, któraby mogła oddać swą rękę uczciwemu mężczyźnie i powiedzieć mu sumiennie: masz ją, wraz z sercem całym. Dotąd nie mogłam się na to odważyć. Kłamałabym, a kłamstwem brzydzę się. I to jest jedna z przyczyn, żem doszła do dwudziestu ośmiu lat życia sama, sama jedna, bez wspólności w godzinach do-**

brych i złych, bez opieki w chwilach słabości i niedołęztwa. A opieka potrzebna kobiécie, jak potrzebna podpora wątłej roślinie, która w dumie swój może na chwilę dźwignąć się od ziemi, ale wkrótce lada powiew ją zegnje, lada noga zdepcze i zniweczy. Lecz czegóż ty płaczesz Klimuniu!

KLEMENTYNA. — Ach! ja jestem przy tobie nizeczemną istotą; a przecież nie mogę ci zazdrościć.

EMILIA. — I nie masz czego, wierz mi (*siadając*). Tyle obrazów szczęścia, przyjaźni, miłości, ciebych domowych rozkoszy wyszło zpod mego pióra, wysnuło się z mojej piersi! Oddałam im najlepszy czas mojej młodości, poświęcałam dla nich chwile uciech, godziny rzeczywistego szczęścia, może i rozkosz macierzyństwa! Najdroższa część mojej istoty weszła w nie; one były oddechem mojej duszy, który ją wyczerpywał, jak chmury są oddechem ziemi, jej kwiatów i liści. Ale jakże wróciły do mnie? Czy w rosie orzeźwiającej? czy w błogim deszczu, który użyznia i upięknia? O! nie. One wróciły do mnie w jakiś mgle stęchlój, w jakimś dymie ostrym i gryzącym. Bo cóż innego jest ta sława, którą nibyto otrzymałam? Nie dała mi nic w zamian za nocy bezsenne i dni bez uciechy. Wydobyła tylko moje imię z ukrycia, postawiła je na widoku jak cel, aby do niego lada głupiec mierzył, lada złośliwiec strzelał obelgą, szyderstwem i niezastużoną naganą. (*Wstaje*). Mężczyzna okryty jest tarczą płci swojej, jego te ciosy mniej boją. Przymtem, dla niego sława jest dobrem rzeczywistém, bo czyn głośny jest jego powołaniem. Nam insza sława potrzebna; i niebaczna kobiéta, która i w tém chce się mierzyć z mężczyzną, zapomina, że zdiera z siebie świętą zasłonę, że w pierś jej bezbronną, jeśli nie uderzy po-

cisk zazdrości, który jój odbierze talent, to uderzy pewnie pocisk potwarzy, który jój odbierze obyczaj.

KLEMENTYNA. — O! biędna Emilio!

EMILIA (*przechadza się; potém staje*). — Sława, mówią, daje cześć ziomków. Bez wątpienia byłaby rzeczą szacowną, gdyby tak było; bo wszelka cześć prowadzi do miłości, która jest najwyższém dobrem serca. Mnie otoczyła ona obojętnością krewnych, nienawiścią obojętnych; wyteżyła tylko na mnie wszystkie oczy, które dojrzały w mojem życiu płamy, jakich w niém niéma. Od trzech miesięcy żyjesz ze mną. Powiedz, czy zasługuję na te oszczerstwa, których jestem przedmiotem od lat kilku? I za co? że nie odrzucam przyjaźni zacnego człowieka, który mi jeden pozostał; że życie moje nie takie, jak życie innych kobiet; że sama sama dała swobodę i niezależność; że sama stanęła na straży swego honoru, a nie powierzyła go czujności męża, którego bym nie kochała, lub oku jakiej stariej krewniej, któraby mnie nudziła. O! nie masz mi czego zazdrościć, dobra Klimuniu! i strzeż się, aby cię nie opanowała chęć naśladowania mojej drogi. Bo widzisz, mozem i jego także odstręczyła już od siebie (*bierze jój rękę*). Ty mię przynajmniej kochaj, moja droga!

KLEMENTYNA (*spuszczając oczy*). — O! ja ciebie czczę, Emilio!

EMILIA. — Nie, tego nie chcę — kochaj mię tylko; bo to serce łaknie, bo w niém jest zapas miłości, któryby rad wylać się na piersi jój godne; bo jabym chciała otoczyć się kilku istotami, któreby czytały w mojej duszy, których szczęściem byłabym szczęśliwą, których miłością byłabym dumną. I wtenczas pożegnałabym z rozkoszą marzenia lat młodszych, skruszyłabym stanowczo

to pióro, które miało mi wyrobić przywiązanie powszechne, szacunek publiczny, a zrobiło mię tylko samotną i okrzyczaną.

KLEMENTYNA. — Emilio! nie chcę ja ci odradzać tego postanowienia. Daj Boże, aby nastąpiło jak najprędzej. Ale wyobrażasz sobie świat gorszym, niż jest, i niedorzeczne szeptu kilku plotkarek upowszechniasz, i dajesz im powagę, jakiej nie mają. Czyż podobna, aby ciebie, tak dobrą, tak szlachetną, tak wysoką istotę, obwiniali krewni i obrażali jakim zwątpieniem?

EMILIA (*z gorzkim uśmiechem*). — Nie jesteś już dzieckiem, przeczytaj to (*daje jej list*). Tylko com ten list odebrała (*tłumiąc w sobie płacz*); to od siostry, którą kocham, która kochała mię kiedyś, a dziś.... Ale czytaj. (*Zakrywa oczy i wychodzi do gabinetu*).

KLEMENTYNA (*sama patrzy za odchodzącą, potem zamalując ręce, mówi*): — O! co za stan! Boże mój! dlaczegoż weszłam za próg tego domu? dlaczego teraz nie mam odwagi wyjść ztąd natychmiast, tajemnie, ukryć się tak, żeby ślad nogi mojej zaginął, żeby ani do niej, ani do niego nie doszedł jęk wyrrywający się z mego serca. Ach! jak się to skończy, nie wiem. Jeżeli ona go kocha, tak jak ja kocham, biada mi nieszczęśliwej (*siada i po chwili patrząc na list*). — Ale cóż tu jeszcze? (*czyta*) „Emilio! martwisz nas coraz gorzej, zawstydzasz swoim postępowaniem, pogardą wszelkich względów, jakie się należą społeczności od kobiety dobre wychowanej. Wszyscy cię potępiają, ale któż na tém więcej cierpi, jak ja twoja siostra, której córki dorosłe za życie swęj ciotki rumienić się muszą!”

Czegóż oni od niej chcą? cóż się tu takiego dzieje, coby zasługiwało na takie wyrzuty? (*czyta*).

„Wyzwoliłaś się od wszelkiego przymusu, któremu kobiéta ulegać powinna. Gdybyś była wdową, gdybyś była rozwódką, miałabyś do tego prawo. Aleś ty panna, Emilio! a nie masz nikogo, coby był świadkiem twego postępowania. Nikt rozsądny nie pochwali ci takiego życia, a każdy co cię zna, boleje nad powodem téj wolności, jakąś sobie dała. Jesliby przynajmniej nikt nie wiedział, że żyjesz na świecie, podlegałabyś naganie kilku znajomych, sprawiłabyś ból krewnym—i na tém byłby koniec. Ale twoja nieszczęśliwa sława zabija nas. Gdzie się obróczę, wszyscy o tobie tylko mówią; a jak mówią! Na samo wspomnienie żal ściska moje piersi. Zamknęłaś się na wsi, żeby być ciągle z nim, żeby wam nikt nie zawadzał w waszych haniebnych związkach” (*przykładając rękę do czoła*).—O! Boże mój! co za ludzie! (*czyta*).—„I niedość na tém! Emilio! prawdaż to, żeś wyrzuciła z domu i ukryła gdzieś na wsi nieszczęśliwy owoc téj występnej miłości? Gdzież ta moralność, o której prawisz w swoich pismach? Śmieją się ludzie z ciebie, a ja gorzko płaczę” (*powstaje i klasnąwszy rękami, woła*).—I własna siostra wierzy temu, w czém niéma i cienia prawdy! O! po jakiejże my śliszkiej drodze idziemy! (*czyta*).—„Dlaczegoż przed sześciu laty odrzuciłaś tak świetną partya? dlaczego cię to nieszczęśliwe autorstwo opętało! Dziś już nie czas, choć jeszcześ młoda, choć bogata, choć pochodzisz ze znakomitej rodziny. Żaden człowiek z urodzeniem nie posunie się do twojej ręki, boś osławiona biędna sestro! bo niéma domu, gdzieby nie znano twego imienia i twego życia. Cóż ci teraz pozostaje? połącz się przynajmniej z tym, któremuś poświęciła swój i nasz honor. Choć pochodzenie jego Bóg wie jakie i majątek szczupły, ale

czyż nie lepiej, abys była żoną, niż kochanką człowieka, którego nikt nie zna, a którego ty przenosisz nad wszystkich. Upamiętaj się Emilio! nie zawstydzaj swojej rodziny i córkom moim nie psuj losu" (*składa list*).— O! tak, ona powinna być jego żoną, a ja, jutro zaraz pójdę w świat, szeroki dla wszystkich, ciasny dla sieroty! Ale wolę, wolę głód i nędzę, niż zgryzotę. On o mnie zapomni, i ja zapomnę (*kładzie ręce na piersiach*). Przyjdzie czas, że się utuli to serce; i jak dziś usta milczą, tak i głos jego umilknie i oniemieje.

AUGUST (*za sceną*).— Panie tu?

KLEMENTYNA. — Ha! to on, usłuchał mię, zrozumiał. O mój Boże! utrzyjmy mię. (*Ociera łzy i chowa list. Wchodzi August i Stanisław*).

AUGUST (*patrzac na nią zdaleka*).— Jaka blada! Ona płakała! Kolana gnę się podemną (*przystępuje z wolna*).— Panno Klementyno! przybyłem, usłuchałem panią.

KLEMENTYNA (*nie patrzac nań*).— Dziękuję panu; zaraz dam znać Emilii (*idzie prędko ku drzwiom Emilii, ogląda się. Na stronie*).— Jak on znędzniał! biędny! (*wychodzi*).

AUGUST (*siadając*).— Znadto sobie zaufał; nie powinienem był przyjeżdżać.

STANISŁAW.— Auguście! przyrzekłeś mi co innego; walka dopiero przed tobą, a już cię siły opadają!

AUGUST (*powstaje*).— Widziałeś ją, i dziwisz się. Masz doświadczenie, umiesz czytać w twarzy, co się w sercu dzieje; czyż nie dojrzałeś na tém licu bladém, na tém czole pochyloném śladów śmiertelnego bólu, który trawi tę duszę czystą i niewinną? Trzy miesiące temu, gdy tu weszła, walczyła z losem, walczyła z sierotwem; okryta żalobą, bez przytułku i sposobu, była sa-

ma jedna na świecie; nie wiedziała czy znajdzie w dalekiej krewnej opiekunkę, czy znajdzie jaką przyjazną rękę, która ją podniesie, gdy pod ciężarem życia upadnie; a przecież rumieniec był na jej twarzy, pokój był na jej czole, w oczach był blask odwagi i nadziei. A teraz ma siostrę, co ją kocha, ma dach gościuny nad swoją głową, ma wszystko, a widziałeś, jak wygląda! Jakaż musi być ta walka tajemna, którą stacza z sobą, aby się nie zdradzić, aby nie wydać tej namiętności, którą nas Bóg ukarał, a której widok odejmuje mi ostatek męstwa, jakie miałem w oddaleniu. O! nie powinienem był przyjeżdżać!

STANISŁAW.— A tamta?

AUGUST. — Tamta? Czyż ja wiem dobrze, czém ona jest dla mnie? Może w jej sercu niéma nic tylko przyjaźni, tylko braterskie przywiązanie. Nie przyjmowała nigdy moich oświadczeń; podawała mi tylko dłoń siostry. Nie chciała mię wówczas, gdy serce moje było wolne, gdy każde uczucie dla niej, czy przyjaźni, czy czci, byłoby mi zastąpiło miłość i dało szczęście; a dziś chciałaby mię, gdy cała moja dusza gdzieindziej? Będęż mógł sumiennie powiedzieć jej: „kocham cię”, kiedy to nieprawda?

STANISŁAW. — Będieszże mógł sumiennie powiedzieć: „nie kocham cię”, kiedyś tyle razy mówił co innego? kiedy wszyscy przekonani, że tak jest; kiedy tylko imieniem swoim zdołasz okryć hańbę szlachetnej kobiety, którą twoje zabiegi zgubiły! Poddajesz się nie po mężku, Auguste, upadasz bez walki. Honor ci każe stać przy swoim słowie, abys był godnym ulgi, jeśli ma być twym udziałem. O! stokroć ci będzie lepiej, gdy sobie w duchu powiesz: jestem nieszczęśliwym! niż gdy będziesz musiał sobie powiedzieć: jestem nikczemnym!

AUGUST (*bierze jego rękę*). — Dziękuję ci, tyś prawdziwy przyjaciel.

STANISŁAW. — Zbierz siły — nadchodzą. (*Wchodzi Emilia, potem Klementyna*).

EMILIA (*zbliża się do Augusta i podaje mu rękę*). — Przecież doczekałam się pana. Jutro byłabym przyjechała sama. Pożałowałeś mię pan (*ciszéj*). Chociaż w oczach ludzi nie mam już nic do stracenia, jednak dziękuję panu za tę delikatność (*podaje rękę Stanisławowi*). Witam pana serdecznie z podróży, p. Stanisławie! jak to pięknie, żeś pan sobie zaraz przypomniał pustelnicę. Jestto dowód przyjaźni, który umiem cenić. Powieź pan, czy i w Augustowskiém przyjaciele są rzeczą tak rzadką, i tak kosztowną jak u nas? Ale siadźcież panowie (*siadają*).

STANISŁAW. — Wszędzie prawdziwa przyjaźń jest fenixem; ale nigdzie rzadszym, jak u nas, dobra pani!

EMILIA. — A wiész pan czemu? bo serca nasze są nadto pochopne do sprzyjania, czy kto wart, czy nie wart; a zatém zbyt pochopne do nienawiści, czy kto zasłużył, czy nie. Umysł nasz za leniwy do rozbioru wartości i zasługi. Jak nam powiedzą: to dobre, wierzymy że dobre i kochamy; jak znowu powiedzą: to nikczemne, wierzymy że nikczemne i okrywamy pogardą. Bo wierzyć to nic nie kosztuje, a rozbierać i sprawdzić, to praca, której gorzej się boimy, niż błędu i krzywdy. Ale nikt na téj łatwowierności naszej nie cierpi tyle, co biedne kobiety. I dlatego, jeżeli która znajdzie przyjaciela, który nie wierzy temu, w co wszyscy za lada pozorem uwierzyli, powinna być szczęśliwą (*wyciąga rękę do Stanisława*) i z serca wdzięczną.

STANISŁAW (*ściska jej rękę*). — O! pani jesteś we wszystkim wyższa istota, i nie podlegasz zwyczajnym prawom.

EMILIA. — Ach! nie mów pan tego (*z uśmiechem*). — Imnie spaliło się kilka budynków na folwarku, jak najzwyczajniejszej gospodyni. Czy pan wieśz o tém, p. Auguste?

AUGUST. — Dowiedziałem się dziś; widzieliśmy pogorzeliśko, i bardzo panią żałuję. To strata znaczna.

EMILIA. — Strata! Oh! to strata kilkunastu tysięcy! (*z intencją*) to strata pieniędzy, p. Auguste. To drobna, mizerna strata, która niewarta żalu. Czasem strata kilkunastu dni gorzej boli. — Pan byleś pewnie chory? zmizerniałeś znacznie.

AUGUST. — Cierpiałem bardzo, i jeszcze cierpię.

EMILIA (*patrzac nań łagodnie*). — O tych cierpieniach pana pomówimy wkrótce.

AUGUST (*prędko*). — O nie pani! o tych mówić nie będziemy.

EMILIA. — Kto to wie? Pan wieśz, że ja jestem uparta; a jeżeli i pan upierać się zechcesz, użyjemy za pośrednika p. Stanisława. Chociaż to przyjaciel pana doznany i wierny, ale spodziewam się, że i mój także, i stanie przy mojem zdaniu. Nieprawdaż p. Stanisławie? (*powstaje i idzie do Augusta*). Cierpienie to minie, dobry p. Auguste, bądź pan pewny. A jak mi się uda kuracya z panem, wtenczas pomyślimy i o pośredniku naszym.

STANISŁAW. — Czy i ja jestem chory?

EMILIA. — Nie tak bardzo, jak p. August; ale możesz pan zapaść stanowczo. Któż to wie? cały nasz byt wisi na włosku, zależy od jednéj chwili, od jednego mgwienia.

STANISŁAW. — Przestraszasz mię pani; mozem ja do-
prawdy chory!

EMILIA. — Może; ale nie bój się pan. Dzisiejszy wy-
nalazek odwagi cywilnej, w niewielkiej nawet dozie, po-
może panu (*obraca się ku drzwiom swoim, i patrząc na*
Klementynę, która stoi zdaleka z oczami w ziemię schy-
lonemi, po chwili). Chodźże tu bliżej Klimuniu! mamy
gościa, z którym chciałabym cię poznać. (*Klementyna*
przystępuje, August odchodzi do okna).— To p. Stanisław
Zaliski, nasz sąsiad i dobry sąsiad.— P. Stanisławie! to
moja siostra, o której tyle tylko powiem panu, że ją ko-
cham serdecznie i dziękuję Bogu, że mi ją zesłał.

KLEMENTYNA (*na stronie*). — O ja nieszczęśliwa! —
(*kłania się Stanisławowi*).

EMILIA (*do Stanisława*). — Jak pan ją bliżej poznasz,
czego sobie bardzo życzę, powieśz, że mam racją kochać
ją nietylko z tytułu pokrewieństwa (*do Augusta*). P. Au-
gście! chodźże pan tu (*August przybliżył się*). No, nie
dąsaj się już pan na mnie; wszak trzy tygodnie to nad-
to, nawet dla najładniejszej kobiety (*bierze jego rękę*).
Ale daruj mi pan, żem wesola, kiedy pan cierpisz; trzy
tygodnie byłam sama, i wierz mi pan, bardzo smutna.
Winienieś mi pan wynagrodzenie.

AUGUST. — Czuję ja to mocniej, niż kiedykolwiek, jak
wiele jestem winnym.

EMILIA (*z rozrzewnieniem*). — O! jeżeli tak, to zgoda—
i przebaczenie (*siadając*). Nawet i to panu daruję, żeś
mię przez ten czas naraził na kłopoty gospodarstwa; że
ja, biedna autorka, musiałam zlazić co moment z wyso-
kiej krainy mojej imaginacyi, na brudny mój folwark;
porzucać mojego bohatera, a kłócić się z ekonomem;
zostawiać we łzach moję heroinę, i iść łajac klucznice.

STANISŁAW (*siadając*).—A do tego niech pani jeszcze doda, że panią naraził na przestrach pożaru.

EMILIA. — No, za to się nie powinnam gniewać. Możeby to było nastąpiło, choćby był czuwał nademną. Przytém pożar, to rzecz seryo; w tém jest poezya i mam obraz z natury, któregom jeszcze nie widziała zblizka.

AUGUST (*siadając*). — I który panią kosztuje kilkanaście tysięcy. Księgarz tyje pani za ten obraz nie da.

EMILIA. — Czyż ja dbam o to? byle bez myłek wydrukował. Ale otóż mamy gazety i pisma peryodyczne. (*Lokaj wchodzi, i oddaje jój papier zapieczętowany i odchodzi*).

STANISŁAW.—Czémże nas pani teraz obdarzy?

EMILIA (*rozrywając kopertę*). — Obdarzy? Jak grzeźnego pan wyrazu użyłeś! Widać, żeś był o kilkadziesiąt mil od nas. Oddalenie powiększyło mię w oczach pana (*kładzie gazety i książki na stoliku, i przeglądając Bibliotekę Warszawską, mówi*). Jeżeliś pan ciekawy, to powiem panu, że kończę powieść pod tytułem: „Kobięta osławiona.” Czy będzie lepsza, czy gorsza od dawniejszych, nie wiem; ale kosztowała mię więćej niż inne pracy, zdrowia, i zdaje mi się, że będzie ostatnia (*zaczyna czytać z zajęciem*).

STANISŁAW. — Jeżeli będzie miała tyle prawdy, tyle życia, jak ta, którąś pani nas wzbogaciła przed kilku miesiącami, to nie pozwolimy na to, aby była ostatnią.

EMILIA (*opuszcza książkę na kolana i przyciskając czoło dłonią*). — Ha!

AUGUST (*przystępuje*). — Coto pani!

EMILIA (*z gorzkim uśmiechem*). — Nic, nic, siądź pan; jest tu właśnie recenzya téj pracy, o którejś pan Stani-

sław tylko co tak pochlebnie wspomniał. Zaczyna się ona tak: „**Powieść** pod tytułem *Kamilla* jest jedną z najgorszych **panny Emilii S.**” To znaczy, że wszystkie są złe, a ta jest najgorszą (*czyta*). „Namiętność bez podstawy i bez granic jest jej wyrazem. I dlatego nie życzylibyśmy dawać jej z łatwością młodym osobom.”

AUGUST. — Co za głupstwo!

EMILIA. — Napisane i wydrukowane; ale tu widać są jeszcze lepsze rzeczy (*czyta*). „Przy poznaniu się bohatera z heroiną, czytelnik dowiaduje się, że to są sąsiedzi, i nie wie, dlaczego dalej płaczą i dręczą się, a nie widują się z sobą. Kiedy się potem widują, znowu nie wie, dlaczego się dręczą; tak dalece, że już tylko dwie karty do końca, a jeszcze niewiadome ani powody, ani rodzaj ich męki. Zajęcie w tej powieści obudzone jest w nowy sposób. Czytelnik od początku do końca czeka tu nie na rozwiązanie, ale na zawiązanie. Jestto, powiedziéć można, widok pejzażu na wywrót” (*żywiéj*). Panowie czytaliście, powiedźcie, czy tam niéma powodów ich męki? czy tam niéma zawiązania, kiedy jest walka? kiedy młody człowiek szanujący zasady ojca, którego czei, unika domu człowieka wzbogaconego drogami nieprawości, choć tam jego serce i dusza; kiedy młoda kobiéta wyrzeka się szczęścia całego życia przez uległość woli ojca, którego w duszy potępiać musi. Możnaż tak nadużywać dobrej wiary czytelników!

STANISŁAW. — Któż temu wierzy, kiedy w tém niéma ani słowa prawdy, ani kropli dowcipu.

EMILIA. — Uwierzą, powiadam panu, zabawią się: - bo u nas wszystkiém się bawią, co kaleczy i rani. I zobacz pan, jak się kończy ten cały sąd, napisany, jak się zdaje.

dla konceptu (1). dla tego pejzażu na wywrót. „Przekonywamy się z téj roboty panny Emilii S*, że napróżno gwałt zadaje swojej głowie. Nikt pracą i uporem nie wywoła z siebie talentu, jeżeli go Bóg nie dał. A szkoda imienia, kiedy zyskuje nie sławę, ale osławienie.”

AUGUST. — A, to już nadto.

EMILIA (*powstaje, i z żalem*).— I tak bolący wyraz rzuca się w oczy, komuż?—kobięcie, i gdzie?—w druku; może jeszcze dla potwierdzenia publicznie złośliwych szeptów, dla zrobienia jawną pokątnój gadaniny? (*rzuca książkę*). I pan chcesz, aby ta praca moja nie była ostatnią? O! będzie ostatnią. Postanowienie to jest niezłomném, i z niem pokój wstąpił do mego serca. To, co mię przed chwilą tak ciężko zabolato, wydaje się tylko śmieszném i małym. Straciłam już tyle czasu, tyle chwil błogich wykradłam sobie z życia! Teraz wasza przyjaźń, wasza miłość nagrodzi mi to. Zamknięta pod tym dachem, gdzie mam bezpieczeństwo, gdzie mam dostatek, tu znajdę jeszcze rozkosz w obowiązkach kobiety. Tu się oddam opiece zacnego człowieka, i szukać będę nagrody w jego szczęściu, a chwały w pokorze jego woli. I ten zakąt miły stanie się rajem dla nas czworga. Bo wy go podzielicie ze mną, nieprawdaż? Chodźcież, póki serce jeszcze drży, póki w myśli żywo rysuje się ta piękna przyszłość; chodźcie tam, gdzie pracowała i cierpiała; tam pożegnam czeze matry, co mię zawiodły, i rozwinę przed wami plan tego życia prawdy, pokoju i szczęścia! (*idzie naprzód do swe-*

(1) Za skromnym jest autor dramatu. Gdyby rozbiór powiastki panny Emilii S. nie wydał innego skutku, jak obecny dramat autora, lub nawet tych parę scen tylko, jużby nie był napisanym napróżno.

go gabinetu. *Stanisław wchodzi za nią, August idzie wolniej, schyliwszy głowę).*

KLEMENTYNA (*do siebie*).—Biędna! biędna kobiéta! (*zwraca się płacząc ku drzwiom ogrodu*).

AUGUST (*postrzegłszy to, idzie prędko za nią i zatrzymuje ją*).—P. Klementyno! dokąd?

KLEMENTYNA.—Idź pan tam, na miłość boską.

AUGUST.—Pani chcesz wyjechać, pani chcesz ztąd uciec?

KLEMENTYNA.—Czyż nie powinnam, przebóg! (*idzie do ogrodu*).

AUGUST.—Nie widzisz pani tego, jak ja jestem nieszczęśliwym? (*idzie za nią*).

EMILIA (*która przy ostatnich słowach Augusta stała we drzwiach, wchodzi*).—Coto? coto jest? On nieszczęśliwy? ona płacze? Dlaczegoż on nieszczęśliwy teraz, kiedym mu prawie powiedziała: masz mię. Dlaczegoż ona płacze? (*mocniej*) Czemuż uciekła przed nim? i czemu on za nią goni? Ten jej ciągły smutek, ta bladość, ta boleść w ich twarzy, to jego oddalenie, to roztargnienie dzisiejsze! Boże! Boże! więchy to być mogło? (*idzie prędko ku ogrodowi i przy samych drzwiach raptem staje*). Nie, nie wyjrzę tam (*wraca*); jeżeli prawda ma mię uderzyć, będzie czas—jutro, pojutrze uderzy. Dziś nie wytrzymałabym tego ciosu. I może się mylę; może to co innego. Ale jeżeli tak jest (*załamuje ręce*), o! toż dopiero będę sama na świecie! (*pada na krzesło płacząc. Zastona spada*).

AKT III.

(Miejsce to samo. Stanisław stoi i patrzy ku drzwiom Emilii. Po chwili oczekiwania zaczyna się przechadzać, potem patrzy w okno).

STANISŁAW (*odstępując od okna*). — Gdyby jaki podróżny przejeżdżał w tej chwili gościńcem mimo tego dworu, i spojrzął na dach jego wysoki i bezpieczny, na piękne topole, otaczające dziedziniec, na dym biały, podnoszący się przezroczystym słupem z komina; gdyby obaczył krzątających się ludzi, i na ganku poświsujących lokajów w galonach, pomyślałby sobie: tam pokój, tam dostatek, tam przygotowują śniadanie, tam myślą o fraszkach życia — i pojechałby dalej połykając ślinkę, jeżeli głodny; zapalając cygaro, jeżeli podjadł, i marząc o swoich kłopotach, o swoich kartoszlach, o cenach zboża i o Banku Polskim, który niestety! wchodzi w osnowę wszystkich naszych obywatelskich marzeń. Aniby mu do głowy nie przyszło, że tu trzy serca w śmiertelnych konwulsjach, że tu troje ludzi szlachetnych, z wysoką myślą, z duszą płonąca, musi się za chwilę pożegnać: lub ze szczęściem i pokojem całego życia, albo z honorem i uczciwością. I wieleżto takich dramatów odgrywa się co dzień na świecie Bożym bez spektatorów i suflera! — Ale źle mówię, sufler jest, i tym suflerem, którego szept przenikliwy głuzy rozum, jest namiętność. Cywilizacya postępu i egoizmu zaprzecza jej dzisiaj bytu. Chowa się ona wprawdzie, wstydzi się i tai; ale jest i nurtuje społeczność, jak są lichwiarze i szulery. I żaden żyd wierzyciel, żaden lichwiarz wyżółkły i zeschły nad złotem, nie jest tak okrutnym jak ona, nie jest

mniej miłosiernym. Kogo raz ujmie w swoje szpony, stoi nad nim w każdej godzinie dnia, w każdej chwili nocy, i woła przeraźliwie: oddaj, co moje; zastaw pokój, a oddaj; sprzedaj honor i sumienie, a oddaj.... O biada życiu, które tak uchodzi! (*zwraca się ku drzwiom Emilii i patrzy na nie smutno; po chwili Emilia wychodzi*).

EMILIA. — Dobry dzień p. Stanisławie! Możem pana zawczasem ze snu zbudzić?

STANISŁAW. — Czyż pani sądzisz, że spałem?

EMILIA (*podaje mu rękę*) — Ach! Pan jesteś dobrym sąsiadem, wiernym, szczerym przyjacielem. Winnam to nieszczęściu memu, że mi odkryło serce i przyjaźń pana. I ja nie spałam także. Przechodziłam noc całą po pokoju. Noc moja dzisiejsza, podobna do nocy delinkwenta, któremu z wieczora przeczytają wyrok, a rano dopiero ma być *ekekucya* (*z uśmiechem*). A jednak, widzisz pan, wytrzymałam to wszystko.

STANISŁAW. — Dziwię się i uwielbiam moc pani. Nie wiem, czyby mężczyzna zdolnym był znieść tak męźnie tak gorzki zawód.

EMILIA. — Nieprawdaż że gorzki? Przyznaj pan. Wczoraj dowiedziałam się, że nie mam krewnych, że w opinii świata zgubiona i występna; wczoraj przeczytałam sąd o sobie, który mię przekonał, że mnie lekceważą, że nie mam talentu. A przecież zniósłam z odwagą potwarz i niesprawiedliwość. Święte postanowienie umocniło mię; byłam prawie szczęśliwą. Myślałam sobie: dom, własna rodzina, przyjaźń i miłość, zastąpią mi rozkosznie brata i siostrę, świat i sławę. Tymczasem jedna chwila, jeden krok niepotrzebny, jedno słowo usłyszane, wydarło mi wszystko. Dom, rodzina, przyjaźń i miłość, wszystko znikło, jak bańka mydlana. Z ja-

kiężże pajęczej osnowy utkane są nasze nadzieje, i jakie my dzieci, mój dobry panie, że za niemi tak po szalonemu gonimy!—Ale zapomniałam jeszcze podziękować panu.

STANISŁAW.—Mnie? dobra pani! Za cóż to?

EMILIA.—Za to, żeś pan wczoraj przyjechał, żeś pan tu był, gdy mię ten cios uderzył. Mogłam przed panem wynurzyć się, i zrobiło mi się lżej. Powierzyłam panu część mojej boleści, i resztę, co zostało w sercu, zdołałam utaić przed niemi. Ta ulga dała mi czas pomyśleć i zastanowić się, jak postąpić, jak się wydobyć z tego położenia, w którym zostać nie możemy. Ale jeszcze może przyjaźń i rada pana będzie mi za chwilę potrzebna; dlatego wezwałam pana. P. August zaraz tu przyjdzie, muszę z nim pomówić. Wejdz pan tymczasem do mego pokoju. Znajdziesz tam książek dużo, może pana co zajmie, jeśliby rozmowa nasza przeciągnęła się zadługo. Chociaż wątpię. Mój Boże! nie będzie ona podobna do tych rozmów swobodnych i słodkich, które trwały nieraz po kilka godzin, i wyczerpać się nie mogły! Ta może się skończyć w kilku słowach (*tłumiąc w sobie płacz*). Wszystko się zmienia na świecie, wszystko przemija!—Słyszę jego kroki (*składa ręce*). Zostaw mię pan samą (*Stanisław spiesznie wchodzi do gabinetu. Emilia opierając się o krzesło, patrzy ku drzwiom wchodowym; po chwili August wchodzi*).

AUGUST (*seryo*).—Pani wezwałaś mię.

EMILIA (*siadając*).—Chciałam z panem pomówić, p. Auguste. Usiądź pan.

AUGUST (*siadając*).—Słucham panią z całą uwagą. Wczoraj widziałem panią znękaną. Cały wieczór pasowałaś się z sobą. Cierpienie i walka były widoczne.

Łzy, któreś ukradkiem ocierała, nie uszły mego oka; bo znając panią oddawna, znając tak dobrze, przywykłem czytać w twarzy pani, i wniosłem, że do twego serca, pełnego siły i odwagi, musiał wejść ból wielki, którego ja jestem powodem i który zapewne odbije się w mojem życiu.

EMILIA. — Tak i ja sędzę, i dlatego wczwalam pana. Znamy się od lat dwóch p. Augustcie! i los chciał, aby znajomość, na obcej ziemi zawiązana, przybrała poważniejszy charakter, i spoila nasze dwa życia, tak, że gdy je przyjdzie rozerwać, rozerwą się tylko z jękiem, tylko z bolem. O tém pan wieś dobrze.

AUGUST. — Czuję to, i wiem.

EMILIA. — Do téj ścisłości, która nas łączy, przyłożył się świat swoją pochopnością do potwarzy, przyczyniła się excentryczność mojego charakteru i bytu, nie takiego jak byt innych kobiet; może ladajakie zdolności, które w panu obudziły zapal dla autorki, a nadewszystko przyczyniłeś się pan sam swoim zbliżeniem się do mnie, swoim sąsiedztwem i zażyłością, która ztąd wynikła. Nie myśl pan, abym pana obwinięła o jakie samolubne zamiary. Owszem, wiem dobrze, że powody pana były szlachetne, żeś chciał położyć koniec złośliwój gadanie ludzkiej, i dla mojego honoru, poświęcałeś swój pokój i może szczęście całego życia.

AUGUST. — Wątpiłażes pani wówczas o mojej przyjaźni?

EMILIA. — Owszem, widziałam w tém tylko przyjaźń, tylko heroiczne jej wysilenie, i dlatego ofiary takiej przyjąć nie mogłam. Rzemiosło moje nauczyło mię poznawać wszystkie odcienia uczuć i namiętności ludzkich. Nie mogłam się więc mylić w tém, coś pan czuł dla mnie.

Wreszcie, kobięcie niepotrzebna w tém ani nauka, ani filozofia. Natura, stworzywszy ją słabą, dała jój instynkt delikatny, którym ona zgaduje niewątpliwie, gdzie ta pierś, na której głowa jój znajdzie odpoczynek, gdzie to serce, którego uderzenia odpowiedzą gorąco jój miłosnemu biciu. Ten instynkt p. Augustcie, ostrzegał mię zawsze. Pan mię błagałeś, mówiłeś, że mię kochasz; nie wierzyłam temu. Jesteś człowiek zacny i uczciwy; powiedz czym się myliła? (*August odwraca się*) Uwalniam pana od odpowiedzi; byłaby za ciężka: i milczenie to pana więcej mi mówi, niżby powiedziały najsztuczniejsze słowa. Teraz pan wiesz, dlaczego wolala być przyjaciółką pana i czekać, niż żoną i zepsuć twoje życie i moje. Żem zaś była przyjaciółką pana z całym wyłaniem, z całą troskliwością o pokój pana, o twoją przyszłość; żem się starała wszelkimi sposobami, o których wiesz i nie wiesz, odwracać od pana każdy kłopot, każde zmartwienie, w tém mi zapewne oddasz sprawiedliwość.

AUGUST (*powstaje*). — Możesz mi pani wierzyć, że to wspomnienie dobroci pani jest tém, co mię najgorzej boli w ciężkiem położeniu mojem.

EMILIA (*powstaje*). — A przecież nie te starania stanowią moją zasługę. O! nie; one mi przynosiły tylko rozkosz (*przystępuje do niego*). Zasługa moja p. Augustcie w tém, żem odrzucała statecznie ofiarę pana; żem mogąc, nie wyjechała ztąd, nie osiadła gdzie w mieście lub za granicą, aby być od pana daleko; żem przeniosła oszczerstwa świata, opuszczenie od przyjaciół, gniew krewnych, nad nieobecność twoją. A wiesz pan czemu? — bom cię kochała, serdecznie kochała.

AUGUST. — Oh! domyślałem się tego.

EMILIA. — Domyślałeś się pan tylko, ale pierwszy raz dowiadujesz się o tém z ust moich, i byłbyś jeszcze

i teraz nie **wiedział**, gdybym była pewna, że mi zostaniesz, że cię nie stracę, że będziesz jak byłeś przyjacielem moim **wiernym** i jedynym. Ale okoliczności się zmieniły; dopominam się o prawa moje, odwołuję się do tytułu **oświadczeń**, których się nie zaprzesz. — Oto moja ręka panie **Auguste**, czy pan ją przyjmuje?

AUGUST. — Jestem człowiekiem uczciwym, nie chcę panią **zwodzić**. Rzeczywiście okoliczności się zmieniły, i ja, dziś.... **ręki** pani — przyjąć nie mogę.

EMILIA. — Odwołuję się więc do honoru uczciwego człowieka, który zabiegami swemi zgubił niewinną kobietę; dla **którego** straciła przyjaciół, krewnych, szacunek publiczny. Pókiś pan wyłącznie do mnie należał, nie dbałam o to. Spodziewając się, że kiedyś, że z czasem serce **twoje** odpowie biciu mego serca, byłam bogatą tą nadzieją, szczęśliwą tą przyszłością, i nie dbałam o świat i jego sądy. Dziś nie mam nic — nic oprócz imienia, które powinno być czyste, powinno być obmyte z win i występków, któremi je złość ludzka zbryzgała. Czyż pan mi odmówisz **tęj jałmużny?** (*daje mu list*) Przeczytaj pan ten list mojej siostry i osądź, czy masz obowiązek wrócić mi to dobro, któreś mi odebrał. (*August czyta; ona patrzy na niego z wyrazem oczekiwania i niepokojem*).

AUGUST (*przebiegłszy list, pociera ręką czoło i po chwili namysłu, mówi*). — Tak, masz pani rację; nie zostaje mi nic do wyboru. Powinność, honor, to są rzeczy świętsze dla uczciwego człowieka, niż uniesienia serca, niż nawet pokój całego życia (*oddaje list*). Rozrządzaj pani moją osobą i moją ręką; poddaję się — innego środka nie widzę.

EMILIA (*ściska jego rękę*). — Dziękuję panu za to postanowienie; wielka to, wielka ulga w moim losie.

AUGUST. — Postanowienie jest wypadkiem woli człowieka, a my dziś mieć jej nie możemy. Los i własna wina oddały nas w żelazne ręce konieczności zimnej, nieubłaganej, z którą w układy wchodzić nie można. Jej głos potężny mówi: tak być musi — i tak będzie. Naznacz więc pani dzień i godzinę na spełnienie tej ofiary. Będę czekał, i stanę, gdy przyjdzie pora.

EMILIA (z łagodnym wyrzutem). — I staniesz jako ofiara? Oddajesz mi ten dług konieczny kosztem szczęścia całego życia!

AUGUST. — A co gorsza, kosztem sumienia. Bo jeżeli już wiesz tyle, to musisz i to wiedzieć, że nie tylko moje serce ugnie się, ale i może pęknie pod ciężarem, jaki na siebie wkładam.

EMILIA (patrząc w ziemię). — Tak, to prawda; ale cóż robić, kiedy nie może być inaczej?

AUGUST (żywiwiej). — A jednak mogło być inaczej; przed dwoma laty, przed rokiem, przed trzema miesiącami mogło być inaczej. Nie chciałaś — i dziś już nie czas. Bo czas nie stoi, bo chwila, która przynosi pokój życia, przygotowuje przyszłość człowieka, chce być pojętą, chce być zrozumianą wtenczas, kiedy przychodzi, kiedy do drzwi jego puka. Odepchnięta obojętnie, mści się swą wzdardą i nie wraca więcej. Tyś jej nie rozumiała, biedna marzycielko! i zламаłaś dwa życia — ale i swoje także. Bo nie spodziewaj się szczęścia. Nie, jak Bóg żywy i wielki, tego ci dać nie mogę.

EMILIA (uroczyście). — Tego mi już nikt nie da — nikt — żadna siła na ziemi. — Ale ty wracasz mi szacunek świata, odzyskujesz mój, i to jest, to wszystko, czego żądałam (kładzie rękę na jego rękę). To mój tryumf, mój dobry Augustcie, to jedyna rozkosz, jakiej w tej chwili stanowczej kosztować mogę (idzie do drzwi gabinetu).

P. Stanisławie! chodź pan, (*Stanisław wychodzi*), podziel pan moje radość—zwyciężyłam. Patrz pan: on mój, on godzien naszej przyjaźni, godzien naszego szacunku; on pokonał namiętność, która go w oczach naszych poniżała; on przeniósł powinność nad szczęście! (*August odwraca się i wychodzi. Emilia z żywością do Stanisława*) O! idź pan za nim—idź—utrzymuj go—pocieszaj—bo on potrzebuje pociechy—bo ja czuję to—o! czuję po sobie, jak musi być nieszczęśliwym. (*Stanisław prędko wychodzi, Emilia stoi przez chwilę z zakrytą twarzą; potem załamując ręce i patrząc ku drzwiom Klementyny jakby się wahała, wstrząsa się; idzie do drzwi na lewo i woła: Klementyno! Potem wraca, a po chwili. Klementyna wychodzi i staje nieśmiało zdaleka*).

EMILIA (*stojąc przy krześle, obraca się ku niej*). Przesyłałaś do mnie Klimuniu! miałaś mi coś powiedzieć. Nie mogłam cię wtenczas wysłuchać; głowa moja i serce były gdzieindziej. Teraz jestem swobodna, jestem spokojniejsza. Powiedz, czego chciałaś odemnie. Ale zbliż się moje dziecię; wahasz się, jakbyś straciła śmiałość do siostry (*zaciskając wargi*). Czy się mnie boisz (*ostrzej*)—mówisz—(*siada i opierając twarz na rękę, patrzy jej bystro w oczy*).

KLEMENTYNA (*zbliża się*).—Najprzód błagam cię Emilio! abyś mię nie posądzała o niewdzięczność.

EMILIA.—O niewdzięczność?

KLEMENTYNA.—Przybyłam do ciebie tułaczką, sierotą, bez ojca, bez żadnej pomocy. Przyjęłaś mię otwartemi rękami; dałaś wszystko, czego ciało, sercu i głowie potrzeba. A ja—przyszłam teraz prosić cię, abyś mi pozwoliła dom swój opuścić.

EMILIA.—Mój dom opuścić? dlaczegoż to? Czy sądzisz, żeś mi się naprzykrzyła? że mi twój pobyt niemi-

ly? że ten lichy koszt, jaki podejmuję na twój skromny ubiór, jest mi zaciężki?

KLEMENTYNA.—O! nie, Emilio! o tém nie myślę. Tyś dobra, tyś szlachetna; przy twoim boku lekko byle memu sercu, na twojej piersi odpoczywała spokojnie i bezpiecznie moja znękana głowa. Dzielisz się także chętnie z tymi, co potrzebują, i masz czém się dzielić! Twoje więc dary dla mnie nie ciężą ci, ani majątkowi twemu uszczerbku nie przynoszą; o tém wiem.

EMILIA.—A więc?

KLEMENTYNA.—Ale widzisz sestro! jam biedna, przeznaczona do niedostatku i pracy. Gdybym tu dłużej została, oduczyłabym się zarabiać, obchodzić się małym, znosić głód i zimno, na które stan mój sierocy narazić mię może.

EMILIA.—Czy zwątpiłaś o mojem sercu? (*po chwili*) czy może co zaszło, coby ci je zamknąć powinno?

KLEMENTYNA (*patrzac w ziemie*).—O sercu twojem nie wątpię. Ale w twoim losie, w twojem położeniu może się co zmienić. Podlegamy wszyscy niewidomój sile, która kieruje nami bez naszej wiedzy. Któż więc, może co zamknie pierś twoją, odwróci odemnie twoją łaskę; może co skrepuje twoje ręce, że nie będziesz mogła być taką, jaką dziś jesteś. A wtenczas cóż pocznę z rozpierzczoném ciałem, z duszą zleniwiałą i rozmięklą? O! ochroń mię od tak upokarzającego nieszczęścia i pozwól rzucić się w świat o własnej sile, póki jeszcze pierś ma odwagę i ręka nieodwykła i ochotna.

EMILIA (*powstaje, przechadza się przez chwilę w myślach, potem zatrzymuje się i mówi*).—Nieszczérą jesteś Klimuniu! Zręcznie przystroiłaś w pozorne powody postanowienie, które ci co innego natchnęło. Oddawna

widzę, że się coś ukrywa w twojém sercu. Dziś domyślam się téj tajemnicy, która cię wypędza odemnie, a co gorsza, zmusza do udawania i kłamstwa.

KLEMENTYNA (*zmieszana*).—Domyślasz się?

EMILIA (*prędko*).—Tak, domyślam się, widzę, że i ciebie razi i gorszy mój sposób życia; że i ty znajdujesz go nieprzyzwoitym, ubliżającym godności kobiety i mogącym wpłynąć na twój los dalszy. Wiész o tém, że świat, kiedy się na kogo uweźmie, rzuca wywołanie na wszystko, co się dotyka wyklętej przez niego głowy. Nie chcesz więc być przypuszczoną do wspólności winy i do wspólności kary, i uciekasz odemnie, aby klątwa złych na mnie tylko jedną upadła.

KLEMENTYNA (*z gorzkim wyrzutem*). — O Emilio! Emilio!

EMILIA (*żywiój*).—Ale mówiłam ci, że się to wszystko zmieni, że się to prędko skończy—i skończyło się.

KLEMENTYNA (*zadziwiona*).—Skończyło się?

EMILIA.—O! tak, skończyło się. I mnie zmordowało to dwuznaczne położenie, i mnie znużyły te niezasłużone obelgi, gniew krewnych, żal i boleść siostry. Serce moje potrzebowało wytchnąć po tylu walkach. Pasoowało się długo; ale nareszcie uległo i uległo z radością, z nadzieją lepszej przyszłości, z oczekiwaniem tego szczęścia, które Bóg przeznaczył kobiecie, a którego ona wyrzekać się nie może bezkarnie. Zmień więc i ty postanowienie twoje, kiedy się wszystko i we mnie i wkoło mnie zmieniło—i dowiedz się, dowiedz moja Klimuniu, że jutro p. August będzie moim mężem.

KLEMENTYNA (*przerazona*).—Jutro?—twoim mężem?

EMILIA (*surowo*).—Ciebie to przeraża?

KLEMENTYNA (*mocując się*).—Nie, nie, o! nie; owszem, dziękuję Bogu, że tak jest; przynajmniej honor jego będzie ocalony.

EMILIA (*chwytając ją za rękę i prowadzi parę kroków naprzód*).—Honor? tylko honor? a szczęście miałby wtenczas, gdyby miał ciebie? (*odtrąca ją*) Wężu! rozgrzałam cię na piersiach i zakłutaś je śmiertelnie.

(*Klementyna cofa się i pada bez zmysłów na krzesło. Emilia staje przy niej i patrząc na nią, mówi*).

Jak ona go kocha! jak oni do siebie należą!—jak dwa promienie jednego ogniska, jak dwa głosy jednego akordu! (*zatemując ręce*) Mój Boże! czémże zawiniłam, zem skazana na to samotne tułactwo. Serce moje wzrusza się nędzą bliźniego, krzywdą braci; kocha naturę i sztukę, życzy ludziom dobra i pokoju; wszystko co szlachetne, co wielkie na ziemi pojmuje i rozumie— a jego drżenia nikt nie słyszy, a jego bicie nie znajduje nigdzie echa i odpowiedzi! O! to los okrutny, to sierocstwo gorsze, niż twoje biedna dziewczyno! (*podnosi jej głowę*) Ale ocknij się już, ocknij! (*Klementyna pociera ręką czoło i stopniami wraca do zmysłów*)— Przyjdź już do siebie i nie bój się moich wyrzutów. Zła chwila przeszła; zbiegłyśmy się w jedném uczuciu i obie daremnie (*odstepuje parę kroków*) — O! myśmy siostry rodzone biedna dziewczyno! myśmy równe sieroty!

KLEMENTYNA (*podnosi się na krzesło, patrzy na Emilię i składając ręce, mówi*) — Emilio! siostro! jam temu nie winna. (*Emilia wyciąga do niej rękę. Klementyna porywa się, wołając*) — Oh! ty mi przebaczasz! (*rzuca się jej w objęcia. Zastona spada*).

AKT IV.

(Ten sam pokój Emilii. August przechadza się w milczeniu; po chwili wchodzi Stanisław).

STANISŁAW. — Powozy zaraz będą gotowe. Proboszcz z początku skrupulizował, że to nieformalnie, że za nagle; ale wreszcie dał sobie wyperswadować. Za godzinę czekać was będzie przed ołtarzem.

AUGUST (*chodząc*). — To dobrze.

STANISŁAW. — Biédna Emilia! poruczywszy mi wczoraj zajęcie się wszelkiém przygotowaniem do tego obrzędu, zamknęła się i nie widziałem jój do téj pory. Czy i ty jój nie widziałeś?

AUGUST. — Nie widziałem.

STANISŁAW. — I Klementyny nie widziałeś także?

AUGUST. — Nie widziałem także.

STANISŁAW. — Auguście! ja nie zasługuję na takie odpowiedzi.

AUGUST (*zatrzymując się*). — Jakże chcesz, żebym ci odpowiadał? Odpowiadam wprost na pytanie.

STANISŁAW. — Zapewne, położenie twoje smutne; dzień dzisiejszy bolesnym jest; jutro może być jeszcze cięższe. Ale każde jutro, mój Auguście, jest wypadkiem dnia wczorajszego.

AUGUST (*chodząc*). — Oczywiście. Bo życie człowieka jest tylko w rozumie, tylko w wyrachowaniu przyczyn i skutków; a serce — to woreczek z dwiema komórkami i klapkami, przez które krew przepływa.

STANISŁAW (*siadając*). — Najrozumniejszy może się dać unieść sercu i przygotować sobie złą przyszłość; ale

człowiek z charakterem, powinien umieć znieść mężnie wszystkie konsekwencye własnych swych działań.

AUGUST (*stając*).—Czyż ja ich nie znoszę? czy płaczę? czy wyrzekam?

STANISŁAW.—Szkoda, że nie płaczesz: wówczas ja-
bym się śmiał. Ale twoje ponure zamyślenie trwoży mię
i przeraża.

AUGUST.—Czy się boisz, żebym się nie zastrzelił?

STANISŁAW.—Spodzielam się, żeś chrześcianin.

AUGUST.—Oh! czy jeden chrześcianin łeb sobie roz-
trzaskał, gdy przyszła pora?—Ja tego nie zrobię, bądź
spokojny; i wreszcie cóż tak nadzwyczajnego w mojem
położeniu? Żenię się z kobietą, której oświadczałem się
tyle razy, która mię kocha, dla której mam szacunek
i obowiązki. Kobieta jeszcze młoda, piękna, ma rozum
i majątek: czyż to taka wielka bięda dla człowieka zna-
jącego świat, żeby przychodził do rozpaczy?

STANISŁAW (*powstając*).—Augustcie!

AUGUST (*zimno i ironicznie*).—Że mię pięrwęj nie chcia-
ła, a teraz raptem chce; że jabym jęj teraz nie chciał, ale
muszę, żeby dopełnić dawnych zobowiązań i nie zadać
sobie kłamstwa; zem się tymczasem zakochał w innęj,
i ta inna zakochała się we mnie, a uderzona tym ciosem,
może uledz i umrzeć: to i to jeszcze nie takie wielkie
nieszczęście, żeby człowiek znający świat, uciekał się
do środków gwałtownych. Od czegoż perswazyja! Mo-
żna sobie z ludźmi rozsądnymi powiedzieć: Niechby by-
ła miała rozum i nie kochała się w człowieku, który nie
mógł sobą dysponować; niechby była miała charakter
i znosiła mężnie wszystkie konsekwencye własnych swych
działań. Nie zdołała tego dokazać; sama sobie winna,
że umarła. Żal mi jęj, to prawda; ale mogę się pocie-

szyc mając piękną żonę i pięć wiosek pod Warszawą z lasami i młynami (*rzuca się na krzesło trąc silnie czoło*).

STANISŁAW (*przystępuje do niego*). — Biedny! szalony człowieku! co ty pleciesz!

AUGUST (*zrywa się*). — Co pletę? czyż to rzecz nowa? czyż to nie codzienna historia téj naszej społeczności, której mamy honor być szczęśliwemi członkami? Małoż widziałeś kobiet, z namiętnością w sercu, sprzedających się lub sprzedanych innemu za tytuł lub pałac? Małoż znalazłeś mężczyzn, których serce było gdzieindziej, którzy nie mieli nawet tych powodów co ja, a sprzedali się za grunta pszenne i lasy nad Pilicą? — A przecież żadna z tych pań nie umarła; żaden z tych panów w łeb sobie nie palnął, choć wiedział, że serce, które mu zawierzyło, złamało się i zeszło. Owszem, był sobie spokojnym obywatelem, gospodarował, i przyhywszy do Warszawy z pełną kieszenią, zjadał smaczną połędwicę, pił szampana z bracią szlachtą i przyjaciółmi, i przyjaciele nazywali go człowiekiem rozsądnym, który znał świat, i znosił mężnie wszystkie konsekwencye swoich własnych działań. Tak i ja robić będę; bądź pewny, chociażby ta... (*postrzega Klementynę i cofa się, chwytając się za głowę*) Ha! po co ona tu przyszła! (*odchodzi na prawo i siada zdaleka. Klementyna, która weszła przed chwilą, w białej sukni, z twarzą bladą, ale spokojną, zbliża się, patrzy przez chwilę na Augusta; potem zwracając się do Stanisława, mówi*).

KLEMENTYNA. — Panie Stanisławie! znajomość nasza niedawna, a jakżem już panu obowiązana za tę przyjaźń, jakiej dowodzisz tym, których kocham (*podaje mu ękę*). O! dziękuję panu.

STANISŁAW (*ściskając jej rękę*). — Radbym dobra pani zasłużyć na to podziękowanie.

KLEMENTYNA. — Akt, który się ma dopełnić, był koniecznym, pośpiech był niezbędnym. Pan ułatwiłeś wszystkie trudności, przyspieszyłeś tę stanowczą chwilę, która ich uspokoi, która im pokaże, że się łudzili wielkością swego nieszczęścia, która ich przekona, że mają dosyć sił do zniesienia swego losu. Oni sami nie byliby w stanie zająć się tém wszystkiém. Ja... Ach! ja także nie miałabym ani głowy, ani swobodnej myśli, żeby ich wyręczyć. Opatrzność zesłała nam pana, abyś utrzymywał upadających swoją radą i pociechą, i działał za nas wszystkich.

STANISŁAW. — I abym był świadkiem wielkiego wysilenia, które mię wzrusza do głębi serca, i którego pamięć na zawsze mi zostanie.

KLEMENTYNA. — Czyż pana to dziwi? czyż poświęcenie wielkie trudném jest i nienaturalném tam, gdzie miłość jest wielka? Wszak i żelazo twarde i zimne, jak interes i samolubstwo; gdy się rozgrzeje, daje się nagiąć do form pięknych i wzniosłych. (*August wstaje i odchodzi kilka kroków dalej*).

STANISŁAW. — I pani pojedziesz z nami? i będziesz obecna ich przysiędze?

KLEMENTYNA. — Jestem przecież družką Emilii (*z gorzkim uśmiechem*). I widzisz pan, jakem się wystroiła. Poprowadzę ją przez kościół, słuchać będę ich przysięgi, i bądź pan pewny, że tam, gdzie Bóg jest obecnym, z tego ołtarza, którego treścią i tryumfem jest ofiara, spłynie pokój do serc naszych i wrócimy do domu zdrowsi duszą, niż wyjeżdżamy.—Czy pan dziś nie widziałeś Emilii?

STANISŁAW.—Drzwi jój dotąd zamknięte.

KLEMENTYNA (*zaciskając wargi*).—Czy wie, że już wszystko gotowe?

STANISŁAW.—Już dawno uwiadomiłem ją o tém.

KLEMENTYNA (*z niepokojem*).—Czemuż się ociąga. Jakbym chciała, żeby się to już spełniło! (*Emilia otwiera drzwi*).

EMILIA (*za sceną*).—Panie Stanisławie! proszę pana na chwilę. (*Stanisław wchodzi i drzwi zamyka*).

AUGUST (*przystępuje do Klementyny*).—Więc pani chcesz tego, pragniesz i potrzebujesz, aby się to spełniło?

KLEMENTYNA (*nie patrząc na niego*).—Czyż nie widzę, że to rzecz konieczna? że im prędzój się spełni, tém lepiej dla nas?

AUGUST (*stłumionym głosem*).—Chciój mi pani odpowiedzieć wprost na pytanie: czy chcesz tego i pragniesz?

KLEMENTYNA.—Bóg widzi, że chcę, że pragnę mocno i stanowczo.

AUGUST.—Dobrze więc; ponieważ pani tego chcesz, aby się spełniło—spełni się; ale nie jedź tam pani z nami, nie stawaj obok niój przy oltarzu: bo uprzedzam panią i klnę się niebem i Bogiem, że nie powiem ani słowa!

KLEMENTYNA (*z bolem*).—Ach! panie Auguście! jak mi pan utrudniasz ciężką moją drogę?

AUGUST (*z mocą*).—Któż panią zmusza, abyś nią szła? Pocóż zadawać gwałt naturze, kiedy to ani Emilii, ani mnie, ani pani żadnej ulgi nie przyniesie. Czyż pani tego nie czujesz, że wszystkie te wysilenia daremne? Że to jest samobójstwo płoche i nieużyteczne? że nawet ten świat, którego głupstwu i złości przynosimy się w ofie-

rze, śmiać się z nas będzie, żeśmy wybrali drogę, która nas śmiertelnie pokaleczyła, mając inną przed sobą.

KLEMENTYNA (*z bolem*).—Inną? jaką? gdzie?

AUGUST.—Tę, którą wskazuje serce, na którą woła nas potężny głos, jaki Bóg w piersiach naszych umieścił. Tłumiliśmy go długo, katowaliśmy się jak potępieńcy milczeniem i udawaniem obojętności i wstrętu. Dostyc już tego; niech się teraz odezwie i ochroni nas — może od grzechu. Powiedz pani tylko: ja nie chcę—i w téj chwili, Bóg mi świadkiem, zerwę te więzy, którem sam na siebie nałożył. Nie mamy prawa marnować tak życia—(*patrzac w ziemię*) wszak i nam należy się cokolwiek szczęścia od ziemi.

KLEMENTYNA (*odstępując i z żalem*).—Szczęście i hańba—szczęście i niewdzięczność—szczęście i niewiara!—czy to razem chodzi? czy widziałeś je gdzie razem?—Biedny szaleńcze! powinienbyś mieć więcej litości nad sercem kobiety, która może kosztem połowy życia wyrobiła w sobie cokolwiek pokoju, odrobinę rezygnacyi, a które ty tak niemiłosiernie roztrącasz i nogami deptasz (*siada płacząc*).

AUGUST (*po chwili, ponuro*).—Pokój! rezygnacya. Tak, uważałem to, żeś pani spokojna i zrezygnowana. Rzeczywiście, tym wyskokiem nierozumnym i niemiłosiernym mogłem zatruć ten pokój i osłabić tę rezygnacyą. Żałuję teraz, że się zapomniał i przepraszam panią za moje szaleństwo; ale sądziłem, że mię pani kochasz.

KLEMENTYNA.—Przebaczam panu i to okrucieństwo: bo wiem, jak jesteś nieszczęśliwym.

AUGUST (*rzucając się na krzesło*). O! nie wiesz, nie wiesz tego—(*zakrywa twarz*).

STANISŁAW (*wchodząc*).—Przygotujcie się; już idzie (*odchodzi na prawo, ociera ukradkiem łzę i mówi na stronie*). **Patrz** na nich, można się pogodzić z naturą ludzką.

(*August i Klementyna powstają, zwracając się ku drzwiom Emilii; po chwili wchodzi Emilia w czarnej sukni, z czarnym woalem na głowie, spadającym na jej ramiona i patrząc na nich spokojnie, staje na środku*).

EMILIA (*po pauzie*).—Nie widziałam was kilkanaście godzin, i zapewne znudziłam długiém oczekiwaniem. Darujcie! moment był ważny, zależała od niego moja i wasza przyszłość. Takie chwile w życiu potrzebują samotności i zebrania ducha, aby Bóg i modlitwa pomogły, aby serce według natchnienia nieba mogło wybrać zba wiennie. Teraz utwierdziłam się w mojem postanowie niu, poddałam się memu losowi i przychodzę do was z twarzą spokojną, jak widzicie, i z piersią, w której uci- chło wszystko, co ją w tych kilku dniach napełniało bu- rzą i niepokojem. Ale czemuż tak patrzycie na mnie z podziwieniem? Auguście! Spodziewam się, że nie za- łujesz téj chwili, w której byłeś mężnym i wspaniałym. A ty Klimuniu! wierzysz także, że wola Boga spełnić się musi, i żadne układy ludzkie zmienić jej nie mogą.

KLEMENTYNA (*przystępując i z trwogą*).—Siostro! sio- stro! co znaczy ten ubiór?

EMILIA (*bierze jej rękę*).—To odzież pielgrzymki, mo- je dziecię, która ma przed sobą wędrówkę długą i ciężką. Podobna ona do żałoby po szczęściu ziemskiém, po naj- słodszych nadziejach, po wszystkich marzeniach młodo- ści. A jednak spodziewam się nosić ją spokojnie, kiedy i teraz łzój mi w nią — i oczy moje suche. Przestańże i ty płakać, moje dziecię (*przyciąga ją do siebie*).—Przy

tój białej sukience, czystej, jak twoje serce, jasnej, jak może być jeszcze twoja przyszłość, lepiej się wyda wypogodzone czoło i oczy, zroszone tylko łzą nadziei i wdzięczności.

KLEMENTYNA. — Daruj mi, zem się tak ubrała. Ale sądziłam, że mój ubiór sierocy nieprzyzwoitym będzie w dniu dzisiejszym.

EMILIA. — I owszem, dobrześ zrobiła, boś przestała być sierotą.

KLEMENTYNA (z napięciem). — Nie rozumiem cię siostrze.

EMILIA. — Bo masz matkę we mnie; a w tym mężu, którego ci daję, znajdziesz opiekuna i przyjaciela.

KLEMENTYNA (zakrywając twarz). — Ach!

AUGUST (przystępuje). — Emilio! Emilio! coto jest? mogłażbyś... Nie, to niepodobna.

EMILIA. — Czemu niepodobna? Nie daliście mi przykładu? Ty Auguste! nie wskazałeś mi mojej drogi? Wyrzekłeś się jej dla mnie: dlaczegóż ja nie mam się wyrzec ciebie dla was obojga? — Rozkosze cichego życia kobiety, wspólne, podzielone, mnożące się z dniem każdym już nie dla mnie. W waszém szczęściu cały owoc dni moich, i natém zawód mój ziemski skończony (*postępuje parę kroków naprzód*). A teraz samotna, rzucam się w twoje objęcia praco! przyjaciółko najwierniejsza, towarzyszko! na której silném ramieniu w dzień i w nocy znękana głowa oprzeć się może. Spotwarzyłam cię, dąsałam się na ciebie, żeś mi w dniach szczęścia odmówiła cacka próżności. Nie wiedziałam, że ty jedna staniesz przy mnie, gdy mnie wszystko opuści, i w dniu goryczy przyniesiesz nie czczy oklask, nie marną sławę, ale prawdziwą pociechę, jedyny ratunek!

KLEMENTYNA (*pada przy niej na kolana*). — O biedna! biedna Emilio!

AUGUST. — Wielka! nieporównana kobięto! jakżeśmy przy tobie nikczemni i mali! (*klęka przy niej*).

EMILIA (*trzymając ich ręce, z podniesionemi w górę oczyma*). — Jedźcie już do kościoła, tam proboszcz was czeka.

KONIEC AKTU CZWARTEGO I OSTATNIEGO.

UWAGI

FIZYOLOGICZNE NAD ABECADŁEM POLSKIEM.

PRZEZ

Dra Ludwika Hutansona.

Trudne to przedsięwzięcie prostować wiekami utwierdzone zdania, i błędem nazywać, co pokolenia pokoleniom, jako pewną prawdę przekazywały, co za młodu wpojone i utwierdzone zostało ślełą wiarą ucznia w nieomylność nauczyciela. Najoczywistszym tego dowodem jest właśnie długowieczne trwanie błędu, który sprostować zamierzam, i dlatego nie wątpię, że zrazu licznych znajdę przeciwników, którym przykro będzie pozbywać się ulubionych, prawie wrodzonych wyobrażeń. Ale w nauce niéma przedawnienia.

Abecadło polskie, jedno z najbogatszych w językach europejskich, biorę za przedmiot, nie dlatego, że uwagi które mam wyłożyć, do niego tylko szczegółowo się stosują, ale że właśnie bogactwem głosek, daje najobszerniejsze pole do zastosowań, spostrzeżeń i fizyologicznego rozbioru. Grammatycy nasi, jakkolwiek w głównych błędach w tym przedmiocie zgodni, co do szczegółów podziału głosek tak dalece się od siebie różnią, że niepodobna znaleźć dwóch zgadzających się w ich klasyfi-

kacy. I w rzeczy samej, inaczej stać się nie mogło. Oznaczenie i podział głosek, jakkolwiek napozór mało-ważne, wymagają jednak znajomości fizyki, anatomii i fizjologii; znajomości organów i części ciała, w których się głoski tworzą. Gdy tymczasem grammatycy nasi, którym zazwyczaj nauki te są obce, albo powtarzali za młodu w nich wpojone zdania, albo podług własnego widzimisię sami układali dziwne, dziwaczne i sprzeczne systemata. Nauka o głoskach, czyli nauka o mechanizmie mowy, jest wyłącznie przedmiotem fizjologii.

Mowa, najszczytniejszy człowieka przywilej, jest pod względem fizyologicznym zbiorową czynnością pewnej liczby organów, przeznaczonych zarazem do pełnienia innych ważnych spraw organicznych. Usta z zawartemi w nich organami żucia i połykania, cała klatka piersiowa z organami i przewodami oddychania, cudownym oszczędnej natury ustrojem, służą zarazem do wydawania i zmianowania dźwięków, głosów i szmerów, składających mowę ludzką. Dźwięki czyli tony, tworzą się tylko w krtani, przez drganie strun głosowych, umieszczonych po obu bokach tego organu. Powietrze, za pomocą mięśni klatki piersiowej, wyciskane z płuc, sprawia drganie w owych strunach, których większe lub mniejsze naprężenie, wydaje dźwięki wyższe lub niższe, w pewnej, właściwej rozciągłości (scala). Moc tonów (forte i piano) zależy od siły skurczenia mięśni klatki piersiowej. Nad krtanią zawieszona jest miękka podniebienie, przedzielające paszczę na dwie części: nosową i ustną. Paszcza i cała jama piersiowa współdziewiczieniem swoim wzmacniają pełność tonów, i są tém, czém pudło (Resonanzboden) w instrumentach muzycz-

nych. W ustach, twarde podniebienie, język, zęby i wargi, stosownym układem zmieniają brzmienie tonów (timbre). Miękkie podniebienie, razem z kłapką nad krtanią znajdującą się, czyli tak zwaną nadgłośnią (epiglottis), mogą przedzielić tę jamę tak, że tony samym tylko przewodem nosowym wychodzą; lub też zamykając tylko nozdrza, przepuszczają tony samymi tylko ustami. Oprócz tonów czyli dźwięków, powietrze z płuc wyciskane, tworzyć może szmery właściwe, które albo same przez się, albo razem z tonami słyszeć się dają.

Ztąd wypada główny głosów podział na *tony* czyli *dźwięki*, i na *szmery*, które wzajemném połączeniem i układem odpowiednich organów, w daném po sobie następstwie, stanowią mowę ludzką.

Bywają zdarzenia, w których choroby nawiedzając pojedyncze części głosowego ustroju, przeszkadzają wydawaniu tonów lub szmerów, i w takich razach najdokładniej rozpoznać można, właściwy każdego organu udział w mowie ludzkiej. W istocie przypadek owrządzenia krtani z zajęciem strun głosowych, pospolicie suchotami gardlanemi zwany, był dla mnie pierwszą sposobnością i pobudką do badania tego przedmiotu. Chory ów nie był w stanie wydawać tonów (aphonia), i cała jego mowa składała się ze szmerów.

Tak więc głoski mogą istnieć albo same przez się jako tony lub szmery, albo tylko jako szmery, albo też rodzą się z połączenia tonów ze szmerami. Pierwsze nazwiemy głoskami samoistnymi, drugie głoskami ciche, trzecie głośniami.

Głoski samoistne: *a, e, i, o, u, y, j, l, ł, m, n, r.*

Głoski ciche czyli szmery: *h, ch, f, s, ś, sz, p, k, t.*

Odpowiednie głośnie - - *w, z, ź, ż, b, g, d.*

Głoski samoistne wymawiać można bez tonu lub z tonem, czyli **cicho** i **głośno**, i w obu razach nie zmieniają brzmienia; **tu** należą wszystkie dotąd zwane samogłoski, i przez **Greków** tak zwane spółgłoski płynne. *Głoski ciche* są **czystymi** szmerami, i razem z tonem wymówione być nie mogą; za przyłączeniem się do nich głosu, zamieniają się w odpowiednie głośne, których znowu bez tonu wymawiać nie można. W chorobach, w których krtani jako organ tonu jest zajęta, tak, że tony tworzyć się nie mogą, mowa jest cichą, czyli składa się tylko z głosek pierwszego i drugiego rzędu; zamiast zaś zdarzających się w wyrazach głosek głośnych, chorzy tacy wymawiają odpowiednie ciche; np. zamiast *dobry* mówią *topry*, zamiast *zgoda* mówią *skota* i t. p.

Drugą główną między głoskami różnicę stanowi czas ich trwania, i w tém jest różnica samogłosek od spółgłosek. Pospolicie nazywają samogłoskami te głoski, które bez pomocy innych wymówione być mogą, i których wszyscy grammatycy głównie liczą sześć: *a, e, i, o, u, y*, (z podrzędnymi odmianami, np. *e* kreskowane, *a* ścieśnione i t. p.). Resztę nazywają spółgłoskami, dlatego, że ni-
by bez pomocy samogłosek, dłuższy czas wymawiane być nie mogą. Te tradycyjne definicje, są jednym z najgrubszych błędów, jakie w ogóle w naukach znaleźć można. Rzeczywiście nie łatwiejszego, jak przy dobrej woli i bezstronności, wielką liczbę tak zwanych spółgłosek wymawiać długi czas, bez pomocy samogłoski, np. *z, s, ź, sz, (l) r, i t. d.* Istotnych zaś spółgłosek, do których

(i). Nie trzeba mieszać znaków pisarskich z głoskami, albowiem w alfabecie polskim nieraz znak pisarski pojedynczy, odpowiada głosce złożonej, i przeciwnie; np. *c* jest złożone z *t* i *s*; *sz* jest znakiem złożonym głoski pojedynczej.

zwykła definicya stosować się może, jest tylko sześć: *b*, *d*, *g*, *i* *p*, *t*, *k*, czyli właściwie tylko trzy, jak to niżej zobaczymy. Należy więc albo definicyą samogłosek i spółgłosek zmienić, albo zachowując daną definicyą, zmienić układ i klasyfikacyą głosek. Ponieważ zaś różnica między temi dwoma rodzajami głosek jest istotna, zależąca na możliwém dłuższém lub krótszém trwaniu głosu; należy więc głoski podzielić na trwałe czyli samogłoski, i na krótkie czyli spółgłoski.

Dla łatwiejszego przeglądu, umieszczamy tu tablicę wyrażającą podział głosek, ze względu na ich trwanie, i na ich stosunek do głosu.

	Samogłoski.	Spółgłoski.
1. <i>Samoistne</i>	{ a, e, i, o, u, y, j, l, ł, m, n, r.	—
2. <i>Ciche czyli szmery</i> . . .	{ h, ch, f, s, ś, sz.	k, p, t.
3. <i>Głośne</i>	{ — — w, z, ź, ż.	g, b, d.

Uwagi. Spółgłosek samoistnych niéma wcale. Umieściliśmy głoski głośne pod odpowiedniami cichemi. Głoski: *h*, *ch*, nie mają w polskim języku odpowiednich głośnych. *Ch*, ma w języku francuzkim odpowiednią głośną, wyrażoną przez *r* w dyalekcie paryzkim.

Trzecią między głoskami różnicę stanowi mechanizm ich wymówienia, czyli układ organów użytych do wydania oznaczonej głoski. I pod tym względem znajdujemy u grammatyków podziały rozmaite i tak błędne, że jedynie nieznamość anatomii odpowiednich części, wytłumaczyć je może. Przejdziemy tu pojedynczo wszystkie głoski, tłumacząc ich sposób tworzenia się, jak również zbieg i układ organów, potrzebny do ich wydania.

H. Jestto najprostszy szmer. Tworzy się przez samo przejście wytchniętego powietrza przez krtani i usta.

Naturalnie, że przy wydaniu tój głoski, usta muszą być otwarte, gdyż jeżeli powietrze przy zamkniętych ustach przez nos przechodzi, głoska ta wymówioną być nie może.

Ch. Tworzy się tak, jak *h*, z tą różnicą, że powietrze wytchnięte przechodzi otworem ścieśnionym, przez podniesienie tylnej części języka ku miękkiemu podniebieniu.

A. Jako szmer tworzy się w krtani przy otwartych ustach, przez tarcie wytchniętego powietrza o struny głosowe. Jako ton, tworzy się przez drganie strun głosowych w tym samym układzie.

E. Tworzy się zupełnie jak *a*. Różnica w układzie krtani i przyległych części przy wydaniu obu tych tonów jest bardzo mała, pomimo bardzo wyraźnej różnicy w głosce. O ile się zdaje, zależy ona na nieznacznej zmianie położenia gardzieli i miękkiego podniebienia.

Ę. Tworzy się jak *e* i różni się tylko tém, że szmer albo głos przechodzi jednocześnie przez nos i przez usta, gdy tymczasem przy wydawaniu głoski *e*, przewód nosowy jest zamknięty miękkim podniebieniem, a głos wychodzi tylko ustami.

I. Podobnie jak poprzednie głoski, jako szmer tworzy się w krtani, przyczém język tak jest ułożony, że brzegi jego boczne dotykają do zębów górnej szczęki, a środkowa część języka tworzy rowek, przez który powietrze wytchnięte przechodzi. Jako ton, tworzy się tymże samym sposobem przez drganie strun głosowych.

Y. Tworzy się jak *i*, z tą różnicą, że przy zstąpieniu krtani na dół, język cokolwiek bardziej w tył jest posunięty, a rowek przezeń utworzony, jest szerszy i krótszy.

O. Jest szmerem lub tonem utworzonym w krtani. Jama ust przybiera przy tój głosce kształt mniej więcej

kulisty, i otwór ust staje się okrągłym. Forma ta otworu ust chociaż nie jest koniecznie potrzebną, wiele jednak przyczynia się do wyraźnego brzmienia téj głoski.

A. Tworzy się z o, tym samym sposobem, jak *ę* z *e*.

U. Głoska ta tworzy się w krtani. Otwór ust musi być przytém ścieśniony; wyraźniej się wymawia, jeżeli jama ust przez posunięcie warg naprzód, jest przedłużona.

Wszystkie więc dawniej tak zwane samogłoski, tworzą się w krtani.

L. Tworzy się na języku. Powietrze wytchnięte przechodzi pomiędzy bocznymi brzegami języka, a zębami trzonowemi górnej szczęki, kiedy jednocześnie przedni brzeg języka, dotyka się przedniej części podniebienia.

Ł. Szmer ten tworzy się w tém samym miejscu, co i głoska *l*; z tą różnicą, że język w tylnej i średniej części tworzy wydrążenie, wypukłością na dół obrócone. Przedni brzeg języka zetknięty jest z podniebieniem.

J. Przy wydaniu téj głoski, język układa się zupełnie przeciwnie, jak przy wydaniu głoski *l*. Brzegi stykają się z zębami trzonowemi, a przednia i środkowa część języka, tworzą wklęsły rowek. Układ więc języka jest ten sam, jak przy *z*; różnica tych dwóch głosek zależy na tém, że głoska *i* tworzy się w krtani, a szmer *j* tworzy się na języku.

Ś. Tworzy się jak *j*, z tą różnicą, że rowek przez język utworzony jest bardziej ścieśniony, tak, że szmer obija się o zęby wcinające przednie górnej szczęki. Za dodaniem głosu przechodzi w *ź*.

Sz tworzy się jak *ś*, ale rowek przez język utworzony jest spłaszczony, i język bardziej w tył posunięty. Za dodaniem tonu przechodzi w *ź*.

S. Tworzy się jak *s'*, z tą różnicą, że powietrze wytchnięte, z powodu przybliżenia końca języka do zębów, trafia na dolny brzeg środkowych zębów górnej szczęki, tak, że szmer ten tworzy się nie między końcem języka a podniebieniem jak *s'*, ale między końcem języka a górnymi zębami. Za dodaniem tonu przechodzi w *z*.

F. Szmer ten tworzy się, kiedy powietrze wytchnięte, przechodzi pomiędzy zębami przednimi górnej szczęki a wargą dolną, przy blizkiem zetknięciu tych części. Można by szmer ten wydać stykając zęby dolnej szczęki z wargą górną. Za dodaniem głosu przechodzi w głoskę *w*.

M. Tworzy się w krtani, przyczém głos lub szmer przy zamkniętych ustach przechodzi przez otwór nosowy.

N. Tworzy się w krtani, przyczém jama ust zamknięta jest przyłożeniem brzegów języka, do osady zębów w podniebieniu, a szmer lub głos przechodzi przez otwór nosowy.

R. Tworzy się przez drganie przedniego brzegu języka, zetkniętego z przednią częścią podniebienia.

K. Jest szmerem nagłym, krótkim, tworzącym się kiedy powietrze wytchnięte przedziera się pomiędzy tylną częścią języka a miękkim podniebieniem, poprzednio zetkniętymi. W połączeniu z głosem, szmer ten przechodzi w *g*.

T. Jest szmerem nagłym, krótkim, tworzącym się, kiedy powietrze wytchnięte, oddziela przednią część języka od przedniej części twardego podniebienia. Za dodaniem głosu przechodzi w *d*.

P. Tworzy się, kiedy powietrze wytchnięte nagle, rozdziela połączone z sobą wargi. Za dodaniem głosu przechodzi w *b*.

Co się więc tyczy miejsca, w którym tworzą się głosy i szmery, podług czego najczęściej grammatycy klasyfikowali i mianowali głoski, można przyjąć następujący porządek:

W krtani: *a, e, ę, i, o, ą, u, y, m, n.*

W gardzieli: *h, ch, k, g.*

Na języku: *l, ł.*

Między językiem a twardém podniebieniem: *j, ś, ź, sz, ż, s, z, r, t, d.*

Między zębami i wargą: *f, w.*

Między wargami: *p, b.*

Z tego względu pierwsze nazwaćby można głoskami krtaniowemi, z których *ą, ę, m, i n,* będą krtaniowo-nosowemi; drugie gardzielowemi, trzecie językowemi, czwarte językowo-podniebiennemi, piąte zębowo-wargowemi, szóste wargowemi.

Dla łatwiejszego przeglądu, podajemy następującą tabelicę:

	S a m o g ł o s k i.			Spółgłoski.	
	Samoistne.	Ciche.	Głośne.	Ciche.	Głośne.
1. Krtaniowe.	<i>a, e, i, o, u, y.</i>	—	—	—	—
2. Krtaniowo-nosowe.	<i>ą, ę, m, n.</i>	—	—	—	—
3. Gardzielowe.	—	<i>h, ch.</i>	—	<i>k.</i>	<i>g.</i>
4. Językowe.	<i>l, ł.</i>	—	—	—	—
5. Językowo-podnie- bienne.	<i>j, r.</i>	<i>ś, sz, s,</i>	<i>ź, ż, z,</i>	<i>t.</i>	<i>d.</i>
6. Zębowo-wargowe .	—	<i>f.</i>	<i>w.</i>	—	—
7. Wargowe	—	—	—	<i>p.</i>	<i>b.</i>

Wzmiankowaliśmy już, że znajdujemy w naszym alfabecie znaki pojedyncze, na głoski złożone; i tak: *c* jest głoską złożoną z *ts*, *x* jest złożoną z *ks*. Obie te głoski składają się z dwóch cichych, to jest pierwszej spółgłoski, a drugiej samogłoski. Grecy mają jeszcze głoskę

złożoną *ps*, która dopełnia połączenia samogłoski *s* z wszystkimi trzema cichymi spółgłoskami. Za dodaniem głosu, *c* przechodzi w *dz*, *x* w *gz*. W naszym języku jest jeszcze *ć*, złożone z *ts*, przechodząca w głoskę *dź*. Oprócz tych głosek złożonych, mamy w polskim języku jeszcze tak zwane głoski miękkie, które składają się z odpowiedniej głoski z następującym zaraz *j*. Tu należą: *b'*, *ń*, *p'*, *w'*.

Dla rozróżnienia głosek prostych od złożonych służy to, że przy dłuższem brzmieniu, głoski pojedyncze brzmią ciągle jednakowo, w złożonych zaś brzmi tylko ostatnia, która jest samogłoską.

W mowie, brzmienie głosek cichych i głośnych rozmaicie się odmienia, i to stosownie do praw tworzenia się i zmianowania głosu. Prawa te są następujące:

1. Głoski głośne przed cichymi zamieniają się w wymawianiu na odpowiednie im ciche; np. w wyrazie *zład*, głoska *z* wymawia się jak *s*.

2. Głoski ciche przed głośniami, przechodzą na odpowiednie im głośne; np. *gwoli*. W wyrazie tym *g* powstało z *k*. W wyrazie *nozdrze*, głoska *z* powstała z *s*; w wyrazie *prośba*, *s* wymawia się jak *ź*, i t. p.

3. Głoski głośne na końcu wyrazów wymawiają się jak odpowiednie ciche; np: *chleb*, *gród*, *róg*, *rów*, *glaz* i t. p. wymawiają się jak: *chlép*, *grót*, *rók*, *róf*, *glas*. Jeżeli zaś w następującym wyrazie pierwsza głoska jest głośna, wtedy ostatnia głośna poprzedniego wyrazu wymawia się w właściwem brzmieniu; np. *ów dom*: gdy tymczasem, jeżeli pierwsza głoska wyrazu, następującego jest cicha, ostatnia głośna poprzedzającego wymawia się jak cicha; np. *ów pan*; tu *w* wymawia się jak *f*.

Przyczyna tych przemian, dotykających najwięcej szmery, czyli właściwe głoski ciche i odpowiednie głośnie, zależy na trudności szybkiego naprzemian wydawania i tłumienia głosu. Przy głoskach samoistnych łatwiej daje się to wykonać, albowiem te w obu razach zachowują właściwe swe brzmienie, przez co przejście z mowy cichéj do głośniej jest ułatwione. Uwagi te ważne są pod względem pisowni; wiadomo bowiem, jak różnią się nasi autorowie w pisaniu głosek, mających pochodzenie głośnie, a cicho wymawianych; np.: *zład, zkąd* i t. p. jedni piszą przez *z*, drudzy przez *s*. Należałoby tu wziąć za ogólną zasadę albo etymologią czyli pochodzenie głoski, albo wymawianie.

4. Jeżeli ostatnia głoska wyrazu jest głośną i poprzedzona jest przez samogłoskę *e* lub *o*, wtedy samogłoska ta ścieśnia się, przez co *e* zamienia się na *é*, *o* na *ó*; np. *chléb, próg, ród, wóz, nóż, gróz*. Przy cichych, samogłoska poprzedzająca pozostaje otwartą, np. *lep, sok, lot, nos, kosz, pros'*. Ścieśnienie to znika, jeżeli w zmianowaniu (przez deklinacją lub konjugacją) wyrazu, ostatnia głoska spływa na następującą samogłoskę, np. *chléb, chleba, próg, prog*. Ścieśnianie samogłoski *a* dawniej używane, teraz zupełnie zaginęło. Z głosek samoistnych: *l, ł, j, r*, zachowują się w tym względzie jak głośnie; zaś *m, n*, najczęściej jako ciche, a głoska *w*, czasem zachowuje się jak cicha; np: *lew*.

W śpiewie najłatwiej wymawiać takie wyrazy, które mają jak najwięcej głosek samoistnych albo głośnych; głoski zaś ciche i spółgłoski, mogą być dobrze umieszczone tylko na końcu, lub na początku przestanków muzycznych: w ciągu bowiem nuty, koniecznym przerywaniem głosu, przy częstym powtarzaniu się, zamieniają śpiew

ciągły (legato), na przerywany (staccato), i nieprzyjemnymi obcemi szmerami mieszają czystość tonów. Z tej przyczyny język włoski, którego wyrazy mają najmniej głosek cichych i spółgłosek, tak łatwo jest śpiewnym.

Przytoczyłem tu tylko kilka zastosowań naszego przedmiotu do pisowni i do języka muzycznego. Nie wątpię, że filologowie i grammatycy w badaniach swoich etymologicznych i grammatycznych, liczne oprócz tego znajdą jeszcze zastosowania, w których znajomość fizjologicznych stosunków między głoskami i sposobu ich tworzenia się, posłuży do wytłumaczenia mnogich przemian, jakim podlegają głoski przy tworzeniu się wyrazów pochodnych od wyrazów pierwotnych, czyli źródłosłów.



ROZMAITOŚCI.

Wygnanowice (). Powiastka historyczna.*

Przy końcu 1704 roku, w którym Polska znękana przemocą skandynawskiego wojownika, bez króla i rządu, rzucona na łup wyuzdanój samo-woli, podzielona na liczne stronnictwa, które między sobą ustawne wiodąc napady, bezkarnie nękały kraj biédny, biédny zaiste, bo od obcych i swoich szarpany; mieszczenie miasta Lublina, korzystając zuchwały sejmowój, pozwalającój im nabywania dziedzictwa dóbr ziemskich (1), nie lenili się w wykonaniu, na co szlachta krzywém patrzyła okiem, a krzywszą jeszcze wolą.

Trzy mile od Krasnegostawu stała wioska Stryjną nazwana (2), odwieczna własność Stryińskich, gniazdo ich rodu i miana, a właścicielem był wówczas Stanisław Stryiński, stolnik braclawski, starzec z górą sześćdziesięcioletni, wdowiec, mający przy sobie tylko syna jedynaka, dwudziestoletniego młodzieńca, który skończywszy poetykę u OO. Jezuitów w Lublinie, wrócił pod ojcowską strzechę, przy-

(*) Wygnanowice, wieś w powiecie krasnostawskim.

(1) Konstyt. z r. 1703 str. 20 tyt. miasto Lublin. Lengnich, str. 209.

(2) Stryjna, majątność obszerna w tymże powiecie, będąca własnością Michała Malhomme, którą przed 20 laty nabył od rodziny Stryińskich.

uczyć się trochę gospodarstwa, aby potem zająć miejsce, czekające go w regimencie pana wojewody kijowskiego.

Pan Antoni, chłopak gładki, zwinny, niecierpliwie wyglądał chwili, w której otrzyma ojcowskie błogosławieństwo, kilka polecających listów, i dwóch do swojej służby hajduków, aby się obetrzeć (jak mówiono) w świecie; gdy na jeden raz stracił minę, ochotę, do owój tak upragnionój wojaczki, i pytającemu ojcu: kiedy chce wybrać się w drogę, odpowiadał tłumacząc się to tём, to owém, aby tylko przewlec jak najdłużej porę tak dawniej oczekiwaną.

Tymczasem nim i ja czytelnikowi wytłumaczę powody pana Antoniego, powiem mu, że niedaleko, bo tylko o granicę ze Stryją, mieszczanin lubelski Paweł Malicki, kupiwszy obszar pustego gruntu, zakładał wioskę, pracując w pocie czoła na wyżywienie liczuój rodziny, na uposażenie chłopków, garnących się do jego wioski.

Panu Stryińskiemu taki sąsiad, to sól w oku. On szlachcic z dziada, z pradziada, liczący w swoim rodzie krajczych, cześników, podkomorznych, a nawet i kasztelanów, nie mógł tego ścierpieć, że mieszczanin lubelski sadowił się obok niego, i choć miał niezbyt bogatą fortunę, gotów był oddać połowę, aby tylko jakimkolwiek sposobem, godziwym czy nieprawym, pozbyć się nieznośnego sąsiada. A jeszcze na dobitkę zaczęły biegać wieści, że pan Antoni zajeżdża do białego dworku i smali cholewki do czarnookiej Kasi, córki Malickiego; a choć starzec niebardzo temu wierzył, jednak ludzkie pogadanki, szeptały o tём coraz głośniejszym gwarem. Rzec prawdę, że nie musiało to być bez ale; i to zapewne był sęk, o który zaczęły się owe lotne młodzieńcze chęci, które obiegłszy niezmierne pole marzeń, uwięzły w białym dworku, i w czarnych oczach dziewczyny.

Wieczorem, pogodnego dnia lipcowego r. 1705, w gauku podpartym czterema słupami, pod lipą, co szerokimi ramiony osłoniła spruchniały stryński dworzec, jak stara piastunka zgrzybiałego już wychowanka; siedział pan Stryński i dumał. Koło niego pędzili stada koni, była i owiec, przechodzili wieśniacy wracający z pola, zdejmując czapkę na

uroczyste „pochwalony”, wiezli fury suchego siana; ale on nie pobawił się ze swoją trzodką, nie odpowiedział witającym go „na wieki amen”, nie zapytał się nawet czy wszystko siano już suche, ale siedząc z wlepionym w wysadzaną drogę wzrokiem, murkotał.

— Nie wraca... czy go ten łyk lubelski (1) zaczarował, czy co?... Panie odpuść, coto za czasy! Dawniej mospanie żebyś szlachcica hakiem ciągnął do mieszczkańskiej krasanki, toby ci w oczy napluł i kwita; a dziś te półgłówki, bez pytania, bez respektu hała, drała i koniec.... Tfu!... przecież to i człowiek nie całe życie był stary; przecieżto i człowiek kiedyś szalał, ale szalał utściwie, nie lał w błoto, kiedy go mógł ominąć.... Ha! byłem wyrozumiały dla panicza, ale widzę, że próżnowanie młodemu nie na rękę. Héj Bartłomeju!

Ze stajni wyszedł wąsaty starzec w granatowym kubraku, przepasany szerokim rzemiennym pasem.

— Czy wszystko już gotowe?

— Wszystko.

— Przeprowadź konie przed ganek, i dla siebie przyrządź gniadego.

— A to na co?

— Nie pytaj.

Bartłomiej spojrział na gniewną twarz pana, poglądził wąsa, potarł czuprynę i zwróciwszy się ku stajni, przemyślał nad dziwnym pańskim rozkazem.

— Ani chybi; staremu chce się jeszcze wyjrzyć na świat, kiedy mnie z sobą ciągnie.... Ale dalipan ciężko to bardzo przetrząsać stare kości, tulać się po wojaczce, kiedy za młodu człowiek nie siedział za piecem.... Gdybyć przynajmniej na Turka albo Tatarą.... ha choćby i na Szwedą; ale to jak ksiądz kwestarz mówił, sprawa podobno ze swojemi, za to,

(1) Mieszczan w ogólności zwano łyczakami. Nazwa ta ztąd poszła, że często nie mając za co kupić atlasu na żupany, nosili go z materyi bardzo podobnej do atlasu z włókien konopnych robionej, łyczakiem zwanęj. Ksiądz Kitowicz: Opis zwyczajów za Augusta III, str. 275.

że jedni chcą Sasa a drudzy lasa.... Bóg widzi, że jakoś nie mam ochoty.

Tak rozmyślając, stary sługa wszedł do stajni, i niebawem u żerdziennego parkanu stało cztery kulbaczne konie, dwóch hajauków w podróżnym stroju, i z boku oparty o lipę stary Bartłomiej.

Pan Stryński jeszcze dumał, gdy w sadzonej ulicy dał się słyszeć tętent konia biegnącego czwałem ku dworowi. Starzec zadrżał na całym ciele.

Na wronym człapaku zajechał przed ganek młodzian pięknego wzrostu i urodziwej twarzy. Jasno-błękitny kontusz na karmazynowym żupanie, ścisnięty siatkowym złotego koloru pasem, przy którym na jedwabnym nawiązaniu wisiała leciuchna karabelka, jakie Lwowiankami zwano, rysował zgrabną postać młodzieńca; a uchylona przed panem ojcem granatowa z czarnym barankiem, po szwach srebrnymi sznurami naszyta czapeczka, dała widzieć włosy jasno-blond, równo dokoła podcięte, zakrywające pół uszu i czoła.

Zdziwiły go przygotowania do podróży, ale nic nie mówił, tylko oddawszy wronego stajennemu, czekał ojcowskiego zapytania.

— A gdzie to Wasze hulal?—przemówił groźnie starzec.

— Jeździłem...jeździłem do Malic, panie ojcze.

— Do jakich Malic?

— W sąsiedztwo.

— A ha! dobrze i o tém wiedzieć. Cóżto tam Wasci wiodło?

— Objeżdżałem granicę.

— Tfu! panie synu...już cię mieszczanin i kłamać nauczył. Ale stało się; co było to przypadło: moja wina, żeś na Waszec nie miał pilnego oka Stało się. Teraz Waszec masz oto konika, szabelkę, dwóch chłopaków, listy do pana hetmana i pana wojewody kijowskiego, a przy tém wszystkim moje ojcowskie błogosławieństwo; jedź, służ krajowi, ale nie mieszczaniskim dziewczkom. A ty Bartłomieju—dodał

obracając się do starego sługi — odprowadzisz panicza za Wisłę, aż do Sandomierza; ale jeżeliby nogą wstąpił do białego dworu, ty mi za to odpowiesz!

Pan Antoni słuchał groźnych słów ojca, jak winowajca wyroku. W nacisku różnych myśli chciał prosić choć o jeden dzień zwłoki, sądząc, że znajdzie sposobną porę pożegnania czarnookiej dziewicy; ale dał pokój, bo dobrze wiedział, że prędzejby kto wypił wodę ze stryńskiego stawu niż zmienił starca słowo.

Pan Stryński zapomniawszy na chwilę swojego gniewu, przycisnął do serca jedynaka, i drżącemi usty wyrzekł uroczyste błogosławieństwo. Rozrzewniony młodzieniec rzucił się do nóg ojcu, i łzy starca zmieszały się ze łzami syna.

Nie ubiegła godzina, a znów sadzoną lipami drogą jechali czterej jeźdźcy. Księżyc zaglądający przez liście drzew, patrzył w łzawe oczy młodzieńca, zwracające się koleją to na stary dworzec, to na migające w dali schronienie lubelskiego mieszczanina. A w ganku siedział jeszcze starzec, i rękawem obcierał łzy, i odmawiał pacierze, tak gorąco i tak często wspominając w nich imię syna.

III.

W parę dni po tym wypadku, w postłuchalnej komnacie krasnostawskiego zamku, przechadzał się pan Stryński przybrany świątecznie, czekając przybycia starosty, którym był podówczas Felix Potocki wojewoda krakowski i hetman polny koronny; ten sam, co pod Podhajcami tak dzielnie się popisał, i który naprzemian to radą, to orężem, dobrze zasługiwał się krajowi.

Wszedł niebawem starosta, a jako znający dobrze rycerskie zasługi stolnika, podał mu swą prawicę, nie szczędząc choć nierównemu sobie godnością, braterskiego uściśnienia. Zachęcony tak dobrém przyjęciem pan Stryński, po zwykłych powitaniach oświadczył, że przybył domagać się sprawiedliwości w zgwałceniu swobód szlacheckich, a to przez jednego mieszczanina, który niedość że założył wioskę, ale jeszcze nazwał ją od swego miana.

Pan starosta człowiek nieuprzedzony przekładał stolnikowi, że przywilej niedawno wydany, dozwala mieszczanom lubelskim téj swobody w nabywaniu dóbr ziemskich. Ale gdy pan Stryński przytoczył wniosek sejmu warszawskiego z r. 1703, brzmiący w tych słowach: „Któryby z mieszczan założył nową włość, a nadał jój swoje miano dla dowodu szlachectwa; włość takowa ma być na skarb rzeczypospolitéj zabrana, bez żadnego wyvodu i recesu.” Starosta jako strażnik prawa odpowiedział, że rzecz tę natychmiast kanclerzowi do rozstrzygnięcia przedstawi, gdyż pomieniony wniosek tego wymaga: poczem do wykonania jego decyzji przystąpi.

Pan Stryński pożegnał starostę, a nie ufając jeszcze jego przyrzeczeniu, napisał list do znanego podówczas z łatwój frymarki prymasa Radziejowskiego, w którym przypomniawszy się pamięci, stosunkami szkolnej jeszcze znajomości, a potem usługą wyświadczoną synowi wzgardzonego ojca (1), prosił, aby nie dopuścił takiego uszczerbku swobód szlacheckich i przypomniał kanclerzowi jego powinność.

Wyprawiwszy list ten przez umyślnego do Radziejowic, czekał skutku swoich zabiegów.

III.

Tymczasem w białym dworku, za ledwie ranna zorza zająrzała w czyste jego okienka, zastawała już wszystkich przy robocie. Gospodarz wyprawiał w pole czeladkę, pani Malicka otworzywszy komorę, nieskapą ręką dzieliła między idących i pozostałych śniadania i podwieczorki, a piękna Kasia w białym płóciennym kubraczku, w czystej spodniczce, krzątała się koło drobniejszego rodzeństwa, często spoglądając w okno ku stryńskiemu dworowi, nie mogąc pojąć ciągłej tęsknoty, która od kilku dni tłoczyła jój dziewicze serduszko.

(1) Hieronima Radziejowskiego, który pod nieszczęśliwém panowaniem Jana Kazimierza sprowadził Szwedów.

Tak ubiegały ranne godziny; potem wszyscy schodzili się do piérwszej izby. Tam najprzód pobożnie, klęczący, z czystą pokorą odmówiwszy wspólnie pacierze, zasiadali do stołu, pożywając co Bóg dał, i własna ziemia przyniosła.

Ułynął już lipiec, a nawet i połowa sierpnia. W wigilią Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, dzień rozpoczął się gęstą mgłą, która nie spieszyła się opaść na dół, i było uż około południa, a jeszcze słońce niezupełnie jasno patrzyło; gdy przed biały dworek zajechało dwie kolas, otoczonych kilkunastu jeźdźcami z starościńskiej straży. Zdziwiony tą kalwakatą gospodarz nie zdążył jeszcze wyjść na przywitanie przybyłych, kiedy wtoczył się do izby okazałej postawy pan Jacek Bukowski pisarz krasnostawski, poprzedzony liczną czeredą swoich popychaczów.

Nie kiwnąwszy nawet głową usiadł pan pisarz za stołem, i kazał podać papiery.

— Czy Waś się nazywasz Malicki?—zapytał gospodarza.

— Tak jest.....

— Powiedźże mi, kto tę wioskę założył?

— Ja.....

— No, to dobrze; a jakżeś ją Waś nazwał?....

— Malice.

— Jeszcze lepiej. Zapisać to w protokół.

Dwóch pisarków spełniło jego rozkaz.

— Teraz nie mi nie pozostaje, jak odczytać Waćpanu ustawę sejmu warszawskiego; ale żebym się mniej trudził, i WPana zbytecznie nie przerażał, możesz sam sobie odczytać.

Pan Malicki wziął do ręki podane papiery; ręka drżała a na czoło kroplisty pot wystąpił.

— A zatém, kiedy już wiesz co cię czeka, wynośże się z dobrej woli, jeżeli nie chcesz narazić się na niezbyt grzeczne psoty tych oto łotrów.

— Panie! ja mam tyle dzieciak!.... Litości!...

— O jakież-bo dziwny jesteś; w ustawie sejmowej nie wyrażono względu dla tych, co mają dzieci. Przecież ja ich zabierać nie chcę.

— Ale zabierasz im panie chleb!...

— No—no! po co te gawędy. Czas nie stoi.

— Panie! pozwól mi trzy dni czasu!

— Ani trzech godzin; tłomoczki na ramię i precz.....

To niedługo zabawi.

— Panie! Bóg cię ukarze, bo się naśmiewasz z nieszczęścia bliźniego.....

— Precz mi z kazaniem; mieszczanin z szlachcicem nie za pan brat!! Patrzcie co mi za bliźni?... Hajducy do roboty!...

W tę chwilę wszedł pan Stryński, a razem z nim z boczego alkierza biegła żona i dzieci Malickiego. Wszyscy jednogłośnie z prośbą przerywaną łkaniem obstąpili starców, wszyscy rzucili się im do nóg. Małe dzieci może nawet niepojmujące swego żalu, drobnymi rączkami obejmowały nogi zakamieniałych prześladowców, żebrząc ich litości; ale gdy wszystkie usiłowania okazały się próżne; gdy pan Stryński odepchnął proszących, a niecna zgraja służalców roztrącała płaczące dzieci: i w zbolałym sercu ojca odezwało się jakieś wyższe natchnienie, razem ze wzdrganiem dla okrutnych, którzy pod zasłoną prawa, spełniali czyn haniebny osobistości i szlacheckiej prywaty. Nieszczęśliwy otarł łzy, wziął żonę za rękę, otoczył się swemi dziećmi, i wyszedł z białego dworu.

Biędny, wyszedłszy za próg podwórza, oddzielający go raz na zawsze od ciężko zapracowanej siedziby, upadł na kolana, a łzy rzewne, łzy boleści zalały twarz pooraną brzdami wieku.....

IV.

Hałas, łoskot, wrzawa rozlegają w cichym niedawno domku. Pachołki grabią sprzęty, rwą, wynoszą w różne strony; w zgiełku tym nikt nie pilnuje ładu, bo panowie siedzą w alkierzu i łykają węgrzyna, o którym stolnik nie przypomniał, rozmawiając w jak najlepsze o dzisiejszym zdarzeniu.

— **No, panie Stryński!** jakże te wioszczynę nazwiemy? Stolnik trochę podumał, i dwa razy ujął się za wierzch siwój czupryny.

— **Wygnanowice!...** A co? czy nie dobre nazwisko? Będzie przestrogą mieszczanom, że od szlachty wara i zdała.

— **Zgoda!** Wygnanowice. Do was panie stolniku!

— **Za wasze zdrowie panie pisarzu!**

I tręcili się puharami spełniając je duszkiem co do kropki, a liczna czereda najezdników, powtórzyła głośnym krzykiem.

— **Wiwat Wygnanowice (1)!!!**

V.

Minęły piękne dni lata, mijała już i jesień; chłodne wiatry szumiały po odartych z liści gałęziach. Na bożym świecie posępno i smutno, tak, jak w starym stryńskim dworcu; albo może w dworcu i smutniej: bo tam choć wiatr gwizdząc swoją jesienną dumkę, łomocze się po drzewach, a tu cicho jak w grobie, i tę ciszę przerwie tylko czasem pacierz starca, albo świerszcz z obszernej pod kominem siedziby. Pusto i głucho, nikt nie zajędzie w gościnę: bo młodzież i średniego wieku ludzie nie myślą o biesiadach, siodłają konie, ostrzą pradziadowskie szable, i dalej w pole, pobulać wojennego tańca; starzy radzi siedzą w zakątkach, bojąc się na świat wyjrzyć, aby ich pierwszy lepszy zawadyaka nie zapytał, za kim: za lasem czy Sasem? i potem stariej głowy nie obznaczył wyuzdaną na wszelkie bezprawia szablicą.

Oj! bo wówczas źle było w Polsce; źle, jeżeli kiedy lepiej było?... Szlachta bez porządku i zgody gonila wiatry w po-

(1) Kazimierz Widlica Domaszewski właściciel Wysokiego, tak to zdarzenie w rękopiśmie swoim opisał: „An. 1705 mieszczan z Lublina założył pod granicą Stryjny, majątności stolnika Stryńskiego, wioskę, którą zacz pewne dla dowodu szlachectwa nazwał Malice. Zagniewany pan stolnik, za rozkazaniem starosty krasnostawskiego zajechał mu ją; potym ta wioska Wygnanowice nazwana“. (Rękopis).

lu, biędny lud znosił niepojęte uciski, panowie magnaci czepiali się to téj, to owéj strony, stosownie do tego, która im więcej obiecała starostw, godności i urzędów; nie pomnąc, że bezładem torują Szwedom drogę, że niezgodą kaleczą własne blizny, a burzliwi wichrzyciele, których głową był prymas Radziejowski, dla osobistych widoków dumy i łakomstwa, rzucali na pobybel kraj biędny, miotali swarnym tłumem, tak, jak im potrzeba było.

Dzień był pochmurny, zwyczajnie jak w jesieni: deszczyk drobny lecz gęsty z zachodnim wiatrem leciał w przegony. W stryńskim dworze było jeszcze smutniej, kiedy przed bramę zajechała czereda jezdnych wojaków, i gościnnym obyczajem zapytała o zdrowie pana stolnika braclawskiego. Dziw! cud! goście w stryńskim dworze. Dają znać o tém panu, otwierają bramę: wjeżdża cała zgraja, rażno, ochoczo. Starzec wita przybyłych, bo to jego dawni znajomi, przyjaciele króla Augusta, a przywodzi im Szmigielski starosta gnieźniński, człowiek sprawny w rycerskich potrzebach, a do bitwy jak do zalotów skory.

Po przywitaniu i przekąsce, kielich, a przy nim rozmowa wesoła i otwarta. P. Szmigielski opowiada różne zdarzenia: jak w Warszawie pozdzierał koronacyjne uniwersały; jak pod Skrzynnem wytrzepał skórę Sapieżyńskim; jak najechał dworzec szlachcica w Glinach, co zmawiał stronników Stanisławowi.... Te i tym podobne opowiadania idą koleją, czas płynie, szlachta pije na zabój: bo stolnik rad gościom, niczego im nie szczędzi. Szał i wino zawraca głowy, i choć już wieczór blizki, nikt ani pomyśli o wyjeździe. Aż tu zmrokiem dają znać, że dworzec dokoła przez Szwedów otoczony.....

Pijacka wrzawa zmienia się w odgłos trwogi; myśleć o obronie ani można: większa połowa szlachty zwalona z nóg zalega ławy, reszta prawie bezprzytomna. W takim położeniu, gdy jeszcze Szmigielski mniej od innych pijany, pamiętając tylko o sobie, drapnął oknem do ogrodu; gdy ci, którzy jeszcze potrafili rozeznąć co się dzieje, poszli za jego przykładem; gdy Szwedzi powystawiawszy okna zaczęli

strzelać do leżącej szlachty: nie było innego ratunku, jak zdać się na łaskę przybyłych.

Adam Jasielski dworzanin Sapiehów, przywódca oddziału Szwedów, rozkazawszy zaprzestać strzelania i wyprawivszy pogoń za Szmigielskim, kazał sprowadzić do siebie gospodarza.

W najciaśniejszym zakątku znaleźli Szwedzi przełęknionego starca.

Pan Jasielski zły, że Szmigielskiego nie mógł przydybać, obszedłszy się najniegodziwiej ze starym stolnikiem, kaze ładować grabieże, jeńców wiązać do koni i gonić za zbiegłemi. Ale Szwedzi nie dają się oderwać od rabunku; pacholki roznoszą bogatsze sprzęty, głos przywódcy ginie w odgłosie swarnych krzyków; niema innej rady: Jasielski wydziera z rąk pacholka gorejącą pochodnię, rzuca ją na słomiany dach dworu, i wnet jaskrawe płomienie osłaniają całą budowę, wiatr je rozdyma i niesie w różne strony, a szaleni zwycięzcy gonią lubelskim szlakiem, wlokąc związanych wielu jeńców, a między nimi i stolnika.

VI.

Obok ratusza w Lublinie, przed domem zajmowanym przez generała szwedzkiego Majerfelda, stało kilkunastu knechtów, pilnujących garstki jeńców zabranych w Stryjnie.

Na ich bladych twarzach poznać można było okrutne obojętność z niemi szwedzkich żołnierzy. Wszyscy wiele ucierpieli, ale bez wątpienia najwięcej starzec, leżący pod murem. W gasnącym jego wzroku wyczytać można było wszystkie męczarnie, jakich doświadczył.

Nieszczęśliwy, w konwulsyjnym drganiu wszystkich członków, przyciskał obie ręce do czoła, jakby tém chciał ulżyć swemu cierpieniu.

Wtém z przysionka wyszedł generał szwedzki, a z nim pan Jasielski. Szli koło jeńców; Sapieżyński dworzanin coś mówił niemiecką mową: Szwed coraz bardziej marszczył czoło i ścisnął klingę szabli. Potém odpowiedział kilka słów szlachcicowi, który zaraz wyprawił knechta po kaprala Milberga.

VII.

Za klasztorem OO. Dominikanów stał stary drewniany dworek, będący własnością mieszczanina Malickiego. W tym dworku w małej izdebce, zebrana była cała rodzina Malickich, zajęta właściwem każdemu zatrudnieniem.

Południe było już blisko, gdy oczekiwany przez swą rodzinę wszedł Malicki. Dziaćki skoczyły z powitaniem, ale on ich długo nie pieścił, tylko skinąwszy na żonę, odwołał ją do komory. Tam zabawiwszy chwilę, wrócił niosąc w ręku skórzany woreczek, i nie chcąc nawet czekać na przygotowany posiłek, wyszedł. Z woreczkiem tym przebiegł najprzód do cechów, później krytymi zaułkami do domów bogatszych mieszczan; gdzie wszedł, po śpieszném powitaniu potrząsnął woreczkiem, szepnął do ucha: „na wykup więźni,“ i woreczek coraz się stawał pełniejszy.

Gdy już wreszcie napełnił się dość okazale, uczciwy mieszczanin przeżegnawszy się krzyżem świętym, pospieszył w stronę, gdzie była kwatera szwedzkiego generała.

VIII.

Kapral Milberg przyszedł. Dość było spojrzeć na barczystego zbira, aby się domyślić po co był przywołany. Generał skinął wskazując na jeńców. Niemiec zaszwargotał po swojemu, i knechty zaczęli się krzątać każdy około swego. Dwóch przyszło do starca, usiłując go podnieść z ziemi.

Gdy to się dzieje przed generalską kwaterą, z bocznej uliczki wysunęło się trzech mieszczan, a na ich czele Malicki dążąc ku stronie, w której stał sam generał. Szwed zerknął zryza. Malicki podszedł śmiało, zdjął czapkę i zaczął prosić o uwolnienie jeńców, obiecując za każdego wykupu po 50 dukatów. Generał trochę się wahał, zwłaszcza, że Sapieżyński dworzanin zdawał się spojrzeniem od tego go odwodzić; ale policzywszy jeńców, i obrachowawszy, że zbierze sporą sumkę, której bogaty w zwyczajtwa, ale nie w pieniądze Karol XII pewnieby mu nie dał; skinął na knechtów aby zostawili jeńców, i sam wszedł do kwatery, zawoławszy za sobą pieniężną deputacją.

W kilka chwil jeńcy byli już wolni i rozeszli się, każdy w swoją stronę, błogosławiąc dobroczyńców. Po chorego, starca zajeżdżał kryty wózek, który go zawiózł przed mały dworek za klasztorem OO. Dominikanów.

Jak tylko zdjęto chorego i złożono go na przygotowanym już łożu, Malicki pobiegł po doktora, a jego żona i córka, krzątające się około przyniesienia mu ulgi, otoczyły go najtroskliwszém staraniem.

Pocziwa Kasia nie odstępowała ani na chwilę chorego starca, podawała mu lekarstwa, czekała skinienia, pragnąc najusilniej zniwiejszyć jego boleści.

IX.

Noc dżdżysta, czarna, jedném słowem noc jesienna nadeszła. Na ulicach było ciemno, bo mało z którego okna wyglądało światelko. Każdy krył się gdzie mógł, aby tylko ująć drapieżnego wzroku żołnierstwa.

Szwedzkie szyldwachy odzywały się przeciąglém hasłem, i było już około północy, gdy od małego ruskiego gościńca wszczął się jakiś rozruch, i głuche najprzód szepty, dalej tętent koni, a w ostatku brzęk szabel i grzmot wystrzałów.

Generał Majerfeld najprzód przestrzeżony drapnął ku Warszawie, szyldwachy znikły, a reszta knechtów zaułkami, rzuciwszy broń i mundury, spieszyła ku żydowskim ciasnym uliczkom.

A tak niespełna w dwie godziny, oddział komputowego wojska, pod dowództwem wojewody kijowskiego, wypłoszył wszystkich Szwedów, i tych co ze Szwedami trzymali.

I wnet ulice Lublina zajaśniały mnóstwem światel; ruch i gwar zajął miejsce niedawno panującej głuchoty, i nikt nie myślał o spoczynku.

X.

W domku Malickiego przed łożem chorego starca, przy świetle gromnicy, klęczy młodzian, i ściska i całuje zimne już konającego nogi.

Starzec w przerwie cierpień z którymi ulatywało życie, otworzył jeszcze oczy, ujął rękę młodzieńca, i długo gasnące spojrzenie utkwiwszy w jego twarzy, westchnął boleśnie, i z trudnością dobywszy głosu, przemówił:

— To mój syn.... to on.... Antoni... Więcej już nie mógł mówić, tylko ostatnie jakby błagalne spojrzenie rzuciwszy po obecnych, zapłakał.

I wszyscy wkoło płakali łzami serca, łzami szczerych uczuć. Kapłan kończył pacierze, chory raz jeszcze westchnął, wziął krzyż ś., przycisnął do piersi, i skonał.

Jęk boleści wydobył się z łkających ust młodzieńca, rzucił się na drogę zwłoki, ścisnął, całował, przytulał do swego serca; dziewica zachodziła się od płaczu, Malicki z żoną i dziećmi modlił się za duszę zmarłego; przebaczyli mu wszystko, aby wyjednać zbawienie.

W parę lat później, pan Antoni połączył się ślubem z czarnooką dziewczyną, wybudowali dworek i osiedli w Stryjnie. Paweł Malicki ze swą rodziną powrócił do swojej wioski, a to za wstawieniem dwóch Potockich: kijowskiego i krakowskiego wojewodów, w których regimencie służył młody Stryński. Czas zagładził ślady spustoszeń, ale pamiętkę bezprawia i szlacheckiej prywaty, przechowały Wygnanowice.

Pisałem dnia 22 września 1847 r.

A. Wieniarski.

O przywileju założenia Warszawy.

W takim chaosie przypuszczeń, domysłów, mniemań i nakręcań, względem założenia grodu, w którym te słowa kręśliły; z żalem przychodzi nam tę jedyną prawdę z tych wszelkich poszukiwań objawić: iż wszystkie usiłowania miłośników historyi, celem wykrycia początkowych dziejów Warszawy, doprowadziły nas tylko do stopnia smutnego zera. Powtarzać je, byłoby to toż samo, co rozjątrzać rany niczém niezagojone; wolimy przeto coś pewniejszego skręślić, w przekonaniu, że jakkolwiek praca nasza jeszcze do

tak ważnej epoki powstania Warszawy nie doprowadza, jednak nadzieję pewniejszą utwierdza, że można będzie z czasem wykryć, i w całym świetle pierwotne założenie tego grodu oznaczyć.

Wszyscy dotąd dziejopisarze w braku wszelkich wiadomości o początkach Warszawy, starali się przynajmniej wykryć rok jej powstania. Że i te usiłowania doprowadziły do stopnia nicości, wszystkim wiadomo. Chcemy obudzić ich starania, chcemy wskrzesić niezmordowane ich prace, aby tém prędzej stanąć u mety. Taki jest cel naszego pisma.

Wyszukując różne wiadomości w nader ciekawych urzędowych rachunkach miasta Stariej Warszawy, które do bardzo wielu odkryć, nawet historii całego kraju wskazały nam źródło; napotkaliśmy pod r. 1617 w tytule: *na różne wydatki*, pod dniem 7 września, następujące wyszczególnienie: „Od oszycia suknem *sigilli circa originale privilegium fundationis civitatis gr. 3*“ (1). Szczegół ten jest zapisany w księgach rzeczonych ręką Jana Szeligi, rajcy i szafarza miasta Stariej Warszawy, wówczas, gdy był burmistrzem Jan Klemens z Radziwia, doktor medycyny, zatém obywatel naukom oddający się i oświecony. Starostwo warszawskie dzierżył natenczas Stanisław Warszycki (2), mąż dzielny w boju i w radzie, tyle poświęcający bogactw dla wspierania spraw wszelkich Zygmunta IIIgo, ile zarówno ofiarujący swoich dostatków na zakładanie świątyń i budowli Pańskich. Warszawa szczególne zyskała od niego pierwszeństwo. Że był wielkim protektorem tego miasta, najlepszym dowodem jest, iż nietylko własnym nakładem wystawił klasztor i kościół dziś już nieistniejący PP. Bernardynek, przy ulicy Maryensztat (3), ale nadto pomimo

(1) Dziś blisko 20 groszy.

(2) Syn Macieja miecznika łęczyckiego, herbu Habdank. Stanisław Warszycki, wychowany na dworze Anny Jagiellonki królowej, posłował na zjeździe wiślickim roku 1587, następnie postąpił na kasztelanią warszawską, podskarbiostwo w. koronne, a w końcu został wojewodą podlaskim.

(3) Niesiecki, tom IX, str. 239, wyd. lipskie Bobrowicza.

obszernych dóbr i włości, jakie posiadał w województwie podlaskiem, **kazał się pochować w tymże kościele w Warszawie. Wola jego święcie wykonaną została (1).** W takim usposobieniu władzy zwierzchniej miasta, z pewnością należy twierdzić, że przywilej założenia Warszawy istniał w roku 1617. Warszyci z doktorem Klemensem oceniając całą jego ważność, szczególną pieczołowitość okazali względem tak szanownej pamiątki. Obadwaj naukowo usposobieni, z najlepszemi chęciami dla miasta, tém sprawiedliwiej mogli byli ocenić i wielkość pamiątki, i należy szacunek dla niej.

Wszystkie przywileje miasta zebrane zostały w jedną księgę w roku 1692. Do układu mozolnej tej pracy, głównie wpływali: Jan Łoupia burmistrz, Mikołaj Rawenna podskarbi, Jan Weinmer ławnik i Jan Majeur gminny miasta Starój Warszawy. W tym zbiorze, który do dziś dnia istnieje, już nie znajdujemy przywileju założenia miasta; zatem w przeciągu lat 75, pomnik tak szacowny co do historii tego grodu, znikł. Że ani dwukrotny szturm Szwedów, ani złupienie miasta przez Rakocego księcia siedmiogrodzkiego, nie miały wpływu na jego zatracenie, najlepszym tego dowodem jest, iż wszelkie inne przywileje, które razem chowano na ratuszu w skarbcu miasta, do dziś dnia istnieją w oryginałach, i żaden z nich nie zaginął; trudno zaś przypuścić, aby grabież szwedzka lub Rakocego, swoją srogość na jednym tylko przywileju wywierała. Prędzej należy wnioskować, iż podstęp prywatny, połączony z osobistym interesem, tak szacowny dowód historyczny ukrył lub potajemnie zabrał, aby tém prędzej dopiąć swych niegodnych celów.

(1) Sprostować tu należy datę śmierci Warszyciego. Okolski i Starowolski podają rok 1616; gdy zaś burmistrz Starój Warszawy Jan Szeliga, obrany dnia 22 lutego, roku 1617, i w tymże roku przez starostę Warszyciego został potwierdzony, jak o tem urzędowe pisma w archiwum dawnych akt m. Warszawy przekonywają; musiał więc żyć jeszcze Warszyci w roku 1617.

W powyższej epoce lat 75 zniknięcia tego przywileju, powstały w Warszawie jurydyki: Zadzikowska roku 1638; Leszna, roku 1648; Pragi, roku 1648; Grzybowa r. 1650; Tamki i Kałęczyna roku 1652; Nowoświecka roku 1659; Skaryszewa od roku 1659 i Aleksandryi roku 1670. O ile istnienie ich ubliżało prawom zasadniczemu Warszawy, ile wpływało na jej zniszczenie, ile i jakie spory z témże miastem ciągle te jurydyki prowadziły: w inném miejscu już wykazaliśmy w *Starożytnościach Warszawskich*, mówiąc o głównych i przemijających jurydykach wartykule: O podziale Warszawy. Tu nadmienić nam tylko należy, że w takich ciągłych sporach praw zupełnie sobie przeciwnych, bardzo łatwo przez którego właściciela wspomnianych jurydyk, rzeczony przywilej mógł być potajemnie wzięty i ukryty.

Jeżeli ślad, jaki wskazujemy do wyszukania rzeczonego przywileju, naprowadzi kogo do wynalezienia tak ważnej pamiątki historycznej, bądź w oryginale, bądź w oblicie: równie za szczęśliwych poczytywać się będziemy, iż nasza obecna praca nie stanie się bezowocną.

Pisałem w Warszawie, dnia 12 września 1849 r.

Alexander Wejnert.

O handlu soli.

Pod względem obfitych słonych źródeł i jezior, Rossya ma pierwszeństwo przed wszystkimi innemi europejskimi państwami. Wydobywanie przecież soli niezupełnie wystarcza na wewnętrzne potrzeby kraju; co pochodzi jedynie z braku środków łatwego i taniego przewożenia tego produktu z głównych zapasów soli, do odległych od nich gubernij. Najbogatsze źródła słone znajdują się w południowej i zachodniej części Rossyi; ztąd otrzymują sól wszystkie wewnętrzne jej gubernie, a część północno-zachodniego kraju, sprowadza ją z zagranicy.

Roczne **spotrzebowanie soli** w Rosyji wynosi do 4,000,000 pudów; w **téj liczbie**, własnej 87 procentów, a przywozowej 13 procentów. **Pod względem ilości** dobywanej soli, Rosyja po **Wielkiej Brytanii** pierwsze miejsce zajmuje. Najnowsze wiadomości o stanie przemysłu soli w Europie, okazują, że największą ilość wydobywa Wielka Brytania, około 40,000,000 pudów; Rosyja od 25—30,000,000; Hiszpania, 24,000,000; Francya 22,000,000; cesarstwo austryackie 17,000,000; **Włochy** 14,000,000; Portugalia 12,000,000, a Prusy 6,000,000 pudów. Wszystkie państwa północnej Europy potrzebują przywozu zagranicznej soli, w następnym porządku:

Rosyja przywozi około.	4,500,000	pudów.
Prusy	3,500,000	—
Norwegia	3,000,000	—
Szwecya.	2,000,000	—
Holandya	2,000,000	—
Belgia.	1,500,000	—
Dania	1,200,000	—

Wszystkie te mocarstwa otrzymują sól z Wielkiej Brytanii, Francyi, Hiszpanii, Włoch i Portugalii. Anglia corocznie wywozi do Europy i Ameryki około 20,000,000 pudów soli; dziesiątą część z téj ilości, wywożą do rosyjskich bałtyckich portów.

W Rosyji sól dobywają po największej części ze źródeł rządowych, zależących wyłącznie od rządu, albo wypuszczonej przez rząd osobom prywatnym.

W 1847 r. wydobyto soli rządowej	19,415,218	pudów.
prywatnej	5,317,990	—
razem	24,733,280	pudów.

Wydobywanie soli, zostające pod wiedzą władz rządowych, odbywa się: 1) z samorodnych jezior krymskich, bessarabskich, astrachańskich, kaukazkich, sybirskich i Eltonu w saratowskiej gubernii; 2) w zakładach warzelniczej soli: Deduchińskim, w permskiej gubernii; Staroruskim, w nowogrodzkiej; Ledzeńskim, w wołogodzkiej; Władyczeńskim, Kułońskim i Uńskim, w gubernii archangelskiej, i w innych

warzelniach soli, zostających pod zarządem skarbu w trzech ostatnich guberniach; jak również w Syberyi, w zakładach: irkuckim, selengińskim, uskuckim i troickim; 3) przy Ileckiej Zaszczycie, za rzeką Uralem, w gubernii orenburskiej, gdzie dobywają sól kamienną; i 4) z zakaukaskich warzeln, ze słonych jezior: bakińskich i szyrwańskich, i z kopalń soli kamiennój: kulpińskich i nachiczewańskich. W ziemi dońskiego i czarnomorskiego wojska, dobywanie soli z tamicznych jezior, zostawione jest wyłącznie dla miejscowych obywateli, za opłatą niewielkiego cła do skarbu; z tego powodu, niewolno przedawać i wyprowadzać soli za granice wojskowe. Do użytku uralskich Kozaków, zostawiono jeziora Inderskie i Grażne, leżące w stepach kirgizkich.

Słone źródła, należące do osób prywatnych, znajdują się w Krymie i w guberniach: permskiej, wołogodzkiej i archangelskiej. Właściciele mają prawo na wolne przedawanie soli, za opłatą cła, albo też na dostarczanie jój do magazynów rządowych, podług umówionój taksy, przy zawieraniu kontraktów z rządem. Z tego prawa, wyłączają się tylko właściciele permskich zakładów, którzy obowiązani są wywarzać sól i dostawiać ją dla rządu w określonej ilości, nie używając jój nic wcale do wyprzedazy z wolnej ręki. Utrzymujący źródła, znajdujące się na ziemi skarbowej, również są obowiązani dostarczać sól do magazynów rządowych, podług cen ustanowionych; w takim tylko razie, kiedy skarb nie uważa takiej soli za potrzebną, albo kiedy, oprócz potrzebnej dla niego ilości, okaże się pozostałość: wówczas pozwala się właścicielowi wyprzedawać sól z wolnej ręki, za opłatą cła zwyczajnego.

Handlarze z wolnej ręki, nabywają sól z magazynów rządowych podług cen corocznie ustanawianych, albo od prywatnych właścicieli, za opłatą pewnego cła, albo nakoniec z przywozu zagranicznej soli, za opłatą cła wchodowego. Obok wolnego przemysłu, dla umiarkowania ceny tego przedmiotu, tak niezbędnego w ogólnej konsumcyi i w gospodarstwie, zawsze otwartą jest wyprzedaż soli w małych partyach, podług taksy, w magazynach miejscowych, urzą-

dzanych w miastach gubernij, które otrzymują sól z rządowych zapasów.

Własnej soli używają: Syberya, Kaukaz, ziemia Dońskiego i Czarnomorskiego wojska, Bessarabia, i gubernie: taurycka, astrachańska, saratowska, permska, po części także wołogodzka, nowogrodzka i archangelska.

Na ogólną wyprzedaż, i do solnych magazynów w innych guberniach, najwięcej przywożą soli z krymskich i bessarabskich jezior, z jeziora Eltońskiego w saratowskiej gubernii, i z permskich solnych zakładów i warzelnii.

Soli, z jezior krymskich dostarczanej, używają gubernie: taurycka, chersońska, jekaterynostawska, kijowska, puławska, charkowska, czernichowska, mohilewska, kurska i orłowska. Krzemieńczug jest głównym miejscem składu soli, wyprawianej w górę Dnieprem.

Z krzemieńczugskiego portu wywieziono soli w górę Dniepru: w 1837 r. 1,464,084 pudów.
 — 1838. 1,801,632 —
 — 1839. 2,133,654 —
 — 1840. 2,405,621 —

Na statkach przywożą krymską sól z Kierczy, Berdiańska i Eupatoryi do różnych czarnomorskich portów, a także do Maryopolu, Rostowa, Taganrogu, Anapy i do Mingrelii. Lądowe rozwożenie tej soli odbywa się na czumackich podwodach, przywożących ziemiopłody z wewnętrznych gubernij do portów południowych. W czasie zwyczajnym, przewiezienie bardzo tanio kosztuje: czumacy poprzestają na niskiej opłacie za dostawę zboża i innych płodów, w przekonaniu, że otrzymają sól na drogę z powrotem. Zbiór wielki ich podwód, zmniejsza ceny przewozu zagranicznych towarów, wyprawianych z południowych portów do wewnętrznych miejsc.

Bessarabską sól wywożą z jezior na wyprzedaż w obwodzie bessarabskim i do południowo-zachodnich gubernij: podolskiej, wołyńskiej i innych, a z akermańskiego magazynu najwięcej dostarczają do Odessy.

Sól, dobytą z jeziora Eltonu w saratowskiej gubernii, składają tam w kupki na wyprzedaż kupcom, albo przewożą do magazynów nikołajewskich, naprzeciw Kamyszynu, i do pokrowskich, naprzeciw Saratowa. W sól eltońską zaopatrują się przedewszystkiem niższe gubernie; dostarczają przeciw ją drogą wodną do niżegorodzkich i rybińskich zapasowych magazynów, stosownie do rozporządzeń rządowych.

Permską sól przewożą do magazynów na miejscowy użytek permskiej, wiatskiej i czasem archangelskiej gubernii, a po większej części do niżegorodzkich zapasowych magazynów; ztąd dostarczają do Moskwy, do Petersburga i drogą wodną do różnych wewnętrznych gubernij.

Z powodu odległości północno-zachodnich i graniczących z niemi gubernij, od głównych źródeł zaopatrywania się w sól krajową, cała ta część cesarstwa używa soli zagranicznej, której przywóz dozwolony jest w białomorskich i bałtyckich portach i na całej zachodniej granicy; ale w portach czarnomorskich, azowskich i dunajskich jest wzbroniony, w celu zabezpieczenia korzyści dla przemysłu solnego w Krymie i Bessarabii. Zakaz ten nie miał miejsca tylko w 1840 r., z przyczyny niedostatecznego osadu soli na jeziorach w Rosyi południowej. W tym roku dozwolony był przywóz zagranicznej soli do czarnomorskich, azowskich i dunajskich portów, za opłatą cła po 23 kop. sr. od puda; podobnież w tymże czasie zdjęto opłatę z soli, przywożonej do bessarabskich komerc celnych.

W przeciągu lat dwudziestu od 1827 do 1846 włącznie, przywóz soli do Rosyi z europejskich rynków, składa się z następującej ilości:

W roku	pudów.	W roku	pudów.
1827.	3,225,368	1832	3,112,574
1828	3,060,773	1833	3,485,351
1829.	3,599,386	1834	3,066,390
1830.	3,837,314	1835	3,450,082
1831.	3,396,937	1836	3,306,619
<hr/> Średnia summa 3,423,955		<hr/> Średnia summa 3,284,203	

W roku	puarów.	W roku	puarów.
1837	3,148,036	1842	4,042,431
1838	3,877,136	1843	4,465,442
1839	3,909,171	1844	4,705,392
1840	5,273,857	1845	4,994,707
1841	4,651,191	1846	5,131,247

Średnia summa 4,171,878 Średnia summa 4,667,844

Przywóz zagranicznej soli w pierwszych dwóch okresach, był prawie jednakowy; ale w ostatnich dziesięciu latach znacznie się powiększył: od 1827 do 1836 roku, średni przywóz składał się co rok z 3,354,069 puarów, a od 1837 do 1846 r. z 4,419,861 puarów, to jest o 31 procent więcej.

Rossya po największej części otrzymuje zagraniczną sól prosto z miejsca jej pochodzenia, mianowicie: z Anglii, Hiszpanii, Portugalii, Francyi, Włoch, Turcyi i Galicyi. Sól, dostarczaną suchą drogą z Prus, dowożą do tamecznych portów najwięcej z Wielkiej Brytanii. Oprócz tego pewna ilość soli bywa dostarczaną z innych miejsc przez Szwecyą, Norwęgiją i Danią. W ciągu lat dwudziestu, średni dowóz składał następującą ilość:

	w. r. 1827—31	1832—36	1837—41	1842—46
Z Wielkiej Brytanii	1,692,685	1,626,078	1,839,085	2,327,361 pud.
— Hiszpanii i Portugalii	811,434	904,050	1,209,646	1,459,500 —
— Francyi	227,605	235,082	323,552	228,011 —
— Włoch.	52,413	47,288	241,658	67,593 —
— Turcyi.	85,728	123,049	174,960	51,568 —
— Austryi	1,230	383	872	237 —
— Prus	180,372	175,384	233,686	446,045 —
— Danii.	124,622	49,001	28,733	23,628 —
— Szwecyi i Norwegii	190,125	60,095	24,545	22,405 —
— innych miejsc . .	53,741	63,793	95,141	41,496 —
Razem . .	3,423,955	3,284,203	4,171,878	4,667,844 —

Uwagi. 1) Ilość soli otrzymanej z Wielkiej Brytanii, wynosi w każdym okresie blisko połowę całego przywozu, a w ostatnich pięciu latach, powiększyła się w porównaniu do pierwszych o 37 procentów.

2) **Przywóz soli z Hiszpanii i Portugalii** za każdym okresem powiększał się: w pierwszych pięciu latach wynosił 23 procentów, w drugich 27, w trzecich blisko 29, a w czwartych 31 procentów całego przywozu. W ostatnim okresie przywieziono do 80 procentów więcej jak w pierwszym.

3) **Proporcya soli przywiezionej z Francji**, we dwóch skrajnych okresach, była prawie jednakowa, i składała w ostatnich pięciu latach około 5 procentów całego przywozu.

4) **Przywóz soli z Włoch** był niewielki. Największą ilość sprowadzono z tamtąd w 1840 roku: 806,928 pudów, z powodu czasowego pozwolenia sprowadzania zagranicznej soli do południowych portów; i dlatego średni przywóz soli z Włoch w 1837—1841 roku, staje się daleko znaczniejszym, aniżeli w innych okresach.

5) **Przywóz soli z Turcji** przedstawia w pierwszych trzech okresach ciągle powiększanie się, które jednak pochodzi od wielkiej jej proporcji w pewnych latach, ze szczególnych powodów. Tak w skutek pozwolenia dowozu soli do portów południowych i zdjęcia z niej cła w r. 1840, w bessarabskich komorach celnych oclono soli dostarczonej z Turcji: w 1840 r. 399,491 pudów, a w 1841 r. 253,224 pudów. Jeżeli odejmiemy te dwa lata niezwykłego jej dowozu, otrzymamy w ostatnich 15 latach następujący wypadek:

W 1829 — 1834	lat	średni przywóz	121,257	pudów.
— 1835 — 1839	— — —	—	74,070	—
— 1842 — 1846	— — —	—	51,568	—

Z tych średnich liczb widać, że przywóz soli z Turcji zmniejszył się o 135 procentów.

6) **Z Galicji** zawsze otrzymywano niewielką ilość soli, a w ostatnich latach przywóz jej znacznie się umniejszył.

7) **Przez granicę pruską** przywożą sól zagraniczną z Memla i Królewca. Jój przywóz zaczął się powiększać w ostatnich dziesięciu latach: w 1842—1846 r. średnia ilość soli

przywiezionej z Prus, była o 147 procentów większa, aniżeli w 1827—1831 roku.

8) Z powiększeniem przywozu tego produktu bezpośrednio z głównych miejsc jego pochodzenia: z Wielkiej Brytanii, Hiszpanii i Portugalii, zmniejszył się przywóz z innych krajów, które same się zaopatrują w sól zagraniczną, a jednak dawniej udzielały znaczną jej proporcją, celem wysyłania do bałtyckich portów.

* * *

Wskazawszy główne źródła przywozu soli do Rosyi i porównawcze jej znaczenie w wewnętrznym handlu; zobaczymy teraz, w jaki sposób rozdziela się przywóz zagranicznej soli w stosunku do wewnętrznego jej zbycia.

Północna część Rosyi europejskiej, zaopatruje się we własną sól; zagraniczną zaś dostarczają tu w niewielkiej ilości do białomorskich portów, szczególnie do solenia ryby, ponieważ sól, dobywana z miejscowych warzelni, niezdatna jest do takiego użycia. Od zagranicznej soli, dostarczanej do białomorskich portów, pobierano podług taksy w r. 1822, 35 kop. sr, a w 1835 roku to cło zmniejszono do 20 kop. sr. od puda. Nakoniec w 1847 r. dla zachęcenia białomorskiego rybnego przemysłu, dozwolono, dla przeświadczenia się, na 10 lat przywozić bez cła sól zagraniczną do wszystkich rybno-przemysłowych przystani na murmańskim brzegu archangelskiej gubernii, od granic Norwegii do ujścia rzeki Ponoju, z warunkiem, aby ilość tego przywozu ograniczała się rzeczywistą potrzebą dla przemysłowców tej części kraju; z zagranicznej zaś soli, dostarczanej do innych miejsc archangelskiej gubernii, postanowiono pobierać cło jak poprzednio, to jest po 20 kop. sr. od puda.

Średni dowóz soli do białomorskich portów składa następującą ilość:

w 1827—1831 roku.	6,557	pudów.
— 1832—1836	2,552	—
— 1837—1841	5,728	—
— 1842—1846	15,625	—

W portach bałtyckich sól zagraniczna jest rozmaicie oclona: podług taksy w 1822 roku, pobierano w Petersburgu 35 kopiejek, a w innych portach 25 kop. sr. Rozporządzeniem 11 listopada 1831 r., to cło powiększone zostało o 12 1/2 procentów, i podług dziś istniejącej taksy, od 28 listopada 1841 roku, pobierają: w Petersburgu 40 kop., a w Rydze i w innych zachodnich portach 29 kop. sr. od puda. Rozporządzeniem, wydaném 11 stycznia 1849 r. dla doświadczenia, dozwolonym został przywóz kuchennej soli bez cła do portów: rzyckiego, libawskiego i rewelskiego, dla zachęcenia i polepszenia inwentarza w nadbałtyckich guberniach. Średni tam dowóz soli rozdziela się w następującym porządku:

W latach	Przywieziono	Do Petersburga	Do Rygi	Do innych portów bałtyckich.
		P	u	d
1827—1831	517,636	1,581,927	1,057,416
1832—1836	421,287	1,312,406	1,250,974
1837—1841	484,953	1,703,144	1,356,774
1842—1846	734,099	1,992,860	1,425,242

Uwagi. 1) Sól zagraniczna, przywieziona do Petersburga, pozostaje tam na miejscową potrzebę; część téż wysyłają do gubernii petersburskiej, ołonieckiej, nowogrodzkiej, pskowskiej i twerskiej. Dla zapobieżenia wysokiej ceny na sól, urządzono w Petersburgu i w innych miastach wspomnianych gubernij solne magazyny, które się napęniają z rządowych zapasów soli, przedawanej podług cen stale oznaczonych.

Przywóz zagranicznej soli do petersburskiego portu, zmniejszony po podniesieniu cła wchodowego (w skutek rozporządzenia z 11 listopada 1831 roku) w drugim okresie bliżko o 23 procentów, chociaż się powiększył w następnych pięciu latach, wszelako zawsze był mniejszy o 7 procentów od pierwszego okresu. Znaczne powiększanie się przywozu soli, okazało się w ostatnich pięciu latach: jój wyprzedaż w porównaniu z pierwszym okresem, podniosła

się do **42 procentów**, bez względu, że cło przez cały ten czas żadnej nie uległo zmianie.

2) **Największa ilość** zagranicznej soli przybywa do portów, leżących przy Bałtyckim morzu od Narwy do Libawy włącznie. Średni przywóz w pierwszych pięciu latach wynosił **2,639,343 pudów**, a w ostatnich blisko **3,418,102 p.**, a zatem powiększył się około **30 procentów**. Więcej niż połowę tej ilości dostarczono do rzyckiego portu; ztąd rozwożą sól do gubernij: lisslandzkiej, kurlandzkiej, witebskiej, wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i dalej. Lisslandzka gubernia otrzymuje sól częścią także przez Parnawę i Rewel; do Arensburga dostarczają dla wyspy Esel. Gubernie estlandzka i pskowska dostają sól z Parnawy i Rewlu; oprócz tego pierwsza otrzymuje ją przez Gapsal, a ostatnia przez Narwę; ztąd także zaopatrują solą najbliższe miejsca gubernii petersburskiej. Do gubernii kurlandzkiej i wileńskiej, zagraniczna sól idzie przez Libawę i Windawę.

W tych miejscach portowych, handel soli ułatwia niezmiernie obroty pieniężne między kupcami, obywatelami i włościanami. Często zastępuje nawet monetę w opłacie za płody wiejskie. Oprócz tego przywóz soli przyciąga do portów nadbałtyckich wiele okrętów, i w taki sposób ułatwia się zbycie towarów.

Z tablicy wyżej umieszczonej, pokazuje się, że przywóz soli do Rygi, po podniesieniu cła (w skutek rozporządzenia z 11 listopada 1831 r.) zmniejszył się w drugim okresie o **20 procentów**, ale potem wzrastał w każdym pięciu latach po sobie idących, do tego stopnia, że w ostatnim okresie dostarczono już o **26 procentów** więcej, aniżeli w pierwszym.

W innych nadbałtyckich portach, przywóz soli ciągle się powiększał; w ostatnich pięciu latach w porównaniu do pierwszego okresu, wynosił już około **35 procentów**.

* * *

Przez zachodnią suchą granicę, sól przywożą najwięcej z portów pruskich: Memla i Królewca; przez komory celno-graniczne w Jurburgu, Połędzie, Taurogen, i wysyłają do gubernii wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i mińskiej.

Podług taksy 1822 roku, sól była oclona po 35 kop. sr. od puda; od 1826 do 1842 r. miała takie cło, jakie pobierano w portach nadbałtyckich, to jest po 25 kop. sr. od puda, z dodatkiem 12 procentów, stosownie do rozporządzenia z 11 listopada 1831 r.; nakoniec podług taksy, istniejącej od 1842 roku, płaćą po 35 kop. sr. od puda. W innych komorach celno-granicznych od strony Austrii i Mołdawii, pobierano podług taksy z 1822 roku po 35 kop. sr. od puda; w skutek rozporządzenia z 11 listopada 1831 roku, cło to zostało podniesione do 12½ procentów, a podług terażniejszej taksy, biorą po 40 kop. sr. od puda. Średni dowóz soli suchą granicą wynosi następującą ilość:

W latach	przez Prusy	z Galicyi	z Mołdawii.
1827—1831	180,372	1,230	85,728 pudów.
1832—1836	175,384	383	123,049 —
1837—1841	233,686	872	106,530 —
1842—1846	446,045	237	51,568 —

Uwagi. 1) Ilość soli przywiezionej przez pruską granicę, po podniesieniu cła, zawsze w skutek rozporządzenia z 11 listopada 1831 r., zmniejszyła się w drugim okresie (1832—1836 roku) blisko o trzy procenta; ale jeżeli od pierwszych pięciu lat odejmiemy rok 1831, kiedy w skutek wypadków w Polsce, przywóz soli przez granicę pruską był małosnacny (21,776 pudów): wówczas średni przywóz w 1827—1830 roku wyniesie 220,022 pudów; z tego więc względu cały przywóz w drugim okresie zmniejszył się tylko o 25 procentów. W następujących pięciu latach, przywóz powiększył się w porównaniu do pierwszego okresu zaledwo o 6 procentów, i nareszcie w ostatnim okresie dwa razy tyle dostarczono; co dowodzi, że różnica, istniejąca w cło soli przywożonej przez pruską granicę, i do portów nadbałtyckich (w pierwszym razie pobierają po 32 kop., a w ostatnim po 29 kop. sr. od puda), bynajmniej nie ścieśnia tój gałęzi przemysłu.

2) Sól z Galicyi przywożą w niewielkiej ilości dla miejsc leżących blisko granicy; największy przywóz (około 3 000 pudów) był w 1840 roku, z powodu zdjęcia tylko na ten

rok cła z przywozu soli z prowincyj austriackich do bessarabskiego obwodu, przez komorę nowosielicką.

3) Przywóz mołdawskiej soli, zwiększony w drugim okresie w porównaniu do pierwszego o 43 procentów, zmniejszył się w trzecim okresie o 15 procentów; lecz upadek przywozu w tych pięciu latach byłby jeszcze znaczniejszy, gdyby nie zdjęto w 1840 roku cła z mołdawskiej soli, dowożonej do bessarabskich komor celnych. W 1840—1841 latach oclono razem 313,139 pudów, a w poprzedzających trzech latach (1837, 1838 i 1839) 219,506, czyli 73,168 pudów na rok, to jest mniej o 45 procentów. W ostatnim okresie (1842—1846), przywóz dwa razy był mniejszy od poprzedzającego. Mołdawska (kamienna) sól, przy cła przewyższającym targowe ceny bessarabskiej jeziorniej soli, nie może współzawodniczyć z nią co do wewnętrznej sprzedaży; jednakże kupują ją hurtem do użycia w karmie dla rogatego inwentarza. Zmniejszenie wypędu bydła za granicę z bessarabskiego obwodu, w skutek rozmaitych chorób i padania w ostatnich latach, było jedną z najważniejszych przyczyn wielkiego umniejszenia handlu mołdawskiej soli w tym kraju. Cła rzeczonój soli wynosi 40 kop. sr. od puda, wtenczas, kiedy bessarabska sól z tamecznych jezior, wyprzedaje się po 27 kop. sr. za pud.

Całkowity przywóz soli do białomorskich i bałtyckich portów, jak równie przez zachodnią suchą granicę, składa w przeciągu piętnastu lat następującą ilość:

W latach	pudów	Średnia cena za pud.
1832—1836	3,284,203	na 1,408,827 rub. sr. 43 kop.
1837—1841	3,891,691	— 1,725,319 — 44 —
1842—1846	4,665,364	— 2,212,550 — 47 —

A zatem średnią liczbą przywóz powiększył się do 42 procentów, a w cenie prawie do 57 procentów. Średnia cena w ostatnim okresie była o 9 procentów wyższa, aniżeli w pierwszym.

Przez granicę azyatycką przywożą sól rossyjsy przedsiębierycy z jezior, znajdujących się w stepach kirgizkich;

rozprzedają takową na syberyjskiej i orenburskiej linii i w pogranicznym kraju. Średni dowóz soli z jezior stepowych wynosił w 1837—1841 roku 130,011 pudów, a w 1842—1846, 139,098 pudów. Od téj soli pobierają cło po 18 kop. sr. od puda.

Dla zabezpieczenia astrachańskiego solnego przemysłu od napływu soli zagranicznej, cło ostatniej podniesione zostało, w skutek rozporządzenia z 25 marca 1838 roku, z 10 do 20 kopiejek srebrém od puda.

* * *

Wywóz soli z Rosyji za granicę jest bardzo mały. Dawniej dość znaczną ilość soli wywożono z krymskich portów do północnego kraju azjatyckiej Turcyi, mianowicie do Anatolii; lecz wysoka cena krymskiej jeziornéj soli, w porównaniu do soli morskiej, wydobywanéj niedaleko Smirny, albo téż dostarczanej z Włoch, była najwazniejszą przyczyną małego odbytu soli krymskiej, do tego stopnia, że wywóz jéj w tamte strony ustał zupełnie. Wywóz soli z portów morza Kaspijskiego do Persyi, podobnież się zmniejszył od czasu, kiedy Truchmenici zaczęli wydobywać kamienną sól na wyspie Czeleken i półwyspie Darma; sól ztamtąd otrzymywana jest daleko tańsza od rosyjskiej, i dlatego mniej potrzebują ostatniej.

Średni wywóz soli z Rosyji był następujący:

W latach	Z portów:		
	morza Czarnego	morza Kaspijskiego	z innych miejsc
1827—1831	68,900	70,714	1,577 pudów.
1832—1836	54,768	29,486	661 —
1837—1841	17,090	30,230	3,471 —
1842—1846	—	23,183	1,828 —

W ostatnich pięciu latach (1842—1846) wywieziono soli z portów morza Czarnego w jednym tylko 1843 roku, 2,484 pudów.

Całkowity wywóz soli z Rosyji w ostatnim okresie, był mniejszy o piątą część ilości, jaką wyprawiono w 1827 do 1831 roku. Odbyt jéj przez morze Kaspijskie zmniejszył się

o 200 procentów, a wywóz z portów morza Czarnego ustał zupełnie.

Podług obecnej taksy, wywóz soli dozwolony jest bez opłaty cła, wyjąwszy sól krymską, od której pobierają tylko po 1½ kopiejki srebrém od puda, oprócz 23 kop. sr. za sól, przedawaną z prywatnych zakładów.

Rossya, wysyłająca za granicę prawie nie nieznaczącą część wydobywanej w niej ilości soli, mogłaby podnieść wywóz ostatniej tylko z portów morza Czarnego, z powodu blizkiego położenia jezior słonych krymskich i bessarabskich; ale brak źródeł do zagranicznego odbytu, przeszkadza rozwinięciu tej gałęzi przemysłu w Rossyi południowej. Najbliższe tamecznych portów państwa europejskie, nie potrzebują dowozu soli; we wszystkich stronach, dotykających morza Śródziemnego, jej dobywanie z osadu morskiego, jest głównym przemysłem nadbrzeżnych mieszkańców; a w niektórych krajach dobywają morską sól w tak wielkiej ilości, że ta należy do najznacześniejszych artykułów handlu morskiego. Włochy, Francya, Hiszpania, Portugalia, zaopatrują solą porty morza Niemieckiego i Bałtyckiego.

Tlum. S.

O cynkografii i drukach anastatycznych, z powodu doświadczeń p. Seweryna Oleszczyńskiego i listu tegoż, w Bibl. Warszaw. na miesiąc wrzesień, na str. 623 umieszczonego.

Wiek nasz, jest wiekiem odkryć i wynalazków; nauki i umiejętności nadobne szybkim nadzwyczaj krokiem naprzód postępują, a olbrzymi duch przemysłu, coraz to dziwniejsze w dziedzinie swój sposoby i ulepszenia wynajduje. Na widok tylu nowości, na ciągle niemal objawiania cudownych prawie wynalazków, umysł ludzki to z dumą wznosi się, to znowu się korzy przed dziwami, które coraz obszer-

niejsze **przebiegając koło, pomnażają wynalazców, niekiedy nad jedną i tą samą myślą, tudzież w jednym celu pracujących. A wiek nasz szczęśliwszy od poprzednich, w udzielającym się i społeczném usposobieniu, i w dążeniu do użyteczności we wszystkiém dla wszystkich, nie tamuje im drogi, nie chlubi się tajemnicą, niegdyś w średnich wiekach tylko urok mającą, lecz pełną ręką ogłasza je po pismach, wyłącznie na ten cel wydawanych, jakby mówiąc: tylko czytajcie a korzystajcie; chwała mnie, chwała i wam! Dziś pierwszeństwo i wyłączność pod tym względem jest trudne; kto wie o czém już nie pomyślano i nad czém umysł ludzki nie trudzi się? A gdy niejeden chluby z swego wynalazku szuka, ten już od wielu lat jest znany i doświadczany.**

Wpóśród takowych bezustannych wynalazków, umiejętności nadobne, czyli tak zwane sztuki piękne, zaiste nie mały udział mają. Malarstwo i rysownictwo, przez różne ulepszenia i odkrycia: w drzeworytach, rytownictwie, litografii, daguerotypii i t. p. coraz stają się dla ogółu dostępnejsze. Lippman robi kopie obrazów w nieograniczonej liczbie; Collas gliptycznym sposobem rytuje wszystkie nizko- i wypukło - rzeźby; C. Pül w Lipsku zastępuje drzeworyty robotą wypukłą na cynku, pod nazwą chemotypii. Żadne z nich atoli tak znakomitego nie uczyniło postępu, jak litografia; snadź z powodu tak powszechnój użyteczności i wszelakiego a łatwego jój zastosowania. Od piérwszój zatém próby, za ledwie do odciskania nut muzycznych w roku 1796 użytój, do wspaniałych prac dawniej Engelmana, teraz Lemerciera w Paryżu, Piloty w Monachium, Hanfstaengla w Dreźnie i Aekermanna w Londynie, olbrzymi krok postąpiono. Niewątpliwie, iż ojciec litografii i jój wynalazca *Aloizy Senefelder* (ur. 1771, zm. 1834) nie domyślał się, aby skromne w pierwiastkach, chociaż pełne nadziei jego usiłowanie, do tój świetności i ulepszeń doszło; lubo niepospolity ten człowiek, czynnym i przedsiębiorczym umysłem obdarzony, na jedném nie przestawał, i ciągle nad ulepszeniem swego wynalazku pracował. Gdy tedy właśnie w owym czasie, to jest w roku 1803, kanonik *Dony* możliwość wal-

cowania cynku na blachy i wyroby młotem w Niemczech wykazał (1); Senefelder, który użycie niewygodnych, w jednej tylko Bawaryi znajdujących się i uszkodzeniu podpadających kamieni, zastąpić wszelakim sposobem starał się: pragnąc z początku wynaleźć papier kamienny, w końcu, gdy ten mu nie udał się, wpadł na myśl używania blach metalowych, a mianowicie cynkowych, nad którąto próbą trzy lata i znaczne koszta poświęcił; z początku powlekając cynk jakowąś massą, a następnie i bez niej. W tym ostatnim sposobie, na wystawie paryżkiej w roku 1823, okazywał on prasę przenośną, na której odciski z cynku z łatwością i dość dobrze były wykonane; a lubo jak każdy nowy wynalazek miały one swe niedostatki, wszakże prawdopodobność do ich udoskonalenia była niewątpliwą. Zdaje się atoli, iż Senefelder, czy trudnościami zrażony, czyli téż, co podobnie, niestały i dziwaczny w swoich odkryciach, dalszą pracę nad cynkografią zaniechał (2).

Jednocześnie z nim, szczęśliwszy tylko w skutku, budowniczy *Herman W. Eberhard*, robił doświadczenia nad użyciem blach cynkowych do rytowania i rysunku, i już w roku 1804 i 1806 pierwsze próby w Magdeburgu okazywał, zaś w roku 1815 rysunki piórem i chemiczną krédą wykonywał; w którymto ostatnim sposobie w wydaném przez niego w latach 1822—1826 dziele, pod tytułem: *Denkmäler der Baukunst in Verbindung mit Werken d. Bildhauerkunst u. Malerci d. Orients d. Aegypter, Griechen, Römer, und d. Mittelalters; herausg. v. H. W. Eberhard. 1er Werk d. Alterthümer v. Athen, beschrieben von Stuart u. Revett. Aus d. Engl. übersetzt nach d. London. Ausg. 1822. 2 B. in 28 Liefer. auf 336 Tafeln Royal fol. 336* wizerunków na cynku wykonanych i wrytych zostało, następnie zaś i w wielu innych w Niemczech wydanych dziełach, były użyte.

(1) *Conversations Lexicon. Neue Folge. Leipzig, 1826 lit. Z.*

(2) *Vollständiges Lehrbuch der Steindruckerei von Alois Senefelder. München, 1818. Übersetzung des Traité theorique et pratique de Lithographie par G. Engelmann. Chemnitz, 1840. 4. str. 19, 31 i 277. Kunst und Gewerbeblatt für Bayern für das Jahr 1848.*

Właściwym tedy a rzeczywistym wynalazcą cynkografii jest Eberhard (1), który już w roku 1821 zalecając takową, wydał w Moguncyi w tym względzie dziełko, pod tytułem: *Über die Anwendung der chemischen Druckart auf Metallplatten von H. W. Eberhard, mit 8 Probebl. die verschiedene Manieren enthalten. 4to. Mainz, 1821.* I następnie w Darmstadtzie wydał znowu w r. 1823 pod tytułem: *Die Anwendung der Zinks statt der Kupferplatten zu der vertieften Zeichnungsarten nebst eine Anweisung Metallgüsse von erhabnen und tiefgesätzen Steinzeichnung zu machen, v. H. W. Eberhard. Darmstadt bei Leske. 1823. 8. m. Probebl.* Daléj w roku 1831 ogłosił cały sposób użycia cynkografii w dziełku: *Über Zinkographie, v. H. Eberhard. Nürnberg, 1831. 8.* Nakoniec najobszerniej w r. 1834, tamże pod tytułem: *Anleitung zur gründlichen Erlernung der Zinkographie von H. W. Eberhard. Nürnberg, 1834. bey Campe. 8vo,* w którym historia tego wynalazku, tudzież wszelkie jéj sekreta, są opisane.

Tym sposobem zalecana cynkografia znaną była po wielu miastach w Niemczech, najpowszechniej atoli w Berlinie, gdzie w czasie bytności *Engelmana* w roku 1831, kilkanaście pras cynkograficznych w litografii nadwornéj było zajętych, szczególnie w odbijaniu autografów do rozkazów dziennych urzędowych, cywilnych i wojskowych, które do dziś dnia w Berlinie podobno są na cynku wykonywane. Dyrektor atoli tego znakomitego zakładu, major *Kurts*, zapewniał *Engelmana*, iż użycie tego sposobu głównie ma na celu, aby mieć na pogotowiu przenośną wojenną litografiąj, do którój blachy cynkowe pod wszelkiemi względami od kamieni są wygodniejsze (2). Zresztą, że w Wiedniu podobnież znaną jest oddawna cynkografia, mamy dowód na

(1) Dla porównania, czytać można artykuł: *Zinkographie* w *Allgemeine Real-Encyklopädie*, 9 Aufl. Leipzig. 1848, XV Band, str. 557 i *Kurze Geschichte d. Zinkogr. w Anleit. d. Zinkogr. von Eberhard.*

(2) *Übersetzung des Traité theorique et pratique de lithographie par Engelmann; vierzehntes Kapitel: Zinkographie, p. 277.*

wspomniał piśmie p. t.: *Allgemeine Bauzeitung* tam wychodzącem, w którym piękne rysunki na cynku są robione.

Gdy tak się rzecz miała z cynkografią w Niemczech, w roku 1829 we Francyi p. *Bregnot* wykonawszy próby robienia na blachach cynkowych wielkich mapp geograficznych, sposób ten przezwal *georamem*, podał go za swój własny wynalazek, za który w roku 1834 patent i przywilej otrzymał, a na wystawie paryzkiej w tymże roku brązowym medalcm zaszczycony został. Przywilej Bregnota następnie przeszedł na własność litografa paryzkiego *Carce-nac*, który zdaje się, iż użytek cynku w tym względzie Angli-kom wskazał. W tym bowiem czasie, już i w Londynie cynkograficzne prace były znane. Cóżkolwiekby, po śmierci Carcenaka patent i przywilej rzeczony nabył Szwaj-car *Käppelin*, właściciel znakomitego zakładu litograficznego w Paryżu, który ważne w niej ulepszenia poczynił, nowy sposób i preperowanie cynku zaprowadził, podług własnego, jak utrzymywał, wynalazku. Rzeczywiście na wystawie w Paryżu okazywał on rozmaite rysunki i odciski na cynku, które według zdania Engelmana, w niczem robotom na kamieniu nie ustępowały; nadto zalecając swój wynalazek, Käppelin ogłosił obszernie i korzystne jego użytki, i utrzymywał, iż zaprowadzenie cynkografii miało epokę w sztuce litograficznej stanowić (1). Później atoli od zdania tego odstąpił i osądził, iż cynkografia pomimo że od ty-lu lat jest znaną, dobrą być może tylko tam, gdzie brak kamieni, lub gdzie do robót wielkiej ich ilości potrzeba: wtedy bowiem blachy cynkowe mniej zabierając miejsca, w praktycznym użyciu są wygodne. Zresztą uważał ją jako robotę niewdzięczną, w której rysunek na rozmaite niebez-pieczeństwa bywa narażany (2).

Pomimo to w roku 1839 mechanik *Poirier* Paryżu, wyrobił sobie znowu patent i przywilej na własny wynalazek manipulacyi cynkograficznej, która o wiele przewyższać

(1). Engelmann, *Traité theorique et pratique de lithographie*, p. 278.

(2). *Kunst und Gewerbeblatt für Bayern, für das Jahr 1847*.

miała używane przez Küsselina sposoby, a uproszczała i ułatwiała nadzwyczaj użycie w tym względzie cynku (1).

Wspomnieliśmy wyżej, iż cynkografia jednocześnie prawie znaną była w Anglii. Używano ją wprost do odciskania rysunków kredowych, które według świadectwa Engelmana, odznaczały się czystością odbicia i wszelkim warunkom sztuki odpowiadały. Co więcej, słyszeliśmy z wiarogodnych ust, iż w wyrobach tych i odkryciu sposobu, znany tameczny litograf rodem z Polski, najczynniejszy miał udział. Wszakże to pewna, iż w roku 1836 powracający z Londynu do Warszawy p. Steinkeller, przywiózł z sobą próby rysunków i odcisków na cynku tam wykonanych, które znawcom i ciekawym pokazywał, i dotąd je podobno u siebie posiada.

W tym stanie rzeczy co do historyi wynalazku cynkografii w Europie, pisząc w roku zeszłym: „Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy“, gdy mi przyszło mówić o postępie sztuki litograficznej i zaprowadzeniu cynkografii w tém mieście, lubo na prośbę moję miałem sobie od p. Seweryna Oleszczyńskiego udzieloną na piśmie wiadomość o pracach jego pod tym względem: przyjąłem jednak z nięj to, co powyższa znajomość historyi dozwoliła. Statystyka bowiem poważną jest jęj częścią, zatém nie godziło mi nie wiedzieć, jak się ma rzecz istotnie, a tém mniej przeciw prawdzie postąpić. Gdy atoli p. Seweryn Oleszczyński, którego czynność i usilne starania w technicznej poprawie sztuki litograficznej, a zaprowadzenie i ulepszenie cynkografii u nas, godne są pochwały, przyjął to, jak powiada, *z boleścią serca*, i w liście swoim drukiem ogłoszonym, pomówił nas o lekkomyślne opieranie się na podszeptach zazdrośnych jego ślawy, tudzież o niebaczność na względ zasług nietylko w kraju, które *w przekonaniu, w duszy, i sumieniu jego są ugruntowane*, oskarżył; aby więc, jeżeli to być może, przekonać szanownego męża, że w rzecz z rozważą wchodziłem, iż żadném uprzedzeniem nie uwodzę się, a tém bardziej namowom cudzym nie daję ucha:

(1) Engelmann, p. 278.

uznałem za potrzebę notkę małą, bynajmniej nie w zamiarze obrażenia go, lecz dla powagi swój pracy w dziele mojem umieszczoną (a która tak go dotkliwie ubodła) rozszerzyć i objaśnić, w celu udowodnienia mu i przygotowania łatwiejszego w téj sprawie wyroku:

1) Że wynalazcą cynkografii jest Herman Eberhard, który nie tylko *pisał*, ale i roboty na cynku od roku 1804 *wykonywał*, a za nim wielu innych nie tylko w Niemczech, lecz we Francyi i Anglii.

2) Że wiadomość ta nie w *starych księżkach*, ale w nader pożytecznych i *nowych* pismach znajduje się, które, jak widzimy, zasługują na to, aby je artyści w swój sztuce kształcący się, czytali.

Nakoniec niech mi tu będzie wolno jeszcze jedną zrobić uwagę. Jeżeli należy się sława p. Oleszczyńskiemu zaprowadzenia z własnego doświadczenia i z ulepszenia w kraju cynkografii, co szczerą a dobrą chęcią wtedy, i wcale nie z bolem serca, jak mię posądza, przyznałem; ażaliż ubieganie o szerszą i europejską sławę miłsze mu, nad uznanie i nagrodę rządową medalem złotym piérwszój wielkości zaszczytne? Dlaczegoż zatém ubolewa ewangelicznemi słowami, że *swoi* nie umieją go cenić; gdy przeciwnie, biorąc z tego samego źródła wyrażenie, oddajemy tylko co boskiego Bogu, a co cesarskiego Cesarzowi (Ewang. według Mateusza w rozdziale XXII, w. 21).

Wyłumaczywszy się co do historii cynkografii, wypada nam jeszcze parę słów powiedzieć o przenoszeniu starych druków i drzeworytów na cynk, którego to sposobu sam teraz p. Seweryn Oleszczyński doszedł, do wynalazku nie roszcząc sobie prawa. Owoż rzecz historyczna w téj mierze znowu ściśle z cynkografią jest połączona. Gdy bowiem w rozmaitych krajach użycie téjże, to trudnościom, to zaniedbaniu ulegało, to nareszcie dawniejszy sposób na kamieniu nadeń przekładano; cynk wszelkiemi sposobami do użytku w sztuce zastosować starano się. Jakoż w roku 1834 i znowu 1839, bracia *Dupont* w Paryżu robili próby prze-

noszenia starych druków na cynk i odciskania takowych, jakkolwiek wiele jeszcze one do życzenia zostawiały. W podobnym sposobie probowano przenoszenia dawnych drzeworytów w roku 1846 w Kolonii, druków, u *Tisiera* w Paryżu, i u *Fischera* w Kassel i t. d. Jednakże aż do roku 1846, wszystkie te próby nie odpowiadały w zupełności warunkom, oraz nie przedstawiały widoków zastosowania ich do pożytku i praktyki. Aż dopiero w tymże roku braćciom *Siemens* w Londynie po długoletnich doświadczeniach, udało się szczęśliwie osiągnąć skutki w przenoszeniu na cynk, za pomocą wiadomych środków, najstarsze druki i odbijania takowych do nieograniczonej liczby exemplarzy, bez uszkodzenia oryginału (1). Sposób ten nazwany został drukiem anastatycznym, od słowa greckiego η ἀνάστασις, znaczącego wskrzeszenie, wzbudzenie, obudzenie i t. p.; oraz znakomicie przyczynił się, iż ostatecznie a wyłącznie sławę cynkografii powrócono.

Ważne to odkrycie, które nieprzeliczone korzyści dla sztuk pięknych sprowadzić może, zastosowane zostało przez *Needhama* w Anglii, a *Redmanna* w Niemczech do przenoszenia w podobnym sposobie i skutku na blachy cynkowe sztychów i drzeworytów, i odbijania takowych w nieograniczonej liczbie i wielkości, bez uszkodzenia i możliwości rozpoznania kopii od pierwowzoru. Rzeczony sposób niedługo był w tajemnicy ukrywany; już albowiem w roku 1846 objawiony został w osobnym dziełku *Klinghardta*, pod tytułem: *Die Anastatische Druckerei von Friedr. Klinkhardt. Leipzig, 1846*, a następnie w wielu dziennikach niemieckich w latach 1847 i 1848 wydawanych, ogłoszonym został; a mianowicie: *Deutsche Gewerbezeitung für das Jahr 1847; Kunst und Gewerbeblatt für Bayern für 1848; Dingler's, Politechnische Journal, Bd. LXXVIII, s. 449 i t. d.*; wszystkie powtórzone w szacownym pod tym względem dzienniku,

(1). Verhandlungen des Gewerbevereins für Hannover. 1848; powtórzone w Henze: Journal für Kupfer- und Stahlstechkunst, Litho- und Zinkographie. 1848, II B., V Hft., p. 95.

wydawanym przez *Adolfa Henze* w Weimarze, pod tytułem: *Journal für Kupfer-und-Stahlstechkunst Litho-und Zinkographie, Holzschnidekunst, Schrift-und Stempelschneiderei u. s. w. herausgegeben von Adolph Henze. Weimar. 1847. II B., 3 Hft., s. 61, 65; 1848 II B., 3 Hft., s. 95, 107; 5 Hft., s. 126.*

A zatem nie uwłaczając i w tém chwalebnym staraniom p. Seweryna Oleszczyńskiego, pozwalamy sobie jednak podobnież zrobić uwagę: iż sposób przenoszenia druków i drzeworytów będąc znajomy i w wyżej przytoczonych pismach ogłoszony, oraz nietylko do fałszowania biletów bankowych w Berlinie używany, wtedy może mu być przyznany, jeżeli on ze swój strony takowy sposób przez siebie odkryty ogłosi, a różnice i wyższość okaże.

F. Max. Sobieszczański.

Wiadomości literackie i artystyczne.

W jedném piśmie niemieckim wyczytaliśmy ciekawą statystykę postępu liczby nakładu dzieł drukowanych i pokupu takowych, od XVIgo począwszy stulecia. I tak: w r. 1571 wydanych dzieł „Erazma: *Encomium moriae*” 1800 exemplarzy, a jego *Colloquia* w r. 1527 przeszło 24,000 ex. w krótkim czasie rozprzedano. W tymże samym wieku, *Orlando Furioso* doczekał się w niedługim przeciągu czasu 60 wydań; zaś Tomasza à Kempis O Naśladowaniu Chrystusa Pana ma 1800 rozmaitych wydań w Europie znajdować się. W Anglii w r. 1708 Satyra Daniela De Foe, p. t. *The true-born Englishman* tak wielki miała pokup, iż w samym Londynie kilkanaście edycyj przeszło w 80,000 exemplarzach przedano. Benjamin Franklin rozpoczął w r. 1732 w Ameryce wydawanie swego Noworocznika *Poor Richard's Almanac*, w pierwszym roku rozprzedawszy 10,000 exemplarzy; liczba ogromna, zważając na ówczesną ludność czytającą w Ameryce. Znanego romansu Richardsona *Pamela*,

w dziesięciu miesiącach pięć wydań pokazało się; zaś Pamflety Bolinbroka, np. pod tytułem: *The Craftsman*, Pulteneja i innych, przeciw Robertowi Walpole w r. 1726 napisanych, dziennie drukowanych 10 do 12,000 exemplarzy rozprzedawano. Hanacha Moore romansu religijnego, p. t. *Coeleb's in search of a wife* w r. 1809 w jednym roku w 10 wydaniach drukowanego, cheiwie rozkupiono. Zmarły księgarz Constable obrachował, iż wydania Waltera Scotta poematu *Lady of the lake* od roku 1810 do 1836 przeszło 50,000 exemplarzy sam rozprzedał; podobnież tego samego autora *Marmion*: z tą jeszcze uwagą, iż to ostatnie dzieło, lubo przy piérwszej edycji podniósł wyżéj cenę o 60 złp., przecieź w ciągu jednego tygodnia 2,000 exemplarzy wyprzedał. Nakoniec wypis ten statystyczny, ciekawy nam podaje obraz usposobienia moralnego czytającej publiczności w XIX stuleciu na dwóch dziełach, jakeimi są: książka o grze w karty po angielsku, *Hoyle on gaming*, która 130 wydań doczekała się; podczas, gdy dzieła O obowiązkach ludzi „*The whole duty of man*”, zaledwie 10 edycyj w tymże samym przeciągu czasu wyjść mogło.

* *Literatura matorossyjska*. W Charkowie, Ambroży Meteliński wydał pod tytułem: *Jużny Sbornik*, Zbornik południowy, poezye matorossyjskie, które mają być wysokiéj wartości. Na końcu książki dodana jest dotąd niedrukowana komedia zmarłego Osnowianienki (Jerzego Kwitko). Napisana ona jest prozą, a tytuł jéj: *Szczyra liubow* (szczerza miłość). W narodowym tym utworze więcéj ma być lekkości, nieudanéj pogody i wesela, niż w innych płodach tego znakomitego autora.

* Z osobliwości typograficznych, które na wystawie płodów rękodzielnictwa i przemysłu w Paryżu w tym roku znajdują się, zwraca uwagę książeczka, zawierająca Bajki Lafontena w tak drobnym formacie, że się w łupinie włoskiego orzecha zmieści.

* Z nowości numizmatycznego piśmiennictwa ważném jest wydanie katalogu sławnego zbioru numizmatycznego księcia Wilhelma Radziwiłła, w Berlinie, pod tytułem: *Cata-*

logue des monnaies et des médailles de Pologne que renferme le Cabinet monétaire de Son Altesse le Prince Guillaume Radziwiłł (Traduit de l'allemand par. G. Nobiling). *Berlin*. 1848. 8o. p. 134.

Ogłoszenie tego spisu tém ważniejsze, iż jest pierwsze z wyłącznie polskich, któreby szacowny i bogaty ten zbiór przewyższały; spis bowiem gabinetu Reichla, jakkolwiek bliższym jest co do liczby pod względem monet polskich, wszakże nie może się z nim równać w wielkich sztukach złotych i medalach familijnych Radziwiłłowskich. Zbiór numizmatyczny księcia Radziwiłła w monetach Piastowskich, podzielony jest podług nowego systematu, przyjętego w dziele Kazimierza Stronczyńskiego: *Monety Piastów*, z niektórymi, stosownie do uwag recenzentów, zmianami. Samych średniowiecznych monet zawiera ten katalog przeszło 400, między którymi wiele rzadkich i nieznanych sztuk znajduje się. Szczególnie atoli bogatym jest zbiór w numizmata, za czasów Zygmunta I bitych; między temi, oprócz wielu rzadkich medalów, są trzy dukaty, z których jeden gdański, trzy talary i ośm sześciogroszówek. Nie mniej bogatym jest szereg monet Zygmunta Augusta i Stefana Batorego; tego ostatniego rzadki podwójny i pojedynczy talar, celną jest ozdobą. Nadzwyczaj obfitym jest także zbiór w monety Zygmunta III, a mianowicie samych portugalców i półportugalców liczy sztuk dziesięć, zaś dukatów liczy sztuk dwadzieścia i t. d. Z następnych panowań zwracają uwagę rzadkie sztuki, jakimi są: $\frac{1}{3}$ część talara koronnego, i pół talara elbląskiego Michała Korybuta Wiśniowieckiego (1), 18 sztuk meda-

(1) Dziwną jest rzeczą iż. p. Bernard de Koehne, znany numizmatyk berliński, dziś konserwator cesarskich gabinetów w Petersburgu i także szacowne swoje numizmatyczne pismo, jako dalszy ciąg: *Zeitschrift für Münz-Siegel und Wappenkunde* wydający, z którego powyższa wiadomość w nr. VIII. vol. III. 2, str. 266 umieszczoną, wyjęliśmy; zawsze surowy krytyk dla innych, sam popełnił dwa ważne błędy, donosząc o dziele i zbiorze ks. Radziwiłła. Powiada on bowiem, iż znajdują się tam 20 całych i połowicznych dukatów Zygmunta III, któreto ostatnie nigdy nie istniały; dalej, iż ma $\frac{1}{3}$ talara i $\frac{1}{2}$ talara gdańskiego Michała Korybuta, gdy $\frac{1}{3}$ talara znany jest tylko koronny, a $\frac{1}{2}$ talara jest tylko elbląski. Zatem któż z nas bez błędu?

li, za Stanisława Leszczyńskiego bitych i t. d. Najcenniejszą atoli ozdobą tego gabinetu jest zbiór nadzwyczaj rzadki, a jedyny dotąd medali starożytnego rodu książąt Radziwiłłów, w liczbie sztuk 29, które dla uwiecznienia pamięci czternastu członków téj familii, były bite. Nakoniec godne są wzmianki rozmaite medale, bite ku pamięci 44 dawnych rodzin polskich. Niemniej medale miast pruskich, sztonów do grania w karty (*jettons*); medaliki kościelne, klasztorne i t. d. w znacznej liczbie znajdują się.

F. Max. Sobieszczański.



KRONIKA ZAGRANICZNA.

Wiadomość o nowych ważniejszych postanowieniach
w prawodawstwie kryminalném.

I. *Ustawa angielska o obchodzeniu się z uwięzionymi
podczas śledztwa.*

Na baczną uwagę zasługuje ogłoszone w piśmie czasowém angielskiém (1) postanowienie, względem obchodzenia się z uwięzionymi podczas śledztwa w hrabstwie Middlesex. Postanowienie to, zatwierdzone w d. 24 września 1847 r., a obowiązujące od d. 1 lipca 1848 r. brzmi, jak następuje: Uwięzionym wolno będzie w każdym dniu, wyjąwszy świąt, widywać się pomiędzy 11stą a 12stą godziną z krewnymi i przyjaciółmi, bez szczególnego pozwolenia; do odbierania odwiedzin w innym czasie, potrzeba piśmiennego pozwolenia sędziego lub nadzorcy więzienia. obrońca sądowny uwięzionego, w każdym dniu, o każdej godzinie odwiedzać go może bez świadków. Uwięzieni mogą listy pisywać i odbierać, jednakże jedynie za wiadomością i okazaniem takowych nadzorcy więzienia; poufne piśmienne korespondencye, dotyczące wszakże oskarżenia, osobiście przez uwięzionego oddawane będą obrońcy lub jego pisarzowi, bez okazania takowych dozorczy więzienia. Wszelkie inne pisma, sędziemu okazywane być mają. Każdy zgłaszający się, jak pisarz lub pełnomocnik obrońcy, musi przedewszystkiém złożyć na to dowód dostateczny.

(1). The monthly part of the legal observer, digest and Journal of jurisprudence. 1848. Octob. p. 541.

Porównyując powyższe rozporządzenie z instrukcjami więziennymi innych krajów, łatwo się przekonać, jak konsekwentnie postępowanie sądowe kryminalne w Anglii, na zasadzie jawności jest opartem, nie używając uwięzienia podczas śledztwa za środek inkwizycyjny w nieprawném tego wyrazu rozumieniu, nie przecina prawodawstwo uwięzionemu wszelkich z krewnymi i przyjaciółmi stosunków. Korrespondencya jego jest wprawdzie ograniczona; lecz i pod tym względem ustalona jest praktyka w Anglii, dozór nad listami stosując jedynie do przeszkodzenia usiłowań i umów, dotyczących ucieczki z więzienia. Przedewszystkiém wszakże na uwagę zasługuje opieka udzielona obronie. Nawet w pierwiastkowym śledztwie udanie się i narada z obrońcą, najzupełniej jest dozwoloną, gdyż ustawa pomieniona przyznaje uwięzionemu prawo widywania się w każdym czasie z obrońcą i utrzymywania z nim korespondencyi piśmiennój. Niéma obawy, aby na tém odkrycie prawdy w czémkolwiek cierpiało. Doświadczenie w Anglii okazało, iż wielkie zbrodnie prędzej i pewniej odkrytymi zostały, aniżeli w innych krajach, gdzie najściślejsze przedsiębrane bywają środki, aby uwięzionych w czasie śledztwa, na zupełne skazać odosobnienie.

II. *Prawo angielskie z d. 28 czerwca 1848 r. przeciwko odgróźkom piśmiennym.*

Dotychczasowe prawodawstwo karzące odgróźki piśmienne, okazało się w Anglii niedostatecznym z powodu zbyt małej liczby wypadków, do jakich zastosowaném być mogło. Wyżej pomienione nowe prawo, brzmi jak następuje:

Ktokolwiek umyślnie drugiemu list lub jakiegokolwiek pismo prześle, odda, lub jakim bądź sposobem doręczy, w którym tego, do którego list jest pisanym lub nawet inną osobę oskarża lub grozi oskarżeniem publiczném o zbrodnię, na którą prawo postanawia karę śmierci lub deportacyą, a to w celu uzyskania pieniędzy lub uszkodzania zagrożonego

na majątku; oraz ktokolwiek przesyła drugiemu pismo, w którym zagraża spełnieniem na jego lub kogo innego osobie morderstwa lub gwałtu, albo téż grozi podpaleniem lub zniszczeniem budynków lub pól gospodarstwa wiejskiego; ktokolwiek wreszcie do podobnej czynności nakłania lub takową ułatwia i pomaga, karany będzie deportacją najmniej 7 letnią lub więzieniem najwyżej na lat 14, oraz stosownie do uznania sądu, chłosta wymierzona być może.

III. Rozprawy w Altenburgu, i prawo w państwie Schwarzburg-Sonderhausen, w przedmiocie zniesienia publicznego wymiaru kary śmierci.

Od niejakiego czasu zaczęto częste podawać projekta, celem zniesienia publicznego wymiaru kary śmierci. W państwie Schwarzburg-Sonderhausen projekt ten w prawo już zamieniono.

W Altenburgu szlachetnie myślący, powszechnie szanowany mąż, minister *von Lindenau*, wniósł projekt o zniesienie publicznego wykonywania kary śmierci. W projekcie tym oświadczą, że dziś w używaniu będący sposób karania śmiercią, nie odpowiada wymaganiom skutecznej sprawiedliwości karnéj; że wymiar ten prawodawczéj i wykonawczej władzy, stał się dla przejętych ciekawością mass raczéj rodzajem widowiska, aniżeli żalobnym i odstrasającym przykładem. Następnie oświadczą p. v. *Lindenau*, iż będąc obecnym przy wymiarze kary śmierci, powracał zawsze oburzony nieokrzesaną lekkomyślnością mass, po większej części złożonych z kobiet i dzieci, i przejęty bolesném uczuciem i tém przekonaniem, że najsurowszy wymiar sprawiedliwości karnéj, tak jak dziś ma miejsce, nie osiąga wyższego swego celu, i za odstraszący nie służy przykład. Według złożonego projektu, wymiar kary śmierci publicznie winien być ogłoszonym, lecz nie publicznie wykonanym. Wymiar ten nastąpić w nien w miejscu odwołaném. dla publiczności zamkniętém; obecnymi mają być tylko: duchowny miejscowy, sędzia inkwirujący, członkowie sądów wyż-

szych, rady miejskiej, i najbliżsi krewni skazanego. Dzień i godzina wymiaru publicznie ogłoszoną być winna, o chwili wyjścia skazanego z więzienia, doprowadzenia go do rusztowania, wreszcie o chwili wymiaru kary śmierci, dzwony zawiadamiać mają; następnie nabożeństwo żałobne w głównym kościele miejscowym odbytém być winno. Kommissya z członków Izby sejmowej złożona, wzięła pod rozbiór projekt powyższy, i doszła do następnego wypadku: iż zasada publicznego wymiaru kary śmierci, zupełnie zniesioną być nie powinna, ale że publiczny ten wymiar o ile tylko być może, ścięśnionym być ma; t. j. że odstraszenie drugich od zbrodni nietylę przez zmysłowe zapatrywanie się na bojaźń, cierpicia i śmierć skazanego osiągniętém być winno, jak raczej przez wpływ na obyczajowe i moralne uczucie współobywateli. Według projektu Kommissyi, oprócz w projekcie pana v. Lindenau wymienionych osób, obecnemi być nadto mają jako świadkowie: 10 przez sąd wybranych obywateli; inne osoby, które czyto z powodu stanowiska swego w kraju, czy też z naukowego względu, interes w tém mieć mogą, jakoto: deputowani gminy skazanego, urzędnicy, lekarze, adwokaci, i t. d. na żądanie uzyskać mogą pozwolenie. Co do praktycznego urządzenia wymiaru kary śmierci, zdanie Kommissyi wiele trafnych zawiera uwag. Izba sejmowa jednomyślnie zatwierdziła zdanie Kommissyi, a kommissarz rządowy oświadczył, iż projekt powyższy niezwłocznie władzom rządowym pod rozbiór poddanym zostanie.

Nowe prawo państwa *Szwarzburg-Sonderhausen* z d. 14 sierpnia 1848 r. (§ 22 procedury kryminalnej), brzmi jak następuje: „Wymiar kary śmierci będzie miał miejsce w podwórzu więzienném, lub też w razie braku takowego, w inném zamkniętém miejscu, w obecności duchownego, sędziego i pisarza. Oprócz tego nietylko służba więzienna, ale nadto obecnemi być może tyle osób pełnoletnich płci męskiej, ile miejsce dozwala. Chwila wymiaru kary ogłoszoną będzie publiczności, odgłosem dzwonu“. *K. B.*



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Jakkolwiek od **Grahama**, który pierwszy wskazał **dzienne ruchy** w zbroczeniu igły **magnesowej**, i od **daty prac Haustena i Kupfera**, którzy wykryli swemi licznymi badaniami zmiany w **natężeniu poziomém i pionowém**, wiele poczyniono **przypuszczeń** na wyjaśnienie tych zjawisk: **dotąd** wszakże **żadna z tych hipotez** za **zadowalniającą** uważaną być nie może. **Wielu uczonych** za **przyczynę zjawisk magnetyzmu ziemskiego** podają **strumienie galwaniczne**, przez **działanie słońca**, na **powierzchni ziemi** powstające. **Gdyby** rzeczywiście **podobne strumienie** istniały, to **wypadałoby** koniecznie **przyjąć**, że **stosownie do różnego kształtu i własności skorupy** naszej planety w **pewnych miejscowościach**, **rozprzestrzenianie się i działanie** tych strumieni w **różnych kierunkach** musi być **bardzo odmienne**. **Doświadczenie** zaś **uczy**, że **tak na morzu** jako **na lądzie stałym**, **górach i głębokich dolinach**, **wszędzie** prawie **jednako** objawiają się **działania**. **Zresztą** **strumienie krążące** po **powierzchni ziemi**, powinny być **bardzo silnymi**, aby **za ich pomocą** dały się **wyjaśnić zjawiska magnetyczne**, przez **nas** na **ziemi** **obserwowane**. **Jeżeli** zaś **dla usunięcia** tego **przyjmiemy**, że **strumienie galwaniczne** **głęboko** po **skorupie ziemskiej** **krążą**, to **pozostałaby** **nierównie wielka trudność** w **wyjaśnieniu**, **jakim**

sposobem ciepło słoneczne przenikając zaledwo parę cali w głąb' ziemi, tak głęboko strumienie elektryczne wzbudzać może. Barlow, który zajmował się tym ważnym przedmiotem z obfitym dla nauki plonem, mówi, iż wszelkie fenomeny magnetyzmu na kuli ziemskiej natrafiane, pięknie za pomocą strumieni galwanicznych wyjaśniać się dają; brak tylko jednego punktu, a tym jest wykazanie, gdzie te strumienie elektryczne powstają i gdzie są przewodniki, które je tak regularnym sposobem rozprawdzają po kuli ziemskiej.

Przywiedzione uwagi skłoniły Lamonta do podania następnej hipotezy, na wyjaśnienie zjawisk magnetyzmu ziemskiego. Już Bessel, obserwacjami nad kometaą Haleya okazał wielkie prawdopodobieństwo istnienia siły polarniej, otaczającej to ciało; do podobnego rezultatu doszedł J. Herschel z uważania zjawisk towarzyszących przejściu tej komety przez peryhelium. Te fenomeny wymagają hipotezy, w skutek której słońcu nadać wypada siłę zdolną przyciągać część materji komety zwróconą ku słońcu, drugą zaś odpychać. Między siłami znanemi, jedna tylko siła elektryczna podobne wywołać może zjawiska. Przyjąwszy więc, że słońce posiada ogromną ilość elektryczności (dodatniej), komety pod jego wpływem elektryzować się także muszą, tak, że elektryczności przeciwnienne rozdziela się: na części komety zwróconej ku słońcu będzie się zbierać elektryczność ujemna, a na przeciwniej, elektryczność dodatnia, i ogromna fala elektryczna naokoło ziemi w ciągu 24 god. krążyć będzie. Przepływ elektryczności musi mieć miejsce tak wewnątrz, jako też i zewnątrz ziemi po atmosferze. Opuszczając dalsze spekulacyjne rozumowania, obficie się tu nasuwające, Lamont jako dowód swój powyższej hipotezy, z porównania wypadków obserwacyj, czynionych w Monachium, przywodzi, że wszystkie zmiany magnetyczne i termoelektryczne nie mogą być wyprowadzone jako wypadki pewnej siły, skoro tę siłę uważać będziemy jako podległą prawom, powszechnie dla magnetyzmu przyjętym. (*Pgdf.* 1849, nr. 1).

* Plücker (1846) umieszczając kryształy o jednej osi optycznej między biegunami magnesu, przekonał się, że takie kryształy odpychane są przez bieguny, czyli, że między biegunami a osią kryształu, istnieje siła dyamagnetyczna. Według tego, kryształ swobodnie zawieszony między biegunami, przyjmuje położenie równikowe, to jest takie, że jego oś optyczna staje prostopadle do linii łączącej bieguny. Jeżeli kryształ ma dwie osie optyczne, wtedy podobne działanie magnesu zachodzi względem obu osi, i linia połowiąca kąt między osiami, staje także w położeniu równikowém. Zawieszając kryształ tak, aby mógł wolno obracać się około linii, znajdującej się na płaszczyźnie, przechodzącej przez obie osie kryształu, wtedy ta płaszczyzna przyjmuje położenie równikowe.

Z tego wynika, że posiadając kryształ nieprzezroczysty, i nadto nieprzedstawiający widocznie żadnej budowy kryształowej, można przy pomocy magnesu wykryć położenie osi optycznych.

Te ważne rezultata, wskazują nowy związek, zachodzący między światłem i magnetyzmem. W późniejszych pracach Plücker badając zależność natężenia sił magnetycznej i dyamagnetycznej, przekonał się, że zwiększając moc elektromagnesu, dyamagnetyzm daleko prędzej wzrasta, aniżeli przyciąganie magnetyczne, tak, iż niepodobna z mieszaniny dwóch materij, z których jedna jest magnetyczną a druga dyamagnetyczną, utworzyć ciała zupełnie obojętne na magnes.

* Plücker wykrył, że walec szklany raptownie ostudzony i następnie zawieszony między biegunami magnesu zachowuje się jak kryształ o jednej osi optycznej; np. pryzmat z turmalinu, oś kryształu staje w położeniu osi optycznej. (*Bibl. de Genève, 1849, Avril*).

S. P.

CHEMIA.

P. Woehler zawiadomił towarzystwo umiejętności w Getyndze, że jeżeli kwas mlekowy lub mlekany będą przepędzone z solą kuchenną, niedokwasem manganu i kwasem siarkowym, otrzyma się ciało z którego za dodaniem potażu opadną kropelki oleiste i ciężkie, mające zapach chlorku ostatniego formylu.

Jeżeli chlor nie będzie w przyzwoitym stosunku, utworzy się głównie aldehyd. Za dodaniem potażu, w wypadkach przepędzania, powstają słabe męty; ale po pewnym przeciągu czasu wydziela się ciało żywiczne brunatne (żywica aldehydowa). Ten przypadek następuje przy przepędzaniu 1 części mlekanu niedokwasu 1 żelaza z 4 częściami niedokwasu ostatniego manganu i soli kuchennój, oraz 4 częściami kwasu siarkowego, rozcieńczonego podwójną swą wagą wody.

Zmieniając powyższy stosunek w ten sposób, aby wziąć 1 część mlekanu żelaza, 10 części niedokwasu manganu i soli kuchennój, 10 części kwasu siarkowego, i 12 do 14 części wody; chlor działa powolnie, a tylko w pierwszych częściach wypadku z przepędzania otrzymanego, po zapachu i oddziaływaniu poznać można aldehyd. Odebrawszy to, co potem przechodzi, osobno, i przepędziwszy na chlorku wapna, można ciało otrzymane złączyć z kwasem siarkowym, a mieszanina ta się nie ogrzeje i nie zbrunatnieje; po zostawieniu zaś jej w spoczynku, wydzielili się z niej ciecz bezbarwna, podobna do chloralu.

Ale nie jest to jednak chloral czysty: bo gdyby chciano oswobodzić go od kwasu siarkowego przez przepędzanie, pewna część rozłoży się, z wydobyciem gazu chlorowego wodorodnego, i czerniąc kwas siarkowy. To co przechodzi jest powiększłej części chlorałem, który z małą ilością wody zmienia się na chloral wodny krystaliczny, z roztworu zaś wodnego oddziela się za dodaniem potażu, chlorek ostatni formylu.

Ciała niszczone przez kwas siarkowy zdają się być wypadkiem pośrednim, a tém mniej się ich otrzymuje, im chlór działa mocniej na kwas mlekowy; i należało tego się spodziewać, że przez styczność kwasu mlekowego z wywięzującym się chlorem, jako ciało główne otrzyma się chloral. Czyby więc nie można mlekanu wapna, który tanim kosztem otrzymać się daje, użyć za ciało najstosowniejsze do wyrobienia chloroformu? (*L'Institut* 9. Mai, 1849).

* P. Barreswil przesłał akademii umiejętności w Paryżu swą pracę, w której dowodzi, że znalazł cukier w białku od jaja; donosi nadto, że białko jest alkaliczne, a to pochodzi od węglanu sody; żółtko z jaja zawiera albo tylko ślad alkali, albowi też całkiem jest go pozbawione; własność zaś jego tworzenia tak zwanych emulsyi, pochodzi od istoty podobnej do soku pankreatycznego, okazującej działanie kwaśne dopiero po jej zepsuciu; nakoniec P. B. wyjaśnia, że skutki kwaśne i własności soku żołądkowego, powstają od kwasów *organicznych*, a nie od kwasu solnego. (*L'Institut* 20 Juin, 1849).

* W miodzie zwyczajnym, znalazł p. Soubeiran trzy gatunki cukru zupełnie od siebie różne; wiadomo zaś, że dotąd sądzono jakoby ta istota tylko dwa ich zawierała. (*Treść z pisma: L'Institut* z 27 Juin 1849).

* Następująca okoliczność przytoczona w akademii francuzkiej przez P. Chevreul'a zasługuje na uwagę. Gdy bowiem p. Regnault nadmienił o trudnościach w pracach chemicznych, natrafianych z powodu rozpuszczania się szkła w wodzie ogrzanej wyżej nad 100° C: wspomniął p. C. że w swój pracy o drzewie kampezwóm, już w r. 1810 wskazał błędy powstać mogące z używania naczyń szklanych, z powodu rozpuszczania się we wodzie krzemionkanu zasadowego potażu lub sody. W owymto czasie powiedział on: „Scheele i Lavoisier pierwsi okazali, że ziemia z wody czystej otrzymana przez Borichiusa, Boylego i Margraffa, powstała z rozpuszczania się naczyń w których taż woda była parowana lub przepędzana. *Od czasu ogłoszenia ich prac aż do dziś dnia, chemicy nie dość bacznie zastana-*

wiali się nad powyższą okolicznością, bo bezwątpienia sądzili, że szkło z trudnością się rozkłada; ale doświadczenie przezemnie przytoczone przekonywa, że rozkład ten uskutecznia się i łatwo i prędko, a następstwa mojej pracy wskazują, że nie można tego pomijać, w zwyczajnych rozbiorach chemicznych.“ Następnie (dodaje teraz P. Ch.) iż spostrzegł jakoby woda przepędzona, przez kilka miesięcy w naczyniu szklanem zostawiona, tyle rozpuszczała w sobie alkali, że może odfarbować błękit pruski. (*Tamże.*)

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Historia naturalna niedoperzów. Jerzy Frauenfeld na zgrom. miłośników nauk przyrodzonych w Wiedniu dnia 26 marca r. z. czytał postrzeżenia swoje nad sposobem życia niedoperzów, wywołane rozważeniem tego co w przedmocie tychże zwierząt Spallazani na wielu miejscach wspomina. Gatunkami które do celu swojego wybrał i oswajać je przedsięwziął, były: niedoperz pospolity (*Vespertilio noctula* Daub.), karlik (*V. pipistrellus* Daub.), wieczornik (*V. serotinus* Daub.), niedoperz popylony (*V. discolor* Natt.), gacek uszaty (*Plecotus auritus* Lin.) i podkowiec mniejszy (*Rhinolophus hustatus* Geoffr.).

P. Frauenfeld wiedząc, że wszystkie te niedoperze żywią się jedynie owadami świeżemi, doświadczał czy nie można by wychowywać ich gąsienicami mącznika (*Tenebrio molitor*), to jest temi robakami, które się utrzymują w mące na zimowe pożywienie dla słowików. Nie żyły jednak długo, zwłaszcza gatunki drobniejsze, bo karlik i mały podkowiec tylko dni 3—4, gacek najwięcej dni 6—8: bądźto że twarda skóra gąsienicy zbyt ciężka, jak postrzegał, opierała się delikatnym ząbkom tych zwierząt, bądź że to pożywienie nie było całkowicie z na-

tura ich zgodne. Mając niedoperza karmić, ujmował go jedną ręką, a drugą przybliżał mu pożywienie, które zwierzątko, złoścąc się porywało i gryzło; nigdy jednak samo tego pokarmu nie podejmowało z ziemi. Po nakarmieniu sadzał niedoperza do klatki, żadnego jednak nie mógł przyzwyczaić, żeby wypuszczony z klatki, sam do niej powracał; unikał wszakże wypuszczania ich na pokój, bo uważał, iż za każdym takim oswobodzeniem, trudno mu było napowrót więźnia zamknąć. Jedyny znalazł się gacek, który już na trzeci dzień od złapania tak polubił pewne przez siebie obrane, hynajmniej nie ciemne miejsce na oknie, że nawet w dzień przeniesiony do ocienionego, stale na tamto powracał. I niejeden miał przykład, na większych nawet gatunkach, tego przywiązania do miejsca, które same sobie obrały, mianowicie zaś na wielkim *Vesp. noctula*, który przezimował u niego. Niedoperza tego znalazł przyścinaniu buku w późnej jesieni 1845 r. niemogącego latać, chociaż nigdzie na nim nie okazywało się skałeczenie. Już go miał od dwóch miesięcy, żywiąc powyżej opisanym sposobem, gdy pewnego wieczora zawołany, zostawił nienakrytego na stole, licząc na to, że zwierzątko ilekroć się najadło, utulone częstokroć przez znaczny czas nie ruszyło się z miejsca. Gdy jednak powrócił, niedoperza nie było. Nadaremnie go szukano. Przez ośm dni ukrywał się, aż pewnego wieczora znowu wylazł na izbę. Ujęty mocno się bronił, usiłując naokoło kąsać, lubo przedtém dosyć się już był obłaskawił. Przypadek zrządził, że p. Frauenfeld tegoż wieczora znowu oddalić się musiał, podczas czego niedoperz powtórnie zniknął. Szukano go najusilniej, aż nakoniec postrzeżono utajonego pomiędzy nogą szafy a przyległą jej ścianą, gdzie oraz z zebranego gnoju okazało się, że w tém samym miejscu przesiedział i owe ośm dni, przez które się nie pokazywał. Następnego wieczora znowu na jaw wyszedł, a kiedy p. Frauenfeld przybliżył się do niego ze świecą, niedoperz piszcząc uciekł napowrót w swój zakątek, i już się tego wieczora nie objawił. Ilekroć nakarmiono go potem, zawsze na to samo miejsce powracał. P. Frauenfeld lękając się ażeby kto z chodzących późno po pokoju,

nie nastąpił na niego, wolał go osadzić pomiędzy zimowe okna. Już dosyć było zimno, a niedoperz jeszcze przez dwa wieczory dla odebrania pożywienia wychodził: potem w miarę powiększania się zimna, w coraz dłuższy letarg wpadał, a im po dłuższym przebudzał się czasie, tym dzikszy i złośliwszy się okazywał.

Nadewszystko mniejsze gatunki mają tę własność, że przestawszy latać, czepiają się pionowej ściany, głową na dół zwrócone, gdy tymczasem większe wolą spoczywać na miejscach poziomych, chociaż nie są zdolne zerwać się do lotu z ziemi; i dlatego, jak jerzyk (*Cypselus murarius*), na wywyższonych tylko usiadają miejscach. „Mimo główny rys ich charakteru: nieugłaskaną, dziką gwałtowność, osobliwie gatunków większych, mogę jednak (mówi autor) przytoczyć zdarzenie w którym mi się udało do tego stopnia oswoić niedoperza z gat. *Vesp. discolor*, że dotychczas żałuję, iż nieostrożność zawczasie pozbawiła go życia, a tém samém postrzeżenia moje przerwała. Wpadł on d. 8 kwietnia 1838 r. o godzinie 3 po południu do pokoju w którym złapany został. W 14 dni tak się już oswoił, że każdy kto go oglądał, zdumiewać się musiał. Wsadziłem go do klatki wybitej gazą, na chowanie gąsienic przygotowanej: tam, zanurzony w płóciennym szmaty, na dzień się ukrywał. Wieczorem około godziny ósmej przy świetle świecy otwierałem klatkę, w której, przyczepiony do jednej z jej ścian głową do dołu, wyciągając szyję i na wszystkie strony ją nakłaniając, zdawał się czekać już na mnie. Wkrótce wylatywał, a okoliwszy kilkakrotnie pokój, uwieszał się mi na piersiach. Dostawał mącznego robaka, którego przyjmował z ręki, a potem, zerwawszy się na skrzydła, w locie go zjadał. Zjadłszy jednego, powracał zaraz po drugiego. Gdy w ciągu przerwy zajmowałem się jaką czynnością, np. rozbierałem się i t. p. przechodząc z jednej do drugiej stancyi, on mi do obudwu towarzyszył; a że zazwyczaj godzinę i dłużej latał naokoło jeżdząc, tak, że ja w ciągu tego położyłem się postawiwszy przy sobie zapaloną świecę, on i wtedy przylatywał do mnie dla otrzymania 36—40 robaków na 10—14 linii długich, które mu zwykle na wiecze-

rzę dawałem. Ponieważ ten niedoperz nie należy do największych, zdumiewającą jest rzeczą, że tyle robaków zjadał; jakążto mnogość owadów wyniszczać one muszą tam, gdzie są czynnymi w znaczném zebraniu! Po nakarmieniu sadzany był napowrót do klatki. Pewnego dnia zasnąłem nie wsadziwszy go do klatki i znalazłem nazajutrz w tęgim śnie pogrążonego pod moją kołdrą. To samo wydarzyło się 29 maja, w którymto dniu również do mnie zaszedł, ale już nie pod kołdrę, tylko pod poduszkę załazł, i zapewne nie mogąc się tam obrócić, udusił się niestety! Z podjętej sekcji ciała okazało się, jakato niewynagrodzona strata dla mnie była! Niedoperz był brzemienną samicą, noszącą dwa płody całkowicie już wykształcone, i według wszelkich znaków niedługo na świat wyjść mające. Ponieważ prawie nic nie wiemy o zachowaniu się tych zwierząt w akcie rodzenia, ani o młodych, miałbym być przeto obszerne jeszcze pole do badania ich sposobu życia." (*Berichte über die Mittheilungen von Frenden der Naturwissenschaften in Wien, ges. von Wilh. Haidinger, IV Band, 1848 p. 287*).

Ostatnie wyrazy p. Frauenfeld zdają się okazywać, że ten niemiecki badacz nie wiedział o tém, czego naturaliści angielscy w przedmiocie jego badań doszli. Czytamy w *Proceedings Part. II. 1834 pag. 128*, że G. Daniell dostał w lipcu 5 samic ciężarnych karlika (*Vesp. pipistrellus*), w starczej szopie znalezionych. Wsadził je do klatki: jadły chętnie muchy i surowe mięso, lecz wcale nie dotykały gotowanego. Usiadające na mięsie wielkie muchy ścierwowe, spędzały skrzydełkami swojemi, a czasem przysuwając pyszczek, schwytać je usiłowały. Na dzień zawieszały się w kącie klatki, głową do dołu obrócone; wieczorem stawały się bardzo żwawe i krzyczały. Jedna z tych samic zdechła w 5 dni po uwięzieniu; druga po 14, trzecia po 18, czwarta po 19. W każdej był jeden płód tylko. W dniu 16 maja, p. Daniell otrzymał 5 samic niedoperza pospolitego (*Vesp. noctula*), i z niemi jednego samca, który był bardzo złośliwy, kąsał samice i łamał zębami dróty klatki, a nie jedząc, dnia 18 zdechł. Samice jadły wieczorem surowe mięso wołowe

chętniej niż muchy i chrabąszcze. Jedna zdechła 20, druga 22 maja; w każdej był płód pojedynczy. Czwarta jadła chętnie serce i skórę kury, tudzież nieco z majowego chrabąszcza. Uchwyciła pożywienie nakształt psa, podobnie i wodę chlupała, nie podnosząc głowy do góry, jak karlik. Trokskliwie się ogarniała, czesząc tylną łapką jak grzebieniem, włosy na głowie, w kierunku ku ogonowi. Dla oczyszczenia skrzydeł, pociągała nosem po fałdach. Do dnia 20 była bardzo żérta, niekiedy zjadała pół uncy pokarmu, sama tylko 10 drachm ważąc. Na dzień zawieszała się głową do dołu, wieczorem zchodziła dla pożywienia. W dniu 23 stała się bardzo niespokojną, wisiała jednak w kierunku opacznym. Wtém nagle się przekręciła, uchwyciła się przednimi nogami grządkę, rozszerzyła części tylne, ogon zadarła do góry tak, że błona jego utworzyła porządne gniazdo. W kilka chwil ukazał się pyszczek młodego, a w pięć minut wysunęła się głowa. Wówczas samica zaczęła tupać, póki końce palców nie wyszły, poczem młody, gramoląc się na strony przednimi nogami, sam sobie dopomógł do wyjścia. Był zupełnie goły i ślepy, i miał sznur pępkowy na 2 cale długi. Matka oblizwała go czysto, poczem wróciła do zwyczajnego położenia swego, włożyła młode pod skórę swych skrzydeł, odcięła sznur pępkowy i zjadła miejsce. Potém sama się oczyściła, a młode tak otuliła, że nie było widać ssania. Czas rodzenia trwał 7 minut. Młody większy był od nowo-urodzonej myszy; tylne nogi i szpony miał tak silne, że nie tylko u matki ale i u klatki mógł się niemi uczepiać. Dnia 24 matka przyjęła pokarm zrana; zdawała się być bardzo niespokojną o swoje dziecko, przekładała je z boku na bok ażeby ssało i otulała błoną ogona i skrzydeł; czyniła to wszystko w opacznym uczeplona kierunku. Wieczorem zdechła; młode żyło jeszcze wisząc u cyca od którego trudno je było oderwać. Przyjmowało potém mléko z gąbki powinięte w flanelę, i żyło jeszcze dni 8, przez który czas bardzo mało wyrosło na niem włosów i oczy jeszcze się nie otworzyły. Brzemienność u tego gatunku trwa przeszło dni 38. Na skielecie samicy kość piętowa (*calcaneum*) jest przy brzegu błony

pomiędzy tylnymi nogami, daleko dłuższa i silniejsza niżeli u samca. Może ona przez to błonę tę bardziej rozpościierać tak, ażeby rodzaj torby dla młodego tworzyła. (*Proceedings l. s. c.*).

Kilka lat temu, w tutejszym ogrodzie botanicznym ogrodniczek zabił wieczorem niedopérza wielkiego (zapewne *Vesp. noctula*) w obecności jednego z moich uczniów, który w kilka dni potem opowiedział mi, iż to była samica w locie piastująca dwoje młodych: jedno pod lewém, drugie pod prawém skrzydłem osadzone w osobnym worku, jak w kieszeni. Wydobył jedno z lewego worka zabitéj matki, i to mi przyniósł; dotąd jeszcze w wysuszonym stanie, igłą przebite, zachowuje w mym zbiorze, wyprostowane od wierzchołka mordki do końca ogona 15 linii, a między końcami skrzydeł wyciągniętych przeszło $2\frac{1}{2}$ cala długie. Relacya ucznia mocno mnie wtedy zajęła, i przypominała ów wątpliwy cudzoziemski niedopérza gatunek, *Taphozous lepturus* Geoffr., mający mieć u skrzydła torebkę, od czego ten rodzaj Illiger *Succopteryx* nazwał. Być może, iż rzeczona torebka tworzy się tylko na czas piastowania młodego a później znika, i toby mniej dziwném czyniło, że od czasów Schrebera nikt dotąd takiego niedopérza nie widział. (A. W.)

I tego nie przytoczył p. Frauenfeld, że Sowerby chował gacka (*Plecot. auritus*) na którym przekonał się, iż to zwierzę głównie zmysł słyszenia do owadów doprowadza. Niedopérz ten był przez trzy tygodnie muchami żywiony i tak się oblaskawił, że z ręki przyjmował muchy, ale tylko kiedy żyły i ruszały się: nie brał ich, jeżeli nie sprawiały brzęku. Karaczanami, chrząszczami i gąsienicami gardził. Jeśli kto ustami brzęczenie owada naśladował, gacek przylatywał mu aż do twarzy. Nalatawszy się niejaki czas wokoło, siadał wreszcie na wyniosłości, nastroszał uszy i na wszystkie strony głowę obracał, a skoro posłyszał bądź rzeczywisty, bądź zmyślony brzęk muchy, rzucał się natychmiast w to miejsce, nawet w przeciwny koniec izby. Czasem porywał owad odrazu pyszczkiem, najczęściej jednak obejmował go piérwój skrzydłami (*Wiegmann's Archiv. 1837 5s Heft.*).

P. Frauenfeld dodaje w końcu uwagę, iż podług Fauny Peruwiańskiej Czudego, nawet w Peru panuje mniemanie, że niedoperze wkręcają się ludziom we włosy. Autor zapytuje się, czy zmyślenie téj bajki nie miało na celu wczesnego pościgania dzieci z nadworza do domu, albo przynajmniej skłonienia ich ażeby chroniły nakryciem głowę przed zaziębieniem wieczorném? Jakożkolwiekbydź, dodaje, rzeczto godna uwagi, że takie twierdzenia których żaden fakt naturalny nie popiera, rozchodzą się w najodleglejsze mieszkalnego świata zakąty.

* *Dziennik Zoologist* (nr. 75 z r. 1849) donosi jako osobliwość, że w styczniu b. r. na piaszczystych odmiałach Wearu zastrzelono lisa nadzwyczajnej wielkości, który tam zapewne, ucieczką się ocalając, przybył. Dziennik podaje jego wymiary ściśle oznaczone. Ten lis był samcem, 70 funtów ważącym, 4 stopy i 9 cali do końca ogona długim, a stopę $10\frac{1}{2}$ cali w barkach wysokim. (*Fror. Not. 1849 nr. 202*).

* Znajdowane około Montpellier kości nosorożca, uznawało wielu autorów za należące do kilku gatunków (*Rh. tichorhinus, incisivus, monspessulanus, megarhinus* i *leptorhinus*). Paweł Gervais okazał, że należą tylko do jednego któremu najdawniejsze nazwisko, *Rhinoceros monspessulanus*, zachowuje. Szczątki także za kości hipopotama uważane, do tego nosorożca odnosi. Nosorożec ten nie był bezrożny, jak to o gat. *Rh. leptorhinus* mniemają; miał on owszem dwa długie, potężne i chropowate rogi; nos jego nie był, jak utrzymuje Cuvier, rozdzielony przegrodą, paszcza była dłuższą jak u afrykańskiego, ale zęby przednie mniej miały rozwinięcia, niżeli u dziś żyjących Indyjskich gatunków. Zrośnienie żuchwy właściwy rowek cechował. Zwierzę dochodziło do znacznej wielkości. Podług p. Gervais, można tylko 4 nosorożca gatunki dla południowej Francji przyjąć z pewnością. Kości nosorożca z jaskini pod Lunel-Viel, należą do zwierzęcia które on poprzednio *Rhinoceros lunellensis* nazwał. Inne w form. potopowej, tudzież w jaskiniach Europy i Syberji znajdowane szczątki, odpowiadają gatunkowi Cuviera *Rh. tichorhinus*. Kości z piasków form. plioceńskiej, należą do *Rh. monspessu-*

lanus, a niemi są zapewne i te które znaleziono w Auvergne i *Rh. elatus* nazwano. Nakoniec reszty warstw mioceńskich, odnoszą się do gatunku *Rh. incisivus* Cuv. Przy Montpellier w warstwach eoceńskich, nie znajdują się żadnego nosorożca kości, chociaż autorowie przyznali tym warstwom szczątki gatunków *Rh. minutus*, *privatensis* i *tapirinus*. Gervais wątpi ażeby się różniły trzy pomienione gatunki. Liczbę tęgoskórnych, w morskim piasku przy Montpellier znajdujących gatunków, podnosi on do 10, z których 5 najpierwszy sam oznaczył. (*Id nr. 199 z Zoologie française par G. Gervais, 2 livraison.*)

* P. H. Gosse, *Sposób życia jaszczurkowego gadu Mabouya agilis*. Ta mała, zwinna i ładna jaszczureczka pospolitą jest bardzo na nizinach Jamaiki. Żyje ona w szparach starego muru, a rzadko przebywa na ziemi, niekiedy grzeje się na słońcu siedząc w wydrążeniu liścia zapylców (*Bromelia*). Ani na okrągławej głowie jej, ani też nigdzie na ciele nie ma wyniosłości; łuski ją okrywające, leżą ściśle przy sobie; nogi są tak krótkie, że brzuchem ziemi prawie dotyka, przyczem ruchy jej przypominają czołganie się węża. Dlatego u murzynów mabuja nazywa się *snake's waitingboy* (kamerjunker wężowy), albo *snake's boy* (wężowy giermek); w okolicach krajów Stój Elżbiety i Westmore zowią ją *woodslave*, któremto nazwiskiem w innych częściach wyspy, oznaczają niektóre gatunki z rodzaju mierzaniec (*Gecko*).

Trudno jest zwierzę ująć żywcem. W włosiane sidła, które do łowienia innych małych jaszczurek są tak wyborne, ta nie wpada: nawet z umyślnie zarzuconych na głowę, zawsze się wymyka, ponieważ między głową a kadłubem nie ma przeciśnienia znacznego. Jest ona tak zwinna, że nie daje się uchwycić ręką. Słabe uderzenie drobną różyczką po grzbiecie wstrzymuje ją na chwilę, wszakże gdy cios ugodzi w ogon, w mgnieniu oka odpada on od ciała jak i u innych jaszczurek. Często mabuje kot chwyta.

Kształt łusek i sposób ich ułożenia przypomina ryby; łuski są zwierzchu wypukłe, od spodu wklęsłe: są one wolno przyczepione do skóry, i zachodzą brzegami za siebie. Kolor

zwierzęcia sprawia pigment, na spodzie łusek leżący; skóra pod łuskami jest czarna. Te ostatnie, prawie pięcioboczne, oznaczone są podłużną kreską krzyżującą się z wielu poprzecznymi; kreski poprzeczne gubią się zwolna ku tylnemu obwodowi łuski. Łuski ciała i grzbietu są jednakowe, ale ogon w $\frac{2}{3}$ częściach tak zwierzchu jako i od spodu, obłożony jest wązkami poprzecznymi tarczami, które od innych łusek różnią się mianowicie mnogością zagłębionych pasków poprzecznych.

Spodnia i większa powieka, w miejscu które przy zamknięciu oka odpowiada źrenicy, ma okrągłą, szklistą, przezroczystą blaszkę; tym sposobem zwierzę i zamknąwszy powiekę widzieć może. Kiedy mabuja po murze pełza, oczy jej nie są zamknięte, z czego widać że pomienione powieki służą jej tylko dla zasłony od owadów, i od szkodliwych wpływów w ogólności.

Zwierzę rodzi żywe dzieci; okaz 11 lutego przez autora zabity, obejmował kilka jajowatych worków, a w każdym z nich znajdował się płód dosyć donoszony. W inną 29 kwietnia zabitej samicy, znajdowały się cztery, prawie dojrzałe młode, których ubarwienie było wspanialsze jeszcze niżeli zwierząt dojrzałych; leżały one we dwóch workach, a oprócz tego każdy płód miał osobny swój przypotok (*amnios*); żółtek jeszcze się nie wyczerpnął, przyczepiony on był do brzucha sznurkiem pępkowym. Było jeszcze i piąte, zniszczone ciosem który matkę zabił. Młode od mordki do odchodka mają $1\frac{1}{10}$ cala, ztamtąd zaś do ogona $1\frac{9}{10}$ cala długości. Już Robinson uważał że mabuja żywo rodzi: znalazł on w sierpniu 1760, w zabitej samicy dwoje ładnych, prawie na dwa cale długich młodych.

Żołądkiem zwierzęcia jest podługowaty worek, obejmujący szczątki pożutych owadów; u jednego indywiduum znalazł autor wązkiego, dosyć krótkiego tasiemca.

Głowa, kark i przednia część grzbietu mabui, są czerwono-brunatne, koloru brązu. Od pyszczka ciągnie się na każdym boku ciała aż do nóg tylnych szeroki czarny pasek, oczy zajmujący. Z wierzchu i od spodu ogranicza go inny, żółtawo-

białego koloru, pomiędzy przednimi a tylnymi nogami znikająca. Po każdym z tych jasnych pasów następuje wążki czarny, mniej lub więcej przerywany. Wyższy z tych pasków biegnie wzdłuż ogona. Tylna część grzbietu jako i ogon, są zielonawo-brunatne, cała strona spodnia zielonawo-biała i srebrzysto-połyskująca, golenie i nogi zwierzchu czarne, z jasnymi, spływającymi się plamami. Całe zwierzę ma połysk metaliczny; samiec od samicy zewnątrznie się nie różni. Dorosła samica była od paszczy do odchodka $3\frac{3}{10}$ cala długa, od odchodka do wierzchołka ogona $5\frac{1}{4}$ cala, razem więc prawie 9 cali. Odległość mordki od ucha wynosiła $\frac{2}{10}$ cala, oddalenie mordki od ramion $1\frac{3}{10}$ cala: długość tylnej nogi $1\frac{3}{10}$ cala i t. d. Autor znajdował na Jamaice tylko ten jeden mabui gatunek. *Mabouya sloanei* Dum. et Bib. tamże się znajdować mająca, jest podług autora, to samo co tamta. (*Id. n. 206, z The Annals and magazine of natural history, nr. 16, 1849*).

* W zatoce Kalifornijskiej złapana była wielka, nieznaną jeszcze, do rodzaju płaszczyk (*Raja*) należąca ryba. Po nadaremnych usiłowaniach udało się naostatek osadzie angielskiego okrętu *Frolic* dwa takie potwory morskie na harpun ułowić. Jedna z tych ryb ugodzona została dwoma harpunami; z niesłychaną gwałtownością rzuciła się z miejsca; już linna harpunowa była blizką końca i łódź szalonym pędem sunęła się za nią: trzeba było sznur przeciąć i rybę puścić. Kap. Hamilton podaje szerokość ryby w poprzek grzbietu na 23 stopy. Ryba mniejsza wyniesiona była na brzeg; nie można było jej wagi oznaczyć; była ona tak ciężka, że 60 ludzi za pomocą windy nie mogli jej na brzeg wyciągnąć. Szerokość grzbietu dochodziła stóp 19; szerokość paszczy, osadzonej dwoma rzędami straszliwych zębów, wynosiła 3 stopy i 5 cali. Mięso było grube na 3 stopy 6 cali. Pletwa piersiowa wystawiała podobieństwo ramienia. Ryby te przebywają najczęściej na dnie morza, i tylko w piękne, bardzo gorące dni okazują się mekiedy na powierzchni. Edward Newinan życzy sobie, ażeby ta ryba od wynalazcy *Brachioptilon hamiltoni* nazwana była (*Id. nr. 197 z The Zoologist, nr. 74, 1849*).

* P. J. van Beneden, *Rozwijanie się robaków z rodzaju Tetrarhynchus*. Kiedy w przeszłych wiekach mówiono w umiejętności o rodzeniu się dobrowolném, czyniono to ztąd, że zjawiska rozmnażania się nie dość były wyjaśnione. Arystoteles mógł za swoich czasów uczyć, że ryby powstają ze szlamu, naturaliści przeszłego wieku śmieli jeszcze myriady wymoczków za płód gnijących organizmów podawać, a niektórzy, lubo w małej liczbie, terażniejsi pisarze, wierzą, że robaki zawsze jeszcze z brodawek kiszkiowych albo z chorobliwych wyrzutów wychodzą; ale wolny od uprzedzeń badacz nie będzie dziś żadnego wymoczka, żadnego robaka i żadnej ryby, a w ogólności żadnego zwierzęcia i żadnej rośliny uważał za co innego, jak za płód jaja, oczka albo nasienia. Prawidło: *Omne vivum ex ovo* więcej się do dzisiejszego, jak do jakiegokolwiek innego wieku stosuje: nie ma żadnego zwierzęcia, uktórego przyrząd rozmnażania się całkowicie byłby nieznanym, owszem znajdują się organizmy, które na najniższym szczeblu zwierzęcego życia stojąc, opatrzone są przyrządami do rozmnażania się bardzo nierozwiniętymi, i dlatego w rozmaitych sposobach rozmnażają się: zamiast tylko okazać się w postaci zamierzonych, rozwijają kolejną liczną szereg istot nowych, które się różnią między sobą. Znamy dziś wiele takich przechodowych kształtów; mikroskopne badania powiększają corocznie ich liczbę, i możemy już teraz z pewnością przyjąć, że wszędzie, gdzie jeden kształt zwierzęcy znika, ażeby zrobić miejsce drugiemu, obydwa są odmiennymi tylko kształtami tegoż samego gatunku zwierzęcia. Na zgromadzeniu naturalistów w Bazylei, Miescher mówił o postrzeganych przez siebie przemianach robaków: podług niego włośnik ryb, długi, nitkowaty robak, ma się przemieniać w zwierzę płaskie, jajowate, do liścia podobne, słowem w robaka rozgniotkowego (*Trematoda*). Z wnętrza tego robaka miał znowu powstawać (zterema smoczkami opatrzony grzęz (*Tetrarhynchus*), a z niego, jak sądzi Miescher, tasiemiec (*Botryocephalus*); ten przeto byłby kolejną już robakiem nitkowatym (*Nematoda*), już rozgniotkowym (*Trematoda*), już pęcherkowatym (*Cestoides*). Le Blond, który w roku 1837 tegoż robaka ba-

dał, mniema że grzęz jest tylko pasorzytem rozgniotkowatych, a i autor zajmował się, już w r. 1838, témże badaniem: lecz gdy później postrzeżenia Mieschera chciał śledzić, wnet uznał błąd w który ten badacz popadł. Ujrzał on, że włośnik we wszystkich kolejach rozwijania się swojego, zawsze jest robakiem nitkowatym: po wieloletnich badaniach doszedł nakoniec do tego, iż może zupełnie objaśnić tajemnicze rozwijanie się grzęza. Wypadek jego poszukiwań jest następujący:

Grzęz ma cztery zupełnie odmienne rozwijania się epoki. W pierwszej robak jest mniej lub więcej pęcherzykowaty; od przodu opatrzony czterema banieczkami (*ventouses*), rodzaj dzióbka otaczającymi. Robak jest bardzo kurczliwy; u wielu gatunków jego są plamki pigmentu, wyobrażające oczy: stan takowy zwierzęcia znany jest u helmintologów pod nazwą *Scolex*. Znajduje się nadewszystko w kiszce ślepej.

Drugą epokę opisał już Le Blond; jest ona najosobliwszą. We wnętrzościach u *Scolex* rodzi się z oczka grzęz, a na powierzchni wyłącza się śluzowata wilgoć, i ta twardnieje w pochwę, ze spółśrodkowych warstw złożoną. W tym więc czasie znajdujemy warstwowatą powłokę, otaczającą robaka takiego jak w rzedzie *Trematoda* (*Amphistoma rapaloides* Le Blond), a we wnętrzościach jego spoczywa grzęz, który w swoim żyjącem więzieniu żwawo się porusza. Tento grzęz o którym wielu badaczy sądziło że jest pasorzytem robaka rozgniotkowatego, jest podług badań autora ruchomém oczkiem. Znajdujemy go prawie zawsze w nabrzmiłościach skóry brzusznej wielu ryb morskich, mianowicie wążuszków (*Gadus*); napłunów (*Trigla*), morskiego węgorza (*Muraena conger*) i t. d.

W trzeciej rozwinięcia się epoce, grzęz jest wolny, jednak zrazu podobny jeszcze owemu, który we wnętrzościach rozgniotkowatego się znajdował. Wnet rozwija się mu długo wyciągnięta tylna część ciała, powstają nacięcia poprzeczne, wykształcają się działy, zwierzę otrzymuje kształt robaka taśmowatego. Na tym stopniu rozwinięcia się opisany był jako *Botryocephalus*, albo przez nowszych *Rhynchobotrius*;

Znajdujemy go w kanale kiszkowym płaszczyk i żarłaczów, pomiędzy piérwszemi zakrętami kłapy ślimakowatěj.

Zwierzę czwartěj i ostatniej rozwinięcia się epoki, jest daleko prościejszém niż poprzedzającěj. Ogólnie tworzy ono tylko jakby torebkę napelnioną jajami: składa się ona z jednego działu czyli pierścienia, jakby od tasiemca odłączonego. Zwierzę takie Dujardin opisał pod nazwiskiem *Proglottis*; znajdujemy je w środkowej okolicy kanału kiszkowego płaszczyki i żarłacza. To tak nazwane dojrzałe czyli dorosłe zwierzę, opatrzone jest zupełnymi organami rodnymi.

A zatém ten gatunek zwierzęcia występuje tu pod trzema zupełne odmiennymi kształtami: jako *Scolex*, *Tetrarhynchus* i *Botryocephalus*. Dorosłe, jajami wypełnione zwierzę *Proglottis*, wypada z żarłacza albo płaszczyki z wyrzutami, i znowu przez mniejsze ryby bywa pożerane wraz z jajami. Jaja rozwijają się albo w cienkiej albo w ślepej tych ryb kiszce, a jeżeli te ryby zostaną wtenczas połknięte przez ryby inne, połknięte z niemi embryony rozwijają się dalej w kiszce ślepej u wielkiej ryby. Naostatek, przeszedłszy może wielokrotnie żołądek ryb innych, które się wzajem pożerają, gdy się staną wykształconem stworzeniem *Scolex*, przebijają się przez ściany kiszek i gnieźdzą się pod skórą brzuszną; tam ukształca się na nich zewnętrzna pochwa a w jej środku ruchomy zapłodek, i ten jest grzęzem. Ryby mające go w tym stanie, polykane są przez żarłacze i płaszczyki, mięso połkniętych rozkłada się w żołądku tych łupieżców, grzęz staje się wolny i w ich cienkich kiszkach przechodzi w zwierzę postaci wykształconej, opatrzone przyrządami rodnymi, którego w dwóch dawniejszych kształtach nie miało.

Od jaja więc aż do zwierzęcia doskonałego, pasorzyt ten wędruje z jamy brzusznej jednej ryby, w jamę drugiej, i tylko tym sposobem może się zupełnie rozwinąć. Autor mniema, że wyłożona tu kolej rodzenia się, zdolna jest niemałe rzucić światło na zagadkową dotąd gromadę robaków. Lubo rozwijanie się robaków rozgniotkowatych znane jest dopiero niedokładnie, mamy już przecie niektóre pewne oparcia się punkta. *Monostomum mutabile* Siebolda, mieści

wewnątrz żywego robaka, którego Baer i Siebold z innymi, za potrzebnego pasorzyta mają. Jeżeli porównamy to *Monostomum* z drugą epoką życia u gręza, znajdziemy u obudwu zewnętrzną pow okę, przez wypocenie utworzoną, a w niej żyjącego robaka rozgniotkowatego (*Monostoma* albo *Amphistoma* le Blond) w tym zaś ostatnim znowu innego, to jest gręza (*Tetrarhynchus* albo *Sporocystis* niemieckich naturalistów).

A zatem postęp rozwijania się jest tu jednakowy: *Sporocystis* w *Monostomie* rozradza wewnątrz przez oczka mnóstwo ogonatek (*Cercaria*): i gręz tworzy tymże samym sposobem mnóstwo indywidualów nowych, które jednak, zamiast powstawać wewnątrz, tworzą się przez odpadanie prosto na zewnątrz. Ogonatki, utracając ogon, przekształcają się zaraz w gatunki motylic (*Distomum*); i czło ki gręza po odłączeniu się, kształt swój zmieniają; przechodzą one w dalszy stan, w *Proglottis*. U *Distomum* równie jak i u *Proglottis*, obiedwie płcie połączone są w indywidualum jednym; i u jednych i u drugich przyrządowi męskiemu niebrakuje prącia (*penis*).

Autor udaje się jeszcze do porównania gręza z gatunkami rodz. *Strobila*, z torebkami u *Campanularyów* i *Tubularyów*, przede wszystkim zaś z wydającymi oczka pierścienicami. Analogia z temi ostatnimi okazuje się, jak sądzi, w sposób bardziej jeszcze uderzający.

Rozciągając te postrzeżenia na klasyfikację robaków, otrzymuje autor, zamiast pięciu dotąd przyjmowanych w tej gromadzie rzędów, tylko dwa: *Nematoda* i *Trematoda*. Rząd *Acanthothecae*, jak już dawniej prace autora okazały, przechodzi do zawrybkowatych (*Lerniadae*): pęcherzykowate (*Cystidea*) są niedokładnie rozwiniętymi tasiemcowatymi (*Tuenioida*); tasiemcowate (*Rhynchobotrius*, *Taenia*, *Botryocephalus* i t. p.) odpowiadają przedostatniemu pokoleniu rozgniotkowatych, i wszystkie są niezupełnie rozwinięte. Jedne tylko *Acanthocephala* niejaką trudność sprawiają. Autor, przykładem Blancharda, zostawia je tymczasem przy nit-

kowatych; tym sposobem nitkowane zostają, a pęcherzykowane odpadają do rozgniotkowatych.

Zbierzmy krótko to cośmy dotąd powiedzieli:

1) Wyrzeczone na początku zeszłego wieku przez Mikołaja Andry, Vallisnieri i Ruyscha zdanie, że gatunki tasiemców są zwierzętami złożonemi, zdaje się być z terażniejszém umiejętności stanowiskiem zgodne.

2) *Tetrarhynchus* ma 4 rozwijania się epoki: z jaja rozwija się *Scolex*, z tego *Tetrarhynchus*, ten staje się tasiemcem (*Botryocephalus* albo *Rhynchobotrius*), a z tego robak rozgniotkowaty.

3) Rozwijanie się motylic i grzęzów, przedstawia wiele podobności; *Monostoma* Siebolda jest to samo co *Amphistoma* le Blond, a ich *Sporocystis* to samo co grzęz; gatunki zaś motylic które się ze *Sporocystis* rozwijają, są to członki gręza.

4) Cały rząd *Cestoidea* musi odpaść; składa się on tylko z nierozwiniętych zwierząt, które pomiędzy robaki rozgniotkowane rozdzielić należy (*Fror. Not. no. 206 z Bulletin de l'Académie royale etc. de Belgique nr. 1, 1849*).

A. W.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1849.

WARSZAWA.

53. Powieści moralne dla dzieci, przez autorkę Pamiątki po dobrej matce. Wydanie nowe, poprawne, pomnożone i 4ma rycinami ozdobione. 16k a. Warszawa. 1849. Nakład Merzbacha. Druk Strąbskiego. Str. 185. Złp. 6.

54. Wybrzeża Renu. Wrażenia i wspomnienia z podróży. 8ka w formacie podłużnym. Warszawa. 1849. Nakład Merzbacha. Druk Strąbskiego. Str. 88 (z 20 tablicami rycin). Złp. 20.

55. Ustawy Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, przez Najjaśniejszego Cesarza i Króla w dniu 1 (13) Czerwca 1825 r. zatwierdzone. Warszawa. 1849 r. Druk J. Ungra. Str. 106.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

„Galerya Drezdeńska”, wydawana nakładem H. Natansona, doznała takiego przyjęcia, że obecnie już drugie wydanie wychodzi.

Wkrótce zaczną wychodzić w poszytach: „Życiorysy znakomitych ludzi. wstawionych w każdym zawodzie”, z rycinami.

Józef Muczkowski wydał: „Wiadomość o założeniu Akademii krakowskiej”. Rozprawa arcyważna treścią i obrobieniem.

F. Jezierski, autor: „Przygotowań do filozofii mowy polskiej”, wygotował do druku rękopis: „Serce i rozum”.

W końcu września b. r. wyszły z druku we Lwowie dwa dziełka: „Krótki rys grammatyki”, i: „Początki grammatyki języka polskiego, przez Dobromysła Łazowskiego tcz. Prof. języka polskiego przy C. K. Gim. Akad. we Lwowie”. Mamy tedy już cztery grammatyki tegoż autora: obszerna z 23 arkuszy dla literatów i nauczycieli; skrócona z 17 1/2 ark. druku, którą ciało(!) naukowe za dzieło elementarne dla liceum krakowskiego przyjęło, i dwie powyższe: pierwsza z 11, druga z 6 1/2 ark. druku. Wykład w nich jest podzielony na cztery lata nauki, w tej nadziei, że za dzieła elementarne dla czterech klass normalnych, przyjęte będą.

W Wilnie J. I. Kraszewski zaczął wydawać swoim nakładem: „Athenaeum” w ozdobnym wydaniu. Poszyt Iszy już się ukazał.

W Poznaniu pojawiła się książeczka pod tytułem: *Mysli o stanowisku kobiet*. Przedmiot szeroki, z którego, podług słów recenzenta krakowskiego, autor korzysta, i od Adama i Ewy przebiega dzieje kobiety. Sądząc z szumnego nagłówka, powiada dalej, widzimy, że nasz poeta czy filozof siedzi na wieszczym trójnogu,

i nie dziw, że wszystko widzi okiem Pitonissy, a raczej najdobrodusznego optymisty.

W sierpniu wyszło w Krakowie w drukarni Józefa Czecha: *Albertrandego panowanie Henryka Walezyusza i Stefana Batorego*, podług wydania Onacewicza, z dołączeniem *Pamiętników hist. Stefana Batorego*, zebranych przez E. Raczyńskiego. P. Czech zamierza wydać niebawem: *Pamiętniki Otfinowskiego*, ogłoszone dawniej przez tegoż, ale z mnóstwem opuszczeń i przerobień, które w wydaniu krakowskiem mają być uniknione.

Wyczytujemy w Pamiętniku gosp. darskim lwowskim nr. 33 b. r. ogłoszenie przedpłaty na dzieło obyczajowe i religijne, z podpisem Maryi hr. Ożarówskiej i Rozalii Dłuskiej. Myśl, która te panie pobudza do tego przedsięwzięcia, ma źródło bardzo szlachetne.

Roman Wawrzyniec herbu Korab Laskowski, znany autor licznych romansów, których zaletę publiczność nasza stosownie do ich wartości osądziła, napisał znowu powieść historyczną (sic), pod tytułem: „Michał Odrowąż” w 3ch tomach.

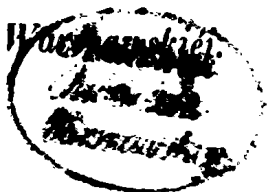
M. Studencki napisał: „O wychowaniu dzieci we względzie lekarskim, czyli sposób unikania chorób dzieci, rozpoznawania ich, leczenia środkami domowymi, ze wskazaniem przypadków, w których pomoc lekarska jest koniecznie potrzebną; oraz: Historią rozwijania się płodu ludzkiego”, z rycinami.

Jan Nepomucen Chądzyński napisał: „Wspomnienia Sandomierskie” i „Opis miasta Sandomierza”, które podobno niedługo mają być w Warszawie drukowane.

Józef M. Wiślicki, znany autor romansów także historycznych, jak np. *Starosta Rabsztyński*, *Zborowscy*, *Pani Orzelska* i t. p. wydaje teraz: „Opis Królestwa Polskiego pod względem historycznym, statystycznym, rolniczym, fabrycznym, handlowym, zwyczajowym i obyczajowym, z dwunastu rycinami, którego tomu Igo część Isza, zawierająca: Opis powiatu olkuskiego, w druku ukończona, niebawem prasę opusci.

We Lwowie zaczyna wychodzić polityczno-handlowy dziennik, pod tytułem: *Żydowska Poczta*. Każdy numer składa się z dwóch oddziałów: w jednym objęte będą polityczne i handlowe wiadomości, w drugim urzędowe rozporządzenia, okólniki, licytacje i t. p. Ogłoszenie opiewa, iż ten dziennik wychodzić ma w dyalekcie żydowskim (podobnym do zepsutego niemieckiego, a raczej holenderskiego języka), a to z przyczyny obszernej literatury w tym języku i licznej czytającej ją publiczności.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Sierpień 1849.

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.828	27	7.952
Najwyżej dochodził — d. 21 o g. 10 w.	756.34	27	11.265
Najniżej — — d. 4 o g. 10 w.	742.48	27	5.138
Średnia zmiana dzienna barometru	2.65		1.18
Największa zmiana dzienna barometru d. 16—17 o g. 10 w.	9.66		4.28
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	749.438	27	8.222
Średnia temperatura Sierpnia wynosi: i ta jest niższą o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	+ 16 ^o .205 C. 1.949 „	+ 12 ^o .96 R. 1.56 „	
Największe ciepło dochodziło d. 13 i 17 o g. 4 w.	+ 18.154 „	+ 14.52 „	
Najniższe d. 31 o g. 6 r.	+ 29.4 „	+ 23.52 „	
(Termometrograf wskazał: Maximum: + 24. ^o 5 R. d. 13 i 17 po poł. Minimum: + 5. ^o 8 R. d. 4 z rana.	+ 9.6 „	+ 7.7 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.33 „	1.86 „	
Największa zmiana dzien. d. 17—18 o g. 4 w.	10.2 „	8.16 „	

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 77,9 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 10,84 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 5 setnych większa niż w stanie normalnym.

Wody z deszczu spadło wysoko na 52.5 millim. czyli 23.26 linii paryzkich, to jest o 9.42 linii paryzkich mniej jak zwykle.

Dni pogodnych było 3; napółpogodnych 12; pochmurnych 17.

— deszczu 13 (d. 5, 6, 10, 11, 14, 17, 18, 19, 20, 23, 25, 29, 30).

— mgły 2 (d. 9, 31).

Błyskawic bez grzmotu 1 (d. 13).

Błyskawic i grzmotu 3 (d. 14, 17, 30).

Wichrów nie było.

Wiatr panujący był Zachodni; częste były także Północne.

Sierpień r. b. był niepogodny, znacznie chłodny i wilgotny; średnia jego temperatura jest o półtora stopnia niższa jak zwykle.

Pierwsze dziewięć dni i trzy przedostatnie były chłodne, dwanaście zaś dni od d. 10 do 22 ciepłe. Najcieplejsze dni były: d. 10, 11, 13, 14, 15, 16, 17, osobliwie dwa dni 13 i 17 były bardzo gorące. Najzimniejsze d. 1, 2, 4, 20, 29, 30. Deszcze padały często, i te przy wietrze północnym znacznie oziębiały powietrze. Pod względem hygrometrycznym, miesiąc ten znacznie się różni od lat innych; wilgotność jego bowiem jest o pięć setnych większa jak zwykle.

Dnia 14 z rana padał deszcz ulewny wśród grzmotów i błyskawic.

D. 17 w wieczór błyskawice powtarzane, w nocy grzmoty, błyskawice i deszcz.

D. 20 przez cały prawie dzień deszcz drobny padał.

D. 30 po południu grzmoty, błyskawice i deszcz.

WYJĄTEK
Z FILOZOFII UMNICZÉJ,

przez W. L.

Wstęp.

Puszczamy się w strony filozofii, dotąd przez nikogo niezwiędzane. Jestto jeszcze las dziewiczy, którego same tylko były znane krańce, ale w głąb którego nikt się nie zapuszczał; albo dlatego, że nie tam nowego znaleźć nie spodziewał się, albo téż, że przez tę ciemnią drzew nie dopatrzeć nie mógł. Las ten odwieczny, odpotopowy, to *filozofia kształtów i czynów*, narosła dziko rosnącą rzeczywistością, przeczuwana i przepowiadana przez niektórych, którym filozofia saméj myśli nie wystarczała. Domyślano się jak za czasów Ferdynanda i Izabelli, że krom owego Platonowego i Arystotelesowego świata, owéj znanéj ziemi starożytnéj filozofii, co i w nowszych czasach to samo nosiła oblicze *realizmu i idealizmu*; że poza tym nieprzejrzanym oceanem myśli, musi być jeszcze inna ziemia, świeża, nowa, bogata, samorodne złoto wydająca—nowy świat filozofii. Torujemy tu sami sobie drogę, i może jak Kolumb, nie natrafimy na sam

ład stały, ale na pierwsze jego wyspy, którebyśmy także chcieli nazwać „*San Salvador*”.

Z drugiej strony, nie jesteśmy bez pomocy. Cała dotychczasowa filozofia *myśli*, jest nam igłą magnesową, przewodną po tych okolicach bez toru i drogi. Nieocenione zasługi położyła tu filozofia idealna, a Hegla w szczególności. Na wielkiej wadze kładziemy także *Logikę T. B.* Jest w niej postęp filozoficznej myśli, i z rzadką jasnością wyklada rozwidnione nieprzejrzane pole myślenia.

Rozum, wyobraźnia i wola, jest trójcą władz duchowych, stanowiących jednego ducha; jest jednością zupełną i całkowitą, w której nic niema pierwszego, ani ostatniego, nic przedniejszego, ani późniejszego, ale każda jest odwieczną, równą i niezmierną potęgą: albowiem wszystko troje jest jednym duchem. Wszelako biorąc rzeczy względnie, zwłaszcza ze stanowiska uważania ludzkiego, rozum jest pierwszy, wyobraźnia drugą, a wola trzecią z kolei. Bóg rzekł pierwszego dnia stworzenia: „Niech się stanie światło“ i stało się światło; i dopiero potem następowały inne dnie stworzenia, aż naostatku stworzył człowieka, a z nim wolę ducha. To też filozofia rozumu najsamprzód się pojawiła światu, i począwszy od filozofii greckiej, przez średnie wieki i nowsze czasy, aż do Hegla, uprawianą była sama niwa rozumowa. Nie dziwny się, że dwa tysiące lat było tej pracy. Jak w niezmierności światów, światło promienne, ubiegające czterdzieści tysięcy mil na sekundę, potrzebuje tysięcy lat, aby z oddalonych słońc do nas doszło; tak w niezmierności mądrości Boga, której odblask w rozumie ludzkim płonie, nieskończone są gra-

nice tego światła, i eony lat, ani ludzkość cała wyczerpnąć go nie potrafi.

Filozofia nowa nie wyłonia się zatem z objęć rozumu, ani przestaje rozświecać jego okolic, bo tylko o świetle jego pochodni potrafi dalej kroczyć; bezeń, nie widziałaby nic przed sobą i nie poznawała nic. Filozofia nowa nie przestając być filozofią rozumu, wypiera się tylko jego jednostronności; zaprzecza dotychczasowej filozofii niemieckiej, aby duch był samą tylko potęgą rozumu, a samo myślenie całą jego wypełniało istotę; twierdzi, że wyobraźnia i wola równorodnymi i równowładnymi są potęgami duchowymi, i że jak dotąd była filozofia rozumu, być powinna także filozofia wyobraźni, i filozofia woli.

Dotychczasowa filozofia zaglądała także w te okolice, ale mimochodem. Wyobraźnię uważała na zbyt podrzędnym stanowisku jednej z władz duszy naszej, zrobiła ją łgarką, poetką, żonglerem ducha człowieczego, i z macierzyńską troskliwością ostrzegała rozum, owego pierworodnego syna i mojarata duchowego, aby się czarownym umizgom téj płochéj siostrzycy ułudzić i obalamucić nie dał. Ani się domyślała, aby wyobraźnia odgrywała rolę w przedmiotowych utworach, np. w religii, państwie, dziejach, a nawet w filozofii saméj. Filozofia wyganiając wyobraźnię, jako nierządnicę z domu swego, nie wiedziała o tém, że ona całe jéj gospodarstwo prowadzi i rządy domu sprawuje. Za straszliwą okrzyczanoby herezyą, za bluźnierstwo klątwy warte, gdyby się kto był ważył nawet pomyśleć, że wyobraźnia jest także własnością bezwzględного ducha, że jest współlistotną rozumowi i porówną koniecznością natury ducha.

Najnowsza filozofia niemiecka wyszła z ciasnego zakresu saméj metafizycznój myśli, i sięgła w rzeczywiste obszary upostaciowań duchowych; wydała nawet filozofią dziejów, filozofią prawa, filozofią religii, filozofią natury i filozofią sztuki. Sąto powiaty twórczości, właściwe dziedziny wyobraźni, jako tworczej i kształcącój potęgi. Ale czyto uprzedzenie, czy niedojrzenie umysłu, nie uznawano tam jój panowania. Szukano w tych okolicach rzeczywistości duchowych, saméj myśli, samego rozumu, i znajdowano rzeczywiście w nich i myśli i rozum, bo nie niéma na ziemi i niebie, gdzieby ich nie było; ale nie pytano się z kąd się brały te kształty, z kąd się wzięła ta postać rzeczy. Łudzono się, że je sama myśl wywołała do bytu; choć myśl jest tylko *pojęciem, sądem, wiedzą*, i jak to zaraz okażemy, siebie saméj nawet do bytu wywołać nie może.

Filozofia woli obszerniej była traktowaną, i dano jój nazwę *filozofii moralnej*. Wszakże temu samemu ulegała niedostatkowi, ograniczona na sam zakres woli człowieka, i na pojmowanie się rozumu w przedmiotowych prawidłach tak moralności, jak uobyczajenia. Wola była pojętą, jako poddanka rozumu, wielokroć bunt przeciw lennemu panu swojemu podnosząca, którą dlatego poskromić lepszym przekonaniem należało. Każdy widział na oczy jój panowanie, mówił o *woli narodu*, zdawał się na *wolę Boga*; a jednak nie pojmował woli poza zakresem *psychologicznym*, i nie przyznawał jój współistoty z duchem, nie domyślał się, aby była jedną osobą jego trójcy.

Filozofia wyobraźni i filozofia woli były zatém zaodłożonemi polami w dotychczasowój filozofii, nieznaną żadną inną potęgą ducha na równi z rozumem; poj-

mującej istotę **ducha** tylko jako rozum, i upatrującej wszędzie i zawsze same tylko prawa rozumu, samą myśl ducha. Filozofia w takiem znaczeniu słusznie się nazwała *mysleniem myślenia*. Co na tém polu dwa tysiące lat pracy zdziałały, jest wielkie i niezmierzone, choć coraz więcej na niém jeszcze zdobywać filozofowie mogą i zdobywać będą. **Bo** przerzucając się nawet na inne pole, bierzemy rozum ze sobą, i tylko o jego świetle możemy rozpoznawać i pojmować; a co rozpoznamy i odkryjemy, rozjaśni oraz samą istotę rozumu.

Filozofia nie przestaje być *filozofią*, choć nie same prawa rozumu będzie miała za przedmiot, choć w duchu i w uzewnętrznieniach się jego, nie samej potęgi rozumu, ale i innych potęg będzie dociekała. Jako duch *jeden* jest we trzech swoich potęgach: rozumu, wyobraźni i woli, *jeden* w odwiecznej swojej pracy myślenia, tworzenia i wykonywania; tak i praca filozofii, którójkolwiek z tych potęg wyłącznie się poświęci, zawsze wszystkie trzy mieć będzie w robocie: i nietrudno nam będzie dowieść, gdy bliżej rzecz rozjaśnimy, że nie byłoby filozofii rozumu, gdyby jój nie była dopomagała i potęga wyobraźni, i potęga woli duchowój. Filozofia rozumu, zbyt zajęta swoim tylko przedmiotem, nie widziała tych pomocników, jak człowiek nie widzi ni powietrza, którem oddycha, ni ciepła, bez którego żyć nie może.

Piérwsze pytanie, jakie nam się nastęrcza, i które kaźdy zapewne uczyni, leży w samém twierdzeniu, że duch jest jednością trzech potęg: rozumu, wyobraźni i woli, równych i współistotnych sobie. Gdybyśmy to twierdzenie tu zaraz na wstępie w pytanie obrócili i rozwiązać chcieli, rzecz byłaby niepodobną, bo cała nasza filozofia będzie dopiéro tego twierdzenia dowodzeniem,

a zatém i tego pytania rozwiązaniem. W samym końcu dopiero poznamy jego prawdę, gdy rozwinięte we wszystkich swoich szczegółach, da nam jasne i zupełne przekonanie. Niepodobieństwo leży w naturze rzeczy; co jest wypadkiem samego końca, nie może być jasne i widoczne na samym początku, choć jest wstępem do całości i jój ciągłym sternikiem.

Lecz jeżeli nie możemy utrzymywania naszego zaraz na wstępie dowieść, przynajmniej możemy powiedzieć, jakeśmy do niego doszli, aby się nie wydawało, że nam z nieba spadło.

Filozofia rozumu wzbiła się do wysokości pojęcia samego ducha, uważając go na trzech stanowiskach: jako ducha jednostkowego (*subjektowego*), jako ducha przedmiotowego (*objektowego*) i jako ducha bezwzględego (*absolutnego*), i uważała rozum, albo gdy chcesz, *myślenie*, jako istotę jego.

To cała treść téj filozofii, to jój jądro, w którém ześrodkowana bogata i płodna rozłożystość wiedzy, rozrost dwudziestowiekowy organicznego myślenia. Myślenie tak bezwzględnie pojete, wzięło swój początek z zastanowienia się nad *jednostkowym* myśleniem. Bo tylko człowiek myśląc, ma oraz wiedzę téj czynności ducha swego. Inne wszelakie myślenie, jeżeli jest, przechodzi zakres jego wiedzy. Każdy filozof wychodzi zatém z siebie, bo nie ma z kąd wziąć innego początku; w nim jedynym jest tylko wiedza siebie, a zatém i wiedza początku. Ztąd każdy początek filozofii, a i każdój uauki, by téż najbardziej przedmiotowej, jest jednostkowej, czyli podmiotowej cechy. Niektóre filozofie, wypowiedziały to nawet jasno, jak np. owe głośnie prawidło starożytnéj mądrości: „*Znaj siebie samego*”, albo ów Karte-

zyuszowy zaczątek wszelkiej jednostkowej pewności: „*myślę, a więc jestem*”. Kanta rozbiór czystego myślenia, Fichtego wyjście z najogólniejszego równania: $ja = ja$; nareszcie Trentowskiego wstąpienie do Logiki, zawarty w słówku „*jestem*”, wypowiedają ten sam jednostkowy charakter.

Musimy więc i my także wyjść od siebie, spojrzeć w ten własny świecik ducha naszego, zanim spojrzemy w wielki świat duchowości zewnętrznej, zanim dojrzym istoty samego nieskończonego ducha.

Wpadamy tu najprzód na trop, wiodący nas bezpośrednio na obszerny gościniec saméjże filozofii myślenia. Człowiek jest ciągłym i nieustannym myśleniem: myślą wszystkiego bada, docieka, obejmuje, pojmuje, rozważa, sądzi, wnosi, poznaje; wszystko u niego staje się myślą. Świat cały, Bóg sam, jest jedną myślą. Wszystko się od myśli rozpoczyna i myślą kończy; myśl siebie wszędzie i zawsze znajduje. Jak błyskawica przenika czas i przestrzeń; nic jéj lotu nie ogranicza. Rozjaśnia ciemnie, sięga gdzie zmysł nie sięga, i samego ducha obejmuje. Dla téjto potęgi, siły i żywotności myśli, uważano ją za sam żywot ducha człowieczego, za jego całkowitą istotę. Z myśli jednostkowych zlewała się *myśl przedmiotowa* w narodach, ich państwach, instytucjach, i dała pojęcie istoty *ducha przedmiotowego*. Nie było tu można pojąć go w indywidualności. Wszakże myślenie raz położone za całkowite wypełnienie istoty ducha, naprowadzać musiało i tam na jego pojęcie, gdzie się myśl w pewnych kierunkach ducha przedmiotowo objawiała, np. w prawie, w religii, w sztuce i t. p. *Duch przedmiotowy jest idea, a idea myśleniem w przedmiotowości*. W całej naturze, w nieskończonych regionach

wszechświatów, dysze takie myślenie. Bo objawia się wszędzie cel wielki, tak w atrakcyi ziarnka piasku, jak w grawitacyi słońce i planetów—cel osłaniający mądrość nieskończoną, którą myśl nasza poznaje i podziwia.

W całej ludzkości i zapewne w tworach myślących wszystkich słońce i ciał niebieskich, rozlania się myśl organicznym rozwojem do coraz obszerniejszej wiedzy, do coraz doskonalszego pojęcia. Jedno i drugie, nieskończone i wieczne, dało pojęcie *nieskończonego i bezwzględnego ducha*, pojęcie niezmiernego Boga, którego objawieniem jest świat bez końca i ludzkość bez końca. Mądrość nieskończona, czyli myślenie bezwzględne, było i tu jedyną istotą Boga. Oto stopniowanie filozofii rozumu, czyli filozofii myślenia, biorące początek z rozpatrzenia się w naturze jednostkowego myślenia.

Lecz zapytajmy się: coto jest *myśl*, tak nam doręczna i powszechna? Jestto pomysł, sąd, zdanie, objawione wyrazem, czyli znakiem zewnętrznym.—Czy i te znaki, te symbola, są także myślą? Odpowiedź na to łatwa: że znak nie może być téj saméj natury, co przedmiot którego jest znakiem, bo inaczej przedmiot samby się naznaczał i nie potrzebowałby znaku. Powiedziano nieraz, że myśl jest duszą wyrazu, a wyraz ciałem myśli. Niechby i tak było, to i w takim połączeniu duszy z ciałem, jednego za drugie braćby nie można. Lecz wyraz, symbol, pomnik jakikolwiek, wreszcie znak myśli, jest tylko dla *naszej* myśli znakiem; nie nosi zatém duszy *w sobie*, ale ją ma *w nas*; jest więc w daleko wyższym jeszcze stopniu wyosobnionym od myśli. Powiadają atoli dalej: myśl go do bytu wywołała, on jest jój utworem, jój dziełem. To twierdzenie mija się już z prawdą i na złudzeniu polega. Zapewne, że myśl

jest wszędzie, **tém** więcéj musi być w wyrazie, którym się wyraża. **Ale** dlatego, że myśl go zapelnia, nie idzie za tém, aby go utworzyła. Myśl w tém właśnie pokazuje niemoc **swoję**, że się jako myśl objawić nie może; że czysto duchowa, oderwana jéj istota, jako taka okazać się nie potrafi: ale aby wyjść z siebie, wyjść na pojaw, ukazać byt **swój**, potrzebuje wyrazu, znaku, coby jéj dał ciało, a z ciałem byt rzeczywisty i mieszkanie doczesne i nieśmiertelność. Co czego potrzebuje, tego sobie stworzyć nie może, ale musi wziąć z kądinąd. Niedostatek nie może siebie sam wypełnić. Dlatego i myśl będąca w niemocy, w niedostatku pojawienia się na zewnątrz, jeżeli się przez znak nie wyrazi, nie może tego stworzyć, czego jéj niedostaje. Myśl z siebie znaku, ni wyrazu na żaden sposób wyprowadzić nie może; bo nie ma ani środków, ani materiału do tego: bo jest wewnętrznością, a wyraz jest zewnętrzną; tam jest idealność, tu realność, dwie zupełnie przeciwne natury i jedna drugiej nie może być ani córą, ani matką. Musi zatem być inna potęga ducha, pośrednicząca między temi obiema naturami, która buduje ciało dla duszy, wyraz dla myśli.

Wpadłszy raz na trop niedostateczności saméj myśli, ścigamy ją daléj w tym kierunku. Powiedzą może obrońcy jedynowładztwa rozumu i despotycznego panowania myśli, że myśl wyrazu, ni znaku dla siebie nie potrzebuje, bo to tylko zmysłowe formy dla zmysłowych ludzi—pomocniki zaciężne, idące w pomoc ograniczonym przez ciało zdolnościom ducha, będącego samą myślą. Odpowiadamy im na to, że co nie ma *pojawu*, to nie ma i *bytu*. Bóg sam nie istniałby, gdyby się wciąż nie ob-

jawiał. **Cała potęga, cały żywot myśli, na jój zewnętrzném objawieniu się polega; myśl grzmi słowem, a jak piorun uderza czynem.** Nasza ograniczoność, stawia wprawdzie **granice myśli; ale pojaw jój nie dzieje się w skutek tego ograniczenia, ale w skutek konieczności jój istnienia.** **Z bytem myśli koniecznie jój pojaw połączamy; bez pojawu nic nie istnieje.** Nietylko więc zewnątrz nas **myśl obleka się w znak, w wyraz, w ciało.** aby się **pojawić mogła; ale i w nas samych, wewnątrz naszego ducha, potrzebuje form dla wyrażenia się.** Dopiero w **tych formach i przez te formy, myśl zbudza się i wiedzą się staje.** Myślenie inaczej jest niepodobne. Dość długo w zeszłym wieku rozprawiano o tém, **żali człowiek wyrazami, to jest słowami mowy, myśli.** Wszystkie te rozprawy byłyby niepotrzebne, gdyby się zastanowiono nad naturą myśli, w sposób dopiero wyłożony. **Człowiek nie może inaczej myśleć, tylko przez znaki myślenia, czyto niemi będą słowa mowy ustnej lub pisanj, czy też obrazy całe, będące równie wyrazem myślenia.**

Kiedy taka jest konieczność myśli, że ani zewnątrz, ani wewnątrz nas, bez wyrazu pojawić się nie może; widzimy oraz, że w ogólności bez zewnętrznego znaku, ani z nicości swojej powstać, ani się porodzić, ani niemowlęcego kroku postawić nie jest zdolną. I też to jest wielowładna pani, co sama jedna berło ducha dzierżyła, sama jedna wypełniała jego istotę, niby celę zakonną, wiodąc w niej żywot samotny?

Pierwotnemi wyrazami wewnątrznie objawionj myśli są wyobrażenia, obrazy świata zewnętrznego, i na sposób tegoż świata, upostaciowione wizerunki świata wewnętrznego, *ogólniki* i *idee*, niejako jój *triarii* i *hasta-*

li w niepoliczoném wojsku pomysłów, na które przecież, acz są duchowój natury, duchowego niéma wyrazu, i znaku na nie u rzeczywistego świata myśl pożyczać musi. Cóż te wyobrażenia formuje i składa, w które się myśl obudzona ubiera? Nie ona, z téj saméj przyczyny, z jakiej wewnętrzny wyraz z siebie dać nie mogła, ale znów inna siła ducha, którój obrazowanie, kształcenie, formowanie, zgoła tworzenie, osobną jest pracą i osobnym wydziałem. Znamy tę siłę. Jest nią wyobraźnia. Rozum samowładny poczytał ją za jedną z najniższych sług swoich, a my ją uglądamy, jako równiankę jego, jako jego żonę, o równych prawach, jako matkę wszystkich pomysłów, z ojca rozumu spłodzonych.

Ważne z tak zmienionego stanowiska, jakie zajmuje rozum do wyobraźni i wyobraźnia do rozumu, wypadają następstwa.

Obok pierwiastku ducha myślącego, pojmującego, sądzącego, rozumującego w ogólności, postawionym został pierwiastek tegoż ducha, innéj natury, oblekający myśl w ciało, dający jój wyraz zewnętrzny: — pierwiastek kształcący, formujący, obrazujący, twórczy w ogólności; płodna matryca wszystkich pomysłów, wszelakich pojavów, w których się myśl ducha wytłacza. Myśl pojęta dotąd w oderwaniu swoim (*w abstrakcyi*), znalazła żywiołku rzeczywistości i stała się zdolną pojavu, uzewnętrznienia i kształtu.

Widzimy oraz, że między pierwiastkiem myślącym i kształcącym, nierozzerwana panuje jedność, że oba są razem czynne. Jak w naturze światło i ciepło razem powstaje, i niéma przedziału między jedném a drugim; podobnie jednocześnie przenika się działanie rozumu

i działanie **wyobraźni**. Nie można powiedzieć co jest **wcześniejsze**, a co **późniejsze**. Gdzie jest wrażenie, obraz, znak, tam już jest i myśl, a gdzie jest myśl, tam już ma i **wyraz swój**. Nie ma pojawu bez myśli, myśli bez pojawu. I rzecz to bardzo naturalna.

Powtarza się tu tylko odwieczne prawidło, że *nie ma treści bez formy, ani formy bez treści*. Myślą odrywamy jedną od drugiej, ale rzeczywiście jedna bez drugiej istnieć nie może. Czemże jest myśl, jeżeli nie treścią, czem wyraz jej, jeżeli nie formą? Wyobraźnia jest zatem w duchu jednostkowym równie istotną jak rozum; jest bowiem **władzą, potęgą, nadającą formy treściom ducha rozumowym, wyprowadzająca je czarodziejską siłą do bytu, do pojawu; jest rozumu kształtem, postacią, ciałem. Jako taka, i jako równoczesna działaniom rozumu, jest jego równiennicą; uwarunkowana przezeń, jest zarazem i jego warunkiem. Jako należąca do istoty ducha jednostkowego, i wypełniająca jedną jego potęgę, jest oraz rozumowi współistotną. Wraz z nim stanowi dwójcę potęg zupełnie sobie współrzędnych i przenikających się nawzajem, będących jednością istoty ducha. Wyobraźnia, uważana zwykle jako władza *duszy*, w znaczeniu podrzędném psychologiczném, na podobieństwo pamięci, nabiera u nas znaczenia władzy *ducha* i stanowi podobnie jego istotę, jak rozum ją stanowi.**

Najważniejsze atoli następstwo, da się już na tém miejscu wskazać, choć nie przeprowadzić. Istota ducha jednostkowego, pojęta tylko jako rozum, była samą myślą, była oderwaniem. Zyskała wprawdzie wyraz i pojaw w życiu tego i owego człowieka; ale to był pojaw chwilowy i przypadkowy. Gdy ustało życie, a ciało się w proch rozsypało, duch jednostkowy nie miał już wy-

razu swego, co mu byt nadawał, i istniał tylko w pojęciu oderwaném, wyrazem, jaki nabył dawniej; istniał myślami, które się pojawiły i w pamięci utrzymały; istniał wspomnieniem, pamiątką; miał nieśmiertelność dziejową, albo taką, że myśl jego inne zapładzała myśli, i utrzymała się jako kropelka w oceanie myślenia ludzkiego. Wiedzy siebie tam nie było i być nie mogło, bo nie było osoby; a nie było osoby, bo nie było kształtu, formy. Nie było zaś formy zewnętrznej, bo jój sobie myśl sama i rozum sam nadać nie potrafił. Nie było już po śmierci człowieka, osobistego ducha: bo osoba, to dusza z ciałem połączona, treść z formą swoją. Nie było więc nieśmiertelności jednostkowego, wiedzącego się ducha. Do takiego wypadku przyjść koniecznie musiała filozofia niemiecka, jak się to już w krytycznej części tego pisma okazało (1).

Myśmy w istocie ducha podmiotowego, odsłonili drugą jego potęgę: władzę formującą i kształcącą. Istota ducha, nie rozplynie nam się zatém w samo oderwanie, w mgłę nieoznaczoną samój myśli: bo wiemy już, że póki duch jest myślą, myśl ta zarazem musi mieć pojaw i wyraz swój, a mieć go może i musi, bo w téj istocie myślącej, jest oraz istota formująca i kształcąca. Już więc na tém miejscu uczynić możemy wniosek, że skoro duch siłą wyobraźni, każdą myśl z treści jego płynącą oblekał w postać i ciało; sam bez postaci i ciała nie będzie, ale że tą samą potęgą istoty swojej, nada sobie także kształt i wyraz, i że po rozwiązaniu się ciała, które było jego mieszkaniem, nie przestanie być jednostką wiedzącą się, a tém samym nie przestanie być osobą nie-

(1) Filozofia i krytyka tom I.

śmiertelną. **Jestto** dopiero wniosek, skazówka, ale nader ważna, **bo** pokazuje żeglującej myśli, w którą stronę ma płynąć dla zdobycia na nowo nieśmiertelności, utraconej przez filozofią rozumu.

Także druga żywotna kwestya, osobowości Boga, na ten sam sposób już tu się rozwija. I duch bezwzględny, pojęty jedynie jako mądrość, jako rozum nieskończony, nie mający ani początku, ani końca, musiał się rozwiać w marę abstrakcyi. Wszędobecność jego, to myśl boża wszędzie utkwiona, mądrość jego z najdrobniejszych i najogromniejszych dzieł stworzenia przegładająca. Żywot jego, to żywot wszystkiego nieogarnionego przyrodzenia. Wiedza jego, to wiedza wszystkich światów ludzkości, czyli tworów wiedzą obdarzonych. Takie rozlanie się Boga w całej naturze i w ludzkości, nazywa się *Panteizmem*. Pytasz o osobę Boga, powinienbyś powiedzieć w następstwie: że jest, jako osoba człowieka, z duszy i z ciała złożona; to jest, że ciałem jego będzie materjalne ciało całej natury, a duszą jego, tej natury siły i prawa i wiedza w ludziach. Wszakże filozofia rozumu brzydzi się takim materjalizmem, i taki dotykalny panteizm odrzuca, z którego najniedorzeczniejsze wyprowadzićby można wnioski (1). Atoli odrzucając takie materjalne pojęcie osobowości Boga, odrzucić zarazem musiała i osobowość, i nieoznaczenie, samo pojęcie nieskończonego rozumu, przyjąć za istotę bezwzględnego ducha, którego prawa konieczności są w naturze, a wiedza siebie w ludzkości. Każdy zrozumieć, że przy

(1). Zobacz moje rozprawę: *de Pantheismo in Philosophia*, w której jest obrona filozofii spekulacyjnej od zarzutu tak materjalnie pojętego panteizmu.

takiem pojęciu **ducha**, o osobie mowy być nie może; co też wyraźnie przez *Micheleta* wypowiedzianém zostało.

Uważając **rzecz** z naszego stanowiska, będziemy podobnie, jak w jednostkowym duchu, uczynić mogli wniosek na zewnętrzny, osobowy wyraz bezwzględego ducha, jeżeli tylko dowiedzioném będzie, że w istotę bezwzględego ducha, wchodzi współistotna rozumowi wyobraźnia. Jużesmy powyżej wspomnieli o herezy filozoficznej takiego pomysłu. Wszakże gotowi na pociski krytyki, jaka nas może czeka, poważamy się pomysł ten nieco rozświecić. Natura ducha jest wszędzie jedna i ta sama, różna tylko stopniem potęgi i rozwoju swojego. Na to się także zgadza filozofia rozumu, pojmująca ducha jednostkowego w tej samej istocie, co ducha bezwzględego; zgadza się i religia ucząca nas, że Bóg tchnął w człowieka tchnieniem, czyli duchem swoim. Jeżeliśmy zatem, jednostkowego ducha poznali już jako dwóję: z istoty rozumu i z istoty wyobraźni, stanowiących jedną istotę ducha; musimy w skutek tożsamości wszelkiej natury duchowej, przypuścić tę samą dwóję w istocie ducha bezwzględego. Niech ona się tam nie nazywa wyobraźnią, jeżeli nas ten wyraz razi, do samych stosunków ludzkich przywiązany, niech się nazywa siłą twórczą: byleśmy w niej widzieli ten sam pierwiastek, ubierający w ciało myśli boże, tę samą potęgę kształtowania, formowania, obrazowania, tworzenia w ogólności.

Ufny w tę potęgę twórczą, wywołującą każdą myśl bożą do bytu, powiemy jak dziewica Orleańska, na zapytanie złośliwych sędziów: azali Michał archanioł, który się jój ukazał, był nagi: „czy rozumiecie, odrzekła, że Pan Bóg nie ma czém przyodziać świętych swoich?” Zaprawdę, byłby to Bóg zbyt ograniczony, gdyby wywoła-

wszy świat cały do bytu i pojawu, swojej własnej istoty, swojego bóstwa do pojawu wywołać nie potrafił, i był samym eterem myśli, z wiedzą u ludzkości pożyczoną, sam bez wiedzy, bez osoby, bez wyrazu istoty swojej boskiej. Duch bezwzględny, niezmierny i nieskończony w treści, musi mieć téj treści odpowiednią takąż formę; ale mieć ją musi, inaczéjby treść jego nie była treścią. Oto i skazówka, gdzie i jak szukać mamy osobowości nieskończonego ducha, i ochronić się od idealnego, jak od materialnego panteizmu.

Między duchem bezwzględnym a jednostkowym, pośredniczy duch przedmiotowy (*objektowy*), który filozofia rozumu do wiedzy filozoficznej wprowadziła; i rzekłbym, że mimo wielkich jój ztąd zasług, pojęcie to najwięcej się przyczyniło, że tak jednostronny, idealny i panteistyczny wzięła kierunek. Jedność osobowa człowieka, już tu nie miała miejsca. Rozbiła się na miliony atomów czyli jednostek, odpychających się nawzajem, i jedności materialnego ciała złożyć niezdolnych. A jednak nad temi wszystkimi sporadycznymi jednostkami, unosiła się pewna, wyłącznego charakteru duchowość; dyszał żywot idei rozwijającej się przez pokolenia i wieki, niezawisłe od ludzi, wedle następstw koniecznych, z loicznej natury téjże idei podających się. *Idea* była myślą logiczną, oderwaniem, samą duchowością, a jednak była bytem, żywotem, rozwojem i rozkładem swych rozczłoń, rozrostem coraz większym i bujniejszym, duchowe owoce rodzącym. Tak się rozwijała idea piękna i wydała sztuki piękne; tak idea prawa, i wydała ustawy i formy rządu; tak idea obyczajowa, i wydała rodziny, narody i państwa. Byt jój był odwieczny, bo przed wieki było „słowo u Boga, a Bogiem było słowo“; istnieje

nie jój było niezawisłe, bo „wszystko, co się stało, przez nie się stało“⁶⁶. Idea z siebie sama się rozwijała, czepiąc się jak jemiola pokładów pokoleń ludzkich i narodów. Niéma i nie będzie końca jój rozwijaniu się, bo naturą jój nieskończoność ducha, bez początku i końca. Ktoby tu myślał o osobowości, nie byłaby to kategoria ograniczająca duchową potęgę idei? Duchowość idei, tak idealnie pojęta, łatwo przerzuciła się z jednej strony na atom swój—na jednostkowego ducha; z drugiej na najwyższy rozmiar swój—na bezwzględny ducha, będącego ideą bezwzględną; i wyrzekniono, że *istotą ducha człowieczego jest myślenie, a istotą Boga, idea*.

Na swoim miejscu odsłonimy słabe strony tego przedstawienia rzeczy, i wskażemy mylnie pojęcie przedmiotowego ducha przez filozofią rozumu. I my pojmujemy tam idee, ale nie jako *ducha* przedmiotowego, tylko jako *duchowość* przedmiotową, będącą wyrazem, tak jednostkowego, jak bezwzględnego ducha, stosunkiem jednego i drugiego. Duchowość ta, nie jest duchem, nie jest całością, ni osobą: bo nie ma ześrodkowanej wiedzy *w sobie*, lecz *zewnątrz siebie* ma ją razem w Bogu i w człowieku. Wszelako jako duchowość, jako myśl płynąca z ducha bezwzględnego do ducha jednostkowego, i naodwrot, musi mieć pojaw swój. Musi zatem i w niej być siła kształtująca, musi być wyobraźnia, podobnie jak myśl z dwojakiego źródła wylewająca się, to jest z jednostkowego i bezwzględnego ducha. Dopóki istota ducha jednego i drugiego była ta sama, co istota idei: sama myśl, rozum, mądrość, jak to było we filozofii rozumu; dopóty nie było żadnej sprzeczności w uważaniu idei za ducha, który przedmiotowym nazwano. Na

naszém stanowisku, takie uważanie rzeczy byłoby niedorzecznością. Przedmiotowość duchowa jest tylko świadectwem ducha, bo właśnie dlatego, że treść jego, będąca rozumem, czy myślą pojawia się, pojawiona stać się musi przedmiotem świadczącym o duchu. Lecz duch, jako całość i osoba, jest tylko dwojaki: *jednostkowy*, uwarunkowany, czyli względny, i *jednoistny*, bezwarunkowy, czyli bezwzględny. Idea duchem nie jest i być nim nie może: bo nie jest ani jednostkową, ani jednoistną. Wszelako jako myśl, ma pojaw swój, a twórczynią tego pojawu, jest siła wyobrażania, będąca zlewem wyobraźni razem Boga i człowieka. Wedle boskiej wyobraźni, upostacia się to, co jest logiczną koniecznością w idei; wedle ludzkiej wyobraźni się kształtuje to, co jest w niej przypadkowością.

Na ten sam sposób natrafimy na *wolę*, jako na trzecią potęgę ducha, współistotną dwom pierwszym i dopełniającą tróję jego istoty. *Filozofia woli*, da nam dopiero poznać ducha w zupełności i w całkowitej indywidualności, i podniesie się na stanowisko trójcy. Nie ma tego stanowiska filozofia rozumu; bo gdzie samo myślenie wypełnia całkowitą istotę ducha, tam nie ma jój trójcy rzeczywistej, chyba tylko będzie trojaki objaw myślenia. Filozofia rozumu, ma stanowisko *jednoicy* ducha; jako *dwójcę*, pojmuje go filozofia wyobraźni; jako tróję, filozofia woli.

Z tego wstępnego rozprawienia rzeczy, podaje się zarazem rozkład filozofii wyobraźni, na trzy osobne działy: 1) na filozofią wyobraźni jednostkowego ducha; 2) bezwzględnego ducha; 3) przedmiotowej duchowości.

W tych trzech działach, już będzie filozofia wyobraźni zastosowana, gdy ją uważać będziemy w osobném na

każdém z tych trzech różnych stanowisk, nie pod względem ogólnej j^{ej} istoty, ale pod względem j^{ej} szczególnych objawów, będących skutkiem j^{ej} twórczości. Wszakże wyobraźnia, jako potęga ducha, może być podobnie, jak rozum, sama w sobie uważaną, bez względu na to, czy jednostkowemu, czy jednoistemu duchowi, czy też przedmiotowej duchowości jest właściwą. Naukę o wyobraźni szczególną, poprzedza zatem część ogólna, do której przystępujemy.

FILOZOFII WYOBRAŹNI

CZEŚĆ OGÓLNA.

ZASADA FILOZOFII WYOBRAŹNI.

Każda filozofia szuka dla siebie zaczątku, i ogląda się za takim pewnikiem, któryby położyć mogła za podwal całego gmachu architektonicznego. Początek j^{ej} powinien być nietylko pewnikiem, ale oraz zasadą płodną we wszystkie umiejętności następstwa; powinien być j^{ej} jądrem nasienném, z którego się całe rozłożyste j^{ej} drzewo rozwinie. Widzieliśmy już na wstępie, gdzie tego pewnika każdy filozof szukać musi, i że go tylko w źródle własnej wiedzy znaleźć może. Nie musi to wszakże być wiedza jednostkowa, osobna, szczególna; ale taka, która oraz jest wiedzą każdej inn^{ej} jednostki wiedzącej się. Z tego względu, każdy pewnik, musi być ogólnikiem z wiedzy ogólnej wypływającym. Filozofia myślenia znalazła, że tak powiem, samą siebie, wypowiedziawszy pewnik swój w zdaniu: *ja myślę*. Podobnie filozofia wyobraźni siebie sama znaleźć musi i wypowie-

dzieć jądrową treść swoją, a razem pewnik swój, mówiąc: *ja wyobrażam*. Słowo zatem *wyobrażam*, będzie pewnikiem i fundamentem całej filozofii wyobraźni.

Rozpatrzmy się w jego znaczeniu, aby się przekonać, czy rzeczywiście jest taka jego ogólność, iż wszystko w sobie ogarnia. Jeżeli jest rzeczą pewną, iż każdy człowiek jest myślący; równie musi być prawdą niezawodną, że każdy człowiek jest wyobrażający: bo każda myśl nie przychodzi do bytu bez wyobrażenia. Już Arystoteles (1) wypowiedział: że bez obrazu wyobraźni dusza myśleć nie może. Choćby nie więcej, każdy wyobraża sobie przedmioty zewnętrzne, które przez wrażenia drogą zmysłów odebrał; wyobraża sobie siebie i sobie podobnych ludzi; wyobraża sobie istoty wyższe i doskonalsze; wyobraża sobie nareszcie Boga, bez względu na to, jakie to wyobrażenie: zgoła, niema człowieka na świecie, któryby sobie czego nie wyobrażał, a zatem nie mógł powiedzieć: *wyobrażam*. Czy świat natury który nas otacza, to jest czy zwierzęta, rośliny, kamienie, podobnie wyobrażają sobie przedmioty, nie wiemy tego; ale to wiemy, że *siebie wyobrażają*. Każda rzecz, kamień każdy, ziarnko piasku przedstawia się i wyobraża tém, czém jest; a natura cała jest niezliczonością takich wyobrażeń. Bóg nareszcie sam z tego samego powodu, co i człowiek, jest myślący i wyobrażający razem. Każda myśl jego staje się ciałem, czyli przeobraża się w ciało. Świat nieskończonych tworów, co wyszedł z łona jego wszechmocności, jest wyobrażeniem mądrości jego, a pierwotwory czyli ideały tworów, były wy-

(1) Arist. de anima, III. 7.

obrażeniami Boga. Przed poczęciem się światów, Bóg je już wyobrażał, i wyobraża wciąż te słońca i planety, które się w niezmierzonej czasu i przestrzeni poczynają i tworzą. Bóg *wyobraziciel* jest, jako taki, Stwórca nieba i ziemi, i wszystkich rzeczy. Nie to, że Bóg jest, stanowi jego potęgę; ale to, że jest Stwórcą świata, że go *wyobrazil*.

Bóg zatem przedewszystkiém wypowiada o sobie: *wyobrażam*. Co jest przeszłość cała? oto wyobrażenia dokonane; terażniejszość jest nieustanném przeobrażeniem, przyszłość rozwija się z jednych wyobrażeń do drugich. Nic nie było i nie będzie, coby albo samo siebie nie wyobrażało, a tém samém nie dawało świadectwa, że z *wyobrażenia duchowego powstało*, albo coby samo nie było *wyobrażającym*.

Jako więc myśl jest wszędzie i zawsze, czyto jako przedmiotowa, czy jako podmiotowa, podobnie wszędzie i zawsze jest wyobrażenie, czyto *przedstawienie*, czy *przedstawiające*. Z tej ogólności wyobrażania, zachodzącego tak w duchu jednostkowym, jak w bezwzględnym, oraz we wszystkich duchowych pojawach, bo tém właśnie pojawieniem się wyobrażonych, wynika, że wyobrażanie jest *ogólnikiem i pewnikiem*, podobnym jak myślenie; a z tak ogólnej natury jego wnosić można, że równie obfitą będzie z niego roztocz filozoficzna jak z myślenia. Skoro więc duch wszędzie i zawsze wypowiada o sobie: *wyobrażam*, tém samém orzeka, że *istotą jego jest wyobrażanie* czyli tworzenie; bo nadawanie form i kształtów jest tworzeniem. A że istotą jego jest także myślenie: ztąd myślenie i wyobrażanie, są dwie współistotne jego istnienia potęgi, i nazywamy je *rozumem i wyobraźnią*.

Jeżeli wyobraźnią, która dotąd tylko psychologiczną władzę ludzką wyrażała, weźmiemy w ogólném znaczeniu i nazwiemy ją *umem*, jak to niektórzy z pisarzy narodowych, występujący na polu filozofii, uczynili; jeżeli myśl jak jest w istocie, weźmiemy za treść i istotę rozumu: natenczas wyraz *umysł*, oznaczałby przeniknienie się myśli i umu, czyli *dwójkę* istoty ducha, wyrażającą potęgę treści i formy razem; jednię z dwóch biegunów polarnych, ku wyprowadzeniu do bytu wszystkiego życia, której tylko iskry elektrycznej—woli nie dostaje, aby był ten stał się rzeczywistością.

Umysł zatem, jako jednia myśli i umu, jest wyższą potęgą i od rozumu, i od wyobraźni; jest możnością, potencją wszystkiego, jako *dwójca* treść i formę ogarniająca: gdy tymczasem treść sama przez się i forma sama przez się, nawet możnością nie jest. Jedna i druga jest oderwaniem (abstrakcją).

Umysł będący tylko potencją, stanie się rzeczywistością, stanie się duchem myślącym, wyobrażającym i działającym, gdy z nim złączy się wola, będąca ogniskiem żywota. Wtedy duch pojętym dopiero będzie w zupełności, jako trójca trzech potęg współistotnych sobie, jako najwyższa doskonałość i rzeczywistość.

Stanowisko, któreśmy obrali, ma tylko umysł, a w szczególności *um* albo wyobraźnię za przedmiot. A że się *we filozofii woli* dobierzemy samego ducha, sądzimy więc, że nas o dualizm nikt nie posądzi. Ponieważ *um* jest najogólniejszą nazwą potęgi ducha wyobrażającej, na wszystkich jego stanowiskach; przeto filozofią wyobraźni, zamiast ją po grecku nazywać *fantazyologią*, będziemy mogli nazwać stosowniejszym wyrazem *umnictwa*, czyli *filozofii umniczój*; a że jest na stanowisku

dwójcy ducha, będzie oraz nosić nazwę *filozofii umysłowości*, czyli *filozofii umysłowej*.

Wzięliśmy za pierwiastek wstępny do filozofii wyobraźni słowo „*wyobrażam*”; można było za nie położyć także słowo „*umiem*”, w którym się *um*, jako źródłosłów znajduje. Rzeczywiście myśl, dopiero wtenczas, kiedy przez *um* przejdzie, czyli, kiedy wyobrażoną zostanie, staje się taką, o której powiedzieć mogą, że ją *umiem*, że jest *u mnie*, że jest moją własnością, moją przedmiotowością. Wszelka umiejętność dopiero więc z umysłem się poczyna; ani rozum sam, ani wyobraźnia sama jej nie daje. *Umienie* jest takim samym ogólnikiem, co *wyobrażanie*. Niema człowieka, któryby czegoś nie umiał. Z tego rodzaju umieniem, rodzi się dziecię każde i niepouczone przez nikogo, chwytą pierś i ssie z niej pokarm. Nietylko zaś człowiek, ale i rzecz każda, i zwierzę każde wypowiada o sobie: „*umiem*”: bo każde ma pewne własności, stanowiące jego umiejętność. W najwyższej atoli potędze umiejętność jest u Boga.

Filozofia umnicza ma krom pierwiastku swego, z którego się wysuwa, inny jeszcze potężniejszy podwał, którego filozofia rozumu mieć nie mogła. Powiedzieliśmy już, że względnie rozum jest pierwszy, a wyobraźnia drugą; następnie, że wyobraźnia daje formę, wyraz, obłocz dla myśli; w końcu, że nie ma myśli bez wyrazu, ni wyrazu bez myśli. Z tego zatem wypada, że cała wyobraźnia jest tylko obłoczą rozumu, że jest kształtowaniem myślenia, że *przeto teoria myślenia, musi być podsiawą teoryi wyobrażania*. Umnictwo ogólne niczém inném nie jest, jak tylko obleczeniem w szaty nagięj logiki myślenia. Wszystkie jej prawidła znaleźć się dlatego

w umnictwie ogólném muszą, bo wiecznotrwale posady myślenia, muszą mieć odpowiednie, i wiecznotrwale posady wyobrażenia. Już zatém Arystoteles utorował nam drogę do filozofii umniczej, a narodowy do niej ubił nam gościniec Trentowski, w pięknym całokształcie Logiki narodowej. Kładziemy ją téż dlatego jako podstawę naszej filozofii wyobraźni. Umnictwo nasze oprze się na myśleniu, jako na węgielnym swoim kamieniu, i na odwrót. Myślini znajdzie w umnictwie próbę działania. Jedna filozofia przez drugą się utwierdzi i okaże prawdziwość wypadków swoich; będzie to jak gdyby próba mnożenia przez dzielenie i dzielenia przez mnożenie, jeżeli się wielkie rzeczy z małemi porównać godzi.

Myślini bierze na wstępień słówko „*jestem*” jako prawdę najpiérwszą ze wszystkich prawd. Nic nad to ogólniejszego. Kto wypowiada: *jestem*, wypowiada tém słowem wiedzę siebie, a wiedza jest myślą; wypowiada zatém „*myślę*” — początek filozofii rozumu. Kto wypowiada: *jestem*, wypowiada oraz „*wyobrażam*”: bo gdyby siebie nie wyobrażał, nie wiedziałby o tém że jest, — początek filozofii wyobraźni. Kto nareszcie wypowiada „*jestem*”, wypowiada: *mam wolę*, bo gdyby woli wypowiedzenia tego wyrazu nie było, nie przyszłoby wcale do wyrzeczenia „*jestem*” — początek filozofii woli. Słówo *jestem*, jest więc pełném znaczeniem, i zawiera w sobie trzy pomienione pierwiastki: myślę, wyobrażam, chcę. Trentowski kładąc ten wyraz za podstawę logiki, uchwycił za wstępień samęj rzeczywistości, za wstępień samego ducha: bo téż rzeczywiście tylko duch o sobie powiedzieć może „*jestem*”, jako Bóg w starym testamencie o sobie wyrzekł „*jestem, który jestem*”.

Tym zaraz początkiem wyróżnił autor filozofią swoje od filozofii niemieckiej czystego rozumu, i położył dla swojej budowy pełny i żywotny fundament. Grunt który obrał, jest gruntem samej rzeczywistości, i niebawem odsłoniły mu się na nim trzy wielkie rzeczywistości: *Bóg, świat i człowiek*, dające trzy myśli logiczne, trzy *prawdoświecia: stnienia, istnienia i istnio-stnienia*. Tym sposobem autor Logiki od ducha zstąpił nazad do myśli, od rzeczywistości do abstrakcji. I musiał to uczynić, bo pisał system myślenia.

Filozofia umnicza, mająca wyświecić sam tylko pierwiastek kształtujący ducha, nie mogła wyjść ze wstępnia, będącego bezpośredniem orzeczeniem się samego ducha. Lecz jako w pełnym pierwiastku ducha, w słówku *jestem*, znalazł się pierwiastek umnictwa; tak naodwrot w słowie *wyobrażam*, musi się odbić pełnia pierwiastku ducha: bo duch w każdej osobnej potędze swojej, w każdym osobnym kierunku wiedzieć się musi jako taki, i dlatego *wyobrażam* znaczy tyle, co *jestem wyobrażającym*. Znane prawidło grammatyczne, rozwiązujące każdy czasownik na łącznik (*kopulę*) i omówcę (*predykat*) wypłynęło z instynktowego, że tak powiem, pojęcia owój pełni ducha, która się wypowiada w słówku: *jestem*.

Rzecz bardzo naturalna, że skoro pierwiastek „*wyobrażam*” mieści się w pierwiastku „*jestem*”, i skoro jest tej samej rozciągłości i ogólności, choć nie tej samej isciżny i głębi; więc nas do tych samych doprowadzić musi rzeczywistości ukształtowanych, i odkryć trzy prawdy umnicze, jako *kształtoświeci*, odpowiednie trzem *prawdoświeciom* logicznym. Jakoż, pojrzawszy głębiej w znaczenie słowa „*wyobrażam*” i biorąc je w rozumieniu

ogólném, odkrywamy najsamprzód podmiot (*subjekt*) wyobrażający, czyli w ogóle potęgę wyobrażającą, potem przedmiot (*objekt*) przez nią wyobrażony, czyli w ogóle przedmiotowość.

Subjekt wyobrażający, może być tylko jeden, bo gdyby był drugi, każdy z nich byłby tylko albo toż samo wyobrażającym, a zatem byłaby zawsze tożsamość potęgi wyobrażającej subiektywnej, albowy każdy z nich co innego wyobrażał, a natenczas potęga wyobrażająca nie byłaby potęgą bezwzględną, ale względną, częściową. *Przedmiotowość wyobrażona*, może być także tylko jedna, jako całkowity obraz potęgi wyobrażającej, ale w sobie może być nieskończenie rozliczna i następna. Różnica między subjektem a objektem umniczym, jest jeszcze i ta, że w pierwszym jest wiedza wyobrażania nieograniczona; w drugim zaś wiedzy nie ma, jako w dziele wyobrażoném. Ale, że przedmiotowość jest rozlicznością i następstwem, mogą być i takie przedmioty, które są nietylko *wyobrażonemi*, ale oraz *wyobrażającemi*. Przyjęcie tego rodzaju przedmiotowości jest nawet konieczne, albowiem subjekt wyobrażający, nie wyobraziłby się do zupełności, gdyby oraz i potęgi swojej wyobrażania nie wyobraził. A zatem, obok przedmiotowości tylko wyobrażonej, tylko będącej przedmiotem, obrazem, musi być przedmiotowość i wyobrażona, i oraz względną potęgę wyobrażania mająca; musi być obiekt względny, będący oraz względnym subjektem; musi być obraz obrazujący zarazem. Taki *objekt-subjekt*, leży także w znaczeniu wyrazu *wyobrażam*, bo w nim jest i znaczenie czynne wiedzącego się subjektu, i znaczenie niewiedzącego się obiektu, który się tylko przedstawia tém, czém jest, nie

wiedząc o **tém**, **czém** jest. Ztąd, ze wstępnia naszego rozwijają się trzy możebne rzeczywistości:

I. Podmiot *wyobrazający* bezwzględny, czyli bezwzględna potęga umna, władza kształtowania i obrazowania niczém nieograniczona, nieskończone źródło stwarzania, nieprzebrane morze wszystkich form, wszystkich ideałów, wszystkich *idei Platonowych*, wszystkich *monad Leibnicowych*. Podmiot wyobrazający, sam jeden jako taki, jest w téj bezwzględności wyobrażenia niezmierną potęgą kształtów: bo nic nie ma, co by go w téj potędze ograniczyć mogło. Jestto możebna rzeczywistość Boga, bo wyobrazająca się w nieskończonej potędze tegoż wyobrażenia. Dlatego tylko możebna, bo Bóg w takiój potędze pojęty, nie jest jeszcze duchem i nie może o sobie wypowiedzieć „*jestem*”. Um boski, dopełniający się z myślą bożą, stanowi tu dopiéro *umysł boski*, będący samą tylko możnością. Dopiero w trójcy duch pojęty, będzie jako rzeczywistość.

II. *Przedmiotowość wyobrażona i wciąż wyobrażana*, czyli kształtowana, będąca potęgi wyobrazającej dziełem, a zatém podmiotu wyobrazającego odbiciem, wszystkich myśli jego wyrazem, znakiem, symbolem, cudną szatą mądrości, roztworzoną księgą wszechwiedztwa; przedmiotowość nieokreślona niczém, ani czasem, ani granicami przestrzeni, tak jak podmiot był nieograniczony. Odwieczna rozlicność obrazów, nieustanna zmiana form i kształtów postaci najmniejszych i największych: zgoła świat pojawów, przedstawiający się w możebności. Bo gdy subjekt o sobie wypowiedzieć nie mógł „*jestem*”, mniej jeszcze to samo wypowiedzieć o sobie potrafi tego subjekta dzieło.

III. *Przedmiotowość wyobrażona i wyobrażająca zarazem*, w której przedmiot jest przedmiot-podmiotem, tworem twórczym, myślą Boga myślącą, i wyrazem zdolnym własnego wyrażenia się. Jestto człowiek w możebności kształtu i kształtowania; jako taki, jest jednym tylko wyrazem myśli bożej, i dlatego warunkowanym i ograniczonym.

Wyprowadzamy ztąd następujące ważne wnioski. Podmiot wyobrażający nie może co innego wyobrażać, tylko treść swoją; a zatem świat cały w nieskończoności tworów jest wyrazem, symbolem Boga, wypowiada jego mądrość: każdy twór jest jedną myślą bożą, w szatę zmysłową przybraną. Ponieważ niema treści bez formy, ani formy bez treści, a świat treści Boga jest wyrazem; ztąd świat (nie mówimy tu o pojedynczych planetach, lub słońcach, zwykle za światy uważanych), jak Bóg nie ma początku, i końca mieć nie może. Czyli, jak powiada *Spinoza*, zawsze skończoność była przy nieskończoności i zawsze będzie. Możliwość świata na naszym stanowisku, jest tylko względna, to jest w stosunku tworu do stwórcy. Gdy się okaże w filozofii woli byt rzeczywisty Boga, wyniknie ztąd także konieczna rzeczywistość świata: bo świat jest jego wyrazem i koniecznym objawem jego treści. Podobnie możliwość istot będących jego wyobrażeniem i wyobrażaniem zarazem, jest tylko względna, przez ten sam stosunek tworu do twórcy. Nie byłoby zupełnego wyrazu treści boskiej, gdyby nie było tworów z częstką samej potęgi wyobrażania. Dlatego Bóg stworzył człowieka na *obraz* swój. Ludzkość zatem jest równie konieczną jak świat. Rozumiemy zaś pod ludzkością, nie samą ludzkość naszego planety, ale i ludzkość każdego innego ciała niebieskie-

go; w ogóle istoty stworzone na obraz i podobieństwo Boga, w różnym tego podobieństwa stopniu. Ludzkość naszego planety, nie jest ostatnim szczeblem stworzenia. Między Bogiem a człowiekiem, jest nieskończony przedział, który wypełniony być może istotami o wiele doskonalszemi od nas ludzi, a jednak jeszcze nieskończenie niższemi od Boga. Wszakże właśnie dlatego, będą to zawsze tylko różne rodzaje ludzkości, w różnych doskonałości stopniach, zawisłych od zewnętrznych stosunków tych światów, na których żyją. Tak jak planeta nasz kiedyś zaginie, tak zaginie i ludzkość nasza; ale ludzkość jako ludzkość, będąca najzupełniejszym wyrazem Boga, bo wyrazem z potęgą wyrażania, nigdy zginąć nie może, albowiem Bóg się przez nią wyraża.

Pozyskaliśmy zatem trzy prawdy umnicze: potęgę wyobrażającą, twórczą i nieograniczoną (Bóg); przedmiotowość wyobrażoną i wciąż wyobrażaną, czyli stworzoną i wciąż stwarzaną (świat); nareszcie potęgę wyobrażania ograniczoną i przedmiotowość uwarunkowaną w połączeniu, czyli wyobrażenie wyobrażające (człowiek).

Z tego się pokazuje dalej, że są dwie potęgi tworzące: jedna nieograniczona i bezwzględna, druga, wypływająca z pierwszej, ograniczona i względna. Pierwsza niestworzona jest *stwarzającą*, druga, będąc sama stworzoną nie stworzyć nie może, ale może *tworzyć*. Bóg sam tylko jest *stworcą*, człowiek tylko jest *twórcą*. Różnica między *stworzeniem* a *tworzeniem* jest ta, że tam jest działanie nieograniczonej potęgi stworczej, którą pismo dokładnie oznaczyło, mówiąc: że Bóg stworzył świat z niczego; tu zaś jest działanie ograniczonej potęgi tworu twórczego, który tylko tworzyć może, to jest z materiałów stworzonych przez Boga, wypro-

wadzać **twory nowe**. Tym materiałem, niekoniecznie jest sama *materjalność*, ciała stworzone; jest nim porówno i *duchowość*, myśli Boże, które człowiek wysnuwa na *umiejętność*.

Ważneto nader odkrycie, pokazujące nieskończoną różnicę między Bogiem a człowiekiem, między stwórcą a twórcą; chroniące na zawsze filozofią od panteizmu.

Komu się marzyło o bóstwie, które w każdym człowieku **chodziło na ziemi**, musi ukorzyć się, uznać się twórcą **tylko**, i uchylić czoła przed Stwórcą i Panem swoim. **Potęga** wyobrażająca w człowieku, nie tylko więc jest **zawarowana**, ale całkiem **inną, niższą natury**, niżeli **potęga** wyobrażająca w Bogu. Ta inność nie jest w **sprzeczności z powyższą zasadą**, że **twórczość ludzka ze stwórczości boskiej wypłynęła**. Przystawszy być w człowieku **samoistną i nieograniczoną**, przeszedłszy w **utwór przez siebie do bytu wywołany**, musiała **koniecznie przez takie powiązanie się wyrazu z władzą wyrażania zmienić istotę swoją**. Podobnie myśl ludzka, jest **tęj samej natury**, co myśl boża, **uważając rzecz bezwzględnie**; a jednak w **ograniczeniu przez ciało uległa fałszom, ułudzeniom, niewiadomości**. **Potęgi ducha jednostkowego** choć więc **wypływają z potęgi ducha bezwzględnego**, i są **co do pochodzenia swego, tęj samej natury boskiej**: w **rzeczywistym pojawie są ludzkie i stworzone**. *Duch jednostkowy, jest duchem stworzonym*. **Umysł będący jego istotą i możliwością**, nie jest **umysł boski, nieskończony w sobie**, ale **umysł zmieniony na ludzki i ograniczony w skończoności swojej**. Ta, że tak powiem *neutralizacya* **duchowa**, była **konieczną**; inaczey **Bóg byłby stworzył drugiego siebie, a nie obraz swój**:

i byłyby rzeczywiste bóstwa na ziemi, jak niegdyś na Olimpie.

Gdzie są dwie potęgi wyobrażające, tam muszą być dwie przedmiotowości, wyobrażone i wciąż wyobrażane, noszące na sobie piętno swojego początku. Jedna przedmiotowość będzie nieskończona, żadnemi niezamykająca się granicami, podobnie jak potęga, co ją do bytu wywołała; druga będzie skończona i określona, bo będąca wyrazem potęgi skończonej. Dwa więc będą światy: boski i ludzki; chociaż to różnica między niemi względna. Obydwa światy są właściwe boskie, bo świat ludzki będąc dziełem tworu boskiego, jest razem dziełem pierwotnego stwórcy. Lepiej więc będzie nazwać jeden świat *bezpośrednio boski*, a drugi *pośrednio boski*; czém zarazem świat ludzki nie zostaje wyłączonym, ale i owszem poddanym pod rządy Boga, jako pierwotwórcy.

Potęgi wszelkiego kształtowania.

Ze wstępnego pierwiastku naszego „*wyobrażam*” pokazało się zatém, że *um*, czyli ogólna potęga kształtowania, dwojakiój jest natury, wedle tego, czy z istoty ducha nieskończonego, czy z istoty ducha jednostkowego wypływa. W pierwszym razie jest potęgą stwarzającą, w drugim potęgą tworzącą. Obie są nieskończenie od siebie różne, i nieskończenie muszą także być od siebie różne przedmiotowości niemi wyobrażone. Aby poznać i oznaczyć bliżej różnicę obydwóch, to jest świata stworzonego i świata tworzonego, albo, świata bezpośrednio boskiego i pośrednio boskiego, dość znowu spojrzeć w znaczenie słowa „*wyobrażam*”. Są w niem dwa znaczenia: *wyobrażam (sobie coś)* jest je-

go znaczenie czynne, i *wyobrażam (siebie)* jest znaczenie jego zaimkowe; oba zaś znaczenia nic innego nie wypowiadają, jak daję, kształcę, tworzę *obraz*. W znaczeniu czynném będzie to obraz przedmiotu zewnętrznego; w znaczeniu zaimkowym będzie obraz z siebie. Jeżeli więc potęga umu bezwzględna, wypowiada o sobie „wyobrażam,” wypowiada znaczenie zaimkowe, bo dla niej niema przedmiotowości żadnej, którąby sobie wyobrażała; gdyby była jaka, byłaby jej granicą. Potęga stwarzająca może zatem tylko *siebie* wyobrażać. Wszystkość stworzenia, jest więc wyrazem zupełnym Boga, jest jego istoty, jego mądrości obrazem. Świat ten jest przedmiotowością dla nas, ale nie dla Boga. Świat ten jest w Bogu, a Bóg w nim. Cokolwiek dzieje się w świecie stworzonym, przez Boga się dzieje.

Jeżeli zaś potęga umu względna, wymawia słowo „wyobrażam”, wymawia je w obydwóch znaczeniach. Człowiek będąc tylko tworem, ma przedmiotowość boską, czyli świat zewnętrzny swoim przedmiotem, i wyobraża go sobie, czyli zdejmuje z niego obrazy, będące obrazami myśli bożych; a gdyby zdolen był zdjąć obraz z całego świata, miałby obraz wszystkiój umniczój istoty boskiój, to jest wszystkiego umu boskiego. Lecz że skończoność z natury swojej, nigdy nieskończoności ogarnąć nie może; nigdy téż człowiek, do utworzenia sobie zupełnego obrazu Stwórcy, nie przyjdzie. To wyobrażanie sobie czynne przedmiotowości zewnętrznej, nie tylko jest właściwe człowiekowi, jako jednej jednostce z niezliczoności tworów, ale musi być właściwe wszystkim tworom, w szczególności zwierzętom, roślinom, a nawet, tak nazwanój nieorganicznej naturze. Albowiem każdy pojedynczy przedmiot, by téż tylko źdźbło trawy,

jako twór boży, już samém istnieniem swoim, znajduje się położonym w stosunku do reszty tworów stworzenia. Taki stosunek niczém inném nie jest, jak wzajemnym wpływem jednego przedmiotu na inne, i innych na jeden. To zaś działanie wzajemne tworów na siebie, jest na naszym stanowisku działanie na kształty i formy, jest zatem wyobrażaniem wzajemném, w rozciąglejszém znaczeniu tego wyrazu, w którym wyobrażanie znaczy tyle, co zamienianie na obraz swój, na istotę swoją. Człowiek i zwierzę wyobraża sobie przedmiotowość za pomocą zmysłów, rośliny za pomocą naczyń, ziemia i rzeczy kopalne, za pomocą atrakcyi. Że zmysł obrazu odnosi do wiedzy, do *sensorium* mózgowego, czego nie ma ni w roślinach, ni w kamieniach: okoliczność ta nie zmienia rzeczy. Człowiek tu tylko jest tworem i ma potęgę umniczą wszystkim innym tworom właściwą, ku wyobrażaniu przedmiotowości, bez czego nie byłoby ani jedności, ani harmonii, ani możności form i kształtów we świecie. Chcesz tę władzę nazwać wyobraźnią w ogólności, przyjmąc zawsze ją będziesz musiał w całej naturze tak organicznój, jak nieorganicznój. Jestto wzajemne obrazowanie się przedmiotowości, którem utrzymuje się żywot form, kształtów i postaci. A że działanie to odbywa się *przeobrażeniem*, nazwijmy więc um, w takiój jego działalności, przeobraźnią.

Lecz potęga względna umu człowieczego, jest nie tylko *wyrazem*, ale oraz *wyrazem wyrażającym się*, wyobrażeniem wyobrażającym się; i człowiek wymawiając słowo „*wyobrażam*”, wymawia je w znaczeniu, choć nie w skutku, potęgi umu bezwzględnej: jest więc mocen wyobrażać siebie, dawać z siebie samego obraz. Jakiż więc obraz duch jednostkowy sam z siebie dać

może? **Oto obraz boskiego początku swojego, obraz uwarunkowanej i dlatego zmienionej i zniweczonej pierwotnej potęgi umu boskiego, co się tworowi swemu udzielił, aby dał wyraz z siebie: atoli zawsze obraz, w którym to boskie pochodzenie przebijać się i jaśnić musi. Idee, będące w Bogu w zupełności wiedzy, owe najdoskonalsze połyski bóstwa: idee piękna, dobra, prawa, mądrości, sprawiedliwości, pożytku, szczęśliwości (wszystkie są téj natury, że mają żywot swój w żywej wiedzy; bez niej nie istnieją i istnieć nie mogą). W naturze obranej z wiedzy, do pojawu przyjść nie mogły; mogły zatem tylko przyjść do pojawu w tworcach obdarzonych wiedzą, i oraz potęgą wyobrażania téj wiedzy. Oto więc wielki cel człowieczeństwa, wielka missya ludzkości, aby się w niej i przez nią objawiły i do rzeczywistości doszły owe najwyższe myśli Boga, ideami zwane, wielkie i organiczne w sobie duchowości. Oto świat, który filozofia rozumu *duchem przedmiotowym* nazwała, a który się przez człowieka i przez ludzkość rozwija; przepływ, jakośmy już rzekli, idei bożych przez ludzkość, ku ich pojawieniu i ukształtowaniu się. Potęgą zaś wyprowadzającą te kształty do bytu, jest potęga umu względna, wypowiadająca się w człowieku zaminkowém znaczeniem słowa „wyobrażam”. Umność bożą uwarunkowaną tu widzimy przez umność ludzką, i takato właśnie umność kształtuje przedmiotowości duchowe w rodzinie, państwie, kościele i t. p. Pokazuje się tu jeszcze jaśniej, że postaciowanie się tych przedmiotowości idealnych, dzieje się współdziałaniem umności boskiej i ludzkiej.**

Dwie nam się więc odsłoniły strony umu względnego, czyli człowieczego: jedna wyobrażająca przedmioto-

wości świata **wszelakie**, za pomocą zmysłów — *imaginacya*; druga, **służąca** ku wyobrażeniu tego we formach względnych, **co** w formach bezwzględnych jest w Bogu i boskiej umności dziełem — *fantazyja*. Obie strony są funkcjami **wyobraźni** ludzkiej. Zważywszy atoli, że imaginacya stawia nas w związku ze światem materji co nas otacza, i **wrażenia** tego świata przeobraża na wyobrażenia, czyli **własność** obcą, na własność ducha; ztąd imaginacya jest tylko przeobrażeniem, i jest z natury swojej *przeobraźnią*. Człowiek będąc *subjekt* *objektem*, czyli istotą wyobrażającą i wyobrażoną, musi z tego tytułu posiadać dwie funkcye wyobrażania. Jako obiekt, **wyobraża** biernie (jest wyobrażonym); jako subjekt, **wyobraża** czynnie, bo wyobraża siebie, jako ducha jednostkowego, **zostającego** w związku z duchem bezwzględnym. **To** wyobrażenie siebie, a przez siebie, wyobrażanie ducha nieskończonego, nazywać będziemy *wyobraźnią*, w szczególném tego wyrazu znaczeniu (1); zaś umność boską, będącą tak wyobraźni jak przeobraźni pierwiastkiem, zowiemy *obraźnią*.

Przeobraźnia w człowieku jest warunkiem jego życia naturalnego, skierowana ku zewnętrznój przedmiotowości, ku naturze; wyobraźnia zaś obrócona ku przedmiotowości wewnętrznej, ku istocie ducha ludzkiego, którego początek jest boski, a zatém i twórczość boska. Tą potęgą wyobrażania wyróżnia się człowiek od zwierząt, z którymi pod względem naturalnego życia swego w fizyologiczném a nawet w psychologiczném zostaje podobieństwem. *Psyche* (dusza) jest tylko pierwiastkiem życia,

(1). Wedle niniejszego wywodu rzeczy, możnaby w języku naszym *imaginacyą* zastąpić wyrazem *przeobraźnia*, *fantazyą* zaś wyrazem: *wyobraźnia*.

i jest równie w robaczku niedojrzany, jak w człowieku; w obydwóch jest czucie tego życia. *Psyche* utajona, nieczuła (latent) jest w roślinie i kamyku, bo nic niema, gdzieby pierwiastku życia nie było (1). Lecz duch jest tylko w człowieku, a stał się nim trzema potęgami, wiodącemi swój początek z istoty ducha boskiego: mądrości, wyobraźni i woli duchowej. Człowiek ma więc z całą naturą wspólną potęgę umniczą przeobrażania, ale sam jeden ma sobie właściwą potęgę wyobrażania, którą stał się względnie Bogu podobnym.

(1) Troje jest, z czego *Arystoteles*, żyjącą istotę człowieka składa: νοῦς, ψυχῆ, σῶμα (Phys. VII. 2. VIII. 5. De anima 1. 4). Wszakże inni filozofowie greccy nie uważali różnicy między duszą a duchem. *Parmenides* wyraźnie powiada τὴν ψυχὴν καὶ τον νοῦν ταῦτόν (Diog. Laert. IX. 22). Podobnie *Eurypides* rozkłada człowieka na ciało i ducha, z których pierwsze wraca do ziemi, drugie do powietrza: πνεῦμα μὲν πρὸς αἶθερα τὸ σῶμα δ' εἰς γῆν (Eurip. suppl. 532). Także pismo święte zna tylko podział na duszę i ciało (Eccl. XII. 7). Wszelako zdaje się być różnicą między duszą a duchem, w następujących miejscach: I Cor. XV. 45. Hebr. IV. 12. I Tessel. V. 23. Luc. I. 46. Jes. XXVI. 9. Z ojców kościoła ś. *Augustyn* nie rozróżnia ducha od duszy (De anima IV. 21). Zaś ś. *Ireneusz* idzie w myśl *Arystotelesa*: *tria sunt, ex quibus perfectus homo constat, carne, anima, spiritu; altero quidem figurante, spiritu, altero quod formatur carne. Id vero, quod inter haec est duo, est anima, quae aliquando subsequens elevatur ab eo, aliquando autem consentiens carni, decidit in concupiscentias* (contr: Haeres. V. c. 304). Nowsza filozofia idealna wyróżnia bez wyjątku duszę od ducha. Stosunek ich najdobitniej wyraża *Schubert*, gdy mówi: *des Geistes ist, was der Phantasie ihre idealisch schaffende Kraft, dem Gefühle ein Empfinden der Kraefte der Ewigkeit, dem Erkenntnissvermögen das Selbstbewusstsein, dem Gemeingefühle die Gestalt des Gewissens, der Sprache das eigentliche Wort gibt. Die herrschende Macht des Geistes ueberkleidet die Seele, wie die magnetische Kraft das Eisen* (Schub. Psychol. 702). Że początkowo téj różnicy nie było, dowodzi wspólny pierwiastek wyrazów duszy i ducha, nietylko w naszym języku, ale i w innych. Łacińskie *anima* pochodzi od ἀνεμος i znaczy to samo co *spiritus*. Greckie ψυχῆν ma to samo znaczenie co πνεῦν (Ilias XX.

Obok trzech prawdoświeci umniczych, wykazały się nam oraz trzy potęgi umnicze, czyli um w trzech różnych działaniach swoich:

1. *Obrażnia*, potęga umu bezwzględna.
2. *Wyobraźnia*, potęga umu względna.
3. *Przeobraźnia*, potęga umu przedmiotowa.

Działania tych trzech potęg umniczych wyróżniają się wedle tego, czy się *bez* materiału, czy *na* materiale, czy *w* materiale wyrabiają. Działanie pierwszego rodzaju jest *stwarzaniem*, czyli wyprowadzaniem form z niczego; formy takie będą *pierwotne*, w nich się objawia potęga Boga, jako Stwórcy wszech rzeczy, potęga obra-

440), ztąd ψυχὴ i πνεῦμα tego samego znaczenia. Niemieckie Seele pochodzi od gockiego *saivala, saivan*, dąć (Grim, Gram. Cz. II. str. 99), ma więc to samo znaczenie, co hebrajskie *ruah*, znaczące wiatr, tchnienie, dech, duch.

Ze względu na duszę zwierząt, roślin i rzeczy kopalnych, uważamy, że starzy, a między nimi i Arystoteles, tylko zwierzętom przypisywali duszę (ψυχὴ), w roślinie uważali wewnętrzne jej życie, za ruch sprawujący wzrost i utrzymanie, i nazywali to φύσις; tworom nieorganicznym przypisywali siłę wewnętrzną trzymania się kupy (ἔξις).

Wyraz φύσις znaczy powstawanie, rośnienie, ztąd φυτόν roślina. Pierwotne jego znaczenie jest siła żywotna, która sama z siebie się rozwija w każdym tworze (Arist. Phys. II. 1), która świat utrzymuje i porządkuje (tamże VIII. 1), co wszędzie dąży do pewnego celu (de generatione I. 1) i nigdzie nie działa nadaremnie ni bez przyczyny, ni bez skutku (tamże II. 4); więc i w roślinie jest tylko owa φύσις, którą stoicy pojmowali, jako duszę powietrzną grubszej natury, niż u zwierząt (Galenus). Każda φύσις szuka siebie samą reprodukować; ztąd w roślinach zbiega do nasienia (Diog. Laert. VIII. 28). Wyraz ἔξις znaczy siłę żywotną nie w ruchu, jak u roślin, ale w napiętości; nazywano ją dlatego ψυχὴ ἔξις (Sext. Empir. Contradict. lib. IX). Rzecz każda nabiera przez nią trwania i kształtu. Pojmowano ją jako będącą duchowej natury πνευματικὸς τόπος. (Phil. Jud. de mund. opif. 1169) i przypisywano powietrzu, które ciała przenika (Galenus de Plenitud. c. 3).

źni jego. **Działanie** drugiego rzędu jest *tworzeniem*, czyli **wyprowadzeniem** form nowych z danego już materiału; a że tym materiałem są formy pierwotne, będzie to **przetwarzanie** istniejących już form na nowe formy, które dlatego *pochodnemi* nazywamy. W nich się objawia **potęga** człowieka, jako twórcy, potęga wyobraźni jego. **Nareszcie** działanie trzeciego rodzaju, nie jest ani **stworzeniem**, ani **tworzeniem**, bo do tego obojga potrzeba **woli** i **wiedzy**, które tylko są w Bogu i w człowieku, jako w **bezwzględnym** i **względny** duchu; jest to stan **tworzenia** się form samych przez się, w materiale stworzonym. Natura niczego nie stwarza, niczego nie tworzy, ale w niej się wszystko tworzy bez wiedzy i woli. **Wiedza** i **wola** tego, co się tam tworzy, jest **bezwzględnie** w Bogu, **względnie** w człowieku. **Tworzenie** się, jest **nieustającym** przeobrażeniem się form raz danych, wedle danych prawideł, jest **rozwijaniem** się materialnym tworów natury i **przechodzeniem** jednych w drugie, przez co w całej naturze utrzymuje się życie. **Formy** te dlatego nazywamy *przechodnemi*. I człowiek, jako obiekt, tworzy się bez wiedzy i woli swojej, nie panuje nad **przechodnemi** formami cielesnego ustroju swego, któremi powstaje, rozwija się i kończy żywot jego w naturze. We formach **przechodnych** objawia się **potęga** natury, potęga *przeobraźni*, będąca **nieustającą** form metamorfozą.

Tak trzy prawdy naczelne, jak trzy potęgi umnicze, podały nam się z pierwiastku, któryśmy przyjęli za wstępny. Co do prawd samych, czyli kształtowości, jużśmy wyżej wykazali, że w takim stosunku stoją do **prawd**oświeci logicznych, w jakim zostaje działanie umu do myślenia. *Stnienie* to **stwarzanie**, *istnienie* to **two-**

zenie się, a *istnio-stnienie* to *tworzenie*. Podobnie trzy potęgi umnicze odpowiadać muszą trzem naczelnym potęgom myślenia. Różnić się tu tylko będziemy z autorem *Logiki narodowej*, co do nazw. Filozofia nasza polska *dopiero* się wyrabia; nim się więc nowe wyrazy utra, nim nastąpi zgoda w pojmovaniu znaczeń filozoficznych dawnych wyrazów, wiele czasu jeszcze upłynie, i dlatego z początku powstanie pewien nieład w filozoficznym słowniku.

Autor *Logiki* kładzie jako trzy naczelne potęgi myślenia: 1) rozum, król empiryi—jako władza rozróżniania, będąca ogniskiem wszystkich zmysłów; 2) umysł—rodzic spekulacyi, upatrujący w przeciwieństwach jedność; 3) *mysł* — łącznik zmysłu i umysłu, pojmovający zewnętrzną i wewnętrzną razem, czyli organiczną, żywą całkowitość. Nie możemy się zgodzić na to, aby umysł wyrażał to, co Niemiec przezwał *Vernunft*; wyrazy pochodne *umysłnie*, *umysłowość*, wskazują zupełnie inne tego wyrazu znaczenie. Umysłowość, znaczy produkcją duchową, i dlatego przyswoiliśmy wyraz *umysł*, na oznaczenie jedności umu i myśli, w istotę ducha wchodzących i stanowiących jego możność produkowania. Rozum nie bierzemy także w znaczeniu niemieckim *Verstand*, ale w znaczeniu ogólném władzy duchowej myślenia; i wedle tego, czy jest skierowany na przedmiot zmysłowy, czy na przedmiot duchowy, nazwaliśmy go rozumem, to zmysłowym, to umysłowym. *Mysł* jest wyraz wprowadzony do filozofii przez Trentowskiego, na oznaczenie trzeciej najwyższej potęgi myślenia. Jestto wedle autora, oko w nas boskie, na ujrzanie tego, czego ani zmysłem, ani rozumem dojrzyć nie możemy, co jest natury czysto duchowej, jak jaźń

nasza i jak jaźń boża. Mysł tylko ugląda Boga. Jeżeli zatem **mysł** jest w człowieku, dla ujrzenia rzeczy boskich, dla pojęcia ducha; musi być w daleko większej rozciągłości w Bogu, który siebie samego jako ducha pojmuje i ogląda, i wszystkie duchy stworzone. *Mysłowi* odpowiada przeto nasza *obraźnia*, najwyższa potęga umnicza, wyprowadzająca zarazem świat ducha i świat materii do bytu, stwarzająca razem wewnętrzność i zewnętrzność. *Rozum* czyli wedle nas *rozum zmysłowy*, który nic nie pojmuje, czego zmysłami nie dosięże, i obrócony jest w samą rozliczność tworów stworzonej przedmiotowości, jest tém w sferze myślenia, czém w sferze kształtowania; jest nasza *przeobraźnia*, jako władza umnicza natury, której działaniem jest przeobrażanie się i tworzenie się coraz nowych form i kształtów. Nareszcie *umysł*, czyli wedle nas *rozum umysłowy*, będący sam ideą, i dlatego zamieniający wszystko w ideę, odpowiada naszej *wyobraźni*, której przedmiotem także idea, bo ją kształtuje, formuje, i uzewnętrznia.

Widoczne i jasne jestto przeciwstawienie potęg rozumowych i potęg umniczych. Pokazuje się z tego oraz, że *mysł* wprowadzony do filozofii, nie jest czcym wymysłem, jak to ja sam rozumiałem z początku; ale że jest rzeczywistą naczelną potęgą myślenia, Bogu w zupełności właściwą, a człowiekowi w ograniczonej tylko mierze nadaną. Filozofia polska, wprowadzając ten nowy pierwiastek myślenia do umiejętności, posunęła ją widocznie o jeden stopień wyżej, i rozwinęła dalej filozofią niemiecką.

Zwrócić jednak musimy uwagę czytelnika, żeśmy w tém przeciwstawieniu potęg rozumowych i umniczych uczynili zmianę. Autor *Mysłini* uważa pomienione trzy

potęgi **myślenia**, w jednostkowym tylko duchu, to jest w człowieku **myślącym**, i nie wynosi myślenia, tak jak my **umność**, do istoty ducha w ogólności. Gdybyśmy więc byli **poszli** za nim, musielibyśmy byli szukać w samej wyobraźni, jako w umniczój potędze jednostkowego ducha, odpowiednich trzech władz umniczych. Znajdziemy je tam **rzeczywiście**, bo jak stnienie i istnienie znajduje się w **istnio-stnieniu**; podobnie obraźnia i przeobraźnia, znaleźć się musi w wyobraźni; ale będą to potęgi **ograniczone** i **zawarowane** i dlatego **zmienione**. My uważamy **myślenie** za istotę ducha tak jednostkowego jak **bezwzględnego**, i **pojmujemy** równie **myślenie** przedmiotowe, **które** się nam w **odwiecznych** prawach natury przedstawia. Wedle nas **zatem** **myślenie** na **najwyższej** potędze jest w **stnieniu** (w Bogu) i jest tam **mysłem**, który wraz z **obraźnią** stanowi **umysł** **bezwzględnego** ducha; **myślenie** przedmiotowe jest w **istnieniu** (w naturze), jest **rozumem** **przedmiotowym** w **ogólnym** znaczeniu, i wraz z **przeobraźnią** stanowi **przyrodzenie** **natury**; nareszcie **myślenie** będące w **istnio-stnieniu** (w człowieku) jest **rozumem** **zmysłowym** i wraz z **wyobraźnią** tworzy **umysł** **ludzki**, **umysł** **jednostkowego** **ducha**.

Wykazaliśmy trzy różne potęgi naczelne umności; trzeba nam teraz **wnijść** w bliższe, acz jeszcze ogólne oznaczenie **każdej** w szczególności. Nie możemy **znikąd** **inąd** **wziąć** tego oznaczenia, jak ze siebie. Człowiek, będąc pod **względem** **umności** **istotą** **stworzoną** i **tworzącą** **zarazem**, **łączy** w sobie **znamiona** **tak** **tworzenia**, jak **tworzenia** **się**, **czyli** **tak** **wyobraźni**, jak **przeobraźni**; a że **tworzenie** **niczém** **inném** **nie** **jest**, jak **ograniczoném**

stwarzaniem, będziemy oraz mogli ztąd robić wnioski na oznaczenie obrazni, czyli umności stwarzającej.

Tworzenie się człowieka, jest zupełnie zpod jego wiedzy, zpod jego woli, a zatém i zpod jego twórczój wyobraźni wyjęte. Człowiek pod tym względem jest tylko naturą, tworem, uległym ogólnym prawom tworzenia się. Przeobraźnia, nie mająca organu wiedzy, bo nie będąca istotą ducha, odbywa w nim jak w całej naturze, swoje działania wedle nieodmiennych praw przyrodzenia. Ogólny tych działań charakter, jest nieustanne *przeobrażanie się*, nieustanna zmiana i przemiana form. Od chwili poczęcia się człowieka, aż do rozwiązania się ciała jego w proch ziemi, nie ma i jednéj chwili, w którejby pod względem formy był sobie równy. Podobna przemiana form jest we wszystkiém istnieniu, w całej naturze. I kształt żyjątką, którego okiem nie dojrzysz, i którego żywot tysiącami wieków się zakreśla, téj samój ulega form metamorfozie. Przeobrażanie się zatém, przemiana form ciągła, jest umu przedmiotowego charakterem, i dlategośmy go téż *przeobraźnią* nazwali. *Tworzenie się*, nic innego nie jest, jak *przechodzeniem z jednéj formy w drugą*.

Lecz człowiek nietylko jest tworem, ale i twórcą. Jako twór tworzący, potrzebuje świata zewnętrznego do tworzenia, z którym przez zmysły zostaje w stosunku. Przeobrażania się przedmiotów, obrazują się w nim drogą wzroku, słuchu, dotykania i t. d. Te obrazy zewnętrznego świata zwykliśmy nazywać *wyobrażeniami*; stosowniej byłoby wszakże mówić: mam obraz konia, słonia i t. p., zamiast: mam o nich wyobrażenie. Wyobraźnia wyższą już jest potęgą umną; nie jest daguerotypem zdejmującym obrazy, ale twórczą sztuką. Wyobra-

źnia wyobraża **myśl** człowieka, daje obraz duchowej istoty jego, **kształtuje** wszystko, co w téj istocie myślącej, jako **wiedza** i jako pojęcie się objawia i pojawia. Istota myśląca, będąc zarazem istotą jednostkowego ducha, jest **jednością** w sobie; wyrażona na zewnątrz, przeobrażać się **nie może** na sposób, na jaki wciąż przeobraża się przedmiotowość. W duchu nie ma żadnej, a tém mniej nieustannéj *metamorfozy*, ale jest rozwijanie się. Rozwijanie się nie jest przeobrażeniem. Jedna myśl w drugą się nie zamienia, ale jedna myśl drugą rozbudza, rozwija **z siebie**. Nie ma metamorfozy wiedzy, lecz jest ciągły **jéj rozrost** w sobie. Wyraz zatém myśli organicznój, **nie może być inny**. Wyobraźnia, dająca ten wyraz, ma charakter zupełnie przeciwny od przeobraźni: tu była ciągła przemiana form, tam musi być ich ustalenie; tu ich **znikomość**, tam ich trwałość. Charakterem wyobraźni jest przeto *utrwalenie form*. Jakoby w poczuciu nieśmiertelności ducha swego, pragnie człowiek wszędzie unieśmiertelnić jego wyraz i utwalić jego obraz. Lecz na nieszczęście człowiek tylko jest twórcą, więc unieśmiertelnienie to dźiać się musi na przedmiotowości, a przedmiotowość przeobrażająca się, jest negacją nieśmiertelności. O ile zatém trwałość materiału, na którym się wyraz naszéj istoty piętnuje, jest niepożytą; o tyle niepożytą i trwałość form, będących dziełem wyobraźni.

Ten charakter wyobraźni, dający obraz saméj istoty ducha, wszędzie ujrzysz, gdzie tylko spojrzysz po dziełach i czynach ludzkich. Spójrz po izbie, do którój wchodzisz, a zrobisz zaraz wniosek o gospodyni domu; spojrz po podwórzu, a zobaczysz odrazu jaki tam gospodarz. Wszystkie sztuki piękne, wszystkie dzieła przemysłu, są

utrwaleniem form wyobraźni. Życie człowieka całe, jest obrazem jego ducha i utrwała się w pamięci małej lub większej liczby współczesnych i potomnych; czasem nie sięga poza pamięć syna lub wnuka, niekiedy dochodzi do najodleglejszych pokoleń i zyskuje nieśmiertelność dziejową.

Ten sam charakter rozwijania się i utrwalania istoty ducha jednostkowego, pokazuje się jeszcze z innej strony. Powiedzieliśmy już wyżej, jaki jest cel stworzenia człowieka, a ludzkości w ogóle. W niej i przez nią, przychodzą do wyrazu i do rozwoju idee, stanowiące myślącą istotę ducha bezwzględnego. Pełnia ich wiedzy i kształtu jest w Bogu, ale pojaw ich zewnętrzny, dzieje się przez człowieka w ludzkości. Idea będąc natury ducha, jest także jednością w sobie; a że jest natury ducha nieskończonego, jest jednością w sobie nieskończoną. Wyraz jój zewnętrzny, tak, jak się w czasie przez jednostkowego ducha pojawia, nie może się przeobrażać, ale się rozwija i rozrasta z siebie do coraz większej pełni, stosownie do tego, jak się rozwija sama wiedza onój idei, czyli jój upostaciowanie się w świecie społecznym i ludzkim; jest zatem konieczną i z samej wewnętrznej natury idei płynącą. Rozwój tych form odbywa się przez całą ludzkość, przez narody. Potęga wyobraźni jednostkowych duchów wyprowadza je do bytu, a w wyobraźni całego narodu, nabierają trwałości i sił żywotnych. Trwałość tych czasowych postaci jest doczesna i przypadkowa, bo jest wyobraźni ludzkiej dziełem. Ale w tych upostaciowaniach przemiennych dyszą nieprzemienne kształty idei samych — ideały, będące samej obrazni Boga dziełem. Idee, będące bezpośrednio natury boskiej, mają dlatego rozleglejszą trwałość, niżeli pomysły, z istoty jednostko-

wego tylko **ducha** wychodzące. Wiąże się do nich interes całej **ludzkości**, los i szczęście całych narodów, i dlatego tak **niepożyte** ich trwanie. Tradycje o początku świata, o początku narodów, sięgające 4—6000 lat, dotąd się **utrzymały**. Prawo rzymskie dziś jeszcze pouczane i **praktykowane**. Religie na tysiące lat liczą żywot form **swoich**. Sztuki i umiejętności z największą przekazywane i **przechowywane** troskliwością od pokolenia do pokolenia.

Co się więc z rozwoju idei w narodach i w ludziach przez wyobraźnię na zewnątrz pojawiło, utrwaliło się do następnych **późnych** wieków, utrzymane i rozbudzone na nowo do wiedzy i wyobraźni każdego nowego pokolenia. Bo tym tylko **sposobem** możebny jest rozwój i rozrost każdej idei, że **wszystko** poprzednie staje się fundamentem do dalszej budowy. To zarazem przyczyna społeczności ludzkiej. Bez tej **jedności** społecznej, każdy nowo-narodzony człowiek byłby nowym *Adamem*, każdy byłby początkiem idei i do jej dalszego postępowego rozwoju, **przyjsęby** nie mogło. Ten zaś rzeczywiście jest wyobraźnikiem idei i narzędziem do dalszego jej rozrostu, kto cały jej poprzedni rozwój, wszystkie jej fazy i rozczłonienia **wiedzą** swoją ogarnął, i dopiero krok dalej postawił. Co tu rozum umysłowy pojął i myślą rozwinął, temu wyobraźnia dała wyraz zewnętrzny, wydobyła na jaśnię, na **pojawił**, *wyobrazila*, i ztąd jej nazwa.

Zróbmy nareszcie wniosek z *tworzenia* i *tworzenia* się na *stwarzanie*, czyli z *wyobraźni* i *przeobraźni* na *obraźnię*. Bóg, jako duch, jest także jednością w sobie, a zatem, podobnie jak duch jednostkowy, **przeobrażać** się nie może. Istota jego, jako **jedność**, musi się rozwinąć z siebie, podobnie jak się rozwinęła istota du-

cha jednostkowego. Atoli w tym rozwoju wielka będzie różnica. **Duch jednostkowy**, jako względny, jest ograniczony **czasem** i **miejscem**; w czasie téż i w miejscu odbywa się **rozwój** jego. Duch bezwzględny, ni czasem, ni przestrzenią się nie ogranicza. Rozwój jego istoty musi zatém być **odrazowy** i **wieczny**, wszystko wypełniający. Człowiek jako twór, jako duch względny, mógł tylko *utrwalac'* dzieło swoje; Bóg niestworzony *uwiecznia* je. Duch jednostkowy sam jest stworzoną przedmiotowością i potrzebuje zewnętrznej stworzonej przedmiotowości, aby wyobraźnia na niej utrwalala rozwój jego; duch bezwzględny, żadną przedmiotowością nieograniczony, nie tworzy, ale stwarza, z niczego wyprowadza wyraz swój, a wyraz ten musi być jój pojaw. Obraznia, jako um boski, wyprowadzający myśl bożą do pojawu, jest zarazem jego *uwiecznieniem*, i to jest jój charakterem.

Otóż mamy trzech potęg umniczych, trzy osobne zasady: *przemienianie*, *utrwalanie* i *uwiecznienie* wszelkich form i kształtów. Wszystko co wyprowadza obraznia, jest wieczne; wszystko co formuje wyobraźnia, jest trwałe w czasie; wszystko co kształtuje przeobraźnia jest przemienne. Te trzy zasady są odpowiednie trzem podstawom wszystkiego logicznego myślenia, które autor Logiki narodowej nazwał *siestrzanami* (1). „Siestrzany, powiada, zowią się dlatego, że są filozoficznemi, iż tak powiem, belkami, na których spoczywają inne belki, to jest zasady logiczne, oraz na belkach tych zbudowane piętra, czyli umiejętne całokształty.” Podobnie i nasze umnicze zasady, można pod tym

(1). Zobacz str. 14. T. I. Logiki.

względem uważać za podwale, na których zbudowane są, nie już **umiejętne** całokształty, ale całokształty wielkich **rzeczywistości** duchowych. Sam świat pojawów, jest jednym **takim** całokształtem.

Trzy **siestrzany** logiczne są: względna różnica, odpowiednia *przemienności* form, bezwzględna jednia, odpowiednia **wieczności** form; nareszcie filozoficzna *różnojednia*, odpowiednia *trwałości* form. Tak, jak trzecia zasada logiczna jest zawsze zlewem dwóch pierwszych; **podobnie** utrwalenie form, jest **zmienianiem** i **uwiecznianiem** razem; bo wieczność zmienna, czyli ograniczona **czasem**, jest trwałością, a trwałość niezmienna i **nieograniczona** czasem, jest wiecznością. Tak powstają, **rosną**, **dojrzewają**, **plodzą** się i **umierają** pojedyncze rośliny i zwierzęta, ale ich gatunki nie zmieniają się i trwają. **Umiérają** ludzie, **wymierają** pokolenia, **narody** upadają i giną; ale **pochód** i **rozwój** idei boskich odbywa się **wciąż**. **Światy** same, **jedne** się **rodzą**, **drugie** **znikają**; ale **prawa** natury **trwają** **wiecznie** i **wszystko** **wedle** nich **obraca** się i **toczy**.

Słowo „*wyobrażam*”, z któregośmy wyszli, nabiera **zatem** **różnego** znaczenia i charakteru **wedle** tego, kto je **wypowiada**. **Wypowiedziane** przez ducha **bezwzględnego**, **znaczy**: *wyobrażam na wieczność*, czyli **daję** z siebie **obraz** **wieczny**, **żadnym** **czasem** **nieograniczony**; **wypowiedziane** przez ducha **jednostkowego**, **znaczy**: *wyobrażam na chwilę nieujęta*, czyli **daję** z siebie **obraz** **zmieniający** się **nieustannie**. **Jest** **zatem** **ciągła** **walka** **między** **wyobrażnią** a **przeobrażnią**; **co** **jedna** **buduje**, **to** **druga** **rozwała**; **trwałość**, którą **tamta** **formom** **swoim** **nadaje**, **ta** **wciąż** **atakuję** i **niszczy**. **Jestto** **bój** **zacięty** **dwóch** **wrogów**—**potęg** **utrwalania** i **zmieniania**, **żywota**

i śmierci. Z drugiej strony, jestto bój konieczny; poznamy go jako warunek życia wszelkiego. Nie byłoby życia, gdyby nie było tego boju. Co jest życie? Oto ożenek śmierci i żywota; zaledwie się co poczyną, już téż i śmierć bierze je w swoje objęcia. Wyobraźnia daje żywot, który się staje śmiercią; przeobraźnia daje śmierć, która się staje żywotem. Twory byłyby równe Bogu, gdyby tego ożenku nie było. Przedmiotowość byłaby nieśmiertelna, martwa, wryta na wieczność. Niezglębiona tu mądrość boża. Dwie potęgi umnicze zatracają się nawzajem, i na zawsze pozostają niższe od umniczój potęgi Boga. Nigdy ani świat, ani ludzkość, nie może się zrównać Bogu; w nim samym jest harmonia i zgodność wszystkiego.



O WSPÓLCE HANDLOWEJ PROSTÉJ.

(*Association en participation*).

W tłumaczeniu praw, w pojmowaniu ich myśli, celu, rozciągłości, zawsze między prawdą a błędem w niepewności zostawać będziemy, jeżeli nie postąpimy metodą historyczną; jeżeli nie zbadamy ich początku, okoliczności, zakresu; jeżeli nadto, gdy idzie o zgłębienie ustaw kodyfikacją zamkniętych, nie odbędziemy téj samej drogi, jaką redaktorowie kodexu przebyli.

Wprawdzie historia wewnętrzna prawa, polegająca właśnie na wyjaśnieniu i poznaniu pobudek prawa, należy do najtrudniejszych zadań teoretycznych; lecz bez téj umiejętności, pojedyncze ustawy lub przepisy, w ich tłumaczeniu i zastosowaniu, wykrzywiać będziemy, nie wiedząc nawet, że przez to nietylko w zachodzącym przypadku szczególnym niesprawiedliwości się dopuszczamy, ale że nadal torujemy drogę widokom podstęp.

Użycia metody historycznej w tłumaczeniu prawa, nadewszystko wymagają trzy kodexa francuzkie: cywilny, procedury i handlowy, które, jak wiadomo, jedną zgodną całość składać powinny, a są wyciągiem, wpły-

wem, tranzakcją dwóch wielkich a różnych w duchu i formie prawodawstw dawniejszych: jednego rzymskiego, które dla dobitności i ścisłości w rozgraniczaniu ustaw i przepisów jednych od drugich, nosi na sobie piętno wysokiego wykształcenia; drugiego zwyczajowego, mieszczącego w sobie i prawo handlowe, które rozrastając się swobodnie z pierwszych zarodków i związków swoich, dopiero po raz pierwszy we Francyi przez tak zwane *ordonnances* w karby ściślejszego porządku prawniczego wzięte, uległo po raz drugi uporządkowaniu prawodawczemu przez nowe trzy kodexa; ale w takim sposobie, że różnica między *pays de droit écrit*, a *pays de droit coutumier* ustała, a jój miejsce zajęło prawodawstwo tranzakcyjne, pojednawcze, prawa rzymskie i prawa zwyczajowe w jedną zgodną całość zlewające, z mocą obowiązującą dla całej Francyi.

Pomimo pojednawczój tranzakcyi, pomimo zlewku tych praw w jedno prawodawstwo systematyczne, przeważa w kodexie cywilnym dobitność prawa rzymskiego, a w kodexie handlowym swoboda prawa zwyczajowego. Skutkiem różnicy téj, text kodexu cywilnego nietyle kwestyj prawnych wywołuje, ile text kodexu handlowego. Dowodem tego najzupełniejszym jest jursprudencja kassacyjna francuzka, która w materyi handlowej, ogrom wyroków interpretacyjnych przedstawia. Interpretacye te częstokroć są z sobą w sprzeczności, i ztąd niepewność prawa i uwieczniona wątpliwość. Moznaby nawet bez przesady powiedzieć, że jursprudencja kassacyjna prawa handlowego w nieładzie pozostaje. Przyczyną tego nieładu wszakże nie jest sama treść kodexu handlowego, lecz również zupełne prawie zaniedbanie przez prawników francuzkich historycznej nauki prawa,

której prawa **zwyczajowe**, a między niemi handlowe, więc jeszcze **jak prawo rzymskie** wymagają: szczególniej dlatego, że **piérwsze** mało w szczegółach są rozwinięte, i że się nie **odznaczają** tak ścisłym rozgraniczeniem ustaw lub przepisów jednych od drugich.

Prawnicy francuzcy, prawie nie znając metody historycznej prawa, zwykle poprzestają na wyrozumowaniu myśli, celu i zakresu prawa wprost z samego tekstu, z związku i porównania pojedynczych ustaw i przepisów kodexowych, nie domyślając się, że *Pothier*, którego traktaty prawa francuzkiego systematycznie z praw rzymskiego i zwyczajowego, dawniej we Francyi obowiązujących ułożone, redaktorom nowych kodexów za bezpośrednie źródło do redakcyi obudwóch kodexów, tak cywilnego jak handlowego służyły: stanowi tém samym bezpośrednio tychże kodexów źródło historyczne, i że przy możności porównania jego traktatów z nowemi traktatami kodexowemi, pewniejszym jest przewodnikiem interpretacyjnym, jak własne z kilku gołych artykułów kodexowych wyprowadzone wnioski.

Co większa, w komentarzach francuzkich, a nawet w jurysprudencyi kassacyjnej, przebija się pewna nieznamość działań kodyfikacyjnych, czyli uwag, spostrzeżeń, dyskusyj, rozbiorów i motywów redakcyi kodexowej przewodniczących, które *Loché*, jako protokoły dyskusyj legislacyjnych utrzymujący, zebrał. Tym wszakże argumentom i motywom, z których redakcyja ustaw i przepisów kodexowych bezpośrednio wypłynęła, należy się *powaga interpretacyi autentycznej*; bo któż miałby lepiej wiedzieć: co i dlaczego w systemacie kodexowym przyjęto lub postanowiono, jeżeli nie bezpośredni redaktorowie? Któżby mógł dać pewniejsze objaśnienie o zna-

czeniu, celu i zakresie tychże ustaw i przepisów? A gdyby znowu same wykłady i dyskusye redaktorów kodexowych, wyjaśnień wymagać miały; gdzież ich przedewszystkiém szukać, jeżeli nie w ich wzorze bezpośrednim, jakim jest Pothier?

Tym sposobem postępując do coraz dawniejszych źródeł, zwyczajów, ustaw, instytucyj lub systematów prawnych, i tym torem wracając się do prawa obowiązującego, przychodzimy do jego pojęcia historycznego, którego żadne inne rozumowanie na samym texcie prawa oparte, zastąpić nie może. Tylko przez metodę historyczną poznajemy tak okoliczności i przyczyny powstania lub tworzenia się zasad i instytucyj prawnych, jako téż koleje ich zmian i ukształcenia, i torujemy drogę do ich najtrafniejszego zastosowania.

Gdyby jurysprudenca francuzka komentatorska lub kassacyjna, które się chętnie jedna drugą wyręczają, znały metodę historyczną i chciały były wejść w sprawdzenie, w krytykę historyczną, sprzecznych zdań i opinij w materji spółek handlowych; natenczas byłyby sobie oszczędziły wiele sprzecznych wyrokowań, które jednoznaczność i pewność prawa, a tém samém rzetelny wymiar sprawiedliwości podkopują.

Okaze się to wszystko przy rozbiorze jurysprudeney, odnoszącej się do ustawy kodexowej, którą kodex handlowy w czterech artykułach od 47 do 50 zamknął, i nie spółką, *société*, ale *stowarzyszeniem* handlowém, *association commerciale en participation* nazywał.

Stowarzyszenie to nazywają po polsku spółką udziałową, lub stowarzyszeniem na udział, lub spółką na stosunkowy zysk lub stratę, albo stowarzyszeniem do

uczestnictwa w zysku lub stracie. Wszystkie te nazwania nie mają w sobie nic charakterystycznego, gdy we wszystkich spółkach tak cywilnych jak handlowych, uczestnicy koniecznie udziały mieć i koniecznie zyskiem lub stratą dzielić się powinni. Właściwa więc cecha stowarzyszenia partycypacyjnego leży w czém inném: to zaś z poniższego wykładu się wykryje.

Nic dziwnego, że w języku polskim niéma ustalonej nazwy dla stowarzyszenia partycypacyjnego. To zaś zaiste zadziwiać powinno, że jurysprudencya francuzka, acz techniczną nazwą *association commerciale en participation* popisuje się, i od roku 1808 przez lat 40 znaczną liczbą sporów w przedmiocie partycypacji handlowej zajmowała się, dotąd jednakże nie wie: coto za rodzaj stowarzyszenia handlowego, i jakie jego jest właściwe miejsce w systematycznym układzie spółek.

Jurysprudencya ta owszem nastęrcza mnóstwo kwestyj prawnych do rozwiązania, a między niemi te najgłówniejsze: jak należy rozumieć definicyą w texcie kodexowym, że stowarzyszenia *en participation* stosują się do jednego lub kilku działań handlowych „à une ou plusieurs opérations de commerce”? Czy stowarzyszenie to wyobraza w znaczeniu prawném osobę moralną? czy uczestnicy odpowiadać powinni *in solidum* lub tylko *pro rata*? czy ulega sądom polubownym koniecznym?

Pierwsza z tych kwestyj jest najważniejsza, gdy przez nią chcemy dojść, jakito zakres działalności handlowej dla stowarzyszenia partycypacyjnego jest przeznaczony, i gdy od sposobu jój rozwiązania, zależy rozstrzygnięcie wszelkich innych kwestyj tak wymienionych, jak niewymienionych.

Jurysprudencya kassacyjna prawie we wszystkich kwestiach tych dopuszczała się sprzeczności. Pojedyncze więc i urywkowe spostrzeżenia lub uwagi, nie doprowadziłyby do pewnego jasnego rezultatu, gdybyśmy wprzód nie podali ogólnego i systematycznego rysu wszystkich spółek tak cywilnych, jak handlowych; zwłaszcza, że części odciętej od całości, nigdy dobrze poznać nie można, nie widząc jój w ogólnym obrazie wszystkich części, składnie złożonych.

Podług kodexów cywilnego i handlowego, istnieją dwa główne rodzaje spółek, *sociétés*; a mianowicie: spółki cywilne i spółki handlowe.

Współki cywilne, kodex cywilny w art. 1835 wprowadzie dzieli na ogólne, *universelles*, i szczególne, *particulieres*; lecz w artykule następnym 1836, rozróżnia znowu dwa rodzaje spółek ogólnych, a w szczególności: spółkę wszelkich dóbr terażniejszych, tak nieruchomości jak ruchomych, i spółkę ogólną *dobrołąkową*, *société universelle de gains*.

Co do spółek cywilnych szczególnych, tych podobnie dwa rodzaje kodex cywilny zdaje się przyjmować, gdyż w art. 1841 wyrzekłszy: że spółką szczególną jest ta, która się zasadza na pewnych rzeczach szczegółowo oznaczonych, *certaines choses déterminées*, w celu ich używania lub pobierania z nich przychodów; dodaje w art. 1842, że to także jest spółką szczególną, gdy mocą kontraktu, dwie lub kilka osób stowarzyszą się, bądźto dla jakiego przedsięwzięcia oznaczonego, bądźto dla wykonywania jakiego rzemiosła lub profesyi, *métier ou profession*.

Kodex handlowy pod napisem: *o różnych spółkach*, w art. 19 uznaje trzy rodzaje spółek handlo-

wych, a mianowicie: firmową, kommandytową i bezimien-
ną; a nadto w art. 47 stowarzyszenie się handlowe na
stosunkowy zysk lub stratę, *association commerciale
en participation*.

Ztąd więc w ogólności jest siedm lub ośm spółek,
tak cywilnych jak handlowych.

Namnożenie tylu rozmaitych spółek w systematycz-
nym układzie prawodawstwa kodexowego, pochodzi
z zamierzonego uporządkowania pojednawczego *różno-
rodnych* praw dawnych, przedtém obowiązujących,
znanych pod nazwą prawa pisanego, *droit écrit*, i pra-
wa zwyczajowego, *droit coutumier*.

Podobny obraz tranzakcji obojga praw, pisanego
i zwyczajowego, widzimy w kontrakcie małżeńskim ko-
dexu cywilnego francuzkiego.

W głównych zasadach, przepisy kodexów cywilnego
i handlowego o spółkach, nie dają się uważać za pa-
sno jednego systematu, gdy w nich prawie dwa odrę-
bne systemata panują; tak co do sposobów ich zawiera-
nia i udowodnienia, jak co do skutków prawnych.

Współki bowiem cywilne, bądź ogólne, bądź szcze-
gólne, *słownie* zawierane być mogą; z tém jedynie ogra-
niczeniem, że jeżeli ich przedmiot 150 franków (240
złp) przenosi, dowód ze świadków na wykazanie pra-
wnego bytu spółki nie jest dopuszczalnym, chybaży
przeciw temu, który spółki zaprzecza, walczył *poczq-
tek* dowodu piśmiennego: w którymto przypadku, po-
wód domagać się może uzupełnienia dowodu przez
świadków lub przez przysięgę z urzędu. Nadto wolno
mu w niedostatku początkowego dowodu na piśmie, do-
wodzić bytu i warunków spółki deferowaniem przy-
sięgi.

Przeciwnie, **współki handlowe**: firmowa, kommandytowa i bezimienna, wymagają bezwarunkowo aktów piśmiennych do **exystencji** swój prawnej; ostatnia z nich nawet upoważnienia i zatwierdzenia przez rząd. **Współki**: firmowa i kommandytowa, nie inaczej, jak tylko aktami urzędownie lub prywatnie sporządzonemi, bezimienna zaś tylko aktem publicznym, udowodnione być mogą.

Współki cywilne nie stanowią osoby moralnej; owszem, w stosunku do osób trzecich, stowarzyszeni tak są uważani, jakoby żadna spółka między niemi nie istniała.

Przeciwnie, trzy **współki handlowe**, uważane są we względzie prawnym za osobę moralną, za jednotę prawniczą, *être moral, personne* lub *individualité juridique*, właściwe swe prawa i obowiązki mającą.

W **współkach cywilnych**, zobowiązanie się jednego z stowarzyszonych choćby na rachunek spółki, tylko jego samego, a bynajmniej innych współstowarzyszonych nie wiąże; chyba, że go do tego upowainili, lub że *rzecz poszła na użytek spółki*: w którymto przypadku służy trzeciemu *actio de in rem verso*.

Jeżeli wszyscy stowarzyszeni sami zobowiązali się razem względem trzeciego, lub jeżeli jeden lub kilku będąc przez współstowarzyszonych do tego upoważnieni, dług zaciągnęli; natenczas wszyscy w równych tylko częściach, a jeżeli jest tylko dwóch stowarzyszonych, tedy po połowie, odpowiadają, nigdy zaś *in solidum*. Zawsze jednak stowarzyszeni, *ipso jure*, w równych częściach są odpowiedzialni, chociażby nierówne części we spółce mieli; chybaby zobowiązanie się względem trzeciego, wyraźnie w odpowiednich częściach było zastrzeżone.

W spółkach więc cywilnych, trzeciemu służy tylko poszukiwanie przeciw stowarzyszonemu, którzy się w zachodzącym interesie zobowiązali, imiennie, nie zaś przeciwko spółce; i tylko w równych częściach *pro rata*, a jeżeli się niektórzy współstowarzyszeni nie zobowiązali, jedynie z tytułu *de in rem verso*.

Inna teoria prawna panuje w trzech spółkach handlowych. W spółkach firmowej i komandytowej, stowarzyszeni za wszelkie zobowiązania się spółki, osobiście i solidarnie są odpowiedzialni, chociażby jeden tylko z stowarzyszonych, handlem lub przedsiębiorstwami spółki kierujący, imieniem spółki podpisał; wyjąwszy wszakże komandytorów, którzy *ipso jure* tylko do wysokości swych udziałów odpowiadają.

Spółki bezimienne sąto kompanie akcyonaryuszów, które ogólnie z całym swym kapitałem zakładowym i dorobionym, przez ustanowionych administratorów, osobom trzecim odpowiadają.

Z trzema temi spółkami handlowymi, prawie nie wspólnego nie mają stowarzyszenia handlowe do dzielenia się zyskiem lub stratą, *les associations en participation*.

Stowarzyszenia te, acz do handlowych policzone, jednak nie ulegając formom ani prawidłom spółek handlowych zwyczajnych, i również nie będąc uważane za spółki cywilne, stanowią poniekąd zagadkę prawną, oczekującą jeszcze rozwiązania.

Zagadka ta leży najszczególniej w tych kilku wyrazach artykułu 48 kod. handlowego:

„Les associations sont relatives à une ou plusieurs opérations de commerce”.

„Stowarzyszenia te stosują się do jednego lub kilku działań handlowych”.

Prawnicy rzymscy mawiali:

„*Omnis definitio in jure periculosa est, parum est enim, ut non subverti possit*”. Uwaga ta stosując się do definicyj prawnych, troskliwie wyrobionych, stosuje się tém bardziej do naszej gołej definicyi, która wszelkiéj prawie cechy prawniczej jest pozbawioną; gdy według niéj, spółka *en participation* nie mając pewnych granic, może w sobie obejmować to *mniéj*, to *więcéj*, i pojętą być może w szupłym albo téz w rozleglejszym zakresie działań handlowych, co do przedmiotu, a poniekąd i co do czasu.

Jakoż istotnie w téj niepewnej sferze błakają się opinie tak komentatorów kodexowych, jak i wyroki kassacyjne francuzkie.

Pardessus (1) czując wątplość nietylko owych kilku wyrazów, ale i innych określeń spółki partycypacyjnej, wysiła się aby zbadać i ustalić różnice, jakie między tą spółką a spółkami handlowemi ordynaryjnemi, zwłaszcza firmową, zachodzą, i zbiera uwagi swe w tém ogólniejszém objaśnieniu, że:

„le caractere propre d' une association en participation est qu'elle soit relative à une ou plusieurs opérations de commerce, dont *l'objet* est né au moment où les parties font leur convention, et qu' elle ne se prolonge pas au de là du temps nécessaire pour les achever”.

Bravard de Veyrières (2) przywódcząc historycznie, że stowarzyszenia *en participation*, znane i używane

(1) Cours de droit commercial, nr. 1045.

(2) Manuel de droit commercial, nr. 23.

były w średnich wiekach, objaśnia, że mają tę szczególność w sobie:

qu'elles sont limitées à une ou plusieurs opérations déterminées, et qu'elles ne sont assujetties à aucune formalité. Plus circonscrites que les autres dans leur sphère d'activité, formées en général, instantanément entre les personnes de toutes conditions elles ne relèvent en quelque sorte, que de la convention des parties".

Ostrzega nadto, że bez względu na to, jaką nazwę stowarzyszeni wspólnie między sobą zawartej nadali, do trybunałów należy ocenić: czy w wspólnie *en participation*, przedstawia się:

„ce caractère spécial, de n'avoir pour objet, qu'une ou plusieurs opérations commerciales".

Lubo przeciwko definicyjom tym nie ma nic do zarzucenia, a ostatnia prawie za wzorową uważać się daje, jednakże pomimo tych zalet, nie więcej z nich wyczytać nie można, jak co text prawa obejmuje, ponieważ cała interpretacya znowu stanęła na luźnych wyrazach *une ou plusieurs opérations de commerce*, i na trudności wyznaczenia domniemanej kodexem handlowym linii granicznej między spółką firmową, a spółką *en participation*, czyli na zapytaniu: do jakichto czynności, przedsięwzięstw, działań lub obrotów handlowych, nieformalna spółka *en participation* prawnie użytą być może, bez przekroczenia jej właściwych granic?

Sami nawet *Pardessus* i *Bravard de Veyrières* nie przejęli się duchem swych własnych definicyj, ponieważ mylnie przywodzą: jakoby umowy o wspólne kupno i sprzedaż ładunku okrętowego towarów, *cargaison des marchandises*, lub o wybudowanie okrętu, *construction d'un navire*, lub o nabywanie i dostarczanie

przez każdego z uczestników żywności dla wojska albo dla jakiego instytutu publicznego potrzebnych, miały być prostemi spółkami *en participation*.

Podobnież jurysprudencja kassacyjna często wykra-
czała za małą sferę spółki partycypacyjnej, uznawszy,
że spółka rzemieślników dla fabrykacyi i sprzedaży na-
zędzi, acz pod tytułem firmowej i bez oznaczenia ilości
narzędzi zawarta; niemniej spółka o utrzymywanie ła-
zienek; następnie spółka do użytkowania z domu fabry-
cznego; dalej do ciągnięcia korzyści z kopalń; wreszcie
spółka dwóch osób do prowadzenia handlu wianego
przez lat trzy, w ten sposób: iż jedna z nich, w swém
własnym imieniu wina zakupywać i dostarczać, druga
piwnice swe dawać i wina w własnym imieniu sprzeda-
wać miała, są spółkami *en participation*.

W innych wszakże przypadkach, po dojrzałych na-
radach, sąd kassacyjny uznawał, że spółki do prowa-
dzenia handlu ogólnie wieprzami, lub winem, wódką,
mydłem, oliwą, są spółkami firmowemi; ponieważ nie
ograniczają się na kilku li działaniach, ani na jednym
szczegółowym przedmiocie, któryby już w czasie sto-
warzyszenia był wiadomym. Z czego ogólna reguła wy-
nika, że spółki handlowe lub przemysłowe w większych
rozmiarach, co do przedmiotu i czasu, wyłącznie, tak
w całości jak w udziałach częściowych, zasadam o spół-
kach handlowych ordynaryjnych, ulegają.

Lecz na niepewnej teorii komentatorów, na kołysa-
jącej się jurysprudencji kassacyjnej poprzestać nie może-
my. Potrzeba nam trwałych punktów oparcia i ujęcia;
potrzeba argumentów do stanowczego rozwiązania w te-
oryi: czém spółka partycypacyjna jest w systemacie
wszystkich spółek, i jaki jest jej ściśle prawny zakres

działalności handlowéj? Tych punktów i argumentów tam szukać powinniśmy, gdzie ich komentatorowie i prawnicy **kassacyjni** nie szukali: to jest w bezpośrednich źródłach historycznych kodexu handlowego, w powołanych na początku *Pothier* i *Loché*.

Pothier wykładając teorye *du pays de droit écrit et du pays de droit coutumier*, w rozdziale o różnych rodzajach spółek, dzieli w duchu prawa rzymskiego, wszelkie spółki na ogólne, *universelles*, i szczególne, *particulieres*. Do ogólnych liczy *societatem universorum bonorum*, i *societatem universonum, quae ex quaestu veniunt* (1).

O spółkach szczególnych, *sociétés particulieres*, tak przywodzi:

„Jest kilka rodzajów spółek szczególnych. Zawierane są bowiem takie spółki, aby mieć wspólnie pewne rzeczy szczególne (*particulieres*) i dzielić się ich przychodami. Są także spółki dla wspólnego prowadzenia jakiego kunsztu lub professyi, *art ou profession*; są nakoniec spółki handlowe.”

Następnie traktuje o tych rozmaitych spółkach szczególnych w trzech rozdziałach, pod następującemi napisami:

§ 1 *de la société de certaines choses*;

§ 2 *des sociétés pour l'exercice d'une profession*;

§ 3 *des sociétés pour un commerce*.

W paragrafie 2, do którego art. 1842 k. c. się stosuje, *Pothier* objaśnia:

„Wiele osób jednéjże professyi lub jednegoż rzemiosła (*profession ou métier*) stowarzyszyć się mogą, dla

. (1) Rzymskie wyrażenie jest: *societas omnium omnino bonorum, vel eorum quae ex quaestu veniunt*.

wykonywania swój professyi lub swego rzemiosła, i ułożyć się między sobą, aby wszelkie zarobki, jakie z jednej lub drugiej strony, skutkiem wykonywania rzemiosła lub professyi mieć będą, wniesione były do jednej wspólnej massy, dla podziału między sobą. Wiele bywa spółek tego rodzaju pomiędzy mularzami."

W trzecim paragrafie *Pothier* przywodzi, że *Savary* w swém: *Parfait négociant*, rozróżnia trzy rodzaje spółek handlowych, a mianowicie:

„Les sociétés en nom collectif; les sociétés en commandite; les sociétés anonymes et inconnues."

Po wyjaśnieniu pierwszych dwóch rodzajów spółek handlowych, *Pothier* tak się wyraża:

„Współka bezimienna lub niewiadoma, która się także *se compte en participation* zowie, wtenczas zachodzi, gdy dwie lub kilka osób umawiają się o uczestnictwo w pewnej jakiej negocyacji, którą jedna z nich pod swém tylko imieniem robi."

Do definicyi téj przytacza następujący przykład:

„Trafia się komu pewna ilość towarów do nabycia. Nie mając sam dostatecznego funduszu, pisze więc do drugiego, czyliby nie chciał być uczestnikiem (*être de part*). Ten drugi na to się zgadza, odpisując, że prześle mu potrzebny fundusz na swój udział. W skutku tego, pierwszy robi kupno w swém własnym tylko imieniu. On więc jest wiadomym, a drugi niewiadomym stowarzyszonym."

Potém dodaje:

„I to także jest rodzaj spółki bezimiennéj, którą spółką *chwilową, momentanée*, nazywają. Naprzykład, gdy tandeciarze, *revendeurs*, na licytacyi mebli i rozmaitych innych ruchomości, umawiają się o wzajem-

nie uczestnictwo w nabytych przez siebie rzeczach, aby się następnie niemi podzielić.”

Przykłady te odnoszą się oczywiście tylko do pojedynczych lub chwilowych, lub pomniejszych interesów handlarskich; i spółka, którą *Pothier* pod nazwą spółki bezimiennéj objał, niczém inném nie jest, jak spółką *en participation*, nie mającój żadnego podobieństwa do spółki bezimiennéj, kodexem handlowym w art. 29 i następnych ustanowionéj.

Jakoż w rzeczy saméj, wykład motywów przez radcę stanu *Regnaud de St. Jean d'Angely* zgromadzeniu prawodawczemu przedstawiony, przekonywa: że redaktorowie kodexu handl., zapatrując się na *ordonnance* z roku 1673 o handlu lądowym, i znajdując, że w nim dwie tylko spółki, a mianowicie: *la société générale* czyli *en nom collectif* spółka firmowa, i *la société en commandite* są objête; przydali w swym projekcie jeszcze dwie inne spółki, a mianowicie spółkę akcyonaryuszów, *la société par actions*, którą kodex handlowy wyłącznie *société anonyme*, spółką bezimienną nazwał, i *la société en participation*. W ogólności więc cztery rodzaje spółek handlowych przypuszczali.

Tymczasem rada stanu ograniczyła je do trzech pierwszych:

„parceque la société en participation, n'étant qu'un acte passager, qu'une convention qui s'applique à un objet unique, et ne repose pas sur les mêmes bases, ne peut avoir les mêmes résultats que les trois autres genres d'association.”

Z widokami temi zgadzała się zupełnie opinia trybunatu przez *Jard-Pauvillier* zgromadzeniu prawodawczemu przedstawiona, z której wyraźnie się okazuje, że

wspólka bezimienna kodexem handlowym objęta, była poniekąd nowym utworem, przez redaktorów kodexowych zrobionym, różniącym się od definicyi przyjętej w komentarzu do *ordonnance* z roku 1673; że nadto spółka *en participation* jedynie do tych wypadków zastosowaną została, które komentator (Pothier) pod nazwą: spółtek bezimiennych objął.

Jakoż po wyłożeniu zasad trzech spółtek handlowych formalnych, Jard-Panvillier przywodzi co następuje:

„Enfin, la loi reconnaît aussi une espèce de société qu'on appelle association commerciale en participation; mais comme cette association n'est que *momentanée*, qu'elle n'a pour objet qu'une ou un petit nombre d'opérations déterminées, et qu'elle se règle par les conventions des parties, elle n'est point sujette aux formalités prescrites pour les autres sociétés.”

Dla uzupełnienia obrazu tych działań i zasad prawodawczych, przydać jeszcze należy te spostrzeżenia, jakie i w radzie stanu, i w trybunacie wprzód poczyniono, nim się do zgromadzenia prawodawczego udano.

Na wniosek *Treilharta*, ażeby dla udowodnienia stowarzyszenia *en participation*, wymagany był jakikolwiekby dowód na piśmie początkujący, *Regnaud de Saint Jean d'Angely* odpowiedział (1):

„que les sociétés en participation ne se forment pas toujours entre des négocians, qui aient des livres, ni par correspondance. Dans les foires, par exemple, dans les marchés des grandes villes, la convention est verbale. Des marchands de chevaux, de bestiaux, de comestibles etc., conviennent d'acheter en commun, et rien n'est

(1) Locré, tom XVII, str. 194.

écrit. Il est donc indispensable de permettre aux contractans, de prouver le marché par témoins. Au surplus, les tribunaux seront, sans doute, *très réservés* à admettre ce genre de preuve, *quand il ne sera pas appuyé d'un commencement de preuve par écrit*".

Ponizéj *Defermon* zrobit uwage:

„que, peut-être, il conviendrait de rendre plus exactes les définitions contenues dans l'article, afin qu'on ne pût jamais confondre la société en participation avec la société *ordinaire*. Il faudrait dire, qu'indépendamment des sociétés énoncées dans cet article, la loi reconnaît encore la société entre plusieurs *pour une seule affaire*."

Ponizéj znowu, na wniosek *Treilhauda*, że artykuł, który tylko trzy rodzaje spółek przypuszcza, zdaje się być niezgodnym z artykułem, przypuszczającym nadto spółkę *en participation*. *Regnaud de Saint-Jean d'Angely* odpowiedział (1):

„qu'il s'agit dans l'article... des sociétés formées pour *une suite d'opérations*, et que la société en participation n'est qu'une association pour *une affaire du moment*".

Podług spostrzeżeń ogólnych trybunatu (2), na zapytanie: dlaczego stowarzyszenia *en participation* nie stanowią czwartego rodzaju spółek, odpowiedziano:

„C'est que l'association en participation n'est qu'un *marché d'un moment* relatif à quelque opération passagère, et qu'en cela elle diffère de la *société* dont le lien plus *durable* forme entre les associés une communauté d'intérêts continus".

(1) Loaré, tom XVII, str. 258.

(2) Loaré, tom XVII, str. 293, 309.

Czémże więc jest, podług Pothier i autorów kodexowych, *compte en participation*, lub *association* lub *société en participation*?

Jestto: *une société pour une seule affaire; pour une affaire du moment; un marché d'un moment relatif à quelque opération passagère; un acte passager; une convention qui s'applique à un objet unique; une association qui n'est que momentanée, qui n'a pour objet qu'une ou un petit nombre d'opérations déterminées.*

A czémże nie jest?

Nie jest: *une société pour une suite d'opérations; nie jest une communauté d'intérêts continus.*

W tém więc tylko znaczeniu, tak twierdzacém jak przeczacém, w tém tylko ograniczeniu, w téj ścisłej sferze działalności, wysłowienie się prawa *une ou plusieurs opérations*, wzięte być może.

Stowarzyszenia więc partycypacyjne, obejmować mogą tylko jeden przedmiot, jeden szczegół oznaczony, pewny, wiadomy; tylko jeden interes, targ, handel, w którym nie więcej, jak jednego lub kilku obrotów handlowych potrzeba, ażeby handel ten zakończyć i podział spółki uskutecznić.

Stowarzyszenie partycypacyjne nie może w sobie obejmować wiele rozmaitych towarów, jak np. ładunek okrętowy, *cargaison*; nie może dotyczyć interesu, wymagającego wiele czasu i wiele rozmaitych materiałów, lub wiele rozmaitych układów, jak np. budowa okrętu.

Z porozrzucanych powyżej cytacyj okazuje się nadto, że autorowie kodexu handlowego pojęli te proste spółki handlowe, z codziennych potrzeb rodzące się i do nich odnoszące się, prawie tylko w stosunku do zwy-

czajnych *handlarzy*, którzy ksiąg handlowych nie utrzymują, częstokroć pisać nie umieją, i słownie o wspólny targ *tych wołów, tych wieprzy, tych wiktuałów, tych towarów*, najczęściej w obec innych handlarzy, a zatém w obec świadków *umawiają* się, i jednym lub kilkoma obrotami handlowemi, cały handel i całą spółkę załatwiają. Dlatego, ku udowodnieniu podobnego rodzaju spółek szczególnych handlowych, nie wymagając żadnych dowodów piśmiennych ani nawet początkowego dowodu na piśmie, poprzestali na prostym dowodzie ze świadków, za dozwoleniem go jednak dopiero przez trybunał; spodziewając się, że trybunały bardzo rozważnie i oszczędnie z nadaną sobie atrybucyą postąpią, i że nadewszystko spółki partycypacyjnej nad właściwy zakres nie rozciągną. Słowem, uważając spółkę partycypacyjną za środek prawny, który jedynie do jednego szczególnego targu towarów lub płodów jednakowej natury służy, i *rychle* kilkoma najwięcej obrotami handlowemi ukończenie, i rozwiązanie spółki za sobą ciąga: autorowie kodexu handlowego nie mieli tego bynajmniej na widoku, ażeby spółka ta miała kiedykolwiek służyć do wspólnego handlu, lub przedsiębiorstwa znacznemi wartościami, lub co większa, do jakichkolwiek bądź przedsiębiorstw wspólnych, wymagających ciągłego i długiego działania, czyli wykonywania nieprzerwanego pasma rozmaitych i różnych czynności handlowych lub przemysłowych.

Tego rodzaju interesa, w duchu jurysprudencji kodexowej, nie są pozostawione ani swobodnym formom, ani płytkim dowodom, ani skutkom prawnym, jakie spółkom partycypacyjnym służą.

Gdyby **jurysprudencja**, oparta na kodexach handlowym i cywilnym, była się przejęła duchem tych zgodnych widoków i motywów, tak przez redaktorów kodexu handlowego, jak przez radę stanu i trybunat, na koniec przez zgromadzenie prawodawcze przyjętych; nigdy nie byłaby tyle wątplych kwestyj wywołała, nie byłaby się tylu sprzecznemi z sobą wyrokami powikłała, i nie byłaby się tylu zhoczeń od teoryi kodexu handlowego dopuszczała.

Z powyższych bowiem wywodów i argumentów okazuje się, że autorowie kodexu handlowego, prostując *ordonance* z r. 1673 i komentatora (Pothier), ustanowili trzy spółki handlowe formalne do wszelkich przedsiębiorstw handlowych, większych i wielkich, trwałych i ciągłych, słowem, do wspólnego prowadzenia handlu w całym znaczeniu tego wyrazu, do przedsiębiorstw, wymagających wiele działań handlowych i wiele czasu. Obok zaś tych trzech spółek formalnych, właściwemi cechami prawnymi uposażonych, pozostawili, na innej podstawie, do pojedynczych, przypadkowych, chwilowych, przemijających stowarzyszeń handlowych owe pierwiastkowe *compte en participation*, *société momentanée*, *société* lub *association en participation*, prosty rachunek zysku lub straty pomiędzy handlarzami, tandeciarzami, kramarzami, którzy, za następczeniem się jakiego korzystnego interesu handlarskiego, lub na aukcyi, licytacyi, lub na jarmarku, na targu, porozumieli się między sobą o zrobienie wspólnemi funduszami i na wspólne ryzyko, jakiej spekulacyi handlarskiej, której początek styka się bezpośrednio z jej końcem.

Takie stowarzyszenie się, jest ze swego zarodku i pierwiastku niczem inném, jak spółką szczególną

rymską, w art. 1841 i 1842 k. c. przewidzianą, względem pewnych rzeczy, szczegółowo oznaczonych, lub jakiego przedsiębiorstwa oznaczonego, lub do wykonywania jakiej profesyi.

Jak stowarzyszenie się kilku uczestników, dla jakiego wspólnego zarobku i dzielenia się stosunkowo zyskiem lub stratą, jest: pomiędzy niehandlującymi, spółką szczególną cywilną, *société particulière civile*; tak pomiędzy handlarzami, *compte, association, société en participation*, stanowi spółkę szczególną handlową, *société particulière commerciale*, spółkę handlową zwyczajną, *prosta*, z tą wszakże różnicą, że w spółkach szczególnych cywilnych ani wielkość przedmiotu lub przedsiębiorstwa, ani czas trwania ograniczonymi nie są; w spółkach zaś partycypacyjnych, handel ograniczyć się powinien na jednym towarze, na jednym targu i na kilku najwięcej obrotach handlarskich, do tegoż towaru, do tegoż targu ściągających się; niemniej, że w spółkach cywilnych nad wartość 150 franków, dowód ze świadków względem istnienia i warunków spółki nie jest dopuszczalnym, gdy nie ma początkowego dowodu na piśmie; w spółkach zaś partycypacyjnych, dowód ze świadków takiemu ograniczeniu nie ulega, i przez trybunał, w miarę jego uznania, dozwolonym być może.

Wszelako, z całej, że tak powiem, operacji prawodawczej powyżej opisanéj, okazuje się, że redaktorowie i autorowie kodexu handlowego, pomimo troskliwego oddzielenia spółki partycypacyjnéj od trzech formalnych spółek handlowych, nie dostrzegli podobieństwa zachodzącego między spółką szczególną *rymską* a spółką *zwyczajową* partycypacyjną; inaczéj by-

liby tę ostatnią wyraźniej z artykułami 1841 i 1842 k. c. połączyli. I oni, podobnie jak późniejsi prawnicy, nie mieli tej wiedzy historycznej, że w prawach zwyczajowych, *droit coutumier*, powstała sama przez się, z codziennych potrzeb społeczeństwa i handlowych, spółka *en participation* zwana, równająca się w zarysach i zasadach swoich, spółce szczególnej rzymskiej: ztąd to pochodzi płytka redakcja czterech artykułów kodexu handlowego od 47 do 50, której następna jurysprudenca kassacyjna nazbyt wiernie usługiwała.

Jakkolwiek bądź, przyznanie działaniom pod formą spółki *en participation*, większej sfery, większego zakresu działalności handlowej nad widoki i ducha prawa kodexowego, nad literalne brzmienie tych kilku słów: *une ou plusieurs opérations*, nad wyraźne objaśnienia z Pothier i z Locré wyciągnięte: byłoby *wyszyczeniem całego systematu o spółkach cywilnych i handlowych i całej teorii dowodowej*.

Autorowie kodexu handlowego jedynie dlatego tak łatwy sposób dowodzenia umowy, bytu i warunków spółki partycypacyjnej w art. 49 K. H. przyjęli, że spółka ta tylko do małych targów i tylko dla pospolitych handlarzy służyć miała; bynajmniej zaś do wielkich wartości lub wielkich przedsięwzięć handlowych, albo do kilkunastu lub kilkudziesiąt działań handlowych.

Już samo wyrażenie *opérations*, wyłącza z zakresu spółki partycypacyjnej działania handlowe, pod wyrazem *entreprises* objęte.

Gdyby wolno być miało, większe przedsięwzięcia handlowe, za pośrednictwem luźnej spółki *en participation* wykonywać: na cóżby były inne trzy spółki handlowe, ustanowione i uroczystymi formami otoczone?

Nastąpiło to dlatego: ponieważ akta formalne, umowy w pewne karby porządku prawniczego wzięte, interes wszystkich tak samych stron jak osób trzecich zabezpieczają, i skutkom podstępny lub zły wiary lub zmo- wy szkodliwej zapobiegają; i ponieważ prawo chciało, aby, gdy spółki handlowe w nieco większych rozmiarach co do przedmiotu i czasu prowadzone, zwykle wiele osób trzecich dotyczą i do zawitych sporów i rachunków przyczyniają się: nie inaczej tylko za pośrednictwem spółek formalnych były zawierane.

Gdyby przez spółki *en participation*, których byt i warunki, tak łatwo samemi li świadkami, bez wymagania początku dowodu na piśmie, acz za dozwole- niem trybunału, dowodzone być mogą, wolno być miało toż samo zrobić, co przez spółki firmowe lub komandytowe: na cóżby była postanowiona niemożność dowo- dzenia spółek firmowych lub komandytowych, jak tylko formalnym aktem piśmiennym; albo, we spół- kach cywilnych nad 150 franków, niedopuszczalność dowodu ze świadków, gdy nie dostaje początkowego do- wodu na piśmie?

W spółkach małego interesu, w spółkach *en par- ticipation*, w których umowa lub porozumienie się między handlarzami, zaczyna się i kończy na kilku słowach, przypominających rzymskie *stypulacye*; w których następnie sam wspólny handel, zupełnie się załatwia je- dnym, lub kilkoma obrotami handlowemi: prawo mogło poprzestać na dopuszczeniu wszelkich sposobów dowo- dzenia bez ograniczeń: lecz większe spółki co do przed- miotu i czasu, wyłączyło spod tej swobody, słusznie nie dowierzając handlującym i spekulantom, i przywią- zując ich dobrą wiarę do wyraźnych dowodów na piśmie,

nie zaś do zeznań świadków, które może nietylę są niepewne pod względem sumienności świadka, ile pod względem tym, jak on to, co było mówione, pojął i zrozumiał; czy spółka doszła lub nie doszła do skutku, i pod jakimi warunkami?

Nie byłoby to płytko i niedorzecznie, gdyby jedno i toż samo prawodawstwo wyrzekło, że dla udowodnienia spółki cywilnej nad 150 franków, potrzeba mieć koniecznie kawałek dowodu piśmiennego; inaczéj, ani dowód ze świadków, ani przysięga z urzędu nie będą miały miejsca; albo, że dla udowodnienia spółki firmowej lub kommandytowej, potrzeba koniecznie i bezwarunkowo okazać zupełny akt spółki na piśmie; a przeciwnie, dla udowodnienia spółki *en participation*, chociażby przez nią poszukiwany był przedmiot na kilkakroć sto tysięcy, lub zysk z kilkuletnich działań handlowych, miałyby być dosyć mieć za sobą goły dowód ze świadków, przez trybunał dozwolony.

Cała zaś płytkość, cała niedorzeczność zniknie, gdy zamkniemy spółkę partycypacyjną w jej właściwej sferze działalności handlowej; gdy w pojmowaniu i tłumaczeniu wyrazów: *une ou plusieurs opérations*, trzymać się będziemy nie komentatorów i sprzecznych wyroków kassacyjnych, ale bezpośrednio samych redaktorów i autorów kodexu handlowego, którzy, jak na początku nadmienilem, najniezawodniejszemi są przewodnikami co do znaczenia litery, co do myśli, zakresu i celu prawa, i którzy spółkę partycypacyjną w szczupłym zakresie tak co do przedmiotu jak co do czasu, zamknęli.

Po rozwiązaniu pierwszego pytania, po zamknięciu spółki partycypacyjnej w jej właściwej, szczupłej sferze

rze działalności handlowej, inne pozostające kwestye z łatwością, prawie same z siebie się rozwiązują.

Wprawdzie jurysprudencya kassacyjna nie zdołała ochronić się od rażących sprzeczności, uznawszy, np. że spółka partycypacyjna jest osobą moralną, *être, personne morale, individualité juridique*, chociaż częściej uznawała że nią nie jest; albo w jednym wypadku, że chociażby wszyscy uczestnicy spółki partycypacyjnej względem trzeciego się zobowiązali, przecież nie solidarnie lecz tylko *pro rata* odpowiadają; w innym znowu wypadku przeciwnie, ale bez wyłączenia motywów, że gdy wszyscy się zobowiązali, wtedy *in solidum* odpowiadać powinni.

Co do kwestyi, czy stowarzyszenia partycypacyjne sądom polubownym koniecznym ulegają, jurysprudencya kassacyjna prawie za jednostajną regułę przyjęła, że im ulegają.

Cóż to dowodzi? Zaiste, nie; albo raczej, że jurysprudencya francuzka straciwszy punkt środkowy, *le point de départ*, popadła w nieład sprzeczności i płytkości, z którego wycofać się jój trudno.

Dowodem tego jest między innymi, Bravard de Veyrières, który pomimo rozumowań konsekwencyjnie prowadzonych, mylne przypuszczenia przyjąwszy, do mylnego przyszedł rezultatu, wnosząc, jakoby uczestnicy partycypacyjni osobę moralną stanowią i solidarnie odpowiadać powinni.

Możnaby powiedzieć, że im są młodszy komentatorowie tém ich jurysprudencya płonniejsza; gdy np. dawniejszy *Pardessus* przeciwnego jest zdania, czując wielką niestosowność podobnej teoryi.

Rozmaitość zdań nie dowodzi, i rozwiązanie następczych kwestyj szczegółowych zawisło od głównych zasad przez redaktorów kodexu handlowego przyjętych, i textem prawa popartych.

Kodex handlowy w art. 47 z góry ostrzega dobitnym, nie dwuznacznym wyrażeniem: *Indépendamment de trois espèce de société, ci-dessus*, że spółka partycypacyjna prawidłom trzech rzeczywistych spółek handlowych w niczym nie będzie ulegała.

Ale na tém krótkim objawieniu, autorowie kodexu niepowinniby byli poprzestać, z uwagi na to, że prawa nietylko ze względem na ogół społeczeństwa czyli stron, lecz i z nieodłącznym względem na rozmaitość prawników, sędziów, redagować należy.

Powiedziawszy w art. 48 K. H., że stowarzyszenia partycypacyjne we względzie przedmiotów, form działania, stosunku udziałów i warunków, rozpoznawane będą podług zawartych między uczestnikami układów: autorowie kodexu powinni byli wyraźnie wyrzec, jakim zasadom stowarzyszenia te podpadać będą, jeśliby w czém nie dostawało wyraźnej umowy uczestników.

Niedostatek ten wszakże zastąpiony jest główną zasadą, całemu kodexowi handlowemu sterującą: że ile razy kodex handlowy, lub zwyczaj handlowe, nie wskazują szczególnych praw handlowych, tyle razy powszechne prawo cywilne obowiązuje w kwestyach handlowych.

Co do spółek, zasada ta nawet jest powtórzona w art. 18tym K. H., który stanowi: że kontrakt spółki podlega przepisom *prawa cywilnego*, szczególnym prawom handlowym i wzajemnym układom stron.

Gdy dla **współek partycypacyjnych**, po wyłączeniu ich (art. 47) **zpod wszelkich prawideł** trzem spółkom handlowym **formalnym** nadanych, żadne szczególne przepisy handlowe postanowionemi nie zostały, prócz ograniczenia ich do **jednego lub kilku obrotów handlowych** i zwolnienia teoryi dowodowej cywilnej: przeto oczywiście w każdym innym względzie, **zasadom kodexu cywilnego o spółkach** podpadają.

Współki cywilne, osoby moralnej nie stanowią, uczestnicy ich nie *in solidum* lecz tylko *pro rata* i *de in rem verso* odpowiadają, ich spory ze spółki wynikające sądom polubownym koniecznym nie ulegają.

Wszystkie więc zasady te znajdują zastosowanie swe do **współek partycypacyjnych**.

Na poparcie prawdy téj, służą w szczególności następujące jeszcze argumenta:

Już *Pothier* (1) uważał że w spółkach przez niego bezimiennemi czyli niewiadomemi zwanych, to jest w spółkach *en participation* stowarzyszeni bezimienni wcale wierzycielom za długi spółki nie odpowiadają, tylko swemu współ-stowarzyszonemu ważnie względem nich działającemu, każdy w stosunku swój części z jaką do spółki należał, a w razie strat, stosunkowo, aż do ich pokrycia. Powtóre, *Jard-Pauvillier* w powołanym już wyżej głosie swym do zgromadzenia prawodawczego (2), objaśnia: „iż w materji o spółkach było niezbędném aby kodex handlowy oznaczył główne prawidła formowania i prowadzenia **współek**, to jest **trzech spółek handlowych formal-**

(1) *Oeuvres de Pothier*, Paris, 1835, seconde partie. *Traité du contract de société*. Chapitre VI. § II, str. 999.

(2) *Loché*. XVII, 359.

nych, bez uwłaczania wszakże ogólnym zasadom przez kodex cywilny w téj materji ustanowionym, ani nawet tym, które przez *ordonnance* z r. 1673 są ustanowione. Potrzebie, kodex cywilny w art. 1862, wyrzekł: że w spółkach, *sociétés*, niehandlowych (*association* zaś nie jest *société* w ścisłym znaczeniu), stowarzyszeni nie są odpowiedzialni solidarnie, i jeden stowarzyszony innych zobowiązywać nie może, jeżeli go nie umocowali.

I art. 1873 K. C. objawiający: „że przepisy o spółkach cywilnych, stosują się do spółek handlowych w tych tylko punktach, w których prawom i zwyczajom handlowym nie są przeciwne”, wspiera powyższą prawdę zasadniczą, gdy podług przywiedzionej teoryi z Pothier, prawa lub zwyczaje handlowe w spółkach *en participation* nie tylko nie były przeciwne powszechnemu prawu cywilnemu rzymskiemu, ale owszem z nié m się zgadzały.

Nakoniec zastanawiając się nad stowarzyszeniem profesjonalistów, podług art. 1842 K. C., i nad stowarzyszeniem handlarzy, podług art. 48 K. H., do pewnego przedsiębiorstwa, w celu odniesienia wspólnemi staraniami jakiego zysku i podzielenia się nim stosunkowo, lub w razie niepomysłnym, poniesienia stosunkowych strat wspólnie, jakażby tu miała zachodzić ważna różnica co do profesjonalistów i handlarzy, jednych względem drugich, któraby różnych zasad prawa wymagała? Profesjoniści i handlarze, jedni i drudzy skupują materiały, płody; przenoszą, przerabiają je, lub przemieniają według potrzeb w ten lub w inny sposób, i starają się, bądź sami bądź w spółce z innemi jak najdrożej je zbywać.

Co to może trzecich obchodzić, że ktoś sam dla siebie lub téż w wspólnie z kim innym jaki szczególny interes handlowy zrobi? Trzeci wie z kim się wdaje, jego więc patrzeć powinien, a dosyć że mu prawo dozwala akcyi *de in rem verso*.

Niéma więc tu tak ważnych różnic co do stosunków i okoliczności. Różnica bowiem ręcznej roboty względem drobnego handlu kończy się w wspólnie na ułożonych między stowarzyszonymi stosunkowych korzyściach i stratach.

Lubo co do możności dowodzenia bytu prawnego spółek cywilnych bądź ogólnych bądź szczególnych i stowarzyszeń handlowych *en participation*, kodex cywilny i handlowy odmiennie ustanowił teorye, gdy exystencya spółki cywilnej nad 150 franków wartości nie może być udowodniona świadkami, bez początku dowodu piśmiennego; exystencya zaś spółki partycypacyjnej, acz podobnie jak spółka cywilna szczególna do jednego szczególnego przedmiotu ograniczona, może być bez początkowego dowodu na piśmie dowodem z świadków popieraną, jeżeli sąd *in casu concreto* tego dowodu dopuszcza: jednakże różnica ta, w stosunku do profesjonalistów i handlarzy, nie znajduje dostatecznego usprawiedliwienia w szkole i historii doświadczenia. I sami autorowie kodexu handlowego to czuli, pozostawiając dopuszczenie dowodu ze świadków uznaniu trybunałów, i radząc im ażeby w téj mierze z wszelką oględnością postępowały.

Pozostaje do wyjaśnienia mniemana różnica między spółkami cywilnymi, zwłaszcza *szczególnymi*, a spółkami *en participation*, w materji sądów polubownych. Takim sądom spółki cywilne *ipso jure* nie ulegają.

Czyż spółki *en participation* sądom polubownym koniecznym ulegać powinny?

Podług jurysprudencji kassacyjnej francuzkiej do art. 51 K. H. odnoszącej się, stowarzyszenia handlowe *en participation* koniecznie sądom polubownym podobnie jak inne trzy spółki handlowe zwyczajne, podlegają.

Wprawdzie z siłą przemagającą trudno walczyć; lecz ażeby spory stowarzyszonych *en participation* miały podlegać sądom polubownym koniecznym, o tém redaktorowie i autorowie kodexu handlowego wcale ani myśleli ani myśleć nie mieli potrzeby.

Albowiem Regnaud de St. Jean d'Angely w imieniu rady stanu objaśniwszy że spółka partycypacyjna jest *un acte passager qui s'applique à un objet unique*, nie może mieć *les mêmes résultats que les trois autres genres d'association*, następnie rozwiniąwszy tylko trzy te spółki formalne, wyraża się na końcu w ten sposób:

„Si dans les sociétés ainsi organisées, soumises à des règles précises..... s'il survient des contestations, la loi en enlève la connaissance aux tribunaux, elle ordonne le jugement *par arbitres*...; elle fixe un mode particulier qui assure la *prompte expédition* des affaires...”

Ze strony zaś trybunatu, Jard-Pauvillier powiedział także, że stowarzyszenie czyli spółka partycypacyjna jest tylko chwilową, tylko jeden lub małą liczbę obrotów handlowych za przedmiot mającą, kończy tak: „qu'elle n'est point sujette aux formalités prescrites pour les autres sociétés, qui, d'ailleurs ont toutes un

avantage commun, celui de faire juger par *des arbitres leurs contestations*".

Nadmienia przytém, że sądy polubowne dla tych spółek handlowych, mają na celu unikanie instrukcyi i powolności zwyczajnych wyroków.

Każdy widzi na piérwszy rzut oka że tak rada stanu jak i trybunat, sądy polubowne konieczne jedynie do trzech spółek formalnych stosują, z wyłączeniem spółki *en participation*, która z natury swojej mając szczyły zakres działań czyli obrotów handlowych, będąc tylko przemijającym, chwilowym stosunkiem stowarzyszonych, do jednego li szczególnego interesu handlowego i jednego lub kilku w nim obrotów handlowych ograniczoną, nie wymaga bynajmniej tego, aby spór między stowarzyszonymi o podział zysku lub straty do sądu polubownego był odesłany. To owszem w tym przypadku zrzędziłoby zwłokę, której zamierzano unikać w spółkach formalnych, zawsze wielką liczbę działań i rachunków handlowych w sobie mieszczących, przez poddanie ich sądom polubownym koniecznym. Prosty, łatwy rachunek, przez obiedwie strony przedstawiony, *compte en participation*, *compte à demi*, może i powinien być natychmiast w trybunale handlowym, który się przecież z kupców, z techników, czyli znawców handlowych składa, rozpoznawanym i osądzonym bez odsyłek do innych sądów.

Skréślony w ciągu niniejszój rozprawy obraz jurysprudencyi komentatorskiój i kassacyjnój francuzkiój nie przemawia zaiste za jój chlubą. Jéjto winna, że metodę historyczną zaniedbują: lecz z drugieój strony wyznać przychodzi, że zarodek téj niepewności i zmienności leży poniekąd w samym kodexie, czyli raczój w téj

niepokonanéj niczém trudności, jaka z nieobliczonych przyczyn i wpływów każdéj kodyfikacyi prawa towarzyszy.

Autorowie kodexu handlowego układając system spółek handlowych zrobili nazbyt nagły przeskok od krępowanych formami i skutkami spółek zwyczajnych handlowych, do wyzwolonej z wszelkich więzów prawnych spółki partycypacyjnej, nie pozostawiając pomiędzy temi przedziałami żadnego przejścia, żadnej formy pośredniej, którójby się imać mogli handlujący i przedsiębiorcy, w wielolicznych i rozmaitych obrotach handlowych, do zawiązania stowarzyszeń handlowych wprawdzie trwalszych i więcéj opatrzonych jak proste spółki partycypacyjne lecz nieulegających tak uciążliwym formom i skutkom jak spółki handlowe zwyczajne.

Niedostatek takiej spółki pośredniczej objawia się w świecie handlowym przez zawiązanie wielu spółek, które podług prawideł kodexem handlowym ustanowionych, właściwie ani do spółek ordynaryjnych, ani do spółek partycypacyjnych nie przystają. Tegoto rodzaju spółki, są w rzeczy samej główną przyczyną sprzeczności wyroków kassacyjnych, tak z prawem handlowém, jak i między sobą.

Nadto w art. 632 i 633 K. H., uważać się dają nader wielkie zboczenia od pierwotnej natury i istotnego stanu stosunków, czynów i działań społecznych. W nich bowiem, podciągnięte są pod pojęcie i skutki *czynności handlowych, actes de commerce*, i takie czynności, które bynajmniej do zakresu handlowego nie należą, i tego, co pod wyrazem handel rozumiemy, nie stanowią; gdy owszem, pod względem ogólnego stanu

społeczeńskiego, naturę zwyczajnych czynności cywilnych mają, jak np. przerobienie i przekształcenie płodów natury przez rzemieślników, albo budowa statków do żeglugi przez budowniczych.

Przez to każdy rzemieślnik, który surowe materiały kupuje i w inne formy przemienia, przerabia lub przekształca, a następnie sam lub w spółce z innymi sprzedaje, powołany jest przed trybunał handlowy, jakoby handlujący, i skutkom prawa handlowego pozostawiony.

Przez to więc autorowie kodexu handlowego udaremniili prawie zupełnie porządniejszą, bo wziętą w pewne karby prawnicze spółkę szczególną cywilną, w art. 1842gim kod. cywil. ustanowioną, która przecież tak brzmi:

„Kontrakt, mocą którego kilka osób stowarzyszy się, bądź dla jakiego przedsiębiorstwa wyraźnie oznaczonego, bądź dla wykonywania jakiego kunsztu, jest także spółką szczególną”.

Któż bowiem może korzystać z téjże instytucyi, acz wyższém ukształceniem prawném, niżeli spółka partycypacyjna opatrzonéj skoro każdy rzemieślnik, gdy nie robi li na obstalunek, lecz i z własnych materiałów i ogólnie na sprzedaż, za handlującego będzie uważany?

Otóż, bądźto niedostatek spółki handlowéj któraby środek między spółką ordynaryjną, zwłaszcza firmową, a spółką partycypacyjną trzymała, bądźto niewłaściwe rozprzestrzenienie pojęć handlowych nad ich naturalny zakres, a tym sposobem udaremnienie ucywilizowanéj spółki szczególnéj, artykułem 1842gim k. c. objętej, któraby nader łatwo powyższy niedostatek kodexu handlowego mogła była zapęłnić: tego wady ko-

dexu handlowego wprawdzie zniewalają do pobłażania nierównemu i niejednostajnemu torowi jurysprudencji kassacyjnej, acz częstokroć za prostą rutyną, lub powierzchowną teorią, żadnym zgłębieniem historycznym nie posilaną, postępującą; lecz nie usprawiedliwiają nigdy rozciągnięcia tak luźnej instytucji, jaką jest spółka partycypacyjna nad jej szczypty zakres, wbrew motywom kodexowym, którym wszakże powaga interpretacji autentycznej służyć powinna.

Heylman.



SZCZEGÓŁY STATYSTYCZNE, DOTYCZĄCE
WIELKIĘJ BRYTANII.

PRZEZ

Piotra Steinkellera.

Kogóż, co choć cokolwiek zastanawiać się lubi, nie uderzy ogrom tak moralnej, jak i materialnej potęgi ludu, który osiedlony na skraju Europy, oddzielony od niej głębiną morza; odebrawszy w udziale od przyrody ziemię skąpą, nieurodzajną, bez zasobów bogactw kopalni, wznosił się jednak do tego stopnia pomyślności, jakiej ani nowa, ani starożytna historia nie daje przykładów? Kogóż nie zastanowi ten fenomen w układzie społeczeństwa odwiecznego ludów? komuż obojętnymi być mogą szczegóły jego układu?... Śledziłem je i ja pilnie, i owoc moich badań, w skróceniu czytelnikom daję.

Uprzedzam jednakże, iż ta moja praca nie jest całkowitą, to jest nie obejmuje wszystkich odcieni statystycznego stanu monarchii, której flaga powiewa na wszystkich morzach świata; której przemysł, handel i wpływy moralne i materialne, tyle przeważnie działają na los nie tylko Europy, ale i innych części świata; której wre-

szcie bezpośrednie panowanie rozciąga się od bieguna do bieguna kuli ziemskiej, tak, że gdzie tylko krok swój poniesiesz, w którą stronę zarzuci cię igraszka losu lub własnej twojej woli, wszędzie widzisz lwa Anglii, majestatycznie wznoszącego swoją ukoronowaną głowę. Widzisz go bowiem na północy i południu Europy nie tylko w swojej odwiecznej dziedzinie Albionie, lecz i na płonnych skałach krainy Homera, w Grecyi; widzisz usadowionego w Italii; a i Iberyja go lęka się, ostrym kłębem fortyfikacji błyszczącego na Gibraltarskiej opoce, i Niemcy przy ujściu rodzinnej Elby.

Cóż dopióro inne strony świata!? Gnieździ się w spieczonej słońcem Afryce, w kolebce rodu ludzkiego; w pierwotnym źródle oświaty—Azyi, obszerne zdobył ziemię; rozciąga się na kilkudziesięciu tysiącach mil kwadratowych nowego świata Ameryki; a nowa część ziemi, Australia, jak mu odkrycie, złączenie z resztą świata i pierwiastki cywilizacji zawdzięcza, tak i w znakomitęj części jego berłu ulega.

Otóż szczegółowa statystyka podobnego narodu tak musi być ogromną, tak zawikłaną, że jej ułożenie przechodzi nie tylko moje, ale siły pojedynczego człowieka; przypuściwszy nawet, żeby jej całe swoje życie poświęcił. Ograniczyć się zatem musiałem na kilkunastu więcej nas obchodzących szczegółach, i to tylko dotyczących europejskiej części monarchii; owszem, będzie to raczej wykaz zamożności finansowej i handlowej Albionu, niżeli ściśle biorąc statystyczny nasz pogląd. Sądzę jednak, że da on dostateczne wyobrażenie tak o ruchu handlowym, jak i finansach tego olbrzyma, który przewodził w złamaniu potęgi Napoleona, a niedawno temu, ukorzył garstką wojowników i pieniężną mocą Niebiań-

skie państwo Chin— tego skamieniałego mocarza Azyi, którego nikt dotąd zaczepić, ani obudzić nie śmiał.

Szczegóły zaś, które podaję, są czerpane z najdokładniejszych i najświeższych tak dzieł statystycznych, jako téż akt i ogłoszeń parlamentowych, które mogłem zebrać b. r. na miejscu, i dotyczą upłynionego roku, lub najbliższych lat, których wykazy statystyczne ogłoszonymi zostały.

Następujące tablice okażą szczegółowo stan finansów angielskich; również mogą posłużyć jako dowody statystyczne:

I. Finanse.

W obliczeniach finansowych, ministerstwo skarbu rachuje lata, poczynając od 5 stycznia jednego, do téjże daty następnego roku. Oto jest ogólny zarys dochodów i rozchodów połączonego królestwa Wielkiej Brytanii od 5 stycznia 1847 r., do 5 stycznia 1848 roku.

Dochody.

Cło.	21,655,662 fs.
Akcyza	13,919,652 —
Stempel (włączając patenta, konsensa i t. p.).	7,671,324 —
Podatek gruntowy i od domów.	4,553,860 —
Podatek od dochodów i własności.	5,612,655 —
Poczta.	2,181,017.—
Dobra koronne	430,763 —
Oplata od urzędów i pensyj.	4,812 —
Pozostałości od pensyj i oszczędzenia.	106,880 —
Drobne dochody z własności dziecięcych	8,187 —
Do przeniesienia.	56,067,907 fs.

Z przeniesienia.	56,067,907 fs.
Pieniądze wybrane od towarzystwa południowo-wschodniego indyjskiego. .	60,000 fs.
Mennica, przebicie i zmiana pieniędzy.	109,463—
Ustąpiona roczna pensya od króla bel- gijskiego	36,000—
Dochód ogólny wynosi zatem.	56,273,370 fs.
Remanent z roku 1846 na 1847 wynosił.	1,444,974 fs.
Znajdowało się zatem w skarbie wr. 1847 na 1848	57,795,249 fs.

Rozchód.

Wydatek na administracyą dochodów.	3,963,539 fs.
Insze wypłaty.	763,926 —
Procenta od stałego długu.	23,799,259 —
Wypłaty terminowe roczne.	3,905,974 —
Długi niestałe	436,298 —
Lista cywilna.	393,983 —
Pensye i dożywocie dla urzędników cywilnych, morskich, wojskowych, lą- dowych, zabezpieczone na stałych do- chodach.	529,804 —
Emerytury i gratyfikacye.	260,811 —
Pensye i gratyfikacye ciała diploma- tycznego.	171,346 —
Sądownictwo	1,046,594 —
Rozmaite ciężary na stałych docho- dach zabezpieczone.	310,976 —
Armia.	7,540,405 —
Marynarka	8,013,873 —
Artylerya	2,947,869 —
Do przeniesienia.	54,084,657 fs.

Z przeniesienia	54,084,657 fs.
Wynagrodzenia jednoroczne naznaczone przez parlament	3,561,067 —
Zapomoga dla Irlandyi	1,525,000 —
Podział dywidendy	59,689 —

Ogólny rozchód wynosi . . . 59,230,413 fs.

Przenosi zatem dochód o 2,956,683 fs. czyli o blisko 110 milionów złotych polskich, który pokryty został pożyczką bankową.

Dochód z poczty z ostatnich lat 8.

do 5 stycznia	dochód brutto	koszta administr.	dochód netto.
1841	1,359,466	858,677	500,789
1842	1,499,418	938,168	561,249
1843	1,578,149	977,504	600,641
1844	1,620,867	980,650	640,217
1845	1,705,067	985,110	719,957
1846	1,887,576	1,125,594	761,982
1847	1,963,857	1,138,745	825,112
1848	2,181,016	1,196,520	984,496

Do tego wykazu nie wlicza się dochód, pochodzący od listów nieprzyjętych, a w części tylko frankowanych.

Pogląd szczegółowy na dochód od stępla w 1847 i 1848, obliczony na trzy królestwa.

	Anglia z Walią	Szkocya	Irlandya
W r. 1847 dochód od legatów	1,087,005	97,198	63,350 fs.
Od konsensów, przyzwoleń i testamentów . .	915,045	67,523	71,995—
W r. 1848 legaty . . .	1,174,466	83,995	61,061—
Konsensa i t. d.	978,820	82,147	86,052—

Niniejsza tabella okazuje, jak wielce, nawet stosunkowo do ludności, Anglia przewyższa w działaniach handlo-

wych i spekulacyjnych Szkocyą, a ta Irlandyą. Różnica między ostatnimi królestwami tém jest więcéj uderzającą, że Irlandya jest przeszło dwa razy ludniejsza od Szkocyi; stosunkowo zatém ruch w niéj interesów cztery razy jest mniejszy, a w porównaniu z Anglią, przeszło siedm razy.

Pogląd na dochody i wydatki Komp. Wschod. Ind.

Liczby niniejszój tablicy podane są z lat 1845 i 1846, gdyż te tylko są wiadome; kompania bowiem wschodnio-indyjska co dwa lata składa swój budżet, a ostatni z lat 1847 i 1848, jeszcze nie został przedstawiony.

Dochody.

	z r. 1844 na 1845	z r. 1845 na 1846.
Dochód z mennicy	103,409	72,116 fs.
Poczta	170,969	174,940—
Stępel	417,430	408,819—
Akcyza w Kalkucie	24,888	29,100—
Oplaty i kary sądowe . .	121,603	131,894—
Podatki	12,397,553	12,549,861—
Różne pomniejsze dochody wydziału skarbowego	57,888	46,542—
Podatek od soli i obrzędów	1,900,949	1,959,339—
Opium i akcyza od niego	2,670,738	3,354,377—
Przedaż soli	2,192,666	1,877,262—
Dochód z Singaporu, Malagi i Prince-Wales-Irland.	63,357	71,160—
Trybut i subsydyja	492,175	470,635—
Do przeniesienia	20,613,625	21,146,045 fs.

	z r. 1844—45	1845—46
Z przeniesienia	20,613,625	21,146,045 fs.
Dochody z Saye Abharry		
Moturpha	856,455	895,627 fs.
Przychody z ziem ustą- pionych przez Burmessów	168,915	176,315—
Przychód z Hindu	256,943	262,567—
Procent od zaległości . .	4,755	4,050—
Ogólny czysty dochód . . .	21,900,693	22,484,604 fs.

Od powyższego dochodu odtrąca się na:

	r. 1845	1846
Wydatki administracyj- ne stępla	23,239	24,596 fs.
Wydatki administracji dochodów terytoryalnych	1,603,346	1,565,716—
Wydatki administracji na obrzędy i zwyczaje kra- jowe	185,414	182,709—
Koszta produkcji soli, włączając wynagrodzenia rządowi francuzkiemu i duńskiemu	589,254	517,258—
Wydatki administracji i koszta od tytoniu	625,780	726,237—
Wydatki administracji od opium	21,674	18,873—
Razem wydatki admi- nistracji wynoszą:	3,048,707	3,035,389 fs.

Rozchód.

	w r. 1844—45	1845—46
Wydatki na mennicę . .	72,244	72,187 fs.
Administracya pocztowa	176,682	183,693—
Do przeniesienia	248,926	255,880 fs.

	w r. 1844—45	1845—46
Z przeniesienia	248,926	255,880 fs.
Polityczne i administracyjne osady, również nadzwyczajne wydatki na też:	1,567,066	1,650,903 fs.
Strata w stosunkach pieniężnych i przesyłkach z Bengalu do Anglii. . . .	42,908	69,555 —
Wydatek na królewski sąd najwyższy i inne podrzędne, pod jego jurysdykcją zostające.	194,225	194,605 —
Sądy w Sudder, Zillah	1,171,210	1,189,097 —
Sądy w Seinde.	548,831	640,405 —
Wydatki na marynarkę i statki indyjskie.	299,126	331,763 —
Zabudowania, ulepszenia i zakłady publiczne, wyższy naprawy.	135,294	169,443 —
Adminstr. Singaporu, Malakki i Prince of Wales	63,475	64,628 —
Armia.	8,853,595	9,054,098 —
Zakłady wojenne.	110,648	108,391 —
Procenta od długów. . . .	1,741,028	1,827,189 —
Wydatki wojenne, wyższy wyprawę do Chin, której koszta ponosi skarb królestwa, i wyprawy do Hindu.	83,305	109,919 —
Koszta poselstwa i układow z szachem Soja . . .	216	651 —
Wynagrodzenie Danii za ustąpienia w terytoryach	—	117,187 —
Ogół rozchodów.	15,557,140	16,307,375 fs.

Do tych wydatków, należy wliczyć sumę płaconą skarbowi angielskiemu, w r. 1845 w ilości fs. 2,485,212; w r. 1846 fs. 3,044,067, która w następujący sposób jest rozdzieloną:

	w r. 1845	w r. 1846
Dywidenda właścicielom kompanii wschodnio indyjskiej.	629,009	623,163 fs.
Procent od długów, obowiązujących kompanią. . .	64,339	62,271—
Ścisłe ocenienie ammunicyi wysłanej do Indyj. .	341,259	478,657—
Kupno statków parowych i inne wydatki, mające związek z komunikacją Anglii z Indyami. .	12,894	68,535—
Wynagrodzenie towarzystwom komunikacyj parowych w Indyach. . .	20,000	
Wynagrodzenie tymże w ułatwieniu związków wewnętrznych i chińskich	12,578	63,707—
Wynagrodzenie za transport wojska i ammunicyi	31,937	38,386—
Furaże i zaległe pensye oficerom lądow. i mors. .	577,636	597,908—
Zaliczenia wojskom do Indyi przesyłanym.	187,500	450,000—
Zaległości żołnierzom. .	60,000	75,000—
Ciężary ogólne.	480,097	518,320—
Zaległe należności cywilnym urzęd. w Indyach .	46,100	40,342—
Do przeniesienia	2,463,349	3,022,480 fs.

	w r. 1845	1846
Z przeniesienia	2,463,349	3,022,480 fs.
Cofnięte pensye urzędnikom i straży kompanii S. Heleny, które rząd włożył na kompanią wschodnio-indyjską	9,863	7,125 fs.
Posels. perskie (w części zapłacone przez kompanią)	12,000	12,000 —
Nadzwyczajne wydatki na ubiór i uzbrojenie wojsk wysyłanych do Ind.	—	2,462 —
Ogólny rozchód	2,485,212	3,044,067 fs.

Cyrkulacya pieniężna w Wielkiej Brytanii w r. 1848.

	16 lutego	20 maja	15 lipca	7 paźdz.
Bank angielski miał w obiegu papierów	18,479,769	18,411,886	18,153,986	17,505,718
Banki prywatne	3,663,141	3,846,645	3,569,534	3,681,544
<i>Połączony kapitałowy Bank:</i>				
(Joint Stock-Banks).	2,512,059	2,782,855	2,525,005	2,666,749
W Szkocyi	3,032,320	3,152,319	3,106,645	3,136,515
W Irlandyi	5,220,080	4,840,662	4,478,924	4,506,421
Summa ogólna	32,877,366	33,034,367	31,834,094	31,496,998

Że zaś w przecięciu cyrkulacya pieniężna z tych dat w 1847 r. dochodzi do 34 milionów; ubytek przypisać należy wpływowi zawichrzeń kontygentalnych. Liczby przecież tegoroczne pomyślniejszy dają rezultat.

Stan banku angielskiego 20 maja i 20 września 1848 r. był następujący:

	20 maja	21 września.
Zabezpieczenia rządowe wynosiły	11,713,630	13,400,019 fs.
Inne zabezpieczenia	11,630,523	13,847,210 —
Do przeniesienia	23,344,153	27,247,229 fs.

	20 maja	21 września
Z przeniesienia	23,344,153	27,247,229 fs.
Papiery	8,560,010	8,632,585 fs.
W monecie złotych i srebrnej	717,809	570,246 —
Ogółem	32,627,972	32,850,240 fs.

Po szczególe ten kredyt tak można rozdzielić:

	20 maja	21 września
Kapitał zakładowy wynosił	14,553,000	14,553,000 fs.
Pozostałości, zyski i t. p.	3,422,078	3,386,565 —
Depozyta publiczne	4,417,182	3,162,909 —
— prywatne	9,189,604	10,660,880 —
Wexle	1,026,108	1,086,886 —

Gdy zaś depozyta prywatne w przecięciu w odpowiednich datach 1847 r. nie dochodziły 6 milionów fs., przekonać się zatem można z zwiększenia ich o połowę, o zaufaniu publiczném w banku, lecz zarazem i o stagnacyi wewnętrznej handlowej, zmuszającej ogromne kapitały do nieodpowiedniego procentowania.

Ile obieg brzęczącej monety zwiększa się w Anglii, dowodzi tego statystyczne jój ocenienie. W 11 ostatnich latach wynosił on:

	złoto	srebro	miedz.
W roku 1837 za fs.	1,253,071	76,111	5,096
— 1838 —	2,855,364	101,168	1,568
— 1839 —	504,303	399,234	7,168
— 1840 —	nieoznacz.	216,414	3,136
— 1841 —	378,472	96,175	7,392
— 1842 —	5,977,015	204,732	1,792
— 1843 —	6,607,850	276,276	15,344
— 1844 —	3,563,949	626,670	8,207
— 1845 —	4,244,506	647,658	6,944
— 1846 —	4,334,697	559,548	6,496
— 1847 —	5,158,440	125,730	4,960

Handel.

Gdy lista wprowadzonych towarów i innych artykułów zbyt jest wielką, aby mogła być w całości podana; ograniczę się na przytoczeniu przedmiotów większą ważność handlową mających. Ta lista pochodzi z ostatniego znanego publiczności roku finansowego 1847 na 1848, do 5 stycznia włącznie.

Zwierzęta żywe. Wołów sztuk 27,811; krów sztuk 35,138; cieląt sztuk 12,389; baranów sztuk 136,527; owiec sztuk 3,349; świń sztuk 1,242.

Prócz tego mięsio. Wołowiny solonój cent. 112,590; niesolonój lub lekko solonój cent. 5,011; wieprzowiny solonój cent. 235,315; niesolonój cent. 101.

Zboże. Pszenicy kwarterów 2,650,050; jęczmienia kwarter. 772,349; owsa kwarter. 1,706,780; żyta kwarter. 68,817; grochu kwarter. 157,245; grochu szablстого kwart. 443,719; kukurydzy kwart. 3,614,637; prosa kwart. 22,938; zimowego jęczmienia kwart. 491.

Mąki pszennój cent. 6,329,546; jęczmiennój cent. 12,415; owsianój cent. 57,983; żytniej cent. 785,412; kaszy jaglanej cent. 537; mąki bobowej cent. 80; kukurydzowej cent. 1,451,020; tatarczanej cent. 384.

Inne artykuły żywności. Masła cent. 314,066 (ogólna konsumpcya wynosi centn. 315,924); séra centn. 355,253; jaj sztuk 77,550,429, od których cła zapłacono 22,081 fs.

Ryb zagranicznych, jak minogów, łososi, ostryg i t. d. w przybliżeniu cent. 4,500, z akcyzą 1649 fs.; kakao cent. 5,724,092, z cłem 14,673 fs.

Owoców suszonych cent. 395,579; fig cent. 32,420; pomarańczy i cytryn w cenie fs. 363,653; rodzynków cent. 244,112.

Tłustości, jak tran, olej i t. p. beczek 22,616, z akcyzą 29,409 fs; oliwy palmowej cent. 476,401; oleju kokosowego cent. 30,049; oliwy francuzkiej beczek 8,629; ryżu cent. 1,550,000, w ładunkach okrętowych kwarterów 43,032.

Kawy z posiadłości angielskich cent. 34,242,238; zagranicznej cent. 21,154,238; razem cen. 55,396,471, z której na użytek krajowy wypada cent. 37,470,579.

Herbaty funt. 55,626,765, z której na konsumpcyą krajową wypada funt. 46,324,298. Oszacowanie przy akcyzie 5,066,860 fs.

Cukru z posiadłości amerykańskich cent. 3,192,037; z wyspy św. Maurycego 1,194,047; z Indyj Wschodnich i innych osad 1,415,883 cent.; zagranicznego w przybliżeniu cent. 2,500,000. Ogółem cent. 8,196,244, z których na konsumpcyą wewnętrzną zostaje cent. 5,791,783. Ogólna wartość podana przy akcyzie 4,382,469 fs. Prócz tego wchodzi cukru tak zwanego *refined* cent. 82,165; lodowatego cent. 1,995; melassu cent. 949,363, za cenę w akcyzie podaną 222,625 fs.

Tytuniu. Niewyrobionego funt. 33,562,232, z którego na produkcyą krajową zostaje 26,543,108, w cenie akcyzy 4,180,263; tytuniu w tabace i cygarach funtów 1,151,407, z których na wewnętrzny użytek 208,943 fs.

Gorące trunki. Rumu (prócz przemycanego) gallonów 6,623,944; z tego na konsumpcyą wewnętrzną 3,329,940; wódki gallonów 2,714,973, na konsumpcyą wewnętrzną 1,537,762; jałowcówki gallonów 282,340. *Wina* z Kapu gall. 323,111; francuzkiego gall. 548,890; portugalskiego gall. 2,685,157; hiszpańskiego gall. 3,407,078; madery gall. 201,096; reńskiego 67,207 gall.; kanaryjskiego 133,362; sycyli-

skiego i w ogóle włoskiego gall. 571,902. Ogółem gall. 7,938,067, z których skonsumowano w kraju gall. 6,253,847. Najwięcej hiszpańs. bo gall. 2,472,178 i portugalskiego, gallonów 2,360,851.

Korzenie. Cynamonu funt. 383,261 (na konsumpcją wewnętrzną 18,075 funt.); goździków funt. 1,041,171; na konsumpcją wewnętrzną 132,828 funt.; kwiatu muszkatelowego funt. 59,933; pieprzu funt. 4,669,879, z którego na konsumpcją wewnętrzną funt. 2,966,803; pimentu cent. 12,128.

Materyały apteczne, chemiczne i t. p. Koszenilli cent. 14,609; indygo cent. 73,862; kampszewego drzewa beczek 15,388; farby czerwonej (madder) 171,270 cent.; gummy elastycznej cent. 5,889; opium beczek 118,332, na krajowy użytek beczek 45,766; terpentyny cent. 316,285; saletry i nitry cent. 512,375.

Metale. Miedzi cent. 51,776; żelaza surowego tonnów 33,260; stali niewyrobionej cent. 13,017; ołowiu beczek 3,603; cyny cent. 23,122, z których tylko 3,258 cent. zostało na użytek wewnętrzny. Żywego srebra funt. 2,542,847; cynku tonnów 12,768.

Drzewo. Mahoniu tonnów 33,979; drzewa budulcowego i opałowego w deskach, splitach i t. p.: z posiadłości angielskich za 495,266 fs.; zagranicznego za 366,008 fs.; w beczkach za 62,102 fs. Prócz tego sprowadzono znaczną ilość bali i klepek, których wartość podaną nie została, jako przeznaczonych wyłącznie na budowę statków morskich.

Skóry. Kozłowych niewyrobionych sztuk 556,921; baranich niewyrobionych sztuk 40,191; wyrobionych szt. 344,194; jagnięcych niewyrobionych szt. 344,194; wyrobionych 1,124,036. Prócz tego rękawiczek skórz-

nych par 2,121,365, z których zostało w kraju par 2,044,783; innych skór bydłych, końskich i t. p. w przybliżeniu do 1,000,000 sztuk, po większej części niewyprawionych.

Jedwab. Surowego funtów 4,123,811; w zwitkach cent. 10,291; w motkach funt. 310,860. Wyrobów jedwabnych: atlasów, axamitów, od których według prawa z r. 1846 cło należy płacić; także tiuli, gazy, koronek, wstążek i t. p. z Europy, funt. 456,897, z których połowa ledwie zostaje na konsumpcją krajową; z osad indyjskich i amerykańskich funt. 593,888, z których zostaje w kraju funt. 176,160. Trzeba jednak przypuścić, że ilość równająca się trzem czwartym akcyzowej, sposobem defraudacyjnym bywa wprowadzana.

Len i konopie. Lnu niewyrobionego cent. 1,049,051; konopi cent. 803,817. Rok 1846 pod względem tych dwóch artykułów był bardzo ubogim, gdyż zwykle dwukrotnie większa ilość tych przedmiotów bywa wprowadzana.

Nasiona lnianego i konopnego kwarterów 433,536; konieczyny cent. 225,562, z których na krajowy użytek 176,334; rzepaku kwarterów 47,513.

Wykaz ilości główniejszych przedmiotów handlowych, wyprowadzonych z Wielkiej Brytanii przez rok jeden do 5 stycznia 1848 r.

Masła.....	za fs.	139,483
Świec	—	46,375
Sera.....	—	29,525
Węgla i torfu.....	—	976,337
Bawełny w wyrobie.....	—	17,382,293
— w niciach.....	—	5,957,297

Glinianych wyrobów	—	834,151
Ryb i śledzi	—	185,287
Szkła	—	292,038
Drobnych stalowych wyrobów . .	—	2,346,255
Skór wyprawnych i niewypraw..	—	650,307
Woolny niewyrobionej	—	284,554
— w niciach	—	1,006,891
— w wyrobach	—	6,870,818
Lnianych wyrobów	—	2,968,895
— nici	—	650,307
Machin	—	1,228,091
Wyrobów metal., żelaz. i stal. . .	—	5,272,942
— miedzianych i bronz.	—	1,467,498
— ołowianych.	—	181,771
— cyny.	—	159,098
— — w wyrobach.	—	459,265
Soli	—	260,591
Jedwabnych wyrobów	—	978,114
Mydła	—	165,128
Cukru rafinowanego	—	414,872

Ilość razem wyprowadzonych przedmiotów wynosi fs. 50,897,790, czyli zlp. 2,135,707,180. Widzieliśmy przecież, że tabelka podaje tylko głównejsze artykuły; ogółowy wywóz na 4 miliardy naszych złotych obliczyć można. Tak np. samego piwa roczny wywóz z r. 1847 na 1848 wynosił beczek 132,357. Wywóz sposobem tranzyta głównejszych kolonialnych i zagranicznych towarów z Anglii, obliczono w następujący sposób:

Zboża.

Pszeniczy	kwarterów	125,941
Jęczmienia	—	15,200

Owsa	kwarterow	9,151
Mąki pszennej.	cent.	208,709

Towarów aptecznych i farbiarskich.

Koszenilli	cent.	8,945
Indygo	—	58,753
Gumi-laki	beczek	2,221

Metali.

Miedzi niewyrobionej.	cent.	7,659
Stali —	—	13,357
Żelaza —	tonnów	5,053
Cyny w sztabach.	cent.	11,471
Żywego srebra.	funt.	1,518,614

Korzeni.

Cassia lignea	funt.	543,775
Cynamonu.	—	416,698
Goździków.	—	588,536
Kwiatu muszkat.	—	22,119
Galki muszkat	—	260,289
Pieprzu.	—	2,930,018
Pimentu	cent.	7,792
Oleju i oliwy	tonnów	673
Kakao	funt.	411,421
Kawy z posiadłości angielskich . . .	—	553,821
— zagranicznej	—	12,804,901
Herbaty.	—	4,718,138
Cukru nierafin. z posiad. ang. amer. cent.		12
— — z wyspy Maurycego —		9,935
— — z Indyj Wschod. . . —		8,867
— — zagranicznego —		785,210
Cukru rafin. zagranicznego	—	57,483
— lodowatego	—	1,108
Opium.	tonnów	68,521

Ryżu	cent.	588,708,
Jedwabiu surowego.	—	436,115
— wyrobionego.	około —	70,000
Spirytusów. Rumu	gal.	974,614
— Wódki.	—	978,860
— Jałowcówki.	—	345,581
Tytuniu niewyrobionego	funt.	11,519,140
— wyrobionego.	—	1,147,955
Win z Kapu	gal.	1,242
— francuzkich.	—	119,007
— innych gatunków.	—	1,377,475
Bawełny	cent.	669,235
Wetny	—	4,809,725

Wykaz statków morskich zagranicznych, które w roku 1848 weszły do portów królestwa (Anglii), nie wliczając tych, które są przeznaczone do handlu nadbrzeżnego i związku z Irlandyą:

Statki narodów	weszło	wyszło.
Rossyjskich.	330	166
Zjednoczonych Stanów.	1,303	879
Szwedzkich.	518	381
Norweskich.	1,316	568
Duńskich	1,701	1,626
Pruskich.	1,351	876
Innych niemieckich	1,765	1,687
Różnych państw ameryk.	20	7
Holenderskich	694	745
Belgijskich.	241	278
Francuzkich	856	2,428
Hiszpańskich	220	142
Portugalskich	82	38
Włoskich państw.	369	195
Innych europejskich państw	24	11

Gdy pod flagą angielską weszło statków 18,771, wyszło 15,535, summa ogólna weszłych wynosi 29,561 statków o ciężarze beczek 6,091,052. Wyszłych statków 25,564 o ciężarze 4,719,241 beczek. Prócz tego, statków przeznaczonych do utrzymania handlu nadbrzeżnego i związków z Irlandyą, weszło 142,525, o ciężarze beczek 12,219,796, wyszło statków 158,922, o ciężarze 13,265,625 (podwójne i potrójne wejścia i wyjścia wliczają się).

Liczba rozbitych statków Wielkiej Brytanii przy brzegach królestwa wynosiła statków żaglowych 533, o ciężarze 95,990 beczek, i parowych 4, o beczkach 1,037.

Następująca tabela pokaże ilość okrętów tak angielskich jak i obcych, lecz przez Anglików do ich handlu użytych, które weszły do portów zagranicznych i z nich wyszły w r. 1848.

Weszło do portów	statków angiel.	zagran.	wyszło angiel.	zagran.
Rosyjskich	2,771	752	1,924	539
Szwedzkich	51	713	53	432
Norweskich	28	903	35	1,105
Duńskich	147	1,726	290	2,989
Pruskich	625	1,688	631	1,322
Niemieckich	1,141	1,451	1,309	1,743
Holenderskich	1,726	1,098	1,589	822
Belgii	807	606	661	458
Francyi	4,822	3,488	4,846	3,205
Portugalii i jój osad. .	774	85	752	218
Hiszp. i jój osad. . . .	782	182	919	272
Gibraltaru.	50	—	181	15
Włoskich państw. . . .	626	270	630	232
Malty.	187	17	313	61

Weszło do portów	statków		wyszło	
	angiel.	zagan.	angiel.	zagan.
Grecyi	79	6	80	14
Turcyi	410	61	421	79
Multan	305	130	249	14
Syryi	8	—	31	—
Afryki	748	31	581	90
Azyi	837	6	796	36
Stanów Zjednoczon. .	994	1,361	1,002	1,143
Mexyku	19	1	13	1
Central. Amer. rzecz.	617	21	499	104

Do powyższej ilości włączywszy 2,459 statków pod banderą angielską, weszłych do portów kolonii Ameryki północnej (Kanady) i 447 weszłych do portów kompanii wschodnio-indyjskiej, również 1,696 statków wyprawionych do Grenlandyi, Islandyi i na ocean Południowy i Spokojny, okaże się, że do portów obcych weszło okrętów pod banderą angielską 24,017, pod cudzą 14,789; wyszło pod banderą angielską okrętów 22,669, pod cudzą 15,256. Pierwsze wchodowe miały ciężaru do 8 milionów beczek, drugie wychodzące, przeszło półosma miliona beczek.

Liczba okrętów należących do mieszkańców Wielkiej Brytanii, w jej portach w r. 1848 dnia 5 stycznia znajdująca się, była następująca:

W Wielkiej Brytanii było żaglowych 21,666, parowych 824; w Irlandyi żaglowych 2,215, parowych 124; na wyspach Gernsej, Jernsej i Man żagl. 786, parow. 5. Ma się rozumieć, że w tę liczbę nie wchodzi statki mniejsze, jak jachty i statki do przybrzeżnego handlu i łowów ryb przeznaczone.

Liczba okrętów handlowych, które wypłynęły z portów Wielkiej Brytanii do Indyj Wschodnich i innych kolonij, jest następująca:

Z portów Wielkiej Brytanii angielskich 5,066, zagranicznych 81; z Irlandyi angielskich 647, zagranicznych 47.

Wpłynęło okrętów z osad do portów Wielkiej Brytanii 5,414, do irlandzkich 499.

Gorzelnie i browary.

Ilość gruntu na uprawę chmielu przeznaczonego, wynosiła w p. r. (1848) 52,327½ morgów angielskich; zebrano akcyzą oznaczonego chmielu funt. 45,134,365. Ilość siodu wyrobionego w Anglii, wynosiła 3,690,003 kwart. w Szkocyi 477,025, w Irlandyi 178,369; ogółem 4,345,395 kwarterów, z których użyto 3,663,988 kwarterów. Liczba patent. browarów wynosiła w Anglii 2,184, w Szkocyi 174, w Irlandyi 109. Liczba patentowych szynków była w Anglii 58,725, w Szkocyi 15,903, w Irlandyi 15,224; ogółem 89,852. Prócz tego, trudniło się sprzedażą piwa osób 34,627, a pokątnie 3,463. Spirytusu wypalono w Anglii: dystylowanego gallonów 3,283,103, wódki angielskiej 317,246, spirytusu winnego 227,401, rumu 95,032; w Szkocyi spirytusu 8,542,219, w Irlandyi 5,737,687 gallon.

Ogólna tedy konsumpcya spirytusu z rumem w Wielkiej Brytanii wynosi 24,030,227 gallonów, a wliczając przemycany, do 26 milionów gallonów. Konsumpcya piwa przewyższa ją podwójnie, a nawet potrójnie; lecz że urzędownie podaną nie jest, oznaczyć ściśle liczbami nie można.

Stosunkowy wzrost ludności i przemysłu.

Spis ludności, odbywający się w Anglii co lat dziesięć, podaje nam najstosowniejsze środki oznaczenia wysokości wzrostu téjże ludności. Wzrost ten, jeżeli jakie niepomyślne powody na niego nie wpłyną, jest prawie ciągle jednostajny. Liczby jego uważane same w sobie, są ciekawe, a często nawet i zajmujące; lecz wartość ich wtedy tylko może być zupełnie poznana, gdy je postawimy obok produkcyjnych sił kraju, ze względem na jego bogactwo materialne. Kwestya ta może być stawioną w następującym kształcie: czy rezultata przemysłu, potrzeby i zamożność wzrastają w większym lub mniejszym stosunku niż ludność? Czy te lub owe rachuby, dotyczące majątku nabytego, są najlepsze? Czy ta lub owa teorya handlowa najskuteczniej prowadzi do pomysłności narodowej? Badania te stanowią same w sobie oddzielną gałąź nauki politycznej, i uwagi naszój zajmować tu nie będą. Przedmiotem niniejszego artykułu jest zebrać i ułożyć kilka faktów, bez odnoszenia się do żadnych teoryj.

Według wyrachowania, zrobionego nader starannie przez zmarłego p. Rickman, opartego w części na spisach z r. 1801, 1811, 1821, 1831, a w części na księgach parafialnych, ludność Anglii i Walii była w rozmaitych peryodach mniej więcej następująca:

1570.	4,038,879	1670.	5,773,646
1600.	4,811,718	1700.	6,045,008
1630.	5,601,517	1750.	6,517,035

W ciągu roku 1801 odbyto już spis regularny. W terażniejszém stuleciu odbyto ich jeszcze pięć, z których każdy przewyższał poprzedzające dokładnością i ścisłością. Rezultaty co do Anglii i Walii były następujące:

1801.	8,872,980	1831.	13,897,187
1811.	10,150,615	1841.	15,911,725
1821.	11,987,875		

Co do Szkocyi, tutaj nie mieliśmy dokładnych spisów przed naszym stuleciem. Pięć zaś ostatnich przedstawiają następujące liczby:

1801.	1,599,068	1831.	2,365,114
1811.	1,805,688	1841.	2,628,957
1821.	2,093,456		

Ludność Irlandyi nie była spisywaną aż do r. 1821. Odtąd zaś przedstawia następujący rezultat:

1821.	6,801,827
1831.	7,767,401
1841.	8,175,124

Ogólne księgi urodzeń, małżeństw i śmierci, dały sposobność obliczenia przez przypuszczenie corocznego wzrostu ludności, zważając na przewyżkę urodzeń nad śmiertelność i odtrącając ubytek na emigracyą. Biorąc takowe obliczenie z r. 1846, możemy podać cztery następujące liczby, jako przedstawiające ogólną ludność Anglii, Walii, Szkocyi, Irlandyi i pomniejszych wysp, w czterech peryodach:

1821.	20,963,666	1841.	26,839,885
1831.	24,133,412	1846.	28,487,000

Stosownie do tego obliczenia, ludność w końcu r. 1848 powinna dochodzić do trzydziestu milionów. Jako przykład tego rodzaju obliczania, nie tylko terażniejszej, ale i przyszłej ludności, podajemy tutaj obliczenie ludności stolicy, oparte na spisie z r. 1841 i odpowiednich liczbach urodzeń, śmierci i emigracyi:

1841.	1,950,526	1848.	2,172,386
1844.	2,042,690	1850.	2,240,289
1846.	2,106,540		

Zwracając uwagę naszą na wzrost ludności w całym kraju, znajdujemy, że jedno dziesięciolecie, równie jak drugie, dają przybytku czternaście na sto w ciągu lat dziesięciu, czyli, że po danym roku, każde sto osób, w dziesięć lat później rozmnaża się do liczby sto czternastu. W epoce od 1821—1831 wzrost ten był nadzwyczajnie wielki, ale przyjęliśmy tutaj ogólną proporcją z półwieku.

Nasuwa się teraz pytanie, jak ten stosunek czternastu na sto w przeciągu lat dziesięciu, odpowiada wzrostowi produkcji i konsumpcji płodów.

Ponieważ niema nieomylnego środka oznaczenia liczby płodów wyprodukowanych lub skonsumowanych, jeśli te nie podlegają akcyzie lub cłu; przeto nie możemy dokładnie podać ilości skonsumowanego chleba, mięsa, masła, séra i t. p. Wiadomą jednak jest rzeczą, że ilość mięsa skonsumowanego w Szkocyi znacznie wzrosła w ciągu tego stulecia; Irlandya zdaje się zostawać w dawnym stosunku, a w Anglii stosunek ten raczej podniósł się anizeli zmniejszył. M'Culloch utrzymuje, że w stolicy każda osoba, biorąc jedną w drugą, pożywa około 122 funtów mięsa rocznie, nie licząc w to słoniny, szynki i drobiu. Na inne miasta liczył on: 105 na Manchester, 89 na Bruxellę, i 86 na Paryż. Mięso spożywane w Anglii pochodzi z trzech źródeł: przygotowywane w kraju, sprowadzane z Irlandyi, i sprowadzane ze stałego lądu. Bydło zagraniczne i barany były wzbronione do wprowadzania na konsumpcją do r. 1842, zatem nie możemy porównać tego artykułu z poprzedniami peryodami. Bydło irlandzkie wprowadzane do Anglii, podniosło się w liczbie od 32,000 w r. 1801, do

180,000 w r. 1844, i 193,000 w latach 1846—7. Trudność oznaczenia stosunku pod względem zboża i chleba, jest równie wielka i pod względem mięsa; lecz nie ulega to żadnej wątpliwości, że gatunek chleba pożywanego w Anglii, znacznie się polepszył od ostatniego stulecia, i że angielska klasa robotnicza używa lepszego chleba, anizeli takż sama klasa w każdym innym kraju. Zboża zagranicznego konsumowano w Anglii około trzech czwartych korca (peck) rocznie na osobę, od r. 1831 do 1846; odtąd zaś ilość jego wzrosła jeszcze. Co się tyczy masła, sprowadzanie jego z zagranicy podwoiło się przeszło od r. 1831 do 1846, a nie mamy żadnego powodu wnosić, ażeby je teraz mniej wyrabiano w Anglii jak dawniej. Konsumcya masła w stolicy wynosi około 16 funtów na głowę. O ile porównać możemy zwyczaje ludności w rozmaitych peryodach, zdaje się prawdopodobnym, że słoniny i séra nie wychodzi teraz więcej na głowę, jak na początku tego stulecia.

Lecz skoro przejdziemy do artykułów codziennego użycia, które po większej części lub téż całkowiec sprowadzane są z zagranicy, i które ulegają opłacie celnój, jak herbata, kawa, kakao, cukier, tytoń, łój, i t. p., lub które opłacają akcyzę na miejscu, jak np. sól, chmiel, mydło i t. d.: uważamy, że ilość spotrzebowanych tego rodzaju artykułów, daleko spieszniej wzrasta od liczby ludności, z kąd wynika większy stosunek na każdą pojedynczą osobę. Ilość niektórych z powyższych artykułów, wprowadzanych na potrzeby wewnętrzne w rozmaitych latach, daje się tak uszykować:

	1801	1811	1821	1831	1841	1846
	m i l l i o n ó w f u n t ó w.					
Herbaty .	23 1/2	24 1/2	23	30	36 3/4	47
Cukru . .	310	400	350	420	450	560
Kawy. . .	3/4	6 1/3	7 1/3	21 3/4	28 1/3	36 3/4
Tytuntiu .	17	21 1/4	15 1/2	19 1/2	22 1/4	27
Kakao . .	—	—	—	3/4	2	3
Łoju i oli- wy palm.	—	—	—	123	149	179

Konsumpcya cukru jest obecnie dwadzieścia razy większą w Anglii, jak w r. 1700; konsumpcya kawy jest większą pięćdziesiąt razy niż w r. 1801; kakao jest zupełnie tegoczesnym napojem. Jednym rzutem oka przekonać się można, że zebrawszy wszystkie powyższe artykuły, konsumpcya ich wzrosła nierównie prężej, aniżeli ludność. Co się tyczy łoju do fabrykacyi mydła i świec, należy zaliczyć także oliwę palmową do tego artykułu, ze względu na obszerniejsze użycie tego materiału w mydlarstwie, który jakkolwiek nazywany oliwą, w klimacie angielskim zamienia się na ciało stałe.

Biorąc znowu inne artykuły stanowiące codzienny pokarm masy ludu, znajdujemy, że trunki angielskie i irlandzkie, które podlegają opłacie, w r. 1821 wynosiły 9,750,000 gallonów; w r. 1831, 22,000,000; w r. 1841, 20,500,000, a w r. 1846, 24,000,000 gallo.; że sól który podlegał akcyzie, w r. 1801 wynosił 19,750,000 kor.; 29,750,000 w r. 1811; 29,500,000 w r. 1821; 39,500,000 w r. 1831; 36,250,000 w r. 1841, a 42,000,000 w r. 1846; że sól, która obecnie w takiej używanej jest ilości, została przedmiotem daleko większego wywozu, niżeli w jakim bądź innym czasie; że od zaprowadzenia kolej żelaznych, ryby i drób daleko są obfitsze i tańsze w angielskich miastach fabrycznych;

i że po zmianie taryffy, owoce i rośliny zagraniczne, które dawniej były kosztowne, zostały taniemi, chociaż (ile wiadomo) ich produkcya miejscowa nie zmniejszyła się bynajmniej. Co się tyczy wina i piwa, wysokość opłaty celnej od jednego, i opłaty konsumcyjnej od drugiego (a przynajmniej od najważniejszego artykułu do jego składu wchodzącego, to jest od słodu), przeszkodziły wzrostowi ich konsumcyi w stosunku odpowiednim do innych artykułów pożywienia; ale na nieszczęście, zwiększyła się zato konsumcyja innych napojów gorących. Jestto uderzającym dowodem, jakie skutki prowadzą za sobą wysokie cła, gdy ilość zagranicznego wina używanego w Anglii mniejszą była w r. 1846, niżeli w r. 1801, bez względu na zwiększenie się ludności; ilość ta wynosiła 6,750,000 i 7,000,000 gallonów.

Fabryki szkła tak dalece podupadły skutkiem wysokich opłat, że obecny nagły ich wzrost również służyć może za dowód powyższego wniosku. Przytoczymy tu jednakże trzy artykuły, ulegające znacznej akcyzie: mydło, cegła i papier. Mydło obciążone akcyzą, wynosiło w r. 1801, 55,000,000 funt.; w r. 1811, 80,000,000; w r. 1821, 97,000,000; w r. 1831, 127,000,000; w r. 1841, 170,500,000; a w r. 1846, 186,000,000 funt. Cegła przy nałożonej na nią opłacie, podniosła się z 1,000 milionów w r. 1831, do przeszło 2,000 milionów w r. 1846. Papier również uiszczający opłatę, wynosił w r. 1831, 61,000,000 funt.; w r. 1841, 76,500,000; a w r. 1846, 127,500,000 funtów.

Chcąc przedmiot ten z całą dokładnością przedstawić, potrzebaby piérwój wyjaśnić, ile wyprowadzono z kraju produktów ulegających akcyzie, a dopiero potóm wyliczyć, ile ich pozostało na konsumcyą wewnętrzną; lecz

tyle przynajmniej wiemy, że z pewnością możemy twierdzić, iż pod względem artykułów dopiero co wymienionych, wzrost konsumpcji wewnętrznej daleko był większy od wzrostu ludności.

Jeśli teraz zwrócimy uwagę na te z przedmiotów zagranicznych, które dają zatrudnienie i przynoszą zapłatę angielskiemu robotnikowi, jak np. bawełna, wełna, jedwab', len, konopie, skóry i t. d., ujrzymy rezultaty równie zajmujące jak te, któreśmy widzieli co do artykułów żywności. Następujące liczby przedstawiają owe artykuły, sprowadzane na wewnętrzną konsumpcją w oznaczonych latach:

	1801	1811	1821	1831	1841	1846
	m i l i o n ó w f u n t ó w.					
Bawełna. .	56	92	137	273	437	428
Wełna . . .	—	—	10	30	53	65
Jedwab . .	1	1 ¼	2 ¼	4 ¼	5	5 ¾
Len	—	—	55	104	151	128
Konopie . .	—	—	—	56 ½	73	99
Skóry. . . .	—	—	—	26	51	60

Rok 1846 był jednym z najniepomyślniejszych pod względem bawełny i lnu, gdyż w poprzednim roku 1845 przywóz bawełny wynosił aż 722,000,000 funt.; lnu zaś, 159,000,000 funtów. Jedwab', wełna, konopie i skóry, również były więcej sprowadzane w r. 1845, niż w r. 1846. Lecz ponieważ rok 1845 był rokiem przesadzonych spekulacyj, a z drugiej strony, rok 1847 był rokiem znakomitych klęsk handlowych; stosowniej zatem będzie, jeśli do przedmiotu naszego zastosujemy umiarkowańszy rok 1846, jako przykład obecnego postępu.

Urzędownie podawana wartość przywozu i wywozu, wskazuje wartość czyli cenę nałożoną na artykuły nie-

równie dawniej, to jest kiedy ich cena była zupełnie odmienna od ceny dzisiejszej; daleko więc pożyteczniej będzie wskazać tylko stosunkowe ilości przywożone lub wywożone corocznie. Lecz *deklarowane* czyli *rzeczywiste* wartości dają aktualne ceny targowe rok po roku, tak, że z nich można wskazać pieniężną wartość towarów. Po takim objaśnieniu, porównamy teraz urzędowe i deklarowane wartości angielskich i irlandzkich produktów i wyrobów, wywiezionych w pewnych latach:

	Wartość urzędowa fs.	Wartość deklarowana fs.
1801	24,500,000.	39,750,000
1811	21,750,000.	30,750,000
1821	40,250,000.	35,750,000
1831	60,000,000.	36,500,000
1841	101,750,000.	51,250,000
1846	132,250,000.	57,750,000

Wartość deklarowana czyli rzeczywista, przewyższała urzędową do r. 1819, wskazując przez to wysokie ceny towarów; lecz od r. 1819 do 1846 wartość urzędowa przewyższała wartość deklarowaną, i przewyżka ta stawała się z każdym rokiem widoczniejszą, im ceny więcej się zniżały. Różnica ta jawnie okazuje się i w tém, że kiedy pieniężna wartość wyższych artykułów wywozu w r. 1846 niezupełnie dwa razy była większą jak w r. 1811, to *ilość* wywieziona, jako wskazana ceną urzędową, była przeszło sześć razy większą. Tu można przyjąć jedno i drugie wyrachowanie, stosownie do okoliczności o której idzie wyjaśnienie. Względnie wielki wywóz r. 1801, w porównaniu z wywozem r. 1811, wiąże się z tą okolicznością, że w pierwszym roku pókój panował, gdy tymczasem w r. 1811 Anglia była w wojnie politycznej i handlowej z Napoleonem.

Następujący wykaz wskaże *urzędową* cenę towarów wprowadzonych do zjednoczonego królestwa Anglii, oraz ogromne cła pobrane od nich w niektórych latach:

	Przywóz.	Cło.
1811	25,500,000.	—
1821	29,750,000.	23,500,000
1831	48,250,000.	22,000,000
1841	62,750,000.	23,750,000
1846	76,000,000.	22,500,000

Rachując na stopniowe niżenie opłat, pobór cła pozostał niemal taki sam jak dawniej, gdy tymczasem ilość towarów wprowadzonych, potroiła się w ciągu lat trzydziestu pięciu.

Przedsiębiorstwo angielskich właścicieli statków i budujących statki, równie godnym jest uwagi jak rękodzielników. Statków kupieckich angielskich w czterech peryodach było:

	Statków.	Beczek.	Z osadą.
1821.	25,036.	2,560,203.	169,179
1831.	24,242.	2,581,964.	158,422
1841.	30,052.	3,512,480.	210,198
1846.	32,499.	3,817,112.	229,276

Jakkolwiek liczba statków wzrosła tylko o 28 na sto od r. 1821 do 1846, ładunek jednak podniósł się o 50 na sto. Postęp żeglugi parowej był nierównie znakomitszy. W r. 1814 był tylko jeden statek parowy, należący do Anglii; do r. 1821 liczba ich wzrosła do 59; do r. 1826, do 230; do r. 1831, do 324; do r. 1836, do 561; do r. 1842, do 831, zaś do r. 1846, podniosła się do 963 statków. Tym sposobem statki parowe stosunkowo pomnażały się z każdym rokiem. W r. 1826 wypadło 106 beczek na jeden statek, w r. zaś 1846 można ich liczyć 136.

Następująca tabelka odnosi się nie do statków i ludności należących do państwa angielskiego, lecz do statków bądź angielskich, bądź obcych, które wpłynęły do portów brytańskich w interesach handlowych:

	Statków.	Beczek.	Z osadą.
1821. . . .	14,066 . . .	1,895,530 . . .	123,528
1831. . . .	20,573 . . .	3,241,927 . . .	178,782
1841. . . .	28,052 . . .	4,652,376 . . .	252,330
1846. . . .	33,821 . . .	6,101,015 . . .	322,751

Przekonywamy się ztąd, że liczba statków przeznaczonych do handlu pomiędzy obcemi krajami a portami angielskiemi, podwoiła się przeszło w ciągu lat dwudziestu pięciu, że ludność ich potroiła się niemal, a ładunek pomnożył się przeszło w trójnasób. Handel *nadbrzeżny* pomiędzy rozmaitemi portami zjednoczonego królestwa, nie jest wcale objęty powyższą tabelką. Atoli ładunek jego ogólny podniósł się od 9 do 13,000,000 beczek w blisko dwunastoletnim okresie.

Wszystko cośmy dotąd powiedzieli, odnosi się do artykułów żywności, produkowanych w kraju i za granicą, do materiałów służących do ubrania, do surowych materiałów rękodzielniczych, do ogólnego handlu angielskiego z innemi krajami, do statków i ludności znajdujących korzyść w zatrudnieniach handlowych. To wszystko w ogóle należąc mniej więcej do produkcji przemysłowej, wzrosło nierównie prędzej od ludności krajowej, a nawet w niektórych okolicznościach wzrosło do ogromnych rozmiarów. Tutaj powinniśmy także zwrócić uwagę, że konsumpcji czyli zużyciu tak utworzonego mienia, następuje się wiele przedmiotów, które wymagają najspieszniejszego ulepszenia, zastosowanego do pożytku socyainego.

Przypatrzmy się teraz kassie ubezpieczeń od ognia. Wartość własności zabezpieczonych w Anglii, wynosiła w r. 1831 przeszło 526,000,000 fs.; do r. 1841 wzrosła ona do summy 682,000,000 fs., tworząc podwyższenie blisko 30 na sto w ciągu lat dziesięciu. Byłoby trudną, może nawet niepodobną rzeczą obliczyć należyście wysokość funduszów, podanych do ubezpieczenia na życie; muszą one być ogromne, a wypływające ztąd korzyści socyalne, nad wszelkie wyrachowanie. Zato inny rodzaj kapitałów składkowych łatwiejszy jest do oznaczenia w liczbach, to jest fundusze składane w kassach oszczędności. Ten system rozpoczął się w r. 1817. Początki jego były nader skromne, lecz później doszedł on do rozmiaru przechodzącego wszelkie przypuszczenia. Do r. 1831 znajdowało się 429,503 uczestników, których składki wynosiły 13,719,495 l.; do r. 1841 było ich 841,204, a fundusze podniosły się do summy 24,474,689 l.; do r. zaś 1846 było 1,108,546 deponentów, których składki wynosiły summe 33,694,642 l., to jest około 30 l. od każdego współuczestnika. Summa ta byłaby jeszcze znacznie wzrosła, gdyby nie ułatwienie zaprowadzone w Szkocyi, przez założenie banków depozytowych (Joint Stock Banks). Banki te przyjmują do depozytu najdrobniejsze kwoty i udzielają od nich procent; przez co kassy oszczędności niewielkie mają powodzenie w Szkocyi. Można przypuścić, że ogólna summa złożona w bankach szkockich niewiele jest mniejszą od 30,000,000 l., tudzież, że połowa uczestników składa się z takiej klasy osób, które mają udział w innych kassach oszczędności.

Roczna wartość własności, obliczona podług taksy z r. 1815, wynosiła około 52,000,000 l.; w r. 1842

podniosła się do 82,250,000; dziesięcina zaś czyniła około 1,670,000 l. Roczne korzyści z handlu w Anglii i Wallii przyniosły w r. 1815 około 35,000,000 l.; w r. 1844 oceniono je na 60,000,000 l. Wysokość kapitału od którego uiszczono opłatę legacyjną w Wielkiej Brytanii, wynosiła pomiędzy r. 1797 a 1831 do 742,000,000 l. Summa ta do r. 1841 wzrosła do 1,163,000,000 l.; tak, że w ciągu lat dziesięciu (1832 do 1841), opłata legacyjna uiszczoną została od kapitału przeszło o połowę większego, niżeli kapitał od którego ją opłacano w przeszłych trzydziestu pięciu latach; czyli, przedstawiając to w innym kształcie, własność legowana wynosiła 22,000,000 l. rocznie od r. 1791 do 1831, a 42,250,000 rocznie od 1832 do 1841. Dochód stęplowy od testamentów i tak zwanych listów administracyjnych w królestwie zjednoczonym, przyniósł 919,000 l. w r. 1831; 1,015,000 l. w r. 1841; i 1,055,000 l. w r. 1846. To są fakta, które pod rozmaitym względem świadczą o wzroście własności posiadanej lub nabytej w Anglii.

Jeżeli zastanowimy się nad kapitałem cząstkowym w ciągu danej liczby lat, a który w każdej kassie reprezentuje jakąś oszczędność, otrzymamy zadziwiające rezultaty. Możemy pominąć drobiazgowę spekulacyę r. 1825 i operacyę banków depozytowych z r. 1836, gdyż te zasługują więcej na uwagę z wpływu wywieranego na drobne kwoty depozytowe. Co się tyczy 2,700 mil kanałów, budowanych teraz w królestwie angielskim, te należą więcej do przeszłego pokolenia, aniżeli do teraźniejszego; ponieważ blisko 2,000 mil było projektowanych i wykonanych przed końcem wieku zeszłego. Czterdzieści lat od r. 1770 do 1810, były najważniejszymi

latami dla kanałów. Co zaś do dróg bitych, postęp ich był znaczniejszy w ostatniem pokoleniu, anizeli w ostatnich dwudziestu latach. Drogi bite i brukowane w Anglii i Wallii, dochodzą do 20,000 mil angielskich, drogi zaś uboczne do 100,000 mil; wszystkie zaś jakkolwiek pomnażają się corocznie, wzrost ich nie jest jednakże bardzo wielki. Lecz skoro przejdziemy do kolei żelaznych, znajdziemy wtedy dostateczne usprawiedliwienie, że drogi i kanały zostają w stagnacyi. Piérwsza kolej żelazna (pomiędzy Liverpool i Manchester) otworzoną została dla handlu w r. 1830; powodzenie jój było tak wielkie, że uzyskano przeszło sto przyzwoleń pomiędzy tymże rokiem a rokiem 1840, do założenia nowych kolei, a przeszło pięćset w następnych sześciu latach 1841—1846. Około 1,100 mil zostało ukończonych lub było w robocie w r. 1841; około 2,650 mil w r. 1846; około 4,400 otworzono przy końcu r. 1848. Kapitał użyty na te roboty, który przed dwudziestu laty używany był nierozważnie, podniósł się teraz do zadziwiającej wysokości. Ukończone do miesiąca października r. 1845 drogi żelazne, kosztowały 70,000,000 l.; w początku zaś roku 1848, wydatek podniósł się do 170,000,000 l. z których 130,000,000 l. zebrano na akcye, a 40,000,000 przez pożyczkę.

Widoczną jest rzeczą, że sama *możność* obrócenia tak znakomitych funduszków na koleje żelazne, dowodzi wielkiej siły i zamożności kraju; i jasną jest rzeczą, że sposobność przenoszenia się z miejsca na miejsce, musiała także niesłychanie się ułatwić. Czas posiada wartość pieniężną w handlu; a jakkolwiek niepodobienstwem byłoby ocenić go należycie, nie podlega to przecież żadnej wątpliwości, że wartość pieniężna wszelkich czynności,

musiała się także powiększyć przez oszczędzenie czasu w podróżowaniu koleją żelazną. Wszelkie rodzaje czynności ułatwiają się teraz prędzej, aniżeli dawniej przed założeniem kolej żelaznych. Drobniejszy kupiec nie potrzebuje robić zbyt wielkich zapasów, jako stanowiących martwy ciężar, i ludzie wykonywają w kilku dniach roboty, które dawniej kilku tygodni potrzebowały. Teraz śmiech to w nas obudza, kiedy słyszymy o powozach edyńskich i glaskowskich, które potrzebowały tygodnia czasu do udania się tam i napowrót; o powozach edyńskich i londyńskich, które piętnaście dni przepędzały w drodze; o powozach oxfordzkich, bawiących dwa dni w podróży, i nocujących w High Wycombe; o długich wagonach Roderyka Random, które potrzebowały dwa tygodnie na podróż z Yorku do Londynu; a nawet kiedy się zbliżymy do tych świetnych karet, najpiękniejszych może ze wszystkich krajów—dylizansów, zaledwie możemy sobie utworzyć jakieś wyobrażenie, o tak prędkich naszych podróżach. Z Londynu stanemy w Exeter za cztery godziny i pół, w Edyńburgu w godzin dwanaście, w Dublinie w trzynaście. Ile osób podróżować może zwyczajnymi drogami, trudno jest obliczyć; lecz wiadomo nam, że w półroczu do czerwca 1848 r., było przeszło dwadzieścia sześć milionów podróżnych na kolejach żelaznych w królestwie, czyli około jednego miliona na tydzień. Ponieważ w półroczu jezienném zawsze więcej podróżuje osób aniżeli w półroczu wiosenném, i ponieważ w każdym miesiącu nowe otwierają się drogi; przeto śmiało możemy podać trzydzieści dwa lub trzydzieści trzy miliony podróżnych na drugie półrocze r. 1848, co uczyni 58 milionów czyli dwa razy tyle, ile ludność królestwa angielskiego obecnie

wynosi. A ponieważ uważano, że każda podróż jednej osoby dochodzi około czternastu mil długości; otrzymamy zatem rezultat, że jeżeli przypuścimy, iż każdy mieszkaniec, mężczyzna, kobieta i dziecko w trzech królestwach odbywa dwie podróże rocznie, każdą po czternaście mil, to wyrówna całej długości kolej obecnie jeszcze budowanych. Dwadzieścia mil corocznie na każdego mieszkańca, stanowi rzeczywiście znakomity stosunek, względem którego podróże w dylizansach nie mają nic równego. Obawiano się kiedyś, że konie i właściciele koni boleśnie uczują takowy wzrost kolej; lecz ktokolwiek zastanowił się nad pomnożeniem się omnibusów, doróżek i bryczek, ten znajdzie zupełne wynagrodzenie za dawne powozy i dylizanse. Nie wdając się w żadne szczegóły, widoczną jest rzeczą dla każdego, kto tylko najmniejszą zwrócił uwagę na tego rodzaju przedmioty, że wielkość kapitału użytego na budowę mostów, doków, bazarów; na oświetlenie, bruk i ulepszenie miast, tudzież na inne przedmioty, zmierzające do zapewnienia wygod ludu, wzrosła daleko prędzej aniżeli ludność; lecz wartość ulepszeń najdokładniej może być oznaczoną wtedy tylko, kiedy ją się porównywa w dwóch odległych od siebie peryodach.

Zmiana urzędzeń pocztowych po znizeniu opłaty, pomnożyła w sposób niezmierny korespondencją w całym kraju, i wzrost ten z każdym rokiem postępował. W jednym tygodniu r. 1839 wydano w całym królestwie około półtora miliona listów; do r. 1848 liczba korespondencyi tygodniowej wzrosła do półsiódma miliona. Używanie poczty w interesach pieniężnych jest jeszcze godniejszém uwagi. Pieniądze przesłane w ciągu trzech miesięcy r. 1839, wynosiły 90,000 fs.; zaś w ciągu trzech

miesiący r. 1848, dosięgły one nadzwyczajnej summy 3,500,000 fs.

Otóż wszystkie te szczegóły skłaniają nas do powtórzenia tego, cośmy już poprzednio powiedzieli: iż niemal wszystkie przedmioty przemysłu krajowego w niniejszym artykule wymienione przekonywają, że wzrost przemysłu w danej liczbie lat większym był od wzrostu ludności. Fakt ten godzien jest zatrzymania w pamięci, byle tylko nie wyprowadzać z niego zbyt skwapliwych wniosków; wniosków, któreby potrzebowały innych dat do swego usprawiedliwienia. Ponieważ celem naszym było przedstawić niektóre tylko cyfry odpowiednie, przeto nie ubiegaliśmy się bynajmniej za zupełnie ścisłą dokładnością; tém więcej, że roczne sprawozdania w rozmaitych parlamentarnych podawane papierach, w niektórych przypadkach składane były do 31 grudnia, w innych do 5 stycznia, w innych nareszcie do 5 kwietnia, tak, że czasami z trudnością przychodziło porównywać je z sobą. Dlatego też czytelnik zechce uważać liczby, jako podane w ilościach okrągłych, zbliżających się dostatecznie do tej ścisłości, jaka do prostego porównywania mogła być potrzebną.

GABRYELA.

POWIASTKA.

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońskiej.

Oczki młode żwir przypruszy,
Ziemia grzmi na trumny desce;
Dajmy jój po szczerój łezce,
I paciorek dla jój duszy.

G.

Wielki post się zaczął, wieczorne zebrania po większej części ustały, o głośniejszych zabawach nie posłyszano wcale; więc téż wszyscy szukający rozrywki z chęcią na przedstawienie *Niemy z Portici* pospieszyli. W łozach ujrzano kilka piękności ubiegłego karnawału, a obok nich niejedną młodziuchną panienkę, która téj zimy jeszcze w poczet występujących na świat zaliczoną nie została.

Młodzież żółto i biało-urękawiczkowana zajęła pierwsze krzesła, wymierzając dłuższe lub krótsze lornetki kolejno do każdój łoży.

— Czy nie wiesz Józiu, kto jest to śliczne stworzenie w trzeciej łoży po prawej stronie sceny?—zapytał

młodziak w szerokiej *almawiwie*, swojego sąsiada z jasną bródką.

— Nie wiem, nie widziałem jój nigdzie..... Ładne dziecko! Zapytam o nią Anatola, wszakżeż on zna wszystkich — i przeszedł na drugą stronę, a młodziak w *almawiwie* ciągle trzecią łożę lornetował.

W téj łoży siedziały z przodu dwie panie: jedna otyła, rumiana, w czépku *à la paysanne* z mnóstwem różnobarwnych wstążek, a druga chuda, z dużym nosem, ustrojona w biały kapelusz z piórem i szal pąsowy; poza niemi zaś cel lornetek wymierzanych z krzeseł — młoda, ładna panienska, w okryciu błękitném, oszytém grono-stajami. Włosy jój jasne, złotawe, krótko zebrane, spuszczały się w niewymuszonych, malowniczych zwojach na szyję, dodając nieokreślonego wdzięku białej, lekko zapłonionej twarzyczce. Oczy wielkie niebieskie, zdobiła brew ciemna i rzęsa. Rysy drobne, miłe, miękkie, wyrażały samą tylko dobroć i słodycz.

— *Bon soir* — powitał znany we wszystkich salonach hr. Anatol Zebrzycki, lornetującego młodziaka w *almawiwie*.

— *Ah, bon soir!*

— Podobno pragniesz, mój Felku kochany, dowiedzieć się, kto jest ta ładna istotka, ta śliczna niezabudka? Niezabudka, *c' est le nom que je lui ai donné*.

— Czy znasz ją?

— Jakżeżby jój znać nie miał! — wtrącił Józef z uśmiechem.

— Gdzież więc wyrosła ta śliczna niezabudka?

— We wsi Tołędzinie, niedaleko miejsca, gdzie *San domierza*. Imię jój Gabryela. Ta rumiana dobrej tu-

szy jejmość jest *sa chère maman*, pani Ligórska; ta zaś druga dama w piórach i szkarłacie, *la très noble dame de Nietomiewska*.

— Ach, pani Nietomiewska! Znam ją przecież, alem jej się nie przypatrzył.

— I jam na nią nie zważał!... Ale dlaczegoż nie widzieliśmy w czasie karnawału panny Ligórskiej?

— Karnawałowała na wsi.

— A jakaż tam fortuna?

— Hm! ładna wioska, ale Gabryela ma brata. Matka w synie zakochana, chłopiec za granicą hula.....

— Więc już nie ma ojca?

— Umarł przed dwoma laty.

— *Regardez donc!* Ten jakiś brunet w czarném futrze kłania im się do łoży.

— Zapewne jaki wieśniak!

— *Mais un bel homme!*

— Przystojny. Rysy wydatne, oko pełne, ogniste, wąs kruczy.

— Postawa niezła, dobra; i to futro wcale niezłe go *drapuje*.

— On spogląda ku łoży.

— I niezabudka niby się uśmiecha.

— Śliczne stworzenie! Coś tak eterycznego, zdaje się, że dmuchnąć, to się i rozplynie ten delikatny, uroczy obraz.

— Oj, oj, Felix wpada *w ekstazę!* Do widzenia się z wami, spieszę na miejsce.

I zaledwie Anatol zajął swoje krzesło, gdy orkiestra uwerturę zagrała.

Publiczność oklaskiem powitała Fenellę, oklaskami obsypała Masaniella, i zadowolenie z każdą zwiększało

się chwilą, gdy zachęceni tém artyści coraz więcej dokładali starań, by na nie zasłużyć.

Chociaż brunet w ciemném futrze zostawał pod silném wrażeniem muzyki i wystawy najpiękniejszej podobno opery Auber'a, jednakże i częste rzucał spojrzenia ku trzeciej łoży: bo w jaśniejszém spojrzeniu błękitnego oka Gabryeli, w świeższym rumieńcu młodego lica, w całej pełnej wdzięku, wiotkiej postaci dziewczęcia, wyczytał z nieokreślonym uczuciem zachwycenie, w jakie ją niemal ton każdy wprawiał.

Pierwszy akt się skończył, i powstał ruch w krzesłach: jedni wybiegli do *foyer*, drudzy znajomych, będących obecnymi przedstawieniu, witali, i t. p.

W trzeciej łoży drzwi otworzono i wszedł brunet w ciemném futrze. Gabryela się zarumieniła, uśmiechnęła: serce dziewczęcia poskoczyło ku przybyłemu.

— A! jak się pan ma? dawnoś pan przyjechał?—powitała go uprzejmie pani Ligórska.

— Przyjechałem przed godziną. Byłem u pań...

— I cóż tam na wsi słyhać? Bo co ja, to tęsknię do domu. Ale téż i wkrótce wyjadę.

— Któż to jest? — zapytała z cicha pani Nietomiewska, gdy przybyły za krzesłem Gabryeli stanął, i wesołą z nią rozpoczął gawędę.

— Władysław Policki, nasz sąsiad.

— Konkurent do Gabryelki?

— Tak się zdaje—i pani Ligórska uśmiechnęła się.

— I czy dobra partya?

— Hm! ma wioskę wprawdzie niewielką, ale to bardzo *porządny* chłopiec; był i za granicą. Nie jestto naturalnie nic tak wielkiego dla Gabryelki, ale cóż robić?

Młodzieży majątnój mało, a jak który bogaty, to jeszcze i więcej pragnie.

Pani Ligórska po tych wyrazach znowu się uprzejmie do Władysława zwróciła, i rozmowa stała się więcej ogólną.

W jednym z między-aktów, zebrali się Anatol, Felix i Józef znowu w środkowym miejscu, by się lepiej siedzącym w łóżach przypatrzeć. Szeptali sobie różne uwagi, udzielali sobie różnych nowinek, gdy Anatol zawołał:

— Patrzcie, jak barona zajęła niezabudka!

Młodzi spojrzeli na jedną z łóż naprzeciw pani Ligórskiej będących: siedział w niej sam jeden, mężczyzna lat czterdziestu kilku, rysów zwyczajnych, cery niezdrowej, z ułożonym starannie jasnym rzadkim włosem, ubrany wykwintnie, i lornetował ciągle trzecią łóżę.

— Spodobała mu się widać.

— Mówił niedawno, że w tym roku koniecznie ożenić się musi.

— Ha! może dla niezabudki stanowcza wybiła chwila.

— Szkodaby jój było!

— Czyżby go chciała?

— *C'est un richard?* chociaż fatalnie notowany...

— Lichwiarz, szuler... Ej, wszystko złe! — zawołał Felix.

— Jużciż wiadomo, że przez swoich agentów po sześć od sta na miesiąc pożyczka, i że na karcikach zbił majątek; ale wszakże przyjmowany wszędzie i wiem kilka matek, któreby mu chętnie swoje córki oddały.

— Ten biedny Staś, *c'est sa victime*: cała fortuna chłopca przeszła w jego ręce.

— Opowiem ja wam sztuczkę o panu baronie!.....
Ale gdzież się przejdziemy po operze?

— Ja was proszę do *Marego*.

— Niechaj i tak będzie. *Au revoir!*—i Anatol znowu na swoje miejsce pospieszył. Zastona się podniosła.

Przez ciąg ostatniego aktu Władysław pozostał się w łoży pani Ligórskiej. Widział zblednienie Gabryeli, gdy Masaniello ginął; widział łzę w niebieskiem oku nad śmiercią Fenelli. Zadowolona publiczność grzmotnym oklaskiem i powtarzaném wywoływaniem nagrodziła artystów, a *Kuryer Warszawski* doniósł nazajutrz: Pan * w roli Masaniella został wywołany dwanaście razy; pani ** sześć razy, a panna * jako Fenella, ośm razy.

Tłumnie cisnęło się wszystko na korytarze.

— Spieszmy się!—wołała pani Nietomiewska—zanim z piętr wyższych massy nadpłyną. Pochwyciła Gabryelę i naprzód z nią wybiegła. Władysław podał rękę pani Ligórskiej.

Na korytarzu spotkał ich samotnik z przeciwległej łoży i ukłonił się pani Nietomiewskiej.

— *Bon soir, chère baron!*—i odkłoniła mu się mizdząc.

Baron szedł za niemi, przypatrując się Gabryeli.

Na dole przy wyjściu stała młodzież z krzesel.

— *La voilà!*—zawołał zcicha Anatol—śliczna Gabryela!

— Brunet prowadzi mamę, a baron eskortuje.

Zaszedł powóz. Panie wsiadły i odjechały. Gabryela jedném jeszcze mówiącém spojrzeniem udarowała Władysława, który zwolna za powozem poszedł. Baron wskoczył do eleganckiego koczka.

— *Que c'est fringant et véritablement beau, sapristie!*— podziwiał Anatol rzadkiej piękności konie barona.

Baron pojechał ku ulicy Senatorskiej, a trzech przyjaciół udali się przez pocztę na Krakowskie-Przedmieście.

— Ależ nam miałeś opowiedzieć jakąś awanturkę o baronie, Józiu!—ozwał się Anatol, biorąc Józefa pod rękę.

— O, brudnato historia!.... Wiecie, że mam wuja mieszkającego pod Siedlcami. Otóż jest temu lat podobno ośm, wujaszek pojechał sobie za interesem do Siedlec, i spotkał się tam w restauracyi z baronem. Wszczęła się gawędka; baron opowiada, że musi tutaj, w tój biédnej mieścinie, na ukończenie jakiegoś interesu i na odbiór pieniędzy czekać; że się nudzi okropnie i nie wie, jak czas swój zabić; że w całych Siedlcach nie ma nikogo znajomego. Wujaszek poczciwy, gościnnie, zaprasza go do siebie na wieś, na polowanie..

— A znalazł go?

— Ej gdzie tam! po raz pierwszy go widział. A potrzeba wiedzieć, że baron wówczas nie był jeszcze w takim dostatku, jak dzisiaj.... Otóż i przyjmuje on zaprosiny, i jedzie zaraz z wujem. Doznaje w domu wujostwa najserdeczniejszej gościnności, bezwzględnej; przytém, za pośrednictwem wuja, ułatwia i swój interes w Siedlcach. Po trzech tygodniach zabiéra się nakoniec do odjazdu. Wtedyto powiada mu wuj, że i on jedzie do Warszawy, bo chce zaciągnąć pożyczkę 15,000 złp. Baron obiecuje mu być pomocnym, jadą więc wujostwo oboje, a z niemi i baron. Po kilku dniach pobytu w Warszawie, skutecznia się owa pożyczka.

— Czy za pośrednictwem barona?

— Nie inaczej, i to zapewne on był pożyczającym, a jakiś Drajer tylko podstawionym; a procent był dość znaczny...

— *Comme de raison!*

— Wujaszek odbiera pieniądze, idzie z niemi do mieszkania, gdy go baron do siebie na herbatę prosi. Wujaszek dobroduszny wstępuje. Wkrótce nadchodzi kilku znajomych barona; proponują wista: zastawiono stół i podano karty. Nadchodzi znowu kilku, toczy się gawędka, i niby nieumyślnie, jakby dla igraszki nim do wista zasiadają, który się miał po herbacie rozpocząć, zaczyna jeden z nich ciągnąć sztosika.

— Aha!

— Otóż go masz!

— Powoli, ze sztosika robi się sztos. Wujaszek, mający niegdyś pewną namiętność do gry, wygadał się był z tém przed baronem...

— *Ça devient intéressant!*

— I koniec końców, wujaszek pociągnął parę razy szczęśliwie. Podano wino, fajki, cygara; *peu-à-peu*, wujaszek zapalał się coraz bardziej, wygrywał, przegrywał, obudziła się dawna namiętność i.... w przeciągu kilku godzin, całe 15,000 przeszły do kieszeni przyjaciół barona.

— *Quelle infamie!*

— Podlec!

— Gdy się to dzieje, wpada lokaj barona do wujenki i opowiada jój o łapce, w jaką wpadł wujaszek, dodając: „Pani! ja tego dłużej znieść nie mogłem! Myśmy tyle gościnności doznali w domu państwa, a mnie sam pan mój kazał karty układać potajemnie i podawać je potem na stół, by mąż Wielmożnej Pani przegrał.”

— Aa!

— I cóż wujenka na to?

— Posyłała po męża raz, drugi, trzeci, ale na nic się to nie przydało, bo go dopiero wtedy wypuścili, gdy już nic w kieszeni nie miał.

— Taki pan baron gorszy od rozbójnika na publicznych drogach!

— I czyżto świat o takich jego sprawkach nie wie?

— Oj wie! Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

— Brudy na świecie! Potrzeba, ażeby się ta społeczność nasza choć trochę oczyściła.

I czyniąc podobne uwagi, młodzi towarzysze skierowali kroki swoje do pałacu Uruskich, gdzie ich sute oświetlenie z poza czerwonych firanek wabiło, to jest restauracya znanego w Warszawie *Marego*.

III.

Nazajutrz po obiedzie, wypoczywała pani Ligórska po ranném chodzeniu za sprawunkami, w pół siedząc, w pół leżąc na kanapie, pod nr. 3 w hotelu Krakowskim. Przy oknie siedziała Gabryela, i patrząc na przeciwległą mennicę, słuchała opowiadania stojącego przy niej Władysława. Dziewczynka uśmiechała się, szczebiotała wesoło, dodawała i pani Ligórska swoje słówko, gdy w przedpokoju jedwabne zaszeleściały suknie i pani Nietomiewska, ustrojona, wyświeżona, ukazała się we drzwiach.

— *Bon jour!*... Nie przeszkadzam-że? — i wyciągnęła ręce do biegnącej ku niej Gabryeli.

— Prosimy, prosimy! i serdecznie dziękujemy za pamięć o nas — zawołała podnosząc się pani Ligórska.

— Ach zmęczyłam się! Te wschody! Ledwie oddechu zachwycić mogę! — wyrzekła przybyła, rzucając się na kanapę; opuściła aksamitną mantylę, by ładny krój szlafrocza i upstrzenia rękawków i stanika pokazać, i rozwiązała różowe wstążki od kapelusika.

Wszczęła się rozmowa, jak to zwykle bywa, o pogodzie, o wczorajszej operze, o różnych nowinkach, bo nie o nowinach; poczem pani Nietomiewska poszepnęła słów kilka pani Ligórskiej, i wyszły obiedwie do drugiego pokoju.

— Wielką i szczęśliwą nowinę mam kochanej pani do zakommunikowania! — wymówiła pani Nietomiewska przymykając drzwi za sobą. — Siadajmy, bom bardzo zmęczona. Uważ sobie pani, że Gabryelka wczoraj konkietę zrobiła, ale to konkietę! *Je vous dis!*

— No? ciekawam!

— Otóż z barona Rzymowskiego. Czy znany?

— Nie, nie znam go.

— *Pensez donc*: jestto ogromna partya! Bogaty, ale to bardzo bogaty! Młody jeszcze, przystojny, miły, *très comme il faut*, bywa w najpiérwszych towarzystwach, *un homme de salon!*.... Cudny ma ekwipaż, mieszka bardzo *élégamment*, w doskonałym tonie! Ma dobra w Augustowskiem, w Płockiem, na Litwie. Niemasz tu panny, którejby mu nie dano!

— No, ale i cóż?... Gdzież-że Gabryelka taką z niego konkietę zrobiła? — Pani Ligórska nie w stanie była utaić swojej radości.

— O, wczoraj w teatrze! Siedział w łoży naprzeciwko nas.

— Aa! to ten, co tak ciągle lornetował!

— *C'est le même!*.... Dzisiaj *anonsuję* mi go, przyjmuję. Gawędzimy o tém i owém, w końcu zapytuje mnie: kto były te damy, które ze mną w loży siedziały? Oho! zmiarkowałam od razu wszystko.... Mówiłam mu tedy o was; *mais pourquoi vous conter tout cela!* Jestem przyjaciółką kochanej pani, i Gabryelcię serdecznie Kocham!

Pani Ligórska uścisnęła obiedwie ręce pani Nietomiewskiej.

— - Dodałam mu większej jeszcze zachęty, *du courage*, bo go nieco razila obecność tego jakiegoś pana Władysława.

— Ej co tam, ten!

— Dziś wieczór będziecie u mnie na herbacie; baron nadejdzie niby nieumyślnie, zaprezentuję wam go, a jutro około drugiej będzie u was z wizytą. Potrzeba tylko tego gacha z parafii oddalić.

— O, naturalnie! Przyjino wałam go grzecznie, bo innego nie było. Niezła to partya w braku lepszej, bo i cóż robić? To tak trudno teraz pannie pójść za mąż, a ja jeszcze i posagu dać nie mogę: mam syna, o którym pamiętać trzeba.

— Baron ani myśli o posagu!

— Władysław dobry, porządny chłopiec, ale oczywiście że ustąpić musi, gdy się coś lepszego trafi. Zaraz ja go odprawię! Byłam mu wprawdzie rada, boć przecież nie chcę, by mi się Gabryelka zestarzała, a mam smutne przykłady: u nas w sąsiedztwie jest sześć starych panien, a dziewięć młodszych, które nadaremnie konkurenta wyglądają.

W tym czasie, kiedy te dwie panie tak przyszłością Gabryeli rozrzędały, młodzi w pierwszym pokoju wcale inaczey marzyli. Wyglądali nibyto oknem, ale szeptali

sobie mite słówka, i rączka Gabryeli po parę razy znalazła się w ręku Władysława.

— Więc szafirowy kocz? — zapytał patrząc w błękitne oczy dziewczyny.

Gabryela z uśmiechem główką skinęła.

— Wybity sukmem perłowego koloru; bronzы białe, konie siwe: czy tak? Liberyi żadnej, żadnej odznaki....

— Żadnej, żadnej!

— Każę obiciem pokoiki wykleić, ale jakiegoż koloru?

— Bawialny blado - popielaty, z szafirowemi arabskimi: lubię bardzo kolor szafirowy; a drugi zielony w pasy — i Gabryela zarumieniła się nagle i umilkła.

Władysław niby wyrzał na ulicę, pogłaskał wąs ciemny i mówił dalej:

— Stołowy pokój potrzeba co rok odświeżać, więc go tylko zwyczajną farbą każe pomalować, bez ozdób. Ale co do małego pokoiku obok bawialnego, do buduaru, najgustowniejsze wybiorę obicie: będzie to pieści-delko. Jest w nim okno weneckie, każę je bluszczem otoczyć. Meble obstałowałem: do pokoju bawialnego palisandrowe.... a potém i cały garnitur jesionowych. Nadto śliczny fotelik, kozetkę i parę krzesełek do buduaru, bardzo ładnej, lekkiej roboty. Ogrodnika na ten rok przyjmuję z bardzo dobrej szkoły, by ogród ładnie urządził: klomby, trawniki wokoło dworu porobił, kwiatów dużo nasadził, ażeby się pani mojej podobało. Bibliotekę uporządkuję, uzupełnię; pisma peryodyczne zaprenumerowałem, fortepian już zgodziłem, ażeby się moja pani nie nudziła!

Gabryela wdzięcznie ku niemu spojrzała, i rzewno-miły wyraz przebiegł ładne jęj rysy.

— A w czerwcu! — i Władysław nie dokończył, pochwyił rękę dziewczyny, i z nieokreślonym wzruszeniem do ust ją swoich przycisnął. Gabryela pochyliła główkę, gdy drzwi od przyległego pokoju stuknęły, i matka jój z panią Nietomiewską nadeszły.

— Gabryelciu, zaprosiłam was na herbatę do siebie; przypomnijcie mamie.

— O, niepotrzeba przypominać! — odparła pani Ligórska, ściskając rękę przyjaciółki.

— Więc do widzenia!

— Do miłego widzenia!

— *Adieu ma charmante amie!* — Pani Nietomiewska jeszcze ode drzwi przesłała Gabryeli na paluszkach całus, a Władysławowi za ledwie głową skinęła.

— Panie zapewne wkrótce już na wieczór wybierać się zaczną? — zapytał Władysław po długiej chwili nie-miłego milczenia.

— O tak, bo chociaż tam pewnie nikogo nie będzie, to zawsze wypada jakoś się ubrać — odpowiedziała pani Ligórska.

— A jutro z rana, czy panie nie każą sobie gdzie towarzyszyć? Albo może da mi pani dobrodziejka jakie zlecenie?

— *Mocno* dziękuję! jutro z rana będziemy tylko w kościele, potem u pani Suleckiej na obiedzie, i dopiero około piątej do *stancyi* wrócimy.

— A więc po piątej będę paniom służył.

— Dobrze, po piątej.

I Władysław się pożegnał. Gabryela smutno za nim przez okno popatrzyła. Szybko przebiegł ulicę, od kraty przed mennicą spojrzał ku oknom hotelu i rozjaśniło się ciemne oko i ukłonił się z uśmiechem; na licu dziew-

częcia odpromienił się ten uśmiech lubego, i z miłym wyrazem pokiwnęła główką. — Jutro o tym czasie, mówily jój myśli pocieszające, zobaczymy się, pomówimy znowu z sobą! O jam szczęśliwa! On taki dobry! tak mnie kocha! — i łezka wdzięcznego rozczulenia zabłysła na niebie jój oka. — Kocha mnie bardzo! ależ i ja kocham!... Tak go kocham!! — i zapłonęły jój lica, i przycisnęła dłonią serce, jak gdyby jój zacięzało nadmiarem tego nieokręślonego uczucia. — Jutro, o tym czasie! — powtórzyła sobie raz jeszcze i odbiegła okna, by się na wieczór do pani Nietomiewskiej wybierać.

Ale nadeszło jutro i owa pożądana chwila, a Gabryela siedziała przy témże samém oknie z pochyloném na dłoń czołem, i smutno dumiała. Na kanapie wypoczywała znowu tak samo jak wczoraj jój matka, i także po swojemu marzyła.

Gabryela przebiegła myślą wieczór wczorajszy i dzień dzisiejszy, i jakimś niepokojącém przecuciem zadrzało jój serce. U pani Nietomiewskiej nikogo wczoraj nie zastały, i dopiero o godzinie dziewiątej zjawił się wytwornie ubrany baron Rzymowski. Gospodyni domu przedstawiła go pani Ligórskiej; był dużo mówiący, wesoły, bardzo grzeczny; zwracał często rozmowę swoją do Gabryeli, usiłował być zajmującym, a o godzinie dziesiątej pożegnał panie, bo był proszonym na wieczór do księżnej **. Dziś z rana była Gabryela z matką w kościele u PP. Kanoniczek, a gdy wróciły, kazała jój matka włożyć czarny mantynowy szlafroczek, tylko co od krawca przyniesiony, w którym Gabryeli ślicznie było. Na obiad do pani Suleckiej nie pojechały: więc matka przed Władysławem nieprawdę mówiła! Około godziny drugiej zatrzymał się piękny powóz, pąsowém su-

knem wybity, przed hotelem krakowskim; liberya suto galonowana, szczególnie piękne konie kare, pełne życia i ognia, w bogatych szorach, zwracały uwagę przechodniów.

Panią Ligórską zapytano: czy przyjmuje wizytę barona Rzymowskiego.

— Przyjmuje—odpowiedziała, a serce Gabryeli boleśnie się ścisnęło.

Wszedł baron w wyszukanym stroju, i wonią kosztownych olejków całe zappełnił mieszkanie. Gabryela czuła, że blednieje; szumiało jej w uszach, i bezprzytomnie odpowiadała na grzeczne zapytania gościa. Matka była dla niego bardzo uprzejmą. Baron niedługo zabawił, a po jego odjeździe, pani Ligórska ani słówka o nim do córki nie przemówiła. Jednakże biedna strwożona dziewczyna z tego wszystkiego przewidywała, co się święci; a jeszcze i Władysław nie nadchodził!

Pani Ligórska zaś w czasie tych tęsknych rozmyślań córki, układała sobie świetne plany na przyszłość, których podstawą było: „Wydam Gabryelkę za barona, nie będę dla niej żadnego potrzebowała posagu, zostanie się więc wszystko dla Oskarka”!

Wreszcie posłyszała Gabryela, że ktoś wchodzi do przedpokoju—i krew cała do strwożonego serca dziewczyny spłynęła. Wszedł Władysław z pogodą w oku a uśmiechem na ustach. Pani Ligórska zimno go tylko, nie tak, jak to dawniej bywało, przywitała. Spojrzał badawczo na Gabryelę, widział smutek w drogich rysach, i sam zesmutniał. Rozmowa toczyła się jałowo, urywanie. Pani Ligórska nie wydalila się ani na chwilę z pokoju, ztąd Gabryela nie miała sposobności posze-

pnienia mu i jednego słówka. A gdy Władysław po godzinnej bytności się pożegnał, łzy żalu napełniły jej oczy.

Nazajutrz było tak samo, a trzeciego dnia z rana, wyjechały nad wszelkie spodziewanie Gabryeli z Warszawy.

III.

W kilka dni po powrocie pani Ligórskiej do Tołędzina, odwiedził je Władysław i doznał znowu takiegoż samego przyjęcia, jak w Warszawie.

— Cóżto się mamie stało? — zapytał zcicha Gabryeli, gdy pani Ligórska przyniesiony jej list z poczty przy oknie czytała.

— O mój Boże! — odszepnęła blednąc, bo poznała, że list odebrany, był od pani Nietomiewskiej — pani Nietomiewska..... baron... — i już znowu urwała się rozmowa.

W tydzień potem, zajechał z hukiem i trzaskiem nader piękny powóz przed dworzec tołędziński. Cztery arcypiękne karosze, służba w sutój liberyi, zamożnego oznajmiły gościa: baron Rzymowski wszedł do pokoju. Biędna Gabryela o mało że nie zemdląta.

— Jadąc do Krakowa, nie mogłem sobie najwyższej odmówić przyjemności, zawadzenia o Tołędzin — mówił z głębokim ukłonem. — Już zdaleka witałem wysłanem naprzód spojrzeniem szarą wieżyczkę kościoła, a potem zajaśniało mi i mieszkanie pań, któreście się zapewne natrętnego nie spodziewały gościa.

Pani Ligórska na te wyrazy barona w również wyszukanej odpowiedziała mowie; przesadzała się w grzesznościach, a wykwinne przyjęcie gościa dowiodło Ga-

bryeli, że matka jej o tych odwiedzinach naprzód wiadomioną była.

Baron wiele mówił, opowiadał; we wszystkiém widoczną była nie swoboda światowca, ale raczej przewaga, o jakiej był przekonany, że mu ją złoto nadaje. Rozprawiał wesoło, nawet z pewną poufałością, i zabawiwszy krótko, odjechał.

Na trzeci dzień po wizycie barona, przybył Władysław do Tołędzina. Ale pani Ligórska dostrzegłszy konie jego i koczyk jeszcze na drodze wiodącej ode wsi do dworu, przywołała Gabryelę do siebie, a panu Polickiemu kazała powiedzieć, że jest słabą.

Święta Wielkanocne przepędziła Gabryela z matką u jakiejś ciotki, samotnie i smutno. Zabawiły tam dwa tygodnie, i biedaczka słusznie się domyślała, że ten wyjazd i wydalenie się na całe święta z domu, a nawet z okolicy, było obliczoném przez matkę, ażeby uniknąć odwiedzin i spotkania się z Władysławem.

Po ich powrocie w dni kilka, zjawił się znowu baron, wracając z Krakowa. Był jeszcze więcej nadskakującym. Pani Ligórska zatrzymała go na obiad, a przy pożegnaniu ucałował rączkę Gabryeli, przyciskając ją do ust z pewnym znaczeniem. Serce biednej stroskaniej zapłakało!

Stały w swoich uczuciach Władysław, niezrażony postępowaniem matki, powtórzył jeszcze parę razy bytność swoje w Tołędzinie; ale nigdy nie mógł uchwycić sposobności pomówienia słów parę z Gabryelą.

Na Zielone Świątki, zjechała pani Nietomiewska. Znać przywiozła nader dobre nowiny, bo pani Ligórska była jej bardzo rada; była bardzo wesołą, a Gabryela tém

smutniejszą. Pani Nietomiewska zrobiła nawet tę uwagę, że Gabryelka zbladła, zmizerniała i *jakoś oswiała*.

W drugie święto, w czasie nabożeństwa, zjawił się baron w całej swojej świetności w kościele. Gabryela modląca się z całym wzniesieniem ducha, nie zobaczyła go zaraz; ale gdy sąsiadki w pobliskich ławkach szeptać zaczęły, bo pan nieznajomy w tak wyszukaném ubraniu, a za nim lokaj zgalonowany, obudzić musiał ciekawość całej parafii; gdy matka i pani Nietomiewska odskłoniły się przybyłemu i coś do siebie przemówiły zcichają, wyrwana z swoich pobożnych rozmyślań Gabryela, podniosła oczy i zaraz je głębiej jeszcze spuściła, schyliła głowę, załamane ręce przycisnęła do piersi, i z głębi duszy westchnęła: O Boże, zmiłuj się nademną!

Dominus vobiscum! wyrzekł ksiądz przy oltarzu, i młoda dziewczyna po raz drugi korne schyliła czoło i z głębi serca smutnego westchnęła: Zlituj się, o zlituj się nademną wielki mój Boże!

Msza św. się skończyła. Baron przystąpił do kolatorskiej ławki i powitawszy uprzejmie panie, podał rękę matce Gabryeli. Ciekawość i szepty sąsiadek zwiększyły się w dwójnasób, i wszystko za wychodzącymi z kościoła spieszyło. Błyszczący *ekwipaż nowego konkurenta* panny Ligórskiej, który przed kościołem *paradował*, do reszty *zaintrygował* całą parafią.

Pani Ligórska wsparta na rękę barona szła zwolna, z tryumfującą miną, ku dworowi, a obok niej blada, z spuszczoneym ku ziemi wzrokiem Gabryela, ujęta pod rękę przez panią Nietomiewską.

Wsiadając do pojazdów i bryczek, sąsiadki i sąsiedzi patrzyli się za nimi, różne przytém czyniąc uwagi. I stoją-

ce przed cmentarzem gromadki wieśniaków, podziwiała suty ekwipaż tego jakiegoś *wielkiego pana*, co to *pewnie hajs z innej okolicy przyjechał*.

— Mój Jezu! — ozwała się mleczna siostra Władysława Polickiego, poczciwa Wojtkowa z Rogożewa — toćto pono kawaler tołędzińskiej panienki, a ja sobie tak myślałam, że to ona będzie naszego pana!... A co ty na to Wojtku?

— Ha! — odrzekł jej małżonek zaszepiony, kiwnął głową i uderzył sękowatym kijem o leżący nade drogą kamień. Kobięta zjrzała mu w oczy, nie pocieszyło ją to *ha!* a mniej jeszcze zmarszczone czoło Wojtka, i milcząc szli sobie miedzą ku Rogożewu.

We dworze tołędzińskim czekało już wyszukane śniadanie na wracających z kościoła.

Pani Nietomiewska, odłożywszy krepowy kapelusik z piórem, wzięła się do jakichś łakoci, gdy baron z troskliwością zapytał o zdrowie panny Gabryeli, czyniąc uwagę, że ją nieco zmienioną znajduje.

— Może tęskniła troszkę! — odszepnęła mu zcicha, z uśmiechem pani Nietomiewska, trzymając w ręku kryształowy talerzyk z konfiturami.

Baron wdzięcznie się uśmiechnął i pocałował woniejącą rączkę damy.

Gabryela nie dosłyszała odpowiedzi pani Nietomiewskiej, ale ją prawie odgadła: kochająca kobięta staje się domyslną, przenikliwą, cokolwiek się uczucia jej dotyczyć może.

Wieczorem baron odjechał, mówiąc, że przez całą noc pojedzie, że najbardziej lubi w nocy podróżować — pański gust! A po jego odjeździe wniesiono wielkie

puddo do pokoju, pełne najwykwintniejszych cukrów, na jakie się tylko tego rodzaju sztuka zdobyć może.

Pani Ligórska była zadowolona, a pani Nietomiewska nie mogła się temu słodkiemu darowi dosyć *naadmirować*, jak się wyraziła.

— Gabryelciu, on, pocziwiec, chciałby całe życie twoje tak słodyczami ziemskimi obsypać, jak obecnie temi precudnemi cukrami!—zawołała, napoczynając ananas w szklanym słoiku, syropem zalany.

Nazajutrz pani Nietomiewska, zabrawszy większą połowę owych słodyczy baronowskich (Gabryela byłaby jej chętnie wszystko oddała), po serdeczném pożegnaniu odjechała do Warszawy. Pod wieczór odebrał Władysław list następujący:

„Widzę się obecnemi okolicznościami znaglona, prosić Pana, ażebyś swoich miłych sąsiedzkich odwiedzin w Tołędzinie nateraz zaniechał. Zechcesz Pan wytłumaczyć troskliwość matki.”

Tołędzin, 10 czerwca 1847.

Zawsze życzliwa, *Anna Ligórska.*

Władysława list ten jakby piorun uderzył. Oddawna już wprawdzie, oziębłość pani Ligórskiej powinna być do podobnego przysposobić wypadku; a jednakże te jej lodowe wyrazy, ten jej wyrok, okrutnie go dotknęły. Jakże często można usłyszeć to zdanie: że niepewność jest gorszą od samego złego. A jakież to mylne zdanie! W niepewności żywimy jeszcze nadzieję, i to nas tylko dręczy, że ta nadzieja jest wątpliwą; a gdy się szala złego przeważy, gdy niepewność w rzeczywiste zamieni się nieszczęście, to i ostatnia pociecha, nadzieja, uleci!

Jak w obłądnie przetrwał Władysław dzień długi; godziny się wlokły, jak życie nędzarza. To chciał do-
siąść konia, z wiatrem popędzić do Tołędzina, rzucić się
do nóg matki, prosić, błagać; to znowu szlachetna du-
ma zawrzała w piersi młodzieńczej, i szaleńczo nazywał
ten swój zamiar, bo do czegożby go to doprowadziło?—
Chyba do większego tylko upokorzenia!

Błady, zmieniony wybiegł Władysław w pole. Mnie-
mał, że w samotności, pod tém czystém niebem, w obec
młodej przyrody, wśród tych wielkości stworzenia, umysł
jego nowej nabierze rzeźwości i otuchy, nowej siły
i wiary. Wyrwać Gabryelę spod tyrańskiej władzy ma-
tki, nie pozwolić, by się stała ofiarą jój niegodnych pie-
niężnych widoków: to była myśl, która go całkiem
owładła, która mu szczęśliwszą przyszłość obiecywała.
A Gabryela, czyliż ona zechce? Ona, tak łagodna, ule-
gła, cierpliwa; tak przywiązana do matki, tak przejęta
uczuciem dziecięcym!... I nagle rozwiął się obraz uludny,
i wrzącym bólem ścisnęło się serce. Ależ Gabryela ko-
cha!... I począł w myśli przyzywać całą moc wymowy
namiętnie kochającego serca, opartej na silném przeko-
naniu, że ją uszczęśliwić potrafi; i raz był pewnym, że
ją błaganiem swoim skłonić zdoła, to znowu najsmu-
tniejsze zwątpienie tamowało polot uroczych marzeń.
I gdzież się z nią zobaczyć, by jój to wszystko powie-
dzić? Jakżeż zbliżyć się do niój?

— Niech będzie pochwalony!—przerwał mu głos nie-
wieści te rozmyślenia.

— Na wieki wieków amen!—i zobaczył przed sobą
wieśniaczkę, poczciwą Wojtkową.

— Dobry wieczór Wielmożnemu paniczkowi.

— Dobry wieczór, moja Wojtkowa. — Władysław się odwrócił, chcąc jęj się pozbyć, bo kobięcina jeszcze z lat jego dziecinnych nawykła pogawędzić z nim czasami.

— Co tézto tu za śliczne żytko! gdyby na nowinie.

Władysław posunął się naprzód, a Wojtkowa za nim.

— A pszenica tam pod lasem, toby się i wąż nie przedarł! Jużto-bo tego lata, dzięki Ojcu w niebie, to się i wszędy urodziło... Jaki tézto na Tołędzinie groch! i wieśniaczka spojrzala na pana, który jak gdyby, zelektryzowany wzmianką o Tołędzinie, nagle przystanął.

— A sialić go w maju i wejnie sprawdziło się ono przysłowie: że kto groch sieje w marcu, będzie go gotował w garncu, a kto go sieje w maju, ugotuje go w jajcu. Tołędzka pani, bo i zgniewała się ogniście na ekonomą, że rychlęj nie zasiał, jak moja krewniaczka mówiła, co tam jest we dworze.

— Gdzie? — zapytał z naglém zajęciem Władysław.

— A w Tołędzinie.

— Kto taki?

— Baśka, córka mojęj stryjecznej, służy tam za kawiarke.

Władysław posunął się szybko naprzód, potarł ręką czoło, przystanął: to mu Opatrzność tę kobięcę zesłała! Władysław wierzył w Opatrzność.

— A bywacież wy czasem u tēj waszēj krewniaczki?

— A jużci.

Władysław znowu podumał.

— Słuchajcież, moja Wojtkowa.... Otóz jutro.... A widujecież, będąc tam, pannę Gabryelę? — i mniemał, że mu tchu w piersi zabraknie.

— O dla Boga!

— Otóż jutro pójdziecie do Tołędzina.... Dam wam list do panny Gabryeli... Ale upatrzycie sposobność, by jój go bez świadków do własnych rąk oddać.

— Samusieńkiój go oddam, choćby mi przyszło i dzień cały poczekać. Niech się tam Wielmożny panicz o to nie frasuje, już w tém moja głowa.

— To przyjdźcież po ten list dziś wieczór do mnie.

— Dobrze Wielmożny Panie.

I Władysław pobiegł ku dworowi z swobodniejszą myślą i lżejszém sercem, układając w głowie wyrazy, które miał Gabryeli przestać.

IV.

Następnego dnia wieczorem, pani Ligórska zajęła się jakąś sprawą domowo-gospodarczą, a Gabryela, korzystając z téj chwili, udała się do ogrodu. Szybko przebiegła bliższe ulice, dążąc w stronę ponad jeziorem. Serce jój biło gwałtownie, a na tém sercu spoczywały wrzące wyrazy Władysława, bo Wojtkowa jak najzreźniej wywiązała się z swojego poselstwa. Gabryela w obec chłopki dwa razy list przebiegła, bo litery, jakby potworki, przed jój oczyma skakały; a potem nakreśliła ołówkiem na oddartym kawałku papieru: *Dziś wieczorem w ogrodzie, od strony jeziora, przy jaśminowej altance.* Tam do téj altanki teraz spieszyła: Władysław już czekał. Powitanie ich było nieme, ale tém bardziej wymowne: usta milczały, bo serca zbyt wiele mówiły. Usiedli w milczeniu na ławeczce, i wkoło nich, w całej naturze panował spokój i cisza: i także cisza wymowna, bo wszystko wielkość stworzenia śpiewało. U stóp ich jaśniało gładkie, jak tło zwierciadła, jezioro, a w téj czy-

stój przezroczy przeglądał się zalotnie księżyc, rzucając srebrne światło na liczne krzewy i ciemne drzewa ogrodu, nadając kształtom ich i ceniom dziwaczne postaci.

Wreszcie przerwał Władysław milczenie: wynurzył jej swój zamiar. Mówił dużo, chociaż wypowiedział tylko część tego, co w młodej wrzało piersi. Wystawił jej, jaka ją czeka przyszłość; potem wyrazy namiętnego uczucia z ust mu płynęły. Błagał, zaklinał, a Gabryela ze złożonemi rękoma na piersiach, milcząc słuchała.

— Gabryelo! sama nad sobą miej litość: wysłuchaj błagania mojego!— i rzucił się do stóp dziewczyny, i spłótł jej ręce do swych ust przycisnął, i z bolesnym niepokojem czekał jej wyroku.

— Ujechać potajemnie?— wymówiła drżąca, i łzy przepelnily niebieskie oczy— Dać się wykraść? ściągnąć na siebie gniew matki?... A przecieżto matka moja, którą sercem córki kocham!... Nie, nie! o nie, mój Władysławie!...

Władysław niecierpliwie jej przerwał, i znowu błagał; ale dziewczyna przy swoim postanowieniu została.

— Matka mnie nie zmusi— wyrzekła po chwili— zmusić mnie nie może do nienawistnego mi związku. Dzisiaj rodzice nie gwałcą już woli dzieci: więc czekajmy spokojnie chwili szczęśliwszej. Czas wszystko wytrawić potrafi. Ja tobie wierną pozostanę do grobu, a zarazem wierzę i w niezmiennosć uczuć twoich. Stale oprę się wszelkim namowom, przetrwam wszystko; nie mnie nie zniewoli. Za cię dla matki mojej, spokojnie, ale stanowczo powiem jej: że rękę z sercem tylko oddam, a ty oddawna masz serce moje. Skrzyżuje to widoki matki; będzie się gniewała... dużo będę musiała znosić... ależ to wszystko przeminie. Matka moja cię ceni, musi cię

cenić, nic tobie nie ma do zarzucenia, więc powoli zmiekczy się jój upór i zezwoli na połączenie się nasze.

— Ja wierzę w świętość uczuć twoich, ale czy zdołasz tyle przetrwać, czy wytrwasz w zamiarze twoim?

— Światowe stosunki mogą nas rozłączyć, ale serc sobie oddanych nie rozerwą. Bóg mi dopomoże przetrwać wszystko, cokolwiek mi przyszłość gotuje: bo zna duszę moję i zamysły, a Bóg jest sprawiedliwym!... Hańbą, podłością by było, oddać się za złoto, a występkiem, serce matki zakrwawić!.... Ja ci na zawsze wierną pozostanę, wierzę w ciebie; a ty, czyliż powątpiewasz o mnie?

— O i ja, i ja wierzę w ciebie, jak w istność Boga!

— Władysławie! z ogniw składa się łańcuch: prawa społeczne przeznaczyły dwa pierścienie na godło dwóch serc połączonych; niechże i nas wiąże łańcuch. W obec Boga i wielkości jego zamieńmy pierścionki.

— Boże! aniele mój!—zawołał z uniesieniem, przyjmując z ręki Gabryeli pierścionek z turkusikiem — Obrączka matki mojej, jako droga pamiątka po niej na mojej piersi noszona, tém świętszém będzie dla mnie ogniwem, łączącym mnie z tobą!—i włożył na drobny palec dziewczyny prostą złotą obrączkę.

— A teraz pożegnajmy się, by mojej nieobecności nie dostrzeżono—i Gabryela powstała—Pozegnajmy się, może na długo.... na zawsze może!....—i złamała się moc duszy niewieściej, i zakryła dłońmi oczy, i wsparła głowę na jego piersi, i głośno zakała. Terazto Władysław znowu ją przyszłością pocieszać zaczął:

— Wszakżeż jesteśmy pewni siebie!—zawołał—chowamy wiarę w sercach, mamy Boga nad nami, i jedna

ziemia nas nosi! Nic nas nie rozrywa; a chociaż wielka oddal nas rozdzieli, słyszeć co dzień o sobie będziemy!

— Bóg nad nami!.... Ach! ale ileż cierpień wokoło nas!.... I myśmy może na całe życie cierpień skazani!

— A więc przełam wszystkie zapory? Uchroni się od tój walki, która ci grozi! Dziś jeszcze ztąd cię uwiozę, dziś jeszcze żoną moją zostaniesz!

— O nie! nie, mój kochany! Mam siłę oprzeć się żądaniom matki; mam dość siły nie dozwolić, by mnie zaprzędano.... Ale jestem kobietą!... . Ty mnie rozumiesz, Władysławie! Ja nie mogę zdeptać praw natury, nie mogę sponiewierać uczuć córki.

— O moja Gabryelo!....

— Nie trać słów daremnych! Nie miejmy sobie nic do wyrzucenia!.... A teraz żegnam cię! Do widzenia się, jeżeli nie tutaj, to tam!

— Tutaj, tutaj! Kazalaś mi mieć nadzieję, a samaż ją straciłaś?!

— Więc do szczęśliwego widzenia się wkrótce!— i podała mu obiedwie ręce.

Władysław spojrział w jój oczy—długo, jak gdyby urok tego spojrzenia chciał z sobą unieść, ażeby mu po smutnym rozdziale, smutną samotność rozjaśniał. I zalsniło w jego oku, i przyciągnął kochaną do siebie, przycisnął ją do gwałtownie uderzającego serca: głucho jęknęło w męskiej piersi; dotknął się ustami białego czoła. „Do widzenia się!”—powtórzył, posadził nawpół omglałą na ławce, a sam zniknął w cieniach nocy.

Gabryela długo jeszcze siedziała, odurzona tém rozdzierającym głębię jój duszy pożegnaniem.

Chmurka zamgliła blask księżyca, zasiniła szklista powierzchnia jeziora, lekki wietrzyk zaszumił w gałę-

ziach drzew ogrodu, kilka listków jaśminowego kwiecia zawiało na pochyloną głowę dziewczyny—i ocknęła się z odrętwienia, i uprzytomniło się wszystko w jej myśli. „Władysławie! Władysławie!”—poszepnęła w rozpaczliwém przeczuciu, załamała ręce i zapłakała głośno. Gdy następnie wróciła do domu, zapytała ją matka: gdzie tak długo bawiła?

— W ogrodzie—odpowiedziała nieśmiało. Matka spojrzała na nią badawczo; biedaczka zarumieniła się, zbladła: świeżych łez ślady były widoczne na jej licu. Matka pokręciła głową.

— Jutro jedziemy do Warszawy na kilka tygodni—wyrzekła—każ swoje rzeczy upakować.

Zimno mroźne przebiegło całą postać Gabryeli.

Nazajutrz, bardzo rano, pożegnała sercem łzami oblaném, Tołędzin; pożegnała dalekiém spojrzeniem wzgórze ponad jeziorem; pożegnała poza lasem bielejący się Rogożew, i poleciała Bogu Władysława i siebie.

V.

W eleganckim ranném ubraniu, wyszłém zpod ręki paryzkiego krawca, w rękawiczkach złotych lionskich, baron Rzymowski z wesołym wejrzeniem wyszedł ze szklarni obok zakładu wód mineralnych w ogrodzie Saskim, trzymając w ręku przesliczny bukiet rzadkich kwiatów, i zmierzał w ulicę środkową.

Od strony Saskiego placu nadchodził właśnie Anatol i dwaj jego zwykli towarzysze: Felix (właściciel *almawiwu*), i Józef (blondyn, z kocią bródką).

— *Eh voilà le baron!* z bukietem w ręku, zapewne dla Gabryeli!—zawołał Anatol.

— Chodźmy go trochę podrażnić—dodał Felix—
Biédna niezabudka!

— Nie zrobisz mu wielkiej krzywdy, choć mu się
trochę żółci uleje; zje zato z większym apetytem śniada-
nie—zauważył Józef.

— *Bien le bon jour, chère baron.*

— *Votre serviteur, messieurs.*

— Jakież śliczny bukiet! i dla kogoż to baronie?

— *Pour un être plus charmant encore que ces fleurs!*
odpowiedział baron z uśmiechem niby dowcipnym.

— A, baron się żenisz?

— Czyż mu już nie czas!—pochwycił Józef z złośli-
wym uśmiechem, że aż się baron zarumienił; ale niby
nie słysząc téj przymówki, wyrzekł:

— *Il faut faire une fin!*

— *Et vaut mieux tard que jamais!*—dorzucił Anatol.

— I kiedyż-to tam, baronie, kiedy?

— Podobno maleńka się wzdraga, nie chce?

Baron się znowu zaczerwienił.

— Czy doprawdy?—zapytał Józef, obracając się do
Felixa.

— Wszędzie o tém mówią.

— Jeżeli tak, to żałuję barona; zbyt bolesno doznać
zawodu w miłości!

— A jeszcze będąc już w pewnym wieku!

— *Messieurs!*... moi panowie!... mogę wam zaręczyć,
moi panowie—jąkał się baron—że... że fałszywe macie
wieści.... Nie zasługuję bynajmniej, aby mnie żałowano
z racyi niełaski panny Gabryeli.

— A, to wieszujemy!

— Już może wkrótce, gdy mnie odwiedzić zechcecie,
wjrzącie ją robiącą honory w moim domu.

— Pospieszmy, pospieszmy złożyć uszanowanie nasze!

— Bardzo proszę. A teraz *adieu!*

Per dove chiarissimo mio?—zapytał Anatol i zatrzymał barona.

— Do ogrodu Dückerta.

— Aa! pani Nietomiewska pije tam wody, a te panie towarzyszą jej niekiedy.

— Zgadłeś. Panowie zapewne tutaj zostaną.

— Idziemy zobaczyć, kto też w tym tutaj zakładzie kuracyi używa.

— Więc do widzenia się! *adieu!*

— *Au revoir!*

Baron pobiegł przez dziedziniec Brühlowskiego pałacu, a młodzi śmiejąc się, w przeciwną udali się stronę.

Ogródek Dückerta i przyległy temuż ogród Krasieńskich, mnóstwo przebiegało osób. Pod wystawą, odbierając napełnione kubki z rąk zwinnych i pamiętnych posługaczek, popijali coraz nowi przychodnie przepisane sobie wody: to pogwarzyli pomiędzy sobą, to rozmawiali z właścicielami zakładu, to żartowali z Hebamami tego mineralnego nektaru. Orkiestra Rajczaka ocho-cze wygrywała Krakowiaki, wszędzie trwał ruch wesóły, jak gdyby każdego nie tylko nadzieja, ale raczej pewność odzyskania zdrowia, pozbycia się cierpień, cieszyła.

Na kanapce, gdzie gorące wody wydają, siedziała w wyszukanym rannym stroju pani Nietomiewska. Trzymała w ręce mocno pierniczkową rękawiczką ściśniętą i strojną w karbowaną mankietkę, złożony kubek, i krzywiąc się i dmuchając, parzyła sobie usta wrzącym

Sprudel. Wtém zjawił się baron z bukietem. Dama podaniem mu ręki wdzięcznie go powitała. Baron zajął próżne obok niój miejsce.

— *Quel magnifique bouquet!*

— *Puis-je vous l' offrir?* — i baron podał jój przeznaczone dla Gabryeli kwiaty.

— *Mille grâces!... elles sont admirables ces fleurs!* — i pani Nietomiewska zalotnie pieściła się z bukietem, co dwie opodal stojące panienki szczerze rozśmieszyło.

— Pani Ligórskiej tu dziś niemasz?

— Nie.... nie wiem dlaczego. Obiecała mi się... Ale rzeczy dobrze stoją!

— I jakież?

— Matka oświadczyła się stanowczo za baronem.

— A Gabryela? — zapytał baron widocznie niespokojny.

— Gabryela!.... hm!..... *elle fait la précieuse, voilà tout!* Ale to nic nie znaczy, *laissons la faire!*

— Byłbym skompromitowany, cała Warszawa już wie o tym stosunku.

— Bądź baron spokojny!

— Wiedzą i o tych fochach panny..... *On m'attaque de toutes parts, on chuchote, on m'agace;* doleciały mnie i tutaj jakieś uwagi, szept, jestem pikowany.... *Et comme je suis à mon aise,* więc mam i zazdrosnych.

— *C'est le mot:* zazdroszczą baronowi, i ztąd takie gadaniny. *Mais fiez vous à moi.*

— Oh, Gabryela musi być moją, choćby się temu niebo i piekło sprzeciwić miało! Skompromitowałbym się szkaradnie: *et je ne veux pas être basoué!*... Zresztą, podoba mi się; mogę się nawet i zakochać!

— *Ecoutez.....*

I ciszej poczęli mówić, bo kilka osób opodal usiadło. Jednakże bliżej nich będący dosłyszeli, jak baron ścisnąc rękę pani Nietomiewskiej, coś jej miłego musiał powiedzieć, bo uśmiechając się wdzięcznie, odpowiedziała:

— *O, je sais parfaitement bien, comme vous savez être aimable!*

Po chwili pani Nietomiewska złączyła się z jakimiś paniami, a baron stanął przy wyjściu zpod wystawy, popatrzył się na lewo i na prawo, spotkał niejedno zwrócone ku sobie ciekawe spojrzenie, dosłyszał imię Gabryeli, pani Nietomiewskiej i swoje — i igrając szpicrutką, i nucąc jakiś ustęp z *Stradelli*, rzucił dumnym wzrokiem na otaczających go i udał się do ogrodu Krasieńskich. Minął i tutaj licznie przechodzących się, i wprost poszedł na kawę do Haberkanta. Ależ i kawa, jakkolwiek podobno jedna z najlepszych w Warszawie, nie smakowała mu dzisiaj, bo mniemał, że i tutaj jest przedmiotem ogólnej uwagi, że i tutaj mówią: iż od Gabryeli arbuza dostał — on, baron, pan milionowy!

— „Ona musi być moja! — powtórzył wychodząc od Haberkanta — musi być moja! — powtórzył raz jeszcze, opuszczając ogród.

VI.

Błada, smutna, z założonemi na piersi rękoma, przechadzała się Gabryela po pokoju bawialnym; to przystała, i jak gdyby ciężarem wewnętrznego przyciśnięcia bólu, pochyliła się ku ziemi, to wzniosła oczy i wy dobyte z głębi rozżalonej duszy westchnienie, zasłała do nieba. Bo i dzisiaj miała znowu zbyt przykre z matką zajście: pani Ligórska wyrzekła, że stanowczo przyjęła

oświadczenie barona; że w tym związku widzi jój szczęście, którego ona, zaślepiona, ocenić nie umie. Na co jój Gabryela, jakkolwiek z wszelkimi względami przynależnemi matce, znowu powtórzyła: że nigdy się do tego związku nie skłoni, że się nie zaprzeda, że nienawidzi barona.

Rozgniewana matka zagroziła jój niebłogosławieństwem swoim. Gabryela do nóg jój upadła, błagała, płakała; ale żaden wyraz, wołający z głębi serca dziecięcego o litość, ani łzy, któremi skropiła stopy matki, nie potrafiły nieubłaganą przedjednać. Gniewnie odepchnęła córkę od siebie, nazywając ją *szaloną, rozromansowaną dziewczyną*.

— Ależ mamu ukochana! przyjmowałeś Władysława w dom swój, wiedziałaś, że się o mnie stara....

— I cóż z tego?

— Sprzyjałaś mu, dozwoliłaś, by sobie serce moje zjednał... Mamu! ja go kocham!

— Gadasz, jak bohaterka romansu. To wszystko jest *egzaltacją* bezrozumną, i radzę ci zaprzestać tych scen teatralnych: wola moja jest nieodmienną!—i pani Ligórska wybiegła z pokoju, trzasnąwszy drzwiami całą siłą.

Jeszcze Gabryela nie była ochłonęła z bolesnego wrażenia, gdy jój przybycie barona oznajmiono. Jakiś nagły pomysł ożywił rysy dziewczęcia. Baron wszedł do pokoju. Z wdzięcznym ułożeniem i uśmiechem zbliżył się do niej, ujął jój rękę i do ust przycisnął.

— Szczęśliwy, nad wyraz szczęśliwy przybywam — wymówił — Pani Nietomiewska oznajmiła mi, że mama przyjęła moją prośbę o rękę pani. Serce moje...

— Panie baronie! — i Gabryela cofnęła się o parę kroków — chciéj mnie pan wysłuchać... Zlituj się nademną —

i złożyła z bolesném błaganiem dłonie.—Zaniechaj pan starań swoich! Ja nigdy żoną pana nie będę!... Nie dręczcie mnie napróżno: inny serce moje posiada!

— Ha! ależ ja mam przyrzeczenie matki!

— I cóż ono znaczy bez woli mojej!... Panie baronie! do szlachetności pańskiej się odzywam: nie dręczcie mnie nadaremnie!

— Ja panią kocham!

— O mój Boże, mój Boże!

— Będę się starał pozyskać serce pani! Otoczę wszystkiém...

— Oh mój panie!—i Gabryela ze wstrętu zadrżała.

— Pani mnie nienawidzisz!—zawołał ze złośliwém skrzywieniem ust—wiesz pani, co wywołać może miłość wzgardzona?

— O mój Boże, litości!—błagała Gabryela.

— Czy wiesz pani, co wywołać może miłość wzgardzona?—Twarz barona potworny przybrała wyraz.

— Litości!—powtórzyła biedna udęczona, blednąc coraz bardziej.

— A któż nademną ma litość! Ja panią kocham!... Mam słowo matki... Łudzono mnie, wystawiono wszystko inaczej!... Matka pani uprzedzała moje chęci... Byłbym skompromitowanym: odstąpić nie mogę i nie odstąpię!

— A jednakże nic mnie zmusić nie zdoła!—zawołała Gabryela z całą odwagą, na jaką się zdobyć mogła.

— A ja nie pozwolę bezkarnie z siebie żartować!... Namysł się pani! nie igraj z uczuciem mojem! Ja potrafię zemścić się na owym jakimś panu Polickim. Do widzenia się!

W godzinę potém wpadła zadyszana pani Nietomiewska do pokoju.

— Ach Gabryelo, cóżeś zrobiła! — zawołała — *le baron est en rage!*... Ty nie wiesz, cały los Polickiego jest w ręku jego!... Zaprzysiął mu zemstę... W tobie szalenie się kocha... Ach to nieszczęście!... Czy mama jest u siebie?

— Jest.

— To przynajmniej dobrze! — i wbiegła do pokoju pani Ligórskiej.

Gabryela w bolesném drzeniu oczekiwała następnych wypadków. Niezadługo przywołano ją, a po chwili weszła blada jak cień grobowy, chwiejąca się jak martwy listek, do swojego pokoju. Upadła na kolana, wzniosła z rozpaczą załamane ręce ku niebu, ale modlić się nie mogła.

W kilka godzin potém, wśród ciszy nocy, siedziała Gabryela przy stoliku, a drżąca jój ręka, szybkim, gorączkowym ruchem, nawpół nieczytelném pismem wielnowy zapelniała arkuszyk. Przyćmiony blask lampy, zostawiając cały pokój w półcieniu, oblał tylko wdzięczną postać młodej dziewczyny w śnieżnej białości odzieniu, jój blade anielskie rysy, miękkie zwoje jasnego włosa: byłto światły obraz na tle przyćmioném, pełen nieokreślonego uroku. Niekiedy nagłym rumieńcem zapłonęły jój lica, to łzy je zalały; to znowu zbladła i ładne usta bolesnym zdrząły wyrazem. Niekiedy gwałtowniejsze uderzenia zranionego serca widocznie białą poruszały obłonę: ona pisała do Władysława:

„Teraz dopiero poznałam nieszczęście w całym jego ogromie. Władysławie! obrączkę matki twojej zwrac-

cam: za dni kilka zostanę żoną barona. Los twój jest w jego ręku! Miałam wybierać pomiędzy zgubą twoją a moją — i mogłazem się jedną chwilę wahać?! Tybyś dla mnie chętnie życie swoje oddał; ja, ocalając cię, chętnie siebie poświęcam! Tybyś nigdy téj ofiary nie przyjął wiém o tém; ależ, Władysławie! jam podobna do owego kwiatka, który bez użytku na naszój niwie zakwita, i więdnie. Twoje zaś przeznaczenie, powołanie mężczyzny z taką duszą i sercem, jak twoje, o ileż jest inném! Ty żyć powinienes mój szlachetny Władysławie: bo życie twoje nietylko do ciebie należy!... Ty bądź wzorem dla drugich! Ty wiele dobrego zdziałać możesz. A ja? — O, jam tylko słabą kobietą! — Przejdę nieznaną, poznana i żalowana jednakże przez ciebie, mój miły, nieprawdaż? I dosyć mi na tém! Ty jeszcze będziesz szczęśliwym: bo w wykonaniu powinności cnotliwego człowieka, znajdziesz spokój serca, znajdziesz błogostawieństwo. — Władysławie! pamiętaj, że to moje ostatnie do ciebie są słowa.”

„Rozpacz moja jest wielką, nie taję tego przed tobą; ale poddaję się wyrokowi z wysoka. Rozpacz przejdzie w rezygnacyą, a rezygnacya i życie kobiety, bywają często jednoznaczne. Łzy i ciche cierpienia, częściej są kobiety udziałem — cierpliwość jój cechą. I w tém jest nasza wyższość: że cierpieć umiemy!”

„Powinnabym już kończyć, ale wszakże ja po raz ostatni z tobą rozmawiam. Już tak nigdy z nikim rozmawiać nie będę. Część duszy mojej w te przelewam wyrazy. Wkoło mnie cisza jak w grobie. O! bo czyż mnie nie otacza grób szczęścia mojego?! Przetrwałam chwile okropne — okropne chwile, mój Władysławie, bom już i o Bogu zwątpiła!... I wtedyto, czy uwierzysz,

byłabym chciała mieć sobie jaki występki do wyrzucenia, powiedzieć sobie: że teraz zań sprawiedliwą, zasłużoną karę odbieram, by tylko wiary w sprawiedliwość Bożą nie utracić! — Całą siłą moralną przytrzymałam nienaknącą, ulatującą, jakoby mgliste, niewyraźne widziadło... Ależ, Władysławie, Bóg jest! i wielkim jest Bóg! — Jest wymiar sprawiedliwości! jest inne życie! — Wierzę!... Całe moje jestestwo wielka przejmuje wiara! — Ziemia ta dla nas jest tylko czasem próby — tam nas czeka nagroda! — Ziemski wieniec cierniowy tam się w światłokrąg zamieni! Tam jest kraina szczęścia dla cierpiących tutaj. — Błogosławiony, kto z męczeńskim wiankiem na skroni, duch czysty, do niej zawita! — Po nim tutaj zostanie się pamięć: wzór do naśladowania — i zbawienie!”

„Ja może gorączkuję, ale ty mnie zrozumiesz! Dla ciebie tylko te myśli moje wylewam, i znajduję w nich ulgę.”

„Wytrwałości, mój miły! Rozsiewaj po drodze twojej ziarno dobrego, tak, jak ci to wskaże szlachetne serce twoje i dusza. — I ja! o, i ja!... wiesz? całą garścią będę jego złoto biędnym rzucała; złoto, Bóg wie, jakim sposobem nabyte! — Dla mnie szara, jak najtańsza sukienka, najskromniejsze utrzymanie; a dla biędných złoto! — Takim będzie cel mojego życia, okupiony łzami, rozpaczą i — hańbą!

Miłosierdzie Boże nademną!

Błogosławię Tobie Władysławie!

Gabryela.”

Już czerwone światło jutrzeńki, wpadając przez odsłonięte okno, jakby różowym pyłkiem posiało wszystko w pokoju: i białe odzienie Gabryeli, i jej włosy,

i rękę podpierającą głowę, i drobne palce, które się w miękkie zwoje wplotły; gdy lica i białe czoło, i łzami przyémione niebieskie oczy, jeszcze ostatni blask dogorywającej lampy rozwidniał. Skończyła pisać i przycisnęła pismo do serca, jak gdyby w niém niespokojne uderzenia jego załączyć chciała. Złożyła welinowy arkuszyk, przeżegnała, przycisnęła pieczętkę, i chowając list przy sobie, rzuciła się na łóżko. Ale sen nie nadszedł.

Około godziny ósmej opowiedziała się matce, że z panną służącą idzie na mszę do kościoła ks. Karmelitów na Krakowskiem-Przedmieściu. Przechodząc przez pocztę, wrzuciła do skrzynki list do Władysława. Zbladła przy tym czynie biedaczka i zadrżała: zdawało jój się, że wszyscy na nią spojrzeli, że ją wszyscy za to potępią. Niepewnym krokiem przeszła ulicę, a potem uklękła przed obrazem Matki Zbawiciela, będącym w trzecim oltarzu po lewej stronie, załamała ręce, i gorąca modlitwa, nie z ust, ale z pełnego serca, uniosła się do Boga. O! czemuż jój matka tego serca zrozumieć nie chciała!

VII.

Kościół św. Jana był napelniony, nie pobożnemi nateraz, lecz ciekawemi; nawet i przed kościołem dużo stało osób.

Od Krakowskiego-Przedmieścia, mijając zwolna plac Zygmunta, nadeszli Anatol, Józef i Felix.

— Już ósma dochodzi, powinnyby więc zaraz nadjechać — wymówił Felix, spojrzawszy na zegar zamkowy. — I któżby to był myślał, że baron jednakże niezabudkę zerwie!

— At, mój Felku, nie znasz kobiet! Pieniądze.... oj pieniądze...

— „Kobięto! puchu marny, ty wietrzna istoto!” wygłosił Anatol.—Ale szkoda dziewczynki: ładne dziecko i dobre dziecko!... Żeby aby dom otworzyli, przyjmowali suto, byłoby przyjajmniej gdzie bywać.

— Moznaby się nawet i w pięknej pani baronowej zakochać; nieprawdaż Felku?

— Złośliwys, mój Józefie! — odparł Felix, rumieniąc się zlekka.

— Przecież ona męża swojego nigdy nie pokochała; a każda kobięta, jeszcze tak czule stworzenie jak Gabryela, musi kogoś kochać!... Byle tylko pan baron nie zamknął się w swoich złoconych ścianach.

— Wszakże nas już do siebie zapraszał — zawołał Anatol.—Ręczę wam, że to śliczny będzie domek: wieczorki, baliki, wyśmienite kolacyjki.

— Mieszkanie bardzo pięknie urządził; i może téż to *perspektywa* owego życia wystawnego, skłoniła wreszcie niezabudkę.

— To takie skromne, ciche, łagodne stworzenie! — wtrącił Felix.

— Ależ zawsze kobięta! mogły ją więc błyskotki złudzić, a mama z panią Nietomiewską dopowiedziały resztę. Ot sobie kobięta!

— *A propos* kobiet—zawołał Anatol—zjawiła się tu jakaś pani z Podola z córką jedynaczką, brzydką wprawdzie, ależ jak bogatą! *Je vous dis: riche comme une heritiere du Mexique.*

— Słyszałem o niej: ma podobno dwadzieścia sześć wiosek, miasteczko i masę gotówki.

— A ileż taka wieś czyni? — pytał Felix z zajęciem.

— Od piętnastu do trzydziestu tysięcy.

— Aj! partya cacana!... Anatolku czy znasz te panie?

— Byłem im *prezentowany*.

— A toćże mnie wprowadź do nich, bój się Boga! Jestem gotów zakochać się szalenie w Podolance.

— *Fas si bête*, ażeby ciebie wprowadzać: pomyślę ja piérwój o sobie.

— Dajcież sobie pokój: żaden z was jój nie dostanie... Ale otóż ósma bije, a weselnego orszaku nie widać. Może się ten *maryaż* jeszcze i rozchwieje...

— Ej gdzie tam! widziałem karety stojące na Tlumackim przed mieszkaniem pani Ligórskiej.

— *L'équipage du baron est magnifique!*

— Wczoraj oglądano u Nejbauera brylanty, które dzisiaj otrzymała w darze od barona panna Ligórska.

— U Nejbauera?

— Nadeszły z zagranicy, podobno z Berlina; ale coś tam jeszcze naprędce zmieniano czy naprawiano. Podobno warte sto kilkadziesiąt tysięcy.

— *Sapristi!*

— Pani Nietomiewska także otrzymała sznur brylantów.

— *Ah oui, une superbe rivière!* mówiła mi o tém pani Henrykowa.

— Oby ją za ten handel wszyscy.

— Jadą!

Od ulicy Senatorskiej nadjeżdżało w pełnym klusie kilka karet.

Spieszmyż do kościoła!

I młodzi licznymi kulakami na lewo i na prawo, i wprost, utorowali sobie drogę przed kościołem, a po-

tém i przez kościół aż do kaplicy Pana Jezusa. Weselne grono nadeszło. Jakiś starzec z orderem wprowadził pannę młodą, bledszą od kwiecica pomarańczowego, które jój czoło wieńczyło, wiotką i chwiejącą się, jak jój koronkowa zasłona, która po białej z ciężkiej mory sukni, spływała.

Anatol, Józef i Felix przecisnęli się tuż za niemi.

— Biędna niezabudka! — poszepnął Felix — wygląda jak anioł śmierci.

— A jednakże się sprzedała! — odrzekł ciszej jeszcze Józef — Oj złoto! oj pieniądze!

— Biędna! za ledwie nawpół żywa...

— *Je n'y comprends rien...*

— Aż mnie jakiś dziwny przestrach ogarnia patrząc na to blade stworzenie.

— *Pst!* baron patrzy na nas.

— Z tryumfującą miną.

— Ale...

W téj chwili zrobił się ruch przy wejściu do kaplicy: młody mężczyzna, strasznie blady, Władysław, rozpychał tłoczących się i spieszył ku ołtarzowi. Ksiądz właśnie do ślubującej sobie pary przemawiać zaczął. Władysław spojrział na oblubienicę, zachwiał się, wyciągnął rękę i na ołtarzu mały położył pierścionek. Gabryela podniosła głowę; oczy jój spotkały wejrzenie jego, a w tém wejrzeniu przemawiała rozpacz i wzgarda. Krzyknęła okropnie, ścisnęła dłońmi głowę, potoczyła błędnym wzrokiem wokoło i dziko się rozśmiała. Poczęła urywane, niezrozumiałe rzucać wyrazy; zerwała z czoła ślubny wianek, zdarła koronkową zasłonę, poszarpała ozdoby morowej sukni; raz jeszcze, głośniej, przeraźliwiej, straszniej krzyknęła — i jak nieży-

wa na ziemię upadła. W mgnieniu oka, jakby lekkie piórko, wyniesiono ją z kościoła; szeroko przed nią rozstępowali się przerażeni widzowie.

Jak ścigająca ją mara przedarł Władysław cizbę, wskoczył do powozu i kazał pędzić na Tłumackie, co koń mógł wyskoczyć.

W mieszkaniu pani Ligórskiej przestrach był wielki: rozesłano po doktorów na wszystkie strony. Władysław przystanął na wschodach; on nie mógł iść dalej: mniemał, że się nogi pod nim łamią. Wsparł się na wschodach, tchu mu w piersi zabrakło — gdy w téjże chwili drzwi otworzono i opierając się na rękę jakiegoś mężczyzny, ukazała się strojna pani Nietomiewska. Na wschodach było już ciemno i tylko z górnego okna jeszcze czerwonawe, pozachodnie biło światło; ono padło na jęj głowę, a gdy brylanty zdobiące czarne włosy nagle zabłysły, wydawały się jak niebieskawe płomyki, i coś piekielnego ostrym rysom nieszczęsnej swatki nadały.

— *Ah, madame, quel spectacle!* — wymówił prowadzający panią Nietomiewską.

— *Mais elle est folle!* — odpowiedziała, w téj chwili zupełnie do furyi piekielnój podobna. Władysław chciałby ją był zabić.

Lekarze przybywali jeden po drugim. Czasem dolaływał krzyk okropny czuwającego Władysława; i wtedyto, w szale strasznej rozpacz, nieszczęśliwy rwał włosy i paznogciami szarpał sobie piersi.

Okolo północy rozjechali się doktorzy, i mówiono mu, że Gabryela zasnęła.

Nazajutrz oddano Władysławowi list ukochanój: nadszedł był do Rogożewa, gdy jego tam już nie było, bo

na pierwszą wieść, że panna Ligórska idzie za barona, pospieszył do Warszawy. Z jakimże teraz rozdierającym uczuciem odczytywał jój wyrazy! Wyjaśniło się wszystko; i onżeż ją o wiarołomstwo, o zmianę mógł posądzać i onżeż mógł potępić anioła!

Całe niebo ciemne, gęste zawlokły chmury; powietrze było tak ciężkie, że aż piersi tłoczyło. Dzwony na kościele OO. Reformatów głuchy rozniosły odgłos, a od strony Tłumackiego rozległ się żałobny, jednotonny śpiew księży. Długie szeregi zakonników zwolna nadciągnęły przez ulicę Bielańską. Ukazało się sześć kirem pokrytych koni, karawan z ozdobami srebrnymi, i biała na nim trumna, a obok pochodnie, smutném jaśniejące światłem. I karawan się zbliżył; trumnę otaczały wieńce: długa, biała morowa zwieszała się suknią, blondynami oszyta. Za trumną dużo szło osób, ale jeden tylko wysoki młody mężczyzna, blady, jak przychodzień z innego świata, szczególną na siebie zwracał uwagę. Dalej następował liczny szereg pojazdów.

— I na cóż ona umarła? Taka młoda, ładna, szczęśliwa—pytano.

— Uderzyła jój krew na mózg i skończyła w obłąkaniu zmysłów. Cała choroba trzy dni tylko trwała. Zapewne wielki upał był tego powodem.

— A narzeczony?

— Bardzo się zmartwił. Niemasz go tu na pogrzebie, tylko jego karetę żałobną widziałem.

Gdy orszak pogrzebowy był na Nalewkach, błyskawica ognistym gzygzakiem przedarła szarą nieba powłokę, i ciężko zagrzmiało. Żar następował po żarze, huk

po huku, uderzały pioruny, i wreszcie kroplisty deszcz lunął. Idący za trumną rozpierzchli się w mgnieniu oka: jedni pouciekali do domów, drudzy powsiadali do pojazdów. Jeden tylko Władysław, nie słysząc trzasku piorunów, nie widząc krwawych błyskawic, nie czując ulewy, ze spuszczoną ku ziemi głową, zwolna szedł dalej. A z trumny podpadały deszczem splukane kwiaty — ostatnie kwiaty Gabryeli.

W kilka dni potem, Władysław Policki rozporządził ostatecznie majątkiem swoim: wieś całą oddał na równy podział pomiędzy chłopów, zastrzegłszy sobie tylko 5,000 złp. rocznie dożywotniego czynszu.

Wieczorem udał się na Powązki, ukląkł przy grobie Gabryeli: „*Będę wiernym twojej woli ostatniej!*” — poszeptał, przycisnął się twarzą do zimnego piasku, i jęk głuchy przedarł ziemię, która pokryła tyle kochaną!

Potem się podniósł: „*Na pamiątkę!*” — poszeptał znowu, i zabrał garść ziemi; schował ją starannie, i chwiejącym oddalił się krokiem. Za nim powiało westchnienie grobowe; cichy szmer krzewin cmentarnych.

W następnym roku włościanie Rogozewa już więcej nie opłacali czynszu 5,000 z. Ale ich ta puścizna bynajmniej nie cieszyła; i nieraz, westchnąwszy, powtarzali sobie: „*Mój Jezu, gdzie téżto tam nasze poczciwe panisko schowane leży!*”



ROZMAITOŚCI.

Pieśni ludu weselne.

10.

Od Rozwadowa, Tornobrzega, Rudnika, Leżajska, Sokołowa, Głogowa i Rzeszowa. Wsie: Jamnica, Zatrzeźnie, Demba, Jedlice, Przyszów, Burdów, Stany, Kojanów, Zagrody, Kamień, Górnio, Mazury, Raniszów, Pogwizdów i t. d.

Tu obchodzą wesele prawie na sposób powyżej opisany. Mało znaczące różnice, wykażą same pieśni przy porównaniu ich z poprzedzającemi.

Starając się o rękę dziewczyny, kiedy przychodzą swatowie z wódką:

210. A dzień dobry panu ojcu,
 Narządził nam gorzałki w kojcu;
 oj gorzałki—gorzałki!
 A dzień dobry pani matce,
 Narządziła nam gorzałki w flaszcze,
 oj gorzałki—gorzałki!

Kiedy panna-młoda mając siadać na dzieży do rozplecin, znikła z izby:

211. Oj na rozplecinach—oj Marysi niéma.
 Oj posłała ją—nadobna matula,
 oj grzebyczka pożycząć.
 Oj grzebyczek doma—a Marysi niéma,
 oj na rozplecinach.

Sprowadzają młoduchę, a starsza druchna śpiewa:
 Rozplećże ją rozpleć, najstarszy družebko,
 przy dzisiejszej niedzieli.
 Już-ci ona już-ci, swojej matuleńce,
 nie pomoże kądzieli.

Starszy družba rozplata warkocze, wiąże u końców wstążkę, wśród śpiewu:

212. Chodzi družebka po sieni—nosi grzebyczek w kieszeni,
 Kasia się o warkocz bała—zieloną wstążką go owijała;
 Zieloną wstążką owijała—sama się łzami oblewała.
 Zieloną wstążką go nie owijaj — sama się łzami nie
 oblewaj.

Nazajutrz przed wybraniem się do ślubu, przy zrękowianach, dają się słyszeć (p. nr. 81), niekiedy wszakże po ślubie dopiero:

213. Jaworowe kółka—dębowa rozwórka,
 Spodobala mi się, dobrej matki córka,
 ale mi jój nie chcą dać.
 Dadzą ci ją dadzą—jeszcze odprowadzą,
 tylko po nią zajechać.
 Straciłem se płużek—com wyrabiał dtużek,
 ale mi jój nie chcą dać.
 Dadzą ci ją i t. d.
 Straciłem se woły—co chodziły do niój i t. d.
 Straciłem dwa radła—i dwa prześcieradła i t. d.
 A na święty Jacek—w Dzikowie jarmaczek i t. d.

Kiedy już wozy zajechały, i przeprosiny (p. nr. 156) nastąpiły:

214. Siadaj-że ty na wóz—warkoczki se załóż,
 ja po ciebie przyjechał.
 Czy cię główka boli—czy nie masz téj woli,
 czy ci matuli żal?
 Matuli mi nie żal—główka mnie nie boli,
 Z tobą nie pojedę—bo nie mam téj woli.
 Siadaj-że ty na wóz—warkoczki se załóż,
 ja po ciebie przyjechał.
 Czy cię główka boli—czy nie masz téj wołi,
 czy ci tatula żal?
 Tatula mi nie żal—główka mnie nie boli,
 Z tobą nie pojedę—bo nie mam téj woli.

Na progu družba:

215. Upadły śniegi, leżą na błoniu,
 A nasz pan-młody, uziął na koniu;

Do jamy myszko do jamy,
 Z twoim wianeczkiem rucianym.
 Ty wianeczku na kołeczek,
 Dla innych dziewczeczek.
 Nie wdowa Maryś, nie wdowa,
 Siedzi w czépku jako sowa.
 Jedźcie druchny lipową drogą,
 Gdzieście podziały pannę-młodą.

Druchny: Czyście jój to ślepe były,
 Kiedyście ją oczepiły?

Następnie nućą po oczepieniu, gdy młoducha mając
 obdzielić chléb przez siebie upieczony, chowa się do komory:

221. Poszło trzech braci—poszło trzech braci

zieloną łączkę kosić,

Kazali sobie—najstarszój siostrze
 śniadaneczko przynosić.

Najstarsza siostra—najstarsza siostra
 wzięła konika puściła,

Sama w Dunaik—sama w Dunaik
 we wodę bystrą skoczyła.

Pływaj siostruniu—pływaj kochana,
 jak lawendowy wieniec,

Płacze siostrzyczka—płacze braciszek
 cieszy cię twój młodzieniec.

Później w tańcu, kiedy młoducha udaje kulawą i nie chce
 z mężem tańczyć, on wykrzykuje puszczając ją:

222. A cóżto za kobiécisko,

Moja nie tak chodzi nisko;

Ta kulawa i czubiasta,

Stara to jakaś niewiasta.

Poczém druchny odzywają się:

223. Panie-młody nasz, czy cię tu nie masz?

Wyjdźże, wyjdźże z buteleczką,

Poczęstuj nas gorzałeczką,

Panie-młody nasz!

Młody wykupuje ją wtedy gorzałką. Przybywszy do do-
 mu młoduchy, siadają do stołu.—Przy uczcie weselnój po-
 dając placki i kołacze:

224. A nasz pan-młody chędogi,

Zebrał pszeniczki trzy brogi,

Trzeba będzie rano wstawać,

Co do kłoska wymłacać.

Nie mogę ja wstać—nóżek owijać,
Bo mi matka zakazała—abym z wami nie gadała
trzeba jój się bać.

Matki się nie bój—siadaj na koń mój,
Pojedziemy w cudze kraje—tam są insze obyczaje
malowany dwór.

Przez wieś jechali—wszyscy patrzali,
Co to, co to za dziewczyna—co to, co to za jedyna
i kawaler z nią.

W okolicy Szydłowca i Przysuchy, taż sama pieśń tak się zaczyna, acz tutaj na poprawinach weselnych dopiero słyszana bywa:

230. Na onój górze—stoją rycerze,
Stuk puk w okieneczko — otwórz, otwórz kochaneczko
koniom wody daj i t. d.

Żegnając się zaś z domem rodzicielskim (p. Ż. Pauli P. I. Gal. str. 141, oraz nr. 156):

231. Stoją konie, stoją wozy,
Już ci ten płacz nie pomoże,
Siadaj-że ze mną.
Nie będę ja z płaczem siadała,
Bo ja jeszcze swemu bratu nie dziękowała.
Stoją konie, stoją wozy:
Już ci ten płacz nie pomoże,
Siadajże ze mną.
Nie będę ja z płaczem siadała,
Bo ja jeszcze siostrze nie dziękowała:
Dziękuję ci pani siostrze,
Ześ gadała na mnie ostro,
Teraz nie będziesz.

W ten sposób żegna się z ojcem, matką, ławkami, stołami i progami, jak to już przy nr. 156 miało miejsce.

11.

Celem dokładniejszego przedstawienia ogółu pieśni weselnych, widzę się w obowiązku przytoczyć i warianty tychże, zebrane przez Wacława z Oleska i Żegotę Pauli w Galicyi. Nikt bowiem nie zaprzeczy, że to, co skrzętni ci pracownicy wnieśli, porównane i dopełnione niniejszém, posłuży do tém lepszego wyświecenia rzeczy w mowie będącej. Ten więc ostatni (Pauli) tak opisuje obrzędy weselne tamże (p. P. I. pols: w Gal: str. 35):

„Dni kilka przed weselem chodzą *druźbowie*, których *pan młody* wysyła po wsi od gospodarza do gospodarza. *Starosta* (piérwszy swat, marszałek weselny, na którego obierają gospodarza w męzkim wieku, wymownego i żartobliwego), zaprasza na wesele całą rodzinę w imieniu pana młodego mową żartobliwą. Przed ślubem rano, schodzą się goście do rodziców *panny młodej*; tu *swaszki* (swaszki, swachy albo druchny, sęto dziewczęta, które sobie panna-młoda obiera; najstarszą swazką czyli *starościna* bywa zazwyczaj męzatka), sadzają pannę-młodą najczęściej na dzieży, rozplatają jęj warkocz i stroją głowę w kwiaty i wstążki.

Ubrana panna-młoda rzuca się śród płaczu rzewnego wraz z panem-młodym do nóg rodzicom, którzy nowożeńców błogosławią. Starosta prosi wszystkich do ślubu. Siadają na wozy, i jadą z muzyką do kościoła, druźbowie zaś wyprzedzają ich konno. Po ślubie, chowa się panna-młoda za ołtarz, zkąd ją druźbowie wyprowadzają. Z kościoła udaje się cały orszak weselny do domu rodziców, albo najczęściej bo karczmy, gdzie się ucztą i tańce odbywają. Późno w nocy następuje najważniejszy akt weselny: *czepiny*. Stara się panna-młoda zemknąć, lecz druźbowie ostro ją pilnują i ułapioną sadzają na stołku. *Starościna* zdejmuje jęj z głowy wianek z wstążkami (które panna-młoda muzykantom rozdaje), bije ją stłuczonym garnkiem po plecach, aby się jęj w nowym stanie naczynie nie tłukło, i uderza ją ręką po licu. Rozebraną z oznaków panieństwa prowadzą ze śpiewem do łożnicy, a panna-młoda rachuje się odtąd między męzatki. W kilka dni po weselu, schodzą się znowu wszyscy na ucztę i tańce, co *poprawinami* zowią. Druźbowie zapraszając na wesele śpiewają (zapewne z obwodu tarnowskiego i bocheńskiego):

232. Szczęśliwa była godzina, jak się Bóg narodził, (1)

I ta szczęśliwa, co ja was nawidził.

Mamy affekt z przyjścia swego

Do domu Waszecinego.

(1) Lud używa tu jak w Wielkopolsce i Mazowszu tak zwanego *mazurzenia*, które zasadza się na zamianie spółgłosek gardtowych: *sz, cz, szcz, dź*, a niekiedy nawet: *rz, ż* na językowe *s, c, sc dz* i *z*; np. zamiast: *szczęśliwy* mówią: *scęśliwy*. Ztąd każdy kto chce mieć dokładne wyobrażenie o sposobie mówienia w tych okolicach, czytając te pieśni, wszędzie gdzie spółgłoski gardtowe wchodzi, zamianę ich na językowe w myśli skutecznieć sobie winien.

Jeszcze z większym affektem,
 Od Boga w Trójcy Świętej jedyne,
 Prosi pan ojciec, pani matka,
 Pan-młody, panna-młoda
 na to wesele.

Co się znaczy (*zapowiała*) przez trzy niedziele.
 Chcąc my tóż to stadło przyozdobić,
 Jako Bóg przyozdobił niebo
 Słonkiem, miesiącem, gwiazdami,
 wodami, rybami,
 liśćcami, kwiatami,
 i cały świat trawnikami.

Oto wy mój panie ojczy, pani matko,
 Chcicie to stadło przyozdobić,
 Do kościoła Bożego przywozić,
 do kościoła Bożego,
 do stanu małżeńskiego,
 do stołu Piotra świętego.

A z kościoła Bożego,
 Prosi pan ojciec i pani matka w dom swój,
 na krotofilę (*zabawę*) grzeczną;
 na muzykę skoczną,
 na beczkę piwa lub na dwie,
 na baryłkę wódki lub na trzy,
 na tego jelenia (*wół*)
 a go (*którego*) z obory wyprowadzemy,
 na te jarzębie,
 co siedzą na grzędzie;
 na te gadziny (*gęsi*),
 co rzuca pierzynę (*pierze*);
 na te krzyki,
 co siedzą u rzeki (*kaczki*);
 na te korzenie,
 co się ciągną ze ziemi (*ziemniaki*);
 i na te gibce,
 co bywają na śliwce,
 na te flaki,
 toć to najlepsze przysmaki;
 na te liście (*kapusta*),
 co się składają czyście (*pięknie*);
 na te koła (*kolacze*),
 co się toczą do stoła;
 A do tego co nam pan Bóg obiecał darować
 i kucharz zgotować,

byście téż nami
 wszelkiemi sługami
 nie gardali (*gardzili*);
 my téż Waszeciom potrafić będemy
 wszelkiemi sposobami.
 Chciejcie się nam téż nie wymawiać,
 my téż wam lub Waszecinym dziatkom
 wymawiać się nie będemy,
 jeśli wam tego będzie potrzeba.
 Prosemy o przebaczenie,
 bo kiepsko umiemy;
 bakalarza (*nauczyciel wiejski*) my kiepskiego mieli,
 do karczmy nas puszczał,
 różgą nas nie chlustał (*bił*);
 kałamorz z kołka spad,
 uciekł z piórem ptak.

Inne zaproszenie (p. tamże, str. 37):

233.

Od pana i młodej pani,
 Jesteśmy do was wysłani:
 Was prosić na wesele,
 Gdzie jeść trzeba śmieie.
 Ta śmiałość jest przyrodzona,
 Podczas wesela zdarzona.
 Zapraszamy na te kwiki (*świnie*),
 Co zarywają chodniki (*drogi ścieżki*);
 Na te ryki i dziki (*krowy i woły*),
 Co chodzą pić do rzeki;
 na tę pannę w kącie,
 w czerwonym kabacie (*kaftanik, gorset*),
 a kto idzie w taniec ku niéj,
 Swornie (*pięknie*) się onéj ukłoni;
 na te żytnie kołocze,
 okrągłe jak worowce;
 na ten groch zob (*potrawa*),
 Co się toczy wartko w skop (*skopiec*);
 na te kwaśne kapusty,
 któremi się trują glisty;
 na te moskalce (*kartofle*),
 cierpkie jak kierzpce (*chodaki górali*);
 na to smołsko (*gorzałka*),
 co rozdyma głowsko;
 na krakoską kaszę,
 którą jadamy czasem;

na te krowie sérki,
klinowate jako nyrki;
na orzechy liskowne,
do kulich (*okrągłych*) gałek podobne;
na te kwaśne barszczysko,
na zgładzenie gorzałczyska;
na muzykę ktemu od zucha,
co zacina, zarzyna od ucha;
na to wielkie zgromadanie,
gospodarskie pogadanie.

Proszę mi to nie odmówić,
Proszę nie gniewać, młodzienic,
Jacy (*lecz*) się ze mną zbierajcie,
Moim honorem nie łunaćcie (*nie gardźcie*).

Jadąc do panny-młodej (p. tamże str. 39; Wacł. z Oleska P. I. str. 42 i nr. 213):

234. Jużem przepił konie—co chodziły do nie,
i tak mi ją nie chcą dać i t. d.

Wybierając się do ślubu, śpiewają druźbowie i drużki (p. Wacł. z Oleska str. 43):

235. Wychodź Marysiu z izby—nie rób matuni ciżby,
Dosyć-eś jój narobiła—kiedys malušką była.
Siadaj Marysiu z nami—nie zalewaj się łzami.
Siadaj-że Maryś, siadaj—ojcu, matce żalu zadaj;
Niech się jój serce kraje—że cię młodą za mąż daje.

Dalój (p. tamże str. 130, jak również nr. 131 i 219):

236. Wyleciał sokół na ten nowy dwór,
Stuk, puk w okieneczko:
Wyjdź, wyjdź kochaneczko,
daj koniom wody i t. d.

Patrz tamże str. 140, jako i nr. 231:

237. Stoją konie—stoją wozy,
Już ci ten płacz nie pomoże,
siadaj-że ze mną.
Nie będę ja z płaczem siadała,
Bo ja jeszcze ojcu nie dziękowała:
Dziękuję ci panie ojcze,
Żeś dostawał często goście,
teraz nie będziesz i t. d.

Panna-młoda do pana-młodego (tamże str. 40):

238. Oj hola, moja hola—jeszcze nie twoja;
Wtedy będę twoja—jak pójdę z kościoła.

Państwo młodzi do rodziców przed błogosławieństwem
(p. str. 40 i Wacł. z Oleska, str. 43):

239. Już idemy do kościoła,
Błogosławże nas matusiu moja!
Błogosław matuleńko,
To twoje dzieciąteńko;
Pobłogosław oboje,
Te dzieciąteczka twoje.

Panna-młoda:

240. Ostajcież z Bogiem te mateczne progi,
Już tu nie postoją nigdy moje nogi.

Matka: Boże cię ta prowadź—Boże cię błogosław,
A ino mi chusteczkę, na uciechę zostaw.

Jadąc do kościoła:

241. Prowadź-że nas Boże,
Po tej szczęśliwej drodze;
Żebyśmy tam zajechali,
Kędyśmy się obiecali:
Do kościoła świętego,
Do stanu małżeńskiego.

Starosta:

242. A ja nie wiem po co jadę,
Czy po dziewczkę—czy po babę;
Jak po dziewczkę—ucieszę się,
Jak po babę—zasmucę się;
Jak po dziewczkę—chwała Bogu!
Jak po babę—zarna djabłu.
Bo za dziewczką—krowy ryczą,
A za babą—dzieci krzyczą.

Po ślubie drużki (p. nr. 16):

243. Gdzieżeś się nam panna-młoda podziała?
Powróćcie mili swatowie, powróćcie,
Pannę-młodą z za ołtarza wykupcie.

Wracając od ślubu:

244. Podziękujmy Panu Bogu—wzieliśmy ślub chwała Bogu!
I Najświętszej Paniencie—przy dzisiejszej niedzielnice.
Zkąd idziecie?—z kościoła,
Co wieziecie?—sokoła.
Będzie się matusia pytała:
Komuś Maryś ślubowała?
Ołtarzowi wielkiemu,
I Jasiowi swojemu.

Oj leciały czarne kawki przez morze,
 Padły, siadły u pana ojca na dworze.
 Wyjdź-że do nich pani matko proszący:
 Czyście nie widziały mojej Marysi jadący?
 Widzieliśwa twoją Marysię jadący,
 Ocieraa swoje oczęta płaczący.

W karczmie:

245. Stawiaj karczmarzu ławeczki,
 Niech sobie posiedą družeczki;
 Stawiaj karczmarzu i ławy,
 Niech sobie posiedą sąsiady;
 § Stawiaj karczmarzu i stół,
 Gdzie swachniczka (*družka*) idzie samo-wtór.

Podczas uczty:

246. Oj cóżto za kaszeczka—da jagła jagłę goni,
 Lepsza była u Bartosza—góral przeszedł w kirpcach

Przy kołaczu: po niój.

247. Przywieziono nam ziele—od Węgier na wesele;
 Przez Dunaj go wieziono—w kołaczce go sadzono.
 A to ziele rodziło—dwie jagody na nim było:
 Jedna była jagodeczka—młodziuchna jak nasza swa-
 Pan družba kołacz siecze, czeczka.
 aż mu z czoła ciecze;
 Pan družba kołacz kraje,
 sąsiadom go rozdaje;
 Pan družba człowiek młody,
 choć se nie golił brody,
 Panna swaczka ogoliła.

Po uczcie:

248. A wychodź-że panno-młoda z za stoła,
 Podziękuj-że pani matce z wesola.
 Sorom swatkowie! sorom! (*wstyd*)
 Zbierajcie się do dom;
 Do dom się zabierajcie,
 Nocować tu nie będziecie.

Idąc z karczmy:

249. Macham swachniczkę, macham,
 Nie stój tam pod tym dachem;
 Dosyc-ęś się tu nabyła,
 Beczkęś piwa wypila,
 I dwa spusty gorzałeczki,
 Na poły (*wespól*) z družeczki.

*

A na moście—trawa roście (*rośnie*),
 da pod mostem ślaz;
 Mówiła mi grzeczna panna,
 Żebym z konia zlazł.
 A ja tego nie uczynię,
 Bo się boję o dziewczynę,
 Jużem tu był raz.

Na drodze do domu rodziców (p. n. 192):

250. Od samój karczmy, do samego pana ojca ścieżeczką,
 Nasadziła nadobna Jatrysia ziołeczka;
 Posadziła żółty kwiatek przy drodze,
 Którędy nadobny Jasieńko pojedzie.
 Nie zrywaj kochanku Jasieńku kwiateczka,
 Bo ja sobie u swojej matuli dzieweczka.

251. Założono nam wrotka,
 Szabelecza ze złotka;
 Któż nam je odkładać będzie,
 Kiedy Jasieńka nie będzie?
 Przyjedzie Jasieńko z Rusi,
 Otworzyć wrota musi.
 Albo nas tam puście,
 Albo lepiej załóżcie;
 Słoteńka na nas bije,
 Sukmanka na nas gnije;
 Nie nasza—pożyczana,
 Ze wstydem oddawana.

Wchodząc do izby:

252. Oj! pomaga Bóg panie gospodarzu!
 czyście nam rad, czy nie rad,
 Nie prosieś nas na śniadanie,
 prośże nas na obiad.
 Pomaga Bóg! stoły, ławy,
 i ty piecu malowany!
 Któż go tu malować będzie,
 kiedy Marysi nie będzie?
 Jest-ci tam siostrzeńka mniejsza,
 to do tego podobniejsza (*zdatniejsza*).

Przed czepinami (p. n. 27 i 23):

253. Jak ci będą pannę-młodą czepić,
 Będą mieć starościny co jeść i pić.
 Jak-ci będziemy mieć panią-młodą w czépcu,
 Będziemy mieć gorzałeczkę w skopcu.



254. Baby nie piły matusiu—baby nie piły matusiu!
Trza ich pognać do jeziora—będą piły do wieczora.

*

A mój panie młody—dawaj gorzkiej wody (*gorzałki*),
A my ci za wodę—dziewkę jak jagodę.

*

255. Kiejżeś się podział družba najbliższy,
Skoro do czepin zjadły cię myszy.
Oj chmielu, oj nieboże!
To na dół, to po górze,
Chmielu nieboże!

W czasie czepin: (podobnej treści p. n. 48 i 109):

256. A w tej nowej komóreczce—w tej nowej,
Czesa sobie Marysia nadobna len biały.
Przyszedł do niej nadobny Jasienko, zapukał:
A puście mnie moja Maryś do siebie.
Ja ciebie mój Jasieńku nie puszcze,
Miałeś-ci ty mój Jasieńku czasu dosyć,
Było sobie matuli poprosić.

*

257. Szła sobie dziewczyna—do góry dąbrową,
Znalazła Jasieńka—z potrzaskaną głową.
Jak ci się uwzięła—poszła do szynkarki:
Na twoją główeczkę—każę dać gorzałki.
Nie pomoże wódka—ani żadne maści,
Bo w mojej główeczce—potrzaskane kości.

Panna-młoda:

258. Kukułka kukała w sadeczku,
Główkę chowając w listeczku,
A kukając powiedziała:
Że nie tak mieć będę,
U świekrochy mojej (*matki męża*),
Jakom miewała
U matki mojej.

Starościna:

A wy stążeczki, już zwijajcie się,
A ty czépeczku, rozwijajże się.

Po czepinach panna-młoda:

259. Wianeczku ruciany—jużeś się mi zmienił,
Już się mi nie będziesz—na głowie zielenił.
Oj pięknie, pięknie—trochę pochyło,
Ten niech się patrzy—komu niemilo.

Po czepinach:

260. Wilczysko się ożeniło,
Potém sobie rozmyśliło,
czego żonce trzeba!
Trzeba żonce poliwecki,
A dziecięciu kolébeczki,
a mamce chleba.

Jadąc przez wieś do swaszek:

261. Przez wieś-jeśmy jechali,
Niziutenkośmy się kłaniali;
Wszystko to Marysiu dla ciebie,
Bo rwałaś ludzi do siebie.
Teraz nie będziesz miała,
Boś niemi pogardała.

Druźbowie przed pomieszkaniem pani-młodéj:

262. A wyjdźże przed nas,
A przywitajże nas,
czego będziesz płakała?
Czy nie do twéj woli,
Czy cię główka boli,
czy ci ojca, matki żal?



263. Oj wyjdźże, wyjdźże Marysiu—nadobna!
Przywitajże pannę swazkę—z drużyną,
I swego pana-młodego—z rodziną;
Przywitajże pannę swazkę—przywitaj,
A swojemu Jasienkowi—rączkę daj.

Panna-młoda:

Nie będę pannę swazkę—witała,
Bo ja w niéj przyjaciołkę—zyskała;
Lecz przywitam mego Jasia—rączkę dam,
Bo on teraz mojem życiem—jeden sam.

Podczas poprawin:

264. Oj już to nie wesele—oj już to poprawiny,
Oj już to nie Marysia—oj ino gospodyni.

Drużki gdy pan-młody tańczyć zaczyna (p. n. 201):

265. Oj w mieście, w mieście—w sławnym Krakowie,
Wzięli mi wianek—kawalerowie;
Nikt mi go nie wziął—tylko Franciszek,
Obiecał mi dać—srebrny łańcuszek.
Łańcuszka nie dał—wianeczek stracił,
Czekaj Franciszku—będziesz go płacił.

Prócz tego śpiewają przed weselem, a niekiedy po czepinach lub wśród tychże (p. Ż. Pauli, str. 138 i porównać z nr. 171 i 308):

266. Tam na tyczynie, tam chmiel się chwieje;
 Oj zła godzina, mąż żonę bije;
 Przyjedź, przyjedź matuleńko,
 Oglądajże pożadeńko,
 Pożałuj-że mnie!
 Matunia jedzie, wrota uchyla,
 Na swego zięcia rączyńką kiwa:
 Bijże zięciu córkę dobrze,
 Niech się na niej skóra podrze,
 To będzie dobra.

(W takiż sam sposób przechodzą tatuleńka, siostrzyczkę i t. d.; nareszcie):

Tam na tyczynie, tam chmiel się chwieje,
 Oj zła godzina, mąż żonę bije.
 Przyjedź, przyjedź młodszy bracie,
 Oglądaj mię pożadeńko,
 Pożałuj-że mnie.
 Braciszek jedzie, wrota uchyla,
 Na swego szwagra pałaszem kiwa:
 Widzisz pałasz szwagrze ostry,
 Nie wybijaj mojej siostry,
 Głowę ci zetnę!

W czasie zaręczyn słyszeć się też dają te pieśni (p. Ż. Pauli str. 127 i 128):

267. Tam na łące, tam na zielonój,
 Leży kawaler bardzo zraniony.
 Przyszła do niego, mamunia jego,
 Płacze, żałuje go.
 Idź precz mamuniu ode mnie,
 Bo już umiera serdeńko we mnie.

(Dalej tak samo przechodzą tatunia, braciszka, siostrenkę i kończą):

Tam na łące, tam na zielonój,
 Leży kawaler bardzo zraniony:
 Przyszła do niego—kochanka jego,
 Płacze, żałuje go.
 Nie chodź kochanko ode mnie,
 Bo się już serdeńko ożywia we mnie.

Inna téjże treści (Ż. Pauli str. 127):

268. Ej ludzie, ludzie—z kąd wy to jedziecie,
Czy wy o mojm kochaniu nie wiecie?
Widzieliśmy go w cieniu cyprysowym,
Cesał sobie włosy grzebieniem perłowym.

Przyszła do niego własna matka jego:
Jasiuniu kochany, co ci to takiego?
A moja mamuniu, nie gadajże do maie,
Bo się smutne serce, od żalu rozpęknie.

(Tak przechodzą ojca, siostrę, brata; wreszcie):

Przyszła do niego—kochaneczka jego:
Jasiuniu kochany, co ci to takiego?
A moja kochana, siądź-że sobie przy mnie,
To się rozweseli, smutne serce we mnie.

Oj moja mamuniu, spraw-że mi wesele,
To się rozweseli, smutne serce we mnie.

Oj mój Jasiuniu, sprawię ci wesele,
Ale nie prędzój, aż za trzy niedziele.

Kończą zaś niekiedy:

269. Co to za wesele—co ludzi niewiele,
Jeno odrobina—co sama rodzina.
Rodzina, rodzina—marnie wyginęła,
Brata mi zabili—siostra utonęła.
Brata mi zabili—na wojnę idący,
Siostra utonęła—wianka szukający.

Wacław z Oleska w swoim Zbiorze Pieśni ludu w Galicyi przytacza następujące używane przy weselu (P. l. G. str. 42 do 46), zapewne z obwodu bocheńskiego i sandeckiego.

Prosząc o pannę-młodą:

270. Przysłali téz nas nasi do waszych,
Abyście nom dali swoją bryzelicę
Za naszego chlustacza.
Jak nom dacie, to odkręciewa,
A jak nie dacie, to nie odkręciewa (*flaszki*).
A jak nom nie dacie,
To nam prędko odpowiedźcie,
To dalej pojedziewa,
A tam dostaniewa.

Drużba zapraszając na wesele:

271. Niech będzie Chrystus pochwalony!
Nie z smutną, tylko wesołą nowiną
Wstępując w progi, państwa zapraszając:

Jako to z wyroku Bozkiego,
Z natchnienia ducha Najświętszego,
Zabierają się do stanu małżeńskiego.

(Ten i ta).

Przeto państwo młodzi upraszają na acht (*akt*) weselny,
Żebyście państwo nie byli wymowni, (*nie odmówili*)
Do kościoła świętego,
Do aštu sakramentalnego,
A z kościoła do domu tego.

W czasie poobiedniego tańca:

272. Jak pojedziesz przez wieś, zdejmie magiereczkę
(*czapkę węgierską*),
Pokłoń się matusi, dostaniesz córeczkę.
Teraz będę wiedział, jak córeczkę dostać,
Matusię za nogi—po gorzałkę postać.

Od Skawiny:

273. Poczucieście przyjechali moi mili goście,
Jeśli wam się podobała,
Ojca matki proście,
A ja sobie pójdę za piec,
niby będę płakać;
A wy na to nie zważajcie,
Tylko targu dobijajcie
a będziemy skakać.

Rano w dzień ślubu: (*mieszczanśka*)

274. A wstawajże jagódeczko,
Póki nie wstanie słoneczko:
Bo jakby cię w śnie zastało,
Mocno by się sfrasowało:
Słabe w gosposi nadzieje,
Co śpi jeszcze gdy kur pieje.
A wstawajże w równe nogi,
Bo cię wita dzionek błogi!
Twój Jaś jak rozmaryn świeży,
Wnet stęschniony tu przybieży:
Jak cię zastanie w pościeli,
To się zbliżyć nie ośmieli.

*

275. Jużto Jasiu wstałeś Bogu dzięki,
Toś wart serca ślicznój lubeńki.
Już ona ci wianeczek uwiła,
I pozdrowienie przez nas ci przysyła.

Oj! będziesz miał dziewczkę jak jagodę,
 Co ci szczęściem napelni zagrodę;
 Słodsze jak miód usteczka rumiane,
 Ciało śliczne jakby malowane!
 Pamiętajże byś się zacie sprawił,
 Ażeby wam Pan Bóg błogosławił.

Matka córkę błogosławi: (patrz i n. 10).

276. Wybierajże się moja Kasiu, maszci czas,

Wdziewaj na się spodnicę, opasuj srebrny pas.

A Bóg-że wam zapłać moja pani matko, za piękne wystra-
 janie:
 Boże cię prowadź, Boże cię błogosław, moje dziecię ko-
 chanie.

Podziękuj w izbie, podziękuj w sieni, podziękujże w komorze,
 A podziękujże tym wszystkim ludziom co stoją na dworze.

Błogosławże mnie Jezusie,

Od téj kochanej matusie!

Błogosław mnie jeszcze raz,

Najświętsza Panno, trzeci raz.

Powinszowanie najstarszego družby przy wyjeździe do
 kościoła:

277. Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony wszędzie,

A proszę niechaj tu zaraz cicho będzie!

Dziś korona rozkwitła w kawalerskich rękach,

Która będzie na acht wspaniały, gdyby w dyamentach;

Mościa panno-młoda, wiwat!

Teraz podnieś oczy swe—spojrzyj na korony,

Które rozmarynowemi różczkami przyozdobione,

Gdy na ten acht wspaniały będą tryumfować,

A za tém gronem tu pannie-młodéj będziema winszować.

Winszujemy dziś za tém gronem tego państwa,

Gdyż od ojca i matki żąda błogosławieństwa.

Przystąp ojczu do córki i ty matko miła,

By swą głowę panięską pod wasze nogi ukłoniła.

Teraz państwo młodzi padnijcie pod rodzicielskie nogi,

Stopy całujcie, i za wychowanie, za pielęgnowanie dziękujcie.

A wy także państwu młodemu drogi nie tamujcie.

Do panny młodéj:

Niechże cię Bóg Wszchemogący koronuje,

Tą samą koroną, którą prezentuje!

Prezentuj oku twemu dziś miłe wolności,

Byś chciała odemnie przyjąć życzliwości:

Odbieraj, odbieraj urodliwa damo,

Kiedyć Bóg przeznaczył, czyli niebo samo,

Pieśń do tańca (p. W. z Oleska P. I. str. 95) od Myślenic (p. n. 35):

281. Oj przeleciał ptaszek—przez tutejszy lasek,
 piórka na nim zadrzały.
 A rozmyślajże się—ty moja dziewczyno,
 albo ci czas niemały?
 Czyżeś rozumiała—ty moja dziewczyno,
 żeś ty jedna na świecie?
 A jabym mógł przysiądz—że was jest nie tysiąc,
 co w tém kole stanicie.
 Alboś rozumiała—ty moja dziewczyno,
 że ci będą zawsze grać?
 Oj trzeba to trzeba—dorabiać się chleba,
 trzeba miła rano wstać.

d. c. n.

O. K.

Spominki historyczne i artystyczne.

I.

Najdawniejszy opis pielgrzymki do ziemi śtėj przez Polaka. Przy dziele Jana ze Stobnicy: Introductio in Ptolomei Cosmographiam, Cracoviae, impressum per Florianum Unglerium, 1512, 4to, zamieszczone są dodatkowo różne inne pisma, między temi znajduje się: Terrae Sanctae et urbis Hierusalem aptior descriptio fratris Anselmi ordinis minorum de Observantia. Wydanie powtórne w Krakowie u Hieron. Wietora, 1519. 4to. W dziele zbiorowém Henryka Canisiusa z Nimegi, mnogie materiały historyczne zawierającém, wyszłém pod tytułem: Antiquae lectiones, w tomach sześciu, a w latach 1601 do 1603 wydaném, w tomie 6tym jest pismo następujące: Descriptio terrae sanctae authore Anselmo ord. minorum. Jestto tenże sam wyżej przytoczony opis ziemi śtėj. O owym ojcu Anzelmie powiada ks. Ludwik Moréri (Le grand dictionnaire historique, Paris, 1759, fol. I, 137), że był zakonnikiem śgo Franciszka i żył w początku XVIgo wieku; że zdaje się

był Polakiem, a urodzonym w Krakowie, co z treści pisma jego okazuje się. Roku 1506 odbył on podróż do ziemi stój, a za powrotem opis onój uskutecznił, który w dziele *H. Canisiusa* jest drukowany. Będzieto więc najdawniejszy opis pielgrzymki do ziemi stój przez Polaka napisany. Przytoczone dzieło *H. Canisiusa*, przedrukowane zostało w 7 tomach r. 1725 w Antwerpii przez Westensów, staraniem i z komentarzami Jakóba Barnage, pod tytułem: *Thesaurus monumentorum ecclesiasticorum et historicor. sive lectiones antiquae*.

Netscher Gaspar malarz i ojciec jego *Jan* rzeźbiarz i inżynier w służbie polskiej. Jeden z uczonych badaczy dziejów sztuk dawniej Polski utrzymuje (Dziennik Krajowy warsz. z r. 1843 nr. 121), że *Netscher Gaspar* czyli *Kasper* sprowadzony na dwór polski od Jana III, bawił długo w Warszawie i wiele robót swoich zostawił w miejscu; że malował całą rodzinę królewską w naturalnej wielkości, z którychto obrazów kilka znajduje się w galerii willanowskiej. Szkoda, że szanowny autor nie wskazał źródła, z kądby tę wiadomość wyczerpał; wszyscy albowiem biografowie *Netschera* najmniej nie czynią wzmianki o bycie jego w Polsce; owszem z opisów życia jego okazuje się przeciwnie, iż w Polsce nigdy nie był. Pochodzenie atoli jego nie czyni go dla naszego kraju zupełnie obcym: ojciec *Gaspra Jan Netscher* był rzeźbiarzem i inżynierem, wszedł był w służbę rzeczypospolitiej polskiej jako budowniczy forteczny, i tutaj umarł. Przyjście samo na świat *Gaspra* dosyć jest wątpliwie oznaczone. Urodził się on r. 1639, podług jednych w Heidelbergu (J. D. Fiorillo 1818. III, 211; G. K. Nagler X, 194), podług zaś innych w Pradze (Rog. de Piles Abrégé de la vie des peintres; L. Moréri le gr. dict. hist. 1759 fol. VII, 981; M. Huber, 1787 str. 460) Matka jego z domu Vetter, córka burmistrza miasta Heidelberga, po śmierci męża wyniosła się była z Polski do Pragi czeskiej; ale będąc religii katolickiej, zagnaną była uciekać z tego miasta wraz z trzema małemi synami swemi. O kilka mil ztąd w jakimś zamku zatrzymaną została, nagłym

jego oblężeniem; dwaj starsi synowie jój pomarli tu z głodu. Unikając podobnego losu dla siebie i ostatniego dziecka, zdołała nocą wynieść się z niém z zamku, a unosząc synka na rękach, doszła tym sposobem do miasta Arnheim, gdzie pewien doktor wziął małego *Netschera* w opiekę, i dalszém jego wychowaniem zajął się. Takie były początki żywota *Gaspra Netschera*. Następny bieg życia jego, szczegółowo przez wielu pisarzy opisywany, nie wskazuje żadnego śladu pobytu jego w Polsce. Stałém jego zamieszkaniem była Holandya, a gdy raz wybrał się był na zwiedzenie Włoch, dopłynąwszy do Bordeaux, upodobał sobie tu córkę pewnego kupca i ożenił się z nią, poczém zaniechawszy dalszej podróży, do Holandyi wrócił i w mieście Haadze osiadł, gdzie téż i umarł r. 1684. Nagler mniema, że z Holandyi udał się był na jakiś czas dla pracowania do Anglii. W galeryi willanowskiej znajdują się rzeczywiście dwa jego dzieła: *portret króla Jana III na koniu*, w całej postaci, małego rozmiaru, nr. 184, i podobnej wielkości *portret królowej Maryi Kazimierzy na koniu*, w całej postaci, nr. 192. O ojcu *Gaspra* rzeźbiarzu i inżynierze *Janie*, w służbie polskiej zostającym, co do jego pobytu i zatrudnień w tym kraju, nie posiadamy bliższych wiadomości. Czyliby zaś syn tegoż, znamienity malarz *Gaspar*, przebywał istotnie kiedy w Polsce, tém mniej jest wiadomo. Szczegół ten jednak zasługuje na wyjaśnienie, a dla badacza dziejów sztuki kraju naszego nie może pozostawać obojętnym. Byćby mogło, że o tych obu *Netscherach* ojcu i synie, który z świątłych czytelników Bibl. Warsz. posiada jakowe pewniejsze szczegóły; ogłoszenie ich byłoby przydatne, na co zwrócić tu uwagę ośmielam się. Wspomnę i to wreszcie, że za czasów panowania króla Sobieskiego, twory malarstwa wielce u dworu i zamożnych panów były cenione i pożądane; dowodem tego jawnym są zabytki sztuki z téj epoki w kraju dochowujące się. Atoli z nazwisk artystów, którzy pod te czasy u dworu polskiego pracowali, poszukiwania dotychczasowe bardzo mało wykazały; wiele onych

do wykrycia pozostaje. Trzech tylko lepszych malarzy przenieść dziś niewątpliwie można, którzy dla króla Jana III w Polsce pracowali; tymi są: Altamonti Marcin, Eleuter Jerzy i Desportes Franciszek.

Kardynałowie z duchowieństwa polskiego. W ciągu czterech ubiegłych wieków, zaszczyt godności kardynalskiej spływał nieraz w udziale i na polskie kościoła rzymskokatolickiego duchowieństwo. Wykaz kardynałów rodem Polaków lub do polskiego duchowieństwa należących, nie był dotąd ogłoszony z dokładnością co do dat, bez pomyłek co do samych osób; przedstawia się więc tutaj zupełniejszy, z ściśłem wyszczególnieniem dat, nazwisk i tytułów:

Wiek XV.

R. 1408.—1) *Mateusz z Krakowa.* Professor i rektor uniwersytetu pragskiego, później biskup Wormacyi, kanclerz cesarza Roberta i poseł tegoż do papieża; pisarz kilku dzieł teologicznych. Kardynał presbiter pod tytułem S. Cyryaka, mianowany przez papieża Grzegorza XII r. 1408, d. 19 września.— † r. 1410, d. 5 maja w Worms.

R. 1439.—2) *Izydor.* Grek z urodzenia, zakonnik bazylikański, opat S. Demetryusza z Carogrodu, potem metropolita kijowski, mianowany przez papieża patriarchą konstantynopolitańskim. Kardynał presbiter pod tytułem Ś. Marcellego i Ś. Piotra, mianowany przez papieża Eugeniusza IV, r. 1439.— † w Rzymie r. 1463.

R. 1439.—3) *Zbigniew Oleśnicki.* Biskup krakowski, wysyłany w różnych poselstwach przez Kazimierza Jagiellończyka do papieża, cesarza, Krzyżaków. Kardynał presbiter pod tytułem Ś. Akwilei i Ś. Pryszki, mianowany 1439 r. przez papieża Eugeniusza IV, niemniej przez anty-papę Felixa V, który chciał przyciągnąć ku sobie Oleśnickiego; lecz przyjął kapelusze dopiero od papieża Mikołaja V r. 1447.— † w Sandomierzu, r. 1455 d. 1 kwietnia, licząc lat 66; pochowany w Krakowie w kościele katedralnym.

R. 1440.—4) *Alexander książę mazowiecki.* Syn Ziemowita księcia mazowieckiego na Płocku, biskup trydentowski, potem patriarcha akwilejski, administrator biskupstwa

w Chur, proboszcz kościoła Ś. Szczepana w Wiedniu od r. 1442. Kardynał presbiter, pod tytułem Ś. Wawrzyńca in Damaso, mianowany przez anty-papę Felixa V, r. 1440.— † r. 1444 d. 2 czerwca; pochowany w Wiedniu, w kościele Ś. Szczepana.

R. 1444.—5) *Wincenty Kot*, arcybiskup gnieźnieński, prymas. Mianowany przez anty-papę Felixa V r. 1444.— † r. 1448 w Uniejowie, pochowany w kościele katedralnym gnieźnieńskim.

R. 1493.—6) *Fryderyk Jagiellończyk*, królewicz polski, syn króla Kazimierza Jagiellończyka; biskup krakowski, arcybiskup gnieźnieński, prymas, kardynał dyakon pod tytułem Ś. Łucyi; mianowany przez papieża Alexandra VI r. 1493.— † r. 1503 d. 14 marca, przeżywszy lat 35; pochowany w katedrze krakowskiej.

Wiek XVI.

R. 1561.—7) *Stanisław Hozysz*, biskup chełmiński, potem warmiński, legat papieża Piusa IV do cesarza Ferdynanda; legat papieżki i prezydujący na soborze trydentskim; wielki penitencyaryusz, doktor prawa i pisarz dzieł kilku: kardynał presbiter pod tytułem śtej Sabiny, śgo Wawrzyńca in Perna, śgo Pankracego, śgo Klemensa i śtej Maryi z Transtevere; mianowany przez papieża Piusa IV r. 1561.— † w Caprarola niedaleko Rzymu r. 1579, d. 5 sierpnia, licząc lat 76 wieku; pochowany w Rzymie w kościele P. Maryi Transtevere.

R. 1583.—8) *Jerzy Radziwiłł*, biskup wileński, potem krakowski, kardynał presbiter, pod tytułem śgo Xysta; mianowany przez papieża Grzegorza XIII r. 1583 d. 13 grudnia.— † w Rzymie r. 1600 d. 21 stycznia, licząc lat 44; pochowany tamże w kościele XX. Jezuitów.

R. 1584.—9) *Andrzéj Batory*, synowiec króla Stefana, biskup warmiński (otrzymał indygenat na sejmie r. 1588); kardynał dyakon, pod tytułem śgo Adryana, potem śgo Anicła; mianowany przez papieża Grzegorza XIII r. 1584.— † r. 1599 d. 28 października, licząc r. 33 życia, zabity przez Wołochów w ucieczce po przegranej bitwie, gdy przy dzie-

dzielném księstwie siedmiogrodzkim utrzymać się usiłował.

Wiek XVII.

R. 1604.—10) *Bernard Maciejowski*, biskup łucki, następnie krakowski, potem arcybiskup gnieźnieński, prymas. Kardynał pod tytułem świętego Jana i świętego Pawła, mianowany przez papieża Klemensa VIII r. 1604.— † r. 1608 d. 19 stycznia, licząc lat 60 wieku; pochowany w kościele katedralnym krakowskim.

R. 1632.—11) *Jan Albert*, królewicz polski, syn Zygmunta III i Konstancyi arcyksiężniczki austriackiej; biskup krakowski. Mianowany kardynałem przez papieża Urbana VIII r. 1632.— † w Padwie r. 1634 d. 22 grudnia, mając lat 23.

R. 1646.—12) *Jan Kazimiierz* królewicz polski, syn Zygmunta III i Konstancyi austriackiej, następnie sam król polski. Naprzód Jezuita r. 1643, mianowany kardynałem przez papieża Innocentego X r. 1646, złożył wkrótce sam dobrowolnie kapelus, i r. 1648 królem obrany został. Po złożeniu korony r. 1668, opat we Francyi świętego Germana in pratis i świętego Marcina z Nevers.— † we Francyi w Nevers r. 1672 d. 16 grudnia, licząc lat 63 wieku; pochowany w grobach królewskich katedry krakowskiej r. 1676.

R. 1686.—13) *Michał Stefan Radziejowski*, herbu Junosza, biskup warmiński, podkanclerzy koronny, arcybiskup gnieźnieński, prymas. Kardynał presbiter, mianowany od papieża Innocentego XI r. 1686.— † w Gdańsku 1705 r. d. 13 października, licząc lat 60 wieku; pochowany w Warszawie, w kościele świętego Krzyża.

R. 1686.—14) *Jan Kazimiierz Denhoff*, kommandor szpitala Świętego Ducha w Rzymie, biskup Karpentras i Cezeny; kardynał presbiter, mianowany przez papieża Innocentego XI r. 1686. d. 2 września.— † w Rzymie r. 1697 d. 20 czerwca, licząc lat 48 wieku; pochowany tamże w kościele świętego Karola.

Wiek XVIII.

R. 1737.—15) *Jan Alexander Lipski*, biskup łucki, potem krakowski, podkanclerzy kor., kardynał presbiter, mianowany przez Klemensa XII r. 1737 d. 20 grudnia.— † w Kielcach r. 1746 d. 19 lutego, licząc lat 52 wieku; pochowany w katedrze krakowskiéj.

Do powyższego wykazu przydać należy, iż jeden z arcybiskupów polskich o mało że nie został papieżem. R. 1417 na soborze konstancyeńskim do obrania papieża, złożone było conclave z kardynałów i deputowanych prałatów z różnych katolickich narodów. W tych gronie znajdował się *Mikołaj Trąba*, przedtém arcybiskup halicki, nateraz gnieźnieński i prymas królestwa polskiego. Otrzymał on sam przy głosowaniu wiele krések, lecz gdy od wybrania siebie na papieża odstąpił, obrany nim został kardynał Otton Colonna, papież Marcin V. Opowiada to Długosz w te słowa: „*Et licet Nicolaus archiepiscopus gnesnensis plures voces cardinalium et praelatorum, in electione hujusmodi sortitus fuisset, de omnibus tamen Othoni de Colonna cardinali diacono cessit. Qui ex hujusmodi cessione, vocibus contra alios singulos praevalens, in die S. Martini in papam, conformiter electus et publicatus est, et Martinus V appellatus.*” (Wydanie lipskie 1711, fol. I. 384). Takóż w inném miejscu: „*Cujus virtus in Concilio Constantiensi adeo vulgata erat, ut ad summum Pontificium a plerisque electoribus deposceretur*” I, 467. Podobnie mówi o tém Jan Albertrandi w dziele: 26 lat panowania Władysława Jagiełły, Wrocław 1845, str. 221. *Atoli Mikołaj Trąba* arcybiskup, kardynałem nigdy nie był.— † r. 1422 d. 4 grudnia we wsi Lubicza; pochowany w kościele katedralnym gnieźnieńskim.

Ed. bar. Rastawiecki.

Krótką wiadomość o drukowanych przekładach całej Biblii na różne dyalekty słowiańskie.

1). W języku polskim Biblia ks. Jana Leopolda (Lwowczyka), wydana w Krakowie r. 1561, 1574 i 1577. Drugi

przekład katolicki jest ks. Wujka w Krakowie 1599, w formacie arkuszowym, kilka razy później przedrukowany, a mianowicie: w Wrocławiu 1740 w 8ce, 1771 w 4ce, 1806 w 4ce, w Warszawie 1821, we Lwowie 1840, w Lipsku roku 1846.

Inny jest przekład dla Socynianów przez Jana Łaskiego i pomocników jego, wydany w Brześciu Litewskim 1563 r. fol., kosztem księcia Radziwiłła, i dlatego zwany biblią Radziwiłłowską; inny dla tegoż wyznania przez Budnego, roku 1570 w Nieświeżu, i bez miejsca druku w roku 1572. Inny jest przekład i wydanie biblii dla Ewangelików r. 1632 w Gdańsku, powtórzone w Amsterdamie r. 1660, w Halli magdeburgskiej 1726 r., w Królewcu 1738, 1779, 1823 r., w Brzegu Szlązkim 1768 r.; w Berlinie 1810 r.; w Wrocławiu 1836 i w Lipsku 1840 roku.

2). Pierwsza całkowita biblia w języku starym słowiańskim czyli cerkiewnym t. j. kościelnym, dla wyznawców kościoła wschodniego, wydana w Ostrogu kosztem księcia Ostrońskiego, i dlatego Ostrońską zwana, 1581 fol. W drugiej połowie wieku zeszłego i z początku bieżącego wielokrotnie drukowana, a mianowicie podług nowój recenzyi w Moskwie 12 razy, począwszy od 1751 r. (1), w Kijowie 1758, 1779 i 1788 r.; w Budzie węgierskiej 1804 roku; w Petersburgu kosztem Biblijnego towarzystwa od 1816 do 1821 r., 13 razy. Jest także wydana w Supraślu (pod Białymstokiem) 1743 r. i w Poczajowie (na Wołyniu) 1796 r.

3). Na ruski język, inaczéj wielkorossyjski, przełożony jest tylko nowy testament, i drukowany z textem słowiańskim kosztem Biblijnego towarzystwa w Petersburgu po kilka razy. Wydanie 5te 1822 w 8ce i ostatecznie w Lipsku sam text ruski. Jest także psalterz ruski w Petersburgu 1822 roku w 8ce.

4). Na małoryssyjski dyalekt jeszcze w r. 1551—1561 przełożył 4 ewangelie Michał Wasilewicz arcykapłan sanocki.

(1). Wydania moskiewskie są z lat: 1663, 1751, 1757, 1762, 1766, 1778, 1784, 1790, 1797, 1802, 1806, 1810. Są także biblie z roku 1756, 1759; ale podobno drukowane w Petersburgu.

Nie wiadomo czy drukowane. Całej biblii niemasz.

5). Biblią Skoryny wydaną w Pradze czeskiej 1517—1519 roku, liczy Szafarzyk do dyalektu białoruskiego. Niektórych jój ksiąg podobno nie dostaje.

6). W bułgarskim dyalekcie całej biblii niemasz. Nowy testament drukowany był w Londynie 1828 roku i Smyrnie 1840 r., lecz obadwa wydania zakazane.

7). W serbskim dyalekcie dla wyznawców kościoła Wschodniego całej biblii niemasz. Czytają Serbowie i inni Słowianie południowi tego wyznania Biblią staro-słowiańską, tak jak Rossyanie i Rusini. Nowy tylko testament drukowany był w Petersburgu. Lecz w tymże samym języku, illiryskim w zachodniej części katolickiej zwanym, przełożona biblia dla katolików przez ks. Katanczyca i drukowana łacińskimi głoskami i z textem łacińskim wulgaty, w Budzie 1831 roku. Dotąd mieli katolicy illiryjscy tylko ewangelie i lekcy na niedziele i święta, których najdawniejsze wydanie w Wenecyi 1495 roku głoskami gotyckimi, znajduje się w bibliotece profesora Kucharskiego w Warszawie. Jedyńy exemplarz teraz znany.

8). Na kroacki dyalekt przełożony jest nowy testament dla Ewangelików przez Antoniego Dalmatę i Stefana Konsula, i drukowany przez prymusa Trubera, w Tybindze r. 1562, literami głagolickimi, i 1563 r. literami cyrylicyckimi, w 4ce. Ale wydania te zostały zakazane. Dla katolików przełożony także nieco później nowy testament, ale dotąd znajduje się w rękopiśmie w bibliotece biskupa zagrabskiego (Agram). Psalterz drukowany 1816 r., a ewangelie i lekcy na niedziele i święta 1651 r. i nast.

9). W dyalekcie krańskim, którym mówią w południowej części teraźniejszego królestwa illiryskiego w ces. Austr. gdzie miasto główne Lublana (Lajbach), mamy dwa przekłady biblii całej: ewangelicki Dalmatyna, drukowany w Wittenbergu 1584 r. fol. i katolicki przez różnych, w Lublanie 1791—1800 r., tomów 9 w 8ce.

10). W styryjsko-słowiańskim dyalekcie, jakim mówią w Styryi południowej, jest tylko nowy testament dla Ewan-

gelików, przełożony przez Kuznicza w Halli, 1771 roku, i w Presburgu 1818 r. 8ka.

11). Cała biblia czeska wyszła po raz pierwszy w Pradze już w 1488 r. podług wulgaty. Następnie drukowana biblia dla Utrakwistów na Horach Kutnach (Kuttenbergu) 1489 r., w Wenecyi 1506 r., w Pradze 1529 r. i 1537, w Norymberdze 1540 r. Biblia Melantrycha w Pradze 1549, 1556 (1561) 1570 i 1577 r. Biblia kralicka braci czeskich w Kralicach (w Morawii) od 1579 do 1593 r.; tudzież 1596 i 1613 r. biblia Berneńska (Brünn) 1611 r. Adama z Welesławina w Pradze 1613 r. Dla katolików Swato-Wacławska w Pradze od 1677 do 1715 i od 1769 do 1771 r., tudzież od 1778 do 1780 i r. 1804. Dla Ewangelików w Halli magdeburskiej 1722, 1745 i 1766., w Presburgu 1787 i 1808 r., w Berlinie 1807 i 1813 r. w 8ce.

12). W słowackim albo raczej w słowiańskim dyalekcie jakim mówią Słowacy w Węgrzech północnych, wyszła biblia dla katolików, przekładu Bernolaka, dopiero 1829 roku; Ewangelicy trzymają się biblii czeskich.

13. W dyalekcie serbskim górno-łużyckim w królestwie saskim, około Budyszyna (Bautzen), wydana biblia cała dla Ewangelików w Budyszynie 5 razy, t. j. 1728, 1742, 1797, 1821, i 1823 r. Ks. Swietlika przekład dla katolików, pozostaje dotąd w rękopiśmie w bibliotece biskupa budyszynskiego.

14). W serbskim dolno-łużyckim dyalekcie około Chocibusy (Kottbus) do pruskiego państwa należącego, wydana cała biblia dla Ewangelików przez towarzystwo biblijne w Berlinie, 1824 r. Dotąd mieli ciż Serbowie nowy i stary testament osobno drukowane.

Z tego się pokazuje, że cała biblia przełożona jest na 9 dyalektów słowiańskich: polski, starosłowiański, białoruski, illiryjski, kraiński, czeski, słowacki, górno i dolno-łużycki.

Chronologicznie tak idą pierwsze wydania po sobie: 1488 r. czeska; 1517 r. białoruska Skoryny; 1561 r. polska Leopolicy; 1563 r. polska Brzeska; 1570 r. polska Budnego; 1579 r. czeska Kralicka; 1581 r. starosłowiańska

ostrogska; 1584 r. krańska Dalmatyna; 1599 r. polska Wujka; 1632 r. polska Ewangelicka; 1728 r. górnołużycka; 1791 r. krańska katolicka; 1824 r. dolnołużycka; 1829 r. słowacka; 1831 r. illiryska Katanczyca.

Wszystkich wydań całej biblii: starosłowiańskich 34, czeskich 27, polskich 23, górnołużyckich 5, krańskich 2, białoruskie 1, illiryskie 1, dolnołużyckie 1, słowackie 1.

Andrzej Kucharski.

Kilka słów do Wspomnień koncertowych p. Sikorskiego z dnia 3 maja 1849 r. w Bibl. Warsz. str. 383.

Nie weźmie nikt tego za złe, że nawykła więcej do smyczka niż do pióra ręka, skręśli tu słów parę na poparcie prawdy, którą zbyt arbitralne pióro w dość niejasnych kolorach wystawić potrafiło.

Matematycznie chyba, bo nie logicznie wymierzył szanowny krytyk odległość przejścia do punktu, ku któremu za ledwie pół drogi zaliczyć mi zechciał. Nie wiem także czy przez zbytnią skwapliwość i miłość dla rodaka, pragnie p. S., by tenże stał się kiedyś olbrzymem na skrzypcach, lub też może w obawie, by nie podupadł przedwcześnie na siłach, nie będąc stanowczo przekonany, że osiągnął już wysoki szczebel doskonałości. Może być p. S. upewnionym, że pomimo tej małej zachęty i skrupulatnej ujm, godnie odpowiem jego życzeniom, nie poprzestając bynajmniej popędzać mych pegazów ku coraz wyższej doskonałości, nawet w razie takim, gdyby mię do pierwszej klasy był policzył. Mówiąc o mechanizmie obu rąk, gdzie szanowny krytyk wymaga go daleko więcej, nie mogę mimo najsurowszego egzaminu i stokrotnego przejrzenia się w zwierciadle sumienia jak tylko wbrew zaprzeczyć; naprzód, że w odwracaniu smyczka, jak się p. S. wyraża, zachodzi ta jedyna tylko przyczyna wady, iż pociągam go wtedy do góry, kiedyby p. S.

żądał go widzieć idącym na dół; ze samego wszakże tematu i drugiej waryacji w fantazyi Alard'a, gdzie jednowiązane nuty całą długością smyczka *tirez* pociągane, lub też po trzy na cały smyczek *spiccato* w tempie dość żywém podwójnemi tony odcinane, można było dostatecznie utworzyć sobie wcale inne przekonanie, dalekie od zarzutu, jaki mi p. S. uczynił. Przypuszczam jeszcze, że podobny rodzaj piérwszy raz słyszał p. S.; nie mógł wszakże zaprzeczyć dobremu smyczkowaniu w nadzwyczaj trudnych passażach mego *Caprice Poétique*, o którym nie raczył w swym opisie nawet wzmianki zrobić. Lewej ręce można było tyle zarzucić, że nie potrafiła swobodnie wywiązać się *à la Paganini*, wstawieniem tonów czystych tam, gdzie na przestrój idące struny, cokolwiek je niżej wydawały, odstroiwszy się przy końcu jednej sztuki. Dla téj jedynéj przyczyny, nie zechce p. S. obstawać, jakoby to miało być winą fałszywéj intonacyi: bo tém upoważnilby mię do zarzucenia mu nawzajem fałszywości jego ucha, lub też szczupléj bardzo znajomości organizacyi skrzypiec. Dobrze bowiem ucho żadną miarą nie mogło temu zaprzeczyć, że oprócz tego małego zboczenia, którego jeszcze nie mnie należy winę przypisywać, wszystkie moje wykonania nie zostawiły po sobie żadnego dźwięku fałszu. Nie moja zatém wina, że mało aprobowana praktyka p. S. nie zdołała odróżnić biegu palców, od fizycznych własności strun. Pod względem ducha wykonania, niestety! nie zdołałem wzbudzić śpiącój sympatyi p. S. dla duszy méj gry. Pojmuję ja, jakich wrażeń potrzeba p. S. dla napojenia jego żądz wybrédnych; oto coś w podobnym rodzaju, aby palce nieustannie sprawiały drżenie częstém pociąganiem, i tym febrycznym trylem wydawały nieudolne jęki, nakształt śpiewów hebrajskich, których niepewna i bojaźliwa melodia z początku drażni ucho słuchacza, lecz wkrótce znudzić go tylko potrafi. Pójdźmy lepiéj do p. Frankenstein'a, on w tym rodzaju wysoko wýgórował, a p. Chojnacki przewyższył go jeszcze. U niechtó trzeba nam czerpać te nadobne powaby, słodsze nad karmelki; te parodye nieznaných uczuć, co tak ohydnie mijają się z tkliwą,

acz niesystematyczną grą Ernsta. Tu nie objawił p. Sikorski samoistności pojęcia w odróżnianiu dobrego stylu, i mocnych odcieni od łechcących tylko jęków niepewności. Założyłbym się, że u p. S. znalazłaby pierwszeństwo gra Haumana nad grą Vieuxtem'a, choć w istocie tamten sam przyznaje, że mu daleko do tego wielkiego mistrza.

Ostatni tylko numer mego koncertu podobno nieco zdołał ożywić p. S., ale tylko na chwilę; gdyż według jego matematycznych obliczeń, znalazł Cygana zbyt dla siebie mistycznym, aby mógł dostatecznie zrozumieć i pojąć właściwy mu charakter i barwę: czyby to był rodzaj górala z okolic Karpat? czy z okolic Pyreneów? lub wreszcie, czyby to zaiste miało być dziecko jednego z plemion azyatyckich? Czemuż p. S. nie poprzestał na jednym, zowiąc ten epizod nomadą, lub najadą, albo też biesiadą; wszak oszczędziłby sobie był czasu na niepotrzebne wyszukiwanie ubioru dla tego biédnego tułacza. Zarzut, jakoby rysy Cygana były zbyt niepewne czyli nieliczne, mimo woli wprowadza mię w powątpiewanie, czy p. S. zna cokolwiek erudycji kompozycyjnej, lub czy téż na samęj tylko polemice wszystko opiéra; bo np. mogą być mniej liczne odcienia, jak czwórmiarowy szkic naszego Kujawiaka, z którego wszakże łatwo jest ująć i odgadnąć właściwy typ Kujawiaka zpod Radziejowa, a Kujawiaka zpod Inowrocławia? Tém łatwiej jeszcze jest odróżnić narodowość jaką, gdy jój odcienia są naturalnej wielkości, i w kilku przedstawiają się obrazach. W Cyganie starałem się tego dopełnić, malując niejako dramat życia jego: oddałem w nim tęsknotę, wesołość, smutek, zabawę; w jakąż jeszcze szatę miałem go przyodziąć? Jeżeli więc niestety! nie zdołało to trafić do przekonania p. S., to winuję go w tym względzie jedynie za to, że lenił się zbliżyć nieco ku sferze poetyckiego życia, aby hojniej zaczerpnąć bogatych imaginacji owoców... Czyż mi nie przyzna p. S. że niezawsze i niewszystko winniśmy sądzić podług fantazyi jakowegoś materyalizmu? Wszak niekiedy znajdujemy nieodzowną potrzebę oddania się téż fan-

tazyi duszy naszéj! Dlatego prawie niepodobna wszystkiego zarówno stosować do jednéj formy, jak niepodobna jest mierzyć tego kwartą, co się mierzy łokciem.

Coby téż p. S. na to powiedział, że kiedy Bethowen napisał swoje arcydzieło, Symfonią Pastoralną, z której zaledwo kilka taktów potrzeba nam usłyszeć, a już naprzód zdolamy odgadnąć przedmiot przezeń obrany, a cóż dopiero gdy go poczyną rozwijać, malować każdą jego drobnostkę: owę różność zwierzątek, którym nadaje życie, to ptastwo śpiewające; ten szmer natury, lub ów nawałniczy przestrch: czy to wszystko nie przedstawia nam harmonii żywego obrazu jakiegoś wiejskiego życia? A jednak (powtarzam) co na to powie p. S. że znalazł się tak surowy, albo raczej tyle ograniczony krytyk, który śmiał bez zarumienienia raździć Bethowenowi, aby poprzestał rościć sobie pretensyą do kompozycyi, a raczej, by oddał się zupełnie grze fortepianowej. Nie sądzę, żeby kto mógł mniemać, iż ja tu robię jakieś przystosowanie; bynajmniej nie w tym celu przytoczyłem przykład tego dziwnego kontrastu; raczej mniemałem go być potrzebnym dla tych, którzy czują w sobie popęd stania się kiedyś czémsiś, i którzy potrafią oraz być względem siebie samych surowemi sędziami, aby mało zważali na opinie i krytyki obce, po większej części stronicze, a zawsze od swego sądu nieskończenie różne.

Nadmienię téż kilka słów o artystach, dających jednocześnie koncerta w Warszawie, o których p. S. za jednym zamachem także coś powiedział. P. Koman występujący z dwoma solami fortepianowemi na koncercie moim, według p. S. równie tą razą miał być nieszczęśliwym, jak w r. 1846 na koncercie pani Franchetti; według mego zaś zdania, jeżeli przeszłą razą sprawił tyle przyjemności ile tą razą, to prawdziwie jest mu czego powinszować. Jego wysoką zaletą są: owa rzadka równość w grze, jaką posiada, i te perełki tonów na sposób Herza lub Wolfa, z nadspodziewaną łatwością wybierane, które czynią mu prawdziwie wielką zasługę.

Nie wątpimy, że przy dobrych wzorach i niejakićj jeszcze pracy, niezadługo stanie się znakomitym artystą.

Grę p. Gnadendorfa, osiadłego między nami fortepianisty, dzielną nazwać można (powtarzam to za p. S.), bo na to starczą: wysoki w niektórych rodzajach trudności mechanizm i ciągła energia. Ale téż zbyt ciągła energia jedno-tonnością nuży nakoniec, delikatności pragnienie budzi, a pewność zyskana pracą, mechanizm wyprężonym czyni i ciężkością go znamionuje. Tu zgadzam się zupełnie z p. S. że rodzaj gry p. G. najlepiej przypada utworom dawniejszych niemieckich autorów: Humla, Webera i Bethowena nawet, gdyż więćej potrzeba do dokładnego ich oddania posiadać dobrego stylu i smaku, nizeli czczych błyskotek i przesadzonych efektów.

Co zaś do gry p. Frankensteina, w wielu względach nie pogodzimy się z p. S. w zdaniach naszych. Prawćj jego ręce brakuje pewności, siły i elegancyi, czego przy dobrych tylko wzorach nabyć można; lekkie zaś stakatta, jakie drganiem ręki dosyć wprawnie robi, panu S. czynią wiele efektu; lecz dalekie one są od jędrnych stakattów samowładnie i czuciem ręki wybijanych, mogących w każdym razie być zwolnionemi lub pospieszonymi; jedném słowem, powolnemi fantazyi skrzypka. Te ostatnie można tylko przy wielkićj pracy nabyć; tamte zaś, pićrwszy lepszy uczeń obficie jest w stanie posiadać. Nie wiem co p. S. nazywa pojęciem? nie wiem również o jakićm czuciu mówi? nie wiem nakoniec czćm jest u niego mechanizm, że tak tém wszystkićm (nie bez jakićjsz jeszcze opozycyi) udekorował p. F. stawiając go (na téj zasadzie) w swoim rzędzie. Ale niech i tak będzie. Pozwoli mi tylko p. S. zrobić tu wzmiankę o drugim podobnym talencie, o którym, dziwi mię bardzo, że będąc zwolennikiem dobrćj szkoły, a przytćm tak skrupulatnym znawcą, nie zechciał nawet cośkolwiek nadmienić, wspomnić; czybyto dla téj przyczyny, że o koncertach nie o artystach chce jedynie mówić? czy téż dlatego, że nie chce konfundować salonu Skwareowa ze skromną izbą domu Boka. A wszakże tam znajduje się ta-

lent, talent niezaprzeczenie równy w exekucyi, czuciu, i pojęciu talentowi p. F.; tém chyba tylko różniący się od ostatniego, że jest twórczym. Wszak nie będąc nim, zdaje się być prawie niepodobnym dostatecznie pojmować inne utwory. a zatem stawiając w zamian twórczości nieco wyższy mechanizm, możemy śmiało wyrzec: że p. Frankenstein i p. Chojnacki są dwaj bracia rodzeni na skrzypcach, i że obydwaj przy swój wielkiej pracy, zajdą kiedyś daleko.

Nie pozostaje mi zatem, jak tylko życzyć p. Sikorskiemu wytrwałości na stanowisku opozycyi i krytyki, jakie sobie obrał, w czém wysoko się już posunął; ale może zająć daleko wyżej, zadając sobie więcej pracy w czytaniu dobrych partytur i dzieł klasycznych, jako też słuchaniem z rozwagą i bez uprzedzenia dobrych mistrzów muzyki. Radzę mało zdawać się na sąd współzawodniczy, a raczej kombinować i badać głęboko każdą rzecz z logiką i sumieniem, a natenczas każde jego zdanie, każde nawet słowo, stanie się gruntowném i trwałém jak opoka.

K. Lada.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Jana hr. Potockiego podróż do Turcyi i Egiptu. Pod tym tytułem wyszła w Krakowie książeczka, zawierająca listy tego znakomitego w naukach męża, pisane z różnych miejsc na przestrzeni od stepów Oczakowa do piramid egipskich. Styl tych listów nadzwyczaj uroczy i malowniczy, istna panorama pokazująca brzegi morza Czarnego, Bosforu, morza Egipskiego, wyspy Archipelagu i Nilowe wybrzeża. W jednym Konstantynopolu zatrzymuje się podróżny nasz cokolwiek dłużej, a i ten pobyt urozmaicił umiennie powtórzeniem kilku wschodnich powiastek, słyszanych w kawiarniach od wędrownych bazarzy, którzy rzeczywiście tam zastępują nasze czytelnie. Żeby dać wyobrażenie jak wdzię-

czny jego pędzel, jaka plastyczność w oddaniu każdego przedmiotu, przytaczamy list o piramidach, z Kairu 1784 r.

„Najpiérwszy raz postrzegłem piramidy, kiedy płynąc z Rozetty do Kairu, stanąłem u brzegu Delty. O dziesięć mil byłem od nich odległy, gdy mi się zdawały jak góry, których białość oznaczała wielką bardzo wyniosłość. Straciłem je z oczu przybliżając się do Kairu, i nie odkryłem je jak przy Gizech. Odległość wsi téj od piramid jest o trzy mile, a zdaje się, że niemasz więcej jak sześćset kroków. Doskonale rozeznawać mogłem różne ich spojenia aż do rozdziałów nawet kamieni, które zdawały mi się naówczas wielkości naszych cegieł, i oczy moje mierząc wysokość tych gmachów na téj fałszywój skali, nic w nich nie znajdowały dziwnego. Toż samo zdarzyło mi się u świętego Piotra w Rzymie, i zdarzyć się koniecznie powinno na widok każdej budowy, kiedy doskonała proporcya części onój, nie zostawia obiektu porównania, podług którego możnaby sądzić o wielkości gmachu całego. Żeby więc poznać wielkość piramid, trzeba przystąpić aż do ich podstawki czyli basis; natenczas szczyt ich znika powoli i nie widać jak tylko stosy niezmiernych kamieni, o których z początku tak się źle sądzi. Natenczas jeżeli chcemy objaśnić rachubą niemylnie już zmysłów świadectwo, znajdziemy, że liczba tych kłoców wynosi trzykroć trzydzieści trzy tysiące, trzysta sześćdziesiąt i siedm, które składają masę z sześćdziesięciu tysięcy sześćset stóp kubicznych. Natenczas choćby się człowiek najbardziej oddalał, umysł uderzony tą liczbą samój niezmierności, wystawuje sobie obraz i zachowuje go na zawsze. Arabowie wiedząc, że przejeżdżający radzi są pisać imiona swoje na wnijsciu do piramidy, przynieśli mi kołek, którym ja wyryłem ten wiersz z poematu ogrodów.

„Gmachy te niewzruszone sam czas zmordowały”.

„Jakimże budowlom bardziej jest ten napis właściwy? Trzydzieści wieków zaledwie kilka ich ukruszyły kamieni, a trzęsienia ziemi ani jednego nie rozdzieliły spojenia. Kąt ich pochyłości też samą mocą ciężarną, którą się psują wszystkie ludzkie budowle, coraz ich bardziej utwierdza. Złączo-

ne usiłowania całej Egiptu ludności, nie wystarczyłyby do zrównania ich z ziemią, która je dźwiga, i kto wie, jeśli sama natura z zazdrością patrząc, że dzieła sztuki w trwałości dziełom jej wyrównują, do zniszczenia ich miałyby dosyć sposobów? Takie wrażenie widok piramid sprawił we mnie. Znajdzież może, że z nadto wielkiem mówię o nich uniesieniem, i łatwo się na to zgodzę; ale któraż jest dusza dość nieprzystępna uczuciom zadziwienia, któraby się od nich na widok ten wzbronić mogła, i kiedyż uniesieniu temu łatwiej darować można?”

Wszędzie tak autor rzuca tylko rysy przelotne i szkice, ale po mistrzowsku; bo uobecnia prawie miejsca i obrazy życia.

Podziękować należy panu Żegocie Paulemu, że literaturę podróży pomnożył wydaniem tych listów.

* Uczony Palacki w czasie pobytu w Bazylei miał odkryć rękopis Jana z Raguzy, pod tytułem: *Tractatus quomodo Bohemi reducti sunt ad unitatem Ecclesiae*. Rękopis ten oprócz dziejów od r. 1431 do 1433, obejmuje wiele listów: Rokiczana Łysego, Prokopa, Macieja Laudy z Cblumczan, i innych współczesnych.

* Czytelnicy Biblioteki Warszawskiej obznajmieni z postępem literatury w Europie, chętnie zapewne przyjmą następne wiadomości o ruchu piśmiennictwa u nowożytnych Greków, którzy starożytną sławę naddziadów swoich i w tém przypomnieć sobie teraz starają się. Oto co pod tym względem w jednym z dzienników zagranicznych wyczytaliśmy:

Zastanawiając się nad ruchem piśmiennictwa w teraźniejszej Grecyi, śmiało powiedzieć można, iż tam nietyle belletrystyka, ale więcej ściśle naukowe dzieła popłacają; już bowiem w latach 1842 — 1846 najbardziej ceniono znakomite a naukowe w swój literaturze dzieła. Widzimy także postęp w dziełach, do nauki obcych języków wydawanych. I tak: *Samur Kassis* ogłosił grammatykę francuzką *Στοιχεῖα γαλλικῆς γραμματικῆς*. *Antoniadis* tłumaczył archeologią starogrecką z angielskiego, Irwinga; zaś *Kumasa*

Ethykę wydała jego córka *Helena Katakosini*. *Chrysorwegisa* grammatyka starogrecka wyszła w drugiem wydaniu. *Landerer* napisał botanikę; *Joanis Minotos* skreślił krótki rys literatury francuzkiéj; *Wafas* wydał arytmetykę, algebrę i geometryę. Znany już w lexykografii ze swego w roku 1835 ogłoszonego słownika nowogreckiego *Λεξικόν τῆς καθ' ἑμᾶς ἑλληνικῆς διαλεκτοῦ* *Skarlatos Wyzantios*, który różniéj większą sobie zjednał sławę słownikiem starogreckim (1839), napisał i wydał obecnie *Λεξικόν ἑλληνικόν καὶ γαλλικόν*. Szanowny ten pisarz znając dokładnie język starożytny grecki, stara się ile możności o utrzymanie czystości w dyalekcie dzisiejszym, i chroni się wyrazów obcych brzmień i źródeł, nie wstrzymując wszakże rozwijania się języka na zasadzie czysto greckiej. Daléj professor przy uniwersytecie ateńskim *Konstantinos Asopios*, napisał dwa ważne dzieła, literatury starożytnéj tyjące się, które ze wszech miar na uwagę zasługują: to jest wstęp do *Pindara* *Εἰσαγγὼν εἰς Πίνδαρον*, a nastépnie historiją literatury greckiej *Ἱστορία τῶν ἑλληνικῶν γραμμάτων*; wszakże gdy oba te pisma w poszytach wychodzą i dotychczas nie są ukończone, nie można ostatecznie o nich wyrokować; znakomita atoli nauka autora i dotychczasowe prace rokują i dla pism wspomnianych najpiękniejsze nadzieje. Współtowarzysz *Asopiusa* przy uniwersytecie w Atenach, *Konstantinos Schinas*, napisał dzieje starożytne, których piérwszy tom wyszedł z druku pod tytułem: *Ἱστορία τῶν ἀρχαίων ἔθνων* w sześciu rozdziałach; przechodzi dzieje *Assyryi*, *Medyi*, *Persyi*, *Egiptu* i *Libii*. W tymże uniwersytecie professor teologii *Kontogonis* ogłosił ważne dzieło: *Patologiją a Misais Apostolidis*, teologiją moralną.

Przy takim wzroście literatury dziwić się nie można, iż synowie *Fidiaszów*, *Lisippów* i *Praxytelsów*, i teoryi sztuk pięknych odłogiem nie zostawiają. Pod tymto względem szczególnie odznacza się szkoła politechniczna w Atenach. Jakoż dyrektor tego pięknie urządzonego zakładu *Kautanenглу* i nowo powołany professor architektoniki *Pappadopulo* dowodzą tego w mowach drukiem ogłoszonych;

obie w jednym napisane są duchu i rozwodzą się nad sposobami, jakimi by można przez architektonikę, plastykę i malarstwo kształcić uczucie piękności w swoim narodzie. Professor uniwersytetu *Kumanidis* w tymże samym przedmiocie przemawia w swój rozprawie „O obecnym kierunku sztuk pięknych w Grecyi *Πρὸ σπεύδει ἡ τεχνη τῶν Ἑλλήνων τὴν σήμερον*, do której dodane są w tłumaczeniu dwie rozprawy Winkelmana: „Rady dla zapatrujących się na sztuki piękne, i Uwagi nad wdziękiem sztuk pięknych.” I w wymowie nie zaniedbują Grecy zapatrywać się na świetne wzory swych ojców. Znakomity poeta *Panagistes Sutsos* w świetnym panegiryku okazał wiele wymowy, żywości uczucia i niepospolitę władzę nad swoim rodzowitym językiem. Panegiryk ten wyszedł pod następnym tytułem: *Ἡ Σούτσου λόγος Πανηγυρικὸς τῶν ὑπὲρ πατριδος πεσοντων κατα τον Ἑλληνικὸν ἀγῶνα*. Ważne również pod względem geografii jest dzieło *Stamatakis*, pod tytułem: *Πῶς χωρογραφικὸς τῆς Ἑλλάδος*. Jestto statystyczny wykaz stanu obecnego wszystkich greckich miast, wsi, posad, wysp; ich ludności, odległości od Aten; wszystko to uporządkowane i oparte na źródłach i urzędowych dowodach. Z piśmiennictwa belletrycznego najwięcej na uwagę zasługuje Zbiór przysłów *Weniselosa*, które wyszły pod tytułem: *Παροιμῖαι ἀημῶδεις* a zawierają 1500 przypowieści i przysłowiów. Utrzymują jednak, że *Weniselos* mógłby być znając dawniejsze podobne zbiory, jak naprzykład pod tytułem: *Ἡ Σφινξ* przez *Maniarisa* w roku 1832 w Tryeście wydany, daleko dokładniej celowi swemu odpowiedzieć. Podobnie odznaczające są poezye *Karaczuczasa*, pod tytułem: *Ἐωθιαὶ μελωδία*, które mają być pełne uczucia i rzewności nad moralnym upadkiem Grecyi. W ogóle zatem literatura nowogrecka piękne na przyszłość rokuje nadzieje, aczkolwiek minionych wieków nikt już podobno pod tym względem Helladzie nie wróci.

F. Max. Sobieszczański.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Niektóre postrzeżenia tyczące się kulowatości (1) (sferoidalności) ciał, doświadczeń z ogniem, niepalnością ciała ludzkiego i t. d. przez pana Boutigny. Przy końcu IIIgo wieku naszej rachuby, religia Zoroastra uległa znakomitym nadwerężeniom; w skutku czego magowie zwołani zostali na naradę, dla wynalezienia sposobu ożywienia chwiałej się wiary swych współwyznawców. Mimo tego jednak, 80,000 odszczepieńców, pozostało uporczywie przy swém niedowiarstwie.

W roku 241 Sapor rozkazał magom, ażeby niczego nie zaniedbali dla przywrócenia odszczepieńców do wiary swych przodków. Wtedyto jeden z naczelników wiary pa-

(1) *Kula—sfera, kulina—sferoida, jak wół—wołowina, zwierz—zwierzyna. Jak wołowina—rzyna—oznaczają coś naksztalt wołu; tak kulina oznacza bryłę naksztalt kuli, lub mającą podobieństwo do kuli; stowem, znaczy taką postać, jaką ma bryła ziemiska. Ztąd kulny albo kulowy, sfericus, należący do kuli, lub mający postać kuli, i kulisty, sferoidalis, mający podobieństwo do kuli. Ztąd także kulinowy, sferoidalis, czyli podobny do kuli. Dlatego bardzo dobrze pospółstwo mówi, że ziemia jest kulista; nie znali zaś ducha języka polskiego ci, co Trigonometriam sfericam, trygonometrią kulistą a nie kulną lub kulową ochrzecili. Nauka ta bowiem nie ma podobieństwa do kuli, lecz jest własnością kuli, czyli należy do kuli, bo uczy o kuli.*

J. B.

nującej, nazwiskiem *Adurabad Mabrasfand*, okazał gotowość do poniesienia próby ogniowej... „Zażądał on, aby na jego gołe ciało, wiano 18 funtów miedzi stopionej, a skoro nie oparzy się, niedowiarki uledz mają pod tak wielkim cudem. Mówią, że to doświadczenie ogniowe tak się udało, że wszyscy zostali nowróceni”. W tém miejscu dodaje historyk przy pewnego rodzaju powątpiewaniu: „Widać ztąd, że i wyznanie Zoroastra także miało i swoje cuda i podania”.

To jednak doświadczenie ogniowe, nadwyzwyczajnie łatwo wykonywać się daje.

Wielu uczonych uważają Zoroastra jako jednego z największych prawodawców—moralistów starożytności; podług Voltair'a było szarlatan: ten jednak ostatni pisarz przywodzi zdarzenie, które tu przytoczyć muszę (*Dictionnaire philosophique*, tom XIV, str. 179):

„Naczelnik magów rozkazał przyprowadzić przed siebie dziecko (Zoroastra) i chciał je rozciąć na dwoje, ale w téjże chwili uschła mu ręka. *Rzucano więc je w ogień, lecz ten zmienił się na kąpiel z wody rózanéj*”.

Jakkolwiek powyższy sceptyk uważa tę okoliczność za wzór bajek, przepraszamy jednak za ubliżenie jego pamięci, utrzymując, że jeżeli to nie jest prawdą, to przynajmniej jest rzeczą prawdopodobną i możliwą. Mówimy tu o ogniu niepalącym.

We Francyi, Włoszech i Anglii, zgoła wszędzie gdzie miałem sposobność mówić o ciałach kulowatych, czyniono mi to pytanie: czyby nie było jakiego związku między temi zjawiskami, a przedstawieniami ludzi chodzących bosemi nogami po roztopionym i rozżarzonym surowcu, zanurzającemi ręce w roztopionym ołowiu i t. p.? (1). Odpowiedziałem na to:

(1). Doktor Montagne znany w uczonej świecie przez swe rozliczne prace botaniczne, przetłumaczył już przed czterdziestu latami pamiętnik profesora Sementini z Neapolu, o mniemanych zjawiskach niespalności. W tym pamiętniku znajduje się opis wielkiej liczby doświadczeń z ogniem, czynionych częstokroć w obecności doktora Montagne. (*Buletin des sciences médicales*, juillet 1809).

iz sądzę, że ściśle zachodzi związek między niemi. Nawzajem zaś zapytywałem się: czy czyn o którym mowa, był naocznie sprawdzany? Odpowiadano mi wtenczas, że nie.

Przyznaję, że te opowiadania i cudowne opisy doświadczeń ogniowych i ludzi niespalnych, które przez jednych podawane były za prawdziwe, a upornie zaprzeczane przez drugich, żywo pobudziły moją ciekawość i pragnienie sprawdzenia powyższych zjawisk.

Pisałem najsamprzód do mego przyjaciela doktora Roché, mieszkającego w okolicy, w której znajduje się dużo wielkich pieców, i leczącego część ludności tych okręgów, prosząc go o objaśnienia w tym względzie.

Wszystko co od niego mogłem się dowiedzieć, jest: „że pewien człowiek nazwiskiem Laforge, mający od 35 do 36 lat, dosyć otyły, chodzi zwyczajnym krokiem, bosy, *po gęsiach* wypuszczanych z pieca“; ale powyższy doktor, rzeczowego człowieka nie widział. To przeto nie było dostateczne do potwierdzenia mych wątpliwości.

W tém położeniu rzeczy zażądałem objaśnień od topiących metale w Paryżu; ale wyszydzono mnie. Takto jest trudno sprawdzić nawet najprostsze doświadczenie!

Nieco później p. Alfons Michel, mieszkający w okolicy wielkich pieców, obiecał mi zająć się przytoczoną przezemnie okolicznością, a nawet sprawdzić ją w razie potrzeby; i w d. 26 marca r. b. zawiadomił mię w następnj treści:

„Powróciwszy do siebie, starałem się dowiedzieć od hutników, jakim sposobem zanurza się palec w stopiony rozpalony surowiec, ale mnie wyśmiali; to jednak mię nie zraziło, i owszem, drugi raz w inném miejscu powtórzyłem moje zapytanie. Jeden z hutników objaśnił mię, że to jest rzeczą bardzo łatwą, i dla przekonania o tém, w chwili wypływania z pieca surowcu, włożył palec w strumień rozżarzony, a gdy i druga osoba powtórzyła toż doświadczenie bez uszkodzenia ciała, odważyłem się i ja na nie... Robię tutaj uwagę, że przy tém, żaden z nas palców nie wilgocił.”

„Pospieszam zawiadomić pana o téj okoliczności, która zdaje się popierać jego wyobrażenia o kulkach cieczy; po-

nieważ palce będąc zwykle mniej więcej wilgotnemi, ciecz z nich wracając do postaci kulowatęj (sferoidalnej), robi je chwilowo niespalnemi”.

Zgadzam się na wyobrażenie p. M.; pragnąc jednak kilkakrotnie przekonać się o czynie przezemnie dochodzonym, takie wykonałem doświadczenie:

Rozdzieliłem czyli przeciąłem ręką strumień surowcowy 5 do 6 centymetrów średnicy mający, wypływający z otworu: następnie zanurzyłem drugą rękę w tygiel napelniony roztopionym surowcem, na który spojrzeć było okropnie. Mimowolnie zadrżałem, ale i jedna i druga ręka nie doznały uszkodzenia. Teraz zaś to jedynie mnie zadziwia, że powyższe doświadczenia nie upowszechniły się.

Gdyby się mnie spytano, jakie przedsiębrać ostrożności, aby się uchronić od działania niszczącego rozpalonego ciała, odpowiedziałbym, że żadnych; nie bać się, robić doświadczenie z pewnością, zanurzać rękę szybko, ale nie z nadzwyczajną prędkością, w surowiec zupełnie roztopiony.

Inaczej postępując, gdyby wykonywano doświadczenie z obawą lub bardzo szybko, możnaby zniszczyć siłę odpychającą, znajdującą się w ciałach rozżarzonych, a przez to przywrócić zetknięcie z ręką, i wszystkie ztąd dalsze okropne następstwa.

Doświadczenie wtedy szczególniej się udaje, gdy skóra jest wilgotna: a przestrach na widok takiej masy ognia, zawsze prawie robi ją taką; skoro jednak jeszcze zachowamy pewne ostrożności, będziemy niezranionemi.

Następny sposób najlepiej mi się udawał. Pocierałem ręce mydłem, ażeby miały powierzchnią gładką; dalej w chwili robienia doświadczenia, zanurzałem je w roztwór zimny soli amoniackiej, nasyconęj kwasem drugim siarkowym, albolii téż we wodę, zawierającą sól amoniacką, a w braku téjże, można nawet i w zimną wodę.

W butach szklanych, jak to słyszałem od p. Dumas, robią często takie doświadczenie: wlewają w wiadro wody szkło roztopione, i chociaż jest rozpalone, ugniatają je rękami.

W tém doświadczeniu na dwa okresy zważać potrzeba: w pierwszym massa szkła jest wśród wody odosobniona, w drugim pokryta jest warstwą zsiadłą przezroczystą, dozwalającą widzieć massę rozpaloną. Pierwszy okres trwa bardzo krótko, a podczas drugiego, można dopięro bez uszkodzenia ugniatać szkło roztopione.

Bez wątpienia przy powyższém doświadczeniu ręka nie styka się z metalem, a ztąd rozgrzewać się ona może jedynie przez promieniowanie, które tutaj jest ogromne. Skoro jednak to promieniowanie przez odbicie będzie zniszczone, co rzeczywiście tu następuje, uważa się za nie byłe; a więc doświadczający nie ma nic do zwalczenia.

Już oddawna okazałem, że woda w postaci kulowatěj, posiada szczególną własność odbijania ciepłika promienistego, i że wtedy jěj temperatura nie dochodzi punktu wrzenia; ztąd wynika, że palce lub ręka zwilgocone, nie mają temperatury $+ 100^{\circ}$ C., a doświadczenie nie trwa tak długo, azeby wilgoć całkowiec ulotnić się mogła.

Innemi słowy tłumacząc rzecz, powiem, że wkładając rękę w metal roztopiony, odosabnia się ona, wilgoć ją pokrywająca przechodzi w postać kulowatą, odbija ciepłik promienisty, i nie ogrzewa się tyle, aby się mogła zagotować.

Powyższe doświadczenie wykonywałem często z ołowiem, spizami i t. p., a zawsze z jednakowém powodzeniem.

Wreszcie, nie wspominam więcj o paleniu się stoczka w ustach i wielu innych tego rodzaju doświadczeniach, bo to są rzeczy małe w porównaniu z wyżj przytoczonemi.

Przypominając teraz zacęcie naszěj rozprawy, dodajemy, że zapewne starożytni znali wiele rzeczy nam dziś niewiadomych. (Treść z rozprawy zamieszczonej w piśmie: *Annales de Chimie et de Physique, Septembre 1849*).

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

P. Oskar Schmidt z Jeny, ogłosił przez dziennik *Notizen v. Froriep* (nr. 177 b. r.) swoje nowe postrzeżenia o wymoczkach. „Poznanie wymoczków (mówi on) tak mało w ostatnich latach na drodze rzeczywistych postrzeżeń uczyniło postępu, a przeciwnie takie nastąpiło zachwianie się wiarogodności badań dawniejszych, że zdania o stanowisku tych zwierząt w układzie, o stosunku ich powinowactw z innymi gromadami, więcej teraz niż kiedykolwiek podzielićby się mogły. Dziś prawie powszechnie czujemy, że ich nie można odnieść do żadnego zwierzęcego zworza w Kiuwierze, lubo wahanie się może zachodzić tylko pomiędzy zwierzętami promienistemi, a pierściennicami. Niegdyś, zbliżony do Ehrenberga, zajmowałem się badaniami wymoczków; następnie udałem się do pierściennic; naostatek po ogłoszeniu moich badań na wyspie Färöe czynionych (1), powróciłem znowu do wymoczków, ażeby uzasadnić i dalej śledzić to co okolicznościowo ważnem się dla mnie stało, to jest zależność pomiędzy wymoczkami a Turbellaryami.

Okazawszy iż tak nazwane ciała kijkowate powszechnie się znajdują w skórze okrywającej turbellarye, wielce byłem ciekawy dojść, czy te same utwory są i u wymoczków. Śledziłem je najprzód u dużego gatunku *Bursaria leucas*, który w wielkiej liczbie w listopadzie i grudniu miałem. Przy bardzo jasnym oświeceniu zwykle nic nie widać; ale gdy światło się przytłumi, można dojrzyć na wielu doroslejszych indywiduach, że skóra ich gęsto jest nabita podłużnemi, z obudwu końców zastrzonymi ciałkami, na 0,0003 cal. par. długimi. Nie jest to bynajmniej złudzenie, ponieważ za rozgnieciem zwierzęcia, ciała w wielkiej liczbie odosobniają się od niego i dają się wymierzać. Znajdowałem niekiedy też ciała i u *Paramaecium caudatum*

(1) Porówn. Bibl. Warsz. 1849, tom II, str. 655.

i *Paramecium aurelia*, gdy rozmaite gatunki wirzykowate nic podobnego nie przedstawiły. Właśnie téż te niewątpliwe przykłady stanowią punkt ztykania się dwóch powyższych grup zwierząt. Często się téż zdarzało że owa *Bursaria* albo *Paramecium* naciśnięte, wydzieliły z siebie śluz ciągnący się nitkowato, którego źródłem zdawały się być kijkowate ciała. Jeśliby to sprawdziło się, przybyłby dowód utwierdzający zdanie Leuckarta, że ciała kijkowate są narzędziami do wydawania jadu.

Drugie, a jak mi się zdaje, ważniejsze odkrycie, również na *Bursaria leucas* uczynione, ściąga się do oznaczenia funkcyi znajomych, przez Ehrenberga najprzód postrzeżonych pęcherzyków, o których dotąd tyle tylko wiadomém było, że się w mierzytelnych lub niemierzytelnych czasu odstępach ściągają. Sprawdzałem na stach exemplarzy u *Bursaria leucas*, że ściągający się pęcherz ma stałe ujście na zewnątrz, że ściągając się ku temu ujściu, wydaje z siebie przezroczystą ciecz, i że się nią znowu od zewnątrz napełnia; słowem, że ten pęcherzyk z licznymi swojemi promieniami i naczyniowatemi przysadkami, jest narzędziem oddychania, takiém jak opisany przezemnie u turbellaryów układ naczyń wodnych. Nowy to jest dowód powinowactwa tych z tamtymi zwierząt. Potrzeba tu wprowadzić niemal jeszcze dochodzeń, spodziewam się jednak, że utorałem do nich drogę. U wielu wymoczków dlatego nie można dostrzedz zewnętrznego otworu w ściągającym się pęcherzyku, że ten w zagłębienie pyszczka wchodzi, jak to np. u niektórych Stentorów zdawało mi się prawdopodobném.”

W końcu donosi autor, że i on widział to, co już przed nim postrzegał i opisał jego przyjaciel Eckhard (Arch. Wieg. 1846), to jest jak z ciała większych stentorów wychodziły kulistego i stożkowatego kształtu młode, jeżeli tylko ten rzadki wypadek nie jest podobny wydobywaniu się ze zwierzęcia pasorzytów, jak np. małych motylic. Nierównie bowiem częściej rozwija się *Stentor caeruleus* z drobnych zarodków wolno pływających wśród wody; i to tak

dalece, że od przezroczystej gąsienicy ledwie ukazującej błękitnawy odcień i długimi opatrzonej rzęsami, a u której się potem pyszczek i jego zakręt z rzęsami tworzy, wszystkie przejścia aż do zwierzęcia dorosłego śledzić się dają.

* Szybkość z jaką wymoczki przesuwiają się przed okiem uważającego je przez mikroskop badacza, nie dozwala organizacyi ich należycie widzieć. Pouchet starał się tej niedogodności zapobiedz nakrywając przedmiotową tabliczkę płatkami najcieńszego batystu. W okach jego, na 0,10 do 0,12 milim. wielkich, z pomocą naciskacza (*compressorium*) dają się zatrzymać zwierzęta; w każdym oku zwykle po jednym tylko zostaje zwierzęciu. Mógł wtedy autor uważać przyjmowanie pożywienia, rozdzielanie się jego w rozmaite pęcherzyki żołądkowe, i naostatek odłączanie wyrzutów; widział przytém ściskanie się pęcherzyków do krążenia przeznaczonych, i przerwy między działaniem ich oznaczył.

Zebrana przez autora treść jego postrzeżeń, w następujący sposób opisana jest w n. 776 dziennika *L'Institut* z r. 1848.

1. Wymoczki pod nazwiskiem wielożołądkowych przez Ehrenberga opisane, mają większą lub mniejszą liczbę pęcherzyków żołądkowych.

2. Liczba i średnica tych pęcherzyków jednakowa jest u każdego gatunku, skoro zwierzę zupełnie wyrośnie.

3. U wirzyków (*Vorticella*) bywa 30 do 40 pęcherzyków żołądkowych, których średnica, gdy pożywieniem są wypełnione, 0,008 do 0,010 milim. wynosi. U ścięglików (*Kolpoda*) znajduje się zawsze 20 do 30 pęcherzyków żołądkowych, które, gdy są wypełnione, 0,010 milim. wynoszą.

4. Pęcherzyki żołądkowe nie spływają się zetknięte z sobą wzajemnie; ściany ich są raczej wyraźnie widoczne. Mniemany obrót tych żołądkowych pęcherzyków, był złudzeniem; nie oddalają się od naznaczonego sobie miejsca bardziej niżeli sprężystość ich ścian dozwala.

5. Pożywienia nie połykają na raz bryłami, raczej je zwolna przyjmują; widać jak pęcherzyki najprzód nieco go tylko przyjmują, potem całe się niém wypełniają.

6. Ściskające się pęcherzyki zwierząt małych, są narzędziami krążenia, i zastępują serce zwierząt większych. Niepodobna je uznawać za przyrządy do oddychania albo rodzenia, jak to już nieraz się stało.

7. Te ściskające się albo sercowe pęcherzyki, zwyczajnie są pojedyncze; zawierają ciecz krwi odpowiednią, mają kolor żółty i są zupełnie przezroczystymi, przez co je łatwo rozeznawać można.

8. U wirzyków jest tylko jeden pęcherzyk sercowy, niezmierniej u nich wielkości dochodzący; u wirzyków średnicy 0,080 milim. sercowy pęcherzyk, całkowicie rozszerzony ma 0,020 milim. miary. Zdaje się że u tych zwierząt ma swoje osobne ściany, i że go od przodu żółtawo zafarbowany kanał zakończa. I u ścięglików jeden się tylko sercowy pęcherzyk znajduje; wszakże średnica jego u zwierzęcia wielkiego na 0,10 milim. tylko 0,015 milim. wynosi. U gatunków z rodzaju *Glaucoma*, również tylko 0,010 milim. dochodzi. U gatunków z rodz. *Dileptas* są dwa pęcherzyki sercowe, które się jeden po drugim ściskają; jeden leży w środku, drugi w części tylniej ciała.

9. U wirzyków pęcherzyk sercowy napęcznieje bardzo powoli, a wypróżnia się najprzód w długich przedziałach czasu, a potem nagle. Ściska się podług temperatury i czerstwości zwierzęcia, co 2 do 6 minut. U ścięglików i u gat. z rodz. *Glaucoma* ruch pęcherzyka odpowiada ruchowi serca, ściskania się szybko następują po sobie; jak tylko pęcherzyk się rozszerzy, napęcznieje się krwi cieczą. W temperaturze 20° ściśnięcie się następuje co 7 do 10 sekund.

Powyższe postrzeżenia czynione były na następujących zwierzętach: *Vorticella infusionum* Duj., *Kolpoda cucullus* Muld., *Glaucoma scintillans* Ehr. i *Dileptas folium* Duj. (*F. N. n.* 182).

* Dr. J. F. Weisse przyniósł do domu mnóstwo wymoczków gat. *Cryptomonas curvata*, a gdy one przez pół dnia na stole postąły, spostrzegł jak wszystkie zwierzątka poprzenosiły się w ocienioną część flaszki. Wylał wodę wraz z wymoczkami na talerz i tak go postawił, że w je

dniej tylko połowie oświecany był przez słońce. Już po kilku godzinach ocieniona połowa talerza odznaczyła się brudno-zieloną obwódką, która w największej części składała się ze zwierząt pomienionego gatunku; wszystkie wymoczki na tę stronę przeszły; woda strony oświeconej pozostała zupełnie czystą. Wtedy Weisse z ostrożnością talerz obrócił, i uzbrojony mocną lupą, czekał na poruszenia zwierząt. Z początku widział on tylko zakłócenie roju, który myriady składały, wkrótce jednak wszystko zaczęło się przelewać w ocienioną część talerza i wzdłuż brzegu wody zgęszczać; znowu utworzyła się znowu czarniawa obwódka, gdy strona przeciwna stała się jaśniejszą; we 3 lub 4 godziny cała masa zwierząt znajdowała się już na stronie ocienionej. W porannych godzinach rzeczona obwódka znikła, ale skoro dzień postąpił, znowu się tworzyła: zdawało się, jakoby zwierzęta na noc po całym polu się rozpraszały. Przez trzy dni autor przymuszał światła unikające zwierzęta do powtarzania wędrówek; nakoniec z podziwieniem jego zatrzymały się na stronie światła; zagadka wnet rozwiązana została: zwierzęta, jak okazał mikroskop, były częścią wycieńczone, częścią nieżywe. Autor uważał przytém poprzeczne dzielenie się u *Cryptomonas curvata*, gdy Ehrenberg naznacza podłużne; oddzierające się kawałki są nierównnej wielkości. (*F. N. n. 196 z Bulletin de la classe physico-mathém. de St. Petersbourg, n. 164, tome VII, n. 20*).

* W ostatnim zeszycie pisma *Revue zoologique par la Société Cuvierienne* z r. z., wydawca jego p. Guérin Méneville zawiadomia, że *Revue zoologique* po przeżyciu lat 11 w dotychczasowej formie swojej, łączy się odtąd z innym pismem tegoż wydawcy: *Magasin de zoologie*, a tém samym obudza wydawanie ostatniego, już od wielu lat zawieszzone.

Tę zmianę z radością przyjmuje każdy kogo dwa pomienione pisma obchodziły. Magazyn zoologiczny był dziełem zbyt kosztowném, ażeby się mógł upowszechnić; korzyści jego w połączeniu z Przeglądem zoologicznym pozostaną te same, a pismo będzie w ręku każdego. Wydawca usku-

tecznia połączenie dwóch pism pod następującemi warunkami. Każdy numer będzie się składał z 5 ark. druku, co czyni prawie trzy razy tyle, ile dotąd miał numer Przeglądu; cena rocznego zbioru podwyższa się tylko o 2 franki (z 18 na 20). Jeśli wyniknie potrzeba wizerunków, tablica kolorowana zastąpi półtora arkusza, czarna arkusz druku.

W skutek tego zamierzenia, wyszedł na styczeń b. r. pierwszy numer pism połączonych pod tyt. *Revue et Magasin de zoologie pure et appliquée*. Przy sześciu numerach z r. b. które mamy przed sobą, znajduje się 5 tablic czarnych, a 3 kolorowane tak pięknie, jak dawniej przy Magazynie. Koloryzowane przedstawiają wizerunki nowych ptaków, i wykonane są równie dokładnie jak ozdobnie. Na tytule tych kilku zeszytów, położone jest nazwisko p. Focillon, którego p. Guérin, udając się z polecenia rządowego na podróż naukową w okolice kraju od Paryża odległe, ogłasza zastępcą w redagowaniu pisma.

* Od r. 1845 do 1847, zjednoczenie naturalistów w Rydze (*Naturforschender Verein zu Riga*) wydawało w niemieckim języku pismko (po jednym ark. in 8vo na miesiąc) dla porozumiewania się względem swoich działań na polu nauk przyrodzonych. W połowie drugiego roku wydawanie tego pismka dla niedostatku funduszu ustać musiało. Od 1go stycznia r. b. pismko znowu wychodzi w dawniejszej obszerności i z tytułem *Correspondenzblatt des naturforschenden Vereins zu Riga*. Treścią jego są małe wypracowania członków zjednoczenia w przedmiocie nauk przyrodzonych, ze szczególną uwagą na kraj w którym zjednoczenie działa. W nrze 3cim jest artykuł dra Sodoskiego rozróżniający gatunki rodz. jesiotra Kaspijskiego i Czarnego morza, z litografowaną tablicą wystawiającą cztery ryby: wyza, jesiotra, siewrugę i czeczugę czyli sterleta. Zjednoczenie Ryzkie jest towarzystwem naukowym, złożoném z członków czynnych, korespondentów i członków honorowych, odbywającém cztery do roku posiedzenia stałe w Rydze, a jedno lub dwa nadzwyczajne w Dorpacie albo Mitawie. Stanowi je pięć działów; jakoto: zoologiczny, botaniczny, mineralogiczny, fizyczny z astronomicznym, i chemiczny. Ma swój księgozbiór i t. p. słowem szybkimi przybliża się kroki do możności działania tak użytecznie, jak inne naukowe różnych krajów towarzystwa.

A. W.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1849.

WARSZAWA.

56. Geometrya wykreślna, poprzedzona wstępem, obejmującym teorię linii prostej i płaszczyzny, uważanych w przestrzeni, przez Lefebure de Fourey... podług wydania piątego, przełożył August F. Bernhardt M. T. Professor Gimnazyum Realnego..... Tom I i II, z dwiema tablicami figur. Warszawa. 8ka. 1849. Druk Tomaszewskiego. Str. 297.

57. Kodex rolnictwa i zarazem uwagi dotyczące ogrodów, sadów, lasów i plantacyj (,) przez John Sinclair, Baronet, założyciela Kommissyi Rolniczej (;) z dodatkami, wyjętymi z tłumaczenia Dombasla Illgo wydania. Z angielskiego. Tom pierwszy z czterema tablicami, przedstawiającemi niektóre narzędzia rolnicze i plan folwarku, tudzież zabudowań gospodarskich. 8ka. Warszawa. 1849. Nakład redak. Roczników Gosp. Druk Strąbskiego. Str. 484.

58. Uwagi nad pytaniem (:;) czy wielkie lub téż małe własności ziemskie dla ogólnego dobra są pożyteczniejsze, przez J. G. Koppe królewsko-pruskiego radcę rolniczo-ekonomicznego. Berlin (,) 1847. 8ka. Warszawa. 1849. Nakładem redakcyi Roczników Gosp. Kraj. Druk Strąbskiego. Str. 83. Złp. 3 gr. 10.

WILNO.

59. Bracia Morawczycy, dramat we 3 aktach, ozdobiony śpiewem i tańcami, i Hrabia i Listy, komedia w jednym akcie. oryginalnie napisana przez Emila Derynga, A(rtystę) D(ramatycznego). Wilno. 12ka. 1849. Druk A. Dworca. Str. 142.

60. Gościńce dla dzieci, tojest prawdy i zdania moralne dla pożytku uczących się obojój płci, wydane przez Ignacego Piotra Legatowicza. Wilno. 1849. 12ka. Nakład autora, druk J. Zawadzkiego. Str. 51.

61. List pasterski Wacława Żylińskiego z łaski Ś. Stolicy Apostolskiej Biskupa Wileńskiego, do duchowieństwa i wiernych Chrystusowych rzymsko-katolickiej Dyecezyi Wileńskiej. Wilno. 1849. 4ka. Druk A. Marcinowskiego. Str. 20.

62. Nabożeństwo odpustowe za dusze zmarłych i inne modlitewki. Wilno. 1849. w 32. Druk J. Zawadzkiego. Str. 29.

63. Przy komiaku, przez Wincentego Kollupaję. Wilno. 12ka. 1849. Druk T. Glücksberga. Str. 96.

64. Wyciąg z grammatyki polskiej Art(ura) Odrowąza Kamińskiego. Wilno. 16ka. 1849. Drukiem J. Zawadzkiego. Str. 21.

L I P S K.

65. Śpiewy choralne kościoła rzymsko-katolickiego w bazylice katedralnej krakowskiej używane, a w harmonii na organy dla kościołów parafialnych przez Wincentego Gorączkiewicza Dyr. M. K. K. i org. K. K. ułożone. Część druga. 4ka. Kraków. (1849.) Nakładem D. E. Friedleina. Stereotypia Breitkopfa i Haertela w Lipsku. Napisów kart. 2 i str. 50.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Drugie wydanie: „W Alpach i za Alpami”, przygotowuje księgarz Merzbach w 3 tomach, ozdobione rycinami. Tenże wydał dwa dziełka dla młodzieży, w nowém wydaniu: 1) Powieści starego nauczyciela, p. T. Dziekońskiego, i 2) Powieści dla dzieci przez autorkę Pam. po dobrej matce.

U S. Orgelbranda ukazały się następne nowe dzieła: 1) Artykuły literackie krytyczne, i artystyczne, p. M. Grabowskiego, w 12ce. 2) Mój dziennik, albo pamiętniki Ludwika Filipa b. króla Francuzów. 2 tomy w 12ce. 3) Rafael, czyli karty pisane w 12tym roku życia, przez A. de Lamartine. 4) Starożytnój Polski p. T. Lipińskiego i M. Balińskiego poszyt 32gi. Wydawca postanowił dodać do tego dzieła mapkę Polski, za osobną dopłatą złp, 6 gr. 20.

Nakładem J. Bernstejna wychodzić będzie, począwszy od 1go grudnia r. b. dzieło p. t.: „Życiorisy znakomitych ludzi wstawionych w różnych zawodach”, w 2 tomach, 8ka wielka, z 72 rycinami. Przedpłata wynosi złp. 60.

Cesarska Akademia sztuk pięknych w Petersburgu na ogólném posiedzeniu w dniu 30 września, przyznała zwykłe nagrody uczniom tejże akademii. W liczbie innych otrzymali: medal srebrny 2ej klasy, Karol *Wierzbicki*, za obraz z natury malowany. Stopnie akademików, za postęp w sztukach pięknych, a mianowicie: w architekturze: Xawery *Skarzyński*; w malarstwie historycznym, Andrzej *Zieliński*; w malarstwie portretowém, Apollon *Mokrzycki*; zaś stopień artysty 14 kl., Tadeusz *Gorecki*, za postęp w malarstwie historycznym.

† Dnia 20 października r. b. w Warszawie: ks. Jakób Piasecki gwardyan klasztoru XX. Franciszkanów warsz. oraz prokurator

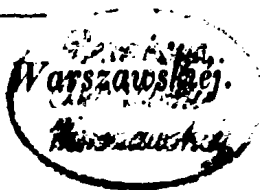
provincyi. Był on autorem kilku dziełek treści religijnej i zamieszczał w Pamięt. relig. mor. ważne opisy kościołów i klasztorów XX. Franciszkanów w Polsce. Żył lat 55.

† Dnia 5 listopada r. b. w Warszawie: Franciszek Zatorski, starszy nauczyciel gimnazjum siedleckiego.

Szopen umarł! — Wieść ta jak hasło smutku obiega dziś z ust do ust nasze miasto; znajomy czy obcy, każdy je powtarza; każdy współboleje nad stratą ukochanego piewcy, zgasłego tak wcześnie na obcej ziemi, wśród nie swoich. Szopen umarł! A więc stało się; gieniusz muzyki smutnie zwiesił skrzydła nad trumną swego ulubieńca, a w ślad za nim zapłakali i ludzie artyści, ujrawszy swoje sieroctwo. O! bo też żaden mówca silniej nad niego nie wstrząsał umysłami słuchaczy, żaden lekarz skuteczniej nie koił ran sercu zadanych, żadna ręka od śmierci Bethowena dzielniej nie dzierżyła berła muzyki, a wszakże nikt łagodniej, nikt wdzięczniej nie władał. Komu troska zaległa serce, ten go szukał jak zbawcy; kto potrzebował pociechy, szedł do niego po balsam; wszystkie serca dziecinne i dziewicze lgnęły do niego jak do współkochanka; — i każdemu to źródło pociechy zawsze i chętnie się otwierało. Bo łzy, które zrazu wyciskał, zamieniały się w łzy szczęścia, a tęsknota, która się budziła ze dźwiękiem jego lutni, w ślad za sobą nosiła pocieszenie, tuląc do snu osierociałe serce. A teraz, kiedy ostatnia nić wiążąca go do życia pękła, a struny jego arfy zamilkły na zawsze, czyliż znikąd dla nas pozostałych nie zejdzie pociecha? czyliżby ten cudowny źródło muzyki miał wyschnąć bezpowrotnie? — Nie! bo ulatując ku krainie do której za życia wzdychał, jako promienny ślad po sobie, rzucił z wieńca swego garść kwiatów na tę ziemię, sobie ku chwale, a nam ku osłodzie. Do nich więc, do nieśmiertelnych dzieł jego niech się zwróci, kto teraz ulgi w smutku pragnie; niechaj zasiądzie do fortepianu, niech otworzy księgę jego dumań, a za dźwiękiem instrumentu każda nuta odpowie mu: zaprawdę przyjacielu porzuć tę żalobę — Szopen nie umarł!

O. K.

— 800 —
Redakcja Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Wrzesień 1849.

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.965	27	8.900
Najwyżej dochodził — d. 22 o g. 10 w.	761.72	28	1.669
Najniżej — — d. 13 o g. 6 r.	738.12	27	3.205
Średnia zmiana dzienna barometru	2.966		1.31
Największa zmiana dzienna barometru d. 6—7 o g. 4 w.	10.15		4.49
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	0.183		0.082
Średnia temperatura Września wynosi: +12 ^o .21 C.	750.782	27	8.818
i ta jest niższą o	1.66	„	1.42
od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	+13.87	„	+11.90
Największe ciepło dochodziło d. 12 o g. 4 w.	+25.0	„	+20.0
Najmniejsze d. 29 o g. 6 r.	—1.5	„	—1.2
(Termometrograf wskazał: Maximum: +22.0 ^o R. d. 12 po połud. Minimum: —1.8 ^o R. d. 29 z rana.			
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.06	„	2.45
Największa zmiana dzień. d. 27—28 o g. 6 r.	8.0	„	6.4

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 80,6 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9,19 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 2 setne większa, niż w stanie normalnym.

Wody z deszczu spadło wysoko na 41.0 millim. czyli 18.18 linii paryzkich.

Dni pogodnych było 6; napót pogodnych 14; pochmurnych 10.

— deszczu 10 (d. 7, 12, 13, 14, 15, 17, 18, 19, 26, 27).

— mgły 4 (d. 1, 13, 20, 27).

— grzmotów i błyskawic 1 (d. 12).

Wiatry panujące były: Północne i Zachodnie.

Wichrów nie było.

Wrzesień zwykle bywa u nas pogodny, ciepły i suchy; w tym roku przeciwnie był chłodny, wilgotny i zmienny, o 1.31 stóp R. zimniejszy jak zwykle. Przy końcu miesiąca poranki były mroźne, co się u nas rzadko zdarza. Dnia 12 między godz. 8 a 10 wieczorem, były błyskawice powtarzane z grzmiotem i deszczem jak wśród lata. Najcieplejsze dni były: d. 1, 2, 3, 4, 12, 13; najchłodniejsze d. 8, 9, 17, 19, 20, 21, 23, 24, a osobliwie d. 27, 28, 29, 30. Najwilgotniejsze d. 1, 13, 14, 15, a osobliwie d. 17, 19, 21, 26, 27; najsuchsze d. 8, 10, 11, 23. Liście na drzewach już w połowie miesiąca zaczęły żółknąć, a w końcu tegoż opadać; tak wczesne opadanie liści rzadko się u nas przytrafia.

D. 10 i 11 plamy na słońcu były widzialne.

D. 29 koło białe otaczało słońce.

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. BERNSTEINA PRZY ULICY MIODOWEJ Nr. 483

wychodzić będzie dzieło p. n.

ŻYCIORYSY

ZNAKOMITYCH LUDZI

WSŁAWIONYCH W RÓŻNYCH ZAWODACH

OZDOBIONE RYCINAMI.

Format 8^{ka} wielka, w 24^{ch} zeszytach, po 3 ryciny z tekstem i okładką.

Cena Zeszytu złp. 2 gr. 15, czyli kop. sr. 37½.

PROSPEKT.

Życiorysy znakomitych ludzi, w jakimkolwiek zawodzie wsławionych, są nie-obojętnym ustępem dziejów każdego kraju. Jak naród składa się z rodzin szczególnych, a tych charakter i usposobienia, nadają całości wybitne rysy; tak wyobrazicielami myśli postępowej, bohaterami przewodniczącymi zwyciężkim zastępom, i wpływającymi na losy swego narodu, są pojedynczy członkowie tych rodzin. Oni to, czy na polu uprawy umysłowej i kierunku ducha, czy na polu bitwy, czy w zawodzie politycznym, przeważnie zostawiają wspomnienia, które historia w pamięć wieczystym czasom, zapisuje na stronicach swoich.

Wielkość i potęgą każdego narodu, są dziełem zawsze jeżeli nie jednego gieniuszu, to wysokich zdolności mężów, którzy w danym obrazie, upromieniają talentami rodzinną ziemię.

Nieobojętną zaprawdę więc rzeczą, poznać żywoty tych, którzy na tak rozmaitych polach niepożyte położyli zasługi, i do wdzięczności potomnych niezaprzeczone uzyskali prawa.

Powodowani tą myślą, zamierzamy wydawać zeszytami, Życiorysy znakomitych ludzi, wsławionych w różnych zawodach, ozdobione rycinami.

WARUNKI PRZEDPŁATY.

Życiorysy składać się będą z 24 zeszytów, każdy z tekstem od 2ch do 3ch arkuszy, obejmującym trzy biografie z 3ma rycinami. Dwanaście zeszytów stanowić będzie tom jeden.

Zeszyty wychodzić będą regularnie co dni 15, począwszy od 1 Grudnia bieżącego roku.

Prenumeratę w Warszawie można składać: albo z góry za całe dzieło Złp. 60, czyli R. sr. 9; lub przy zapisaniu się Złp. 10, czyli R. sr. 1 kop. 50, a następnie za każdy zeszyt Złp. 2 gr. 15, tak że ostatnie cztery zeszyty zostaną bezpłatnie wydane.

Zeszyty pojedyncze nie sprzedają się.

Prenumerata pocztą wynosi Złp. 66 gr. 12, czyli R. sr. 9 kop. 96.

Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.

Warszawa, w Październiku 1849 r.

J. Bernstein

KSIEGARZ.

Wolno drukować.

W Warszawie, d. 20 Września (2 Października) 1849 r.

Starszy Cenzor,

L. T. TRIPPLIN.



WIADOMOŚCI HISTORYCZNO-NUMIZMATYCZNE

O KORONACYACH

OBRAZÓW MATKI BOSKIÉJ

W DAWNÉJ POLSCE.

POD A E

Tymoteusz Lipiński.

(Z 4 tablicami na miedzi).

Grzechem jest w własnym kraju być cudzoziemcem.

I

Szczegóły obrzędów religijnych, dotyczące się koronacyi cudownych obrazów, nader są ciekawe i zajmujące; malują one żarliwą pobożność ojców naszych, ducha czasu, a tém samém niemały mają związek z dziejami narodu. Dotąd nie zwrócono należytej uwagi na ten ustęp historyczny; nie zajęto się zebraniem w jedną całość dokładnego spisu miejsc: gdzie obraz cudami słynący był koronami uwieńczony? kiedy? przez kogo? czym nakładem? jakie towarzyszyły ceremonie? i t. p. Wydawano wprawdzie odrębne dzieła, czasem sporój nawet

objętości, opisujące koronacją obrazu, z zamieszczeniem kazań, mów, panegirycznych wierszy, drobiazgowych szczegółów o bramach tryumfalnych, a nawet i o przecznościach z napisami, do herbów znakomitych rodzin zastosowanemi. Przy niektórych takich monografiach, dołączone są wizerunki Matki Boskiej i Zbawiciela, ryciny koron, przybrania kościoła, ogniów sztucznych, i t. p. Ale dzieła o tych obrzędach mówiące, noszą częstokroć tytuły, które bynajmniej nie naprowadzają na domysł, że w nich zawiera się opis jakowej koronacji. Zachodzi przeto trudność przejrzania wszystkich w tej mierze źródeł, ażeby uzupełnić przedmiot niniejszy, który zostaje w styczności nietylko z dziejami, ale i z numizmatyką. Mozolne czyniąc poszukiwania, nagromadziłem poniżej przytaczający się poczet koronacyj cudownych obrazów; nie jestem wszakże pewny, czyli wszystkie objąć zdołał. Jakkolwiekbydz, pochłubić się mogę, iż pierwszy wzruszyłem tę odlegiem dotąd leżącą niwę, która ważną jest częścią obrazu religijno-duchowej przeszłości naszej.

III.

Od epoki zaprowadzenia wiary chrześcijańskiej na ziemi Lechitów, przywiązywali przodkowie nasi szczególniejszą cześć i nabożeństwo do Matki Zbawiciela. Udowodnimy to faktami, postępując kolejną czasów. I tak nasamprzód: ów najdawniejszy, według powszechnego mniemania, pomnik polszczyzny, pieśń: *Boga Rodzica Dziewica, Bogiem sławiona Marya*, napisana być miała przez śgo Wojciecha, w pierwiastkach zaszczepienia u nas wiary objawionój. Przez przeciąg kilku wieków odśpiewywano ją z nieograniczoną pokorą, nietylko w świąty-

niach, ale i przed rozpoczęciem bitwy (1). Gdy zaś owa pieśń szła w zapomnienie, hasłem hufców Stefana Czarnieckiego stał się hymn na chwałę N. Panny: „O gospodzie uwielbiona!” (*o gloriosa Domina*). Każdy rycerz nosił pod pancerzem szkaplerz z imieniem P. Maryi, pocierał nim kule dla trafniejszego celu, szablę zaś, aby jej cięcie było pewne i ciężkie, a nadto rył święte imię na orężach. Wznoszono po całym kraju domy Boże na cześć N. Panny, przybierano Jój wizerunki w szaty z bogatą materią i w kosztowności wszelkiego rodzaju; liczne składano hymny, pisano księgi pochwalnymi pieśniami N. Panny brzmiące, odprawiano wigilie do każdego Jój święta, przekazując z ust do ust owo wyrażenie: „kto kocha Maryą, pamięta wigilią”. Od wieków przeto rycerstwo i lud nasz ziemiański, tajemnice matki natury przywiązał do imienia Maryi, i pojął po swojemu mistyczne wyrazy; „a słowo stało się ciałem”. Jakoż obchodzić poczęto tajemnicze święta Maryi Panny: Gromnicznej, Poczęcia, Siewnej, Zielnej, Bolesnej; szczególniejsza atoli Jój cześć upowszechniła się od czasu usadowienia się w XVI wieku Jezuitów, którzy założyli kongregacye czyli bractwa: Niepokalanego Poczęcia, Narodzenia, Zwiastowania, Nawiedzenia, Siedmiu boleści, Oczyszczenia i Wniebowzięcia N. Maryi Panny. Przestrzegali najmocniej praojcowie nasi, ażeby nie wazono się córce na chrzcie dawać imienia Maryi — „obawiając się, aby imię to niepokalanie poczętej i zawsze N. Panny, żadnemu i najmniejszemu grzechowi nigdy niepodlegają-

(1) Śpiewa ją dotąd duchowieństwo w Gnieźnie w święta i niedziele, przy grobie tegoż świętego. Słyszałem ją śpiewaną w kolegiacie łowickiej; nie bez tego, żeby i po innych kościołach w kraju, też pamiątka przechować się nie miała.

cój, aby to imię w ułomnych ludziach przez trafiające się niedoskonałości i występki, bynajmniej nie było skażone i zelzone" (1). Dziejopis Vasseberg podaje: że senat wzbraniając się zezwolić na małżeństwo Władysława IV z księżniczką mantuańską i Nevers, wziął i to za powód, że zwała się Maryą; a że miała inne imię na chrzcie dane, Ludwika; potrafiło przeto usunąć tę przeszkodę, a królowa odtąd podpisywała się zawsze: Ludwika Marya. Doznawane cuda przy obrazach N. Panny, pobudzały wdzięcznością pałające i nabożeństwem przejęte serca, do czynienia znacznych zapisów w gotowiznie, lub dobrach nieruchomości. Józef Jęd. Załuski: bis. kijowski, wylicza w swoim rękopisie 1768 r. do stu cudownych Jój obrazów w Polsce, w końcu zaś dodaje:

„Znać, że Polskę Marya kocha, gdyż w krainie
Naszój, na tyłu miejscach z łask i darów słynie” i t. d.

III.

Władysław IV, dla tém większego uczczenia Bogarodzicy, umyślił był ustanowić duchowno-wojskowy order: Niepokalanego Poczęcia N. Panny (*Conceptionis Immaculatae Virginis Mariae*). Ułożony statut, zatwierdzony 5 lipca 1634 r. przez papieża Urbana VIII, ogłosić kazał król drukiem 1637 r., jako téż i opis obrządku, podczas przyjmowania członka zachować się mającego. (*Modus praeficiendi, sive ordinandi Militem incliti ac heroici ordinis equitum Immaculatae Virginis*) (2). Gdy

(1) Ob. „*Hold królowej nieba i ziemi, t.j. kazanie w oktawę uroczystej koronacyi N. Maryi P. Berdyczowskiej w r. 1756, dnia 23 lipca miane, od ks. Ant. Zamojskiego S. J.*”

(2) Ob. *Bractwa jezuickie i akademickie w Krakowie, przez Józ. Muczkowskiego*. Dwutygodnik Literacki II, s. 206. Autor rozprawy, prostując Janockiego mówi: iż statut nie 70, ale 72 członków ustanowił.

różne okoliczności stanęły na przeszkodzie w przywiezieniu do skutku zamierzonego dzieła, wpisał się król 1645 r. jako prefekt do bractwa Niepokalanego Poczęcia N. Panny, u Jezuitów warszawskich związanego; bracia zaś jego: Jan Kazimiérz i Karol Ferdynand biskup łocki i wrocławski, urząd asystentów sprawowali. „Szło za przykładem królewskim, i wpisało się w poczet téjże kongregacyi z biskupami i ksiądzęty, panów i pań wiele, ślubem się obowiązując na bronienie niepokalanego poczęcia Matki Boskiéj” (1).

IV.

Jan Kazimiérz udając się na wyprawę przeciw Bogdanowi Chmielnickiemu i Tatarom, wziął z sobą cudami słynący obraz M. Boskiéj z Chelma. Całe wojsko przy odgłosie nabożnych pieni, postępowało z uroczystą processyą; gdzie tylko się zatrzymano, odbywały się modły i spowiedź. Powszechnie przypisywano, iż za sprawą tego obrazu, który wśród boju ukazał się w powietrzu, pamiętne odniósł król zwycięztwo pod Beresteczkiem, na Wołyniu, w d. 29 i 30 czerwca 1651 r. W lat kilka potem, nie mogąc się tenże monarcha oprzeć orężowi Szwedów, schronił się był do Szlązka; a kiedy coraz więcej stygł i upadał duch w narodzie, dany odpór przeważnej sile nieprzyjaciela, oblegającego przez pięć tygodni 1655 r. klasztor Jasnogórski, przyznawano łasce Matki Boskiéj. Zaledwo potem związek tyszowiecki sprowadził Jana Kazimiérza do Lwowa, bogobojny monarcha, aby ducha podnieść i krajowców ubezpieczyć, siebie i cały naród opiece N. P. Maryi polecił, podczas

(1) Kwiatkiewicz, *Roczne dzieje*, str. 897.

uroczystego nabożeństwa, odprawionego w katedrze 1 kwietnia 1656 r. przez nuncjusza apostolskiego Piotra Vidoni. Wyrzeczony przez króla ślub w obliczu świętego zgromadzenia, w obec wojska i tłumu ludu, pociechę i nadzieję pośród niedoli powszechniej w tym religijnym akcie upatrującego, nader jest ciekawym zabytkiem ówczesnego wieku. *Votum* to, przełożone z łacińskiego, opiewa: „Wielka Boga Człowieka Matko i Panno najświętsza! Ja Jan Kazimiérz z łaski Syna Twego, Króla królów i Pana mojego, i z łaski Twojej król, rzucając się pod Twe święte stopy, Ciebie za patronkę moję i państw moich królowę dziś obieram, siebie i moje królestwo polskie, W. ks. litewskie i t. d., wojska obojga narodów i lud cały Twojej szczególnej opiece i obronie poruczam; Twojej pomocy i miłosierdzia, w tak oplakany i do upadku nachylonym stanie królestwa mego, przeciw nieprzyjaciołom ś. kościoła rzymskiego najpokorniej błagam. A ponieważ Twojemi wielkimi dobrodziejstwami przejęty jestem wraz z narodem moim: przeto nową i najgorętszą żądzą służenia Tobie ślubuję. Przyrzekam mojemu, panów (*satraparum*) i ludu mego imieniem, Tobie i Synowi Twemu, Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi, cześć i chwałę Twoję po wszystkich stronach królestwa mego z całą usilnością rozszerzać. Ślubuję nadto: że kiedy za przeważnym wstawieniem się Twojem, a wielkiem miłosierdziem Syna Twego, otrzymam zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi, osobliwie nad Szwedami, będę się starał u stolicy apostolskiej, aby dzień ten, na podziękowanie Tobie i Twojemu Synowi, wiecznemi czasy był miany za święty i uroczyście obchodzony. Dołożę starania z biskupami moimi, ażeby to, co przyrzekam, spełnionem było i od ludu mego.

Gdy zaś z wielką boleścią serca widzę, że za lzy i ucisk (*propter gemitum et oppressionem*) ludzi stanu włościańskiego, zesłane są na królestwo moje przez Syna Twego, sprawiedliwego Sędziego, od lat siedmiu kary, jakoto: morowe powietrze, wojny i inne nieszczęścia: przyrzekam więc i ślubuję po zawarciu pokoju obmyśleć ze wszystkimi stanami skuteczne środki, ażeby od niesprawiedliwych ucisków i uciążliwości, lud mego królestwa uwolniony został. Spraw o najłaskawsza Pani i Królowo! aby, jakoś natchnęła mię, panów koronnych i wszelkie stany do uczynienia tego ślubu: tak do uiszczenia się z niego, racz uprosić łaskę u Twego Syna. Amen" (1). Poczém, obecni senatorowie i dygnitarze, w podobnymże prawie sposobie ślub spełnili. Wyrugowanie Szwedów z kraju, przypisywano pomocy niebios, a pobożność ku Maryi, jeszcze więcej wszystkich owładnęła serca.

V.

Za rządów Augusta II, powtórnie Szwedzi kraj najechali. Stanąwszy król obozem pod Sokalem 1704 r., oddał się w opiekę Bogarodzicy, cudami słynącej w tamecznym kościele Bernardynów. Po ustąpieniu nieprzyjaciół i przywróceniu wewnętrznej spokojności, na okazanie publicznego zawdzięczenia Opiekunce królestwa, zjawił się niewidziany dotąd w Polsce obrząd, t. j. koronacyi obrazu Maryi Panny. Monarcha spółnie z narodem, pomny tylokrotnie doznanych łask, wyprawił poselstwo do Klemensa XI, upraszając o insignia monarchiczne dla Mat-

(1) Ob. Rudawski: *Annales regnante Joanne Casimiro*, str. 241; i Kochowski: *Climacter II*, str. 106.

ki Boskiej cudami słynącej w kościele na Jasnógórze. Ojciec Święty dogadzając tym pobożnym życzeniom, nadesłał poświęcone przez siebie dwie złote korony wraz z bulą, bawiącemu podówczas w Dreźnie Augustowi; nuncyusz zaś w Polsce Hieronim Grimaldi arcyb. Edessy, otrzymał polecenie ukoronowania wizerunku Bogarodzicy.

VI.

Nim powiemy o téj i następnych koronacych, wypada wprzód podać wiadomość, gdzie i kiedy nastął takowy zwyczaj. Najpierwszy o tém napotykamy ślad pod 732 r., w chwili powstania na Wschodzie sekty Ikonoklastów czyli Obrazobórców. Grzegorz III pragnąc utrzymać cześć obrazów, a oraz uprosić pomocy Niebios przeciw grożącej Rzymowi wojnie, szczerozłotą, dyamentami ozdobioną koroną, uwieńczył t. r. w obrazie głowę Matki Boskiej, a nad ołtarzem drugą podobną zawiesił koronę. Grzegorz IV, dla uproszenia łaski od Boga i odpuszczenia ludziom grzechów, ofiarował 848 r. dwie srebrne korony N. Pannie w kościele ś. Kalixta i Korneliusza. Kiedy podczas toczących się wojen we Włoszech, srogie około 1500 r. nastąpiło morowe powietrze; obywatele miasta *Recanati* pragnąc przebłagać gniew Boski, uroczystą odprawili processyą do blisko będącego domku Loretańskiego. Gdy wkrótce próśby swój pożądany otrzymali skutek, na zawdzięczenie powtórnie tamże udali się, niosąc w ofierze złotą koronę, którą, za otrzymaném zezwoleniem papieżkiem, ozdobili głowę Królowej Nieba. Juliusz II przychylając się do próśby mieszkańców Rekanatu, postanowił: ażeby ta, raz włożona koro-

na, nigdy zdjętą nie była. Te jednak, lub inne, jeżeli się zdarzały koronacje, nie były z takimi obrzędami i uroczystością obchodzone, jak później, gdy podciągnięto je pod stałe i niezmiennie prawidła. Nastąpiło to dopiero, kiedy hr. Alex. Sforza Pallavicini, chcąc nowym sposobem cześć ku obrazom, osobliwie Chrystusa i Maryi pomnożyć, ustanowił 1630 r. fundusz na wieczne czasy, ażeby z niego kapituła watykańska nadawała szczerozłote korony, skoro mieć będzie autentyczne dowody o rzetelnie cudownych łaskach Boskich wizerunków świętych. Piérwszy podług ułożonych przepisów obrzęd, odbył się 25 sierpnia 1631 r. w bazylice Watykanu, za rządów Urbana VIII. Zmarły fundator 1639 r., świadkiem był ukoronowania w 13 kościołach Rzymu cudownych obrazów. Odprawiały się następnie koronacje po różnych miastach, a nawet i wsiach włoskich; dwie w Brünie w Morawii, jedna w Czechach, jedna w Ameryce 1740 r. Maryi P. de Guadalupe i t. d. Wszystkich obrazów do 1760 r. włącznie, koronami przybrano 216, w samym zaś Rzymie 104 (1). U nas rok 1717 stanowi epokę odbywania podobnych obrzędów, których przytaczamy chronologiczny poczet, dołączając ryciny medalików, świadczących o miejscu koronacyi.

VII.

R. 1717, dnia 8 września, Krzysztof Jan na Słupowie Szembek biskup chełmski, upoważniony od nuncjusza, dopełnił w *Częstochowie* u Paulinów obrzędu ko-

(1) Wiadomości te czerpałem z dzieła: *Ozdoba i obrona Ukraińskich krajów*. Znajdują się one wprawdzie i w innych dziełach, opisujących koronacje obrazów, lecz mniej zawierają szczegółów.

ronacyi obrazu N. Panny na królowę polską, przy pomocy Konst. Brzostowskiego bis. wileńskiego i Krzysztofa Szembeka bis. poznańskiego. Napływ pobożnych nie tylko z Polski, ale i z ościennych krajów tak był wielki, iż od dnia 5 do 16 września, rozdano 148,300 komunikantów w samym kościele Jasnogórskim, nie licząc przyjmujących ciało Pańskie na cmentarzu, na rynku i w kościele nowicyackim (1). Koronacya ta, była z rzędu ogólnego 159ta.

R. 1718, dnia 4 września, Konst. Kazimiérz Brzostowski bis. wileński, przy pomocy Ludwika Ogińskiego smoleńskiego i Aleks. Horaina żmudzkiego biskupów, tudzież dwóch sufraganów, ukoronował w *Nowych Trokach* w kościele farnym obraz, słynący łaskami od czasów Witołda W. ks. lit. Na przybranie obrazu i sukienki M. Boskiej w srebro, złoto i drogie kamienie, wyłożyła Teressa z Brzostowskich Ogińska, żona Marcyana kasztel. witebskiego, przeszło 40,000 imperyałów; korony zaś oszacowane były więcej niż 4,000 imperyałów (2).

R. 1723, dnia 13 czerwca, Stefan Rupniewski bis. łucki: w koś. farnym w *Kodniu* nad Bugiem w b. Wtwie brzeskiem litewskim. Dla niedostatku funduszu, z powodu, iż w tymże czasie odbywały się w innych krajach

(1) Ob. *Relatio coronationis Thaumaturgae Claro-Montanae. Typis Ulari Montis Czestochov. in fol.* bez roku. Opis téj koronacyi znajduje się także w dziele: *Odrobiny z stołu królewskiego, Królowej Nieba i Ziemi, przez ks. Ambrożego Nieszporkowicza, 1720 r., od str. 448.*

(2) Ob. *Solennitas coronationis B. V. Mariae in antiquissima sua ad praepositalem Palatino Trocensis civitatis basilicam, etc. feliciter celebrata. Vilnae typis univers. S. J. 1719.* Autor nie jest wyrażony, ale Zaluski w rękopisie mówi: że Adam Minkiewicz Jezuita, wydał w Wilnie opisanie aktu téj koronacyi po łacinie.

podobne obrzędy, korony nie były dane z Watykanu, lecz nadesłany tylko został tak zwany *instrument*, t. j. zezwolenie na koronację, którą przywiódł do skutku dziedzie miejsca Jan Fryderyk hrabia Sapielha kaszt. trocki, sprawiwszy korony (1). Obraz tutejszy de Guadalupe zwany, otrzymał przodek tegoż Sapielhy w darze od papieża, i w Kodniu 1636 r. złożył.

R. 1724, dnia 8 września, Jan Skarbek arcyb. Iwowski: u Bernardynów w *Sokalu* nad Bugiem w b. Wtwie belzkiém. Józef strażnik w. k. i Michał pisarz w. k. bracia Potoccy, sporządzili oltarz z hebanu, suto srebrem ozdobny; korony zaś złote, drogiemi kamieniami osadzone, szacowane 120,000 zł., sprawione zostały w Rzymie kosztem kardynała Annibala Albani, protektora król. polskiego (2). Niesiecki wyraża: „Koronacja ozdobnie, bogato, pompatycznie z Michała Potockiego szkatuły zakończona”. Na pamiątkę tego obrzędu, wybito dwa, o ile nam wiadomo, medale odmiennego stępla; opis ich jest następujący:

S. G. Matka Najśw. z koroną na głowie, trzyma ukoronowane Dzieciątko Jezus na lewej ręce; w otoku napis: VIRGO MIRACULO. (sa) B. (eata) V. (irgo) M. (aria) SOCAL. (iensis) AB INNOC. (entio) XIII PAPA IN REGNO POLON. (iae) PALAT. (inatu) BE. (lsensi) 8 SEPT. (embris) CORONATA.

(1) Ob. *Ozdoba i obrona*, fol. Y 2.—Na rycinie M. Boskiej; kondeńskiej, zamieszczony jest napis: *Coronata ab Innocentio XIII anno 1723*.

(2) Ob. *Actus coronationis Miraculosissimae Imaginis Socaliensis B. V. Mariae*; i: *Sluszna sprawa koron Jezusa i Maryi przez całą oktawę tryumfalnego aktu koron. cudow. Sokalskiego obrazu*. Lwów, 1727 r. 4to.

S. O. Ukoronowany orzeł polski ma na piersiach dwupolową tarczę z herbami saskimi, w szponach zaś piastuje korony; ogon orła przedziela rok 17--24. W otoku napis: SUB. BENED: (*icto*) XIII. PONT: (*ifce*) MAX. (*imo*) & POTENT: (*issimo*) AUGUST (o) II POLON (*iae*). REGE.

Znajduje się w warszawskich zbiorach (te tylko będą i w dalszym ciągu przywodził) senatora hr. Fran. Potockiego i Karola Beyera; oba w odlewie cynowym. (Ob. rycinę Nr. 1 oznaczoną).

S. G. taka sama jak na poprzedzającym; w otoku napis: B. V. M. SOKAL. AB INNOC. XIII. 1724. 8 SEPT. CORONATA.

S. O. Na wezglowiu dwie korony, powyżej w owalnej tarczy dwie ręce po ramiona na krzyż złożone (godło seraficzno-religijne ś. Franciszka), unoszą Pilawę (herb Potockich), nad tarczą zaś rozwieszona wstęga (¹). W odcinku napis: SUB BENEDIC. XIII P. P. (*Papa*). Srebrny bity w moim i innych zbiorach, brązowy zaś u K. Beyera. (Rycina Nr. 2).

R. 1727, dnia 15 sierpnia, Stefan Rupniewski bis. łucki: u Dominikanów w *Podkamieniu* w b. Wtwie wołyńskim (teraz w Galicyi). Nakładłożył wspomniony Michał Potocki naówczas już Wda wołyński i Cetner starosta korytnicki, dziedzic miejsca, który przywiózł z Rzymu korony, od Benedykta XIII poświęcone i *instrument* pod d. 5 listop. 1725 r. dany. Obecny na tej koronacyi świadek, wyraża: „To też *inter miracula numerari* powinno, że trzeciego dnia nad samym kościołem *appa-*

(¹) *Duae coronae in cussinis repositae, supra quas duae manus in modum crucis, hoc est stemma Seraphicae religionis S. Patris Francisci. Z dzieła wyżej przytoczonego: Actus coronationis.*

ruit na niebie korona w obłokach czerwona, podobna właśnie téj, jaka na obrazie cudownym, i trwała blisko godziny, którą potem zasłoniło słońce. Na co wszystek lud zgromadzony na odpust i wojsko o pół milę obozem stojące, patrzyło" (1).—Opis medaliku:

S. G. Imię Marya w monogramie, z różyczką we środku; po obu bokach gałązki, u spodu rok 17—27.

S. O. W czterech wierszach, nad którymi różyczka, napis: BENED XIII | CORONA (vit) IMAG (inem) | IN PODKAMIEN | XV AUG. (usti). U dołu w armaturze na ukoronowanej tarczy Cetnerów, herb Przerowa (2). (Medalik z kompozycyi, jest w moim i Ign. Zagórskiego zbiorze. Rycina Nr. 3).

R. 1730, dnia 19 września, Atanazy Szeptycki metropolita kijowski i halicki obrządku unickiego: u Bazyljanów w *Zyrowicach*, o 1 1/2 mili od Słonima w b. Wtwie nowogrodzkiem, lubo *instrument* datowany już był 1726 r w kapitule watykańskiej. Dwie korony w Rzymie zrobione i od papieża poświęcone, przywiózł Hier. Radziwiłł; koszta zaś koronacyi, po większej części poniosła matka jego Anna z Sanguszków Radziwiłłowa kancl. W. L., która korony drogocennemi kamieniami ozdobić kazała (3).

R. 1739, nuncyusz Kamil Paulucci arcyb. ikoński u Kapucynów w *Warszawie*. Czynione przezemnie po-

(1) Franciszek na Pułaziach Pułaski podczasy Wtwa podlask. pułkownik i t. d. w dziele pod tytułem: *Krótką annotacya sejmów, publiczniejszych dziejów*, i t. d. 1740 r. str. J i 2.

(2) Herb ten tak opisuje Niesiecki: „Kopia z proporcem złotym, w prawy bok tarczy nakłoniona powinna być, w czerwonym polu; koniec proporca na kopią zawinięty, w pół złamaną”. Medalik zaś, nieco odmienny kształt herbu przedstawia.

(3) Uroczystość tę opisał Teofil Jętkiewicz Bazyljan, kaznodzieja żyrowicki, w dziele: *Aquila grandis magnarum alarum*.

szukiwania, wykryć nie zdołały dnia koronacyi, ani czyim nakładem skuteczną została; co większa! rok jój nawet, jak to wykażemy, nie jest pewny. W księdze historyi klasztoru, między 1739 a 1743 r. (trzy bowiem lata są opuszczone), zapisano: „Obraz N. Panny półbiustowy, darowany był od p. Fischera syndyka klasztoru, obywatela warszawskiego. Obraz ten jest ozdobiony koroną srebreną pozłacaną, przez nuncyusza papieżkiego Kamillego Paulucci, w obliczu mnogiego ludu pobożnego.” W drugiej zaś księdze pod tytułem: *Annales Provinciae Polonae ordinis nostri Fratrum Minorum S. P. Francisci*, którą sporządził mający pod swym dozorem archiwum, a oraz i annalista prowincyi Kazimiérz z Dolopłazu, rodem Czech, i pracę swą do 1772 r. doprowadził, napomyka tenże o koronacyi, jako: że słyszał o niej od dwóch zakonników, którzy uroczysty ten obrząd pamiętają. Oto są jego wyrazy: „*Anno 1720 data fuisse videtur nostrae ecclesiae Varsav. imago B. V. Mariae a D. Fischer cive varsov. nostro pro tunc amico spirituali. Successu temporis huic sacrae imagini Nuntius apost. Camillus Paulucius, coronam argenteam inauratam in frequentia copiosissimi populi, suis manibus imposuisse perhibetur; de qua quidem coronatione nihil notatum in archivo reperio, sed tantum traditionem 2 antiquiorum patrum teneo, illamque refero.*” W archiwum główném w Warszawie są akta nuncyatorskie, prowadzone pod imieniem tegoż nuncyusza od 1728 do 8 listopada 1738 r.

R. 1749, dnia 8 września, Franciszek Kobielski bis. łucki: u Dominikanów w Łucku na Wołyniu. Malowany przez ś. Łukasza Ewang. obraz, otrzymawszy Bernard Maciejowski bis. łucki podczas swego poselstwa

w Rzymie 1590 r. w darze od Grzegorza XIV, ofiarował tutejszemu klasztorowi. Szczerozłote korony w Rzymie sporządzone zostały, nakładem Michała Potockiego Wdy wołyńskiego, który przyczynił się i do kosztów koronacyi, jako téż: Piotr Drzewicki podczaszy wołyński, Paweł Sanguszko marszałek W. L., Lubomirscy i inni obywatele. Bogato przybrany kościół, okryty był wizerunkami, herbami, licznemi łacińskimi i polskimi napisami. Pod portretem Wdy wołyńskiego wyrażono:

„Przeznacznych dom Potockich z honorów złożony,
Urzędami w Koronie pierwszemi wstawiony,
Na Królowy Niebieskiej władzy dobrze wsparty,
Skarbem też dla Jéj chwały i sercem otwarty” (1).

R. 1750, dnia 8 września, Michał Jan Zienkowicz bis. wileński: w koś. Bernardynek ś. Michała w *Wilnie*. Kościół z klasztorem wymurowawszy sławnéj pamięci Lew Sapieha kanclerz W. L., przeprowadził uroczyscie 29 kwietnia 1596 roku z dawnego ich klasztoru, niosąc sam cudowny obraz N. Panny, który był uprosił od Bernardynów, i w nowéj swéj fundacyi złożył (2). Obrząd koronacyi długo był zwleczony, albowiem już pod d. 8 września 1732 r. dane było przyzwolenie kapituły watykańskiej (3). Obywatele litewscy czynili składkę na sprawienie koron. Medalik owalny srebrny,

(1) Ob. *Abrys koronacyi Najśw. Nieba i Ziemi królowéj w stołecznem mieście przesw. Wtwa Wołyńskiego Łucku, przez X. Tom. Czelejowskiego S. T. lektora zakonu Kaznodziejskiego. Kraków 1757 r.* Opisuje téż koronacyą i *Kuryer Polski 1749 r.*

(2) Ob. *Wilno przez Kraszewskiego, 1841 r., II, 332.*

(3) Autor dzieła: *Ozdoba i obrona*, umieścił datę instrumentu za rok koronacyi, mówiąc: że w koś. Franciszkanek, których nie było nawet w Wilnie. Lubo na medaliku nie zamieszczono dnia, jest on wszakże wymieniony na sztychowanym wizerunku N. Panny święto-michalskiej: „*Koronowana 1750, 8 września*”.

w zbiorze Ign. Zagórskiego autora dzieła: *Monety dawnej Polski*, wyobraża:

S. G. na ukoronowaném sercu monogram Marya; w otoku napis: CORONATA CORDA CORONAT.

S. O. na ukoronowanej wyginanej tarczy w trzech wierszach napis: QUIS UT DEUS. W otoku: SCUTO: CORONASTI NOS. PS: 5. VILNE 1750.: (Rycina Nr. 4.)

R. 1751, dnia 2 lipca, Mikołaj Ignacy Wyżycki arcyb. lwowski: u Dominikanów we *Lwowie*, na mocy pozwolenia papieżkiego pod d. 10 grudnia 1749 r. danego. W wigilią obrzędu, złożono korony na błoniu za miastem, pod obszernym i bardzo wspianiałym namiotem, od Michała Radziwiłła hetmana W. L. z Nieświeża przysłanym; koronacya zaś obrazu odbyła się na wystawioném pod gołym niebem rusztowaniu, poczem starostowie: kołomyjski i Mikołaj kaniowski Potoccy, fundatorowie koronacyi, rozrzucali między zgromadzonych: złote, srebrne i miedziane medaliki, na tę pamiątkę bite. Po nieśporach, obnoszono uwieniczony koronami obraz po mieście (1). Opis dwóch medalików pod Nr. 5 i 6.

S. G. Korona w kształcie rozłożystej czapki, przedzielająca rok 17—51; pod nią w pięciu wierszach napis: BENED: XIV: CORON | IMAG: B: V: MARIAE | LEOP. APUD P. P. | ORD: PRAED: | 2 JULII |

S. O. W armaturze tarcza ukoronowana z herbem Piława, nad tém w łuku napis: GLORIA. DECUSQ. (ue) CORONAE.

Drugi zupełnie do poprzedzającego podobny, tylko mniejszy. Oba srebrne, są w moim zbiorze i u innych w Warszawie.

(1) Ob. *Kuryer Polski* 1751 r. i: *Hasło słowa Bożego* i t. d. *Lwów*, 1754 r. in fol.

R. 1752, dnia 4 czerwca, Wojciech Leski bis. chełmiński: u Reformatów we wsi *Łąki Bratyańskie*, tuż przy Nowém mieście nad Drwęcą (*Neumark*) w b. Wtwie chełmińskim. Kościół z klasztorem wśród pięknej równiny, okoloniej wzgórzami, fundowany 1624 r. przez Pawła Działyńskiego Wdę pomorskiego, Sstę bratyańskiego, posiada obraz N. Panny, jeszcze za czasów krzyżackich z drzewa wyrzynięty. Skoro nadszedł z Rzymu instrument, podpisany 7 grudnia 1750 r., znakomitsi obywatele ziem pruskich zajęli się sprawieniem koron. „W wigilię aktu koronacyi, była solenna processya exportacyi dwóch szczerozłotych koron, klejnotami sadzonych, z koś. farnego nowomiejskiego, gdzie komenderowani z garnizonu elbląskiego paradowali, i z ręcznej strzelby, tudzież z armat rżęsto ognia dawano, przy różnych kapel rezonancyi. Podczas tego aktu, P. Bóg niektórymi nowemi cudami to miejsce wsławić raczył” (1).

R. 1752, dnia 8 września, Waclaw Hieronim Sierakowski bis. przemyski: u Bernardynów w *Leżajsku*, w b. Wtwie ruskim, ziemi przemyskiej. Korony nie były nadesłane z Watykanu, tylko zezwolenie na ukoronowanie obrazu, datowane 1751 r.; cały zaś nakład łożył Stanisław Potocki Wda kijowski, wraz z żoną Heleną z Zamojskich (2). Dlatego też obu małżonków herby mieszczą się na medaliku, którego opis:

S. G. Matka Boska trzymająca P. Jezusa na lewój ręce; w otoku napis: IMAG: B: M: V: COR. A. BEN: XIV.

(1) *Kuryer Polski* 1752 r. Rycina przedstawiająca M. Boską, ma napis: iż ukoronowaną została 1752 r. dnia 4 czerwca.

(2) Ob. *Relacya o koronacyi obrazu N. M. Panny Pocieszenia w Leżajsku. Lwów, 1752 r. fol.* *Kuryer Polski* pod 4 lipca 1759 r. donosi: że w Leżajsku skradziono koron szczerozłotych dwie, sygnety, perły i wszystkie złoty ornament obrazu N. Panny.

LEZ (*aisci*) APUD F. F. (*Fratres*) S. (*ancti*) F. (*rancisci*) OBS. (*ervantes*) A. 1752.

S. O. W armaturze dwie tarcze: na prawej herb Jelita, na lewej Pilawa, a nad niemi korona; w otoku: DANT. ASTRIS. CASTRISQUE. CORONAM.

Medalik ten z miedzi bity, znajduje się w zbiorach Fr. hr. Potockiego i Teodora Dembowskiego. (Nr. 7.)

R. 1754, dnia 22 maja, w kościele farnym w *Chełmnie*, stolicy b. Wtwa t. n. Nie wiadomo kto był koronatorem, również nie jestem pewny, czy zamieszczony tu podług dzieła: *Ozdoba i obrona* dzień i rok, jest datą koronacyi, czy też wydanego instrumentu; autor bowiem wspomnionego dzieła, częstokroć jedno za drugie bierze. Roku 1757, po śmierci królowej Maryi Józefy żony Augusta III „przybył do Chełmna Jmć X. biskup (Wojciech Leski), z intencją zabawienia się przez dni ośm, dla czynienia pomocy przez ofiary święte przed słynącym cudami obrazem N. Panny Bolesnej, do którego koronacyi taż N. Pani znacznie się przyłożyła” (1).

R. 1755, dnia 18 maja, Józef Eustachy Szembek bis. płocki, książę pułtuski: u Bernardynów w *Skępem*, w b. ziemi dobrzyńskiej. Zezwolenie dane było w Rzymie 4 grudnia 1754 r., lecz korona sprawiona została ze składek obywateli; obraz bowiem wyobraża samę M. Boską, i pochodzi z daru 1496 r. Kościeleckiej kasztelanki kruświckiej. „Mikołaj Kościelecki bis. chełmski, dziedzic dóbr Skępskich, zważywszy zacność miejsca i liczne przy tym obrazie cuda, i widząc codziennie zbiegające się tłumy ludzi: żeby więc nabożeństwu ich dogodził, postanowił 1498 r. kościółek obszerniejszy z klasztorem wy-

(1) *Kuryer Polski* z r. 1757.

murować, i zakonników zwanych Bernardynami sprowadzić, co wkrótce skutkiem wypełnił" (1).

R. 1755, dnia 8 września, Wacław Hier. Sierakowski bis. przemyski: u Jezuitów w *Jarostawiu* w b. Wtwie ruskiem, ziemi przemyskiej (2). Królewic Jakób Sobieski, z swą córką Maryą Klementyną, zaślubioną Jakóbowi Stuart pretendentowi korony angielskiej, prosili 1731 r. stolicę apost. o korony dla tutejszego obrazu, i wyjednali je wraz z bulą. „R. 1732 stanął w Jarostawiu królewic Jakób, który dwie bogate korony dyamentami sadzone przywiózł i oddał do XX. Jezuitów w polu mieszkających: jedną *ex voto* dla P. Jezusa, drugą dla N. Panny" (3). Z powodu zamieszek w kraju po zgonie Augusta II, nastąpiła zwłoka koronacyi; czas prawem przepisany upłynął i musiano powtórnie starać się o wyjednanie pozwolenia w Rzymie, które podpisane zostało 8 września 1753 r., a obrząd odbył się hojnością domu Potockich, mianowicie Stanisława Wdy kijows. i Mikołaja Ssty kaniowskiego.

R. 1756, dnia 16 lipca, Kajetan Ignacy Sołtyk, bis. kijowski: u Karmelitów Bosych w *Berdyczowie*, w b. Wtwie kijowskiem. Ant. Tyszkiewicz bis. żmudzki, Ant. Lubomirski Wda lubelski, Michał Radziwiłł betman W. L. Wda wileński i różni obywatele, czynili starania o pozwolenie ukoronowania obrazu. Benedykt XIV kazawszy swoim kosztem sporządzić dwie złote, szmaragdami ozdobione korony, nadesłał je 1753 r., które 31

(1) *Wiadomość pewna o obrazie N. Maryi P. w ziemi dobrzyńskiej, w koś. Skępskim. Warszawa, 1827 r. Piąte wydanie.* Autor dzieła: „Ozdoba i obrona”, zowie: miasteczko *Merva Skąpe*.

(2) *Kuryer Polski* 1755 r. zamieścił opis tej koronacyi.

(3) *Kuryer Polski* 1732 r.

października z wielką uroczystością złożone zostały w świątyni (1). Obywatele i wojsko na Ukrainie stojące, sprawili 1754 r. w Wroclawiu sukienkę szczerozłotą, w kwiaty misternie szmelcowaną za 50,000 zł., i ramy srebrne do obrazu za 500 czer. zł. Koronacya odbyła się w polu za miastem, w wystawionym budynku *szopą* zwanym, który przybrany był w bogate obicia i zawierał 12 ołtarzy. Wracając z ukoronowanym wizerunkiem do kościoła, przebywano ośm bram tryumfalnych, rzesisto oświetlonych, na każdej zaś przygrywała muzyka. Słowem, okazałość niezwykła przy podobnych u nas obrzędach miała tu miejsce, a to dlatego, iż: „obraz Maryi w Berdyczowie, tym jest w szczególności przyozdobiony zaszczytem, że z osobliwej papieżkiej łaski i pobożności, z własnego zrobionemi wydatku jest koronami udarowany, czego inne nie mają obrazy” (2). Na ten akt nie szczędzili znacznych wydatków: Stan. Lubomirski podstoli kor., Stanisław Potocki Wda kijowski i Antoni Lubomirski miecznik kor., który w czasie trwania kilkodniowej uroczystości, dowodził jako regimentarz nad 6000 zgromadzonego wojska. Uświetniony został ten obrząd nad wszystkie inne w kraju i tém: że rozdawano złote, srebrne i mosiężne medaliki, siedmiu odmiennych stępli; był i ósmy, ale go zapewne na czas sporządzić nie zdołano, gdyż zamilcza o nim dzieło, ko-

(1) Szczegóły przeniesienia koron z katedry żytomierskiej do Berdyczowa, i cały ten pobożny pochód, mający na czele biskupa, opisuje *Kuryer Polski* 1753 r.

(2) *Ozdoba i obrona Ukraińskich krajów, przecudna w Berdyczowskim obrazie Marya, watykańskimi koronami ukoronowana. Berdyczów. 1767 r.* Z aprobacji okazuje się, iż autorem jest ks. Karmelita Grzegorz od ś. Ducha (Trześniewski.). Grube to *in fol.* dzieło, ozdobione jest wielą rycinami, które robili: Teodor Rakowiecki i Teofil Trockiewicz, jedną zaś J. Filipowicz.

ronacją tę opisujące. Oto jest szczegółowy każdego z tych numizmatów opis:

1) S. G. Matka Boska trzymająca Dzieciątko Jezus na lewój ręce; głowy obojga ukoronowane i jasnością (*nimbus*) otoczone. W otoku: B. V. M. BERDICZOV. A BENEDICTO XIV. 1756 16 JULII. CORONATA.

S. O. Orzeł ukoronowany z cyfrą Maryi na piersiach, trzymający jabłko królewskie w prawych, koronę zaś w lewych szponach; u góry po obu stronach głowy: orzełek i takiéże wielkości pogoń; u dołu na dwóch wyginanych tarczach: góra z krzyżem, mająca trzy gwiazdy (godło zakonu Karmelu) i herb elektorsko-saski (Augusta III). W otoku: REGNO POLONIAE ET CARMELI FAMILIAE. (Miedziany w zbiorze K. Beyera, srebro zaś u Fr. hr. Potockiego i Jerzego Gaugera. Nr. 8).

2) S. G. jak na poprzedzającym, ale odmiennym stępem bita.

S. O. Na wezłowiach dwie korony z osóbkami wewnątrz, nad niemi na dwóch skrzyżowanych kluczach tarcza owalna, z trzema prostopadłemi pasami, przykryta tyarą. W otoku: HINC FLUUNT GRATIOSA HIC FULGENT. PRETIOSA. (Srebrny w moim i innych zbiorach. Nr. 9).

3) S. G. jak poprzednie, nieco wszakże odmiennym stępem bita.

S. O. Na paludamencie mitrą uwieńczonym, obok której infuła i pastorał, mieści się tarcza z orłem, trzymającym w ręku pałasz nad głową (herb Soltyk, koronatora Soltyka); wszystko przykryte kapeluszem kardynalskim z kutasami. W otoku: VINCIRE. ET. VINCERE. NATA.

(Srebrny w moim i innych zbiorach, miedziany zaś u K. Beyera. Nr. 10).

4) S. G. Toż samo i tenże stępel co pod N. 3.

S. O. Na tarczy armaturą ozdobioną i ukoronowaną, Pilawa (herb Potockich); w otoku: DECUS. ET FORTUNA. CORONAE. (Nr. 11).

Medalik ten przytacza Bentkowski N. 607 i katalog R. S. Rejchla w Petersburgu N. 2775; wyrytowany zaś jest w dziele: *Ozdoba i obrona*, jako też i u Raczyńskiego N. 471.

5) S. G. Toż samo co na poprzedzającym, i tegoż samego stępla.

S. O. Na paludamencie z koroną książęcą: tarcza owalna w bogatych ozdobach, mająca Szreniawę (herb Lubomirskich). W otoku: GRATIAE. DE. FLUMINE. MANANT. (Bronzowy w zbiorze Fr. hr. Potockiego. Nr. 12).

W dziele: *Ozdoba i obrona*, wyrytowany jest ten medalik, ale z napisem w otoku: DUM FLUIT UNDA, FLUUNT ET CORONAE.

6) S. G. Jak na poprzedzających.

S. O. Herb Leliwa (Tyszkiewiczów, fundatorów klasztoru) w tarczy wyginanej, ozdobionej armaturą i koroną uwieńczonej. W otoku: CRESCIT MUNIFICENTIA AD ARAS. (Podług ryciny w dziele: *Ozdoba i obrona*. Nr. 13).

7) S. G. Jak na poprzedzających.

S. O. Na paludamencie armaturą ozdobionym i mitrą książęcą przykrytym, tarcza wyginana i ukoronowana z herbem Radziwiłłów: trzy trąby na piersiach orła. W otoku: FORTIUS IN DIES NUNTIANT FAMAM. (Podług ryciny w dziele: *Ozdoba i obrona*. Nr. 14).

8) S. G. Tymże stępem co pod N. 2 bita.

S. O. Tarcza ukoronowana w armaturze, z herbem Rawicz (panna na niedźwiedziu); napis w łuku wewnątrz obwódki: DECUS CASTRORUM, w otoku zaś: PRETIUM. TULIT.

VIRGO. CORONIS. (Unikat ten w miedzi bity, jest w zbiorze K. Beyera. Nr. 15).

Medalik ten zapewne sporządzić kazała rodzina Oźgów, pieczętująca się Rawiczem; na poparcie naszego twierdzenia, przytaczamy wyrazy dzieła *Ozdoba i obrona*: „Nad ósmą bramą był portret Ojca ś., w górze na kolumnach herby JW. Zoręby i Oźgi biskupów kijowskich, z których pierwszy: obraz za cudowny ogłosił, drugi kommissyą do wyprowadzenia doznanych łask i cudów nazaczył”. Jakoż, na rycinie przedstawiającej tę bramę, wyrażone są herby obu tych pasterzy (1).

R. 1761, dnia 20 września, Jerzy Mikołaj Hülsen bis. smoleński: u Karmelitów w *Białyniczach* w b. Wtwie witebskiem, pow. orszańskim. Majętność ta należała do Sapiehów, z których Lew kanclerz W. L. osadziwszy 1623 r. Karmelitów, wybudował kościół z klasztorem, i znacznie uposażył. Gdy miejsce to cudami słynąc poczęło, zaczęto czynić starania o uwieńczenie Bogarodzicy koroną; jakoż: „podpisana w Rzymie *bul-la coronationis*, do rąk ks. Rubczyńskiego prowincyała białoruskiego karmelitańskiego, *die 16 aprilis 1756* oddana została. A zatém w Białyniczach, za należytem przysposobieniem się, ma nastąpić solenna i ozdobna Matki Najśw. koronacya” (2). Do sprawienia koron ze składek obywateli, najwięcej się przyłożyli: Michał Radziwiłł Wda wileński H. W. L., i Ignacy Ogiński marszałek W. L. wraz z małżonką Heleną z Ogińskich, dziedzice miejsca (3).

(1) Samuel Oźga herbu Rawicz, od 1722 r. bis. kijowski, zmarł na początku 1756 r.

(2) *Kuryer Polski* 1756 r.

(3) Ob. *Majestas super omnes coronas, dignissima omnibus coronis, in augustissima coelorum terrarumque Imperatrice...in sua*

Opis medaliku, którego nieznany dotąd exemplarz w srebro, w moim tylko znajduje się zbiorze:

S. G. Matka Boska trzymająca na lewej ręce P. Jezusa z globem ziemskim, w prawej berło; głowy obojga ukoronowane i w promieniach. W otoku: D. (iva) v. (irgo) BIALY—NICENSIS.

S. O. Na postumencie wężgłowie z koroną; w otoku: REGNUM IN — MANU EJUS. W odcinku: ROMA.— (Nr 16).

R. 1762 u Franciszkanów w *Przemysłu*, w b. Wtwie ruskiem. Wzmianka o tej koronacy, bez wyrażenia wszakże roku, znajduje się w książce pod tytułem: *Geographia, albo dokładne opisanie królestw Gallicyi i Lodomeryi*. 1786, ⁽¹⁾ a jedyny znany nam exemplarz medaliku na tę pamiątkę, ślicznie w srebro wybitego, przechowuje bogaty i wielce szacowny zbiór Fr. hr. Potockiego.

S. G. Matka Boska siedząca na tronie, trzyma P. Jezusa na prawej ręce, w lewej zaś książkę; głowy obojga ukoronowane i jasnością (*nimbus*) otoczone. W otoku: B. V. M. PRAEMISLI—EN. CORONAT. 1762. W odcinku: ROMA.

S. O. Tyara, na której wstęgach dwa klucze sznurami powiązane wiszą; w otoku: INSIGNE CAPI—TULI VATICANI. (Nr. 17).

R. 1763, dnia 8 września, Wacław Hier. Sierakowski arcyb. lwowski: u Bernardynów w *Rzeszowie*, w b. Wtwie ruskiem, ziemi przemyskiej. Instrument pozwalający ukoronować obraz, dany był od kapituły watykańskiej pod d. 5 grudnia 1753 r.; korony sprawione

Bialynicensi imagine, vere angelico opere Thaumaturga, i t. d. *Vilnae* 1761; i: *Kuryer Warszawski* 1761 r.

⁽¹⁾ Autorem utajonym, jest Ewaryst hr. Kuropatnicki b. kasztelan bełski.

ze składek obywateli i domu Lubomirskich, dziedziców miejsca, koszta zaś w czasie obrzędu podejmowała Joanna de Stein Lubomirska, wdowa po Jerzym chorążym W. K. (1).

R. 1764, u Karmelitów na Piasku w *Krakowie*. Lubo naznaczona była na ten rok koronacya i stosowne w części poczyniono przygotowania, nie przysła jednak do skutku. Być może, że zebrane 5,000 zł. okazały się niedostateczne na opędzenie niezbędnych kosztów, lub też inne okoliczności, a mianowicie bezkrólewie i zamieszki w kraju, stanęły na przeszkodzie. Obraz wszakże tutejszy uważany jest za ukoronowany, gdyż otrzymał na to przyzwolenie z Rzymu (2). Posiadam piękną rycinę wielkości półarkusza, która wyobraża N. Pannę trzymającą w prawej ręce glob ziemski, na lewej zaś P. Jezusa z książką w ręku; u spodu orzeł, unoszący w szponach tarczę z herbem zakonu Karmelu, i napis: *B. V. Maria in ecclesia PP. Carmelitarum Antiquae Regularis Observantiae, Cracoviae in Arenis miraculis a seculis clariss^a corona Vaticana a Clemente XIII P. M. redemita. A. 1764—Alexius Giardoni del. et sculp. Romae, 1765.* Medaliki zaś srebrne na tę pamiątkę bite, mają w swych zbiorach: Fr: hr. Potocki i Ign. Zagórski.

S. G. Matka Boska, na lewej ręce P. Jezusa, w prawej kulę ziemską trzymająca; obie głowy w koronach
W otoku: B. V. MARIA—CRACOVĪEN. ROMA.

S. O. Stół kobiercem przykryty, na którym węgłowie z koroną; w otoku: CLEMES. (sic) XIII — P. M. CORONAV. 1764. U spodu: ROMA. (Nr. 18).

(1) Wypis z *Kuryera Warszawskiego* 1763 r.

(2) Powyższe objaśnienie udzielił mi łaskawie 1839 r. ks. przeor klasztoru krakowskiego.

R. 1765 u Dominikanów w *Przemysłu*. Alabastrowa statua M. Boskiej, podczas napadu Tatarów 1240 r. z Kijowa przez ś. Jacka Odrowąza uniesiona i tu złożona, cudami słynąć poczęła. „Dnia 26 stycznia 1761 r. odprawiła się chwalebna z koś. OO. Reformatów introdukcya przywiezionych koron przez ks. Karola Kopińskiego, na przyszłą koronacyą N. Panny Kamiennój w koś. OO. Dominikanów. Nazajutrz była wotywa, aby P. Bóg natchnął JW. i WW. Dobrodziejów, aby dopomogli do przyszłej koronacyi” (1). Jacy byli ci dobrodziej, kto dopełnił obrzędu, i którego dnia? nie wiadomo. Mówi wprawdzie o koronacyi u Dominikanów w Przemysłu dzieło wyżej przytoczone: *Opisanie królestwo Galicyi i Lodomeryi*, 1786 r., lecz jój daty nie podaje. Powzięliśmy atoli rok odbycia tego obrzędu z medaliku w srebro wybitego, w zbiorze K. Beyera znajdującego się, który, lubo nie jest właściwie koronacyjnym, ale że z owych pochodzi czasów i wyraża datę, o co nam głównie idzie, zamieszczamy przeto jego opis i rycinę pod Nr. 19.

S. G. Matka Boska w całej postaci, stojąca na półksiężycu w obłokach, z Dzieciątkiem Jezus na ręce; głowy obojga ukoronowane i ośmią gwiazdami otoczone; w środku przedzielonym tą figurą: *Anno—1765. W otoku: B. V. M. IM. (maculatae) CON. (ceptionis) IN ECCL. CONV. PREM. (isliensi) CORONATA A CLEM. XIII.*

S. O. Święty Franciszek z lewej strony, przed nim krucyfix; lewą ręką dotyka trupiiej głowy, prawa zaś na

(1) *Kuryer Warszawski* 1761 r. Doniesienie to, na osobnej wytłoczone ćwiartce, wymienia kto niósł korony, i inne zamieszcza szczegóły.

sercu spoczywa. W otoku: s. FRANCISCUS FUNDATOR TRIUM ORDINUM.

R. 1765, dnia 15 września, Herakliusz Lisański arcyb. smoleński i siewierski: w katedrze grecko-uni-ckiej w *Chelmie*, stolicy ziemi b. Wtwa ruskiego (1). Medalik na tę koronacją bity, należy zaiste do rzadkości tego rodzaju numizmatycznój; nie posiada go, jak mi wiadomo, katedra chełmska, lecz unikat onego mieści się w zamożnym zbiorze Fr. hr. Potockiego. Jest on ze srebra, niewytwornój wprawdzie roboty, ale nosi na sobie cechy zupełnie odrębnego od innych typu.

S. G. Matka Boska z P. Jezusem na prawém ręku, lewą zaś ma do góry wzniesioną; głowy obojga ukoronowane. Po obu stronach głowy N. Panny głoski greckie, oznaczające w skróceniu METER—THEU (Matka Boska); nad głową zaś Zbawiciela, takiemiz głoskami w skróceniu: JESUS—CHRISTOS. W otoku: s. (ancta) M. (aria) CH—ELMENSIS.

S. O. Korona królewska pośrodku, z napisem w otoku: CORONATA. ANNO. 1765. DIE. 15. 7BRIS. (Nr. 20).

R. 1767, dnia 7 czerwca, Ignacy Krasicki bis. warmiński, przy pomocy Józ. Jędrz. Załuskiego bis. kijowskiego: u Reformatów we wsi *Miedniewicach*, w ziemi sochaczewskiej b. Wtwa rawskiego. Dla braku funduszu, korony nie zostały nadesłane z Rzymu, lecz tylko zezwolenie papieżkie dane pod d. 8 lipca 1764 r.; korony zaś sporządzono ze szczodrobliwości Izabelli z Flemingów Czartoryskiej jener. ziem podolskich, Alexandry z Czartoryskich Ogińskiej hetm. W. L. i innych

(1) Ob. dzieło *in fol.*: *Koronacja cudownego obrazu N. M. Panny w chełmskiej katedrze obrządku greckiego*, i t. d. *Berdyczów*, 1780 r.

znakomitych rodzin (1). Zamiast wybijania medalików, poprzestano na wytłaczaniu rycin, które przedstawiają stół przykryty obrusem, a na nim świeca, dwa talerze i owoce: siedząca N. Panna trzyma w ręku gruszkę, siedzący zaś naprzeciwko Zbawiciel, przytyka do ust puchar, utrzymywany przez ś. Józefa. U spodu napis: PRAWDZIWE WYOBRAŻENIE OBRAZU JEZUSA, MARYI I JÓZEFA Ś. W KOŚCIELE MIEDNIEWICKIM ZAKONU Ś. O. FRANCISZKA XX. REFORMATÓW, OD ROKU 1674 SŁYŃĄCEGO CUDAMI, UKORONOWANEGO OD KLEMENSA XIII, 8 LIPCA 1764 — RICHTER SC. VRAT. Zamieszczona data zezwolenia, wprowadzić może nieświadomych w błąd, że wtedy odbył się obrząd koronacyi.

R. 1773, dnia 8 września, Sylwester Lubieniecki-Rudnicki bis. łucki i ostrogski obrz. grecko-unickiego: u Bazylianów w *Poczajowie* na Wołyniu (2). Małej objętości wizerunek N. Panny trzymającej P. Jezusa, otrzymawszy 1559 r. Anna z Kozińskich Gojska, dziedziczka Poczajowa, od metropolity z Corogrodu jadącego, złożyła w świątyni, a 1597 r. uczyniła zapis na pola, poddanych, i inne pożytki dla Bazylianów (3). Mikołaj Potocki Ssta kaniowski, od lat kilku pokutujące w klasztorze wiodący życie, nakładem swoim ukoronował cudowny obraz, w kaplicy z drzewa na ten cel zbudowanej,

(1) Ob: *Źródło cudów i lask Przenajdostojniejszej M. Panny cudotwornego Miedniewickiego Jój obrazu, ukoronowanego i t. d. przez x. Onufr. Mysłkowskiego Reformata. Warszawa, 1793 r. 8ka.* Autor mówi: że w Polsce i W. ks. L. odbyło się 20 takich koronacyj, licząc w to i miedniewicką; podług mojego zaś spisu, liczba ich wynosi 23; a zatem oprócz krakowskiej, dwie jeszcze inne nie doszły do skutku.

(2) Gazeta pod tyt: *Wiadomości Warszawskie 1773 r. zamieszcza opis téj koronacyi.*

(3) Wiadomość tę powziąłem w samym Poczajowie.

opodal wznoszących się jego kosztem murów kościoła, i uwiecznił ten obrząd medalem.

S. G. Matka Boska trzymająca P. Jezusa na rękach; głowy obojga w koronach. W otoku: SANCTA. MARIA — POCZAIOWIEN: ORA. P: (ro) N: (obis). W odcinku: ROMAÆ.

S. O. Napis w dziesięciu wierszach: CLEM: (ente) XIV | P: (ontifice) O: (ptimo) M: (aximo) | STANISLAO. AUGUSTO | REGE. POLONIAE | NICOLAO. COM: (ite) POTOCKI | PROMO-VENTE | A. SILVES: (tro) L: (ubieniecki) RUDNICKI | EPPO. (Episcopo) LUCEORIEN: (si) | CORONAT: (a) AN: 1773 | 8: 7 BRIS|.

Medal ten z brązu, jest w moim i innych zbiorach, srebrny zaś posiada Fr. hr. Potocki. (Nr. 21).

R. 1778, dnia 5 października, Stanisław Rajmund Jezierski bis. bakoński: u Dominikanów w *Latyczowie* na Podolu (1). „Obraz wyobraża N. Pannę, na lewej ręce dzieciątko Jezus piastującą, na płótnie malowany, ale od kogo i kiedy? nie masz pewności. Dominikanie fundowani 1600, czy 1606 r. przez Potockich. Podczas powstania Chmielnickiego 1648 r., obraz uprowadzony został, klasztor przez większą połowę obalony, kościół zaś złupiony z ozdób, w chlew i stajnię obrócony. Wnet Turcy zajmują Podole; wróciwszy zakonnicy 1703 r., zastali tylko miejsce, gdzie świątynia stała; wojna szwedzka wstrzymała sprowadzenie obrazu ze Lwowa. Przywieziono go dopiero 1722 r. do wsi Kopaczówki, zkąd uroczysta nastąpiła introdukcya 1 lipca do kaplicy przy nowo wznoszącym się kościele. Opatrznie zaczęła gospodarstwo, powrócona do swego domu, tyle w nim lat nie będąca gospodyni N. M. P., nowe codziennie ła-

(1) Doniesienie o odbytym obrzędzie, znajduje się w *Gazecie Warsz.* 1778 r.

ski i cuda przyczyniając. W lutym 1777 r. wyznaczona została kommissya do uznania cudów, celem wyjednania pozwolenia ukoronowania obrazu. Adam hr. na Krasnem Krasieński bis. kamieniecki, w ojcowską pieczołowitość przyjąwszy zakonne i powszechnie ludu dyecezyi żądanie: aby obraz był złotemi z Rzymu koronami ozdobiony, zaniósł do Piusa VI i kapituły watykańskiej prośbę na ten koniec. Taż kapituła pod d. 11 stycznia 1778 r. zezwoliła: ażeby koroną złotą, kosztem Dominikanów latyczowskich sporządzoną, ukoronował bis. Krasieński, lub jego koadjutor Jan Dembowski bis. drazneński, lub kto inny upoważniony. Korona d. 4 października t. r. ma być obrazowi oddana" (1).

R. 1779, dnia 15 sierpnia, Franciszek Komarnicki bis. cezareopolitański, sufragan łucki: u Franciszkanów w *Międzyrzeczu Ostrogskim* na Wołyniu. „Koronacya łaskami od niepamiętnych czasów słynącego obrazu, odbyła się przy licznej assystencyi wojska, przy gęstém biciu z armat, z iluminacyami i ogniami tryumfalnemi, w obecności licznych urzędników, obywateli i niezliczonego pospólstwa. Uroczystość trwała przez całą oktawę, z przyzwoitém temu aktowi nabożeństwem i okazałością" (2).

R. 1786, dnia 8 września, Stefan Jan książę Giedrojc bis. żmudzki, w kościele farnym w *Szydłowie* na Żmudzi. Tadeusz Bukaty biskup tespieński, sufragan żmudzki, infułat szydłowski, sporządziwszy własnym kosztem szczerozłotą koronę, posłał ją do Rzymu, którą

(1) *Głosy do korony wzywające, czyli: cuda i łaski przy obrazie N. M. Panny w kościele latyczowskim cudownej świadczoną. 1778 r.*

(2) *Gazeta Warszawska, 1779 r. Nr. 73.*

Pius VI poświęcił. Obrząd koronacyi z wielką odbył się okazałością na rynku. Wyrzutowany wizerunek tu-tejszej N. Panny, ma napis łaciński, mówiący o tym ak-cie religijnym (1).

VIII.

Owoż podałem dwadzieścia siedm uwieńczonych ko-ronami cudownych wizerunków Bogarodzicy. Stoso-wnie do przepisów koronacyjnych obrzędów, wytłaczano wizerunki ukoronowanych obrazów na papierze i bława-tach, przesyłając pewną liczbę exemplarzy dla członków kapituły watykańskiej, wraz z historią drukowaną o po-czątkach, cudach i koronacyi obrazu. Na uwiecznienie zaś pamiątki tych pobożnych obchodów, rozdawano obe-cnym w kościele, jako téż i na cmentarzu, z różnego kru-szcza medaliki, *koronatkami* zwane, zwykle w Rzymie bi-te i poświęcane.—Z załączonych tu rycin 21 medalików, 12 tylko odnosi się do właściwych sobie miejscowości; inne bowiem 9 są wariantami koronacyi sokalskiej, lwowskiej i berdyczowskiej. Z niejaką pewnością utrzy-mywać można: że nie bito medalików na koronacyą w Częstochowie, Trokach i Kodniu; przy opisach bo-wiem tych uroczystości niemasz wzmianki, żeby były rozdawane. Sokalska przeto koronacya rozpoczyna poczet tego rodzaju religijnych upominków, dziś tak starannie od lubowników numizmatyki poszukiwanych. Czemuż to przypisać należy, że koronatki hojną dobrodziejów szafowane ręką, a tém samém po całym upowszechnio-ne kraju, stały się rzadkością, lubo niedawny od ich po-

(1) Ob.: *Wspomnienia Żmudzi, przez x. Ludw. Jucewicza, 1842 r.*

jawienia się czas upłynął? Powtarzam rzadkością, gdyż nie ma zbioru numizmatycznego, co by je choć w podanej przez nas liczbie 12 posiadał. Zadanie to, w ten może sposób dałoby się rozwiązać: przy rozdawaniu koronatków, ogłaszano udzielany od Ojca Świętego odpust zupełny na ostatnią chwilę tym wszystkim, którzyby je mieli, lub nosili przy sobie (1); póki przeto żyli ojcowie nasi, póty istniały i owe medaliki, czyli tak zwane *mentoliki*; znikają zaś wraz z życiem pobożnych, którzy z zupełną wiarą piastując te świętości na piersiach, wnosili je z sobą do grobu, i w łonie ziemi ukryli.

IX.

Ażeby dać wyobrażenie, jakie ceremonie towarzyszyły koronacyom obrazów, podaję opis takiego obrzędu w Chełmie odbytego. — Obywatele ziemi chełmskiej i przyległych województw, wdzięczni za cudowne łaski i dobrodziejstwa od M. Boskiej doznawane, umyślili dopraszać się stol. apost. o dozwolenie koronacyi obrazu: co uskutecznił na sejmiku w Chełmie 1738 r. Prośbę tę podpisali: Michał Potocki Wda wołyński, Wacław Rzewuski Wda podolski, Jan Zamojski Wda lubelski, Karol Sapieha pisarz W. L., Seweryn Rzewuski referendarz K., Kunicki podkomorzy chełmski, Fran. Węgleński sędzia ziemski, Wiktor Wereszczyński sędzia grodzki i inni. Filip Wołodkowicz bis. chełmski dał świadectwo o słynącym oddawna cudownym obrazie, i upraszał z swój strony o powyższy zaszczyt, co wręczono jadącym do Rzymu Bazylianom. Przed nadejściem buli,

(1) Tak się wyraża autor dzieła: *Ozdoba i obrona*.

umyślono rozszerzyć katedrę; lecz postrzegłszy, że odwieczne mury grożą zawaleniem się, postanowiono do szczytu rozebrać świątynię, a nową wymurować. Do kończywszy fabryki bis. Maxymilian Ryłło, ogłosił z ambony 25 maja 1765 r. przy wystrzałach z dział na wałach zamku, koronacją na d. 15 września, oraz list pasterski: zapraszając pobożnych M. Panny *klientów* na tę uroczystość. Tymczasem ozdabiać poczęto wewnątrz katedrę axamitem, lustrami, galonami; allegoryczne zaś obrazy, napisy, przezrocza i liczne herby, okryły cały przód zewnętrzny świątyni, a nadto wystawiono trzy tryumfalne bramy, z stosownemi do okoliczności napisami. Na dwa dni przed obrzędem, nadciągnęło kilka chorągwi wojska, któremi dowodził jako regimentarz Wojciech Węgleński pułkownik husarski buławy polnej koronnej; Fran. Potocki Wda kijowski przysłał 20 własnych dział z Krystynopola, 10 zaś ordynat Klemens Zamojski Ssta tarnawacki, jako téż i inżynierów dla robienia ogniów sztucznych. „Dnia 14 września JW. Regimentarz z całą dywizją od kościoła ś. Ducha z wielką okazałością marsz swój ku zamkowi zaczął; a najprzód przednia straż poprzedzała, poważne chorągwie paradnie uzbrojone maszerowały, za któremi 4 dzielne konie, bogato przez masztalerzów po turecku ubranych, prowadzone były; sam zaś Regimentarz na dzielnym koniu, złotym dywdykiem przykrytym i bogato przybranym, w srebrnej zbroi husarskiej, z kameryzowanym katkanem postępował, a za nim mnóstwo dworzan paradnie przybranych, na dzielnych koniach, piękną kalwakatę czyniło. Szła potem karetą 6-konna, w której JW. Stefan Kunicki kaszt. chełmski, z JW. Bąkowskim podkomorzym chełmskim, złożone na bogatych węgłowiach korony,

do miasta wprowadzili. Gdy zbliżali się do Iej bramy tryumfalnej, JW. x. bis. Ryłło *pontificaliter* ubrany, z licznym klerem, wysiadających z karety JW. kasztelana i podkomorzego spotkał, i zaraz wyborną mowę JW. kasztelan zaczął" (1). Odbierając biskup korony od Klemensa XIII nadesłane, stosownie przemówił, poczem wprowadzono je do katedry. Korony przybrane były drogiemi kamieniami od Anny Potockiej wojew. kijowskiej. Wotywę odprawił Lisański arcyb. smoleński, panegiryczne zaś kazanie miał Pisarski Jezuita z Łucka. W czasie niesporów artylerya słyszeć się dała, muzyka zaś przygrywała na wieżach. Dnia 15 przybywszy arcybiskup do katedry, zasiadł na tronie, a będąc tamże ubrany w pontyfikalne szaty, udał się do kaplicy, gdzie złożone były korony. Pobłogosławiwszy je, usiadł na *faldisterium*, i, jak wyraża ówczesne pismo: *facundissimo ore* miał mowę; poczem wysłuchał przysięgi prowincyała i superyora zakonu Bazylianów, zeznających: że te są, a nie inne korony złote, nadesłane z Watykanu; że zawsze przy tutejszym obrazie chowane, pilnie strzeżone i nigdy z miejsca ruszane nie będą. Zeznanie to, zobowiązali się podpisać: bis. chełmski, duchowienstwo i znakomitsi obywatele, oraz do ksiąg ziemskich zaciągnąć. Odczytano następnie *breve* papieżkie, nadające odpust zupełny na dzień koronacyi i na całą oktawę, jako też i na rocznicę tego obrzędu przez lat dziesięć. Wracając ku wielkiemu ołtarzowi, niosła dla M. Boskiej koronę Anna z Potockich Rzewuska, a dla Zbawiciela: z Rzewuskich Ledóchowska kaszt. wołyńska. Złożywszy je arcybiskup na ołtarzu, odprawił mszę, poczem przystą-

(1) Dostownie z dzieła wyżej pod Chetmem przytoczonego.

pił do aktu koronacyi. Kładąc koronę na głowę P. Jezusa, wyrzekł: *sicut per manus nostras coronaris in terris, ita et a Te, gloria et honore coronari mereamur in coelis.* (Jako przez ręce nasze jesteś koronowany na ziemi: tak i od Ciebie chwałą i godnością niech będziemy godni być ukoronowani w niebie). Wieńcząc zaś koroną skronie N. Panny, mówił: *sicut per manus nostras coronaris in terris, ita et a Christo coronari mereamur in coelis.* (Jako przez ręce nasze koronowaną zostajesz na ziemi: tak i od Chrystusa niech będziemy godni być ukoronowani w niebie). Rozdawano w kościele i na cmentarzu medaliki złote, srebrne, mosiężne i cynowe, na tę pamiątkę wybite, tudzież wizerunki obrazu cudownego, na różnych materyach i na papierze wyciskane. Z ukoronowanym obrazem nastąpiła procesya; poprzedzały ją magistraty i bractwa z różnych miast i włości przybyłe, za nimi zaś duchowieństwo i biskupi; zatrzymywano się przy każdej z 3 bram tryumfalnych, dla słuchania mów na cześć cudownego obrazu mianych. Za powrotem do katedry, umieszczono obraz w oltarzu; wieczorem oświecono kościół, wieżę ratusza, bramy tryumfalne i miejskie, i puszczano ognie sztuczne. Przez cały tydzień solenne odbywało się nabożeństwo, na zakończenie zaś Bazylianie wileńscy odprawili z Jezuitami krasnostawskimi dysputę, tyczącą się tajemnic N. Maryi. Takim sposobem odbył się obrząd ten uroczysty, nakładem obywateli ziemi chełmskiej, do czego najwięcej przyłożył się Fran. Salezy Potocki Wda kijowski.

X.

Skreśliwszy rys czci przodków naszych ku Bogarodzi-
cy, zamknijmy pracę naszą odświeżeniem w pamięci stu-

letniego jubileuszu koronacyi ś. obrazu Jasnogórskiego. Za upoważnieniem Piusa VII, zapowiedziana została na d. 8 września 1817 r. uroczystość ta religijna, z przywiązanym do niej odpustem. Gdy się ów wielki dzień zbliżał, niepoliczone tysiące ludów wszelkiej płci i wieku, nietylko z polskich krajów, ale z Szlązka, Czech, Morawii i Węgier dążyły z oznakami pielgrzymstwa do Częstochowy. Szanowny w religijnym i literackim względzie Jan Paweł Woronicz bis. krakowski, w towarzystwie trzech bis. sufraganów, zjechał dla przewodniczenia ś. obrządkowi. Otworzył wzmiankowany pasterz uroczystość niesporami, przy udgłosie dzwonów, miedzierzy wałowych i dobranej muzyki. Przez cały tydzień solenne trwało nabożeństwo, komunikantów zaś rozdano przeszło sto tysięcy. „Jeżeli kto zapyta: z kąd ta cześć i ufność ku temu ś. obrazowi urosła?, każdy prawy chrześcianin znajdzie odpowiedź w księgach Bożych i nauce kościoła podaną: że Bóg, acz wszędzie obecny i wszechmocny, przywiązał jednak podług woli swojej świętej do pewnych czasów, czynów i miejsc, szczególniejszy udział dziwów dobroci i potęgi swojej, któremi wiarę i ufność szczerých wyznawców Imienia swego nagradza” (*Gazeta Warsz.* 1817 r., Nr. 78).



O KORSARZACH

ARCHIPELAGU WSCHODNIEGO (*).

Już od wielu wieków Europa ciągnie niezmierne korzyści z handlu, jaki prowadzi ze wschodnią Azyą. Drogie korzenie wysp Moluckich; heban, perły, pióra strusie z Nowej Gwinei; dyamenty, kamfora i złoto z Borneo; ryż i pieprz z Jawy i Sumatry; cukier, tytuń i kawa z wysp Filipińskich; wosk, jaskółcze gniazda i żywice wonne, które znajdujemy na tych wszystkich wyspach: niezaprzeczenie już od najdawniejszych lat, grają najgłówniejszą rolę w handlu Europy z innemi częściami świata. Lecz nikt jeszcze nie chciał zbadać i poznać geografii niektórych z wysp tego archipelagu, postępować za Fosterem w jego awanturniczej podróży do Balemangan w Nowej Gwinei, roztrząsać szacowne, chociaż nieco dziwaczne badania Dalrympla, i odważyć się na śledzenie rozwlekłych opowiadań żeglarzy holenderskich, ażeby przynajmniej nabyć ogólnego wyobrażenia o tych wiecznie zielonych wyspach i rozległych morzach Indyjskiego archipelagu. Jednakże jestto zaj-

(*) *Edinburgh Review*.

mująca nauka. Jest tam z górą czterdzieści milionów ludzi, przeznaczonych do wstąpienia w ściślejsze stosunki z Europą, i oczekujących na rozwinięcie moralności i zdolności za pomocą oświaty. Ci mieszkańcy archipelagu nie są bynajmniej owemi dzikimi ludźmi, żyjącemi niedbale z gotowych darów przyrodzenia, nie myśląc o przyszłości. Przeciwnie, są oni bardzo obrotni, bardzo przemyślni i wiecznie zajęci: to na lądzie, to znów na morzu, zbiorom, przechowywaniem i rozwożeniem płodów swój bogatą ziemi. Na brzegach, niezliczone mnóstwo rybaków zajmuje się połowem i przyrządzaniem *trepangu*, zbiorom *agar-agar*, lub połowem perel. W głębi krajów, całe pokolenia pracują nad zbiorom ryżu, kawy, cukru, tytoniu i korzeni; uprawiają kokosy, betel i inne rośliny, które nigdzie nie są tak obfite, jak tam. W tymże samym czasie, bałwany mórz przyległych, zatoki, odnogi, cieśniny, są ciągle przerywane przez Malajczyków, Papusów, Bajowsów, Jawajczyków, Bużysów i innych, którzy ze swojemi kupieckimi statkami, krążą od jednej wyspy do drugiej.

Najpiérwsze wiadomości o téj cudownej krainie, winniśmy sławnemu weneckiemu podróżnemu Marco Polo, który ją zwiedził około 1290 r. W następującém stuleciu, John Mandeville również przybił do tych wysp w czasie swojej długiej podróży. Lecz dwieście lat upłynęło, zanim Europa zwróciła na nie swoje handlowe widoki. W przeciągu tego czasu, inny naród pochodzenia azyatyckiego odkrywszy archipelag, zwiedził go we wszystkich punktach w celu handlowym i religijnym. Byli to Arabowie, którzy wypłynąwszy z zatoki Perskiej i brzegów morza Czerwonego, ominęli archipelagi Atolski i Maldywski, okrążyli południowy przyładek wyspy

Cejlan, a potem przebywszy odnogę Bengalską, śmiało się rzucili pomiędzy tysiące wysp, i dosięgli aż do brzegów państwa Niebieskiego. Następnie odważni awanturnicy z półwyspu Arabskiego, Persyi, Syryi, Egiptu, przybywali do tego archipelagu, osiadali na wyspach najurodzajniejszych, i opowiadali naukę Mahometa. Przez nich i przez żeglarzy, którzy zwiedzali te bogate brzegi, zebrane zostały materiały do cudownych powieści Tysiąca i jednej nocy, które rozlały się po całym świecie. Ożywieni religijnym fanatyzmem i żądzą zysku, kupcy mahometańscy przenikając pomiędzy narody bałwochwalcze, byli przygotowani walczyć z ich przesądami, i podbijać ich pod swą władzę. Koran stał się węzłem braterstwa. Prawowierni zmuszeni byli zobopólnie sobie pomagać, tworzyć ogólne przedsięwzięcia i wynosić na tron uczniów proroka. Nie mamy dokładnych wiadomości o wyprawach pierwszych Muzułmanów; nie wiemy, jakie były ich pierwsze postępy: możemy tylko zrobić sobie o tém wyobrażenie z tego, co zaszło przy końcu XV wieku. W téj epoce, w której Europa układała plany względem tych krajów, królestwo Hindu, którego Moja Pahit było stolicą, wpadło w ręce awanturniczych Muzułmanów z wyspy Sumatry.

W 1509 roku, po upływie jedenastu lat, jak Vasco de Gama odkrył drogę do Indyj około przylądka Dobrój Nadziei, don Lopez de Sequeira odkrył archipelag Indyjski, dosięgnąwszy z małą flotylą brzegów Pediru na wyspie Sumatra. Udał się do Malakki na półwyspie malajskim, wydał bitwę sultanowi Mohamedowi, który go pobił i przymusił do odwrotu. We dwa lata potem, odważny Alfons Albuquerque popłynął do Malakki. Pod pozorem pomszczenia się przegranej Saqueiry, powziął

zamiar rozprzestrzenić jak można najdalej panowanie Portugalczyków. Nie będziemy wchodzić w szczegóły tej wyprawy i opisywać wojen, które za sobą pociągnęła. Portugalczycy przebiegali archipelag, szukając wysp obfitujących w korzenie; osiedli przemocą na wyspach Moluckich, i ośmieleni powodzeniem oręża, najstraszliwszych dopuszczali się okrucieństw. Niespodziewane współzawodnictwo dało nowy popęd ich chciwościom. Hiszpanie pod przewodnictwem Magellana, rodem Portugalczyka, lecz służącego Karolowi V, podeszli ich przybywając do archipelagu, w 1519 roku, inną drogą, t. j. przez cieśninę, która od tego żeglarza, Magellańskiej otrzymała nazwisko. Magellan odkrył Manille, ażeby na nich umrzeć. Hiszpanie tak byli zajęci w innej części świata, iż nie objęli w posiadłość tych wysp, aż dopiero w 1564 r. w imieniu króla Filipa II, od którego nazwane zostały Filipińskimi. W piętnaście lub szesnastu lat potem, zmiany polityczne, które wzburzyły Europę, miały swoje echo nawet w tych oddalonych strefach. Filip połączył Hiszpanią i Portugalią pod swoje berło, a prawie w tym samym czasie (1579 — 1580), Holandia wybiła się spod panowania hiszpańskiego. Te wypadki, odjęły sposobność kupcom holenderskim zaopatrywania się w Lizbonie towarami Wschodu. Ażeby nie utracić tak ważnej gałęzi przemysłu, trzeba było spróbować podbić część kraju, zajętego przez ich nieprzyjaciół.

Po raz pierwszy flaga holenderska ukazała się na wyspach Azji w roku 1596; na kilka lat przedtém, Anglicy starali się także na nich osiąść. Lecz wówczas, kiedy Holendrzy cierpliwie pracowali nad rozszerzeniem wpływów, utwierdzeniem handlu i zakładali fundamenta

przyszłej swojej władzy; Anglicy przeciwnie, zrobiwszy świetny początek na Jawie i w kilku innych miejscach, porzucili to przedsięwzięcie, gdyż zwrócili całą swą uwagę i usiłowania na ląd stały Indyj. W ciągu wieków XVI i XVII, Holendrzy pracowali nad utwierdzeniem swojego panowania na archipelagu, nad wygnaniem z niego Hiszpanów i Portugalczyków, i pochwycili w swoje ręce monopol towarów kolonialnych. Po mału, Portugalczycy usunięci zostali z pola handlowego współzawodnictwa; Hiszpanie zachowali wyspy Filipińskie, zagarnęli pod swoją władzę północne wyspy tego archipelagu, wzniesli zakłady fabryczne w Magindanao, i rościli prawa do wyspy Palawan i północnych wybrzeży Borneo. W tymże czasie, Holendrzy rozciągali swe panowanie na wschód i zachód Jawy, podbili wyspy Moluckie, przeniknęli wewnątrz Borneo, i zakładali faktorie w Celebes.

Kiedy czytając historią rozbojów morskich w starożytności, spostrzegamy tam nieraz bandy korsarzy dosyć silne, ażeby mogły walczyć z rzecząpospolitą rzymską w dniach jej największej świetności: przypisujemy ten wypadek szczególnym i nadzwyczajnym okolicznościom. Zapominamy, iż stowarzyszenie bukanierów zniszczonych przez Pompejusza, nie było więcej niebezpiecznym dla handlu ówczesnej epoki, jak to, które istnieje w naszych czasach, w okolicach angielskich kolonij, i że tak powiem, w samym ognisku posiadłości holenderskich w Indjach. Lecz jest rzeczą niezaprzeczoną, że korsarze, którzy niegdyś walczyli z starożytnym Rzymem o panowanie na morzu Śródziemnym, byli w bardzo szczupłej liczbie, w porównaniu do całych wojsk mor-

skich, trudniących się témże samém rzemiosłem na oceanie Wschodnim. Co większa, te ostatnie władają posiadłościami i całemi państwami, gdzie rozpościerają przepych królewski. Historia, która w swoich obrachowaniach rzadko zmniejsza liczbę sił walczących, podaje na 80,000 liczbę korsarzy, pobitych przez Pompejusza. Możemy bez przesady przypuszczać, że jest ich cztery razy więcej na archipelagu Indyjskim. Wprawdzie nie podlegają oni jednej władzy, nie są skierowani do jednego celu, i nie mają jednego ogólnego charakteru.

Wszyscy ci, którzy zajmowali się tym przedmiotem, zapewne spostrzegli, iż stowarzyszenia korsarzy są rozsiępane podług praw natury. Wszędzie, gdzie napotykamy gromady wysp, rozdzielone wązkiemi cieśninami, przecięte kanałami i zatokami, bronione mieliznami i skałami; gdzie w jedném miejscu znajdujemy głębokie jaskinie, tam znowu przerażające przepaści: można być pewnym, iż natrafimy na siedzibę rozbójników morskich.

Pierwsi korsarze o których historia wzmiankuje, ukazali się wśród wysp i skał morza Egejskiego; Normanowie wypłynęli ze swych ciasnych i napół zamarzniętych zatok (*fords*); bukanierzy i filibustery amerykańscy, rozpościerali swe napady w odnodze Meksykańskiej; zuażmisowie obrali sobie za siedlisko niezliczone zagłębienia i wysepki, ciągnące się wzdłuż brzegów wschodnich Omanu; Malajczycy, Bajowsy, Sulerowie, Papusy i inne barbarzyńskie hordy, zapełniały archipelag Indyjski, ciesząc się z niezmiernego labiryntu skał, raf, zatok, odnóg, cieśnin, które przerzynają i zapełniają cały przestwór dwóch tysięcy wysp.

Żeglarze zwiedzający te strony nie mogą pojąć, z kąd się biorą te miryady statków wojennych, snujące się

wszędzie w przejściach najniebezpieczniejszych, pływające w górę rzek i krążące wokoło przylądków i zasp piaszczystych.

Na wschód i zachód Sumatry, w Nowej Gwinei, Jawie, Bali i Lambok aż do ostatnich krańców Magindanao i Palawan, nie ma wyspy, któraby nie była gniazdem korsarzy; lecz nie takich korsarzy, jakich napotykamy w naszych strefach, ani takich, jakich sobie z poematów Byrona wystawiamy; nie korsarzy bez rodziny i własności, blakających się po morzach, jak rozbójnicy w lasach. Ci przeciwnie, pewną część roku przepędzają na ziemi, zajęci rybołówstwem, handlem, uprawą gruntu, jak ludzie uczciwi i przemysłowi. Niektóre ich siedziby są położone w miejscach najprzyjemniejszych, jakie tylko na Wschodzie napotykamy.

Płyniesz w górę rzeki jeszcze nieznaną, wśród żywnych równin, wśród niezmiernych dziewiczych lasów i malowniczych dolin, odzianych najświetniejszą roślinnością, może najpiękniejszą na całym świecie; wtém przybywasz do małej romantycznej wioski, złożonej z kilkuset domków lekko zbudowanych, opartych na słupach, otoczonych ogrodami, tak starannie utrzymywanych, jak chińskie. Pytasz zdziwiony: kto są szczęśliwi mieszkańcy tego ziemskiego raju? Odpowiadają ci: rozbójnicy morscy! Widzisz kobiety i dzieci pracujące lub igrające na nadpowietrznych gankach; wśród nich szanowny starzec z siwą brodą siedzi zadumany. Ten starzec, który co dzień zanosi do Allaha modły, który dopełnia z największą ścisłością wszystkich obrzędów przepisanych przez jego religię, ten starzec jest-rozbójnikiem. Wchodzisz wewnątrz jednego z tych domków, i widzisz w nich ślady cywilizacji Azji zachodniej,

nacechowanej żarliwym fanatyzmem półwyspu Arabskiego. W téjże chwili może spostrzeżesz niedaleko drzwi wieńce, utworzone z czaszek ludzkich, zawieszane u pułapu, lub zebrane w sieci, mające służyć do jakich obrządków pogańskich. Wokoło mieszkania spostrzegasz grunt doskonale uprawny; ze wszystkich stron wznoszą się drzewa kokosowe, które upiększają krajobraz, stanowią bogactwo właściciela i orzeźwiający cieniem, wabią do siebie strudzonego podróżnego. Lecz w pewnej epoce roku, z tego zachwycającego ustronia, z tego małego rajy podzwrotnikowego, wymyka się horda bukanierów, i uzbrojona w muszkiety, dzidy, zatrute strzały i swoje straszne *lelahs* (rodzaj mieczów), daleko postrach i mordy roznosi.

Floty korsarskie różnią się bardzo między sobą, co do powierzchowności. Flotylle Dyaków i niektórych innych pokoleń, składają się z małych lekkich statków, prostej roboty, lecz żeglujących szybko wzdłuż brzegów, za pomocą wiosel i żagli. Nie będąc w stanie przedsięwzięcia dalekich podróży, lub wstępowania w bój ze statkami większego kalibru, nie zajmują się niczem więcej, jak tylko obdzieraniem łódek krajowców prowadzących handel, lub porywaniem niewolników. Przeciwnie, floty Illanunów i Balaninów, przy wyprawie przedstawiają widok daleko wspanialszy. Składają się niekiedy ze stu statków wojennych, *prahusów*, z których każdy opatrzony jest wielką liczbą ławek wioślarskich, podwójnym pomostem, wysokimi masztami, wielkimi żaglami; a na nich, znajdują się rycerze przybrani w świetną szkarłatną odzież, uzbrojeni w długie włócznie, błyszczące miecze, i bardzo często zaopatrzeni w bronzowe armaty.

Badając obyczaje, potęgę i charakter tych korsarzy, pomimowolnie przywodzą one na myśl starożytnych Wikingów północy, tych królów morza, którzy, jest temu około tysiąca lat, prowadzili na brzegach Norwegii, Danii, Szwecyi, Niemiec, Francyi i Anglii, także samo rzemiosło, jakiem teraz korsarze archipelagu Indyjskiego zajmują się, i popełniali także okrucieństwa. W obu tych narodach, jednakowa nieszczęsna organizacya, wypływała z jednakowych okoliczności: z rządu niedostatecznego, z niedokładnych wiadomości o sztukach i rzemiosłach, z wychowania błędnego, z przewagi wyobrażeń sparaliżowanych i przewrotnych, rozlanych na łonie społeczeństwa. Normandowie pogardzali przedsięwzięciami spokojnemi. Dzieła siły, wydawały się im być daleko szlachetniejszymi, niż dzieła przemysłu i sztuki. Zamiast zachęcania synów lub poddanych do rolnictwa, handlu lub do jakiegobądź uczciwego rzemiosła, królowie Żarlowie skandynawscy, podbudzali ich do budowy i uzbrojeń okrętów, i szukania szczęścia w oddalonych morzach. Nawykli do walki z żywiołami, do wytrzymywania niedostatku, i do życia w obec ciągłych niebezpieczeństw; przyzwyczajali się mało dbać o życie, i tłumili w sercach swoich wszelkie uczucie ludzkości. Przyzwyczaili się patrzeć bez najmniejszego wzruszenia na zakrwawione rany, na bolesne tortury, na nędzę niewoli; a kiedy na nich przychodziła kolej, szli na śmierć obojętnie: *Ridens morior*.

Terażniejsi korsarze indyjscy, mają tenże sam charakter. Tak, jak ich poprzednicy z Północy, pogardzają zajęciem spokojnym, a ich dowódcy starają się jedynie o wzbogacenie za pomocą rabunków i gwałtów. Bez litości i wyrzutów sumienia, jak Normandowie, w nocy pod-

polują wsie, mordując wszystkich tych, którzy chcą stawić opór; kują w kajdany jeńców, rzucają ich razem na spód swych wojennych prahusów i sprzedają na targach. Lecz nie napadają oni tylko na tych, którzy są słabi i bezbronni; przeciwnie, również jak starożytni mieszkańcy Skandynawii, śmiało wysiadają na brzegi napełnione liczną ludnością, burzą wsie, miasta, i często oblegają stolice. Illanunowie i Balaninisowie, napadają fortece książąt, i obrucają w perzynę całe miasta. Kiedy Anglicy zawarli przymierze z sułtanem Omad-Ali, ażeby wraz z nim starać się o uśmierzenie korsarstwa; Balaninisowie grozili napadem na Brunę, ażeby ukarać sułtana za zawarcie tego przymierza.

Taka jest siła, taka jest śmiałość tych ludzi, iż na przestrzeni kilku tysięcy mil kwadratowych, żaden statek krajowców nie jest bezpiecznym, żaden mieszkaniec tamecznych krajów, równie książę jak i poddany, nie może spocząć spokojnie na swém łożu. Ci nowi władcy oceanu zniecka ukazują się w najodleglejszych okolicach, od zachodniego krańca Sumatry, aż do prowincyj południowych Nowej Gwinei, i od wysp Filipińskich, aż do wysp Drzewa Sandałowego. Historycy uważali z zadziwieniem, iż korsarze skandynawscy mogli zaopatrywać się w żywność na podróż całoroczną; lecz ich wyprawy były ścieśnione w pewnych ogólnych granicach, i z łatwością przychodziło im zaopatrywać się w wodę i żywność. Bukaniery archipelagu, przepędzają niekiedy po dwa lata na morzu, i w przeciągu tego czasu odbywają tysiące mil. Ostatnią razą widziano ich na północno-zachodniém pobrzeżu Borneo, prowadzących jeńców z Papua i łupy z półwyspu Malajskiego.

Jak Wikingsy z Północy, korsarze archipelagu mają świetne powodzenie. Niejeden wschodni Rollon, mieczem swym podbił przepyszne prowincye, i własną jedynie siłą, osadzał się na mniej lub więcej trwałym tronie. Prawie każda wyspa, tak większa jak i mniejsza, zaczęła przez pewien czas, pod panowaniem któregokolwiek z tych korsarzy. Od niedawnego zaledwie czasu, historycy zaczęli zwracać uwagę na to pokolenie korsarzy; gdy przeciwnie liczni pisarze, starali się skreślić wyprawę Wikingsów północnych.

Jeżeli zechcemy osądzić bezstronnie naszych nieprzyjaciół pogańskich Azji wschodniej, znajdziemy pomiędzy nimi także same przykłady odwagi i heroizmu, jak pomiędzy awanturnikami Skandynawami. P. Brooke, który jest w stanie sprawiedliwie ocenić odwagę, przeciwko której walczył, przytacza z pewnym rodzajem pochwały bohaterstwo prawdziwie spartańskie, jakie okazał Illanun Panglima w przystani Sarawak.

„Przybywając, mówi on, do Siru, znalazłem na wybrzeżu Potingę, czekującego na Pangerana i Illanun Panglima. Ażeby oddalić wszelkie podejrzenie, moi ludzie skryli się do łodzi, z kąd uważali poruszenia korsarzy. Pangeran i Illanun wysiedli na brzeg, obadwaj dobrze uzbrojeni, a ostatni przybrany w rozmaite ozdoby. Gdy już znajdowali się na ziemi, wszelki sposób do ucieczki był im niepodobny: gdyż moi ludzie otoczyli ich, nie czyniąc jednak żadnych kroków nieprzyjaznych. Na widok niebezpieczeństwa jakie im zagrażało, Pangeran pozostał spokojny, milczący, nieruchomy; dziecię mogłoby go było ująć. Lecz Illanun Panglima, uniesiony rozpaczą, drżącą jedną ręką uchwycił włócznię, a drugą ściskając rękojeść miecza, wyzywał swych przeciwników.

Zaczął swój taniec wojenny, twarz jego zbladła, oczy zapaliły się. Był przygotowany umrzeć, lecz umrzeć nie sam jeden. Trzeba było z nim skończyć, gdyż stawał się niebezpiecznym i nie można było myśleć o jego uwięzieniu. Patinga Ali przyskoczył doń, i pchnął go włócznią pomiędzy ramiona z taką siłą, iż ostrze wyszło piersiami. Nigdy nie słyszałem, ażeby po takim uderzeniu, człowiek mógł oddychać: Panglima jednakże zrobił jeszcze kilka kroków i rzucił swą włócznię na drugiego przeciwnika. Lecz sił mu zabrakło i jego broń upadła na ziemię. W kilka sekund, wszystko było skończone (1).”

Inny wyjątek z tego zajmującego dziennika dowodzi, że niwyszyscy korsarze okazują takiż sam stoicyzm, i że bojaźń śmierci może wziąć górę nad odwagą i nieza wsze da się pokryć udawaniem:

„Korsarz Bedrudeen był zaprowadzony do jednego ze swoich krewnych, który zezwolił na jego śmierć, i został uduszony przez Pangeran Bakore. (Ten sposób śmierci, ulega pewnym prawidłom. Skazanego umieszczają przed gęstą zasłoną, i za tą zasłoną skręcają powróż). Zatwardziały ten rozbójnik, widząc śmierć tak blisko, zawołał z rozpaczą: „Ach! czyż muszę umrzeć za to, że zamordowałem kilku Chińczyków! Łaski! łaski!” Jego teść został zamordowany uderzeniem *krisza* w serce. Spojrzał z uśmiechem wzgardy na fatalną broń, i w téj chwili skonał” (2).

Odważni ludzie umierają takimże samym sposobem, kiedy ich namiętności są wzburzone, lub kiedy muszą uleść losowi. Uczucie krwawego życia, nie zastrasza ich, i żaden z uczniów Zenona, karmiony zimnemi syl-

(1) Mundy's Narrative of events in Borneo and Celebes.

(2) Tamże.

logizmami, nie wyrzekłby się życia z większym spokojem, jak niejeden z tych bandytów, który otrzymał śmiertelną ranę w bitwie. „Wypadek, mówi Keppel, którego byliśmy świadkami na pomoście wziętego statku korsarskiego, daje trafne wyobrażenie o charakterze tych energicznych ludzi. Pomiędzy tymi, którzy byli śmiertelnie ranieni, znajdował się młody dowódzca prahusu, jedna z najszlachetniejszych twarzy, jaką mi się kiedykolwiek zdarzyło widzieć; piękny jak bohater romansu, pełen wdzięków i godności. Rażony w czoło i w pierś, oczekiwał ostatnich chwil swoich. Chciał przemówić, lecz krew płynąca ustami, tłumila głos jego. Po kilka razy starał się przezwyciężyć tę przeszkodę, i za każdym razem był zdradzonym w swoim usiłowaniu. Ci, którzy go otaczali, z żalem spoglądali na niego, i podnieśli go, chcąc przynieść ulgę jego cierpieniom. On, załamał ręce na poszarpanych piersiach, spojrział obląkanym wzrokiem na otaczających go Anglików, rzucił ostatnie spojrzenie na ocean, który był teatrem jego podbojów i wypraw, i umarł nie wydawszy ani jednego jęku”.

Słowa, któreby ten dowódzca korsarzy wyrzekł, gdyby mu potok krwi nie był przeszkodził, znaleźlibyśmy zapewne w skandynawskich sagach. Sagi te, przedstawiają nam często umierających rycerzy, podobnie jak korsarza z Borneo, lub rzezie jeńców wojennych. Jedna z najwięcej zadziwiających jest saga o fortecy Jomsborg, gdzie każdy w godzinę śmierci starał się być spokojnym i wesołym (1).

(1) Imię téj fortecy, o której podanie sięga aż czasów bajecznych historyi duńskiej, jest wzmiankowane w kilku sagach islandzkich. Pod panowaniem Heralda Blaatand, bohaterski

W roku 924, w jednej ze swych niebezpiecznych wycieczek, garnizon téj cytradelli był pobity przez flotę Hakon Jarla, króla Norwegii. Zdaje się, że przesąd był główną przyczyną téj przegranej. Wystawiali oni sobie, iż na przodzie okrętu Hakon'a, widzą Thorgard'a Hordabrud, który wyrzucał na nich chmury zabójczych strzał. Sigwald wypłynął na pełne morze, powtarzając, iż chce walczyć z ludźmi, a nie z czarnoxięźnikami. Kiedy Bue Gruby (Bué le Gros) spostrzegł, że wszelki opór byłby bezskuteczny; wziął dwa kufry pełne złota, rzucił się z nimi w morze i zginął. Wager bił się dalej odważnie, aż nakoniec zwyciężony przemagającą liczbą nieprzyjaciół, był wzięty w niewolę wraz z trzydziestoma swojemi. Zmienić podobnych ludzi na niewolników, było niepodobna; albowiem Duńczycy, mówi Adam z Bremy, przenosili raczej śmierć jak niewolę. Tak jak Muda Hassim ukarał śmiercią korsarza Berdrudeen i jego szwagra; podobnież Hakon Jarl', cięciem siekiery postanowił uwolnić się od tych niebezpiecznych jeńców. Z rana po śniadaniu, kazał im stanąć przed sobą. Oto jak Mallet opisuje ten wypadek:

„Pierwszy, którego prowadzono na śmierć, rzekł tylko bez najmniejszego widocznego wzruszenia i oznaki bo-

i przedsiębiorczy Palnatoke, otrzymawszy od Borysława posiadłości w kraju Wendów, wybudował tam fortecę, której dał nazwisko Iomsborg. Była ona położona w sąsiedztwie portu tak obszerne-go, iż ten mógł pomieścić, jak mówi kronika, trzysta okrętów. Stała się sławną na całej Północy. Zwycięstwo Hakon Jarl'a zadało cios niewynagrodzony załodze morskiej, która ją zajmowała; jednakże długo jeszcze istniała ona, raz wpadając w ręce królów duńskich, to znowu uzbrajając się przeciwko nim. Nakoniec straszny ten arsenał wzięty został przez Magnusa Dobrego. Zrobimy tu uwagę, iż założyciel Iomsborgu, Palnatoke, o którym legenda napisaną została przez Saxo Grammatyka, przedstawia zastanawiające podobieństwo do rysów życia Wilhelma Tella.

jaźni: „Dlaczegożby nie miało mi się przytrafić to, co memu ojcu? On umarł, i ja muszę umrzeć także”.

„Wojownik nazwiskiem Thorkild, który miał uciąć głowę drugiemu, zapytał się go: jakich uczuć doznawał na widok blizkiej śmierci? Odpowiedział: że zanadto dobrze pamiętał prawa Julin'a, ażeby miał wymówić chociażby jeden wyraz, oznaczający bojaźń”.

„Trzeci, odpowiedział na to samo zapytanie: że cieszył się z tego, że umiera śmiercią bohaterską, i że przenosi śmierć, nad życie tak nikczemne jak Thorkild'a”.

„Czwarty, dał dłuższą i więcej zajmującą odpowiedź: „Znoszę chętnie śmierć, rzekł, i ta chwila jest mi bardzo przyjemną. Proszę cię tylko, dodał obracając się do Thorkild'a, ażebyś mi uciął głowę jak można najprędzej; niepokoi mię bowiem pytanie, któreśmy często zadawali Julin'owi: czy pozostaje nam jakiegokolwiek uczucie po ścięciu głowy? Dlatego wezmę nóż do rąk; jeżeli po odcięciu głowy podniosę go na ciebie, będzie to znakiem, że niezupełnie utraciłem zmysły; jeżeli zaś go wypuszczę, będzie to przeciwną oznaką; śpiesz się zatem”.

„Piąty, okazał podobną spokojność, i skonał naigrawając się ze swych nieprzyjaciół”.

„Szósty, zalecił Thorkild'owi uderzyć go w twarz.— „Będę stał nieruchomy, rzekł, i ty będziesz uważał, czy okażę jakim bądź sposobem bojaźń, i nawet czy zmrużę oczy. My bowiem jesteśmy przyzwyczajeni nie cofać się, nawet wtenczas, kiedy nam ciosy śmierci zadają, i ćwiczyliśmy się w tém w częstych naszych zwycięztwach”. Umarł dotrzymując swój obietnicy, w obec licznych widzów.”

„Siódmy, mówi historyk, był młody człowiek w kwiecie wieku, i uderzającej piękności. Gdy się go Thorkild

zapytał: co myśli o śmierci? — Przyjmuję ją chętnie, odrzekł, ponieważ wykonałem najglówniejszą powinność życia: widziałem umierających tych wszystkich, których nie mógłbym przeżyć” (1).

Lecz wróćmy do Wschodu. Od czasu jak mahometanizm został wprowadzony na archipelag, awanturnicy arabscy bez innego sposobu do życia, prócz miecza i odwagi, rozproszyli się tam w nadziei zjednania sobie władzy, nad pokoleniem mniej oświeconém i mniej energiczném. Dla zwiększenia wpływu, jaki wywierali na dzikich mieszkańców, udawali się za pochodzących w prostej linii od Mahometa, i przyjęli nazwisko Szeryfów. Pod tém nazwiskiem, poznaliśmy ich w dzienniku p. Brooke. Dotychczas mieliśmy tylko niepewne wiadomości o tych odważnych ludziach. Zapetrzając się na nich ze zwyczajnego stanowiska, uważamy ich zwykle jako indywidua niebezpieczne i obrzydłe. Onito zagrażają nam drogę i sprzeciwiają się wysileniom, jakie czynimy dla wykształcenia archipelagu. Lecz nie powinniśmy zapominać, iż był czas, kiedy Szeryfowie wywierali na tych brzegach wpływy zbawienne. Przynosząc na łono ludności napół dzikięj prawa koranu i pierwsze zasady towarzystwa i cywilizacyi, z łatwością otrzymali przewagę nad Malajczykami i Dyaksami, którzy poddając się im, i robiąc ich bogatemi i mocnemi, nabywali tymże samym sposobem pewien stopień wielkości, którejby nie mieli bez tego współdziałania cudzoziemców.

Nic nie wskazuje, ażeby postępy cywilizacyi archipelagu, sięgały czasów poprzedzających naukę islamizmu. W Borneo, Celebes i kilku innych wielkich wyspach, wszystkie państwa, które dosięgły pewnej potęgi i które

(1) Introduction à l'Histoire de Danemark, pag. 186.

miały pewną trwałość, zdają się być założone przez uczniów koranu. Bez wątpienia, skutki islamizmu miały tam również, jak i gdzieindziej, charakter materyalny, który się wznioł do pewnego stopnia i rozwinął w świetnym zbytku; potem wyrodził się, gdyż polegał na zasadzie niedoskonałej. Pomimo tego jednakże, Arabowie oddali niegdyś wielkie przysługi Dyaksom i Malajczykom, wyrrywając ich z obojętności, nadając im popęd często wprawdzie do złego, lecz niekiedy do dobrego celu skierowany.

Teraz jeszcze trudno nam nie uwielbiać wytrwałości, z jaką mała liczba Arabów oddalona od wszelkiej pomocy, utworzyła sobie źródło bogactw w Borneo i na innych wyspach. Obcy przybysze bez majątku, wpośród pokoleń niecoświeconych i dzikich, potrafili wpoić w nich uszanowanie dla swój odwagi i zręczności; nauczyli ich budować domy, wsie, uprawiać grunta, zakładać ogrody i otaczać się wszelkimi przedmiotami wygody, które można było znaleźć w tej strefie. Na nieszczęście, nie w pracy szukali oni sposobu zebrania majątku; przeciwnie, szukali władzy za pomocą gwałtów, i oddali się rozbojowi, jako najkorzystniejszemu rzemiosłu. Tak więc z jednej strony Szeryfowie mogą być uważani jako dobroczyńcy pokoleń, któremi rządzą, gdyż im nadają trwałą organizacyą i powiększają sposoby dobrego bytu; z drugiej strony, wywierają na nie zgubny wpływ. Złoto, które z rozbojów uzbierają, używają w sposób najniegodniejszy; płacą niém z góry Illanunom, Balaninom i Dyaksom za broń i proch, a pieniądze te przychodzą im z korzyści, jakie im rozbój i sprzedaż jeńców przynosi. Szeryfowie są takim sposobem najgłówniejszymi motorami rozboju i handlu niewolnikami, który ró-

wniez z rozboju wynika. P. Brooke ma zatem zupełną słuszność, gdy wymienia Szeryfów jako najniebezpieczniejszych nieprzyjaciół wszelkiej cywilizacji na archipelagu; gdyż jeżeli doszli do pewnego stopnia wykształcenia, nie postępują dalej, a upoważniając czyli raczej zaszczycając w umyśle tych, którzy ich otaczają, zasady najnie-moralniejsze; stawiają przeszkodę postępom zbawien-nym dla społeczeństwa.

Niektórzy pisarze utrzymują, że korsarze oceanu Wschodniego są muzułmanami, i przypisują tę zgubną namiętność nauczaniu koranu. Jestto błąd. Na Borneo i niektórych innych wyspach, ujścia wielkich rzek są w istocie zajęte przez muzułmanów; jedni pochodzą od Arabów, a inni są Malajczykami, wyznającymi islamizm. W skutek, że tak powiem, własności instynktowej, wszystkie te narody czują skłonność do budowania statków, do zajmowania się handlem, i przepędzania na morzu większej części swego życia. Płynąc z jednej wyspy do drugiej, napotykają łodzie obciążone bogatym ładunkiem, pod przewodnictwem spokojnych kupców. Pokusa jest zbyt wielką, ażeby można było jej się oprzeć. Przy swych wojennych obyczajach, zapominają o spokojnym rzemiośle kupca, zajmują bezbronny statek, i tak wstępują na drogę rozbojów. Kiedy im stawiają opór, mordując, mszczą się za to; a tych, którzy ujdą ich zabójczego żelaza, uprowadzają w niewolę. Na każdej wyspie, na każdym brzegu, napotykają miasta i wsie, gdzie łatwo sprzedają swój tym sposobem nabyty łup. Żaden prawie handel nie jest tak zyskownym, jak handel niewolnikami. Dlatego też korsarze, pogardzają zwyczajnym ładunkiem, a starają się zrobić jak można najwięcej jeńców; szczególnie zabierają kobiety i dzieci, których można bez tru-

dności trzymać w niewoli; mężczyźni zaś, jako więcej niebezpieczni, zwykle są mordowani.

Korsarstwo bez wątpienia wzięło początek w kilku pojedynczych wyprawach; lecz obecnie jest uorganizowane w niektórych częściach archipelagu, mianowicie w Sula, na wielką skalę.

Państwo Sula, któremu dawniej można było dać nazwisko cesarstwa, rozciąga panowanie swoje nad obszernymi grupami wysp, odznaczających się płodnością, i przytém występniemi skłonnościami i męztwem mieszkańców. Rozpusta, haniebny handel niewolnikami, okrutna zemsta i mordy; stanowią zwykle zajęcie tych ludów, które poświęcając się rozbojom, uprawiają przytém swoje ziemie. Chociaż posiadłości ich były zmniejszone w skutek rozmaitych okoliczności, nie widać jednak, ażeby te waleczne pokolenia ułękły się siły europejskiej. W różnych czasach walczyli oni z Hiszpanami, i okazali zawsze niezłomną odwagę; przymuszeni nakoniec zawrzeć pokój, z trudnością tylko zgięli głowy pod jarzmo nowych panów, gotowi za każdą okolicznością rzucić je i krwawo się zemścić swój niedoli.

Ku końcowi XVIIIgo stulecia, sultanat Sula, oprócz czterech grupp z których się obecnie składa, obejmował jeszcze część północną Borneo, Palawan i kilka osad w Magindanao. Marynarka ich była wówczas silna, i Holendrzy, którzy w tym czasie sami tylko mieli udział w sprawach archipelagu, unikali wszelkich zająć z temi odważnemi ludami. W tym czasie, ani Anglia, ani Holandya nie były w stanie zadać ostatecznego ciosu ich ciągłym bezprawiom.

W kwietniu, flota ich składająca się z dwóchset, lub trzechset dobrze uzbrojonych prabusów, odplywa

z portu. Rozdzielona na dwie eskadry, okrąża wokoło wyspę Borneo, przybija do lądu w pewnych odległościach, paląc wsie, zabierając ludzi w niewolę, niszcząc, pustosząc wszystko na drodze. Dzicy ci niszczą nawet mieszkania, ogrody; ścinają drzewa, jak gdyby probowali ostrza swych mieczów. Kiedy spustoszyli wszystko, oddalają się jak ćmy szarańczy, z bogatym łupem i licznymi jeńcami. Następnie udają się do ciąsniny Sond, później zwróciwszy się na wschód, napadają na brzegi Jawy, często nawet zabierają Holendrów i ich żony, i sprzedają przy pierwszej zrzeczności. Tak posuwają się póty, aż póki nie spotkają na drodze oporu. Lecz w Nowej Gwinei, spotykają Papusów, którzy są zbyt dobrze uzbrojeni i zbyt się mają na bacności, ażeby ich śmieli zaczepić. Wracają później przez wyspy Moluckie, zabierają podatek z poddanych Holandyi, i wracają z dyamentami, złotem, korzeniami i niewolnikami, ażeby używać w pokoju w swych pięknych stronach plody, pochodzące z zaborów.

Sulasowie, pochodzący z mieszanój rasy, uważają się sami i są uważani przez inne pokolenia, za najodważniejszych korsarzy archipelagu. Nie poprzestają oni wcale na rozbijaniu prahusów krajowców i żak chińskich, lecz walczą nawet przeciw uzbrojonym okrętom europejskim. Pewien podróżny, który przepędził sześć miesięcy w téj okolicy, daje nam ciekawe wiadomości o zdobyczach, których był świadkiem.

Pierwszą zdobyczą którą widział, był bryk hiszpański z ładunkiem towarów kolonialnych z Manilli. Po nim nastąpiły dwa statki mniejszego rozmiaru, należące do tegoż narodu; potem kilka prahusów przyprzewadziło tysiące jeńców, którzy zostali sprzedani w Sula;

po nich statek z Madagaskaru, dowodzony przez Holendra, który zapłacił okupu 12,000 dolarów hiszpańskich; potem sześć małych statków noszących flagę Wielkiej Brytanii, i jeszcze bryk angielski, którego cała osada została wyrznięta.

Kiedy Sir Edward Belcher zwiedzał Sulę w 1844 r. spotkał dwa prahusy korsarskie, wracające z wyprawy do wysp Filipińskich, i wiozące gromadę kobiet, które zapewne zostały sprzedane na targu.

Probowano wielekroć obliczyć porty na wyspie Sula, z których korsarze wypływają na swoje wyprawy. Nie będziemy wchodzić w te szczegóły; nadmienimy tylko, iż na wyspach składających państwo Sula, nie znajdziemy ani jednego przystępnego portu lub zatoki, któreby w pewnej epoce roku, nie służyły za schronienie korsarzom archipelagu. Nietylko bukanierowie tych wysp są znani z odwagi, lecz również ich prahusy odznaczają się mocą i budową.

W państwie Sula, Balaninisowie posiadają małą grupę wysepek, gdzie sprowadzają swoje żony i dzieci, kiedy chcą przedsięwziąć wyprawę. To pokolenie pochodzi, jak mówią, od Batusów czyli cyganów morskich, którzy w pewnej nieoznaczonej epoce, zjawili się na archipelagu. Pochodzenie ich równie jest ciemne i niewiadome, jak cyganów europejskich.

Napotykamy na całej przestrzeni wysp azyatyckich ludzi do tego pokolenia należących, którzy żyją z płodów, jakie im rybołówstwo lub uczciwa uprawa gruntu przynosi; Balaninisowie porzucili to spokojne zatrudnienie, ażeby oddać się rzemiosłu korsarzy.

Parę lat temu, kilka statków parowych hiszpańskich wypłynęło z Manilli, ażeby napaść na Balaninów w ich

własnych siedzibach. Twierdza wznosiła się w końcu wąskiej i głębokiej zatoki. Zatoka była bronioną stupaściami, ziejącemi zabójczy ogień. Hiszpanie przypuścili szturm do tego przejścia, i po długiej i krwawej utarczce, udało im się opanować baterią, a wraz z nią prabusy, będące w przystani. Znieśli następnie cytadelę, i przez to odjęli na pewien czas korsarzom możność napadania i obrony.

Podobną śmiałością charakteru, odznaczają się Illanunowie z Magindanao, którzy własnym orężem opanowali kilka prowincyj na wyspach Borneo i Palawan. P. Edward Belcher zebrał ciekawe wiadomości o bandytach wielkiej odnogi Illanun, pierwotnego ich siedliska, od którego otrzymali nazwisko. Utrzymują, iż są niezależni od sułtana z Magindanao; gdy przeciwnie, są oni mu podlegli. Kiedy obce państwa chcą z nimi wchodzić w układy, odbywają się one za pośrednictwem tego władcy. P. Belcher opisuje w tych słowach ich wielką zatokę Illanun:

„Brzegi téj zatoki, której prawa strona tworzy półwysep, są pokryte gęstemi drzewami; wspaniałe mangolie, wznoszące się na 6 do 8 stóp nad powierzchnią morza, służą za schronienie lekkim statkom. Na całej przestrzeni zatoki, połączonej z kanałem, Illanunowie urządzili przejścia, któremi w razie niebezpieczeństwa wciągają statki do kanału. Odbywają tę czynność z taką szybkością, iż nieraz w chwili, gdy moi ludzie zbliżka nacierali na nich, i kiedy zdawało się, iż im ująć nie potrafią, nagle znikali im z oczu. Jeżeli zaślepieni pogonią, zbliżyli się do któregokolwiek z tych skrytych przejść, byli przywitani gradem kartaczy. Wzdłuż brzegów zatoki, wznoszą się małe domki, zamieszkałe przez

strażników, którzy za najmniejszym znakiem niebezpieczeństwa, rozsiewają trwogę w okolicy. Natychmiast mężczyźni podejmują środki ostrożności. Jeńcy, którym się udało uciec ztamtąd, opowiadają, iż nad kanałami znajdują się mocne fortyfikacje, które służą za potężny środek obrony. Stare prahusy służą tam za domy. Korsarze umieszczają w tych budynkach swoje żony, dzieci, bogactwa, i przenoszą je w dalsze okolice w razie wielkiego niebezpieczeństwa."

W ogóle, mają w Europie bardzo słabe i niedoskonałe wyobrażenie o korsarstwie malajskim. Mało osób potrafiło zasięgnąć wiadomości o rozległości i stanie archipelagu; bez których jednak, liczba stowarzyszeń korsarskich, siła ich floty, porządek ich wypraw, są zaledwie wiarogodne. Po licznych i skrupulatnych badaniach, trudno sobie zdać sprawę z wielu okoliczności, ściągających się do korsarstwa, a które są jednak niezaprzeczenie prawdziwe. Statki np. kupców europejskich i prahusy tamecznych mieszkańców, są napadane przez korsarzy, których schronienie jest niewiadome. Wielka rozciągłość otaczającego ich morza, pokryta jest wielką liczbą wysp; możemy nawet powiedzieć całą gromadą wysp, które znamy zaledwie z nazwiska. Bez wątpienia z tych to nieznaných wysp, wychodzą gromady korsarzy. Na brzegach wschodnich Celebes, Radzowie i ich poddani są wszyscy korsarzami, i posiadają znaczne floty. Naczelnik Kili, ma sam, jak twierdzą, tysiąc prahusów; lat temu kilka, podług najpewniejszych wiadomości, miał ich siedmset pod swemi rozkazami. Wielu Radzów, których twierdze leżą na południu od Kili, posiadają od stu pięćdziesięciu, do dwuchset prahusów. Na brzegach przeciwległych Borneo, i na wschód przylądka

Usang, na przestrzeni tysiąca mil, każda rzeka, każda zatoka jest zajęta przez gminy korsarskie; ich prahusy zebrane razem, stanowiłyby bardzo możne siły morskie. Prahusy te, od ośmiu do dziesięciu tonn, wybudowane sztucznie, są bardzo mocne, lekkie, i biegli wiosłarze nadają im szybkie ruchy. Są one zwykle na pomoście i przodzie uzbrojone armatkami małego kalibru.

Kiedy za pomocą téj broni pokonali swego przeciwnika, przy dźwięku gongu i tamtam wszyscy wojownicy uzbrojeni w szerokie krysze, włócznie, siekiery, miecze, muszkiety i maczugi, rzucają się na ostatnią utarczkę.

„Statki Illanunów, mówi p. Belcher, są wysmukłe, więcej jak na dziewięćdziesiąt stóp długie. Opatrzony podwójnym rzędem wiosła, niosą około stu wiosłarzy niewolników, którzy walczą tylko w ostateczności. Wojownicy są zwykle w liczbie trzydziestu lub czterdziestu. Statek w całej swojej długości jest opatrzony niszami, z których wyglądają armatki. Na pomoście odbywa się zwykle bój; tam ukazują się wojownicy w swych szatach szkarłatnych, pokrytych pancerzami. Ich broń zwykła, są włócznie i krysze, lecz noszą oprócz tego długie miecze, które w średnich wiekach nazywano mieczami oburęcznymi.

Kiedy pomyślimy o wielkiej ilości prochu, znajdując się na statkach, dziwić się należy, iż przypadki pożarów nie są tak częste, jakby się spodziewać należało. Najmniejsze z nich mają po dwie baryłki prochu; największe dźwigają do czternastu lub piętnastu. Dziwiono się nieraz, jakim sposobem dostają oni tę amunicją. Każdy prawie naród europejski jest współnikiem w tym występny handlu. Liczne statki niosące banderę angielską, przyjmują udział w tym handlu; lecz mamy ważne

powody utrzymywać, iż to są szczególnie Francuzi, Chińczycy i Amerykanie, którzy dostarczają prochu korsarzom. Co się tyczy Amerykanów, pewien autor robi uwagę, iż ludzkość powinna być im wdzięczną, gdyż sprzedają proch tak zły, iż jest tylko niebezpiecznym dla tych, którzy go używają.

Rząd holenderski, surowo sprzeciwia się sprzedaży tego artykułu.

Epoki, w których korsarze ukazują się w rozmaitych miejscach archipelagu, są dość dobrze znane. Wypadłoby więc, aby w tym czasie statki kupieckie i prahusy, znajdowały się w miejscach bezpiecznych; lecz kupcy nie mogą przez kilka miesięcy zostawiać w bezczynności swoje kapitały. Zresztą ruch handlu kieruje obrotami korsarzy; od dnia w którymby kupcy zmienili peryod zwyczajny swój żeglugi, korsarze uczyniliby to samo.

Teraz bukanierzy krążą w cieśninie Malakka, w miesiącach października, listopadzie, grudniu i styczniu. W przeciągu trzech miesięcy, t. j. w lutym, marcu i kwietniu, zostają w domu, oddając się rybołówstwu i gotując się na nowe wyprawy. W czasie lata, udają się na brzegi wschodnie półwyspu Malajskiego, i do małych wysp, wznoszących się wokoło Syngapur, aż do cieśniny Banka. W innych częściach archipelagu, ukazują się w różnych peryodach, stosując się do wypraw kupieckich. W ogóle nie zaczepiają płynących statków, lecz korzystają z chwili, gdy je zaskoczy cisza w pewnym oddaleniu od brzegu; natenczas kryją się za skałami i wysepkami, i zniecka napadają na nie. Obawiają się mgły, która mogłaby stać się przyczyną fatalnych pomyłek.

Dnia jednego, pewien Panglima z Radzahu Raża, sławny korsarz Koti, spostrzegł przy pierwszym blasku ju-

trzenki, statek na kotwicy. Dészcz ulewny zaciemniając atmosferę, zdawał się dopomagać zamiarom Panglimy. Chciał przybliżyć się zupełnie do tych, na których miał napaść nie będąc widzianym. Przy dźwięku gongu, jego osada składająca się ze stu czterdziestu ludzi, gotuje się do bitwy. Lecz w téjże saméj chwili Panglima poznał swoją omyłkę. Z boków okrętu, którego uważał już za swą zdobycz, zagrzmiały straszne wystrzały. Napróżno Panglima wołał, iż nie miał żadnej złéj myśli, i że się mylono; wystrzały armatnie powtarzały się bezprzestannie, zniszczyły prahus i zgniotły wszystkich na nim znajdujących się, wyjąwszy pięciu ludzi, którzy potrafili ratować się ucieczką. Nieszczęśliwy Panglima, natrafił na statek wojenny angielski.

¶ Ażeby uniewinnić taką surową karę, dość będzie opowiedzieć jeden z wielu występków, które ją wywołały. Niedawno przedtém angielski statek pod flagą holenderską, opuścił cieśninę Malakka z kosztownym ładunkiem z brzegów Sumatry, gdzie zrobił z mieszkańcami handel zyskowny, i zarzucił kotwicę w rzece Benzarmassin. Tam kapitan tego statku Gravesome, miał to nieszczęście, iż spotkał Radzę, który dowiedziawszy się, iż okręt ten wiozł ładunek ryżu i opium, więcej niż na 24,000 dolarów wartości, użył wszelkich sposobów namowy, ażeby go zniewolić do udania się do Koti. Gravesome przyjął bez najmniejszego podejrzenia to zaproszenie, podniósł kotwicę i popłynął wzdłuż spiekłych pobraż, które się ciągną na południo-zachód Borneo. Tam, często na przestrzeni całej ćwierci mili kwadratowej, nie widać ani źdźbła trawy. Grunt pokryty jest rudą żelazną, która w czasie nocy, gdzieniegdzie wydaje światło dziwne i fantastyczne. Wysepki i skały niezli-

czone, wznoszą się wzdłuż tego niegościnnego wybrzeża, lecz tak są spadziste i niebezpieczne, że najodważniejsi korsarze, nie śmia się do nich zbliżyć.

Nakoniec kapitan Grawesome, wpłynął na rzekę Koti i posunął się w górę téj rzeki na 70 do 80 mil. Radza namówił go do zarzucenia kotwicy, gdy tymczasem on miał się udać do sultana, ażeby wyrobić u niego pozwolenie prowadzenia handlu. Zamiarem jednakże jego było porozumić się z sultanem, ażeby mógł łatwiej wymordować nieszczęśliwych Anglików i opanować ich mienie. Mówią, iż stanął pomiędzy nimi układ, podług którego sultan miał otrzymać trzecią część zdobyczy, a reszta miała należeć do Radzy. Wszystko zostało ułożone; Radza powrócił na statek, zeszedł do kajuty kapitana, i zaczął wyliczać Grawesomowi wszelkie korzyści, jakie może osiągnąć w Tonganrru. Rozmawiając od niechcienia, zdradziecki Malajczyk zdjął ze ściany piękny krysz, który wisiał w kajucie, i zniemacka utkwił go w sercu kapitana. Jego ludzie zręcznie rozsiani po całym statku, rzucili się w téj samej chwili na osadę i do szczytu ją wyrzneli. Pięć tylko osób unikło téj rzezi, pomiędzy któremi znajdowała się kobieta i dziecko, które rozbójnicy otruli w Tonganrru, w nadziei łatwiejszego ukrycia téj strasznej zdrady.

Kiedy Dalton w czasie więcej przyjaznych okoliczności, zwiedzał Koti i inne miejsca; znajdował wszędzie szczątki europejskich statków rozbitych i złupionych przez rozbójników, jak naprzykład: kompasy morskie, teleskopy, chronometra, krzesła, stoły i t. d. Na jednym z nich, Dalton pisał opowiadanie śmierci Grawesom'a i jego towarzyszy. W kilku domach znalazł rozmaite przedmioty, należące do ubioru kobiet europejskich. Pewnego

dnia spostrzegł przed domem jednego z naczelników, kobietę białą, która za jego zbliżeniem, z bojaźni lub skromności schroniła się natychmiast do domu. Dowiedział się tajemnie, iż wielka liczba niewolników białych, jest rozproszona w głębi kraju. Niektórzy z nich są skazani do robót najcięższych i najhaniebniejszych, pod niebem, gdzie upał samym nawet krajowcom staje się przeszkodą, do jakiegokolwiek bądź pracy. Wzdrygać się trzeba jedynie na myśl męczarni, jakich ci nieszczęśliwi doświadczają, pod jarzmem swych dzikich władców, zanim śmierć przedwczesna oswobodzi ich od życia tak nędznego! Taki jednakże był los kilku tysięcy Europejczyków w rozmaitych punktach archipelagu.

Co zaś do krajowców, którzy znieśli tę okropną niewolę, ilość ich jest nierównie większa.

Ażeby położyć koniec tym rozbójniczym stowarzyszeniom, których obraz staraliśmy się przedstawić przed oczy naszych czytelników, trzeba chwycić się środków zupełnie różnych od tych, do których się dotąd uciekano. Zgadamy się w zdaniu zupełnie z tymi, którzy utrzymują, iż najlepszym do tego sposobem, będzie zamknąć korsarzom wszelki przystęp na targi, na które przybywają, dla sprzedaży swych jeńców i złupionych towarów; lecz jestto rzecz nie tak łatwa do uskutecznienia. Często, złupiwszy jaki cudzoziemski statek, lub indyjski prahus w okolicach Syngapur, przenoszą swoje łupy w małych statkach i udają się jak ucziwi kupcy do rozmaitych portów; sprzedają swój ładunek, zakupują broń i amunicję, poczem spokojnie wracają do swych siedzib. Jeżeli podobny handel z łatwością odbywa się w miejscach, często odwiedzanych przez okręta wojenne angielskie;

jakże musi być tolerowany w innych stronach archipelagu, gdzie niewolnicy są potrzebni i gdzie rząd tak dla interesu, jak i ze zwyczaju upoważnia korsarstwo.

P. Broocke sposobami, które użył w Sarawak i w przyległych prowincjach, dał przykład, jakim sposobem trzeba się do tego wziąć, ażeby wykorzenić złe. Niedość jest znieść zły rząd, trzeba na jego miejsce zaprowadzić dobry: inaczej zarodki występku, podobne do roślin pasożytnych, rozwiną się z nadzwyczajną prędkością, i ażeby je wytepić, znowu trzeba byłoby użyć siły. Sarawak jest spokojny, gdyż pozostaje pod wpływem Anglików. Zajęcie Labuanu, posłuży do utrzymania bezpieczeństwa w sultanstwie Borneo, od Rejang aż do zatoki Maluda. Tam było niegdyś jedno z najdawniejszych i najznamienitszych schronień korsarzy. Brunei, było jedném z ich stanowisk, rodzaj składu niewolników i towarów, które następnie przenoszone były w głąb kraju, lub w bardziej oddalone strony. Targ ten jest odtąd zamknięty; a ponieważ wpływ Anglików rozciąga się na północ i na południe téj wielkiej wyspy, niedługo niepodobieństwem będzie dla bukanierów, ukrywać się w tych portach.

Ażeby zapewnić pewny skutek temu przedsięwzięciu, koniecznym jest zaprowadzenie stanowisk wojennych w ważniejszych ogniskach handlu, a ztąd i korsarstwa. Gdy to raz dopiętém zostanie, tameczni mieszkańcy ufając protekcyi flagi Wielkiej Brytanii, podwoją starania, użyją całej energii, i rozwiną wszelkie usiłowania, dla odpędzenia téj plagi.

Słyszeliśmy filantropów, którzy potępiają te sposoby, jako środki gwałtowne i samowolne, i oskarżających nas o korsarstwo na wielką skalę, dla pogńębienia małych

korsarzy i dla usunięcia wszelkich przeszkód, w zbieraniu pieniędzy. Niech ci filantropowie zechcą dokładniej zgłębić historią archipelagu, a poznają wtedy, iż wszystkie inne łagodniejsze środki, będą próżne.

Od czasów Dżyngishana, wszystkie wyspy azyatyckie, wyjąwszy cesarstwo Japońskie, były pogrążone z powodu korsarstwa w najgłębszém barbarzyństwie. Przybycie Europejczyków zamiast położyć koniec korsarstwu, na nieszczęście dodało mu nowych źródeł. Przed przybyciem Portugalczyków w te strony, istniało w Borneo kilka państw dość silnych, ażeby się oprzeć korsarstwu. Natenczas korsarze tameczni byli na téjże samej stopie, co i korsarze europejscy. Byli to awanturnicy bez przytulku, pokładający cały swój byt i sposób utrzymania w mieczu i kradzieży. Lecz gdy władcy tameczni ulegli pod intrygami i okrucieństwem Portugalczyków, Hiszpanów i Holendrów; na ich miejsce powstałi rządcy, nieprzyjaciele oświecenia i porządku: ci połączyli się z rozbójnikami morskimi, w nadziei odbicia dawnych swych własności od ogólnego nieprzyjaciela, Europejczyka. Korsarstwo rozwinęło się wtedy pod maską patryotyzmu; największe występki, uwieńczone zostały imieniem cnoty. Robbójnicy przyjęli charakter bohaterów. Występek, fanatyzm, chciwość, znieważenie praw gościnności i ołtarza: wszystko było użyte w téj walce dwóch nieprzyjaznych żywiołów. Ta oplakana walka trwa od dwóch wieków, a nałóg stał się drugą naturą. Każdy Europejczyk, który przybywał w te strony, uważał się być upoważnionym do obdzierania i uciemężania krajowców. Ci zaś ze swéj strony, całemi siłami wywdzięczali się swym tyranom. Korsarstwo wydaje im się jako rzecz pochwały godna. Korsarze schwytni na gorącym

uczynku, i karani śmiercią w Syngapur, protestowali przeciwko swym wyrokom, jako niewinnie karani za czyny pochwały godne, nakazane im przez naczelników i przez zwyczaje ich kraju. Powinniśmy więc uważać, iż zasady moralności są odmienne w rozmaitych krajach, i że często byłoby okrucieństwem nadawać jednakowe prawa ludom różnych zasad i pojęć.

Nie chcemy jednakże tępić miecza sprawiedliwości, kierowanego uczciwą ręką przeciwko bukanierom archipelagu. Trzeba, ażeby gniazdo os było ujęte. Nie jest naszą winą, jeżeli nie możemy prowadzić uczciwego handlu, nie wytępiwszy tych nieszczęśliwych. Już wielu z nich zniosło najstraszliwsze kary; będą znosić nowe, dopóki przykład nie uczyni dobrych skutków na całej przestrzeni archipelagu. Jednakże zawsze powtarzamy, iż nie powinniśmy uciekać się do siły, kiedy można toż samo uczynić za pomocą łagodności. Powiedzieliśmy już raz, iż nie chcemy powiększenia posiadłości; jeżeli jednak powiększamy nasze ziemie, niech to będzie tylko w celu zajęcia punktu oporu dla tych, którzy są przesładowani. Interes nasz łączy się z bezpieczeństwem wyspiarzy. Żadna okolica tak obszerna, nie przedstawia zarazem tyle źródeł dla handlu, tyle artykułów tak rozmaitych, począwszy od najkosztowniejszych, jak: złota, drogich kamieni, aż do najpospolitszych produktów, potrzebnych do utrzymania życia. Wspaniała zaś roślinność tych wysp, ich malownicze położenie, ich żyzność, łagodny i zdrowy klimat: wszystko sprzyja do uczynienia ich najmiłym pobylem. Jak tylko je lepiej poznają kupcy i kapitaliści, pospieszą natychmiast osiedlić się na tych pięknych brzegach; gdzie pośród pysznych ogrodów, będą mogli zajmować się najzyskowniejszemi przed-

siewzięciami. Krajowcy zajmą się najcięższymi i najmniejbezpieczniejszymi robotami, będą na swych prahusach przywozić płody z głębi wysp, z pomiędzy pokoleń dzikich, i rozwozić je w oddalone strony. Wszyscy potrzebują opieki; jeżeli ją będą mieli, nie pozostaną długo w ubóstwie i ciemnocie.

Ci, którzy wiedzą, jakie zmiany sprowadził handel na archipelagu, ocenią trafność naszych przepowiedni. Przeniknąwszy wewnątrz tych krain, na każdym kroku napotykamy nowe bogactwa: tu kosztowne drzewa, tam znowu owoce lub ziarna. Jednakże nie przeszliśmy za pewną linią w Borneo, Celebes, Palawan, Magindanao i Nowej Gwinei; wszystko co dalej rozciąga się od brzegów, jest nam nieznane, i chociaż szerokie rzeki otwarte są dla statków parowych, wiele jednak ziem pozostało nam do odkrycia. Wewnątrz Borneo wznoszą się górzyste kraje, gdzie Europejczyk może znaleźć schronienie przed skwarem. Podług wszelkiego podobieństwa, góry te mogą być uprawione aż po sam wierzchołek, i nietylko mogą być zamieszkałe przez liczną ludność, ale dostarczą do handlu nowych płodów. Ich teraźniejsi mieszkańcy, są w stanie pierwotnej dzikości. Nie noszą innej odzieży prócz tej, którą własną ręką sobie zrobili.

Teraz, gdy tylko poznają płody naszego przemysłu, pewnie zechcą je posiadać i dadzą nam nawzajem wosk, jaskółcze gniazda i kamforę. Ludzie nie będą chodzić nago, widząc, iż mogą się przyodziać; a zresztą kadjanlu-diak, który zamienia swoje towary na miarkę wódki lub soli, jest więcej oświecony od tych, którzy nie znają takiego handlu.

Natrafiamy w tój rozprawie na wiele miejsc, któreby nas zanadto daleko zaprowadziły, gdybyśmy chcieli rozbiierać je drobiazgowo. Dla rozwiązania tych pytań, radziliśmy się wielu dzieł starożytnych i nowych. Jedno z nich, z któregośmy najwięcej czerpali, był dziennik Jamesa Brooke. Ten biegły i uczony badacz, skromnie zamilczał o wszystkich ważnych usługach, które oddał swemu krajowi. Lecz jego opowiadanie pozostanie pomnikiem odwagi, wytrwałości i bezinteresowności, jakie rozwinął w ciągu swego zadziwiającego zawodu. Wiele także winniśmy pracom Edwarda Belcher, chociaż w tym artykule mało czerpaliśmy z ważnych wiadomości, jakie w sobie zawiera. W wielkiej liczbie swych wycieczek, p. Belcher bardzo rzadko miał styczność z korsarzami. Kończy on obecnie inne dzieło. To, które już ogłosił, jest dla nas rękojmią głębokiej nauki i biegłości, które także rozwinie w swój nowój pracy.

X. B.



WSPOMNIENIE SZOPENA.

PRZEZ

Józefa Sikorskiego.

(Z wizerunkiem).

Taka pieśń moja o Aldony losach;
Niechaj ją anioł muzyki w niebiosach,
A czuły słuchacz w duszy swój dośpiewa.

Konrad Wallenrod.

I.

A więc już tylko wspomnienie!... Nikt nie miał litości, by odwołać nieszczęsną wiadomość, która nam oddawna groziła! Raz już mniemano że skołał; może i teraz zasnął tylko!... Ach! snuć to sen nieprzespany, gdy go tyle żalów przerwać nie zdoła! Szczęśliwy przecież, kto tak zasypia, kto przed skonem uwolnił ducha swego z więzów ciała, kto jak Szopen żył oddawna w krainie nieziemskiej, nawiedzając nas tylko niekiedy, jak podróżny ze stron odległych, by nam przynieść o nich kilka wieści, pocieszyć w smutkach, lepszą zapowiedzieć przyszłość. Ach ta przyszłość! której śmierć początkiem, a wieczność granicą; którą człowiek w uczuciu swój wielkości, albo w potrzebie wiary w miłosierdzie Boże, nieśmiertelnością nazwał, gieniusze nam ją odsłaniają,

niby natchnione proroki. Bez ich pomocy, zaledwie byłoby nam podobnym ruszyć się pod ciężarem jarzma doczesności, gniotącego karki nasze; nie być muszlą, która nie wie o kosztownej perle, w swój skorupie zamkniętej. Gdy mrą proroki, jakżeż ludzkość płakać nie ma? Ich i tak zbyt mało zawsze! Szczęściem, że natchnione ich głosy niestłumioną mają siłę, nie przepadną w przestrzeni bez granic; bo w polocie dotknąwszy niebios, na ich błogosławieństwie do serc naszych przyplyną; najlepsze nasze uczucia echem je powitają i ciągle potęgę natchnionych głosów zwiększać będą, aż przyjdzie czas, że w jednym odgłosie wszystko utonie. I będzie nazawsze i na jawie, jak nam się marzy tylko niekiedy, gdy rany nasze balsamem religii goimy, w filozofii szukamy tarczy od pocisków nieszczęścia, albo się chronimy przed boleścią pod opiekuńcze skrzydła sztuki. W nich ratunek, pociecha, współczucie. Więc szczęśliwy, kto jednej z trzech siostrzyc przyjaźń i opiekę sobie zjednał; więc wielki, kto dobrodziejstw jednej dla ludzi został szafarzem: tém większy, że pod jej znamieniem i dwóch innych, skarby rozruca. Źródło ich jednakowe i przeznaczenie; z nich człowiek czerpie to przekonanie, że jest stworzony na obraz i podobieństwo Boże. Tak go uczą wiara, rozum i uczucia, a daremnie zkądinąd szczęścia dla siebie wygląda. Za czyjém więc pośrednictwem ludzkość je ze skarbnicy łaski odbiera, tego zwie gieniuszem; i prędzej czy później uznawszy go, po stracie jego łyż wylewa: jak po przewodniku, który niósł przed nią pochodnię zbawienia w ciemnicach żywota; jak po proroku, który znękanym duszom okazywał mające je wkrótce przyjąć nieśmiertelności przestworza. Błogosławione pokolenie, z którego wyszedł łona; błogosławiona

i ziemia, która go swemi kołysała pieśniami, swoim karmiła chlebem, a nowy dar do tylu innych dodawszy, ludzkości go posłała! Bogate są krainy nad Wisłą rozłożone, gdy takie mają płody; pełen to życia naród, gdy proroki jego przodkują innych narodów wysłańcom, w wielkiej o wielkiej przyszłości nauce. A bogactwo to najlepsze! Wszyscy go używać mogą; a przybywać go będzie w miarę używania, jako wina w Kanie Galilejskiej; rozmnoży się cudownie, jak owe pięcioro chleba na pustyni. Od czasów Piasta, na polską zamożność cud to już nie pierwszy, a da Bóg i nie ostatni!....

I oto dziś za upadłym naszym prorokiem świat się od płaczu zanosi; bo Szopenowi się zdarzyło, co się małej liczbie gieniuszów zdarza: — uznany był za życia. Niech nikt nie mówi, że to dowód jego niższości od tych, których dopiero coraz dalej postępująca potomność pojęła, a współcześni nie rozumieli; niech nikt nie krzywdzi nieszczęśliwych gieniuszów, którzy Szopena poprzedzili, przyznając mu wyższość, potęgę, która nad marnym współubieganiem się współczesnych, górę wzięła. Raczej czasowi naszemu należy przyznać przy wielu i tę zaletę, że gieniuszów w zawodzie artystycznym przynajmniej nie zapozna; tyle już postąpił w życiu wewnętrznym, że zacność uczuć pojmuje i rozumie znaczenie słów Boskiego prawodawcy: „Królestwo moje nie z tego świata”. Snać Szopen przyszedł w szczęśliwym dla siebie i swój sztuki czasie, skoro go powszechnie uznano; snać zastał ją już dosyć ukształconą, by za jej pomocą mógł cuda opowiadać ludziom, i snać za jego sprawą mocno się rozrosła, gdy niedoścignionym został, choć go tylu naśladowuje. Że z naszego narodu łona wyniósł wszystko czém świetniał; że połowę swego żywota z nami przepędził, połowę,

w której wszystko wzrasta, co na przyszły składa się owoc; że w tym owocu plód własnej ziemi poznajemy: jest nam chlubą i pobudką do łez tém obfitszych. Ale nie jest on naszym wyłącznie: bo gieniusz jest całego świata własnością, i jakkolwiek narodowy będzie, wszystkich narodów ludzie, jak w zwierciadle przejrzeć w nim się mogą; dlatego po Szopenie wszyscy dziś żalobę w sercach noszą. Śmierć podobnego jemu człowieka, zbyt jest wielkim dla ludzkości wypadkiem, by między największemi zdarzeniami rozgłosu silnego nie zrobił. Dziś téż o artyście i człowieku liczne odzywają się głosy; jakby wielki chór uwielbienia powszechnego nie śmiał się zbudzić, aż po skruszeniu śmiertelnej powłoki tego, co był serc bożyszczem :

A nie wstanie dzwon, aż póki

Forma wprzód nie pójdzie w sztuki (1).

Niewygastłej pamięci wielkiego ziomka składając tu kilka wyrazów, czujemy niezmierną trudność przedsięwzięcia. Trudność ta leży w miłości rodzinnej, w wielkości człowieka, i niepodobieństwie wytłumaczenia zwyczajnym językiem boskiej mowy, którą Szopen serca poruszał.

Zanadto wielka dla nas Polaków jest świeża strata, którąśmy przez zgon jego ponieśli, i to, czém był, zbyt mocno nas jako ludzi dotyka, byśmy podwójnej miłości wpływom, dla narodowych rzeczy i sztuki, obronić się z łatwością mogli. Lękać się należy, by łzy, które po nim do ogólnej łez wylewamy krynicy, nie przyćmiły nam badawczego spojrzenia. Mamyż więc zostać katanami samych siebie, wydrzec sobie serce, by nam natrętnie

(1) Szyller w Dzwonie; tłumaczenie ś. p. J. D. Minasowicza.

nie przypominało, co czuło tyle razy? zostawić zimnej rozwadze rozumu ocenienie wielkości sercem stworzonej, dla serca wzrosłej, sercem najlepiej pojmwanej? Nie zaiste!.. Raczej narazić się na zarzut zbytniego przywiązania do wszystkiego, co do Szopena należy, boć to i nasze, niż pozbawiać się tak dzielnego, jak serce przewodnika; by jeśli nie ocenić, dać zrozumieć przynajmniej serce naszymi uczuciami karmione, naszymi podlewane łzami. Wielki nasz poeta nam to radzi:

„Miěj serce i patrzaj w serce” (Romantyczność).

Szopen, jako wielki wypadek dla muzyki bieżącej i przyszłej, stanowiąc epokę w historyi téj sztuki w Polsce i Europie; tém trudniejszy jest do ocenienia w czasie, który sam jeszcze do historyi nie należy, bo go jeszcze nowa warstwa nie pokryła. Wielkość historyczna tylko w rozległe dziejów ramy ujęta, przedstawić się może dokładnie. I z drugiej strony, podstawa do sądu o czasach bieżących gdzież się znajduje, gdy dziś na polu estetyki dawne mniemania uwiędły, a nowe nie wiadomo czy dojrzeją? gdy pomysły (nowe nawet chwieją sobą wzajemnie? A jakże bez tych dwóch podstaw: estetyki i historyi, mówić o człowieku, który pierwszą rozszerza, a drugą dalej prowadzi? Zmuszeni więc oprzeć się na mniemaniach, które podzielamy, i zbyt szerokich, by nowa przypadłość nie znalazła w nich dla siebie nici wiążącej z poprzedniemi; zmuszeni co do historyi oprzeć się na tém, co już wiemy, i tylko rozumowaniem a przecuciem sięgać w przyszłość, rozświecaną niekiedy błyskawicami, jakie sunąca się w nią terazniejszość na zwiady wysyła: czujemy z góry niedokładność obrazu, któryby dziś nakreślić zamierzono. Rzucimy raczej tylko kilka rysów, wzywając na pomoc uczucie, go-

towi nawet zupełnie mu się oddać, jeśli się podejmie rozum objaśnić.

To samo uczucie i przekonanie wewnętrzne, nie dzisiejszemi dopiero studjami stwierdzone, oby nam sił do dało do napomknienia przynajmniej czarów muzycznego języka!...

III.

Fryderyk Franciszek Szopen urodził się dnia 1 marca 1809 roku w Żelazowej Woli, wiosce około dwóch mil od Sochaczewa, a około sześciu od Warszawy odległej. Gieniuszom przypisują zwykle nadzwyczajny w niemowlęctwie niemal jeszcze pociąg do tego, co je z czasem ma odznaczyć. O Szopenie nie podobnego powiedzić nie można; chyba to jedno, że wąż i słabowita dziecina, płaczem okazywała drażliwość niezmierną na dźwięki muzyczne. Wrażenie to zbyt silne na jego nerwy, wczesnie dostrzegane przez rodziców, nie było pewnie bolesne; i niedługo objawiać się zaczęło tak widocznym pociągiem do fortepianu, że już w siódmym roku dano dziecku nauczyciela, a przez wzgląd na wielką jego młodość, siostra starsza godzinę lekcji z nim dzieliła. Żywny, Czech rodem, jeszcze od czasów Stanisława Augusta w Polsce zamieszkały († 1840), był pierwszym i jedynym przewodnikiem rozwijającej się tak wczesnie u Szopena zdolności do muzyki, że wkrótce na prośby młodego ucznia, spisywał jego pomysły. Nieraz je potem dziecię zmieniał, jakby szukając najlepszego do oddania swych myśli środka; przepowiednia to staranności, z jaką wielki z czasem artysta dzieła swoje wykończył. W dziewiątym roku życia tyle już postąpił, że grał publicznie na ubogich koncert Gyrowetza. O tém pierwszym

jego wystąpieniu pisma ówczesne: *Gazeta Warszawska* i *Korrespondent* zawierają wzmiankę pod dniem 24 lutego 1818 roku. Do tego czasu należy marsz, ułożony przezeń na fortepian, wydany w Warszawie, bez wymienia jednak nazwiska autora. Policzony w rząd cudownych dzieci, bywał odtąd jako osobliwość muzyczna częstym gościem w znakomitych domach Warszawy, mianowicie: księżnej Łowickiej, kks. Czartoryskich, Sapiehów, Lubeckich, Zajączka, hr. Skarbków, Wolickich, Okołowa i wielu innych. Tam wczesnie przywykł do wystawności, która go później w Paryżu otaczała. Niemal równe muzycznym, okazał i w innych naukach zdolności: oddany do czwartej klasy b. Liceum Warszawskiego, przy którym jego ojciec był nauczycielem języka francuzkiego, mógł okazać dwie nagrody publiczne, jako dowód pracy gorliwej i nienagannego postępowania (w latach 1824 i 1825). Prace muzyczne z niepohamowaną prowadził dalej gorliwością; nawet słaby z łóżka nie wstając, pieścił się z podsunętym sobie fortepianem. W zapale własnym jedynego już miał przewodnika, a ten go wiódł tak dzielnie, że w roku szesnastym swego życia, znowu publicznie wystąpił. W *Kuryerze Warszawskim* z r. 1825 z dnia 27 maja i 10 czerwca, znajdujemy wzmiankę o występującym Szopenie na koncertach amatorskich, dawanych w sali b. konserwatorium muzycznego. Z jaką zapamiętałością pracował nad pokonaniem mechanicznych fortepianu trudności, niech za dowód posłuży, co opowiadają świadkowie ćwiczeń jego ówczesnych. Uderzony pięknnością akordu z decymą u góry (decyma, interwał o dwa tony rozleglejszy od oktawy), gdy dla szczupłości dłoni objąć go i uderzyć nie mógł: szukał sposobu, jakimby dla swój ręki pożą-

daną rozciągłość uzyskał, i w tym celu między palce kładł rozpierające je przedmioty, niby kliny, i z tym przyrządem noc przepędzał. Zaiste, nie dla czczej chwały z rozległości ręki to robił; nie dlatego zapewne, by innych przewyższyć w pokonywaniu nowych dla fortepianistów trudności, palce swoje na dobrowolne męczarnie wskazywał: ale powiodła go do tego różnica, jaką dostrzegał w piękności między brzmieniem zwięzłych a rozległych akordów, które w kompozycjach swoich upowszechnił, a które świat muzyczny zapewne już dawno oceniając, teraz już przykładem Szopena podlegnięty, do praktycznych policzył; dziś bynajmniej nie są uważane za niezgodne z naturą ręki. Wytworność zmysłu muzycznego Szopena, w dążności téj do daleko sięgających akordów, jasno się okazuje; więcej niżby mniemano, przedstawiają one niezmierność ducha przestrzeń obejmującego, wdzierającego się w nieskończoność: wszystko to cechy dzieł Szopena. Więcej o tém na właściwem miejscu.

Sława jego muzyczna z każdym dniem rosła, bo téż każdego dnia na nią pracował. Mić Szopena u siebie, słyszeć go grającego: należało do najlepszych rozkoszy, jakie wówczas Warszawa dać mogła; a Brunner i Hoffmann, wynalazcy eoli-melodykonu (patrz Bibl. Warsz. z r. 1848 tom II, str. 367) dla podniesienia jego wartości w oczach Cesarza Alexandra, Szopenowi przedstawienie go powierzyli. Lecz ani pierścień brylantowy od Monarchy otrzymany, ni powszechne uwielbienie, nie zdołały go w pracy zatrzymać; dowód to wielkiej skromności i potrzeby zdobycia świata, dotąd nikomu jeszcze nieprzystępnego. Już téż i prace kompozytora wydierały go czysto mechanicznym; prócz Ronda ofiarowanego

pani de Linde (op. 1) i Ronda à la Mazur (op. 5) wydanych w Warszawie u Brzeziny, napisał to wszystko niemal, z czém i na pożegnalnych u nas koncertach, i na pierwszych w Wiedniu, Mnichowie i Paryżu występował. Te prace zajmowały go już całego, a namawiającym go do wytechnienia odpowiadał, że nie może przerywać tego, co o jego przyszłości ma stanowić. Znalazł też i pobudzających niemało w otaczających go przyjaciółach i miłośnikach muzyki, z których tu jednego Tytusa Wojciechowskiego wymieniamy, bo go jako najdroższego przyjaciela, w ostatnim swoim do rodziny liście i Szopen wspomina. Co najznakomitszego posiadała Warszawa w zawodzie muzycznym, żyło z Szopenem; prócz wielu innych, wspominamy tu zmarłego w r. 1826 fortepianistę Alexandra Rembielińskiego, i żyjącego dziś w Nowym Yorku Fontanę, b. nauczycieli w Konserwatorium muzycz. Warsz.: Ernemanna, Czapka i Jawurka, znacznej pamięci starca, który częstym gościem w domu rodziców Szopena bywał. Rady i przykłady jednych, rywalizacja drugich, zastępować musiały poniekąd przewodnika stałego w pracy około instrumentu. Naukę kompozycji wykładał mu Józef Elsner, nauczyciel wszystkich niemal, którzy muzykalność polską podtrzymują. Wprawdzie gieniusz najlepszym sam sobie jest nauczycielem; ale żeby wcześniej doszedł tam, gdzie wysilenia poprzedników nas doprowadziły; by mógł zacząwszy tam, gdzie inni skończyli, dalej świat poprowadzić, stać się nauczycielem: sam piérwój uczniem być musi. Że więc przez pośrednictwo Elsnera, prace i nauki z ubiegłych wieków streszczone w system, dostały się do pojęcia Szopena: uważamy za szczęśliwe dla ucznia, chlubne dla mistrza. Być uczniem Elsnera, byłoby mieć pewność, że

się nic nie opuści, co istotę nauki stanowi; być nauczycielem Szopena, jestto posiąć prawo do pamięci historii, równe niemal innym, które imię Elsnera na jej kartach zapisały.

Zbierając wszystko, coby można uważać jako wpływające na kształcenie się o własnych niemal siłach idącego młodzieńca, nie możemy pominąć i jego wycieczek za granicę Polski. Pierwszój, odbytej w r. 1826 do wód w Reinertz na Szląsku, liczyć tu nie można: bo ją tylko dla poratowania zdrowia słabego od urodzenia, a pracą więcej jeszcze nadwątłego, przedsięwzięto. W wycieczkach do Berlina w r. 1828, a do Wiednia i Pragi w r. 1829, nigdzie Szopen publicznie nie występował; a chociaż już podobno stał na równi z pierwszymi, a od wielu był wyższym: nikt o tém niewiedział, dla braku sposobności porównania. Indywidualność jego muzyczna połowy już dojrzałości doszła, a wzory, które mógł gdzieindziej spotkać, niewiele go nauczyć zdołały. Co w nich dobrego dla siebie znalazł już dawno był sobie przyswoił, a w wielu rzeczach własną poszedł drogą. Wycieczka do Berlina tém najwięcej pamiętna, że zatrzymawszy się w Poznaniu, Szopen jednego więcej zyskał miłośnika w osobie ś. p. księcia Antoniego Radziwiłła (autora muzyki do Fausta Goethego i znakomitego wiolonczelisty), i w jego dobrach Antoninie bawiąc czas jakiś, pracował około Tria (op. 8), które mu potem dedykował.

I oto w opowiadaniu Szopena dziejów, jużeśmy przyszedli do przysionka ery, w której zaczął życie, że tak powiemy publiczne, poźegnalnemi koncertami w r. 1830 w Warszawie danemi. Wystąpił jako wirtuoz i kompozytor niezrównany w swym rodzaju; oba te przymioty

uznała już w nim Warszawa, nim jeszcze głosy zagraniczne wielkość jego okrzyknęły; jakby na przekorę zbyt niestety prawdziwemu zdaniu, że dopiero to cenimy, co inni rozślawią. Z Kuryera Warszawskiego dnia 16 marca 1830 r. (a więc w wigilię koncertu) dowiadujemy się, że ciekawość posłyszzenia Szopena tak była wielką, że nie starczyło łóż dla zgłaszających się miłośników. Na tym koncercie znajdowało się 880 osób. „Co dowodzi, że prawdziwy talent nasza publiczność zwykła nagradzać. Młody wirtuoz zadowolnił obecnych; przyznano mu, że należy do rzędu znakomitych mistrzów” i t. d. Na drugim koncercie, o którym mówi tenże Kuryer z d. 23 marca, słuchaczy było 900. „Powitano wirtuoza rześystemi oklaskami i ciągle je ponawiano; szczególniej po wykonaniu ronda krakowskiego”. Doniesienie to mówi dalej o improwizacji Szopena ze śpiewek znanych: *Świat srogi, świat przewrotny, i: W mieście dziwne obyczaje*. „Obecni powszechnym odgłosem przywołali wirtuoza, a jeden z lubowników muzyki zawołał: Ej! zmiłuj się, jeszcze przed odjazdem daj choć jeden koncert”. Zapał, jaki muzyka Szopena wzbudziła, różnie się objawiał; to tworzone mazury i walce z motywów koncertu, fantazyj, ronda krakowskiego; to pisano wiersze na cześć artysty^a Sonet, zamieszczony w Pamiętniku dla poci pięknej (tom II, poszyt 2) Leona Ulrycha, przedrukowany w Kuryerze, przytaczamy tutaj:

Do Fryderyka Szopena, grającego koncert na fortepianie.

Ach! jakaż to pieśń szczytna śpiące serce budzi
I tyle razem uczuć ożywia w mém łonie?
Czuję, jak krew się burzy, oko żarem płonie,
I myśl wśród tłumy ludzi, zapomina ludzi.

Nagle piosnka nadziei smętną duszę ludzi,
 I w rzewném upojeniu łzę tęsknoty ronie;
 To znowu pieśń ojczysta wszystkie czucia studzi,
 I jedno święte czucie w polskiém wskrzesza łonie.
 Dusza siłą tych pieśni porwana do góry
 Na harmonii skrzydłach w niebiosą ulata,
 Aby się tam pobratać z anielskiemi chóry;
 Lecz jedno ją uczucie krępuje do świata,
 I jeszcze z niebios granic powraca do ziemi
 Żeby się jeszcze pieścić z pieśniami twojemi.

Na ostatnim koncercie spadły wieńce rodzinnych kwiatów do stóp artysty, a jeden z nich dotąd familia Szopena przechowuje, jako pamiątkę wróżby, co się tak świetnie spełniła. W jesieni r. 1830 opuścił Szopen Warszawę, która reprezentowana przez swe znakomitości artystyczne i amatorskie, odprowadziła go do Woli, i swe serdeczne życzenia, w umyślnie przygotowanym dla niego upominku, złożyła. Piérwszém miastem zagraniczném, gdzie się zatrzymał, był Wiedeń. Popularność w nim zyskał słynnemi waryacyami (op. 2.) z tematu ulubionego zawsze Wiedeńczykom Mozarta: *La ci darem la mano* i Polonezem z wiolonczelą (op. 3). Dopiero późno w r. 1831 opuścił Wiedeń i przez Mnichów, na końcu tegoż roku, do Paryża przybył. Już go tam sława z Niemiec, a szczególnie z Wiednia poprzedziła; przecież lubo ten gród ostatni nie przestał być jeszcze wyrokować o artystach, muzykach szczególnie: Paryż jednak zbyt wysoko już cenil własne zdanie, by natychmiast obce przyjąć; zbyt wielkim był odmětem, w którym wyprężone rywalizacye walczyły, by łatwo było cudzoziemcowi dać się w nim poznać. Jeden z koryfeuszów ówczesnych fortepianu, Kalkbrenner, tam stałe miał mieszkanie, i panował nad wszystkiemi, którzy się temu instrumentowi odda-

wali. Jego więc uznania i poparcia szukał Szopen; i tyle przecież zyskał, że wielkość paryzka podjęła się protegować przybysza, jeśli tę trochę niesfornego talentu, który przyniósł z Polski, uda się w kluby francuzkie ująć trzechletnią nauką. Skromny w rozumieniu o sobie młodzieniec, wdzięczny za ofiary mistrza, złożył mu w hołdzie jedno ze swych arcydzieł (koncert op. 11), a po radę do swoich się udał. Ale znający dobrze wartość i byłego swego ucznia, i tego, który mu się za nauczyciela narzucał, Elsner energicznie go od tego kroku odwiódł; i tym sposobem, jeśli nie można powiedzieć, uratował indywidualność Szopena jako już zbyt wybitną, by przepaść miała: to przynajmniej wstrzymać jej w pełnym biegu nie dozwolił. Tymczasem też w muzycznych salonach Zimmermanna i Pleyela poznany już zaszczytnie Szopen, wkrótce stał się rozkoszą miłośników sztuki, wzorem artystom, a niebawem wszystkich niemal bożyszczem, jak dziś wszystkich serca przedwczesnym skonem żalobą napęłnił.

Pobyt jego w Paryżu, małemi tylko przerywany był wycieczkami: to do południowej Francji, to do Rouen, to do wód karlsbadzkich, a przy okazji do Lipska i Dreżna (w r. 1836); to do Hiszpanii i jednej z wysp Balearskich (w towarzystwie Jerzego Sanda), to do Londynu, który dwukrotnie odwiedzał. Zdobywszy sobie hołdy muzycznej dziś stolicy świata, udał się i do handlowej; ale jej swęj wielkości publicznie poznać nie dał, aż dopiero w r. 1848, gdy wybuchy polityczne Paryża i Francji, przeszkadzając jego nawykniom, wypłoszyły go do Londynu. Po wyborze 10 grudnia, znów powrócił do miasta, które z 16 na 17 października 1849 r., o go-

dzinie 2ej po północy opuścił, by zamieszkać nazawsze świąty, tyle razy w dziełach swoich opisane.

Skréślenie jego stosunków z ludźmi wysokimi gieniuszem, znaczeniem lub majątkiem; jego opinij, drobnych szczegółów życia i ubocznych okoliczności: obowiązkiem będzie przyszłego biografa Szopena. Tutaj wymieniamy niektóre z osobistych jego przymiotów, przez znających go zblizka powszechnie mu przyznawanych. Posiadał wszystkie nieodbicie potrzebne, by być ukochanym od ludzi: hojną dobroczynność, dla której sam nieraz bywał w potrzebie, usłużność szukającym jego poręki i rad, delikatność, wysoki rozum, godność w obejściu się; a co zapewne zadziwi znających jego dzieła, chwilową wesołość z pustotą graniczącą, i Garrikowską zdolność naśladowania osób z mowy, ruchów i fizyonomii, co dowodzi bystrości postrzegacza (1). Publicznie rzadko występował; a i wtenczas najwięcej drobniejsze rozmiarem utwory swe wykonywał. Żałować tego należy, bo tradycya o pojmovaniu i oddawaniu dzieł większych mało się rozszerzy, i może pokrzywiona do naszój ziemi, pierwszego jój źródła, dojdzie. Jednak wielu uczniów i uczennic Szopen pozostawił, a więc nie licząc innych, tyluż wielbicieli i przyjaciół. Któż nie rozumie tój cudownej sympatyj, jaka wiąże ucznia z nauczycielem, gdy pierwszy jest pojętnością i uczuciem, a drugi tylko przewodnikiem być potrzebuje! Węzeł to słodki jak ów, który rodzice z dziećmi sprzęga. Czułość i troskliwość z jednéj, ufność i wdzięczność z drugiej strony, zlewają się we wspólnym żywiole miłości dla sztuki. Dwie istoty w jednym utopione ideale, mogą z egoisty-

(1) W domu rodzicielskim bawiąc, mało się wdawał w huczne rówieśników igraszki, ale lubił ciche figle, drobne psoty.

czném pokochać się wzajem uczuciem. Gdy na jedną nadejdzie kolej przenosi do wieczności, druga staje się jej pieniem łabędzia, i na skrzydłach sztuki wspólnie ukochanej, podnosi ją na nieśmiertelne wyżyny; a jakby żalosa z czasowego rozdziału, zimne reszty gorącemi usługuje wskrzesić łzami. Tak skończył mistrz, który sam także dawniej opłakiwał ucznia. Imię Karola Filtsch, zmarłego w 15tym roku życia, często z uczuciem głębokiego żalu na ustach jego błądziło.

III.

Niewiele szczegółów biograficznych, któreśmy tutaj spisali z podań to familijnych, to przyjacielskich, to doniesień pism peryodycznych; należy po większej części do połowy żywota, która Szopenowi między nami ubiegła. Od drugiej połowy rozdzieleni przestrzenią, chwytałyśmy z rodzinną ciekawością szczegóły, rodzinném do nas przyniesione zajęciem. Ale mętnym tym wieściom to brak pewności, to związania ze wspólnie biegnącemi wypadkami jego życia, a które zapewne to mniej, to więcej wpływały na artystyczne jego prace. Z czasem, gdy rozproszone ułamki zbiorą się w jedną całość, i te, co dziś wiadome, i te, które wyswobodzenia zpod pieczęci tajemnicy od niejednej może wyglądają śmierci: wten czas wstanie światło jasne i całą postać obleje. Dziś tonie ono w przerwach licznych; a coby miało wewnętrzne objaśniać życie, samo od niego podniecania wymaga. Bo jest biografia ręką samego autora skreślona, po jego rozłożona dziełach. Dzieło sztuki, jak niemal każde człowieka dzieło, jest odbiciem chwili, pod której wpływem stworzone było; więc szereg dzieł czyli

dzieło zbiorowe, jest skupioném echem różnych chwil żywota; ktoby je umiał czytać, odgadnie całą przebieżną drogę, policzy szczyby na sercu; taka biografia nigdy nie myli, choć się pod niezwykłą tai formą. Wszak twarz człowieka, daremnie larwą się kryje; oko bystrego postrzegacza schwyci jedną, dwie błyskawice oblicza, i wie czego się trzymać. Wyraz daremnie myśl w kostium obłoczy; niech raz tylko osłona spadnie, już prawda dojrzaną zostanie; i że ostatnie mamy tu porównanie: daremnie ziemia nasza historją swoją warstwami przygniotła, pokładami minerałów zasula królestwo roślinne i zwierzęce, które zmarnowała, pobudowała na nich piętra skał niebotycznych, a nawet je niekiedy dla niepoznaki morzem zatopila; — przyszedł człowiek i wszystkie te sztuki zrozumiał, lata jej policzył, nieporządne opisał sceny, i z dowodami w ręku, oskarżył o zatracenie ogrodów i strumieni i zaludniających je stworzeń. Przecież na ocenienie i rozbiór dzieł Szopena, ważyć się tu nie śmiemy; praca to olbrzymia, wielkich sił wymaga, i łatwo tomy wypełnić może. A nawet owa biografia serca, o której mówiliśmy, że ją z dzieł jego wyczytać można, byłaby zawczesną. Czasu na to potrzeba, by wczytywaniem się powtarzaném, wyrobić w sobie przekonanie, że się nietylko pojedyncze dojrzało chwile, ale i wiążący je łańcuch dostrzegło; by wykazać, jak jedna z drugiej się rodzi, by następnej dać początek. Taka genealogia uczuć rozgałęzionych w odcienia, może jeszcze w ukrytych i niewydanych utajona dziełach, nie może być rozwiniętą pospiesznie. Pozostaje więc krótki pogląd na najwydatniejsze chwile; z nich wypłynie natura gieniuszu Szopena, i częściowo przynajmniej zasługa jego dla ludzkości i sztuki.

Jako wirtuoz i kompozytor, Szopen prawie wyłącznie oddał się fortepianowi, o którym utrzymywano, że ze wszystkich narzędzi muzycznych, najmniej jest zdolny przemówić do duszy. Szopen ten sposób widzenia rzeczy na zapomnienie skazał, ucząc, jak z natury jego korzystać, i za jej pomocą cuda niemal czynić można. Zawód więc jego artystyczny tak ściśle z historią fortepianu jest związany, że ją tu pokrótce opowiedzieć należy; mianowicie w czasach tylko co poprzedzających zjawienie się Szopena. Niewiele wyrazów na to starczy.

Od czasów Clementego (1) zwanego ojcem fortepianistów, i współczesnego mu Mozarta, datują szkoły, z których pierwsza Fieldem (2) i Cramerem (3), druga Hummlem (4) się szczyci. Wkrótce też i inne rywalów do

(1) Muzio Clementi urodzony 1752 r. w Rzymie. W r. 1780 po sześćoletnim w Anglii pobycie dał się słyszeć w Paryżu, a potem Wiedniu, gdzie rywalizował z Mozartem. Powróciwszy do Londynu, po dwudziestu latach znów w r. 1802 podróż po Europie od Paryża począł, wożąc z sobą Fielda, którego w Petersburgu zostawił. Drugim jego znakomitszym uczniem był Ludwik Berger, który chwilowym duchem niektórych prac swoich, do Szopena się zbliża. Clementego *Gradus ad Parnassum* (1817) streszcza wszelkie trudności fortepianu i okazuje, że autor za kształcącym się instrumentem postępował.

(2) John Field uczeń poprzedniego, urodz. około 1780 w Anglii, w Rosyji się osiedlił. W wykonaniu nawet drobiazgów tak był zachwycający, że, jak utrzymywali znawcy, nawet Hummla za sobą zostawił. W harmonii był słaby. W 1832 z Moskwy udał się do Londynu, Paryża, południowej Francji, Włoch, i do Rosyji powrócił.

(3) Urodzony w 1771 r. w Manheim. Wpływu na wirtuozów nie wywarł wielkiego, bo siedząc ciągle w Londynie, dopiero w 1834 r. i to na krótko do Paryża przyjechał, i na niego też postęp muzycznej exekucji nie wpłynął. Rozstawił swe imię ćwiczeniami na fortepian, które długo jedyne, od wszystkich używane były, i dziś nawet jeszcze są konieczne.

(4) Jan Nepomucen Hummel w końcu kapelmistrz na dworze W. ks. wejmarskiego, urodzony w Presburgu 1778 roku. Uczeń Mozarta jako fortepianista, a od r. 1795 Albrechtsbergera słynne-

walki wystąpił; ze szkoły paryzkiej (konserwatorium) wyszedł uczeń Adama, Fryderyk Kalkbrenner (1), a z pragskiej, Moscheles (2), uczeń Fr. Dyon. Webera. W czasie gdy Szopen o dojrzałym już talencie miał się na świat muzyczny wychylić (1830), Field i Hummel poczynali schodzić już z pola, a o Cramerze prawie nie było słyhać; rywalizacja zaś Kalkbrennera i Moschelesa do rozpacz przywołała znawców, gdy szło o przyznanie jednemu z nich pierwszeństwa; zwykle ostatni posłyszany je otrzymywał. Co się tyczy mechanizmu, oba współzawodnicy pracowali nad nim z zaciętością, jakby im chodziło dopiero o uzyskanie sobie imienia; a gdy Moscheles, by drogiego nie stracić czasu, a raczej podwójnie z niego korzystać, w podróży nawet palcom wytchnąć nie dozwolił, mordując je na niemiej klawiaturze; Kalkbrenner zalecał Europie, jego mechanizmem zdumionej, swego przewodnika ręki (guide-main), na którym sam pracował z uporczywością, by wyswobodzić palce, zrównać ich siłę różną z natury. Te i tym podobne wysilenia, posunęły mechanizm palców (nie tyle dłoni, bo to, wyjąwszy oktaf, nowsza już sztuka) do ostateczności, równie godnej

go ostatnich czasów kontrapunkcisty, później Saliergo; pod ich przewodnictwem stał się jednym z najznakomitszych kompozytorów, szczególnie na fortepian. Od roku 1820 znany był w całej Europie jako wirtuoz i improwizator.

(1) Fryderyk Kalkbrenner, w kompozycji uczeń Catela. W r. 1802 jako chłopiec czternastoletni dostał dwie pierwsze nagrody Konserwatorium paryzkiego, za grę i kompozycją na fortepian. Od r. 1823 podróżował po Europie, i mimo rywalizacji innych, za pierwszego uważany. W r. 1834 podróżował po Niemczech.

(2) Ignacy Moscheles urodzony w Pradze 1794 r.; prócz Dyoniego Webera, który był rektorem Konserwatorium pragskiego, równie jak Hummel uczeń Albrechtsbergera i Saliergo. Jako fortepianista słynny prawie tyle, co Kalkbrenner, a w kompozycji wyższy od niego.

podziwienia w epoce dwóch koryfeuszów, jak dziś bohaterские nowych wirtuozów zdobycze. Sztuka ówczesnych, jak i za ich poprzedników Clementego i Mozarta, hołdowała najwięcej tego rodzaju utworom, w których się najlepiej okazać mogła; a każdy dobierał sobie trudności, mogące usposobienie jego mechaniczne najkorzystniej wydać. By stopniowanie tych trudności, a raczej ich ducha wykazać, można powiedzieć w ogóle, że je zrazu kalkowano na gammach i zwykłych arpedżiach; dalej posunięto się do passażów podwójnych; Kałkbrenner nawet pełniejszych akordów rad używał, Moscheles zadziwiał zuchwałemi skokami. Wprowadzeniu większych nad oktawę interwallów, tak się zrazu opierano (choć ich od czasu do czasu kompozytorowie, Dussek naprzykład używali), że pierwsze z dzieł Fielda dla nich właśnie nie zyskały wziętości. — Tyle o stronie mechanicznej; że była znakomitą, to widać; a pomnąc na zastosowanie tego wszystkiego w kompozycjach, łatwo odgadnąć ich świetność i brawurę; któż ich nie pamięta? Zastosowanie to jednak nie działo się tak nieszczęśliwie, jak dzisiaj; nie przesadzano do tego stopnia, by jak to dzisiaj miejsce najczęściej miéwa, z podrzędnej główną rzecz uczynić: staranniej wybierano stosowną porę. A jeśli w kompozycjach na publiczne wystąpienie obrachowanych, hojną nieraz dłonią przypraw narzucano: to z drugiej strony gruntowne i długie nieraz studia, pod surowemi z dawniejszej daty mistrzami w kontrapunkcie odbywane, zamiłowanie w innych rodzajach kompozycji i uzdolnienie do nich uczyły, że błyszczenie nie jest celem muzyki, i ciż sami wirtuozi pozostawiali w innych rodzajach znakomite dzieła. Po ich fakturze, znać jeszcze nałóg błyszczenia, wielką świetnością pomysłów i wią-

zadeł się odznaczający, ale nie brak i ustępów z serca istotnie wysnutych, a tak nieraz przeważnie dzieła cechujących, że im nadano nazwę muzyki towarzyskiej. Nazwa ta tak dokładna, że znając ówczesne towarzystwo (pod tym jednym wyrazem rozumiemy i niemieckie *Gesellschaft* i francuzkie *salon*, choć między niemi są różnice), ducha téj muzyki odgadnąć i z muzyki ducha towarzystwa wyczytaćby można.

W ciągłym niemal pokoju Europy od kongressu wiedeńskiego, aż do roku 1830 (epoka wystąpienia Szopena), po uregulowaniu stosunków politycznych, wszystkie stany jeły pełną oddychać piersią; po długich zaburzeniach wojny, nastąpiła ufność w nowy porządek rzeczy. Pojęcie siły własnej przypomniało się wszystkim narodom, bo wszystkie w długiej walce kolejach choć zwyciężane nieraz, i zwyciężkie bywały. Skłoniło to dumę narodową do popierania wszystkiego, co w domu u siebie zacząć znaleziono, by i na tém polu stawić czoło rywalom. Szperanie we własnym skarbcu, znalazło tam wiele obcego: to zadawniałego, to nowemi zaniesionego burzami; nastąpiły czasy rozległych historyczno-oczyszczających badań, nową ozłocone filozofią. Co one odosobniały, to łączyły: przemysł, handel i sztuki, odpowiadające ogólnym potrzebom ludzi, których doświadczeniu rodzinna gręda za ciasną już była. Przyszedł czas uczo-nych i artystów, długim pobytem w cieniu zniecierpliwionych, a cześć i nagrody, dotąd ludzi wojny i polityki najwięcej spotykające, do nich teraz przechodzić zaczęły: wszystko się nawet łączyło, by im je na długo zapewnić. Prace rolnicze, przemysłowe i handlowe, poprawiły wkrótce nadwężone fortuny, albo nowe na silnych wzniosły podstawach; a błógięgo stanu rzeczy nie zdołały zakłó-

cie ni odzywające się głosy alarmistów, ni poczynające się już zabiegi nielicznych malkontentów. Miasta poczęły kosztować dobrego bytu i przyjemności życia, w których sztuki, jako mocno się do nich przykładające, rozległe zajmowały miejsce. Młodzież i starsi, zamiast jak dawniej stawać pod skrwawione sztandary, albo łamać sobie głowę nad polityką, biegli raczej w ulubione schadzki, by to tańcem, to muzyką, urozmaicić jednostajność spokojnych zatrudnień. Słodkie uczucia miłości, przyjaźni, zadowolenienia, nadziei, ocienione lekką tęsknotą powłoką, kołysały życie, na którego tle różowém, niekiedy tylko zdawała się przesuwac chmurka wspomnienia, raczej westchnieniem, niż łzami wydęta, i znów ją jakiś podmuch tryumfu czy radości przeganiał.

Oto wątek, z którego muzycy ówczesni obrazy swe tkali; bylto czas najsilniejszego rozwinięcia się muzyk zbiorowych, od duetu i tria począwszy. Kwitnący już i uznany, choć niezupełnie jeszcze pojmowany Beethoven, całym wpływem przeważnego gieniuszu kierunek ten popierał. Wielu mu pomagało i tak skutecznie działali, że do dziś, szczególnie w Niemczech jest ulubiony: lubo już i duch tych kompozycyj, wpływem Onslowa nadewszystko, zmienił się jak i duch czasu.

Beethoven, człowiek do żadnej nie należący szkoły, co się dzieł jego późniejszych dotyczy, koryfeusz muzyki instrumentalnej, sam jeden prawie coraz głębszy, czyli jak mówiono, coraz większy sceptyk i dziwak, był poniekąd reprezentantem niedowierzania, z jakim ludzie o bystrzejszym spojrzeniu, a może i pewnych zamiarach, na różowe patrzyli czasy, i dlatego stał odosobniony. Ale myśl, którą przedstawiał, nie na długo śmiercią jego (1827) zerwana leżała.

IV.

Ujął ją Szopen i wiódł przez swoje czasy; im bliższy Beethowena, tém mu podobniejszy, (choć więcej samoistny odrazu niż tamten, widocznie z Hajdena i Mozarta wypływający), im odleglejszy od niego, tém odrębniejszy, tém dokładniej obraz swój epoki w dziełach swoich oddawał. Jój cechą: pokój wewnątrzniemi nurtowany burzami, zuchwalstwo pomysłów i powszechne nakoniec skruszenie stawideł, powściągających ludzkość ku wielkiemu oceanowi płynącą. Więc Szopen na krawędziach dwóch er stanąwszy, kołysany jedną, drugiej zamętem porwany, zostawił w dziełach swoich ślady obydwóch; a téj głębsze, która go dłużej rozwiniętym widziała. Tak zaś dalece był jój wychowawcą, że upadł z nią razem, nie bez proroczego w przyszłość spojrzenia. Przyszłość ta jednak nie może być przepowiednią dalszych kolei, i nie jest: bo sztuka nie fakt, ale wrażenie idące z niego odbija. Przyszłość owa jest raczej przedsiönkiem wieczności, w której opiekuńcze łono rade tuli się wszystko, co w doczesności nie widzi dla siebie pościechy.

Niepodobna tu rozgraniczać kierunków o których mówimy, jak nie można ująć niktącego ciągle czasu, w téj samój chwili nurzącego się w przeszłość i w przyszłość zagląającego. Żeby je dopatrzeć, dosyć porównać pierwsze Szopena dzieła ze środkowemi; młodzieńca, ze skończonym człowiekiem. Wprawdzie łączy je ta sama indywidualność zawsze wierna sobie, przecież pracą czasu kierowana; i na témto właśnie polega owa możność, o której wyżej była mowa, wydobywania wewnętrznych dziejów artysty z dzieł jego. Duch ludzki dwoja-

kiego świata ulega wpływom: zewnętrznego, co jest złożony ze wspomnień, pamiątek, ogólnych i szczególnych dążeń, przyjaźni, rodziny i wielkiej rodziny, co się ludem zowie; drugi świat wewnętrzny, zaludniony władzami umysłu i serca, ów pierwszy reflexyą odziewa. Wpływ obudwu zmieszany, daje indywidualność człowieka, czułą na wpływ nieustanny dwóch tych światów: czynu i myśli. Nie może ona uchronić dzieła swego od tego wpływu, ani się sama zmienić; bo gdyby nawet działanie dwóch wyżej wspomnianych światów, nowy kierunek przybrało: to utworzone z niego amalgame, gotową już budowę okryje, ale form jej dawnych nie zatraci. Ślad dawniejszych wpływów na zawsze pozostanie, jak pozostaną skutki zamieszania organizmu, sprawione ciężką, choć wyleczoną już chorobą; złe usunięte zostało, ale doświadczenie zapisało swoją bytność i nowymi coraz kartami swój dziennik powiększając, na najpierwsze się ogląda; z nich bowiem urosło. Z tej strony uważane, dzieła Szopena mają jedność, z postępem czasu w niezmierną przedzierzgamą się różnorodność.

Ciekawy jest widok, jak się duch jego wywijał stopniowo spod wpływu szkół, na których się jako kompozytor kształcił. Niepoddany wyłącznemu kierunkowi żadnej z uświęconych ówczesnie muzykalnych wielkości, dobrowolnie wyrabiał z nich wzory dla siebie. Znać to w pierwszych jego dziełach: to w formach ogólnych, to w układzie budowy, to w fakturze pomysłów. Tu należą jego koncerty, rondo, wariacje, fantazyja z pieśni polskich, polonez z wiolonczellą i trio. W nich jednak zarazem widać śmiałość i nowość pomysłów, niezależność prowadzenia, wielkość wynalazku, które go odrazu na pierwszym miejscu między kompozytorami postawiły.

Indywidualność jego zmieszała młodzieńczą elegancją z tkliwością, pieszczotę z energią, pod niebiosa biejącą nadzieję ze smętnością; a to wszystko z rozrzutnością, pokazującą odrazu niewyczerpane prawie skarby, ledwie napoczęte. I w istocie, zamożność jego w myśli tak była niezmierną, że podobno niktby nie znalazł w licznych jego dziełach dwa razy téj samój; wyjąwszy kilku passażów własnego pomysłu, a i to nie bez pewnych zmian i rzadko się powtarzających. W piérwszych to już pracach Szopena znać samoistnego wirtuoza, potężną wolą rozsuwającego szranki, o które się dotąd zapędy poprzedników jego rozbijały. Roztworzywszy drogę chciwym swobody, okazawszy im sposób, jak się na nią dostać (etiudy op. 10), gdy szaleńcy dalej pobiegli, on ją leżącą przy niej skorby ludziom pokazywać. Wątpliwości nie ulega, że te piérwsze dzieła były nieco wypadkiem ogólnój ówczesnej muzycznej dążności; pod znanemi i wziętemi formami, miały mu otworzyć świątynię, w której się magowie fortepianu rozsiedli, a nadto wprowadzić w świat pomysły nowe, jakby za paszportem ogólnego przyzwolenia. Ale dokazawszy swego, Szopen i z tych owładnień formą niedługo się wyswobodził, i tak ją nową uczynił, jak i odrębna treść, którą jój powierzał. Nie chcemy tu utrzymywać, że całkowicie nowe wynalazł formy; to niepodobna, bo wszystkie z jednéj się rozwijają, a ta piérwsza na filozofii sztuki oparta, zawsze jedyną będzie, i wystarczy, jako nadzwyczaj elastyczna. Chcemy tylko nadmienić, że rozległość fantazyi Szopena, sięgającej i dalej i głębiej niż dotąd bywało udziałem kompozytorów, którzy swoje w pewne, że tak powiemy, przegródki formułkami opasane wciskali, nie mogła się w takich korbach rozwijać. Więc je Szopen skruszył nie-

dlatego (jak utrzymywali nierozumiejący jego myśli), by się okazać oryginalnym, niepospolitym; ale, że oryginalność i niepospolitość pomysłów do tego go zmusiła. Dostyc tu przytoczyć na dowód *Larghetto* w patetycznym koncercie drugim (op. 21), albo *andante spianato* przed polonezem (op. 22). Nawet formę szczupłą mazura Szopen złotem myśli wypełniając, na fantazyą zamienia; np. w dziele 58. A dzieje mu się jak każdemu, co z pełności uczucia przemawia; im więcej mówi, tym więcej ma do wypowiedzenia: bo gdzież przedmiot serdeczny, któryby się dał wyczerpać? W tym nawale myśli i wyobrażeń, jedno prze drugie, zmienia się niekiedy w ścisłość zagadkową prawie (ballada op. 38, polonez pierwszy op. 26); takim potokiem potężnych wali się pomysłów, że powtarzaniem uporczywém dopiéro się wcielić w dzieło trzeba, by je posiąść, rozdzielić, by pojedynczo obejrzawszy, objąć całość. Przecież w tém wzburzeniu niema zaburzenia: jest logiczność utajona, mimo śmiałych wyrzutni całych myśli. Jest granica nawet uczuciu, o którym wiemy z tego, cośmy posłyszeli, że jest bez granic; koniec materialny raz być musi, ale słuchacz pojąwszy treść, długo ją jeszcze w tym samym duchu prowadzi.

Duch ten zaglądnący już i do pierwszych dzieł Szopena, czarujących czystością poglądu na świat Boży, a przenikających przecież tu i owdzie żałości głosem, zamienia się stopniowo w coraz głębsze szperanie, i zdobyczą jego bogaty, przechodzi przez wszystkie odcienia boleści: od smętności do rozpacz, trapiącej się z ascetyczną rozkoszą pokutnika. Czyto doświadczenie, czy rozdział z rodziną i samotność wśród zgiełku, czyto cierpienia

niszczącego się organizmu, a może to wszystko razem; dość, że z dzieł Szopena widać stopniowe odłączanie się od świata, zamykanie się w sobie samym. Dobrowolne lub przymuszone wyrzeczenie się jednego, musiało drugi świat rozszerzyć; czyn w myśl się przedzierzał, ideały niepodobne do urzeczywistnienia w fantazyę przeszły, dramat w liryzm, który tłumacząc się na pełnym zasobów instrumencie, pomnożonych wynalazkiem Szopena, rozpierał się coraz potężniej. Ztąd wtorujące zrazu chórem akkorda, rozwiązują się na samoistnym życiu drgające głosy (np. mazur 3ci op. 50, albo drugie nokturno op. 55); jak ów robak, co w kawałki pocięty, siłą boleści każdemu osobnego dostarcza życia. Ztąd ta gwałtowność polotu, odrzucająca wszystko, co głównemu czynnikowi dźwięku (melodyi) na zawadzie stoi (*unisono* w finale sonaty op. 35); ztąd owa mistyczność po tylu kartach rozsiana; ztąd chmurność błogich obrazów; ztąd wykwintny ideał pieśni macierzyńskiej (*Berceuse* (Kołysanka)? op. 57), albo marzenie, może wspomnienie o rozkoszach gondoli (*Barkarola* op. 60). Sam autor musiał dostrzegać tego ducha swych tworów; naznaczywszy niektóre tylko formę wskazującym wyrazem, np. rondo, koncert; mieszcząc w innych i formę i treść, np. mazur, *Bolero*: większą ich liczbę charakterystycznym obdarzył nazwaniem, jak *Nokturno*, *Balлада*, *Scherzo*, *Barkarola*.

Reflexyjny charakter Szopena, wczesnie rozwinać w nim musiał i rozwinął istotnie skłonność do szukania poufnego towarzysza w fortepianie. Zaród rozbratu dwóch światów: czynu i myśli, tak niezmiernie później rozwinięty, już wczesnie nim kierował; i ta to niełą-

czność jest powodem, że się nie jął kompozytocyi wokalnój, która zmusza fantazyą do poddania się woli cudzego natchnienia, chociaż tego w początkach swego zawodu kompozytorskiego, probował. Są jeszcze między nami, w posiadaniu uprzywilejowanych osób, jego piosnki najwięcej do słów Witwickiego; autor śnać niewiele je cenił, domagając się u rodziny, skazania ich na zapomnienie. Mniej jeszcze mógł się zajmować kompozycyą dramatyczną, bo prócz wspomnianej już niedogodności textu, dramat rozwiesza uczucia na szkielecie istotnego życia, jakby na wystawę, i zależy od wielu indywidualności tak w stworzeniu, jak w wykonaniu; zbyt to ciężka solidarność dla zamykającego się w sobie Szopena. Pełna otuchy młodość, choć do użycia orkiestry dała mu odwagę; później ledwie jedną wiolonczelę o elegicznym dźwięku przyzwać do pomocy raczył. Fortepian ukochał jako narzędzie pełne powabów i pojętności, które tyle mu dostarczyło rozkoszy, że je podniósł do swój wielkości, które w uświęconych godzinach pozwala obejść się bez ludzi. Niebardzo też rad im grywał, wtenczas wyjąwszy, gdy szczególném usposobieniem z nim się zrosli; co jednak nie często mogło mieć miejsce i raczej przywoływał duchy, niezbadany świat zaludniające. W ich to towarzystwie, coraz głębszy, coraz oderwanwszy, upodobał sobie; i na świecie jeszcze, coraz go częściej i na dłużej opuszczał. A przecież tamten drugi świat nie dał mu ani jednej chwili prawdziwej wesołości, ani jednego błysku dowcipu, ani jednego rysu humorystycznego; a raczej ziemskość tego wszystkiego uszlachetnwszy cierpieniem, podniósł je do ideału, zgodnego z indywidualnością artysty. Wesołość u niego jest pie-niem nad gwiazdy ulatującym, myślą matki, z modlitwą

i nadzieją nad kolebką dziecięcia pochylonój; jakimś tryumfem z cierpienia wyrosłym; niekiedy jestto uśmiech melancholii: wesołość to nie niemająca wspólnego z huczném naszego świata życiem. Taką między innymi techną polonezy i mazury niektóre. Dowcip zmienił się w jasnowidzenie, rozpoznające wpływy świata duchowego, którym się tak rad poddawał; stworzył on niektóre nokturna i ballady. A humor, owa cecha ducha postrzegającego, tak mocno rozwiniętego u Szopena, nie przeszedł w satyrę, ironią lub sarkazm: bo to są praktyczne podnieconego humoru wypadki. U niego, skazującego się dobrowolnie na rozdzierające cierpienia, niełączności tego za czém wzdychał, i tego co mu się w podziale dostało, zmienił się w krwawe szyderstwo, urąganie ze świata, rojem cierpień zaludnionego; i urosły Scherza, nazwa tylko dla braku innój użyta (bo i sonaty mają podobne rysy). Jestto walka dwóch pierwiastków, dwóch sił sprzecznych, niemogących się pokonać, ale rozdzierających każde serce, do wiru ich walki wciągnięte. Rysy tego rodzaju zbyt są widoczne w dziełach Szopena i podniesione do tém większej potęgi, że niekiedy tuż przy rysach anielskiej łagodności, młodzieńczej czułości i pieszczoty, leżą, by je tu palcem wytykać. Oneto coraz gęściej cechują jego kompozycye, szczególniej przedostatnie, i uczą, że charakter ich ogólny w wyobrażeniu:— walka, leży.

Zasada umnictwa na miejsce dawniejszych dziś się rozpościerająca: sztuka dla życia i przez życie, tém rozpatrzeniem się w dziełach Szopena, wiele poparcia znajduje. Z powodu niełączności dwóch światów: rzeczywistego, w którym jest życie, i fikcyjnego, do którego nas

wielki artysta prowadzi, zdaje się, że zastosowanie owęj zasady miejsca mieć nie może; sprzeczność to jednak pozorna tylko. Szopen w swém widzeniu artystycznym był pod wpływem świata zwyczajnego, jako ciałem do niego przykuty; i jakiegokolwiek tworzył sobie ideały, nie mógł wstępując w ich krainę, na jęj progu indywidualności swojęj zostawić. Świat to istotny wymarzone-mu dodaje żywołu: drugi jest piérwszego odbiciem. Pływające w eterze ponad głowami naszymi jasne kręgi, i w cięższym żywiole bliżęj nas rozwieszzone chmury, utoną obrazem w przepaści wodnego zwierciadła, gdy w nie spojrzymy, mnięj tam może świetnie iskrzyć będą, chmury może posępniejsze się wydadzą, a zależć to będzie albo od dna tego zwierciadła, albo od atomów w niem roztworzonych: dosyć, że obraz tak, a nie inaczej się objawia. Wszakże ideał nie jest oczyszczeniem rzeczywistości z tego, co nas razi: nie ma być kłamstwem, podobieństwem tylko; ale oczyszczeniem z osłon fałszu, prawdą jasną, jakby do potęgi podniesioną. Takie tęż idealne życie widzimy w dziełach Szopena; wzory znajdujemy w rzeczywistém, na jego powierzchni, tuż przy nas. Cywilizacya, czyli to, co tak zwiemy, wszystko stopniowo podnosi a raczęj przemienia. Jęjto sprawą niesłychane już rzeczy ludzie porobili: zbadali ziemię i w niebo zajrzeli; związali powietrze i ogniem władają; splondrowali wód głębinsy, a nawet promienie słońca ważyć umieją! A cóż na tęp zyskali dla serca, dla bytu nawet?. Mędrzec mówi: znać samego siebie, to najwięk-sza mądrość; a więc ludzkość niezmiernie w mądrości postąpiła. Już coraz jaśniej nędzę swoję widzi; coraz jęj okropniejsza przepaść. To jest rzeczywistość! a jęj ideał

w Szopena dziełach, któremi podobno więcej uczynił przysługi ludzkości (byle je tylko nauczyła się rozumieć), niż kruszące chwiejące się za każdym uderzeniem młotka praktyki, teorye filantropów. Gdybyśmy kochali bliźniego jak siebie, nie byłoby tak źle na świecie; więc ludzie bez serca, idźcie do dzieł wielkiego artysty po jedną kroplę miłości, on wam pokaże co to cierpienie, co to rozpacz; własnym nauczy jój was przykładem. Idźcie i patrzcie na to, czego nie znacie; poznawszy, cudzą rozbolejcie rozpaczą i pokochacie gieniusz, który wasze serca uszlachetni. Wszyscy cierpiący już go kochają jak brata!

Tu jest tajemnica tego ubóstwiania niemal artysty przez tych, którzy go pojęli choć nie znali: bo tu dowód téj dobroci serca i wylania, o których się nie mogą narozpowiadać ci, co go zblizka widzieli. Zaiste! człowiek tworzy na obraz i podobieństwo swoje. Tu także najistotniejsza zdobycz muzyki za Szopena sprawą. Tak głęboko w uczucia nikt jeszcze z muzyków przed nim nie zabrnął: jakby nie chciał pozbawić się ułudnych rzeczywistości rozkoszy, jakby nie śmiał podnieść sromoty i zgrozy rozesłanej po świecie, po których, jak po miękkim stąpamy kobiercu. Szopen go wzruszył i pokazał, że ze żmij jadowitych utkany; oddał się im na pastwę, by przestrzedz ludzkość. Więc odkupienie, które już nam raz religia przyniosła, poprzec należy odkupieniem przez sztukę?

Już Beethoven w swym Fidelio dojrzał był tę samą drogę, i zaszedł nią nad przepaść oderwanego nieszczęścia; ale go się uląkł i nie poszedł więcej je zaklinać. Został więc samotny, niehistoryczny pod tym względem i niezrozumiany; przykuł się do dramatu, który jako rze-

czywistość na scenę przeniesiona, nie zdołał go wyjaśnić, a sam autor nie miał już widać sposobności komentarza swój myśli zostawić. Czysty liryzm Szopena rozświecił poprzednika pomysły, i do historii umysłowych skrętów je przymocował; a pokrewieństwem ducha z nim spojony i dostatecznie rozwinięty, i sam już w historyczność idei wstąpił. Nie widzimy jeszcze, komuby to posłannictwo po nim się dostało. Owiani duchem czasu, podżegnięci jego przykładem, liczni muzycy chwytają za czarodziejską laskę, ale się kruszy w dłoni, ziemskich zabiegów błotem skalanéj. Ich głos jest przedrzeźnianiem jęku, przewrotem boleści, chorobliwém tchnieniem uczucia zahukanego przez ciało i siłącego się na odzyskanie praw swoich. Nie im to być prorokami!

V.

Utonąćby niemal trzeba w natłoku spostrzeżeń, z przyglądania się dziełom Szopena płynących, popierających się wzajemnie, i na ogólny składających się pogląd! Kilka tylko rysów rzuciliśmy tutaj; na wyszczególnienie i dowiedzenie wszystkich, gdyby je obliczyć podobném było, księgaby nie starczyła. Wskazawszy niektóre, których źródło wskazać się dało, pomijamy dowodzenie. Niedeterminowany język muzyki i fantazyja osobista każdego z głębiej zapatrujących się, są ku temu przeszkodą; ułatwieniem będą wszystkim, co z wiarą do użycia arcydzieł przystąpić zechcą. Wiara do rozpatrzenia się w każdym dziele sztuki tak konieczna, najkonieczniejszą jest w muzyce, z powodu nieopisanéj jéj głębokości, romantyczności wrodzonéj, jeśli tak się godzi powiedzieć; tajemniczości nieodśloniéj tępemu zwykłéj praktyki wej-

rzeniu. Komu wiara jest obcą, ten nie ma myśli zdolnej zstąpić pod warstwy zwykłego widzenia rzeczy, ni serca wykształconego na rozpatrywaniu się w cierpieniach serca; nie pojmie Szopena tam właśnie, gdzie najwyższy.

Jeśli pogląd ogólny na dzieła naszego rodaka licznych dostarcza pomysłów; nie mniej ich, a dotykałniejszych nieco nastęrcza przyglądanie się rodzajom, powiedzmy trafniej, formom w których się rozwijał. Najwięcej jest tych, które są *pieśni* krewieństwem, jak z tanecznych wzięte formy: mazura, walca, poloneza, krakowiaka, tarenteli, bolera; tu też należą etiudy, preludye, improwizacye (*impromptu*), nokturna. Zastanawianie się nad niemi pojedynczo, okazuje, jak przerastały drobne swego typu rozmiary; rytmy np. bolera, krakowiaka taneczne i ograniczone, zmieniały się w fantazyę mniej więcej szeroko rozwiedzione. Widzimy to najlepiej na rodzinnym mazurze; czém się stał, niech powie kto umie. Do wypełnienia rozleglejszój formy zrazu wezwańy (Rondo à la mazur op. 5), w następującém zaraz dziele (1), i odtąd bardzo często na własną rękę występując, jest zawsze z ducha poematem prawie; a tak treściwy i rozmaity, że na samych mazurów Szopenowskich opisanie, grubój książki potrzebaby było. W tych formach taneczno-rodzinnych najczęstsze rysy jasnego wesela, a hu-

(1) Przypuszczamy, że Szopen w miarę tworzenia i wykończenia dzieł, wydawcom je przesyłał; choć wiemy, że od tego być mogły i były istotnie wyjątki. Tak np. koncert 2gi dopiero później jako dzieło 21 wydany, przed pierwszym jeszcze (op. 11) był zaczęty, ale nieskończony. Ztąd nieraz pochodzić może, że przeglądając dzieła jak je liczba kolejna oznacza, chwiejemy się w mniemaniu, jakie o stopniowój przemianie ich ducha wyrabiamy w sobie. Innych powodów przypuszczalnych tego pomieszania cech nie wymieniamy; każdy na nie trafi.

morystycznych istotnie, tylko w niektórych podobno mazurach szukać należy. Mamyż tu jeszcze powiedzieć, czém nas i świat czarują? Gdybyśmy wiedzieli jakimi to uczynić wyrazami, nie radziłyśmy tym sposobem ujmowali innym rodzajom. Usiłując cechy niektórych odsłonić, czynimy to dlatego, by się popisać przed bracią wielkością brata: bo płacząc po stracie ukochanego, niepodobna zaprzec w sobie pojęcia o tém, co go ukochanym czyniło.

Preludye Szopena (op. 28) jestto garść myśli, z których niektórym brak rozwinięcia, by samoistną stanowiły całość (np. Nr. 2, 7, 20); inne zbliżają się do samodzielnej pieśni (jak nr. 15), te są rapsodyą (18, 22), te etiudą (3, 5) czasem rozleglejszą (19, 24), to znów trenem (6), a wszystkie bez wyjątku nie są tém, czém preludya zwyczajne, to jest wstępem, przygotowaniem słuchacza do tego, co ma nastąpić. W preludyach Szopena jest zbyt wiele znaczenia, bo ono w naturze myśli jego leży; treść tam zbyt głęboka i charakter choć nierozwinięty, zbyt silnie nas podbija, byśmy od niego bez żalu odejść mogli, przejść obojętnie pod rozkazy innego ducha. Tylko niewykończenie artystyczne jakimś smutkiem nas przejmuje: jestto tęsknota za okrągłością formy, rozległością jój nawet stosowniejszą do wielkości pomysłów.

Tę samą różnaitość charakteru mają Szopena etiudy, a do wielu zastosować łatwo różne nazwy pieśni, któreśmy przy preludyach wymienili; np. do Nr. 11 op. 10, albo do 7 op. 25. Uderzające jest podobieństwo niektórych etiud wykończonych, z pomysłami w preludyach rzuconemi; tak np. preludye Nr. 1 i 8 widocznie są pokrewne etiudzie 3 op. 25.

W nokturnie, z dawniejszych kompozytorów upodobał sobie Field najwięcej, i niejedną rozkoszną chwilą miłośników muzyki obdarzył. Gdy się pokazały nokturna Szopena, krzyknięto, że z Fielda bierze; utrzymywano nawet, zapewne na mocy niejakiego podobieństwa i sąsiedztwa Polski z Rosyą gdzie Field mieszkał, że był uczniem jego (Uniwersal-Lexicon der Tonkunst v. Schilling, pod nazwiskiem: Chopin); a mierność i zazdrość idące w ślad za młodym a skromnym gieniuszem, śmiała wyrazem lekceważenia naznaczyć to (Irys. Berlin), co z drobniejszych form muzycznych wcześniej Szopenowi ulubionych, ściśliwie, małą liczbą rysów najlepiej odślaniało ducha jego poezji, z innych form później dopiero zupełnie emancypowanego. Porównawszy nokturna Fielda z Szopenowskimi, widzimy tam nie wyższość jednego nad drugim, ale oddzielne dążności: lubo zaprzeczyc nie można, że niektóre z pierwszych nokturnów Szopena, zbliżają się mocno duchem do płodów tamtego; nie bez różnicy przecież, idącój za właściwą Szopenowi głębością i właściwszemi mu jeszcze omamiającemi zwrotami, których cudowność jednym dosadnym rysem, odkrywa głębość uczucia po którém się ślizga. Ale ogół nokturnów Szopena nie może być równany z Fieldowskimi, co do liczby i ducha. Gdyby można wyrazami określić treść muzyczną, powiedzielibyśmy, że nokturno Fielda w ogóle jestto obraz cichy, słodki, łagodny; rozmyślanie spokojne, kiedyniekiedy tylko błyskawicą fantastyczności zakłócone, prawie bez żalu przygasłe. Nazwa serenady nokturnom niekiedy dawana, pieśniom tym Fielda bardzo przystoi. Szopena zaś nokturna w większej części to obraz o tle ciemném; tajemniczo zjawiają się i znikają zeń duchy, nocą na uspioną

ziemię spływające. Rozstrojona fantazyja w niepojętych zwrotach, prowadzi nas jakby we śnie od przedmiotu do przedmiotu, od myśli do myśli. A jak we śnie ulegamy niepojętej nam na jawie sile, która wiążąc nigdy się nie-wiążące, okazuje wzajemne splątanie wszechrzeczy: tak porwani marzeniem Szopena, mimo oporu czuwających zmysłów, idziemy z nim po przepaściach i wyżynach; poddani magicznemu wpływowi, rozumiemy logikę uczucia, rozumiemy fantastyczność w rzeczywistość zamienioną. Po przebrzmieniu czarownych dźwięków marzymy jeszcze w tym samym kierunku, i z trudnością wydzierając się świata tajemniczego władzy, której nas poeta poddał, pytamy się zbudzeni, senli-to czy prawda? W krótkiej formie bogactwo niezmierne; z każdego dźwięku roje innych powstają, jak z rozprysniętej kropli tuman atomów. Jest tam całość, choć niewypowiedziana; a gdy dźwięki posłuszne ziemskim materji prawom ustać musiały, zamęt nieskończoności nas owładnie, i w oczekiwaniu zawiesza.

Każde niemal dzieło Szopena ten sam wpływ na nas wywiera, albo podobny temu; szczególniej dlatego, że się wyłamać zpod niego nie można; uwierzyć trzeba jego dowodom, poddać się im przynajmniej, mimo postanowienia oporu. W tym oporze, stawiają słuchacza niektóre miejsca w jego dziełach, najmocniej ballady. Weźmy np. pierwszą lepszą, dzieło 38, jedno z tych, któremi Szopen najgłębiej w tajemniczość wkroczył. Pyszna to legenda! nie jak nasze narodowe gienuszem Mickiewicza z ust ludu wyjęte, łagodne, igrające; ale groźna i przemożnie naciskająca, jakby fatum nieodbite. Rys to charakterystyczny ballad niemieckich, u Bürgera przykład; zabytek twardego feudalizmu u nas nieznanego

prawie, zabobonności z charakteru germańskiego zrodzonój. Jest tam konieczność przewidziana, a nieunikniona — u nas wypadek; tam żałoba i trwoga — u nas poddanie się, a w niém nadzieja. Bo tam cierpienie tajemniczości: u nas jawność fantazyi; tam trucizna, grób, szkielety, widma: u nas rusalki, płąsy, a najwięcej kusy Niemczyk, którego łatwo oszukać; i by już skończyć, tam rozpacz bezwładna — u nas czująca się wiara. Obraz naszych legend w niejednym tkwi mazurze Szopena; ballady jego nic z niemi wspólnego nie mają i tylko objaśniają drogę, po której się błąka zamykająca się w sobie wyobraźnia, cierpieniem do tego więzienia zmuszona. Onato stworzyła *Fantazyę* (op. 49), rodzinnym tematem łagodzącą czarny koloryt, a połączona z boleściami *Scherza*, dała początek sonatom, jakie i co do odrębności pomysłów, ani co do śmiałości w ich przedstawieniu, podobnych sobie jeszcze nie miały.

Głębokość Szopena, niezmierna rozmaitość myśli, śmiałość ich wylewająca się prawie za obręb formy podmuchem nieskończoności: czynią go jedynym prawie kompozytorem na fortepian z pomiędzy tysiąca współczesnych mu muzyków, których imiona, jako kompozytorów na ten instrument, katalogi księgarskie przechowują. Miał naśladowców, ale ci po pierwszych próbach opuściwszy ręce, zmuszeni zostali powrócić do fabrykatów. Fantazye, czyli zszywanie cudzych pomysłów; transkrypcye czyli przepisywanie ich żywcem; aranżowania czyli ubranie w inną modniejszą sukienkę: zostały współubiegania się ich polem. Produkcyjność i nowość Szopena, nieraz im były bodźcem; napisał np. sonatę, balladę, scherzo, nuż inni pisać sonaty, ballady, elegie, scherza, i ktoby uwierzył? — mazurów nawet się imali! Niekiedy

cechą prawdy naśladowania te są oznaczone: boć to także zrobili ludzie; ale częściej tak dalece ludźmi są tylko, że się nie zdołali do wzniosłości Boskich podnieść uczuć. Przecież przykład dany z góry wstrzymywał powódź ramot nowoczesnych, i nadługo jeszcze groblą jej będzie.

VI.

Odkrywszy ileśmy zdołali ducha całych poematów Szopena, radzibyśmy na części je rozebrać; użyteczne to być może, dla tém lepszego tamtych pojęcia. Zaiście, niech tu nikt nie czeka wyjawienia środków, któremi gieniusz do pewnych dochodzi wypadków; gdyby to kto potrafił, światby go pewnie za dobroczynnego czarownika okrzyknął, za ostatniego i najwyższego gieniusza: wtenczas każdy mógłby gieniuszem zostać. Ale tak nigdy nie będzie. Natura dała muzykowi dźwięk i ruch; by zaś ich stosownie do swych potrzeb używał, a w użyciu się nie zbłąkał, w jego organizmie przepisy złożyła: to w głosie, to w słuchu, to w biegu krwi ku sercu dążącój. W sercu tém osadziła uczucia, by je malował, a przez połączenie serca z mózgiem, siedliskiem władz wszystkich, sąd o uczuciach pierwszego, drugiemu powierzyła; smakiem zwany tak jest pobłażający, że wszystko uzna czego serce potrzebuje i sobie przysposobi, a czém za pośrednictwem dźwięku i ruchu, do innych serc o współczucie kołacze. Oto i cała naturalna teoria kompozycyi muzycznej. Jak sobie człowiek ma począć, to już rzecz jego; pod warunkiem, że wiernym będzie natury prawom. Zna je téż ludzkość już dawno, i w miarę potrzeb swoich, używa; pojęcie ich najwyższe i najlepsze zastosowanie, stanowi człowieka, gieniusz. Więc myli się kto mniema,

że gieniusze, jak Beethoven i Szopen, wszelkie przepisy skruszyli; nie przepisy to były, ale przywidzenia, do innych potrzeb swe tyraństwo rozciągające. Oni tylko z wyczerpanej już roli, sztukę usychającą, na nowe, dziewicze wprowadzili łany, które odkryli jak Kolumb Amerykę, parci przekonaniem o ich bytności, i wedle kompasu uczuć lepiej pojętych. Kto wie? może i te nowe łany z czasem zjałowieją, wycieńczy je głód ludzkości i chciwość bogatych plonów; wtenczas za przywodem późniejszych gieniuszów, znów ludzkość nowe, nietknięte wynajdzie obszary: bo natura więcej ma, niż rozdała. Ale nim do jej hojności uciec się będzie potrzeba, jeszcze długie urodzaju lata obfitym zbiorem, błogosławieństwo dla Szopena powtarzać będą. — Spróbujmy obejrzyć dzieła jego na czynniki rozłożone.

Melodya jego wedle natchnienia różnego rozmaita, zawsze jest szlachetna. Zrazu hasająca swobodnie, pryskająca jak czujące się młodości siły, wykwinęta elegancją, świetna a chętnie błyszcząca: wypełnia najpiękniejsze Szopena dzieła. Ale niedługo już więcej poważna, raczej tkliwa niż namiętna, śpiewnością i rozwinięciem do włoskiej często zbliżona, wygina się w powabne kształty, wdzięczne zwroty; to się rozpryskuje pieszczotliwie w kroplisty deszcz *melismów*, to na dłuższej zadumie się nucie; zwykle pogodna i przezroczysta wtenczas nawet, gdy ją zuchwały rytm potrąci, gdy się na nią harmonia zachmurzy. Taka melodya odbiciem jest najcudniejszej w życiu człowieka pory: gdy serce na wszystko, co piękne i wielkie się zdaje, silniej uderza; gdy umysł gorzkim doświadczeniem nie sposępniał jeszcze, chociaż już wydzierającemu się w objęcia świata sercu, wątpliwość i nieśmiałość rodzące argumenta poszeptuje.

Bogatym takiej melodyi składem jest pierwszy koncert (op. 11), pierwsze nokturna i niektóre później wydane; nadto mazury, a szczególnie w rondzie z mazura (op. 5). Tu jest także czas zjawienia się humorystyki, bo umysł coraz więcej doświadczony lepiej postrzega, a serce niedosyć jeszcze cierpiało, by się we łzy rozptywać. A więc melodia bywa kapryśna, przedrzeźniająca, rubaszna; a tak się nieraz zapomina, że ją aż umiarkowana harmonia musi wziąć pod rękę (op. 17, nr. 4), bo Bóg wie gdzieby zaszła. Ale cechy to coraz radsze; smętność przeważa, chmury się gromadzą, huczą burzą, a wysyłają pioruny; melodia się rwie, jęczy już i łez jej zabrakło, łkanie tylko słyhać, a skarga już z trudnością przez nie się przeciska (sonata op. 35). To też się mści za odebraną swobodę, za wycierpiane męczarnie, i sama się staje zapalczywa, gwałtowna, okrutna (scherzo op. 39); niekiedy z wyczerpania już omdlewa (op. 54), ledwie znać, że nie skoła jeszcze.—Historia melodyj Szopena jest historią dzieł jego, samego nawet.

Ale ogólną, przeważną, lubo niewylączną barwą tej melodyi jest jej narodowość. Byłby w błędzie jednak ktoby mniemał, że melodia, powiedzmy ogólniej, że muzyka Szopena, zawsze jest polską. Szopen w swém widzeniu zbyt często był kosmopolitą, by się przynajmniej poglądem, gdy nie duchem, od wyłącznych nie uwalniał wpływów; chybabyśmy zgodzili się z jednym z autorów, że postępowanie oparte na cząstkowym duchu jakiego ludu, już jest narodowem. Ale zato muzyki polskiej nie tylko w mazurach, krakowiakach, polonezach Szopena szukać należy. Nietylko rytm nasz domowy znajdzie się tam, gdzie go najmniej się spodziewamy, np. rytm mazura w waryacyi drugiej op. 12, i tamże w finale rytm ku-

jawiaka (obertas); ale znajdzie się pieśń polska tu i owdzie utajona, spleciona z ogólniej barwy ustępami: takim np. jest temat fantazyi op. 49, albo ta, raczej słowiańskiej niż wyłącznie polskiej natury melodya, w nokturnie op. 62, str. 10. Po czém je poznać? Któż umie powiedzieć, po czém poznaje pieśń ludu (nietaneczną), choćby na marmurową posadzkę zbląkaną? Kto wie, na czém polega woń fiołka? Ale mniejsza o to, że powiedzieć nie można, gdy się czuje. Gdy Szopen u obcych się zjawił i po naszymu im zagrał, słuchające go ludy z zadziwieniem pytały: coto za pieśń tak urocza, tak silna, prosta, tak wzniosła i nowa? I dowiedziały się ludy, że to pieśń polska! O! nie nowa już ona; znać ją świat powinien!...

Harmonia w dziełach Szopena dzieli losy jego melodyi. Naturą muzyki na drugą w niej skazana rolę, znacnością, że tak powiemy, gorliwością w popieraniu melodyi, głębokością kombinacyj z naturalnością prostoty się snujących, bo usprawiedliwionych duchem całości, wydobywa się z podrzędnego stanowiska i na równi z melodyą w pierwszym niemal rzędzie staje. To jój służy, to ją podpira, to obwija opiekuńczém ramieniem, to ją po swój oprowadza dziedzinie; to nurtując jój państwo, we wszelkich kierunkach skarby zeń wydobywa. Nieraz ją objaśnia, a często bardzo z nią walcząc, potężnemi raniąc ją ciosami, do rozpaczę ją przywodzi; uczy ją gwałtowności, w daremnych zapasach zużywa jój siły, zabija ją prawie, i z tryumfem na jój wdziera się miejsce. A wtenczas rozżalona wrusza łagodnie swą ofiarę nieruchomą, albo z rozpaczą targając, wskrzesza ją z letargu. Krócej, ale podobno mniej dosadnie powiedzieć można, że harmonia Szopena posiada szlachetność, siłę, głębokość, czynność, śmiałość i inne przymioty tak wy-

soko posunięte, jak ich od czasu wielkiego Bacha (1), nikt, wyjąwszy Beethowena nie rozwinął. Beethoven nawet nie dochodzi Szopena, co do obfitości użycia wszystkich pomocy, jakie harmonia dać może: lubo jako kompozytor przeważny na orkiestrę, wyżej stoi od niego wyswobodzeniem pojedynczych harmonii głosów (*polyphonia*), w czém go znowu Bach przeszedł, lubo w innym duchu. Bach, ów twórca harmonii, ojciec jój raczej, bo jój nie stworzył, ale ją wychował, stan jój niejako zapewnił; Bach był jedynym z kompozytorów, którego dzieła na fortepianie Szopena nadługo przed jego zgonem leżały. Uważał go za najgodniejszego studyj, za źródło najgłębszych kombinacyj, za surowego stróża wykończenia artystycznego. Że korzystał z niego, to widoczne, przecież nie w tym samym rodzaju (choć tu można policzyć kilka ze wskazanych dawniej przykładów); bo nie oddawał się wyrabianiu pojedynczych głosów, ale ich drogę całym grupom przebywać kazał, a więc naturalnie z mniejszą łatwością i nie tak uporczywie utrzymaną dążnością. Więc co u Bacha niby zwikłane, rozjaśniają sznury głosów wydatnie prowadzonych: to u Szopena niby pogodne, chmurzą, piętrami, niby z jakiejś przepaści wstające akkorda, a po nich duch harmonii, jak Tytany po górach, pnie się do walki z melodyą. By jój podolać, wszystkie swego państwa siły porusza: to ją dojmie boleśnie, że aż się z jój łona jęk wydziera: to strącony w przepaść, zdradziecko się poddaje wręc

(1) Zpomiedzy wielu znakomitych muzyków tego imienia i do jednej rodziny należących, najznakomitszym był Jan Sebastyan kantor lipski, urodzony w Eisenach w 1685 r., zmarł 1750. W r. 1736 mianowany został kompozytorem dworu elektora Saskiego, a króla polskiego Augusta II.

niechęcią, a nowych sił nabrawszy, do nowego wspina się szturmu.

Chromatyczność (1), jedna z przypadłości harmonii, stanowiąca burzliwość jój życia, mocno wpływająca na kierunek a więc i ducha melodyi, z wielkiem bogactwem w kompozycjach Szopena jest roztoczona. Onato wiecznym dyatonice oporem, klóci spokój melodyi na téj ostatniej rozwieszonéj; jestto wieczne przeczenie pogodzie głównego głosu, jęk towarzyszący rozkoszy, boleść wykrzywiająca usta do uśmiechu ułożone. Zmniejszone i zwiększone interwalle, to melodyjnie, to harmonijnie użyte, skręcając gwałtownie dążność spodziewaną od ucha najbliższego rozwiązania czekającego, za jego właśnie pośrednictwem ślą gwałtowne razy do serca, raniąc je niemiłosiernie. Dodajmy do tego przemieniające się często iniezdecydowane *dur* i *moll*, a będziemy mieli obraz ciągłych zapasów, nadających, mianowicie późniejszym kompozycyom Szopena charakter, w jedném wyobrażeniu:—walka, streszczony.

Do tylu potężnych żywiołów trzebaż nowego jeszcze? Oto rytm przybywa, i nie uboższy, nie słabszy od innych. Stanowi go cząstka wieczności, czas, w drobne przedziały pokrajany; on jest tętnem muzycznego żywota, on prowadzi zgodne lub walczące wyżej wymienione siły; on sam nieraz waśni i godzi, podżega, szarpie, łamie i koi. On najprzeważniéj stanowi, czy melodia harmonią odziana będzie mazurem, krakowiakiem albo inną pieśnią. A Szopen filozoficznie znał jego własności: w Sonacie (op. 4, dotąd niewydane) (2) Elsnerowi ofiarowa-

(1) Sprzeczność z dyatoniką, polegającą na tonach, do obranej zasady gammy należących.

(2) W rękopiśmie także pozostały w Warszawie już napisane wariacje na 4ry ręce, z oryginalnego tematu.

nej, uwiecznił swoje badania w Andante na $\frac{5}{4}$, a w ogólności w jego dziełach wielką różnorodność rytm roznosi. On to kołysze śpiącą dziecinę w takt do macierzyńskiej pieśni (op. 57), on kochającą się parę, wprawniłem wiosłem na morskie wywodzi lazury i w burzy ją ratuje, (op. 60), on niekiedy sam prawie do panowania się wydziera, albo z zaprzeczającymi mu tego prawa, dwoma dźwięku czynnikami, do uporczywej staje walki i nieopisane wyprawia barce. A gdy mu braknie chętnego zapaśnika, to na samoistne rozpada się części i bić im się z sobą każe. Walka wtenczas straszliwy przybiera charakter: bo sprzeczne rytmy, jak ogień i woda, nieubłaganą artysty wolą jednoczone, ani jeden drugiego pokonać, ani ze szponów przeciwnika wyrzucić się nie mogą (sonata op. 58), dopóki myśl, którą mają przedstawić, skończoną nie będzie.

Nie tu koniec studyj ciekawego badacza dróg wielkiego kompozytora; wyczerpać ich niepodobna prawie, bo badanie im głębsze, tém więcej odkrywa nowych szczegółów, by się im dziwić: jednego jeszcze dotkniemy. Oryginalność i świeżość pomysłów Szopena, by oddaną była we właściwym duchu, często téż oryginalnie i w sposób niezwykły się objawia. Patrzymy np. na początki niektórych dzieł jego: jeszcze nie zaczął, kilka dopiero przygotowawczych rzucił rysów, a już wiemy, czego się spodziewać. To znów się zdaje, że początku wcale nie było, a to, co słyszymy, jest już dalszym ciągiem poprzednio zajmujących artystę myśli. Niekiedy i końca ich niema; daremnie nienasycony słuchacz po ostatnim akkordzie dłużej się przerwie dziwi i czeka; daremnie! Strumień wychodzi z łona góry, a któż wie, gdzie jego istotny początek, jak daleką przebył drogę podziemną,

zanim na jaw wyszedł? Któż wie, gdzie się obrócił, czy daleko jeszcze pobiegnie, gdzie się wleje ów strumień, nagle, jak w grobie, w łonie ziemi tonący? Myśl wielka, temu strumieniowi podobna: tylko częścią się wynurza. Myśl Szopena poczęta i skończona, w jakąż formę się zmieści, skoro nie jest oddzielna, samotna, ale pokrewna innym wielkich myśli, a nieraz ich rodzicielka?

VII.

Przedstawione żywioły muzyki, w dziełach Szopena z wielkiem bogactwem i fantazyą roztoczone, wspólnym głosem obwołują charakter, jakiśmy w całości wykazać się starali. Ale ten głos trzeba słyszeć, by cudom uwierzyć. Jak poruszać czarodziejską laskę, by jej skinieniom duchy posłuszne były? — uczył Szopen szczęśliwych, którzy go słyszeli. Podług nich, gra jego w ogóle łagodną była. Wierzymy w to, ale nie bezwarunkowo. Łagodność, pieśczoła, mniejszym tylko (i to niewszędzie) przystoją dziełom; zepsućby musiały wszystko, co jest nawalne, popędliwe, gwałtowne (1). Wnosimy raczej, że dla sił coraz więcej słabnących (2), nie chciał się narażać na podwójne wyczerpięcie ciała i ducha, i dlate-

(1) Zwracamy uwagę czytelnika na podwójne pojęcie *siły*: bezwzględne, w zajmującym nas tutaj wypadku jest dzieciństwem; względne, zasługuje na uwagę nie tylko przy wykonaniu dzieł Szopena, ale każdego kompozytora. Siła względna, zależy od sił osobistych grającego, jego stanu zdrowia, rodzaju który wykonywa, ducha utworu, a nawet od natury lokalu, że już złudzeń akustycznych nie liczymy.

(2) To mu było najważniejszym powodem niespełnienia życzeń, w jednym z listów do rodziny objawionych, by choć raz Polskę odwiedzić.

go nie grywał przy świadkach przynajmniej wielkich swych poematów; może też mniemał, że pojęty nie będzie, i nie chciał poniewierać swych najszczytniejszych myśli. Bądź co bądź, nietrudno spotkać opowiadających, jak Szopen grał mazury, nokturna, nawet polonezy; nikt nie mówi, że słyszał balladę, scherzo lub sonatę.

Słyszało go wiele osób w Warszawie przed i w czasie ostatnich jego koncertów (1); ale to czasy już tak odległe! Wreszcie Szopen ówczesny jakże różny w kompozycjach od późniejszego! Różnica to młodzieńca i dojrzałego człowieka; zatem i w wykonywaniu dzieł własnych

(1) Należymy także do ich liczby; przecież z powodu zbyt młodości, tylko mętne pozostało nam wrażenie. Lepiej pamiętamy zdarzenie (a znajdują się tacy, co je także pamiętają), które w tém wspomnieniu o genialnym ziomku naszym, jako legendę przechować pragniemy.

Za czasów byłego uniwersytetu warszawskiego, co niedzielę i święto uroczyste, odprawiało się dla uczniów jego, nabożeństwo poranne w kościele PP. Wizytek, około godziny 11tej. Chór, złożony z wychowalców i elewów ówczesnego konserwatorium, pod przewodnictwem Elsnera, to z organem, to z orkiestrą wykonywał śpiewy religijne. Szopen mianowicie w ostatnim roku swego pobytu w Warszawie, częstym na chórze bywał gościem, i chętnie grywał na organach, to fugi różnych mistrzów, to własne improwizacye. Trudna część grania na organach, to jest użycie pedału zręczne a bogate, zupełnie mu łatwą była i wiodła go niekiedy do popisywania się prawie, co znów prowadziło do stosownego rozbudzenia głosów klawiatury. I zdarzyło się raz w przerwie między ustępami mszy wykonywanój z orkiestrą, że Szopen siadł do organu i za temat wzięwszy zwyczajem sławnych organistów, motyw ostatniego ustępu, jął wylewać z niego bogactwo pomysłów tak wielkie i nieprzerwanym płynące potokiem, że wszyscy, od najstarszych do najmłodszych, ściśnięci około ławki grającego, zadumani, porwani, zapomnieli o miejscu i obowiązkach, na których spełnienie się zebrawali. Aż ich rozbudził pospieszny krok zakrystyana, w biegu już zaczynającego perorę: „A cóż u licha państwo tu robicie? ksiądz już dwa razy *dominus vobiscum* zaczyna, chłopcy dzwonią a dzwonią przy ołtarzu, a organy nie ustają! Panna starsza okrutnie się gniewa.”

być musiała. Więc stracone już są skarby, które pokazywał?—Nie zaiste! Od tylu lat jak chwała jego brzmi po świecie, i w naszym zakątku duch jego przebywał, wypisany muzycznymi głoskami; kochano go i wielbiono, nie ze sławy, ale z dzieł jego; więc je rozumiano. Wprawdzie o drobnych to tylko powiedzieć można; przecież, by i wielkie zrozumieć, tylko chcieć trzeba, a do pracy z pewnym przygotowaniem przystąpić. Nie mówimy tu o środkach czysto mechanicznych, bo one się same przez się rozumieją, a potrzeba zwykle znakomitych. Mowa tu jest o przygotowaniu zdolnym rozebrać na części, co jeszcze w całości pojętym być nie może; zwolna treść jej widoczną się stanie, ustępy się wyróżnią, sprzeczności na jaw wyjdą, i całość wstanie jasna, niezmierna, rozumiała. Poznamy ją po mocniejszym uderzeniu serca, po krwi na lica wybiegającej, po mrowiu przebiegającym ciałem.

Co do czysto mechanicznej części grania na fortepianie, Szopen niemniej prawie jak w kompozycji był wynalazczym. Natura jego pomysłów powiodła go do odkryć, o których mówimy. Tak np. to, cośmy wspomnieli wyżej o usiłowaniu dla objęcia decymy czynionym, dalej jeszcze zawiodło i nauczyło lewą szczególniej rękę sięgać do odległości, a z nich tworzyć akkorda i arpedžia, rozmiarów nieużywanych dotąd. Nowość właściwych mu i ulubionych passażów, zmusiła go do dobierania i porządkowania starannego palców, które często tu i owdzie naznaczał w swych dziełach, by ułatwić pokonanie i tak jeszcze niezmiernych trudności. I pod tym względem także łamał dawniejszej rutyny zwyczaje; postępował na pozór wbrew naturalnemu układowi palców, a przecież znakomite ułatwienia poczynił. Przykład te-

go choć jeden wskazujemy w etiudzie 6tej op. 25. Niekiedy całe szeregi tonów jednym kaze wykonywać palcem, a tym sposobem lepiej niż wyrazami i znakami objaśnia akcent, którym to miejsce chce odznaczyć. Pomijamy tu inne szczegóły tego rodzaju; mogły one być skutkiem nawyknienia rąk jego i osobliwych ćwiczeń, jakim je kiedyś poddawał; ale najwięcej oparte są na trafnych spostrzeżeniach nad naturą dłoni i palców. Jako nauczyciel, nieraz pewnie miał sposobność udzielania rad podobnych, a przedmiot ten tyle go obchodził, że przygotował nawet rękopism, mający odsłonić jego sposób pojmowania mechanizmu, i ułatwienie jego zdobycia. Ogłoszenie przecież odkładał aż do tak treściwego skrócenia swych myśli, by się na kilku stronicach zmieściły. Jeśli, jak mniemamy, miał na celu ujęcie ich w system rozumowany, byłoby to jednym jeszcze jego wynalazkiem więcej, bo dotąd nic podobnego niéma, ile nam wiadomo.

Co się tyczy ogólnego środka, jakim Szopen ducha swych kompozycji urzeczywistniał, jaki do wszystkich stosował, mniemamy, że się nie mylimy spostrzegając go w użyciu pedału, podnoszącego tłumiki. Szopen pierwszy udarował go zastosowaniem tak bogatém, że go przez całe kompozycje do nieustannego działania wzywa, a w niektórych ustępach co nuta prawie zmieniać go kaze, wedle zmian harmonii. To oswobodzenie, że tak powiemy, pedału, dowodzi, że odgadł naturę instrumentu (zaiste wielu dowcipnych ulepszeń, jeszcze pod tym względem czekającego), i korzysta z niej dla oddania swych pomysłów. Cóż, jeśli nie pedał podtrzymujący brzmienie tonu, gazą tajemniczości odziewa nokturna? Zdaje się, że widać cienie mknących duchów, słyhać ich

szelest. Cóż, jeśli nie pedał odziewa pojedyncze dźwięki tęsknotą, zadumanie? Co śpiewność uwydatnia? co zbiera rozstrzelone tony, szykuje je jak żołnierzy pod chorągwią jednego akkordu i do śmiertelnej z melodyą wysyła walki, a czasem i na pomoc?—pedał i zawsze pedał. Rola, jaką odgrywa w dziełach Szopena, tak jest ważną; pomoc, jaką pokrywa niedostateczność instrumentu tak znakomita, że po odrzuceniu jego współdziałania, duch muzyki staje się podobny do błado-narysowanego obrazu. Jest tam charakter, fantazyja, siła, ale bez pokonywającej materjalności wydatności; w fortepianie zostaną dźwięki, ale zesłabłe, nikłe, rozproszone.

VIII.

Niech tu będzie koniec naszego poglądu na Szopena. Zaczęliśmy w imię jego i w imię sztuki, której był i zostanie jednym z patronów; a chociażśmy się starali nic nie opuścić, coby pośrednio lub bezpośrednio przedmiot obchodziło: czujemy, żeśmy go ledwie z kilku stron dotknęli, a siły nasze już wyczerpane. Więc ostatniem jeszcze wysileniem pragniemy streścić w naszej myśli pojęcie o duchu pozostałych po nim pomników sztuki, by mu wyszukać między innemi naszymi prorokami podobieństwo, jeśli nie obraz wierny—i autor Maryi na myśli nam staje.

Dzieła Szopena i Malczewskiego poemat, jednakowem owiewają nas tchnieniem. Ta sama w nich chmurność obrazów i tkliwość pieszczona, ta sama boleść w najrozkoszniejszych ustępach, ta sama tajemniczość wiejąca zewsząd nieszczęściem, ta sama dzielność, trwoga, odmęt walki, i przerażające złych wpływów działanie. Mal-

czewski skończył, a namby jeszcze końca potrzeba: nie dlatego, by należało ciągnąć dalej osnowę dramatu, lepiej uczucie rozwinąć; ale nam potrzeba czegoś, by wzburzenie, którym nas poemat owładnął, ukoić. Bo niema rozpacz Miecznika i do naszej wkradła się duszy, która niestety! po rozwiązaniu do nieba odnieść się musi. Tak i Szopen w zawieszeniu nas zostawia. I zaprawdę, boleści jakie przed nami roztacza tak są prawdziwe a niezmiennie, tak ze wszystkiém, co jest rozkoszą, splecione: że gdy bojaźliwa nadzieja do końca dobiegłszy, nie dla siebie nie znajdzie, wraca na przebieżoną już drogę, by nowe szperania zaczynać, dopóki z wysilenia nie padnie, oddając się woli Przedwiecznej.

Porównanie to głównemi rysami tu przedstawione, aż do szczegółów rozciągnąćby się dało; przecież je tu zaniechać musimy, boby nas powiodło do licznych cytacyj obudwu gieniuszów, a z powodu niedeterminowanego znaczenia wyrażen muzycznych, do subtelnych i często na znaczeniu żywiołów muzyki opartych dowodzeń. Czujemy, że to nawet nie doprowadziłoby do pożądanego celu; rzeczy bowiem uczucia, tylko do pewnego stopnia wskazane, nigdy wypowiedziane być nie mogą, i tylko uczuciu są widome. Tutaj tylko wspomnimy, że to podobieństwo rozciąga się aż do drobnych przypadłości formy, co i o duchu wnosić pozwala; np. zuchwałego wyrażenia, niespodziewanych, nieznanych prawie dotąd językowi (obudwom) zwrotów, energii, co kilkoma wyrazami jak błyskawica przepaść uczucia nurtuje; i tych drobnych niejasności, które znawca obu języków, mimo pojęcia, radby przejrystsze widział, co zbite w jedno, radby rozsunięte znalazł, by tylko lepiej się wpatrzeć zdołał; — aż do tych nawet wyrażen, którym dziwić się

chce smak dobry, zakrzyuczany efektem i zatopiony lejącem się z niego pojęciem.

Porównanie to ma przecież granice; Malczewski jeden zostawił poemat, Szopen kilkanaście; a jako oryginalny zawsze, i zawsze nowy, mógł na liczniejsze wylać się strony, dokładniej się objawić. Ztąd w licznych jego dziełach są rysy, których Marya Malczewskiego nie posiada, albo nietyłe rozwinięte. Mimo to przecież, ogół ducha pozostałych po obudwu tworach, w braterskie uściśnienia biegnie; i mniemamy, że gdyby Szopen poezją swoją w wyrazach zamieścił, a Malczewski muzyką się tłumaczył, podobieństwo zostałoby toż samo, i tylko możeby stosunek rozwinięcia obudwu się zmienił.

W zewnętrzne ich żywota przypadki nie wglądajmy. Szopen tém szczęśliwszy, że za życia był uznany i przemawiał językiem, który cała ludzkość rozumie; przecież my najlepiej. O! bodajby głos jego zawsze napelniał nasze dusze wzniosłością, równą boleści, jaka po jego stracie serca nasze przepelnia!



NA ŚMIERĆ SZOPENA.

PRZEZ

Severyna Kaplińskiego.

Umarł Szopen! z nim razem wstąpił do mogiły
Władca tonów, co wstrząsał sercami naszymi;
Ludzie wieszczą, niebiosą kapłana straciły,
Co o lepszej krainie rozpowiadał ziemi!

Szopenie! tyś nieznaną śmiertelnym potęgą,
Podstuchił śpiewy niebios, archaniołów chóry;
Tyś się zbratał z serc naszych tajemniczą księgą,
Tyś z niej wyczytał skryte tajniki natury.

Żegnamy was melodye, któremi tak błogo
Pieścił serca; napróżno serce dzisiaj słucha:
Mogą nas inni zdziwić—zachwycić nie mogą,
Boś ty jeden przemawiał do naszego ducha.

Jego natchnienie, jakby magicznemi słowy
Rzuca w krainę wspomnień: młodości, tęsknoty!
I czujesz uścisk matki, ojczyście pieczyoty,
I uśmiech przyjaciela, i z lubą rozmowy.

To znowu, jakby wiarę obudzi z kolei,
Wiarę naszą dziecięcą, tak prostą, tak jasną;
Zmilknie rozum, zwątpienia płomienie przygasną,
Czujemy pełność szczęścia w pełności nadziei.
I gdyby taką wiarę chować można długo,
Wiara byłaby zmysłem, jak dziś jest zasługą!

Z Kopernikiem cię łączy kolebka i sława;
On, siłą swojej myśli prawa słońcom pisał:
Tyś duszą dla dusz bratnich słodkie kreślił prawa,
Któremiś serca wzruszał, rozrzewniał, kołysał.

On czuje gwiazd harmonią, lecz cyframi ziębi:
 Ty, harmonią niebieską wlewasz do serc głębi.
 Twój gieniusz, jego bratem: on wziął wiedzę w podział,
 By nieskończoną prawdę, stawić nam przed oczy:
 Tyś piękność nieskończoną w boskie formy odział.
 Od obudwóch gieniuszów, bije blask uroczy:
 Ty sercom, on rozumom, jak słońce przyświeca.

Bez chwały poprzednika, bez sławy dziedzica,
 Hold wam wielcy mężowie—jednej matki syny!
 Nieśmiertelność was obu, na swe skrzydła wzięta;
 Dla obu ludzkość cała przynosi wawrzyny,
 Podziwia święty ogień, wielbi wasze dzieła.

CISZA.

Niedawno jeszcze żyłem ciągłym bojem,
 Z losami, z ludźmi, z przeznaczeniem mojem;
 A choć pierś miałem hartowną na ciosy,
 I w walkach siłę wyrobiłem męża:
 Jednak mię często przemagały losy,
 I dłoń nie mogła dotrzymać oręża.
 A wtedy z raną zadaną głęboko,
 Zpośrodku wrogów, co szydzili w oko,
 Wołałem: Boże! otocz mię pokojem!
 Daj mi gdzieś ustroń daleką od świata,
 Gdziebym odpoczął, i styrane lata
 Spędził pod skrzydłem opiekuńczém Twojem!

Bóg mię wysłuchał: otom dziś spokojny,
 Pędzę dni moje bez gromów i wojny,
 I cisza w życiu mojem nieodmienna...

Lecz to dla piersi młodej zgubna cisza!
 Pęka moc duszy, bodajby kamienna,
 W tém dziś jak wczoraj, w tém jutrze jak dzisiaj.
 Nie chcę téj ciszy!..Skrzydeł mi—a wzleczę,
 Skąpię się w burzach, i w słońcu rozświecę!

Zenon Fisch.

O POŻYCZCE NA PROCENT U RZYMIAN.

Na posiedzeniu paryzkiej Akademii Napisów z dnia 17 sierpnia 1849 r., czytał p. Naudet następującą rozprawę o pożyczce na procent u Rzymian:

W historii pożyczki na procent u Rzymian, epoka ustalenia się cesarstwa, stanowi przejście od walk i ciągłych zatargów między dłużnikami i wierzycielami, do porządku i stanu prawnego. Aż do téj chwili w rozterce przesadzonych uroszczeń obustronnych, panowały tylko niesprawiedliwość i gwałt; widzimy Nielitościwą chciwość jednych, obok niewdzięczności do szalbierstwa posuniętej drugich. Ludzie pieniężni odzierali bez miłosierdzia potrzebnych; dłużnicy myśleli tylko o zrzuconiu się z zobowiązań, uroczyscie na siebie przyjętych. Położenie było tém rozpaczliwsze, że złe wynikało ze źródła, w którym czerpać należało lekarstwo: mówimy tu o władzy sądowej, wahającej się ciągle między prawem i słusnością, między jurysprudencją zwyczaju, a jurysprudencją prawa.

Zbyt skorzy do przyjmowania najuciążliwszych warunków w prywatnych umowach, dłużnicy stawali się ciemiężcami nieubłaganemi, gdy zgromadzeni na ko-

micych, stanowili uchwały ludu (plebiscity), przeciw wierzycielom; i tak od reformy do reformy, od ulepszenia do ulepszenia, przyszło do tego, że zakazano zupełnie obrotów pieniężnych pod karą ostrzejszą od kary za złodziejstwo. Zapomniano tylko postanowić, że nikt już nadal nie będzie w potrzebie zapożyczania się, i że wy pożyczający będą nadal bezinteresowni. Taki cud sprawił trybun Gemucius roku 414 założenia Rzymu.

Jak wszystkie prawa przechodzące miarę, sprzeciwiające się naturze rzeczy i potrzebom społecznym, prawo Gemucyusza przełamano, po większej części bezkarnie. Kilku młodych edylów równie tyle, a może więcej dla odznaczenia się osobistego, co dla obrony zasad prawa, oskarżało kilkakroć przed trybunałem ludu, i przewiodło skazanie na wysokie kary pieniężne kapitalistów, działających wbrew prawu. Wszakże to prawo formalnie nieuchylone, poszło jednak w głębokie zapomnienie, a po śnie więcej niż stuletnim ocucając się, wywołało krwawą tragedią.

W roku 665 dłużnicy niechęący płacić, ścigani przez wierzycieli zbyt natarczywych, użyli przeciw nim broni dawnego plebiscytu. Pretor miejski Sempronius Asellio nie chciał żadnej ze stron sobie narażać, i nie wiedział co począć. Postąpił, jak czynią ludzie bez stałego charakteru, chwiejący się między stronnictwami; zamiast zająć silne stanowisko, bronić na niém swój niepodległości i utrzymać z sobą drugich w równowadze prawa i sprawiedliwości: pozwalał wytaczać procesa, to według zwyczaju pozwalającego brania procentu od pożyczek pieniężnych, to znowu według prawa, które ich zakazywało. Wierzyciele zamordowali go na placu publicznym, w czasie religijnego obchodu.

Odtąd sądy miały to sobie za punkt niewątpliwy; nikt nie śmiał podnieść głosu przeciw ludziom, mającym w ręku tak mocne argumenta. Rzeczy poszły zwykłym torem; zamilkło przedawniałe prawodawstwo, sądy przyzwoliły na handel pieniężny, czyn przemógł prawo, które jak próżna groźba zawisło w powietrzu.

W tych okolicznościach, narada senatu (senatus consultum) z r. 701, nowe zrządziła pogmatwanie, pozwalając brać 12 od sta procentu, chociaż senat nie mógł znieść uchwały ludu.

Nietrzeba mniemać, żeby tak wysoka stopa była zwyczajną w umowach; zbyt wiele ludzi przyszloby w krótkim czasie do upadku. W istocie rzeczy, stosunek obfitości kapitałów do potrzeb miejscowych, regulował wysokość stopy procentowej. Zdarzyło się, według świadectwa Cyclerona, że stopa procentu podskoczyła ze 4 na 8 od sta, za zbliżeniem się wyborów. W czasie wyborów bowiem pieniądze bardzo były poszukiwane, kréski nie dawały się za darmo, a wyborców było tak wielu do przekonania!

W cztery lata po téj naradzie senatu, Cezar wszedł do Rzymu skutkiem ludowej rewolucyi, a ta rewolucya zrobiła go dyktatorem.

Wojny domowe i burze na forum wprawiły w zamęt interesa prywatnych, zarówno z interesami państwa. Głęboki niepokój trapił Rzym i Włochy. Tysiące głosów, tych właśnie, które najmocniej słyszeć się dawały, zgodnie żądało umorzenia długów, czyli inaczéj mówiąc, uprawnienia bankructwa.

Dyktator starał się rzecz złagodzić: kazał sporządzić ocenienie dóbr nieruchomych według wartości, jaką miały przed wojną, i postanowił, że wierzyciele w téj cenie

przyjmować je mają, po potrąceniu z całości długu kwot upłaconych lub przyznanych tytułem procentu; czwarta część wierzytelności ginęła tym sposobem. Byłoby wskrzeszać dawną uchwałę ludu przeciw pożyczce procentowej, z wyjątkiem kar przyrównywających lichwiarza do złodzieja.

Rozmaicie oceniono ten akt dyktatorski. Niektórzy uważali go za roztropne pojednanie w drażliwym i trudnym procesie; inni ganili go, jako środek samowolny, ucisku pełny, nadający prawu moc wsteczną, a tém samym niebezpieczny. Najmniejszym złem mocy wstecznej prawa jest jeszcze to, że unieważnia umowy dobrowolnie z obu stron zawarte, i opierające się bądź na prawie obowiązującym, bądź na jurysprudencji powszechnie przyjętej; że z musu wkłada warunki odmienne, nieprzewidziane, których nie było się wolnym przyjąć lub odmówić.

Nadanie mocy wstecznej prawu, czyni więcéj; przy najlepszych niekiedy zamiarach obraża prawa wszystkich, tych nawet, którym chce przyjść w pomoc: poświęca przyszłość, terażniejszości.

Wiadomą jest rzeczą, że Cezar nie stanowił prawa z własnej swojej i pełnej woli. Wszechwładność jego uległa tu konieczności zasady, z której była wyszła. W gwałcie poczęta, gwałtowną być musiała. Zwycięzca wszedł do Rzymu zbrojną ręką, i po reakcyi, sprawionej przez trybunów. Przed nim, jako następcą Maryusza, uciekał wychowaniec Sylli. Tłum rządził.

Trzeba było zadowolić starych i nowych przyjaciół, przywiązanych do jego szczęścia, tyle przynajmniej, co do jego osoby. Cezar otworzył drzwi publicznego skarbu, i wspomógł dłużników kosztem wierzycieli,

Ludzie trudniący się obrotami piénieźnemi, zwykle mało znajdują sympaty; dobrze byłoby przecież, nie przez wzgląd na nich, lecz dla interesu ogólnego, żeby w odwecie za twarde ich postępowanie i złośliwe podstępny, nie okazywano się zbyt skłonnym do samowolnego ich obdzierania.

Mniej w tém złego, zostawić ich w posiadaniu majątków niesłusznie nabytych, co upowszechnić opinią, że stojący u władzy, mogą, gdy tak się podoba, zabierać ludziom to, co mają, aby naprawić zrządzone przez nich krzywdy.

W Rzymie mianowicie, nie wszyscy bez mała dłużnicy, składali się z nieszczęśliwych właścicieli, rolników lub rzemieślników, przywiedzionych do upadku przez nieprzewidziane wydarzenia i przesilenia handlowe. Byłito po większej części próźniacy, co zjadłszy ojcowinę, wyczerpawszy wszystkie sposoby używane przez durmożjadów, kupowali bez piénieędzy, lub pożyczali na życie zbyt kowne.

Na wszystkich szczeblach społeczności rzymskiej, widziano ludzi zabawą zajętych, których pierwszym i ostatnim zasiłkiem była pożyczka; pożyczka niszcząca, bo lichwa rosła w miarę ubywającego kredytu, a żadna téj lichwy wysokość, zastraszyć nie była zdolną nagłości ich potrzeb i zaciekłości ich chuci. Zresztą, gdyby nawet godniejszymi byli politowania, nigdy pomyslność ogólna nie powstała z bogaceniem jednych tém, co wzięto drugim, i zniweczeniem zawartych umów.

Władza dająca prawa, może uwolnić dłużników od zobowiązań; lecz sprawić nie zdoła, aby wiara handlowa przez to zgwałconą nie była, aby kredyt się nie zachwiał, a z nim pomyslność ogólna. Choroby kredytu nie leczą

się gwałtownymi środkami. Łatwo go zabić; zmusić niepodobna. Jest on natury delikatnej, dzikiej, trwożliwy i awanturniczy zarazem, umierający z postrachu, za dotknięciem; aby go wskrzesić, trzeba cudów cierpliwości i zręczności, a ludzie robiący cuda, są tyle prawie rzadcy, ile obiecujący je zrobić są liczni.

Z nadużyć władzy wyradzają się nowe nadużycia: jest to fatalne następstwo. Po edyktie Cezara skarżono się, że bogaci ukrywali pieniądze, i Cezar musiał zakazać posiadania większej ilości w złocie lub srebro, nad 60,000 sestercyów (około 11,000 fr.). Nowy ten edykt powitano okrzykiem radości na forum, i zażądano nagród dla niewolników, którzyby donosili swoich panów. Rządzący, którzy wdają się w interesa prywatne, winni być zawsze mieć na względzie, oprócz bezpośredniego zastosowania, skutki, jakie ich rozporządzenia wyrzucić mogą na obyczaje.

Można było mniemać, że doświadczenie zrobione przez Cezara, będzie ostatniem przypomnieniem uchwał ludu przeciw pożyczce na procent. Tyberyusz, niestaraający się tyle co Cezar o popularność, ponowił jednakże jego prawo względem układów wierzycieli z dłużnikami. Powstał ztąd niezmierny zamęt; niesłuchanie pomnożyły się skargi i procesa.

Wszakże August zostawił swemu następcy inne przykłady; lecz z charakteru swego ten ostatni więcej był skłonny do ostrzej surowości dyktatora, pomimo, że nie znajdował się w tej samej potrzebie. Posiadał on jednak w wysokim stopniu znajomość interesów, kiedy podejście i zemsta nie ćmiły jego wzroku; i pojął niebawem, że było z korzyścią okazać się ludzkim i liberalnym. Tak jak ojciec jego przybrany, stworzył Tyberyusz bank

pożyczki bezprocentowej, z kapitałem stu milionów sesterców (około 18 milionów franków); udzielano pożyczek na 18 miesięcy, za zabezpieczeniem podwójnej wartości na nieruchomościach. Z przywróceniem zaufania, wrócił i pieniądź, a z nim łatwość życia i wszelkich obrotów.

Przyznać należy, że panujący ówczesni, łatwe mieli środki do okazania się wspaniałemi. Łupy świata do nich należały, i nie potrzebowali obliczać się z podatkującymi.

Prawodawstwo Cezarów, usuwając zastarzałe przesady uchwał ludu, uznało nieodzowną potrzebę, a tém samym i prawność umów, opartych na prywatnej korzyści, do istnienia społeczności cywilnej. Runęło zużyte rusztowanie zakazów i kar. Z trudnością tylko przychodzi nam pojąć, dlaczego mądrość prawników rozświecająca ustawy cesarzów orzeczeniami swemi, uświęciła lichwę 12 od sta, tę krwawą setnicę (1) (centesima), jak ją nazywali historycy i filozofowie. Wszakże, jak już powiedzieliśmy, nie było to prawidłem zwyczaju, lecz ostateczną granicą, do której rzadko dochodzono, której przekroczenie, pociągało za sobą upadek całej ceny najmu pieniędzy. Tak wysoki procent, sądy przysądzały tylko od biorących na skład lub od przeniewierzających się zawia- dowców publicznego czy prywatnego grosza, skazanych na zwrot tego, co nieprawnie zatrzymali.

Antoninowie i Alexander Sewerus uczynniejsi od Augusta i jego następcy, pożyczali biednym, nie żądając zastawu, na 4 od sta; najniższy procent, jaki był w użyciu,

(1) Setna część kapitału czyli 1 od sta na miesiąc. Procenta płaćcy się miesięcznie na kalendy lub idy.

dołdaje dziejopis. Ten lombard cesarzów nietyle trwały co dzisiejsze, mniej od nich był drogi.

Stopa procentu zwyczajna, wahała się między stopą najwyższą prawną, a stopą najniższą, na jaką pożyczki udzielano; procent średni najwięcej w użyciu będący, procent, który Pliniusz uczciwym nazywa, a satyryk Persyusz umiarkowanym, wynosił 5—6 od sta.

W tém, jak w wielu innych gałęziach zarządu, zachodziły różnice według miejscowości krajów. Było zasadą tolerancyi rządu cesarskiego, szanować w życiu prywatnym zwyczaje narodów, jego władzy uległych.

Zastługuje na uwagę, że dochód od kapitałów mało lub wcale nie przewyższał dochodu z ziemi. Pisma agronomów starożytności, równie jak kontrakta zastawne w wielkiej ilości nas doszły, nie zostawiają w tym względzie żadnej wątpliwości. Zkąd taka różnica od nowoczesnych stosunków? U Rzymian mniej było przedsięwzięć handlowych, a przemysł prawie zupełnie zostawał w ręku niewolników.

Chrześcianizm tyle i tak wielkie zmiany zaprowadzając w obyczajach i prawach rzymskich, nie zdołał wykorzenić setnicy więcej niż przez stulecie po pierwszym chrześcijańskim cesarzu. Teodozjusz młodszy przyjął ją do swego kodexu wraz z dekretem, ustanawiającym na 50 od sta procent od pożyczki w naturze na wsi. Chłop zapożyczający dwa korce do wysiewu, winien był oddać trzy po zbiorach. Tak był postanowił Konstantyn.

Reforma chrześcijańska dopiero za Justyniana zaprowadzoną została. Wydał on prawo dla całego cesarstwa, uchylając zwyczaje miejscowe, mogące się przeciw powszechnemu jego zastosowaniu. Prawo to ustanowiło

skale odmiennéj wysokości procentu, według rangi i stanu wypożyczających, którzy podzieleni zostali na trzy kategorie. Stopa godziwych zysków, wzrastała w odwrotnym stosunku do godności osób.

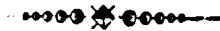
Panowie i szlachta nie mogli wymagać więcej nad 4 od sta. Kupcy i rzemieślnicy mieli pozwolony procent ósmy; prywatni niehandlujący, szósty; od chłopów niewolno było pobierać nad pięć od sta. Zdało się Justynianowi, że przez to zapewni korzyści małym rolnikom. Jakżeż przecie nie spostrzegł, że jeśli nie było dość pobożności w sercach, aby zachęcić do pożyczek na tani procent, prawo jego zamykało kiesę trudniących się pożyczkami samolubów.

System ten, nowy przez swoją jedność i panowanie wyłączne, uświęcał wyobrażenia, które nowemi wcale nie były. Już cesarz Alexander Severus stanął w sprzeczności z opinią rzymską, gruntującą przywileje hierarchii społecznej na majątku. Chciał on, by pieniądze przynosiły mniej zysku tym, których położenie towarzyskie było wysokie; zakazał senatorom pożyczki na procent, dozwalając im tylko przyjęcia *daru wdzięczności*. Opoźniał się przecież później, i pozwolił im brać 6 od sta, lecz bez podarunku. Domyślać się godzi, że w tym względzie senatorowie wezwyczaili biędnych swoich dłużników do nadmiernéj szczodrośliwości.

Justynian pomnażając i ścieśniając szranki lichwy, zmniejszył karę za przekroczenia. Zagrożenie poczwórnych sztrafów i oznak bezcześci w niektórych przypadkach, znikły z prawodawstwa pożyczek, i wykraczający już tylko mieli się obawiać straty wypożyczonej summy.

Nie posunę się dalej w tym rysie ustaw cesarskich, w przedmiocie pożyczek wydanych. Prawo rzymskie

ustaje, prawo duchowne zawładnie bez podziału. Wtedy innym idąc torem, z czystszeami zamiarami, dojdzie się do punktu, na jakim rzeczy były za dawnéj rzeczypospolitéj, to jest do zupełnego zakazu pożyczki na procent; i znowu następstwem nieuniknioném i odśrodkowo przeciwném zamiarowi prawodawcy, wyniknie z tego tylko podwojenie chytrych zabiegów i nieubłaganéj chciwości lichwiarzy, a ucisku i nędzy zapożyczających. Źle zrozumiana miłość chrześcijańska sprawiła to po przerwie dziesięciu wieków, co przedtém było godłem demagogicznój filantropii. Tak rodzaj ludzki wiecznie się wysila w jednym okręgu złudzeń. Często to, co bierzemy za postęp, jest tylko powrotem do dawnego błędu, który zmienił swe znamiona. Z.



ZOFIA ZARĘBIANKA (*).

PRZEZ

Ferdynanda Biesiekierskiego.

Już w XIIIym wieku w krajach Europy, gdzie tylko prawo rzymskie obcém nie było, przy inkwizycjach tortury używano.

W Anglii aż do roku 1772 za Henryka VIIIgo i jego dzieci, nietylko głodem i zrządzoném pragnieniem na oskarżonym zeznanie wymuszano, ale i właściwą torturą.

We Francyi między wielu innemi historia głosi, że hrabia Montgommery w roku 1574 przed wykonaniem wyroku śmierci, musiał torturę wytrzymać. W XVIIym wieku, kiedy ten piękny kraj szczyił się w Europie wyższą cywilizacją, miał przecież nieludzki kodex karny,

(*) Wyrok na karę śmierci roku 1776 niesłusznie zapadły, z przyczyny użycia przy inkwizycjach tortur, spowodował, iż w Polsce roku 1780 (zatem prędzój, jak w innych krajach Europy) w zupełności torturę zniesiono. Niniejsze opowiadanie jest Antoniego Biesiekierskiego, byłego senatora kasztelana, a w owym roku sędziego sądów assesorskich, który podpisał rzeczony wyrok, pod prezydencją księcia Stanisława Lubomirskiego, marszałka wielko-koronnego.

a obok tego, cóżto za okrutne postępowanie z oskarżonymi dzieje przywodzą za ministerstwa kardynała Richeliego i Krzysztofa Fouquet! Ludwik XVIty w roku 1781 piérwszy krok we Francyi dla ludzkości uczynił, gdyż torturę w większej części skasował, pozostawiając straszanie tą męczarnią, które nazywano *Territion*. Oskarżonego w takim razie do męczeńskiej izby wprowadzano, poddając go napozór katuszom. Tu kat straszliwe narzędzia okazywał, a boleści, jakie miał zadawać, jeżeli świadkami stwierdzonej winy nie przyzna, wystawiał w jak najokropniejszym obrazie, chociaż miał polecenie, ani dotknąć oskarżonego. Jeżeli przyznał i znów zaprzeczył, poddano go większemu zastraszeniu, zwanemu *Realterrition*. Wtenczas katowi oddany, po obnażeniu, wszelkie narzędzia męczarni oskarżonemu przykładał, na torturze go rozpinał, wszystkie członki śrubami rozciągał, z tą jednakże względnością, aby mu wielkiego bólu nie zadać. Rewolucya francuzka roku 1792 i to w zupełności zniosła.

W Niemczech roku 1769, Marya Teressa wszelkie męczarnie tortury w czterdziestu pięciu tablicach, dla inkwizycyjnych sądów w rycinach kazała rozestać. Wzdryga się natura, widząc tak okropne męczarni obrazy. Zgoła aż do końca XVIIIgo wieku nie było zakątka Niemiec, ażeby skazany na śmierć, przez torturę nie przechodził.

W Polsce używano tortury do końca XVIgo wieku, lubo straszanie w sposobie *territion* do r. 1780 miało miejsce. J. Sonnenfels profes. prawa przy uniwersytecie wiedeńskim, zostawił w swém dziele zaszczytne powinszowanie Polsce, że wyprzedziła w usunięciu tortury inne narody. Ale nic dziwnego: bo tak, jak Włochy

miały przyjaciół ludzkości, powstających w swych piśmiach przeciw tak barbarzyńskiemu dochodzeniu prawdy, w osobie Beccaryi, roku 1764 w wydaném dziele: „Du traité de delits et des peines”, a w Neapolu Filangerego roku 1780, w Niemczech w osobie Tomasiusza i Hommela, we Francyi w osobie Woltera: tak Polska miała swego pisarza, który o dwa wieki prędzej, włoskich nawet pisarzy wyprzedził. Tym był *Jan Kirsztyn*, rodem z Krakowa, i tamże adwokatem przy sądach zostający; słynny za Stefana Batorego z prawoznawstwa przyświeconego filozofią, co było u postronnych jeszcze rzadkiem zjawiskiem. U nas z owego wieku także z Pilzna Jana Glickiego do niego zaliczyć można. W dziele wydaném roku 1580 pod tytułem: „O prawie i foldrowaniu” pierwszy Kirsztyn w Europie powstał przeciw barbarzyńskiemu dochodzeniu prawdy torturą. Gdyby nasz pisarz był skreślił swe zbawienne dla ludzkości myśli w języku łacińskim, jego rzucone ziarno, byłoby rychlej swe błogie owoce w Europie wydało; a w świecie literackim byłby miał tę palmę chwały przyznaną, jaką dziś szczycą się Beccaria i Filangery.

Przytoczę tu dosłownie z dzieła naszego ziomka na stronnicy 159 jego światłe zdanie, gdzie z taką mocą na korzyść ludów, ze sławą piśmiennictwa naszego, powstał przeciw praktykującym się we wszystkich krajach torturom. „Mocny góral da się męczyć, a nie przyzna prawdy; zaś słaby piecuch opowie grzech, którego popełnić nawet nie miał śmiałości. Tu kat pierwój karze za suspicyą o grzechu, nim sędzia uzna iż zgrzeszył; a kto wróci ból i sromotę? kto za to karanym będzie, że w błędzie katować kazał? Lepiej zatém niech sędzia bierze w probacyą Boga, świadków, i wyznanie, a nie oprawców”.

Ten pierwszy za ludzkością głos naszego ziomka, nie mógł jak zostawić pewne zarody w umysłach; i dlatego w Polsce z początkiem XVIIgo wieku, jeżeli oskarżony miał przeciw sobie świadków, torturę wskazywano mu jedynie na postrach, ale męczarnie zupełnie *de facto* usunięto. W doświadczeniu przecież pokazało się, że i ten środek nieludzki nie odpowiedział celowi. Wypadek, jaki tu zamierzyłem opisać, pochodzący skutkiem rzucenia postrachu katuszą, celem dojścia prawdy dręczyć oskarżonego bezsennością, środkami wzbudzającemi pragnienie, nie pozwalając kropli wody dla tegoż ugaszenia: zgoła użycie jakiegokolwiek terroryzmu, wykazuje, że oskarżony niekiedy dla położenia końca przykrój indagacyi, nieznośnego więzienia i obawy męczarni, to przyznał, czego nigdy nie popełnił.

Przekonamy się o tém zaraz ze zdarzenia, które mi ojciec opowiadał w następującej treści: „Niestety! synu, kiedyś zasiadał jako sędzia w sądzie assessorskim, podpisałem na niewinną kobietę wyrok śmierci. Wprawdzie wszystko się działo wedle przepisów prawa, cały komplet sądu skrupulatnie przestrzegał, i nie był skory do podpisania wyroku. Ale się pokazało, że wówczas procedura karna, nie odpowiadała słuszności i zadaniu, jakie już nam słynni pisarze prawoznawstwa rozwiązali. Szczęście, że Bóg odkrył jej niewinność, i jeszcze dość czasu było, wyrok wstrzymać i skasować.”

„W roku 1775 dnia 15 marca, oskarżona została o dzieciobójstwo panna Zofia Zarębianka, zajmująca się gospodarstwem we wsi Niwkach, położonej w ziemi łęczyckiej, dziedzicznej stryja swego, który dla urzędowania, nie mógł się gospodarstwem trudnić. W ciągu jej uwięzienia liczni świadkowie zeznali, że zamordowanego

i w ogrodzie dworskim w ziemi znalezionego dziecka była matką; że jako dorodna i rządna gospodyni, miała ubiegających się o jej rękę, a z tych jednemu, gdy została wzajemną, wydała na świat skutkiem ich wzajemnej miłości, tę nieszczęśliwą ofiarę.”

„Gdy mimo tak dowodnych zeznań świadków, uwięziona przy kilkakrotnych indagacjach stale zaprzeczała, oddano ją katowi, aby postrachem przyznanie winy wymusił. Wprowadzona została niebawem do tak zwaną izbę męczarni; tam srogięj postawy kat zagroził, że jeżeli nie przyzna to, co liczni świadkowie udowadniają; włoży na jej głowę okazaną czapkę pomorską, i tak ześrubuje, że żyły krwią nabiegłe pękać będą, a oczami krew się dobędzie. Następnie zagroził jej ześrubowanie palców, co niestychany ból sprawia. „Mógłbym ci włożyć hiszpańskie bóty, ale te raczej mężczyźnie przystoją; spróbujesz więc oto tej sznurówki, w której spodziewamy się, że ci dobrze gorąco będzie. Wreszcie użyje przypalania boku, palcy tak rąk, jako i nóg; a jeżeli to wszystko na twój upór mało będzie, tedy rozpiętą zostaniesz na zwykłej torturze, którą powolnie natężając, gdy się nie przyznasz, do tego stopnia dośrubuję, że aż ze stawu wszystkie członki wyjdą. Nie sądz, żeby te zadane męczarnie śmierć ci zrzędziły; jeżeli je z zaciętością zniesiesz, i nic nie zeznasz, lekarz więzienny wyleczy, i znów przyjdiesz na moje ręce: ale pamiętaj, że jeszcze sroższe z długimi cierpieniami męczarnie przechodzić będziesz.” Zofia z przerażeniem wysłuchawszy kata, rzekła: „A więc mi tu śmierci odrazu zadać nie myślisz?” „Bynajmniej; mam tylko polecenie powolnemi męczarniami zmusić, abyś przyznała, świadkami utwierdzoną, a przez siebie spełnioną zbrodnię.”

„Otóż uczynię to, czego po mnie wymagacie. Nieodwołalnie zatem oświadczam i przyznaję, że jestem matką zamordowanego dziecka.” Takie protokularne Zofii przyznanie, zgodne z zeznaniem świadków sąd odebrawszy, wydał wyrok, skazujący ją na ucięcie głowy.”

„Już rusztowanie w rynku Starego Miasta wystawiono, pułk Działyńskich otrzymał rozkaz utrzymywania przy exekucyi porządku, a téj publicznej i uroczystej karze dla przykładu drugich, tysiące widzów miało być nazajutrz świadkami: kiedy w wigilią spełnienia odczytanego skazanej wyroku, Zofia widząc swój blizki koniec, pragnęła złożyć brzemię swych błędów u stóp namiestnika Chrystusa. Tym celem, wezwała w owych czasach słynnego ze światła, wymowy i pobożności kapłana z zakonu OO. Kapucynów. Za jego pomocą, po odmówieniu ze skruczą modlitw, przystąpiła z pokorą do wyznania grzechów, z których otrzymawszy rozgrzeszenie, gdy spowiednik kończył z nią odmawianie psalmów pokutnych, przyszło mu z podziwieniem na myśl, że Zofia główny grzech, o jaki ją sądy ludzkie potępiły, na odbytej spowiedzi przemilczała. Pragnąc ją mieć na drodze zbawienia, i śmierć przez pociechę lepszego w przyszłości życia znośniejszą uczynić: przedstawił w téj mierze o jój zbawienie swą obawę, którą Zofia w usprawiedliwieniu swoim, w ten sposób starała się czcigodnego kapłana zaspokoić. „Ojcze duchowny! jutro mam stanąć przed sądem Boga. Ta trwoga przed śmiercią, ta bojaźń sądu przed wielkim Stwórcą, ten żal, wreszcie pokora: wszystko to naprzemian mego ducha przejmuje. Gdybym tedy tego zarzutu zbrodniczego była winna, miałabym przed namiestnikiem jego przemilczeć,

i nie błagać o rozgrzeszenie przez wzgląd już tu wycierpianego więzienia i kary śmierci?" Na to kapłan: „Ależ moja duszo, zeznanie tylu świadków, i twoje przyznanie się do zbrodni?" „Świadkowie, sąto poddani w służbie dworskiej, odrzekła Zofia, którym nienawistną byłam ztąd, że ich źle żywiłam, a ekonomowi pobłażałam surowe z niemi się obejście. Przez zemstę tedy zarzucono mi tę zbrodnię, a świadkami, składającemi się z nieprzyjaznych domowników, utwierdzono. W takim smutnym położeniu, uprzykrzywszy sobie dokuczliwe więzienie, przejęta zgrozą zawziętych a niesprawiedliwych ludzi, nakoniec zagrożona powolną męczarnią tortur: aby raz skończyć, przeniosłam szybką śmierć, nad przewlokłą męczarnię. Dlatego przyznałam to, czego po mnie kat wymagał, w tém przekonaniu, że Bóg mię niewinną widzi, a ludziom już trudno usprawiedliwić się będzie."

„Z uwagą wysłuchawszy bogobojny kapłan, wziął sobie za obowiązek ratować niewinną; zapewnił Zofią, że jeżeli tak jest, użyje wszelkich środków, by uniewinnioną została. Zofia podziękowała za pociechę, którą kapłan wlał w jęj zbolale serce, polecając się zresztą Bogu. Prosto z jęj więzienia udał się do księcia prymasa arcybiskupa, a ten do marszałka wielko-koronnego, nawet gdy czas naglił, do króla Stanisława Augusta. Kazano zaraz exekucją wyroku wstrzymać, świadków wziąć pod ścisłą straż i inkwizycją, w toku której zeznali, że na cmentarzu wykopane dziecko w dworskim ogrodzie zagrzebali, i ażeby się pozbyć nieznośnej dla nich pani, oskarżyli ją o zbrodnię dzieciobójstwa. Po takim odkryciu fałszywego świadectwa, wyrok zapadły na Zofią Zarebiankę skasowano. Król polecił ogłosić ten wypadek w całym państwie, by zwrócić uwagę sądów.

(Co téż właśnie sprawiło, że z rokiem 1780 nawet straszania mękami tortur, w zupełności zaniechano). Aby zaś Zofii publicznie przyznać dobrą sławę, monarcha zaprosił ją do swego stołu, a za tegoż przykładem poszedł książę prymas i wszystkie domy magnatów." Tym sposobem wprawdzie zwrócono jéj dobre imię; ależ zapytajmy się z naszym pisarzem Janem Kirsztynem, kto wróci Zofii cierpienia w więzieniu, trwożę torturami zrządzoną? Kto za to karze ulegnie, że w błędzie kazał więzić i terroryzmem wymusił wbrew prawdzie zeznanie? Lepiej zatém niech sędzia bierze w probacyą Boga, świadków, i przyznanie, a nie oprawców.



KRONIKA LITERACKA.

Opis Królestwa Polskiego pod względem historycznym, statystycznym, rolniczym, fabrycznym, handlowym, zwyczajowym i obyczajowym; przez Józefa M. Wiślickiego. Z dwunastu rycinami, Tom I. Warsz. 1850. 8ka. Str. 72.

Znany autor powieści historycznych dawniej wydanych: *Starosty Rabsztyńskiego, Zborowskich, i pani Orzelskiej*, ogłosił pod powyższym napisem część pierwszą swego opisu, w którym obejmuje powiat olkuski, czyli dawną ziemię krakowską.

Zaledwie wspomniawszy o *Częstochowie*, zatrzymuje się naprzód przy ruinach sławnego w dziejach naszych *Olsztyna*. Pójdziemy w ślady za naszym, często wymownym, przewodnikiem.

Zaprawdę, ruiny zamku olsztyńskiego, z którego dwie wieżyce dotąd krzepko się trzymają, godne są zwrócić każdego uwagę. Dwa głównie zdarzenia, należą do wspomnień historycznych tego miejsca. Za Kazimierza Wgo, Maciej Borkowic wojewoda poznański, skazany na śmierć głodną, osadzony w lochu wieży, mając kubeł wody i wiązkę siana, umarł wśród okropnych męczarni; i obrona tego grodu przez Kacpra Karlińskiego, w początkach panowania Zygmunta III.

Żałować trzeba, że p. Wiślicki nie zna dziejów krajowych: bo nie byłby tak lekkim wspomnieniem zbył postaci

ciekawej Macieja Borkowica. Pan tak bogaty jak Borkowic, znakomity dostojnością wojewody poznańskiego, mający na rozkazy liczne zbrojnych hufce, naczelnik bratersko-szlacheckiego związku; posadzony o tajemne miłości z żoną Kazimiérza Wgo, którą ten król osadził w zamku żarnowieckim, nie był prostym zbrodniarzem, wedle pojęcia naszych czasów. Postać to historyczna, ciekawa, godna pióra i pędzla artysty.

Wspomnienie obrony *Olsztyna* jest tak słabo oddane, że czytając z uniesieniem opisane zakłady górnicze, a do tego wymownie, daje nam prawo p. Wiślicki do sądenia, że tylko dym fabryczny może w nim zapał obudzać. Jeżeli ten cudny ustęp dziejowy, nie mógł go natchnąć: to radzimy mu przeczytać *Obronę Olsztyna*, arcydzieło Alexandra Fredry. Znalazłby tam dość zasobu, do oddania godnie tego wspomnienia, przywiązanego do ruin Olsztyna.

Sprostować tu musimy mylne zdanie autora. Opisując jaskinię w pobliżu olsztyńskiego zamku, mówi, że walczy ona o palmę pierwszeństwa z *Królewską jaskinią* niedaleko *Ojcowa*. Znamy obiedwie, i możemy zaręczyć, że każda godna uwagi; ale olsztyńska jest tak szczupłą i małą, że za ledwie może dać wyobrazenie o wspaniałości i ogromie *Królewskiej* w *Ojcowie*.

Daléj następują opisy: *Złotego-potoku*, gniazda znanéj w dziejach naszych rodziny Potockich; fabrycznych *Żarek*, własności bankiera Piotra Steinkellera; *Staréj-Kuźnicy*, *Koziegłów*, *Mijaczewa*, *Mrzygłodu*, *Siewierza*, owéj niegdys stolicy księztwa siewierskiego: *Mirowa*, *Bobolic*, *Pilicy*, gniazda sławnego rodu *Pileckich*, z którego wdowę po *Wincentym Granowskim*, król *Jagiełło* pojął za żonę; zamku *Smolenia*, zamku *Ogrodzieńca*, obu w ruinach: *Okradzionowa*, *Strzemieszyc*. Przybywamy nareszcie do sławnych zakładów górniczych naokoło *Dąbrowy* rozsianych. Autor mówi, że w miarę jak się zbliżał do téj okolicy huczając i dymnéj „*jakieś go miłe, a zarazem tęskne uczucie ogarnęło*”. My tylko podziw i poklask dla fabryk takich, i rozwinionego w kraju przemysłu, dać możemy.

Obszerny, nawet szczegółowy opis zakładów Dąbrowy, skreślił p. Wiślicki dokładnie, i wdzięcznie urozmaicił ciekawymi ustępami o samych kopalniach, i wypadkach tam zdarzonych.

Przywiedziemy tu mały wyjątek, z pięknego opisu o *rabunku górniczym*:

„Wszyscy górnicy gromadzą się do jednego domu, gdzie przełożony nad niemi sztygar, wzywa każdego po imieniu. Z drugiej strony stoją nowi zapastnicy z narzędziami w ręku, na czele starsi ze swym dowódcą. Przyłączmy się do nich; nas ciekawość, a ich ochota i powinność tam wiedzie.”

„Otóż uderzono w dzwonek, zapalono kagańce, szyki ustawione. Przed obrazkiem Śtój Barbary, patronki od nagłej śmierci, wszyscy ugięli kolana: i starcy i młodzież, naczelnicy i podwładni, i ci, co raz pierwszy pójdą, i ci, co setny raz zanurzają się w głębie ziemi. Z ubielonym włosem starzec czyta poważnie modlitwę, wszyscy za nim powtarzają z pokorą i wylaniem ducha: uroczą to chwila wzniesienia myśli do tego, co trzyma w ręku losy i życie każdego człowieka. Naczelnik dał znak do pochodu; idzie śmiało zastęp górników, pokrzepionych modlitwą”.

„Korytarzem szerokim, nieznacznie w głąb się zapuszczającym, postępujemy przy blasku kaganków, bez trudu, wygodnie do wnętrza kopalni.”

„Tułając się jakiś czas nie bez bojaźni wśród słabo oświetlonych manowców, stajemy u kresu podróży. Po zmówieniu jeszcze krótkiej modlitwy, dowódzca rozpoczyna walkę z siłami przyrody; najodważniejsi i najprzezorniejsi górnicy, pierwsi do dzieła się rzucają. Idzie tu bowiem o przyspieszenie zwalania się wiszącego nad głowami pokładu skały i ziemi. Poprzednio wycinano w węglu korytarze, prowadząc je z pierwszej *ławicy* czyli kondygnacyi; następnie pozostałe ściany, albo tak zwane filary węglowe wybrane były, a zatem strop tego kanału pozbawiono naturalnej podpory. Aby masa skały i ziemi, nie mająca oparcia i cisnąca na wątłe już boki, nie oberwała się w czasie robót, kiedy górnicy w tém miejscu wycinają węgiel; urządzają

powalę z drzewa grubego, do czego służy średniej cienkości budulec na kawałki porznięty. Strop ułożony z takich belek, ma niejaki podobieństwo do piszczałek w organach, i dlatego je też *organami* nazywają. Powala taka z powodu wilgoci w kopalni, długo istnieć nie może. Zawaliłaby się ona zwłaszcza wtenczas, kiedyby w niższym piętze węgle wydobywano; dla usunięcia przeto przeszkód, i ochronienia od nieszczęśliwego wypadku, tak obecnie pracujących, jako i przyszłych pracowników: postanowiono przyspieszyć oberwanie stropu, i zarazem oszczędzić tyle w kopalniach użytecznego drzewa, przez podcięcie belek, sufit stanowiących, i uprowadzenie ich w miejsce bezpieczne. Ponieważ to dzieje się szybko, lecz zarazem bardzo ostrożnie; przeto robotę taką nazywają *rabunkiem*".

„Mimowolnie jesteście świadkami rabunku, wprowadzicie niewinnego, ale zawsze grożącego śmiercią rabującym. Najdzielniejsi zapastnicy stojąc na drabinach, rąbią belki wśród panującego milczenia; tylko naczelnik liczy uderzenia siekiery, i wprawne ucho nadstawia na szmer usuwającej się skały. Jedno uderzenie więcej nad potrzebę, a mściwy głaz za poruszenie go z odwiecznego siedliska, ukarałby zgnieceniem najbliższych stojących zuchwalców”.

„Znowu milczenie! Każdy oddech w sobie tamuje, bojaźń mimowolnie ogarnia. Lecz młodzi idąc za przykładem starszych górników, i chcąc doświadczyć swęj odwagi, wyrwają belkę za belką; coraz wyraźniejsze zgrzytanie słyszeć się daje, nareszcie dowódzca nakazał odwrót: wszystko co żyje ucieka, a tuż z okropnym trzaskiem i łoskotem obrywa się skała. Ciśnienie powietrza tak jest wtenczas wielkie, że wszelkie światła zagasty, ludzie jakby niewidzialną siłą zostali w głąb odepchnieni, zupełna ciemność zaległa kopalnię”.

„Zabłyły światła na nowo; dzieło uzupełnione, robotnicy jednogłośnie wykrzyknęli: *Glückauf* (1). Ale cóżto za widok? W miejscu pieczary, leżą i zapełniają takową odłamy

(1) Jestto zwykłe pozdrowienie górników,

skały kolosalnej grubości, najteższe belki, jakby krótkie źdźbła słomy, pogruchotane wyglądają zpod zwalisk, wszędzie chaos i zniszczenie, ręką człowieka działane”.

Autor daje nam następnie obszerny opis Bendzina, miasta nad granicą Szlązką, i starożytnego zamku, który od zagłady uratowanym został przez znanego w literaturze naszej i tyle zasłużonego męża, Edwarda hr. Raczyńskiego. Dalej idzie *Grodziec, Gołonóg, Gzichów*; kopalnie węgla i buty cynkowe w Niemcach, Zagórze, Niwkach, a w ostatku przystępuje do opisu i charakterystyki ludu, zamieszkującego te okolice, to jest rolników i górników.

„Włóścianin tutejszy (mówi), chociaż zamieszkuje ziemię dawniej do krakowskiego należącą, zupełnie się jednak różni od istotnie rzeczywistego Krakowiaka, to jest od mieszkańca Proszowic, Skalbmierza i Miechowa; a różni się nie tylko pod względem stroju, ale i życia. Odcień tak jest wielki, że już na kilka mil między Wolbromem a Olkuszem zaczyna się stopniowanie, które zbliżając się ku *Dąbrowie* i granicy Szlązka, staje się coraz wyraźniejsze, aż nareszcie od *Dąbrowy* do *Częstochowy*, tożsamość ludu ginie, i zdaje się, jakbyśmy odległą krainę, nienależącą dawniej do ziemi krakowskiej, zwiedzali”.

Odznaczywszy taką różnicą lud stron tutejszych, od prawdziwych Krakowiaków, przechodzi w opisie swym nieurodzajność gleby, brak rozwinięcia się siły, życia i urody ciała, lichotę ubioru, a co godniejsza uwagi, brak pieśni i ochoty do śpiewu, tak przyrodzonej cechy rodowej ludu naszego.

Zachwała siłę, pracowitość, odwagę i zręczność naszych górników, i przywodzi przykład, że sprowadzeni w znacznej liczbie 1839 r. górnicy ze Szlązka, pomimo wszelkich zapomóg i ułatwień, pomimo wyższego zarobku i regularnej wypłaty, nie mogąc wytrzymać współzawodnictwa polskich robotników co do wytrwałości i zdolności, częścią potajemnie usunęli się za granicę, a część wkrótce wyemigrowała napowrót do Niemiec.

Żałować trzeba, że część najważniejsza charakterystyki ludowej, nie jest należycie obrobiona. Snadź autor pozornie badał, i to lekko i pospiesznie naszkicował: a przecież to ustęp mógłby być najwięcej nas zajmujący, jako obecnie żywotny.

Mimo wskazanych usterków, przy dobrych chęciach, szlachetnych pobudkach, które wiodą myślą i piórem p. Wiślickiego, nie wątpimy, że zechce lepiej poznać dzieje krajowe, a osobliwie miejsc, które opisuje, i w następnych zeszytach da nam poznać dalsze okolice naszej ziemi. Każda w tak pięknym zawodzie praca, z współczuciem będzie przyjęta.

Radzimy w końcu autorowi, aby unikał przesady w stylu; prawda i prostota — to właściwe cechy prawdziwego talentu polskiego pisarza.

Wł.

*Monastyr Skit w Maniawie, przez D. J. Wagilewicza. Z dwiema rycinami. Lwów, nakładem Kajetana Jabłońskiego, 1848, drukiem zakładu Stauropigiańskiego. Ska.
Stronnic 24.*

Jużto nie pierwszy raz pan Wagilewicz obznajmia nas z przeszłością, przez troskliwe zbieranie i ogłaszanie pomników lub badań o minionych wiekach. Przejęty całą ważnością tego przedmiotu, posłuchajmy co sam mówi: „Starożytność jest dla nas świętą spuścizną czcigodnych przodków, z której wspólnie ze wspomnieniami o zamierzchłej przeszłości, rozwija się przerażająca nauka o znikomości rzeczy ziemskich. Przedmiot jój wielce ważny, bo w niej, że tak powiem, poczęła się terażniejszość ze swoim życiem, łamiącym się w zwyczaje i obyczaje. Odgadnięcie starożytności mozolne, lecz zato wynagradza podjęte trudy wewnętrznym zadowoleniem”.

Takimto zabytkiem starożytności są gruzy monasteru Skitu w Maniawie, o milę odległości wyżej Sołotwiny, nad bystrym potokiem Skitcem. Szczegółowy opis przetrwałych dotąd ruin lub napisów, charakterami słowiańskimi wykonanych, dla nieznawców małą ma wartość; ale zato opis historyczny, oraz załączone dwa dyplomaty na końcu, podwyższają o wiele zaletę tej małej rozprawki.

Autor przytacza dwie legendy (kazki), które o założeniu tego monasteru słyszał. Pierwsza powiada: „Dwaj czerńce z Kijowa, po opuszczeniu pieczerskiego monasteru, powrócili do swój ojczyzny halickiej Rusi, z postanowieniem założenia tam monasteru. Na co wzięli wodną wagę, aby znaleźć taką wodę, jak w Kijowie”. Po długim szukaniu, znaleźli narresze to miejsce i założyli początkowo kaplicę, a później i monaster.” Druga mówi: „Jeromonach ze świętej góry, po odbytej pielgrzymce do Jerozolimy, przyjechał na halicką Ruś w odwiedzinach do swoich krewnych w Haliczu, z kąd młodzieńcem się wydał. W Haliczu przez niejaki czas bawiąc się, gdy się napowrót wybierał, nagle zachorował. Choroba była długa i ciężka, i aby wyzdrowiał, uczynił ślub zostać pustelnikiem w Karpackich górach”; jakoż wyzdrowiawszy puścił się z Halicza, osiadł tutaj, zbudował sobie kaplicę, i w pieczarze zamieszkał karmiąc się tylko korzonkami i grzybami. Wtém powtórnie zachorował. „W chorobie jednego razu ujrzał przed sobą postać starca. Byłto pustelnik dyakon, który zabłąkawszy się w puszczy, dziwnym przypadkiem zaszedł do kamienia progu, właśnie wówczas, kiedy jeromonach chory leżał bez przytomności. Gdy go dyakon ocucił, jeromonach mniemając, że to widmo jakie, zakrył sobie oczy. Nakoniec znakiem krzyża świętego obaj się przywitali”. Odtąd mieszkali razem, aż dopóki pewnego razu w zimie, pasterz spostrzegłszy na śniegu ślady stóp, ciekawością zdjęty, odszukał ich mieszkanie; później zaczął się i lud gromadzić, a wkrótce cerkiew i monaster zbudowano. O ile te legendy są prawdziwe, trudno dziś odgadnąć, gdy pierwsze zdarzenie na 500 lat przed ostatecznym

zniesieniem monasteru, a drugie na 300 lat podają; różnica więc tylko o 200 lat!!!

Szczupła jest kronika tego klasztoru, bo autor jeden tylko napad Tatarów, nie wymieniając jednak daty, przywodzi. A i data samego zniesienia, lubo niezbyt oddalona, nie jest z pewnością podana.

Główną przyczyną zniesienia tego klasztoru, które w latach między 1774 i 1781, a wrzeczy samój 1783 przypadło, był opór czerńców w połączeniu się z unitami. Czerńcy wiele mieli czasu do przygotowania się na opuszczenie tej siedziby: bo na dwa lata przedtém igumen jeździł do Wiednia w celu dowiedzenia się, jaki ich los czekał, a powróciwszy ogłosił, że będą wydalen. Odtąd ciągle gotowali się do wyjścia; a gdy przyjechał kommissarz rządowy, o czém na dwa tygodnie wprzód mieli wiadomość, oddali mu inwentarz i odprawiwszy służbę bożą, wyszli z krzyżem w rękę i tém, co na sobie mieli. Z drogi wrócił igumen, a oddając kommissarzowi panu Straser klucz, rzekł: „Oddaję wam klucz: jeśli znajdziecie zamek we drzwiach tego klucza, to się nie wrócimy; jeśli nie znajdziecie, to się wrócimy”. Nie objaśnia nas autor, czyli jakie drzwi tym kluczem otworzone zostały, ale to pewna, że czerńcy nie wrócili.

Autor porównywając obie legendy, kładzie epokę założenia monasteru w XIII wieku; być może, iż około tego czasu powstał ten monaster, lecz nie znajdując bliższych na to dowodów, czas z pewnością oznaczyć się nie da. O Tatarach powiada, iż napadli przed XVIIIym wiekiem, kiedy ich napady były straszniejsze liczbą i uzbrojeniem, lecz na to żadnej powagi nie przywodzi; a tak oprócz podań i legend, pozbawieni jesteśmy badania krytycznego, zasadniczego, jakie jest niezbędne przy opisywaniu starodawnych pomników. Prócz tego czerńcy dwukrotnie na dżumę wymarli; ale na jeden fakt tylko przywodzi datę 1652 roku, lubo i ten więciej na legendę zakrawa, a umieszczony jest w dziele J. Galatowskiego, p. t.: „Nebo nowoje” (Lwów, 1665, 4ka, str. 194). Brzmi zaś jak następuje:

„W księztwie ruskiem, w powiecie halickim, w monastyrze Skitskim panowało wielkie powietrze, od którego wielu zakonników pomarło. Wtenczas pobożny Jeromonach Filaret, który następnie był Igumenem w Skicie, na trzy dni przed Bożem Narodzeniem, widział we śnie Najświętszą Pannę, w szkarłatny płaszcz przyodzianą, która przez bramę wszedłszy do monastyru Skitskiego, udała się do cerkwi Zwiastowania, i tam mówiła do zakonników — „Od téj chwili już u was powietrze panować nie będzie, baczcie tylko, abyście swój żywot mniszy poprawili”. To wyrzekłszy, weszła za carskie wrota. Poczém Jeromonach Filaret ze snu się ocknął, a według obietnicy Matki Bożej, od tego czasu powietrze więcej w Skicie nie było”.

Na marginesie zaś dodano: „Działo się to roku 1652, d. 22 grudnia”.

Otóż to jest cała powaga, na jaką się autor powołuje.

Z aktem zniesienia monastyru łączy się również legenda o zakopanych skarbach przez mnichów, i w przypisie 11 autor przywołując geografią Kuropatnickiego, wydaną w Przemyślu 1786, str. 172, powiada: „W minionych dziesięcioleciach, pod kamieniami znaleźli kilkanaście ksiąg cerkiewnych i kociołek czerwonych złotych; prócz tego jednej nocy ktoś w skarbcu wylupał na czterech kątach cztery kociołki”. Zapewne, że niemałe skarby ksiąg i pieniędzy ukryto w lochach pod monastyrem; zważając, że tak bogaci czerńce, nielada co zamurować mogli w przeciągu dwóch tygodni.

Taką jest treść i obrobienie rozprawki p. Wagilewicza, która pomimo całej ważności przedmiotu jakiego dotyka, niedostatecznie jest wykończoną; przyczém wcale niekorzystne wywiera wrażenie, przytaczanie wyrazów powszechnie nieużywanych lub niezrozumiałych; np. *jak śladno z rumu schodów rozsypanych kamiennych*, zamiast: jak widać z gruzów rozsypanych schodów kamiennych; *oszczątki*, zamiast: ostatki lub szczątki; „*obok swojej kaliby pomieszka-*

nia, wybudował sobie kaplicę". Coto jest kaliba? W opisie napadu Tatarów używa wyrażenia: *Tu Tatarzy z zasiaków zrobili przymiot i wdarli się na mur obwodowy. Cóżto jest przymiot: czy drabina? i t. p.*

Dla uzupełnienia dodano dwa dyplomata; piérwszy z r. 1667, którego treścią jest wyznanie wiary Jana Szumlańskiego biskupa lwowskiego, posądzonego o sprzyjanie unii. Drugi zawiera darowiznę wsi Mamajowiec i Rewny w Jassach przez Eliasza Alexandra wojewodę mołdawskiego tegoż roku 1667 uczynioną; oba te dyplomata błędnie z oryginału przepisane, i niedziw, bo autor sam przyznaje, iż wielu wyrazów nie rozumie, jak np. w I: „podej, ucziatstwu, powictisia”, czego istotnie odgadnąć trudno, co by znaczyć mogły. W Ilgim, *za ugi, i za kamian i bezmian*; piérwszy wyraz *za ugi* autor nie rozumie, dwa drugie *za kamian i bezmian* autor rozumie, lecz nie umie odgadnąć. Wedle naszego mniemania, może to być podatek *od wagi, od kamienia i bezmianu. Angerya*, sąto i w naszych dyplomatach spotykane *angarya*. *Chotas* tłumaczy przez granicę; naszym zdaniem jestto *chutor*, to jest *chata, chałupa*, przez zepsucie zmienione na *futor*. Słowem, wiele usterków, nad któremi dłużej się zastanawiać zakres niniejszego pisma nam nie pozwala.

Z dołączonych dwóch rycin, jedna przedstawia rozwaliny monastynu Bazylianów Skitu, druga zaś nagrobek Schimona cha Jowa w r. 7129 czyli w 1689 od narodzenia Chrystusa zmarłego, oraz Jerozchi monacha Feodosija w r. 7138 czyli 1698 zmarłego, na jednym kamieniu po obu stronach w środku umieszczonego krzyża wyrobiony, literami wkleśło wykutemi. Krzyż w środku był niegdyś wypukły, teraz zrównany.

Na tém kończymy słów kilka o téj rozprawie, która nieporównanie większą przyniosłaby korzyść, gdyby zamiast legend i przypuszczeń, więcéj w sobie zamykała faktów, mogących wpłynąć na objaśnienie nieznanych ustępów z historyi minionych czasów.

St. Lisowski.

Światło i Cienie. Powieść nieboszczyka Pantofla, wydana przez Eleonorę Szyrmer. Petersburg, 2 tomy, 1848.

Wszyscy krytycy przyznali pani Szyrmer „wyłączny” powieściopisarski talent. Obok téj odrębnej zdolności malowania miejsc, a więcéj charakterów i osób; tworzenia z nich dramatu, pociągającego nowością i obrobieniem, również powszechnie przyznano, że autorka ta, obdarzona niezwykłym talentem, zapatruje się na życie tylko z „ujemnej” jego strony. To zdanie, powzięte o niéj, od pojawu pierwszego jéj utworu w noworoczniku petersburskim Barszczewskiego, pod nazwą: „Niezabudka” wydawanym, aż dotąd w niczém się nie zmieniło. Chociaż bowiem różnaitość przedmiotów, charakterów, osób, miejsc i kraju, odznaczała późniejsze jéj powieści; chociaż duch czasu, duch usposobienia publicznego położył na nich nader dokładne piętno: to przecież, pomimo wielkiej artystyczności pędzla, widoczny tam wszędzie: jednostajny sposób zapatrywania się na rzeczy, jednakowe, szybkie dostrzeganie najsubtelniejszych odcieni; a co większa, widać tam tę samą rękę obojętnego na wszystko choć doświadczonego człowieka, rękę, co zadaje ciosy, rozbiéra, anatomizuje z zimną krwią, lecz nie podaje ulgi, nie udziela lekarstwa na zepsucie, które tak doskonale w ciele społeczném odkryć potrafiła.

W istocie, zaczynając od powieści: „Pantofel, historia mojego kuzyna”, a kończąc na „Kataleptyku”, jedno wszędy widzimy tema, chociaż na różne waryacje. Pełno tam humoru, łatwości opowiadania, dobitności w skreślaniu niektórych położzeń, jasnowidzenia, czarów, uludy, fantastyczności, jaskrawych barw, pogardy życia, rozczarowania, znikoméj nadziei, fatalizmu, scen efektowych, ironii, szyderstw, rzewnych obrazów, gorzkich sarkazmów, staroświeckiej poczciwości i uprzejmości; lecz główna tam, wyłączna, konieczna tkanka, tło, na którém w najrozmaitszych kształtach układa się ta mozaika, jest tajemniczość, połączona z koniecznością, pietystyczną pokorą, wreszcie poddaniem

się wyrokom przeznaczenia. Żaden tam bohater nie działa samowolnie; nie jest wyższym nad okoliczności, jak np. stary Bartosz w „Budniku” Kraszewskiego; nie wychodzi z rzędu tych pospolitych, codziennych ludzi, między którymi jednak tak trudno znaleźć człowieka, w prawdziwem tego wyrazu znaczeniu. A jednak są tacy ludzie na świecie. Oni, jak owe bajeczne salamandry w ogniu, żyją tylko uczuciem; żyją czynem, poświęceniem się bezstronném. „Oni to jedni są jawnym dowodem bóstwa w człowieku, samego nawet bóstwa obrazem”; jak powiedział znakomity nasz krasomówca. A jak iskra elektryczna, rzucona w suchą stepową trawę, niezmiernie obszary obejmuje niszczącym, a razem nowój roślinności życiodajnym potopem płomieni: tak ci wybrani ludzie swoim przykładem, poświęceniem się czynami, cierpieniem za innych i przez innych ludzi, rzucają wkóło siebie najplenniejsze nasiona.

Uprawdopodobnić taki charakter wśród innych, rzucić takiego człowieka w tłum zwykły, choć najrozmaitszy, jest tylko wielkiego artysty dziełem. Piśmiennictwo nasze znakomitą ma przewagę w tym względzie nad innemi. U pani Sztjrmer, pomimo odrębnego stanowiska jój bohaterów, nie widzimy odrębnego, wielkiego człowieka. Każda tam główna osoba działa jak machina; działa wprawdzie nie bez indywidualnej różnicy, lecz zawsze tę samą nawet różnicę narzuca jój los, czy przeznaczenie, które ją, jak maryonerką, kieruje. Bo, czy weźmiemy niedołęznego Pantofla, którym wszyscy rządzą, począwszy od żony; czy w „Trupiej główce”, Jerzego, którego jakaś wyższa władza prześladowa i popycha do zguby; czy nareszcie excentrycznego zupełnie Chryzantego w „Czarnych oczach”, którego wiedzie do celu przepowiednia nianki i t. d.: wszędzie znajdziemy figury podrzędne, które na to się tylko ukazują na scenie, aby dowieść o tajemniczej mocy, która je stawia w takim a nie inném położeniu. Nadzwyczajna ilość opisów, myśli, nastroczających nowe myśli, nowy szereg uwag, łagodzą ostrość tego głównego rysu; jednakże zanadto jest on wyraźnym, aby uniknąć przed czyjémkolwiek okiem. Zdaje się

nawet, że to jest wyłącznym celem autorki, główném jéj założeniem; wszystkie zaś ustępy, cały zbiór osób, wydatniejszych w jéj obrazach, a nawet i mniej wydatnych, służą tylko na poparcie tego głównego dowodzenia.

Duch czasu, jak wspomnieliśmy, zostawił swój ślad w utworach pani Szyrmer. Epoka lekkiego z drobnymi uwagami opowiadania, odbiła się w „Pantoflu”, „Trupiej główce”, w „Urywkach, z pamiętników oryginalnie wychowanej kobiety”; duch postępu dotknął późniejsze powieści, z przemagającym jednak pietyzmem; ostatnia powieść: „Światło i Cienie” uległa wpływowi epoki „Tajemnic”, porzucając od paryzkich, aż do niekształtnej lepianki bajek, noszących nazwę: „Małe tajemnice Warszawy”.

Trzeba przyznać, że ten ostatni utwór, w obszerniejszych rozmiarach połączył wszystkie cechy dawniejszych płodów pani Szyrmer. Wszystko, co „Pantofel” miał oryginalnie-dobrodusznego, „Trupia główka”, fatalistycznego, „Czarne oczy”, rzewnego i fantastycznego; co „Urywki” piętnowało sarkazmami, „Suchoty duszy”, rozczarowaniem i nowością pomysłu, a „Kataleptyka”, prawie dotykającą chorobliwością: wszystko to, mówię, ułożyło się w niejednostajnych kształtach w „Świetle i Cieniach”. Widzimy tu życie w całej jego prozaicznej nagości... Czy takie poznanie i odkrycie dolegliwości i ran społecznych, bez poznania zaradczych przeciwko nim środków, wyrze zbawienny wpływ na ludzkość? Czy skłoni nas, wedle chęci autorki, do téj gnuśnej abnegacyi, tego pozbawienia się woli i zupełnego zaparcia się nadziei, coby nawet było wbrew religii, której pani Szyrmer niepospolitą okazuje się szermierką; do tego spuszczenia się na los i przeznaczenie, do uwierzenia w fatalizm? — wątpić potrzeba. Jakież więc cel osiągną te utwory? Doprowadzą na chwilę do zniechęcenia, bo talent znakomity usposobić do tego potrafi. Zachwieją przekonaniem, ale na krótko, bo przekonanie inne wyssaliśmy z piersi macierzyńskich; skłonią nawet przez czas niejakiś wahające się umysły do przyznania fatalnej konieczności, ale późniejsza rozwaga wszystkie te posępne dumy rozchwieje; a kiedy

wskaże inny cel, inném światłem okoli przedmioty otaczające nas, i rozwidni krainę duchową; dawne przekonanie jeszcze się więcej w nas utrwali, wrosnie i wkorzeni. Talent taki jak talent pani Szyrmer, może tego tylko dowieść, że jego płody będą chwywane skwapliwie, że nastreczą wiele uwag, że zaplątają w dziwną tkankę wypadków, pociągną uroczym stylem, umiejętnością dyalogowania, wyrzuciwszy prowincjonalizmy, scholastycznością dowodów; lecz obudzisz na pewny czas ciekawość, nigdy współczucia nie obudzą.

Powieść: „Światło i Cienie” zaczyna się w Warszawie, jak prawie wszystkie téj autorki powieści, w 1805 roku. U pana Szymona Rawicza, mieszkającego niedaleko poczty, zbiera się niespodzianie liczne towarzystwo. Powodem tego zgromadzenia się mężczyzn, a większej jeszcze liczby kobiet był wypadek, o którym całe miasto mówiło: wypadek, jaki miał Ludwik, synowiec naszego gospodarza z pierwszą śpiewaczką ówczesnej trupy włoskiej. Prima-donna Floryani, tak pokochała Ludwiką, że koniecznie chciała się wydać za niego. Gdy jednak młodzieniec nie chciał odplacać wzajemnością na gwałtowną namiętność córki południowych krajów, Floryani, doprowadzona do rozpacz, trucizną odebrała sobie życie. Ludwik, dowiedziawszy się o istotnej przyczynie zgromadzenia się gości, i dla uniknienia licznych znajomych natrętów, którzyby chcieli, aby im ze wszelkiemi szczegółami opowiadał swoje awanturę, wyjeżdża na wieś.

Ludwik, który po wczorajszej zabawie spał w drodze, wysiada z dyliżansu w Pleckiej Dąbrowie. Tu zastaje liczne grono osób, grających w faraona, których wziął za podróżnych, czekających na konie. W tém towarzystwie napotyka Kaspra Łaszcza, kommisarza p. Łobzowskiego w dobrach Rozalińskich, który z pańskich pieniędzy przegrawszy 5,000 talarów, ma *przeczuć* (sic), iż w młodym podróżnym znajdzie swego wybawcę. Rawicz, zarzucony prośbami nieszczęśliwego starca, przystępuje do stolika i odegrywa wszystko z wielkim procentem; a potem, przez nieuwagę

konduktora, zostawiony na stacyi, puszcza się pieszo w dalszą drogę. Przebywszy spacerem trzy tęgie mile do Kutna, wzięty od żydów za Napoleonowskiego szpiega, a od dam miejscowych za bardzo interesującego człowieka, znajduje gościnność u burmistrza, a raczej u pani burmistrzowej, która w imieniu męża całym grodem rządziła. Będąc bardzo pięknym mężczyzną, a przytém dowcipnym i dobrze ukształconym, wkrótce zjednał serca wszystkich, oprócz doktora Notkiewicza, hebrajskiego pochodzenia, który, uchodząc w Kutnie za najdowcipniejszego człowieka, musiał od pierwszego poznania złożyć palną pierwszeństwa u stóp nowoprzybyłego; a przez to odrazu go znienawidził. Nikt jednak nie wie o stanie młodego gościa; i dziesięcioletnia córka kapitanowej Kostyńskiej, siostry Łobzowskich, dziedziców Rozalina, równie o tém nie wie. A przecież nie śmie go badać tak jak wszyscy, tém bardziej, że od pierwszego spotkania w kościele, pokochała go namiętnie. Nie jednej Helenki podbił on serce: córka burmistrza, Kasia, płonie ku niemu wielkiem, tajemném uczuciem. Jestto jedna z tych nieszczęśliwych ofiar miłości, w malowaniu których pani Szyrmer tak wielkie ma upodobanie.

Kapitanowa Kostyńska, widząc gwałtowne przywiązanie córki do Ludwika, która z *przecucia*, (zobaczmy niżej, że i to przecucie sprawdzi się w okropny sposób) nie cierpi doktora Notkiewicza do tego stopnia, że będąc chorą, nie mogła znieść jego widoku, a sama obecność młodego Rawicza uleczyła ją; kapitanowa wywiaduje się przez listy o tajemniczym nieznanym: w takim bowiem charakterze Ludwik aż dotąd w Kutnie zostaje. Powziąwszy o nim dokładne wiadomości, dobra matka stara się z nim zbliżyć. Uczta, którą burmistrz wyprawia na cześć swego gościa, nastrocza jój do tego pomyslną sposobność. Owszem, jakby uprzedzając życzenia kapitanowej, Ludwik sam oświadcza, że pragnąłby zostać nauczycielem Helenki; a naturalnie otrzymawszy chętno zezwolenie, zaraz nazajutrz do niej się udaje.

Przez czas niejaki Ludwik bawi w Kutnie i zajmuje się wychowaniem Helenki, która się rozwija pod okiem młodego nauczyciela w piękną i cnotliwą dziewczę. Gościa z Warszawy wszędzie dobrze przyjmują, bo wielu ma w tém interes, a między innymi kassyer, każdemu swatający swoją córkę, Urszulę. Mnóstwo tu wypadków i wydarzeń toczy się szybko przed oczyma czytelników; że wspomnę jedno o Kubie, który psa utopił w studni za to, że go często kąsał za nogi. Wypadek ten, mało znaczący w wielkiem mieście, nabiera niezwykłego zajęcia u mieszkańców Kutna. Burmistrz i wszyscy urzędnicy asystują śledztwu, po ukończeniu którego, naczelnik miasta, za wstawieniem się litościwej Helenki, taki wydaje na delikwenta wyrok:

„Za taką *nieludzkosć*, jakiej dałeś dowód, wypadaloby cię odesłać do sądu kryminalnego, a tam, wiesz, nie żarty! Oko za oko, ząb za ząb, głowa za głowę i kwita! Ale, ponieważ i ten pies był bardzo złośliwy, więc za karę wyniesiesz go tylko za miasto i w jakim dole sam zagrzebiesz”.

Wkrótce przybywa Wojciech, konduktor, i przywozi rzeczy Ludwika. Z jego opowiadania całe Kutno dowiedziało się o stosunkach i położeniu Rawicza, który „był szczęśliwym, może przez wrodzony człowiekowi pociąg do nowości, a może téż i przez powab ciszy, po roztargnioném życiu warszawskiém. Tak mu dobrze było w gościnnym domu burmistrza, z taką przyjemnością spotykał się z Kasią, że gotów był, jeżeli nie zupełnie podzielić zdanie Russa, iż cywilizacya jest przyczyną wszystkich cierpień i zdrożności towarzystwa: to przynajmniej uwierzyć temu, że dla szczęścia człowieka mniej potrzeba oświecenia, niż sobie wyobrażamy”. Jedno go tylko bolało: obejście się z nim kapitanowej. Ta czuła matka, widząc w sercu swój córki szybko powiększającą się namiętność do nauczyciela, znajduje się w okropnym położeniu. Nie postąpiła przecież tak, jak teraz wiele wyrodných matek postępuje: dla oddalenia miłości, niezgadzającój się z ich widokami, rzucają córki w świat, malują jego szumowiny w najpiękniejszych farbach; jego szych wystawiają za czyste złoto, jego czczość,

szum, zgiełk i odurzenie, za najwyższą rozkosz; zepsucie, za potrzebę; a zamykając oczy niewinnej dziewczyny grubym materyalizmem, moralnie ją zabijają. Ale kiedy czas, gorzkie doświadczenie, rozczarowanie, dadzą jej uczuć, gwałtem obudzą wspomnienia o tém niewinném szczęściu, o przyjacielu lat piérwszej młodości; wówczas cierpienie, żal i rozpacz aż do grobu towarzyszą nieszczęśliwym istotom, które jeszcze nie zdołały strupieszalnością wewnętrzną i błotem świata zarzucić ostatniej iskierki cnoty. Nie, Kostyńska tak nie postąpiła. Ta bogobojna, rozumna i cnotliwa kobieta, wiedzona szlachetném uczuciem prawdziwém, a nie prosto zwierzęcém, macierzyńskiej miłości i zdrowym rozsądkiem, że rozłączenie Helenki z Ludwikiem nietylko by nie przytłumiło, lecz przeciwnie rozszerzyłoby jeszcze ten gwałtowny pożar; postanowiła spokojnie czekać, póki Helenka nie dojdzie do czasu, kiedy będzie jej mogła przełożyć potrzebę rozstania się na kilka lat z przedmiotem jej serca. Tymczasem starzy Rawiczowie, nie mogąc obejść się bez widoku ukochanego synowca, przybywają do Kutna; kapitanowa zaś wyjeżdża na wieś, gdzie jej dom po pożarze, na nowo został odbudowanym. Smutne, lecz pełne nadziei było rozstanie Ludwika z Helenką; smutne, lecz bez rozpacz, bo młoda dziewczica była już do tego oddawna przygotowana roztrępnemi uwagami matki. „Jednej osoby, mówi autorka, nikt się nie zapytał, nikt nie przygotowywał do spotkania smutku, który wkrótce miał się stać jej udziałem i nigdy jej więcéj nie opuścić. Tą osobą była biedna Kasia”.

Na tém się kończy piérwsza część powieści: „Światło i Cienie”, czyli jej piérwsza połowa. Opowiadanie płynie pięknie i zwolna. Jest tu dosyć efektu, wiele wypadków, skreślonych stylem, pani Szyrmer tylko właściwym; stylem, odznaczającym się jasnością, łatwością zwrotów i powabem wyrażen treściwych, zwięzłych, logicznych. Zdaje się, że cały zasób dowcipu i spostrzeżeń pełną garścią rzucała tu autorka. Rozrzewnienie i ciekawość przywiązują się tu do każdego, by najmniejszego szczegółu. Intryga rozwija się

dosadnie, prawdopodobnie, a niekiedy praktycznie, omiń-
wszy fantastyczność i tajemniczość, którą autorka tak lubi;
tajemniczość, która, będąc widoczną w samym tytule książ-
ki, w jej godle, w ustępie o stariej nieszczęśliwej kobiecie,
utrzymującej się w Warszawie z łaski Ludwika, w dalszym
rozwinięciu powieści jeszcze widoczniejszą się staje. Kilka-
naście kart w tym celu poświęcono opisowi pobytu mło-
dego Rawicza w Kutnie, który dla wszystkich był zagadką.
Dowodów na poparcie władzy, jaką na nas wywiera prze-
znaczenie, pełno, nie tylko w małych anegdotach, w rodza-
ju ustępów tu i owdzie porozrzucanych; lecz nadto i w po-
łożeniu osób, główną rolę grających w tym dramacie. Gdy-
by cała powieść tak była napisaną, jak ta jej pierwsza po-
łowa, niezawodnie mogłaby się nazwać jednym z najlepszych
utworów pani Szyrmer, z przypuszczeniem nawet fatalisty-
czności i gry, niekiedy za śmiało posuniętej fantazyi. Nie
razi tu nic przynajmniej tak boleśnie, jak to gorzkie szyder-
stwo, rzucone na słabość natury ludzkiej, na niedołężność
czynów każdego bez wyjątku człowieka, w „Frenofagiuszu
i Frenolestym”, „Suchotach duszy”, „Kataleptyku” i innych.
Jest tu ironia, ale ironia lekka, żartobliwa, bez żółci i jadu
zimnych sarkazmów. Jest fantastyczność, ale po większej
części fantastyczność, jakiej rzadko który z dobrych nawet
pisarzy ustrzedz się potrafi; niekiedy tak naiwna, że tru-
dno w nią nie uwierzyć. Tę pierwszą część można poró-
wnać do owiej świetnej jutrzenki, która pogodny dzień
zwiastuje, pomimo lekkich gdzieniegdzie chmur, jakby
ciemnych plamek na przezroczytym tle błękitu. Helena
głównie, to dziewczyna, światłem matki, radami jej, pieczoło-
witością, oblana. Cała nawet dotychczas rozbierana powieść
bierze swoje farby, blask i urok od światła rozumu, po-
czciwości i cnoty. Małemi plamkami na tym jasnym widno-
kregu są: doktor Notkiewicz i złośliwy Kuba; lecz to jeszcze
cienie tylko, które mogą zniknąć w porównaniu do innych
osób.

Rzeczywiście, nie poczciwszego nad tego Szymona Rawi-
cza; nie czulszego, nie bardziej zbliżającego się do ideału

poważnej, a jednak tkliwój i kochającej matrony, nad jego żonę. Charakter pierwszego jest więcej wydatny; charakter drugiej mniej widoczny, a przecież pociągający tą swoją cichą cnotą i przywiązaniem do synowca. Pan Szymon, to prawdziwy nasz poważny pradziad; pani Rawicz, to typ naszych najgodniejszych prababek. Oboje bogobojni i religijni, cały zasób, jaki tylko Bóg wlał w serce człowieka, chcieliby wylać na głowę Ludwika. Rzewna to scena zaraz na początku, kiedy po jego odjeździe, oboje jednym celem wiedzeni, zeszli się w jego pokoju. Tu wspomnę o ich boleści, kiedy go już mieli za straconego, o ich niecierpliwości oglądania go; o ich radości, kiedy po trudach podróży, tak przykrych dla osób, w podeszłym wieku będących, ujrzeli dawno niewidzianego synowca. Podobne miejsca, cudnie oddane, są bezsprzecznie najlepszą tój powieści stroną. A lubo przypominają już dawniejsze charaktery, jak np. majora i matki Rózi w „Czarnych oczach”, niemniej przeto pod piórem pani Szyrmer i z przyczyny współczucia naszego do takich rodzinnych charakterów, mają niezaprzeczony powab nowości.

Ludwik, to istny obraz młodości, jeszcze nieoziębionój powiewem doświadczenia. Z sercem pełnym zapału, z głową należycie uporządkowaną, z wiarą nieskażoną powątpiewaniem, z nadzieją lepszej przyszłości; nieczepsuty obcowaniem w złém towarzystwie, litościwy i szlachetny, kocha wzajemnie stryjostwo. Lecz popęd inny, który lata poranne nadają każdemu szlachetnemu, rzuca go w przyszłość; a jego wyobraźnia, ukrywając niebezpieczeństwo, w najpiękniejszych barwach maluje mu pole walki, odznaczenia się, sławy. Nic oryginalniejszego, nic trudniejszego nad rolę, którą odgrywa w Kutnie. Głuche przeczucie, a raczej niepewne wieści donoszą o zbliżaniu się wielkiej epoki w naszych dziejach. W takiem usposobieniu zostający mieszkańcy małego miasteczka, biorą Ludwika za osobę tajemniczą, dyplomatyczną. A choć ten urok potem zniknie, kiedy Wojciech wygada się przed wszystkimi ciekawcami, których wszędzie, a szczególnie w takiem jak Kutno miasteczku,

nigdy nie zabraknie; zostanie przecież ta gościnność, która się tylko u nas praktykuje, zostanie przyzwyczajenie do ulubionego gościa, pełnego humoru, dowcipu i wesołości; zostanie nareszcie dla młodzieńca wspomnienie tego cichego szczęścia, tak sprzecznego z bucznym życiem stolicy. Ta sprzeczność tém mocniejsze na nim zostawi wrażenie, kiedy z téj spokojności, z objęć kochających go osób, rzuci się, w zawód, co krok najeżony niebezpieczeństwem, trudami, ogniem, dymem, hukiem dział, krwią i pożogą. Szczęśliwy bo pozostawi kochające serca; bo zostawi dziewczę, która jak gwiazdka czci i nadziei, będzie mu przewodniczyć w najokropniejszych zapasach z ludźmi i naturą.

Helenki wszakże charakteru nie można uznać za prawdopodobny. Trudno bowiem przypuścić, aby pierwsze spotkanie choćby najpiękniejszego mężczyzny, mogło dziesięcioletnie dziecko tak zająć, że nawet jego nieobecność sprawiałaby chorobę, a samo ukazanie się, leczyło. Autorka wprawdzie stara się poniekąd jakby usprawiedliwić tę sytuacją ciągłym patrzeniem dziewczyny na umieszczony w ołtarzu obraz archanioła, do którego Ludwik bardzo był podobny; ale dowód ten do wzbudzenia w młodziutkiem sercu tak silnej miłości, starszym dopiero latom właściwej, uznajemy za słaby. Pamięć pierwszego wrażenia może zawsze pozostać; lecz serce, kochające tylko rodziców i lalki, tak wielkiego udziału w tém nie weźmie, aby nawet na zdrowie zły wpływ wywierać miało. Dziewica dopiero, której łono przeczuwa już cel życia, z przyzwyczajeniem łatwo połączy uczucie mocniejszego przywiązania. Natomiast inne odcienia, charakteryzujące córkę kapitanowój, z rzadką sztuką są oddane. Mile towarzyszy uwaga temu obrazowi życia, niezmacanego żadną brudną namiętnością; tym słowom dziewczyny, które tylko niewinność i swoboda duszy natechnąć i włożyć w usta zdołają. W ogóle towarzystwo w domu Kostyńskiej, z trzech osób tylko złożone, mogłoby już utworzyć odrębną powieść: taki zasób wyobraźni posiada pani Szyrmer. Matka rozsądna i bogobojna, z prawdziwie macierzyńską bacnością śledząca naj-

mniejszy ruch ulubionego dziecięcia; córka, przeczuwająca chwilowe nawet zachcenie matki, niewinnym umysłem czytająca w jej sercu, jak w otwartej księdze; wreszcie młodzieniec, pełen innych nadziei, zapalający się na samo wspomnienie boju, ciągle trawiony żądzą chwały, a jednak z największą pracą, z prawdziwem powołaniem pedagoga oddający się nauczaniu dziecka: jakiżto piękny obrazek! Ile tu domowego szczęścia, poświęcenia, poczciwości i cnoty!

Helenka jednak szczęśliwszą jest od Kasi, córki burmistrza. Opieka matki osłania jedną, kiedy druga zwierzyć się nie ma komu, bo rodzice jej nie pojmą. Miłość tajona jest silniejszą, głębszą, aniżeli otwarte przywiązanie. Kasia rzadko widuje Ludwika, urządza jego pokój, ustraja go w to wszystko, w cokolwiek możność kochającej kobiety ustroić, i czémkolwiek pobyt w nim choćby najkrótszy przyjacielowi serca uprzyjemnić zdoła. Helenka nie tai swego przywiązania i nie doznaje gwałtownych wzruszeń, bo ciągle przy sobie ma Ludwika. On jak brat kocha Kasię, płaci jej szczerém uściśnieniem ręki; Helenką więcej się zajmuje. Najtkliwsze, najrzewniejsze jest rozstanie się Kasi z Ludwikiem. Pożegnał Helenkę z nadzieją zakosztowania z nią innego szczęścia nad samo przywiązanie; Kasię, tylko jak siostrę, czule ukochaną.

Burmistrz, jego żona, stary Łaszcz i kilka innych osób zostaje tu na boku. Każda we właściwej sferze działa tak, jak w owej epoce było prawdopodobnem. Naczelnik miasta jest niezbyt światłym, jego żona zarozumiałą parafianką. Łaszcz sumienny i doświadczony, służy pocziwie, nie oglądając się na przyszłość. Nastręcza się tu mimowolnie pytanie: czemu, będąc praktycznym i oględnym, dał się wciągnąć do gry hazardownej w Pleckiej Dąbrowie i postawił na kartę pieniądze pana, któremu był wiernym jak rzadko, a przytém los żony i jedynaka syna? Nie można żadną miarą przypuścić, aby człowiek skąpy na własne potrzeby, zawsze ze wstętem zbliżający się do zielonych stolików, dał się uwieść zgubnemu pociągowi i zapomnieć o wszystkiém. Ta więc scena pewno jest napisana dla większego dowodu władzy

przeznaczenia, które sprowadza Ludwika, aby ten raz po raz, bez żadnej przerwy odegrał talary Łaszczu, znajdujące się w ręku bankiera. Zresztą te wszystkie podrzędne osoby wprowadziła autorka, jak się czasem dodają drzewa lub krzaki na krajobrazie, zkądną zgodnym w całości z naturą.

Rozszerzyliśmy się nad pierwszą, lubo mniejszą połową powieści. Chcieliśmy, o ile możności, pokazać jej zalety i niektóre uchybienia, a raczej drobne usterki. Z przyjemnością jeszczebyśmy się przypatrywali cudnie namalowanym obrazkom towarzyskim, ukazującym się nam w ramach przeszłości; zwłaszcza, że zalety przeważnie zacierają w nich wady obficie je wynagradzając. Ta światła, że tak się wyrażę, część powieści, miłe wrażenie pozostawia w umyśle, i każe się spodziewać, że i druga jej część „ciemna”, lubo smutniejsza, nabierze tyle ożywiających promieni z pierwszej, że te potrafią często przedzierać się przez gęste chmury, a oświecając ponure widowisko, odejmą mu nieco okropności. Tymczasem rzecz się ma zupełnie inaczej.

Ewa Łobzowska, jedna z tych piękności, jakie tylko twórcza poety wyobraźnia może породzić, a razem zbiór najgorszych obyczajów i skłonności, jakie są zaledwo pokarmem czarnej duszy zbrodniarzą; w najwyższym stopniu zalotną kokietką, aktorka przebiegła i czująca wpływ swoich wdzięków na innych, kapryśna i uporczywa, jest bohaterką drugiej części. Przez słabość matki i niedbałość ojca, który tylko marzy o wydaniu jej za jakiego udzielnego księcia i o zapłaceniu długów, pozaciąganych na zbytki, a przewyższających jego dobra Rozalińskie; oddana samej sobie, zła z natury, jeszcze się gorszą staje w późniejszym wieku. Niéma w niej serca, tylko chwilowe jakieś odurzenie; niéma uczuć cnoty i moralności, są tylko pozory. Nie czuje ona szacunku, a tém mniej przywiązania do rodziców: bo matką, jako słabą istotą, pogardza w duszy, a mało dba o ojca, którego rzadko widuje. Jeszcze w młodszych latach bezwładnie rzucająca się w objęcia pierwszego lepszego mło-

kosa, którego za tydzień porzuciła, w chwili ukazania się w powieści, kocha Walerego, niebardzo majątnego sąsiada. Nie mogąc jednak wstrzymać wyuzdanych namiętności, podbija zalotnością tylko co ze szkół przybyłego syna Łaszczka, Stanisława, który wieczorami czytując dla niej książki, prawdziwie do niej się przywiązał. Nie spodziewając się zezwolenia rodziców na ślub z Walerym, udaje chorą, podejściem i szatańską przebiegłością wikła w swoje sieci Notkiewicza, bierze od niego opium i układa plan odegrania z małemi odmianami dramatu: „Romeo i Julia”. Rozwiązanie nawet prawie jest takie same jak w tym utworze Szekspira, z tą jednak różnicą, że tam kochankowie razem padają ofiarą miłości, a tu piękna i kochająca Ewa, poczęstowawszy matkę i służącą porządną porcją opium, staje się przyczyną śmierci Walerego. Długo bowiem młodzieniec, wyglądając przybycia ulubioniej na umówione miejsce, w celu jej wykradzenia, zziębnięty wchodzi do jej pokoju; dla pokrzepienia się wypija szklanekę zabójczego napoju, w imbryku przygotowanego, i owładnięty snem letargicznym, zasypia w wygodnym fotelu. Cnotliwa przecież dziewczyna nie zraża się tym wypadkiem; kładzie ciało kochanka do wielkiego *paku* czyli skrzyni, a nazajutrz potęgą swych wdzięków skłania Stanisława do wyciągnięcia skrycie pozornie umarłego Walerego i pochowania go w przyległym łasku. A gdy młodzieniec z boleścią to wypełniwszy, ucieka do poblizkiej karczmy, gdzie byli zebrani jego znajomi, końcem wyjścia za granicę, i wstąpienia do wojska francuzkiego, Ewa posyła im przez kuchcika butelkę wina z wielką dozą opium, następnie własną ręką podpala karczmę, i grzebie nieszczęśliwych pod jej gruzami i popiołem. Potém, dowiedziawszy się o złym stanie majątku rodziców i o niewielkiej wiosce Walerego, przestaje go żałować, i stosownie do woli ojca wychodzi za starego hrabiego, który ją polubił tylko z miniatury i połowicę uważał tylko za piękny sprzęt do domu, nieodbitcie potrzebny do wystawnego życia. Ten pan hrabia Olborski zaraz po ślubie, spostrzegłszy przez omyłkę położony w jego pokoju wykaz długów,

zaciągniętych na Rozalinie, zaczyna wyrzucać podejście Łobzowskiemu, który, w czasie kłótni tknięty apopleksją, wkrótce umiera. Niedługo potem i jego żona idzie za nim do grobu. Hrabia jednakże nie opuszcza Ewy; płaci długi, bierze ją do Warszawy, gdzie, nie zważając na nią, romanсуje z innymi kobietami. Młoda żona pragnie zostać cnotliwą.

Tymczasem zbliża się pamiętny dla całej Europy 1812 r. Z wojskiem francuzkiem przybywa do stolicy oficer Stanisław Łaszcz, sam jeden prawie cudem z pożaru karczmy ocalony; już obżałowany przez matkę i ojca, który utracił miejsce w Rozalinie, zostaje woźnym w trybunale. Z młodym Łaszczem przybywa jego przyjaciel i towarzysz, również oficer, Ludwik Rawicz. Za pierwszym jego poznanem, Ewa zapomina o swoim postanowieniu i kocha go namiętnie; młodzieniec odplaca się jęj wzajemnością. Kostyńska, z córką mieszkająca dla większego bezpieczeństwa w Warszawie, dowiaduje się o przybyciu dawnego jęj znajomego. Helena, która już urosła w cudnie piękną dziewczęcę, pragnie się z nim widzięć, i z matką udaje się na bal do stryjecznej siostry. Tam spostrzegłszy oznaki przywiązania, jakiemu Ludwik i Ewa oddają się, słabnie do tego stopnia, że matka musi rozpaczającą odwiezić do domu. Zjawia się Notkiewicz, teraz już bogaty doktor, kochający namiętnie Helenę, i ofiaruje swe usługi hrabinęj Olborskięj; a przytęm opowiada jęj o dawnęj miłości Ludwika i młodej Kostyńskiej w Kutnie. Hrabina, trawiona zawiścią, każe mu przygotować opium dla zgładzenia siostry. Gdy doktor nie chce przystać na to, grozi mu, że wyda przed sądem jego, Kubę i całą bandę złodziejęw i rabusiów miejskich, a przytęm odkryje jego związki z fałszerzami francuzkiej złotęj monety, któręj skład Notkiewicz ma u siebie; w przeciwnym zaś razie, obiecuje już nie stracić, lecz wydać za niego Helenę. Ale tu koniec zbrodni tęj potwornęj kobięty. Pomimo jęj zabiegów, Ludwik dowiaduje się o mieszkaniu byłęj uczennicy swojej. Hrabia Olborski widzi miłość żony; napomina ją, zachęca do poprawy, a w razie nieusłuchania tych jego

przestróg, zapowiada zemstę. Ewa daje mężowi truciznę; lecz ten przez niedowierzanie, jakie się w nim do niej zrodziło, unika tego ciosu. Złodzieje, którzy, podpaliwszy dom kapitanowej, porwali już Helenkę z rozkazu Notkiewicza, razem z nim wpadają w ręce żołnierzy, pod dowództwem Ludwika i Stanisława zostających. Nareszcie młody Łaszcz staje ze swoim towarzyszem przed zdumioną hrabiną, która go miała za zginionego w pożarze karczmy, i w obecności jej męża, wyrzuca zbrodnie całego jej życia. Olborska, przyjąwszy truciznę, którą zawsze przy sobie nosiła, w konwulsjach umiera. Po skończonej kampanii Ludwik żeni się z Heleną, a Stanisław wstępuje do klasztoru.

Tak więc druga część, o której mówić dłużej ani ochoty, ani cierpliwości nie mamy, ta część „ciemna” zostaje w zupełnej sprzeczności z pierwszą. Tu najmocniej się odbił ten zimny pogląd, jaki najwięcej cechuje „Duszę w suchotach” i „Kataleptyka”. Co krok spotykamy zbrodnie, co krok doznajemy przykrych wrażeń. Ze zgrozą i wstrętem przyglądać się musimy wyrodnęj córce, niedołącznej matce, głupiemu ojcu, najpróżniejszemu Olborskiemu, podtemu Notkiewiczowi, bandzie złoczyńców, podobnych do hordy, zalewającej „Tajemnice Paryża”. Dziwimy się i ubolewamy, że tyle zasobów i talentu zmarnowano na tak szkaradne opisy; a dziwimy się jeszcze więcej tej cierpliwości, z jaką anatomista rozbiera zgniłego i zaraźliwego trupa, i pokazuje go widzom wówczas, kiedy ten w ohydzie powinien na zawsze pozostać w głębi ziemi ukrytym. Przykre uczucie, począwszy zaraz od ustępu, noszącego nazwę: „Rozalin”, nie ustaje aż na ostatniej karcie, u dołu której, jak port zbawienia dla majtków, długo błąkających się po burzliwém i błotnistém morzu, ukazuje się z niecierpliwością oczekiwany „koniec”.

Jan Ryszard Szymański.



ROZMAITOŚCI.

*Jeszcze słówko o przetłaczaniu starych druków, czyli
o drukach anastatycznych.*

Znakomity i pożyteczny wynalazek, zawsze ma to znamię, że jest prosty, i nader prędko się upowszechnia; co większa, jeśli wynalazek taki objawia się we właściwej porze, odpowiadając powszechnie czuć się dającej potrzebie, częstokroć się zdarza, że jednocześnie w kilku odległych od siebie miejscach odkrytym bywa, lub też oprócz prawdziwego wynalazcy, inne osoby za najlżejszą wzmianką wpadają na tenże lub podobnyż pomysł, i starają się go uskutecznić, jednakowemi lub różnemi sposobami. Zda się, jakby potrzeba i możliwość tego wynalazku, rozlaną była w danej chwili po całym społeczeństwie ludzi jednakowego stopnia wykształcenia. Cześć zaiste i wdzięczność należy się równie temu, kto pierwszy odkrycie zrobił, jako i temu, kto pierwszy je w jakimś miejscu w użycie wprowadził; a tém bardziej temu, który samodzielnie po nieznanych drogach, do jednegoż z wynalazcą doszedł wypadku.

Jednym z takich najnowszych wynalazków, jest: rozmnażanie przez odcisk na kamieniu lub cynku, wszelkich druków czyto nowych, czy kilkaset lat wieku mających. Rodzaj ten litografii u Niemców i Anglików *drukiem anastatycznym* zwany, a we Francyi pod nazwą *Litho-typografii*

znajomy, obiecuje przynieść wielki pożytek naukom i sztuce. Już nawet korzystać z niego we Francji poczęto: czytamy bowiem w jednym z dzienników francuzkich (1) „Sposób ten świeżo odkryty, daje się mianowicie wybornie zastosować do przetłaczania starych ksiąg i drzeworytów; wiele wydań rzadkich i kosztownych, już w ten sposób powtórzonych zostało, i niejedna biblioteka będzie się mogła w nie zaopatrzyć, albo téż dopełnić za pomocą litotypografii brakujące części, karty, lub ryciny w dziełach rzadkich, które dotąd jako niekompletne, bez wartości i użytku leżały. Już przeszło stu księgarzy i wydawców, korzystało z nowego tego wynalazku, którego wypadki są całkiem pewne i zadowalające, ażeby pozostałe zapasy wydań swoich niekompletne, jak to zwykle bywa, dopełnić nader tanim kosztem, w obieg pomiędzy czytelników puścić, a odłogiem leżący dotąd pieniądz, handlowi powrócić”. Wyroby tego rodzaju, zwróciły uwagę powszechną na tegorocznej wystawie paryżkiej.

Warszawa nigdy nie pozostaje w tyle za innymi miastami, gdy chodzi o rzecz, pożyteczną dla ogółu. Po niezmiordowanej i wytrwałej pracy, po licznych doświadczeniach, udało się p. S. Oleszczyńskiemu, dojść do tychże wypadków, jakie za granicą otrzymano, i to prawie współcześnie. Prędko, dokładnie i nader małym kosztem, umié on przetłaczać stare druki, jak o tém już w piśmie niniejszém doniesiono.

Oparty na własnościach druku, sposób ten w istocie swój jest nader prosty. Farba drukarska tłusta, z czasem twar-dnieje; wszakże zawsze w sobie cząstkę tłustości zawiera. Rozmiękczyć ślady druku na papierze będące, napoić je nową tłustością, tak jednak, ażeby okoliczny papier nic na tém nie ucierpiał: oto cała manipulacja. Reszta jak w każdym przenoszeniu rysunku litograficznego, ogranicza się tylko na staranném odcisnięciu przygotowanego w powyższy sposób druku, na kamieniu lub cynku. Jeżeli zasługa wynalazku

(1) *Presse*, z d. 10 list. 1849. *Exposition des produits de l'industrie*. XXX. article, p. Jobard et Moigno.

zagranicznym się należy, p. Oleszczyńskiemu dojście jego i wprowadzenie u nas; niedługo wyjść mające dzieło z tego rodzaju rycinami przetłaczanemi, będzie oczywistym dowodem pracy i starań biegłego naszego litografa. Miłując cynk jako produkt krajowy, p. Oleszczyński i do tego nowego użytku przetłaczania nie zaniechał go zastosować, i to niezaprzeczenie wprzód przed zagranicznemi; ci bowiem tylko na kamień przenoszą. Użycie cynku do litotypografii jest oszczędniejsze, łatwiejsze, a równie dobre pod względem ostatecznego wypadku, jak użycie kamienia litograficznego.

Życzyłoby tylko należało, ażeby światli miłośnicy starożytności i księgoluby, wspomogli usiłowania p. Oleszczyńskiego, dając mu pole zastosowania tego pięknego odkrycia, na drodze pożytecznej dla ogółu nauki; i nie dopuścili, ażeby jaki przemysłnik, nabywszy ten sposób obrócił go jedynie na przedrukowywanie książek, dziś z zagranicy sprowadzanych, czyniąc niebezpieczne współzawodnictwo, tak powszechnie osławionemu belgijskiemu przemysłowi.

Druki przetłaczane niczém od oryginałów się nie różnią: bo i farbę można odpowiedniego koloru dobrać, i papier łatwo mieć można podobny. Jedyńą tylko oznaką mogłaby być gładkość przetłaczań; one bowiem nie mają wklęsłości, jakie są w prawdziwych drukach od uciskania liter i linii; wprawdzie i niektóre nowsze druki, między wałkami gładzone, nie mają podobnie tych wklęsłości. Dodać jeszcze tylko wypada, że oryginał bynajmniej się nie psuje, owszem odczyszczają się nieco, i przybiera trochę połysku, który wszakże z czasem ginie.

Warszawa, d. 20 listop. 1849.

B. Podczaszyński.

Spominki historyczne i artystyczne.

II.

Wieś Wiewiórka, własność i zamieszkanie Jana hrabiego Tarnowskiego kasztelana krakowskiego, hetmana

W. kor.— W rzadkiém dziś dziełku: *Tranquilli Andronici Dalmatae: Ad Optimates Polonos admonitio. Cracoviae, in officina Lazari, 1584, 4ka, str. 53*, poprzedza przemowa Jakóba Gorskiego do Stanisława hr. z Gorki wojewody poznańskiego; następnie jest list samego autora do Andrzeja hr. z Gorki kasztelana poznańskiego, datowany z Krakowa d. 2 maja 1545 r. W liście tym powiada, że dziełko swoje napisał bawiąc krótki czas u Jana Tarnowskiego kaszt. krakowskiego, we wsi *Wiewiórce*. „*Quod quidem fecimus, et Posnaniae nuper abs. te liberaliter accepi, quum quaedam de philosophia commentaremur, et proximis diebus in meo accessu ad Illustriss. Joannem Comitem a Tarnov Castellatum Cracovien. omni genere laudis cumulatissimum, quem ego (nec me fallit amor) judico cuivis praestantissimorum hujus aetatis ducem scientia rei militaris, consilio, virtute (ut modestissime dicam) aequandum, tractavi quaedam de nostris temporibus cum ipso Comite, viro alioqui gravissimo, tibi que tum affinitate, tum studiis in Rempub. coniunctissimo: ac per illud brevè tempus, quo apud ipsum in villa Wiewiorka fui, pauca quaedam de Repub. scripsi successivis horis ad vestros Optimates, quae vestra omnium interesse arbitratus sum*”..., str. 21. *Stanisław Orzechowski* w *Żywocie* Jana Tarnowskiego wspomina kilkakrotnie wiejskie to mieszkanie hetmana, niedaleko miasta Tarnowa leżące; tutaj zapadł on ostatecznie na zdrowiu, i d. 16 maja 1561 r., pełen chrześcijańskiej skruchy, ducha Bogu oddał: ztąd zwłoki jego uroczyscie przeprowadzone były do tarnowskiego zamku, a następnie w grobie tamiecznego kościoła złożone (*Żywot i śmierć Jana Tarnowskiego*, przez Stanisława Orzechowskiego, wydanie T. Mostowskiego. Warsz. 1805, str. 121—124). O téj własności i rezydencji wielkiego w dziejach krajowych męża hetmana Jana Tarnowskiego, wsi i pałacu *Wiewiórka*, nie znajduję najmniejszej wzmianki w opisach historyczno-geograficznych dawnéj Polski; jestto przecie historyczne miejsce, na wiadomość i wspomnienie zasługujące. Wydobyte z zapomnie-

nia przeszłości, wskazuję tu je badaczom do poszukiwań dalszych.

Józef Ursyn.— R. 1661 myśliwi polujący w lasach litewskich, natrafili na stado niedźwiedzi, między którymi rozoznali dwa małe, postać i twarze ludzkie mające. Puścili się przeto w pogoń za niemi, i jednego z nich złapali, pomimo oporu, jaki czynił krzykiem, zębami i pazurami, niby dziki niedźwiadek. Jakoż w istocie byłoto dziecko ludzkie w stanie zupełnej dzikości, z niedźwiedziami hodujące się. Związano je, a następnie odstawiono do Warszawy, do samego króla Jana Kazimiérza i królowej. Dwór i całe miasto zbiegało się, żeby oglądać to szczególne dzikie dziecko. Byłto chłopiec więcej nad lat 9 wieku nie wydający, miał skórę bardzo białą i podobneż włosy, twarzy pięknej, oczu niebieskich; ale zmysły jego tak były bydlęce, tak ogołocony był z wszelkiej umysłowej władzy, iż zdawał się nie mieć nic człowieczego, prócz ciała. Nie posiadał téż wcale zdolności mowy, dzikie tylko głosy wydając, a wszystkie skłonności jego były czysto zwierzęce. Uznano go przecie za człowieka; jako taki został ochrzczony przez biskupa poznańskiego, i otrzymał imię Józefa, a nazwisko nadano mu Ursyn, od swego zpośród niedźwiedzi pochodzenia. Chrestną matką jego była sama królowa Ludwika Marya, ojcem zaś chrzestnym ambasador francuzki. W dalszym czasie trudno było złagodzić i obłaskawić drapieżne skłonności tego chłopca, ani téż nauczyć go cokolwiek z zasad religii; nie mógł bowiem nigdy mówić, chociaż w języku nie miał żadnej wady. Przecie okazało się w nim niejakię poznanie, bo gdy mu mówiono o Bogu, podnosił ręce i oczy ku niebu. Król oddał go potém jednemu z panów polskich, który go między sługi swe zamieścił. Nabytego wpośród zwierząt dzikiego i drapieżnego usposobienia, pozbyć się on nigdy już nie mógł. Nauczył się wprawdzie chodzić na dwóch nogach, i szedł gdzie go posyłano; smakował zarówno w mięsie surowém, jak gotowaném; nie cierpiał odzieży na ciele, ani téż obuwia na nogach, a głowy nie nakrywał ni-

gdy. Czasami uciekał do okolicznych lasów, a tam pazurami darł z drzew korę, z której wysysał soki. Razu jednego rozhukany niedźwiedź zabił był dwóch ludzi, poczem przypadł do owego chłopca; lecz nietylko że mu nic złego nie zrobił, ale owszem pieścił się z nim, lizał mu twarz i ciało.

Anegdotę powyższą opowiada Jan Redwits, Carm. Alc., za nim zaś ks. Ludwik Moréri w słowniku historycznym, wyd. 20tém z r. 1759, fol. X, 726. Oba nie mówią jak długo żył ten *Józef Ursyn*, ani też, co się z nim dalej stało.

Obraz allegoryczny malowany w Krakowie w drugiej połowie XVIgo wieku. — *Grzegorz Pauli* minister aryańskiego kościoła w Krakowie około r. 1560 — 1566, kazał odmalować obraz, wyobrażający *kościół, którego dach rozwała Luter, mury Kalwin, a fundamenta on sam Pauli*. O tym Grzegorz Pauli daje wiadomość Sponde pod rokiem 1560, 33 i pod r. 1566, 30; również za tamtym L. Morérego słownik 1759 fol. VIII, 140. Byłoby mogło, że przywiedziony obraz przechowuje się gdzie dotąd w Krakowie; zwracam nań uwagę miejscowych badaczy, a ciekawą byłoby rzeczą wiedzieć, który artysta krakowski malował go i jaka jego pod względem sztuki wartość.

Nowo wykryte dzieło snycerskie Wita Stoss. — W dochodzeniach moich utworów sztuki malarskiej z przeszłości kraju naszego, poczytywałem za najważniejsze pole do poszukiwań Kraków i jego okolice, kościoły zwłaszcza tamże gęsto rozsiane, a potąd pomników sztuk najwięcej od zniszczenia czasu dochowywać mogące. Nie mając sposobności sam okolicę owę szczegółowo zbadać, umyśliłem uprosić na ten koniec pełnego zdolności a zamiłowania przedmiotu, krakowskiego archeologa, pana Józefa Łepkowskiego, ażeby okoliczne miejsca historyczne Krakowa przeszedł i pod względem wszelkich starożytnych zabytków i sztuk pięknych one opisał. Pomysł ten przyjęty został z ochotą, wykonany z gorliwością. Pan Łepkowski wygotował opis archeologiczny okręgu byłej rzeczypospolitej krakowskiej, który, jak się spodziewam, wkrótce drukiem ogłoszony, zadowolni w wielorakim względzie nauki téj badaczy i mi-

kościół. Nie należy mi tu wyjawiać rękopiśmiennego dzieła liczne ciekawości; o jednym przecie szczególnie pozwolę sobie podać wiadomość, tojest o odkrytych szczątkach ołtarza snycerskiej roboty, jak się wydaje tworu słynnego krakowskiego mistrza Witz Stossa. W kościele w Rudawie, wynalazł p. Łepkowski zawieszoną na ścianie resztę ołtarza gotyckiego z drzewa; w nim w pośrodku umieszczony jest Chrystus na krzyżu, którego „pysnie rzeźbiona twarz, pełna wyrazu, zasługuje na szczególną uwagę artysty.” Po obu stronach Chrystusa są dwie grupy osób, z których św. Stanisław przedstawia Chrystusowi pokutę z grzechu obmytego Bolesława. Twarz Bolesława, przydaje p. Łepkowski, przypomina uderzającym podobieństwem twarz Kazimięra Jagiellończyka na pomniku w katedrze krakowskiej, który, jak wiadomo, dziełem jest *W. Stossa*. Na zewnątrz tegoż kościoła, od strony wielkiego ołtarza, umieszczone są małe wypukło-rzeźby na drzewie, które do składu ołtarza owego jako drzwi przedtęm należały. Z żalem dowiedzię się przychodzi, że te tablice w ilości sztuk pięciu, przez oberwanie się poddasza ochraniać je mającego, znacznie uszkodzone zostały; deszcze splukwały farby, a robaki toczą drzewo. Rzeźby te przedstawiają zdarzenia z życia Chrystusa Pana; jedna z nich osobliwiej zastanawia badacza: jestto Chrystus w Ogrójcu, dzieło będące najwierniejszým powtórzeniem znanęj w Krakowie wypukło-rzeźby na kamieniu, którą znawczy sąd uczonego Ambrożego Grabowskiego, za dzieło *Stossa* uznał i ogłosił. Życzyć należy, ażeby szczęty pomienionego ołtarza, jako zdaje się dzieło znamienitego naszego artysty, od ostatnięj zagłady czasu uratowane być mogły; jak niemnięj, żeby opiekuńczą ręką w ochronne miejsce przeniesione, stały się przedmiotem bliższego znawców sztuki rozpoznania i ocenienia.

Ed. Rastawiecki.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Dwa nowe dokumenta do pierwotnych dziejów chrześcijaństwa u Słowian. Dokumenta te znalezione zostały w klasztorze Cystersów Śgo Krzyża w Niższej Austrii (*Monasterium Sta Mariae ad Sta Crucem in valle nemorosa*). W tym klasztorze zachował się bogaty zbiór rękopismów i starych dokumentów; niektóre z nich oddawna znane są historykom, ale dwa o których mowa, dotąd były nieznanne. Dokumenta te odkryte zostały przez członka korespondenta Towarzystwa staro-niemieckiej historii *Wilhelma Wattenbach*, którego imię, zdaje się, po raz pierwszy przy tej okoliczności wśród badaczy Słowiańszczyzny zjawia się. W miesiącu grudniu 1847 roku, kiedy bibliotekę pomienionego klasztoru przeglądał bibliotekarz jój, professor A. Reindl, i właśnie dopełnieniem dawniejszego katalogu zajmował się; p. Wattenbach dopomagając mu w tej pracy tak odpowiedniej jego własnym naukowym badaniom, znalazł w rękopiśmie ćwiartkowym, zawierającym w sobie zbiór kościelnych i świeckich praw, do XIgo wieku należących, dwa artykuły pod tytułem: *Epistola Stephani Pape ad Zwentopolcum Regem* i *Edictum Boleslai Ducis*. Zważając na pisownią i charakter głosek, p. Wattenbach odnosi te dokumenta do dziesiątego stulecia, i żadnego nie znajduje powodu do powątpiewania o ich autentyczności. W skutek tego napisał przegląd krytyczny dziejów wprowadzenia religii chrześcijańskiej do Słowian, w dziełku pod tytułem: *Beiträge zur Geschichte der Christlichen Kirche in Mähren und Böhmen*. Wien, 1849. Verlag von Carl Gerold; 40 str. w 8ce i w dodatku do tej broszury str. 42 — 54, i wydał obadwa pomienione rękopiśmienne dokumenta, z których list papieża zajmuje około 6 stronnic, edykt zaś Bolesława zaledwie kilka wierszy. Spodziewamy się następnie poznać czytelników Biblioteki Warszawskiej z treścią obu tych dokumentów i pracą pana Wattenbacha. Autor poświęcił swoje dziełko uczonemu Szafarzykowi, znanemu badaczowi dziejów Słowiańszczyzny.

Greckie rękopisma w Hiszpanii. Bibliotekom hiszpańskim oddawna obowiązani są uczeni za przechowanie zabytków w rozmaitych piśmiennictwach, między któremi szczególnie pożądaną było rzeczą wiadomość o greckich rękopismach, tamże znajdujących się. Dopełnił tego właśnie uczeń sławnego Hellenisty Haasego p. E. Müller, który z polecenia ministra oświecenia publicznego we Francyi, p. Vilmain, w r. 1843 odbył w tym celu naukową podróż po Hiszpanii, i wydał opis rękopismów greckich, znajdujących się w najbogatszej pod tym względem bibliotece w Eskuriale. Dzieło to wyszło we francuzkim języku pod tytułem: *Catalogue des manuscrits de la bibliothèque de l'Escurial par E. Müller. Paris, 1848, XXXI i 563 str. in 4to majori* (przedawane w Paryżu po 30 franków). Wstęp zawiera w sobie wiadomość o podróży autora, która trwała trzy miesiące (str. I—III); dalej idą wiadomości o pochodzeniu opisywanych rękopismów (III—XIX), o pisarzach tychże (XIX—XXI), nakoniec o dawniejszych katalogach, str. (XXVI—XXXI). Katalog p. Müllera obejmuje 382 numerów rękopismów greckich, z których największa liczba należy do XVI stulecia, następnie znaczniejsze są z XVII wieku; reszta zaś, a mianowicie ze 171 rękopisów, są: z XIII do XV wieku, 59; z XII stulecia 31; z XI 9, z IX 1; oprócz rozmaitych pisarzy starożytnej przedchrześcijańskiej Grecyi, kopij ewangelii i ksiąg starego testamentu, dzieł ojców świętych i słowników, znajdują się w bibliotece eskurialskiej kilka rękopisów bizantyjskich, pisarzy średnich wieków, na które szczególnie teraz uczeni uwagę zwrócili. W tym rodzaju zabytków najdawniejszy tam rękopis jest Latopis Jerzego Amartola na pergaminie z XI stulecia, pod nr. 176 opisany, z innych Bizantyjczyków są mniej lub więcej obszernie wyjątki, całkowitych albowiem kopij tam niewiele znajduje się; wszystkie zaś należą do XVI stulecia, wyjąwszy Kinna z XIII stulecia, Zonary z XIV, Manasia z XIV i Nikodema Chokiata z XVI i niektórych innych. Niemniej zasługują na uwagę dwa rękopisma: jeden pod nr. 262 z XIII stulecia, a drugi pod nr. 121 z XIV wieku. Pierwszy za-

wiera w sobie znaczny zbiór rozpraw i mów naukowych, które dotąd we współczesnych dziełach bizanckich nie były znane, a z których nauka historyi wiele zyskać może. Jakoż p. Müller porobił z nich wypisy i zamierza je wydać osobno pod tytułem: *Anecdotorum Escuriensium*, dodając do tego dopełnienia do pierwszego katalogu biblioteki madyryckiej. Drugi rękopis bez początku i końca, zawiera kronikę, której autorem przepisywacz mianuje jakiegoś Laomedona Lakapena, nazwisko dotąd zupełnie pomiędzy bizantyjskimi historykami nieznanne. Nakoniec godne są także wspomnienia cztery dyplomata imperatorów bizanckich z lat 1284, 1440, 1301 i 1406, odnoszące się do prowincyi Monemwelii w Peloponezie. Dyplomata te z powodu wielkiej rzadkości tego rodzaju zabytków, p. Müller wydrukował w całości w swoim katalogu.

Piśmiennictwo w Norwegii. Pan Nissen dozorca biblioteki uniwersyteckiej w Chrystyanii wydał niedawno dokładny katalog dzieł i ksiątek norweskich, które od r. 1814 do 1847 z druku tamże wyszły. Z przeglądu ruchu piśmiennictwa w tym kraju przekonywamy się, iż w ciągu tych lat wyszło tam w ogóle 2,812 dzieł. W średnim stosunku wychodziło tam w pierwszych siedemnastu latach corocznie po 57 dzieł, a w ostatnich siedemnastu po 108; postęp jak widzimy dość znaczny. Ze względu na przedmioty, uważamy, iż najwięcej wychodzi tam dzieł teologicznych i w ogóle nabożnych, bo w liczbie 591. Niektóre z tych nawet doczekały się kilku wydań, jak naprzykład Hersleba: Krótka historia biblijna, której dwanaście edycji już wydrukowano. Sztuki piękne i umiejętności, drugie po tych zajmują miejsce, bo w tym oddziale wyszło 441 dzieł. Najwięcej wydań pomiędzy takowemi miało dzieło pod tytułem: Flora, czyli mowa kwiatów, dotąd w pięciu edycjach drukowana. Następnie idą nauki historyczne, w których wyszło 440 dzieł. W wydziale prawa wyszło dzieł 365, pomiędzy któremi podręczna księga do znajomości prawa przez Holsta, siedmiu wydań doczekała się. Dzieł pedagogicznych wyszło 176. Technologicznych 157. Politycznych i Ekonomii Poli-

tycznój 140. Filologicznych 110; w przedmiocie gospodarstwa wiejskiego i domowego 99. Medycznych 73. Filozoficznych 69. W historii naturalnej 87. Matematycznych 89. Nakoniec dzieł rozmaitej treści i przedmiotów 41. Pomiedzy niemi Andersena Katechizm umiarkowania, drukowany był w liczbie 80,000 exemplarzy.

Tłumaczenia i przedrukowania dzieł dawnych są w stosunku do oryginalnych i nowych jak 1 do 4,05; najmniej znaczny stosunek pod tym względem jest w dziełach matematycznych i prawnych, tłumaczenia albowiem do oryginalnych są jak 1 do 50, albo jak 1 do 39, 5. Najznakomitszy zaś w oddziałach teologicznym i medycznym; tam bowiem jest jak 1, 2, 4, lub 1, 1, 5. Nowe wydania, raczej przedrukowania dzieł dawniej wyszłych, są w stosunku do całego ogółu jak 1 do 11. Wszystkie dzieła wyszłe w Norwegii od roku 1817 do końca 1847, można nabyć, rozumie się po jednym exemplarzu każdego, za 1925 talarów i 20 szylingów, a wychodzące w jednym tylko roku w średnim przecięciu za 56 talarów i 67 szylingów. Zresztą podług obraćowań wyżej wymienionego autora, który przypuszcza, iż każdego dzieła rozeszło się 300 exemplarzy, w ogóle sprzedano za sumę 600.000 talarów, a zatem średnia cena handlowa sprzedawanych w Norwegii książek, wynosi corocznie około 17 do 18 tysięcy talarów.

Dziennikarstwo podobnież w Norwegii od roku 1814 rozwinęło się; tak, iż gdy w tym roku wychodziło tylko 6 codziennych gazet, w 1840 r. liczono już 40 i corocznie od-tąd liczba ich pomnaża się.

W ogóle liczą w tym kraju 622 ludzi autorstwem trudniących się, z których 120 wyłącznie tylko tłumaczeniem i wydawaniem zajmują się. Liczba drukarń w Norwegii w roku 1814 dochodziła do sześciu, a teraz jest ich w ogóle 35, z których w samej Chrystyanii 14 znajduje się.

Medal na cześć Goethego bity. W dniu 28 sierpnia bieżącego roku, przypadł jubileusz stuletni urodzin tego sławnego poety niemieckiego. Wszystkie znaczniejsze miasta przygotowywały się odbyć go uroczyscie, i na ten cel, oraz

dla uwiecznienia nieśmiertelnej pamięci germańskiego wieszca, odbity został śliczny medal, wyobrażający na głównej stronie wizerunek Goethego z laurowym wieńcem na głowie i napisem: *Jo. W. Goethe. Nat. d. XXVIII Aug. MDCCXXXIX*. Na odwrotnej zaś stronie przedstawiona jest apoteoza poety, łabędź ku gwiazdom wznoszący się i napis: *Ad astra rediit, d. XXII. Mart MDCCCXXXII*.

Pomniki dla Diukanża i Monża we Francyi. Niedawno wystawione, a świeżo odkryte zostały dwa pomniki tych znakomitych uczonych francuzkich: Diukanża w mieście Amiens, a Monża w małym miasteczku Beaune pomiędzy Chalons a Dijon leżącym; pomnik dla tego ostatniego wzniesiony, składa się z bronzowej statui na podstawie z czarnego marmuru stojącej. Na jednej stronie podnóża znajduje się następny napis: *A Gaspard Monge ses élèves et ses concitoyens*. Na drugiej zaś stronie *Gaspard Monge né à Beaune le X Mai MDCCXLVI mort à Paris le XIX Juillet MDCCCXVIII. Fonte des canons MDCCXCIII Ecole Polytechnique MDCCXIV*.

* Wydawanie pisma peryodycznego pod tytułem: *Zeitschrift für die Alterthums Wissenschaft*, z powodu zamieszek politycznych z początkiem bieżącego roku przerwane, teraz redakcja ogłasza znowu nową prenumeratę, i dalsze wydawanie dla wielu zgłoszeń i życzeń objawionych, miłośnikom nauki starożytności przyrzeka. Atoli miasto 12 numerów, corocznie będzie tylko wychodzić 6, i stosownie do tej objętości i liczby, cena prenumeracyjna niższą zostanie.

* We Frankforcie nad Menem wydają teraz korespondencyę papieża Adryana VI z Erazmem Rotterdamczykiem, zaś w Wiedniu, drukuje się korespondencya księcia Eugenia sabaudzkiego.

* Alexander Humboldt, zajmuje się teraz drukiem trzeciego wydania swoich obrazów natury, *Ansichten der Natur*. Znakomity ten uczony ukończył właśnie w dniu 14 września b. r. ośmdziesiąty rok swego, tyle czynnego i zasłużonego życia. W roku 1850 akademja nauk berlińska

będzie obchodzić uroczystie 50letni jubileusz, wybrania jego na członka téjże akademii.

* Gerwinius ukończył już teraz swoje wielkie historyczno-literackie dzieło o Szekspirze, które ma wyjść pod tytułem: *Shakespear, sein Leben und seine Werke*.

* Doktor medycyny, znany w uczonym świecie p. I. H. Reveillé-Parise, wydrukował nowe wydanie listów Gui Patina, wzbogacone wielu dotąd niewydanymi i nieznanymi, które szanowny wydawca troskliwie zebrał; wyszły one pod tytułem: *Lettres de Gui-Patin, nouvelle édition augmentée de lettres inédites, par I. H. Reveillé-Parise*. Wiadomo, że Gui Patin był znakomitym lekarzem, oraz niepospolitym autorem, za panowania Ludwika XIV żyjącym. Wydane zaś listy zawierają mnóstwo szczegółów charakterystycznych, a nader zajmujących, które współczesny stan społeczeństwa francuzkiego doskonale malują.

* W dniu 26 maja r. b. zmarł w Bonn, Wawrzyniec Lert, professor tamecznego uniwersytetu, znany w piśmiennictwie ze swoich poezyj, tudzież badań w przedmiotach filologicznym, i starożytności. Wspomnimy tu o szczególnie znakomitým jego dziele, jakim jest bez wątpienia: *Die Sprach-Philosophie der Alten*, które w trzech tomach, od roku 1838 do 1841 z druku wyszło.

F. Max. Sobieszczański.

* W tych czasach wyszło w Moskwie bardzo ważne dla historyi rosyjskiej dzieło w języku niemieckim, pod tyt.: „Dziennik generała Patryka Gordon, pisany podczas jego służby wojskowej u Polaków i Szwedów od r. 1655—1661 i podczas pobytu w Rosyi od r. 1661—1699; wydany po raz pierwszy przez księcia M. A. Oboleńskiego i Dr. M. Posselt.” Wiadomo, że Szkot Gordon był jednym z najczynniejszych pomocników Piotra W. we wszystkich jego reformach wojskowych i administracyjnych, i onto przyłożył się najwięcej do przytłumienia tak nazwanego buntu strzelców. Niektóre ułamki z tego dziennika, były już oddawna znane historykom rosyjskim.

* O Kalifornii i jej bogatych skarbach, ukazało się w Anglii do czerwca b. r. 31 większych i mniejszych pism, pomiędzy którymi zasługuje na większą uwagę dzieło znanego geologa Dawida Ansted. Do tej epoki niemiecka literatura posiadała w tym przedmiocie pism 26, a francuzka tylko 14. Niemcy spodziewają się bardzo dobrego opisu przez Fryderyka Gerstaecker, który opatrzony dostatecznym wsparciem ze strony Władzy Centralnej, w dniu 12 marca b. r. udał się do Kalifornii.

* Dziennik paryzki „*Le bien-être*”, kosztujący 10 fr. rocznie, w skutek wygórowanego współzawodnictwa, przyobiecwał swoim prenumeratorom: 1) dożywotnią pensją w razie, jeżeli który z robotników ulegnie ciężkiemu kalectwu, lub nieuleczonej chorobie; 2) pensją emerytalną po 30 latach ciągłej prenumeraty; i 3) zwrót kosztów pogrzebowych po nastąpionej jego śmierci i 100 franków wdowie lub pozostałym spadkobiercom.

* Pod tytułem: „*Biographie universelle des Contemporains*” wychodzi w Paryżu dzieło, które w krótkich zarysach obejmuje żywoty wszystkich znakomitszych tegoczesnych mężów, wstawionych w różnych zawodach.

* „*Dix mois et dix-huit ans*” p. Liadières, w przeciągu 8 tygodni wyszło 6 wydań.

* Od stycznia b. r. wychodzi w Londynie nowa gazeta, pod tytułem: „*The Phonetic News*”, która obok innych reform, jak np. co do parlamentu, ogólnego pokoju i t. d. obrała sobie za główny cel, aby za pomocą wyrozumowanej metody, usunąć wszelkie trudności, jakie zachodzą w czytaniu pisma angielskiego, nawet dla rodowitego Anglika. Wynalzcami tej nowej metody są pp. S. Pittmann i A. J. Ellis.

* Paryzki zegarmistrz Piotr Dubois pracuje nad dziełem: „*Histoire de l'horlogerie*”, które ma zawierać życiorysy najslawniejszych zegarmistrzów Europy od najdawniejszych aż do naszych czasów. Całe dzieło ma się składać z 50 zeszytów z rycinami.

* W Madrycie wychodzi w ciągu 1849 r. 56 pism periodycznych. Te tak się rozdzielają: 19 jest gazet politycznych; 5 literackich i teatralnych; 9 medycznych; 2 prawne; 3 teologiczne i tyleż wojskowych. Reszta jako zbiorowe, nie mają właściwej jednej barwy. Główniejsze polit. dzienniki są: „*El Clamor publico*”, „*El Heraldo*”, „*El Expectador*”, „*El Observador*”, „*La España*”, „*La Esperanza*”, „*La Ley*” i „*La Reforma*”. Z pism literackich: „*El Diablo*”, „*La Lunetta*” i „*El Pensamiento*”.

* Augusta Roberta wyszło w Paryżu nowe drama, pod tyt.: „*Le Connétable de Bourbon*”.

* Pawła de Kock ukáže się nowy 6tomowy romans p. n.: „*La Gaillarde*”.

* Dzieło F. Valentin'a: „*Peintres célèbres*” doczekało się już 5go wydania.

* Alex. Dumas'a nowy dramat: „*Le chevalier d'Harmental*” grany był po raz pierwszy d. 26 lipca b. r. w „*Théâtre historique*” i prawie w jednym czasie został drukiem ogłoszonym.

* Zapowiedziane oddawna Pamiętniki pani Dudevant, mają się wreszcie w przyszłym miesiącu ukazać.

* Karola Didier pisemko: „*Une visite à Monsieur le duc de Bordeaux*” rozeszło się w ciągu 14 tygodni 14 wydań. Miałożby to służyć za dowód, jak wielki interes przywiązuje jeszcze Francya do familii Burbonów?

* „*La petite Fadette*” nosi tytuł najnowszy romans George Sand'a.

* Jak wiele przyczyniają się do ruchu literackiego niektóre miasta Niemiec, może posłużyć za dowód miasto Augsburg, w którym wychodzą następujące gazety i pisma periodyczne literackie:

- 1) Augsburger Allg. Zeitung Ex. 9,500
- 2) Augsburger Abendzeitung — 5,300
- 3) Deutsche Constitutionelle Zeitung. — 1,200
- 4) Postzeitung. — 3,500
- 5) Archiv für Pastoralconferenzen. — 500
- 6) Ausland. — 1,800

7) Gimnasialblätter	—	750
8) Predigtmagazin	—	1,000
9) Repertorium d. paedagog. Journalistik . . .	—	500
10) Schulbote	—	1,000
11) Sion.	—	1,200
12) Neue Sion.	—	1,200
13) Zollvereinsblatt	—	500

* W zupełnej sprzeczności z dążeniem wielkiego kongresu pokoju, który odbył się w tym roku w Paryżu, a który mianowicie zmierza do usunięcia wszelkich wojen, ukazała się w Bruxelli broszura, pod tyt: „*Éloge de la guerre, ou réputation des doctrines des amis de la paix*”.

* Do wielu wyszłych biografij Ludwika Filipa b. króla Francuzów, przybyła jeszcze jedna, przez L. G. Michaud.

* Najnowszém dziełem Guizot'a, które ma się ukazać w Paryżu, jest: „*Introduction à l'histoire de l'Angleterre*”. Tegoż dzieło: „*De la démocratie en France*” wyszło równocześnie w przekładzie polskim w Lesznie i w portugalskim w Paryżu.

* „*Ce qui plait au filles*” nosi tytuł nowy 2tomowy romans Max. Perrin, napisany z wielkim humorem.

* „*Dix ans de la vie d'une femme*” ma tytuł nowy romans p. Rabou.

* Na uwagę zasługuje ważne dzieło Alf. Bonnardot'a: „*Histoire artistique et archéologique de la gravure en France. Dissertations sur l'origine, les progrès et les divers produits de la gravure. Liste des graveurs français rangés par ordre de règnes, de Charles VII à Louis XIV inclusiv.*” 8vo.

* W r. b. wyszła pierwsza część ważnego do historyi sztuk pięknych dzieła, p. t.: „*Histoire des beaux arts, ou les grands hommes de l'Italie, par Mèrault-Daussy*”.

* Macauley'a: „*History of England*” tom 1 i 2, wyszło do końca przeszłego roku aż 5 wydań. Nawet Ameryka wydała ich kilka; gdzie sądząc po taniości tamtejszych przedruków i znaniej chciwości do czytania Amerykanów, sądzić można, że się tam jeszcze więcej rozeszło ex., jak w An-

glii. Jedna z angielskich gazet obliczyła sprzedaną ilość egzemplarzy na 80,000—100,000.

* W. M. Thackeray, ta świetnie wschodząca gwiazda w literaturze angielskiej, którego sławę ogłaszają wszystkie dzienniki połączonych trzech królestw W. Brytanii, napisał dotąd trzy humorystyczne romanse: „*Vanity fair*”; „*The History of Pendennis*” i „*Doctor Birch and his Young friends*”. Jest on przytém od lat 3 redaktorem gazety „*Punch*” i zamieszcza w niej swoje „*Snob-Papers*”.

* Za osobliwość literacką może posłużyć biblia, niedawno w Londynie wydana, p. t.: „*The Thumb Bible*”. Biblia ta jest tak małego formatu, że zaledwie pokrywa powierzchnią dłoni (około 2 cali kwadratowych).

* Życie Oliwera Goldsmitha, napisane przez Washingtona Irvinga, wyjdzie równocześnie z druku w Londynie i w New-Yorku.

* Z lepszych angielskich romansów wyszły: W. G. Kingston, „*The Albatros or: Voices of the Ocean*” i *Valerie an Autobiographie*, kapitana Marryata.

* Z nowości amerykańskiej literatury zasługują na uwagę: „*Benjamin Franklin, his Autobiography, with a Narrative of his Public Life and Services*”, przez H. Hastings Weld, i „*European Life and Manners*” w listach, przez H. Colman'a.

* W Pradze czeskiej opuściła prasę: „*Bibliotheka staroceska, wydawana nakładem Českého Museum. Cislo III. I. A. Komenského didaktika*”.

* Romans Oliwera Goldsmith „*Wikary Wakefieldski*” wyszedł w tłumaczeniu kroackim w Agram, pod tyt: „*Zabavna Citaonica prevodi iz inostranch Kniztvach*”.

β.

Użyteczność istot mianych zwykle za szkodliwe.

Nawet w szkodliwych roślinach, nauka potrafiła wynaleźć użyteczność: najjadliwsze trucizny są często najlepij

działającym lekarstwem; obok złego znajdziemy i dobro które to złe zrównoważa. Nauki przyrodzone tysiące tego dałyby dowodów, gdyby nauki przyrodzone więcej zajmowały wszystkich. Bez jaskółek, chmury owadów wkrótceby nas opanowały; ileż ptaszków żywi się gąsienicami, któreby inaczej jak zima drzewa nasze liści pozbawiły. Sowa w wojnie zawsze z myszami; nietoperze nieprzyjaciele chrząszczów, jęże ślimaków. Ale chrząszcze największą klęskę zadają rolnikowi w stanie gąsienicy; całe zasiewy giną od tych żarłocznych gąsienic, a człowiek nie jest w stanie im się obronić, owszem najczęściej szkodzi sam sobie, wytępiając jedyne zwierzę które go od podobnej klęski uchronić może. Kto z nas nie wymyślał, nie próbował tysiąca sposobów na wygubienie kretów? a jednak to zwierzę nigdy nikomu szkody nie zrobiło; kret żyje tylko owadami, gąsienicami, nigdy nie uszkodził żadnej rośliny; my tymczasem zupełnie przeciwne o nim mamy dotąd wyobrażenie. Kretowiny, tylko nieprzyjemne oku, jakże łatwo zarównać, a ta rodzajna ziemia, rozrzuciona jako nawóz, ulepszy pole, łąkę, na której ją rozrzucimy. - Jeśli to na trawnikach przy domach sprawia szpetny widok, dość w tych miejscach kilku krzaków rącznika (*Ricinus communis*) zasiać, a krety wyprowadzą się zaraz; ale wygubiać je, jestto oczéwista strata, pozbawienie się użytecznego zwierza. We Francyi niejeden rolnik przekonany o téj prawdzie, szanuje kreta, chciałby jak najwięcej tych zwierząt mieć na swém polu; my zaś krety wygubiamy. Bociany, choć już nikt nie wątpi że tylko nam szkody robią, przecież szanujemy i za jakieś błogosławieństwo uważamy ich gnieźdzenie się na naszych stodołach, które czasem podpalają, nie mówiąc już o tém, że wyjadają jaja ptaków po błotach się gnieźdzących, a które samemi owadami i muszkami się karmią. Ale my, radzi jesteśmy gościom co nas objedzą, a sobie i swoim odejmujemy co jest koniecznie potrzebném.

W. P.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Na artykuł w listopadowym numerze Biblioteki Warszawskiej z r. b. na karcie 404, pod tytułem: „Netscher Gaspar, malarz i ojciec jego”, w sposobie zapytania umieszczony, odpowiadając, mam honor oświadczyć, iż wiadomo jest z wielu autorów, którzy się wszyscy w tym punkcie zgadzają, że ojciec Gaspara, Jan Netscher zostawał w służbie polskiej jako inżynier. Nie czytałem jednakże nigdzie, aby czas jego pobytu w Warszawie, na epokę panowania Jana III przypadał, i porównanie dat, każe mi o tém wątpić. Jeżeli bowiem to jest pewne, że Gaspar przyszedł na świat między rokiem 1636 a 1639, bo i w tém biografowie nie zgodni, zaś matka jego po śmierci męża wyniosła się do Pragi, lub raczej do Hejdelberga, ztamtąd prześladowana uciekać musiała, jak się bezimienny, w dziełku: „*Abregé de ce qui concerne la Peinture. Paris, 1752*” wyraża: „*elle se sauva une nuit, tenant Gaspar entre les mains*”: to z tego wypływa następstwo, że ojciec Netschera dzieckiem go odumartł, a więc śmierć ojca nastąpić musiała około roku 1650; i z tego wnoszę, że tenże jeszcze za Jana Kazimiérza jako inżynier był tu sprowadzony.

Co do Netschera malarza, jednego z najprzyjemniejszych artystów szkoły Flamandzkiej, że ten nigdy w Warszawie nie znajdował się, nieledwie z pewnością twierdzić można: już dlatego, że ówczesni biografowie, nie o tém nie wspominają; już téż, że niemasz śladów jego pobytu, bo prawie nikt w Warszawie, a nawet na prowincyi, nie posiada znakomitego malowidła, pędzla jego. Młoda amatorka w roku zeszłym nabyła wprawdzie obrazek Netschera, w małym formacie, przedstawiający dwoje młodych ludzi, zajętych czytaniem listu; ale obrazek ten piękny, świeżo z zagranicy był przywieziony. W innych zbiorach prywatnych, nie spotyka się Netschera.

Co do wilanowskich portrecików, przedstawiających Jana III i Maryą Kazimirę, te albo były za granicą robione,

albo wcale nie są pędzla artysty, o którym mowa. Oddalenie Wilanowa od Warszawy jest przyczyną, iż nie można się natychmiast przekonać o rzeczywistości twierdzeń, szanownego autora artykułu; o ile zaś pamięcią objąć jestem w stanie, w całej galerii wilanowskiej czuć się daje brak szkoły Flamandzkiej, a portrety Netschera, zwłaszcza w małym formacie, tyle mają powabów, że każdego zwróciłyby uwagę. Jeżeli zdanie powyższe o galerii wilanowskiej mylnémby się okazało, pochodzi to ztąd, że zbiór ten choć tak liczny i wiele znakomitych dzieł obejmujący, umieszczony został bezużytecznie w pałacu od miasta odległym, i dla publiczności nieotwartym, tak, iżby młodzież ucząca się i amatorowie, korzystać i wzory czerpać z niego mogli. Gdyby przeto zaci właściciele Wilanowa, arcydzieła, które posiadają, przenieśli do Warszawy i wstęp do nich dozwolili; wysokie imiona ich, wspominaneby były z równą czcią i wdzięcznością, z jaką wspomina i wspominać będzie Warszawa, imię Józefa hrabi z Tenczyna Ossolińskiego, który z niemałym kosztem, jedynie zainitowaniem sztuki powodowany, zebrał kolekcją obrazów pierwszych mistrzów europejskich, a otworzywszy ją dla publiczności, utalentowanej młodzieży ułatwiał przez pół wieku powzięcie pierwszych zasad sztuki.

Wracając do rzeczy, niech mi się godzi zapytać tych, co utrzymują, że Netscher w Warszawie przebywał: gdzie widzieli ślady jego pobytu? gdzie są obrazy jego pędzla? gdzie owe w naturalnej wielkości portrety Jana III i królowej Maryi Kazimiry, kiedy ich niéma w Warszawie, ani w Wilanowie? Dlaczegoż wiemy, że Stanisław August sprowadził Jana Pillement i innych; że hr. Belloti Bernard, nie tylko był w Warszawie, ale nawet że umarł w hotelu Wileńskim; że Myrysa trzymał na swym dworze hetman Branicki w Białymstoku, i ci wszyscy wiele bardzo dzieł własnych w kraju zostawili, a nie mielibyśmy wiedzieć jakiegokolwiek tradycyi o Netscherze? Nadto wiadomo jest dobrze, że artysta ten spędził młodość w Arnheim, pod okiem doktora medycyny Tulkens, który z początku na lekarza kształ-

cię go zamierzał. Wiek średni swój przepędził w Bordeaux, gdzie się też ożenił; resztę zaś życia dokonał w Hadze. Myli się Nagler twierdząc, że wezwany przez Karola II, udał się do Londynu; czyniono mu wprawdzie przez konsula sir Temple propozycją, ale ją odrzucił, nie chcąc się oddalać od licznej swój rodziny, której jedyną stanowił podporę.

Że tedy Netscher nie był do Warszawy sprowadzany, przemawia za tém jeszcze i to: iż okoliczności ówczasowe, nie sprzyjały rozwinięciu się u nas sztuki; i dlatego młodzię nasza doszedłszy do pewnego wykształcenia się, pozostawała dla chleba za granicą i tam dalszej kariery szukała. Przykłady tego są następujące:

1) Trzej bracia Bielscy, Jan, Alexy i Joachim, uczniowie Waleryani i Peressinotego, osiedli w Petersburgu, gdzie około r. 1780, w włoskim guście, olejno i al-fresco pracowali.

2) Mikołaj Chodowiecki ur. 1726 † 1801, był dyrektorem akademii sztuk pięknych w Berlinie. Znakomity artysta malarz i uczonec.

3) Gotfryd Chodowiecki, brat poprzedzającego, ur. 1728 † 1781 nie zrównał mu; malował jednak sposobem bardzo do Rugendasa zbliżonym. Życie spędził w Berlinie.

4) Karol Kubiński, nie ucząc się od nikogo, doszedł własną metodą wysokiego stopnia, i około roku 1792, był umieszczony na dworze hr. von Stolberg.

5) Anna Dorota Liscewska 1722 † 1782, znakomita artystka, była przyjęta jako członek Instytutu Bolońskiego. Wiele obrazów historycznych zostawiła w Stutgardzie, Bruxelli, Paryżu i Manheimie.

6) Liscewska Fryderyka Julia.

7) Liscewska Anna Rozyna.

8) Liscewski Grzegorz. Cała ta familia artystów, malarzy znakomitych XVIIIgo wieku, życie spędziła w Niemczech.

9) Krysztof Lubieniecki 1659 † 1729, wielką w owym czasie posiadał sławę, a brat jego Teodor 1653 † 1720,

uczeń **Lairessa**, był dyrektorem akademii malarstwa w **Berlinie**.

10) **Franciszek Ignacy Oefele**, urodzony w **Polsce**, uczeń **Nogarego**, mieszkał w **Monachium** około r. 1797.

Te przykłady zaiste są dostatecznym dowodem, dlaczego kraj nasz nie był obfitym w malarzy.

Jeżeli artykuł niniejszy redakcyja uzna za godny pisma swego, niech go każe zamieścić; w każdym zaś razie zechce go podać do wiadomości autora artykułu, któremu służy za odpowiedź na jego pytanie. Być może, że szczegóły, jakie tu znajdzie, posłużą mu za pomocnicze wiadomości w użytecznych i ciekawych zawsze pracach jego. !

Warszawa, d. 20 listopada 1849 r.

Józefowicz.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Dawniej już dostrzeżono, że po drutach telegrafów galwani-
cznych w czasie trwania zorzy północnej, krążą strumienie
elektryczne. Baumgartner wstawiając bardzo czuły multi-
plikator w obwód utworzony przez druty telegrafu, idącego
z Wiednia do Pragi, przekonał się, że po drutach płyną stru-
mieniami stałymi i przypadkowymi: pierwsze podczas dni pogodnych,
drugie w czasie burzy.

Wypadki tych obserwacji są następujące: Iгла magnesowa
multiplikatora po zamknięciu obwodu telegrafu, nigdy prawie
nie staje na 0° , lecz zawsze wskazuje pewne zboczenie,
świadczące o wpływie na nią strumieni elektrycznych. Zbo-
czenie niekiedy dochodzi 50° , zwykle jednak oscylluje mię-
dzy $\frac{1}{2}$ i 8° . Przypadkowe zboczenia są zmienne co do po-
łożenia, i dotąd przynajmniej nie dają się podciągnąć pod
żadne prawo; drugie słabsze zdają się wskazywać, iż stru-
mien elektryczny dniem płynie z Wiednia i Graetz do Sen-
nering, nocą zaś w przeciwnym kierunku.

Gdy niebo jest pogodne i suche, bieg strumieni jest bar-
dzo regularny; w czasie chłodnym i dżdżystym, różne przy-
trafiają się anomalie. Baumgartner przywodzi, że robotnicy
użyci do układania drutów telegrafu, często się użalali na
kurcze w rękach, które ustawały po odjęciu rąk od drutów.

Dowiedziona już jest rzeczą, że w miarę posuwania się chmur zapowiadających burzę, igła wskazująca znaki na telegrafie zawsze zbacza stale; przyczém kierunek zależy od natury chmur i od kierunku, w którym postępują chmury. Gdy chmura zbliża się ku stacyi, zboczenie trwa póty, póki trwa posuwanie; skoro zaś chmura się oddala, zboczenie następuje w przeciwnym kierunku.

Baumgartner przytacza mnóstwo przykładów dotyczących szkód sprawionych przez pioruny, uderzające w telegrafy. Między innemi, słupy utrzymujące druty przedstawiły szczególne zjawisko, że drzazgi z uderzenia piorunu powstałe, odlupane były w jednym kierunku z góry na dół i wisiały za swe dolne końce. Na uszkodzonych słupach dostrzeżono przytém, że ślady przez drzazgi utworzone, posiadały zawsze kształt spiralnych.

Pogendorff śledząc obracanie się masy merkuryusza zostającej pod wpływem bieguna elektromagnesu strumieni elektrycznych, przekonał się, że ruch masy metalu słabnie, a po pewnym czasie (15—20 minut), zupełnie ustaje, jakkolwiek w sile strumieni elektrycznych, żadna nie zaszła zmiana. Wstrzymanie więc ruchu było jedynie skutkiem zmiany, jaką doznał metal na swój powierzchni; zmiany, powodującej zmniejszenie płynności tego metalu. Podobne zgęszczenie ma miejsce, skoro metal jest w zetknięciu z eterem, różnemi olejami, a nawet gazami. Kwas węglany i wodoród, czyste, zachowują się zupełnie obojętnie; przeciwnie, kwasoród daleko prędzej aniżeli powietrze sprawia ustanie krążenia merkuryusza. Merkuryusz w próżni zachowuje przez czas nieokreślony swą płynność.

Pogendorff, przeciwie twierdzeniu chemików, utrzymuje, że zjawiska przez niego badane są skutkiem ukwasorodnienia warstwy merkuryusza, stykającej się z powietrzem.

Zdaje się, że w ukwasorodnieniu merkuryusza, szukać należy przyczyny obserwowanych przez Frankenheima nieregularności w wysokości słupa merkuryusza w rurkach wło-

skowatych, i zmian uważanych przez Dulong'a w wysokości termometru.

Wielu fizyków dostrzegło, że w żelazie magnesowaném, następuje zmiana w układzie cząsteczek tego metalu. Naturalny ztąd wniosek, że przy takim nowém układaniu się cząstek, musi między niemi nastąpić zetknięcie, tarcie, a więc powstawać ciepło.

Stwierdzenie tego wniosku, połączone jest z wieloma trudnościami, szczególnie z tego względu, że ciepło wywiązane w elektromagnesie, przez strumienie elektryczne, krążące po drucie obwijającym spiralnie elektromagnes, modyfikuje, a więc i zagłusza ciepło, wzbudzone przez same magnesowanie. Grove usunął przynajmniej w części tę niedogodność, otaczając kotwicę z miękkiego żelaza, flanelą lub warstwą wody, i wtedy dostrzegł, że rzeczywiście magnesowanie i szybkie odmagnesowywanie, sprawia podniesienie temp. w miękkim żelazie stanowiącém zbroję elektromagnesu, o kilka stopni nad temp. samego elektromagnesu.

Zamiast żelaza, biorąc nikiel i kobalt na zbroję magnesową, zwiększenie temp. jakkolwiek w niższym stopniu, ma jednak miejsce. Zbroje z innych metali niemagnetycznych, nie wskazały najmniejszej zmiany w swój temperaturze.

Tak więc Grove przekonał, że *magnetyzm może bezpośrednio być przyczyną podniesienia temperatury.* (Bib. de Gen. 1849 Jouillet).

S. P.

CHEMIA.

Srodek na odkwaszenie starego ustalego wina reńskiego. Do powyższego celu radzi Liebig używać winianu obojętnego potażu. Sól tę należy w roztworze stężonym do wina dodawać, przez to utworzy się w niém trudno rozpuszczalny winowy kamień; bo wolny kwas winowy łączy się z solą obojętną, i wyłącza się z cieczy w postaci soli kwa-

śnej. Wynalazca niniejszego sposobu widział jak w ciągu dni ośmiu, po dodaniu 7 gramów chemicznie czystego winianu potażu do dwóch kwart wina z r. 1811, znaczna ilość kamienia winowego się wydzieliła, a wino w smaku i przyjemności stało się podobnym do win okolic południowych, nie straciwszy nic z przymiotów odznaczających wina reńskie. (*Journal für praktische Chemie* nr. 9 i 10 z r. 1849)

* *O złocie z Kalifornii* (1). (Wyjątek z listu Dra Hoffmann do p. J. L.). „Kalifornijskie złoto pod względem swęj dobroci uważane, nie jest jednakowe; toż mówić i pod względem jego wydobywania; znajduje się bowiem albo w postaci drobnego piasku, lub też w kawałkach wielkości orzecha dochodzących. Widziałem kawałki ważące od dwóch do trzech uncyj; w ogólności jednak najwięcej znaleziono mającego postać niekształtnych listków wielkości główki od śpilki; te listki pomieszane są z większą lub mniejszą ilością żelaza, które przez magnes odłączyć można. Do mych doświadczeń użyłem złota udzielonego mi przez p. Forbes ze skrzyni znaczną ilość go obejmującej; było ono prawie wszystko w postaci małych blaszek z gruzelkami wielkości ziarna jęczmiennego.

Przy rozbiornie oddzieliłem ziarka złota od żelaza, a złoto strąciłem kwasem szczawiovym; składało się ono:

ze złota 89,61

— srebra 10,05.

Ilość do 100 brakująca jest miedzią i żelazem.

(1) W piśmie *L'Institut* nr. 818 z r. b. znajduje się umieszczona obszerna rozprawa p. Dufrenoy o *piaskach złotych*; w niej czytamy ciekawe szczegóły następujące: 1) Że obfitość piasku złotego wymywanego w Kalifornii, nie przewyższa teraz bogactwa innych znanych płóczkarni, tegoż metalu. 2) Że w ogólności w kopalniach złotych wszystkich krajów i Kalifornii, jeden robotnik otrzymuje dziennie złota za 7 franków i 70 centymów, a zatem, że przedsiębiorstwo hut żelaznych, większy we Francyi zysk przynosi. 3) Z tego autor wyprowadza wniosek, że odkrycie złota w Kalifornii nie robi zmian ogromnych ani w przemyśle metalurgicznym, ani w innych stosunkach, ale jedynie stanie się nowym źródłem bogactw związku amerykańskiego.

Ziarna więc są spizem złożonym ze złota i srebra, co potwierdziły powtarzane przezemnie rozbiory. (*Annalen der Chemie und Pharmacie* Maj 1849).

* W piśmie *Annales de Chimie et de Physique*, Juin 1849, znajduje się rozprawka p. Fresenius o ilości ammonii zawartej w powietrzu atmosferycznym, z której to pracy wypadki w treści przytaczamy.

1) Dotychczasowe oznaczenia ilości ammonii zawartej w powietrzu były zanadto wysokie, bo różnice pomiędzy rozbiorami są tak wielkie, że nie można ich przypisywać zmianie składu powietrza, chyba gdyby ta zmiana pochodziła od przyczyn szczegółowych czysto-miejscowych. Dodaje nadto (p. F.), że zapewne się nie pomylił w wadze więcej jak o 0^{gr}, 00005.

2) Dla oznaczenia ze ścisłością ammonii zawartej w atmosferze, potrzeba robić doświadczenia z ilościami powietrza większemi jak to dotąd skuteczniano. Należałoby brać do tego celu 12000 do 15000 kwart powietrza.

3) Do czasu wykonania doświadczeń na wielką skalę, niemiejsze spostrzeżenia mogą być uważane za wypadki przybliżone.

Jeżeli jest prawdą, że powietrze nocne jest bogatsze w ammonią od dziennego; można to wytłumaczyć przez zjawiska wpływające z żywienia się roślin; równie jak i przez to, że ammonia zbierająca się w powietrzu w ciągu dnia i w nocy, rozpuszcza się i opada z rosą przy wschodzie słońca.

Przyjąwszy z panem Marchand, że atmosfera waży 526362300000000000 kilogramów, i że jej skład jest wszędzie jednakowy, wypadnie z powyższych doświadczeń, iż powietrze zawiera 4079042 kilogramów ammonii.

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

W kanale kiszkowym ryb łakliwych (*Sélaciens*) postrzegł J. van Beneden robaki nowego rodzaju, odznaczającego się kształtem głowy i licznymi cierniowatymi przysadkami u szyi.

Ażeby temu rodzajowi naturalne w układzie stanowisko naznaczyć, autor spowodowany był ścisły uczynić przegląd wszystkiego co dotąd mieszczono w rodz. *Bothriocephalus* (tasiemców), którego jest najbliższym i jego nowo stanowiony rodzaj.

Robaki wstęgowate (*Cestoideae*) kilkokrotnie kształt zmieniają: gatunku nie wyobraża w nich samo zwierzę dorosłe, lecz także kilka jego odrodzeń, które z siebie przez oczka powstają; dopiero ostatnie z tych pokoleń opatrzone jest przyrządem płciowym; do należytego więc poznania indywiduum potrzebną jest dokładna znajomość jego rozmaitych stanów, to jest zmian jego rozwijania się. Sądzi autor że każdej takiej zmianie osobne i stałe nazwisko dać potrzeba: pierwszą, to jest gdy zwierzę z jaja wyszło, nazywa *Scolex*, drugą *Strobila*, trzecią *Proglottis* (1).

Nowy swój rodzaj tak charakteryzuje autor:

Rodz. ECHINOBOETHRIUM.

W pierwszym pokoleniu *Scolex*?

W drugim pokoleniu *Strobila*: ciało podłużne, gładkie, z wyraźną głową, dwa wieńce haczyków mającą; głowa ta ma kształt młota; trzy rzędy rogowatych cierniów zbroją na każdym boku szyję. Prącie (le lemnisque) wynika na linii pośrodkowej; robak na 5 do 6 milimetrów jest długi.

W trzecim pokoleniu, *Proglottis*, ciało jest podłużno-okrągłe, oprócz otworu na prącie, niema żadnego innego na zewnątrz; rzeczony otwór jest rurkowaty. Prącie przy podstawie szorstkie, prawie téj co ciało długości; długość robaka dochodzi milimetra; niesie on jaja bardzo drobne, tylko na 0,01 milimetra wielkie.

(1) Zob. Bibl. Warsz. str. 212 tego tomu.

Echinobothrium typus znajduje się zwykle z wielu innymi robakami w kiszkaach płaszczki ciernistej, a to przy początku klapy spiralnej (bursa entiana); tylko dlatego, że jest drobny i delikatny, mógł on dotąd ujść wzroku badaczy.

Zwierzę to w drugim, swojego życia okresie, rozdzielone jest wyraźnie na trzy części osobne: na głowę, szyję i kadrę. Głowa jest tak ruchliwa jak u gręza (*Tetrarhynchus*); przedłuża się ona jakby ostrze strzały, albo też w kulę się ściąga; poruszenia te następują po sobie z taką szybkością, że nie używszy środka na odurzenie (opium), prawie niepodobna dojść właściwego jej kształtu. Jest ona płaska równie jak ciało, lecz górują nad nią dwa mięsiste, nader kurczliwe, stykające się z sobą płatki. W jakimkolwiek położeniu zostaje, zawsze wewnątrz niej widać gruczoł (bulbe), który, gdyby kanał pokarmowy był widocznym, należałoby za gruczoł do trawienia uważać; jest on nieco przezroczystszy od otaczającej tkaniny, ma na sobie dwa rzędy haczyków, które, patrząc na głowę ze strony płaskiej, ponad sobą leżą. Gruczoł ten nagle się otwiera, głowa rozszerza się w poprzek, i przybiera kształt młota jak u ryby zwanej kuszą; wtenczas haczyki, które się przedtym wewnątrz widzieć dawały, przechodzą na stronę zewnętrzną, i odtąd przypadają tam, gdzie u kuszy leżą oczy; haczyki stoją rzędami na końcu każdego przedłużenia. Pomiędzy blisko stu indywiduami, które autor badał, u kilku jedynie haczyki pokazały się na stronie zewnętrznej; stawało się to w ogólności wtenczas tylko, gdy zwierzę leżało na płaskim boku, a haczyki dawały się widzieć z przedłużeniem od przodu.

Haczyki usadzone są szeregiem, końcami naprzód albo nieco na zewnątrz zwrócone; autor liczył ich po każdej stronie 9; miały po większej części długość i kształt jednokowe. Ostatnie, przy podstawie cokolwiek szersze niżeli przy wierzchołku, zakrzywiały się nieco ku wewnątrz; w $\frac{2}{3}$ wysokości każdy haczyk ukazywał małe nabrzmienie; haczyki bardzo łatwo odłączały się od głowy. Wewnątrz gło-

wy, pod rzezonym wyżej gruczołem, widać było cztery zwinęte sznurki, przez całą długość szyi aż do ostatnich ogniwek biegnące. U wielu tasiemcowatych znajdują się zupełnie te same sznurki; Blanchard nastrzykiwał je u niektórych. Część następująca po głowie sprawiedliwie zasługuje na nazwisko szyi, ponieważ równie z jednego jak i z drugiego końca ogranicza ją mocne przecięśnienie; jest ona podobnie jak głowa i kadłub płaska i z obudwu stron trzema rzędami cierniów osadzona. U wszystkich innych robaków daremniebyśmy takiego uzbrojenia szukali. Ciernie te, mało między sobą odmienne, są jednakowej długości, proste, u podstawy kończące się trzema nabrzmiałościami, któremi na miękkich częściach zwierzęcia siedzą. W każdym rzędzie jest ich 12 do 13, tuż przy sobie leżące, nieraz nawet jeden po drugim poprowadzone, z zakrzywieniami zawsze w tył zwróconemi; i te ciernie łatwo się odrywają. Szyja jest tak długa jak i głowa, lecz nierównie węższa; gdy się wyciąga, ciernie oddalają się nieco od siebie.

Kadłub składa cała część ciała pod szyją leżąca: ukazują na sobie płytko narysowane rowki poprzeczne, które się coraz wyraźniejszymi stają, a nakoniec przechodzą w tyleż ogniwek dobrowolnie odłączających się od siebie. Ogniwka te tworzą dojrzałe zwierzę, czyli ostatnie przerodzenie się jego: stają się one wolnemi oczkami, które już przed odłączeniem się, zupełny wzrost otrzymały. Cztery przez środek ciała biegnące sznurki, należą wspólnie do macierzyńskiego zwierzęcia, jako i do potomstwa jego. Organa płciowe, które są u ostatniego tylko, rozwijają się w każdym ogniwku osobno. Tworzenie się ogniwka odpowiada, według zdania autora, tworzeniu się oczka.

Ostatnią zmianę, *Proglottis*, stanowią wolne ogniwka, podobne robakom rozgniotkowatym (*Trematoda*); dojrzałe zwierzę może być przyrównane do chelbi, która wyszła z postaci stanowiącej to co nazwano *Strobila* (1). Zdaje

(1) Tak nazwał Sars pewną fazę w przemianach chelbi, biorąc zrazu ten kształt za osobny rodzaj zwierząt.

się że to uchodziło dotąd badaczów oka, że to doskonałe, od matki swojej odłączone zwierzę, dalej jeszcze rośnie i może przybrać znaczną objętość: autor widział indywidua, które były tak długie, jak wiele innych ogniw razem wziętych; z wielkością zmienia się zazwyczaj i kształt: płaska taśmowatość przechodzi w okrągłą rurę. Poruszenia zwierzęcia są zupełnie takie jak wypławek; autor mniema, że to dotąd za robaka rozgniotkowego miano. Skóra pokrywająca organa rodne, nie przedstawia nic szczególnego: organa wewnętrzne ściągają się, jako w związku z nią zostające nie ma na ich powierzchni ani rzęs, ani fałdzistości; najwięcej jeżeli widać niejakie lekkie marszczki; wszędzie powierzchnia jest zamknięta, nawet aż do miejsca przeznaczonego na wysuwanie się organu, który dotychczas uważano za pracę. Nie ma nic coby odpowiadało pyszczkowi albo narzędziu oddychania.

Uważany dotąd za pracę (*lemniscus, cirrhula, penis*) organ, podług autora wcale inne ma przeznaczenie. Jest on odpowiedni ryjkom u gręza (*Tetrarhynchus*) i dany na to ażeby zachodził w śluzową błonę lub miękkie części na których zwierzę siedlisko ma swoje. Miejsce tego organu, podług rodzaju, rozmaicie się zmienia: u robaków leży na pośrodkowej linii, przy dolnej ciała połowie; można go już wtedy rozeznąć, gdy jeszcze pochwą jest odziany. Przysadka ta, jak u wszystkich tu należących zwierząt, przy podstawie jest grubsza i małemi wywyższeniami okryta. Całkowicie wysunięty organ ten jest prawie jak ciało długi, leży w zamkniętym dokoła pokrowcu, podobnym zupełnie do pochwy ryjka u *Tetrarhynchus* i zupełnie w ten sam rozsuwający się sposób. U podstawy tego pokrowca przyczepiony jest muskuł do wciągania, na całą przysadkę zachodzący.

Autor zgadza się z Sieboldem, że i u robaków wstęgowatych, równie jak u rozgniotkowatych i nitkowatych, znajduje się organ przeznaczony do ukształcania zarodka, i inny do ukształcania żółtka. Żółtek otula najprzód zarodkowy pęcherzyk. Organ ukształcający zarodek leży z boku, pra-

wie wzdłuż całego ciała; jest on prawie kształtu wieńca: najlepiej wtedy go widać, gdy już ma zarody. Organ żółtka składa się z wielu okrągławych, częstokroć prawie przezroczystych przegród, które w środku ciała leżą. Autor nieraz uważał ukształcanie się jaj wewnątrz; sądzi on, że te pęcherze pękają, i że żółtkowe kule wylewają się w jamę ciała i tam otaczają zarodkowy pęcherzyk, gdy ten zetknął się już ze spermatozoami.

Przypatrując się z uwagą robakowi dorosłemu, spostrzedz można wewnątrz ciała organ wpadający w oczy swoim zamglonym kolorem. Za naciśnięciem zwierzęcia występuje on w kształcie długiego skręconego sznurka, podobnego jądrom owadów. Sznupek ten czyli przewód, ma swoje własne ściany, i daje się całkiem rozkręcić. Autor nie wątpi że to jest organ kształcający nasienie; lecz że nie widzi w nim najmniejszego otworu na zewnątrz, przypuszcza więc rozlewanie się płynu wewnątrz ciała i stykanie się go tam z pęcherzykami zarodkowemi; tym sposobem zupełną obupłciowość zwierzęciu przyznaje. U rozmaitych innych robaków ma się znajdować otwór płciowy, którego tu niezawodnie nie ma. Jeżeli indywiduum naszego robaka jajami napełnione, pod mikroskop włożymy, ujrzymy jak się na nim skóra rozdziera, i przez te rozdzarcia jaja wypływają. Jaja są tylko $\frac{1}{10}$ milim. długie i odznaczają się przezroczystością która dozwala widzieć jak się w nich komórki tworzą.

Echinobothrium musiałby należeć do gatunków tasiemca kolcami opatrzonych, ale się nie da do żadnego z dotychczasowych rodzajów odnieść. Autor usiłując miejsce jego wskazać, zdumiał się nad wielkością zamieszania, jakie rodzaj *Bothriocephalus* u autorów przedstawia; mniema że dokładne obrobienie tego rodzaju jest koniecznie potrzebne. Pierwszą w ich klasyfikacyą cechę wprowadza obecność lub brak haczyka u głowy; dzieli potém wstęgowate na cieniogłowe (*Acanthocephala*), i bezcieniogłowe (*Anacanthocephala*). Pierwszy, nierównie liczniejszy oddział, tworzą dwie zupełnie naturalne familie, z których jedna przedstawia wieńiec z haczyków, otoczony czterema nader ścia-

galnemi bańkami (*ventouses*), druga zaś cztery nader ściągające płatki; familia pierwsza obejmuje soliterowate (*Taenioidae*); druga tasiemcowate (*Bothrioidae*). Bezierniogłowe zaś składają jedno tylko pokrewieństwo, w którym się wszystkie bezierniowe gatunki tasiemców mieszczą. Według téj zasady, tak nakoniec to co dotąd jest znane, przedstawia:

Wstęgowate (*Cestoidae*).

Pierwszy oddział: kolcogłowe (*Acanthocephalae*).

Familia pierwsza: *Taenioidae*.

Rodzaj *Taenia*. *Taenia solium*

„ *Halysis* *H. genettae* Gerv.

„ *Trienophorus*. *T. nodosus*

Familia druga: *Bothrioidae*.

Rodzaj *Acanthobothrium* n. gen. . *Bothr. bifurcatus*

„ *Echinobothrium* n. gen . . *E. typus*.

„ *Dibothriorhynchus* *D. lepidopii*

„ *Tetrarhynchus* *Rhynchus corollatus*

Drugi oddział: bezkolcogłowe (*Anacanthocephalae*).

Familia pierwsza: *Bothriocephalidae*.

Rodzaj *Phyllobothrium* n. gen. . . *Bot. tumidulus*

— *flos*.

„ *Fimbriaria*. *Taenia malleus*

„ *Bothridium*. *B. megalcephalum*.

„ *Bothriocephalus* *B. latus*.

B. punctatus.

„ *Schistocephalus* *B. solidus*.

„ *Cryptocephalus* n. gen.

(*Fror. Not.* 1849 n. 214 z *Bullet. de l'Acad. roy. de sc. de Belgique* n. 2.1849).

†† Przy końcu zeszłego roku dotkliwą stratę historia naturalna poniosła w zgonie dwóch mężów, którzy nieporównaną pracowitością swoją wiele się do jój postępu przyczyniali. W Berlinie umarł znany entomolog dr. *W. F. Erichson*, który założone tamże przez Wiegmanna pismo peryodyczne pod tyt. *Archiv für Naturgeschichte*, z wielką pilnością wydawał, rozjaśnił naukę entomologii kilku dziełami znacznego zakresu, a u najpóźniejszej potomności wdzięczność sobie zapewnił wydobyciem z mętu zamieszania rodzajów krótkopokrywych (*brachelytra*), jedynéj grupy owadów chrząszczowatych, która gwałtownie wymagała krytycznego przerobienia. Téj mozolnéj pracy, której wy-

padku wszyscy entomologowie długo i niecierpliwie oczekiwali, dokonał Erichson w dziele pod tyt. *Genera et species staphylinorum ins. coleopter. familiae*, part. I—II, w Berlinie wydanem.—W Norymberdze umarł (28 listop. z. r.) znany wszystkim naturalistom i pełen zasług w zakresie ich działań, *Jakób Sturm*, który przez ciąg 77letniego życia swojego, długi poczet dzieł literaturze zoologicznej i botanicznej przyniósł. Jako naturalista opisywał on bez z mordowania, a jako kunsztmistrz wizerunkował różne, najwięcej zaś nowo-poznawane, historyi naturalnej przedmioty: mianowicie rośliny we Florze, owady w Faunie niemieckiej, dwóch bardzo miłych i szacowanych dziełach. Młodzieniec, już w 1787 r. okazawszy uczonemu światu swój gust i talent, ciągle odtąd pracował: był pomocnikiem Panzera w jego Faunie owadów niemieckich, i nieustannie mnożąc dzieła własne, niósł chętną pomoc mnóstwu cudzych, a z tą ofiarą wszystkich sił swoich, od przedostatnich lat wieku jednego, zapełzał w środkowe drugiego!

† D. 29 marca b. r. umarł w Wiedniu *Stefan Ładysław Endlicher*, głęboki filolog i razem botanik, którego imię, ze wszech względów doskonałe dzieło pod tyt. *Genera plantarum*, przy opisie każdej rośliny z wdzięcznością powtórzyć nakazuje, a sławę autora w najpóźniejsze wieki przeniesie.

A. W.



Rejestr abecadłowy wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych, z r. 1849.

ASTRONOMIA I FIZYKA KULI ZIEMSKIEJ.

	Tom str.
Gwiazdy zakrycie przez księżyc.	I, 193
Koło białe obwodzi słońce i księżyc	tamże
Kometa Enkego w r. 1848.	I, 190
Komety nowe	III, 195
Księżyc obwodzi białe koło	I, 193
Księżycowe wulkany.	II, 392
Luneta wielka w Cambridge.	I, 408
Mikrometr oświecany stosem Wolty.	III, 196
<i>Nébuleuses</i>	tamże
Obłoczek wielki w Oryonie	II, 391

	Tom, str.
Obłoczków spis na 1 styczn. 1850 r. p. Laugier III,	196
Planeta nowa	III, 194
Planety teleskopowe	I, 191
Słońce w jasnym kole	I, 193
Zjawiska w r. 1848 w Warszawie uważane . . .	<i>tamże</i>
Zorza północna w Warszawie	I, 194

FIZYKA.

Akustyczne odkrycia	I, 632, 633, II, 650
Cieplik i światło w ciałach rozgrzewanych do czerwoności.	II, 648
Ciepło jako siła fizyczna	I, 200
Draper, doświadczenia z ciałami rozgrzewanymi do czerwoności	II, 648
Dróta platynowego ziębnienie w gazie wodorodnym.	I, 633
Dyamagnetyczne doświadczenia.	III, 409
Elektryczność jako siła fizyczna	I, 201
„ przyspiesza osady w cieczach	III, 410
„ zmniejsza płynność merk. i ruch jego masy.	IV, 628
„ zorzy północnej krąży po drótach telegrafu.	IV, 627
Fale głosowe z ciała nagle poruszanego	II, 650
Galwanicznego świecenia przedłużenie.	II, 652
Grove, działanie sił fizycznych na siebie.	I, 195
„ ziębnienie dróta platynowego w wodoro- dym gazie	I, 633
Kryształ między biegunami magnesu.	IV, 197
Lampa elektryczna	II, 652
Magnesowanie żelaza zmienia w niem układ czą- stek, przeto temperaturę podwyższa	IV, 629
Magnetycznych zjawisk przyczyna.	IV, 195
Magnetyzm, jako siła fizyczna.	I, 202
Optyczne postrzeżenia.	II, 651
Peytal, tłumaczenie trąby powietrznej	I, 411
Polaryz. światła na tafli zakoloryzow. bizmutem.	II, 651
„ światła odbitego od nieba	III, 411
Powinowactwo chemiczne, jako siła fizyczna	I, 202
Russell, postrzeżenie akustyczne	I, 633
Światło, jako siła fizyczna.	I, 201
Szko kolorowe w lunecie przez mgły ukazuje. II,	649
Trąby napowietrznej nowe tłumaczenie.	I, 411
Wertheim, odkrycie w akustyce	I, 632
Zegar lub kompas biegunowy.	III, 411

CHEMIA.

	Tom, str.
Ammonii ilość w powietrzu atmosferycznym	IV, 631
Atrament bezpieczeństwa	I, 634
Berberyn w korzeniu Columbo.	I, 415
Cukier w białku jaja	IV, 199
„ w miodzie	<i>tamże</i>
„ w moczu.	III, 198
„ w wątrobie	I, 204
Gaz niedokwasu 1 ^o saletrorodu, skroplony. I, 204, III, 197	
Gazy w wodzie studni artezyjskich	I, 415
Jodoform daje nowe istoty	I, 414
Koperwasu zielonego użytek.	II, 407
Kulowatość ciał	IV, 423
Kwas saletrowy 3ci bezwodny.	III, 198
„ w ostokrzewiu paragwajskim.	I, 415
Kwasu mlekowego nowa własność.	IV, 198
Miód ma 3 gatunki cukru	IV, 199
Mlekanów nowa własność.	IV, 198
Nawozy pod winorośl.	I, 414
Niedokwas Iszy saletrorodu	I, 205, III, 197
Ogień niepalący.	IV, 423
Papier bezpieczeństwa.	I, 634, 643
Rozkład przez rozpaloną parę wodną.	II, 408
Szklą rozpuszczanie się w wodzie gorącej.	IV, 199
Wina reńskiego odkwaszenie	IV, 629
Winorośli uprawa	II, 653
Witryolu żelaznego użytek	II, 407
Ziemniaków choroba.	II, 407
Złoto z Kalifornii.	IV, 630
Żywica aldehydowa	IV, 199

HISTORIA NATURALNA.

Omalins d'Halloy, O geologicznych zmianach na okręgu ziemskim.	II, 195
Desor, O zależności pomiędzy zjawiskami narzuto- wych gładów w Europie północnej, a podniesie- niem się Skandynawii.	II, 201
Agassiz, Narzutowe zjawiska w Ameryce.	II, 206
Poranek w Australii.	III, 413

Zoologia.

	Tom, str.
<i>Acanthohermes quercus</i> Kollar, wylęganie się . . .	III, 635
<i>Actinia</i>	I, 418, II, 211, 665
<i>Actinophrys</i> , rozwijanie się	I, 655
Agassiza list z Bostonu	I, 428
<i>Alligator lucius</i> , krążenie	I, 650
<i>Amphicore sabella</i>	II, 656
<i>Anguinaria spatularia</i>	I, 655
<i>Anomma arcens</i>	I, 654
<i>Aphis</i>	II, 413, 415
<i>Aphis humuli</i>	I, 654
<i>Asterias</i>	I, 429
Babie lato	II, 411
Biedrzonki	I, 420
<i>Boa</i>	II, 410
<i>Bombyx processionea</i> , obyczaje liszki	II, 419, 424
<i>Brachioptilon hamiltoni</i>	IV, 209
<i>Bryozaires</i>	II, 666
Brzuchopelzów (<i>Gasteropoda</i>) organizacya	II, 208
„ „ podział syst.	III, 637
<i>Capra hispanica</i>	II, 408
<i>Chiton</i> , stanowisko w układzie	III, 642
<i>Coccionella</i>	I, 420
<i>Coccothraustes indica</i>	I, 647
<i>Culex pipiens</i> , anatomia	I, 423
<i>Curculionida</i>	II, 212
<i>Cypris</i> , jajeczники i jaja	III, 430
Czerwiów krążenie	III, 431
„ oddychanie	III, 434
<i>Daphnia</i> i <i>Limnadia</i> , krążenie	III, 431
Delfin z dwiema głowami	III, 199
<i>Didelphys virginiana</i>	I, 207
<i>Dinornis</i>	I, 210, III, 420
Dziobak	I, 644
Dzięgietaj	III, 199
<i>Echinarachnius</i>	I, 431
<i>Echinobothrium</i> nov. gen.	IV, 632
Elektryczny organ drętwików	I, 212
<i>Elothorium magnum</i>	III, 418
Endlicher, zgon	IV, 638
<i>Entozoa</i> . rozmnażanie się	II, 660
<i>Equus hemionus</i>	III, 199

	Tom, str.
Erichson, zgon.....	IV, 637
<i>Fasciola hepatica</i>	II, 660
Fauna indyjskiego archipelagu	I, 657
<i>Furia infernalis</i>	I, 424
<i>Gasteropoda</i> , organizacya	II, 208
„ układ krążenia.....	II, 656
„ podział systematyczny.....	III, 637
Gąsienice muchowatych liść wydrążające	I, 424
„ „ pasorzytne	II, 425
„ wodne owadów	II, 430
Głowa zwierząt stawowatych.....	III, 206
<i>Gryllacris</i>	I, 657
<i>Gymnotus electricus</i>	III, 206
<i>Helix oblonga</i>	III, 634
Hermafrodytyzm motyla	III, 214
<i>Hyla viridis</i> , zmiany koloru.....	III, 202
<i>Hypochthon anguinus</i>	III, 204
Jad owadów.....	III, 212
Jaja moy	I, 210
„ nieżywych owadów wylęgają się.....	III, 214
„ owadów bez zapłodnienia	I, 421, II, 418
„ szkockiej pardwy.....	I, 650
Jaja wylęganie się.....	III 428, 430
Jaszczurek użycie w Ameryce	III, 422
Jeżowce	I, 432
Jutrzyny dwutaśmowej trawienie	I, 651
Ikry zapładnianie sztuczne	III, 423
<i>Infusoria</i> , nowe badania.....	IV, 428, 430
Kajmana szczupakowatego krążenie.....	I, 650
Kaletnik wirgiński.....	I, 207
Kameleona zmiany koloru	III, 200
<i>Kellia rubra</i>	III, 644
Kolibrów obyczaje.....	I, 648
Kolibry chowane.....	I, 649
Koloru zmiany u kameleona	III, 200
„ „ u rzekotki pospolitej.....	III, 202
Komara przyrząd trawienia	I, 423
Kości kopalne w południowej Rosyi.....	I, 206
Koszenilli chów w Ameryce.....	III, 636
Koziorożca nowy gatunek.....	II, 408
<i>Limnadia</i> i <i>Daphnia</i> , krążenie.....	III, 431
<i>Linguatula Diesingii, proboscidea</i>	II, 663
Lis nadzwyczajnej wielkości.....	IV, 206

	Tmo,	str.
Liszki processyonarne	II,	419
<i>Lucernaria</i>	I,	429
Łękotek stanowisko w układzie	VI,	642
<i>Mabouya agilis</i> , sposób życia	IV,	207
Majówki anatom. i embryolog	I,	653
Małże wierzące skały i t. p.	II,	659
<i>Mantis</i>	II,	668
<i>Megalacris Brookeri</i>	I,	654
Menażeryjnych zwierząt obyczaje	I,	643
Miękliwych zwierząt krążenie krwi	I,	432
Moa, kości i jaja	I,	210
Mrówki w Afryce	I,	654
„ w Indyi	II,	417
Mszycę	I,	654
Mszyc rozmnażanie się	II,	413
„ wędrówki	II,	415
Mszywioly	II,	666
Much pasorzytnych gąsienice	II,	425
Myszy białych obyczaje	III,	415
<i>Nais</i> , anatomia i fizyolog	I,	425
<i>Naturforschender Verein zu Riga</i>	IV,	433
<i>Nicthoë</i> Audouin et Milne-Edwards	III,	427
Niedoperzów historia naturalna	IV,	200
Niedźwiadki w Indjach	II,	667
Nosorożca gatunki w Chinach	II,	208
„ „ kopalne	IV,	206
„ ze słoniem walka	III,	198
Ocieklinek świerzbowy	I,	652
Oczy zwierząt stawowatych	I,	416, 419
Odmieniec węzowaty	III,	204
<i>Ornithorhynchus paradoxus</i>	I,	644
Ornitotychnity	I,	210
<i>Osmylus maculatus</i> , organ	III,	637
Owadów dwupłciowość	III,	214
„ jadowite zakłócia	III,	212
„ oddychanie	I, 652. II,	412
„ różki	III,	206
Owady indyjskiego archipelagu	I,	658
„ zabija chloroform	II,	412
Pająków krwi krążenie	III,	209
„ rozdrzelowatych jajeczniaki	III,	632
„ serce	III,	209
Pajęczyna jesienna w powietrzu	II,	411

	Tom, str.
<i>Pholas navalis</i>	I, 659
Pierścienice wodne	II, 655
Pijawka latająca	II, 667
„ lekarska	II, 655
Płaszczki (<i>Raia</i>).	I, 212
Połozy	II, 410
Powietrzne worki u owadów	I, 652
<i>Proteus anguinus</i>	III, 204
Prządka towarzyszy.	II, 419, 424
Przeżuwających płód	I, 645
Psa domowego zmysłność	II, 206, 207
<i>Psocus quadripunctatus</i> , niesienie jaj	III, 213
Pszczoly posłannicze	II, 418
Ptaki wyginione	III, 420
Ptaków bojaźń przed człowiekiem	I, 646
„ mechanizm lotu	I, 647 III, 418
„ śpiewających czas rozpoczynania śpiewu.	III, 418
<i>Pycnogonides</i> , jajeczniki	III, 632
<i>Python bivittatus</i> , trawienie.	I, 651
<i>Raia</i>	I, 212
„ nowy gatunek	IV, 209
<i>Revue et Magasin de Zoologie</i> p. Guérin.	IV, 432
Robaków klasyfikacja.	IV, 213
„ rozwijanie się.	IV, 210
Ropuch użyteczność	II, 411
Rozgwiazdy.	I, 429
Różki owadów	III, 206
Ryb ikry zapładnianie sztuczne.	III, 423
Ryś w Alpach.	I, 644
<i>Sarcoptes scabiei</i>	I, 652
<i>Saxicava</i>	II, 659
<i>Scelopendra morsitans</i> , pokarm	III, 633
Serce pajaków	III, 209
Skrzela gąsienic wodnych	II, 430
Slimaki niektóre wydają tony.	III, 644
Słończyki (<i>Actinophrys</i>).	I, 655
Słonia z nosorożcem walka	III, 198
„ zmysłności przykład	III, 417
Sów użyteczność.	I, 647
<i>Spurbienen</i>	II, 418
Sturm Jakób, zgon.	IV, 638
Swidraków rozwijanie się	II, 657, 659
Swietla (<i>Lucernaria</i>).	I, 429

	Tom,	str.
Szarańcza w okolicach Himalai.	II,	417
Szczupaka zmyślność	III,	426
Szczura miłości macierzyńskiej przykład	II,	207
Tasiemce (<i>Taenia</i>)	II,	662
<i>Teredo</i> rozwijanie się	II,	657, 659
<i>Tetrarhynchus</i>	IV,	210
<i>Tetrao scoticus</i> , jaja.	I,	650
<i>Torpedo</i>	I,	212
<i>Trochilus polythmus</i>	I,	648
Trylobitów organizacja.	II,	210
Tygrys na Sumatrze	III,	207
Ukwiały (<i>Actinia</i>).	I, 428. II,	211, 665
<i>Volvox globator</i>	II,	667
Wąż morski.	I,	661
Węże w Ameryce gorącej	I,	651
„ w Nowej południowej Walii.	I,	211
Wizerunki w <i>Annales des sc. nat.</i>	I,	432
Wółkowate owady w zbiorach.	II,	213
Worki powietrzne u owadów.	II,	412
Wrytnice (<i>Nais</i>) anat. i fizjol.	I,	425
Wrzęchy.	II,	663
Wymoczków czułość na światło.	IV,	431
„ dalsze poznawanie.	IV,	428, 430
„ rozwijanie się	I,	656
Zasada do oceniania owadów w zbiorach	II,	213
Zwierząt bezkręgowych układ nerwowy	III,	427
„ „ oddychanie	III,	631
„ miękkich ślimakowatych organizacja.	II,	208
„ przeżuwających płód	I,	645
„ stawowatych głowa	III,	206
„ w menażeryach obyczaje	I,	643
„ znanych liczba	III,	413
Zwierzęta morskie archipelagu indyjskiego	I,	659
„ rosyjskie	III,	414
Zwierzokrzewy.	I,	655
Żaby skielek	I,	212



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1848.

W I L N O.

113. *Rituale Sacramentorum, ac aliarum Ecclesiae Romano-Catholicae ceremoniarum. Ex rituali Synodi Provincialis Petricoviensis depromptum...* Vilnae. 12mo. 1848. Typis J. Zawadzki. Str. 408.

114. Złoty Oltarzyk, czyli krótkie zebranie różnego Nabożeństwa, z dodatkiem modlitw i pieśni, używanych w Rzymsko-Katolickim kościele; tudzież, objaśnień wyrazów w Godzinkach o niepokalanem poczęciu N. Maryi Panny, i w Litanii Loretańskiej. Wilno, nakładem Rubena Rafałowicza, księgarza wileńskiego, w drukarni M. Zymelowicza Typografa, 1848, str. 610, w 16ce.

115. *Senas Auksa Altorius Arba Surinkymas Iwaria, Maldun Ir. Giesmuin. Wilniuje, Kasztu yr Spekstuwy A. Dworcziaus yr Romma*, 1848, str. 526, w 16ce.

K I J Ó W.

116. Złamana topola. Komedya przez A. B. Kijów. 8ka. 1848. W drukarni uniwersytetu S. Włodzimierza. Str. 85.

ŻYTOMIÉRZ.

117. Kalendarz gospodarski, na rok 1849, przez xięży Karmelitów, klasztoru Berdyczewskiego wydany. Żytomiérz. 4ka, 1848 W drukarni Rządu gubernialnego. Kart 16.

PETERSBURG.

118. List pasterski Kazimiérza Dmochowskiego, z Bożej i Apostolskiej łaski, Arcybiskupa i Metropolity rzymsko-katolickich kościołów w Imperyum Rossyjskiem, do duchowieństwa i wiernych Chrystusowych, rzymsko-katolickiej Archidyecezyi Mohilewskiej, Petersburg. 1848. 8ka. Druk G. Fiszera. Str. 49.

1849.

WARSZAWA.

66. Artykuły literackie, krytyczne, artystyczne M(ichała) Gr(a-bowskie)go. (Dalszy ciąg Literatury, Krytyki, Korrespondencyi i t. d.) 12ka. Warszawa. 1849. Nakład i druk S. Orgelbranda. Str. XI. i 330. Rejestru karta 1. Złp. 12.

68. Sposób leczenia cholery za pomocą zimnej wody, szczęśliwym skutkiem uwieńczony. Przez Józefa Gotuchowskiego. 12ka. Warszawa. 1849. Druk J. Ungra. Str. 50. Złp. 2.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Dla *Album Wileńskiego*, Antoni Oleszczyński wykonał dwa sztychy. Jeden wyobraża Najświętszą Pannę Ostrobramską, (pod spodem jest mały, bardzo delikatnie rytowany widok ulicy Ostrobramskiej); drugi, ołtarz i grób ś. Kazimierza. Jak zwykle, artystyczna wartość tych sztychów jest znakomitą.

Alexander Groza, jeden ze znakomitszych naszych poetów, wydaje obecnie poezye swoje (jużto w trzecim wydaniu), we 3ch tomach.

Zawierać będą: Tom I. Dwa oddziały różnych poezyi. *Legenda: Halina. Wacław i Helena. Książnin. Mogiły.* Tom II. Powieści ludowe: „O duszach umarłych”, powieść ukraińska. „*Martyn*”, powieść ukraińska. „*Głuche Jezioro*”, powieść białoruska. „*Maryna*”, powieść białoruska. „*Jastrzębiec*”, powieść polska. *Dumy ukraińskie: „Piérwsza pokuta Żeleźniaka, i Soroka”.* *Janko ślepy* (duma serbska). Tom III. „*Korynna*” *improvizacya.* „*Trzy palmy*”, *improvizacya.* „*Starosta Kaniowski*” (znana z dwóch wydań poprzednich) powieść, której część druga przy końcu poprawiona, a trzecia w większej połowie na nowo napisana.

Jeden z młodych pisarzy warszawskich, badaniom historycznym szczęśliwie poświęcający się, pracuje obecnie nad rozprawą, w której stara się dowieść, wbrew domysłom uczonego Vossberga: iż herbem pierwiastkowym miasta Warszawy była, jak dotąd, syrena; nigdy zaś rycerz z tarczą lub gryf, któryby, jak poczwarka w motyla, w syrenę następnie przemienił się; o czém silnie przekonany p. Alex. Weinert, w swoich *Starożytnościach Warszawskich*, rozwoził się obszernie. Zajmujące badania w wyżej wymienionej rozprawie, licznemi a niezbitemi dowodami poparte, mają sprawę tę ostatecznie rozstrzygnąć.

Smutną odebraliśmy wiadomość, że p. A. Czajkowski znany z talentu poetyckiego, professor historii w akademii petersburskiej, współpracownik Biblioteki Warszawskiej, dotknięty jest ciężką chorobą.

Z Krakowa.... Lekcyje w uniwersytecie zaledwie się teraz rozpoczęły. Purkinie przeniósł się do Pragi, gdzie go zawezwano. I u nas przemyślają o powiększeniu katedr, a mianowicie: Anatomii Patologicznej, Zoologii i Chemii. Do dwóch ostatnich nie wiadomo, kto będzie wybrany. Właśnie przyszło wezwanie Wincentego Pola na profesora geografii fizycznej; niemało się z tego ucieszono. Zygmunt Helcel z dniem 12 listopada już zaczął swój wykład z ogólnym zadowoleniem. Od przyszłego roku mają

być kolegia płatne, tak jak w Niemczech, a przytém prywatdoci będą mieli wolność uczenia. Niedawno wyszła w nowém wydaniu: „Grammatyka polska” Muczkowskiego, przepisana została u nas dla szkół.

UWIADOMIENIE OD REDAKCYI.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie na rok następny 1850. Czyniąc zadosyć licznie objawionym życzeniom, redakcyja Biblioteki zamierzyła urozmaicić treść swojego pisma, dając w niém miejsce, obok dotychczasowych oddziałów, przekładom najlepszych nowoczesnych powieści i podróży, zagranicznych autorów.

Równocześnie zarządzone zostały takie zmiany w sposobie wydawania pisma, co do papieru i druku, że nadal Biblioteka przeszło o połowę tyle tekstu, co dotąd, zamieszczać będzie; co ją postawi w możności pozostania na przyszłość chętnym organem wszystkich naukowych i literackich dążeń.

Rozszerzając zakres swego pisma, redakcyja Biblioteki starała się o wzmocnienie liczby i usilności swoich współpracowników; i ma nadzieję, że czytająca publiczność usiłowania jéj oceni.

Cena Biblioteki pozostaje ta sama, jak dotąd; t. j. złp. 60 rocznie w granicach Królestwa, w Galicyi Ces. Austr., gdzie także można prenumerować na wszystkich Urzędach Pocztowych, z małym podwyższeniem ceny, a w Cesarstwie Rossyjskiém złotych 80 (rub. sr. 12).

Komplet Biblioteki Warszawskiej z każdego roku, złożony z dwunastu poszytów, czyli czterech tomów, kosztuje złotych 60. Cały komplet z lat dziewięciu, złożony z 108 poszytów, czyli tomów 36, nabyć można za złotych 540.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.

Październik 1849.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'25,45" na wschód

Data	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
	6		10		4		10		
	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1	741.15	740.56	738.93	738.82	+ 8.7	+14.7	+18.5	+15.0	83.0
2	739.97	741.09	742.70	743.09	9.2	12.8	10.4	6.2	86.0
3	741.14	743.32	745.48	745.93	9.6	10.0	10.8	6.3	91.2
4	743.76	744.34	741.11	741.20	13.1	18.1	21.2	16.2	72.0
5	741.96	742.13	743.56	745.91	12.9	18.5	13.8	12.9	80.0
6	750.07	750.29	750.37	749.17	+ 5.0	+ 9.6	+11.9	+ 6.9	79.5
7	749.67	750.75	748.65	746.79	4.8	10.8	11.2	8.5	78.5
8	740.13	738.04	736.42	735.70	9.4	14.0	15.6	12.6	91.0
9	754.49	735.74	737.27	738.92	8.7	12.6	9.5	9.1	87.5
10	744.96	747.06	748.63	748.89	4.2	7.5	6.1	3.0	79.0
11	747.71	747.41	743.94	741.24	+ 2.2	+ 6.4	+ 7.5	+ 6.2	89.0
12	736.18	737.11	737.96	738.78	6.0	6.2	5.3	4.2	96.5
13	736.70	737.10	737.31	739.84	2.7	2.7	2.7	0.7	96.2
14	746.42	750.90	754.98	758.37	- 0.2	0.8	1.9	1.1	90.7
15	758.78	750.95	758.02	757.54	- 1.7	2.0	1.6	- 2.0	90.0
16	755.72	756.06	755.08	756.05	- 3.4	+ 1.1	+ 2.5	+ 1.3	86.7
17	755.42	756.70	756.29	757.09	+ 1.5	3.2	4.1	3.9	97.5
18	758.52	761.26	762.89	764.31	3.5	5.5	4.6	4.4	94.2
19	765.30	766.44	765.16	764.46	4.2	6.2	7.0	5.5	93.0
20	760.94	760.73	756.65	755.03	0.2	5.6	6.8	5.1	80.2
21	751.53	751.54	750.26	749.97	+ 2.7	+ 5.9	+ 7.2	+ 5.8	88.2
22	749.53	750.20	750.09	751.28	5.2	7.2	8.0	8.8	94.6
23	754.96	757.65	759.25	759.56	8.1	8.9	7.5	5.7	90.5
24	758.18	759.16	758.25	757.26	7.7	10.7	11.0	9.9	86.6
25	756.62	757.76	757.71	756.84	9.1	11.1	11.2	10.2	89.7
26	754.46	753.69	751.47	751.13	+ 9.6	+12.3	+11.8	+ 6.5	82.2
27	750.80	751.46	751.12	751.63	2.9	7.8	10.7	9.3	94.2
28	753.16	755.03	755.82	757.22	9.0	8.9	9.4	7.8	98.2
29	756.08	756.58	757.35	760.36	5.4	6.5	7.4	7.8	94.7
30	761.27	762.06	760.86	760.04	5.8	6.6	6.8	0.9	82.7
31	758.07	758.01	754.31	752.52	1.4	2.4	6.6	6.1	92.2
Śre.	750.118	750.972	750.577	750.808	+5.40	+8.27	+8.73	+ 6.65	88.2

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s, 7
względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	dé-	śnie-
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.	szczy	gu
napót pog.	napót pog.	napót pog.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pd.	Z.	3.0	
napót pog.	napót pog.	pogodny	pr. pogodny	Z.	Z.	Z.	Pd.	1.5	
napót pog.	dészcz dr.	pochmurny	napót pog.	PdZ.	PnZ.	Z.	Pd.	2.7	
napót pog.	pogodny	napót pog.	pr. pochm.	PdZ.	PdZ.	Pd.	PdZ.		
pr. pochm.	pochmurny	dészcz dr.	pochmurny	PdZ.	PoZ.	PdZ.	Z.		
smugi	smugi	napót pog.	pochmurny	Z.	Z.	Pd.	Pd.		
pogodny	pochmurny	napót pog.	pochmurny	Z.	PnZ.	PdW.	W.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	dészcz	PdW.	Pd.	Pd.	Pd.	1.0	
pr. pochm.	pochmurny	dészcz dr.	dészcz dr.	PdZ.	Z.	Z.	Z.	1.6	
pr. pogod.	napót pog.	napót pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	—		
pochmurny	pogodny	dészcz dr.	dészcz	Pd.	PdW.	Pn.	—	3.8	
dészcz	dészcz	dészcz dr.	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.	13.4	
dészcz	dészcz	dészcz	dészcz	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.	24.2	
pochmurny	pr. pochm.	napót pog.	pochmurny	Pn.	Pn.	Z.	Pd.	5.6	
pogodny	pogodny	napót pog.	pr. pogod.	—	Pd.	Pd.	PdW.		
pogodny	smugi	pochmurny	pochmurny	PnW.	W.	PnW.	W.	0.5	
dészcz dr.	dészcz dr.	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.	5.0	
dészcz dr.	mglisto	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.	2.4	
mgła	pochmurny	pochmurny	napót pog.	PnW.	PnW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	napót pog.	pogodny	PnW.	W.	W.	W.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	W.	W.	W.		
dészcz dr.	mglisto	pochmurny	dészcz dr.	Z.	Pd.	Pd.	Z.	2.4	
dészcz dr.	pochmurny	napót pog.	napót pog.	PnZ.	Z.	Z.	PdZ.	4.2	
pochmurny	pochmurny	napót pog.	pochmurny	PdZ.	Z.	PdZ.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Pd.		
pochmurny	napót pog.	pr. pogod.	smugi	Pd.	PdZ.	Pd.	PdZ.		
mgła gesta	napót pog.	pr. pochm.	pochmurny	Pd.	Pd.	—	—		
dészcz dr.	dészcz dr.	dészcz dr.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	7.4	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Pn.		
pochmurny	napót pog.	pogodny	mgła grub.	Pn.	Pn.	Pn.	—		
mgła grub.	mgła grub.	pochmurny	napót pog.	PnZ.	Pn.	W.	PnW.	0.8	

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.620	27	8.747
Najwyżej dochodził — d. 19 o g. 10 r.	766.44	28	3.760
Najniżej — — d. 9 o g. 6 r.	734.49	27	1.560
Średnia zmiana dzienna barometru	4.57		2.03
Największa zmiana dzienna barometru d. 13—14 o g. 4 w.	17.67		7.83
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	0.257		0.111
Średnia temperatura Pa dzieln. wynosi: +	70.26	C.	+ 50.81 R.
i ta jest niższą o	0.90	"	0.72 "
od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	+ 8.16	"	+ 6.53 "
Największe ciepło dochodziło d. 4 o g. 4 w.	+ 21.2	"	+ 17.0 "
Najmniejsze d. 16 o g. 6 r.	— 3.4	"	— 2.7 "
(Termometrograf wskazał: Maximum: + 18.0 R. d. 4 wieczór. Minimum: — 3.0 R. d. 16 z rana.			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.60	"	2.08 "
Największa zmiana dzienna d. 3—4 o g. 4 w.	10.4	"	8.3 "

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 88,2 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 7,38 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Wody z deszczu spadło wysoko na 79,5 millim, czyli 35,24 linij paryz., to jest o 13,82 lin. par. więcej od ilości wody, jaka zwykle u nas w tym miesiącu spada.

- Dni pogodnych było 1; napół pogodnych 12; pochmurnych 18.
- deszczu 16 (d. 1, 2, 3, 5, 8, 9, 11, 12, 13, 16, 17, 18, 22, 23, 28, 31).
- gradu 1 (d. 11.).
- śniegu 1 (d. 14).
- mgły 6 (d. 17, 18, 19, 22, 27, 31).

Wichrów nie było.

Wiatr panujący: Zachodni; częste były także Południowe.

Październik r. b. był słotny, wilgotny, mglisty, niepogodny przeszło o pół stopnia zimniejszy jak zwykle. Pierwsze dziesięć dni były ciepłe; dzień 4 był tak gorący jak w środku lata, termometr dnia tego po południu wskazywał 18 stop. ciepła. Środek miesiąca był znacznie chłodny, dzień 15 rano i wieczór był mroźny. Deszcze padały często i obficie; wody z deszczu spadło blisko dwa razy więcej jak zwykle. Przez całą noc z dnia 11 na 12 deszcz obfity padał, toż samo i przez dzień cały 13. Najcieplejsze dni były: d. 1, 4, 5, 8, 25, 26, osobliwie d. 4 i 5; najchłodniejsze d. 14, 15, 16, 17.

D. 6 z rana pokazały się słońca boczne.

D. 23 wieczór kęto białe otaczało księżyc.

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :

Digital-Center

Ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82